4762/64

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1856.

Tom czwarty.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXIV.

[redacted]

WARSZAWA.

W DRUKARNI GAZETY CODZIENNEJ.

przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 617, w dawnéj Bibliotece Załuskich.

—

1856.

4620. 1856. 4
II

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa, d. 12 (24) września 1856 r.

Cenzor, RADCA DWORU
Stanisławski.

Biblioteka Seimu Śląskiego
X-14163
4620/II 4.
1856
30.000/

ZWYCIĘZTWO
JANA SOBIESKIEGO
NAD TURKAMI I TATARAMI W R. 1675, POD LWOWEM.

PRZEZ

Karola Szajnochę.

Założenie plantacyi na zamkowéj niegdyś górze nad Lwowem, przyozdobiło Lwów niezwyczajnie piękną przechadzką. Swoi i obcy, wszyscy cenimy wysoce jéj przyjemności, zachwycamy się jéj wielorakiemi powaby, nie znając przecież albo nie przypominając sobie najwspanialszego jéj wdzięku. Jestto wdzięk wielkiego wspomnienia historycznego, jestto otwierający się z niéj widok miejsca, na którém spełniony został wiekopomny czyn bohaterski. Patrzymy codziennie na jego scenę, przechadzając się po wschodnim rąbku plantacyi ponad łazienkami Kisielki, i wiodąc okiem po téj niezmierzonéj płaszczyznie, która od rogatki Żołkiewskiéj, wprost błyszczącego stawku łazienek, rozpościera się i niknie poza przylądkiem dalszego pasma wzgórzy na prawo. Na tejto równinie stoczyła się przed 180 laty, za czasów króla Jana Sobieskiego, między 5,000 rycerstwem polskiém a 40,000 do 60,000 ordy tatarskiéj i Turków, szczęśliwa dla chrześcian walka, liczona do najświetniejszych tryumfów króla Jana IIIgo, który, według wyrażenia się dziejopisów późniejszych:

„nie był nigdy tak wielkim jak na pobojowisku pod Lwowem". „Na tejto równinie, mówi spółczesny historyk angielski Connor, osobiście obeznany z dworem warszawskim, a nieprzyjazny w ogólności Polakom, odniesiono największe może zwycięztwo, o jakiém kiedykolwiek słyszały dzieje". Na téjto równinie, wtórzy mu wreszcie pisarz dzisiejszy, głośny historyk francuzki Salvandy, rozstrzygnęły się losy podziwienia godnéj kampanii, która może nie ma równéj sobie w wiekach poprzednich, a ledwie ustąpi którejkolwiek z kampanii wieku naszego".

Chodziło W. Porcie ciągle o uiszczenie pokoju buczackiego z r. 1672, który jéj przyznawał Podole, Ukrainę i coroczny haracz ze strony Polski, a którego egzekucyi nie dopuścił naprzód sejm, następnie zaś het. wiel. kor. i w téjże właśnie porze nowo obrany król, Jan Sobieski, szczęśliwy zwycięzca Turków w obudwóch latach następnych, w r. 1673 pod Chocimem, w r. 1674 na Ukrainie. Niezłamana trzechletnią wojną Porta podjęła w r. 1673 czwartą, tém usilniejszą wyprawę. Już o wiośnie wyruszyły wojska sułtańskie dwiema wielkiemi armiami, zdolnemi (jak mówiono) zawojować nietylko Polskę, ale pół świata. Jednę, tatarską, prowadził han w. Selim-Gieraj, przodkując pięciu podrzędnym sułtanom krymskim, pomiędzy któremi słynął osobliwie stryj hański Ssafa-Gieraj, sułtan Nureddin. Drugiéj armii, tureckiéj, przewodził seraskier Szeszman-Ibrahim, mając pod sobą 15 baszów, pomiędzy tymi 6 wezyrów, a nadto obydwóch hospodarów wołoskich. Razem liczono siły nieprzyjacielskie na 150 do 200,000 wojowników. Przeciw tak wielkiéj potędze broniła Polskę garstka rozmaicie uzbrojonego wojska, nie przewyższającego liczby 30,000 ludzi, rozrzuconych maleńkiemi kupkami na szerokiéj przestrzeni, po miasteczkach, zamkach, obozowiskach. Tylko cud, cud jeniuszu wojennego, korzystającego przedewszystkiém z błędów nieprzyjaciela, mógł zbawić kraj. Na szczęście popełnili Turcy niezmierny błąd strategiczny: zamiast wtargnąć prosto w głąb Polski, na Ruś, obróciły się armie nieprzyjacielskie przeciwko królowi na Ukrainie. Zaczęto dobywać miasta i fortece tameczne, co wiele czasu zabrało, a żadnego pożytku nie przyniosło.

Prawie wszystkie bowiem twierdze oblężone oparły się nieprzyjaciołom, gdy tymczasem król Jan, ustąpiwszy szczęśliwie ku Rusi, umacniał sobie tam coraz warowniejszą pozycyą. Obierając Lwów za centralne stanowisko obrony, opasał go król zdaleka szerokiém półkolem twierdz, poruczonych najdoświadczeńszym mężom. Całe pogranicze między Wołyniem i Podolem a Rusią, najeżyło się małemi warowniami, uzbrojonemi bogdaj mieszczańską, bogdaj chłopską załogą. Tym sposobem spodziewane postępy wojsk tureckich zostały nadzwyczaj utrudzone, ochromiały wpół drogi. Zniecierpliwiony cesarz Mahomet IVty przesłał rozkaz Ibrahimowi, aby czemprędzéj ukończył wojnę z Polską, albo da gardło. Gdyby mu wojska niestało, nadciągnie druga armia, która już przeprawia się przez Dniestr; gdyby i ta nie starczyła, zbierze się trzecia pod dowództwem samegoż padyszacha. Dumny seraskier odpowiedział, iż byłby już dawno rozgromił króla polskiego, lecz nie wié, gdzie się podział. Aby go więc odszukać, rzucił się Ibrahim przyspieszonym pochodem ku ziemiom ruskim. Pod Husiatynem połączyły się obie armie najezdnicze, licząc przeszło 100,000 żołnierzy. Wytężono wszelkie siły, użyto wszelkich środków przemocy i srogości. Paląc całe okolice przed sobą, wbijając na pal mieszkańców, uprowadzając w jassyr co żyje, opanowano i zburzono Zbaraż, Podhajce, przeszło 30 znaczniejszych miast i zamków. Niezmierna trwoga ogarnęła kraj wszystek. Kto mógł uciekał z życiem za Wisłę. Cała nawalnica nieprzyjacielska zdążała już ku Złoczowowi, mierząc prosto na Lwów.

Lwów został po raz wtóry głównym szańcem królestwa. Troskliwy o niego król, przybył spiesznie do miasta: za nim zjechała także z całym dworem królowa. Przygotowywano się do przebycia długiego oblężenia, do przebycia wielkiego niebezpieczeństwa, które wszyscy pragnęli podzielać społem. Mimo wszelką jednak obawę, mimo zupełnie prawie ogołocenie z środków, mimo zwyczajny wreszcie rozsądek, nie odstępowała króla pewna zuchwała odwaga, podnosząca zatrwożone dokoła serca. Mając wjeżdżać do Lwowa, zakazał król wszelkich powitalnych ceremonii i ogniów

w mieście. Wtém doszła go wiadomość o owém doniesieniu Ibrahima do Carogrodu. jakoby Jan skrył się przed nim. Natychmiast wyszedł rozkaz królewski, aby miasto w powitanie zagrzmiało ze wszystkich dział, dla oznajmienia Ibrahimowi, gdzie może znaleźć króla. Ta staro-rycerska śmiałość, jak zbawienna dla swoich, tak szkodliwą okazywała się wrogom. Dziki, zabobonny, oryentalną wyobraźnią mamiony Tatar i Turek, był aż nadto skorym do powodowania się wrażeniami dziwów mniemanych. Toć przed niewielą dopiero dniami, przystępując do zdobywania Załoziec, i chcąc zasięgnąć wróżby w téj mierze, wypuszczono z obozu tureckiego czarną kokosz ku miastu. Czarodziejska kwoka wróciła z gdakiem w szeregi muzułmańskie, a Turcy uszli w popłochu z pod Załoziec. Wiadomo, jak dalece późniéj sama obecność króla Jana rzucała bajeczny postrach na wrogów. Może takąż samą i teraz nadrabiając nad nimi władzą, nie zapomniał król o przysposobieniu im także nierównie rzeczywistszych powodów lęku. Po ściągnięciu wszelkich możliwych w obecnéj chwili posiłków, znalazło się przy królu 6 do 8,000 ludzi, któremi dowodzili częściowo szwagier królewski Michał książę Radziwiłł, hetman polny litewski, chorąży kor. Sieniawski, strażnik kor. Bidziński, słynny kawaler maltański Lubomirski, generał Korycki; pułkownikowie: Miączyński i Polanowski. Bezpośredniemu dowództwu króla pozostało zaledwie 2,000 żołnierza. Ustawił go król obozem o ćwierć mili od murów miejskich, ku Krzywczycom, w niewielkiéj dolinie pomiędzy wzgórzami i parowami leśnemi, poza ową nagą piaskową górą i jéj odroślami bocznemi, które przechadzającym się po dzisiejszych plantacyach ponad łazienkami Kisielki, ograniczają widok na prawo. Jakkolwiek szczęśliwém mogło być położenie, jakkolwiek ufano wojennéj sztuce króla, nalegali przecież senatorowie obecni, aby król w bezpieczniejszém miejscu schronił swoją osobę. Sobieski odpowiedział, iż tu oczekiwać będzie nieprzyjaciela, i jak przed ośmią laty w Podhajcach, pobije go podjazdami, lub zginie.

Było to w drugiéj połowie sierpnia. Dość pomkniona już pora roku, rozkazy z Konstantynopola, świeżo rozbudzony zapał armii tureckiéj, wszystko zniewa-

lało Turków do kroku stanowczego. Na polach między Płuhowem a Jezierną, stanowiskami Ibrahima i w. hana Selim-Gieraja, odbyła się w téj mierze wielka rada wojenna. Wiedząc już teraz o pobycie króla w stolicy ruskiéj, postanowiono wyprawić najprzód znaczną część armii pod Lwów, dla rozbicia obozu królewskiego i odparcia króla (jak o tém wyraźnie była mowa), aż po Lublin albo Jarosław, a potém z resztą armii chciano otoczyć i zdobyć miasto. Piérwszą połowę dzieła, wymagającą nadewszystko szybkości, poruczono głównie Tatarom. Prawie cała orda, z pozostawieniem jedynie szczupłéj garstki przy hanie i jasyrze, a przybrawszy natomiast zastęp ochotników tureckich, wyruszyła pod naczelnictwem Ssafa-Gieraja, Nureddyna i Adzi-Gieraja sułtanów, w 40,000 wybrakowanych junaków, całym pędem na Lwów. Dnia 23 sierpnia, otarła się przelatująca chmura tatarska o zamek złoczowski, zkąd waleczny wojewoda ruski Jabłonowski, co bliższych śmiałków przez kilka godzin armatnim smagał ogniem. Tegoż samego dnia, w piątek przed św. Bartłomiejem, doszła do Lwowa piérwsza wiadomość o grożącym zamachu, nadesłana przez pułkownika Miączyńskiego, który w 2,500 ludzi wyprawiony na podjazd, zabrał pod Uniowem kilka języków tatarskich i natychmiast odstawił ich królowi.

Wyprawa Nureddyna zerwała się tak nagle, że sami jeńcy uniejowscy nie wiedzieli dokładnie, jaka właściwa siła ciągnie na Lwów. Musiał tedy przypuścić Jan Sobieski, i przypuszczono w rzeczy, powszechnie, że przyjdzie wytrzymać zamach obudwóch połączonych armii nieprzyjacielskich. Oczekując co chwila ich przybycia, pospieszyło wszystko na stanowiska. Mieszczanie rzucili się z bronią w ręku na mury; lud, kobiety, duchowieństwo, zalegli wszystkie świątynie; wraz z dzwonami, wzywającemi do modłów w niebezpieczeństwie, uderzyły z wyższego zamku armaty, dając znać mieszkańcom przyległych sioł, aby uciekali przed ordą nadciągającą. W niedzielę 25 sierpnia, o samém południu, postrzeżono z wyższego zamku ogromne tumany kurzu na gościńcu gliniańskim. Od ustępujących ztamtąd czat przednich rozniósł się po wszędy głos: nieprzyjaciel! Zatrzymany dotychczas w mieście król Jan, po-

żegnał teraz królową, która wraz z ludem udała się w processyi do kościoła katedralnego, i otoczony dworem, pognał do obozu za miastem.

Ze szczytu wzgórzy zamkowych i przyległych (zkąd Sobieski przez jakiś czas przypatrywał się uważnie dalekiemu pochodowi nieprzyjaciela) odsłonił się nagle dziwny widok natury. Nieprzyjaciel znajdował się w odległości Bitki królewskiéj. Najpiękniejsza pogoda niedzieli sierpniowéj rozpromieniła cały widokrąg. Wtém naraz zaczerniało niebo okropną burzą nad Bitką i ciągnącemi przez nią nieprzyjaciołmi. Podczas gdy nad Lwowem najjaśniejsze świeciło słońce, uderzył w Bitce na muzułmanów gwałtowny grad ze śniegiem, który w jednéj chwili wszystkie okoliczne pola pobielił. „Nie sprzyja Bóg zamachowi“ przeniknęło tajemną trwogą ordę i Turków, głośną otuchą chrześcian. Korzystając z pomyślnego pomiędzy swemi wrażenia, zachęcił król do tém ściślejszego wykonania rozkazów. Szczupłe, pięcio, najwięcéj ośmio-tysiączne wojsko królewskie otrzymało następujący szyk bitwy. Pewną część wojska pod wodzą książęcia Radziwiłła, hetmana polnego litewskiego, wyprawił król gościńcem sichowskim aż ku Bobrce, aby z téj najdalszéj na prawo strony zastąpić drogę Tatarstwu, i nie dać mu obejść króla z ubocza. Reszta sił została podzielona na troje. Jedna część czyli prawe skrzydło pod generałem Koryckim, stanęło poza rogatką łyczakowską, na gościńcu winnickim. Lewe skrzydło, złożone z kilku chorągwi husarskich, prowadzonych przez chorążego kor. Sieniawskiego i podkomorzego bełzkiego, oparło się o podnóże zamku wysokiego, ku rogatce Żołkiewskiéj i szerokim tamże błotom od strony Zboisk. Król ze swoim obozem na dolinie pomiędzy wzgórzami dzisiejszego Zniesienia tworzył centrum. Zawierało ono kilka chorągwi wołoskich pod strażnikiem kor. Bidzińskim, kilka husarskich, siedm pancernych, trzy kozackie i cokolwiek piechoty z niewielą działek, razem mało co nad 2000 ludzi. Położenie obozu było (według szczegółowych doniesień) takie, iż mając wystąpić z niego na płaszczyznę pobojowiska ku Żółkwi, należało naprzód iść w górę ze 300 kroków, potém drugich 300 grzbietem wzgórzy między obozem a płaszczy-

zną, a wreszcie ciasnym wąwozem, najeżonym zaroślami, spuścić się na płaszczyznę. Ku temuż wąwozowi musieli kierować się Tatarzy, chcąc opanować obóz królewski, co w istocie stanowiło główną metę wyprawy. Dlatego zwrócił król wszelką uwagę na ten przesmyk, osadził go kilkąset strzelców ukrytych w gęstwie, ustawił w pobliżu wołoskie chorągwie Bidzińskiego na straży, a na jednem ze wzgórzy nad wąwozem zatoczył kilka dział, zdolnych ostrzeliwać ztamtąd równinę. Nie za tąż jednak osłoną, nie w samymże obozie, zdało się wytrzymać główny atak nieprzyjaciela. Przyzwyczajony uprzedzać go znienacka, zamierzył król i dzisiaj użyć téj zuchwałości, szczęśliwéj, gdy posiłkowanéj jeniuszem. Zaczém obwarowawszy należnie obóz, wyprowadził Sobieski swoje wojsko na wzgórza nad równiną, aby w danéj chwili rzucić je gdziekolwiek na płaszczyznę. Ponieważ zaś ciężkie chorągwie husarskie, stanowiąc główną siłę królewską, dobre do rozbijania nieprzełamanych zastępów, lecz mniéj użyteczne w spotkaniu się z lekkim, pierzchliwem jak wiatr Tatarstwem, niewielką wróżyły tam skuteczność: przeto zabłysnął królowi nagle jeden z owych trafnych pomysłów, który dogadzając naprzód pewnéj poszczególnéj potrzebie, okazuje się daléj z wielu innych jeszcze względów korzystnym. Przeciwko mniemaniu najstarszych wojowników, wierzących przesądnie w bezwarunkową zbawienność zbroi husarskiéj, wydał król rozkaz, aby cała husarya złożyła swój rynsztunek żelazny i ciężkie kopije, a przybrała natomiast lekkie dzidy kozackie. Przybyło tym sposobem kilkanaście set luźnych kopij i rynsztunków husarskich, w które nowy ordynans króla kazał ustroić się niezmiernéj podówczas liczbie ciurów i służby obozowéj. Zaimprowizowana tak niespodziewanie husarya, nie mająca innego przeznaczenia jak tylko stać pomiędzy zaroślami na wzgórzach, jakoby gotowa do uderzenia rezerwa, dwójnasób na pozór powiększyła siły królewskie. Cudownym wpływem jeniuszu, ubożuchna armia obronna sprawiała wrażenie wielkiego, szeroko rozpostartego wojska: wzgórza i lasy zamieniły się w twierdze, słabszy gotował się uderzyć na mocniejszego, ci któ-

rzy w innym razie bylibv bliżéj rozpaczy, teraz tuszyli sobie tryumf!

Tymczasem Nureddyn z swoją ordą postępował naprzód śród gromów burzy gradowéj, śród huku ciągłych strzałów sygnałowych z zamku wyższego, śród bicia dzwonów nieszpornych w mieście. O godzinie czwartéj z południa okazały się szyki nieprzyjacielskie w pobliżu wzgórzy zamkowych, posuwając się ku nim ogromnym półksiężycem, rozciągniętym od Zboisk aż do Krzywczyc. Jednocześnie wrócił od Bóbrki podjazd hetmana pol. Radziwiłła z relacyą, iż nie masz nigdzie Tatarów w tamtéj stronie. Nadeszłém z sobą wojskiem wzmocnił hetman obadwa skrzydła, przydzielając husaryą husaryi, hufce lekkie chorągwiom lekkim. Poczém w zamiarze zwarcia się wstępnym bojem z pogaństwem, sprowadził Sobieski swoje wojsko ze wzgórzy na płaszczyznę, i o sporą ćwierć mili pomknął się naprzeciw ordzie. Zaledwie to nastąpiło, oznajmiono królowi, iż na lewém skrzydle pod zamkiem wyższym, u przeprawy przez błota koło Zboisk, przyszło już do spotkania. Silnie tam od przemożniejszego wroga ciśnięte chorągwie poczęły się mieszać i cofać. W téj stanowczéj chwili wydał król hasło do boju na wszystkich punktach. Zwyczajem swoim przeżegnał i pobłogosławił pobożny Sobieski całe wojsko i z trzykrotnym okrzykiem: „Żyje Jezus!" na ustach, rzucił się w zastępy nieprzyjacielskie. Gwałtowne natarcie powstrzymało impet Tatarstwa i dozwoliło poprawić się chorągwiom na lewém skrzydle. Gdy jedne oddziały armii muzułmańskiéj z trudnością pasowały się z jazdą, innym oddziałom, chcącym przez wąwóz i parowy przyległe przedrzéć się w obóz królewski, celne pociski strzelców i ukrytéj w zaroślach piechoty, niezmierną czyniły szkodę. Z tym samym szczęśliwym skutkiem zagrzmiały także działa ze wzgórzy. Raźne wykonanie trafnie obmyślanych rozkazów, zrównoważyło nierówne siły walczących. Długo jednakże trwał bój; długo czekały zgromadzone w świątyniach miejskich rzesze, ażali nie nadejdzie wieść ocalenia. Z przed obrazu Matki Boskiéj w katedrze udała się królowa z ludem do kościoła jezuickiego, i upadła tam na kolana przed wizerunkiem św. Stanisława Kostki. Dopiéro

z zachodem słońca zabrzmiała wiadomość o wygranéj. Obawa, aby mrok wieczorny nie wsparł przeważnego nieprzyjaciela, natchnęła walczące rycerstwo polskie do ostatecznych wysileń. Złamany niém wróg, stracił ducha. Nim jeszcze owa mniemana husarya na wzgórzach świeży (jak myślano) przypuści szturm, wypadło myśleć o bezpieczeństwie; a równie nagle w odwrocie jak i w natarciu, pierzchnęło Tatarstwo w jednéj chwili na wszystkich punktach. O piérwszym cieniu nocnym nie było go na widokręgu. „Jakby widmo straszliwe, mówi jeden z spółczesnych, (1), zjawiła się ta ogromna armia w przeciągu kilku godzin przed oblężeniem miasta, i znikła." Tylko czerwieniejący zdala pożar Lisienic, Mikłaszowa, Kamieniopola, zapalonych przez ordę, dla utrudnienia pogoni, wskazywał płomienne ślady ucieczki.

Ciemność nocy przeszkodziła ścigać uciekających. Nie wiedziano zresztą z pewnością, czy nagła rozsypka tak przemocnego nieprzyjaciela nie była tylko zwyczajnym fortelem tatarskim, po którym on z podwójną wściekłością ponowi zamach. Nie wiedziano w ogólności, czy z samym jedynie Nureddynem, czy z całą armią Ibrahima i hana stoczono bitwę. W każdym razie zdało się niewątpliwą, że nazajutrz przyjdzie powtórzyć walkę. Dlatego kazał król pozostać wojsku przez noc na pobojowisku, a sam odjechał do obozu. Nie chciał nawet wrócić przedwcześnie do miasta, gdzie teraz w niebo-głosy brzmiały modły dziękczynne. Po Panu Bogu i królu dopomogli do zwycięztwa najwięcéj szwagier królewski hetman polny lit., książę Michał Radziwiłł, późniejszy wojewoda wołyński, a teraźniejszy podskarbi nadworny kor. Atanazy Miączyński, podkomorzy chełmiński i generał piechoty Krzysztof Korycki, wreszcie pułkownik Alexander Polanowski, i sławny kawaler maltański a późniéj kasztelan krakowski książę Hieronim Lubomirski. Jedno z owych dziwnych zwycięztw turecko-polskich, w których nieraz sama wrażliwość i przesądność fantazyi oryentalnéj, sam postrach imienia dowódzcy chrześciańskiego, decydowały o losie bitwy, kosztowała wygrana pod Lwo-

(1) Dalerac Anecdote de Pologne.

wem wcale niewiele ofiar. Nierównie większą stratę ponieśli zwyciężeni, zwłaszcza u przeprawy przez błota koło Zboisk. Nigdy jednakże nie wykryła się liczba poległych nieprzyjaciół, ponieważ Tatarzy swoim zwyczajem porwali wszystkich trupów ze sobą i spalili ich w drodze. Po całym gościńcu do Złoczowa i Pomarzan płonęły nocą te stosy pogrzebowe.

Dopiéro nazajutrz okazała się istotna wielkość wygranéj. Ranek 26 sierpnia ujrzał armią rozbitą, o 8 mil od Lwowa: jednéj nocy ubiegli Tatarzy tyle drogi z pod Lwowa, ile pierwéj przebyli w trzech dniach pod Lwów. Można z tego wnosić o wieściach, jakie z uciekającemi nadbiegły do obozu Ibrahima i hana. Przedstawiono króla polskiego panem ogromnéj armii, w zwycięzkim pochodzie naprzeciw Turkom. Przerażeni wodzowie obydwóch wojsk, kazali coprędzéj zwinąć namioty. Dla przyozdobienia odwrotu jakąkolwiek pomyślnością wojenną, postanowili Turcy w drodze ku Wołoszczyznie zdobyć zamek w Trębowli. Dowódzca tameczny Chrzanowski utrzymał się aż do przyobiecanéj odsieczy króla. Nie dał Sobieski czekać długo na siebie. W pięć tygodni po zwycięztwie pod Lwowem znalazł się wielki wojownik na czele 20,000 żołnierza, pościągnionego z bezpieczniejszych w téj chwili twierdz, i z tém wielkiém dla niego wojskiem pospieszył ścigać podwójną armią nieprzyjacielską, która do niedawna liczyła 180,000 ludzi. Dnia 6 października dowiedział się przerażony seraskir pod Trębowlą o nadciąganiu króla, a w kilka dni późniéj, po nagłém ustąpieniu Ibrahima popod Kamieniec za Dniestr, i podobnémże ujściu ordy, nie było już nieprzyjaciela na ziemi polskiéj.

Takim sposobem wygrana pod Lwowem rozstrzygnęła kampanią roku 1675. Z kampanią w r. 1675 spełzł na niczém jeden z owych gwałtownych szturmów, jakiemi Wschód od wieków uderzał w świat zachodni. Na owéj szeroko rozpostartéj płaszczyznie, po któréj codziennie spoglądamy z góry zamkowéj, odegrała się jedna z najheroiczniejszych scen, jakiemi Zachód opierał i oparł się tym szturmom. Miasto oswobodzone, kraj ocalony, całe chrześciaństwo zwycięzkim puklerzem zasłonione: oto pojedyncze rysy tego wielkiego wspomnienia historycznego, które jednak

z mniéj znanych wdzięków przyozdabia widok naszéj przechadzki. Patrząc na owe domki poblizkiéj wsi Zniesienia, które na prawo od łazienek Kisielki wznoszą się na wzgórzach i śród parowów, widzimy żywe pomniki odświeżonego tu dziś wypadku. Wieś Zniesienie, nazwana według wiadoméj tradycyi od zniesienia Tatarów w roku 1675, stanęła na jednym z najpamiętniejszych punktów téj bitwy. U spółczesnych, nie znających jeszcze Zniesienia, nazywa się ona bitwa pod wsią Lisienicami.

PAMIĘTNIKI

PRZEZ

Sabinę z G. G.

(Ciąg dalszy).

Krwawa trzydniowa olbrzymia walka pod Lipskiem zmusiła Francuzów do cofnięcia się za Ren. Przyszła znów chwila rozdziału naszéj rodaczki z mężem, który bojąc się narażać żonę na niebezpieczeństwo odwodu i cięższych z nieprzyjacielem utarczek, zdołał ją nakłonić do wyjazdu do Paryża. Przybywszy do téj stolicy w styczniu r. 1814, zastała tam matkę i dzieci, którzy spłoszeni z wiejskiéj swéj siedziby wieściami o zbliżających się ku granicy sprzymierzonych, czekali w Paryżu na jéj powrót. Wiadome są stanowcze owego czasu wypadki. Morand zawsze wierny obowiązkom i honorowi swojego oręża, okrywszy się sławą w czasie téj pamiętnéj kampanii, która ze wszystkich poprzednich najświetniéj może wojenny Napoleona gieniusz okazała, po jego abdykacyi w Fontainebleau, podał się do dymissyi. Burboni zawsze skwapliwi w pozbywaniu się świetnych imion cesarstwa, których się lękali, uwolnili go bez trudności, odebrawszy mu poprzednio wszystkie dochody do jego godności i orderów przywiązane. Generał udał się wraz z rodziną na stałe mieszkanie do Morand-Val, gdzie oddał się umysłowéj pracy i rolnemu gospodarstwu, które namiętnie lubił. Tamto po roku wypoczynku, po wojennych trudach zastała go wiadomość o wylądowaniu Napoleona z wyspy Elby, a prawie jednocześnie o wypadkach 19 i 20 marca w Paryżu. Morand bić się umiał za swój kraj, pragnął jego szczęścia, ale

uważając upadek cesarstwa jako fakt dokonany, nie należał on do stronnictwa, które korrespondencyą i różnemi skrytemi drogami przygotowało jego powrót. Wszakże wieść, że milion wojsk sprzymierzonych dąży znów ku granicy, oraz manifest powołujący starych żołnierzy do szeregów, znalazł go przygotowanym. Siedział on w swoim gabinecie cały zatopiony w wartowaniu komentarzy Cezara, ulubionego mu dzieła, gdy odebrał depeszę od generała Bertrand 21 marca datowaną, uwiadamiającą go o wszystkiém. Nagły w swoich postanowieniach kazał sobie podać swój mundur generalski, szpadę i gwiazdę legii honorowéj, zszedł na dół do pokoju żony z twarzą wypogodzoną, prawie wesołą, i prosił aby depeszę przeczytała. Biédna żona na widok męża w niezwykłym ubiorze i o niezwykłéj godzinie wchodzącego do jéj pokoju, instynktowo nową odgadła burzę. Z wstrętem podany papiér odsunęła, a spojrzawszy na niego, łzami się zalała. Generał kilkakrotnie przeszedł się w milczeniu po pokoju, poczém usiadłszy przy niéj, „więcéj się, rzecze, odwagi po tobie spodziewałem; wszak to nie piérwszy mój wyjazd, powinnaś być bardziéj z przeciwnościami oswojona.“ Pani Morand wziąwszy rękę męża serdecznie ją do piersi przycisnęła. „Mój drogi! przerywanym wyjęknęła głosem, z tym człowiekiem nie ma możliwego pokoju; ocalałeś r. 1809—1812, ale któż mi zaręczy, że to samo będzie i w obecnéj walce. Po raz drugi macie Europę przeciw sobie, Boże daj, aby nie na waszą zgubę. Czyż nie widzisz, że to akt drugi strasznego dramatu, jakby recydywa okropnéj na Francyą katastrofy, któréj ofiarą najpiękniejszy kwiat narodu paść może? Honor powołuje cię pod dawne sztandary, nie mogę, nie powinnam się sprzeciwiać twojemu odjazdowi; ale pozwól mi cierpieć: moje łzy ani tobie, ani nikomu nie wadzą.“ To mówiąc biédna żona zdjęła z szyi medalik Matki Boskiéj Częstochowskiéj, który od ślubu nigdy jéj nie opuszczał; a uczyniwszy nim znak krzyża św. na czole męża, zawiesiła mu go na szyi, wymogłszy od niego słowo, że go aż do końca wojny nosić będzie. Morand, jak większa liczba jego ziomków nie był z liczby pobożnych, nie zachowywał zewnętrznych religii przepisów, był jak wielu ludzi, coto w braku światła wiary i jéj ducha, lekceważą przykazania kościoła, więcéj z niewiadomości, jak ze złych chęci. Rzewna i szczera wszakże żony pobożność, rozrzewniała go i przekonywała. Nigdy się nie sprze-

ciwiał jéj obchodom i praktykom; jeżeli ich z nią nie dzielił, nigdy nie wyśmiewał, ani jéj w wykonywaniu ich nie przeszkadzał. W chwili zaś nowego z rodziną rozdziału, w obec nowych niebezpieczeństw i nowéj walki, jego dusza skłonniejsza niż kiedykolwiek była do zwrócenia się do Boga. Piérwszy raz w życiu przycisnął do ust medalik Częstochowski, i pocichu do niego modlić się począł; a czując, że widok cierpień żony może go potrzebnéj odwagi pozbawić, zadzwonił na służącego i kazał niezwłocznie czynić przygotowania do podróży. Generałowa pobiegła do dzieci, i przywiódłszy je do ojca, kazała im uklęknąć i prosić go o błogosławieństwo. Morand tegoż jeszcze wieczora wsiadł do powozu i pospieszył do Paryża. W trzy dni potém znalazł się na pokojach w Tuileries.

— Tak późno, generale—powiedział cesarz urażony, że go w dniu 20 marca w Paryżu nie widział.

— Dosyć wczas, Najjaśniejszy panie, abym do ostatniéj kropli krwi bronił ziemi francuzkiéj i dynastyi waszéj cesarskiéj mości.

Napoleon formując z szlachetniejszych niedobitków owego usłużnego senatu nową izbę parów, mianował hrabiego Morand jéj członkiem, i dał mu zlecenie do departamentów południowych, gdzie miał tworzyć korpus z nowo zaciągających się pod sztandary cesarstwa. Niebawem téż wyjechał na miejsce swojego przeznaczenia. Miał on trudną missyą przeszkodzenia intrygom rojalistowskim, a mianowicie zręcznym bardzo działaniom księżnéj Angoulême na południu; wydał nawet proklamacyą, w któréj trochę nieoględnie tę niedoszłą królową Francyi nazwał kobietą okrutną i podstępną (une femme cruelle et intrigante). Ta proklamacya stanowczo wpłynęła na losy generała i jego rodziny. Księżna Augoulême mająca w udziale mimo wielkich cnót chrześciańskich nieco natury drażliwéj i pamiętnéj uraz swéj matki, nie mogła zapomnieć tych wyrażeń krzywdzących i obelżywych. Byłto rzeczywiście błąd nie do darowania, jeżeli weźmiemy na uwagę, że ta, o któréj się tak generał wyraził, była kobietą i nieszczęśliwą; ale z drugiéj strony wiele trzeba przebaczyć, jużto osobistemu położeniu Moranda, znaglonego do energii i surowości; już téż ogólnemu usposobieniu stronnictw, będących w najwyższym stopniu rozdrażnienia. Wiadomo, jak ludność tych okolic źle była dla Bonapartystów uprzedzoną. Po bitwie pod Warterloo i powtórnéj abdykacyi

Napoleona w Elisée-Bourbon, Morand był w szczupłéj liczbie generałów pozostałych wiernych swojemu sztandarowi, tojest tych, co przeszli wraz z armią Loarę. Była to manifestacya nie do przebaczenia w oczach rozjuszonych rojalistów. Zwołano sąd wojenny i wskazano go na śmierć zaocznie. Pani Morand pozyskawszy audyencyą u Cesarza Alexandra, wyjednała dla swojego męża pozwolenie zamieszkania w Królestwie Polskiém. Wiadomo, że ten monarcha nie pochwalał działań rojalistów po drugiéj restauracyi, mianowicie téż stronnictwa *ultra*, które mieniąc się być więcéj rojalistowskiem jak sam król, z natury umiarkowany i doskonały polityk, usiłowało w interesie dynastyi krępować jego władzę i działania, które zgubnemi dla niéj być uznawało. Generał Morand za rossyjskim paszportem wyjechał z rodziną do Polski, gdzie z czcią i współczuciem od narodu i rodziny żony przyjęty, kupił wieś Kawenczyn w powiecie szydłowskim, w b. województwie krakowskiém położoną.

W późniejszym czasie za wstawiennictwem hrabiego Pozzo-di-Borgo, ambasadora rossyjskiego w Paryżu, wydano mu z kraju jego przepyszną bibliotekę, mappy i narzędzia matematyczne, które w jego wiejskiém odosobnieniu od ludzi i świata były wielką dla niego rozrywką i pomocą. Generał miał, jak to wyżéj powiedziałam, wielkie upodobanie w rolnictwie, ale tu nie znając języka, wielką w zastosowaniu swoich teoryi znajdował trudność. Domek w Kawenczynie, drewniany, pod strzechą, zbudowany na sposób licznych ówczasowych wiejskich dworów, coto zaledwie mieściły po jednéj i drugiéj stronie sieni wchodowéj cztery duże izby wewnątrz tylko pobielone, z sufitem belkowanym, nie był w stanie pomieścić biblioteki, co zmusiło generała do przybudowania dwóch jeszcze pokoi. W tym stanie byłby dostateczny dla kogoś, coby się nigdy z granic wioski swojéj nie wychylił, dla ale dawnych mieszkańców wspaniałych pokoi przy ulicy Rivoli zdał się prawdziwą ślimaczą jamą. Tu znów przyszło im w pomoc usposobienie pełne rezygnacyi ale i poświęcenia generałowéj. Pracą i rządnością starała się wynagrodzić mężowi brak wygód i przyjemności życia. Z twarzą swobodną i wypogodzoną, jakby się była pod strzechą wychowała, widziano ją odgadującą myśli męża i usiłującą zastąpić pracą i pamięcią swoją brak wielu rzeczy, do których od dzieciństwa nawykł, a których w Kawenczynie mieć nie mógł.

Generał skazany na śmierć stracił nietylko swoję donacyą w Badeńskiém, ale cały dziedziczny majątek; a co zdołał uratować mogło wynosić około 50,000 franków. Za tę summę zrealizowaną na polską monetę, kupił wieś Kawenczyn, którego dochód był jedynym funduszem utrzymania dla jego licznéj rodziny. Przy tak szczupłych materyalnych zasobach, niepodobna im było zimować w Krakowie, do którego tylko rzadkie i krótkie wycieczki robili. Do Warszawy generał raz tylko jeździł, a to w r. 1818, aby wyjednać u bawiącego tam w czasie piérwszego sejmu Cesarza Alexandra, wstawienie się u Burbonów, a raczéj ich ministrów, aby powrót do Francyi był mu dozwolony. Doznał on u Cesarza jak zwykle najłaskawszego przyjęcia, i obiecaną pomoc w spełnieniu jego gorących życzeń, bo jakkolwiek miłą mu była ojczyzna żony, niemniéj tęsknił za swoją piękną Francyą.

W oczekiwaniu błogiéj chwili powrotu do ojczyzny, generał zajął się gruntownem rozpoznaniem swojéj wioski. Że to była leśna okolica, a las dębowy w Kawenczynie, w stosunku dóbr był znacznéj objętości i dla taniości drzewa nie czynił żadnego dochodu; generał chwycił się spekulacyi: kazał wybić 50,000 klepek, których nigdy sprzedać nie mógł, gdyż ceny ofiarowane mu przez miejscowych kupców zdawały się za nizkie, w stosunku do cen francuzkich. Tym sposobem towar się psuł, klepki gniły dla braku stosownego użycia. Biédny właściciel wyjechał do Francyi w illuzyi, że majątek na nich zrobi. Nie mogąc mimo całéj do Polaków przychylności nauczyć się ich języka, *klepki* był jedyny wyraz polski, który pamiętał. W listach które już z Francyi pisywał do mojego ojca, niezmiennie znajdował się ten frazes: *qu'a-t-on fait de mes klepki?*... W czasie czteroletniego pobytu w Kawenczynie, kilkakrotnie probował uczyć się po polsku, ale mu jakoś nauka szła jak po grudzie. Nie było nic bardziéj komicznego, jak jego polskie wyrażenia. Gdy chciał np. zmieniać grubą monetę na zdawkową, wołał służącego i zalecał mu *pojechać na dół na sklep i nosić od niego małe dzieci od wielkich pieniądzów.* Bywało, że lokaj zrozumieć nie mógł tak oryginalnego frazesu; pan jego wyzionąwszy poprawną lubo obozową francuzczyzną litanią energicznych wyrazów, wypchnął go za drzwi, a sam zbiegł na dół, gdzie znów podobna téj scena powtórzyła się z kupcem lub jego subjektem. Żona, która nie mogła znieść w takich

wypadkach lekkiego nawet uśmiechu ze strony obecnych, zapobiegała im zwykłą kobiecą zręcznością i przebiegłością. Nie zawsze jéj się ta dyplomacya udawała, zwłaszcza na wsi, gdzie podobne sceny często się powtarzały przy wieczornych dyspozycyach pańszczyznianych, tego koniecznego i nieuniknionego epizodu stosunków pana z oficyalistami i włodarzami. Na te urzędowe sessye generał przywdziewał zwyczajnie frak ze złotą sprzączką, wyrażającą w zdrobnieniu kilka orderów, któremi był ozdobiony, i tak ubrany przechodził z biblioteki do jadalnego pokoju, gdzie oficyaliści na niego czekali. Zagajał zwykle posiedzenia grzecznym „*topry wieszór*," następnie dysponował robotami w sposób mogący być praktycznym we Francyi, ale który u nas był najkompletniéj niemożliwym. Z początku narada szła tonem dość łagodnym i spokojnym, w miarę jednak jak przybywało generałowi gospodarskich konceptów, a ubywało domyślności słuchającemu go ekonomowi, przybierała charakter coraz głośniejszy i burzliwszéj dyskusyi. W końcu, gdy generałowéj, która prawie zawsze brała na siebie urząd dragomana, tchu zabrakło, a mąż jéj począł plany swoje po swojemu, tojest w rodowitéj mowie wykładać, biédny ekonom bladł, czerwieniał, w głowę zachodził, usiłując myśli pana odgadnąć, co fizyonomii jego nie dawało wyrazu sprytu i pewności siebie, a panu jego cierpliwości i zimnéj krwi. Biédny generał jak mógł hamował wybuchy swojéj południowéj żywości, powtarzał nieustannie „*rosumie pan?*" wkońcu nie mogąc już wstrzymać duszącéj go niecierpliwości, zawołał w uniesieniu „*pan osiol, pan drzewo*," co odpowiadało francuzkiemu wyrażeniu: *Monsieur, Vous etes un âne, Monsieur, Vous etes une bûche*, a otworzywszy gwałtownie drzwi wołał całym pełnym głosem: „*proszę pan prędko.*" Te sceny prawie codzienne, nie zniechęcały oficyalistów i ludzi służących, którzy doskonale płaceni i żywieni, tojest jak się ich płaci i żywi na Zachodzie, do oryginalności pana przywykli, a z czasem stali się nawet na nie obojętnymi, wynagradzając sobie szerokiém rozpowiadaniem przed przyjaciołmi i krewnemi, piérwszych chwil trwogi i przymusu. Generał sprzykrzywszy sobie komendę nad ludźmi, którzy mowy jego nie rozumieli, coraz mniéj mieszał się do gospodarstwa, a z tym większym zapałem oddał się czytaniu i wartowaniu książek treści strategicznéj, i układaniu obszernego dzieła o inżynieryi, które

później w Paryżu wydał. Cierpiał on czasami na oczy; posługę lektora i sekretarza oddawała mu żona, dla której, jak się można domyślić, dzieła tego rodzaju nie były arcy-powabnemi. Tę drobną okoliczność Morand zwykł był spostrzegać dopiéro koło jedénastéj wieczorem po całodziennem prawie słuchaniu, co spowodowywało, że zamknął książkę, pocałował żonę w czoło, mówiąc: „*maintenant quelque chose pour Emilie*," i wyjął z szafy tom którego z klassyków francuzkich, i znów do drugiéj lub trzeciéj godziny po północy czytać jéj kazał. Generałowa była z natury żywa, a nawet, jak wszyscy ludzie uczuciowi nieco gwałtowna i drażliwa: lubiła zwyczajem młodych i ładnych kobiét świat, gdzie tyle doznała powodzenia; poddała się wszakże temu życiu trosk i zupełnéj abnegacyi własnych upodobań, li przez głęboko pojęte uczucie obowiązku i położenia swojego. Święta wiara nasza tak żywe rzucająca światło na drogi godziwe i niegodziwe, pewne wskazała jéj obowiązki, od których nie odstąpiła. Niech czytelnik nie myśli, że ja pod pozorem epizodu w pamiętnikach, tworzę tu jakiś ideał kobiety w mojéj tylko wyobraźni istniejącéj. Po dziśdzień żyją jeszcze w Krakowie, a nawet i w Warszawie osoby, które kiedyś dobrze znały tę rodzinę: niech więc zaświadczą, że tu nie ma ani jednego szczegółu, któryby nie był rzeczywistą i wcale nieprzesadzoną prawdą. Mam w ręku listy pani Morand i jéj męża do ojca mojego pisane, które kiedyś w końcu tych pamiętników będą umieszczone; te przekonają czytelnika o sercu pełném wylania dla swoich, miłości dla kraju i poświęcenia dla męża téj niepospolitéj kobiety. W wielkich burzach jak w najdrobniejszych szczegółach zwyczajnego życia starała go się zawsze otaczać miłemi mu przedmiotami. W Kawenczynie, gdzie prawie nikogo nie widywała, ubierała się w suknie i kolory, które najbardziéj lubił, uczyła się i grywała na fortepianie jego najulubieńsze sztuki, pomagała mu w układaniu i porządkowaniu jego mapp, narzędzi i książek, rany które mu się często otwierały własną opatrywała ręką, nie dając się zastąpić w tym pobożnym uczynku nikomu, nawet chirurgowi. Mąż tak był nawykł do jéj pomocy i starań, że nie znosił choćby chwilowego jéj oddalenia. Zdawało się na pozór, że jéj ciągłą koło siebie krętaninę, przyjmował z obojętnością jako daninę mu przynależną; były wszakże chwile, w których objawiał czułą dla niéj wdzięczność i uwielbienie. „*Mon Emilie est un ange*, pisywał do mojego ojca, *que ne puis-je lui*

donner une position digne d'elle!..." Tak mijał rok za rokiem dla naszych wygnańców w zaciszy domowego życia, i na łonie kochającéj ich rodziny. Pani Morand otoczona swojemi nie tęskniła za światem, ani za jego mamoną. Skromny domek w Kawenczynie, towarzystwo matki i czworga dzieci, które dał Pan Bóg, wystarczało jéj szczęściu. Generał nie czuł się tyle swobodnym. Pamięć utraconego i tyle świetnego położenia, jakie w swoim kraju zajmował, wywoływała często smutek w jego duszy, i na humór jego źle wpływała; do tego wewnętrznego uczucia goryczy, przyczyniała się tęsknota za ojczyzną, owe *mal du pais*, które tylko ci czuć i zdefiniować mogą, co go kiedyś doznawali. Morand nie przestawał czynić starań celem uzyskania pozwolenia powrotu do Francyi. Powiedziałam wyżéj, że w czasie wyjazdu jego do Polski, reakcya pewnéj fakcyi narodu na korzyść Burbonów objawiła się w wyborach do izby r. 1815, którą z ultrarojalistowskiego usposobienia *chambre ardente* nazwano. Stronnictwo, które kierowało tém zgromadzeniem, tym śmielsze, że brata królewskiego miało na czele, nie znalazło Ludwika dość silnym w duchu jego działaczem, a nawet nie wahało się zarzucać mu zbyt liberalnych dążności. Monarcha ten sprzykrzywszy sobie jego intrygi, dążące do obalenia konstytucyi, oddalił ze swojego ministeryum hrabiego Blacas, z znanego reakcyjnych opinii, a powołał na prezesa rady księcia Richelieu, człowieka wyobrażeń pojednawczych i umiarkowanych, a po nim słynnego w owym czasie ministra Decazes, którego łaska królewska i osobiste niepospolite zdolności na ten stopień wyniosły. Pod wpływem tych dwóch ministrów i za wstawiennictwem hrabiego Pozzo-di-Borgo, Morand miał sobie uchyloną karę śmierci i pozwolenie powrotu do kraju. Przed wyjazdem z Polski ogłosił licytacyą na bibliotekę i niektóre przedmioty sztuki. W owym czasie zamiłowanie w literaturze nie było tak pospolitém u nas jak z postępem nauk być się okazało, szczególnie w wyższych i średnich sferach naszego społeczeństwa. Mało kto, o ile zapamiętać mogę, książki skupował, a jeżeli to czynił, to bez pracy i wyboru. Nie dziw więc, że biblioteka Moranda nie znalazła amatora, i że tylko częściowo sprzedaną być mogła i to napół darmo. Pamiętam, że 48 tomów grubych in 4to, sprzedano za złp. 200 niespełna. Było to kompletne dzieło Encyklopedyi, na które składali się wszyscy uczeni francuzcy XVIII wieku, wychodzące kiedyś czę-

ściowo pod firmą Diderot'a, d'Alamberta i innych. Lepiéj się udało generałowéj, która kilkanaście kosztownych szalów, wiele bardzo złotych i srebrnych tkanin i materyi, w samym Krakowie za bajaczne spieniężyła summy. Tak wiele było pretendentów do tych skarbów mody i fantazyi, że na własne oczy widziałam niektóre panie gorącemi zalewające się łzami, dlatego, że ich mężowie niezbyt skwapliwie dostarczyli im pieniędzy do ich nabycia. Morandowie ukończywszy niezbędne przed wyjazdem interesa, wyjazd swój na dzień 1 kwietnia r. 1819 naznaczyli; wszakże nadchodząca Wielkanoc termin ten o parę tygodni spóźniła. Sam generał tak dalece polubił nieznane we Francyi obchody wielkopiątkowe, i patryarchalny zwyczaj jajka wielkanocnego, że oświadczył żonie, iż nadchodzące święta pragnie jeszcze w Polsce przepędzić, mianowicie w Krakowie, gdzie mnogość kościołów i domów staropolskich tak świetnym ten dawny ojców naszych zwyczaj czyni. Późniéj będąc już w kraju swoim nigdy go nie zaniedbywał. Już po roku 1830 ziomkowie nasi będący w Paryżu zgromadzali się na jajko święcone w domu Morandów, gdzie cały przybór świąteczny z wszelką polską akuratnością na stołach rozłożony zastali.

W dniu 20 kwietnia r. 1819 Morandowie nazawsze wyjechali z Polski udając się na Wiedeń wprost do Paryża. Generałowa drugi raz opuszczała rodzinną ziemię, i to już nazawsze: każdy téż jéj krok po niéj był bolesném pożegnaniem, to z krewnym, to z przyjacielem. Rzewne było także jéj rozstanie z chłopkami kawenczyńskiemi, dla których była żyjącą na ziemi Opatrznością, a cóż dopiéro z matką i dwojgiem dzieci, które na czas jakiś w kraju zostawiała. Pożegnanie bez bliskiéj nadziei widzenia, nie jestże rzeczywistą śmiercią?... Nasi podróżni zabrali z sobą dwoje dzieci starszych, Napoleona, chrzestnego syna b. cesarza, przy wyjeździe do Francyi Leonem przezwanego, i Elizę moją rówiennicę, córkę chrzestną Elizy Bonaparte wielkiéj księżnéj toskańskiéj. Po odjeździe córki, pani Kajetanowa Parysowa zamieszkała z wnukami w Kawenczynie, gdzie miała od dzierżawcy wymówiony dom z ogrodem. Alfons starszy, krótki czas zabawiwszy przy babce, odwieziony został do moich rodziców dla pobierania nauk z moim bratem o kilka lat tylko od niego starszym. Emil młodszy pozostał w Kawenczynie, zkąd częste z babką czynił wycieczki do nas, dla odwiedzania brata. Śliczne to było

dziecko z długiemi kręcącemi się w pierścienie ciemnemi włosami, i dużemi czarnemi wyrazistemi oczami. Ponieważ od urodzenia liczył się w gwardyi, ubierano go zwykle w mundur grenadyerski granatowy z ponsowemi wyłogami i podoficerskiemi galonkami, z dodatkiem ogromnéj bermycy, literalnie większéj od niego. W tém ubraniu mustrował się laską mojego ojca, która zastępowała karabin, sam sobie komenderując po francuzku. Mógł mieć w owym czasie lat 6. Dziś oba bracia nie żyją. Alfons oddany po przyjeździe do Francyi do szkoły marynarki, wszedł w służbę, i w stopniu chorążego okrętowego zginął w Algierze; Emil w rok po wyjeździe z Polski życie zakończył. Morandowie przybywszy w końcu maja roku 1819 do Paryża, bardzo zimnego, prawie niechętnego ze strony rojalistów doznali przyjęcia. Gdy się generał pokazał w Tuileries na tak zwane *lever*, ogólnie od niego stroniono, tak, że wśród tych ludnych salonów znalazł się opuszczonym i samotnym jak na pustyni Sahara. Król słowa do niego nie przemówił: widocznie mu dano do zrozumienia, że powrót jego był raczéj ustąpieniem na wstawienie się posłów mocarstw sprzymierzonych, ale nie ułaskawieniem. Uprzedzono panią Morand, że wszelkie staranie się o audyencyą u księżnéj d'Angoulême najgorzéj byłoby widziane. Nie oddano jéj mężowi ani krzesła w izbie parów, ani stopni i godności wojskowych. Morandowie lato następujące i zimę przepędzili w Paryżu, gdzie mimo niełaski u dworu, doskonale się bawili. Z powodu ich politycznego stanowiska i mimo przeważającego wpływu zawsze na nich łaskawéj pani Tyszkiewiczowéj, salony w Faubourg St. Germain tą razą zamkniętemi dla nich zostały, ale za to uprzejmego doznali przyjęcia od połączonych stronnictw bonapartystowskiego i liberalnego, które od téj chwili do roku 1830 wspólną połączyły się oppozycyą. U pani Tyszkiewiczowéj spotykali towarzystwo różnych politycznych odcieni. Tam się zgromadzali kolejno członkowie upadłego rządu, znakomitości rojalistowskiego przedmieścia, jaśniejącego podwójnym tryumfem: stałéj wierności dla swych opinii i zupełném ich zwycięztwem; reprezentant młodéj Francyi liberalnéj Foi, Manuel, Odillon-Barrot, nakoniec owa słynna córka Neckera, świetniejąca blaskiem wielkiego w literaturze i polityce imienia, oraz ambasadorowie, deputowani, artyści i literaci. Książę Talleyrand, jeden z najczęstszych gości pani Tyszkiewiczowéj, obiado-

wał u niéj raz na tydzień. Salonowy dowcip tego twórcy dynastyi z roku 1814, jak wiadomo w niczém nie ustępował politycznéj zręczności. Mam pod ręką list generałowéj Morand do mojéj matki pod dniem 20 stycznia roku 1820 pisany, gdzie opisuje swoje piérwsze spotkanie się z księciem Benewentu na obiedzie u pani Tyszkiewiczowéj. Była to chwila nieukontentowania księcia z króla i dworu, którzy mimo jego zasług dla staréj dynastyi dość go się zręcznie, jak wiadomo, pozbyli, i zdala od interesów trzymali.

Tegoż dnia, jak się to zdarzało w piérwszych latach po drugiéj restauracyi, posiedzenie w izbie parów było nader burzliwe. Czekano na księcia z obiadem do godziny 8éj. Gospodyni trochę zniecierpliwiona spóźnieniem niezwyczajném godziny obiadowéj, posyłała posłańca za posłańcem do pałacu księcia i zawsze odpowiadał jego kamerdyner, że książę jest na sessyi w pałacu luxemburskim. Kiedy zgłodniali goście w dość kwaśnych humorach godziny oczekiwania wynagradzali sobie poprawianiem ognia na kominku; zatętniała na bruku ciężka księcia kareta, i usłyszano niebawem w przedpokoju wolne i niepewne stąpanie utykającego na nogę ex-biskupa.

— Ach mój książę — zawołała pani Tyszkiewiczowa — czyż godziło się nas tak długo wytrzymywać.

— *Ne m'en parlez pas* — odpowié delikwent — wszakże to te rzeźniki na śmierć mnie znudzili. Widzisz pani przed sobą człowieka napół umarłego; kłócili się 8 godzin o jakieś tam słowo do króla w adresie.

— Dobrze wam tak — rzecze śmiejąc się gospodyni domu — odstrychnęliście od narad politycznych kobiéty, które i w sali posiedzeń nauczyłyby was grzeczności.

— Pani hrabino — odpowié swoim tonem wolnym i niby niedbałym a trochę sarkastycznym Taillerand — dobrzeby było pod każdym względem, abyście wraz z nami o poblicznem dobru radziły, ale jest potemu przeszkoda, którejbyście same nigdy usunąć nie chciały.

— Jakażto ma być przeszkoda?

— Bardzo prosta, oto żadna z was nie ma prawem przepisanéj liczby lat do zasiadania w izbie parów.

Na tak trafną i ze wszech miar loiczną odpowiedź nie było nic do zarzucenia, i rozmowa skończyła się na śmiechu i wesołéj pogadance, któréj tajemnice posiadają tylko Francuzi, i Polacy dobrego i starannego wychowania.

Téj zimy bawiła także w Paryżu znana z przygód dość burzliwego życia pani C..... zbierająca także liczne, lubo mniéj dobrane u siebie towarzystwo raz na tydzień. Ogólne téj pani postępowanie, jéj powierzchowność i sposób wyrażania się nie mogły przypaść pani Morand do smaku; ale pani C..... była Polką, a jak wiadomo, Polacy za granicą bez względu na osobiste zdania i prowadzenie się, łączą się w jednolitą rodzinę, jeżeli namiętności polityczne tych pięknych uczuć braterstwa nieszczęśliwie nie niszczą. Generałowa, która w kraju będąc, unikałaby wszelkiego z tą kobiétą zbliżenia, w Paryżu kilka razy przyjęła jéj zaproszenie, w nadziei spotkania się u niéj z którym z ziomków, co było zawsze dla niéj najmilszą niespodzianką. Otóż na jedném z tygodniowych zebrań u pani C..... zdarzyła się naszéj rodaczce przygoda, doskonale malująca rozrzucone i nieco gorączkowe życie olbrzymiéj stolicy. Była ona o lat dwadzieścia młodszą od swojego męża, mogła miéć w owym czasie lat 26, a młodziéj jeszcze nad swój wiek wyglądała: do tego ubrana była z właściwą sobie świeżością i gustem. Gdy weszła do salonu, jak zwykle, powszechną na siebie zwróciła uwagę.

W liczbie najgłośniejszych jéj chwalców znajdował się jeden lord angielski, którego nazwiska listy ówczasowe nie wymieniają, a który z Albiońską powagą i flegmą chodził za generałową, widocznie dając oznaki swojego uwielbienia. Mąż grą zajęty długo się w salonie nie pokazywał, i dopiéro po skończonych trzech robrach wiska kilka słów z żoną zamienił. Mylord spostrzegłszy ich rozmowę, pewny, że ta śliczna osoba jest jego córką, zapragnął się bliżéj z generałem zapoznać, co też natychmiast uczynił za pośrednictwem gospodyni domu. Po piérwszych wzajemnych ukłonach dość obojętnych ze strony Moranda, który od czasu klęski pod Waterloo miewał czasami niezmyślon̨ą ochotę wszystkich Anglików wystrzelać, nasz albiończyk usiadłszy obok, zawiązał następującą rozmowę: „*Mon general, Vous etre le plus heureux des pères, elle plait beaucoup à moi*". „*Pardonnez-moi Mylord, je n'ai pas entendu*"... „*Je dis moi, que vous avez une fille fort gentille.*" *Ma fille?... Elle est au Sacré-coeur.* „*Pas savoir moi si elle avoir bon coeur, elle etre jolie*". „*Mylord, je ne Vous comprends.*" „*Que diable! je parle franché, et moi soutenir que Votre fille qui danse làbà avec ce Musier à moustaches, elle etre jolie.* Generał

spostrzegłszy omyłkę i ucieszony mistyfikacyą, którą rad był przedłużyć, nic nie odpowiedział, tylko kiwał głową jak żydowski rabin, niby dziękując.

Mylord zadowolony oświadczył chęć oddania wizyty; generał dał mu w milczeniu swoją kartę i na tém się ich piérwsze skończyło poznanie. Na drugi dzień o godzinie drugiéj z południa, zajeżdża przed dom biały dwupiętrowy przy placu św. Ludwika, gdzie mieszkali Morandowie, jednokonny karykiel naszego Anglika, powożony przez *grooma* o tyle zwinnego i fertycznego, o ile pan jego był ciężki i opasły. Przebiegłszy wschody szybkim bardzo pędem *groom* zadzwonił do mieszkania generała i zameldował otwierającemu służącemu, że pan jego prosi o chwilę rozmowy w interesie zwłoki nie cierpiącym. Morand przyjął gościa w swoim gabinecie.

Mylord nienawykły mierzyć przestrzeni drugiego piętra, wysapawszy się, opowiedział powód swoich odwiedzin. *Moi etre garçon*, rzecze, *je peux tout faire ce que moi vouloir, moi n'avoir ni père ni mère*". „*C'est sans doute un grand malheur Mylord, mais en quoi puis-je Vous être utile?*".... „*Patience, patience, moi Vous dire cela. Moi avoir un grand maison, moi ménnuyer tout seul; il me faut un femme pour recevoir mes amis les wigs. Votre fille est gentille, elle me couvenir fort bien, Vous la donner à moi pour femme, moi lui donner cinquante mille livres sterlings pour épeingles*". „*Mylord, Vous lui faites beaucoup d'honneur assurément, je vais la faire appeler, et Vous voudrez bien repeter devant Elle ce que vous me dites la.*" „*Jes, jes.*" Generał, który na chwilę nie stracił swéj poważnéj fizyonomii, zadzwonił i wchodzącemu służącemu dał pocichu zlecenie poprosić pani do siebie. W kilka minut weszła generałowa, jeszcze piękniejsza w swoim rannym stroju pełnym świeżości i wdzięku. Mąż jéj zaprezentował improwizowanego aspiranta, oświadczając cel jego przybycia i nader świetną propozycyą. Pani Morand ledwie mogąc wstrzymać duszący śmiech, bardzo grzecznie podziękowała Anglikowi za jego dobre dla niéj chęci, dodawszy te słowa: „*Mylord, il y a une petite difficulté*". „*Ah mademoisselle, n'en avoir pas pour mon amour.*" „*Si, si. il y en a une ce que... ce que je suis mariée et j'aurai l'honneur de Vous presenter mon mari.*" „*Pas possible. Moi pas comprendre Vous*". „*Oui Mylord, je Vous offre ma fille agée de neuf ans comme*

gage de ma reconnaissance, si Vous voulez bien attendre six ans encore, je Vous la donne." „*Non, non, elle etre un enfant moi ne vouloir pas cela*". To mówiąc Anglik rozgniewany na siebie, nie czekając dłużéj wyniósł się z gabinetu, zostawiwszy generalstwo nadzwyczajnie tą przygodą rozweselonych. Biédny adorator wsiadł do karykla, wrócił do swojego hotelu, i tejże nocy dla konsolacyi wyjechał do Włoch. Na wiosnę pp. Morandowie opuścili Paryż udając się na stałe zamieszkanie do Morand-Val, które mu przecież ministeryum zwróciło nie bez wielkich trudności. Generał, którego mania spekulacyi nigdy nie opuszczała, zamierzył był zaprowadzić u siebie różne ulepszenia, a mianowicie gorzelnią na sposób polski, mającą fabrykować polską wódkę. Dawał za powód tego nowego zupełnie we Francyi pomysłu, że w czasie bytności swojéj w Polsce uważał, że Francuzi rozpijali się na polskiéj wódce, z czego wnosił, że powinna miéć wielki we Francyi odbyt. W tym celu pisał do mojego ojca list z usilną prośbą, aby mu przysłał żyda gorzelanego, gdyż w owym jeszcze czasie żydzi prawie wyłącznie zajmowali się u nas paleniem wódki. Nie pamiętam już czy stało się zadość żądaniu generała, wiem tylko, że dnia jednego w mojéj obecności ojciec dał zlecenie rządzcy swojego majątku, aby mu takiego fabrykanta wyszukał: co się daléj stało, nie wiem.

W r. 1823 dopiéro pani Kajetanowa Parysowa mogła z wnukami wyjechać do Francyi, po ostatecznem uregulowaniu interesów w Polsce. Kawenczyn sprzedany został, nadto wyjednano u namiestnika Zajączka pozwolenie wywiezienia jego waluty w srebrze za granicę. Bolesne było rozstanie się Alfonsa Morand z naszą rodziną. Wychowany wśród nas, lubił nas z całém wylaniem kochającego serca i dał tego dowód w roku 1834. Będąc jeszcze z nami bawiał się często z moją młodszą siostrą, którą zawsze nazywał *sa petite femme*, małą swoją żoną. Pamięć o niéj długo w sercu zachował, i gdy kończył dwudziesty drugi rok życia, oświadczył rodzicom, że nie chce miec innéj żony.

W skutku tak stanowczego zamiaru syna, pp. Morandowie napisali do mojego ojca list z propozycyą małżeństwa, która z wielkim żalem ojca przyjętą być nie mogła, gdyż moja siostra w owym czasie (1834) zaręczoną już była dzisiejszemu swojemu mężowi W..... Morandowie pozostali na wsi

do rewolucyi lipcowéj; zmiany, które wypadek ten wywołały, spowodowały powrót generała do izby parów i przywrócenie go do wszystkich wojskowych godności, jakie przez restauracyą utracił. Od roku 1835, w którym mój najlepszy ojciec umarł, nie miałam już żadnéj z rodziną Morandów kommunikacyi. Wiem tylko, że generał umarł niedługo po nim. Mam pod ręką kolekcyą listów obojga Morandów do moich rodziców i kilka ich córki Elizy do mnie, między innemi jeden, kiedyśmy obie miały po ośm lat życia. Bardzo mnie ucieszył, gdyż to był piérwszy list, który z Paryża odbierałam: łatwo się domyślić, jak się nim przed wszystkiemi znajomemi chwaliłam. Dziś Eliza jest Siostrą Miłosierdzia w jednym z zakładów na prowincyi. zawsze ona okazywała pociąg do duchownego stanu. Na zakończenie historyi Emilii Morand muszę tu podać w przypisku wyjątek z jéj listu do mojego ojca, z powodu śmierci matki mojéj pisanego. Znajdzie tam czytelnik (1) tę samę gorącość uczuć, które w téj pięknéj duszy miał sposobność poznać, i tę tęsknotę za krajem, ten tajony smutek, który jéj nigdy nie opuszczał.

W roku 1816 przebywali w Krakowie państwo Mokro..... znani z wielu względów w kraju naszym i za granicą. Generał nieuleczoném kalectwem nawiedziony rzadko u siebie przyjmował, rzadziéj jeszcze wyjeżdżał, żonę zaś jego i córkę Antoninę (nieżyjącą dziś Her..... Po.....) często bardzo w dzieciństwie mojém widywałam.

Generał M.....i, karyerę swą wojskową zaczął, służąc za Ludwika XV w gwardyi francuzkiéj (gardes-françaises), jak to czyniło wówczas wielu Polaków, chcących się kształcić u obcych w sztuce wojennéj, aby wszelkie nieznane u nas ulepszenia za-

(1) Eh moi que puis-je Vous dire de plus?... Tout ce que le général Vous ecrit, n'exprime encore que très faiblement nos regrets. Nous sentons cette perte et par rapport à Vous et Vos enfants, et par rapport à notre attachement à cet être angélique qui sans doute de nous tous est le moins à pleindre. Combien je voudrais me mettre à sa place et vous la rendre! Elle jouirait de la vie car elle a toujours été heureuse, tandis que moi, l'idee de savoir ma pauvre mère malheureuse suffirait pour empoisonner une existence mille fois plus heureuse que ne l'a jamais été la mienne. Mais ni moi ni Vous, nous ne pouvous changer notre destinée, il faut nous resigner aux decrets de la Providance et vivre pour les êtres chéris qui ont besoin de nous, e, c, t, r.

Emilie Morand.

Morand-Val près Pontarlier
Dment du Doubs.
ce 26 Juin 1823.

prowadzić do formujących się regularnych pułków wojska Rzeczypospolitéj.

M....., jeden z najdzielniejszych ludzi swojego czasu, należał późniéj do stronnictwa Ignacego Potockiego i wraz z nim kraj r. 1794 opuścił. Po powrocie z Francyi, czas jakiś w Puławach przebywał w gronie innéj młodzieży, któréj imiona późniéj świetnie zabłysły na kartach ówczesnych dziejów, jak J. U. N..... Karpiński, Feliński, Kropiński, Woronicz, a przed niemi wszystkiemi T.... K....., a którą bardzo lubił otaczać się ówczasowy przyjaciel ludzkości, a szczególnie młodych poczynających w każdym zawodzie talentów, książę Adam Czartoryski generał Ziem Podolskich. M..... jak to powiedziałam, ulegał bardzo przykremu i dolegliwemu kalectwu, którego powód zasługuje na pełne czci i uwielbienia wspomnienie, mianowicie téż w współczesnych pamiętnikach.

W czasie jednego z owych wypadków stanowczo wpływających na losy narodów, M..... ciężką złożony niemocą, przebywał w Warszawie. Dnia jednego po długich całonocnych męczarniach i bezsenności, udało się lekarzowi przysposobić choremu kilka chwil wypoczynku. Kiedy wszystko koło niego pogrążone jest w najgłębszém milczeniu, a otaczający jego łoże boleści zatykali w sobie dech, aby nim nie przerwać choremu tyle upragnionego snu, nagle rozlega się odgłos trąbki pocztarskiéj, i słychać w sieniach ciężki i hałaśliwy chód obcego nieświadomego miejscowych przygód przybysza. Jestto sztafeta z Krakowa wysłana do generała z uwiadomieniem o bardzo ważnym zaszłym wypadku. M..... nagle przebudzony każe sobie podać expedycyą, przebiega z uwagą i w miarę jak się w niéj rozczytuje, nagła w nim robi się zmiana. Oko przed chwilą napół martwe nowym zajaśniało blaskiem, twarz trupiéj bladości, pożółkła i schudzona, policzki wysuszone i wklęsłe oblekły się rumieńcem: na całém obliczu jakiś mieszany wyraz radości i energii zawitał. Raptem napół podnosi się z łoża, dzwoni i rozkazuje wchodzącemu do pokoju służącemu przywołać natychmiast lekarza, który spoczywał w przyległym pokoju, i niebawem nadszedł.

— Konsyliarzu—rzecze chory zmienionym jeszcze, ale dość silnym głosem—konsyliarzu, czém najłatwiéj zgubić podagrę?

— Generale, na nią nie ma innego lekarstwa tylko czas, dieta i cierpliwość.

— Jakto, nie macie w medycynie środka przynajmniéj chwilowo z podagry wyleczającego?

— Byłby może, ale trzebaby go okupić okropném całego życia kalectwem.

— Jakiém to przecie?

— Epilepsyą.

— A zatém jest lekarstwo na podagrę?

— Nie lekarstwo, ale zguba, kalectwo, śmierć.

— A środek ku temu?

— Krwi upuszczenie.

— Konsyliarzu, puszczaj krew!

— Jakto generale, nie rozumiem pana.

— Mówię przecież zrozumiale, puszczaj mi krew!.....

— Oszalałbym chyba, gdybym się tego rozboju na osobie pana dopuścił, i napisałbym na siebie cyrograf, że pozwalam pierwszemu lepszemu partaczowi wsadzić mnie do czubków.

— No, to się i obejdzie bez ciebie.—Tu generał z niewypowiedzianém obecnych zdumieniem, powstawszy z posłania i stanąwszy bez najmniejszego syknięcia na obu zbandażowanych nogach: „Konsyliarzu, zawołał tonem niedopuszczającym żadnéj oppozycyi, potrzeba mi zdrowia *natychmiast*, choćby na trzy miesiące, a potém niech się dzieje, co ma nastąpić: nie obchodzi mnie to już więcéj". To powiedziawszy rozkazał wezwać swojego nadwornego felczera, obnaża rękę i każe sobie krew puszczać. Struchlały felczer bierze się do operacyi, a zrozpaczony doktor wybiega z pokoju nie chcąc być świadkiem tego, jak nazwał rozboju, i nie biorąc żadnéj na siebie odpowiedzialności. Wyszedłszy pełen gniewu na ulicę, mierzy wprost ku placowi marywilskiemu do domu (gdzie dziś Ratusz) należącego do księżny kasztelanowéj krakowskiéj (1) Antoniowéj Jabłonowskiéj, jego ówczasowéj właścicielki. Jako zwy-

(1) Z domu Czaplic. Była ona drugą żoną księcia kasztelana krakowskiego. Kto była pierwsza nie wiem. Z tej pierwszéj miał córkę księżną stolnikową Czartoryską, która wielką część życia przepędziła za granicą i umarła w Rzymie. Założyła w majątku swoim na Wołyniu, w Korcu, pierwszą w Polsce fabrykę porcelany, gdzie wyrabiano wiele pięknych złoconych naczyń. Księżna chlubiąca się bardzo tym zakładem, krewnym swoim, przyjaciołom, a nawet i znajomym rozdawała na pamiątkę jego wyroby. Zdarzyło mi się widzieć piękną złoconą z téj fabryki filiżankę jako dar księżny, pani Antoniowéj Kochanowskiéj w Strykowicach. Księżna stolnikowa była matką pięciu córek; księżnéj Henrykowéj Lubomirskiéj, Alfredowéj Potockiéj, księżnéj E. Sanguszkowéj i generałowéj Rzyszczewskiéj; kto była piąta, nie pamiętam.

(Przyp. aut.).

czajny jéj lekarz wchodzi do sypialnéj komnaty i z prawdziwie hipokratyczném oburzeniem opowiada postępek generała M....., Księżna kasztelanowa krakowska nieco odmiennego w téj materyi zdania, wysłuchawszy opowieści, pojechała do M..... którego znalazła prawie zdrowego, jakby wskrzeszonego; ścisnąwszy rękę bohatera, od serdecznych łez wstrzymać się nie mogła. *Mościa księżno*—rzecze generał—*nie wieki w bezczynności strawione, ale jedna użyteczna chwila życie stanowi.* Wkrótce po téj rozmowie generał zajął się z energią i godną siebie sprężystością poruczonemi sobie obowiązkami (1).

Marya z Sanguszków Mokronowska wychowana u babki swojéj księżny Sanguszkowéj, przed pójściem za mąż mieszkała wraz nią z w domu własnym na Królewskiéj ulicy w pałacu dziś zwanym Łubieńskich. Ogród nierównie obszerniejszy jak dziś służył jéj na codzienną przechadzkę. Przez miesięcy trzy ślub jéj poprzedzające, codziennie w nocnéj porze jakaś niewidzialna ręka kładła na murze ogrodu bukiet przecudnéj piękności, który Marya chodząc po ogrodzie zrana znajdowała w bardzo eleganckim z sewrskiéj porcelany wazonie, a w środku bukietu znajdowały się wiersze na cześć Maryi w języku francuzkim nader

(1) Fakt ten opowiadany mi był przez wiarogodnego i naocznego świadka, poważna wiekiem, dziś jeszcze żyjącą kasztelanową Oebselewiczową, żonę b. kuratora instytutów naukowych. Ojciec jéj Krzysztof Wiesiołowski, członek T. P. N. i wielu innych uczonych, słynny antykwaryusz i trochę dziwak, córki sam nie wychował, ale oddał do księżny kasztelanowej, gdzie staranne jak na owe czasy odebrała wychowanie; sam zaś z całém zamiłowaniem oddał się ulubionéj nauce archeologii. Wiesiołowski wychowany przez stryja swojego Andrzeja, wysłany był przez niego na dwór króla Stanisława Leszczyńskiego do Lunevillu, gdzie pierwszą wraz z wielu ziomkami swojemi przepędził młodość. Później zamiłowawszy podróże objechał całą niemal Europę sam i w towarzystwie ex-podstolego Stanisława Sołtyka: był w Szwecyi, Norwegii, Petersburgu, objechał Anglią, całe Niemcy, Szwajcaryą, Francyą, Hiszpanią, Włochy, Turcyą, i oparł się o północną część Afryki, którą dokładnie zwiedził, skrzętnie się wszędzie zajmując zbieraniem i śledzeniem zabytków starożytności. Najdłużéj się wszakże zatrzymał w Herkulanum i Pompei, których wykopaliska pilnie badał i treściwie bardzo opisał. Z wielką szkodą dziejów rękopism ten zaginął. Pozostawił po śmierci, która koło roku 1826 nastąpiła, kilka bardzo szacownych zbiorów, między innemi zbiór starożytnych bronzów, nabyty później przez Anglików, zaś kolekcyą medalów, kamieni rzniętych, etrusków nabył za złp. 400,000 jeden z amatorów, *Depler*; w tych liczbie było kilka medalów nieocenionej wartości. Jeszcze za życia Wiesiołowskiego, książę Stanisław Poniatowski chciał zbiór ten nabyć i sowicie zapłacić, ale tak był właściciel do niego przywiązany, że się rozstać z nim nie miał odwagi. Żył i umarł w najściślejszej samotności, oddany jedynie nauce, na resztę nieczuły i obojętny. Zostawił kilka rozpraw o archeologii i numizmatyce, bardzo w swoim czasie cenionych. (*Przyp. aut.*).

zgrabnie w stylu panegirykowym owych czasów napisane. Napróżno nieco ruchliwa wyobraźnia panny starała się wyśledzić nazwisko dawcy bukietu; mimo wszelkich poszukiwań nic odkryć nie zdołano. Gdy późniejsza generałowa M..... udała się po ślubie na mieszkanie do domu męża do pałacu Mniszkowskiego (gdzie dziś Resursa kupiecka) bukietu już na murze nie bywało: znikł bezpowrotnie!..... Pani M..... to zdarzenie swéj młodości opowiadać lubiła, z przyłączeniem zawsze nowych komentarzy i domysłów. Zachowała bowiem do ostatnich chwil życia zamiłowanie nadzwyczajności i romansowych przygód.

Weszła w związki małżeńskie w roku 28 życia, w skutku sprzyjających małżeństwu temu okoliczności. Państwo młodzi gustów i charakterów przeciwnych, sercem i uczuciem podobni byli do siebie, ale niczém więcéj. O ile generał zajęty ważnemi w owym czasie krajowemi wypadkami, a późniéj nieuleczoném kalectwem nawiedziony, unikał częstego z ludźmi spotkania, o tyle żona jego radaby była świat cały do serca przycisnąć. Smutno, głucho, ponuro było jéj bez niego: towarzystwo tak było jéj potrzebne do życia, jak woda i powietrze. Przyjmowała bez wyboru, sercem a nie głową i etykietą, dlatego jéj salon słusznie nazwano różnobarwną *mozaiką*. Pani M..... należała do osób w każdym czasie rzadkich, a dziś już wcale nie istniejących, co to z uczonym i prostaczkiem, z monarchą i kmiotkiem, starym i młodym równie długo i przyjemnie rozmawiać umieją: każdego zajęła i zabawiła, nie żeby miała nadzwyczajny dowcip, ale była dobra, serdeczna, życzliwa, prosta, żywa, z natury wielomówna, rada się drobnostkami zajmująca, lubiła ruch, gwar, nowinki, które zbierała i z przyjemnością opowiadała. W wyszukiwaniu towarzystw nie była wybredna, żyła z kim mogła i kto jéj się nadarzył. Mieszkając czas niejaki na wsi pod Tarnowem, widywała wszystkich blizkich sąsiadów, w liczbie tych ostatnich znaleźli się i tacy, którzy najwięcéj na nudy wyprobowanego, do rozpaczy przywieśćby mogli. Uprzejmością i obfitą rozmową z każdego z tych panów i pań coś wyciągnąć umiała. Dnia jednego opowiadała śmiejąc się do rozpuku, że jedna z jéj sąsiadek ośmielona jéj łatwością i prostotą, prosiła ją naiwnie o przepis na karmienie indyków, inna o nasionka do ogrodu, a znalazła się także skwapliwie wypytująca o jéj najlepszy sposób marynowania szynek. Znając pa-

nią M..... od pierwszego mojego dzieciństwa w Krakowie, nie mogę jéj sobie inaczéj wystawić jak w ubraniu balowém lub też w papilotach gotującą się do niego. Żywa i ruchliwa, z gotowalni przy któréj godzin kilka jéj dziennie zeszło, przechodziła do pokoju córki, bawiąc się z jéj małemi gośćmi; to znów biegła do salonu, gdzie uprzejmie, serdecznie jakąś bardzo nudną przyjmowała wizytę, lub się zwróciła do garderoby, gdzie dawała posłuchanie jakiejś biedaczce liczną obarczonéj rodziną, nie bacząc na fryzyera, który stał trzymając rozpalone żelazko w jednéj, a grzebień w drugiéj ręce i niecierpliwie czekając końca tualety. Pani M..... chowała swoję rolę kobiety światowéj na wielkie okazye, pragnęła ją dokładnie odegrać, ale w ogóle nie była jéj do twarzy. Miała ona słabostkę rzadką w kobietach jéj stanu i położenia: była co się nazywa przesądną i to w najpospolitszy sposób wierzyła w czary, zażegnywania, uroki, urzeczenia. Gdy mówiła po polsku, a to jéj się dość często trafiało, jeżeli rozmawiała z poufnemi o czémś mocno ją obchodzącém, nie zaniedbywała nigdy dodawać: nie *urokiem*, *na psa urok*, co wielce jéj rozmowę czyniło oryginalném. Oto są moje wspomnienia o Maryi M..... gdy bawiąc się z jéj jedyną córką Antoniną, widywałam ją prawie codziennie w czasie jéj pobytu w Krakowie. W lat dwanaście późniéj odnowiemy znów z nią znajomość, gdy wprowadzę czytelnika do salonu karmazynowego w złote kwiaty, w Warszawie w pałacu zielonym (dziś już nie istniejącym), na Krakowskiém-Przedmieściu, gdzie Marya M..... przyjmowała od drugiéj po południu, do trzeciéj i czwartéj po północy z równie serdeczną gościnnością i życzliwością, ale często nawpół leżąca na szezlągu, gdyż siły nietyle dopisywały. Już w niéj swobody téj nie było co dawniéj: nadeszła chmurka która ociemniła jasny widnokrąg jéj dni wesołych i szczęśliwych. Po śmierci czcigodnego generała, pani M..... weszła w nowe związki małżeńskie: powtórny małżonek umyślił zaprowadzić w domu reformy może zgodniejsze z jego wyobrażeniami, ale przeciwne zwyczajom towarzystwa, i najmilszym gustom i nawyknieniom jego żony. Pani M..... kochająca męża, w chęci zastosowania się do jego woli, zmieniła na czas jakiś tryb życia, ale jéj zdrowie i humor widocznie ucierpiały. Późniéj wszakże wdanie się przyjaciół wyjednało jéj większą w rozporządzeniu czasem swobodę. Pani M..... zamieszkawszy

w Warszawie, znalazła tu serdeczną swéj matki (1) przyjaciółkę panią z Świdzińskich Lanckorońską, zwykle *kasztelanową połaniecką* zwaną; jak się można było spodziewać pani kasztelanowa dawną swą dla matki przyjaźń na córkę przelała, i bardzo przeciwną się być okazała jéj powtórnemu małżeństwu. Ślub odbył się w Częstochowie, kiedy większa część towarzystwa ledwie o jego projekcie zasłyszała. Mówią, że na piérwszą o nim wiadomość pani kasztelanowa zadzwoniła na pannę służącą i kazała przygotować suknią jasnego koloru, któréj już zdawna nie używała wcale do ubrania na wieczór. „Z przeproszeniem pani, rzecze zdumiona panna, alem nie dosłyszała.” „Różową atłasową suknię, mówię ci.” Panna nie dowierzając jeszcze własnym uszom, wyszedłszy z pokoju pani swojéj, poszła do

(1) Matka Maryi Sanguszkównéj i księcia Eustachego była z domu Potocka, rodzona siostra Ignacego, Stanisława, Jana Potockich, oraz starosty tłomackiego. Ignacy umarł w Olesinie pod Kurowem r. 1809. Był ojcem wcześniéj zgasłéj, pełnéj cnót jedynéj córki Krystyny, która ojca do grobu poprzedziła. Stanisław, senator wojewoda, prezes rady ministrów za Księztwa Warszawskiego, umarł prezesem senatu i ministrem oświecenia za rządów gen. Zajączka Najmłodszy z braci Jan Potocki, nie był owym słynnym autorem i podróżo pisarzem; tamten był ojcem Artiura, Alfreda i Bernarda Potockich. Jan Potocki, o którym mówię, zostawił tylko jednę córkę żyjącą jeszcze dziś L. T. i przy niéj w T. w Krakowskiem długiego dokonał żywota. Do śmierci zachował wesołość i przytomność umysłu. W latach 1824 i 1825 robiliśmy z moim ojcem niekiedy do T. wycieczki. Ztamtąd razem z właścicielami zwiedzaliśmy ruiny zamku Maleszowskiego (opisywanego w pamiętnikach Franciszki Krasińskiéj), i P. gdzie pani T. założyła i utrzymywała klasztor Benonów, słynny naokolicznie z wzorowego urządzenia nabożeństw i przykładnego życia zakonników. Klasztor ten już nie istnieje, zastąpiła go parafia z wielkim żalem mieszkańców blizkich okolic. Otóż po jednéj z tych wycieczek, Jan Potocki, który dla słabości mającéj go niezadługo zabrać z tego świata, nie mógł nam towarzyszyć, siedząc przy kominku na wielkiém Wolterowskiém krześle, opowiadał różne życia swojego przygody. Jedna z nich dla swéj nadzwyczajności jest mi szczególnie pamiętną; opowiem ją tak, jak ją przez Jana Potockiego opowiadaną słyszałam:

„W r. 1792 byłem przydany do poselstwa brata mojego starosty tłomackiego do Stambułu. Po przyjeździe do stolicy państwa ottomańskiego, mieliśmy być wkrótce prezentowani sułtanowi na uroczystem posłuchaniu. Zajęliśmy się przedewszystkiém układem przemowy, którą poseł miał powitać Jego Wysokość w imieniu króla i rzeczypospolitéj. Zredagowanie téj mowy mnie było poruczone, miała być oczywiście w języku francuzkim napisana, a przez dragomana na mowę turecką przełożona. W przeddzień posłuchania, mając głowę napełnioną urzędowemi téj mowy wyrażeniami i już w myśli ułożoną, kładę się w łóżko. W nocy śni mi się ta mowa, ale w jakimś języku i wyrazach zgoła dla mnie niezrozumiałych; budzę się, mowa stoi mi w pamięci, a zapaliwszy świecę u nocnéj lampy, napisałem ją tak, jak mi się śniła. Nazajutrz rano pokazałem ją dragomanowi, który bardzo się dziwił gdy przeczytał w tych wyrazach mowę całą doskonale po turecku napisaną. Proszę pamiętać, że w całém poselstwie nikt z nas po turecku nie umiał.

(Przyp. aut.)

panny Joanny Świdzińskiéj opowiedzieć jéj swój kłopot.—Proszę panny starościanki, ciągnie daléj służąca, albo ja ogłuchłam, albo naszéj pani coś się stało.—Albo co?—Wszakże to nasza pani kazała sobie podać do ubrania różową atłasową suknię, która gdzieś tam leży od dwudziestu kilku lat w składzie, a raczéj jeszcze kilka z niéj zbutwiałych kawałków.—Przestraszona starościanka pospieszyła do ciotki, która zmiarkowawszy powód jéj przybycia, nie czekając zapytania, z zwykłym sobie łagodnym uśmiechem rzecze: *Kiedy M..... mogła pójść za mąż, toć ja mogę nosić jasne kolory.* Mimo tego chwilowego niekorzystnego wrażenia, pani Z.... nie przestała widywać przyjaciół pani M..... bywała jak dawniéj u pani kasztelanowéj (1), która ją z tąż samą co dawniéj przyjmowała serdecznością. W r. 1827 w lutym pani M..... a jak nateraz pani Z..... w skutek zaziębienia zbyt zawcześnie świat ten pożegnała. Nie lubiła ona gorąca; miała zgubny zwyczaj wyszedłszy z ciężkiéj i nieraz zwrotnikowéj atmosfery przepełnionego salonu, wracając do siebie zamknięta w karecie zrzucać futro, aby swobodniéj odetchnąć, o co ją zawsze pani kasztelanowa strofowała, przepowiadając, że sobie tą nieprzezornością śmierć przyspieszy. Tak się téż stało. W piątek poprzedzający ostatnią niedzielę karnawału, wracając do siebie zaziębiła się, w sobotę był bal u pani Ordynatowéj Zamojskiéj na którym być nie mogła, we wtorek już nie żyła. Żal po téj stracie był powszechny, szczery, wielki: każdy przypominał jéj dobroć, życzliwość, uprzejmość, gościnność. Towarzystwo utraciło jeden z tych domów codziennego skupienia się pewnéj jego części, który nie tak łatwo dał się przez inny zastąpić.

Obecnie na ten raz opuszczę panią M..... zastrzegając sobie na przyszłość małe z czytelnikiem wycieczki do salonu kar-

(1) Pani kasztelanowa połaniecka zajmowała jak wiadomo dom missyonarski na Nowym-Świecie, gdzie lat blizko 40 przemieszkała, i tam téż umarła w kwietniu r. 1826. Po jéj śmierci, gdy zarządzono sądową sprzedaż pozostałych po niéj ruchomości, jéj przyjaciele i znajomi składający prawie ówczasowe towarzystwo, nie chcąc aby rzeczy których się jéj świątobliwa i dobroczynna dotykała ręka przeszły na własność nieznanych osób, skwapliwie je nabywali i dość drogo stosunkowo płacili. Mojemu ojcu dostał się między innemi przedmiotami stolik mahoniowy do gry, tak czasem zczerniały, że koloru jego już rozeznać nie było można. Jest on dotąd w moim ręku. Apartament po pani kasztelanowéj zajęli pp. Ignacowie Badeniowie, którzy w miejscu gdzie zwykła była siadywać, jéj portret umieścili. *(Przyp. aut.)*

mazynowego, nieliczne już wprawdzie, gdyż na kilka miesięcy zgon jego właścicielki poprzedzające.

Począwszy od r. 1816 zaczęłam brać lekcye na fortepianie. Moim piérwszym nauczycielem był przybyły z Pragi Czech nazwiskiem *Heski*, używający pewnéj w mieście reputacyi. Miał nieocenioną zawsze w kraju naszym zaletę: jako nie umiejący po polsku, po niemiecku naukę swą uczniom wykładał. Nie wiem czy pan *Heski* nauczył kogo Teutonów języka, ale to wiem, że wkrótce po swém do Krakowa przybyciu, najdoskonaléj polską mowę kaleczył, i to w sposób tak pocieszny, że uczniów swych do pustego pobudzał śmiechu, o co się wcale poczciwy *maestro* nie gniewał, ale dobrodusznie klepał ich po ramieniu, mówiąc właściwą sobie polszczyzną, że mają *śloma w glowa*. W czasie jednéj z jego lekcyi wypadło zaćmienie słońca; podano świece, nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie wielkie to zjawisko na mnie zrobiło. Wyrwałam się prawie z rąk Heskiemu, i wyszłam na dziedziniec, gdzie wmieszałam się w gruppę patrzących. Wzięto mnie drżącą i chorą do pokoju, gdzie dni kilka w gorączce przeleżałam. Kto widział ostatnie r. 1853 zaćmienie, ten się dziwić jego skutkom nie będzie. Jeżeli tak głębokiego, tak silnego nieraz doznajemy uczucia słysząc lub widząc dzieło sztuki, cóż dopiéro wobec wielkich scen natury?..... Sztuka jeżeli jest natchnieniem, jest także w części swéj technicznéj naśladownictwem; natura *jest* sama przez się: jéj zjawiska, dzieła, noszą doskonałości piętno tego, co się omylić nie może, urzeczywistniają w oczach naszych idee wielkości, nieskończoności i piękna, a pryorycznie w nas będącą, ale któréj sami nigdy nie podołamy: jakże się tu dziwić, że jéj zjawiska tak wielkie na nas czynią wrażenie?... Otóż i biedny mój maestro *Heski* niemniejszego doznał wzruszenia, ale to podobno ze strachu... We dwa tygodnie przyszedł na lekcyą żółty, mizerny, prawie nie do poznania.

— Cóż to panu—rzecze do niego z współczuciem moja matka?...

— Ach pani sio to bylo! sio to bylo!... Ja myślala sie koniec świata: miesiąż byl na slonc, a na siemi siarno, siemno jak w noca. Co to bylo, ja się zestrachala i chorowala.

Biedny *Heski*, jak widzimy, należał do liczby tych przodków naszych, co się tradycyjnie bali zaćmienia słońca. Nie uwłaczając słynnym dawniejszym talentom, jak Cherubinim, Ci-

marozom, Spontynim, Mozartom, Heidenom, zwyczajni muzykusi nie celowali w owym czasie wielką erudycyą i naukowością nawet w swojéj sztuce. Byli to poprostu rzemieślnicy ciężką i niezgrabną ręką stąpający po klawiszach, uczący nut, gamm, które nazywali applikaturami tylko w czasie piérwszych lekcyi, a gdy ich się uczeń nauczył, machinalnie i bez żadnych innych przegrywek dziś etiudami zwanych, przechodzili wprost do sztuk, a najczęściéj do mazurków, walców i polonezów. To téż wyznać potrzeba, z wielkim dawnych diletantów przeproszeniem, że w owym czasie muzyka na fortepianie w stosunku dzisiejszego jéj kierunku nie była sztuką, ale prostém rzempoleniem, harmonijném bieganiem palców po klawiszach. Rozumié się samo z siebie, że tu jedynie jest mowa o powszechności grających, indywidualnych talentów bynajmniéj nie dotykam. Gieniusz jest sam w sobie, *jest bo jest*: on nie należy do żadnéj epoki dlatego samego, że jest twórcą swojego czasu w sferze do któréj należy. *Czasy tworzą talenta, gieniusze zaś tworzą czasy*, to jest niezbita prawda. Były więc i na początku bieżącego stulecia talenta, były i gieniusze, ale powszechność nie była muzykalną, bo muzyka i sztuka w ogóle nie były tak jak dziś chlebem powszednim wyższych i średnich warstw społeczeństwa. W miarę wzrastającéj liczby amatorów, musiały się objawiać prawdziwe i niezaprzeczone talenta, za czém poszło pewne wyrobienie się smaku i niejako znawstwa w słuchaczach. Muzyka dla ogółu stała się sztuką, a jéj nauczyciele mistrzami w swym kunszcie i ludźmi wszechstronnie wykształconemi. Jak przed laty trzydziestu nauczyciele muzyki w stosunku do ich dzisiejszego znaczenia byli prostemi bakałarzami, tak téż ich wynagrodzenie odpowiadało wykształceniu. Dziś partacz muzyczny nie weźmie mniéj jak rubla za godzinę: pan Heski najdroższy w Krakowie nauczyciel brał w r. 1816 złp. 2, i to miano go za bardzo drogo pracę swą ceniącego. Ale cóż téż to za różnica dawnéj a dzisiejszéj nauki!.... Kto pamięta tak jak ja lat kilkadziesiąt w tył, kto śledził wszystkie zmiany ducha i wiedzy, ten nie może bez zadumienia patrzyć na ogromny, niepojęty, olbrzymi postęp, jaki muzyka zrobiła od lat dwudziestu. Nie jest to przekształcenie w sztuce, ale jéj *odtworzenie*, gdyż ona kiedyś istnieć musiała, ale ją popsuto, przenaturzono, złą metodą pojmowania jéj albo wcale jéj nie pojmowano.

Nie wiem jak uczono w konserwatoryach muzycznych, które i w roku 1816 istniały, ale w prywatnych domach niewiele sobie w nauce muzyki łamano głowy. Nieznano jeszcze metody Kurpińskiego, a więc ślęczono nad jakąś szkołą X. Sierakowskiego, który nietylko budownictwem, ale muzyką wielce się zajmował. I téj nie trzymano się systematycznie w nauczaniu. Cała nauka zaczynała się i kończyła na gammach majorowych i bardzo ograniczonéj liczbie nic nieznaczących przegrywek, gdzie *tryl i grupetto* stanowiły całą nieomal essencyą.

Po jednomiesięcznéj kilku gamm brzękaninie, i mechanicznem poznawaniu nut i klawiszów, kiedy uczeń nie miał wyobrażenia co jest *tonika*, *akcent*, (point d'orgue), ruch, odcień w muzyce, ledwie że zdołał rozpoznawać nuty, krzyżyki i bemole, już zarzucał na zawsze szkołę i przechodził do tańców, sztuk łatwiejszych, najwięcéj z tonu C (1), niby aby się nie utrudzał i przez to samo nie zniechęcał do nauki; w końcu posuwano go do waryacyi Gielinka, które były tém w świecie ówczesnym muzykalnym, czém sentymentalno-moralne romanse i *novelle* pani de Genlis w wychowaniu młodzieży.

Jak się domyśli czytelnik, o układzie rąk, figury, jednoczesném wszystkich palców, a mianowicie piątego ćwiczenia o arpedżiach, etudach i t. p. mowy być nie mogło. Nauczyciel mechanicznie takt wybijał, piersi sobie nieustannym rachowaniem prymów, decymów, tercij i t. d. zrywał, pobieżnie wymieniał znaczenie pauzy, pół i ćwierć pauzy, całéj, pół i ćwierć nuty, raz, dwa, i trzy razy związanéj, nie troszcząc się wiele, czy uczeń puszczony samoistnie i bez jego w rachubie pomocy, zastosuje i jak tę krótką o muzyce teoryą. Po kilkoletniéj nauce i obsłuchawszy się téj rachuby, uczeń mógł jako tako zagrać którego z polonezów Ogińskiego, marsza księcia Józefa, dwanaście figur kontredansa, który się zaczynał na znaną nutę menueta wygrywającą *ukłon*, a jako najwyższy szczyt postępu *le siége de Gibraltar*, którąto sztukę wygrywał z sumiennem naśladowaniem bębnów, armat, ręcznéj broni, piorunów, morskiéj burzy i wszystkich okropnych jużto ludzkich namiętności, już téż na-

(1) Nauczyciele w kraju naszym idąc za przykładem niemieckich mistrzów, używają do siedmiu nut muzycznych nazwisk liter alfabetu. Francuzi i Włosi daleko właściwiéj używają w nauczaniu klassycznéj nazwy do, re, mi, sol, i t. d. jako specyalnéj w sztuce. a zatém odrębnéj od każdéj innéj nomenklatury. *(Przyp. aut.)*

tury wstrząśnień. Dzisiejsze nader artystyczne pokolenie nasze nie uwierzy może, że było przy fortepianie aż sześć a nawet siedm pedałów, a przy nich trąbki, kotły, dzwonki, cała janczarska muzyka. Im kto *energiczniéj* temi niezbyt harmonijnemi akcessoryami władał, tojest im umiejętniéj ucho biednego słuchacza, rozdzierającym tonem trąby i cymbału nawiedzał, za mistrza w sztuce okrzykniętym został.

Siła wówczas nie zależała jak dziś na zręcznem władaniu instrumentem, mechanicznym rąk i palców układzie, delikatném cieniowaniu i przechodzie tonów, wyrobionym smaku i własném natchnieniu artysty, ale na hałaśliwém mieszaniu barbarzyńskich i obcych naturze instrumentu narzędzi, co wszystko razem nie muzykę, nie harmonią, ale jakiś piekielny hałas tworzyło. Nader też sprawiedliwie znaleźli się tacy, co wcale *naiwnie* fortepian nazwali klawicymbałem, co tworzyło dość zabawną harmonią, gdy jeden drugiego zapytał: *grasz na klawi-cymbale*..... Dziś ogół u nas zdołał nakoniec przyjść do zdrowszych pojęć o sztuce. Cokolwiek Libelt i Józef Kremer o niéj pisali, mianowicie zaś o malarstwie i rzeźbiarstwie, do muzyki głównie stosować się powinno. Sztuka nie może być naśladowczą, *bo jest sama w sobie.*

Artysta nie w zewnętrznéj naturze, ale na tle własnego ducha i ducha ludzkości natchnień dla siebie szukać powinien. Wielkie burze świata, pioruny, nawałnice, szczęk oręża, huk armat, jakkolwiek umiejętnie wykonane, nigdy dostatecznie nie będą w muzyce oddane, kiedy tkliwe serca uczucia, szczytne ducha pojawy, rozlewają się w najcudowniejsze harmonii zwroty. Żarliwa dawnych wieków pobożność, wielkie dziejowe czyny i fakta, miłość rodzinnego gniazda natchnęły pieśni, które tysiące lat przetrwały i przetrwają; przeciwnie czcze naśladownictwa bitew, piorunów, głosów ludzkich, pisku zwierząt i t. p. nigdy długo nie żyją.

(Dokończenie nastąpi).

BRANKI (*).

I.

Piękne było szerokie Podole!
Siostra lata, nadobna wiosenka,
Gdy spojrzała na niwy, w okienka,
Wszystko żywe poczęło swawole:
Zieleniły się niwy radośnie,
Uśmiechały się serca ku wiośnie.

Ale w piérwszéj zawiązce radości
Doścignęła niebieska już kara:
Nieproszonych przybyło k' nam gości,
Jak szarańczy—krymskiego Tatara.
Podeptali i trawy i kłosie,
Zakrwawili rzeczułki posoką,
Chaty z dymem puścili po rosie,
Jeńce z sobą na jassyr gdzieś wloką:
Dla haremu dziewice jak kwiatki,
Dla okupu ich ojce i matki.
Nim pan hetman koronny przydybie,
Już ocucą się w swojéj sadybie.

II.

Na przestrzeni wśród pól tatarszczyzny,
Gdzie zbierano i chwałę i blizny,
Młody Tatar, wybladły, krwią zlany,
Drże się między bodiaki zielone;
Wiezie w ręku sędziwą matronę,
Wiezie radość na twarzy a rany.

(*) Za tło do tego obrazku posłużyła nam piosnka ludowa z bogatego skarbca *Pieśni Białochrobackich*, zebranych przez K. Wł. Wojcickiego (tom I, str. 125).

Cóż za dziwo, że śmiechem zaryczy?
Wytropiony przez wiarę znienacka,
Przyjął ciosy, nie oddał zdobyczy.
Teraz liczy, co warta mać lacka,
Srébro, złoto z okupu już liczy:
Bo gdy dopadł na step Perekopu,
Tutaj jego nie zwietrzycie tropu.

Wpadł do żony pod namiot koszowy:
„Wody! wody!... Te Lachy, do czarta,
Dobre mają ogary na łowy,
I szablica doprawdy coś warta!
Lecz mam ptaszka.... Hej, żonko, daj wody!...
Nie zapomną macierzy synkowie,
Miny złota i srébra obłowię,
Przy kumysie odżyjem na gody.
A nim synek z okupem przytrzepie,
Niechaj ręką sieć wiąże babula,
Nogą twego pieszczocha niech lula,
Oczmi konie niech pasie na stepie.
Lach na hana w Stambule już krzyczy;
Ale co tam! nie wydrą zdobyczy!..."

III.

Wieczór. Słońce znużoną swą głowę
Pochylając na łoże stepowe,
Na dobranoc rzuciło odblaski.
Pusto wokół, a step jak na dłoni.
W dali krymskie olbrzymy natury
Siwe czoła podnoszą do góry,
Uwieńczone w promienne przepaski:
Zda się żywe, wzrastają—to oni!
Oni! wyżéj to wódz ich kaukazki!
Chwila tylko, a sroga ćma dziczy
Ponad światem powodzią zaryczy....
Ale cicho: snem twardym ujęci
Śpią olbrzymi na ziemi zgniecionéj;
Szary jastrząb' w powietrzu się kręci
I na zdobycz rozwiera swe szpony.
Bliżéj chrapią tatarskie rumaki,
Wypasując się wolno po łące;
I kukułka w swéj pieśni jednakiéj
Liczy doli, niedoli miesiące....

Przed namiotem, tam lacka matrona
Pasie konie tatarskie oczyma;
W ręku niby od sieci nić trzyma,
Ale rękę przyciska do łona;

Huśta dziecię, i w takty zozuli
Przyśpiewuje mu: luli, a luli.

„Ptak niegodny, zozula,
Gniazda sobie nie wiła,
W cudzém jajko złożyła,
Cudza matka przytula,
Cudza będzie karmiła.
Bez rodziny, bez gniazda,
Och! wyrodny to ptak!
Bodaj zgasła ta gwiazda,
Co się kręci nawspak!

„Jedząc ziarnka, owady,
Zozulątko wyrośnie;
Pliszka nie da mu rady:
Prawe dzieci jéj będą
Wzdychać, kwilić żałośnie,
Pokrzywdzone przybłędą....
A niewdzięczneż ty plemię,
Bogdaj nie znał cię świat!
Bogdaj poszło pod ziemię,
Niedorosłszy swych lat!

„Straszny sąd Zbawiciela!
Niegodziwa dziewczyna
Poszła w dom Tatarzyna:
Z wrogiem łoże podziela,
I powiła mu syna.
Bez rodziny, bez gniazda,
Oh! wyrodny to ptak!
Bogdaj zgasła ta gwiazda,
Co się kręci nawspak!

„Ze krwi mojéj zrodzony,
Gdy podrośnie syn diabli,
Puści ku nam zagony;
I przyniesie grot ostry,
I pociski swej szabli
Na swych braci a siostry....
A niewdzięczneż ty plemię,
Bogdaj nie znał cię świat!
Bogdaj poszło pod ziemię,
Niedorosłszy swych lat!"

I słyszała tę pieśń Tatarowa,
I rozumie tę pieśń co do słowa!
„Słuchaj, stara! nie kwap' się z piosenką:
Mąż ci płazem nie puści te wstręty;

Nóż ma ostry, zaśpiewasz mu cienko,
Gdy pas zedrze od głowy do pięty!"
„Córo moja! te strachy na Lachy
Stare bardzo, jak stare me latka!....
Dzieckiem uszłaś w tatarskie tu szlachy,
Wyciągnęła cię dziczy nawała;
Ale dusza swą duszę poznała,
Bolejąca poznała cię matka:
Znak rodzimy u lewéj masz pachy."
„Matko moja! precz z ciebie te szmaty!
Niech i przeszłe w niepamięć uleci!
Przywdziéj na się złotogłów bogaty,
Szczęsne życie—pokochaj swe dzieci!"
— „Tatarzyna? i ciebie.... wyrodna?!
Pierwéj grot wasz me serce przebodzie,
Pierwéj morze wysechnie aż do dna,
Pierwéj kamień popłynie na wodzie!
Córo! .. droga jedyna dla ciebie:
Noc, odwaga, i Pan Bóg na niebie."

I znów cisza; ciemnieją wciąż niwy,
Rżą tatarskie rumaki na łące,
I kukułka w swéj pieśni jękliwéj
Liczy doli, niedoli miesiące....

IV.

Gródek hana, gnuśnością ospały,
Dziennym ruchem ożywiać się zdawa:
Tu się hordy w naradę zebrały,
Z jakim wiatrem poleci wyprawa?
Owinięci w baranie kożuchy,
Z koniem w ręku, a butą na twarzy,
Z sahajdakiem i łukiem, Tatarzy
Błogiéj sobie dodają otuchy,
Że się pole do łupów nadarzy.
Ale kędyż wyskoczyć na łowy?
Iść na Lachy, tam hetman na kresie;
Kozaczyzna, kraj pusty.... niezdrowy;
Turka brata napadać nie chce się....

Han z starszyzną przyjeżdża w półkole,
I wojenna zaczyna się rada;
Jakiś Tatar ze szramem na czole
Zpośród koła do hana przypada:
„Dziwny sen mię dziś męczył jak zmora,
Że aż teraz przechodzi wciąż mrowie!
Zapytałem sławnego znachora,
Znachor Lachom zagubę przepowie.

Zdało mi się: że widzę swą żonę,
Całowała zimnemi mię usty,
Całowała oczyma zpod chusty;
Potém z Laszką, jak klacze spłoszone,
Robiąc krzyże, pierzchnęły w kraj pusty.
Laszka w swoję powiodła ją stronę.
Ona rękę do serca przykłada,
I na lackie wskazuje mi błonia,
Ha! w tym znaku nie czai się zdrada:
Moja żonka wierniejsza od konia!....
Potém słyszę wystrzały, krew płynie,
Wzrok zamgliła, całego mię broczy....
Rwę się, skuty.... a ciemno — jedynie
Świecą ku mnie dwie zorze, jéj oczy....
Dziwna zmora!.... Na Lachy, a żwawo!
Taką znachor podaje wam radę.
Głupie baby! dość bawić się wrzawą;
Lub się bawcie, ja jeden pojadę!"
Zażył konia, poskoczył jak może;
Znikł w kurzawie, złorzecząc okropnie.

Kto na prostéj drożynie, szczęść Boże!
Kto na krzywéj, niech celu nie dopnie!

V.

Zgruchotana zawiązka nadzieje,
W zdrowym pączku zdeptany kłos żyta,
Skoro przyszłość a słonko przygrzeje,
Znów odrasta i znowu zakwita.
Jak nie wypić krynicy co płynie,
Tak nie zabić żywota w krainie.
Skoro minął dzień Jana Kupała,
Skoro wyszła jutrzenka Piotrowa,
I na niwy Podola spojrzała;
Wraz na słodkie „dobrego dnia" słowa
Znów zielenią się niwy radośnie,
Uśmiechają się serca ku wiośnie,
Gdy się trudom nagroda zastrzega;
Wnet człowieka do pracy coś bodzie,
Z jutrznią idzie na pole, o głodzie:
Jak żórawie lecące z noclega,
Bracia wiara podjazdem przebiega,
Mżą się znaczki, jak mak na ogrodzie.

Wedle drogi rozstajnéj, u krzyża,
Dwie niewiasty kosztują wytchnienia:
Jedna z twarzą sędziwą, surową,
K' piersiom dziecię miluchne przybliża,

I wylicza mu Boga cierpienia,
I ofiarę za ludzi krzyżową,
By się mogli odrodzić na nowo.
Druga, smutna, wesoła napoły,
Ręką lica nadobne zakryła,
Wzrok puściła w szerokie rozdoły,
Jakby komu „bądź zdrowy" posyła,
To dziecięciu podaje całuska,
To coś gwarzy ze starą matroną:
Jako niwa, gdy wietrzyk pomuska,
Jéj uczucia falują i płoną.

Płynie naród po drodze jak woda,
Spojrzy tylko, i stawa przykuty:
„To staruszka.... lecz ta, ta, ta młoda!
Aż się oczy napatrzéć nie mogą!
Trzy słoneczka! no, może nie póty;
Ale.... ale malina, jagoda!
Jakże chce się pogwarzyć z niebogą,
Gdzie to wyszły samiutkie i nocą?"
Dajcie pokój, ruszajcie swą drogą:
Wiedzą one, gdzie idą, i poco!..

W. Korotyński.

INSTRUKCYA
O KONDUKTORACH.

WYDANA PRZEZ AKADEMIĄ NAUK WE FRANCYI.

PRZEŁOŻYŁ Z FRANCUZKIEGO

Teofil Cichocki.

(Z rycinami).

Konduktory czyli pioruno-chrony, znakomity wynalazek Franklina, z powodu swéj niezmiernéj użyteczności, bardzo szybko upowszechniły się w Ameryce i Europie. Przez wpływ tego tak prostego przyrządu niejednokrotnie od zguby zachowane zostało całe mienie, a nawet i życie wielu osób.

Piorun, ów groźny meteor, w dawnych pogańskich czasach za Boga nawet uważany, na widok którego każdy nawet najśmielszy zadrżéć musi, obawiając się strasznych jego skutków; posłuszny prawom, które nim rządzą, w chwili gdy ma uderzyć i wywrzéć swe niszczące działanie, kieruje się ku niewielkiemu prętowi żelaznemu, ustawionemu na budowli, spada nań, a z niego po cienkiéj sztabie żelaznéj spływa do ziemi, nie zrządzając najmniejszéj szkody budynkowi, ani osobom i przedmiotom wewnątrz się znajdującym.

Taki wpływ rzeczywiście na piorun wywiera konduktor dobrze urządzony. Lecz zdarzały się wypadki, że konduktory zamiast ochraniać, przeciwnie stawały się nieraz zgubnemi dla budynków niemi uzbrojonych. Powodem takich wypadków było złe ich urządzenie; rzeczywiście bowiem z dwóch budynków, z których jeden opatrzony jest konduktorem złym lub zniszczonym, a drugi wcale go nie posiada; ostatni nierównie mniéj narażonym jest na uderzenie, a zatém bezpieczniejszym jak piérwszy.

Fig. 14.

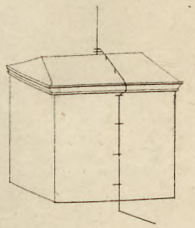


Fig. 17.

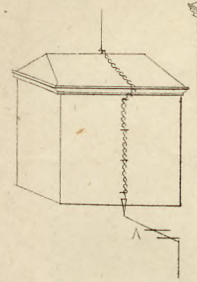


Fig. 18.

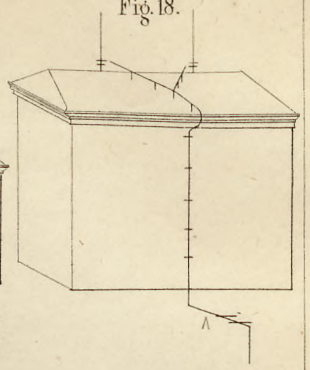


Fig. 22.

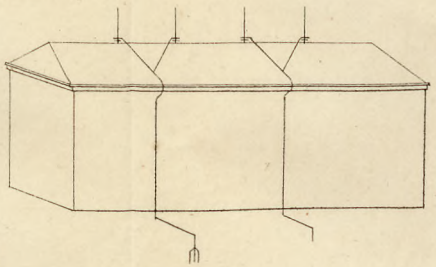


Fig. 23. Fig 24.

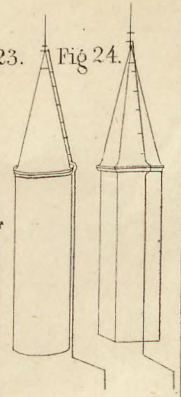


Fig. 19.

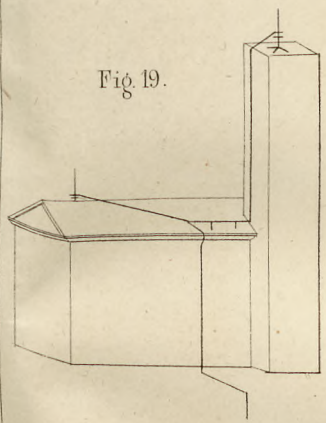


Fig. 20.

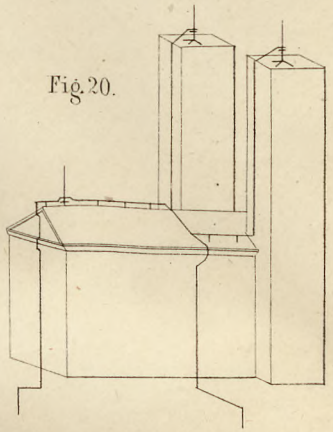


Fig. 26.

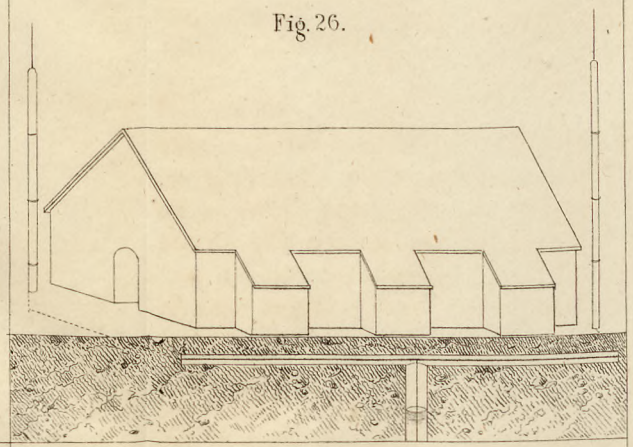


Fig. 21.

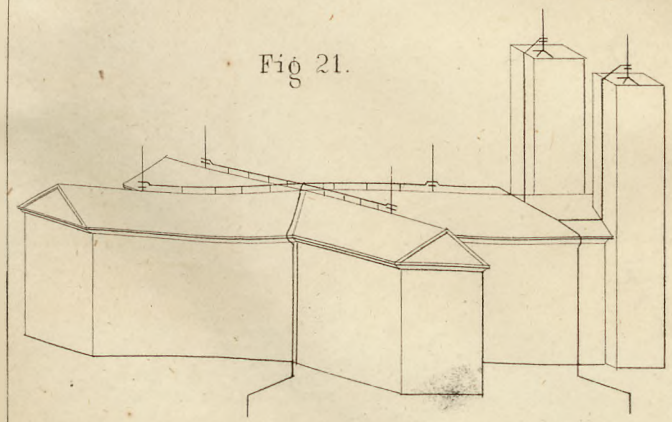


Fig. 27.

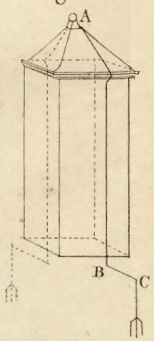


Fig. 28.

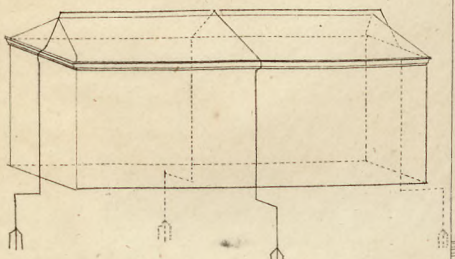


Fig. 29.

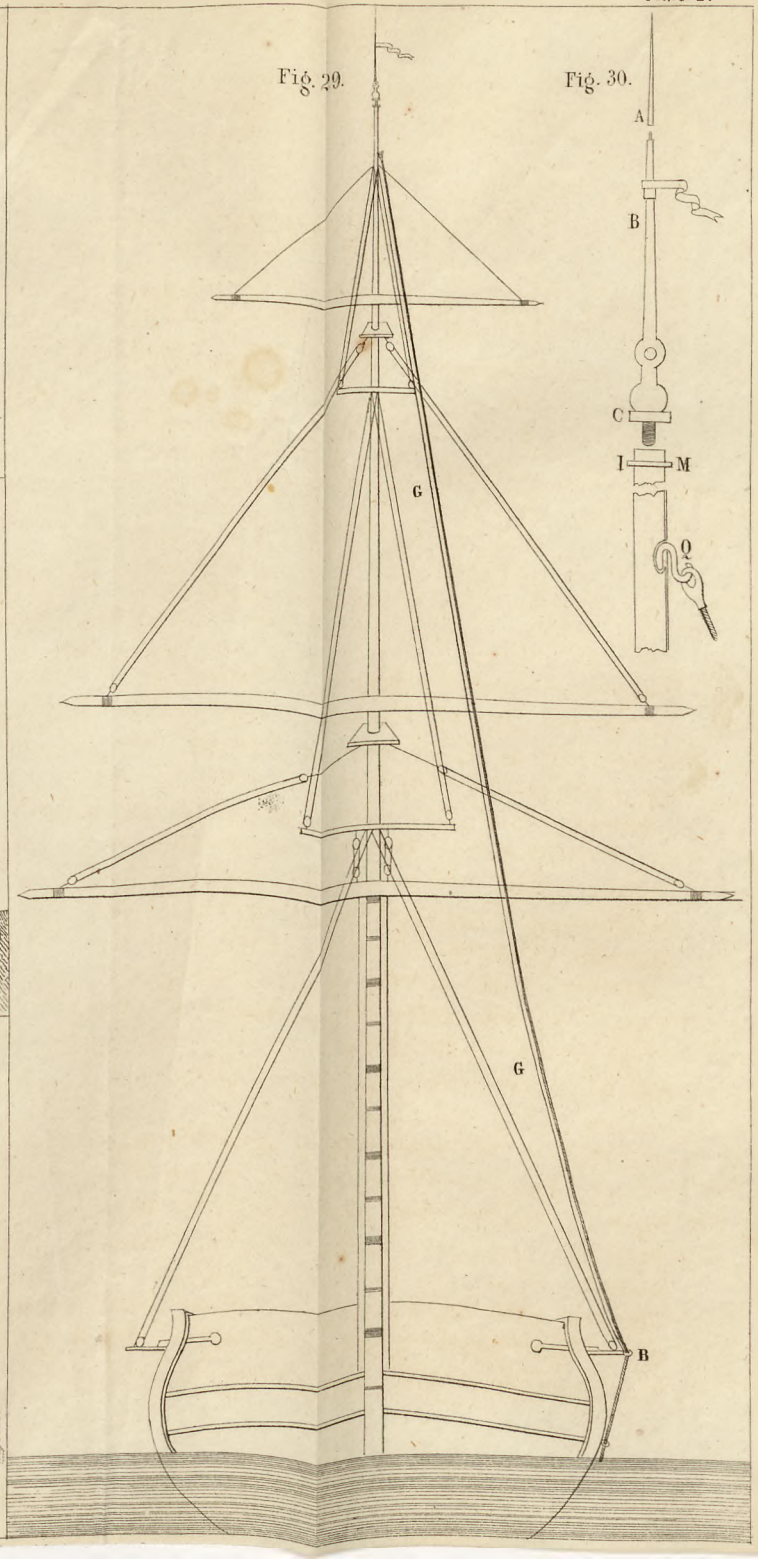


Fig. 30.

Fig. 1.

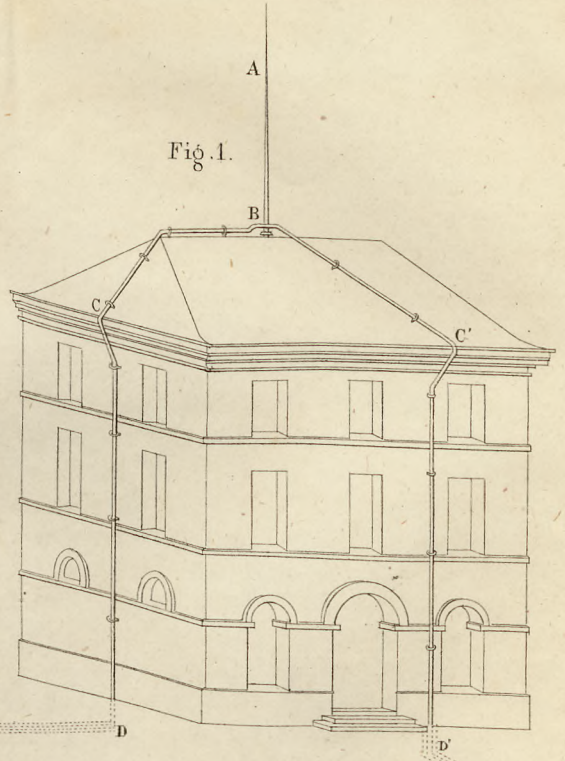


Fig. 2

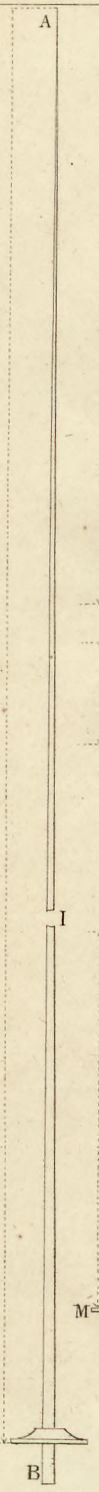


Fig. 3.

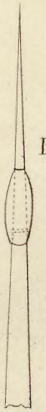


Fig. 4.

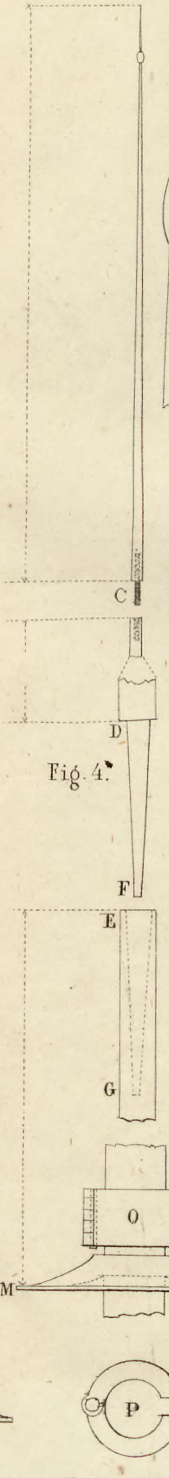


Fig. 7.

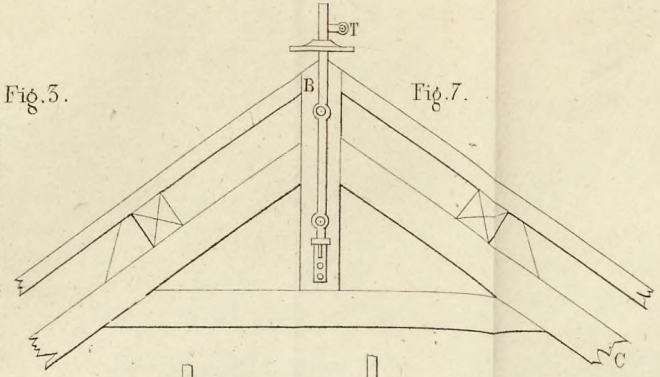


Fig. 8.

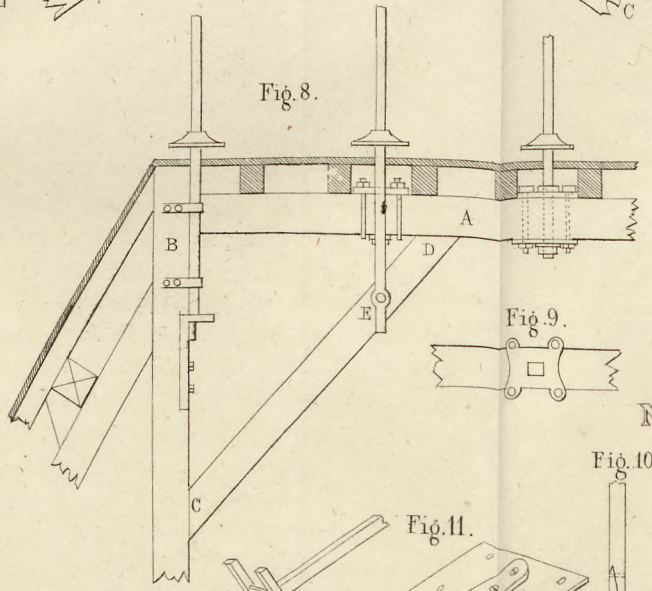


Fig. 9.

Fig. 10.

Fig. 11.

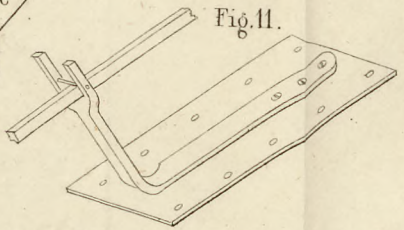


Fig. 12.

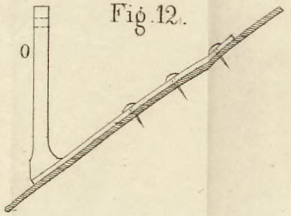


Fig. 25.

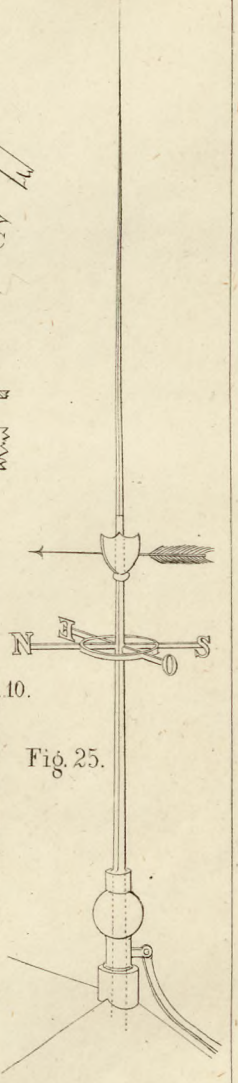


Fig. 13.

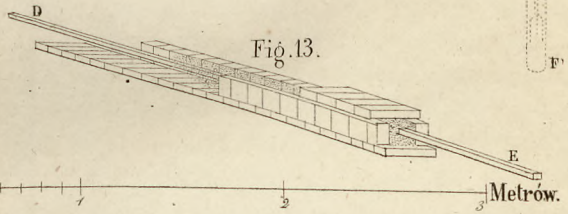


Fig. 16.

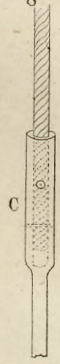


Fig. 15.

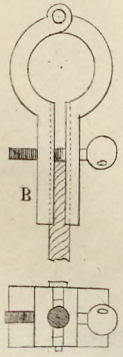


Fig. 5.

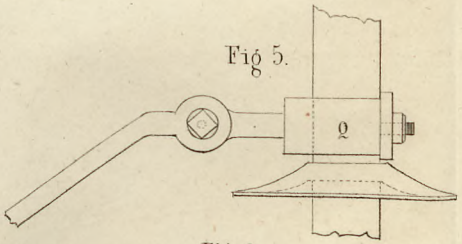
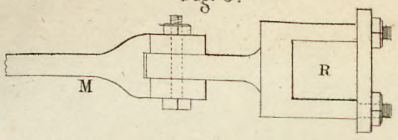
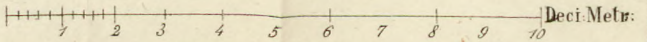


Fig. 6.





Daleko bezpieczniéj jest bez konduktora, niż gdy ten jest zły lub zepsuty. Nieszczęśliwe wypadki, które niejednokrotnie miały miejsce z tego powodu, zrodziły nieufność do konduktorów, i niewiele upłynęło czasu od daty wynalazku, gdy zapał do ich urządzania ostygł. Francya, uprzedzająca wszystkie narody, nawet Amerykę w doświadczeniach, które dowiodły sposobem najbardziéj stanowczym i najświetniejszym prawdy przypuszczeń Franklina co do natury piorunu, została w tyle na téj drodze. Luwr był piérwszym gmachem publicznym, który we Francyi uzbrojono konduktorami; późniéj urządzono konduktory w innych miejscach, a ówczesny rząd francuzki, oceniając ich użyteczność, wezwał w roku 1783 Akademią nauk, ażeby wskazała zasady stawiania konduktorów. Kommissya wyznaczona do ułożenia instrukcyi składała się z Franklina, La Place'a, Le Roy i opata Rochon. Późniéj, mianowicie w roku 1823 minister oświecenia, powodowany tém, że około tego czasu wielka liczba kościołów była uszkodzona przez pioruny, pragnąc je zabezpieczyć nadal od podobnych wypadków, postanowił urządzić na tych budynkach konduktory. Chcąc zaś projekt ten najdokładniéj wykonać, zażądał od Akademii nauk, nowéj i jak najściślejszéj instrukcyi tego przedmiotu dotyczącéj.

Akademia do tego wyznaczyła ze swego grona kommissyą, któréj sprawozdawcą był Gay-Lussac; instrukcya przez niego podana zyskała zatwierdzenie Akademii, była przedstawiona ministrowi oświecenia, i ogłoszona po rozmaitych pismach, i tę wkrótce przełożono na wiele języków europejskich. Obecnie zaś powodem do jéj ogłoszenia była prośba zaniesiona do Akademii przez towarzystwo zajmujące się budową pałacu przemysłu na polach Elizejskich wzniesionego, o wskazanie środków jakich użyć wypadało, aby ochronić ten wielki gmach publiczny od uderzeń piorunu.

Akademia poleciła zbadanie tego przedmiotu sekcyi fizycznéj, która po dostatecznem jego zgłębieniu, uważała za stosowne poczynić w Instrukcyi z roku 1823 małe zmiany, ze względu na teraźniejszy system budowania, nie zmieniając wcale zasad w niéj wskazanych, i zmiany te podała w osobnym dodatku.

Uważając ten przedmiot za bardzo ważny i dla naszego kraju, sądziliśmy, że przepolszczenie go będzie pożytecznem. Instrukcya o konduktorach, zawierająca wyjaśnienie zjawisk pio-

runu, tłumaczenie działania chmur napojonych elektrycznością na przedmioty znajdujące się na ziemi, wpływ konduktorów na chmury burzliwe, sposoby stawiania konduktorów, tudzież zmiany jakie obecnie stosownie do zasad nauki w budowie ich zaprowadzić wypadnie, a polecone przez Akademią i t. d. podana jest w zupełności; pominięte zaś lub skrócone zostały te części, które zawierają wiadomości czysto miejscowe, lub mniéj dla naszego kraju potrzebne.

Instrukcya o konduktorach z roku 1823. *Sprawozdawca Gay-Lussac.*

Nieszczęśliwe wypadki, które się przytrafiły we Francyi w roku 1821, przez uderzenie piorunu w kilka kościołów, skłoniły ówczesnego ministra oświecenia, że oddawna obmyślony projekt zaopatrzenia tych budowli konduktorami, postanowił doprowadzić do skutku. W tym celu wezwał królewską Akademią nauk do zredagowania instrukcyi, któréj głównym celem być powinno, ażeby służyła jako przewodnik przy budowie i urządzaniu konduktorów. Akademia wezwała oddział fizyczny, aby napisał instrukcyą i przedstawił ją potém do jéj zatwierdzenia.

Starając się o ile możności odpowiedzieć widokom ministra, uważano za stosowne przypomnieć w krótkości zasady, na których opiera się nauka tycząca się budowy konduktorów, tak dla wyjaśnienia jéj tym, którzy wezwani będą do urządzania konduktorów, jakotéż i dlatego, że zasady te nie są jeszcze dostatecznie znane: pożytecznie zatém będzie je upowszechniać. Instrukcya zawierać będzie dwie części: teoretyczną i praktyczną, różniące się jedna od drugiéj, i których oddzielnie radzić się będzie można.

CZĘŚĆ TEORETYCZNA.

Zasady tyczące się działania piorunu, czyli płynu elektrycznego, tudzież działania konduktorów.

To co nazywają piorunem, jestto gwałtowne przejście przez powietrze płynu elektrycznego, znajdującego się w chmu-

rach burzliwych w postaci wielkiéj świetnéj wstęgi. Prędkość elektryczności jest niezmiernie wielka, i o wiele przechodzi prędkość kuli działowéj, która, jak wiadomo, wynosi 600 metrów (1800 stóp) na sekundę.

Elektryczność przenika ciała, i przebiega właściwą ich materyą, lecz z prędkością bardzo nierówną. *Przewodnikami* nazwano ciała przeprowadzające czyli przepuszczające szybko elektryczność wewnątrz tychże ciał wśród ich cząstek: takiemi są węgiel mocno wypalony, woda, rośliny, zwierzęta, ziemia w miarę tego jak jest napojona wilgocią, roztwory solne, a szczególniéj metale, które w tym względzie od innych ciał nierównie są wyższe. Walec np. żelazny przeprowadza w tym samym czasie przynajmniéj 100 milionów razy więcéj elektryczności, a niżeli równéj wielkości walec wody czystéj, ta zaś około 1000 razy mniéj aniżeli nasycony roztwór soli morskiéj.

Ciała, które z trudnością tylko przepuszczaju elektryczność pomiędzy swemi cząstkami, i w których ona nie może się poruszać z łatwością, zostały nazwane *nieprzewodnikami*, *złemi przewodnikami* albo *ciałami odosabniającemi*; takiemi są: szkło, siarka, żywice, oleje; ziemia, kamień i cegła suche; powietrze i gazy.

Pomiędzy przewodnikami nie ma jednak żadnego ciała, któreby ruchowi elektryczności nie przedstawiało wcale oporu; opór ten powtarzając się nieustannie w każdéj części przewodnika, powiększa się z jego długością, i może się nawet stać większym od oporu, jakiby przedstawiał gorszy przewodnik, lecz mniejszéj długości.

Elektryczność większego także doznaje oporu w przewodniku małéj średnicy, a niżeli w podobnym mającym większą średnicę. Można przeto zastąpić niedokładność przewodnictwa ciał, powiększając stosownie średnicę przewodników, a zmniejszając ich długość. Najlepszym przewodnikiem elektryczności jest ten, który jéj ogólnie mówiąc, przedstawia najmniéj oporu, i przez który przechodzi ona z największą szybkością.

Cząsteczki płynu elektrycznego są obdarzone siłą odpychającą, w skutku któréj dążą do oddalenia się od siebie i rozejścia się w przestrzeni; nie mają one żadnego powinowactwa do ciał, gromadzą się tylko na ich powierzchni, gdzie tworzą

bardzo cienką warstwę, zakończoną na zewnątrz powierzchnią tychże ciał; są one na ciałach zatrzymywane jedynie przez ciśnienie powietrza, przeciw któremu wzajemnie wywierają ciśnienie odpowiednie na każdym punkcie, w stosunku kwadratu z ich liczby. Gdy to ostatnie ciśnienie stanie się większém od piérwszego; płyn elektryczny uchodzi w powietrze w postaci niewidzialnego strumienia, albo w kształcie świetnéj smugi, któréj dano nazwisko *iskry elektrycznéj*.

Warstwa płynu elektrycznego zebrana pod powierzchnią przewodnika, na każdym punkcie jego powierzchni nie ma jednakowéj liczby cząsteczek, czyli nie wszędzie jest jednakowéj gęstości, jeśli powierzchnia ta nie jest kulą; na powierzchni elipsoidy obrotowéj, gęstość ta jest większa na końcach osi wielkiéj jak na równiku, a to w stosunku tych dwóch osi; na wierzchołku zaś ostrokręgu jest nieskończenie wielka. W ogólności na ciałach jakiejkolwiek formy, gęstość płynu elektrycznego, a ztąd i ciśnienie jego na powietrze, daleko jest większe na częściach ostrych, albo bardzo zakrzywionych, niżeli na częściach płaskich lub nieco zaokrąglonych.

Płyn elektryczny okazuje zawsze dążność do rozejścia się po przewodnikach, i ułożenia się do równowagi; gdy ich jest kilka, rozdziela się między nie w stosunku ich formy, a głównie w stosunku rozległości ich powierzchni. Z tego wypada, że gdybyśmy jakie ciało nim naładowane połączyli z niezmierną powierzchnią ziemi, płyn elektryczny nie zostałby widocznie zatrzymanym. Aby więc konduktor utracił swą materyą elektryczną, dostateczném jest zetknięcie go z wilgotnym gruntem. Jeśli płyn elektryczny w swém przejściu z ciał do ziemi natrafia na rozmaite przewodniki, zawsze wybiera sobie najlepsze; lecz jeżeli one co do przewodnictwa nie są bardzo różne, wówczas rozdziela się między wszystkie, w stosunku łatwości ich do przeprowadzania tegoż płynu.

Konduktor jest przewodnikiem, który płyn elektryczny przekłada nad otaczające ciała, dla dostania się do ziemi i rozejścia się po niéj. Zwykle jestto pręt żelazny wzniesiony nad budowlą, którą ma ochraniać, i bez żadnéj przerwy zapuszczony aż do wody lub do gruntu wilgotnego. Ścisła kommunikacya konduktora z ziemią jest konieczną dlatego, ażeby tenże mógł jak najprędzéj przeprowadzać płyn elektryczny piorunu, w miarę jak się ten ostatni na nim gromadzi, i przez to zabezpieczał od ude-

rzenia przedmioty otaczające. Wiadomo, że gdy piorun doszedłszy do powierzchni ziemi, nie natrafi tam na dobry przewodnik, zagłębia się w niéj dopóty, aż napotka dostateczną liczbę ujść, przez które rozejść się może i rozpłynąć w zupełności. Niekiedy znajdujemy widoczne ślady jego przejścia w głębokości więcéj niż 10 metrów (30 stóp). Z tego zatém wynika, że jeśli konduktor ma przerwy, albo jeżeli nie jest dokładnie połączony z gruntem wilgotnym, piorun po uderzeniu opuszcza go dla przejścia do ciał otaczających, albo przynajmniéj między nie się rozdziela, ażeby prędzéj spłynąć do ziemi.

Zdarzenie podobne miało miejsce przed kilką laty w okolicach Paryża. Zdarzyło się, że w przewodniku konduktora pewnego domu, była przerwa na 55 centimetrów (20 cali) i piorun po uderzeniu w pręt konduktora przedziurawił dach, aby się przenieść do rynien z białéj blachy.

PP. Rittenhouse i Hopkinson w 4tym tomie *Tranzakcyi filozoficznych amerykańskich* przytaczają godny uwagi przykład innego zdarzenia, którego przyczyną było niedokładne połączenie konduktora z gruntem. Piorun miał uderzyć w konduktor, stopił głęboko jego koniec, a po obejrzeniu ziemi okazało się, że część piorunu zagłębiła się w gruncie po przewodniku konduktora, gdy druga część nie mogąc dosyć prędko spłynąć tąż samą drogą, uszkodziła dach, dla przejścia od prętą konduktora do rynny miedzianéj, po któréj spłynęła. Rynna ta była napełniona wodą, przedstawiała przeto łatwy przepływ piorunowi do gruntu.

Nim piorun uderzy, chmura burzliwa swoim wpływem zmienia stan naturalny wszystkich ciał umieszczonych pod nią na powierzchni ziemi; przyciąga ku sobie t. j. w górę płyn elektryczny natury przeciwnéj, jakim sama jest napojona, a odpycha do ziemi płyn elektryczny téj saméj natury, jaki się w niéj znajduje. Każde ciało jest tym sposobem napojone elektrycznością, i staje się samo środkiem przyciągającym piorun, który uderza w ten właśnie przedmiot, przez który przechodzi wypadkowa tych cząstkowych przyciągań.

Aby więc płyn elektryczny zebrany na ciałach wpływem chmury burzliwéj, doszedł szybko na pewnym przedmiocie największego natężenia, i w skutek tego nabył siły attrakcyjnéj, koniecznie potrzeba, aby przedmiot ten był dobrym przewodnikiem, i aby był dokładnie połączony z gruntem wilgotnym.

Płyn elektryczny zebrany na ciałach znajdujących się na powierzchni ziemi, wpływem chmury burzliwéj nagromadza się w nich powoli w miarę jak chmura nad nie nadchodzi, i zmniejsza się w tym samym stosunku w miarę jak się chmura od nich oddala. Przypuściwszy, że jedném z tych ciał jest człowiek, to on nie dozna żadnego uczucia szczególnego, z powodu téj postępowéj odmiany natężenia płynu elektrycznego, pomimo, że mógłby być mocno naelektryzowanym; lecz gdyby chmura nagle się rozbroiła, wówczas mógłby nie będąc uderzonym od piorunu, doznać bardzo mocnego wstrząśnienia, skutkiem nagłego wracania płynu elektrycznego do powierzchni gruntu, które mogłoby być dosyć silne, aby go zabić. W chwili, gdy przedmiot jakiś ma być uderzony piorunem, jest tak silnie naelektryzowany wpływem chmury burzliwéj, że jeżeli znajduje się w dokładnéj kommunikacyi z gruntem wilgotnym, płyn elektryczny na nim zebrany, może uprzedzić płyn elektryczny chmury i przebiedz część drogi między chmurą i przedmiotem. To bez wątpienia dało niektórym ludziom powód do sądzenia, że piorun zamiast spadać z nieba do ziemi, wznosi się czasem z ziemi do nieba. Jakkolwiekbądź pomimo tego zdania, którego nie warto roztrząsać, teorya i wpływ konduktorów w każdym przypadku pozostałyby zawsze też same.

Jeśli konduktor zostaje w dokładnéj kommunikacyi z gruntem i zakończony jest nie okrągło lecz ostro, płyn elektryczny może nagromadzić się na ostrzu konduktora pod wpływem chmury burzliwéj w tak wielkiéj ilości, że ciśnienie powietrza zatrzymać go nie może, i w takim razie spływa z ostrza do chmury pod postacią ciągłego strumienia, który czasami staje się widzialnym w ciemności pod postacią wstęgi świetnéj na wierzchołku ostrza, i zapewne zobojętnia w części płyn elektryczny chmury burzliwéj (1).

Jednakże attrakcya wywierana przez płyn elektryczny, zebrany na konduktorze zakończonym śpiczasto, na płyn elektryczny chmury, nie będzie pewnie większa niż wtenczas, gdyby

(1) Te ognie elektryczne oprócz konduktorów okazują się także niekiedy i na innych ciałach, częściéj zdarzają się one na morzu na okrętach niż na lądzie, i znane są tam pod nazwą ognia św. Elma, Kastora, Polluksa, i t. p. Podczas wielkich burz widziano niekiedy na wierzchołku wielkiego masztu, pod postacią ognistego płomyka, który mocno trzaskał, i od czasu do czasu wydawał odgłos podobny do wystrzału petardy.

był zakończony okrągło, a nawet prędzéj będzie mniejszą; lecz jeżeli odpływ płynu elektrycznego przez ostrze konduktora stanie się bardzo szybkim, wówczas piorun wcześniéj uderzy między chmurą burzliwą i konduktorem, i z większéj odległości, niż gdyby ten był zaokrąglony na końcu. Przynajmniéj do tego wniosku prowadzą doświadczenia elektryczne.

Widocznie więc, że dla konduktora najlepszym kształtem jest postać ostrokręgu bardzo wązkiego. Wreszcie im więcéj konduktor wznosić się będzie w powietrze, tym skuteczność jego będzie większa.

W sławnych doświadczeniach Romasa, assesora przy trybunale w Nérac, i w dawniejszych jeszcze Charles'a, które zależały na puszczeniu do wysokości 200 lub 300 metrów, pod chmurę burzliwą latawca, w sznur którego wpleciony był drut żelazny, zakończony sznurem jedwabnym; sprowadzono do powierzchni ziemi strumień elektryczny tak wielki, że był strasznym, i byłoby nieroztropném wystawiać się na jego działanie (1). Wpływ więc konduktora na płyn elektryczny chmury burzliwéj jest taki sam, jak latawca, z różnicą tylko co do siły;

(1) Doświadczenia Romasa są tak ciekawe i tak ważne dla okazania skuteczności konduktorów, że uważamy za stosowne tu je przytoczyć.

Latawiec miał $7^1/_2$ stóp wysokości i 3 stopy szerokości; sznur jego stanowił szpagat konopny w który wpleciony był drut żelazny. Romas przez zakończenie go sznurem jedwabnym, i właściwe urządzenia, nadał możność obserwatorowi robienia wszelkich doświadczeń, jakie tylko uzna za stosowne, bez obawy najmniejszego niebezpieczeństwa dla jego osoby.

Za pomocą tego latawca 7go czerwca 1753 roku około godziny 1éj z południa, puściwszy go do wysokości 150 stóp od ziemi na sznurze 750 stóp długim, który czynił z poziomem kąt 45 stopni, wydobył ze swego konduktora iskry 3 cale długie i 3 linie grube, których trzaskanie dało się słyszeć na 200 około kroków. Wydobywając te iskry uczuł na twarzy coś podobnego do pajęczyny, pomimo że był oddalony więcéj niż na 3 stopy od sznura latawca, co było powodem iż osądził, że nie było dla niego bezpiecznem pozostać w takiéj odległości: zawołał przeto na otaczających aby się oddalili i sam oddalił się na 2 stopy. Sądząc się teraz bezpiecznym i nie mając nikogo około siebie, zwrócił uwagę na to co się działo w chmurach, które były wprost nad latawcem, lecz nie postrzegł błyskawic ani w nich, ani gdziekolwiekindziej, ani nawet nie usłyszał najmniejszego grzmotu i deszcz wcale nie padał.

Wiatr był zachodni i dosyć silny, uniósł latawca przynajmniéj o 100 stóp wyżej jak w przódy.

Następnie zwracając oczy na rurkę z białej blachy, która była przywiązana do sznurka latawca na 3 stopy około od ziemi, spostrzegł trzy słomki z których jedna miała blizko stopę długości, druga 4—5 cali: a trzecia 3—4 cali, które postawały pionowo w górę i zaczęły pod rurką z blachy żelaznej niby taniec krążący jak maryonetki, nie dotykając się

i im wyżéj konduktor wznosić się będzie, tym większą okaże działalność, nietylko dla ochronienia od piorunów przedmiotów otaczających, lecz jeszcze dla ściągnienia płynu elektrycznego z chmury burzliwéj i zobojętnienia go.

Rozległość skutecznéj sfery działania konduktora nie jest dokładnie znana i zależy od wielu okoliczności, które są trudne do ocenienia; jednakże od czasu gdy uzbrojono niemi budowle, niektóre spostrzeżenia nauczyły, że te części budowli, które znajdowały się od pręta konduktora w odległości przenoszącéj 3—4ch razy jego długość, zostały uderzone piorunem. Twierdzą, według zdania Charlesa, który bardzo wiele zajmował się tym przedmiotem, że konduktor może skutecznie ochronić około siebie od uderzeń piorunu przestrzeń naokoło o promień podwójnej jego wysokości; i podług tego prawidła ustawiają konduktory na budowlach.

Gdy płyn elektryczny od jednego do drugiego ciała przechodzi przez dobry przewodnik, nie okazuje swego przejścia ża-

jedna drugiéj. To małe widowisko, które rozweseliło kilka osób z towarzystwa, trwało blizko kwadrans, poczém gdy kilka kropli deszczu upadło, uczuł znowu pajęczynę na twarzy i w tym samym czasie usłyszał ciągły szmer podobny do tego, jaki wydaje miech kowalski. Byłato nowa przestroga wskazująca powiększenie elektryczności, a od pierwszéj chwili, gdy Romas spostrzegł skaczącą słomę, nie śmiał już więcéj odbierać żadnéj iskry, nawet z wszelkiemi ostrożnościami, i poprosił znowu widzów aby się jeszcze dalej odsunęli.

Zaraz potém nastąpiła ostatnia scena, a Romas wyznał że dała mu powód do przestrachu. Dłuższa słoma była przyciągnięta przez rurkę z białéj blachy i ztąd wynikły trzy explozye, których huk podobny był do piorunu. Ktoś z towarzystwa porównywał go do huku rakiet, a inni do huku jaki ma miejsce, gdy wielki dzban gliniany zostaje o bruk rozbity. Jest pewnem, że huk ten usłyszano ze środka miasta, pomimo dosyć znacznego hałasu jaki podczas tego tam panował.

Ogień jaki się dał spostrzedz w chwili explozyi miał kształt wrzeciona, 8 cali długiego a 5 linii średnicy; iecz najwięcéj zadziwiającą i najzabawniejszą dla widzów była ta okoliczność, że słoma która była przyczyną explozyi, poruszała się po sznurku latawca. Ktoś z towarzystwa widział ją o 45 do 50 sążni w górze przyciąganą i odpychaną kolejno, z tą szczególną okolicznością, że za każdą razą gdy była przyciągnięta przez sznur, widziano wstęgi ogniste i słyszano trzaskania, które jednak nie były tak głośne jak w chwili pierwszéj explozyi.

Godném jest uwagi, że od czasu gdy nastąpiła explozya, aż do końca doświadczeń, nie widziano wcale błyskawic i zaledwie słyszano grzmoty. Obecni uczuli zapach siarki bardzo zbliżający się do tego, jaki wydaje świetny wypływ elektryczny wychodzący z końca naelektryzowanéj sztaby metalicznéj. Około sznura okazał się świetny cylinder 3 do 4ch cali średnicy, a ponieważ to odbywało się w dzień, Romas nie wątpił, że gdyby to miało miejsce w nocy, ta atmosfera elektryczna wydawałaby się 4—5 stóp średnicy. Nakoniec gdy doświadczenia były ukończone, spostrzeżono w ziemi wprost pod rurką z blachy bia-

dném widocznem zjawiskiem, lecz gdy przechodzi przez powietrze, albo jakiebądź inne ciało, które jest nieprzewodnikiem, oddziela jego części i rozdziera je; i wówczas okazuje się pod postacią smugi świetnej, przytém daje się słyszeć huk mniéj lub więcéj mocny. Próżnią, jaką płyn elektryczny w przebiegu swym zostawia po sobie w powietrzu, z powodu wielkiéj szybkości, nie zdoła tak prędko zapełnić się przez powietrze, jak prędko płyn elektryczny z niéj uchodzi; a ponieważ próżnia ta jest dobrym przewodnikiem elektryczności, płyn elektryczny w skutek tego ma dosyć czasu do opuszczenia części konduktora najbardziéj oddalonych, ażeby się w tę próżnią rzucić, i przejść do ziemi.

Z téjto przyczyny, jakikolwiek przewodnik naelektryzowany, równie dobrze oswobadza się w powietrzu, gdy spada iskra, jak przez chwilowe zetknięcie się z przewodnikiem będącym w połączeniu z ziemią.

Strumień płynu elektrycznego świetnego lub nie świecącego, zawsze jest połączony z ciepłem, którego natężenie zależy od natężenia strumienia. Ciepło to jest dostateczne do dopro-

łéj otwór znacznéj głębokości, a ½ około cala szeroki, który zapewne był utworzony przez wielkie iskry elektryczne, które z hukiem spadały do ziemi.

Te godne uwagi doświadczenia skończyły się upadkiem latawca z przyczyny, że wiatr raptownie zmienił kierunek na wschodni; zaczął padać deszcz bardzo obfity, pomieszany z gradem. Gdy latawiec upadł, sznur jego zaczepił się o daszek, i gdy od téj przeszkody został oswobodzonym, trzymający go tak silnie został uderzony w ręce i doznał tak mocnego wstrząśnienia w całem ciele, że musiał go rzucić, a sznur upadł na nogi kilku innych osób, które w skutek tego doświadczyły również dosyć silnego uderzenia elektrycznego, które jednakże było do wytrzymania nierównie żnośniejszém. Ilość płynu elektrycznego jaką ten latawiec innego razu z chmur sprowadził była rzeczywiście zadziwiająca; 28 sierpnia 1756 roku, widziano wychodzące z niego strumienie ogniste 1 cal grubości i 10 stóp długości. Ten zadziwiający huk, któryby może wyrządził tak szkodliwe skutki jak żadne z tych, o których wspomina historya, bezpiecznie był prowadzony za pomocą sznura latawca, do konduktora w bliskości przyczepionego, a huk był równy odgłosowi, jaki wydają wystrzały pistoletowe, (Historya elektryczności przez Pristleya. T. 2 strona 205, tłumaczenia francuzkiego).

Charles który robił doświadczenia podobne do doświadczeń Romasa, lecz w daleko większéj liczbie, otrzymywał niekiedy skutki jeszcze bardziéj zadziwiające, i nie wątpił, jak powiada, że mógłby rozbroić chmurę burzliwą.

Podług tych doświadczeń nie ulega wątpliwości, że konduktory umieszczone na wieżach bardzo wysokich, jak np. w Strasburgu, która ma 347 stóp wysokości, zdołałyby ściągnąć wielką ilość płynu elektrycznego z chmur burzliwych, uprzedzając uderzenie piorunu: nawet śmiało sądzićby można, że gdyby podobne konduktory były pomnożone na powierzchni całéj Francyi, uprzedziłyby tworzeniu się gradu, który podług spostrzeżeń Volty zdaje się być zjawiskiem czysto-elektrycznem.

wadzenia do czerwoności, stopienia lub nawet ulotnienia drutu metalicznego, stosownie cienkiego, lecz zaledwie podnosi temperaturę sztaby metalicznéj, z przyczyny że massa jéj jest wielka. W skutek ciepła właściwego strumieniowi płynu elektrycznego, a także w skutek ciepła wydobywającego się z powietrza zgęszczonego przez piorun, tenże tak często zapala budowle.

Nie ma jeszcze przykładu, ażeby piorun stopił lub nawet do czerwoności doprowadził sztabę żelaza 13—14stu millimetrów (6 linij) w kwadrat mającą, albo cylinder téj saméj średnicy (1).

W budowie zatém konduktora dostatecznem byłoby użyć sztaby żelaznéj, którąby miała wskazane wymiary, lecz jego pręt który ma wznosić się w powietrze na 5—10 metrów (15—30 stóp), nie miałby przy podstawie dostatecznéj siły do oparcia się wiatrom, i dlatego należy mu dać w tém miejscu daleko znaczniejszą grubość. Co zaś do przewodnika konduktora, sztaba żelazna 16—20 millimetrów (7—9 linij) w kwadrat jest dostateczną. Możnaby go nawet zrobić cieńszym i użyć do tego prostego drutu metalicznego, aby tylko, gdy będzie sprowadzonym do powierzchni ziemi, połączyć go ze sztabą metaliczną 5—6 linij w kwadrat, którąby zagłębiała się w wodzie albo w warstwie ziemi wilgotnéj. Drut wprawdzie byłby z pewnością zniszczony przez piorun, lecz wskazałby mu kierunek aż do gruntu, i przeszkodził przeniesieniu się jego na ciała otaczające. Wreszcie lepiéj zawsze będzie dać przewodnikowi dostateczną

(1) Widzieliśmy, powiadają autorowie instrukcyi, wiele prętów konduktorów w które piorun uderzył: końce ich były stopione na 3—4 millimetrów (1, 3—1, 8 linij), jednakże stopienie może dojść daleko głębiéj, a Franklin w liście de Landrianiego wspomina przykład tym więcéj zasługujący na uwagę, że wydarzył się w własnym jego domu.

„Znajduję, mówi Franklin, po powrocie do Filadelfii, że liczba konduktorów bardzo pomnożoną została, ponieważ użyteczność ich i skuteczność do ochronienia budowli od piorunu wieloma probami stwierdzoną została. Pomiędzy innemi mój dom pewnego dnia uderzony został silnym piorunem. Sąsiedzi spostrzegłszy to przybiegli natychmiast, aby przynieść ratunek w razie gdyby ogień się pokazał, lecz nie było żadnéj szkody, i znaleźli tylko familią bardzo przestraszoną gwałtownością wstrząśnienia".

„W przeszłym roku uskuteczniając niektóre powiększenia budowli, musiano zdjąć konduktor. Oglądając go znalazłem, że ostrze mosiężne które miało gdy go osadzano 9 cali długości i około $^1/_3$ cala średnicy w swojéj części najgrubszéj, było prawie zupełnie stopione, i tylko bardzo mała jego część została przy pręcie żelaznym. Tak więc wynalazek stał się użytecznym dla samego wynalazcy, i dozwolił mu korzystać z przyjemności, że stał się pożytecznym i dla innych".

grubość, ażeby piorun nie mógł go nigdy zniszczyć; i nie radzimy tu wcale, ażeby robić go z pojedynczego drutu metalicznego, chyba tylko w celu zmniejszenia kosztów budowy konduktorów, aby uczynić je przystępnemi dla każdego obywatela.

Huk jaki piorun wydaje, sprawia zwykle wiele przestrachu, lubo całe niebezpieczeństwo już minęło; nie ma nawet niebezpieczeństwa dla osoby, która widziała błyskawicę: gdyby bowiem miała być uderzoną piorunem, nie widziałaby go, ani nie usłyszałaby huku piorunu, któryby miał w nią uderzyć. Grzmot następuje zawsze po błyskawicy, i pomiędzy jéj zjawieniem się i hukiem, który po niéj następuje, upływa tyle sekund, ile razy 340 metrów (174, 5 sążni) 1172 stóp pol. mieści się w odległości pomiędzy miejscem gdzie się znajdujemy, a tém, gdzie piorun uderzył.

Piorun często uderza w drzewa odosobnione, ponieważ te wznoszą się do wielkiéj wysokości, zapuszczając głęboko w ziemię swe korzenie; są więc prawdziwemi konduktorami, lecz ochrona ich staje się częstokroć zgubną dla osób, które jéj pod niemi szukają. Nie przedstawiają one w istocie piorunowi dość szybkiego odpływu w ziemię, i są gorszemi przewodnikami niż człowiek i zwierzęta (1).

Piorun doszedłszy do ich podstawy rozdziela się pomiędzy przewodniki które napotyka, albo unika niektórych, stosownie jak nagły jest jego odpływ; i widziano często, że piorun zabija wszystkie zwierzęta chroniące się pod drzewo, a niekiedy tylko jedno. Woda jest także gorszym przewodnikiem niż zwierzęta, a to bezwątpienia z przyczyny soli, jakie znajdują się w płynach zwierzęcych; piorun bowiem niekiedy uderza i zabija zwierzęta zupełnie w wodzie zanurzone. Przeciwnie konduktor zaś, aby tylko znajdował się w dokładnéj kommunikacyi z gruntem, przedstawia bardzo bezpieczną ochronę przeciw piorunowi; ponieważ ten nigdy go nie opuści, aby przenieść się na człowieka znajdującego się u jego podstawy. Jednakże z obawy przerw, które mogą mieć miejsce, albo z powodu niedokładnéj kommunikacyi z gruntem wilgotnym, bardzo roztropnie uczynimy oddalając się od konduktora.

(1) Dowodem, że piorun nie znajduje w drzewach dostatecznego odpływu do ziemi jest to, że je łamie i rozdziera prawie zawsze, co nie miałoby miejsca, gdyby były dobremi przewodnikami. Prześlizguje się on zwykle pomiędzy korą i bielem, ponieważ tam znajduje się najwięcéj wilgoci, i tam właśnie najmniéj doznaje oporu.

Na wsi, a nawet często w miastach dzwonią gdy burza się zbliża, aby oddalić i przeciąć, jak mówią, chmurę burzliwą; szukają także ochrony przeciwko piorunom w kościołach i dzwonnicach: lecz zwyczaj ten, jak okazuje doświadczenie, pociąga często za sobą najsmutniejsze skutki. Lubo pewnem jest, że piorun uderza często w te dzwonnice, w których dzwonią, jak i w te w których nie dzwonią (1); to jednak dzwoniący znajdują się w niebezpieczeństwie, gdyż mogą być uderzonemi z powodu sznurów, jakie trzymają w swych rękach, i które mogą sprowadzić piorun aż do nich.

Kościoły nie przedstawiają bezpieczniejszéj ochrony jak dzwonnice, czyto dlatego, iż te ściągnąwszy piorun na siebie z przyczyny swéj wysokości, niezawsze mogąc sprowadzić go do ziemi, wystawiają kościoły na jego działanie; czyto dlatego, że nagromadzone indywidua stanowią wielki przewodnik, na który piorun spada daleko łatwiéj niż na inne przedmioty otaczające. Roztropność więc wymaga, że dopóki dzwonnicę i kościoły nie będą uzbrojone konduktorami, niepotrzeba się tam gromadzić podczas burzy. Ażeby przytoczyć uderzający dowód, że takie postępowanie grozi wielkiém niebezpieczeństwem, odsyłam czytelnika do zdania sprawy o nieszczęściach, jakie się zdarzyły w Chateau-neuf-les-Moustiers 11 lipca 1819 roku, będących skutkiem piorunu, a które było nadesłane królewskiéj akademii nauk przez pana Irencalye, wikaryusza generalnego z Digne. Sprawozdanie to ogłoszono w Rocznikach Akademii tom 12 str. 354.

Wiadomo, że gdy piorun uderza w budowlę, spada najprędzéj w kanały kominowe, czyto dlatego, że w ogóle są to części najwyższe, czy też dlatego, że są pokryte sadzami, które są lepszym przewodnikiem jak suche drzewo i cegła. Sąsiedztwo komina jest więc najmniéj bezpiecznem miejscem w mieszkaniu od uderzenia piorunu; lepiéj jest trzymać się w kącie przeciwległym oknom, w oddaleniu od wszelkiego rodzaju znaczniejszych okuć.

(1) Zdaje się nawet, że uderza częściéj w dzwonnice gdzie dzwonią, aniżeli w te, gdzie nie dzwonią. W roku 1718 Deslandes zawiadomił królewską akademią nauk, że w nocy z 14go na 15ty kwietnia tegoż roku, piorun uderzył w 24 kościoły od Landerneau aż do Saint-Pol-de-Leon w Bretanii. i że kościoły były rzeczywiście te, w których dzwoniono; tudzież że piorun pominął te właśnie w których nie dzwoniono. W kościele w Couesnon, który został zupełnie zniszczony, piorun zabił dwie osoby z czterech, które dzwoniły (Historyą król. akad. nauk 1719).

Skutki piorunu są najrozmaitsze i na pozór najdziwniejsze, wszystkie jednakże łatwo mogą być tłumaczone przez niektóre ogólne fakta, których przytoczenie w tém miejscu będzie bardzo pożyteczném. Piorun albo co na jedno wychodzi płyn elektryczny w skutku repulsyi (odpychania) swoich cząsteczek, obdarzony jest siłą mechaniczną, za pomocą któréj może zwyciężyć ciśnienie powietrza albo płynów, i rozłupać lub zgruchotać ciała stałe, które są nieprzewodnikami.

Piorun wybiera zawsze najlepszy przewodnik, jeżeli w nim znajduje łatwy odpływ, jak np. w sztabie metalicznéj. Nie sprawi więc żadnego znacznego uszkodzenia w konduktorze, gdy ten ma objętość dostateczną. Jeżeli zaś przewodnik, jak np. drut metaliczny nie ma dostatecznéj grubości; piorun zamienia go w parę, wydaje huk w powietrzu, i tworzy sobie próżnią, którą przebiega z łatwością. Jeżeli ciało uderzone piorunem jest nieprzewodnikiem, albo miernym przewodnikiem, albo nakoniec jeżeli przedstawia stosowny opór rozdzieleniu swoich części: piorun przejdzie w powietrzu na powierzchni tego ciała, i takowe w czasie jego przejścia mniéj lub więcéj głęboko uszkodzoném zostanie. Często można widzieć indywidua rażone piorunem, które jednakże nie zostały zabite, z przyczyny że piorun ślizga się po ich ciele, nie przenikając do ich wnętrza; zdarzyło się widzieć inne, które zupełnie ochronione zostały od uderzenia piorunu przez suknie jedwabne, które oddzielając płyn elektryczny od ciał, przeszkadzają aby piorun mógł się dostać do ciała.

Gdy piorun z powietrza przechodzi w metal i wzajemnie z metalu w powietrze, często topi metal w tém miejscu, w którém weń wchodzi i w tém w którém z niego wychodzi, ponieważ zostaje skupiony przez powietrze, które na niego ciśnie, a ztąd jego działanie staje się energiczniejszém. Dla tejto przyczyny czasem znaleźć możemy ślady stopienia na rogach, brzegach a nawet na płaszczyznach przewodnika w tych miejscach, gdzie jest przerwany i gdzie piorun z trzaskiem z niego uchodzi.

Piorun przechodząc po przewodniku, który nie jest przerwanym, lecz wchodzi w ciało które jest złym przewodnikiem, zwykle łamie to ostatnie i robi sobie próżnią, zapewniającą mu łatwy odpływ. Tym sposobem części metaliczne umoco-

wane w murze, wypadają w skutek pozbawienia podpór przez piorun, i zrucane są przez powietrze w biegu, które przybywa dla zapełnienia próżni, jaką one zostawiają.

Gdy części metalowego przewodnika oddzielone są jedne od drugich przez ciało, które jest miernym lub zupełnie złym przewodnikiem, piorun przebiega kolejno po tych wszystkich które znajdują się na jego drodze i przedstawiają najmniéj oporu jego odpływowi do gruntu. Jest on kolejno ściągany przez każdą z tych części; w częściach metalicznych nie jest widzialnym, lecz staje się widocznym, gdy z hukiem przelatuje z jednéj części na drugą, tworząc smugę świetną, która zdawać się będzie ciągłą, jeśli przerwy w przewodnikach są stosowne do ich długości.

Piorunowi towarzyszy zawsze ciepło: doprowadza on do czerwoności, topi i ulatnia przewodniki metalowe małéj średnicy, lecz sztaby 12—20 millimetrów (5—9 linij) w kwadrat nie doznają takich skutków.

Dlatego nieroztropném byłoby używać bardzo cienkich przewodników do prowadzenia piorunu pomiędzy ciałami palnemi; przeciwnie należy używać konduktorów dosyć grubych, aby się nawet znacznie rozgrzać nie mogły. Z powodu ciepła właściwego piorunowi, i skutkiem tego jakie się wywiązuje z powietrza i z ciał, przez które przechodzi przebijając je, wszystkie materye zdolne do prędkiego zapalania się, jak np. słoma, bawełna i t. p. zostają przez piorun zapalane. Rzadzéj daje się widzieć: żeby piorun zapalał materye zbite, jak np. drzewa; chyba że są spróchniałe; zwykle tylko rozdziera je, albo prześlizguje się po ich powierzchni, ponieważ działanie jego jest zbyt nagłe. To także tłumaczy, dlaczego piorun zapala lekkie ubrania, włosy osób po których ciele się ślizga, nie sprawiając często nawet tym osobom najmniejszego uczucia sparzenia. Z podobnéj także przyczyny, piorun niekiedy zamienia w parę pozłacanie boazeryi nie zapalając ich wcale. Piorun zabija zwierzęta, czyto uszkadzając ich organa lub system naczyniowy, czy też paraliżując system nerwowy; gnicie tych części następuje bardzo szybko i odbywa się zupełnie podobnym sposobem, jak wszystkich zwierząt dotkniętych jakąkolwiek nagłą śmiercią. Warzenie się mléka i psucie się mięsa, daleko prędzéj następuje podczas burz niż w czasach zwyczajnych, co zdaje się pochodzić z jednéj strony z przyczyny

wysokiéj temperatury, która wówczas panuje, lub z drugiéj strony od strumieni płynu elektrycznego, na który ciała te są wystawione, i który jak wiadomo jest potężnym czynnikiem rozkładu.

CZĘŚĆ PRAKTYCZNA.

Szczegóły tyczące się budowy konduktorów.

Konduktorem jest pręt metaliczny *ABCDEF* (fig. 1) wzniesiony na wierzchu budowli i spuszczony bez żadnéj przerwy do wody w studni lub do gruntu wilgotnego. *Prętem konduktora* nazywamy część pionową *AB*, która wznosi się w powietrze nad dach, a przewodnikiem część sztaby *BCDEF*, która spuszczona jest od podstawy pręta B aż do gruntu.

O pręcie konduktora.

Pręt konduktora jestto sztaba żelazna kwadratowa BA, zwężająca się od podstawy do wierzchołka w kształcie piramidy. Przy wysokości pręta 7—9 metrów (21—27 stóp), która jest średnią wysokością prętów umieszczonych na wielkich gmachach, dają w podstawie grubość 54—60 millimetrów (25—26 linij); gdyby zaś miał się wznosić do 10 metrów (30 stóp) należałoby dać mu grubość 63 millimetrów (28 linij) (1).

Ponieważ żelazo jest bardzo wystawione na rdzewienie przez wpływ wody i powietrza, koniec pręta wkrótce byłby stępionym: dla zaradzenia téj niedogodności, od wysokości pręta AB (fig. 2) odejmuje się długość AH około 55 centimetrów (20 cali) wynosząca, i zastępuje się ją prętem ostrokręgowym mosiężnym pozłacanym u wierzchołka, albo też zakończonym małém ostrzem platynowém AG, 5 centimetrów (2 cale) długości (2).

Ostrze platynowe zlutowane jest lutem srebrnym z prętem mosiężnym w sposób jak okazuje fig. 3 (3). Pręt mosiężny

(1) Najkorzystniejszy sposób urządzania prętów piramidalnych zależy na szwejsowaniu końcami sztab żelaza mających 80 centimetrów, czyli $2^1/_2$ stóp długości i coraz zmniejszającą się grubość.

(2) Ostrze platynowe może być zastąpione ostrzem zrobionem z aliażu monet srebrnych, który się składa z 9 cz. srebra i 1 cz. miedzi.

(3) W miejsce takiego ostrza platynowego, które jest dosyć kosztowne, niedawno zaprojektowano daleko niższe ostrokręgi platynowe,

łączy się z prętem żelaznym za pomocą ześrubowania wchodzącego w obie części; naprzód umocowywa się śrubę w pręcie mosiężnym za pomocą dwóch nitów pod kątem prostym, a następnie zaśrubowywa się ją w pręcie żelaznym, w którym także umocowywa się ją za pomocą nitu.

Można bez przeszkody wcale nie używać platyny i poprzestać na ostrokręgowym pręcie mosiężnym, a nawet wcale go nie pozłacać jeżeli to z łatwością w miejscu dokonać się nie da. Mosiądz na wolném powietrzu nie śniedzieje zbyt grubo, a przypuszczając nawet, że wierzchołek byłby cokolwiek stępionym, konduktor przez to nie straciłby swojéj skuteczności.

Pręt konduktora przypuszczonych wymiarów jest trudnym do przeniesienia, dlatego rozdziela się na dwie części AJ i JB (fig. 2), w $^1/_3$ cią albo $^2/_5$ około całéj jego długości, licząc od podstawy. Część górna AD (fig. 4) wchodzi dokładnie za pomocą piramidalnego czopa DF na 19 do 20 centimetrów (7—8 cali) w część dolną EB i ułatwia rozdzielenie tych dwóch części.

Należy jednak o tyle o ile będzie można zrobić pręt z jednéj tylko sztuki, ponieważ przez to będzie miał zapewnioną daleko większą trwałość (1).

Przy podstawie na 8 centimetrów (3 cale) od dachu, znajduje się część płasko-ostrokręgowa MN (fig 4), przylutowana do samego pręta, któréj jest przeznaczeniem oddalenie wody deszczowéj spływającéj po pręcie konduktora, a która mogłaby zaciekać wewnątrz budynku, i narażać przez to na zniszczenie drzewa wiązań dachowych (2).

Bezpośrednio przy podstawie pręt jest zaokrąglony do wysokości około 5 centimetrów (2 cale), dla utrzymania pierścienia szarnierowego O, opatrzonego dwoma uchami, pomiedzy

które za pomocą śruby w ich wnętrzu wyrobionéj, przytwierdzają się do pręta konduktora; a także jeszcze ostrokręgi robią się z grubéj blachy platynowéj, które lutują się ze stosownie ukształconym wierzchołkiem konduktora.

(1) Część wydrążoną EG (fig. 4) w którą wchodzi czop piramidalny DF robią sposobem następującym: gruby arkusz żelaza zwija się w cylinder, i szweisuje w G ze sztabą BG, następnie za pomocą formy takiego samego kształtu jaką czop mieć powinien. i rozpalając kilkakrotnie, łatwo osiąga się połączenie, i nadaje tak wewnątrz jak i zewnątrz kształt piramidalny.

(2) Ażeby zrobić tę część ostrokręgową, przylutowywa się do pręta gruby pierścień żelazny, który na kowadle rozciąga się spuszczając brzegi tak, aby można otrzymać ostrokrąg ścięty bardzo spłaszczony.

któremi umocowywa się koniec przewodnika za pomocą śruby; rzut poziomy téj obręczy P w rysunku znajduje się pod prętem. Zamiast pierścienia można zrobić strzemię kwadratowe, które ściśle otacza pręt; rzut pionowy tegoż widzimy w Q (fig. 5), a rzut poziomy w R (fig. 6), jakotéż i sposób połączenia go z przewodnikiem kondutora. Nakoniec można jeszcze dla skrócenia roboty przylutować czop T zamiast obręczy do pręta (fig. 7), lecz starać się trzeba, aby nie osłabić pręta w tém miejscu, ponieważ tu właśnie powinien on przedstawiać największą wytrzymałość. Obręcz jednak lub strzemię zawsze przekładać należy.

Pręt konduktora umocowywa się na dachach budowli stosownie do miejscowości. Jeżeli ma być umocowany na wierzchołku więzby dachowéj B fig. 7 i 8, wierci się dziura w jéj wierzchołku i umocowywa się go do słupka za pomocą kilku klamer jak figura pokazuje. To urządzenie jest bardzo mocne i powinno być przekładane nad inne tam, gdzie miejscowość pozwala.

Gdy pręt ma być umocowany na wierzchołku w A (fig. 8), robi się otwór czworoboczny tych samych wymiarów co koniec pręta, i z wierzchu i ze spodu wzmacnia się go za pomocą dwóch blatów żelaznych 2 centimetry (9 linij) grubych, przymocowanych do drzewa za pomocą 4ch śrub, albo też dwóch strzemion śrubowanych otaczających leżnię wierzchołkową. Każdy z tych blatów ma otwór odpowiadający temu, który zrobiony jest w drzewie. Pręt opiera się za pomocą małego rozszerzenia na górnym blacie, do którego przyciska się go mocno za pomocą mutry zaśrubowanéj na dolnym końcu pręta do dolnego blatu. Fig. 9 okazuje rzut poziomy jednego z tych blatów. Gdyby jednakże była możność oparcia pręta na zastrzale CD fig. 8 należałoby przylutować do pręta dwoje uszu, któreby otoczyły górne i boczne części leżni, i byłyby spuszczone aż do zastrzału do którego przymocowanoby je za pomocą śruby E.

Nakoniec gdyby konduktor miał być umieszczony na sklepieniu, wypadałoby zakończyć go 3ma lub 4ma żelaznemi pod kątem prostym rozłożonemi i zagiętemi sztabami, które należałoby umocować w kamieniu, jak to zwykle ma miejsce za pomocą ołowiu.

O przewodniku konduktora.

Przewodnikiem konduktora jest to, jak już powiedziano, sztaba żelazna BCDEF fig. 1, albo B'C'D'E'F' wychodząca od podstawy pręta i spuszczona aż do ziemi. Sztabie téj nadają grubość 15—20 millimetrów (7—8 linij) w kwadrat, lecz 15 millimetrów (7 linii) jest dostateczném. Łączy się ją mocno z prętem ściskając między dwoma uchami obręczy O fig. 4 za pomocą śruby, albo zakończa się go częścią widłowatą M fig. 6, a w tym razie obejmuje koniec strzemiona, i dwie te sztuki ześrubowują się razem.

Ponieważ przewodnik nie może być z jednéj sztuki, składa się zatem z kilku sztab połączonych końcami. Najlepszy sposób jest przedstawiony na fig. 10. Przewodnik utrzymywany jest w odległości 12—15 centimetrów (5—6 cali) równolegle do dachu za pomocą klamer widłowatych, którym aby przeszkodzić zaciekaniu do budynku wody przy ich podstawie, nadaje się kształt następujący. Zamiast zakończyć je śpiczasto nadaje im się kształt bankajzy (fig. 11 i 12) złożonéj z cienkiego blatu 25 centimetrów (10 $^1/_2$ cali) długiego i 4 centim. 3 $^1/_3$ cala szerokiego, przy końcu którego wznosi się pręt klamry czyniąc z blatem albo kąt prosty, albo równy kątowi jaki czyni nachylenie dachu z linią pionową fig. 12. Bankejza wpuszcza się między dachówkami (lub łupkami jak we Francyi i innych krajach), lecz dla większéj mocy zastępuje się blachą ołowianą dachówkę na któréj musiałaby spoczywać, i przybija się razem ta blacha i bankejza na wierzchu krokwi. Przewodnik umocowany jest w każdéj klamrze za pomocą sztyftu zanitowanego, a klamry umieszczone są 3 metry (9 stóp) jedna od drugiéj.

Przewodnik wygina się na gzemsie budowli fig. 1 tak, aby go nie dotykał, i potém przytwierdza się do muru, wzdłuż którego spuszcza się aż do gruntu, za pomocą klamer wbitych lub zalanych w kamieniu. Przybywszy do D lub D' do ziemi, na 50 lub 55 centimetrów (około 2 stopy) niżéj jéj powierzchni, zakrzywia się prostopadle do muru podług DE lub D'E' i przedłuża się w tym nowym kierunku od 4 do 5 metrów (12—15 stóp) następnie zagłębia się w studni EF albo w dole E'F' zrobionym w ziemi w głębokości 4—5 metrów (12—15) stóp jeżeli się nie napotyka wody, albo w mniejszéj, jeżeli na nią natrafimy.

Żelazo zapuszczone w ziemię w bezpośredniém zetknięciu z ziemią wilgotną pokrywa się rdzą, która powoli dochodzi do środka i nakoniec zupełnie go niszczy. Można zapobiedz temu zniszczeniu umieszczając przewodnik w korytku napełnioném węglem piekarskim lub z pieców w których węgiel był na bardzo wysoką temperaturę wystawiony, gdyż taki węgiel różni się od zwykłego kowalskiego tém, że jest dobrym przewodnikiem elektryczności DE lub D'E', które na większą skalę przedstawia fig. 13. Urządza się ono następującym sposobem:

Wykopawszy w gruncie rów 55—60 centimetrów (20 do 22 cali) głęboki, układa się w nim rząd cegieł na płask, na brzegach których umieszczają się inne na kant, nasypuje się warstwa węgli grubości 3—4 centimetrów (1—1 $^1/^2$ cala) na dnie; układa się przewodnik DE na wierzch którego dosypuje się węgla aż dó pełna, i nakoniec przykrywa się rzędem cegieł. Dachówka, kamień lub drzewo, mogą być również używane do zrobienia korytka. Doświadczono, że żelazo tym sposobem otoczone węglem, nie podlega wcale zniszczeniu w przeciągu lat 30. Lecz węgiel przedstawia nietylko tę jedną korzyść, że przeszkadza rdzewieniu żelaza w ziemi: okazuje on jeszcze tę inną ważną korzyść, że z łatwością przeprowadza płyn elektryczny gdy był wypalony do czerwoności (i dlategoto zalecaliśmy użycie węgla piekarskiego): ułatwia więc spływanie piorunu do gruntu. Przewodnik wychodząc z korytka o którém dopiéro co mówiono, przechodzi przez mur studni, w któréj ma być spuszczonym, i zanurza się w wodzie tak głęboko, aby ciągle był w niéj zanurzony na 65 centimetrów, czyli najmniéj dwie stopy, nawet podczas najniższego stanu wody. Koniec jego zakończa się zwykle 2ma lub 3ma odnogami dla ułatwienia spływania płynu elektrycznego z przewodnika do wody. Jeżeli studnia jest umieszczona wewnątrz budynku, należy przebić mur tego ostatniego niżéj powierzchni gruntu, i przez otwór ten sprowadzić przewodnik do studni.

Gdy nie ma do rozporządzenia studni dla spuszczenia do niéj konduktora, wierci się w gruncie za pomocą świdra ziemnego 13—16 centimetrów, 5—6 cali średnicy otwór na 5 do 6 metrów (9—15 stóp) głęboki, i spuszcza się weń przewodnik tak, aby był w równéj odległości od powierzchni wewnętrznéj otworu, wypełniając próżną przestrzeń węglem, który należy jak najmocniéj ubijać. Lecz nie chcąc nic oszczędzać

dla urządzenia konduktora, radzimy kopać dół daleko szerszy E'F' fig. 1 najmniéj do 5ciu metrów głębokości, chyba że płyciéj znajdziemy wodę, zakończyć koniec przewodnika kilkoma odnogami, otoczyć je węglem, jeżeli nie zanurzają się w wodzie, i tak samo otoczyć przewodnik za pomocą korytka drewnianego również napełnionego węglem.

W gruncie suchym jak np. w skale, należy dać rowowi przeznaczonemu do pomieszczenia przewodnika, długość najmniéj podwójną niż oznaczona dla gruntu zwyczajnego, a nawet i więcéj gdyby można dostać się do miejsca wilgotnego. Jeżeli miejscowość nie pozwala rozciągnąć rowu w kierunku długości, należy zrobić inne poprzeczne, jak to widzimy w A fig. 17 i 18 tabl. 2ga, w których umieszczą się mniejsze sztaby żelaza otoczone węglem i połączone z przewodnikiem. W każdym razie koniec tego ostatniego powinien się zagłębiać w szerokim dole i tam powinien być rozdzielonym na kilka odnóg i powinien być przykrytym węglem wyżarzonym, czyli takim, który był wypalony do czerwoności.

W ogólności należy dla przewodników robić rowy w miejscach najwięcéj wilgotnych koło budynku, umieszczać je przeto w miejscach najniższych, i skierować na wierzch wody dészczowe, aby utrzymywać je ciągle wilgotno. Nie można zawiele zachować ostrożności dla ułatwienia piorunowi łatwego odpływu do ziemi, bo szczególnie od téj okoliczności zależy skuteczność konduktorów.

Sztaby żelazne tworzące przewodnik przedstawiają z powodu swéj niegiętkości niejaką trudność, aby mogły być wyginane podług profilów budowli; chciano więc je zastąpić sznurami metalowemi, które oprócz giętkości przedstawiają jeszcze tę korzyść, że unikamy połączeń; i w skutek tego wypadki pochodzące od przerwania połączenia, mniéj często wydarzać się mogą. Łączy się 15 drutów aby z nich utworzyć sznurek, a 4 takie sznurki tworzą sznur, który wtenczas ma 16—18 millimetrów (7—8 linij) średnicy. Dla zapobieżenia zniszczeniu przez powietrze i wilgoć, każdy sznurek oddzielnie smarowany jest smołą, a następnie cały sznur pociąga się nią jak najstaranniéj.

Przewodnik taki przytwierdza się do pręta konduktora tym samym sposobem jak przewodnik ze sztab żelaznych, t. j. ściska się go mocno za pomocą śruby między dwoma uchami pierście-

nia B fig. 15, które są cokolwiek wklęsłe, i opatrzone kilkoma sztyftami dla związania i utrzymania sznura. Klamry podpierające go na dachu, zamiast kończyć się widłowato kończą się kółkiem O fig. 12, przez które przechodzi sznur. Gdy dojdzie 2ch metrów (6 stóp) od powierzchni gruntu, łączy się go ze sztabą żelazną 15 —25 millimetrów (6 — 9 linij) w kwadrat mającą, która zakończa przewodnik w sposób jak widzimy w C fig. 16, gdyż w ziemi sznur zostałby prędko zniszczony.

Zapewniają, że sznury w ten sposób urządzone nie doznały znacznego uszkodzenia w ciągu lat 30. Zaprzeczyć jednakże nie można, że sztaby żelazne dobrze połączone, daleko mniéj ulegają zniszczeniu, dlatego radzimy przekładać je wszędzie gdzie tylko będzie można. Gdyby miejscowość znaglała użyć sznurów, możnaby je zrobić z drutu miedzianego lub mosiężnego (1), które mniej ulegają zniszczeniu, a ponieważ metale te są lepszemi przewodnikami, możnaby dać sznurom tylko 16 millimetrów (7 linii) średnicy. Przy dzwonnicach szczególniéj sznury metaliczne mogą być bardzo użyteczne, z przyczyny łatwości ich umocowania.

Jeżeli budowla uzbrojona konduktorem zawiera części metaliczne dosyć znaczne, jak np. arkusze ołowiu przykrywające wierzchołki i narożniki dachów, rynny metalowe, długie sztaby żelaza dla zapewnienia mocy niektórym częściom budynku: potrzeba koniecznie aby wszystkie te części miały kommunikacyą z przewodnikiem konduktora, lecz w tym celu można użyć sztabki 8 millimetrów (3 linie) w kwadrat mające, albo drutu żelaznego takiéjże średnicy. Gdyby to nie miało miejsca i gdyby przewodnik miał jaką przerwę albo gdyby nie był dokładnie połączony z gruntem, zdarzyćby się mogło, że piorun dostałby się z trzaskiem od konduktora do niektórych z tych części metalicznych. Niektóre wypadki miały miejsce z téj właśnie przyczyny; dwa przykłady takich zdarzeń przytoczyliśmy na początku téj instrukcyi.

Konduktory na kościołach.

Konduktor, którego szczegóły budowy podaliśmy, i który może być uważany za wzór konduktorów, zastosować się da do

(1) Podług nowych postrzeżeń, drut mosiężny do tego celu nie jest dobry.

wszelkiego rodzaju budowli, jakoto do wież, kopuł, dzwonnic i kościołów z bardzo małemi odmianami. Na wieży pręt konduktora powinien się wznosić od 5—8 metrów (15—24 stóp), stosownie do obszerności jéj górnéj powierzchni. 5 metrów wystarcza dla mniejszych, a 8 dla większych.

Ponieważ kopuły i dzwonnice swą wysokością zwykle o wiele górują nad otaczającemi przedmiotami, przeto konduktor umieszczony na ich wierzchołku, rozciąga swój wpływ bardzo daleko, i niepotrzebuje dla ochronienia ich wznosić się do takiéj wysokości jak nad budynkami, których dachy są bardzo rozległe. Z innéj także strony trudność, a nawet niemożność osadzenia mocno na kopułach i dzwonnicach prętów 7—8 metrów (21 — 24 stóp) wysokich bez znacznych kosztów, jest także powodem zaniechania użycia prętów takich wymiarów. Dla takich więc budowl, a szczególniéj dla tych, których wierzchołek przedstawia trudny przystęp, radzimy używać prętów cienkich, wznoszących się na 1—2ch metrów (3—6 stóp) nad krzyżem, który je zakończa. Pręty te są dosyć lekkie, dlatego łatwo będzie można dokładnie je umocować u wierzchołka krzyżów, bez zmiany kształtu tych ostatnich zdaleka widzianych, i bez przeszkody dla chorągiewek, które na nich zwykle się znajdują.

Sądzimy nawet, że gdyby napotykały się jakiekolwiek trudności do umieszczenia tych prętów na kopule lub dzwonnicy, można ich wcale nie dawać. Dostatecznem będzie dla ochronienia tych budowl od uderzeń piorunu, urządzić tak, jak gdyby były uzbrojone prętami, bardzo ścisłą kommunikacyą między podstawą każdego krzyża i gruntem. Urządzenie to, które jest mało kosztowne, a przedstawia jednak równie wielką pewność, będzie szczególniéj korzystném dla dzwonnic wiejskich; fig. 23 przedstawia dzwonnicę, któréj krzyż połączony jest z gruntem za pomocą przewodnika wychodzącego od jego podstawy, zaś fig. 24 przedstawia dzwonnicę opatrzoną prętem przymocowanym do jéj krzyża.

Co się tyczy kościołów, gdy one nie będą ochronione prętami ich dzwonnic, potrzeba będzie uzbroić je prętami 5—8 metrów wysokiemi, podobnemi do tych, jakie opisaliśmy dla budowli zwyczajnych (1).

(1) Fig. 25 tablica 1 przedstawia pręt konduktora zbytkownie wykonany, taki, jaki czasem umieszczają na budynkach; na tym pręcie

Konduktory na magazynach prochu i prochowniach.

Budowa konduktorów na magazynach prochu i prochowniach w szczegółach nie różni się od opisanych dla wszelkiego rodzaju budowli; należy tylko podwoić ostrożność dla uniknienia najmniejszéj przerwy, i nic nie szczędzić, aby tylko między prętem konduktora a gruntem urządzić najściślejsze połączenie. Wszelka przerwa dając powód do iskry, jest bardzo niebezpieczną, ponieważ mączka prochowa osadzająca się wewnątrz a nawet zewnątrz tych budynków, zapalić się łatwo może, i mogłaby przenieść ogień aż do prochu. Z téj saméj przyczyny bardzo byłoby roztropnie wcale nie umieszczać prętów nad samemi budynkami, lecz na masztach, któreby były od nich oddalone na 2—3 metrów (fig. 26 tab. 33). Dosyć będzie dać prętom dwa metry długości, lecz wysokość masztów powinna być taka, aby ze swemi prętami górowały nad budynkami przynajmniéj na 4 — 5 metrów. Dobrze także będzie pomnożyć liczbę konduktorów, t. j. dać ich więcéj jak gdziekolwiek indziéj, ponieważ wypadki tu mogą być najzgubniejsze. Gdyby magazyn był bardzo wzniesiony, jak np. wieża; budowa masztów stałaby się bardzo trudną i kosztowną: aby im nadać dostateczną stałość, dosyć byłoby w tym razie uzbroić budynek podwójnym przewodnikiem ABC fig. 27, który mógłby być miedziany, i nie dawać pręta konduktora. Ten przewodnik konduktora nie wywierając wpływu za budynkiem, nie ściągałby zdaleka piorunu, a przedstawiałby jednak korzyści, ochronienia budynku w przypadku uderzenia, tak, że ci nawet, którzy odrzucają konduktory, z przyczyny jakoby one ściągały pioruny na budynki w które bez nich piorunby nie uderzył, nie mogliby uczynić żadnego uzasadnionego zarzutu przeciwko urządzeniu wyżej wskazanemu. Możnaby tym sposobem uzbroić magazyny zwyczajne albo każdy inny budynek, fig. 28. W braku konduktorów, drzewa wysokie sadzone około budynków na 5—6 metrów od ich frontów, ochraniają je skutecznie od uderzeń piorunu.

znajduje się chorągiewka nakształt strzały (obracająca się na kółkach, dla ułatwienia i złagodzenia jéj poruszeń), która daje poznać kierunek wiatru za pomocą drutów stałych, ustawionych względem stron świata z literami N. W. O. S. Przy jéj podstawie jest ozdoba miedziana, której kształt jest dowolny.

Konduktory na okrętach.

Dla okrętu (fig. 29) pręt konduktora ogranicza się na części miedzianéj AB fig. 30, która była opisana przy konduktorze zwyczajnym. Pręt ten jest wśrubowany w pręt żelazny okrągły CB fig. 30, który wchodzi w koniec I wierzchołka masztu opatrzonego wiatroskazem. Sztaba żelazna M przytwierdzona do podstawy pręta, spuszcza się wzdłuż masztu i bywa zakończona hakiem lub obręczą Q, do któréj utwierdza się przewodnik konduktora, którym tu powinien być sznur metaliczny, utrzymywany w pewnych odległościach przez sznur gg fig. 29 i przeszedłszy przez obręcz B, umocowaną do forsztu bocznego (portehauban) łączy się z sztabą albo blachą metalową, która ma kommunikacyą z miedzianém obiciem okrętu. Na okrętach małéj długości, urządza się zwykle tylko jeden konduktor na wielkim maszcie, na innych zaś większych okrętach, umieszczają jeszcze drugi konduktor na maszcie przednim. Fig 29 może równie dobrze przedstawiać jeden lub drugi z tych dwóch masztów, na których konduktory zupełnie jednakowo się urządzają.

Ogólne rozpołożenie konduktorów na budowlach.

Przyjmuje się podług doświadczeń, że pręt konduktora ochrania skutecznie przeciwko piorunowi przestrzeń około siebie, na promień dwóch jego wysokości. Podług tego więc prawidła budynek 20 metrów długi lub takiż kwadratowy, musiałby być ochroniony jednym prętem 5 lub 6 metrów (15—18 stóp) wysokim, wzniesionym na środku jego dachu, fig. 14 i 17. W fig. 17 przewodnik konduktora jest sznurem metalicznym. Budynek 40 metrów (120 stóp) długi, podług tego samego prawidła, byłby ochronionym za pomocą pręta 10 metrów (30 stóp) długiego; i osadzają się rzeczywiście podobne, lecz byłoby korzystniéj zamiast jednego dać dwa 5—6 metrów (15—18 stóp) wysokie, i rozłożyć je na budynku takim sposobem, aby przestrzeń około nich była równo ochroniona z wszech stron, co osiągniemy, umieszczając każdy na 10 metrów (30 stóp) od końca budynku, czyli na 20 metrów (60 stóp) jeden od drugiego (fig. 18).

Dla trzech lub większéj liczby konduktorów, należałoby postąpić podług tego samego prawidła.

Konduktory wież i dzwonnic z powodu wielkiego ich wzniesienia, zapewne rozciągają sferę swego działania daléj niż gdyby były mniéj wzniesione. Czy to działanie, jak przypuszczono, rozciąga się do odległości dwa razy większéj jak wzniesienie ostrza konduktora nad przedmiotami, które ma ochraniać, czy rozciąga się jeszcze daléj, nic nas doświadczenie w tym względzie nie nauczyło. Dlatego roztropnie postępując wypada uzbroić kościoły konduktorami, przypuszczając, że konduktory dzwonnic, nie ochraniają około siebie skutecznie większéj przestrzeni jak tylko równą zakreślonéj promieniem ich wzniesienia nad wierzchołek dachu. Tak więc konduktor dzwonnicy wznosząc się na 30 metrów nad dachem kościoła, nie ochroniłby więcéj jak 30 metrów od środka dzwonnicy: i gdyby dach rozciągał się daléj, wypadałoby koniecznie umieścić na nim konduktory podług prawidła przepisanego dla budowli mało wzniesionych.

Ogólne rozłożenie przewodników konduktorów.

Pomimo tego, żeśmy już wiele mówili o koniecznéj potrzebie urządzenia najściślejszéj kommunikacyi między prętami konduktorów a gruntem, rzecz ta jest jednak tak ważna, że wypada tu jeszcze o niéj wspomnieć. Jest ona bowiem tego rodzaju, że gdyby nie była ściśle dopełniona, konduktory nietylko straciłyby wiele na skuteczności, lecz mogłyby stać się niebezpiecznemi, ściągając na siebie piorun, nie mogąc go przeprowadzić do gruntu. Inne warunki o których mamy jeszcze mówić są bez wątpienia mniéj konieczne niż dopiéro wspomniony, jednak niemniéj zasługują na uwagę.

Należy zawsze ułatwić przejście piorunowi od pręta konduktora do gruntu drogą najkrótszą.

Stosownie do téj zasady, gdy umieścimy dwa konduktory na budowli i gdy te będą miały przewodnik wspólny, co jest w istocie dostatecznem, potrzeba aby części przewodników, które nie są wspólnemi, schodziły się do jednego punktu na dachu w równéj odległości od każdego pręta, a od tego punktu szta-

ba takich samych wymiarów jak dla jednego konduktora, służyć będzie za przewodnik obudwom (zob. fig. 18 i 19).

Gdy znajdować się będą 3 konduktory na budowli, roztropnie postąpimy, dając im dwa przewodniki fig. 20. W ogólności każda para konduktorów wymaga jednego oddzielnego przewodnika.

Jakakolwiek będzie liczba konduktorów umieszczonych na budowli, można będzie zrobić je niejako jednym wspólnym, urządzając ścisłą kommunikacyą między podstawami wszystkich prętów za pomocą sztab żelaznych takich samych wymiarów, jak przewodniki konduktorów (fig. 19, 20 i 21). Gdy miejscowość na to pozwala, należy prowadzić przewodniki po murach budowli po téj stronie, na którą zwykle działają burze w każdéj miejscowości. Mury te bowiem będąc wystawione na zmoczenie przez deszcz, stają się przewodnikami chociaż niedokładnemi, w miarę cienkiéj warstwy wody je pokrywającéj, a gdyby przewodnik konduktora nie miał ścisłéj kommunikacyi z gruntem, łatwo zdarzyćby się mogło, że piorun opuściłby go dla przejścia na powierzchnią zwilgoconą. Inna jeszcze być może tego przyczyna, ta mianowicie, że kierunek piorunu może pochodzić od kierunku dészczu, a oprócz tego front zwilgocony, jako przewodnik, może ściągnąć piorun prędzéj niż konduktor. Na to szczególniéj w dzwonnicach należy zwracać uwagę.

Uwagi tyczące się skuteczności konduktorów.

50-letnie doświadczenie nad skutecznością konduktorów dowodzi, że gdy są urządzone z odpowiednią starannością, ochraniają od piorunu budowle na których są umieszczone. W Stanach Zjednoczonych Ameryki, gdzie burze są daleko częstsze i groźniejsze niż w Europie, użycie ich stało się powszechném. Wielka liczba budynków została uderzoną piorunem, a zaledwie dwa tylko wymieniają, które nie były zupełnie ochronione od skutków uderzenia. Cały świat wié, że części metaliczne nad budowlą są najprędzéj uderzane, i już ten jeden fakt dowodzi skuteczności konduktorów, które są nie czém inném, jak tylko sztabami metalowemi, rozłożonemi w sposób najkorzystniejszy, stosownie do wiadomości nabytych o płynie

elektrycznym przez teoryą i doświadczenie. Obawa częstszego uderzania piorunów w budynki uzbrojone konduktorami, nie jest uzasadnioną, ponieważ ich wpływ rozciąga się do bardzo małéj odległości, aby można sądzić, że one przyczyniają się do ściągania piorunów z chmur do miejsca, gdzie są umieszczone. Przeciwnie, zdaje się pewném podług spostrzeżeń, że budowle opatrzone konduktorami, nie tak często są uderzane piorunem jak przed ich uzbrojeniem.

Przyjąwszy zresztą, że konduktor ściąga piorun, musimy także przyznać, że posiada zdolność najłatwiejszego przeprowadzania go do gruntu. Z tego zatém żadne niebezpieczeństwo dla budowli wyniknąć nie może.

Zalecaliśmy dla konduktorów użycie końców spiczastych; ponieważ one są lepsze od sztab z końcami zaokrąglonemi, dlatego, że pod wpływem chmury burzliwéj wylewają ciągle w powietrze strumień płynu elektrycznego przeciwnéj natury jak w chmurze, któryto płyn elektryczny przelewa się do téjże i częściowo ją zobojętnia. Korzyści téj wcale zaniedbywać nie wypada, gdyż dosyć jest znać własności ostrzy i doświadczenia Charles'a i Romas'a z latawcami puszczanemi pod chmury burzliwe, aby się przekonać, że konduktory spiczasto zakończone, gdyby ich liczba była wielka, i gdyby były umieszczone na miejscach wzniesionych, zmniejszyłyby niezawodnie płyn elektryczny chmur, a w skutek tego i uderzenia piorunu stałyby się daleko rzadszemi.

Jednakże gdy ostrze konduktora przez piorun lub z jakiejkolwiek innéj przyczyny zostało stępione, nie należy sądzić, że on stracił już własność o któréj mówiliśmy, oraz skuteczność chronienia budynków, których bronić powinien. Doktor Rittenhouse powiada, że obserwując i badając za pomocą wybornego teleskopu zwierciadlanego ostrza konduktorów w Filadelfii, gdzie one znajdują się w wielkiéj liczbie, widział wiele takich, których ostrza były stopione; lecz nie słyszał nigdy, aby były uderzone te domy nad któremi takie konduktory się znajdowały, od czasu stopienia się ostrzy tychże. Przypadek taki bez wątpienia mógłby się wydarzyć chyba po upływie znacznego czasu, gdyby konduktory przestały pełnić swą funkcyą, ponieważ wiadomo z wielkiéj liczby spostrzeżeń, że gdy piorun uderzy w jakie miejsce, rzadko kiedy w toż samo powtórnie uderza.

Aby korzyść jaką powinno się osiągnąć z urządzenia konduktorów była tak wielką jak tylko być może, i aby można korzystać z doświadczenia nabytego w jakiéj miejscowości, i użyć go dla dobra ogólnego, Akademia objawiła życzenie, aby minister Spraw Wewnętrznych, wydawszy rozkaz zastosowania się do przepisów oddawna pożądanych, i których on czuje całą użyteczność, wezwał władze miejscowe, aby przesyłały wiernie wszystkie wiadomości tyczące się uderzeń piorunu w budynki uzbrojone konduktorami. Wiadomości te byłyby źródłem ważnych ulepszeń, i dając poznać korzyści ochrony tak prostéj i pewnéj, wpłynęłyby na ich upowszechnienie (1).

Dodatek do instrukcyi o konduktorach, przedstawiony przez oddział fizyczny Akademii nauk: Becquerel, Babinet, Duhamel, Despretz, Cagniard de Latour, Pouillet sprawozdawca.

W roku 1823 Akademia nauk poleciła oddziałowi fizycznemu ułożenie instrukcyi szczegółowéj tyczącéj się konduktorów; p. Gay Lussac obranym był do przygotowania tej pracy, a jego raport otrzymał potwierdzenie sekcyi i Akademii. Od tego czasu instrukcya o konduktorach stała się niejako popularnym podręcznikiem, przez wielkie jéj upowszechnienie. We Francyi wyższa administracya, która zażądała tego dokumentu, pospieszyła upowszechnić go we wszystkich częściach służby publicznéj, w celu aby powoli dojść można do dokładnego ochronienia od uderzeń pioruu; katedr i kościołów, (tak często zagrożonych z przyczyny im właściwych kształtów architektonicznych), fabryk prochu, magazynów i arsenałów, statków żaglowych lub parowych, nakoniec wszelkiego rodzaju budowli i mieszkań prywatnych. Zasady te ogólne i praktyczne zatwierdzone przez Akademią, w innych krajach zostały również przyjęte z pośpiechem i ufnością.

Obecnie wiek już minął, jak piérwszy raz doświadczono konduktorów, lecz skuteczność ich nie mogła być przyjętą bez zaprzeczeń: nieświadomi nie mogli uwierzyć, aby kilka prętów żelaznych, urządzonych w pewny sposób, zdolne były rządzić

(1) Byłoby równie pożytecznem zbieranie i u nas podobnych wiadomości. (*Przyp. red.*).

potęgą piorunu, a pomiędzy uczonemi znalazła się także znaczna liczba temu nie wierzących. Długie proby były więc koniecznie potrzebne, aby okazać wyższość téj prawdy, która miała przeciw sobie świat cały, oprócz Franklina i kilku fizyków europejskich. Uczeni, którzy byli temu przeciwni nie ograniczali się na twierdzeniu, że konduktory były nieużyteczne; lecz przeciwnie szukali przyczyn wierzenia i skłonienia do téj wiary publiczności, że konduktory były szkodliwe, że zamiast wstrzymywać pioruny, ich obecność przeciwnie mogła sprawić uderzenie i uczynić je szkodliwemi. Zamiast uspokajać umysły, wywoływa jeszcze więcéj bojaźni, tak naturalnéj, spowodowanéj przez groźny meteor.

Te zarzuty nie przeszkodziły prawdzie wyjść na świat, lecz opóźniły jéj rozwinięcie; są one bardzo stare i dziś nieśmiało się okazują: jednak okazują jeszcze swoje działanie, i napotkać je można jeśli nie na drodze naukowej, to przynajmniéj na niektórych sąsiednich ścieżkach. Instrukcya w roku 1823 ogłoszona, niemało się przyczyniła do osłabienia tych zarzutów, nietylko z tego powodu, że zatwierdziła ją Akademia, lecz jeszcze z przyczyny zawartych w niéj praktycznych prawideł, wyłożonych tak jasnym i dokładnym sposobem, że nie było możności źle ich tłumaczyć. Rzemieślnicy niewiele zastanawiając się nad rzeczą, sami przychodzili do zrozumienia tego, co wykonywać mieli, i odtąd ustały powody obawiania się błędów w urządzeniu konduktorów, które przedtém tak często się przytrafiały i były powodem ich nieskuteczności.

Od 31 lat zaszły wielkie zmiany: z jednéj strony w nauce elektryczności, a z drugiéj w sztuce budowania, i możnaby sądzić, że wiadomości ówczesne o przedmiocie, który nas zajmuje, są dziś zanadto stare, że powinny przejść do dziedziny historyi, na nowo być podane, i oparte na nowych zasadach. Lecz nauki nie postępują tym sposobem: lubią one postęp, każdego dnia dają tego dowody, a jednak rzadko się zdarza, żeby miały co do zbicia. Działacze naturalne zostają wierne swym prawom, i działanie elektryczności jest dziś takie same, jak było zawsze, tylko znamy je cokolwiek lepiéj; wypadki postrzegane w naszych czasach przybyły, aby się połączyć z wypadkami dawniéj znanemi, nie sprzeciwiając się im bynajmniéj. Od roku 1823 odkrycie elektro-magnetyzmu nie trwało więcéj jak trzy lata; nie można było

jeszcze wówczas przewidzieć wielkich wypadków, któremi miało ono wzbogacić naukę tak szybko: tymczasem pomimo tylu znacznych i niespodzianych postępów, instrukcya tycząca się konduktorów, nie potrzebuje wcale zmiany, przynajmniéj w najgruntowniejszych jéj zasadach. Co zaś do rodzaju zmian jakie zaszły w sztuce budowania, jest to przedmiot nowy, który zasługuje na uwagę; w istocie w wielkiéj liczbie przypadków metale zastępują dziś kamień i drzewo, nasze budowle stają się przez to niejako górami metalicznemi, na które, chmury burzliwe bez porównania silniéj działają. Pałac przemysłu, który wzniesiono na polach Elizejskich, jest tego przykładem: zajmuje on 3 hektary, które pokrywa ogromna budowa, mająca 40 metrów wysokości, w którą wchodzą wszędzie od podstawy aż do wierzchołka ogromne massy żelaza, surowca i cynku. Towarzystwo, które przedsięwzięło budowę tego wielkiego pomnika, życzyło sobie powziąć zdanie Akademii, co do ogółu sposobów używanych w celu ochronienia się od skutków piorunu. Akademia poleciła sekcyi fizycznéj zbadanie tego żądania, i złożenie jéj o tém raportu. Przy tej sposobności musieliśmy odwołać się do instrukcyi z roku 1823 w celu wykazania zmian, jakieby należało w niéj zaprowadzić.

Ubocznie tylko instrukcya zajmuje się budowlami, w które wchodzą metale; jedna jéj część traktująca o tym przedmiocie jest następująca:

„Jeżeli budowla, która ma być uzbrojona konduktorem, zawiera dosyć znaczne części metaliczne, jak np. blachy ołowiane przykrywające wierzchołek i narożniki dachu, rynny metalowe, długie sztaby żelazne dla zapewnienia pomocy niektórym częściom budowli, należy je połączyć z przewodnikiem konduktora, lecz w tym celu dosyć będzie użyć sztabek 8 millimetrów (3 linie) w kwadrat, albo drutu żelaznego takiejże średnicy. Gdyby to nie miało miejsca, i przewodnik konduktora był gdziekolwiek przerwanym, albo gdyby nie był dokładnie z gruntem połączony, zdarzyćby się mogło, że piorun dostałby się z trzaskiem od konduktora do niektórych z tych części metalicznych. Niektóre przypadki miały miejsce z téj właśnie przyczyny; dwa przykłady takich zdarzeń podaliśmy na początku téj instrukcyi.”

Takie przepisy były ustanowione, lecz pomimo że są one bardzo ogólne i może zanadto treściwe, mogły być jednakże

dostatecznemi w tamtéj epoce; teraz zaś sądzimy, że nadeszła już chwila stosowna, aby wejść w obszerniejsze w tym względzie szczegóły.

Dawniéj w budowlach zwyczajnych użycie metalów było w istocie ograniczoném: używano ich wyjątkowo jak np. na wierzchołki dachów, rynny i ankry wzmacniające; bardzo rzadko i prawie wyjątkowo tylko napotykano pokrycie ołowiane, miedziane, lub cynkowe, gdy tymczasem teraz metal przeważa coraz bardziéj. Używają go wszędzie, i co jest bardzo ważném, używają go w wielkich powierzchniach i w wielkich massach: pokrycia metalowe, wiązania metalowe, belki metalowe, okna metalowe, kolumny metalowe, a czasami nawet i ściany są metalowe. W skutek tego chmury burzliwe wywiązują przez wpływ, 10 lub 100 razy większą ilość płynu elektrycznego, w porównaniu z ilościami wydzielanemi w ciałach, które są mniéj dobremi przewodnikami, jak np. łupek, cegła, drzewo, kamień, gips, zaprawa wapienna i wszystkie dawniejsze materyały budowlane. Nowy ten system sprawia na ogromną skalę to, co zarzucano kiedyś konduktorom, t. j. ściąga pioruny.

Gdy zarzut stosował się do konduktorów, nie miał żadnego pozoru prawdy, bo lubo pewném jest, że konduktor ściąga piorun, lecz również jest niezawodném, że ten posłuszny prawom które nim rządzą, dostaje się do konduktora, i po nim bez huku zupełnie już straciwszy władzę niszczenia, spływa do ziemi. Przeciwnie, jeśli zarzut stosuje się do tych mass metalów, które wchodzą w skład naszych teraźniejszych budowli, nie jest wówczas pozornym, lecz zupełnie sprawiedliwym, ugruntowanym na prawach dokładnie stwierdzonych: budowle te w istocie ściągają piorun, i sprawiają to, że uderzenia jego są zgubniejszemi.

Dwie budowle podobne do siebie z wielkości i kształtu, położone na tym samym gruncie, i jednakowo wystawione na działanie chmury burzliwéj; z których jedna z kamieni i drzewa, podług dawnego sposobu, a druga ze sztuk metalicznych podług nowego są zbudowane, i jeżeli nie ma konduktorów, a okoliczności są takie, że piorun ma uderzyć: niezawodnie zawsze uderzy w ostatnią, a nigdy w piérwszą, ponieważ ta ochroniona jest przez sąsiednią, w któréj płyny elektryczne są żywiéj wzbudzone. Zdarzyłoby się tam to, co się przytrafia, gdy jednocześnie konduktorowi machiny elektrycznéj przedstawiają w téj saméj

odległości i tym samym sposobem kulę kamienną, drewnianą, lub metalową, to zawsze w tę ostatnią iskra uderzy, skoro tylko będzie dostatecznie zbliżoną, aby iskra wypaść mogła. Konduktory teraz są więc tym więcéj potrzebne, że budowle obecnie zawierają wielką powierzchnią lub wielką objętość metalów.

Ażeby powziąć dokładne wyobrażenie o wszystkich przyczynach, które sprawiają wystrzał piorunu, wypada mieć na względzie nietylko same budowle i w ogólności wszystkie przedmioty, które się wznoszą nad powierzchnią ziemi: należy mieć jeszcze wzgląd na samę naturę gruntu i ciał go składających, od powierzchni aż do znacznéj głębokości wewnątrz ziemi. Grunt nieurodzajny, złożony z cienkiéj warstwy ziemi rodzajnéj, pod którą znajdują się grube pokłady piasków suchych, wapieni lub granitu, nie ściąga piorunu, ponieważ nie jest przewodnikiem elektryczności, i jeżeli wystawiony jest na jego uderzenia, to tylko przypadkowo i po dészczach, które napoiły jego powierzchnią. Tam budowle do pewnego stopnia mają udział we własnościach gruntu, chyba że są budowane według nowego systemu i zajmują dość znaczną przestrzeń. Lecz jeżeli pod gruntem nieurodzajnym i suchym, znajdują się choćby w głębokości kilkudziesięciu metrów wielkie pokłady metaliczne, obszerne jaskinie, jeziora podziemne, albo nawet i źródła obfite, chmury burzliwe wywierają wówczas swój wpływ na te materye będące dobremi przewodnikami, piorun zostaje ściągnionym i uderza w nie, przeskakując przerwę; skorupa sucha nie jest mu przeszkodą któréjby zwyciężyć nie mógł, i może być przebitą, przedziurawioną i stopioną, tak samo prawie jak warstwa werniksu przez iskrę elektryczną. Wtenczas biada budowlom znajdującym się na jego drodze, czy są one z kamieni czy z drzewa, zostaną zgruchotane, chyba że na swoję ochronę mają konduktor dobrze urządzony. Jeżeli te warstwy wilgotne lub metaliczne, znajdują się ukryte w wielkiéj głębokości, niebezpieczeństwo uderzenia piorunu zmniejsza się z dwóch przyczyn: najprzód dlatego, że pokrywa znajdująca się nad niemi staje się trudniejszą do przebicia; 2gie, że wpływ chmur zmniejsza się w miarę powiększania się odległości.

Na dowiedzenie tego ostatniego faktu, możemy przytoczyć wązkie doliny mające po kilkaset metrów głębokości; piorun nigdy tam nie uderza: może uderzać w wierzchołki gór, lecz nie

ma przykładu, aby kiedyś spadł na budynki, drzewa, lub strumyki zajmujące części dolne. Te fakta okazują, że w miarę powiększania się odległości pomiędzy chmurami a przedmiotami, niebezpieczeństwo uderzenia staje się coraz mniejsze.

Należy dobrze zauważyć, że piorun nigdy bez celu oznaczonego nie spada, nigdy nie uderza przypadkiem: miejsca zkąd on wychodzi i to gdzie spada, czy są proste czy złożone, odrazu są oznaczone miarą napięcia elektrycznego w chwili explozyi; smuga ognista która je łączy, przechodząc od jednego do drugiego punktu, zaczyna się jednocześnie w dwóch końcach.

Zioła, krzaki, drzewa nawet są zamałemi przedmiotami dla piorunu, i nie mogą być jego celem; jeśli są uderzone, to tylko dlatego, że znajdują się na jego drodze, do znajdujących się pod niemi i rozleglejszych mass, będących dobremi przewodnikami, które są jego attrakcyi ukrytym przedmiotem, wywierają więc znaczny wpływ i sprawiają explozyą. Tak więc miejsca najwięcéj wystawione na uderzenia piorunu są te, które będąc najbliżéj chmur są zarazem odkrytemi, wilgotnemi, i dobremi przewodnikami. Drzewa wznoszące się na wierzchołkach gór, podlegają piérwszemu warunkowi, okręty wśród morza podlegają drugiemu, a mogą się znaleźć w średniéj wysokości także miejscowości, które podlegają obu tym warunkom, i dlatego bywają najczęściéj uderzane, i te uderzenia są najstraszniejsze, ponieważ jedna i taż sama chmura może wydawać uderzenia słabe lub mocne, a to stosownie do wielkiéj lub małéj rozległości przewodnika, który je powoduje.

Przytoczymy tu niektóre fakta, które jak nam się zdaje, posłużą do lepszego pojęcia ogólnych zasad, i zarazem do usprawiedliwienia zmian w budowie konduktorów, które mamy przedstawić.

19 kwietnia 1827 roku pakebot New-York, mający 520 ton objętości, przybywając z New-Yorku do Liwerpool, był dwa razy uderzony przez piorun; znajdował się wtenczas na 38^0 szerokości północnéj i 63^0 długości zachodniéj, a więc na 600 kilometrów od najbliższego lądu.

Przy piérwszém uderzeniu znacznie został uszkodzony, jak można o tém sądzić z jednego faktu, który ponieważ na wielką uwagę zasługuje, dlatego w tém miejscu go przytaczamy. Rura ołowiana, wychodząca z gabinetu do morza, została

stopioną, miała jednak 8 *centimetrów* średnicy i 13 *millimetrów* grubości ścian.

Przy drugiém uderzeniu konduktor się znajdował, i składał się z pręta żelaznego ostrokręgowego, mającego 1 metr 20 cent. długości i 11 millimetrów średnicy przy podstawie; łańcuch mierniczy długi około 40stu metrów stanowił kommunikacyą między podstawą konduktora a morzem. Łańcuch ten był z drutu żelaznego 6 millimetrów średnicy, pręciki miały 45 centimetrów długości, zakończone były uszkami i połączone kółkami.

W chwili uderzenia cały okręt był oświecony żywém światłem, i w téj saméj chwili łańcuch był rozproszony na wszystkie strony, na cząstki parzące i kulki palące się. Sam pręt konduktora był stopiony na 30 centimetrów od wierzchołka, a stopienie zatrzymało się przy średnicy 6 millimetrów. Te kulki żelazne palące się wielkości kul karabinowych, zapaliły pomost w 50ciu miejscach, pomimo warstwy gradu, która go pokrywała, i dészczu który lał z wielką gwałtownością. Reszta konduktora została na miejscu z kawałkiem łańcucha, długim na 8 centimetrów, a największy ułamek łańcucha znaleziony na pokładzie, nie miał jednego metra długości, i widoczne były na nim wydęcia, dowodzące wpływu ognia elektrycznego.

Do tego piérwszego faktu dołączamy drugi świeższy; przytaczamy go również ze zdarzeń morskich, ponieważ w ogóle są one tam opisywane natychmiast z dokładnością przez ludzi przywykłych do postrzeżeń. Fakt ten wzięty jest z raportu ministra marynarki, przedstawionego niedawno Akademii nauk.

13 czerwca 1854 roku, w zatoce Balczyk o godzinie 7éj wieczór, piorun uderzył w dwupokładowy okręt *Jupiter*, należący do eskadry morza Czarnego.

Łańcuchy konduktorów znajdowały się na miejscu, łańcuch wielkiego masztu, który został uderzonym, zanurzał się w morzu do głębokości 2 metrów, mając przy końcu kulę armatnią, ważącą 2 killogramy.

W chwili uderzenia widziano żywe światło; moc huku i kłęby dymu przyczyniły się z początku do mniemania, że to był strzał armat jednéj bateryi, lecz błąd ten trwał tylko chwilę: łańcuch konduktora znikł, wszędzie widziano z niego cząstki, tylna wyniosłość okrętu i górne piętro tylnéj części,

forszt boczny były niemi pokryte: utkwiły one w ubraniu kilku ludzi z osady okrętowéj, a trzech z nich było lekko ranionych.

Łańcuch ten miał około 70 metrów długości, i od podstawy konduktora spuszczał się aż do morza, z początku po górnéj części masztu, następnie przechodząc w szerokie mosiężne obręcze, wzdłuż lin masztu trzeciego: był on właściwie liną potrójną złożoną z 60 około drutów, z których każdy mógł mieć około $^1/_2$ do $^2/_3$ millimetra grubości.

Działaniem piorunu łańcuch rozproszony został na tysiące cząstek mniejszych jak śpilki, jednakże wśród téj massy cząstek rozproszonych, znajdowano jeszcze tu i owdzie całkowite części liny; lecz te miały najwięcéj kilka decimetrów długości, na ich powierzchni spostrzeżono barwę fioletową, którą ogień nadaje metalom, i w istocie piérwsi co się ich dotknęli, uważali, że były jeszcze mocno parzące.

Zresztą okręt wcale nie był uszkodzonym, gdy tymczasem niedaleko od niego znajdujący się okręt turecki, na którym był także konduktor, lecz którego łańcuch nie sięgał aż do wody, podług tegoż samego raportu, uderzony piorunem podczas téj saméj burzy, został nieco uszkodzonym, ponieważ w boku jego powyżéj części obitéj miedzią, nad powierzchnią wody, znaleziono otwór 30 cent. głęboki, taki sam prawie, jak od kuli działowéj.

Jednakże konduktor zamiast bezpieczeństwa wzbudzałby bardzo słuszne obawy, gdyby zachodziło najmniejsze prawdopodobieństwo, że jeśli będzie dobrze urządzony i w dobrym stanie, skoro zostanie uderzonym, będzie rozproszonym na cząstki parzące, i rzuconym daleko jak kartacze albo dészcz ognisty.

Zadaniem naszém jest więc to, aby się przekonać, czy takie wypadki są nieuchronne, czy są koniecznie z naturą rzeczy złączone, albo téż wynikają z jakich wad konstrukcyjnych właściwych przyrządom, które wystawione na jedno uderzenie piorunu, zostały rozproszone na tak wielką liczbę cząstek.

Fakta, które dopiéro co przytoczyliśmy, i wszystkie inne mniéj lub więcéj podobne, które możnaby znaleźć w historyi piorunu i jego zjawisk tak często nadzwyczajnych, nie zostawiają żadnéj wątpliwości w tym względzie. Wszystkie konduktory przezeń zniszczone, były złemi przyrządami, niedokładnemi, źle zbudowanemi, wcale nie podług zasad, jakie teorya mogła wyprowadzić z doświadczenia.

Urządzenie konduktora nie pociąga za sobą tego, aby on nigdy nie był uderzany piorunem: przeciwnie może być często uderzanym, ale urządzony być powinien w ten sposób, aby mógł zawsze się oprzeć nawet najgwałtowniejszym uderzeniom.

Zastanówmy się głębiéj nad przyrządami *New-Yorku* i *Jupitera*.

Konduktor na New-Yorku miał wiele wad w konstrukcyi, pręt jego był zbyt cienki, i zbyt śpiczasto wyciągnięty, a przewodnik jego również był zacienki. Oprócz tego konduktor nie powinien nigdy mieć kształtu łańcucha i do każdego użytku téj natury powinien być bardzo surowo zakazanym. Przyczyny tego są: kółka nigdy dokładnie dotykać się nie mogą, z powodu uszkodzeń w metalu i rozmaitych nieczystości, które przyczepiać się mogą; a przypuszczając nawet, że powierzchnie zetknięcia są zupełnie czyste i metaliczne, zdarza się zawsze że są zamałe, i że słaby strzał piorunowy dostatecznym jest, aby żelazo stopić lub spalić.

Rodzaj tych wad oznacza sam sposoby służące do zaradzenia tymże; możnaby się tylko obawiać, aby nie wypadało powiększać grubości prętów i przewodników do takich wymiarów, że urządzenie dobrego konduktora stałoby się rzeczą bardzo trudną i w wielkiéj liczbie przypadków prawie niepraktyczną. Obawy te zdawać się mogą nawet usprawiedliwionemi przez piérwszy strzał piorunowy, który padł na New-York, ponieważ zdołał stopić rurę ołowianą, któréj przecięcie metaliczne wynosiło blizko 30 centimetrów kwadratowych. Lecz zdarzenie to nie dowodzi nic innego jak tylko to, co już dokładnie zostało dowiedzioném przez doświadczenia fizyczne, a mianowicie że ołów jest najgorszym metalem, jakiegoby użyć można na przewodnik konduktora, ponieważ jest zbyt topliwym i zbyt złym przewodnikiem elektryczności. Też same doświadczenia uczą, że przeciwnie należy wybierać żelazo i miedź, przez to dochodzimy do bardzo praktycznych wymiarów, i koszta nie są tak wielkie. Nie ma przykładów świadczących, żeby piorun kiedykolwiek był zdolnym stopić pręty żelazne 2 centimetry średnicy, albo 3 centimetry w kwadrat; a pomimo tego że miedź daleko łatwiéj się topi niż żelazo, może być jednak użytą w wymiarach jeszcze mniejszych, ponieważ ze złotem, srebrem i palladyum, należy do najlepszych przewodników elektryczności.

Konduktor *Jupitera* chociaż lepiéj urządzony niż poprzedni, miał także główną wadę w swym układzie. Nie powiemy nic o pręcie, dla braku dostatecznych szczegółów co do zmian, jakie strzał piorunowy mógł w nim zrządzić: ograniczymy się tylko na przytoczeniu że był skręcony, a wspomnimy tylko o linie z drutu mosiężnego, która stanowiła przewodnik konduktora. Powiedzieliśmy już, jakie szczególne zjawiska przedstawiała ona w zerwaniu i rozrzuceniu. Skutki te wytłumaczyćby można w ten sposób: możnaby naprzód sądzić, że wymiary liny były zbyt małe, i że była pozrywana i rozrzucona z téj saméj przyczyny, co łańcuch mierniczy na New-Yorku; ponieważ dokładnie została dowiedzioną doświadczeniami przez Van Marum w 1787 roku wykonanemi szczególna własność mosiądzu, że może być połamanym na tysiące kawałków przez strzał elektryczny. Wszelako liczne cząstki liny, które nam przesłano i które mogliśmy badać pod wszelkiemi względami, okazują nieznaczne ślady stopienia: co więcéj, żaden z tych śladów nie zajmuje całéj grubości liny, wszystkie ograniczają się na kilku drutach z 60, które składały linę. Ta okoliczność zdaje się dowodzić, że strzał piorunowy nie rozszedł się równo po wszystkich drutach, i że te, po których on przechodził, nie będąc dostatecznemi do przeprowadzenia elektryczności, musiały być jedne stopione, inne połamane lub ulotnione, z szybką explozyą, która zawsze towarzyszy ulatnianiom elektrycznym. Ztądto rozerwanie liny i to rozrzucenie jéj na części kilka decimetrów długości, które parzyły rękę, jednak nie były ogrzane do tego stopnia, aby mogły zapalić drzewo i inne ciała palne.

Takie wyjaśnienie daje jednakże powód do nowego pytania, mianowicie, czy w linie z podobnych drutów, połączonych i skręconych razem, piorun może wybierać i przekładać kilką z nich, gdy całe ich połączenie zaledwie byłoby wystarczające, aby mu dać wolne przejście. Na to nie wahamy się odpowiedzieć twierdząco, przynajmniéj pod pewnemi warunkami. Bez wątpienia, gdyby przy obudwóch końcach liny na 1 decimetr długiéj, druty były najpierwéj pobielone oddzielnie, i następnie razem zlutowane, dla utworzenia niejako walca metalicznego, nie zdarzyłoby się nigdy, aby elektryczność naturalna lub sztuczna, mając krążyć w całéj długości liny, przekładała jedne druty nad inne, gdy te są jednakowe: albowiem

podlegając one temu samemu prawu, opierałyby się razem: byłyby stopione lub ulotnione razem. Lecz jeżeli ten warunek nie jest wypełnionym, jeżeli w dwóch końcach albo też co najgłówniejsze, jeżeli w miejscach połączenia się z innemi przewodnikami, druty są między sobą odosobnione przez warstwę kurzu lub rdzy; jeśli jeszcze lina nie dotyka się przewodników jak tylko za pomocą drutów powierzchownych: wtenczas rzeczy dzieją się zupełnie inaczéj; druty nie są już równemi co do swego zachowania się względem płynu elektrycznego i przestają być jedne od drugich zależnemi, i niejako wzajemnie odpowiedzialnemi, elektryczność z pomiędzy nich wybiera te, które są w zetknięciu z przewodnikami, i które przez skręcenie liny dostają się czasem do powierzchni, czasem do środka wiązki; te druty ograniczone na małéj liczbie, nie mogą znieść działania elektrycznego, a cała lina zerwana przez explozyą, przedstawia niezawodnie wszystkie zjawiska, które się okazały na okręcie *Jupiter*, i dobrze zostały opisane przez komendanta Lugeol.

Ważne te niedokładności przez nas wymienione w dwóch konduktorach uderzonych piorunem, pomimo że są różne pod pewnemi względami, jednak źródło ich jest jednakowe, i od jednéj pochodzą przyczyny, którą jest *niedostateczna grubość przewodnika.* W piérwszym przypadku, ta niedostateczność jest widoczna i istotna: drut żelazny 6 millimetrów grubości, ma przecięcie 9—10 razy zamałe; w drugim zaś ta niedokładność jest ukryta i przypadkowa, ponieważ wynika z niedokładnie wykonanych połączeń. Na tę okoliczność szczególniejszą potrzeba zwracać uwagę.

Najważniejsze dwa prawidła budowy konduktorów i ich przewodników są:

1. Aby miały wszędzie dostateczną grubość (przecięcie).

2. Aby były ciągłe bez żadnych przerw od wierzchołka aż do zbiornika wspólnego.

Lecz należy dobrze zrozumieć, jaka ta ciągłość być powinna, bo rzeczywiście można ją pojmować dwojako: można przypuszczać że dwie sztuki metaliczne dotykające się wzajemnie, tworzą całość dostatecznie ciągłą dla elektryczności, lub przeciwnie można przypuszczać, że najczęściéj takie proste zetknięcie jest toż samo co przerwa, z przyczyny powstającego z czasem

zardzewienia, i ciał obcych osadzających się między powierzchniami.

Instrukcya z roku 1823 nie przyjąwszy piérwszéj opinii, o ile się zdaje nie popiera także i drugiéj, która podług naszego zdania, wyjątkowo tylko może być zastosowaną w praktyce, w tém wszystkiém co się tyczy konduktorów.

Nie możemy zaprzeczyć bez wątpienia; że pomnażając ostrożności i starania, możnaby połączyć i ześrubować dwie sztuki żelaza lub miedzi tak ściśle, że przedstawiać będą płynowi elektrycznemu połączenie zupełnie ciągłe; lecz gdy połączenia mają być liczne, obawiamy się nieostrożności robotników, a nadewszystko obawiamy się chemicznych uszkodzeń powierzchni, osadzenia się różnych materyi obcych, nakoniec rozejścia się mechanicznego, które także czasem się zdarza, z przyczyny wstrząśnień powtarzanych. Z tego powodu uważamy jako koniecznie podać dwa prawidła następujące:

Prawidło piérwsze. Zmniejszyć jak tylko można liczbę połączeń w całéj długości konduktora aż do zbiornika wspólnego.

Prawidło drugie. Wszystkie połączenia, które muszą być na miejscu uskutecznione, czyto z przyczyny kształtu, czy téż z przyczyny długości sztuk, uskutecznić za pomocą lutu cynowego. Te lutowania cyną, które zawsze powinny być zrobione na powierzchniach przynajmniéj 10ciu centimetrów kwadratowych, powinny być oprócz tego wzmocnione śrubami lub skówkami.

Zdaje się, że roztropność wymaga zachowania tych ostrożności, szczególnie dla budowli, w które wchodzi bardzo wiele metalu, lub postawionych na gruncie, który jest dobrym przewodnikiem, nakoniec dla okrętów, ponieważ one właśnie przedstawiają warunki najczęstszych uderzeń elektrycznych pod wpływem chmury burzliwéj.

Trzecie prawidło, do którego przywiązujemy ważne znaczenie, zależy na tém, aby nie zmniejszać grubości wierzchołka pręta konduktora, jak to zwykle robią. Podług naszego zdania, wierzchołek górny pręta nie powinien przedstawiać mniéj jak 3 centimetry kwadratowe przecięcia, a więc 2 centimetry średnicy. Należy koniec pręta spiłować okrągło w kierunku osi, aby utworzyć walec mający 1 centimetr średnicy i 1 centimetr wysokości, na nim następnie wyciąć śrubę, do któréj przystosuje

się ostrokręg platynowy, mający w podstawie dwa centimetry, a wysokość podwójną, t. j. 4 centimetry; kąt przeto otwarcia wierzchołka spiczastego wynosić będzie tym sposobem 28^0 do 30^0. Ten ostrokrąg platynowy robi się pełny, lecz następnie świdruje się go i wyrzyna w nim śrubę zupełnie odpowiednią piérwszéj, tak, aby stanowiła jéj muterkę, nareszcie powinien być przylutowanym do żelaza lutem twardym (szlaglutem), aby stanowił z nim całość ciągłą i bez przerwy.

Oznaczmy przyczyny téj zmiany.

Jakakolwiek może być wielkość chmury burzliwéj, jakkolwiek znaczne może być jéj natężenie elektryczne, niezawodnem jest, że gdyby była dosyć oddalona od konduktora, i gdyby powoli przybliżała się do niego, nie byłoby wcale wystrzału piorunowego; konduktor wówczas skutecznie wywierałby swój *wpływ ochronny*, nie zobojętniając zupełnie elektryczności chmury burzliwéj, lecz zmniejszyłby ją w ogromnym stosunku; a w tym razie nietylko ochraniałby około siebie okrąg ograniczony, lecz ochroniłby jeszcze w pewnéj mierze sposobem uprzedzającym wszystkie przedmioty, nad któremi chmura ta ma przechodzić w dalszym swym biegu. Dla powiększenia jeszcze tego wpływu ochronnego tak uwagi godnego, dajemy konduktorowi, w całéj jego długości tę ciągłość metaliczną, która wpływ ten powiększa w wysokim stopniu.

Wierzchołek zaostrzony pod kątem 30^0, przekładamy nad wierzchołek daleko więcéj spiczasty, jaki się pospolicie używa; nie przeszkadza to temu wpływowi, pomimo tego że takie zaostrzenie mniéj jest właściwém do wspierania wspomnionego wpływu ochronnego, gdy odległości są małe a natężenie słabe, lecz ma niezaprzeczoną wyższość przez opór nierównie większy, jaki przedstawia stopieniu, który to opór uważamy za koniecznie potrzebny.

W rzeczy saméj, wypada rozwiązać tu pytanie: czy dobry konduktor może być tak samo uderzony piorunem, jak zły, lub jak inne przedmioty na ziemi? W wypadkach dotąd znanych nie znajdujemy nic, coby nas upoważniało do odpowiedzi na to pytanie bezwzględnie przeczącéj: powiemy tylko, że zjawisko to jeśli się zjawia, nie może się inaczéj okazać, jak tylko pod tym warunkiem, że znaczna siła elektryczna nagle rozwinie się w sąsiedztwie konduktora. Oto jest wszystko, co dziś możemy wyprowadzić z praw jeszcze niedokładnie znanych o elektry-

czności atmosferycznéj: jest jednak bardzo prawdopodobném, że warunek o którym wspomnieliśmy, jakimkolwiekbądź sposobem wypełnionym być może, czyto przez szybkie zgęszczenie, jaki sprawia nagłe skroplenie się wielkiéj massy wody lub gradu, czy też zresztą z innych przyczyn, których źródła teraźniejsza nasza umiejętność dostrzedz nam nie dozwala.

Nie wątpimy, że zjawisko to jest bardzo rzadkiém, a nawet zupełnie wyjątkowém, dosyć wszakże że jest ono możliwém, abyśmy ztąd wyprowadzili ten praktyczny wniosek: że koniecznie konduktor tak urządzać należy, aby nietylko nie był zniszczony przez piorun, lecz nadto aby nie mógł doznać żadnego uszkodzenia, któreby zdolném było osłabić jego moc ochraniającą.

Wierzchołek cienki i ostro zakończony nie odpowiada temu warunkowi, gdyż niepotrzeba nawet bardzo silnego uderzenia piorunu do jego stępienia, albo nawet do zmiękczenia jego pręta do tego stopnia, że pod własnym ciężarem skrzywi się w kształt pastorału; a jeśli zdarzy się uderzenie gwałtowne, wierzchołek pręta do większéj lub mniejszéj długości zostaje stopionym i spada w kształcie kulek ognistych. Po takim przypadku, jeśli przewodnik konduktora nie doznał żadnego uszkodzenia, konduktor wprawdzie nie jest zupełnie bez użytku, lecz pewném jest, że stracił wszystkie zalety, jakie osiągnąć zamierzano, dając mu wierzchołek bardzo spiczasto zakończony. Przyrząd tak uszkodzony, może jeszcze długo służyć do otrzymania innych uderzeń piorunu, i do wywierania ochrony około siebie w pewnym promieniu; lecz stał się już niezdatnym do wywierania wpływu ochronnego, ponieważ zniszczony ostry wierzchołek pręta, przedstawia tylko massę niekształtną, pokrytą grubą warstwą rdzy.

W tych dwóch stanach, konduktor przedstawia dwie przeciwne opinie działania konduktorów w różnych epokach powstałe: mianowicie przed uderzeniem piorunu, działanie konduktora przedstawia opinią tych, którzy od konduktora żądają wyłącznie wpływu ochronnego; po uderzeniu zaś przedstawia zdanie tych, którzy za nic mając wpływ ochronny, żądają tylko aby konduktor mógł być uderzony piorunem, bez uszkodzenia budynku. Wszystkim żądaniom zadosyć uczynić niepodobna, lecz mamy stałe przekonanie, że można urządzić konduktor, któryby doskonale wytrzymał najgwałtowniejsze uderze-

nia piorunu, i zarazem posiadał przed i po uderzeniu wpływ zabezpieczający, bardzo skuteczny.

Taki jest cel trzech praktycznych prawideł przez nas podanych.

Co się tyczy reszty, odsyłamy do instrukcyi z roku 1823, ponieważ naszéj wiadomości nie doszedł żaden wypadek, któryby przyczyniał się do zmiany podanych w niéj prawideł ogólnych.

1) Co do grubości przewodników konduktora, która tam jest przepisana na $2\frac{1}{4}$ centimetry kwadratowe, t. j. 15 millimetrów boku dla żelaza kwadratowego, a 17 millimetrów średnicy dla prętów okrągłych.

2) Co do sposobu urządzenia przewodników konduktora na dachach rozmaitych budowli.

3) Co do sposobu urządzenia kommunikacyi między niemi i zbiornikiem wspólnym.

Po zbadaniu wszystkiego, co się tyczy budowy i osadzania konduktorów, przedmiot, o którym mowa, nie jest jeszcze wyczerpanym; pozostaje bowiem jeszcze ważne i trudne do rozwiązania zadanie: a mianowicie, aby się przekonać w jak wielkiéj liczbie należy osadzać konduktory na budowlach, albo mówiąc innemi słowy, jaki jest okrąg, który ochronić jest w stanie konduktor dobrze urządzony.

Niektóre dawne spostrzeżenia wskazują, że uderzenia piorunu mogą mieć miejsce w części budowli, znajdujące się od pręta w odległości równéj 3—4 razy jego wzniesieniu nad poziom. Ztąd przy końcu ostatniego wieku było to zdanie ogólnie przyjęte, że koło ochrony konduktora, ma promień równy podwojonéj wysokości pręta. Instrukcya z roku 1823, znalazłszy to stwierdzonem przez doświadczenie, sądziła, że może przyjąć to prawidło; jednakże robi w niém niektóre zastrzeżenia: np. co się tyczy konduktorów dzwonnic, przypuszcza, że jeżeli się wznoszą 30 metrów nad dachem kościołów, to dla tych dachów promień koła ochrony ogranicza się do 30 metrów zamiast 60ciu.

Wypada tu jednakże wspomnieć, że prawidła te, pomimo że się ich trzymano oddawna, opierają się na podstawach tylko przypuszczalnych. Uwagę tę wszakże czynimy tu nie dlatego, aby je potępić, lecz dla zapobieżenia temu, aby nie przypisano im ważności, któréj wcale nie posiadają.

Czyż bowiem można sądzić, że prawidła podawane od czasu do czasu, i przyjęte tylko przez podanie i zaufanie, nie potrzebują sprawdzeń; i czy należy zaniechać robienia w tym względzie spostrzeżeń, skoro się zdarzą stosowne ku temu okoliczności, a które same tylko dostarczyć mogą nauce ważnych dowodów, obecnie prawie zupełnie brakujących.

Z temi tylko zastrzeżeniami, w braku dosyć licznych i pewnych danych, przyjmujemy te prawidła co do wielkości przestrzeni, którą konduktor wokoło siebie ochrania. Dla tych jeszcze, którzy będą mogli postrzegać wypadki do tego się odnoszące, dodamy, że prawidła te nie mogą być ani ogólnemi, ani bezwzględnemi; że zależą od wielu okoliczności, a szczególniéj od materyałów wchodzących w skład budowli. Sądzimy np. że promień koła ochrony dla budowli, któréj pokrycie i wiązanie są metaliczne, nie może być tak wielkim jak dla budowli, któraby w swych wyższych częściach miała tylko drzewo, dachówkę lub łupek.

W istocie, w tym ostatnim przypadku, część czynna chmury burzliwéj, chociaż znacznie więcej oddalona od konduktora a niżeli od pokrycia, wywiera jednakże na konduktor wpływ daleko silniejszy, gdy tymczasem w piérwszym przypadku, powinien być prawie równy, przypuszczając równą odległość obu budynków od chmury.

Kończąc rozwinięcie tych zasad ogólnych, korzystamy z okoliczności, która się nam nastręcza dla zwrócenia powtórnie uwagi na to wszystko, co się tyczy skutków piorunu, i na konieczność dobrego ich uważania. Za każdą razą, gdy piorun spada blizko lub daleko od konduktorów, blizko lub daleko od mieszkań, na równinach i na górach, prawie z pewnością można czynić ważne postrzeżenia na zjawiskach wydarzających się. Znamy wprawdzie wielką liczbę, na nieszczęście zawielką przykładów, osób zabitych albo domów zgorzałych; znamy także bardzo rozmaite przykłady metalów stopionych, wiązań zgruchotanych, kamieni albo nawet ścian przerzuconych na wielką odległość, nakoniec wiele innych podobnych skutków; lecz czego nie ma w ogólności, oto dokładnych oznaczeń, tyczących się odległości, wymiarów, położenia przedmiotów czyto uszkodzonych lub też tych, które nie były uderzone; ponieważ należy dobrze poznać równie to co piorun ochrania, jak i to, w co uderza. Wszyscy dostrzegacze, a szczególniéj oficerowie marynarki,

artyleryi i inżynieryi, professorowie, inżynierowie i budowniczowie, powinni dobrze uważać te zjawiska, nawet w chwili gdy się zjawiają, i dobrze je opisywać tak dla pożytku nauki, jakotéż i publicznéj ekonomii. Opisy te gdy tyczą się uderzenia piorunu, powinny o tyle, o ile można oznaczyć ślady jego przejścia od najwyższego punktu aż do najniższego; następnie należy przez przecięcia poziome dobrze oddane i kilkokrotne dać poznać względne położenie wszystkich przedmiotów w dosyć obszernem kole, około tych, które mają znaki jego przejścia.

Dla okrętów, instrukcya nowa poleca użycie za przewodniki konduktorów lin z drutu miedzianego, przy początku koniecznie z sobą wzajemnie zlutowanych, przylutowanych również do pręta konduktora i dokładnie połączonych z obiciem okrętowém.

Co zaś do pałacu wystawy, który był powodem ogłoszenia téj instrukcyi, zwracano tam najwięcéj uwagę na dokładne połączenie z sobą i z konduktorami tych wielkich mass metalów użytych do budowy, tudzież na jak najściślejsze połączenie tych ostatnich z ziemią.

Z początku sprawozdawca w raporcie tym zamieszcza krótką historyą zaprowadzenia konduktorów we Francyi, daléj opis położenia i wielkości nowo wznoszących się gmachów Louwru, których ogół wraz z dawnemi jeszcze budowlami stanowi ogromną całość: w końcu raport tak się wyraża:

Dla powzięcia dokładnego wyobrażenia o obszerności tych nowych budowli, przedstawmy sobie, że różne części je składające są oddzielone od siebie, a następnie przystawione końcami jedna do drugiéj; a wtenczas znajdziemy, że miałyby długości 920—930 metrów, co stanowiłoby trzy razy długość pałacu Tuileries.

Taka jest cała rozległość, którą należy ochronić przeciwko uderzeniom piorunu.

Nowość, która szczególnie zwraca na siebie naszę uwagę, jestto prawie wyłączne użycie żelaza, czyto do wiązań górnych, czy na belki wszystkich stropów; pokrycie samo bowiem podobne jest do dawnych (łupkowych), tylko cynk zastępuje ołów przy wierzchołkach i rynnach.

Poznawszy stan rzeczy, kommissya przyjmuje sposobem ogólnym dawne urządzenie konduktorów Luwru i Tuileries w tém co się tyczy wysokości prętów, ich oddalenia i grubości przewodników, lecz co się tyczy kształtu wierzchołków i ciągłości metali-

cznej przewodników, kommissya potwierdza przepisy, które znajdują się w dodatku zatwierdzonym przez Akademią na posiedzeniu z d. 18 grudnia roku zeszłego.

Co do kommunikacyj przewodników konduktura z zbiornikiem wspólnym, polecamy ją powtórnie zgodnie z naszemi poprzednikami, jako warunek konieczny do spełnienia za jakąbądź cenę. Dodamy nawet w tym względzie dwie uwagi, które zdają się nam bardzo potrzebne:

1. W dawniejszych instrukcyach o konduktorach powiedziano, że przewodniki powinny mieć kommunikacyą z wodą rzeki, stawu, studni, albo przynajmniéj z ziemią wilgotną. Prawidło bardzo ścisłe samo w sobie, staje się fałszywém w zastosowaniach. Niekiedy wystawiają sobie, że ogień z nieba ugasić się daje za pomocą wody, tak samo jak ogień pożaru, i dlatego jeśli jest niedostatek wody, rozwiązują zadanie spuszczając przewodnik w cysternę obfitującą w wodę, i w niéj go zagłębiają, sądząc, że tym sposobem uczyniono zadosyć zasadom nauki. Jest to błąd najniebezpieczniejszy: przewodnik powinien mieć kommunikacyą ze zbiornikiem wspólnym, tojest z obszernemi powierzchniami wody, mającemi daleko większą rozległość niż chmury burzliwe; woda bowiem mogłaby się naelektryzować tak mocno, że piorun wydaćby mogła, gdyby jéj rozległość była zbyt mała. W innych razach, gdzie studnie mogą być zrobione, lecz byłyby zbyt kosztowne, korzystają z wyboru zostawionego przez instrukcyą: zamiast kopać studnie, dają kommunikacyą konduktorowi z gruntem wilgotnym, lecz nie dbają o to, czy ta ziemia zachowuje dostateczną wilgoć podczas wielkich suszy, kiedy właśnie burz najwięcéj obawiać się należy; nie dbają także o to, aby się przekonać, czy ta warstwa wilgotna jest dosyć obszerna, aby nie dopuścić żadnego niebezpieczeństwa. Zwracamy szczególniéj uwagę na ten drugi błąd, gdyż zdaje się, że jest on więcéj pospolitym jak piérwszy. Zważając zresztą, że bardzo jest trudno rozpoznać czy grunt wilgotny odpowiada wszystkim warunkom bezpieczeństwa, nie wahamy się powiedzieć, że nigdy nie należy używać tego sposobu kommunikacyi ze zbiornikiem wspólnym; w braku rzek lub wilgotnych stawów, radzimy, aby przewodnik konduktora znajdował się zawsze w kommunikacyi z obszernemi strumieniami niewyczerpanych wód podziemnych. Sposób ten, który wyłącznie tylko powinien

być używanym, przedstawia dziś daleko mniéj przeszkód przez zastosowanie świdrowania, które stało się łatwém i mało kosztownem.

2. W niektórych okolicznościach, a szczególniéj gdy woda znajduje się w nieznacznéj głębokości pod powierzchnią gruntu, uważamy za potrzebne użyć *przewodnika o dwóch odnogach: odnoga główna* schodzi aż do powierzchni wody podziemnéj, i *odnoga podrzędna* która wychodząc z téj piérwszéj przy powierzchni gruntu, rozchodzi się w nim równolegle do powierzchni jego. Oto są powody tego urządzenia:

Po wielkich suszach, chmury burzliwe nie wywierają swego wpływu jak tylko bardzo słabo na grunt suchy i będący złym przewodnikiem; cała moc ich działania wywartą zostaje na powierzchnie wód głębokich; tam dopiéro następuje rozkład elektryczności naturalnéj właściwym sposobem, a elektryczność przyciągana, idzie po głównéj odnodze przewodnika, aby spłynąć przez ostrze konduktora, odnoga zaś podrzędna pozostaje bez skutku. Przeciwnie po dészczu, gdy ziemia została zmoczoną, jéj warstwa powierzchowna staje się przewodniczą, działanie chmur burzliwych do niéj się tylko rozciąga; i w tym przypadku służy ona za ekran, który przeszkadza, aby wpływ elektryczny mógł dosięgnąć aż do powierzchni wody podziemnéj. W takim razie potrzeba koniecznie, aby powierzchnia gruntu miała bezpośrednią kommunikacyą z przewodnikiem, ponieważ zdarzyć się może, że nie ma z nim dostatecznéj kommunikacyi przez wodę podziemną. Odnoga podrzędna zadosyć uczyni temu warunkowi, gdy tymczasem odnoga główna staje się nieczynną.

Ta druga uwaga mało może mieć zastosowania do gruntu Paryża, a szczególniéj przy brzegach Sekwany, gdzie woda studzien jest bezwątpienia w doskonałéj kommunikacyi z wodą rzeki, a tém samém i w dokładnéj kommunikacyi z ulicami, gdy te przez dészcz zostaną zmoczone.

Sądzimy więc, że dla nowych budowli Luwru, można będzie postąpić sposobem następującym: w każdym dziedzińcu zostanie wykopana studnia do takiéj głębokości, aby podczas największéj suszy woda w niéj znajdowała się na 1 metr wysokości. W studni téj umieści się rura z żelaza lanego 12 do 15 centimetrów średnicy wewnętrznéj, do któréj woda wchodzić będzie za pomocą otworów bocznych; ma ona się wznosić od dna studni aż do powierzchni gruntu; tam przewodnik kondukto-

ra mając kommunikacyą za pomocą sztaby żelaznéj ze ścianami rury, spuszczonym będzie jéj środkiem aż do głębi wody; urządzenie jego będzie takie, aby od czasu do czasu mógł być ztamtąd wyjmowany i zrewidowany. Fliza równa z powierzchnią gruntu przykryje otwór studni. Jeżeli się zdarzy, że kilka konduktorów schodzić się mają do jednéj studni, należy je zlutować do jednej wspólnéj sztaby, która spuszczoną będzie do wody, i w takim razie grubość jéj przecięcia może wynosić od 10 do 12 centimetrów kwadratowych.

Pozostaje nam jeszcze zbadać ostatnią kwestyą, tyczącą się sposobu jaki przyjąć wypadnie, aby ustanowić kommunikacyą między przewodnikami konduktorów, a rozmaitemi częściami metalicznemi, wchodzącemi w skład budowy. Wszędzie, jak powiedzieliśmy wiązania są żelazne, lecz rozkład wewnętrzny wymaga, aby stosownie do przeznaczenia niektóre części gmachu miały właściwie jeden tylko strop, gdy tymczasem inne części mają kilka piętr a nawet do 6ciu stropów jeden nad drugim. Każdy strop może być uważany jako wielka siatka metaliczna złożona z kilku mocnych belek wydrążonych, krzyżujących się z licznemi beleczkami podobnemi do szyn kolei żalaznéj, które również krzyżują się z mnóstwem sztabek żelaznych mniejszych, nakoniec oczka téj siatki są zapełnione garnkami.

Badając skutki chmury burzliwéj na części budowli, gdzie się znajduje 6 podobnych siatek rozłożonych jedna nad drugą, łatwo dostrzedz możemy, że gdyby pokrycie (dach) było wielkim ciągłym arkuszem metalicznym, wówczas cała moc działalności elektrycznéj na nieby się wywarło, przynajmniéj co do wiązań i stropów znajdujących się pod nim, i stanowiłoby tym sposobem względem nich rodzaj zasłony ochraniającéj. W tym przypadku byłoby dostatecznem, aby pokrycie miało dokładną kommunikacyą z konduktorami; lecz tu pokrycie nie jest metaliczném jak tylko w bardzo małéj części: można powiedzieć, że z więzbami składa tylko siatkę z bardzo szerokiemi okami, a przezto przedstawia zasłonę niedokładną, przez którą na podłogę czyli strop górny może jeszcze wywrzeć silne działanie płyn elektryczny.

Z tych powodów radzimy następujące urządzenia: 1) części główne podłóg czyli stropów wszystkich piątr powinny mieć kommunikacyą z przewodnikami sąsiedniemi, 2) byłoby bardzo dobrze, aby wszystkie belki stropów górnych miały me-

taliczną kommunikacyą między sobą za pomocą sztaby wśrubowanéj w każdą z nich, a jeżeli można zlutowanéj cyną, którato sztuka będzie miała kommunikacyą z prętami; 3) wydaje się nam prawdopodobném podług sposobu urządzenia, że w ogóle więzby dachu są w dokładnéj kommunikacyi jedne z drugiemi, za pomocą leźni, które je łączą, a szczególniéj leźni wierzchołkowéj; przeto będzie dostateczném, aby wszystkie pręty konduktorów miały kommunikacyą z tą ostatnią. Jednakże gdyby się zdarzyło, że czyto z przyczyny różnicy wierzchołków, czy też z innych przyczyn, że kommunikacye o których mowa, mogłyby zostawić niektóre wątpliwości: należałoby temu zaradzić za pomocą osobnych prętów żelaznych; 4) rynny i wierzchołki cynkowe powinny mieć również metaliczną kommunikacyą z prętami i przewodnikami konduktorów.

Nakoniec uczynimy tu jeszcze uwagę, że z tych rozporządzeń to, które się tyczy rynien i stropów różnych piętr bardzo łatwo może być wykonane, ponieważ w grubości murów pozostawione zostały wielkie otwory prostopadłe, przeznaczone do pomieszczenia rur spustowych dla wody deszczowéj. Otwory te są dość obszerne, aby mogły pomieścić zarazem i przewodniki konduktorów, które tym sposobem przedstawiają podwójną korzyść, że mogą być zrewidowanemi bez trudności, i mają kommunikacyą metaliczną w małéj odległości z częściami metalicznemi wewnętrznemi.

(Akademia Nauk 12 marca 1855 r.).

SPOWIEDŹ ZAKONNIKA.

A teraz powiédz, czém synu w Chrystusie
Śmiałeś obrazić miłosierdzie Boże?
— Czém? wszystkiém ojcze, czém tylko w pokusie
Występny grzésznik obrazić je może:
Lecz, by zupełną była skruchy cnota,
Zdam ci rachunek z całego żywota.

Ledwie myśl moja z pieluch niemowlęcia
Promienne na świat wychyliła lica,
Już w mar dręczących upadła objęcia:
Tęskna na ziemi, chciała wniebowzięcia,
Bez grzechu jeszcze, a już pokutnica.
Nigdy głos ziemski, i uczuć pieszczota
W pasma się mego nie wplotły żywota,
Bo duch mój skrzydłom opuściwszy wodze,
Po napowietrznéj wciąż uganiał drodze,
A żadnym ziemskim węzłem się nie spoił:
Pragnął, a w pragnień ciągłym niepokoju
Spiekłemi usty w każdym czerpał zdroju,
Ale pragnienia niczém nie napoił.
Czy ty wiész ojcze, co to ból tęsknoty
Za tém, co duszę rozpala wulkanem?
Czy ty wiész, co to biedz za ukochanem,
A żadnéj mary, ducha ni istoty
Gorącym uczuć płomieniem nie schwycić,
By najstraszniejszy, głód duszy nasycić?
Wciąż mnie kochania ścigała tęsknota,
A jam jéj żadném uczuciem nie przemógł,
Bo pragnąc kochać, nic'em kochać nie mógł,
I to najcięższy grzéch mego żywota!
Czym oko rzucił na blask słońca dzienny,
Czy na księżyca światło tajemnicze,
Czy na liść róży, czy na wzrok promienny,
I promienniejsze dziewicy oblicze,
Czułem żar w piersi, ból w każdém jéj tętnie,
Myśl do piękności rosła ideału,

Chciałem coś kochać, nawet bez podziału,
Byleby tylko coś kochać namiętnie,
Ale co chwila podniosła zapału,
Gasło po chwili w sercu obojętnie...
Bo do kochania znać mi było trzeba
Piękniejszéj ziemi, gwiazdzistszego nieba.
Miłość i szczęście, to jedno, mówiłem:
Będę kochając wieczną tchnął rozkoszą.
Lecz gdy mnie takie sny szczęścia unoszą,
A to, co w głębi duszy wymarzyłem,
To, za czém gonię, co myśli mych treścią,
Wciąż mnie omija, z rąk uchodzi wiecznie:
Chciałem już kochać łzami i boleścią,
Byleby tylko coś kochać koniecznie...
Wtenczas, żal jakiś, a ciężki jak brzemię,
Wziął mnie za serce i cisnął o ziemię,
A potém gorycz, jakby od zatrucia
Podała w niesmak spaloną namiętność;
A potém przyszła zimna obojętność,
I roztoczyła w proch wszystkie uczucia,
I pogasiła albo ścięła lodem,
Co najświętszego było w sercu młodem.
Gdzie wprzódy światło, tam zaległy cienie,
Gdzie wprzódy życie, tam śmierć zimnem dmucha;
I z prochu uczuć i popiołów ducha
Powstało straszne jak upiór—zwątpienie!
Com ręką dotknął i cyrklem przemierzył,
Zbadał rozbiorem lub nauką przemógł,
W tom tylko wierzył, w resztem nic nie wierzył,
Bo jakże wierzyć, gdym już kochać nie mógł!

I tak mój ojcze, długie przeszły lata:
Z wystygłém sercem na wiarę i miłość,
Patrzyłem w świat ten, jak w ciemną zawiłość,
Którą przypadek wiąże i rozplata,
W któréj blask jakiś przed oczami miga,
A nicość węzeł gordyjski rozstrzyga.
I myśl wkopałem w księgę, aby w księdze
Odetchnąć, zbudzić z letargu pierś skrzepłą;
Lecz danoż saméj dociekań potędze
Wykrzesać iskrę, i przelać tam ciepło,
Gdzie grunt piasczysty zpod stóp się usuwa,
Gdzie myśl to mknie się, to cofa z przestrachu,
I nie ma na czém oprzeć swego gmachu,
Bo anioł Pański nad gmachem nie czuwa....
Domysł i domysł.... A gdy na téj fali
Łódka się czasem pomknie, i dostrzeże
Jakiś ląd jasny i piękne wybrzeże;

To więcéj jeszcze ten widok rozżali,
Że go mrok nocy z przed oczu zabierze:
I wątłą łódkę bez steru i wiosła,
Fala od brzegu pięknego odniosła,
Bo anioł Pański wędrowca nie strzeże!

Samotność, straszna samotność przedemną,
Długim jak świat się wyciągnęła stepem;
Gdzie wzrok obrócisz ciemno, wszędy ciemno,
A ja w ciemności téj sam, z okiem ślepem,
Snując z dnia na dzień wątłą życia przędze,
Już nie umiałem czytać w wielkiéj księdze
Ziemi i niebios, i z głosek téj księgi
Złożyć imienia Najwyższéj potęgi.
Szukałem grobów, mogił i ukrycia,
I śladów ludzkich zniszczeniem zatartych;
Grzebałem w kościach i prochu umarłych,
By się dogrzebać do jakiegoś życia,
To co w niém zgasło wskrzesić i zapalić,
Lub się na wieczność popiołem przywalić.

I zazdrościłem klęczącym na grobie
Z modlitwą w ustach i smutku głębokim,
Że mają płakać czego, być w żałobie,
Żałować straty, i smucić się po kim.
A ja... Bluźniłem, odpuść mi to Boże!
I znać odpuścił, bo pchnął mnie na łoże
Ciężkiéj choroby, gdzie w długiéj niemocy
Przebyłem martwy jak w grobowéj nocy.

Niejedno słońce zapadło w noc ciemną,
I wyszedł ranek ze światłości morza,
Nimem mógł pojąć, co się stało ze mną,
I podnieść głowę z śmiertelnego łoża.
Lecz pamiętałem że ktoś, znać dłoń Boża,
W dniach niepamięci czuwała nademną,
A gdym otworzył oczy, i nareszcie
Stanął znów zmartwych na istnienia progu:
Byłem powtórnie winien życie Bogu,
Ale po Bogu, pobożnéj niewieście,
Co jak Opatrzność, opieką tajemną
We dnie i nocy czuwała nademną.

Była to jedna z tych siostr, których skronie
Święta pokora do ziemi uniża:
Z krzyżem na piersiach, a w gorącém łonie
Z pełną miłością i ofiarą krzyża;
W szacie zakonnéj, skrytéj trudu kurzem,
Przyszła bliźniemu być aniołem stróżem.

Ojcze, jam w grzesznéj nie wiedział ślepocie,
Że jest w zacieniu ludzkiego żywota,
Takiéj miłości, taka wielka cnota,
I że jest tyle wielkiego w téj cnocie.
Jam dotąd w ślepéj kochania potrzebie
Pragnął żądz własnych nakarmić tęsknotę,
Gonił za marą po ziemi i niebie;
Lecz, chcąc ukochać ducha czy istotę,
Kochał w nich siebie, i tylko sam siebie.
Teraz dopiéro spadła mgła z powieki,
A ja, przy blasku jaśniejszego słońca,
Odkryłem jakiś widnokrąg daleki,
A na nim miłość, co przetrwa na wieki,
I całą ludzkość ogarnia bez końca;
Co się ofiarą jak bluszczem oplata,
I rodzonego kocha w bliźnim brata.

I w uwielbieniu jak modlitwa błogiem,
Zgiąłem kolano i ręce me złożył
Przed tą miłością, ach! i przed tym Bogiem,
Który na ziemi taką miłość stworzył!....
Teraz dopiéro wzrok mi się otworzył
Na tajnie świata i życia zawiłość;
A czegom wiedzy potęgą nie przemógł,
Nie zbadał myślą, czegom wprzódy nie mógł
Pojąć przez rozum, tom pojął przez miłość.
I już nie wątpiąc o ludzkości losach,
Święte Hozanna zaśpiewałem z ludem,
I zdało mi się, jakby jakim cudem
Piękniéj na ziemi, jaśniéj na niebiosach;
Nowy zdrój życia trysnął jak z opoki,
I wyższych uczuć oblał mnie strumieniem.
Dawne westchnienie i smutek głęboki
Nie był już smutkiem, nie był już westchnieniem,
Ale modlitwą płynącą w obłoki:
A taką rzewną, że głaz martwy skrusza!
A jeźli czasem zapłakała dusza,
Patrząc na ziemię z niebieskiego szczytu,
To nie boleścią, ani téż cierpieniem,
Ale łzą szczęścia, ale łzą zachwytu.
Przedsmak niebieski osiadł na dnie łona,
I w głąb zasuwał i ścierał pomału
Co było w myśli z doczesnego kału;
A gdy pokorą duch się coraz zniża,
I głos od świata już poza mną kona:
Krzyż rozwarł do mnie promienne ramiona,
A ja upadłem na twarz do stóp krzyża ...

Wtenczasto, wtenczas, duszę mą ku Bogu,
Wyższą znać ręką pociągnęła skrucha,
Bom już stał myślą na klasztornym progu.
Byłto mój ojcze, już nowicyat ducha;
Anioł modlitwy tchnął na mnie oddechem
Takim, co daje nowy chrzest i życie,
A oczyszczając pierś skalaną grzechem,
Wskazał, którędy przeznaczeń mych droga.
Szedłem więc, szedłem śmiało i z pośpiechem
Drogą do celu wskazanego skrycie,
Bom nad świat przeniósł klasztor i ukrycie,
A całą duszą już ukochał Boga.

I ten, co tajnie serc ludzkich przenika,
Przyjął nareszcie śluby zakonnika.
Myśl, źródło dawnych obłędów grzesznika,
Dziś, w cichych ścianach pustelniczéj celi,
Wyższém niż ziemia szczęściem się weseli,
I już nie ściga za marą co ludzi;
A patrząc w niebo, w świat pogląda śmielej,
A służąc Bogu, więcéj kocha ludzi.

Oto mój ojcze, życia mego grzechy:
Ale żal póty serce nie opuści,
Póki duchowéj nie dasz mi pociechy;
A ty odpuścisz, to i Bóg odpuści.

Henryk Cieszkowski.

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Posiedzenie pięciu Akademij. — Tom XIV Historyi konsulatu i cesarstwa p. Thiersa. — Elfy, wielki balet powietrzny we trzech aktach, ułożony przez pp. Sainte-Georges i Mazilier. — List Proudhona do baletniczki paryzkiéj. — Proces Lecomta. — Rybołostwo przy świetle elektrycznem. — Wiadomości literackie.

Czternastego sierpnia, w obec licznie zgromadzonéj publiczności, odbyło się w pałacu Mazarin roczne posiedzenie pięciu Akademij, pod ogólną prezydencyą Bérangera prezesa Akademii nauk moralnych i politycznych. Członkami wydelegowanemi od czterech innych Akademij, byli: Villemain od Akademii francuzkiéj, Laboulaye napisów i literatury, Izydor Geoffroy Saint-Hilaire nauk, Lemaire sztuk pięknych.

Opowiedziawszy pokrótce historyą pięciu gałęzi Instytutu francuzkiego od rewolucyi 89 roku, aż do naszych czasów, prezes przystąpił do konkursu „dzieł i odkryć przynoszących największy pożytek lub chlubę krajowi", za które dekretem z 14 kwietnia 1855 roku, rząd wyznaczył nagrody 30,000 franków. Każda z pięciu Akademij obowiązana jest przedstawić odkrycie lub dzieło, które w specyalnym zakresie prac swoich uznała za godne nagrody, komissyi wyznaczonéj do roztrząsania tychże dzieł, którato komissya z dwunastu członków złożona, zdaje o nich raport zgromadzeniu powszechnemu.

Akademia nauk moralnych i politycznych nie dostarczyła żadnego dzieła do tegorocznego konkursu; Akademia francuzka podała dwa: Poemata Ewangeliczne i Symfonie pana Laprade, Akropolis Ateńskie i Studya Peloponezu przez pana Beule. Akademia Sztuk pięknych także przedstawiła Akropolis Ateńskie; Akademia Napisów i literatury wybrała prace pp. Botta i Place, którym nauka zawdzięcza odkrycie Niniwy. Akademia nauk przedstawiła do nadgrody pana Fizeau za dzieło jego O szybkości światła, i temu ostatniemu nagroda rządowa przysądzoną została.

Następnie zgromadzenie zajęło się raportem o pracach lingwistycznych, za które nagrody ufundował Volney. Dwadzieścia dzieł w rękopisie lub już drukowanych stanęło do konkursu. Akademia przyznała najprzód medal wartości 1,200 fr. czterem dziełom Anglika Koelle, których tytuły świadczą o niezabawnéj ich treści: 1) Polyglotta Africana, or a comparative Vocabulary of nearly three hundred words and phrases, in more than one hundred distinct African languages. 2) Grammar of the Bornu or Kanuri languages. 3) African native literature, or proverbs, tales, fables, and historical fragments in the Kanuri or Bornu language. 4) Outlines of a grammar of the vei language, together with a vei english Vocabulary.

Drugi medal wartości 1,200 fr. przysądzono dwom autorom: księdzu Boillat, Mulatowi z Senegalu za grammatykę i słownik języka Woloffów (pięć tomów), i hrabiemu Jaubert za dzieło pod napisem: Glossaire du centre de la France.

Niższe nagrody otrzymali: pan Faidherbe gubernator Senegalu za pisma dotyczące języków, któremi mówią pokolenia maurytańskie zamieszkałe nad brzegami Senegalu i w Senegambii; pan Buchmann za badania ję-

zyka będącego w użyciu w większéj części Ameryki południowéj; panowie Weil i i Benloew za Teoryą powszechną wymowy łacińskiéj, i pan Daudville za studia nad wyrabianiem się języka francuzkiego. Wzmianki zaszczytne otrzymali: pp. Babinet za dzieło swoje o dészczu i polewaniu globu ziemskiego; Couder, za rozprawę o kolorach, i Rouge członek Akademii napisów, za wyjątek z notat o kampaniach Sesostrysa.

Następnie pan Viennet, członek Akademii francuzkiéj, czytał długą rozprawę, w któréj opłakuje skon tragedyi i komedyi, twierdząc, że obie umarły: piérwsza dlatego, że dzisiejszy świat nie jest w stanie do niéj się podnieść; druga, ponieważ pisanie komedyi w naszych czasach stało się niepodobne skutkiem porównania klass społecznych. To ostatnie twierdzenie na tém większą zasługuje uwagę, iż zdaje się być podzielane przez wszystkie pięć Akademij.

Że tragedya nie ma już uroku jaki miała dawniéj, trudno zaprzeczyć; ale blask jéj jeszcze tak świetny, a autorowie tak piękną otoczeni aureolą, że nie powinniby się uskarżać, mianowicie we Francyi, która ma tradycyjną słabość do tragedyi i lubi niezmiernie anfazę, chociaż wydała Rabelego, Moliera i Voltaira. Ale nie idzie nam tu o krótsze lub dłuższe życie tragedyi, bez któréj w końcu teatr może istnieć; lecz o komedyą, którą pan Viennet razem z nią pogrzebał, a która jest podstawą teatru.

Szanowny członek Akademii utrzymuje więc, że upadek sztuki będącéj niegdyś chwałą Francyi, przypisać należy demokracyi. Nieszczęśliwa ta demokracya już ma tyle grzechów na sumieniu, że nie probujemy nawet oczyszczać jéj z tego drobniejszego zarzutu; ale twierdzenie, że zabrakło światu śmieszności, nadto jest uderzające, żeby na nie uwagi nie zwrócić.

Komedya i powieść zarówno w źródle obserwacyi czerpią swój materyał, a różnią się od siebie tylko formą. Pominąwszy znakomite utwory wielu spółczesnych powieścio-pisarzy, same dzieła Balzaka są dostatecznym dowodem, ile w téj jednostajnéj społeczności demokratycznéj znajduje się przeróżnych typów i odrębnych charakterów, jak ogromny zapas śmieszności może dostarczyć komedyi nasz wiek rozumny. Dawniéj komedyopisarz zbierał tylko wzorki z obyczajów dwóch lub trzech klas społecznych; rewolucya 89 r. rozprzestrzeniła to koło: tworząc nowe klassy, stworzyła także nowe śmieszności. Literat urodził się dopiéro w zeszłym wieku, dziennikarz późniéj jeszcze. Rząd konstytucyjny otwierając każdemu drogę do władzy, stworzył nową klassę ludzi politycznych, których ani Moliere, ani jego następcy nie znali. Wysokie stanowisko do jakiego dziś doszli artyści, i w ich cechu rozmnożyło karykatury, a cóż mówić o żniwie jakie dla siebie napotka humorysta w klassie ludzi, których zrodził druk, trybunały, giełda, lichwa, kredyt ruchomy, kolejo-mania, i tam daléj.

Żadna epoka nie sprzyjała więcéj niż nasza komedyi i powieści. Rewolucye nie zabijają odrazu śmieszności, przesądów i dawnych przywar, tylko około nich grupują nowe: co na czas jakiś jeszcze komiczniejszemi czyni pokolenia, będące przejściem ze starego do nowego świata. Z tego przejścia nie wyszliśmy jeszcze, a pan Viennet uskarżając się, że na bulwarach nie może już rozpoznać dygnitarza od biedaka, bo wszyscy jednakie noszą paletoty, nadto powierzchownie rzeczy sądzi. Surdut nie czyni człowieka. Pod nowoczesnym ubiorem, szlachcic kryje dawne pojęcia, przystrzyżone nieco wedle mody, ale do poznania łatwe. Urok przywiązany do urodzenia nie znikł jeszcze do tyla, żebyśmy nie słuchali z zajęciem sztuki dowodzącéj, iż zacny plebejusz może poślubić córkę patrycyusza, a patrycyusz

nie plami się biorąc za żonę uczciwą kobietę bez herbu. Arcy-przedziwne komedye Sanda: Panna la Seiglière, Zięć Poiriera i tysiące utworów podobnéj treści, czego innego nie dowodzą, a znajdują miliony słuchaczy.

We Francyi nikt się już dziś nie śmié przyznać, że przywiązuje wagę do urodzenia, jak również do innych wyśmianych przez opinią publiczną przesądów; ale one niemniéj istnieją u wielu, a tá ciągła maskarada uczuć przed sobą i światem, tém szersze nastręcza pole humoryście. Na niém schwytane i przeniesione na scenę typy bawiły Francyą przez ostatnich lat kilka, a mianowicie téż typ mieszczańskiéj próżności, który pod płaszczykiem udanéj dobroduszności kryje najdziwniejsze ambicye, mniemając, że talent robienia fortuny jest patentem na wszelkie zdolności. Taki typ, najśmieszniejszy ze śmiesznych, był zupełnie nieznany w dawném społeczeństwie, gdyż wtedy każdy musiał żyć w klassie, w jakiéj się urodził. Ruch finansowy nie istniał prawie wtedy, interesa dziennikarskie, aptekarskie, baletnicze, giełdowe, akcyonarskie, także nie były znane; człowiek przerzucający się od jednego do drugiego rzemiosła lub przedsiębiorstwa byłby uważany wówczas za waryata. Dziś każdy się podejmie wszystkiego, i nie wątpi o niczém, czego się może dotknąć, ufając w talent zamydlania drugim oczu. Komedya odgrywa się wszędzie, tak dobrze w arystokratycznym jak mieszczańskim, finansowym i biurokratycznym świecie. Molière nie poprawił nikogo! Skon komedyi, któréj opłakuje Akademia, byłby bardzo pocieszający, gdyżby zwiastował pełnoletność i statek społeczności, ale na nieszczęście, błogi ten czas jeszcze nie przyszedł: komedyantów wszędzie pełno, więc i komedyi niebraknie.

Po ukończeniu rozpraw naukowych i literackich, prezes uznał za stosowne powiedzieć słów kilka o ostatnich wypadkach politycznych, oraz nadmienić o nieustającéj łasce, jaką rząd cesarza Napoleona świadczy

Akademii, (którato łaska, mówiąc nawiasem, mocno nadwerężoną została w ostatnich czasach.) Przemówienie swoje prezes temi zakończył słowy:

„Jeżeli niezależność Instytutu, jeżeli wysokie jego stanowisko, nie dozwalają mu rozwodzić się nad pochwałami, któreby na pochlebstwo zakrawały; to Akademia niemniéj przeto szczęśliwą się czuje, iżby chwalić mogła: wszelkiemi zaś siłami wpajać będzie w młode pokolenie cześć dla dzieł wielkich, dokonywanych teraz w kraju."

Tom XIV Historyi Konsulatu i cesarstwa p. Thiersa, pojawił się na tutejszéj widowni literackiéj. Tom ten dzieli się na dwie części; czterdziesta czwarta z kolei nosi tytuł: Moskwa; czterdziesta piąta: Berezyna. Dwa te wiekopomne słowa dostateczną są pobudką do chciwego czytania téj książki, w któréj tytaniczne boje, genialne skreśliło pióro. Znamy talent z jakim p. Thiers umié opisywać bitwy: miał tu szerokie pole.

Forma przepyszna. W duchu książki uderzają dwie rzeczy: gwałtowne nastawanie na despotyzm Napoleona, i łaskawe o Polakach wzmianki, które chyba tylko przekorą wytłumaczyć sobie można. Bohaterskie czyny żołnierzy znalazły w p. Thiersie godnego siebie dziejopisa. Mówi on o nich z zapałem i ustawicznie do nich powraca. Arystokracyą rossyjską stawia bardzo wysoko, i niezłomności jéj charakteru przypisuje ocalenie Rossyi.

Krytyka czynów Napoleona jest czasem tak ostra, iż dziwić się należy, że ją teraz drukować dozwolono. Najlepszy to dowód zupełnego zużycia słowa we Francyi. Najzapalniejsze, również jak najrozumniejsze pismo, żadnego nie wywrze tu wpływu. Wszystko już powiedziano po milion razy. Alles war schon da gewesen, jak mówi Gutzków.

Ostatecznie p. Thiers potępia wyprawę 1812 roku, mianowicie dlatego, że Napoleon sam jeden wybrał się tak daleko. W tém zgadza się z litewskim Maćkiem, który dawno powiedział na biesiadze w Soplicowie:

„Daleka to droga,
Jeżeli cesarz jegomość wybrał się bez Boga".

Krytyka tutejsza w drażliwém znajdując się położeniu, dotąd milczy. Przemówienie jéj będzie ciekawe.

Balet paryzki, który dotąd z samemi tylko Nimfami i Bachantkami skakał, zaprosił w taniec Elfy i Wile. Porzuciwszy mitologią dzienną, wstąpił w zaczarowane koło nocnych widziadeł: od greckiéj idylli przeszedł do niemieckiéj ballady. Na zmianie nie straciliśmy wcale; przeciwnie: więcéj ma powabu nikły i nieujętny świat legiend północnych, niż określona wyraźna i ziemska forma bóstw greckich, których wdzięki po milion razy przedstawiane, znamy aż nadto dobrze. Odmiana zawsze miła, chociażby tylko pozorna jak tą razą: bo cały ten orszak istot nadludzkich Rusałek, Ondynów, Dryad, Elfów, Wodnic, Switezianek i t. d. nie jest czém inném, tylko powtórzeniem starożytnéj mitologii, która powraca w nowéj masce, żeby mogła łatwiéj zwodzić śmiertelników. Sybarytka Nimfa, przybrała wysmukłą kibić i mieniącą twarz Rusałki; szalona Bachantka, podszyła się pod niewinną pustotę tanecznicy Wili; rozkoszna Najada królowa italskich stoków, wybladła i uszlachetniona do niepoznania w lodowatych źródłach północy, przezwała się wodnicą; promienna Galatea zakryła powabne ramiona białą szatą Dryady, wilgotną od rosy poranku; sama Venus znudzona swą nagością, przywdziała mieniący jak fale jeziora modry płaszczyk Switezianki: słowem, wszystko się ulotniło i uduchowniło w tym pół-cieniu, w którym rozpustne boginie ukryły się przed blaskiem chrześciańskiéj zorzy. Rozpędzony

Olimp grecki przeobraził się w jestestwa fantastyczne, nie gromo-władne ani straszne; złe duchy nie czyhają już na duszę człowieka, ale wyrządzają mu psoty, lub zastawiają cudowne sidła.

„Tyżeśto, mówi Szekspir do jednego z szatanków, których figlami zwykł był przeplatać historyczne wypadki—tyżeśto, co straszysz chłopki, co im spijasz śmietanę z mléka i masłu skupić się nie dasz?

— Zgadłeś. Jestem błaznem Oberona: mojém zadaniem płatać figle. Pan mój nieraz naśmieje się serdecznie, skoro w formie gotowanego jabłka wpadnę w szklankę piwa, którą do ust niesie babula; a kiedy pije, nagle ją w usta połechcę tak, że się obleje cała. Lub inną razą upatrzywszy chwilę, kiedy opowiada smutne przygody, w najtragiczniejszém miejscu przemieniam się w krzesło: znużona oratorka rzuca się na mnie, ja się usuwam, ona przewraca koziołka, a widzowie pękają od śmiechu."

Ze spowiedzi Szekspirowskich diabełków, możnaby ułożyć dokładną biografią całéj zgrai bajecznych tworów ludzkiéj fantazyi. Wile wedle niego tańcowały wiecznie na połaninach leśnych, tam, gdzie drogi rozstajne pośród płaczących brzóz się krzyżują, i do swych pląsów zapraszały podróżnych, którzy raz porwani w ich koło, musieli w niém się kręcić do śmierci. Skandynawskie Elfy, duchy powietrzne, unosiły się nad górami i lasami. Szekspir, ich serdeczny przyjaciel, przedstawia je w Śnie nocy letniéj w prześlicznym półcieniu, zajęte niewinnie oczyszczaniem pączków różanych z żarłocznego robactwa, szyjące Sylfom sukienki z płatków kwietnych, lub tańcujące w promieniu księżycowego światła cudne balety, nacechowane szlachetnym wdziękiem powietrznéj arystokracyi.

Balet Elfy, który ma być naśladowaniem uroczych obrazów Szekspirowskiéj fantazyi, nadto trąci melodra-

mą, co sprawia, że mu ciężko od ziemi odlecieć. Twórcy jego, panowie Saint-Georges i Mazillie, zaczęsto porzucają krainę marzeń dla Dziewic marmurowych, i krępują powietrzny taniec swych Elfów myślą ziemską, która jak ołów cięży na ich jedwabnych skrzydłach.

Pominąwszy tę wadę ogólną, wypływającą z praktycznego charakteru Francuzów, i drugą niemniéj uderzającą historyczną, tojest, transplantacyą duchów lodowatéj północy pomiędzy węgierskie winnice; nowy balet jest przyjemnie przedstawioną legiendą, jeżeli nie przez dwóch poetów, to niezawodnie przez dwóch biegłych czarnoksiężników kulisowych.

Rzecz dzieje się na Węgrzech. Albert książę węgierski poluje z wojewodą Fryderykiem w najczarniejszéj i najposępniejszéj puszczy, na jaką może się zdobyć teatr. Podniesiona zasłona odkrywa widzom prawdziwy Sylva legendarum, pełen drzew odwiecznych zarośli, mchu, skał, wiszących powojów i bluszczy zielonych; las w którym śpiewają liście, a źródła płaczą, szemrząc nieustanną skargę. W głębi widać ruiny starożytnéj świątyni. Myśliwi oglądając zwaliska, znajdują drzwi, które wysadziwszy wojewoda, spostrzega w omszałéj framudze prześliczny biały posąg Dryady, i zakochywa się w nim odrazu; tém rychléj, iż będąc nieszczęśliwym w miłości, przysiągł sobie poprzednio, że jeżeli kiedy kochać będzie, to tylko taką kobiétę, któréj serce jeszcze nigdy nie biło.

Podczas kiedy kochanek marmurowéj dziewicy pogrążony w zadumie, pieści w myśli swój ideał, strzelcy zwabieni zwierzyną, odchodzą w inną stronę, a wojewoda zostawszy sam, kładzie się pod drzewem, i poczęte na jawie marzenia prowadzi daléj we śnie. Ale zaledwie poleżał chwilę na mchu zielonym, kora starego dębu odmyka się powoli, i przepuszcza ustrojoną w kwiaty boginią z berłem w dłoni. Jestto Ądda, kró-

lowa Elfów, przełożona tego czarodziejskiego klasztoru, którego celami są drzewa. Wnet zbudzony szelestem jéj skrzydeł, rój Elfów zbiega się zewsząd, otacza śpiącego, i jak majowy wietrzyk, wieje nań tysiące pocałunków.

Obraz ten jest żywcem wzięty z ballady Heinego, w któréj poeta opisuje, jak płochliwe Ondyny otoczyły uśpionego rycerza. „Jedna bawi się z białemi piórami jego hełmu, druga przegląda się w złotéj przyłbicy; trzecia wyciągnąwszy z pochew miecz wojownika, wspiéra się na nim, żeby lepiéj obejrzéć śpiącego; czwarta całuje go w ręce, piąta wokoło niego tańcuje; szósta najśmielsza całuje go w usta... a rycerz choć nie śpi i czuje, nie otwiéra oczu, żeby niepostradać błogiéj chwili."

Wojewoda mniéj przezorny i mniéj grzeczny niż rycerz Heinego, budzi się pod całusem bogini, i oświadcza jéj wręcz, że nikogo kochać nie może, tylko swój biały posąg w grocie. Złośliwa Adda dowiedziawszy się o tém, wspaniałomyślnie obiecuje strzelcowi obojętność cudownym odpłacić datkiem. Podnosi berło, i w téjże chwili na frontonie świątyni, gdzie stoi statua, występuje ognisty napis:

„Choć zimny całun jéj piersi kryje,
Duch w marmur wstąpi z méj mocy,
Pod tchnieniem mojém ożyje,
Będzie kobietą w dzień, posągiem w nocy."

Zakochany Fryderyk przyjmuje propozycyą. Skoro przystał, zrywa się burza, błyskawice prują niebo, huczą grzmoty, trzaskają pioruny. Przy tym akompaniamencie nieodłącznym od wszelkich czarów, królowa podnosi berło nad głową jednéj z poddanek, która wnet chwieje się i pada martwa. Niebieska jéj duszyczka jak błędny ognik krąży chwilę przy ciele zmarłéj, poczém leci, tonie w piersiach statuy, i ożywia ją odrazu.

Następuje piękny obraz pogrzebu zabitéj Elfy, którą otaczają rówiennice, a przetańcowawszy około niéj

kilka indyjskich tańców, zarzuciwszy ją kwiatami, unoszą ciało w powietrze na gazowych szarfach, i wszystkie pierzchają w górę jak nastraszone stado białych gołębi. To porwanie Elfy, które przywodzi na myśl wniebowzięcie świętych, jest najpiękniejszym ustępem baletu.

Tymczasem Sylwia, takie ma imię ożywiona statua, zeskakuje z piedestału i rozpoczyna życie śmiałą piruettą. Wita słońce oznakami nieopisanéj radości, całuje kwiaty, na gałęziach drzew się kołysze. Naprożno ją goni zakochany wojewoda; Sylwia jak ścigany motyl fruwa po drzewach i kwiatach, aż na odgłos rogu dającego myśliwcom znak zachodu słońca, ucieka do swéj świątyni, staje na piedestale i kamienieje.

Wtedy książę Albert wracający z polowania przybywa, i zabiéra posąg jako dzieło sztuki, ku ozdobie swojego pałacu.

Drugi akt odbywa się w Budzie. Książę węgierski obchodzi w zamku swoje zaręczyny z księżniczką Bathyldą, córką wielkiego elektora. Goście przybrani wspaniale w stroje węgierskie napełniają sale; wszyscy podziwiają marmurowy posąg Dryady, który jest ozdobą galeryi, i tańcują ochoczo narodowe tańce. Trzask podkówek, brzęk pasów, wąsy, szable i miny diable, nadają téj dziarskiéj scenie niejakie podobieństwo do naszego wesela w Ojcowie.

Wschód słońca rozprasza nocną biesiadę, a Sylwią budzi do życia. W salonie łatwiéj dogonić wietrznicę niż w lesie; przeto wojewoda zastępuje jéj drogę i żarliwemi migi wyznaje swą miłość ex-posągowi. Ale statua nie rozumié, bo nie ma serca. Przez oczy jéj suche choć błyszczące nie wygląda dusza; lice pokrywa jednostajny roślinny rumieniec brzoskwini, usta uśmiechają się wiecznie, bo taki kontur nadał im rzeźbiarz: z wnętrza żaden boski nie przedziera się promień. Sylwia podobna do przepysznéj niezapalonéj lampy, uosa-

bia typ dość powszechny kobiéty, która udaje życie, a w któréj serce albo umarło, albo nigdy nie żyło.

Wolna od tego niemiłego ciężaru, Sylwia z tém większą lekkością wykonywa fantastyczne skoki, nie podciągnięte pod prawidła taktu. Taniec ten szczególniejszy zowie się pas de la nature. Podobnie tańczyć musiała, upiwszy się kawą, owa koza, która piérwsza odkryła pasterzowi z Moki, cudowne własności téj rośliny.

Królowa Elfów wzruszona rozpaczą kochanka, daremnie żebrzącego uczucia od pięknéj tanecznicy, przynosi mu trzy róże, których powonienie da Sylwii rozsądek, wdzięk i miłość. Ale każdy z tych podarunków będzie go kosztować dziesięć lat życia. Cena trochę zawysoka; że jednak kochankowie nie rozumują, wojewoda bez namysłu przyjmuje nową ugodę, i daje Sylwii do powąchania najprzód różę rozsądku.

Najpiérwszy użytek jaki robi Sylwia z nabytego daru, jest porównanie wojewody z księciem, które całkowicie na korzyść tego ostatniego wypada: zważywszy, że wojewoda nagle o dziesięć lat starszy, przeszedł już pięćdziesiątkę. Rozsądna Sylwia chce pozyskać względy młodego księcia tańcem; tańcuje więc przed nim, ale bez wdzięku, bo nie postradała jeszcze posągowéj sztywności. Widząc to wojewoda, podaje jéj czémprędzéj różę wdzięku. Zmiana następuje odrazu. Ruchy tancerki okrągleją, kibić nabiéra lubieżnéj łamliwości, nogi dostają skrzydeł. Ale mimo to wszystko młody książę woli swoją Bathyldę, a wojewoda o dwadzieścia lat starszy napróżno! Nie tracąc jednak nadziei, podaje Sylwii kwiat najpiękniejszy, różę miłości, pewny, że ta jéj serce zapali. Jakoż zapaliła, ale nie dla niego. Siedmdziesiąt-letni wojewoda znajduje niewdzięczną kochankę w objęciach księcia Alberta. Przywiedziony do rozpaczy starzec, porywa sztylet i już ma przebić zwodnicę, kiedy na szczęście słońce zachodzi, Sylwia kamienieje, i... buona sera, mio signore!

Następnego dnia wskrzeszona statua rozwija cały zapas kokieteryi płynącéj z głowy i serca, żeby rozerwać małżeństwo księcia, i sobie go pozyskać; czego może byłaby dokazała, gdyby nie stary elektor, ojciec panny-młodéj, który jak na to zjawia się i moralizuje zakochaną Dryadę. Ta, czy skutkiem perory, czy zachodu słońca, krzepnie powoli i nareszcie znów się w marmur przemienia. Ale tą razą zapalczywy starzec mszcząc się za stracone napróżno trzydzieści lat życia, w gniewie rozbija posąg. Duch Elfy w kształcie modrego ognika wytryska z marmurowych gruzów połamanéj statuy, i bieży do krzaku róż, gdzie pochowana dawna jego forma. Zbudzona Elfa zrywa się ze snu, i jak strzała leci w powietrze do fantastycznego raju, gdzie pośród różowych ogni bengalskich, dwor królowéj przyjmuje zmartwychwstałą z otwartemi rękami. Na tym obrazie kończy się balet.

Nowo-przybyła tancerka, włoszka Ferrais, znakomicie wypełnia trudną rolę kobiéty-posągu. Giętka jak szarfa gazowa, uczennica Taglioni, przejęła od niéj ów platoniczny rodzaj tańca, skromny a wdzięczny, bez sztuk łamanych ani zapamiętałych ruchów, uczony, a niby prosty: ten właśnie, który nadaje kompozycyom Taglioni godność klassyczną w baletowéj hierarchii, stosującą się wybornie do posągowéj roli Sylwii. Przytém dekoracye nieopisanego blasku i niezrównana maszynerya, stawiają ten balet powietrzny wyżéj od wszystkich, które dotąd tańcowano na ziemi.

Mówiąc o balecie nie mogę pominąć zdarzenia, będącego z nim w związku, które swoją oryginalnością dość żywo zajmowało przez chwilę Paryżanów. Jakaś ex-baletniczka w napadzie spleenu, napisała do Proudhona, prosząc, żeby jéj wskazał drogę cnoty. Sławny autor Pamiętników o własności, długim listem odpo-

wiedział na słaby głos wołający doń z kałuży. Co może radzić socyalista baletniczce?—Nie zgadlibyście nigdy. Posłuchajcie. Oto co pisze Proudhon:

Paryż, 13 sierpnia 1856 r.

Nie wiem co mam sądzić o liście pani. Nie wiem czy go natchnęła szalona myśl wiedzenia na pokuszenie biédnego ojca rodziny, czy téż owo nieprzezwyciężone znużenie, będące gorzką równowagą upojeń twego stanu. Pół-ironiczny i pół-rozpaczny ton twego listu nic mnie nie uczy, a zamało znam świat, w którym żyłaś, ażebym mógł odgadnąć, co może przejść przez głowę byłéj baletniczki.

„W téj niepewności postanowiłem uczynić jak ty pani: odpowiadać ci jakbyś pytała na seryo, a jednak tak, jak się odpowiada osobie, mającéj większą ochotę do śmiechu, niż do poprawy.

„Połóżmy sobie najprzód parę zasad.

„Mówisz pani, że nie wierzysz ani w cnotę mężczyzn, ani w cnotę kobiéty. Po życiu jakieś wiodła, nie dziwi mnie to wcale. Z cnotą rzecz się ma jak ze zdrowiem. Zdaniem mojém cnota jest zdrowiem serca, tak jak zdrowie jest cnotą ciała. Na stu ludzi, ilu sądzisz że jest zupełnie zdrowych?—mniéj niż pięciu, może zaledwie trzech: dowodem, że bardzo mało ludzi umiéra ze starości. Niezdrowie ciała jest więc dziś wspólnym warunkiem ludzkości, chociaż nibyto 100,000 zdrowych biorą co rok do wojska, a drugie tyle kobiét udając zdrowie, tańcuje po salonach.

„Ale czyż dlatego że mało jest zdrowych, potrzeba deklamować przeciw zdrowiu? Twierdzić, że choroba jest stanem normalnym ludzkości? Czy dlatego zwać tych, co są zdrowi hipokrytami, i konkludować, że zbytecznem jest zabezpieczanie się od szkodliwych wpływów zimna lub gorąca, że wszystko jedno łykać pokarm zdrowy lub niezdrowy.

„Nie. Coś nam mówi, że zdrowie jest prawem istot żyjących, że ono stanowi podstawę naszego życia, że jeżeli się je utraci, potrzeba je odzyskać lub umrzéć z bezczynności. Toż samo z cnotą. Jest jéj wszędzie potrosze, nigdzie prawie nie jest zupełna. Nie wiem kto dał pani pojęcie cnoty, zapewne słyszałaś o niéj kiedyś za młodu w jakim klasztorze; w liście jednak twoim jeszcze przebija trochę zdrowia, przysiągłbym nawet że jest w tobie trochę cnoty: ale cierpienia, ale złość na własną słabość, ale ciągłe upokorzenia, niedozwalają ci jéj dopatrzéć.

„Jest jeszcze w tobie cnota, powtarzam: świadczy mi o niéj twoja chęć nabycia jéj więcéj. Jesteś jak rekonwalescent pragnący odzyskać zupełne zdrowie.

„Piérwsza ta zasada nie wyda ci się, mniemam, rozpaczliwą. Oto druga, na którą również uwagę twoję zwracam.

„Jest faktem, że zwierzęta, nie lękają się, nie robię porównania, że zwierzęta mówię, nie znają ani nudów, ani przesytu, ani rozpaczy, ani żadnéj z tych chorób moralnych, które pociąga utrata zdrowia moralnego, czyli cnoty. Powodem tego, że zwierzęta mniéj namiętne niż ludzie, słuchając instynktu i jego praw nieugiętych, nie są wystawione na zatracenie równowagi, tego zdrowia duszy, bez którego my ludzie żyć nie możemy. Z téj strony istnienie zwierząt jest protegowane przez samą ich zwierzęcość; nie twierdzę przez to że zwierzęta są maszynami, tylko że w sensie moralnym życia wyższego, które nas cechuje, nie mają duszy.

„Otóż natura jest pełną analogii: podobnie jak zwierzęta, osoby zajęte rzeczami seryo, rolnicy, rzemieślnicy, uczeni, urzędnicy i t. d. nie znają nudów, albo téż znają je bardzo mało. Wszystkich tych symptomatów zepsucia, jak przesytu, osowienia, niezadowolenia, doznają wtedy tylko, kiedy im się zdarzy porzucić

zwykłe zatrudnienia, oddać się próżniactwu lub rozpuście.

„Tak więc pewnikiem jest, że ludzie oddani pracy, nauce lub interesom: słowem, dusze które walczą, nie znają, lub mało znają nudów i rodzących je przywar. Ludzie zaś, którzy się bawią, spacerują, kochają, marzą, jedzą, skaczą, śpiewają; poeci, artyści, cała cygania literacka, cały ten świat tak zwany wyższy, oddany jest bez ratunku na pastwę rozpusty i przesytu, gorszego od śmierci.

„Jeszcze trochę cierpliwości, zaraz dojdę do konkluzyi.

„Znalazłem w twoim liście ustęp, który mi cię całą odmalował. „Zrodzona w zacnéj rodzinie, mogłam jak każda inna poślubić uczciwego mieszczanina, mieć dzieci, i t. d; ale obawiałam się nudów jednostajnego życia, i rzuciłam się na oślep w poetyczne i hazardowne życie bez jutra."

„Zrobiłaś pani wielkie głupstwo! Ale żeś nie sama temu winna, złe nie jest także bez lekarstwa.

„Wszystkie twoje zawody biorą swój początek w szlachetném poczuciu ludzkiéj godności, uczuciu, które się powinno pogodzić z sobą, i dodać ci odwagi. Masz w sobie poczucie wolności i nienawiść jednostajności, którą nam nakazuje natura, a którą określa to jedno słowo—praca. Naganiam, żeś nie uznała prawa pracy, któraby cię zatrzymała na drodze ojcowskiéj; ale chwalę, żeś zrozumiała, choć niejasno, że człowiek poddając się pracy, powinien pobijać trywialność swojego istnienia.

„Całe twoje nieszczęście, żeś rozłączyła w myśli te dwie rzeczy: pracę i wolność, pracę i sztukę, pracę i miłość. Powiedziałaś sobie: porzucę tę pracowitą służebność i prozę wspólnego życia, a poświęcę się wyłącznie wolności, sztuce i miłości. I stałaś się kobietą wolną, artystką, marzycielką, istotą fantastyczną

i namiętną, posuwającą fantastyczność i namiętność aż do wycieńczenia, aż do przesytu.

„Skutki takiego życia znasz: goniąc tylko za pięknem i za ideałem, doszłaś do podłéj brzydoty. Z istoty wolnéj, stałaś się niewolnicą, a uciechy jakie daje sztuka i miłość, niebędąc już powstrzymane niczém rzeczywistem, poważnem, ani silnem, zostawiły ci tylko plamy, próżnią i poniżenie.

„Co na to czynić? pytasz.

„Tutaj już cię nie mogę przekonać ani rozumowaniem, ani twojém własném doświadczeniem, ponieważ postawiłaś się poza warunkami życia normalnego. Mogę cię tylko zapewnić o prawdzie tego, co ci powiem. Pójdziesz za moją radą lub ją odrzucisz, ale pamiętaj, że jestto dla ciebie kwestya życia lub śmierci: co większa, kwestya honoru lub hańby.

„Masz lat 28. Piérwsza część twéj młodości już upłynęła, zostaje druga: dwanaście lat życia średniego kobiéty, od dwudziestego ósmego, do czterdziestego. To jeszcze przyszłość!

„Zerwij najprzód wszelkiego rodzaju miłostki. Piérwsza rzecz, którą ci uczynić wypada jest nauczyć się panować nad sobą. Z początku przyjdzie ci to z trudnością, na to trzeba się przygotować, ale im cięższa walka, tém milsze zwycięztwo. Panować nad sobą, to znaczy uszlachetnić się w duchu i w ciele. Panować nad zmysłami swemi, zowie się czystością.

„Przynajmniéj dwa lata takiego życia są ci koniecznie potrzebne. Pokusy będą wielkie. Ci, co cię dawniéj znali, nie znosząc że ich porzucasz piérwsza, dołożą wszelkich starań, żeby cię na dawną zepchnąć drogę. Jeżeli osłabniesz, wszystko przepadło. Pogardzaj temi, co się z ciebie naśmiewać będą. To rzecz nieunikniona. Wiadomo, że ludzie więcéj mają pociągu do sarkazmu, niż do cnoty. Przy zupełném wstrzymaniu się od miłości, przepisuję ci życie trzeźwe i pracowite. Trzymaj zmysły na wodzy, jadaj niewiele, a na-

wet czasem z postem. Księża zowią taki sposób życia umartwieniem: ja doradzam ci go nie dlatego, ażebym sądził, że w jałowéj strawie leży zbawienie, ale dlatego, że tym sposobem człowiek uczy się panować nad naturą, i uduchownia swoje jestestwo.

„Nie mówisz mi, jakie masz środki utrzymania; jakiekolwiek one są, trzeba je rozwinąć, zastosować do czegoś rzeczywistego, obierając pewne rzemiosło lub stan. Masz widzę umysł wykształcony, piszesz nawet ortograficznie, dowcipu ci nie brak; nie mówię tu o innych twoich przymiotach, których nie znam. Sądzę, że możesz jeszcze odznaczyć się w życiu seryo, może więcéj nawet niż na deskach opery.

„Wyobraź sobie, że jesteś w społeczeństwie jak Robinson na swojéj wyspie: sama, z małemi środkami, które ci pozostawiła fortuna. Trzeba żyć, a jeżeli życie już zapewnione, trzeba go rozprzestrzeniać, żeby drudzy mogli z niego korzystać. Czyż na miejscu Robinsona umarłabyś podle z głodu, zamiast pracować tak, jak on pracował przez dwadzieścia pięć lat? Pewny jestem że nie.

„Nie czytaj romansów ani wierszy. Wyobraźnia twoja domaga się posilniejszéj i czystszéj strawy. Czytaj historyą, podróże, geografią, rzeczy naukowe, skosztuj nawet trochę filozofii: to uczy myśléć.

„Słowem, zostając tém, czém cię zrobiła natura, tojest artystką, pracuj, pracuj nieustannie, bądź czynną i przedsiębiorczą, a wkładając w to nowe życie swą artystyczność, uszlachetniaj nią swoje prace i przedsięwzięcia. Nie lubisz domowego gospodarstwa, dlatego, żeś zawsze tylko dym jego i brudy widziała. Potrzeba niemałego talentu kobiecie, ażeby z gospodarstwa swego potrafiła zrobić obraz i peizaż; a jednak to powinna być piérwsza jéj umiejętność. Garnki, meble, sąż obrzydliwsze w dotknięciu jak farby i pędzle?

„A potém spytasz, cóż potém? Jakiż cel, jakiż koniec takiego życia? Potém? Najprzód trzeba mi

uwierzyć na słowo, jeżeliś mnie pani za doktora swego obrała. Rozpocznij przepisaną kuracyą i wykonaj we wszystkiém moje przepisy, a jak kuracya postąpi, powiem ci co trzeba będzie robić. Wskażę ci wyższy cel życia powszechnego: cel, do którego usilne dążenie jest największém szczęściem.

„Pozdrawiam panią wyrazem szacunku i życzliwości."

P. J. Proudhon.

Procesa o potwarze i szkalowania mnożą się: dostarczają wątku redaktorowie małych dzienników, których liczba z każdym dniem wzrasta, choć ich sława i pokup nie przechodzi rogatek Paryża. Kilka tego rodzaju dzienniczków wciągnionych było właśnie do procesu Juliusza Lecomta, o którym podajemy tu krótkie sprawozdanie w mniemaniu, że ono niejednemu z naszych czytelników da miarę do oceniania pewnych chwilowych w literackim świecie wziętości.

Pan Juliusz Lecomte tanim kosztem dorobił się smutnego, ale głośnego imienia w Europie. Od roku, jeśli się nie mylę, 1849, pisuje on z Paryża korrespodencye tygodniowe do Indépendance Belge. Co poniedziałek podaje publiczności chciwéj plotek, nowinki, które z tém większą ciekawością bywają czytane, że z nich każda ma zaprawę skandaliku. Podobnie jak pisarze sumienni i mający poszanowanie dla swego pióra ubiegają się za faktami, których wiadomość przynosi czytającemu naukę; tak pan Lecomte niezmordowany jest w zbieraniu paryzkiego błota. Nowy ten kronikarz brudów społeczeństwa francuzkiego, stworzył w literaturze dziennikarskiéj szkołę: Chiffonierów. Nie daj Boże, aby za przykładem Francyi, przy żywiołach dość temu zjawisku sprzyjających, wkradł się do naszéj literatury taki gatunek pisarzy.

Charakterystykę małych dzienników skreślił swemi czasy po mistrzowsku Balzak w Lucyanie Rubem-

pré. Jestto obraz z końca Restauracyi; w owéj epoce dzienniczki te żyły z teatru i z publiczności, którą zajmowały opozycyą a raczéj polemiką, prowadzoną przeciw osobom rządowym. Dziś pismom tym nie wolno trudnić się polityką, lecz choćby się nią zajmowały, niktby ich nie czytał. Nie mają też prenumeratorów; ich mecenasami są aktorki, które nawzajem protegują. Biédne te stworzenia, dręczone ze wszech stron wymaganiami recenzentów, powinnyby, jak się zdaje, lepiéj niż kto bądź znać się na wartości tych krytyk! Bynajmniéj: każda z nich czuje się obowiązaną miéć pensyowanego obrońcę swych wdzięków i tryumfów na scenie.

Rzemiosło korrespondenta lub pisarza tego rodzaju, zyskowne jest w miarę wziętości dziennika. Nieraz zapewne zdarzyło się wam czytać w tygodniowych sprawozdaniach zapowiedź awantury lub anegdoty, któréj koniec w następnéj kronice ma być opowiedziany. Jeżeli osoby interesowane nie życzą sobie, aby świat wiedział o wypadkach domowego ich życia, zgłaszają się do kronikarza i za bilet bankowy 500 lub 1000 franków, publiczność traci ciekawą ploteczkę. Tego rodzaju literatura zowie się w tutejszym języku chantage.

Pan Lecomte przez długi czas stał na świeczniku zakulisowego piśmiennictwa. Co tydzień rozkłada on sklepik swój, a że ma wiele sprytu i zdolności układania dwuznaczników, towar jego stał się wielce pokupny. Głaskany przez redakcyą Indépendance, w Paryżu zrobił się postrachem loretek i baletniczek; za Paryżem wyrywano sobie jego korrespondencye, pobobnie jak artykuły modniarek, które wtedy dopiéro za granicami Francyi są nowością i przedmiotem podziwu, kiedy tutaj nikt ich już nosić nie chce.

Widząc, że handel jest zyskowny, niektóre dzienniczki jak Penelopa, Figaro, Aigle, Tintamarre, Revue et gazette des Théâtres, poszły w pewnéj

mierze za przykładem pana Lecomte. Zaczęła się rywalizacya, ztąd wojna.

Z wysokości swego piedestału korrespondent Indépendance Belge traktował kolegów z takiém lekceważeniem i pogardą, że wywołał odpowiedzi, które wiele o przeszłości pana Lecomte, dotąd nie tak powszechnie i nie tak szczegółowo znanéj, dały do myślenia. Nakoniec wytoczył się proces przed trybunał policyi poprawczéj. P. Lecomte, tytułem wynagrodzenia szkód, zażądał od przeciwników swoich 40,000 franków!

Prawo drukowe francuzkie nie dozwala ogłaszać obron adwokatów w procesach o szkalowanie. Naśladując to roztropne ograniczenie, odsyłamy ciekawych do dzienników belgijskich; te (z wyjątkiem ma się rozumiéć Indépendance Belge) mowy obrońców in extenso podały. Wyciąg z wyroku, który tu zamieszczamy, brzmi jak następuje:

„Z powodu różnych artykułów ogłoszonych w dzienniku Penelope z m. czerwca pod tytułem: Revue du théâtre; la Bourse ou la vie; Drame inédit du Courrier de Paris de l'Indépendance Belge; jako też w numerach z 29 czerwca Revue et gazette des Théâtres, z dnia 6 lipca dziennika Tintamarre i z dnia 6 lipca dziennika Aigle:

„Zważywszy również skargę o szkalowanie, zaniesioną na Juliusza Lecomte przez Soubirane dnia 24 lipca 1856, z powodu różnych artykułów umieszczonych w dzienniku Ind. Belge z dnia 10 i 31 maja, a przez Juliusza Lecomte podpisanych.

„Trybunał te dwie skargi połącza.

„Zważywszy, że w numerach Ind. Belge z dnia 30 i 31 maja Juliusz Lecomte mówiąc o przedstawieniach teatru włoskiego, i oceniając według swego widzenia zdolności artysty, użył względem tych, którzy zdania jego nie podzielają, wyrażeń krzywdzących, jakoto: clique, sequelle, meute, valets, aboyeurs;

zarzucał im, że żyją z okruchów cudzego stołu, że dostają makaron w kuchni, i że błazeńskiemi dziennikami krzywdzą niepodległych krytyków.

„Zważywszy, że Juliusz Lecomte przez tę gwałtowną polemikę uchybił, i że użył wyrażeń, które dobry smak potępia, i któremi Soubirane był wyraźnie wskazany, skrzywdzony i dotknięty, będąc przedstawiony jako pasożyt najlichszego rzędu.

„Zważywszy, że w numerze Penelopy z dnia 6 lipca 1856, Soubirane czyniąc rozbiór mniemanéj sztuki la Bourse ou la vie, stosował mowę swą do życia Juliusza Lecomta, którego nazywa Robertem, do czego Soubirane sam się przyznaje.

„Zważywszy, że ten artykuł zawiera obelgi i szkalowania; że znajdują się w nim słowa: friponeau, aigre-fin, guessard wymówione na Lecomta; że mu zarzuca, iż ojca swego uderzył, że skradł pieniądze swego patrona, że dopuścił się fałszerstw, które jeszcze krążą po świecie.

„Zważywszy, że Vidal jest współpracownikiem Soubirana, podpisując jako dyrektor dziennika wspomniany numer Penelopy.

„Zważywszy, że Commerson i Sauveur Galéas dopuścili się również szkalowania na Lecomta, ogłaszając w numerze Tintamarre z dnia 6 lipca następny okres:

„Wyhaftowali oni na fraku pana Lecomta pewną literę, którą dawniéj na plecach wyciskano.

„Zważywszy, że Armand Fouquier w numerze Aigle z dnia 6 lipca powtórzył niemal w całości obelgi i szkalowania, których się dopuścili Soubirane i Vidal.

„Przestępstwa przewidziane artykułami 13, 18 i 19, prawa z dnia 17 maja 1819.

„Stosując je do obwinionych,

„Trybunał skazuje:

„Juliusza Lecomte na 100 fr., Soubirana na 100 fr. kary pieniężnéj.

„Maryusza Vidal, Commersona, Galiasa i Fouquiera na 50 fr. kary pieniężnéj.

„A co się tyczy żądania wynagrodzenia szkód poniesionych:

„Zważywszy, że Soubirane żądania tego nie wnosi, trybunał nic w téj mierze nie decyduje.

„Zważywszy, że Lecomte żąda tytułem wynagrodzenia szkód 20,000 fr. od Soubirana i Vidala, 5,000 od Pomereux, 5,000 od Commersona i Galiasa, a 10,000 fr. od Fouquiera.

„Zważywszy, że trybunał jest dostatecznie oświecony dla naznaczenia wysokości szkód:

„Skazuje Soubirana i Vidala solidarnie na zapłacenie tym tytułem fr. 50; Armanda Fouquier na 50 fr., Commersona i Galésa solidarnie na fr. 25."

Słychać, że w skutek powyższego procesu, Indépendance Belge wykluczyła pana Lecomte ze swego współpracownictwa.

L'ami des Sciences podaje nowy sposób łowienia ryb morskich nieznajomego wynalazcy. Dowcipny rybak uznawszy używane dotąd środki w rzemiośle swojém za niedostateczne, gdyż ryby, powiada, zmądrzały tak dobrze jak ludzie, i już na dziecinne podstępy, jakoto: wędki, żaki, kłomle i niewody złapać się nie dadzą, wezwał na pomoc fizyki. Światłem elektrycznem oświeciwszy głębie morza, przyciąga z najdalszych okolic i wikła w zdradne sieci mało jeszcze z tą nauką obeznane ryby.

Stary sposób łowienia ryb za pomocą światła, natchnął zapewne wynalazcy ten szczęśliwy pomysł. Na Adryatyku i na wybrzeżach szkockich, od niepamiętnych czasów przywabiają ryby roznieconém na statku ogniskiem, a zwabione przebijają ostrym trójzębem. Ale tym sposobem, na trzysta ciekawych zaledwie dwana-

ście w ciągu nocy ułowić można. Nowy wynalazek nieskończenie obfitsze rokuje plony.

Elektryczna łapka na ryby, zastawia się w następujący sposób:

Cztery łodzie rozwożą i zapuszczają w morze mocny niewód. We środku sieci przytwierdza się kula szklana, w któréj zamknięty przyrząd do wywołania elektrycznego światła, tojest dwa węgle, na które padając prąd stosu Volty, zapala światło nadzwyczajnéj jasności. Konduktory pokryte gutaperką przybywają do środka szklanéj kuli dwoma otworami szczelnie zamkniętemi korkiem; stos Volty znajduje się w łodzi. Skoro tylko stos zacznie funkcyonować, promienie światła wytryskają, i rozjaśniają czarne głębiny morza. Spostrzegłszy je ryby przybywają gromadnie na ćwierć mili dokoła. Z łodzi można je widzieć jak płyną w niewód i krążą koło czarodziejskiego płomienia; można je rachować naprzód, i gatunkować dopóty aż ich ilość dojdzie żądanéj liczby. Wtedy, za danym znakiem, światło gaśnie, skupiają się łodzie i ciągną na brzeg ten połów cudowny.

Przemysłowcy pragnąc co najrychléj ciągnąć zyski z nowego odkrycia, obstalowują tysiące beczek, gdzie w tak zwanym melasie, czyli roztopionym cukrze surowym, który jak powiadają, ma własność konserwowania przez parę miesięcy świeżego mięsa, przechowywać będą ryby, i rozwozić takowe po całéj Francyi.

Piękny ten wynalazek napędzający ryby w niewody, napędzi pewnie niemało pieniędzy do kieszeni przedsiębiorców; ale niestety, obawiać się należy, że konsumentom paryzkim mimo melasu, nic prócz większéj ilości ryb zdechłych do żołądka nie napędzi.

Kłótnia katolicka, do któréj, jak wiadomo, dała powód książka pod napisem: l'Univers jugé par lui

même, dotąd zjadliwie się szerzy i zaprząta karty dzienników i tygodników. L'Univers zrobił proces o potwarz księgarzowi Danteo, wydawcy powyższego dzieła bez podpisu, którego autorami są redakcye dwóch pism katolickich: Ami de la Religion i le Correspondent. Pan Falloux członek Akademii i pan Veuillot redaktor l'Universa nie szczędzą sobie słów prawdy i niezbyt pochlebnych przydomków, ku wielkiéj uciesze całéj galeryi anti-katolickich dzienników, które z tych załebków śmieją się do rozpuku.

Pan Veuillot chcąc wyjść zwycięzko z potyczki, zawezwał wszystkich biskupów francuzkich, ażeby się oświadczyli za, lub przeciw L'Universowi. Głosowanie idzie bardzo leniwo, a czy w końcu wypadnie na korzyść l'Universa, przyszłość pokaże.

— Wyszedł drugi tom historyi Krysztofa Kolumba, przez pana Roselly de Lorgues. Dla braku miejsca rozbiór tego dzieła odkładamy do przyszłego sprawozdania.

— Pan de la Forge znany dziejopis Wenecyi, wydał historyą nowoczesnych malarzy francuzkich.

— Pod napisem Musiciens contemporains, Henryk Blaze de Bury, napisał rodzaj biografii najsławniejszych kompozytorów muzyki wokalnéj.

— Tom trzeci Astronomii ludowéj Franciszka Arago wyszedł z pod prasy.

— Hrabina Dora d'Istria wydała podróże sentymentalne pod tytułem: Szwajcarya niemiecka.

— Znakomite dzieło Ernesta Feydeau: Histoire des usages funèbres et des sepultures des peuples anciens, liczy się między poważniejsze badania starożytności, i zasługuje na uwagę ludzi pracujących w tym przedmiocie.

SPOMINKI HISTORYCZNO-ARTYSTYCZNE.

PRZEZ

Edwarda Rastawieckiego.

VIII.

Rzadka rycina przez p. Alexandra Wejnerta odszukana, z rysunku Fryderyka Bernarda Wernera, widok miasta Warszawy przedstawiająca. Kucharscy, ojciec i syn, dwaj malarze polscy z czasów panowania Stanisława Augusta; wizerunek królowéj francuzkiéj Maryi-Antoniny przez jednego z nich w Paryżu wykonany, a w Bruxelli dochowujący się. Piotr Paweł Rubens malarz i dyplomata; jego stosunki z królewiczem Władysławem artystyczne i dyplomatyczne, a prace malarskie bezpośrednio Polskę obchodzące.

Przed kilkoma laty uczony badacz starożytności miasta Warszawy p. Alexander Wejnert, znalazł szczęśliwym trafem wielce ciekawą rycinę, przedstawiającą widok tegoż miasta z za Wisły od strony Pragi, w bardzo dużym rozmiarze wykonaną, przeto całość tamtoczesną miasta i poszczególne budowle wybitnie wykazującą. O téj naukowéj p. Wejnerta zdobyczy podał był wiadomość Kuryer Warszawski z d. 4 października 1850 r., powtórzył zaś ją Pamiętnik sztuk pięknych z r. 1851 I, 107 w słowach jak następuje: „Widok Warszawy z połowy XVII wieku. P. Alex. Wejnert wydawca Starożytności Warszawskich, nabył znaleziony przed kilką dniami na poddaszu domu przy ulicy Mostowéj, wraz z kilką sztychami widoków Warszawy tak zwanego Canaletto, wielką rycinę, przedstawiającą wi-

dok Warszawy, robioną w Augsburgu a wydaną między 1648 a 1655. Rysował go F. B. Werner, a sztychował Jerzy Baltazar Probst, następca Jer. Wolffa. Prawdopodobném jest, iż został wyryty do dzieła Theatrum Europaeum, wychodzącego od 1643 do 1699 r. Wielkość tego widoku, dwa łokcie wynosząca, przedstawienie stolicy przed szturmem Szwedów, dobre zachowanie i rzadkość jego, bo dotąd nie był u nas znany, czynią zabytek ten ze wszech miar szacowną i ciekawą pamiątką".

Nie przeczymy bynajmniéj ważności wykrycia, a ciekawości ryciny; lecz wiadomość o niéj podana, jako co do czasu zupełnie mylna, zasługuje na sprostowanie. Widok ów albowiem miasta nie jest wcale poprzedzający wojnę przez Szwedów za Jana Kazimierza w Polsce toczoną; przeciwnie, jest on o cały niemal wiek, o lat kilkadziesiąt od naznaczonéj mu daty późniejszy. Rozpoznanie bliższe szczegółów i epoki życia artystów, których rycina sama dokładnie wymienia, objaśniają rzecz najdowodniéj.

Fryderyk Bernard Werner rysownik i malarz Szlązki, w piérwszéj już połowie zeszłego stulecia pracujący, r. 1778 w bardzo podeszłym wieku zmarły, odbywał liczne po różnych krajach podróże, rysując mnóstwo widoków, które następnie sztychowane wychodziły u kilku nakładców augsburgskich. W ciągu owych artystycznych wędrówek, zawadził i o Warszawę, a wtedy widok tegoż miasta zdjął z natury, który potém wydał w sztychu Jerzy Baltazar Probst w Augsburgu. Tenże Probst sławny augsburgski sztycharz, urodzony r. 1673, zmarły r. 1748, był zięciem tamecznego sztycharza i nakładcy Jeremiasza Wolffa, po śmierci którego zakład jego objął. Data zejścia Wolffa nie jest dokładnie wiadoma i ściśle oznaczona: Fuessli i Nagler kładą ją na rok 1724; lecz podług innych żył jeszcze r. 1730, co i Nagler przywodzi. Że przeto widok przerzeczony Warszawy z rysunku Wernera, wyszedł, jak to rycina sama opiewa u spadkobiercy Jeremiasza Wolffa, Jerzego Baltazara Probsta; przeto nie mogło to nastąpić jak po zaszłéj Wolffa śmierci, zatém nie wcześniéj jak po roku 1724, a może nawet po roku 1730, a przed r. 1748 w którym sztycharz Probst umarł.

Z tego wszystkiego okazuje się jasno, iż widok Warszawy przez p. Alex. Wejnerta odszukany, nie pochodzi z czasów

panowania Jana Kazimierza, lecz że przedstawia miasto jakiém było za rządów Augusta II.

Rycina ta oznaczona jest u spodu liczbą 81, co dowodzi iż należyć musiała do jakiegoś wielkiego zbioru czyli dzieła widoków miast europejskich.

— *Kucharscy malarze szkoły warszawskiéj za czasów króla Stanisława Augusta.*— O tych dwóch malarzach, ojcu i synie, w Słowniku malarzów podaną była niejaka wiadomość, lubo wyznać przychodzi, przy zupełnym braku bliższych o nich szczegółów, wcale szczupła i niedostateczna, a nawet w pracach i kolejach życia dokładniéj syna od ojca nierozróżniająca. Tak tedy wiedzieliśmy, że Kucharski ojciec miał być uczniem Bacciarellego; syn zaś za wstawieniem się tego mistrza, kosztem króla Stanisława Augusta za granicę celem doskonalenia się w sztuce wysłany i pensyą opatrzony, uczynił tamże niepoślednie postępy. O nimto widocznie powiada Ciampi (Bibliogr. critica II, 258) pisząc go *Kukarki*, iż był malarzem historycznym i portretowym, że się w sztuce kształcił we Włoszech, a umarł w Paryżu. W galeryi króla Stanisława Augusta, jak to przytoczył Słownik malarzów, było kilka mniejszego rozmiaru portretów pastelowych i rysunków Kucharskiego, zdawałoby się ojca: nie musiały one być bez pewnéj wartości, kiedy je w tamte czasy cenił w spisie Bacciarelli po 15 i 20 czerwonych złotych. Portret Michała Wielhorskiego kuchmistrza w. lit., *Kouarski pinxit*, znany jest ze sztychu Macreta. Tyle a tak mało o dwóch tych artystach wiadomem było dotąd.

W roku zeszłym będąc w Bruxelli, miałem sposobność oglądać piękne malarskie dzieło Kucharskiego syna, jednające mu u cudzoziemców niemałą zaletę; o pracy téj jego przeto zdać sprawę krajowcom, zdawało mi się być rzeczą powinną. Otóż w galeryi d'Arenbergów w Bruxelli znajduje się wielce zajmujący portret królowéj francuzkiéj Maryi Antoniny, malowany przez Kucharskiego syna w Paryżu, kiedy tenże jako gwardzista narodowy widywał królowę w więzieniu Temple. Wizerunek ten małego rozmiaru, malowany na drzewie, bardzo gładkiego pędzla, przedstawia nieszczęśliwą monarchinię, z zupełną wiernością a przerażającą prawdą, w okropném położeniu w jakiém podtenczas zostawała.

Jest w sukni czarnéj, na głowie czépek biały wcale biédny, płócienny, po którym szalik czarny spadający na ramiona i w pasie związany; piersi okrywa prosta chustka biała płócienna śpilką zwyczajną spięta. Wyraz twarzy spokojny, lecz cały ogrom nieszczęścia oddający; włosy i brwi zupełnie białe, jak wiadomo naraz w więzieniu posiwiałe. Wizerunek ten nabył w swoim czasie od samego malarza w Paryżu książę August d'Arenberg, i opatrzył go objaśniającym napisem, z tyłu obrazu do deski przylepionym. Napis ów, tém dla nas ciekawszy, że niektóre szczegóły o żywocie i tworach artysty przekazujący, jest brzmienia następującego:

Légende du tableau de Mr. Kocharski.

Portrait de la Reine Marie Antoinette lorsqu'elle se trouvait au Temple, et très exactement jusqu'à l'epingle même qui ferme son fichu, telle qu'elle était habillée peu de temps avant qu'elle fut transferée du Temple à la Consiergerie.

Ce portrait etait peint par Kocharski qui avoit fait le portrait de cette malheureuse Princesse en 1780, *il se trouvait comme garde nationale de service au Temple, y vit la Reine, la considera avec grande attention, et rentré chez lui il s'occupa de la dessiner de mémoire. Il fut encore une seconde fois de service au Temple, examina de nouveau la Reine et de retour chez lui il acheva le portrait; je le tiens de Kocharski lui-même; je l'avais connu autrefois pour avoir été peint par lui et il savait combien j'étais attaché à la Reine.*

Auguste Arenberg.

Ce tableau est original, il en a été fait ensuite par Kocharski plusieurs copies et aussi par d'autres.

Z powyższego tedy objaśnienia obrazu okazuje się, że Kucharski syn już przed rokiem 1780 znajdował się w Paryżu, a jako biegły portrecista zażywał tam wyższéj wziętości, kiedy w tymże roku malował wizerunek królowéj Maryi Antoniny, i zapewne różnych znakomitych osób u dworu, jak między niemi księcia Augusta d'Arenberga. W chwilach najgorętszych rewolucyi francuzkiéj, bawiący w Paryżu, musiał należyć do gwardyi narodowéj i pełnił służbę gwardzisty. Tak dwukro-

Tu jest widocznie pomyłka
widocznie, bo r. 1780 Królowa
Maria Antonina jeszcze nie
była nieszczęśliwą, więziona.

tnie znajdował się na służbie w więzieniu Temple, w którém trzymana była nieszczęśliwa królowa: widział ją tam, przypatrzył jéj się dobrze, a wracając do swego mieszkania, wykonał najwierniejszy jéj portret, jaką wtedy była. Obraz oryginalny nabył od niego znajomy dawniéj i przezeń takoż, jak się rzekło, malowany książę d'Arenberg. Z tego oryginału sam malarz wykonał kilka kopii, zdejmowali też podobne i malarze inni, dla wielkiéj ciekawości obrazu, licznym stronnikom królewskim pożądanego.

Zapiska księcia d'Arenberga wyraża malarza *Kocharski*, tak samo pisany jest w d'Arenbergów bruxellskiéj galeryi; atoli jest to prosta pisowni pomyłka cudzoziemców, gdyż nazwisko jego jest z pewnością *Kucharski*.

Piękny ów wizerunek Maryi Antoniny, oddany był roku 1855 na wystawę w celach dobroczynnych towarzystwa św. Wincentego a Paulo w Bruxelli, zwrócił uwagę znawców, zaciekawił odwiedzającą publiczność: wspominały też o nim zaletnie dzienniki.

Do prac Kucharskiego ojca czy syna, doliczyć jeszcze możemy wizerunek księcia Józefa Sapiehy krajczego lit., który w r. 1792 znajdował się w pałacu wieliskim Sapiehów, jak to wykazuje inwentarz miejscowy.

Oba ci artyści zasługują bezsprzecznie na dokładniejsze żywotów i prac ich poznanie; wszakże same nawet imiona ich chrzestne, nie są nam dziś znane. Byłoby więc do życzenia, ażeby bliżéj o nich wiedzieć mogący, może pozostający krewni, udziałem posiadanych wiadomości, niedostatek ten zapełnić zechcieli: upraszać ich o to usilnie, niechaj mi tu wolno będzie.

— *Rubens, jego stosunki z królewiczem polskim, a prace malarskie Polskę obchodzące.*—Wizerunki króla Zygmunta III i jego drugiéj żony Konstancyi przez Rubensa malowane, których wyborne kopie odznaczonego naszego malarza Emila Boratyńskiego, nabył i do Warszawy sprowadził hr. Alexander Przezdziecki, obudziły tu niemałe zajęcie; przypomniany zarazem został portret królewicza Władysława, pod bytność jego w Belgii przez Rubensa wykonany, za czasem gdzieś zatracony, a niewiadomo kędy obecnie znajdujący się, o którym już na chwilę mniemano, że go galerya willanowska posiada. Z powodu tak odświeżonych przypomnień, mniemam być rzeczą stosowną

powiedzieć, co dziś o pracach, że się tak wyrazimy polskich wielkiego artysty wiedzieć możemy, tudzież o jego znajomości i stosunkach z królewiczem Władysławem Zygmuntem, późniejszym królem polskim Władysławem IV. Przekazują nam o tém napomknienia dawni, współcześni zdarzeniom pisarze, tak cudzoziemcy jak krajowi, lubo wyznać trzeba z żalem nietyle zasobne i zadawalniające, ilebyśmy sobie życzyli, a ileby na to sama rzeczy niepoślednia ciekawość istotnie zasługiwała. Jak bądź, zobaczmy, co nam w tym względzie z tych chociaż oszczędnych źródeł wypływa.

Kiedy w roku 1624 królewicz Władysław Zygmunt puścił się był na zagraniczną podróż, odwiedził takoż w Bruxelli krewnę swą wielkorządczynią Belgii infantkę hiszpańską arcyksiężnę austryacką Izabellę Klarę Eugenią, a na jéj dworze i w Belgii kilka tygodni zagościł. Podróż ta cała królewicza zajmowała niemało krajowców, którzy też ją bardzo dokładnie opisywali, zwłaszcza Kobierzycki kaszt. gdański, Wassenberg historyograf królewski, tudzież Stefan Pac, saméj podróży uczestnik i zdarzeń naoczny świadek. W dziennikach ich, pobyt w Belgii opowiedziany znajdujemy równie szczegółowo. W ciągu téj w Belgii bytności, zapragnął królewicz przypatrzyć się wielkiemu obozowi sławnego wodza Spinoli, oblegającego właśnie wtedy Bredę: wypadła jazda na Antwerpią, gdzie książę kilka dni zabawił. Tutaj poznał tamecznego malarza Rubensa, a pracownię mistrza w domu jego własnym odwiedził. Opowiada to w krótkich słowach Stefan Pac: »D. 25 września. Widzieliśmy officyny malarzów, a mianowicie w domu Rubensa, malarza przedniego, nad to w tém rzemieśle nic się foremniejszego widzieć nie mogło.” Tak samo prawie, lecz nieco więcéj szczegółowo Kobierzycki:... „Sławną Plantiniego drukarnię zwiedził (królewicz). Piotra Pawła Rubensa słynnego pod tę porę malarza dom obecnością swą zaszczycił, a starożytności i dzieła jego sztuki oglądał....” Odtąd zawiązała się królewicza bliższa z Rubensem znajomość: w Bruxelli z polecenia infantki, malował on Władysława wizerunek, który tegoż jeszcze roku 1624 rozpowszechnił sztychem Piotr Pontius znamienity rytownik antwerpski. O malowaniu owém królewicza, przemilczają już wcale swojscy opowiadacze; mówi wszakże o tém Emil Gachet wydawca listów Rubensa, na podaniach miejscowych oparty, że „Rubens otrzymał od infantki polecenie do odmalowania królewicza por-

tretu.“ Obraz ten znajdować się powinien w Bruxelli, lecz po tamecznych galeryach szukaliśmy go napróżno.

O dalszych Rubensa z Władysławem stosunkach, zamilczają zupełnie nasi krajowi pisarze; atoli u Belgów znajdujemy w tym względzie niejedno ciekawe wspomnienie.

Synowiec malarza, Filip Rubens, skreślił był życiorys stryja; w czasach niedawnych odszukał ten rękopism baron Reiffenberg i ogłosił go w Bruxelli r. 1835. Z tego źródła dowiadujemy się naprzód (str. 7), choć w słowach ogólnych, że jak dla wielu innych monarchów, Rubens malował różne obrazy (varias tabulas) dla króla polskiego; dalej (str. II), że z polecenia infantki i w jéj imieniu, załatwiał różne sprawy na dyplomatycznéj drodze: między innemi z Władysławem książęciem polskim.

Odkryte podobnież niedawnemi laty zostały własnoręczne listy samego Piotra Pawła Rubensa, a wydał je Emil Gachet w Bruxelli r. 1840. Tam w liście pisanym z Bruxelli d. 19 września 1625 do Il Signor de Valavés, czytamy „Ho scritto a V. S. alcuni giorni sono, de Duynckercque par Calais, la quale gli sarà capitata; in questa volta la sarà servita d'iscusar la mia brevità, perche scrivo col Piede nella staffa, dovendo d'ordine della Serenissima Infante andar in ogni diligenza a trovar un principe, agli confini d'Alemagna, per cosa che preme molto a S. A. Onde spero poter essere in breve di ritorno.....” (str. 17). Z tego okazuje się, że w końcu września (około d. 19go) r. 1625 wyprawiony z pilném poleceniem infantki, jechał w największym pośpiechu do książęcia u krańców Niemiec, widocznie do królewicza Władysława. Wszakże już pod d. 18 października 1625 r. pisze on znowu do tegoż samego Valavesa, wróciwszy do Bruxelli: „Essendo tornato dagli confini d'Alemagna, non potevi far di manco che tornarmene a drittura verso Duynckercque, per far rapporto alla Serenissima Infante della mia negotiatione, la quale mi era riuscita a gusto di S. A.” (str. 21). Zatém w ciągu niespełna miesiąca dojechał do królewicza, dokonał pomyślnie i wedle życzenia infantki poruczoną mu *negocyacyą*, powrócił do Belgii i zdał z czynności sprawę. Że królewicz z podróży swojéj zagranicznéj był już z powrotem w Warszawie przed końcem jeszcze maja r. 1625, a Rubens puszczał się ku niemu dopiéro we wrześniu; przeto

nie mógł go nagonić jeszcze w Niemczech, ale koniecznie szukał go chyba w saméj Warszawie. Jeżeli tak było w istocie, to pobyt jego nateraz w Warszawie musiał być bardzo krótki, gdy na owe czasy, do odbycia podobnéj jazdy w tak krótkim czasie trzeba było zaiste niesłychanéj zwinności i obrotu. Jakaby zaś była owa tak pilna do królewicza od infantki sprawa, o co szło między nimi, tego ani listy Rubensa nie wykrywają, ani zkądinąd, przy zupełném o tém milczeniu dziejopisarzy naszych, wiadomém dziś nie jest. Wydawca listów Rubensowskich E. Gachet, takie tu dołącza własne rozumowanie: „Le Prince Vladislas de Pologne était arrivé à Bruxelles le 17 Septembre (istotnie we wrześniu r. 1624, ale nieco wcześniej, bo dnia 6go), et il avait était reçu par l'Infante avec toutes sortes d'honneurs. Rubens fut même chargé par celle-ci de faire son portrait. Il est imposible que cette mission aux confis de l'Allemagne soit la même que l'ambassade à la cour de Pologne dont parle Philippe Rubens et dont je n'ai vu d'autres details nulle part. La distance serait trop grande, vu le peu de temps qu'a duré le voyage" (str. 20). Zatem idąc za słowami synowca Rubensowego, a mniemaniu nowoczesnego belgickiego pisarza Gachet, Rubens odbył inną jakąś dyplomatyczną missyą do Polski, do samego króla Zygmunta III. Kiedy to nastąpiło, co było poselstwa przedmiotem, jak długo trwało, czyli jak długim mógł być pobyt Rubensa na Zygmuntowym dworze: tego wszystkiego zgoła nie wiemy, a nigdzie o tém w pisarzach tamtoczesnych ani śladu natrafić nie można.

Wyczytaliśmy wyżéj w życiorysie malarza przez jego synowca spisanym, że Rubens jak dla wielu monarchów innych, malował takoż dla króla polskiego różne obrazy, *varias tabulas*. Znając wielkie Zygmunta III zamiłowanie i znawstwo malarstwa, jak z Włoch sprowadzał skrzętnie piękne obrazy, jak tam nawet do takich nabytków miał swoich agentów: łatwo pojąć, że i na prace tyle w te czasy wsławionego mistrza Rubensa, obojętnym być nie mógł, że zapragnął posiadać jego takoż pędzla twory. Słowa przeto synowca Rubensowego, że ten dla króla polskiego malował różne obrazy, stają się nam wcale wiarogodne. Ale jakieżto były obrazy, o tém znowu niewiele nas poucza przeszłość, w domysłach tylko mniéj więcéj zasadnych krążyć dozwalająca.

W obszernem dziele J. F. M. Michela: Histoire de la vie de P. P. Rubens, Bruxelles 1771, przy wyliczeniu mnogich prac malarskich artysty, powiada pisarz, że w galeryi elektora Palatyna w Dusseldorfie, znajdowały się między innemi pracami Rubensa, dwa portrety: Zygmunta III króla polskiego, miary stóp 7—4 (sztychowany przez P. Pontiusa), tudzież Konstancyi królowéj, żony wtóréj Zygmunta, miary podobnéj stóp 7—4 (str. 297). Owóż falcgraf Palatyn Renu Filip Wilhelm książę Neuburgski, był mężem córki Zygmunta III i Konstancyi, królewny Anny Katarzyny, poślubionéj po rodziców już śmierci za rządów Władysława IV r. 1642. Co do samych portretów, te w czasach ostatnich przeszły z galeryą elektorską na własność króla bawarskiego Ludwika I, i przeniesione zostały do Pinakoteki monachińskiéj, gdzie się obecnie znajdują. Przydamy, że z tą Dusseldorfską galeryą poszła do Bawaryi i jedna własnoręczna malarska praca treści religijnéj samego Zygmunta III, którą król podarował był córce, owéj późniejszéj Palatynowéj Renu. Z tych tedy portretów wierne kopie zamówione przez hr. Przezdzieckiego, ściągają dziś ciekawych widzów w Warszawie. Wizerunki te Rubensa przedstawiające królewską parę w wielkości przyrodzonéj, w całych postaciach i nader bogatych strojach koronacyjnych, tak są wyborne, tak doskonale oddają wyrazy twarzy i osób charaktery, w obliczu zwłaszcza Zygmunta, że wątpić nie można ani na chwilę, iż bez znajomości osób, naocznego ich widzenia, a nawet uważnego rozpoznania, nigdy z tą wiernością odtworzone byćby nie mogły. Dlatego téż wnosić nam koniecznie wypada, że Rubens znać musiał króla Zygmunta III, że przeto kiedyś znajdował się na jego dworze w Warszawie, a wtedy portrety wykonał z natury, które następnie zapewne przy wyjściu za mąż, dostały się córce Zygmunta i Konstancyi, Annie Katarzynie, hojnie, jak wiadomo, przez brata wyposażonéj, tak zaś w końcu przeszły do Dusseldorfskiéj galleryi (1).

Czyliżby na tych dwóch dziełach ograniczać się miały prace Rubensa dla króla Zygmunta, owe przez Filipa malarza sy-

(1) Anna Katarzyna Konstancya królewna pol., księżna neuburgska, zmarła bezpotomnie d. 7 października 1651 r. Stolicą książąt neuburgskich hrabiów Palatynów Renu, było pierwotnie miasto Neuburg; w początku wieku XVIII Jan Wilhelm Józef książę neuburgski elektor Palatyn, syn Filipa Wilhelma z drugiej żony, przeniósł rezydencyą do Dusseldorfu.

nowca wzmiankowane „różne obrazy (varias tabulas) dla króla polskiego"; gdy o tém nie wiedzą wcale wszelkie o tworach Rubensa zagraniczne podania, dochodzić nam przypada u nas, w swojskich jeżeli się nadarzą wspomnieniach.

Wespazyan Kochowski dziejopisarz i rymotworca, który żył już za Władysława IV, a przeto o Zygmuntowskich czasach świeżą posiadał pamięć, napisał pieśń na koronacyą króla Michała r. 1669 (Muza słowiańska, w Niepróż. próżnowaniu, Kraków 1674, str. 264). W téj tedy pieśni tak przemawia do nowego króla Piasta:

Witaj królu mój, gościu pożądany,
Między te Kraka starożytne ściany,
Wjeżdżaj na Wawel utwierdzon na skale
Wielki Michale.

Wjeżdżaj szczęśliwie.....
.....w królewskie przybytki
Wszedłszy, obaczysz przodki twoje wszytki
W architryklinie, z dawności bez straży
Królów obrazy.

Z kolei wylicza te wizerunki, od Bolesława Chrobrego począwszy, a główne każdego króla czyny wymienia. Przyszedłszy do Kazimierza W. tak się wyraża:

Na cóż to Rubens Kazimierzu tobie
Wielki, te mury przydał ku ozdobie?
Na to, żeś Polskę zostawił cegłaną
Wziąwszy chróścianą.

Przechodzi następnie wizerunki dalszych aż do Jana Kazimierza królów, i znów tak mówi:

W ten tedy poczet królu mój, dość spory,
Na toć zebrano twe Antecessory,
Byś patrząc na nich, brał przykład z tak wiela
Jak pszczoła ziela.

Z wierszy powyższych Kochowskiego wypływać zdaje się jasno, iż na zamku krakowskim był zbiór wizerunków króli, co téż i zkądinąd wiemy; że pomiędzy niemi znajdowały się takoż wykonane przez Rubensa, a przynajmniéj że obraz Kazimierza W. był jego pędzla, na którym wyobraził króla budownika w przyozdobieniu obrazu widokiem gmachów, mających jakby odcechować owę o nim przypowieść: iż zastał Polskę drewnianą, a obumarł ją murowaną.

Przydajmy uwagę, że Kochowski znać musiał naocznie i podziwiać prace Rubensa (a więc nie gdzieindziéj jak w kraju), tak jak znał swojskiego Dolabellę. Okazuje się to z słów

jego o własnym w Goleniowie przez siebie zbudowanym domu, skromnie jak wyraża przyozdobionym (budynek, pieśń; tamże str. 305):

Nie łaje mej marmur nodze
. . . . . .
Choć nie wisi lanczofft nowy,
Na mej ścianie Rubensowy.
Konterfetów też nie wiele
I nie dzieło Dollabele.

Dawno już z krakowskiego zamku znikły owe królów, ściany jego niegdyś zdobiące portrety, a między niemi i Rubensowe twory; gdzieby się podziały, nie powiedzą dziś nawet ci, co je zniszczyli czy złupieżyli, bo i oni dawno już w grobie. Wiemy, że kiedy król Stanisław August polecił Bacciarellemu do ozdoby sali marmurowéj na warszawskim zamku, wykonanie wizerunków wszystkich swych poprzedników i swego, zwozić kazał z całego kraju portrety dawne; mogłoby być, że wtedy co i z Krakowa do Warszawy przybyło. Atoli w spisie galeryi królewskiéj nie znajdujemy śladu obrazów króli przez Rubensa, zwłaszcza owego Kazimierza W., a znawcze oko króla Stanisława nie byłoby pewno Rubensa prześlepiło.

Jako bliżéj nas obchodzący, przywiedziemy tu jeszcze rysunek Rubensa do karty tytułowéj wydania poezyi łacińskich Macieja Sarbiewskiego w Antwerpii r. 1632, 4^0 ex officina Plantiniana B. Moreti.

Tyle, ale niewięcéj, o pracach dla Polski i z nią stosunkach wielkiego artysty, przytoczyć nateraz możemy. Z powodu przywiedzionego wizerunku królewicza Władysława przez Rubensa, podamy wykaz co główniejszych jego portretów, czy to jako królewicza, czy już jak króla przez współczesnych malarzy i sztycharzy wykonanych, zatém wierniejszém podobieństwem zalecać się mogących. Czynimy to głównie dla ułatwienia, przynależnego rozpoznania i ocenienia wizerunków tegoż króla dawnych, co się dziś w różném posiadaniu szczęśliwie jeszcze dotrwałe znajdują.

Obrazy olejne.

1. *Troschel Jakób*, malarz nadworny Zygmunta III, zmarły r. 1624; malował zapewne portret młodego królewicza.

2. *Dolabella Tomasz* malarz królewski. Malował z pewnością kilkakrotnie Władysława w różnych epokach: jako królewicza i późniéj jako już króla. Jego portret króla w stroju ko-

ronacyjnym, a przynajmniéj malarzowi temu przypisywany niebezzasadnie, znajdował się w posiadaniu J. U. Niemcewicza; po nim dostał się do zbioru p. Tom. Zielińskiego.

3. *Piotr Danckerts de Ry*, malarz królewski. Malował Władysława IV zdaje się czterokrotnie, jeżeli nie więcéj. Te jego wizerunki znane są ze sztychów:

a). Król, portret owalny, sztychował *Wilhelm Hondius.*

b). sztych *p. Jodego.*

c). Król w wieku starczym, sztych. *Jeremiasz Falck.*

d). Król w zbroi, czapeczce okrągłéj i płaskiéj na głowie, twarz zestarzała i schorzała; sztychował *Wilhelm Hondius* 1646.

4. *Schultz Daniel Jerzy*, Gdańszczanin. Za jego portretem króla, sztychował *Wilhelm Hondius* r. 1637.

5. *Soutman Piotr*, malarz królewski, uczeń Rubensa. Z jego wizerunku Władysława IV okazała rycina *J. Suijderhoef* sculpsit: Vladislaus VI (sic) Poloniae et Sueciae Rex serenissimus et potentissimus. Król z głową nienakrytą, z dużą krezą a orderem złotego runa; rama bardzo bogata z kwiatów i owoców.

6. *Van Schagen Gilles.* Malował w Elblągu r. 1639 wizerunek królewski.

7. *Gondelach* czyli *Gundelach Mateusz*, malarz nadworny cesarski w swoim czasie odznaczony, późniéj osiadły w Augsburgu. Malował królewicza, zapewne w czasie jego podróży zagranicznéj, któryto wizerunek sztychował r. 1625 *Łukasz Kilian.*

8. *Rubens Piotr Paweł.* Królewicz malowany w Belgii r. 1624: w kapeluszu z kitą na głowie, ręka wsparta na rękojeści miecza. Za nim sztych *Piotra Pontiusa* w Antwerpii r. 1624.

Ryciny tamtoczesne, prócz przytoczonych wyżéj.

Kilian Łukasz:

a). Królewicz młody stojący obok stołu. Spodem 8 wiersz łaciński.

b). Królewicz, rycina allegoryczna: wizerunek między dwoma rycerzami trzymającemi rumaki, w górze obelisk z napisem *vel sic enitar.* Przypisanie Kiliana księciu Władysławowi Zygmuntowi.

Serwouter S. Jego rycina królewicza jest pewno współczesna, lubo ten sztycharz zkądinąd wcale znany nie jest, tylko Piotr von Serwouter Antwerpczyk pracujący tamtocześnie.

de Jode Piotr, rysownik i sztycharz antwerpski ojciec, czy może już syn takoż Piotr (ur. r. 1606):

a). W zbroi, głowa nienakryta, *P. de Jode* sculp. *Joann Meijssens* exc.

b). W zbroi po któréj płaszcz gronostajowy, głowa nienakryta; z tyłu leży korona. *P. de Jode* fecit et excud. Napis: Vladislaus IV Dei gratia rex Poloniae et Sueciae, etc.

c). Głowa nakryta kapeluszem z kitą, na szyi zawieszone złote runo.

Widemann Eliasz, sztycharz Augsburgski, w Wiedniu od r. 1640 osiadły. Król, owal, 8o.

Custos Rafał, sztycharz osiadły w Augsburgu: Vladislaus IV Rex Pol.

Daret Piotr, sztycharz paryzki: Vladislas IV Roi de Pologne, 1645.

Aubry Piotr. Vladislaus IV par la grace de Dieu Roy de Pologne, *Peter Aubry* excudit. Głowa nie nakryta, od czoła łysa; niepodobny, a rycina wcale mierna. Do niéj bardzo podobna, za nią też zapewne wykonana, jest późniejszego już artysty *Baltazara Moncorneta*, takoż bardzo mierna.

Wreszcie pominąć tu nie należy pięknéj ryciny króla, w całkowitéj postaci, wydania Xawerego Preka, wedle jakiegoś współczesnego oryginalnego obrazu; lecz szkoda, iż wydawca nie wyraził wcale malarza, lub przynajmniéj gdzie się sam obraz znajduje.

PRZEGLĄD
LITERATURY ZAGRANICZNÉJ.

Nowy zwrot poezyi francuzkiéj (*).

Znany nam dokładnie obraz literatury francuzkiéj z ostatnich lat dwudziestu: niejedno bowiem zdolne pióro kreśliło uwagi swoje nad tym świetnym meteorem, który tyle spustoszeń poczynił w świecie ducha, tyle skaził serc, tyle umysłów skrzywił i odarł z prostoty, tyle wyobraźni stępił na pojęcie prawdziwego idealnego piękna. Nie będziemy więc powtarzać znanych powszechnie rzeczy, a jeżeli dotkniemy zlekka tego przedmiotu, to jedynie dla wskazania wielkiego odskoku, jaki uczynili nowi pisarze, od wskazanego im przez poprzedników toru, oraz dla szczerego przyklaśnięcia ich szlachetnym usiłowaniom.

Przedstawiciele krwawych dramatów schłostani bronią śmieszności, stracili mir powszechny. Czyste obrazy *Souvestra*, *Feuiletta* i innych zyskały natomiast wziętość, jakiéj przedtém dobijały się daremnie. Znać, że ogół czytelników zatęsknił za prawdą uczucia, za myślą swojską, czerstwą a żywotną. Georges Sand czarodziejskiém piórem, którém dotąd niezawsze niosła hołdy prawdzie, poczęła kreślić pełne uroku sielskie obrazki. Poeci podjęli z prochów zapomniane liry, i przysłuchując się cudnym, a zawsze świeżym dźwiękom przyrody, czystym acz słabym wyśpiewali głosem pieśń rozbudzenia. Czując jednak

(*) Obacz Bibl. Warsz. z r. 1854, T. I.

własną nieudolność, poczęli przemyślać, dlaczego poezya ta, piękna córa nieba, odwróciła oblicze swoje od narodu, który niegdyś ukochała tak tkliwie, któremu towarzyszyła na dalekie wyprawy, przewodniczyła w boju, przyśpiewywała przy domowém ognisku, dla ocalenia którego zstępowała wprost z nieba uosobiona w świątobliwą postać Genowefy, lub w natchnioną dziewicę-bohaterkę. I nowi poeci, po głębokiém wniknieniu w siebie samych przyszli do przekonania, że tylko wiarą w najobszerniejszém znaczeniu tego słowa, wiarą w Boga i ludzi, wiarą w własne siły i przekonanie, wiarą we wszystko, co wzniosłe, piękne, dobre i szlachetne, wiarą w świętość powołania człowieka na ziemi, wiarą w podanie uświęcone wiekami: że tylko miłością Boga i bliźniego mogą ściągnąć promienie wyższéj łaski i rozżarzyć na nowo przygasłą pochodnią poezyi, na ziemi skrzepłéj, od wiejącego z zewnątrz wpływu samolubstwa i chciwości. I z modlitwą na ustach, z pokorą w sercu, spojrzeli poeci w niebo i błagali o wiarę, a wiara zstąpiła na nich, przypięła im białe skrzydła, i podniosła ich ducha ku Bogu. I pieśń po nazbyt długiém milczeniu zabrzmiała znów pełnemi dźwięki i rozległa się głośno po pięknéj ojczyznie Ponsarda.

Ruch poetyczny powstał nagle we Francyi, jakby za dotknięciem czarnoksięzkiéj laski. Tysiąc kilkaset głosów ozwało się niemal równocześnie ponad Sekwaną, Ligierą, Rodanem i pobratymczą Skaldą. Armoryka, kolebka starożytnych pieśni i podań, ojczyzna bardów i lirników, w któréj cienistych lasach kryją się dotąd szerokie głazy, niegdyś ołtarze Druidów, piérwsza przyniosła daninę, wydając najcelniejszego poetę obecnego czasu (1).

Wiele z tych świeżo ocknionych głosów śpiewało słabo i niedołężnie, wiele z owych jak grad kwiecisty wysypanych na Francyą *pierwiosnków*, *fiołków*, *róż polnych*, *bratków*, *niezabudek*, *wrzosów*, *bławatków i nenufarów* (2) nie miało w rzeczy saméj ani barwy, ani woni: wszystkie jednak zapowiadały powrót wiosny w zimowém ducha uśpieniu, wszystkie wykwitły ogrzane słonecznym promie-

(1) Augustyna Briseux.
(2) Tytuły świeżych zbiorów poezyj.

niem uczucia. Duch poezyi wnikał w serca zmrożone chłodną analizą i rozumowaniem: poczęto wydobywać z łona przeszłości podania przysypane wiekowym pyłem zapomnienia, a raczéj zanurzone w napływie kosmo-politycznéj cywilizacyi. Parowy pirenejskie, bagniste niziny Berry poczęły się zaludniać fantastycznemi istotami wykołysanemi wyobraźnią ludu. Bazyliszki o płomienistych skrzydłach i dyamentowém oku, znów jak niegdyś wzlatały w południe w obłoki. Cień odwiecznego pasterza, z którego skonem pierwszy śnieg spadł na wyżyny pirenejskie, wychylił głowę z rozpadliny gór i ukazał się światu: złowrogi olbrzym (Bicestre) przebiegać począł jak niegdyś stawy, bagna i niziny Berry, siejąc w swe ślady grad, pomór i zniszczenie; a wilkołak wprowadzając jak niegdyś przechodnia nocą w chłodne topielisko, urągał znowu jego niedoli, któréj sam złośliwym był sprawcą. I racyonalna Francya coraz to chętniéj odwracać jęła oczy od bursy, owéj zdradliwéj szafarki ziemskich skarbów, a wzrokiem ducha ścigała droższe skarby zaklęte w potęgę słowa u kolebki narodu, i przechowane w żywéj jego piersi na duchowny pożytek późnych pokoleń.

Rozwidnia się coraz szerzéj poetyczny widnokrąg Francyi, a pieśń coraz dostojniejsze przybiera znaczenie. Niedość na tém, że owa piękna mieszkanka pól i łąk, jak miły gość zagląda w progi miejskich pałaców; niedosyć, że płynie w świat z pod pióra wykwintnych niewiast francuzkich, że skraca ciężkie godziny pracy rzemieślnikom, zgiętym nad warsztatem; ale co więcéj, stała się organem powszechnéj opinii, stała się tém, czém być właściwie powinna: nie kwileniem ptastwa opiewającego nieświadomie swe niedole i uciechy, ale głosem człowieka, który czując w piersi wieszczy płomień, pieśnią pociąga braci ludzi ku niesmiertelnéj piękności i prawdzie, słowem—ku Bogu. Posłuchajmy oto, co mówi Ducamp, twórca *nowoczesnych pieśni*.

Pracujcie duchem, o wieszczowie młodzi!
Poruszcie wieków skamieniałe bryły,
W dziedzinie nauk niech ziarno dziś wschodzi,
By czém młodzieńcze było skrzepić siły:
Bo duch już wzrosły w olbrzymie rozmiary
Z bieguna w biegun świat okrąża stary,
I woła skrzydły szeleszcząc pod niebem:
„Nakarmcie ludzi zdrowéj pieśni chlebem,

Lecz z rodzinnego czerpnijcie ją zdroju.
Taka dzisiejszéj odpowiednia dobie;
A starym bogom nie kłóćcie spokoju,
Niech sobie drzymią w zapomnienia grobie".

Niemniéj wymownie przemawia do braci rzemieślników, *Clesse*, Belgijczyk rodem, ale Francuz duchem i sercem, ozdobiony za swoje *pieśni popularne* znakiem legii honorowéj. Najżywotniejsze prawdy płyną przez usta jego, czylito odzywa się do uczonych retorów, którzy chcą zbawić ludzkość wprowadzeniem w życie nowych teoryi:

„Odmieńcie obyczaje, a świat ze staréj otrząśniecie łupiny!"

Czyto zachęca braci warsztatowych do wytrwania i pracy: zawsze zarówno jest wpływowy, oraz treściwy w wyrażeniach swoich.

Wié rzemieślnik schylon u warsztatu,
Że niedola zwykły ziemski gość;
Że nadzieja kwitnie ledwie światu,
Że człek niesyt choć ma chleba dość.
O! nie gaście téj świętéj pochodni,
Co mu świeci wśród zawiłych dróg;
Niech duch jego zwolna się ugodni,
Dążąc w niebo, gdzie króluje Bóg.

O! rzemieślnik ciche dziecię Boże,
Dość ma na tém, czém go darzy los;
Zna swe prawa, lecz idzie w pokorze,
Gdzie go wzywa powinności głos.
Błąd z człowieka piętno boże ściera,
Światło prawdy życie wiąże w ład;
On ku prawdzie ramiona otwiera,
Bo ta jedno zbawić zdolna świat.

Kobiety francuzkie przyniosły niemniéj kilka ślicznych kłosów, do wieńca nowéj poezyi: panie Tastu, Deborde, Valmore, zmarła niedawno pani Girardin, niepoślednim zbogaciły ją plonem. Dziś umilkły te głosy i ustąpiły pełnéj życia pieśni pani Ludwiki Colet. Imię to stało się popularném we Francyi, co więcéj nierównie świadczy o zasłudze autorki, niż wieńce, jakie Akademia złożyła po dwakroć na jéj czole. Akropolis, poemat pani Colet, uwieńczony niedawno, odznacza się potęgą słowa i wielką siłą natchnienia; nie mniéj zapału wlała autorka we dwa obrazy poetyczne, w których wystawia wewnętrzny dramat życia dwóch niewiast, *wieśniaczki i sługi*. Są to pierwsze ogniwa całéj niewieściéj epopei, a dalszy jéj ciąg stanowić mają osobne obrazy *artystki*, *mieszczanki*, *księżny* i t. p.

Poetka postanowiła, jak się zdaje, wystawić poetycznie łzawe pasmo prób i zawodów, przez jakie kobieta przechodzić musi, w jakiemkolwiekbądź położeniu umieściła ją Opatrzność. W pierwszych obrazkach z wielkim zapałem kreśli ona niedole, przywiązane wyłącznie do niższych szczeblów społeczeństwa. Niemniéj szczęśliwie zapewne wykaże w dalszéj pracy, owę rzetelną nędzę, która częstokroć wygląda z pod złotolitéj szaty. Weźmy oto na probę mały urywek z obrazu wieśniaczki:

Krwawe trudy, nieskończone znoje
W krew niebogi szczepią zgubny jad;
Zwolna wyschły mleczne piersi zdroje,
Kwiat na licu niemowlęcia zbladł:
I do matki tuli główkę złotą.
Mruży oczy zda się błogo śni,
Z uśmiechem płacąc jéj pieszczotę,
Kończy pasmo rozpoczętych dni!

Z równém uczuciem poetka przemawia do biédnéj sługi, któréj zależne położenie, swobodnie zapłakać nawet nie dozwala w chwili najcięższéj boleści:

Trzebaż ci chleba, trzeba ci odzieży,
Strawić ból w piersi konieczność wymaga:
Pracuj! choć gorzka łza po licu bieży,
Z łona boleści wyrasta odwaga!
Zrazu ci zabrzmią współczucia słowa,
Ale świat rychło zwróci myśl ku sobie,
I zapomnienie jak trumna dębowa,
Ściśnie pierś łzawą w pustym życia grobie.

O! któż nie przyzna, że poetka umiała znaléźć prawdziwe źródło poezyi, szukając go w piersi istot małych w obliczu świata, ale wielkich przed Bogiem, bo uświęconych łzą i cierpliwém poddaniem.

Pomiędzy dzisiejszemi poetami francuzkiemi, Wiktor Laprade odznacza się wielką powagą myśli. Możnaby mu zarzucić, że zawiele zdań czysto-filozoficznych miesza pospołu z poezyą, ale ta wada tak jest dziś niezwyczajna, że tém samém nadaje utworom jego pewną oryginalną cechę. Wszakże jeśli obrazowanie piérwszym jest warunkiem poezyi, trzeba i o tém pamiętać, że myśl nadaje wartość obrazom, a Laprade nigdy o tém nie przepomina. Wprawdzie czasami nie dosyć pieści ucho, niedość zachwyca wyobraźnią; ale mimo to może iść w porównanie z bieglejszymi od siebie co do formy, umié bowiem zająć silnie myśl czytelnika.

Laprade wyrobił sobie już wysokie stanowisko we współczesnéj francuzkiéj literaturze. Jeżeli nie stał się dotąd popularnym, to dlatego jedynie, że częstokroć przebiera miarę w rzucaniu filozoficznych ogólników. Wnika on myślą w najwyższe sfery ludzkich pojęć, a czyni to ze szkodą wyobraźni, i zapomina prawie że jest poetą. Zapędzając się myślą w górę, nie pomni, że ogół nie może podążyć za nim w ślady. Gdyby przyoblekał myśl swoje w żywotniejsze kształty, sprawiłby jeśli nie głębsze, to bez wątpienia ogólniejsze wrażenie.

Te uwagi ściągają się bezwarunkowo do wszystkich utworów Laprad'a, któremi od 14 lat zasila francuzką literaturę. Widnokrąg jego myśli niemało się przez ten czas rozszerzył. Ostatni zbiór jego poezyj p. n. *Symfonie*, ogłoszony w 1855 roku, wyższym jest od *Psyché*, wydanéj w 1841. Wszakże i tu Laprade nie odstąpił od raz przyjętéj metody. Nie poprzestaje on na ukazywaniu poetycznéj strony przyrody, usiłuje przedewszystkiém wyjaśnić symboliczne jéj znaczenie. Ta metoda wyborna dla myślicieli, dla umysłów oswojonych z badaniem, nie wystarcza, gdy idzie o poruszenie serc, o przekonanie ogółu czytelników. Ci poprzestaną radzi na wspaniałym lub groźnym obrazie przyrody: umysły tylko przywykłe do wydobywania na jaw filozoficznych wniosków, zasmakować mogą w symbolicznych zastosowaniach poety. Laprade nie umié odgraniczyć przedziału pomiędzy dziedziną filozofii a poezyi: ztąd narażonym jest często na surową krytykę, zaprzeczającą mu nawet poetycznych zdolności. Sąd to jednak niesłuszny. Autor Symfonii błądzi tém, że zanadto liczy na pojęcie czytelnika, zbyt wiele przyznaje mu zdolności do głębokiego skupienia uwagi, zanadto rachuje na jego władze często-rozumowe, a zamało przemawia do jego wyobraźni. Błąd to zapewne niemały: wszakże poeta nie odzywa się z katedry, do kółka wybranych słuchaczy, ale raczéj przemawia do ogółu. A jednak błąd ten, dowodząc bogactwa myśli, nie może zasługiwać na bezwarunkową naganę. Obrawszy tę drogę Laprade nie zjednał sobie wprawdzie ogólnéj sympatyi, wszkże ci, którzy zdołali go pojąć, chciwie chwytają każde jego słowo, a ich po-

klask wynagradza mu choć w części współczucie mniéj uzdolnionych umysłów.

Przyjrzyjmy się poezyom Laprad'a, a zobaczymy, iż zdanie to można zastosować do wszystkich jego utworów, zacząwszy od Psyche, a kończąc na Symfoniach. Natura sama przedmiotów, jakie wybiera poeta, nasuwa mu niemałe trudności. Laprade wystąpił po raz pierwszy na widownią literacką z poematem Psyché, który osnuł na najpiękniejszém starożytném podaniu. Utwor ten pełen wdzięku i wzniosłości, w wielu ustępach na bezwarunkową zasługuje pochwałę: wszakże kto badał pogańską starożytność, spostrzeże natychmiast, że poeta nie pojął wymagań, obranego przez siebie przedmiotu. Psyché Laprad'a mało ma związku z mitologią grecką. Nie jest to znana z podania dziewica, szczęśliwa w objęciu miłości, dopóki nie zna oblicza tajemnego kochanka, a srodze ukarana za ciekawość opuszczeniem i rozpaczą. U Laprad'a dziewica ta toczy rozprawy z siłami przyrody; bada powiew wiatru, szum wody, kwiaty łąk, dęby starych lasów; rozbiera najdrobniejsze odcienia uczuć, najprzelotniejsze wrażenia, z subtelnością, jakiéjby się nie powstydził uczeń z Getyngi albo Hejdelberg'a. Niekiedy naiwna, częściéj jednak błądzi zbytkiem uczoności: określa myśl swoję tak zręcznie, z taką świadomością i rozwagą, że nie możemy lękać się o jéj przyszłość. Wprowadzenie na scenę sił przyrody, rozmowa Psychy ze strumieniem i kwiatami, z morzem i puszczą, nie zgadza się z mytologią grecką. Ani Homer, ani Teokryt nie wyprowadzali nigdy sił przyrody na widownią. Grecy ubóstwiali wszelkie ludzkie namiętności, ubóstwiali nawet tajemnicze potęgi przyrody, ale Nerejdy i Najady, Hamadryady i Fauny, nie miały żadnego związku z doktryną Spinozy, a w Psyché Wiktora Laprade, panteizm wygląda z każdéj karty. Gdyśmy wysłuchali głosu trzciny i lasów, potoków i morza, nie ciekawi jesteśmy głosu Psychy. Bohaterka poematu nie obchodzi nas więcéj, niźli jéj niewidzialni towarzysze. Nigdy nie dostrzegamy nic podobnego w mytologii greckiéj; Minerwa, Junona i Venus, Jowisz, Mars i Wulkan, żywią w piersi ludzkie namiętności, a jeżeli władają samowolnie według chwilowego kaprysu zwyczajnemi zjawiskami przyrody, za to nigdy nie

zapytują o nie dębów i skał, kwiatów i potoków. Panteizm Spinozy, (o którym nie pora tu mówić) nie ma w sobie nic poetycznego: najuczeńsze wyrażenia, najpiękniejsze obrazy, nie dodadzą mu uroku. Gdy nadamy dar słowa wszystkim siłom przyrody, człowiek dziwnie zmaleje w oczach naszych. Jeźli strącimy człowieka z wysokości, i postawimy go na równi z otaczającym go światem, kogóż zajmie historya jego duszy? (1). Laprade znać nie zmierzył okiem tego niebezpieczeństwa. Głos Psychy wyrażający jéj uczucia i niepokój, ginie wpośród szumu dębów i plusku strumieni: inaczéjby on odbijał, gdyby przyroda milczała.

W drugiéj połowie poematu, tracimy z oczu panteizm Spinozy, ale za to niewłaściwie spotykamy się z ewangielią. Jowisz siedzący na tronie, na wierzchołku Olimpu, podobnym jest do Jehowy w chwili, gdy go porusza modlitwa Odkupiciela. Gracye przemawiając w imieniu Psychy objawiają zasady Chrystusa. Laprade widzi w gracyach zwanych od Greków Charytami uosobienie miłosierdzia. Na to zapewne nie zgodzą się nigdy uczeni Heleniści. Filologia przyjąć nie może dowolnych objaśnień, znoszących różnicę pomiędzy pogaństwem a chrześciańska wiarą. Niechaj Gracye wstawiają się za Psychą, piękną i młodą jak one; niechaj proszą o przebaczenie za ciekawość dziewicy: ale niechaj nie błagają Jowisza w imię chrześciańskiéj miłości, niech się nie odzywają na Olimpie temi słowy, jakiemi Chrystus przemawiał w Betleem i Nazarecie. Pogański przedmiot poematu Psyché, powinien być na tle pogańskiém przedstawiony. Gdy Gracye biorąc stronę dziewicy uwiedzionéj przez Eros (miłość), głoszą uczucia nieznane pogańskiéj starożytności: czytelnik zapytuje sam siebie, czy rzecz dzieje się w Helladzie, albo li w Judei? Pomimo czarownego wdzięku ich kształtów i miodowéj słodyczy słowa, widzimy w nich nie pogańskie gracye, ale raczéj dziewice chrześciańskie zabłąkane na Olimpie.

W drugim zbiorze Laprad'a p. n. *Ody i poemata*, ogłoszonym w trzy lata po Psyché, trzy ustępy zasługują na szczególną uwagę: *Alma parens*, *Skon dębu*, *i Poże-*

(1) Psyché u starożytnych była symbolem duszy człowieka,

gnanie na górze. Trzy te utwory zalecają się powagą myśli, wytwornością obrazów i jasnością wysłowienia. *W Alma parens* widzimy na większą skalę piękności, jakieśmy już dostrzegali w Psyché. Jeśli poeta nie porzuca jeszcze panteistycznéj zasady Spinozy, miarkuje się jednak w jéj uwydatnieniu, i stawiając człowieka w obec przyrody, wyższe mu nad nią nadaje znaczenie. Wielkie myśli wyrażone szlachetnie a prosto, nadają tym trzem poematom samoistne piętno. *Alma parens*, to hymn do samotności, ale hymn szczery, pełen prawdziwego uczucia; każde jego słowo porusza serce czytelnika, albowiem jest wyrazem głębokiego przekonania. Poeta ucieka zdala od miejskiéj wrzawy, wstępuje na szczyt góry, wiecznym pokrytéj śniegiem, pragnie bowiem być sam z sobą, pragnie zbadać rany zbolałego serca: upaja się zrazu żywotném gór powietrzem, ale po chwili, przejęty dziwną tęsknotą, czuje niebezpieczeństwo zupełnéj samotności, i przypomina sobie słowa proroka: biada samemu! Samotność, która przed chwilą upajała go i podniecała jego pychę, ukazuje mu się obnażona z wszelkiego uroku. Niedość mu na tém, że depce śnieg niczyją nie tknięty stopą, że ciemne parowy spokojném mierzy okiem: radość jego prędko przemija. Aby użyć w pełni widoku przyrody, niedobrze być samemu! Czylito człowiek oddycha wonią łąki, czy przebiega las ocieniony, czy na mchu miękkim odpocznie; wszędzie potrzeba mu bratniego serca, z którémby mógł podzielić doznane wrażenie. Jestże to szczęściem, widzieć, rozumieć, a nie kochać? Tę prawdę starą jak świat, Laprade umiał nowemi wyrazić zgłoski: przeczytawszy *Alma parens* czujemy, że człowiek może ukochać samotność, ale niepodobna mu żądać od niéj ukojenia w moralnéj boleści: uczucie bowiem zdoła tylko leczyć rany serca. Ten poemacik podwójną ma wartość: filozoficzną i poetyczną. Wyborna to rada, wyrażona pełnym wdzięku słowem. Mądrość płynie tu poważnie przez usta poety, a piękność formy łagodzi jéj surowe oblicze. To téż można rzec śmiało, że *Alma parens* należy do najpiękniejszych ustępów francuzkiéj lirycznéj poezyi.

Skon dębu może wytrzymać porównanie z *Alma parens.* Poeta widząc olbrzyma puszczy, powalonego na ziemię, przypomina chwile, które pod jego cieniem przema-

rzył, i szczebiotanie ptastwa ścielącego gniazda, pod zieloną osłoną jego liści; przeklina siekierę, która podcięła dąb stary. To wymowne przyzwanie przeszłości rzuca rzeczywisty mrok żałoby na obalony pień odwiecznego drzewa. Dąb okrążał szerokim cieniem niemałą przestrzeń wokoło, młodzi oblubieńcy u jego stóp, miłe znachodzili wytchnienie. Gdy upadł dąb opiekuńczy, nie znaleźć im samotności i ciszy. Czyliż siekiera wytrzebi stare lasy? Wszystkoż gwar świata pochłonie? I gdzież znajdą ochronę drobne ptaszęta i pszczoły? Ale rozwaga koi nakoniec trwogę. Upadł dąb stary, na huk siekiery pierzchnęło z gniazd drobne ptastwo, które on gościnnie przygarnął rozrosłemi konary: jednakże przyroda wyczerpać się nie może. Zamyka ona w łonie swojém bogaty posiew przyszłości. Nowe pokolenia będą na nowo dumać i gwarzyć pod cieniem nowych dębów, nowe puszcze udzielą im uchrony. Pada odwieczny dąb, a w jego miejsce wzrasta tysiące nowych: czyż przyszłość ma być uboższą od przeszłości?

Pożegnanie na górze rozwija w poetyczny sposób przypisanie książki, którą poeta poświęcił pamięci p. *Barthelemy Tisseur*. Zmarły był niegdyś przewodnikiem poety. Wyrwany przedwcześnie z koła przyjaciół, pozostawił w ich sercach niezatarte współczucie. *Pożegnanie na górze* uświęciło jego pamięć: powiewający w tym utworze duch religijny, niepojętym urokiem otacza rozłączenie trzech przyjaciół. W ciszy i spokoju, przeżyli oni razem kilka chwil pod okiem Boga, nieraz mówili o niebie, o lepszym, zaświatowym żywocie! Wybiła godzina pożegnania, czas już zaniechać miłych pogadanek—nie będzie przed kim rozsłonić tajników wyobraźni i serca. Poeta czuje, że zgasła na wieki jego radość, a gdy zstępuje na dolinę, żegna ostatnim pokłonem miłego towarzysza, mądrego a łagodnego przewodnika, który wskazał mu najwyższe prawdy w dziedzinie religii i filozofii.

Poemata ewangieliczne pełne wzniosłości, tchnące żywą wiarą, ulegają tym samym zarzutom co i Psyché. Poeta przepomina w nich barwy czasu. W Psyché uważaliśmy niewłaściwe pomieszanie wyobrażeń pogańskich z chrześciańskiemi; w poematach zaś ewangielicznych, uderza nas pomieszanie filozofii z religią. *W poprzedniku (precurseur)*

szczere słowa dowodzą, że poeta wierzy w podania kościoła, że nie powątpiewa o żadnym dogmacie katolickiéj wiary; ale choć wierzy, wykłada on dowolnie wiarę swoję, wchodzi więc na niebezpieczną drogę, tak na polu poezyi, jak i ortodoxyi. Obok światła kościoła, stawia bladą filozofii pochodnią. Opowiedziawszy rzecz zgodnie z tradycyą, wyjaśnia swoję opowieść drogą nowoczesnego rozumowania. Nie wchodząc w to o ile wiara katolicka pozwala na podobny wykład, weźmy tylko rzecz ze stanowiska poetycznego. Poeta powinien w utworze historycznym zachować ściśle barwę czasu. Nie uczynił tego Laprade; to też pomimo imion biblijnych, czytelnik zapomina, że dramat opowiedziany przez niego, sięga pierwszych lat chrześciaństwa: kto po *poprzedniku* przeczyta ewangelią, spostrzeże snadno, że tradycya ewangieliczna przeistoczyła się może przypadkiem w myśli autora. Śmierć ś. Jana Chrzciciela inne ma w ewangielii znaczenie, niż to, jakie jéj nadaje poeta. Działające w téj tragedyi osoby, stosownie do tego, jak nam je przedstawia tradycya, nie tak subtelnie zapewne rozbierały własne uczucia. Ani skazany na śmierć, ani jego mordercy, nie badali z taką świadomością tajników własnéj duszy.

Trudno zapewne poecie ukryć zupełnie osobistość swoję; trudno przedstawiając działające osoby, nie objawić nigdy własnéj myśli. Powinien jednak bardzo być ostrożnym w tym względzie, powinien zawsze mieć na uwadze, że osoby, które wystawia w chwili spełnienia ofiary lub zbrodni, zaślepione namiętnością, lub też olśnione głębokiém przekonaniem, nie znały się same tak dokładnie, jak je poznała potomność. Laprade odtwarzając postać poprzednika, patrzał nań ze stanowiska późniejszych wieków. Ta sama uwaga stosuje się do *Samarytanki* i *wskrzeszenia łazarza*. Wiara żywa może iść w parze z wiedzą, ale poeta powinien osłonić tajemnicą część swojéj wiedzy, aby tém lepiéj mógł uwydatnić wiarę. W przedmiotach świeckich, zarzucano często francuzkim poetom, że krzywili oblicze dziejów: słuszny to był zarzut poniekąd.

W przedmiotach religijnych barwa historyczna i miejscowa niemniéj jest konieczną. Poematom ewangelicznym Laprad'a nie brak ani myśli, ani harmonii, ale jedynie brak

im naiwności. A wszakże tradycya chrześciańska, przeniesiona w dziedzinę poezyi, powinna być naiwną. W XVII wieku nie dozwalano wyobraźni czerpać w przedmiotach chrześciańskich tak swobodnie, jak w pogańskich zmyśleniach: uważano to za zniewagę. Dziś zniknął ów przesąd. Cała przeszłość jest dziś zarówno skarbnicą wyobraźni, pamięci i rozumu; poeta, tak jak historyk i filozof, ma prawo zbierać kłosy na téj niwie. Ale jeżeli poezya może brać bezkarnie temata z Genezy i ewangielii, musi jednakże zastosować się wiernie do panującego w nich ducha wieku: nie może patryarchom i apostołom przyznawać nowoczesnych myśli i wyobrażeń. Niechaj filozofowie szukają w Mojżeszu i ś. Mateuszu zarodu praw, które głoszą, to wszakże nic upoważnia poety do przepomnienia barwy czasu. Jemu wolno wskrzesić przeszłość, ale niewolno mu odtwarzać jéj dowolnie. Laprade opowiadając ucieczkę na puszczę ś. Jana Chrzciciela, oraz głoszone przezeń nauki i śmierć jego męczeńską, nie wskrzesił jego postaci, albowiem zamiast uczuć i myśli jakie przejmowały świętego, tchnął w ożywioną jego pierś własne uczucia i wyobrażenia.

Najwyższym jest wtedy Laprade, gdy może swobodnie wylewać myśl, bez względu na warunki czasu. Jakkolwiek talent jego wybujał znakomicie, nigdy jednak w odmalowaniu epoki nie umiał dobierać barw tak żywotnych, jak je dobierał w odmalowaniu własnéj myśli. Przywykły czytać w tajnikach swojéj duszy, woli on rozbierać osobiste uczucia, aniżeli się stosować do wziętego z dziejów tematu. To też ody i poemata lepsze są od Psychy i poezyi ewangielicznych. Dla poety lirycznego dość gdy wniknie sam w siebie, gdy pozna wszelkie odcienia własnego serca; kto zaś pragnie malować przeszłość, ten musi naprzód zapomnieć o sobie. Jeżeli siebie stawiać ma wszędzie, jeżeli w serca osób ze starożytnego poganizmu lub pierwotnego chrześciaństwa, tchnie myśli i namiętności, o jakich oni nie mogli mieć pojęcia: wtedy nie spełni zadania swego, oddali się od celu, a nawet świetnym talentem nie osłoni popełnionéj pomyłki. Powinien bowiem przedewszystkiém określić dosadnie charaktery działających osób.

Zagadnienie to trudném jest do rozwiązania. Jeżeli bowiem snadno jest określić czas spełnionych faktów, tru-

dniéj nierównie określić czas panowania pewnych uczuć i myśli. A jednak kto dokładnie zbadał dzieje, temu i chronologia tego rodzaju nie może być obcą. Tak więc melancholia nieznaną była zupełnie starożytnym. Grek za dobrych czasów, za czasów Fidiasza i Peryklesa, nie zrozumiałby poematów Byrona, choćby czytał i odczytywał te cudowne stronnice, w których dziś najwznioślejsze dusze widzą odbicie własnych myśli; dziwiłby się tym rozpaczliwym skargom, téj dręczącéj nudzie, jakby się dziwił lekarz, badający nieznaną mu chorobę. Przed wprowadzeniem chrześciańskich praw, przed panowaniem ewangielii, ludzkość znała smutek; smutek bowiem starym jest jak świat, ale nie znała melancholii. Musiał człowiek słyszéć wprzód apostołów zalecających pogardę ciała, wskazujących nadzieję lepszego żywota, aby mógł narzucić gwałtem jarzmo swym namiętnościom, aby zrozumiał nicestwo ziemskiego szczęścia, które wprzód było jego ideałem.

Kiedy więc widzimy Psyché Laprad'a melancholiczną i marzącą, jak Ofelią lub Dezdemonę, musimy przyznać, że autor lepiejby zrobił, gdyby bohaterki swéj nie był szukał w pogańskim świecie, skoro nie umiał przemawiając w jéj imieniu, zataić osobistych uczuć. Tak samo gdy widzimy poprzednika Chrystusowego, który potém chrzcił Zbawiciela świata, jak ucieka na pustynią, nietylko dla uchronienia się światowego kału, nietylko dla rozmyślania nad cudami, już widocznie zwiastującemi odrodzenie moralne ludzkości; ale nadto, gnanego smutkiem, tęsknotą i zniechęceniem do świata i ludzi; czujemy niewłaściwość pomysłu, albowiem te uczucia nowe, nieznane starożytności, nie poprzedziły praw chrześciańskich, ale raczéj poszły za niemi w ślady. S. Jan jakim go pojął poeta, niekiedy wzniosły i szczytny, przywiązany namiętnie do wyznawanéj przez siebie nauki, gardzący występkiem, wymowny przeciw niewierze, objawia częstokroć myśli, które my rozumiemy dziś bez trudu, ale które za jego czasów pojętemi być nie mogły. Nie jestto więc postać z piérwszych lat chrześciaństwa, jest to raczéj uczony chrześcianin nowożytny, który wyprowadza rozwój wiary z ogólnego rozwoju ludzkości.

Ostatni zbiór Laprad'a, ogłoszony obecnie, okazuje nam jego zdolność nietyle z nowego, jak raczéj z rozleglejszego stanowiska. Myśl jego jest tu bujniejsza, a obrazy lepiéj wybrane, nadają jej dosadniejsze znaczenie. Możnaby jednak zarzucić niewłaściwość tytułu. Wyraz *symfonia* oznacza koncertową muzyczną całość; a wszakże słowo wiązane w rytm i rymy, nie może się równać z różnobrzmiącą orkiestrą. Tytuł więc dzieła grzeszy tém, że obudza nadzieję, któréj urzeczywistnić nie może. W ogóle nie wypada nigdy artyście szukać efektów, które są udziałem innego rodzaju sztuki, nie téj, jaką uprawia. Źle czyni poeta słowa, chcący naśladować śmiałe zarysy rzeźby, lub też koloryt malarstwa. W pierwszym razie stworzy dzieło ciężkie i bez życia, w drugim wpadnie w błyskotliwość. Jest dziś we Francyi cała szkoła wenecka, która włada słowem, jak niegdyś pędzlem władała, ubiegając się wyłącznie o koloryt. Szkoła posągowa mniéj jest liczna, wszakże są dziś i poeci sadzący się jedynie na formę dla miłości formy. Niewłaściwie także dla poezyi, aby współzawodniczyła z muzyką. Słowo ludzkie wymaga myśli bardziéj określonych, niżeli skrzypce lub basetla; a ktoby chciał z poezyi uczynić tylko czczą zabawkę mile pieszczącą ucho, odarłby ją z wyższego znaczenia i nie pojął jéj rzeczywistego posłannictwa.

Inaczéj wszakże Laprade rozumié tytuł, jaki nadał swym pieśniom. Ponieważ według niego głos ludzki niedostatecznie wyraża myśl i uczucie, aby więc uwydatnić radość lub boleść przepełniającą duszę, jednoczy on głos człowieka z głosem żywéj przyrody, tojest tłumaczy nam huk wzburzonego potoku, szum lasu i poszmer strumieni. Po wszystkie czasy poeci wyjaśniali po swojemu wszelkie głosy potrącające ludzkie ucho, od szeptu liści wzruszanych powiewem, aż do huku spienionych fal i spadających gromów. Nie dziw, że Laprade poszedł torem poprzedników swoich; ale nie poprzestając na tém, pożycza on ludzkiego głosu dębom i trzcinie, kwiatom i trawie, wodospadom i zdrojom. Uosabia przyrodę, zapala ją ludzką namiętnością, oświeca myślą, zasmuca boleścią, cieszy nadzieją: słowem, usiłuje tchnąć w nią ludzkie życie. Jeżeli ramy, wśród których poeta mieści postać człowieka; jeżeli łąka

deptana jego stopą, bór słoniący go cieniem, przemawiać będą ludzkim głosem; jeżeli wiatr i rosa odgadną myśl człowieka: za to czytelnik niełatwo wniknie w myśl poety. Przed kilkoma laty Edgard Quinet użył tego samego rodzaju w swoim Ahaswerusie, a pomimo wzniosłych myśli i prawdziwych uczuć cechujących ten utwór, ilekroć stare katedry odzywać się jęły ponurym głosem, tylekroć czytelnik zapytywał sam siebie, czy nie jest pod wpływem sennego odurzenia. Laprade równie jak Quinet posiada wysokie zdolności, wielkie bogactwo wyobraźni, kocha prawdę miłością szczerą i głęboką, przemawia wymownie w imię cierpiącej ludzkości, zna i umié malować nieszczęścia trawiące łono obecnego społeczeństwa: tém samém już godzien jest szczerego współczucia. Ale głos jego byłby potężniejszy, wpływ jego stokroć byłby żywotniejszy gdyby przemawiał sam za siebie, a nie zmuszał przyrody do mówienia za niego. Nadając głos ludzki niemym istotom, przekracza granice dobrego smaku, i osłabia wrażenie, albowiem zstępuje z toru prawdy.

Pierwsza symfonia, *pory roku* usprawiedliwia uwagi rzucone powyżéj. Poeta zamiast obrazować różnolite oblicze przyrody przez ciąg całego roku, nadaje wszystkiemu głos żywy. Nie sam tylko człowiek czuje rozwijającą się wiosnę, upały lata, blady pomrok jesieni i tęsknotę zimy: rośliny, ptaki i wody, weselą się wraz z nim i smucą; a ponieważ on szuka moralnego znaczenia w zewnętrznem obliczu świata, łączy więc z wyobrażeniem pór roku, doby ludzkiego żywota, i widzi w nich obraz kwitnącéj młodości, dojrzałego i zgrzybiałego wieku. Laprade oddaje tu myśl swoję z głęboką znajomością sztuki. Aby wyrazić szczęście i niedolę miłości, wybrał poeta dziewczkę, któréj nadał biblijne imię. Adah kocha obcego młodziana, roi obok niego szczęście, które w jéj mniemaniu nigdy zakończyć się nie może. Poeta wypowiedział z wielkim wdziękiem urocze nadzieje młodego serca: niepodobna dobrać wytworniejszych i prawdziwszych słów na ich określenie. Adah chce wszystko porzucić, byle iść za obcym młodzianem, którego kocha. Nie lęka się opuszczenia ani zawodu; przy nim cała przyroda kwitnie i jaśnieje w jéj oczach. Zdala od niego taż przyroda więdnie i słoni się mrokiem;

słońce nie ma blasku ani ciepła. Obraz wzrastającéj miłości skreślony tu jest z niezrównanym wdziękiem. Ale wybija godzina rozczarowania. Poeta z równą oddaje ją prawdą. Widzimy jak gasną po jednéj nadzieje, które niedawno ożywiały serce dziéweczki. Nuda, blada nuda, zasiadła pomiędzy kochankami. Ich oku brak płomienia, bezsilnym jest uścisk ich dłoni. Mówią jeszsze o szczęściu, jakby je radzi przyzwać czarodziejską siłą wspomnienia, ale szczęście uciekło bezpowrotnie! Spojrzenie obcego młodziana straciło swą moc, serce Ady postradało wiarę. Żegnajcie na wieki przelotne słówka, nadziemskie uniesienia, czarowny uroku miłości! Młodzi kochankowie zanadto się dobrze poznali, aby iść daléj drogą, na którą wstąpili takiém upojeni weselem! Samotność i rozpacz zastąpiły wymarzone szczęście. Przeszłość pierzchła jakby sen ułudny. Adah dręczona bolesném wspomnieniem, poznaje zapóźno, że jéj nadzieje przechodziły krańce rzeczywistości, że marzyła o niebie na ziemi, że szczęście bez granic, i miłość bez łez i bez żalu, nie należą do dziedziny żyjących. Poddaje się i pociesza w Bogu, a rezygnacya jéj równie jest wymowną, jak wymowną była jéj rozpacz.

Uczucia téj dziéweczki skreślone z taką prawdą, jednają poecie szczere współczucie czytelnika. Ale gdy Adah milknie, przyroda poczyna mówić o jéj młodości, o jéj wdzięku, o jéj tajemnéj tęsknocie. Pomimo wzniosłych piękności tych ustępów, w których kwilenie ptastwa i szum drzew zastępuje jęk ludzkiego serca, część pierwsza czysto-ludzka, więcéj nas nierównie zajmuje.

Symfonia potoku (1) w tymże samym pomyślana jest duchu, choć przyroda mniéj tu sama przez się przemawia. Całą uwagę ściąga tu rozmowa pasterza i poety. Jestto najpiękniejszy poemacik z całego zbioru. Uczucia wyrażone przez obudwóch pełne prawdy, określają wiernie burzliwe życie w zgiełku miasta, i cichy żywot na łonie przyrody. Poeta przesycony miastem, przychodzi w odludne miejsca, pragnąc odzyskać w samotności świeżość uczuć wydartą mu przez ludzi. Spotyka starego pasterza, w którym widzimy uosobioną wiarę, ufność i prostotę. Spokój

(1) Ta symfonia drukowaną była w Bibliotece.

zamieszkał z nim progi ubogiéj chaty, i kędy obróci oczy, widzi wszędzie cuda łaski i miłości bożéj. Potok szumi po kamieniach: słucha go poeta, słucha pasterz, ale każdy z nich inaczéj rozumie tajemnicze jego zgłoski. Poecie szepce on głosem zwątpienia i boleści, pasterzowi głosem miłości i wiary. Szkoda tylko, że pasterz nie używa prostéj mowy ludu. Jestto raczéj filozof wyćwiczony w szkole, a nie prostaczek, który zdobył mądrość, czytając złote zgłoski, wypisane ręką Boga w księdze przyrody, wiecznie otwartéj ludziom prostego serca a dobréj woli.

W *Symfonii zmarłych* smutny obraz zimy, wiernie odpowiada smutnym dumaniom poety, który niewieściemi usty wypowiada myśl swoję. Jesteśmy w listopadzie. Słoty zimowe ochłodziły powietrze, zeschłe liście zasłała ziemię przyroda, zda się pogrążona w żałobie. Dzieńto zaduszny, kościoły brzmią hymnami za umarłych. Edytha sama, w obec zamglonego nieba i uśnieżonéj ziemi, sama z bolesném w duszy wspomnieniem, mówi o tych, których już nie ma: o związkach starganych śmiercią, o starym dziadku (siedzącym dziś jeszcze u ogniska), jak drżącą ręką błogosławił syna, którego już nie zobaczy, a rozpacz coraz bardziéj przepełnia jéj serce. Skargi jéj o mało że nie dochodzą do szyderstwa i bezbożnych bluźnierstw, tak są pełne zjadliwéj goryczy. Przypomina jakie nadzieje kołysały jéj młodość. Dziś śmierć wszystko wkoło niéj opustoszyła. Wszystko co kochała, co krzepiło jéj siły, pierzchło jak sen znikomy. Obejmuje przeszłość martwém i omdloném okiem: przyszłość bowiem nowych w jéj sercu nie obudza nadziei. Cały ten ustęp nacechowany jest przerażającą prawdą. W słowach Edythy nie ma właściwéj kobiecie rzewności: serce jéj przygotowane jest samotnością i rozwagą na wszelkie nowe ciosy. Serce to przepełnione żalem, łącząc głos zbolały z ogólnym jękiem przyrody, zarówno w sobie ukrywa uczucia boleści i gniewu. Poeta rozumie i wyjaśnia wiernie wszystkie złowrogie poszmery, wszystkie zaklęte skargi, które szepcą opuszczonéj wdowie: „Nie masz dla ciebie przyszłości, *jutro* takie będzie jak *wczoraj*, albo-li gorsze jeszcze".

Ale słabe światełko błysło w końcu tego żałosnego utworu. Stary dziadek złamany wiekiem, siedzi koło

ognia. Pomimo srogich ciosów, jakie dotknęły go wielokrotnie, mimo że śmierć zabrała mu tych, którzy mieli zamknąć mu powieki, i ziemią zasypać oczy, nie wątpi on wszakże o mądrości Bożéj, przyjmuje krzyż w milczeniu, nie roztrząsając wyroków Nieba. Jest to uosobienie tradycyjnéj wiary i starego obyczaju.

Symfonia Alpejska tchnie cała gorącém zamiłowaniem samotności. Poeta oddycha pełną piersią, czystém powietrzem gór, i rozmyśla z uczuciem dumy, że dotąd niczyja stopa nie postała na téj wyżynie, zkąd oko obejmuje szeroki obszar, na którym się roją ludzkie mrowiska. Gdyby ludzie z wyższym umysłem posłuchali głosu poety, opuściliby miasto, tę otchłań brudu i zepsucia. Ależ nie każdy uwierzy w cuda samotności, inaczéj czyżby się potok cywilizacyi nie zatrzymał w swym biegu? Dobrze wprawdzie gdy człowiek ujdzie na chwilę przed gwarliwym tłumem, aby zajrzéć badawczo w głąb własnego serca, gdy odświeży myśl szczytnym widokiem gór i parowów. Po takiém skąpaniu ducha, wróci do miasta rzeźwiejszy, pogodzony z sobą, przejęty wielkością Boga. Trudno wszakże uważać samotność za wyłączny cel życia, trudno przyznać, że zepsucie jedynym jest owocem cywilizacyi. Wprawdzie na téj niwie przetrzebionéj ludzkiemi namiętnościami, którą zowiemy historyą, kąkol miesza się z dobrém ziarnem i głuszy posiew prawdy. Mimo to niepodobna zaniechać sprawy cywilizacyi, a gnuśniejąc bezczynnie, z założonemi rękoma patrzéć na zagon, który starzy ojcowie uprawiali w trudzie i znoju. Byłożby godném człowieka, żeby wszelkie usiłowania łożył jedynie na wyrobienie fizycznéj mocy; żeby na wyścigi z dzikim kozłem, jednym skokiem przebiegał wzgórza i parowy? W coby się obrócił duch ofiary, moralna siła woli, stanowiące treść i podstawę społecznego żywota? Czyliż poeta chrześcianin, karmiony filozofią, wierzący w postęp cywilizacyi, powinien przenosić samotność nad wszystko? Z taką goryczą mówi Laprade o zepsuciu miast, z takim urokiem przedstawia cuda samotności, że mimo wiedzy może podnosi do potęgi ideału próżniactwo i bezowocne marzenie. Poeta w Symfonii alpejskiéj sławiąc samotność nad miarę, rzucił rękawicę społeczeństwu, i przeszedł cel, jaki sobie zamierzył.

Mimo to cośmy wyżej powiedzieli, przebiegając koleją utwory Laprad'a, należy mu jednak przyznać wysokie stanowisko w rzędzie dzisiejszych francuzkich poetów. Nie stał on się jednak popularnym, a to, jakeśmy wyżej mówili dlatego, że zbyt wielką nadaje przewagę filozofii w poetycznych swoich utworach. Niechaj poeta będzie filozofem w całém znaczeniu tego słowa, niech stanie na wyżynie myśli; ale niech nie rzuca światu filozoficznych zdań, bo nie będzie przez ogół zrozumianym. Pozostaje wszakże jedna strona filozofii, którą poezya może obrócić na swój pożytek, a tą jest zbadanie ludzkich namiętności. Poeta powinien dokładnie poznać wszelkie władze serca, aby je umieć przedstawić, miotane walką lub kołysane uczuciem. Niechaj podaje czytelnikom zdrową naukę przybraną w uroczą osłonę poetycznego piękna, a ogół przyklaśnie prawdzie, której zaród każdy piastuje w własnéj piersi. Jeżeli zaś przeciwnie, poeta zechce rozwijać przed oczyma czytelnika przejawy ludzkiéj myśli; jeżeli zechce wierszować naukę Herdera lub Vico, utrudzi próżno uwagę, i nie zdobędzie współczucia. Laprade zbłądził nie poznawszy świata dla którego pisze.

Musimy jeszcze dodać słówko o poezyi symbolicznéj, któréj dziś Laprade jest najzręczniejszym przedstawicielem. Rodzaj ten przez wybranych tylko zrozumianym być może; ogół nie zasmakuje w nim, bo przechodzi jego pojęcie. Są wprawdzie w ewangielii bardzo jasne parabole mogące służyć za wyborny wzór poezyi symbolicznéj; ależ to nie łatwo dojść do tak wzniosłéj prostoty.

Nie dziw, że poezya symboliczna przyjmowaną jest dziś obojętnie, daje bowiem raczéj problemata do rozwiązania, a nie przedstawia prawd żywotnych. Laprade nie został w tym względzie ogólnie pojętym i ocenionym, mimo że małe kółko wybranych umysłów podniosło go wysoko. Ależ sława nie gruntuje się na zdaniu wybranych jednostek; wprawdzie znawcy oswojeni z wyższą dziedziną myśli, uczcili szczerze Laprad'a, ogół jednak nie przyklasnął jego pieśni, słowo jego nie wrosło w serca, nie żyje w ustach, ani w pamięci ludzkiéj.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA LITERACKA.

Przegląd muzykalny.

—

ONSLOW.

I. Muzyka kwartetowa.—Jéj amatorowie.—II. Życiorys Onslowa.— III. Uwagi nad formą muzyczną.— Dobrzyński i jego kwintety.

I.

Onslow! jak wiele uroku ma to imię dla prawdziwego amatora muzyki, jak lube są utwory tego kompozytora miłośnikom kwartetów! Któż-bo posiadając cokolwiek zdolności do tego rodzaju muzyki, nie ukochał jéj? Hajden, Mozart i Bethowen, doprowadzili sztukę pisania kwartetów do najwyższéj doskonałości. Onslow pierwiastkowo naśladujący tych wielkich kompozytorów, wyrobił w sobie z czasem styl samodzielny, którybym raczéj romantycznym nazwał, i stał się twórcą nowego, dzisiaj pomiędzy muzykami stylem Onslowa zwanym. Gdzie tylko się zbierze cztery lub pięć osób usposobionych do grania kwartetów czy kwintetów, niezawodnie Onslow stanie się duszą ich posiedzenia. O! wtenczas proszę patrzeć jak oczy ich się rozjaśniają, jak na usta występuje uśmiech zadowolnienia, jak głos nawet podziwu wyciśniętym bywa z duszy upojonéj rozkoszą wdzięcznéj melodyi, lub szczęśliwéj albo uczonéj kombinacyi tonów porywającego efektu. Wówczas jedno uczucie, jedno uwielbienie, jeden zapał jak iskra elektryczna przebiega wskróś to małe grono grających. Znam takich entuzyastów dla Onslowa, że gotowi najdroższe chwile swego czasu poświęcić dla jego muzyki. W niéj topią troski i gorycze w jakie obfituje to nasze życie na ziemi, ufni, że ona choć przez chwilę będzie dla nich błogim balsamem, gojącym ranę zasmuconéj duszy lub serca.

Do dnia dzisiejszego pamiętam wrażenie, jakiego w dzieciństwie doznałem, gdy po raz pierwszy zdarzyło mi się usłyszeć dokładnie wykonany kwartet Onslowa. Piękne i pełne namiętnego uczucia melodye, mistrzowskie prowadzenie kontrapunktu, bogata w świetne zwroty harmonia, tudzież rozmaitość stopniowania siły lub delikatności odcieni koniecznych w egzekucyi kwartetu, upoiły mię do takiego stopnia, iż stałem nieporuszony jak posąg, niemogąc znaleźć słów na wyrażenie mego zachwycenia; wykonawcy zaś byli dla mnie przedmiotem głębokiéj czci i uwielbienia.

Niestety! drogo mię nieraz kosztował ów zapał do kwartetów Onslowa; bo chcąc jak najprędzéj dojść do możności ich egzekwowania, tak zapalczywie po nocach nawet na bassetli wygrywałem, że stałem się nieznośnym sąsiadom, a gospodarze rzadko więcéj nad miesiąc pozwalali mieszkać w swych domach. Lecz gdym nareszcie pierwszy raz zasiadł do kwartetu, i gdy na twarzach grających ze mną postrzegłem uśmiech zachęty i pobłażania, doszedłszy z tryumfem do końca, w wewnętrznem zadowolnieniu mojém sowicie za trudy i przykrości wynagrodzony zostałem, a radość moja granic nie miała. Późniéj nabrawszy wprawy, z wrastającém coraz więcéj zamiłowaniem, jako grający na wiolonczelli, rzadszym od innych instrumentów smyczkowych, często bywałem zapraszanym do tego rodzaju muzyki, więc od lat kilkunastu znam wszystkich prawie amatorów i domy w których kwartety się odbywają. Wiele z nich już nie istnieje, niektóre dotrwały aż do dnia dzisiejszego, a wiele nowych także przybyło.

Najznaczniejszym z zamiłowania do muzyki był dom Józefa Cichockiego. U niegoto co środa zbierali się najlepsi nasi artyści i amatorowie, przepędzając wieczory na graniu kwartetów i kwintetów: Mozarta, Hajdena, Bethowena, Spohra, Kremera, Onslowa i t. d. Sam Cichocki grywał na flecie, więc najczęściéj niebiorąc udziału w muzyce, przysłuchiwał się jéj tylko, a że był niepospolitym znawcą, zwykle wybierał kompozycye do grania w tym celu przeznaczone. Ztąd muzykalne środy podwójną miały cenę: bo i wybór dzieł i wykonanie było niepospolite. Cichocki wielbił nadzwyczajnie Onslowa. a pragnąc koniecznie mieć udział w jego kwartetach, przerobił w niektórych pierwsze skrzypce na flet, zmieniwszy stosownie do tego tonacyą i tym sposobem żądzy swéj dogadzał. Ze śmiercią tego amatora, znaczna kolekcya nut, zbierana przez całe życie, w cząstkowéj przedaży rozdrobnioną została, a kwartety na flet transponowane, dostały się w posiadanie p. Zimmermanowi, utalentowanemu fletrowersiście i członkowi orkiestry Wielkiego Teatru.

Z przyjemnością zapewne wiele osób przypomina sobie miły dom ś. p. Zacharkiewicza; tamto co czwartki zbierali się zwykle prawie sami amatorowie i grywano kwartety, w których

zacny gospodarz czynny brał udział na skrzypcach lub altówce. Znani z pięknego talentu amatorowie pp. Piotr i Józef Kaczyńscy, jeden na skrzypcach, drugi na wiolonczelli, byli największą ozdobą tych zgromadzeń.

Dnia 19 lutego 1834 r. urządzono w Resursie kupieckiéj tygodniowe wieczory muzyczne. Wszyscy prawie ówcześni amatorowie i celniejsi artyści, żywy udział w nich brali; dlatego miały one w początkach pozór koncertów raczéj, bo wybór dzieł wykonywanych tak był obfity i różnorodny, jaki zaledwie dzisiaj na większych koncertach usłyszeć się daje (1). Z główniejszych amatorów stale uczęszczających na tygodniowe wieczory były: trzy panny Turowskie, Rozalia, Marya i Józefa (dzisiejsza pani Leśkiewicz artystka opery), panie, Braun, Naimska, Makowiecka; panowie, Cichocki, Kaczyńscy, Braun, Turowski, Leśkiewicz i t. d. Z artystów zaś, panna Wolków pierwsza w swoim czasie śpiewaczka opery, tudzież pp. Szczurowski, Żyliński i Dobrski. Część instrumentalną składali: Bielawski pierwszy skrzypek, Baranowski, Szabliński (wiolonczellista), Szalkiewicz (klarnecista), Billing na fagocie, Zimmerman na flecie, Tajchman, Tognini; z fortepianistów, znany dziś w całéj Europie ze swych kompozycyj Edward Wolf, tudzież Józef Krogulski, Prochaska, Edward Stolpe, Zandman i t. d. Niepodobna mi wszystkich wymienić, lecz z powyżéj przytoczonych nazwisk, czytelnik łatwo pojmie pod jak świetną wróżbą rozpoczęły się tygodniowe wieczory w Resursie. Najgłówniejszą ich podstawą była muzyka kwartetowa, a jak wszędzie, tak i tam, Onslow był jéj duszą. Na tychto zgromadzeniach, Dobrzyński występował jako kompozytor z pierwszemi swemi pracami, które mu jednały poklask i podziwienie zgromadzonych słuchaczy. Pomiędzy innemi utworami, większą uwagę zwróciły dwie kantaty z chórem z okoliczności czasowych napisane, kwartet (dzieło 8) dotąd jeszcze niewydany, pierwszy kwintet ofiarowany Onslowowi, późniéj drukiem ogłoszony, oraz symfonia w 1836 r. wysłana na konkurs do Wiednia, gdzie zaszczytnego przyjęcia doznała, a tylko większością jednego głosu wypadkowego na korzyść Lachnera, pierwszą nagrodą nie uwieńczona. Przez dosyć długi czas trwały te zgromadzenia muzykalne; późniéj, czy dla braku zamiłowania czy wytrwałości, czy dla innych nieznanych mi powodów, ograniczyły się tylko do samej kwartetowéj muzyki, a nareszcie zupełnie ustały z wielką krzywdą dla postępów i rozwoju muzyki miejscowéj. Następnie pod przewodnictwem zasłużonego w dziejach naszéj muzyki amatora pułkownika Brauna, nastały tygodniowe kwartety w Nowéj Resursie, lecz i o nich także pozostało tylko wspomnienie. Dzisiaj, gdy życie wewnętrzne w obu tych resursach, a szczególniéj dawniej-

(1) Obacz Pamiętnik muzyczny, wydawany przez Józefa Cichockiego za rok 1834 i 1835 w Warszawie.

széj, znacznie rozwinięte i powiększone zostało, żałować należy, iż dotychczas nikt sobie nie chce zadać starania ku wznowieniu tak pięknego przedsięwzięcia; liczba amatorów i artystów w naszém mieście znacznie od tego czasu wzrosła, więc na brak osób muzykalnie uzdolnionych narzekać nie można, a jestem przekonany, że gdyby tylko chciano i umiano tém się zająć, stałe wieczory muzyczne w Resursie, jak najlepiéjby się powodzić mogły. Bez wątpienia, Dobrzyński byłby najzdolniejszym do ich uorganizowania, a jego wiedza i doświadczenie, ogromną przysługę muzyce naszéj wyświadczyćby mogły. Krążą wprawdzie od niejakiego czasu w świecie muzykalnym wieści o mającém się uformować towarzystwie w celu zaprowadzenia muzyki w Wielkiéj Resursie, lecz nie wiemy o ile są one uzasadnione. W każdym razie z głębi naszego serca pragniemy urzeczywistnienia tak chwalebnego zamiaru, biorąc na uwagę pożytek i dobro ogólne. Nie mając dzisiaj żadnego publicznego ogniska w którémby muzyka zbiorowo, stale i peryodycznie uprawianą była, niebraknie jednak w Warszawie prywatnych tygodniowych zebrań. Przed rokiem bywały muzyki u znanego skrzypka Biernackiego; tamto artyści schodzili się w znacznym komplecie, zapoznawali z najznakomitszemi dziełami, wprawiając się do ich dokładnego i sumiennego wykonywania; gdy cios okropny, jaki uderzył w serce tego artysty, odbierając mu w jednéj chwili to, co miał najdroższego na ziemi, zmusił do zamknięcia domu, a następnie i opuszczenia Warszawy. W tym samym celu schodzą się teraz do wielkiego miłośnika muzyki Henryka T.; korzyści dla artystów z podobnych zebrań są nieocenione, bo takie studya rozwijając w nich zamiłowanie do sztuki, przyczyniają się wielce do ich ukształcenia. Zacny ten amator niczego nie szczędzi, by rozbudzić w młodych ludziach chęć do pracy, ułatwiając im do tego drogę wszelkiemi możliwemi środkami: dziś nawet dają się już dostrzegać dobre tego skutki, i wolno nam ważniejszych daleko jeszcze w przyszłości się spodziewać.

Z liczby innych tygodniowych wieczorów, potrzeba wymienić u pani Naimskiéj, utalentowanéj amatorki, pp. P. M. i u niektórych członków naszéj orkiestry, lubo u tych ostatnich dni do tego nie są stale oznaczone. Mówiłem już w swoim czasie o amatorach muzyki wokalnéj (1), więc jak się z tego pokazuje niezbywa nam na zamiłowaniu do niéj, a ze wszystkich sztuk pięknych, muzyka u nas posiada najfanatyczniejszych zwolenników. Prawdziwy *amator*, gotów jéj poświęcić najważniejsze obowiązki, gotów jest pójść za nią, jak to powiadają, na koniec świata.

Żył w okolicach Warszawy pewien amator, co literalnie skrzypców z ręki nie wypuszczał, chyba że się kładł spać.

(2) Biblioteka Warszawska za miesiąc luty 1856 r.

Gdy był zmuszonym wyjść w pole, lub przyjrzeć się fabryce w jego wiosce prowadzonéj, zawsze ze skrzypcami wychodził; a gdy deszcz padał, służący niósł nad nim parasol, by mógł bez przeszkody namiętności swéj dogadzać. Nawet cieślom, mularzom i innym rzemieślnikom tak się to uprzykrzyło, że w kontraktach zastrzegali sobie, by pan, gdy przyjdzie oglądać ich robotę, co zazwyczaj kilka godzin trwało dziennie, nie grał na skrzypcach: tak ich znudziły trylle, arpedżie, tremolanda i passaże, które ani im się podobać, ani których zrozumieć i pojąć nie byli w stanie (1).

W innych prowincyach kraju naszego, a mianowicie na Wołyniu i Podolu, jest wielu amatorów, nawet wysoko ukształconych muzyki kwartetowéj. Możniejsi utrzymują w domach kapelę, albo po kilku zdolnych muzyków; mniéj zamożni mają jednego lub dwóch: i tak, czyto zjadą się do miasta jakiego, czy do siebie, bawią się kwartetami, a naprzykład w Żytomierzu i Kamieńcu Podolskim, nawet dubeltowy można niekiedy złożyć.

Oto jest przygoda, która się zdarzyła znanemu w tamtych stronach amatorowi.

Zmierzchać się zaczynało, gdy koczyk ciągniony czterema dobrze zmęczonemi końmi, stanął przed karczmą. Dla zbytniego błota, roztopów i wybojów w jakie obfituje na wiosnę Podole, i dla zapadającéj nocy, nie można było myśleć o dalszéj podróży; więc gdy się powóz zatrzymał, ukazał się na progu żydek arendarz, kłaniając się i z ciekawością wpatrując w oblicze pana siedzącego w powozie.

— Żydzie, czy daleko do Malinówki?—zapyta pan wyciągając ramiona zmęczone długą jazdą.

— Będzie jeszcze dwanaście wiorst, jaśnie panie,—odpowié wciąż kłaniający się arendarz.

— Hm... konie zmordowane, droga niegodziwa, niepodobna pod noc daléj jechać,—rzeknie do siebie pan w koczu.— A czy można u ciebie przenocować?

— Dlaczego nie, jaśnie panie; akurat mam jeszcze jednę stancyą dla jasnego pana, bo przed godziną przyjechał tu jakiś podróżny i drugą wziął dla siebie.

— A któżto taki?—zapyta pan w powozie.

— Ja jego nie znam, jaśnie panie,—odpowié żydek.—Przyjechał nejtyczanką, z dwoma ludźmi i czterema końmi, ale mnie się zdaje, że to nie tutejszy.

— No, mniejsza oto; a mnie czy znasz żydzie?

— Jakto ja nie mam znać jasnego pana? To mój ojciec trzymał arendą dwie karczmy w kluczu Borowieckim od jasnego pa-

(1) Gdyby można zebrać wszystkie fakta tyczące się zapalonych wielbicieli muzyki, byłybyto materyały bardzo ciekawe pod względem psychologiczno-obyczajowym, a dla badacza natury ludzkiéj, studya głębokiego znaczenia.

na. Jaśnie pan ma jeszcze kawał drogi, najlepiéj przenocować, a jutro koło wieczora dopiéro, po takiéj drodze do Malinówki będzie można zajechać.

Wysiadł pan z powozu, kazał furmanowi wjechać do karczmy, służącemu wnieść rzeczy, samowar nastawić i z pudełkiem od skrzypców ostrożnie się obchodzić.

Karczma ta była jedną z lepszych, bo jak już wiemy, miała dwie stancye dla podróżnych, co się nie często zdarza w tamtym kraju: wprawdzie brudne, wilgotne i zimne, lecz w drodze głównie o to idzie, by tylko noc przespać i ulżyć zmęczonemu ciału całodzienną niewygodną jazdą. Nasz podróżny rozgospodarowawszy się jak tylko można było w szczupłéj stancyjce, po wypiciu herbaty, wypaleniu fajki, otwiéra pudełko, wydobywa pulpit, rozkłada nuty i nastroiwszy skrzypce, zaczyna sobie grać.

A że posiadał dosyć wysoko rozwinięty mechanizm i nadzwyczajne fanatyczne zamiłowanie do muzyki, więc fantazya po fantazyi, waryacye po waryacyach, koncert po koncercie z poprawkami, przestankami i t. d. wygrywał jedna sztuka po drugiéj.

Ów podróżny coto godzinę pierwéj przyjechał przed naszym amatorem muzyki, stał w drugiéj stancyi, a tylko stare i dziurawe drzwi przedzielały jednę od drugiéj. Z początku słuchał z pewném zajęciem muzyki, późniéj zaczął się niecierpliwić, bo od kilku dni będąc w drodze, czuł się bardzo utrudzonym, więc sen mu był bardzo potrzebnym. Widząc wreszcie, że jego sąsiad gra już od kilku godzin a przestać nie myśli, woła swego kozaka, i każe mu iść do tego pana, co tak na skrzypcach wygrywa, i prosić bardzo grzecznie, ażeby był łaskaw skończyć muzykę, gdyż on zasnąć nie może.

Kozak poszedł i rozkaz wypełnił. Nasz amator myśląc, że swą muzyką przyjemność sąsiadowi sprawia, został tą prośbą draśniętym w swéj miłości własnéj, i z przekąsem odpowiedział posłańcowi:—że jemu się podoba grać, więc grać będzie, a jego panu jeżeli się chce spać, niechże sobie śpi.

Cóż było robić, uzbroiwszy się w cierpliwość, sąsiad amatora muzyki oczekiwał w nadziei, że przecie ta muzyka skończyć się kiedyś musi.

Lecz gdzie tam: nasz wirtuoz przegrawszy kilka książek, otwiéra jeszcze jednę najgrubszą, w któréj było ze trzydzieści kwartetów Onslowa; a jadąc właśnie do znanego miłośnika muzyki kwartetowéj, trzymającego na swym dworze artystów muzycznych, jedynie dla jéj wykonywania, postanowił korzystać z czasu i przygotować się należycie na jutrzejszy wieczór, by nie być z nienacka złapanym. Jeżeli piękną jest muzyka w kwartecie przez zlanie się harmonijne dźwięków czterech instrumentów, o tyle nieznośną jest, gdy pojedynczo jeden z nich swoję partyą wygrywa: ani tam melodyi, ani frazesu, ani harmonii pojąć i zrozumieć nie można, chyba że główny głos jest solowym,

jak np. w Majzedera, lub niektórych Spohra utworach, i w nich nawet są miejsca dla najbieglejszego niezrozumiałe, a cóż dopiéro w Onslowa kwartetach, gdzie każdy instrument jest tylko czwartą częścią ogólnéj całości. Więc oczywiście że taki koncert do rozpaczy przyprowadził nieszczęśliwego sąsiada. Puka tedy do drzwi; gdy skrzypce umilkły, odzywa się w te słowa:

— WPanie Dobrodzieju, racz już skończyć to granie, gdyż jest bardzo późno i ledwie mi głowa nie pęknie!

— A co mi tam do głowy pańskiéj,—odpowiada rozgniewany pan amator,—jestem w swojéj stancyi i wolno mi robić co mi się podoba!

Ucichł głos za drzwiami, a pograwszy jeszcze z półtory godziny, dopiéro około drugiéj po północy, nasz amator składa nuty, chowa skrzypce, obciera kroplisty pot z czoła, woła służącego, rozbiéra się i kładzie w łóżko. Już powieki zmęczone długiém czuwaniem mają się zamknąć do snu pożądanego, gdy za drzwiami, w stancyi właśnie swéj ofiary, słyszy szanowny amator potężne głosy, wyśpiewujące nabożne godzinki.

Nieszczęśliwy sąsiad, którego Opatrzność téj nocy przeznaczyła na pastwę amatora muzyki, widząc że z takim zapalczywym jéj zwolennikiem nic nie wskóra, postanowił czekać do końca. Gdy wszystko ucichło, woła stangreta, kozaka, i każe im śpiéwać tuż pododrzwiami, łącząc z ich głosami i swój, również mocny i dosyć fałszywy. Trwała ta niespodziana serenada z pół godziny. Amator ze snu wybity i rozgniewany taką farsą, woła służącego i rozkazuje mu iść prosić, żeby przestali śpiéwać, gdyż on oka zmrużyć nie może.

Sąsiad po wysłuchaniu posłańca odpowiada: —*że jemu podoba się śpiéwać, więc śpiéwać będzie, a jego panu jeżeli się chce spać, niechże sobie śpi.*

Spostrzegł szanowny amator muzyki, że źle zrobił powodując się tak dalece namiętnością do kwartetów Onslowa nie w właściwém miejscu i czasie, lecz już było zapóźno; musiał więc słuchać, nie było innéj rady. Upłynęło tak z godzinę; ale gdy przestać nie myślano, a jeszcze coraz mocniéj i nieznośniéj wrzeszczéć poczęli, do najwyższego stopnia będąc gniewem i oburzeniem przejęty, zrywa się z łóżka i do drzwi wybija. Śpiewanie ustało.—Cóż to! czy przez całą noc ryczéć tu tak pododrzwiami będziecie?! A to można zwaryować!!!

Sąsiad najspokojniéj odpowiada:—*iż jest w swojéj stancyi i wolno mu robić co mu się podoba.* I jeszcze przeraźliwsze wrzaski rozległy się za drzwiami. Zbudzone bachury i wszystko co żyło w karczmie tym niezwykłym hałasem, łączyło swe odgłosy ze śpiewami w tak okropny sposób, że stał się wielki chaos niepodobny do opisania, i trwało tak aż do świtu. Skoro tylko można było wyjechać, ruszył nasz amator muzyki w drogę, zmęczony, niewyspany i z ogromnym bolem głowy, przysięgając po tysiąc razy, że póki żyje nigdy w karczmach nocować nie będzie

w kraju, gdzie tak źle oceniają prawdziwe zamiłowanie do najmilszéj z sztuk pięknych,—muzyki!

Owoż i wasza cierpliwość zapewne nieraz na ciężkie proby wystawianą bywa, szanowne matki, małżonki, siostry i córki; gdy syn, mąż, ojciec lub brat, przygotowuje się do jakiego walnego posiedzenia kwartetowego; ale hojnie wynagradzane bywacie, gdy jesteście przypuszczone do słuchania takich kompozytorów jak Hajden, Mozart, Beethowen, Mendelshon lub Onslow. Wy same może niejednę godzinę siedziałyście przy fortepianie ucząc się sonaty, duettu lub tercettu którego z tych mistrzów, a ukochawszy dzieło, wielbicie zapewne jego twórcę. Więc nie dziwcie się waszym mężom lub braciom, gdy z uniesieniem wspominają o tych wielkich kompozytorach, albo przygotowują się do sumiennego i przyzwoitego wykonania ich utworów.

Jeżeli z czasem będę miał siły potemu, powiem szczegółowo o każdym, a dziś, wyłącznie zajmę się Onslowem, jako najobfitszym ze wszystkich kompozytorów muzyki salonowéj.

II.

Edward Onslow, syn członka parlamentu, pochodzącego z staréj Anglo-saksońskiéj familii, w roku 1783 podróżując po Francyi, poznał i pokochał dziedziczkę pięknego imienia pannę Bourdeilles de Brantome; ożeniwszy się z nią, osiadł w Clermont (*w Auvergne*), i tamże w rok późniéj, tojest 27 lipca 1784 r. urodził mu się syn Jerzy Onslow, znakomity twórca kwartetów (1).

Zamiłowanie do muzyki zaraz w dzieciństwie poczęło się silnie objawiać w Jerzym; dozwolono mu téj rozrywki jako nagrody, jako zachęcenia do innych mniéj ponętnych nauk, jako zabawki przyzwoitéj dla *gentlemana* dobrego domu. Lecz ta muzyka zrazu oszczędnie wydzielana, pomału owładnęła młodą duszę do takiego stopnia, że zupełnie jéj się oddał. Jerzy On-

(1) W dziele Dr. Schillinga pod tytułem: *Universal Lexicon der Tonkunst*, znajduje się biografia Onslowa pełna rażących błędów; pomijam fałszywie podaną datę urodzenia, ale autor twierdzi, że Onslow pobierał naukę kompozycyi od Bethovena, a ztąd silenie się Dr. Schillinga na dowodzenie, jakoby charakter muzyki Onslowa był niemiecki. Wprawdzie dzieła Mozarta i Hajdena służyły Onslowowi w początkach za wzór do komponowania, lecz późniéj wyrobił on w sobie styl zupełnie odrębny, samodzielny, różniący się wielce od charakteru muzyki niemieckiéj. W skreśleniu życiorysu Onslowa trzymałem się głównie źródeł dostarczonych przez znakomitego twórcę *Żydówki*—Halewego, w wypracowaniu odczytanem roku zeszłego na posiedzeniu Akademii sztuk pięknych w Paryżu, a którego treść służyła mi za wątek do niniejszej biografii. Niektóre też ustępy dosłownie przetłumaczyłem w przekonaniu, iż fakta czerpane na miejscu i przez wielkiego kompozytora a przyjaciela zmarłego twórcy kwartetów skreślone, zasługują na zupełne zaufanie ze strony czytelnika.

słow upodobawszy sobie fortepian, wysłanym został do Londynu dla dokończenia edukacyi. Hullmandel i Dussek, obaj znakomici fortepianiści, byli jego nauczycielami. W owymto czasie fortepian zastąpił miejsce dawniéj używanych klawikordów (Clavecin). Wpłynęło to znacznie na rozszerzenie zamiłowania do tego instrumentu, i zrządziło zupełną zmianę w systemie edukacyjno-muzykalnym. Sebastyan Erard, obdarzony wielką do mechaniki zdolnością, w krótkim czasie wydoskonalił budowę fortepianów, a imię to do dnia dzisiejszego, nic nie straciło ze swéj dawnéj wziętości.

Fortepian, na którym wszystkie tony muzyczne są naprzód oznaczone, czeka tylko dotknięcia wprawnéj ręki, ażeby głos wydać, zabrzmieć zgodnemi akkordy, lub zajaśnieć świetną i jak błyskawica szybką gammą. Byłby on najpierwszym z instrumentów, gdyby organy nie istniały; ale organy w cieniach świątyń się ukrywają, gdy tymczasem fortepian w każdém miejscu się znajduje. Przystępny dla wszystkich, jednakowo służy do zabawy jak i do najpoważniejszych studyów, a ponieważ w swém łonie zawiera wszystkie skarby harmonii, więc jest jedynym z instrumentów, który się najwięcéj przyczynił do ułatwienia i zamiłowania nauki muzycznéj. Upowszechniony przez wielkich artystów, znajduje się w każdym domu i pod rozmaitemi postaciami. Jest on przyjacielem i powiernikiem dyskretnym kompozytorów, mówiąc wtedy gdy go zapytają, lub milcząc gdy tego jest potrzeba.

Młody Onslow pragnąc o ile być może dojść do wysokiéj doskonałości w grze na fortepianie, udał się w końcu do znakomitego nauczyciela, znanego z jędrności i czystości stylu, najbieglejszego podówczas z metrów, którego kompozycye policzone są do klassycznych, a dzisiaj patryarchę fortepianistów— Cramera (1). Nareszcie opuściwszy Anglią, wrócił do swych gór rodzinnych, wzbogacony nauką i radą trzech najznakomitszych nauczycieli, unosząc z sobą utkwione głęboko w pamięci ich rady i instrument, na którym się kształcił.

Byłoby bardzo naturalną rzeczą przypuszczać, że inne studya muzyczne, poważniejsze i więcéj znaczące w rezultacie nastąpiły od téj chwili w namiętnéj pracy młodego amatora; że pod wpływem pięknego uroku miejscowéj natury, błogiéj i niczém niezakłóconéj młodości, tajemnice harmonii odkryją swe bogate skarby dla niego; że palce szukać będą po klawiszach niewinnych zarysów pierwszych melodyj lub dochodzić z ciekawością związku licznych akkordów: jednakże tak nie było. Ćwiczenia mechaniczne i przyjemność wykonania, zajmowały wyłącznie cały jego umysł. Dla niego fortepian nie był środkiem, lecz celem tylko. Kochał go miłością prawdziwą, szczé-

(1) Cramer, twórca znanych powszechnie ćwiczeń na fortepian, licząc lat wieku 86, mieszka zawsze w Londynie.

rą, bezinteresowną. Kochał go dla dźwięku brzmienia, dla szybkich gamm, dla świetnych arpedżyi. Nic nie zwiastowało, że ten młody pianista będzie z czasem znakomitym kompozytorem; lecz ta błoga i niewinna swoboda duszy długo trwać nie mogła, wkrótce też zawrzała niepokojem.

Dnia jednego w czasie koncertu, wykonano kilka ustępów z najpiękniejszych oper Mozarta; wzbudziły one w słuchaczach nadzwyczajny zapał i uwielbienie. Jeden tylko Onslow został zimnym i nieporuszonym. Więc ta sztuka, któréj poświęcił swe życie, tyle pracy od dzieciństwa, kwiat rozwijającéj się młodości, niedosyć jest potężną, by wzruszyć go mogła! Więc dusza jego głuchą jest na tak silne i głębokie wrażenia, jakie objawiły się w licznych uniesieniach słuchaczy wkoło go otaczających! Przeraził się tą myślą. Począł żałować czasu straconego nad nauką, jednemu tylko instrumentowi poświęconą; wyrzucał zbrodnią spełnioną względem siebie samego, obelgę wyrządzoną gieniuszowi, którego zrozumieć nie był w stanie przez zbytnie dogadzanie rządzy, która owładnąwszy całego, stępiła w nim zdolność pojęcia piękności, któréj władza jest tak widoczną i potężną. Postanowił wyrwać się z samotności, w jakiéj żył przykuty do instrumentu, którego powaby bezowocne zwróciły z prawdziwéj drogi. Zapragnął poznać niebo, pod którém zrodziły się melodye, co go rozrzewnić nie mogły. Puścił się w podróż, jak ów schorzały na ciele, szukający zdrowia w cieplejszym klimacie; puścił się do Niemiec, ażeby w atmosferze muzycznéj Germanów, odetchnąć powietrzem nasyconém harmonią. Z naiwną wiarą i czystém sercem poddał się najzupełniejszym, najrozmaitszym i najprzykrzejszym probom, bez żadnego pomyślnego skutku. Napróżno arcydzieła natchnionych mistrzów roztaczały przed nim swą świetność! Bogactwo stylu nie uderzało go, wyraz czucia namiętnego oddany głosem ludzkim niedotknąwszy serca, i duszy zachwycić nie był w stanie. W dwudziestym roku życia głuchym był na cuda muzyki, w dwudziestym roku życia zimnym i obojętnym był słysząc *Don Juana!*

Jeżeli jaki nowy Dante,—powiada Halewy,—wynajdzie piekło dla artystów lub kompozytorów przeniewierzających się sztuce, dobrze zrobi, gdy wprowadzi podobne tortury i cierpienia, jakich doświadczał ten młody muzyk. Lecz z mocą i gwałtownością, która cechowała jego charakter, czyto gdy oddawał się pracy, czy później w uwielbieniu dla sztuki, wytrwał do końca w téj walce, błąkając się długo nad wyszukaniem światła i zatrzymując wszędzie, gdzie tylko pieśń się słyszeć dała. Nareszcie, cud którego ani *Fletrowers czarnoksięzki*, ani *Don Juan* zrobić nie był w stanie, dzieło francuzkiego kompozytora dokonało. Gdy usłyszał uwerturę z *Stratonice* Mehula, światło ogrzało tę duszę, i oswobodziło z więzów tak długo ją uciskających.

O tryumfie odniesionym nad sobą samym, o rozkoszy i radości jakiéj doznawał, czując gdy serce jego przejmowało się wdzięcznemi akkordy Mehula, lubił często opowiadać. „Słysząc po raz pierwszy to dzieło", własne słowa Onslowa (1)„ doświadczyłem wzruszenia tak silnego w méj duszy, że odrazu objawiły się w niéj uczucia, które aż dotychczas były mi zupełnie nieznane. Dzisiaj nawet jeszcze ta chwila jest obecną w méj pamięci. Teraz innemi oczami widzę muzykę. Zasłona co mi zakrywała jéj piękności rozdarta; i od téj chwili stała się ona dla mnie źródłem najmilszych rozkoszy i wierną towarzyszką mego życia."

Skutek tego przeobrażenia był podwójny. Nietylko nauczył się poznawać, czuć, uwielbiać; ale obudził się w nim instynk do kompozycyi. Jego zdolności muzyczne uzupełniając się, zolbrzymiały. Spostrzegł jak wiele brakuje mu jeszcze nauki; postanowił więc jéj nabyć przez analizę dzieł, co go tak oczarowały, przez rozwijanie idei muzycznych, by je świetniéj przedstawić, a zawsze w formie bogatéj i odmiennéj dla słuchaczy. Zaczął od przeglądania utworów Mozarta, a obrawszy za model jego jeden tercet, gdzie fortepian, skrzypce i wiolonczella łączą harmonijne swe tony; skomponował kilka podobnych, trzymając się ściśle przewodnika, który go na złą drogę nie mógł poprowadzić. Jeden z jego przyjaciół Murat, mając sobie ofiarowane te pierwsze owoce talentu, radził mu wybrać nauczyciela kompozycyi, któryby nim właściwie pokierował. Właśnie Reicha, uczeń Hajdena, przybył wówczas do Paryża; do niego więc się udał, i w krótkim czasie ukończył cały kurs kotra-punktu.

Od tego czasu, Onslow powodując się własnym instynktem, uczuł w sobie pociąg do muzyki instrumentalnéj. Uderzony bogactwem rozrzuconém tak obficie w tercettach, kwartettach i kwintettach Hajdena, Mozarta, Beethowena; podziwiając w nich rozmaitość stylu, wdzięk i swobodę w formie przyjętéj, oddał się z zapałem temu pięknemu rodzajowi.

Dziedzina sztuki jest niezmierzoną. Wszelki najpotężniejszy nawet gieniusz, jak i miernego talentu człowiek, może ją uprawiać, nikomu miejsca nie zbraknie, a wszystkie ziarna dojrzewają na téj płodnéj niwie.

Trzy drogi są otwarte w sferze harmonii, dla tego, co czuje wyższe natchnienie: jedna prowadzi do świątyń, których zdaleka podziwiamy wzniosłą architekturę: téj, muzyka poważna, prosta i zarazem głęboka, w pieśniach ludu pobożnego i w majestatycznym tonie organów ma swego przedstawiciela. Drugiéj ścieżki chropowate, gęstemi przeszkodami najeżone, wrą

(1) Fetis, Biographie des musiciens. George Onslow, eine Skizze von August Gathy.

ze wszech stron pieśnią pełną życia, smutną lub wesołą, łagodną lub wściekłą, gorącym żarem gwałtownych namiętności nacechowaną. Orkiestra niezmierną swą skalą porusza wszystkie tony i opromieniona blaskiem potęgi gieniuszu, przemawia symfonią... Tłumy napełniają drogę wiodącą do teatrów, świetnych pomników sztuki, gdzie malarstwo, architektura, poezya i muzyka łączą się wzajemnie. Trzecia droga nieśmiała i spokojna, wiedzie ścieżkami tajemniczemi do skromnego, napół oświeconego przybytku. Tam kilku ludzi, prawdziwych przyjaciół sztuki, słuchają z zajęciem szczytnych natchnień niedostępnych dla profanów, napawają się rozkoszą skromnych melodyi, wdziękiem i bogactwem uczonéj harmonii. Jeżeli niektórzy z wielkich mistrzów przebiegli lotem śmiałym i pełnym chwały przez te trzy drogi; inni mniéj ambitni, lękliwi lub ostrożni, umieli się ograniczyć i kontentować jedną tylko, stąpając pewnym krokiem do celu: Onslow był z rzędu ostatnich.

Wpływ pierwotnego wychowania, tudzież skłonności i upodobanie, zniewoliły go do téj drogi; a chociaż doznał i w innych sferach powodzenia, głównie swą sławę winien kompozycyom instrumentalno-salonowym, które imię jego uczyniły rozgłośne w całéj Europie, i otworzyły mu wrota Akademii sztuk pięknych.

Rodzaj utworów, w których Onslow celował, otrzymał nazwę niezbyt poetyczną, muzyki pokojowéj (salonowéj): *musique de chambre*, *musica da camera*. Powyższa nazwa z Włoch bierze swój początek, gdzie służy do oznaczenia muzyki wokalnéj, odbywającéj się w pewném dobraném towarzystwie, a dzisiaj we Francyi i Niemczech służy jedynie za nazwę dla pewnych kompozycyj instrumentalnych. Taka muzyka nie jest przeznaczoną dla tłumu napełniającego świątynie (1), ani dla publiczności szukającéj mocnych wzruszeń, i tylko w utworach dramatycznych mogącéj znaleźć zaspokojenie. Przeznaczeniem jéj salon i pewna, niewielka liczba osób. Taki rodzaj muzyki wymaga nadzwyczaj staranności i drobiazgowego wykończenia od kompozytora. Wié on dobrze, iż poświęconą jest dla uszu wprawnych i delikatnych. dla inteligencyj rozwiniętych i wyrobionych dobremi studyami. Nie obawia się więc ozdabiać w bogate perły swéj pracy, bo nie będą straconemi. Orkiestra licznie złożona, bogactwem brzmienia, tudzież umiejętną kombinacyą różnych jéj dźwięków, porywa swą potęgą massę słuchaczy; muzyka salonowa przeciwnie, ma do rozporządzenia czterech lub pięciu grających, i to jeszcze instrumenta, które śpiewają lub rozmawiają z sobą, i należą prawie zawsze do jednéj familii.

(1) Chociaż naprzykład *Adagia* z kwintettów Onslowa dają się z dobrym efektem grywać w kościołach, jak tego nieraz mieliśmy przykłady w Warszawie w czasie grobów Wielko-tygodniowych. Smętność i powaga tych ustępów, jest bardzo stosowna do takich uroczystości.

Z tak małemi zasobami kompozytor powinien być kolejno czułym, namiętnym, wzniosłym, żywym, wesołym, a zawsze wdzięcznym w każdym ustępie. Kilka instrumentów albo raczéj sześnaście strun drgających pod czterema smyczkami, oto cały arsenał zostawiony do dyspozycyi kompozytora. Lecz te instrumenta powinny być wyrobione podług najdoskonalszych reguł, wskazanych od trzech wieków przez Amattich. Gvarnerego, i Stradivarego; powinny być powierzone w ręce ludzi zdolnych, obdarzonych czuciem i smakiem najwykwintniejszym. Dla artystów tak usposobionych, potrzeba również odpowiednich słuchaczów. Ażeby być godnym wejścia do takiego salonu, zasiąść w nim, mieć udział w tajemniczym owym obrzędzie, potrzeba być głęboko oddanym muzyce, cierpliwym, nie powodować się nigdy własnym wyborem lub upodobaniem: jednem słowem potrzeba być uznanym za *prawdziwego amatora.*

Onslow jest nieporównanym w tak niesłychanie trudnym rodzaju muzyki. Kompozycye jego niecierpliwie przez artystów i amatorów oczekiwane, zjednały mu poklask i wziętość w całéj Europie; a dzieła jednocześnie wychodzące we Francyi, Anglii i Niemczech, lotem błyskawicy rozkupywane były. Jeżeli powodzenie nabyte takiemi utworami nie ma blasku i rozgłosu właściwego kompozycyom teatrowi poświęconym, za to nierównie trwalszém ono bywa: bo pomiędzy autorem, artystą i amatorem, zawiązują się stosunki ściśléj wspólnie ich łączącéj sympatyi. Uwielbienie dla dzieła kojarzy się z uczuciem wdzięczności dla Twórcy; kochają oni ten gieniusz dobroczynny, który im wyłącznie poświęca swój czas i pracę, który stara się tyl ko o ich zadowolnienie, który tylko im swą pieśń niesie w dani.

Trzy razy w ciągu dość długiego zawodu, Onslow ulegając radom i namowom, stał się niewiernym swemu przeznaczeniu. Po trzykroć opuścił swych przyjaciół, swych wiernych wyznawców, dzielnych i pełnych poświęcenia wojowników, szukając dla siebie innego pola do walki. Napisał dla opery komicznéj w Paryżu trzy wielkie dzieła: *Alcad de la Vega* w 1824, *Le Colporteur* w 1827 i nakoniec *Duc de Guise* w 1837 roku. Były one dobrze przyjęte, lecz służyły za dowód, że piękne melodye, czysta harmonia, orkiestrowanie świetne, gustowne i dzielne, nie jest jeszcze rzeczą dostateczną, by zapewnić trwałe powodzenie dziełom na scenę przeznaczonym. Nauczony tym przykładem, powrócił do swych prac dawniejszych, tak właściwych jego talentowi, i pozostał im już wiernym do końca. Bo nie można nazwać przeniewierzeniem wycieczkę w dziedzinę symfonii; przedsięwzięcie to zuchwałe, niebezpieczne, usprawiedliwione zostało powodzeniem i namaszczone przez sędziów i słuchaczy najsurowszych sali konserwatoryum paryzkiego. Na pierwszą probę wybrał Onslow jeden z kwintetów więcéj przez siebie ceniony, i ułożył go na symfonią, nie zmieniając w niczém pierwotnéj dzieła formy, a poprzestając tylko na rozdaniu szcze-

gółów kompozycyi, rozmaitym głosom instrumentów orkiestrowych. Forma bowiem sonaty, tercettu, kwartettu, kwintettu i t. d., jest ta sama co symfonii. We Francyi Gossec, a w Niemczech Hajden, udoskonalili ją jednocześnie nie wiedząc nic prawie o sobie, wprowadzając większą ilość instrumentów muzycznych i rozszerzając jéj formę. Gossec piérwszy zastosował do niéj wolne tempo na trzy-czwarte, nazwawszy go *menuetem*, od tańca w tym ruchu się piszącego; lecz gdy późniéj owe tempo grający zaczęli przyspieszać, Bethowen, który wzniósł symfonią do najwyższéj świetności i potęgi, zmienił pierwotny ruch *menueta* na *presto*. Z tegoto powodu ustęp ten w symfonii i kwartetach, przezwał *scherzo* czyli *żart*,- -*żarcik* (1).

Życie Onslowa byłoby błogo i spokojnie przeminęło, gdyby nie smutny wypadek, który wśród tysiącznych powodzeń, dotknął go boleśnie i przerwał lube jego zatrudnienia. Stawszy się duszą i ciałem artystą, Onslow nie przestał być *gentlemanem*; zamiłowanie do polowania tlało w jego duszy, a gdy jesień nadchodziła, oddawał się z całém uniesieniem téj namiętnéj panom angielskim zabawie.

W roku 1829, urządzono dla niego w okolicach *Nevers* polowanie. W dniu oznaczonym, Onslow należycie odziany i uzbrojony, stanął w gronie swych przyjaciół. Jednakże i w tenczas nawet miał z sobą książeczkę z rygowanemi liniami, dla zapisywania myśli i natchnień muzycznych. Właśnie niedawno począł szkicować kwintet w książeczce. Gdy przyszedł na stanowisko sobie przeznaczone, korzystając z ciszy i samotności, myśli jego zaczęły pracować nad kwintettem; zapomniał nasz myśliwy o polowaniu: schodzi z miejsca na którém go postawiono, zagłębia się w gęstwinę leśnéj kniei, i siada na wywróconém drzewie. W kilka chwil późniéj daje się słyszeć wystrzał, a Onslow pada na ziemię własną krwią zbroczony! Z początku

(1) Fetis. Halewy myli się nazywając Gosseca i Hajdena twórcami symfonii. Była ona już dawniej we Włoszech i Niemczech nawet znaną i uprawianą, chociaż w ubogiéj formie. Pierwotnie do symfonii wchodziło tylko dwoje skrzypiec, altówka i bass. Pewien Niemiec Vanhall, piérwszy dodał dwa oboje i dwie waltornie, w czém naśladowany był przez Toesky'ego, Van-Malder'a i Stanitz'a.

Dziwną jest także rada, jaką daje p. Scudo w *Revue des Deux Mondes* z 26 maja 1850 r. kompozytorom biorącym się do rzeczy, w jego przekonaniu nad ich siły będące; powiada on „żeby się lepiej brali do komponowania sonaty, kwartettów, kwintettów i symfonii, jak np. Hajden, Mozart i Beethowen, a *nareszcie* (!) chociażby tak jak Mendelshon. Dlatego Lenz, autor książki pod tytułem *Beethoven et ses trois styles*, taką czyni apostrofę do krytyka: „*Comment? M. Scudo est un critique en grande vogue, et il ignore qu'il faut des siècles pour produire les trois noms qu'il cite uniment, comme un collége de Paris énumère ses lauréats avant d'entrer en vacances? qu'il faut des siècles, à l'Italie du moins, avant de donner à l'art un Mendelshon, qu'il a la bonté d'envisager comme un pis-aller, dont lui, M. Scudo, s'accommoderait à la rigueur!*"

wątpiono o jego życiu; rana była głęboką i niebezpieczną. Kula przeszła przez ucho i uwięzła w szyi. Niepodobna było ją wyjąć, i Onslow utraciwszy słuch z jednéj strony, aż do śmierci nosił tę smutną pamiątkę. Choroba była długą i bolesną, lecz ranny nie tracił odwagi, a w energii, która go nigdy nie opuściła, umiał znaleźć siły do zniesienia bolu Jak mógł zapewniał i pocieszał żonę, dzieci i przyjaciół zgromadzonych obok siebie.

Muzyka także była mu pomocną, łagodząc cierpienia lub rozrywając wśród bezsennych nocy. Pomimo dolegliwéj słabości, nie przestał jednakże pracować nad kwintettem w tak smutny sposób przerwanym; tworząc w czasie mocnéj gorączki, notując w chwilach od niéj wolnych, a poświęciwszy go wspomnieniu nieszczęśliwego przypadku, dał czterem częściom jego nazwy charakterystyczne, oznaczające postęp choroby. I tak, część pierwsza nosi tytuł *la Douler*, druga *la Fievre et la Délire*; andante nazywa się *la Convalescence* i ostatnia w tempie szybkiém, *la Guérison*. Jestto kwintet piętnasty, jeden z najlepszych tego kompozytora.

Oprócz tego jedynego zdarzenia, które nie osłabiło wcale wrodzonéj sklonności Onslowa do pracy, życie jego spokojnie zresztą ubiegło. Niezależny majątkiem i charakterem, umiał pogodzić przyjemności pochodzące z pomyślnie dokonanych prac swoich, a szczęściem jakiego używał na łonie familii. Spokojny i swobodny w miłéj dziedzinie swojéj w *Clermont*, napawając się widokiem pięknéj i wzniosłéj natury, oddawał się cały rozkoszom kompozycyi, a przeszło stu utworami wzbogacił niwę sztuki muzycznéj.

Ludwik Filip ówczesny król Francuzów, ozdobił Onslowa w r. 1837 oficerskim krzyżem legii honorowéj, dogadzając tym sposobem publicznéj opinii, która oddawna tego kompozytora do takiego zaszczytu wskazywała; a zaś w 1842, Onslow został mianowany członkiem Akademii sztuk pięknych, na miejsce Cherubiniego. Wierny obowiązkom akademika, przyjeżdżał co rok do Paryża pomagać kolegom w pracy, udzielać im światłéj rady, zasiadając z nimi w celu sądzenia utworów młodych do nagrody muzycznéj wyznaczonych zapaśników; późniéj znów wracał do siebie, by dokończyć dziel na chwilę przerwanych.

Opowiadają, że Lulli razu pewnego uwiadomił artystów opery, iż widowisko nadzwyczajne ma się odbyć jednego wieczoru. Zebrali się z pospiechem na tę uroczystość śpiewacy, orkiestra, baletnicy, jednem słowem wszyscy do teatru należący, oczekując z ciekawością na przybycie spektatorów. Lecz sala rzęsiście oświetlona, była próżną. Nakoniec jeden przybywa, zasiada w swéj loży i daje rozkaz, by zaczęto widowisko: był nim Lulli. Dla siebie samego kazał odegrać *Armidę*. Przyszła mu ochota posłuchać swéj *Armidy*, najlepszego i najwyżéj cenionego przez siebie dzieła, wśród tylu innych własnych utworów.

Onslow również używał rozkoszy pochodzącéj z słuchania swych kompozycyj, lecz to w inny sposób się odbywało. Artyści sami, przejęci uwielbieniem i sympatyą dla jego muzyki, zapraszali pomiedzy siebie Onslowa: szczęśliwi, że mogli przed nim ją wykonywać. Onslow porywany świetnością egzekucyi, ruchami pełnemi ognia, słowami z wzruszenia urywanemi wynurzał im swą wdzięczność, obsypując tysiącznemi podziękowaniami (1).

W r. 1852 przybył Onslow po raz ostatni do Paryża, nosząc już w swém łonie zarody choroby, która go życia pozbawić miała. Przyjaciele ze smutkiem postrzegli zmianę w jego organizmie; siły mu ubywały, głos stał się wątłym, wzrok przyćmionym: złowrogie przeczucia opanowały wszystkich. Onslow powróciwszy do siebie, dowiaduje się, że jego najlepszy przyjaciel Murat, ciężko zachorował; postanawia go koniecznie odwiedzić, ile że sam był mocno cierpiącym. Podróż ta bardzo mu zaszkodziła, wkrótce też, 3 października 1852 r. oddał Bogu ducha.

Powiedziałem wyżéj, że Onslow objął miejsce po Cherubinim, którego był przyjacielem i admiratorem. Niech mi będzie wolno kończąc niniejszą biografią, wspomnieć o zdarzeniu, jakie zaszło pomiędzy temi dwoma mistrzami.

Dnia pewnego wykonywano w konserwatoryum jednę z symfonii Onslowa. Cherubini zachwyconym był pięknością ustępu, gdzie instrumenta w cudowny sposób rozmawiały z sobą. Gdy się koncert skończył, Cherubini niewyrzekłszy ani jednego słowa pochlebnego dla kompozytora, coby go niezmierną radością upoiło, idzie na estradę, zbliża się do partytury pozostałéj na pulpicie Habenecka szefa orkiestry, szuka owego miejsca, co mu się tak podobało, wyrywa stronnicę i odchodzi. Wróciwszy do siebie, przepisał własną ręką cały arkusz, schowawszy oryginał do album; później woła służącego i daje mu takie zlecenie: „Zanieś tę kopią Onslowowi i powiedz mu, że oddawna życzyłem sobie mieć rękopism jego.” Ci, co znali tego mistrza, wymagającego, surowego i nadzwyczaj oszczędnego w pochwałach, który razu jednego powiedział do jakiegoś kompozytora: „kiedy słucham i nic nie mówię, to się znaczy, że jestem zadowolnionym;” ci zapewne pojmą całą radość Onslowa z takiego poselstwa. Cherubini tak pochlebném i tak delikatném uznaniem, zawczasu niejako wskazał akademii swego następcę.

(1) Józef Nowakowski, który w Paryżu widywał Onslowa w podobném zdarzeniu, opowiada, że dziwny efekt muzyka na Onslowie sprawiała: to się zwolna z krzesła podnosił gdy rosło *crescendo*, to się schylał, wyciągał ręce, rzucał cały, stosownie do charakteru kompozycyi i egzekucyi.

III.

Niepodobna dać szczegółowego rozbioru 36 kwartetów, 33 kwintetów, kilku sonat, duetów, tercetów, sekstetu, septetu i trzech symfonii: zadalekoby mię to zaprowadziło, więc ograniczę się tylko nad wykazaniem główniejszych cech stylu Onslowa.

Każdą kompozycyą potrzeba uważać z podwójnego stanowiska: naprzód pod względem pomysłu, czyli melodyi, następnie obrobienia, czyli harmonii i kontra-punktu.

Wszelki dobry utwor wymaga planu stanowczo oznaczonego i podzielonego na właściwe odpowiednie sobie rozmiary, dążące do ogólnéj całości. Jak rozrzucone cząstki materyałów budowlanych nie stanowią budowli, tak w dziele muzycznem niedostateczną jest rzeczą mieszanina nut rzucona na przypadek i bez myśli łączącéj je wspólnie. Potrzeba uporządkować ten chaos, potrzeba nadać sens tym nutom, potrzeba podciągnąć te myśli do pewnego porządku, i utworzyć z nich całość jedności w pomyśle; potrzeba nakoniec, by każdy znający muzykę lub nie, mógł z łatwością je pojąć i uchwycić bez trudu ogólne ich znaczenie. Sonata, kwartet, kwintet, sekstet lub oktet, są to że tak powiem zmniejszone symfonie: zwykle składają się z trzech albo czterech głównych części, tojest: *Allegra*, *Andante* lub *Adagio*, *Menuettu* lub *Scherza* i *Finale* w żywym ruchu napisanego. jakoto: *Allegro*, *Presto*, *Vivace* i t. p. Każda z części głównych dzieli się na dwie lub trzy części odrębne: piérwszą stanowi introdukcya czyli wstęp i założenie myśli głównéj, drugą stanowią okresy środkowe, w trzeciéj nareszcie znajdują się modulacye finalne, które powinny się jednakże godzić z częściami poprzedniemi. Wyrażenie myśli głównéj dającéj życie i znaczenie utworowi muzycznemu, w drugiéj lub trzeciej części powinno być to samo, co w piérwszéj, albo przynajmniéj podobne do niéj w melodyi i harmonii. Jednakże konieczną jest rzeczą, by w każdéj części melodya i harmonia wyrażała się inną tonacyą. Z umiejętnego w stosownem tonie prowadzenia głównych podziałów, oraz do właściwych proporcyi miarę różnych części doprowadziwszy, wypadnie ztąd *rozmaitość* i *jedność*, warunki konieczne dla każdego wyższéj wartości dzieła (1). Kompozycya muzyczna powinna zawsze objawiać cechę pewne-

(1) Hajden, Mozart, Beethowen, Onslow, Spohr i Mendelshon, są mistrzami tego rodzaju kompozycyi, bo cały swój potężny talent w symfonii rozwinięty, umieją zastosować pomyślnie w kwartecie. W drugiéj połowie wieku zeszłego, w Hiszpanii, pewien muzyk żyjący w ubóstwie i osamotnieniu, pracował także na tem polu, a szczególniéj jego kwintety odznaczają się wielkością i szczytnością natchnienia. Tym biédnym i należycie nieuznawanym przez współczesnych muzykiem, był *Boccherini*; (urodzony w 1740 w Luce, a zmarły w nędzy prawie 1805 r.). Niemając dosyć stosunków ze światem wkoło go otaczającym, nie wiedząc

go duszy uczucia; niech ona wyraża radość, gniew, smutek, lub błogi spokój duszy szczęściem upojonej, mniejsza o to co, byleby cokolwiek wyrażała. Twórca jéj jest zupełnie wolnym w wyborze uczuć poruszających nieustannie serce ludzkie. Otóż dzieła Onslowa odznaczają się zupełnie regułami powyżéj wymienionemi, i napiętnowane są silnie różnemi uczuć odmianami: i tak, w pierwszych *allegrach* powaga, spokój, dzielność; w *adagiach* smutek, rzewność, boleść, patetyczność: w *menuettach*, *scherzach* i *finałach* żywość, lekkość, dowcip, ogień i t. d. Wszędzie smak najwytworniejszy kieruje ich układem, a przystępne są dla każdego, nawet najniemuzykalniejszego ucha. Onslow był najbieglejszym harmonistą; ztąd we wszystkich jego utworach tak mistrzowskie jest użycie harmonii, taka obfitość bogatych a oryginalnych jéj zwrotów, wszystkie instrumenta zawsze z taką łatwością, jasnością i głęboką nauką kontra-punktu są prowadzone, że zostaną w najdłuższe czasy wzorem godnym naśladowania. Młodzi kompozytorowie powinniby ciągle się w nie wczytywać, gdyż zazwyczaj unikają oni jasności z obawy, by nie wpaść w trywialność, dlatego tak są skłonni do przesady.

Dobrzyński, wydanemi dwoma kwintetami i sekstetem w Niemczech, najwięcéj się zbliżył do Onslowa; nawetbym go na równi z tym mistrzem postawił, gdyby Onslowowi nie należała się zasługa pierwszeństwa w stylu tworzenia tego rodzaju kompozycyj. (Innny jeszcze powód mam na względzie. Onslow był człowiekiem majętnym, panem swego czasu i woli; mógł się swobodnie oddawać kompozycyi. bo ta nawet była dla niego rozrywką. Przeciwnie Dobrzyński, zmuszony żyć z grosza zarobionego ciężką pracą, każdą godzinę winien jéj poświęcić, bo kompozycya u nas chleba nie daje. Gdyby więc był niezależnym zupełnie od potrzeb swoich, kto wie, jak wielka różnica co do twórczości mogłaby być pomiędzy nim a Onslowem).

Pierwszy swój kwintet *F major* op. 20, Dobrzyński, jak sam na tytule wyraził, w dowód uwielbienia ofiarował Onslowowi. Główne założenie pierwszego *allegra* pełne szlachetności, wybornie z wielką nauką i smakiem rozprowadzone, odrazu stawia Dobrzyńskiego w rzędzie niepospolitych kompozytorów; to samo da się powiedzieć o *menuecie* i *finale*, a pomysł w opracowaniu znanego motywu w *andante doloroso*, jest wyższy nad wszelkie pochwały: tyle tam poezyi i uroczych efektów w ukła-

wcale o postępach i zmianach smaku w muzyce, komponował on przez pięćdziesiąt lat prawie, niezmieniając swych skłonności i uczuć muzykalnych, któreby o wiele wykształconemi być mogły, gdyby się przysłuchiwał lub wczytywał w dzieła Hajdena albo Mozarta. Niezależność stylu, oryginalność pomysłów i urok naiwności, wszystko to wydobywał z własnéj istoty. „Można wymagać, powiada Felis, więcéj wykwintności, większego bogactwa harmonii, i pod względem formy więcéj świeżości w muzyce Boccheriniego, lecz nigdy więcéj natchnienia."

dzic. Drugi *A minor* op. 40, autor Karolowi Lipińskiemu przypisał. W r. 1844 znakomity ten wirtuoz bawił w Warszawie i pragnął poznać kwintety Dobrzyńskiego; więc wykonano takowe w mieszkaniu Lipińskiego. Piérwsze skrzypce grał Lipiński, drugie Hornziel, altówkę sam Dobrzyński, zaś piérwszą wiolonczellę Szabliński, a drugą M. K. Lipiński był zachwyconym; nie spodziewał się usłyszéć muzyki tak pięknie i z taką nauką napisanéj. Szczególniéj podziwiał w drugim kwintecie oryginalność pomysłu *Schierza* i efekt jaki sprawiają instrumenta, z których ton *pizzicato* się wydobywa; a w trzecim z *Es major* op. 39, (późniéj przez dodanie kontrabasu przez autora w sekstet zamienionego) dzielność piérwszego *allegra*, misterność roboty *menuettu* i układ *elegii* czyli *andante* ze znanego powszechnie motywu poloneza. Dobrzyński napisał jeszcze cztery kwartety, które spoczywają w rękopismie ze szkodą prawdziwych wielbicieli jego talentu; może téż ukażą się kiedy na widok publiczny: sądzę, że dla amatorów takiéj muzyki, byłoby to rzeczą bardzo pożądaną

Niższym bez porównania od Dobrzyńskiego, jest Veit.

Piérwszy jego kwartet bardzo piękny i dobrze napisany, grzeszy może zbyt niewolniczém naśladowaniem Onslowa; lecz jest najlepszém jego dziełem. Inne, a w to licząc i kwintetty, są słabsze, bo nie posiadają ani dosyć świeżych melodyj, ani opracowania dosyć uczonego, ani ognia, w czém szczególniéj Dobrzyński celuje.

Oprócz wyżéj wzmiankowanego Cichockiego, który trzy kwartety Onslowa dla fletu aranżował, Józef Nowakowski ułożył także trzy kwintety tegoż kompozytora na fortepian, skrzypce i wiolonczellę. Imię tego artysty oddawna ogółowi znane, jest największą rękojmią umiejętnego i dobrego opracowania tych tercettów. Kreślący niniejsze słowa miał przyjemność wielokrotnie je wykonywać i śmiało zapewnić może, iż nielatwe to przedsięwzięcie, szczególniéj z 25 kwintetu ofiarowanego Servemu, dokonane zostało z zupełną znajomością natury i znaczenia tych trzech instrumentów.

Wypada mi jeszcze wspomnieć o utalentowanym amatorze p. Wolickim, który ułożył piérwszą *A major* symfonią Onslowa na podwójny kwartet i kontrabas, dla towarzystwa artystów zbierającego się co poniedziałki w domu p. Henryka T. Nad wszelkie spodziewanie, praca ta nawet dla ludzi fachowych przedstawiająca wiele trudności, najpomyślniéj się udała, a z powyższych przykładów można mieć dowód, jak u nas artyści i amatorowie pojmują, cenią i lubią utwory Onslowa.

M. K.

Mohort. Rapsod rycerski, przez Wincentego Pola. *Kraków.* 1855 *r.*

W wieńcu umysłowości człowieka najszczytniejszym zaiste promieniem jest gieniusz poetyczny. Wszystko co zdobyła i rozwinęła wiedza, co wypłużył żywot doświadczenia, czém przebolało serce, co nieraz duszę stargało, lub uniosło w świat oczekiwania, nadziei i wiary: wszystko to szybkością prądu elektrycznego przechowało uczucie poetyczne. To uczucie, odziane w urok pięknokształtu, promieniejące natchnieniem, płynie w świat ideału. Od form zmysłowych, od ziemskich uczuć i ziemskich myśli, duch poezyi sięga w świat nieskończony, aby objąć co nieśmiertelne, co boskie, aby mocą tlejącéj w nim iskry okazać światu kształt ludzki myśli bożéj. Tento kształt zowie się poezyą.

Poezya jestto objaw ducha, tęskniącego pod postacią ziemskich uczuć i ziemskich myśli do bezwarunkowego szczęścia. Że osiągnienie tego szczęścia na téj drodze zawsze pożądane, a nigdy nie osiągnione: jestto tajemnicą niewyczerpanéj piękności poezyi. Jednakże pierwiastek duchowego celu i pierwiastek ziemskich uczuć, są jéj składowemi częściami. Gdy duch odrywa się od ziemskich uczuć, gdy uczucie zapomina o duchowym celu, zamyka się w sobie lub idzie pod berło namiętności; gdy forma poetyczna rozstaje się z tą podwójną treścią, sama sobą igra i pieści się tonami, miarą, rymem lub melodyą śpiewu: nastąpią trzy rodzaje niepełne, nieodpowiadające znaczeniu prawdziwéj poezyi: rodzaje mistycznéj, zmysłowéj lub lekkiéj, prozaicznéj-gawędowéj poezyi, gdzie forma jest wszystkiém. Prawdziwa poezya jest harmonią nieskończonego ducha i uczucia ziemskiego w jednoczącéj je pięknéj, obojga dostojnéj formie poetycznéj.

Co dobrém, co prawdą duch ludzki święci, temu gieniusz poetyczny użycza idealnych form, i tworzy ideał piękna. I dziwna potęga tego gieniuszu prześcigająca samą wiedzę!

Wiedza bowiem bezwarunkowa spoczywa jedynie na łonie wiary, i w gruncie objawienia. Postęp zaś społeczny i wiedza wszelka człowiecza, są tylko względnemi objawami ducha człowieczego, zawarowanemi czasową doskonałością dla tego lub owego wieku lub czasu. Jeżeli jednak bezwarunkowa wiedza ma na celu udoskonalenie moralne człowieka, tém bardziéj do niego dąży względna wiedza, pracując nad wyrobieniem materyalnych środków i przeświadczenia o potrzebie téj doskonałości i sposobach jéj osiągnienia. Zatém nawet sztuka, jako tenże objaw ducha człowieczego prowadzi do téj doskonałości, przez upodobanie w pięknem, przez wzbudzenie czci dla tego, co jest wiecznie pięknem, a pięknem jest dlatego, że jest dobrem i prawdą. Zatém poezya jest tém wyższą, im więcéj jéj treść prawdy i dobra w sobie mieści.

Jednak jak wielka jest potęga poetycznego gieniuszu! Gdy bowiem zdobycze wiedzy, odkrycia nauki, zaledwie zbiorowe usiłowania społeczne, zdolne są wprowadzić w świat rzeczywistości postacie, które gieniusz poezyi stwarza, odradzają się bezpośrednio lotem błyskawicy w duchach indywidualnych i wyrastają w nich na bohaterów czynu. Nowy dowód, że istotna potęga człowieka mieści się w duchu.

Niezawsze jednak owym wzniosłym lotem, właściwym prawdziwemu jéj przeznaczeniu, szybuje poezya. Przychodzą bowiem na ludzkość chwile, w których duch milknie, oniemia, świat społeczny chwieje się w swych posadach; zużyte wiązanie jego budowy puszcza z karbów; świat moralny zalega noc zwątpienia. Uczucie rozprasza się w ziemskości, natchnienie zaklęte niewiarą ściąga od dusz poetycznych i w niebo unosi złotą, czarowną nić przymierza z Bogiem. Nie ma bóstwa, nie ma ideału! Bałwan materyi i rzeczywistości groźną potęgą światu panuje. Wówczas w dziedzinie poezyi, na wyżynach umysłowych budzi się myśl, co jakby dla opłacenia grzechów przeszłości, odrywa się od form zmysłowych, opuszcza kształty rzeczywistości, odlatuje od teraźniejszéj chwili, sięga w przyszłość, mówi proroctwem, buduje sobie świat w obłokach: świat to mistycznéj poezyi, nadto mglisty, by był rzeczywistością. A tam w dolinie pracownicy z rozbitych kształtów artystycznych, z rozproszonych form poezyi, kleją obrazy powszedniego życia, typy pospolite. Widocznie jak w mistycznéj poezyi nie rozświetliła się myśl boża, tak w gronie tych pracowników nie ma zapału, natchnienia: cała ta poezya gawędowa, nadto powszednia, by była poezyą, nadto rzeczywista, by była ducha utworem lub objawem. Raczéj to poezya prozą pisana, proza drapująca się poetyczną formą. Ile poezya mistyczna jest roztapieniem formy w treści, oderwaniem téj ostatniéj od kształtów i warunków rzeczywistości, uwierzeniem w mglistą dziedzinę wieszczenia, tyle poezya gawędowa stanowi przesięganie jakby formy za treść poetyczną, poetyczny brak téj ostatniéj obleczony łatwością, swobodą poetycznych kształtów, próżnych znaczenia, pod względem myśli i uczucia. Te rodzaje mogłyby posłużyć za kolej do rozwinięcia prawdziwego poetycznego nastroju, uścielając drogę dla poetycznego gieniuszu I w rzeczy saméj, co gawędowa poezya udoskonaliła w formie, co mistyczna ułatwiła w porozumieniu się z niewidzialnym światem duchów; to wszystko gdyby gieniusz poetyczny powrócił do świątyni wiary, obyczaju i tradycyi, złożyłoby się na utworzenie całokształtu poetycznego piękna.

W ten sposób tłumaczylibyśmy sobie po mistycznéj literaturze poetycznéj, po gawędach W. Pola i innych, zjawienie się tak pięknego utworu jak jest Mohort. Postać ta świéci blaskiem cnót narodowych, potęgą wpływu instytucyi społecznych, duchem wielkim chrześciańskim. Aby poznać te majestatyczne filary przeszłości, potrzeba ją pojąć i zbadać. A nie z ksiąg dziejowych, nie z suchych analitycznych badań, nie w pyle archiwów, ale z ży-

wego słowa tradycyi można powziąć tę znajomość. Z tradycyi też czerpał poeta rysy dla swojéj postaci. Jakże ona gra życiem, jaśnieje prawdą, pociąga naturalnością, jak porywa wielkością cnoty. Jakiżto potężny żywioł narodowy na ukraińskiéj ziemi, jaśniejący w poświęceniu, we krwi, waleczności i ofiarach tych rycerzów, którzy na kresach strzegli bezpieczeństwa kraju.

Jak w życiu narodu naszego tyle było poezyi, ile cnót, poświęcenia, obyczaju i miłości; tak ideał poetyczny narodu zależy na upostaciowaniu téj całéj skarbnicy cnót narodowych. Nie zawsze gieniusz poetyczny sięgnie do zebrania ich w jednę postać, niezawsze wzniesie się nad prześwietlenie jednéj pięknéj strony charakteru, nad zabrzmienie jedną nutą duszy. Mohort jest postacią jaśniejącą ideałem całéj poezyi, całego ducha, całego życia Polaka, rycerza, obywatela, ziemianina. Jestto ideał człowieka, typ Polaka, wzór chrześcianina, promieniejący na uroczém tle poezyi, jako święty i godny czci posąg przeszłości.

Jeżeli z téj strony treści, prawdy i dobra, utwor ten wkracza w dziedzinę prawdziwéj poezyi, niezawsze odpowiada jéj jego forma. Przystąpmy jednak do saméj osnowy tego poematu.

Gdy upada byt narodowy, gdy runą posady przeszłości, serce rozmawiające z umarłemi nie skłania się do udziału, i milknie jak deska grobowa, pierś przechowująca podanie, bo wówczas występują nowi ludzie z nowemi zasadami, mającemi ludzkość odrodzić, a naprawdę zarażając tylko świat starém pogaństwem. Świat więc rychło odwraca się od nich, szukając Boga i łaknąc za niebieską wieścią, i już wierzy:

Że odkąd Słowo tu się Ciałem stało,
Już dla ludzkości nowéj prawdy nie ma!
Więc za kotwicę wziął znowu świat wiarę
I znowu dzierży, co nazwane stare.

Stare rozumem i stare sumieniem,
A wiecznie młode duchem i natchnieniem,
I woli dobréj i świata miłości
Jako duch z ducha, jako kościół z kości.

Więc uderzając się w żalu w piersi, przez lepszych i szczerszych świat zwraca się przedewszystkiem jak z myślą krytyczną, tak z wyobraźnią poetyczną, do pokrewnéj sobie epoki.

Jak bowiem w każdém jeszcze łonie, łamie się wschodzące światło wiary z ustępującą mocą zwątpienia; tak duch poetyczny czasu, przez pokrewne spółczucie zwraca się do epoki, w któréj chociaż: „puszczono na nicę, łaski kościoła, narodu skarbnicę," jednak na obrońcę upadłéj sprawie dało miłosierdzie boże kochające serce, i był mąż boży, którego była:

Wielka przed Bogiem miłości zasługa,
Co się trzymała krzyża, szabli, pługa,
Tak prześwietlona duchem bożym wiernie
Że godna przyjąć w siebie nawet ciernie.

Tym mężem był dla poety Mohort. Postać jego zarysowała się w wyobraźni poety z opowiadania Xawerego Krasickiego. Żałującéj piersi, myśli powracającéj do wiary w przeszłość rozwiera się grobowe wieko podania i duch rozmawiający z umarłemi, wskrzesza przeszłość zmartwychwstającą w pieśni. Szczęśliwy to traf dla poety, bo jak powiedział już Szyller: „muss im Leben untergeh'n, was im Lied soll ewig leben." Ale to życie, które zagasło w rzeczywistości, tętni jeszcze pulsem w niejednem łonie spółczasu, a może i odzywa się dalekiém echem w piersi poety. Ztąd podwójna cecha, głęboki interes dla teraźniejszości, jakby głos sumienia, nauki lub przestrogi i razem urok zmartwychwstania przeszłości i wcielenia w całokształt poezyi podania, wysnutego z grobowéj ciszy umarłych, z pogadanki z temi, którzy byli niegdyś ich współpracownikami w życiu, i dziś tylko sercem z nimi rozmawiają. Z ich to ust płynie i samo podanie, składające się w bohaterski rapsod i kreśli się źródło podania jako jądra narodowéj myśli, oraz wpływ jego na duch i obyczaje. P. Xawery mówi:

Wszakżem sam za młodu duchem takim pałał,
I żył tém życiem i kochał i działał,
I znałem ludzi kutych jak ze stali;
A kiedy za mnie bywali takimi
To jużciż musiał być tam ktoś przed nimi,
Co po bożemu w ojczyznie się porał
I rolę ojców tak pod nich zaorał,
A potem posiał ją takim posiewem
Że owoc światu szlachetny rodziła,
Znana w kościele męczenników krzewem,
A w dziejach świata z bohaterów siła.

Z podania rosną narodowe cnoty, jak z ziarna rzuconego w dobrą rolę. Tak téż na pociechę nam i poecie dopisał i rozwinął się w poetycznéj jego wyobraźni Mohort, z opowiadania p. Xawerego i innych. Oby tak podanie o nim z pieśni p. Pola dało nam ukochać drogę, którą naród szedł całemi wiekami, i uczcić podanie jako zasadniczy warunek narodowéj myśli. Taki wstęp do pieśni o Mohorcie i kalenickich wieczorów.

W pieśni téj ojciec wyprawia p. Xawerego w ukraińskie stepy, wśród których nieraz mu serce jakby pieśń kołysze, pieśń, któréj Pan z Nieba błogosławi. Pięknie wypowiedział poeta ten stan duszy podniesionéj do harmonii ze szczytnością natury:

Są piękne chwile i czyste natchnienia
W życiu człowieka, co lgną do sumienia
Jak jasne gwiazdy, jak słowa miłości,
Dopóki jeszcze godzien tych piękności.

I zaiste dary łaski i natchnienia, uzdalniające nas do zacnych i pięknych czynów, nie są tylko samém błogosławieństwem nieba, ale potrzeba aby być godnym ich przyjęcia, przybrać duszę swoję w szatę świąteczną, zgotowaną dla nieba; tchnąć pragnieniem tego co czyste, piękne i święte. Nie dziw więc, że marzył p. Xawery

w stepach, nie dziw że coraz niespokojniéj biło mu serce, im bardziéj zbliżał się do brzegów Dniepru, że pragnienie czynów i sławy paliło jego duszę. Promień bożego majestatu, drżący w ogniwach sfer i światów, rozproszony w przestworzu natury, skupiał się w jego duchu i unosił go w niebo. O jak miło, jak szczytnie świecić jak jasna gwiazda czarownem tchnieniem miłości i być godnym piękności nieba!

Gdy stanął p. Xawery na luce i wstąpiwszy do izby pustéj jak stodoła, ponuréj, oświeconéj kagankiem, z nad pułki uderzył go widok potężny. Zdało mu się, że jakby który hetman powstał z grobu, taki mąż sędziwy, dzielny, groźny, ponury, siedział na koźle z drzewa ociosanym, a choć sobie drzémał, czuwał jak żuraw, bo śpiąc trzymał pistolet w prawéj ręce. Wymowny to kontrast prostoty zewnętrznego otoczenia i wielkości ducha, uśpienia ciała, oraz czuwania umysłu i ducha. Widok ten odurza młodego Xawerego wychowanego może w przepychu i bogactwie, przybywającego dworno, ale go nie zraża i tylko zadziwia, bo powaga cnoty i wielkość duszy wyższe są nad blask zewnętrzny tęgości charakteru, oraz dzielność serca więcéj zbliżają do cnoty, jak wszelkie ujmujące formy, a przy tych warunkach prostota zewnętrznego otoczenia i surowość obyczajów więcéj harmonizują ze stanem duszy, która czuje potrzebę czynów i poświęcenia.

Gdy oświtło nazajutrz i stanął w szeregu p. Xawery, ozwały się trąby rycerskie po rosie, z ganeczku nad bramą okopu, nad którą był obraz Boga Rodzicy, z napisem: „Pod twoję obronę." Tu poeta zdaje się, że nietylko śpiéwa, ale przeléwa w tony muzyki, samego ducha pieśni narodowéj i modlitwy. Zda się, że ta pieśń staje się najszczytniejszą muzyką, że czytając ją sami słyszymy tę modlitwę, że ją powtarzamy razem z wojskiem, które się nam tylko w opisie przedstawia. Taka to potęga poezyi, gdy się ona czerpie z prawdziwego źródła.

Hejnał krakowski odgrali trębacze,
Który od wieków co zorzy porannéj,
Z maryackiéj wieży nad Polską płacze
Czystemi łzami Przenajświętszéj Panny,
A potém męzkie podniosły się głosy
I pieśń pobożną wysłano w niebiosy.

Mohort passując p. Xawerego na rycerza, tak mówi:

A kto rycerzem, ten już po zakonie
Znać to powinien, czego bronić trzeba.
Więc naprzód stawać ma w wiary obronie
I Maryi Panny, téj królowy nieba;
Potém w obronie granicy i basta
A dalej:
Pilnuj zakonu, dotrzymaj przymierza,
A wszystko składaj w Bogu, albo w ziemi...
Tyle słów wszystkich!...

Tu z jednéj strony skupiają się wszystkie powinności rycerza i obywatela w obronie granicy jako warunku bytu narodowego,

z drugiéj przedstawia się przekonanie porucznika o ważności jego postu indywidualizujące w jego sytuacyi służbowéj cały ogrom poświęceń obywatelskich; wiele tu myśli z jednéj o naturalności i prawdy z drugiéj strony, ale niemniéj piękną jest myśl: A wszystko składaj w Bogu albo w ziemi. „Tak jest, czcić Boga, z Bogiem chodzić około zawodu, jaki mu On przeznaczył, albo raczéj zagrzebać się w ziemi, jak Boga swojego odstąpić." Tyle słów wszystkich, i zaiste dosyć ich, boć tu cała mądrość życia!

W pieśni 2éj opiewa się życie prywatne Mohorta, stosunki jego z klasztorem sąsiednim OO. Bazylianów, post, rekolekcye, znajomość dziejów i czynów hetmańskich, pobyt w Warszawie dla nadania księciu Józefowi w rycerskiém rzemiośle narodowego zacięcia, wdzięczności króla i nadgrody, których nie przyjmuje mówiąc:

Chrzest, to sakrament niczém nie zmazany;
Ja na chrzcie świętym wyparłem się czorta.
I krzyż przyjąłem krwią Boga oblany,
I ufam w Panu, że Pan Bóg Mohorta
Karać nie będzie choć przynajmniéj za to,
Com dla ojczyzny ten krzyż wiernie nosił
Stojąc na czatach przez niejedno lato.
Więc poraz wtóry krzyża wziąć nie mogę!
Co do buławy, zaszczyt to rycerski,
Ale w chorągwi rotmistrzem pan Kierski;
A ja chorągwi mojéj nie porzucę,
Bom w niéj zestarzał, miłościwy Panie,
A co do ziemi, to jéj mam nie mało,
A jeśli zresztą w życiu jéj niestało.
To jéj dodadzą po śmierci—i stanie.

Te słowa są dostateczne dla określenia obywatelskiego charakteru Mohorta, i gdyby nawet poeta nie dał nam więcéj rysów téj idealnéj rycerskiéj postaci, jużby było dosyć dla wyobrażenia rycerza, katolika, obywatela, którego usług i prac dla ojczyzny jest nagrodą pożytek kraju, chwała Boska, a celem życie przyszłe, a nie marne tego świata dostojeństwa i zbiory.

W pieśni 3éj pełen idyllicznéj ujmującéj prostoty jest opis futoru, w którym Mohort przebywał i podejmował księcia z jego dworem i orszakiem. P. Xawery sam już teraz nie pojmuje, jak można było w stepowym futorze wyprawiać takie uczty i zabawy; i jak pierwsi ludzie kraju mogli mieścić się, nie krzywiąc się. I pięknie trafnie sam na to odpowiada. Powtórzmy te głębokie słowa poety:

Jak się to działo? nie wiem; lecz się zdaje,
Że cały sekret leży w obyczaju:
Szlachetne były, proste obyczaje,
A szlachetnemu nic nie bywa krzywe,
A prostéj duszy wszystko jest poczciwe;
Więc téż umiano tam użyć,
A jak rozumiem umiano i służyć.

Człowiek był wszystkiem, resztę wszystko niczém;
Ztąd, gdy w świat patrzał poczciwém obliczem,

Podnosił wszystko w górę do téj miary
Szlachetnéj dumy i do dobréj wiary,
Jaką się w życiu i sumieniu rządził,
I nią też ludzi i wypadki sądził.

Gdy się bawiono każdy chciał zabawy,
Więc się nią zajął i nikt się nie nudził;
A że obyczaj dawał wiele wprawy,
Ztąd też zabawą nikt się nie utrudził.
Ale umiano zająć każdą chwilę,
I każdą rzeczą zatrudnić się mile,
Jedno ukochać, a drugie wysławić
Ot krótko mówiąc: umiano się bawić.

W tych słowach najwierniéj schwycona cała tajemnica teraźniejszéj nudoty towarzyskiéj i dawnéj gwarnéj, wesołéj zabawy i staropolskiéj prostoty w formach i otoczeniu, a bogactwa uczuć duszy, zapału, słowem wewnętrznego życia.

Śliczne w téj pieśni przedstawienie przez Mohorta jego stada. Cudny opis i téj klaczy wilczatéj i korybutki i sahajdacznego; lecz najcudniejszy obraz Iskry, Kahorlickiéj córy.

Z stada Tarnowskich, z bachmatów hetmańskich
Nie sierć lecz jedwab, pergamin nie skóra,
Zdatna do harców tylko arcy pańskich.
Ktoby chciał wiedzieć, jaka cnota w rodzie,
Niech ją użyje w rycerskiéj przygodzie.
Dopóki młode, ma to krowie nogi,
Podobne osłu, coś późniéj do muła;
Rok siódmy, dodaje ostrogi,
I więź i oko i zagra krew czuła;
A gdy chrzęst broni i trąbkę usłyszy,
Rozdziera nozdrza że aż drży, aż dyszy,
I czuć wyraźnie, aż w sercu przez siodło,
Kto téj krwi panem i co go w bój wiodło.

Jeżeli w darowanym przez króla Mohortowi koniu:

.... koń był wielkiéj duszy:
Oczy jak gwiazdy, jako piekło chrapy,
Szyja jak łabędź, a piersi jak wrota....

poeta poetycznie i silnie maluje przyrodzoną dzikość, siłę i dzielność; córę Kahorlicką przenika on duchem jezdzca, jego myślą i wolą, czyni ją uczestniczką boju, przyjaciołką rycerza, ideałem konia.

W 4téj pieśni Mohort z przyśnienia się mu hetmana Ogińskiego wnosi o rychłym dla siebie końcu. Wielkie dane mają w swéj naturze jakieś spowinowacenie się z niewidzialnym światem; w przejawach jego czytać umieją zagadnienia swojego losu i kolei na téj ziemi, ale razem i żywią jakieś spółczucie z naturą. Duch potężny brata się z tajnikami przyrodzenia, którego każde zjawisko im głębsze ma dla niego przeczenie, tém silniéj się jednoczy z podniesionym jego nastrojem. Ożywia się cały świat natury, mówią i czują dla niego wszystkie przedmioty; on im zawierza swoje tajne myśli i uczucia, smutku i boleści dociski, uniesienia radości i szczęścia: i unosi się jakiś czuły, rzewny hymn,

od stworzonego ducha i stworzonych tworów ku temu, który nie stworzony, ale wiecznie stwarzający, początku i końca nie ma, w którym niknie wszelka boleść i wszelka radość się uwieńcza nieustającém weselem.

Mohort ostatni ze swojego rodu, żegnając klasztor, i stepy, i kresy widzi w poważnym dębie i źródle, przy których niegdyś przyszła mu myśl szczęśliwa ocalenia klasztoru od hajdamaków, jakby posłańców niebios, swoich duchowych braci, krewnych i oddaje im swój klejnot.

Oto mój klejnot od rodzica dany,
I już ostatnią oddał mi posługę,
I wszystko przeszło, jak to źródło bieży,
I cały żywot już za mną dziś leży.
Ostatni z rodu, komuż go zostawię,
I komuż z duszy tak pobłogosławię,
Jako mnie ojciec niegdyś błogosławił?
Więc tobie ziemio! ty arko miłości,
Co wiecznie trzymasz miłosierdzia klucze,
I tobie dębie! coś w prostéj wielkości
Szmerem swych liści wielkość Pana sławił.
A już ten sygnet niech wiecznie zdrój płócze!....
I rzucił sygnet w sam środek krynicy,
I łza ostatnia błysła na źrenicy....

W pieśni 5téj poznanie Anny, rozmiłowanie się w niéj porucznika, nieszczęśliwa jego przeprawa przez Niemen, o któréj wieść stała się przyczyną śmierci Anny: cała treść téj pieśni jest piękna. Porwanie przez porucznika trumny z Anną, romantyczne, balladowe, równie jak rozpierzchnienie się konduktu przestraszonego widokiem urojonego topielca. Postanowienie Mohorta żyć odtąd w zakonie maluje ile poezyi, ile uczucia, ile głębokiéj tkliwości było w sercach staropolskich. Jednakże ten umysł zdrowy utrzymuje równowagę uczucia z powinnościami życia:

O! biada sercu i téj głowie biada!
Bo panna Anna była mi tak droga,
Że się tak kochać godzi tylko Boga;
I możem w życiu za to pokutował,
Żem taką miłość dla niewiasty chował,
Jaką człek wierny tylko niebu wierzy,
Jaka po Bogu ojczyźnie należy....

W pieśni 6téj marsz narodowych znaków, bitwa Boryszkowiecka, wśród któréj Mohort będąc w odwodzie zgonem swym całe wojsko ocalił. Tejże saméj chwili ozwał się dzwonek loretański w celi Mohorta, pękły drzwi od niéj przez sam środek. Jak Mohortowi hetman przed tą Boryszkowiecką bitwą, tak księciu Mohort przyśnił się przed lipską bitwą.

Takim jest Mohort p. Wincentego Pola, takim jest ów rycerz ze stali, bohater przeszłości. Jako postać historyczna, jest on żywém uosobieniem wszystkich cnót narodowych, bez błędów i omamień jego czasu i społeczeństwa, dzielném upostaciowaniem wszystkiego, co było wzniosłe i szlachetne w charakterze narodu,

bez jego wad i przywar. Jako postać artystyczna, nie jestże ideałem. Siła fizyczna, zdrowie i wiek nadzwyczajny nawet, w owém pokoleniu, pod względem ciała; duch potężny wznoszący się ponad wygody ciała, rachunek interesu i rozkosz zmysłów oraz widoki dumy i prywaty, obchodzący się bez domu i żyjący w zakonie, rozdający ogromne skarby na msze i jałmużny i klasztor, gardzący wyższemi dostojeństwami dlatego, że jest duszą swojéj chorągwi. Dusza pobożna, miłosierna, wierząca jak wierzyli ojcowie, jak wierzy kościół. Serce kochające, poświęcające pamięci drogiéj a straconéj Anny cały żywot umartwień i boleści, cały wiek w zakonie spędzony; umysł wykształcony i nie obcy spółczesnym wypadkom, które spisywał; posiadający nietylko mądrość praktyczną i tradycyjną, która się przejawia w radach i lekach, ale i wtajemniczony w byt przyrody, w któréj ksiądze umiał czytać, którą umiał czuć i pojmować. Uczucie estetyczne w lubownictwie koni wysokie, a w szczytném, poetyczném ocenieniu ich piękności i zalet niepospolite. Obywatel poświęcony usługom kraju, nie dla nagród i dostojeństw, które odrzuca, ale dla pożytku tegoż kraju. Naczelnik łagodny, acz karności przestrzegający; podwładny uprzedzający acz pełen godności: słowem chrześcianin, obywatel, rycerz, kochanek, rolnik, gospodarz, człowiek w całém znaczeniu tego słowa, a wszystkie te cnoty i ogólno ludzkie sytuacye podniesione do idealnéj wysokości, przeniknione duszą najszczerszą, polską, odziane szatą narodową prawdziwego kroju. Godła tego rycerza obywatela, Bóg, kraj, obyczaj, stanowiły podstawę narodowości. Obyczaj był arką przymierza Boga i ziemi. „Składaj, mówi Mohort, wszystko w Bogu albo w ziemi". To życie obyczajowe było gruntem istnienia; z upadkiem jego, i sam byt upaść musiał: obyczaj bowiem jest żywiołem dodatnim, narodowym, powszechnym. Postęp zaś i ruch wyobraźni jest indywidualną inicyatywą, w celu głębszego przeniknienia serc i umysłów, świętością obyczaju, i aby to, co przychodziło niejako drogą życia i nawyknienia stało się przekonaniem, a ztąd i ducha wypływem. Tak samo jak filozofia w ostatecznych ogniwach swojego rozwoju doprowadza tylko do przeświadczenia się o prawdach wiary i objawienia. Zastępywać obyczaj modą, wiarę, myślą, jestto rozburzając gmach przeszłości, rozrzucać posady społecznéj budowy, wprowadzać egoizm, jednostkowość i ubóstwienie indywiduum w sfery życia społecznego, politycznego i religijnego, żywioł ujemny w byt ludzkości i narodu. Widzimy skutki wpływu tego żywiołu we wszystkich sferach. Mamy więc miarę do ocenienia całéj ważności obyczaju. Mohort jest więc bohaterem Boga, kraju i obyczaju, w treści poematu p. Pola.

Ale jakże żal, że téj treści nie odziała odpowiednia jéj forma: wiersz w Mohorcie wdzięczny, miły, łatwy; ale nie ma téj uroczystości, tego nastroju, téj powagi, jakiéj godzien jest bohaterski poemat. Przywyknienie do lekkiéj gawędowéj formy tu

nieraz razi. Często widoczny pośpiech i lekceważenie w dobraniu rymów i wyrażeń, niekiedy trywialnych lub niestosownych np.

I to czynili, co z wyroku padło,
Co Bóg powierzył, to na nich nie siadło.
lub Ja na chrzcie świętym wyparłem się czorta
I ufam w Panu że Pan Bóg Mohorta

i wiele innych.

Możebyśmy objawili w tém pewny rodzaj pedanteryi lub nawyknienia do dawniéj już sformułowanych rodzajów poezyi; ale zdaje się nam, że właściwiéjby było, gdyby sam poeta opiewał Mohorta, nie wprowadzając opowiadania ani p. Xawerego, ani Mohorta. Byłabyto wówczas pieśń o Mohorcie, któréj on tak godzien, zamiast kalenickich wieczorów. Nawet jako oznaczenie źródła tradycyi ten tytuł nie jest dokładnym, i nie daje p. Xaweremu prawa do wyłącznego opowiadania; gdyż postać Mohorta winien jest poeta nietylko p. X. Krasickiemu. ale i p. K. Ostaszewskiemu, p. A. Dembińskiemu i ks. Eust. Sanguszce. Dopiéro z tych różnych opowiadań utworzył się w duchu poety Mohort taki jakim go wydał, więc miał zupełne prawo opiewać go w swojém imieniu. Wówczas nastąpiłoby i w formie połączenie pierwiastków podaniowego z indywidualnym tworczym poety. Chwaląc wszystko co stare, ubiegać się za nową formą jakoś nie uchodzi.

Zresztą pomijamy te uwagi co do formy, i przyznajmy, że nawet pod tym względem wszędzie tam, gdzie szło o wypowiedzenie zasady, odmalowanie piękności natury, koni, szczytnego stanu duszy, wiersz Mohorta jest prześliczny.

Utwor ten na każdéj prawie karcie mieści jakiś przedmiot do obrazu. Najgodniejszemi pędzla są następujące ustępy: 1) Mohort w swojéj obozowéj izbie; 2) Mohort pochwytujący p. Xawerego z wiru dnieprowego; 3) książę dopędza z orszakiem Mohorta za Warszawą i ofiaruje mu w imieniu króla konia; 4) Mohort za pługiem w chwili przybycia księcia; 5) Futor Mohorta w czasie przybycia księcia i dam; 6) przedstawienie stada; 7) Mohort przemawiający z konia do wdowy i córki miecznika Rożańskiego, w czasie konduktu pogrzebowego; 8) Mohort porywa trumnę Anny, gdy kondukt przestraszony widokiem topielca, rozbiega się; 9) bitwa Boryszkowiecka; 10) książę i rycerze zgromadzeni nad zwłokami Mohorta.

Jeżeli p. Polowi chodziło w tym rapsodzie o wskrzeszenie jednéj tylko postaci, o skreślenie jednego tylko charakteru, to zaprawdę charakter ten niepowszedni! Całe życie narodu i wpływ wszystkich jego innstytucyj musiały się złożyć na wyrobienie jego znakomitéj fizyognomii. Jeżeli on jest zupełnie i ściśle historycznym, o czém z wiarogodności podań najzupełniéj jesteśmy przekonani, o jakże wielka była potęga tego życia, jaka dzielność instytucyi, kiedy nieznany, gubiący się w głuchych podaniach, obcujący li z umarłemi spółpracownikami swoimi, Mohort po-

rucznik chorągwi narodowéj, gdzieś na kresach, był tak wielkim! Ileżto i jakie tysiące podobnych bohaterów, musiała wydać owa społeczność, bohaterów, których pamięć święci się jedynie w głębi serc czułych i wielbiących, lub gubi się w tajnikach nieznanych podań. Ileżto skarbów w tych podaniach, i dlaczegóż uporczywie zagaszamy ogień tradycyi i podania?

Jeżeli z drugiéj strony postać Mohorta jest nawpół-historyczną, to jakże szczęśliwie objęło ją natchnienie poety, jak szczytnie zdołało ją podnieść na wysokość ideału. Zaiste dla stworzenia idealnych postaci, potrzeba oddalenia. Odległość historyczna wielce ułatwia tę twórczość. Jak zjawiska fizycznego świata w przestrzeni, i postaci historyczne w czasie ulegają niejako optycznym prawom. W świecie fizycznym luneta, teleskop zbliżają do nas przedmioty. Przy zbadaniu tajemnic przeszłości, ducha instytucyi, źródła myśli i czynów, olbrzymieją postacie historyczne. A jeśli jeszcze gieniusz poety wionie w nie tchnieniem ideału, w posąg przeszłości wleje kochającą, marzącą o niéj duszę swoję, postać historyczną obejmie jako oblubienica w roztęsknionym serdecznym uścisku, piękność narodową rozpromieni duchem ludzkim, ogólno-człowieczym: postać ta urasta na ideał. Takim jest Mohort p. Wincentego Pola.

W Kamieńcu,
d. 25 listopada 1855 r.

Leopold Jakubowski.

ROZMAITOŚCI.

O społecznościach gromadzkich i gminnych w dobrach rządowych w Cesarstwie.

(Dokończenie).

f) *Osiedlenie.*

64. Zarządy i sołtysi mają obowiązek zbierać i posiadać dokładne wiadomości o szczegółowych, miejscowych mieszkańcach stałych i czasowych; nie mogą dopuszczać, aby bez zezwolenia izby dóbr, ktokolwiek z obcych osiedlał się stale w dobrach rządowych, lub stale osiedlony wynosił się do dóbr innych.

65. Rodziny włościańskie nie mogą się samowolnie rozdzielać, co gdyby nastąpiło, sołtys zawiadomi o tém starszynę, a ten rozdzielonych połączy i po ukaranie do sądu gromadzkiego odeśle; rozdział ten jednak może mieć miejsce. lecz tylko wtenczas, kiedy to zbór uchwali, i na przedstawienie zarządu gminy, izba dóbr zatwierdzi.

66. Kupcom i mieszkańcom posiadającym paszporta, zbór może dozwolić zamieszkania, a nawet pobudowania się, za poprzedniém zawarciem z gromadą układu o dzierżawę placu pod budowle.

67. Gdyby kto z obcych pragnął być zaliczonym w poczet włościan rządowych, prośbę jego z dowodami usprawiedliwiającemi gdzie mieszkał, czém się trudnił, i że ma prawo dowolnie obrać sobie zamieszkanie, starszyna przedstawia zborowi, który jeżeli się na to żądanie zgodzi, i w protokule narady zamieści, że za nowo przyjętego bierze odpowiedzialność w uiszczaniu wszelkich opłat, i że w gromadzie znajduje się dosyć gruntów, z których dla niego osada może być wyznaczona; starszyna rzecz całą przesyła zarządowi gminy, a ten rozpoznaje, czy uchwała zboru

zgodna jest z przepisami, i czy żądane osiedlenie nie jest dla gromady uciążliwe. i następnie przedstawia je władzy wyższéj, a po otrzymaniu zezwolenia izby dóbr, zarząd gminy zawiadamia o tém starszynę celem wyznaczenia osady dla nowo przyjętego.

68. Jeżeli chcącym się osiedlić jest dymissyonowany lub nieograniczenie urlopowany, winien o to prośbę z paszportem i dowodami usprawiedliwiającemi jego prawa, podać na ręce starszyny, który ją prześle zarządowi gminy, a ten w ciągu 6u miesięcy zbierze wiadomości o prowadzeniu się podającego i przedstawi je zborowi. Jeżeli osiedlający pragnie się zajmować gospodarstwem i posiadać grunta na równi z innemi osadnikami wsi, mającéj nie mniéj jak 8 dziesiatyn na duszę: zbór przy wydawaniu decyzyi dozwalającéj na jego osiedlenie, ma prawo udzielać mu zapomogę z funduszów i zapasów ogólnych. Lecz uchwałę tę zboru, zarząd gminy rozpozna i z wnioskami swemi przedstawi naczelnikowi okręgu, a dopiéro po jéj zatwierdzeniu poleci ją wykonać: sołtys zaś dopilnuje, aby osiedlający się zapomogi nie trwonił, lecz użył na cel właściwy, i aby dane mu drzewo obrócone było jedynie na budowle.

69. Na przesiedlenie się włościan do innych dóbr, zbór zezwala przez wydanie uchwały jedynie w wypadkach, jeżeli gromada małe ma uposażenie w gruntach, tojest mniéj niż po 5 dziesiatyn na duszę, albo w widokach przemysłu, albo wrazie skazania kogo przez sąd miejscowy na deportacyą. Świadectwo uwolnienia nawet w dwóch piérwszych powyższych wypadkach zbór może wydać tylko przy następujących warunkach:

1) Gdy nie zachodzi przeszkoda że względu zaciągu wojskowego.

2) Gdy przesiedlający się uiścił wszystkie należne opłaty po dzień piérwszy stycznia następnego roku.

3) Gdy w rodzinie jego nie znajdują się wyznawcy sekt kacerskich (roskolniki).

4) Gdy nikt z członków rodziny nie znajduje się pod sądem lub śledztwem.

5) Gdy pozostająca część rodziny posiada dostateczne środki utrzymania, i gdy rodzice przesiedlającego się na to zezwolą.

70. Niemający skończonych lat 21 nie mogą się bez rodziny przesiedlać, zaś kobieta potrzebuje tylko udowodnić, że jéj rodzice nie żyją, lub zgadzają się na przesiedlenie; że nie należy do żadnéj z sekt kacerskich, i nie zostaje pod śledztwem lub sądem.

71. W uchwale zboru zezwalającéj na przesiedlenie znajdować się winno objaśnienie:

a) Czy przesiedlenie następuje w skutek małego uposażenia?

1) Jaka jest przestrzeń gruntów gromadzkich, a jaka w ogóle liczba dusz i wielu się przesiedla?

2) Czy nie możnaby zapobiedz przesiedleniu przez nowy podział gruntu?

3) Jaka zaległość ciąży na całéj gromadzie i samych przesiedlających się, i jakie ci posiadają środki na jéj pokrycie?

4) Czy pomiędzy przesiedlającemi się są spisowi do wojska?

5) Jakie otrzymują zapomogi i dokąd się mają przesiedlić?

b) Przy przesiedlaniu w widokach przemysłowych:

Że zbór za przesiedlających się przyjmuje odpowiedzialność za spełnienie obowiązków i wszelkie zaległości.

c) Przy deportacyi za występki, wiek obwinionego i jego rodziny, popełnione występki i otrzymane kary, oraz wnioski, czy nie możnaby przebaczyć winnemu, lub oddać go do wojska.

72. Uchwały takie zboru, starszyna poświadcza, a zarząd gminy rozpoznaje, czy są zgodne z przepisami, nieuciążliwe dla gromady, oraz czy skazany na deportacyą, albo był karany rózgami trzy razy w ciągu roku, lub cztery razy w ciągu lat dwóch, albo za wyrokiem sądu otrzymał dwa razy pletnie, lub chociażby raz tylko był karany pletniami, lecz znowu popełnił występek, albo dwa razy został ujęty na włóczęgostwie i ukrywaniu zaległości. Jeżeli zarząd gminy nie znajdzie żadnéj przeszkody do żądanego przesiedlenia, prośbę przesiedlającego się lub wyroki deportacyi, ze wszystkiemi dowodami i swą opinią przedstawia izbie dóbr, od któréj otrzymaną decyzyą przesyła starszynie.

73. Starszyna decyzyą izby dóbr ogłasza interesowanym, przyjmuje od nich zobowiązanie, że stałego zamieszkania w gromadzie mieć nie będą, i zrobi rozporządzenie względem pozostawionego nieruchomego ich majątku, gdyż z tego użytkować już niemają prawa. Ułatwia im sprzedaż wszystkiego, dozwala zebrać zboże zasiane na gruntach do nich należących, i wreszcie spełnia wszystko, co tylko izba dóbr poleci w duchu obowiązujących przepisów.

74. Listy przesiedlających się z stosownemi objaśnieniami starszyna składa zarządowi gminy, a ten sprawdza je ze swemi aktami, i domieściwszy uwagi, przesyła je w piérwszym kwartale naczelnikowi okręgu.

75. Starszyna i sołtys mają obowiązek czuwać, aby zamierzający przesiedlić się nim na to uzyskają zezwolenie, zajmowali się gospodarstwem, wypełniali wszystkie obowiązki, nie trwonili majątku, i ani z rodzinami ani sami nie wydalali się ze wsi, chociażby w widokach zarobkowania; aby z opuszczonych gruntów przez przesiedlonych, społeczność gromadzka miała zapewnioną korzyść, czyto przez podział ich pomiędzy włościan pozostałych, czy w inny sposób, jak zbór postanowi, i aby ci, którzy się już przesiedlili do innych wsi, nie wracali pod żadnym pozorem do dawnych swych gromad.

76. Również sołtysa obowiązkiem jest pilnować, aby przesiedlający się otrzymywali bezpłatne, wygodne kwatery, aby ich

inwentarz miał potrzebną paszę, aby nie były od nich wymagane opłaty mostowego lub inne tym podobne, aby starym, słabym lub kalekom dostarczać podwody, aby chorzy mieli w szpitalach zapewnione wygody, i aby ci, którzy się od kompanii odłączą i włóczą byli przytrzymywani.

g) *Paszporta.*

77. Sołtys ma obowiązek pilnować: aby nikt włóczęgom i niemającym świadectw lub paszportów nie udzielał przytułku, owszem takowych przytrzyma, i odeśle pod straż sotskiego; aby nikt także nie wydalał się ze wsi bez paszportu, wyjąwszy włościan udających się dla zarobku nie daléj jak w obrębie wiorst 30; aby każdy, w czasie oznaczonym w paszporcie, powrócił, a w razie przeciwnym donosi starszynie, a ten zarządowi gminy, który wzywa kogo należy o dostawienie niewracającego.

78. O przybywających za paszportami, o urlopowanych i dymissyonowanych, starszyna zawiadamia zarząd gminy, który winien jest udzielać im opiekę, a zwłaszcza urlopowanym i dymissyonowanym, którym starszyna nie może wzbraniać przechodzić ze wsi do wsi w widokach przemysłu, lub w celu zapewnienia sobie środków utrzymania.

79. Niewolno zezwalać na wydalenie się ze wsi:

1). Wychodzącym na żebraninę.

2). Starcom, dzieciom i kalekom.

3). Znanym z nędzy, włóczęgostwa i złego prowadzenia się.

4). Dopuszczającym się zaległości w opłatach, wyjąwszy gdy zbór odpowiedzialność za nich przyjmie na siebie, i na wydalenie się ich zezwoli.

5). Dłużnikom bez zezwolenia wierzycieli.

6). Żonom bez zezwolenia męża.

7). Dzieciom od rodziny nieodłączonym bez zezwolenia ojca lub starszego krewnego.

8). Spisowym, gdy pobór nakazanym zostanie.

9). Zostającym pod śledztwem lub odpowiedzialnością sądową.

10). Tym, którym wyrok sądowy wydalać się ze wsi zabrania.

80. Jeżeli żadna nie zachodzi przeszkoda ze strony gromady i zarządu, wydalającemu się najdłużéj na jeden miesiąc, starszyna z zarządu gromady wydaje kartę drożną, na dłuższy zaś czas udziela świadectwo, na mocy którego zarząd gminy wydaje paszport.

81. Za karty drożne i świadectwa starszyna, a za paszport zarząd gminy nie mogą pobierać żadnéj opłaty oprócz za stępel, który ma być koniecznie użyty: do karty drożnéj na miesiąc za kop. 15, do paszportu na miesięcy dwa kop. 30 i t. d.

82. Żądający przedłużenia paszportu winien się o to wcześnie postarać, pod karą kop. 50 za każdą przetrzymaną dobę; a gdyby zachodziła jaka przeszkoda w udzieleniu przedłużenia żądanego, starszyna winien o niéj natychmiast zawiadomić proszącego i starszego w jego rodzinie.

83. Po upływie czasu paszportu, sołtys odbiera go, oddaje starszynie, a ten zarządowi gminy, który go przedziera, przekreśla i w aktach zachowuje.

h) *Budowle.*

84. Przy zakładaniu nowych osad, niemniéj z powodu pogorzeli, lub zbytecznego ściśnienia albo zniszczenia budowli, na przedstawienie zarządu gminy za pośrednictwem naczelnika okręgu, izba dóbr sporządza plan, według którego nowe budowle mają być stawiane. Zarząd gminy otrzymawszy ten plan ogłasza go włościanom, iżby wiedzieli kto się ma przenieść, a kto pozostać w miejscu, dozwalając im wzajemnéj między sobą zamiany, aby tylko budowle podług przepisów były wznoszone, a przy zakładaniu nowych osad, zbory przeznaczają lub losują, kto i pod którym numerem dostaje plac pod budowle.

85. Przytém zarząd gminy postara się, aby mający się budować przy traktach bitych, otrzymali zaliczenia podług oddzielnéj instrukcyi, a mający się budować, z powodu zbytniego ścieśnienia lub zniszczenia, nie przy traktach bitych i nie po pogorzeli, otrzymali pomoc w drzewie od rządu, a w naturze robociznę ręczną i sprzężajną od gromady; zbór zaś rozpozna, czy budującym się przy trakcie bitym, należy udzielić zaliczenie, i zasługującym na to wydaje świadectwo poręczające, i oznaczy pomoc ręczną i sprzężajną dla tych, którzy się mają przenieść z powodu zbytniego ścieśnienia.

86. Starszyna dopilnuje, aby budowle stawiane były zgodnie z projektem z zarządu gminy otrzymanym, i na placach właściwych; sołtys zaś wzbroni stawiania nowych budowli bez upoważnienia zarządu gminy, i nie na placach na to przeznaczonych, oraz naprawy i przestawiania budowli, które mają być podług ogólnego planu gdzieindziéj przeniesione, a o przekraczających donosi starszynie, który ich oddaje pod sąd gromadzki.

87. Starszyna ma obowiązek czuwać nad dobrém utrzymaniem budowli kościelnych, i do zarządów należących. Jeżeli okaże się potrzeba reparacyi ich niewymagającéj kosztów pieniężnych, starszyna może wprost od siebie przeznaczyć robotników w czasie wolnym od prac gruntowych. W razie potrzeby naprawy pociągającéj koszta na kupno materyałów i na rzemieślników lub wzniesienia nowych, przedstawia to zarządowi gminy, który jako mający nadzór nad wszystkiemi budowlami sporządza projekt na-

prawy lub budowy, i ten przesyła starszynie dla wniesienia go pod naradę zboru.

88. Starszyna jeżeli idzie o naprawę lub budowę nowego kościoła, zwołuje zbór z gospodarzy téj parafii, lub gdyby nowa parafia miała być utworzoną, z gospodarzy, którzy ją będą stanowić. Zbór ten na koszta budowy ma prawo przeznaczyć część dochodów z dzierżaw swych realności, jeżeli ich żadna nie cięży zaległość; albo użyć części kapitałów gromadzkich lub procentów od tychże; albo nakazać dobrowolne ofiary.

89. Jeżeli zaś idzie o naprawę lub budowę domów dla szkoły lub zarządów wiejskich, zbór zwołany z członków których to dotyczy, może budowę przyjąć na swój rachunek z pomocą od skarbu w drzewie i pieniądzach, albo na koszta budowy obrócić połowę dochodów z dzierżaw realności gromadzkich, lub nakazać dobrowolne składki bez przymusowego zobowiązania włościan.

90. Zarząd gminy projekta naprawy lub wzniesienia wszystkich tych budowl i środki ku temu przez zbór uchwalone, przedstawia naczelnikowi okręgu, a po zatwierdzeniu pilnuje ich wykonania.

91. Przy wjeździe do każdéj wsi słupy podług przepisanego wzoru z tablicą wyrażającą nazwę wsi i liczbę dusz, mają być stawiane kosztem gromady.

i) *Co do pogorzeli.*

92. Dwa razy do roku, na wiosnę i w jesieni, pisarz odczyta na zborach przepisy wydane o ostrożności od ognia: zbór ich wysłucha z uwagą, a każdy osadnik ściśle się do nich zastosować ma obowiązek.

93. Zarząd gminy czuwając najtroskliwiéj, aby przepisy te były spełniane, środki ostrożności były przedsiębrane i wykonywane, zachęci włościan do zaprowadzenia wszelkich potrzebnych narzędzi, na nabycie których zbór zarządzi składkę albo użyje funduszów zbywających.

94. Starszyna i sołtysi najmocniéj nakażą ostrożne obchodzenie się z ogniem, czyto w domach, czy w polach i lasach, i przy paleniu w suszarniach; niemniéj, aby dzieci zostające w domu nie mogły go rozniecać, aby nikt nie strzelał na ulicach, w gumnach i zabudowaniach lub w ich blizkości, aby kominy były wycierane przynajmniéj raz w miesiąc, aby beczki z wodą znajdowały się po domach, i aby narzędzia ogniowe były zawsze utrzymywane w porządku i stanie dobrym, a starszyna przepisze, który z osadników, jakie narzędzie miéć powinien, i z nim w czasie pożaru na ratunek przybywać.

95. W razie wydarzonéj pogorzeli. sołtys natychmiast zawiadomi o niéj sotskiego i starszynę; dopilnuje, aby wszyscy osadnicy z przepisanemi narzędziami przybyli na ratunek, aby konie do beczek i sikawek były sprowadzone: urządzi przy nich odpowiednią pomoc ręczną, przeznaczy ludzi do wożenia wody, rozważy czy dla ocalenia osady należy budowlę palącą się ratować, lub poświęcić, i stosowne do tego wyda rozkazy; urządzi straż nad sprzętami z palących się budowli powynoszonemi, i w razie potrzeby zażąda pomocy od sąsiednich gromad.

Starszyna zawiadamia urząd gminy o wynikłym pożarze, czuwa nad wykonaniem przepisów istniejących do jego powstrzymania i w razie potrzeby sam je wydaje. W wypadku ognia na polu lub w lasach wysyła pomoc możebną z ludzi i narzędzi, dla jéj zwiększenia wzywa sąsiednie gromady i sam osobiście udaje się na miejsce pożogi, dla współdziałania przy gaszeniu.

Wójt gminy otrzymawszy doniesienie o pożarze, zawiadamia o nim assessora i naczelnika okręgu, wgląda, aby naczelnicy wiejscy używali wszelkich środków możliwych do ugaszenia, i dla współdziałania z niemi wysyła ławnika, lub sam się na miejsce pożogi udaje.

96. Po ugaszeniu pożaru sołtys urządza straż, ostatni opuszcza pogorzelisko, i zdaje starszynie szczegółowy rapport o przyczynie ognia, ilości spalonych budowli i wszystkiego innego, z przybliżoném ocenieniem wysokości strat, i nareszcie o niezbędnéj zapomodze pogorzelców.

Starszyna zaraz pogorzelców umieści pomiędzy włościanami, którzy nie ulegli téj klęsce, chociażby we wsiach innych; tych, co utracili całe mienie zasili zbożem na dwa miesiące; wyśledzi przyczynę i wysokość strat; ile budowli należących do ogółu społeczności, a ile prywatnych zgorzało zupełnie i jakie za nie stosownie do kadastru należy wynagrodzenie; ile zabudowań prywatnych zostało uszkodzonych. Zaraz na zborze złożonym z mieszkańców osady, gdzie wynikł pożar, z wyłączeniem pogorzelców, i z 12 prawych włościan wsi sąsiednich, ustanowi wartość tego uszkodzenia, i o wszystkiém doniesie zarządowi gminy, prosząc o zapomogę dla pogorzelców i pozwolenie im wzniesienia nowych budowli.

Zarząd gminy wiadomości te przedstawia izbie dóbr, z wniostkiem swym co do zapomóg, od siebie zaś wydaje zarządzenie co do żywności dla pogorzelców, i pozwolenie im stawiania budowli stosownie do przepisów.

97. Po wyassygnowaniu pieniędzy przez izbę dóbr, zarząd gminy podnosi je z kassy i po zapisaniu do przychodu, wójt w obecności starszyny i przysięgłych rozdaje je pogorzelcom za ich pokwitowaniem, a należność za spalone budowle będące własnością ogółu społeczności, zachowuje do dalszego zarządzenia, i o tém donosi izbie.

98. Sołtys ma obowiązek dopilnować, aby otrzymany zasiłek na budowle nie był obrócony na inny cel; a starszyna, aby wszystkie budowle po ich wystawieniu zostały ubezpieczone.

k) *Pobór podatków i wszelkich opłat.*

99. Włościanie oprócz podatków i opłat skarbowych, uiszczają składki na ogólne wydatki gromad i gmin.

100. Wysokość podatków i opłat, rząd sam oznacza; zbory zaś gromadzkie i gminne, przy końcu roku stanowią, jakie w roku następnym składki będą potrzebne. Uchwały te zarządy gmin rozpoznają, domieszczają swoję opinią, o ile są konieczne, i przedstawiają naczelnikowi okręgu dla wyjednania zatwierdzenia Izby dóbr: po uzyskaniu czego zwrócone zarządom gmin, są obowiązujące.

101. Zarząd gminy otrzymawszy z izby dóbr książki podatkowe i tabelle płatnicze, a z kassy powiatu wykazy biercze, przesyła przed d. 1 grudnia książki podatkowe i tabelle płatnicze starszynom, dla doręczenia ich poborcom podatków. Ci pomiędzy 10 a 15 stycznia winni są osobiście stawić się w zarządzie gminnym po wykazy biorcze, do których zarząd gminny dołącza potwierdzone przez izbę dóbr postanowienie zborów, uchwalające wysokość mających się pobrać składek na ogólne wydatki gromadzkie, i udziela poborcom potrzebne objaśnienia.

102. Poczém starszyna zwołuje zbór, który sporządza rozkład na osadników nietylko podatków kassowych, ale i składek gromadzkich, z wymienieniem, który osadnik w jakiéj wysokości i z ilu dusz winien jest uiścić każdą opłatę, a zarazem wskaże w jaki sposób, i w którém miejscu, poborca ma zachować zebrane od włościan pieniądze.

Rozkład ten poborca wpisuje do książek podatkowych, a starszyna ogłasza go wszystkim osadnikom, i kazawszy przybić go na ścianie domu gromadzkiego zarządu, rozda im książki podatkowe. Zresztą, gdy poborca z pomocą pisarza zaciągnie do tabell płatniczych nazwiska osadników i ilość należnych od każdego opłat, zarząd gminy wszystko to sprawdzi, a przekonawszy się, że jest jak być powinno spełnione, doniesie o tém naczelnikowi okręgu.

103. Oprócz tak uregulowanych opłat i składek, żadne inne miejsca mieć nie mogą; zbór ich naznaczać, ani poborca przyjmować nie jest mocen, a starszyna i zarząd gminy obowiązani są czuwać, aby przez nikogo wybierane nie były. Gdyby zaś ktokolwiek ich wymagał, lub gdyby poborca żądał w wyższéj niż należy ilości uiszczenia opłat lub składek, niż są w tabelli zamieszczone: starszyna doniesie o tém zarządowi gminy, a ten naczelnikowi okręgu, celem zarządzenia i wyprowadzenia śledztwa, pociągnięcia winnego do odpowiedzialności i wymierzenia nań kary.

104. Należne opłaty i składki każdy uiścić powinien w jednéj połowie do 1go marca, a w drugiéj do końca roku; składki gminne przed innemi winny być pobrane, i te poborca wnosi do kassy gminnéj, a wszystkie inne do kassy powiatu, i otrzymuje na to pokwitowanie.

105. Przy wybieraniu należności, poborca summy składane wyrazi w tabelli płatniczéj umówionemi znakami w adnotacyach, jakoto: □ znaczy 10 rubli, Θ znaczy rubel, X znaczy 10 kopiejek, I znaczy jedna kopiejka a — ¼ kopiejki; np. 13 rubli 24½ kopiejek □ΘΘΘXXIIII=

106. Starszyna i zarząd gminy mają obowiązek czuwać nad całością znajdujących się u poborcy pieniędzy, i w tym celu odbywać z nienacka rewizye i sprawdzać rachunki: a w razie znalezionego nadużycia lub nieporządku, zarząd gminy zarządzi środki zaradcze i doniesie o tém naczelnikowi okręgu.

107. Na piérwszym zborze gromadzkim, po upływie piérwszego okresu na pobór opłat przeznaczonego, i w każdym czasie gdy tego zbór zażąda, poborca winien jest przed tymże zdać ustne sprawozdanie i okazać tabelle płatnicze i kwity.

108. Przed końcem roku zbór gromadzki sporządzi obrachunek z pobranych składek gromadzkich, i wykaże pozostały fundusz z roku upływającego, celem postawienia się w możności ustanowienia tychże składek na rok następny.

109. Po skończonym roku poborca zaraz na piérwszym zborze winien złożyć rachunki, wykazy biercze, tabelle płatnicze, i kwity kass powiatowéj i gminnéj. Zbór sprawdzi książki podatkowe z tabellami płatniczemi, i rachunki z kwitami, i sporządzi z poborcą zupełny obrachunek wszystkich składek i opłat. Jeżeli dostrzeże brak lub nadużycie, zamieszcza o tém w protokule stosowną wiadomość, ze swém objaśnieniem; a jeżeli ani braku, ani nadużycia nie będzie, protokularnie wyjaśni w jakiéj ilości opłaty do poboru były wskazane, ile z tych przypadło na duszę i wiele wpłynęło. Obrachunek ten ze wszystkiemi materyałami i decyzyą zboru starszyna przesyła zarządowi gminy, a ten z utrzymywanemi przez siebie księgami, z tabellami płatniczemi, z kwitami, oraz z decyzyami zborów, obrachunki gromadzkie przedstawia izbie dóbr w miesiącu lutym.

110. Gdyby w czasie oznaczonym należność jaka uiszczoną nie była, poborca winien jest o tém donieść starszynie, który zalegających exekwować będzie sam, a następnie przez gromadzki sąd policyjny; a jeżeli to nie odniesie skutku, zawiadomi zarząd gminy, który zarządzi od siebie exekucyą. Lecz gdyby i pomimo to niedobory za piérwszą ratę do dnia 1 maja, a za drugą do dnia 16 stycznia następnego roku nie zostały pokryte, zarząd gminy taki stan rzeczy poddaje pod decyzyą zboru, który nakazać może użycie jednego z następujących środków:

1). Zajęcie wszystkich dochodów z nieruchomej własności zalegającego.

2). Gdyby dochodów wcale nie było lub były niedostateczne, wystawienie na sprzedaż wszystkich ruchomości z wyłączeniem przedmiotów w gospodarstwie niezbędnych.

3). Skazanie do robót na rzecz gromady albo samego dłużnika, albo kogo z jego rodziny.

4). Sprzedaż nieruchomego majątku, z wyłączeniem zabudowań mieszkalnych i gospodarczych koniecznych.

111. Gdyby użycie tych wszystkich środków nie pokryło niedoboru, albo gdyby zbór użycie ich uważał niewłaściwém, całą zaległość rozłoży na osadników, lub każe zaspokoić z funduszu ogólnego, i o tym ostatnim wypadku wójt winien jest donieść naczelnikowi okręgu.

112. Jeżeli zbór postanowi sprzedaż ruchomości, starszyna zawiadomi o tém miejscowy sąd, który ruchomości oceni, sprzeda, i zebrane pieniądze odeśle poborcy, dopilnowanie czego jest obowiązkiem wójta.

113. Jeżeli wystawioną być ma na sprzedaż nieruchomość, sąd miejscowy takową tylko opisze i oceni, a starszyna przedstawi zarządowi gminy, który wyznaczy termin miesięczny do odbycia sprzedaży, i o dniu, w którym ta nastąpi, zawiadomi wszystkie wsie sąsiednie. Po ukończonéj licytacyi, od utrzymującego się przy niéj, przyjmie 10% postąpionéj summy na vadium, a protokuł licytacyjny przedstawi naczelnikowi okręgu. Gdy czynność zyska zatwierdzenie, sprzedaż staje się ważną, a pieniądze o ile zaległość wymaga, zarząd gminy odbiéra i przesyła poborcy, resztę zaś otrzymuje dłużnik.

114. Jeżeli zalegający skazany zostanie do robót, zarząd gminy uczestniczyć ma w jéj uzyskaniu, a starszyna zawiéra z kim wypadnie układ, niedłuższy jednak jak na 6 miesięcy.

115. Starszyna o skutkach z zarządzonych środów exekucyi zdaje zarządowi gminy w miejscu rapporta.

116. Poborca otrzymane pieniądze z zaległości zaciąga do ksiąg i tabell płatniczych i wnosi gdzie należy razem z bieżącemi opłatami. Lecz w tabellach szczegółowo wykaże, kto wiele za kogo uiścił, a jeżeli zaległość z ogólnego funduszu ma być zastąpiona, zamieści o tém wiadomość przy obciążonym zaległością.

l) *Spichrz zbożowy.*

117. W każdéj gromadzie jest spichrz zbożowy pod zawiadywaniem dozorcy, a pod nadzorem starszyny i zarządu gminy.

118. Starszyna winien jest donieść zarządowi gminy: *a*) w marcu o stanie spichrza, *b*) po ukończonym siewie o zasiewach, *c*) w czasie lata o pogodzie i wzroście zbóż, ogrodowin i traw, *d*) po żniwach o urodzajach, *e*) co miesiąc o cenach targowych zbóż, ogrodowin i paszy.

119. Na zasadzie zebranych wiadomości od urzędów gminnych o stanie spichrzów i urodzajów, izba dóbr w październiku,

księgi rachunkowe przez siebie ułożone, i blankiety tabell przesyła zarządom gmin, a te starszynom, którzy je doręczają dozorcom spichrzów.

120. Dozorca spichrza sprawdza ilość zboża, robi z osadnikami obrachunek niedoborów i bieżącego zsepu, i zapisawszy do księgi ich ilość, rozkład tak niedoborów jak bieżącego zsepu wnosi do tabell, i rozdaje one gospodarzom; czego starszyna dopilnuje.

121. Starszyna wyznacza czas, w którym zsep ma być oddawany, i czuwa aby w właściwym zakresie i oznaczonéj ilości był uiszczony; a dozorca spichrza odbiéra go, i zachowuje pod kluczem, który miéć winien u siebie.

Zsep ma być mierzony miarą przepisaną, rządową, opieczętowaną. Dozorca nie ma prawa wymagać ani najmniejszego nadmiaru, ani czynić jakichkolwiek utrudzeń, pod odpowiedzialnością sądową. W razie niedoborów, donosi o tém starszynie, dla zarządzenia exekucyi; jeżeli zaś ta nie pomoże, zbór gromadzki rozłoży niedobór na wszystkich osadników, pozostawiając gromadzie dowolny z zalegającemi obrachunek.

122. Obowiązkiem jest dozorcy czuwać nad całością zsepu, i aby zboże w spichrzu nie uległo zepsuciu. Dlaczego mocen jest a nawet powinien je odmieniać co rok, jeżeliby było surowe, a co lat dwa jeżeli jest suche.

123. Do starszyny i zarządu gminnego należy baczyć, aby dozorcy troskliwie nad spichrzem czuwali; w jakimto celu starszyna powinien z nienacka odbywać dokładne rewizye, i jak go znajdzie, doniesie zarządowi gminy, a ten starszynom i dozorcom wydaje rozporządzenia we względzie zapotrzebowanych wiadomości, i we względzie obrachunków; ciągły ma nadzór nad ścisłém wykonywaniem przepisów; za pośrednictwem wójta lub ławnika sprawdza w miesiącu październiku ilość zapasowego zboża, i książki spichrzowe, i o znalezionym stanie donosi naczelnikowi okręgu, a w wypadku dostrzeżonego nadużycia lub uchybienia, natychmiast przedsiębierze zaradcze środki.

124. W czasie nieurodzaju, lub jeżeli z innego powodu okaże się potrzeba udzielenia zapomogi na siew lub utrzymanie życia, zbór mocen jest zrobić przedstawienie, które starszyna złoży zarządowi gminy, a ten przekonawszy się o konieczności zasiłku, może dozwolić wydanie takowego aż do ¼ całkowitéj ilości zboża znajdującego się w spichrzu; jeżeliby zaś zachodziła potrzeba większego wydatku, przedstawia to naczelnikowi okręgu.

125. Gdyby zarząd gminy sam lub z polecenia władzy wyższéj, chciał się bliżéj przekonać o potrzebujących zasiłku, poruczy to zborowi gromadzkiemu, który wybierze z pośród siebie 3ch zamożnych i wiarogodnych gospodarzy, a ci najbardziéj potrzebujących wskażą, i rzetelność stanu rzeczy zaprzysięgną. Starszyna do zebranych tym sposobem wiadomości, domieszcza swoje objaśnienia, i przesyła zarządowi gminy, a ten jeżeli spra-

wdzenie z wyższéj władzy było żądane, formuje listy potrzebujących, i takowe ze swą opinią i wnioskami przedstawia naczelnikowi okręgu.

126. Gdy zezwolenie do udzielenia zapomogi uzyskaném zostanie, starszyna upoważnia dozorcę do jéj wydania, który komu należy i w oznaczonéj ilości zboże wydać, i wydatek do księgi zapisać powinien. Zarząd zaś gminy i starszyna mają czuwać, aby zapomoga w zupełności każdego doszła, aby przez nikogo przedawaną lub przejmowaną nie była, i w właściwym czasie zwróconą została.

127. Po ukończeniu roku dozorca spichrza zamyka księgę, oblicza ilość zboża należnego, pobranego i pozostałego w niedoborach, niemniéj wydanego; następnie księgę podpisuje i pozostawia w spichrzu, a do nowéj zaciąga tylko ilość znajdującego się i należnego zboża. Nareszcie robi z osadnikami rozrachunek, i po doręczeniu im nowych tabell, przed 1ym marca składa starszynie sprawozdanie w 2ch egzemplarzach, które ten podpisuje i pieczęcią stwierdza; a zarząd gminy złożone takie rachunki zbożowe sprawdza, i po zdjęciu z nich kopii przedstawia je izbie dóbr.

1) *Pobór rekrutów.*

128. Starszyna ma obowiązek czuwać, aby w gromadzie były utrzymywane księgi ludności, i odnawiane co trzeci pobór wojskowy, z wyszczególnieniem zmarłych, nowonarodzonych i przybyłych lub ubyłych.

129. Sołtys zaś po ukończeniu zakresu do poboru, ułoży stosownie do ustawy o losowaniu, liczbę spisowych, czyli wszystkich młodzieńców mających należéć do losowania przy piérwszym następnym poborze.

130. Zarząd gminy dopilnuje, aby listy te ukończone były w piérwszych dniach stycznia tego roku, przed nadejściem którego spisowym skończyło się lat 20, i aby w końcu stycznia listy te były już podług wzoru przepisane w 4ch exemplarzach. Poczém zbór gromadzki składający się ze wszystkich gospodarzy, ze spisowych, ich rodzin, rodziców i opiekunów, pod przewodnictwem wójta, w obecności starszyny i sołtysa sprawdza dokładnie z list tych wiek, wzrost, zdatność, i wszystkie wiadomości o spisowych, rozpoznaje ich zażalenia, i o wszystkich spostrzeżeniach i postanowieniach czyni w nich wzmiankę podług przepisanego porządku; przyczém sołtys objaśnia wszelkie wątpliwości jeżeliby były jakie. Nareszcie listy te wójt, starszyna, sołtys i członkowie zboru podpisują, i 3 egzemplarze przesyłają zarządowi gminy, a 4ty pozostaje w zarządzie gromadzkim.

131. Skoro wszystkich gromad zbory ukończą listy spisowych, zarząd gminy donosi o tém naczelnikowi okręgu, a po otrzymaniu od tegoż rozporządzenia, zwołuje zbór rekrucki gmin-

ny, który w obecności naczelnika okręgu i wszystkich członków zboru, raz jeszcze sprawdza listy spisowych, poczém je dopiéro naczelnik okręgu przedstawia izbie dóbr.

132. Od tego czasu sołtys kontrolluje wszystkie zmiany w rodzinach spisowych, i najpóźniéj w tydzień po ich zajściu, starszyna donosi o nich zarządowi gminy, a ten izbie dóbr.

133. Skoro pobór nakazanym zostanie, zarząd gminy zwoła znów zbór rekrucki gminny i na tém:

a) Dopełni losowania zgodnie z przepisami.

b) Rozpozna prośby o zamianę rekrutów i ich zastępstwo, i te zdecyduje.

c) Ułoży listę obowiązanych wejść do wojska.

d) Wyda rozporządzenie odstawienia rekrutów.

Zbór ten naradzi się zaraz nad zebraniem funduszu na odstawę rekrutów, i wybiéra starszego i młodszych odstawców, uchwali koléj powinności w naturze, a jeżeliby uznał dogodniéj te spełnić przez najem lub entrepryzę, na rachunek ogólnych dochodów zamieści to do protokułu.

134. Starszyna otrzymawszy od zarządu gminnego polecenie względem zebrania uchwalonego przez zbór funduszu na odstawę rekrutów, zawiadomi o tém poborcę dla zciągnięcia od włościan należnéj summy; a nadto z sołtysem dopilnuje, aby powinności w naturze w kolei przez zbór uchwalonéj ściśle i dokładnie były wykonywane, i równo wszystkich ciążyły; a jeżeliby włościanie powinności te przez najem lub entrepryzę chcieli uskutecznić, projekt poprzednio postanowieniem zboru objęty, należy wprzódy przedstawić naczelnikowi okręgu.

135. Nareszcie zarząd gminy z odstawcami rekrutów sporządzi szczegółowy obrachunek z pieniędzy powierzonych im na odstawę, i takowy z dowodami izbie dóbr do rewizyi przedstawi.

IV. Sądy.

136. W każdéj gromadzie jest sąd gromadzki, a w każdéj gminie sąd gminny.

137. Sąd gromadzki jest piérwszym stopniem władzy sądowniczéj: składa się z przysięgłych gromadzkich pod przewodnictwem starszyny, odbywa posiedzenie raz w tydzień w sobotę lub w piątek, gdyby w sobotę przypadało święto.

138. Sąd gminny jest drugim stopniem władzy sądowniczéj: składa się z przysięgłych gminnych pod przewodnictwem wójta, odbywa posiedzenie raz w tydzień w poniedziałek lub w sobotę, gdyby na poniedziałek święto przypadało.

139. Jednakże w miarę uznania potrzeby przez przewodniczących, posiedzenie sądów gromadzkich i gminnych w każdym dniu może miéć miejsce. Wyrokują na zasadzie ustaw wiejskiéj i policyjnéj w sprawach policyjnych do 15 razów i 5 rubli, w sprawach kryminalnych mają prawo aresztowania i początkowego śledztwa, obok

obowiązku meldowania władzom właściwym o zaszłym występku lub zbrodni. W sprawach cywilnych rozsądzają wszystkie spory pomiędzy włościanami, oprócz wspierających się na urzędowych dokumentach, lub do których wmieszane są osoby nienależące do gromady; ostatecznie zaś sądzą policyjnie do razów 12, a w sprawach cywilnych do 15 rsr. Wyroki wykonywają za pośrednictwem dziesiętników, a czynności kancellaryjne spełnia w sądzie gromadzkim pisarz gromadzki, a w sądzie gminnym pisarz gminny lub jego pomocnik.

140. Sądy mieszczą się w tych samych domach co i zarządy, gdzie mają oddzielne kancelarye ze stosownemi sprzętami i areszt.

141. Każda skarga wyjąwszy o nadużycia i uciążenia osób urzędujących, wnoszoną być powinna do sądu gromadzkiego, a dopiéro stronie niezadowolonéj z jego wyroku, w wypadkach ustawami przewidzianych, wolno się odwołać do sądu gminnego, w głównych zaś przekroczeniach sprawy należą do sądów ziemskich. Zresztą skargi o nadużycia i uciążenia osób urzędujących, w gromadzie do starszyny, a w gminie do zarządu gminnego wnoszone być mają. Przewodniczący w sądach pilnują, aby te wyrokowały zgodnie z ustawami, i nie przekraczały służącéj im władzy.

142. Starszyna powinien przestrzegać, aby w razie doznanéj jakiéjkolwiek krzywdy, nikt samowolnie nie wymierzał sobie sprawiedliwości, lecz udawał się po nią do właściwego sądu. Starszyna także równie jak urząd gminy napomnieniami i radą starać się powinien, aby nikt nie wnosił bezzasadnych skarg i zażaleń; a jeżeli który z sołtysów dostrzeże, że w osadach przemieszkują obce osoby, poduszczające włościan do pieniactwa, doniesie o tém zarządowi gminy, a ten naczelnikowi okręgu, dla stosownego z niemi postąpienia; zaś włościanina, któryby kilkakrotnie bezzasadnemi skargami zatrudniał władze, starszyna ma prawo oddać pod sąd.

143. Sołtysa obowiązkiem jest dopilnować, aby wezwani przed sąd, w własnym interesie lub na świadków, stawili się w czasie oznaczonym; i przekonywać się dokładnie, o ważności powodów w razie niestawiennictwa.

144 Skazani na areszt zostają także pod jego dozorem, i tych w razie doznanego od nich nieposłuszeństwa lub krnąbrności, może za wiedzą starszyny obciążyć kajdanami; wyjąwszy kobiét, na które kajdan kłaść nie wolno.

145. Urząd gminny wgląda, aby sądy gromadzkie i władze rozpoznające skargi włościan, nie wymagały od nich żadnych nieprawych datków, aby sądy ile być może najspiesznéj rozsądzały ich sprawy; i dla wymierzenia im sprawiedliwości, w razie uznania potrzeby, czyni o to przedstawienie do władzy wyższéj.

146. Do zajmowania się interesami i prowadzenia procesów dotyczących ogółu gromady, ta może udzielić pełnomocnictwo

jednéj osobie. Jeżeliby wypadło ustanowić pełnomocników z włościan miejscowych, zbór wybierze do tego ludzi posiadających powszechne zaufanie, wyznaczy im fundusz na konieczne wydatki, i zaraz zrobi przedstawienie o pozwolenie zebrania go w sposobie przyjętym przy poborze składek na ogólne wydatki. W rzeczach wymagających osobistych zachodów, zbór sporządzi stosowny protokuł, który prześle naprzód zarządowi gminy do rozpoznania, poświadczenia i przyłożenia pieczęci; a następnie naczelnikowi okręgu, izbie dóbr do zatwierdzenia, i protokuł ten tak uprawniony, wyda upoważnionym od siebie, jako pełnomocnictwo.

VI. O odpowiedzialności urzędników.

147. Naczelnicy i członkowie zarządów, stosownie do powierzonych im obowiązków, są odpowiedzialni: 1) za opieszałość w służbie, 2) za nieporządek i nadużycia, 3) za przekroczenie władzy, 4) za niekorzystne przedsięwzięcia przynoszące uszczerbek dla dobra ogółu gromad i gmin, lub skarbu, 5) za niewykonanie i pozostawienie bez skutku wydanych przepisów lub rozporządzeń, 6) za postąpienie przeciwne obowiązkom, 7) za przedajność i nieprawe pobory pieniędzy, 8) za strwonienie powierzonego im funduszu i inne.

Pisarze odpowiadają: 1) za nieład i nieporządek w utrzymaniu kancelaryi, i w rachunkach, 2) za sfałszowanie akt, 3) za przekroczenie granic obowiązków, przez niewłaściwe zastosowanie rozporządzeń do nich nienależących.

148. Naczelnicy, członkowie i pisarze zarządów ulegają odpowiedzialnosci na ogólnych zasadach przyjętych względem urzędników.

149. Za opieszałość, zaniedbanie, brak sprężystości w działaniu, nieudolność i pomniejsze uchybienia, otrzymują nagany, areszt lub uwolnienie od obowiązków: zaś za przedajność, nieprawy pobór pieniędzy, nadużycia, i wszystkie większe przekroczenia, zostają oddani pod sąd.

150. Na sołtysów, poborcę podatków, dozorcę spichrza i pisarza gromadzkiego, naganę, i areszt do 3 razy wymierza starszyna, naganę 4tą i 5tą, areszt 4ty, udziela zarząd gminy; a naganę 6tą i areszt 5ty naczelnik okręgu.

Na starszynę gromadzkiego napomnienia i nagany do 3 razy wymierza zarząd gminy, naganę 4tą i 5tą naczelnik okręgu, a naganę 6tą i areszt czasowy izba dóbr.

Na członków zarządu gminnego i pisarza, naganę do 5 razy i areszt razy 3 wymierza naczelnik okręgu, a 6tą naganę izba dóbr.

Uwolnienie zaś od obowiązków i oddanie pod sąd naczelników i członków zarządu oraz pisarzy, następuje jedynie w skutek

decyzyi izby dóbr, która potrzebuje być zatwierdzoną przez naczelnika gubernii, jeżeli rzecz dotyczy wójta. Z tegoto powodu śledztwa wykrywające odpowiedzialność członkow, pisarza i naczelników zarządów, przed odesłaniem ich do sądu, mają być przedstawiane izbie dóbr do oceniania, czy winnych należy usunąć od obowiązków i oddać pod sąd.

Nadto pisarze gminny i gromadzki, jeżeli z powodu niedołęztwa i złego prowadzenia się, uchwałą zboru lub przez izbę dóbr uznani zostaną za niegodnych do pełnienia nadal obowiązków, za zezwoleniem ministerstwa dóbr mają być oddani do straży leśnéj dla poprawy lub wysługi lat 10, a gdyby to nie pomogło, oddają się do wojska.

151. Dziesiętnicy i gajowi, za uchybienia w obowiązkach ulegają sądowi gromadzkiemu, zaś za przedajność, wybieranie nieprawych składek, postronną sprzedaż drzewa, oddają się pod sąd kryminalny, na zasadach przyjętych względem zwierzchności gromadzkiéj. Gajowi w razie udowodnionego przewinienia, skazują się na oddanie ich do służby wojskowéj.

152. Za przestępstwa policyjne, członkowie i pisarze zarządów i sądów zamiast wskazania do robót, ulegają aresztowi, a zamiast kary cielesnéj zostają bezpowrotnie oddaleni od obowiązków. Dziesiętnicy zaś i gajowi ulegają zupełnéj karze. A po wyjściu ze służby, wójt, starszyna i pisarz, skoro nie spełnią winnych obowiązków, są sądzeni jak prości włościanie.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Julian Bartoszewicz pracuje obecnie nad wykończeniem w obszernych rozmiarach życiorysu Hozyusza. Postać ta znakomita, główny filar katolicyzmu w Polsce, mało przez rodaków znana, a przez wielu szkoły niemieckiéj filozofów naszych potępiona, pod piórem znanego badacza stanie w oczach narodu w prawdziwem świetle. Praca ta jedna z większych jaką przedsięwziął Bartoszewicz, da nam obraz zarazem Polski ówczesnéj, na którym Hozyusz wysokie stanowisko zajmie. Nakładca już się znalazł (nb. nie księgarz), który pojął ważność i wartość pracy Bartoszewicza. Miłośnicy ojczystéj literatury oczekują dalszego ciągu tegoż pisarza: „Nowéj epoki literatury polskiéj", która z takiem zajęciem czytaną była w piśmie naszém, i zjednała autorowi u ś. p. Konstantego Swidzińskiego tak wysoki szacunek, że go wybrał testamentem swoim za jednego z głównie czuwających nad pozostawioną biblioteką, a przeznaczoną na użytek publiczny. Gdyby Bartoszewicz uzupełnił tę pracę do końca przynajmniéj 1855 roku, byłoby to dzieło obszerne w rozmiarach ważném ubogaceniem literatury ojczystéj.

— Nestor naszych starożytników wykończył rozprawę p. n.: „Początek Ikonografii naszéj, w spisie małego zbioru rycin i obrazków w odciskach z miedzianych blach, które przedstawiają wizerunki królów i znakomitych mężów rodu naszego, tudzież św. patronów polskich i błogosławionych Polaków. Dodane są oraz prace rysowników naszych i inne do tego należące przedmioty". Mamy nadzieję, że wkrótce pracę tę czcigodnego badacza naszego umieścimy w naszém piśmie.

— Współredaktor Biblioteki Warszawskiéj, a vice-prezes Kommissyi archeologicznéj w Wilnie, ogłosił sprawozdanie z posiedzenia zwyczajnego tejże kommissyi w dniu 11 sierpnia r. b. odbytego pod prezydencyą Eustachego hr. Tyszkiewicza. Z niego dowiadujemy się o otrzymanych darach, a między temi o dwóch ważnych rękopismach: pierwszy, składa tom autentycznych listów pisanych do Michała Korybuta księcia Wiśniowieckiego wojewody wileńskiego, ostatniego potomka tego imienia, oprawny i nadesłany przez prezesa Glindzicza; obejmuje zbiór listów Jakóba Sobieskiego, Franciszki Urszuli Radziwiłłowéj znanéj autorki dramatycznéj, Jabłonowskiego kasztelana krakowskiego, znakomitego wodza i przyjaciela króla Jana III, oraz wielu innych głośnych w kraju imion, w liczbie kilkuset. Drugi, jest kopią rękopismu Z. Chodakowskiego (Czarnockiego) znajdującego się w Cesarskiéj publicznéj bibliotece w Petersburgu p. n. „Słownik geograficzny ziem słowiańskich". Dar Włodzimierza hr. Platera. Z prac jednego z najzasłużeńszych badaczy zamierzłych wieków Słowiańszczyzny, Chodakowskiego, oprócz małéj rozprawy o Słowiańszczyznie przedchrześciańskiéj i listów nie wielu, nic więcéj nie znamy. Maksymowicz, ile wiemy, korzystał z bogatego zbioru pieśni ludowych zebranych przez Chodakowskiego, i wydał je po rossyjsku pod swojem imieniem; ale więcéj tych szacownych

pozostało pomników nie wydanych. Spodziewamy się, że Kommisya archeologiczna zechce pospieszyć z ogłoszeniem w druku Słownika geograficznego; tem bardziéj, że łatwo nakładca się znajdzie: kosztów więc wydania ponosić nie potrzebuje, oprócz dołożenia trochę pracy i pilności przy druku tego dzieła. Spodziewamy się bowiem niemało nowych a trafnych spostrzeżeń i badań, które o wiele zbogacą nasze szczupłe wiadomości. Chodakowski rzucał nieraz myśl nową o podziale ziemi w przedchrześciańskich czasach w Słowiańszczyznie: tu znajdziem zapewne jéj poparcie i rozjaśnienie. Cieszymy się wielce ze wrostu i powiększania się zbiorów Kommissyi archeologicznéj w Wilnie: cieszyć się więcéj będziemy, gdy zobaczymy owoce jéj pracy i starań w upowszechnianiu drogocennych zabytków tak dla dziejów, jak i literatury ojczystéj. Spieszyć się w tym względzie jest niemałą zasługą: co drukiem się ogłosi tego nic nie zniszczy; a widzieliśmy już bogatsze księgozbiory i zabytki starożytności, z których jedne pożar strawił, inne rozsypały się po świecie, i teraz smutne tylko po sobie zostawiły wspomnienie! Przysłowie ostrzega, że nauka w las nie idzie.

— Oskar Kolberg wydał zeszyt III Pieśni ludu z melodyami; do zeszytu tego dołączone są kolorowane wizerunki: chłopki z dziecięciem na ręku z pod Raszyna i dwóch kmieci od Rakowa. Postacie z natury przerysowane wiernie, uderzają oddaniem prawdy tak w figurach i szczegółach stroju, jako też i oblicza. Zwracamy uwagę naszych czytelników na wyborne spostrzeżenia nad tém dziełem Kolberga, które ogłosił Józef Sikorski w Gazecie Codziennéj. Wydawca powinien się ściśle do nich w dalszych jeżeli już nie zeszytach, to następnych seryach zastosować, bo uwagi Sikorskiego są oparte na gruntownéj rozwadze, i samemu dziełu dodadzą więcéj jeszcze wartości.

— W zeszycie pisma naszego na wrzesień r. b. umieściliśmy „O kronice Jarosława i archiwum królewieckiém" wiadomość, udzieloną przez znanego w literaturze naszéj Józefa Łukaszewicza. W niéj uczony badacz, mówiąc o zabytkach rękopiśmiennych w tém archiwum przechowanych, pisze, że są tu i listy Hieronima Radziejowskiego „owego nikczemnika, który mszcząc się za krzywdę wyrządzoną mu przez Jana Kazimierza, podburzał wszystkie sąsiedzkie dwory przeciw Polsce, a najechawszy wojskiem szwedzkiém Wielkopolskę, szarpał wnętrzności własnéj ojczyzny. I takiego człowieka, „nowa szkoła historyczna" warszawska, nie mając wręku jego *corpus delicti*, którém są liczne korrespondencye Radziejowskiego z nieprzyjaciołmi kraju, zachowane w archiwach tajnych dworów zagranicznych, usiłuje przywrócić do czci historycznéj! Jeżeli Radziejowski był cnotliwym obywatelem, natenczas nie ma zbrodni przeciw krajowi, i Michał Gliński, Oscik, Zborowscy, Zebrzydowscy i tym podobna drużyna ma równe prawo jak Radziejowski do tolerancyi historycznéj". Co autor tego artykułu rozumiał przez „nową szkołę historyczną warszawską:" nie pojmujemy. W Dzienniku Warszawskim czytaliśmy domniemywania (jednego z korrespondentów) o Radziejowskim, z widocznym celem wydobycia z dziejów jakich dowodów na stronę Radziejowskiego, że prostym zdrajcą kraju nie był; Bartoszewicz domysły te popierał. Wszakże dorywcze te uwagi nie mają dowodów poważnych, któreby mogły zachwiać sąd już wydany przez

historyą. Czyż jedna korrespondencya Dziennika Warz. i sam redaktor, stanowią szkołę „nową historyczną warszawską?“ Mamyż liczyć szkoły historyczne podług ilości indywiduów pracujących na téj niwie, i jak niedawno dzielono poetów na szkoły litewską, ukraińską, krakowską i polską i t. p. wierzyć w szkoły historyczne warszawską, poznańską, wileńską i krakowską? Sądzimy, że sam Bartoszewicz odpowie na przymówkę wprost do niego wymierzoną; my tu opozycyą zapisać musimy co do wmieszania w tę drużynę Zebrzydowskiego. Dziwimy się nawet, że tak znakomity badacz przeszłości naszéj, jakim jest p. Józef Łukaszewicz, nieoględnie to imię między Radziejowskiego, Glińskiego, Oscika i Zborowskich pomieścił. Jeżeli (jak wyraża) *corpus delicti* przeciw Radziejowskiemu składają jego liczne korrespondencye w archiwach zagranicznych: to my znowu w ręku podobne mamy dowodzące, że Zebrzydowskiego postać wcale się inaczéj maluje na obrazie dziejów polskich. Człowiek, który pobity pod Guzowem, przez województwo krakowskie był witany uroczyście, na którego powrót śpiewano pieśni, a obywatele przyjmowali jak tryumfatora: to nie Gliński i Zborowscy. Cały ustęp rokoszu dziś się inaczéj stawia oczom uważnego badacza, i dziś już się nie godzi, nie wolno imieniem Zebrzydowskiego, jak przed 30 laty, pomiatać, i spychać je w rzęd prostych zdrajców kraju. Ustęp ten oczekuje bezstronnego badacza, któryby rokosz przedstawił wiernie. Materyały drogocenne do tego już się coraz więcéj mnożą, z dniem każdym nowe światełko przybywa, rozjaśniające tę sztuczną ciemnię, przez stronnictwo zwycięzkie Zygmunta IIIgo na karty dziejów rzuconą. Spodziewamy się, że niedługo będziemy oczekiwać na w ukryciu spoczywające świadectwa, aby wydatna postać Zebrzydowskiego, oczyszczona z błota, kłamstwa, nienawiści i podłości przez partyzantów Zygmunta IIIgo narzuconego, stanęła we właściwéj barwie przed sądem poważnéj historyi. Nie wątpimy, że wyrok jéj będzie sprawiedliwy, po przejrzeniu dowodów, a w tym niewątpliwy, że Zebrzydowskiego zaprawdę wykreśli z téj drużyny, którą nam imiennie podał szanowny J. Łukaszewicz.

— Księgarz Natanson, pismami Kraszewskiego rozpoczął u nas wydawnictwo dzieł polskich tak zwanych illustrowanych, chociaż, jakby na próbkę tylko, dał po jednym drzeworycie tak na powieści Kordecki, jak i Pod Włoskiem niebem. Nie pojmujemy téj oszczędności w illustracyi, tém więcéj że w interesie samego nakładcy jest, ażeby wydawnictwu swemu, rzeczy dobrze znanych i rozpowszechnionych, dać przystrój nowy i artystyczny. Utalentowany Pilaty znalazłby niewątpliwie w Kordeckim ustępy godne drzeworytów, a te zachęciłyby większą liczbę nabywców. Kordecki kosztował w pierwszém wydaniu 24 złp. teraz w powtórném, wydawca o połowę zniżył na złp. 12. Cena nie byłaby wygórowana przy illustrowanéj edycyi, ale jest zbyt wielką na jeden drzeworyt, tém bardziéj, że autorowi nie płaci pierwotnego honoraryum, tylko mniejsze, a wydatki druku i papieru są wiadome, bijąc zaś 2,000 exemplarzy, należało przystępnością ceny zachęcić. Wydanie obu powieści staranne, a cena: Pod Włoskiem niebem“ złp. 3 gr. 10 umiarkowana. Prosimy wydawcy, aby zrobiwszy tak piękny początek, w dalszym ciągu dał nam naprawdę edycyą pism Kraszewskiego illustrowaną,

a w każdéj powieści tego pisarza nie zabraknie scen w dziecznych dla ołówka artysty.

Nieraz już pisaliśmy o potrzebie podobnego wydania pism Józefa Korzeniowskiego. Tu jeszcze obszerniejsze pole dla artystów naszych, gdy przyjdą dramata większe i komedye tego pisarza. Wiele z nich już jest oddawna wyczerpanych z obiegu handlu księgarskiego, a p. Zawadzki, któremu wyłącznie prawie do druku oddaje dramatyczne utwory swoje i powieści Korzeniowski, tak w tym względzie niedbały, że pomimo licznych żądań, nie pomyślał dotąd o tém: woli drukować nowe rękopisma, które przecież nie zastąpią prawdziwych artystycznych utworów Korzeniowskiego. Pięknyto byłby ich zbiór w jednę całość zebranych, i licznych znalazłby nabywców. Autor chętnieby się zajął przejrzeniem, przygotowaniem do nowego wydania, a edycya taka, równie jak pism Kraszewskiego, byłaby zasługą nakładcy dla literatury ojczystéj.

— Nakładem pomienionego księgarza H. Natansona wyjdą wkrótce następne dzieła: Humboldta: Obrazy natury; Dickensa powieści: Bleak House (Pustkowie) i Dawid Copperfield; Kraszewskiego pism ciąg dalszy: „Ostrożnie z ogniem, i Dziwadła".

— Wystawa starożytności w pałacu hr. Augusta Potockiego, w przeszłym miesiącu na pewien przeciąg czasu zamkniętą została: otwarcie jéj na nowo nastąpi zapewne z początkiem października. Przekonano się, że bez katalogu dokładnego, szczegółowego z objaśnieniami historycznemi zabytków znajdujących się na téj wystawie, ginie wiele zajęcia dla odwiedzających, którzyby pragnęli mieć wiadomość dokładną o każdym oglądanym przedmiocie. Katalog ten wkrótce ukończonym będzie i wydrukowany: wówczas na nowo „Wystawa starożytności" otwartą zostanie.

— Pierwsi rzuciliśmy myśl, o postawieniu pomnika grobowego dla ks. Boduena, założyciela szpitala Dzieciątka-Jezus. Słowa nasze nie były daremne: za pośrednictwem Kuryera Warszawskiego zaczęto robić składkę, i wkrótce mamy nadzieję, że pomnik choć skromny uczci miejsce spoczynku świątobliwego kapłana.

— Nakładem księgarza B Lessmana wyszły: „Nowe zadania do grammatyki francuzkiéj Chapsala i Nocla, w porządku prawideł ułożone i zastosowane do użytku młodzieży polskiéj, z dodaniem zbioru wyrażeń właściwych językowi francuzkiemu (gallicismes), oraz Słowniczka polsko-francuzkiego wyrazów, w téj książce zawartych, przez B. L." (w 12 str. 155). Jestto podręczne a wielce użyteczne dziełko dla uczących się języka francuzkiego.

— Professor gimnazyum lubelskiego Felix Jezierski, który chlubnie dał się poznać z prac literackich, przygotował do druku przekład z Longfellofa, poematu dramatycznego „Złotą legendę, i Ewangielinę". Wkrótce damy obszerniejszą wiadomość o tém tłumaczeniu p. Jezierskiego.

— Powieść Kraszewskiego, drukowana w naszém piśmie „Jermoła" wyszła w oddzielném wydaniu.

— Cmentarza Powązkowskiego pod Warszawą zeszyt IX już w druku skończony: wyjście jego wstrzymaném zostało nieco, aby należne ryciny dołączone były. Począwszy od zeszytu IX przy każdym następnym

wydawca dołącza po sześć rycin, ażeby tom 2gi miał wedle prospektu 24 rycin. W tym zeszycie rozpoczął autor życiorysy spoczywających w katakumbach powązkowskich: wiele się tu przejawi zajmujących i głośnych imion postaci.

— Otrzymaliśmy prospekt na „Słownik języka polskiego“ wychodzący nakładem Maurycego Orgelbranda w Wilnie. Całkowity domieścimy wkrótce do naszego pisma: teraz tylko wspomnimy, że obejmie tom jeden w 8ce wielkiéj, na dwie szpalty podzielony, i począwszy od 1 października wychodzić będzie co miesiąc zeszyt od 3 do 5 arkuszy. Zeszytów takich będzie około 20. Wydawca pragnąc korzystać ze światła rodaków, a mając na uwadze udokładnienie tak ważnego dzieła, zapowiada, że pomoc naukową przyjmuje nawet w czasie druku słownika, i materyały nadsyłane albo pomieszczą się w ogólnej treści, albo objęte zostaną oddzielnym dodatkiem. Cena prenumeraty dla pierwszych 600 prenumeratorów rs. 10: jestto cena bardzo przystępna, i mamy otuchę, że znajdzie wydawca ochoczych przedpłacicieli w większej daleko liczbie, którzy potrafią ocenić całą ważność takiego dzieła.

— S. Orgelbrand jeden z najprzedsiębierczych księgarzy naszych, wkrótce ukończy druk przekładu Historyi powszechnéj Cezara Cantu. Oddzielny tom po wyjściu ostatniego w tłumaczeniu, ma zaraz się drukować, a obejmować ma w obszernych ramach literaturę słowiańskich plemion. Równocześnie zabiera się S. Orgelbrand do przygotowań stanowczych, celem wydania Encyklopedyi powszechnéj, wraz z polską w połączeniu: dzieło mające obejmować 15 tomów wielkich. Śmiałe to przedsięwzięcie, potrzebujące wielkich nakładów i sumiennych pracowników, nieocenione dla oświaty krajowéj przynieść może korzyści.

— W. A. Maciejowski, po odpoczynku letnim na wsi, z powrotem do Warszawy zajmie się dalszą pracą nad piśmiennictwem polskiém, którego dzieje zamierza do r. 1830 włącznie doprowadzić.

Kraków. „Autor Katalogu biskupów krakowskich pracuje obecnie nad dziełem, mającém podać szczegółowy opis katedry krakowskiéj na Wawelu, takiéj, jaką była za dawnych czasów i jaką jest dzisiaj. Do tego dzieła dołączonych będzie 25 w perspektywie zdjętych widoków wnętrza katedry, z najdokładniejszém zachowaniem szczegółów, które są często pominione w „Monumentach“ krakowskich Stachowicza, a odbitych w petersburskiém wydaniu Wolfa.—W drukarni Czasu wyszedł tom 1szy „Historyi wymowy w Polsce“ skreślony przez Karola Mecherzyńskiego professora literatury polskiéj w uniwersytecie Jagiellońskim; z tejże drukarni wydano: Adam Mickiewicz, wspomnienie pozgonne p. Lucyana Siemieńskiego w 8 str. 42: i „O dawnych i teraźniejszych prawach polskich, słów kilka autora Listopada“: rozprawa żadnéj wartości naukowéj niemająca. Walery Wielogłowski wydał: „Dom mojéj babki:“ jestto rodzaj domowych pamiętników, obejmujących zdarzenia od r. 1800 do 1816. „Obrazki z obyczajów ludu wiejskiego,“ których pierwszy poszyt zawiera dyalogowaną powiastkę „Leniwy Bartek i Kuba jarmarczny“.—Tessarczyk zaczął wydawać poszytami życiorys Ludwika Napoleona Hugo: złożyć to ma obraz nadzwyczajnych wypadków kolei losu, przez 22 lat usiłowań dla przywrócenia cesarstwa, aż do wstąpienia

na tron i ustalenia dynastyi. Wyszły także następne pisma: „Żywot N. Panny“ przez tegoż Wielogłowskiego: „Wykład pisma śgo“ p. ks. W. Serwatowskiego (ciąg dalszy), i drugi i trzeci poszyt Niewiast ewangielicznych, dzieła ks. Ventury, przekładu ks. Zygmunta Goliana. Pod prasą jest: „Fabiola“ przez kardynała Wisemana.

Wilno. (z listu.) ....Nie masz już żadnej nadziei, ażeby Obraz bibliograficzny Jochera poszedł daléj, a tém więcéj, abyśmy kiedyś całość ujrzeli. Smutny to zawód dla rzetelnéj firmy Zawadzkich. Przeglądałem exemplarz ś. p. Bentkowskiego dawno przygotowany do drugiego wydania Historyi literatury polskiéj, i dosyć się nadziwić nie mogę, że Zawadzki nie wydał go oddzielnie: niewątpliwą jest rzeczą, że druga edycya tego tak podręcznego dzieła rozeszłaby się prędko, i ochotników do kupnaby nie brakło, tém bardziej, że pierwsze wydanie Bentkowskiego do bajecznych cen dochodzi. Co lat dziesięć zbogacany nowym spisem dzieł i autorów Bentkowski, na długie czasy wystarczyłby dla zbieraczy polskich książek, którzy obejść się bez tego dzieła nie mogą i przepłacają drogo. Księgarnia Zawadzkiego, pięknością i starannością wydań odznacza się nietylko w Wilnie, ale i w kraju. Z nowości przez nią wydanych oprócz Listów z Krakowa Kremera, wyszły: „Wdowiec“, i „Dwa światy“ powieści Korzeniowskiego i Kraszewskiego: a przytém bardzo zajmujące i wysokiéj wartości literackiéj: „Opowiadania i krajobrazy: Szkice z wędrówek po Ukrainie Tadeusza Padalicy (Zenona Fischa.)“ Jest tu opis części Ukrainy i powiastki z niezwykłym talentem na tle podań miejscowych skreślone. Zenon Fisch, oddawna wam, jeszcze „z Gwiazdy“ kijowskiej znany: pisarzto rzetelnego talentu, który ma piękną przyszłość przed sobą. Obok dzieł takich, nakładem tejże księgarni Zawadzkich wyszły: „Posiedzenia miejskie“ we IV niedzielach, wydał February Luty. Książeczka o 135 stronnicach wierszem pisanych. Autor rozmawia tu z wieśniakami i słucha ich opowiadań. Dawno już podobnych częstochowskich rymów nie czytaliście: rozmowy nietylko przesadzone prowincyonalizmami, ale w wielu miejscach tak ciemne, że zrozumieć trudno. Dowcipy bardzo tuzinkowe, które niezgrabnie wyzierają z tych wierszydeł, ciężkich, pozbawionych wszelkiéj nawet barwy łatwości. Dziwimy się naprawdę co spowodować mogło księgarnią Zawadzkiego do ogłaszania własnym nakładem tych „posiedzeń miejskich“, które na wieczne czasy powinny w tece autora spoczywać sobie. Szkoda starannego wydania, bo ozdobniejszy i piękniejszy ma druk i papier niż Janko Cmentarnik Syrokomli! Czytaliście zapewnie ten najnowszy utwór ulubionego na Litwie śpiewaka; wiem, że i u was ma współczucie. Powinniście być wdzięczni za to, cośmy o pośpiechu Syrokomli pisali, bo zyskaliście śliczny wiersz z listem w odpowiedzi. Ostroga jak widać czasem użyteczna, niestety! nie mam już nowéj, a powtarzać się nie chce. W bardzo pięknem wydaniu Zawadzki ogłosił tu „Studya historyczne“ Michała Balińskiego; obejmują rozprawy: 1. Jan Śniadecki i Tadeusz Czacki. 2. Napoleon i Jan Śniadecki. 3. Dopełnienie pamiętników o królowéj Barbarze: są to rzeczy po raz pierwszy ogłoszone drukiem. 4. Spytko z Melsztyna i ród jego. 5. Zgon Żołkiewskiego w cecorskiéj wyprawie i pomnik jego w Bessarabii. 6. Paprocki i Panosza. Trzy te rozprawy już dawniéj ogłoszone, teraz poprawione i ważnemi przypisa-

mi powiększone. W dopisku o szkicu Karola Szajnochy p. n. Barbara Radziwiłłówna, znajdziecie obronę Balińskiego wymowną, i sprostowania ciekawe, co do uchybień Szajnochy. Ciekawi jesteśmy wielce, co ten znakomity historyk odpowié na zarzuty Balińskiego. Mowią, że Kommissya archeologiczna nasza ma zająć się wydawaniem pisma treści odpowiedniéj głównéj myśli założenia téj komissyi. Przedmiotów nie braknie, ani zdolnych współpracowników, którzy uczone to zebranie składają. Ważne z tego pisma literatura, a głównie dzieje wewnętrzne Litwy odnieść mogą korzyści. Wyszły dwa pierwsze zeszyty, wielce zajmującego dzieła Adama Kirkora, znanego pod pseudonymem „Jana ze Śliwina". Kirkor dał się już poznać zaszczytnie w literaturze naszéj. Drukowaliście w Bibliotece waszéj jego wycieczki archeologiczne, pełne zajęcia i ważnych badań. Owoż i to dzieło: „Przechadzki po Wilnie i jego okolicach", którego dwa zeszyty wyszły (wiele będzie ich, nie wiem) zalecają się równą wartością tak co do treści, jak i artystycznego obrobienia."

Lwów. (Z listu.) „Druk tomu 2go Słownika Lindego jest prawie na ukończeniu. August Bielowski zajmuje się wydaniem Żółkiewskiego rękopismu: „Początek i progress wojny moskiewskiéj". Istniejące tego dzieła wydania i odpisy dawniejsze, są w tém wydaniu porównane i waryanty zestawione. W dodatku przyłączone będą listy hetmana, téj wojny dotyczące, z oryginałów przepisane. Bielowski na czele umieści żywot hetmana, do którego ma być dodany wizerunek autentyczny Żołkiewskiego. Macie dowód, że Zakład imienia Ossolińskich nie zasypia, i myśl dostojnego swego założyciela pięknie rozwija: ale bo też ma gorliwych i naukowych ludzi, jak Dzieduszycki, Bielowski, Szajnocha. Ostatni objął teraz redakcyą Rozmaitości przy Gazecie lwowskiéj.—Księgarz Kajetan Jabłoński ogłosił wydawnictwo: „Dzieł znakomitych pisarzy krajowych". Rozpoczął nakład swój od pism zmarłego z powszechnym żalem Józefa Dunina Borkowskiego. Pisma te złożą trzy tomy, i obejmą rozprawy: Greczyzna w Polsce, podzielona na oddziały: 1. Oddział literatury. 2. bijograficzny, oraz dzieje nowogreckiéj literatury. Poezya żydowska w Polsce; dzieje poezyi żydowskiéj na ziemi polskiéj; uwagi nad przekładem pieśni gminnych nowogreckich Alexandra Chodźki O języku łowieckim. Wiadomości ze świata muzycznego. Przekłady: Treso, dramat Dumasa, Apollodor, z Herodota Klio i Melpomena. Pieśni ludu przez ś. p. Borkowskiego po kraju zbierane. z opuszczeniem już drukowanych. Opisanie ziemi mołdawskiéj przez Mirona Kostyna r. 1684 napisane, a przez autora objaśnione. Zeszyt 1 już wyszedł i zawiera żywot J. Borkowskiego przez A. Bielowskiego, i poezye autora. W końcu 3 tomu pomieszczone zostaną: Gazeta na cześć emira Jussufa (Borkowskiego) przez Lucyana Siemieńskiego, wspomnienia pośmiertne na cześć tegoż, wierszem i prozą. Widzicie z tego, jak piękny przybędzie nabytek dla literatury ojczystéj w tém dziele, w którém poraz pierwszy zapoznamy się z Greczyzną w Polsce i poezyą żydowską, a przedmioty te znajdziem gruntownie opracowane, bo byłto pisarz wielkiéj pracy i czystego sumienia literackiego. Brat jego żyjący Leszek, ze szkodą literatury zamilkł: czy na długo, czy na zawsze, czas pokaże.—Kornela Ujejskiego znacie cudne utwory poetyckiego pióra; jestto jeden z prawdziwych

wieszczów, nie rymopisów gładkich; wieszczów z podniosłém uczuciem i namaszczeniem poetyckiém. Ukończył on dwie powieści poetyczne: „Podróż przerwana" i „Konfederat Barski".—Nowiny przestały wychodzić od kwietnia r. b. ale zaraz przybrały tytuł znanego pod redakcyą Szajnochy: Dziennika literackiego; przecież dotąd mu nie dorównały. Wiele ma dobrych artykułów nowego redaktora Jana Zacharyasiewicza, Kraszewskiego, który nadesłał Gawędy o literaturze i sztuce: 1) O powołaniu literackiém. 2) Pojmowanie przeszłości. 3) Dziennikarstwo w Polsce. 4) Sztuka dramatyczna w Polsce. 5) O poezyi szlacheckiéj. 6) Malarstwo. Są tu poezye pierwszych z nowoczesnych poetów, jak Lenartowicza, Ujejskiego i Jabłońskiego. Pomimo to Dziennik literacki nie zapomniał zwyczaju dawniejszych Nowin, bo lubi przedruki z pism waszych. Najwięcéj żywi się z artykułów Gazety Warszawskiéj.—Jeden z pierwszych powieściopisarzy galicyjskich Józef Dzierzkowski, którego Bliźnięta i Król dziadów do znakomitych utworów w téj gałęzi literatury należą, pisze powieść osnutą na zdarzeniach historycznych XVIII wieku. Jan Zacharyasiewicz, ukończył powieść p. n. „Pan kapitan" malującą czasy po upadku Napoleona.—Mieczysław Romanowski ma ogłosić powieść poetyczną: Łużeccy; a nieznany autor na tle historycznem osnowaną: Marek Jachimowski.—W drukarni Pillera wyszła. „Wiadomość historyczna o statui alabastrowéj Najświętszéj Maryi Panny Jackowéj, łaskami słynącéj, podana przez ks. Donata Piętkowskiego zakonu kaznodziejskiego". Jestto ważny ustęp dziejowy do historyi kościoła i zakonu kaznodziejskiego na Rusi-Czerwonej.—Wyszedł tu obraz historyczny w pięciu oddziałach przez Kazimierza Sadowskiego p. n. „Odsiecz Wiednia". Hippolit Stupnicki redaktor Przyjaciela domowego, wydał chrzest Mieczysława, obraz Smuglewicza, i Sobieski pod Wiedniem utwor tegoż malarza. Staraniem tegoż ma wyjść wielka rycina przedstawiająca na jednym arkuszu wszystkich królów polskich od Mieczysława I do Stanisława Augusta włącznie, w całych postaciach. Do tej pracy użył znakomitego artysty, który zdejmuje podobizny z ważnych i najlepszych źródeł, znajdujących się w Zakładzie imienia Ossolińskich naszego miasta.—Z pism obchodzących nasz kraj rolniczy, wymienię: „Łatwy sposób rozpoznawania ziemi ornéj, aby ją ulepszyć, wraz z niektóremi uwagami nad uprawą roli" przez uczonego chemika naszego Teodora Terosiewicza. Jestto drugie wydanie, pomnożone nowemi spostrzeżeniami. „Pasieka w ulach Dzierżona. Jak budować najlepsze i najtańsze prawdziwe ule Dzierżona i jak osadzać i pielęgnować w nich pszczoły sposobem najprostszym. Napisał z własnego doświadczenia Julian Lubieniecki (z rycinami"). (w 8ce str. 190).

Dnia 7 września r. b. umarł w Warszawie Tymoteusz Lipiński w 59 roku, współautor Starożytnej Polski, b. professor szkół publicznych, a stały współpracownik naszego pisma. Mąż prawdziwéj nauki, sumienny pracownik, szlachetny w charakterze, obudził żal powszechny zgonem swoim. Wkrótce podamy w naszém piśmie szczegółowy życiorys tego pełnego zasług pisarza.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

***Sierpień*, 1856.**

Sierpień 1856. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser-**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad po- watoryum Astronomiczném Warszawskiém.

ziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1g. 14m.45s.,7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10. god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz.wiecz.	10 godz.wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	deszczu	śnie gu-
1		756.88	757.22	756.24	755.76	+ 12°.9	+ 20°.2	+ 22°.6	+ 18°.6	67.5	pogodny	pr. pogodny	pochmurny	pogodny	Z.	PnZ.	PnZ.	Pn.		
2		756.49	756.53	754.74	754.02	16.3	19.7	25.2	20.8	61.0	pochmurny	napół pog.	pogodny	pogodny	PnW.	PnZ.	Pn.	—		
3		752.85	752.59	751.69	752.09	17.1	22.7	23.9	16.6	59.2	pogodny	pogodny	lek. pochm.	pogodny	—	PnZ.	Pn.	—		
4		752.05	751.85	750.06	750.18	12.2	17.4	21.2	14.4	59.5	pogodny	napół pog.	pr. pogodny	pogodny	Pn.	PnW.	—	—		
5		749.81	749.55	749.24	750.12	13 0	17.2	17.6	14.4	64.0	pr. pogodny	napół p. d.	pochmurny	pogodny	Pn.	PnZ.	PnW.	PnZ.	3.0	
6		750.54	750.29	748.61	748.58	11.8	17.7	20.7	13.5	62.0	pogodny	napół pog.	napół pog.	pochmurny	Pn.	PnW.	Pn.	PnZ.		
7		746.46	745.36	744.85	744.66	13.7	20.5	18.4	13.3	66.3	pochmurny	pr. pochm.	poch. desz.	pochmurny	Z.	PdZ.	Z.	Z.	2.0	
8		746.93	747.18	746.35	746.20	11.4	17.2	19.8	14.8	79.0	lek. zamgl.	pochmurny	pochmurny	poch. desz.	Z.	Z.	Z.	PdZ.	3.2	
9	☽.	744.90	745.16	742.88	745.40	14.6	20.0	24.7	15.4	77.5	pochmurny	pogodny	poch. desz.	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Z.	7.0	
10		747.42	748.10	749.16	750.60	14.1	15.4	16.3	12.9	83.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	Z.		
11		750.80	750.92	750.38	752.46	11.9	16.6	20.6	14.2	68.0	poch. mgła	pr. poch. d.	pr. pogodny	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	Pn.		
12		755.17	755.76	754.86	755.90	9.2	14.0	18.9	11.6	66.3	pogodny	pogodny	lek pochm.	pogodny	Pn.	PnW.	W.	W.		
13		757.16	757.44	756.38	756.64	9.5	16.1	22.1	14.2	59.5	smugi	pr. pogodny	lek. pochm.	lek. pochm.	—	W.	PdW.	—		
14		756.66	756.80	754.54	753.03	11.5	19.0	24.0	15.8	55.5	pogodny	pogodny	smugi	smugi	PdW.	PdW.	Pd.	—		
15		750.79	749.50	749.92	750.66	15.4	19.4	22.0	14.8	77.5	poch. desz.	smugi	napół p. d.	pogodny	PdW.	Pd.	Z.	PdZ.	6.8	
16	☾.	749.49	749.13	747.31	747.79	13.6	16.5	22.5	14.6	73.2	pogodny	poch. desz.	pr. pochm.	pogodny	—	Z.	Z.	—	4.0	
17		747.16	746.85	744.58	743.47	11.4	18.4	22.9	16.6	64.3	pr. pogodny	pogodny	pr. pogodny	lek. pochm.	—	PdZ.	Z.	PnW.		
18		740.46	738.96	738.37	737.18	14.9	14.6	16.9	16.1	85 2	pochmurny	poch. desz.	pochmurny	pochmurny	W.	PnW.	W.	W.	3.6	
19		734.00	732.29	732.63	733.11	16.1	21.4	21.7	17.3	87.3	pochmurny	smugi	poch. desz.	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.	12.4	
20		734.73	735.66	738.67	743.97	16.3	19.2	16.2	13.9	90.7	lek. pochm	pochmurny	deszcz	pochmurny	Pd.	Z.	PnZ.	PnZ.	14.4	
21		747.74	748.44	747.34	746.51	11.4	15.0	19.8	15.0	74.5	pogodny	pogodny	pochmurny	pogodny	PnZ.	W.	Pd.	Pd.		
22	☾.	745.11	743.34	740.51	742.34	14.2	21.6	21.8	14.8	80.0	lek. pochm.	lek. pochm.	poch. desz.	pogodny	PdW.	PdW.	Z.	Z.	2.0	
23		742.86	743.17	742.84	748.25	11.4	19.0	21.0	16.0	70.8	pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	PnZ.		
24		750.66	752.22	752.29	753.49	9.4	14.6	18.8	13.7	69.7	lek. poch.d.	pochmurny	pr. pogodny	pogodny	PnZ.	—	PnZ.	PnZ.	1.4	
25		754.41	754.59	752.95	753.46	11.0	16.0	18.8	11.4	74.3	pogodny	pochmurny	napół pog.	pogodny	PnZ.	PnZ.	Z.	Pd.		
26		750.31	749.48	745.53	744.37	10.4	17.8	21.6	16.7	60.7	pochmurny	pogodny	pogodny	pochmurny	—	Pd.	Pd.	Pd.		
27		744.27	745.69	745.77	746.35	13.8	15.8	16.3	12.8	69.0	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
28		743.77	743.96	744.86	746.49	12.9	15.6	16.1	10.0	78.3	pochmurny	poch. desz.	napół pog.	napół pog.	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.	2.4	
29		746.24	746.37	743.68	742.25	9.3	16.3	14.3	13.2	78.5	lek. pochm.	lek. pochm.	poch. desz.	pochmurny	PdZ.	Pd.	Pd.	Pd.	4.6	
30	☽.	739.72	740 00	744.83	752.86	10.7	11.4	12.4	9.8	87.7	poch. desz.	lek. mgła	poch. desz.	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.	11.8	
31		756.45	751.40	755.65	754.16	4.8	12.2	16.4	9.3	72.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	PdZ.	Pd.	PdW.		
śre.		748.464	748.445	747.668	748.463	+12°.46	+17°.37	+19°.85	+14°.40	71.7									78.6	

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.260	27	7.701
Najwyżej barometr dochodził d. 13 o g. 10 r.	757.44	27	11.770
Najniżej — — d. 19 o g. 10 r.	732.29	27	0.622

Dotąd ani razu w sierpniu barometr nie spadł tak nizko.

Średnia zmiana dzienna barometru	3.784		1.677
Największa zmiana dzienna barometru d. 30—31 o g. 6 r.	17.73		7.860
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	1.294		0.574
	749.554	27	8.275
Średnia temperatura sierpnia wynosi:	+ 16°.02 C.		+ 12°.82 R.
i ta jest niższa o	2.05 „		1.64 „
od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	+ 18.07 „		+ 14.46 „
Największe ciepło było d. 2 o g. 4 w.	25.2 „		20.16 „
Najmniejsze — — d. 31 o g. 6 r.	4.8 „		3.84 „

Dotąd ani razu w sierpniu nie było tak chłodno jak w d. 31 rano.

Średnia zmiana dzienna temperatury	2.412 „		1.929 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 9—10 o g. 4 w.	8.4 „		6.72 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: +20°.4 R. d. 3 po połud.
Minimum: + 3°.3 „ d. 31 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 71.7, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 9.84 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.02 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 78.6 mil. czyli 34.84 lin. par.; ilość ta wody jest o 1.81 lin. par. większa od tej, jaka średnio w sierpniu spada.

Dni pogodnych było 6, napół pogodnych 13, pochmurnych 12.
— deszczu 16 (d. 5, 7, 8, 9, 10, 15, 16, 18, 19, 20, 22, 23, 24, 28, 29, 30).
— mgły 2 (d. 11, 30).
— grzmotów 3 (d. 9, 15, 19).
Wichrów 1 (1 PnZ.).
Wiatrów mocnych 7 (5 Z., 2 PnZ.).

Wiatr panujący: Zachodni, częste były także Północno-zachodnie. Sierpień r. b. był nie pogodny, przeszło o półtora stopnia R. chłodniejszy niż zwykle; wiatry północno-zachodnie osobliwie po deszczach, znacznie oziębiały powietrze. Najcieplejsze dni były d. 1, 2, 3, 9, 19; najchłodniejsze d. 12, 24, 25, 27, 28, 29 39, 31. Dnia 31 z rana termometr wskazywał tylko 3.3 stop. R., to jest o 1.14 stop. R. mniej niż w dniu najchłodniejszym 27 sierpnia 1848 r. Barometr w dniu 29 o godz. 10 rano spadł na 27 cali 0.62 lin. par. to jest tak nizko jak w żadnym z lat poprzednich. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był mniej pogodny niż zwykle. W stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 7.1 : 12.9 : 11; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 6 : 13 : 12

Dnia 24, 26 pokazywały się plamy na słońcu.

Wysokość wody na Wiśle pod Warszawą największa dochodziła stop. 2 cali 7 d. 1; najmniejsza stop. 1 cali 10 d. 13, 14, 18, 19, 20, 29.

D. 24, 26 pokazywały się plamy na słońcu.

O BOLESŁAWIE CHROBRYM

NOWE ŚWIADECTWO WSPÓŁCZESNE.

PRZEZ

J. Papłońskiego.

W bibliotece miejskiéj w Hamburgu, w oddziale *historyi* nr. 321, pod tytułem: „*Varia politico-historica, quae hinc inde conlexit ac per amanuensem describi fecit Z. C. ab Uffenbach MDCCXVI.*" znajduje się rękopism złożony z kart 438, zawierający zbiór różnych dokumentów historycznych, będących niegdyś własnością archeologa Uffenbacha. W rękopisie tym zamieszczony jest od karty 238—255 list do króla (a następnie cesarza) Henryka IIgo pisany, jak się z treści okazuje z Polski, przez niemieckiego biskupa missyonarza w r. 1007. Uffenbach zanotował, że list ten skopiowany został z rękopisu pisanego na żółtym pergaminie in 4to, charakterem z końca Xgo i początku XIgo wieku, w którymto rękopisie list nasz następuje po komentarzu nad *Ars grammatica Donata*. Rękopis rzeczony znajdował się w Kassel, gdzie zapewne i dotąd zostaje.

Z kopii Uffenbachowskiéj odpis listu do króla Henryka zrobiony został za staraniem p. Kudriawskiego sprawującego interesa rossyjskie w Hamburgu, dla p. Alexandra *Hilferdinga*, który list rzeczony wraz z tłumaczeniem i objaśnieniami ogłosił drukiem po raz piérwszy w piśmie czasowém, wychodzącém kwartalnie w Moskwie p. n. *Ruskaja Biesieda* (nr. 1. 1856). P. J. Papłoński podjął pracę przetłumaczenia na język polski li-

stu tego, obejmującego spółczesne i ważne świadectwo o Bolesławie Chrobrym i Włodzimierzu W. Tłumaczenie p. Papłońskiego w niektórych miejscach szczęśliwiéj niż przekład p. Hilferdinga oddaje myśl oryginału. P. Papłoński tłumaczenie swoje wraz z wstępem i przypiskami ogłosił w numerach 155, 158 i 162 tegorocznéj Gazety Warszawskiéj. Chętnie jednak pozwolił nam z pracy swojéj korzystać szanowny tłumacz, gdyśmy mu objawili życzenie wydrukowania w Bibliotece textu listu do króla Henryka wraz z przekładem. Ze wstępu p. Papłońskiego zamieszczamy to tylko, co odnosi się do osoby autora listu, którym, jak trafnie wykazał p. Hilferding był arcybiskup Bruno.

Red. Bibl. Warsz.

Spółczesny kronikarz Ditmar (ur. 976, od 1009 biskup merzeburgski, zm. 1018) mówi (VI. 58), że Bruno, człowiek znakomitego rodu, (syn Brunona hrabi Kwedlinburgskiego), rówiennik i współuczeń Ditmara, wychowany pierwiastkowo przez swą bogobojną matkę Idę, oddany był na naukę do filozofa Geddona (nauczyciela w znakomitéj podówczas szkole św. Jana w Magdeburgu). Po ukończeniu nauk, Bruno zostawał czas niejaki na dworze Ottona III, opuścił go jednak, a po śmierci cesarza przyszedł do Merzeburga, gdzie arcybiskup Tagino włożył nań palliusz, z Rzymu przywieziony. Poczém Bruno odbywał podróże po różnych krajach, śród czuwania i różnych umartwień ciała. Od Bolesława (króla polskiego) i innych bogaczów otrzymywał dary obfite; lecz te rozdawał kościołom, krewnym i ubogim, nic dla siebie nie zatrzymując. W dwunastym roku kapłaństwa udał się do Prus (ad Pruciam), aby kraj ten słowem Bożém ożywić; lecz kiedy opowiadał je na granicy pomienionéj ziemi i Rusi (Rusciae), otrzymał naprzód rozkaz zaprzestania swych kazań; potém zaś, gdy mimo zakazu głosił ewangelią, pozbawiony został życia, wraz z 18 towarzyszami, 14 lutego. Ciała męczenników leżały nie pogrzebane, dopóki ich nie wykupił Bolesław; czém (słowa Ditmara) zyskał przyszłą pociechę swemu domowi. Roku śmierci Ditmar nie podaje. Podług Alzoga (tłum. p. Belejowskiéj, zeszyt 4, str. 233), śmierć jego nastąpiła 18 lutego 1008 r. Jakkolwiekbądź, Bruno Kwerfurtski (dla odróżnienia od spółczesnego mu św. Brunona, arcybiskupa kolońskiego), był w Polsce i ztąd list swój do Henryka IIgo napisał. Ztąd się téż udał, po śmierci

św. Wojciecha, w apostołowaniu którego przedtém chciał przyjąć udział, do tychże Prus, gdzie śmierć męczeńską poniósł. Ważnym był spór naówczas między Bolesławem a Henrykiem o Luzacyą, którą zagarnął Bolesław, lecz nie chciał składać hołdu cesarzowi, ani z téj posiadłości, ani ze zdobytych Czech całych, przytaczając za powód, że Luzacya, jako kraj barbarzyński (nie niemiecki), do tego ma należeć bezwarunkowo, kto ją posiada. Tę zasadę posiadłości bezwarunkowéj przeprowadzał Bolesław i przy zaborach swoich w Prusiech, dokąd sam wysyłał missyonarzy, aby chrzcili pogan, ujmując się potém pomordowanych. Cesarz, naówczas jeszcze tylko król, naprowadzał na Bolesława nietylko Niemców, ale nawet pobratymczych Polakom pogan Lutyków, uświęcając takim sposobem pogaństwo, co wreszcie nie stanowiło przeszkody kanonizacyi jego wraz z żoną Kunegundą, w r. 1146 dokonanéj. Sam Bruno ze wstrętem mówi o tém naprowadzaniu pogan na ziemie chrześciańskie. Oto ten list, który tłumaczymy dosłownie z łacińskiego textu (1).

Viro e clesie pio Henrico regi B., hic, quid nisi miser tantum? Quicquid regem decet et cuncta cernenti domino Deo placet, dubio procul sapiat religiosus rex.

Mężowi bogobojnemu królowi Henrykowi B. (Bruno), ten, który nic więcéj, tylko nędzny (2). Co tylko przystoi królowi i co się podoba wszystko widzącemu Panu Bogu, powinno być bez wątpienia wiadomém pobożnemu królowi.

Est nemo vivens super terram qui plus diligat vestram salutem secundum Dominum et qui plus velit omnem vestrum honorem secundum seculum multo labore plenum. Erat vester optime carus episcopus Bruno, cum moram facerem in terra Ungrorum: di-

Nie masz nikogo z żyjących na ziemi, któryby więcéj kochał zbawienie twoje w Bogu i któryby ci życzył większéj czci na świecie pełnym mnogich dolegliwości. Był-to twój najdroższy biskup Bruno (3), który, gdym bawił w ziemi węgierskiéj, powiadał mi, że

(1) Błędy pisowni lub grammatyczne, znajdujące się w texcie łacińskim, wydrukowane są tak, jak są w oryginale.

(2) Tłumaczę dosłownie; idzie tu bowiem nie o styl, lecz o rzecz.

(3) Zapewne brat Henryka, Bruno, który z powodu kłótni z cesarzem, czas jakiś w Węgrzech przebywał. Bruno, do liczby świętych policzony, był późniéj biskupem kolońskim, przedtem zaś mogunckim.

xit mihi, vos, o rex, piam sollicitudinem circa me habere et valde nimis timere, ne vellem perire. Quod utique fecissem et facio, nisi prohiberet, qui adhuc prohibet, clemens Deus et senior meus sanctissimus Petrus. Reddat Tibi Deus meritum in terra viventium, quia, egregius rex, tu, qui debes pene procurare totum mundum, de me, minimo servo tuo, ne perirem, dignatus es in nomine Domini habere hanc nobilem curam. Gratias Deo! Tu, cum sis rex secundum sapientiam, quam tibi Deus dedit, studium habes, ut sis bonus et catholicus rector, sis et qualem habere necesse est sancte ecclesie pius et districtus auriga. Similiter et nos, miseri qualescunque, tamen tui, ne hanc vitam in vanum consumamus et nudi inveniamur in die mortis, quantum sola misericordia Sancti Spiritus flat, operari, laborare studium mittimus secundum illud optimi Pauli: *Non facio animam meam pretiosiorem, quam me.* Ergo, quantum ad me, nihil nisi malum facio tantum; quantum vero ad dominum, ubivult, citius dicto facit omne bonum.

ty, o królu, pobożną o mnie zachowujesz troskliwość i że nadzwyczaj się boisz, abym nie zginął. Co jużby się stało dawniéj lub teraz, gdyby dopuścił to, czego i dziś nie dopuszcza, łaskawy Bóg i Pan mój najświętszy Piotr. Niech cię Bóg nagrodzi na ziemi żyjących, że ty, najlepszy królu, który prawie całym światem rządzić powinieneś, raczyłeś w imię Pańskie mieć tę szlachetną troskliwość o mnie najmniejszym ze sług twoich. Dzięki Bogu! ty, będąc królem według mądrości, którą ci Bóg dał, starasz się być dobrym i katolickim rządzcą, takim pobożnym i silnym sternikiem, jaki jest kościołowi świętemu potrzebny. Podobnież i my, jakkolwiek nędzni, jednak twoi, abyśmy nie spędzili napróżno tego żywota i nie znaleźli się nagimi w dzień śmierci, o ile nam udziela mocy miłosierdzie Ducha Świętego, staramy się działać, pracować według tych słów błogosławionego Pawła: (Dzieje Ap. XX. 24) *nie jest mi tak droga dusza moja jak ja sam* (1). Więc co się mnie tyczy, nic nie czynię jeno złe; co się zaś Pana tyczy, Ten gdy chce, prędzéj niż słowo (wymówisz) czyni wszystko dobre.

(1) Ostatnie wyrażenie: jak ja sam, w tłum. polskich niekatolickich nie znajduje się. Patrz biblią gdańską, lub nowsze wydania zagraniczne.

Opera dei revelare et confiteri honorificum est; maxime vobis tacere non debeo, cuius sancta persuasione *episcopus sum, qui de sancto Petro evangelium Christi gentibus porto. Certe dies et menses iam complevit integer annus, quod ubi diu frustra sedimus, Ungros dimisimus et ad omnium paganorum crudelissimos Pezenegos viam arripuimus. Senior Rutorum, magnus regno et divitiis rerum, mensem retinuit me et renitens contra voluntatem, quasi qui sponte me perdere voluissem, sategit mecum ne ad tam inrationabilem gentem ambularem, ubi nullum lucrum animarum, sed solam mortem et tunc etiam turpissimam invenirem. Jam cum non potuit et de me indigno visio quedam eum terruit, duos dies cum exercitu duxit me ipse usque ad regni sui terminum ultimum, quem propter vagum hostem firmissima et longissima sepe undique circum clausit. Sedit de equo ad terram; me preeunte cum sociis, illo sequente cum maioribus suis egredimur portam; stetit ipse

Chwalebną jest rzeczą odkrywać i wyznawać dzieła Boże: najbardziéj milczeć nie powinienem przed tobą, z którego świętéj namowy jestem biskupem, (ja) który przykładem św. Piotra ewangelią Chrystusa narodom (czy poganom) roznoszę. Już zapewne rok cały wypełnił dnie i miesiące (od tego czasu), gdy my opuściliśmy Węgry, gdzieśmy długo napróżno siedzieli, i zwróciliśmy drogę do najokrutniejszych ze wszystkich pogan, Pieczeniegów. Władzca Rusów (był nim naówczas Włodzimierz W.) wielki państwem i bogactwami, przez miesiąc mnie zatrzymał i działając przeciw woli (mojéj) jakobym dobrowolnie chciał zginąć, namawiał mię, abym nie szedł do tak bezrozumnego narodu, gdziebym zyskał nie dusze, lecz samą śmierć, i to najhaniebniejszą. A gdy już nie mógł i gdy jakieś widzenie o mnie niegodnym go zatrważało, dwa dni z wojskiem mię odprowadzał aż do ostatecznych granic swego państwa, które z powodu wałęsającego się nieprzyjaciela nader mocną i długą palisadą zewsząd opasał. Zlazł z konia na ziemię; ja szedłem naprzód z towarzyszami, on zaś postępował za nami ze starszyzną swoją i tak wyszliśmy za wro-

in uno, nos stetimus in alio colle; amplexus manibus crucem ipse ferebam, cantans nobile carmen: „Petre, amas me, pasce oves meas!" Finito responsorio misit senior maiorem suum ad nos in hec verba: „Duxi te, ubi mea desinit terra, inimicorum incipit. Propter Deum rogo, ad meum dedecus ne perdas iuvenum vitam. Scio, cras ante tertiam sine fructu, sine causa debes gustare amaram mortem". Remisi: „Aperiat tibi Deus paradisum, sicuti nobis aperuisti (*viam ad paganos*)". Quid plura? nemine nocente duos dies ivimus, tertia die, qui est VI Februarii, tribus vicibus, mane, meridie, nona omnes ad occisionem flexa cervice ducebamur, qui toties ab occurrentibus nobis hostita (1): stanął sam na jednem wzgórzu, my zaś stanęliśmy na drugiém. Objąwszy rękoma krzyż, sam go niosłem, śpiewając pieśń cudną: „Piotrze, kochasz mię, paś owce moje". Po ukończeniu antyfony, władzca (*Bruno nigdzie nie dodaje imienia, nazywa tylko senior, w znaczeniu średniowiekowém tego słowa: Pan, władzca, Seigneur*) przysłał do nas jednego ze starszyzny, (*który powiedział*) w tych słowach: „Doprowadziłem cię tam, gdzie się kończy moja ziemia, a nieprzyjaciół się zaczyna. Dla Boga proszę, abyś na hańbę moją nie stracił życia młodzieńców (2). Wiem, że jutro przed tercyą (3), bez korzyści, bez przyczyny, masz ponieść śmierć gorzką". Odpowiedziałem: „Niech ci Bóg raj otworzy, jak ty nam otworzyłeś (*drogę do pogan*)". Cóż więcéj? bez żadnéj przeszkody

(1) Wrota były zapewne w jakim grodzie pogranicznym. Nestor mówi o Włodzimierzu W. „I rzekł Włodzimierz: „nie dobrze, że koło Kijowa mały gród (w niektórych rps. mało grodów. „I zaczął stawiać grody po Desnie i po Wostry, po Trubieżu, i po Sule, i po Stugnie i zaczął zabierać (narubati) lepszych mężów od Słowian, i od Krywiczan, i od Czudi, i od Wiatyczan, i zaludnił nimi grody; miał bowiem wojnę od Pieczenięgów i wojował z nimi i pokonał ich." Nest. II, C. P. Ł. l. 52).
Przyp. Hilf.

(2) P. Hilf. czyta zamiast *iuvenum*, *invanum*, napróżno, co jest właściwszem. Za hańbę zaś uważał Włodzimierz dla siebie, że go na pewną prawie śmierć puszczał od siebie.

(3) Tertia p. H. tłumaczy przez 3cią godzinę; widocznie tu jednak kapłan mówi o tercyi w znaczeniu kościelnem. Tercya jest drugą częścią nabożeństwa dziennego, a odbywała się o 3ciej godzinie rannej, czyli naszej 9téj. W tercyi przypominamy ściganie Zbawiciela, przywiązanie do słupa, biczowanie i zstąpienie Ducha Świętego na apostołów. Oczywiście przepowiednia Włodzimierza ściągała się do podobieństwa męki, jaka czekała, podług jego mniemania, Brunona.

bus (sic dixit dominus et dux noster Petrus) mirabili signo illesi exivimus. Dominica ad maiorem populum pervenimus et datum est spatium vivendi, donec per currentes nuncios universus populus congregaretur ad concilium. Ergo ad nonam alia die Dominica vocamur ad concilium, flagellamur, nos et equi; occurrunt vulgus in numerum cruentis oculis, et levaverunt clamorem horribilem; mille securibus, mille gladiis super nostram cervicem evaginatis in frustra nos concidere minantur; vexati sumus usque ad noctem, tracti in diversam partem, donec, qui nos de manibus eorum bello rapuerunt, maiores terre audita nostra sententia cognoverunt, ut sunt sapientes, quod propter bonum intravimus terram eorum. Ita, sicut iussit mirabilis Deus et pretiosissimus Petrus, quinque menses in eo populo stetimus, tres partes circuivimus, quartam non tetigimus, de qua meliorum nuncii ad nos venerunt. Circiter triginta animas christianitate facta, in diszliśmy dwa dni; trzeciego dnia tojest 6 lutego, trzy razy, rano, w południe i wieczór, prowadzono nas wszystkich ze schylonemi karkami na zabicie, (nas), którzy tyle razy od napastujących nieprzyjaciół (podług słów Pana i wodza naszego Piotra) dziwnym cudem uszliśmy bez krzywdy. W niedzielę przyśliśmy do większego zebrania ludu, i pozwolono nam żyć, pókiby przez szybkich posłańców cały naród nie był zwołany na wiece. Ku wieczorowi więc w inną niedzielę przywołani byliśmy na zgromadzenie, a bito nas i konie; rzuca się na nas liczny tłum z krwawemi oczami i wznosi krzyki straszliwe; tysiącem toporów, tysiącem mieczów nad naszemi szyjami obnażonych, napróżno grożą nas pozabijać: byliśmy dręczeni aż do nocy, ciągani w różne strony, póki ci, co nas z rąk ich przemocą wyrwali, starsi ziemi, usłyszawszy mowę naszę nie poznali jak ludzie rozumni, żeśmy dla dobra na ich ziemię weszli. Takim sposobem, podług tego jak rozkazał Bóg uwielbiony i Piotr najdroższy, pięć miesięcy przebyliśmy śród tego narodu, trzy części obeszliśmy, czwartéj nie dotykaliśmy (1),

(1) Podług Konst. Porfirogeneta, Pieczeniegowie składali się z 4ch hord na wschodnim i z tyluż na zachodnim brzegu Dniepru. Gdzie b. ł Bruno, nie wiadomo.

gito Dei fecimus pacem, quam, ut illi dixerunt, nemo preter nos facere posset. „Hec pax, inquiunt, per te facta est. Si firma erit, sicut doces, omnes libenter erimus christiani. Si ille senior Ruzorum in fide titubaverit, debemus tantum intendere bello, non de christianitate". Hac ratione perveni ad seniorem Ruzorum qui satisfaciens propter Dominum dedit obsidem filium. Consecravimusque nobis episcopum de nostris, quem simul cum filio posuit in terre medium. Et facta est ad maiorem gloriam et laudem salvatoris Dei christiana lex in pessimo populo, qui sunt super terram, omnium paganorum.

z której przyszli do nas posłańce od lepszych, *(czy od lepszych ludzi, czy zwiastuny lepszych rzeczy; przyjąć raczéj należy pierwsze, jako ostrzeżenie, aby się tam nie zapuszczali)*. Nawróciwszy koło trzydziestu dusz do chrześciaństwa, z pomocą palca boskiego uczyniliśmy pokój, którego, jak oni powiadali, nikt prócz nas nie mógłby uczynić (1), „Ten pokój, mówili, przez ciebie jest uczyniony. Jeżeli będzie trwały, jak ty powiadasz, wszyscy chętnie zostaniemy chrześcianami. Jeżeli zaś ów władzca Rusów będzie się chwiał w wierności, wtedy będziemy tylko mówili o wojnie, a nie o chrześciaństwie (2). Z tém przybyłem do władzcy Rusów, który czyniąc zadosyć dla miłości Boga, dał (im) w zakład syna. I wyświęciliśmy biskupa z naszych, którego razem z synem usadowił (czy posłał?) w środku ziemi (Pieczeniegów). I stało się na większą chwałę i cześć Boga Zbawiciela prawo Chrystusowe śród najgorszego narodu ze wszystkich pogan, jacy są tylko na ziemi.

(1) Z tych słów i następnych domyślać się można, że prócz sprawy apostolskiéj, miał jeszcze Bruno poruczonem sobie od Włodzimierza zawarcie pokoju z Pieczeniegami.

(2) W oryginale: *debemus tantum intendere bello, non de christianitate.* P. H. tłumaczy tak: wtedy będziemy z nim wojowali, bez uszczerbku dla chrześciaństwa. Zdaje mi się jednak, że przypuścić tu raczéj należy z ich strony pogrożkę, aby zmusić Brunona do wmawiania Włodzimierzowi, żeby pokoju nie naruszał.

Ego autem nunc flecto ad Pruzos, ubi qui precessit, precedere debet, qui illa omnia fecit, et nunc facere debet, clemens Deus et senior meus pretiosissimus Petrus. Audivi enim de nigris Ungris, ad quos, que numquam frustra vadit, sancti Petri prima legatio venit, quamvis nostri (quod Deus indulgeat!) cum magno peccato aliquo cecarentur; qui conversi omnes facti sunt christiani. Hec omnia sola gloria Dei et optimi Petri; quantum ad me, nihil nisi pecatum, et hoc ipsum bonum perditum, nisi miserans Deus propter se faciat, augeat et addat propter sanguinem sanctorum et specialius eorum qui nostro evo effusus super terram. Mi senior, omnia bona fecisti ad meam causam: Deus tibi retribuat mercedem in resurrectionem iustorum, maxime quia curam geris mei, ne pro errore iuventutis secularia agam et spiritualia deseram. Inde erat, quod me abeunte videbaris irasci. Inde

Ja zaś teraz udaję się do Prusaków, gdzie mi przewodniczyć będzie Ten, który mi przewodniczył (dotąd), który wszystko to uczynił i nadal czynić będzie, miłosierny Bóg i Pan mój najdroższy Piotr. Słyszałem o czarnych Węgrach (1), do których przyszło poselstwo św. Piotra, które nigdy nie przychodzi napróżno, jakkolwiek naszych (co Bóg niech przebaczy)! jakiś wielki grzech zaślepiał, którzy nawróciwszy się, wszyscy stali się chrześcianami. Wszystko to jedynie chwała Boża i najlepszego Piotra; co się mnie tyczy, to nic prócz grzechu (do mnie nie należy), i samo to dobro byłoby zgubioném, gdyby Bóg miłosierny nie działał, nie pomnażał i nie przysparzał przez krew świętych i szczególniéj tych, którzy ją w naszym wieku na ziemię wyleli. Panie mój! (*do Henryka IIgo*) wszystko dobre uczyniłeś dla mnie: Niech Bóg ci odda nagrodę przy zmartwychwstaniu sprawiedliwych, najbardziej, że masz o mnie staranie, abym przez błąd młodości nie oddawał się rzeczom światowym i nie opuszczał spraw ducho-

(1) Co to za czarni Węgrzy? Nestor białemi nazywa tych, co się udali ku Dnieprowi; czarnemi byli zapewne ci, którzy uchodząc od Pieczeniegów, udali się ku granicom Persyi. Konstantyn Porfirogeneta mówi o jednych i drugich, ani białemi jednak, ani czarnemi ich nie nazywa. (Patrz Memoriae Populorum, pod tyt.: Patzinacica i Ungrica).

enim fuit, quod me et plura mea digna risui ad circumstantes heroas me absente irrisisti. Quae tria, amorem, iram et derisum, nisi me diligeres, nunquam circa me haberes; et nisi tu bonus esses, certe nunquam, quid tibi in me malum videbatur, odio haberes. Dico pro consolatione: quantum vult sanctus Deus misereri pio Petro cogente, nolo perire. Quod cum sim in me turpis et malus, dono Dei vellem esse bonus. Dico pro oratione: omnipotens et misericors Deus et me corrigat antiquum peccatorem, vosque faciat de die in diem nunquam mortuo bono opere meliorem regem. Si quis etiam hoc dixerit, quia huic seniori fidelitatem et maiorem amicitiam porto, hoc verum est; certe diligo eum ut animam meam, et plus quam vitam meam; sed quem nil latet, pretiosum testem habeo comu-

wnych. Ztąd to pochodziło, że kiedym odchodził, tyś się zdawał zagniewanym. A przetoż i mnie i wiele spraw moich śmiechu godnych, w mojéj nieobecności, przed rycerzami swemi wyszydzałaś. Tych trzech rzeczy: miłości, gniewu i szyderstwa, gdybyś był mię nie kochał, nigdybyś mi nie okazał, i gdybyś nie był dobrym, nigdybyś nie miał w nienawiści tego, co ci się złem we mnie zdawało. Mówię na pocieszenie: dopóki zechce św. Bóg mieć miłosierdzie ku mnie, za przyczynieniem się błogosławionego Piotra, nie zginę. I chociaż jestem brzydkim i złym, chciałbym z łaski Bożéj być dobrym. Mówię jako modlitwę: oby wszechmocny i miłosierny Bóg i mnie dawnego grzesznika poprawił, i ciebie od dnia do dnia czynił lepszym królem przez nieustanne dobre uczynki. Gdyby kto nawet powiedział, że ku temu Panu (1) większą mam wierność i przyjaźń, byłoby to prawdą; kocham go zaiste jak duszę moję

(1) Z dalszych słów wyraźnie się okazuje, że mowa tu o Bolesławie Chrobrym, który wtenczas prowadził wojnę z Henrykiem. Ten naprowadzał na Polskę nawet pogan, Lutyków, co mu też głównie Bruno wyrzuca. P. Hilf. miejsce to opacznie, jak mi się zdaje, zrozumiał, i słowa *huic seniori, diligo eum*, stosuje do Henryka IIgo, co się sprzeciwia nietylko dosłownemu, zupełnie jasnemu znaczeniu wyrazów, ale nawet i dalszym wyrażeniom listu!

P. Hilf. tłumaczy zakończenie tak: Ale ten od którego nic się nie ukryje, wspólny Bóg nasz, świadkiem mi jest najdroższym, że kocham cię dla twego własnego dobra, dlatego że o ile mogę, chcę go (Boga?) skłonić ku tobie.

nem Deum nostrum, quod per graciam vestram diligo eum, quia, quo plus possum, ad vos volo convertere illum. Ut autem salva cum venia regis ita loqui liceat, bonum ne est persequi christianum, et habere in amicitia populum paganum? Que conventio Christi cum Belial, que comparatio luci ad tenebras? quomodo conveniunt Zuarasi vel diabolus et dux sanctorum vester et noster Mauritius? qua fronte coeunt sacra lancea et que pascuntur humano sanguine diabolica vexilla? Non credis peccatum, o rex, quando christianum caput, quod nefas est dictu, immolatur sub demonum vexillo? Nonne melius esset talem hominem habere fidelem, cujus auxilio et

i więcéj niż życie moje; ale biorę za świadka Tego, przed Którym nic nie jest ukrytego, wspólnego Boga naszego, że kocham go dla twojego dobra, i dlatego o ile zdołam, chcę go ku tobie nawrócić. Jeżeli jednak wolno bez obrazy królewskiéj tak mówić, to czyż dobrze jest prześladować chrześcianina (Bolesława), a mieć w przyjaźni naród pogański? (1). Jakiż związek Chrystusa z Belialem, jakież porównanie światła z ciemnością; jakże się połączą Zuarasi (2) lub djabeł z wodzem świętych, waszym i naszym Maurycym? Jakim sposobem schodzą się święta włócznia i chorągwie djabelskie, żywiące się krwią ludzką? Nie uważaszże za grzech, o królu, że co okropnością jest wymówić, głowa chrześciańska pada w ofierze pod chorągwią djabelską? (3) Czyż nie

(1) Lutyków, których Henryk na Polskę naprowadzał (1005 r.). Szeroko o tem rozpisał się Ditmar (VI. 16) który chociaż był najzłośliwszym nieprzyjacielem Bolesława, tu jednak ze zgrozą mówi o Henryku, który się do takiego uciekł środka. (*Przyp. Hilf.*).

(2) Zuarasi u Ditmara Zuarasici, Swarożycz, główne bożyszcze Lutyków, którego wizerunek na chorągwiach nosili przed wojskiem Lutykowie. Mówi o tem Ditmar. Szczegółowo znaczenie Swarożycza objaśnia p. Hilf. w dziele swém o Słowianach bałtyckich Patrz także Lelewela Polska wieków średnich T. I, str. 390, 395, wydania z r. 1856, u którego objaśnienia językowe, dodam, wcale niefortunne. Św. Maurycy mówi p. H. był w szczególnéj czci u Saxonów i pod jego wezwaniem była katedra w Magdeburgu. Dlatego to Bruno ostatniemu potomkowi domu saskiego mówi nie o innym świętym, tylko o Maurycym. Święta włócznia Maurycego była jedną z głównych regalij królów niemieckich i uroczyście doręczaną im była przy koronacyi. (Patrz Ditmar V. 8).

(3) Oczywiście Henryk ani sam tego za grzech nie uważał, ani mu też to za grzech poczytanem było. Ale za to ileż darów bogatych, ile dóbr ziemskich kościołom ofiarował! A założenie bambergskiego biskupstwa małąż było rzeczą? Jak to on prosił biskupów o nieodrzu-

consilio tributum accipere et sacrum christianismum facere de oppido pagano posses? O quam vellem non hostem, sed habere fidelem, de quo dico, seniorem Bozeszlaum! Respondebis forsitan, „volo.” Ergo fac misericordiam, postpone crudelitatem; si vis habere fidelem, desine persequi; si vis habere militem, fac cum bono, ut delectet. Cave, o rex, si vis omnia facere cum potestate, nunquam cum misericordia, quam amat ipse bonus, ne forsitan irritetur qui te nunc adiuvat, Jesus. Nec contradicam regi, fiat sicut Deus vult et tu vis. Nonne melius pugnare cum paganis propter Christianitatem, quam christianis vim infere propter secularem honorem? Certe homo cogitat, Deus ordinat. Nonne cum paganis et christianis hanc terram in viribus regni rex intravit? quam tamen sanctus Petrus, cujus

lepiéj byłoby mieć takiego człowieka wiernym sobie, a z jego pomocą i radą mógłbyś i daninę pobierać i święte chrześcijaństwo w mieście pogańskiém zaprowadzać. (1). O jakże chciałbym, żebyś tego o którym mówię, władzcę Bolesława miał nie za nieprzyjaciela, lecz za wiernego sobie (2). Być może, że odpowiész: chcę. Okaż więc miłosierdzie, porzuć złość; jeżeli chcesz mieć wiernego (sobie), zaprzestań prześladować; jeżeli go chcesz mieć rycerzem, uczyń za pomocą dobra, aby go ono ku tobie skłoniło. Strzeż się, o królu, aby, jeśli wszystko będziesz czynił przemocą a nie miłosierdziem, które kocha sam dobry Jezus, aby się przypadkiem nie rozgniewał na ciebie Ten (Jezus), który ci teraz pomaga. Nie będę mówił na przekór królowi. Niech się stanie tak, jak Bóg chce i jak ty chcesz. Czyż nie lepiéj walczyć z pogany za chrześciaństwo, niż wojnę sprowadzać na chrześcian dla ziemskich honorów. Zapewne człek zamierza, Bóg

canie prośby jego i zgodzenie się na oderwanie części dyecezyi würzburgskiéj dla nowego biskupstwa, jak się poniżał i po razy dziesięć przed nimi na kolana padał! Nie był też dzielnym i w boju, jak tego dowodzi historya Bolesława, nie był i od ludu lubionym, od którego w Pawii oknem uciekać musiał i nogę sobie w tym przypadku złamał, tak, że odtąd o kuli chodził, zkąd go współcześni przez szyderstwo Hufleholzem (kutem drzewem, kuternogą) przezwali.

(1) Tém właśnie połączeniem daniny i chrześciaństwa tłumaczy się wstręt Słowian nad-bałtyckich i Prusaków do przyjęcia świętej wiary.

(2) Wyrażenie *o którym mówię* najzupełniéj świadczy za mojém rozumieniem wyżéj przytoczonego textu.

tributarium se asserit, et sanctus martyr Adalbertus nonne protexerunt? Si adiuvare nollent, nunquam sancti qui sanguinem fuderunt et sub divino terrore multa miracula faciunt, quinque martyres occisi in terra sua requiescerent. Mi here, non es rex mollis, quod nocet, sed iustus et districtus rector, quod placet: sed tantum hoc addatur, ut sis misericors, et non semper cum potestate, sed etiam cum misericordia populum tibi acquirere, et quod nunc in tribus partibus, tunc nec in una parte bellum habes.

uderza. Czyliż król (Henryk IIgi) nie wtargnął do téj ziemi (t. j. do ziemi Bolesława) z poganami i chrześcianami, z siłami królestwa? a któréj (ziemi) jednak czyliż święty Piotr, za hołdownika którego on (Bolesław) się uznaje (*święto-pietrze. Patrz Lelewel Pol. wiek śr. T. II*), i święty męczennik Wojciech nie ochronili? Gdyby oni nie pomagali, nigdyby w ziemi jego nie spoczęło tych pięciu świętych męczenników, którzy zabici, krew wyleli i pod boskiém przerażeniem, (*pod boską opieką, ludzi przerażającą*), wiele cudów czynią (1). Panie mój, nie jesteś ty królem słabego serca co jest szkodliwém (*może któryby szkodził*), lecz sprawiedliwym i mocnym, co się (*wszystkim*) podoba; brakuje ci tylko, abyś był miłosiernym, i nie zawsze przemocą, lecz i miłosierdziem naród podbić (*się starał*), a wtedy co dzisiaj z trzech stron masz wojnę, nie miałbyś z żadnéj (2).

(1) Było sześciu zakonników, t. j. Benedykt, Maciéj, Jan, Izaak, Chrystyan i Barnaba, którym Bolesław, widząc ich ubóstwo, dał 100 mark srebra; lecz ubodzy zakonnicy wysłali Barnabę do króla, zwracając mu tę summę. T mieszasem złoczyńcy, wiedząc o darze Bolesława, wpadli do nich w nocy i wszystkich pozabijali (11 listopada 1004 r.) Lelewel domyśla się, że przez nich chciał Bolesław wyjednać u papieża namaszczenie królewskie; zabójcy zaś mogli być niekoniecznie złoczyńcami z rzemiosła, lecz stronnikami niezawisłości króla nawet od papieża. Wiadomo, że św. Stefan węgierski, otrzymawszy koronę, uznał się hołdownikiem Rzymu. Szczegółów o tém zabójstwie i o ukaraniu złoczyńców patrz u Damaraniego (Vita Sti Romualdi, i u Lelewela T. II Polski wiek. śred. w rozdziale: tytuł królewski).

(2) Z trzech stron, od Bolesława, Baldwina Flandrskiego i Bodrytów Słowiańskich. (Uwaga p. Hilf.).

Sed hoc quod ad nos? Videat in sua sapientia iusti et honi tenax rex, videant et in dando consilio optimus quisque episcopus, comes et dux. Quod ad meam, imo Dei causam pertinet, unum dicam et alterum, quibus ultra non addam. Duo magna mala, quam Deus et pugnans Petrus in rudi paganismo cepere, nova ecclesia prope sentire debet. Primum, senior Bolezlavus, qui viribus animi et corporis consolari me ad convertendos Pruzos libentissime voluit et nulli pecunie ad hoc parcere decrevit: ecce impeditor bello, quod sapientissimus rex pro necessitate dedit; iuvare me in evangelio nec vacat, nec valet. Rursus, cum Liutici pagani sint et idola colant, non misit Deus in cor regis hos tales propter christianismum glorioso certamine debellare, quod est iubente evangelio compellere intrare. Nonne magnus honor magnaque salus regis esset, ut

Lecz cóż nam do tego? Niech rozważy w swojéj mądrości król sprawiedliwy i dobry; niech rozważy i każdy dobry w udzielaniu rad biskup, hrabia i książę. Co się mojéj czyli raczéj bożéj sprawy dotyczy, powiem jedno, drugie, i nic więcéj nie dodam. Dwie wielkie przygody, których Bóg i Piotr wojujący doznali w grubém pogaństwie, uczuje silnie i nowy kościół (u Prusaków?) Naprzód władzca (1) Bolesław, który siłami ducha i ciała gorąco zachęcał mię do nawracania Prusaków, i postanowił żadnych na to kosztów nie szczędzić, oto wstrzymanym został przez wojnę, którą najmędrszy król uczynił dla niego konieczną, (przez co) pomódz mi w opowiadaniu słowa bożego nie ma ani czasu, ani środków. Powtóre, gdy Lutycy są poganami i bałwanom cześć oddają, nie natchnął Bóg serca królewskiego, aby ich dla chrześciaństwa w chlubnéj wojnie pokonać, co podług rozkazu ewangelii znaczy zmusić do wejścia, (t. j. ecclesiam). Czyliż nie byłoby wielkim honorem i wielkiém zbawieniem

(1) Nigdzie Bruno Bolesława królem nie nazywa, wiedząc, jakby to było niemiłém Henrykowi, który wszelkiemi sposobami przeszkadzał zatwierdzeniu Bolesława w królewskiéj dostojności przez papieża. Jakkolwiek Bolesław koronę nosił, ale że ta tylko od cesarza pochodziła, starał się król polski i o papiezkie przyzwolenie, którego gdy wyjednać nie mógł, sam kazał się przy schyłku życia biskupom swoim ukoronować.

ecclesiam augeret et apostolicum nomen coram Deo inveniret, hoc laborare ut baptizaretur paganus, pacemque donare adiuvantibus, sed hoc christianis? Sed in hac parte pendet omne malum, qua nec rex fidem habet Bolezlavoni, nec ipse irato regi. Eheu nostra infelicia tempora! Per sanctum imperatorem, magnum Constantinum per exemplar religionis optimum Karolum! est nunc qui persequatur christianum: nemo prope qui convertat paganum! Unde, o rex, si dederis pacem christianis, pugnaturus propter christianitatem cum paganis, placebit tibi in die novissimo, cum omnibus dimissis, steteris in conspectui principis eo minori dolore et gaudio maiori, quo recordaris te maiora fecisse bona. Non est, quod timeat rex religionis? homo memor malorum iungat se paganis? Tantum impossibilia nolite querere: aliter quomodo rex vult noster. Hic Boleslavo vos securum facit, quia in eternum non debet dimitte-

dla króla, gdyby on i kościół pomnożył i imię apostolskie u Boga (sobie) wyjednał, pracując nad tém, aby pochrzcić pogany i pokój zawrzeć z tymi, co w pomoc idą, ale to z chrześcianami. Lecz całe złe zawiera się w tém, że ani król nie wierzy Bolesławowi, ani ten rozgniewanemu królowi. Niestety, nieszczęśliwe nasze czasy! O święty cesarzu, wielki Konstantynie, o wzorze pobożności, najlepszy Karolu! jest teraz taki co chrześcianina prześladuje; a prawie nikogo nie masz, ktoby nawracał poganina. Dlatego, o królu, jeżeli pokój dasz chrześcianom, i za chrześciaństwo walczyć będziesz z poganami, to w dniu sądu ostatecznego, gdy wszystko porzuciwszy staniesz przed obliczem Pana, tém mniejszéj doznasz boleści, a tém większą uczujesz radość, im więcéj będziesz mógł wspomnieć dobrego, któreś zdziałał. Czyliż się król nie boi o religią, gdy człowiek pomny złego łączy się z poganami? Nie żądaj tylko rzeczy niepodobnych: inaczéj jakże chce król nasz (1) (aby do zgody przyszło?) Ten Bolesław zapewnia, że na wieki cię nie porzuci, że w poko-

(1) Niepodobną rzeczą było wymagać, aby Bolesław na wzór Mieczysława uznał się hołdownikiem cesarza. Wyrażenie: aliter quomodo vult rex noster, p. Hilf. tłumaczy: reszta pójdzie tak jak się królowi naszemu spodoba.

re, cum in expugnandis paganis semper debet vos diligentissime adiuvare et in omnibus libenter servire. O quanta bona et commoda in custodiendo christianismo et in convertendo paganismo concurrerent, cum si, sicut pater Myseco cum eo, qui mortuus est imperatore, ita filius Bolezlavus cum vobis, qui sola spes orbis superstat, iuveret, nostro rege.

Inter hec non lateat regem, quod episcopus noster cum egregio monacho, quem nostis, Rodberto ultra mare in evangelium Suigis transmiserat. Quomodo venientes nuncii verissime dixerunt, ipsum seniorem Suigiorum, cuius dudum uxor christiana erat, gracias Deo! baptizavit. Cum quo mille homines et septem plebes eandem graciam mox ut receperunt. Quod ceteri indignati

nywaniu pogan zawsze ci będzie najgorliwiéj pomagał i we wszystkiém chętnie ci służył (1). O jakież dobro i jaka korzyść byłaby dla strzeżenia chrześciaństwa i nawracania pogan, gdyby jak ojciec Mieszko zmarłemu cesarzowi, tak syn Bolesław pomagał tobie, królowi naszemu, który pozostał jedyną nadzieją świata.

Tymczasem niech będzie wiadomo królowi, że biskup nasz z czcigodnym mnichem Rodbertem udał się za morze, opowiadać ewangelią Szwedom (2). Z największą pewnością mówili przychodzący ztamtąd ludzie, że samego władzcę szwedzkiego, którego małżonka dawno już była chrześcianką (3), Bogu niech będą dzięki, ochrzcił. Z nim razem tejże łaski dostąpiło tysiąc ludzi i siedm (4). Inni

(1) Cum debet adjuvare et servire, p. Hilf. tłumaczy: jako powinien pomagać i służyć. Sądziłbym, że tu *debet* znaczy to samo co *vult*— chce nadal, ma ci pomagać.

(2) Św. Anzgary zaprowadził chrześciaństwo w Szwecyi w roku 830, które jednak potém ustało. W końcu XIgo i na początku XIIgo wieku wznowiło się pod wpływem Duńczyków. Głównym rozkrzewicielem wiary Chrystusa w Szwecyi był biskup Siegfred, rodem z Anglii i o tym też zapewne mówi Bruno. O Robercie nie znalazłem nigdzie żadnéj wzmianki. (Uwaga p. Hilf.).

(3) Pierwszy król szwedzki, który przyjął św. wiarę, był Olaf Skautkonung tak nazwany ztąd, że dziecięciem będąc przyjmował przysięgę od Szwedów siedząc na kolanach (skaut-kolana). W wieku młodzieńczym ochrzcił się, lecz potem wrócił do bałwochwalstwa; Siegfred ochrzcił go powtórnie około 1000 r. Żona jego Słowianka z plemienia Bodrytów, imieniem Estred, miała z nim córkę Ingrad lub Ingagerd, która wyszła za Wiel. ks. kijowskiego Jarosława. (Ad. Brem. II. 37. Uwaga p. Hilf.).

(4) Czyby to *plebes* miało oznaczać siedm pokoleń, nie wiadomo. Jakież miałoby znaczenie: tysiąc ludzi i siedm pokoleń czyli plemion.

interficere querebant; spem habentes omnes reverti cum episcopo, ad tempus locum dederunt. De quorum habitu et reversione ad explorandum missi nuncii non redeunt. Quecunque docent, merito ad vos, veluti ad regem, qui me perfecit in evangelio, servus vester certa mandare curabo. Quid plura? scitote sub testimonio Christi: ubicunque possum, fidellissimus fautor sum vestre parti. Et quamvis nesciam orare in conspectu Domini, verum non desinam latrare, ut vos benedicat salutare Dei et in omni opere comitetur vos bona gracia Petri. Vos vero quicquid in Liuticis et Pruzis convertendis consilium et auxilium potestatis dare, ut pium regem et spem orbis decet, nolite cessare, quia circa horum paganorum dura corda convertenda llante Spiritu Sancto noster labor nunc debet accingi omnisque opera et studium pugnante Petro indefesse consumi.

Vale, o rex, vive vere Deo, memor bonorum operum; morere senex virtutum et plenus dierum.

oburzeni chcieli ich zabić (a ci) mając nadzieję wrócić z biskupem, wszyscy do czasu miejsce opuścili. Ludzie wysłani dla dowiedzenia się o ich położeniu i powrocie, nie wracają. Cokolwiek powiedzą, słusznie tobie, jako królowi, który mię przygotował do opowiadania słowa bożego, ja, sługa twój, dokładnie doniosę. Cóż więcéj? wiedz, a biorę Chrystusa na świadka, że gdziekolwiek mogę, wszędzie najwierniéj trzymam twą stronę. I chociaż nie umiem modlić się przed oblicznością Pana, jednak nie przestanę wzdychać, aby cię błogosławiła zbawcza moc boża, i aby w każdéj sprawie towarzyszyła ci łaska Piotra. Ty zaś, jak przystoi na pobożnego króla, nadzieję świata, nie przestawaj dawać nam wszelkiéj rady i pomocy, jaką tylko możesz, dla nawrócenia Lutyków i Prusaków, albowiem do nawrócenia twardych serc tych pogan, z pomocą Ducha Świętego, praca nasza ma być teraz skierowaną, i wszelki trud i staranie ma być teraz niezmordowanie użytém, przy pomocy Piotra walczącego.

Żegnam cię, o królu: żyj za prawdę dla Boga, pamiętając o dobrych uczynkach; zakończ życie zestarzałym w cnotach i po długich latach żywota.

Rozprawę swoję p. Hilf. kończy wiadomością biograficzną o życiu Brunona, przytaczając świadectwo o nim Ditmara, który powiada, że Bruno był zabity gdzieś między Prusami i Rusią. Tak samo i kronika kwedlinburgska pod r. 1009: „Bruno, drugiego imienia Bonifacy, arcybiskup i mnich, w 18 roku swego wyświęcenia, zginął 9 marca (podług Ditmara 14 lutego; u Alzoga śmierć jego podana na 18 lutego 1008 r.), ścięty przez pogan na granicach Rusi i Litwy (in confinio Rusciae et Lituae) z 18 towarzyszami i wziętym został na niebiosa". Annal. Quedl. u Pertza V. 80).

WIADOMOŚĆ O PISMACH

STANISŁAWA KACZKOWSKIEGO.

PRZEZ

E. S.

Gazeta Warszawska w numerze 57 b. r. w artykule „Literaci i artyści polscy zmarli w ubiegłym roku", umieściła krótką wiadomość o życiu i pismach Stanisława Kaczkowskiego. Jesteśmy w możności, mając właśnie rękopisma zmarłego przed sobą, mając objaśnienia o tém wszystkiém, co z pod pióra jego wyszedłszy, było dotąd drukowaném, i znając zblizka bieg jego życia: jesteśmy mówię w możności uzupełnić powyższą wiadomość, bo do sprostowania nic w niéj nie znaleźliśmy.

Grzechem byłoby nie podzielić się wszystkiém, co okoliczności w ręce komu podadzą, z temi, których obchodzą rzeczy krajowe, dzieje literatury i gorliwych na jéj polu pracowników. Późniejszym niełatwo przychodzi odgrzebać szczegóły życia i wiadomości o rękopismach, albo o pracach literackich, rozrzuconych po pismach czasowych lub drukowanych osobno, ale bezimiennie.

Rozpatrując się w dziejach piśmiennictwa różnych krajów, łatwo dojrzéć, że często utwory znakomite pozostają długo w ukryciu. Nie wszystko téż co odrazu wielki rozgłos uzyska, zachowa wysokie znaczenie w potomności. Nie wszystko co cicho przeszło przy swoiém zjawieniu, pozostanie mało cenionem od późniejszych lub pójdzie w zapomnienie. Niejedno głośne imię przebrzmiało już za naszéj pamięci, niejedno otrą-

bione dzieło w kąt poszło. Każda literatura ma swoich sławnych nieznajomych, sławnych niepoznanych lub wzgardzonych od współczesnych; każda ma również sławnych zapomnianych i nieczytanych. Los nierówno rozdziela dary swoje piszącym i pracującym na polu literatury i nauk: jednym daje wiele, drugim mało; jednym daje dzisiaj to, co drugim da jutro; jednym daje za życia, drugim po śmierci; jednych obsypuje dostatkami i wzgardą, drugim daje nędzę za życia, a sławę pośmiertną.

Sąd spółczesnych bywa czasem omylny, a czasem roztargnienie wśród bieżących wypadków lub inne nieprzyjazne okoliczności nie dopuszczają im dojrzéć to, co rzeczywiście przeszło koło nich ważnego i godnego uwagi.

To spostrzeżenie w dziejach wszystkich nieomal literatur czerpane, zdaje się być dosyć ważném, aby skłonić każdego, komu okoliczności podały w ręce rękopisma, albo wiadomości bliższe o życiu i dziełach tak mniéj jak więcéj znanych i głośnych indywidualności w piśmiennictwie spółczesném, aby je podawali do użytku powszechnego. Któż wié, co późniejsi podniosą i ukochają, co porzucą i zapomnieniem okryją? Mienią się wyobrażenia, sposób widzenia rzeczy, sąd i zdania. Niechaj więc wiedzą następcy wszystko: większe i mniejsze, piękne i brzydkie, głośne i mniéj głośne. Niechaj z tego wybierają i sądzą.

Żyjemy téż w czasach, w których ponęty i widoki korzyści osobistych nie zachęcają do prac literackich. Za to téż tym większa należy się pamięć pośmiertna dla tych, co w trudnym i niewdzięcznym zawodzie wytrwali, powodowani czystą miłością prawdy i dobra publicznego. Jest to jedyna nagroda jaką im dać można. Téj więc przynajmniéj nie bądźmy dłużni.

S. Kaczkowski urodził się we wsi Ochlach w Sieradzkiém 1783 r. Odebrał początkowe wychowanie w konwikcie XX. Pijarów na Żoliborzu; następnie udawszy się do Frankfortu nad Odrą, w tamtejszym uniwersytecie przez lata 1801 i 1802 poświęcał się nauce prawa. Niedługo po powrocie do kraju, owoczesny minister sprawiedliwości Łubieński, troskliwy w wyszukiwaniu wszystkich ludzi naukowo wykształconych i mogących z pożytkiem służyć krajowi, powołał go na zastępcę prokuratora przy trybunale departamentu kaliskiego.

Krótko urzędował, ożeniwszy się osiadł na wsi, ale nie zadrzémał w bezczynności, jak wielu innych, w dostatku wiej-

skim i przyjemnościach życia familijnego i sąsiedzkiego. Rozpoczął owszem szereg długoletni posług obywatelskich, które nie przeszkadzały mu pracować naukowo. Był z kolei prezesem rady powiatu sieradzkiego, członkiem rady obywatelskiéj byłego województwa kaliskiego, i posłem od r. 1820 na wszystkie sejmy Królestwa.

Tylokrotny wybór przez współobywateli do różnych publicznych i tak ważnych obowiązków, dowodzi, że zmarły umiał sobie zjednać szacunek i uznanie zdolności. Kto między swoimi znajdzie ufność i poważanie, musi mieć rzeczywiste zasoby zalet charakteru. Swoi znają się najlepiéj. Co do zalet rozumu, może się jeszcze niekiedy grono wyborcze omylić, jeżeli w niém nie masz przewagi światła i wykształcenia: co do charakteru, rzadko. Wybór w powoływaniu do pewnych obowiązków publicznych jest tém, czém sąd przysięgłych w sprawach kryminalnych; jestto również rodzaj sądu przysięgłych o cnocie obywatelskiéj. Tamten wyrzeka *winien* lub *nie winien*; ten wyrzeka *godzien* lub *niegodzien*. Wśród burz i wstrząśnień politycznych, namiętności zaciemniają sąd rozumu, a wtenczas i *vox populi* mąci się, unosi i popełnia błędy. Ale tam, gdzie nie ma wzburzenia namiętności, gdzie bieg spraw idzie torem normalnym, gdzie są wreszcie obyczaje i pewna gorliwość o dobro publiczne: tam wyrok sądu wyborczego w powoływaniu do ważnych obowiązków urzędowych jest prawie nieomylnym.

Przez cały ten peryod życia po części na wsi, po części w obowiązkach i pracach publicznych spędzonego, nie przestawał S. K. odkładać cząstkę czasu naukom i literaturze. Mamy właśnie pod ręką z owéj epoki rękopism zebranych w jednę księgę jego poezyj ulotnych, niewydanych i które zapewne nigdy wydane nie będą. Widać w nich zamiłowanie form klassycznych, i ćwiczenie się wyłączne na wzorach tego rodzaju. Niektóre bajki, satyry, epigramata, listy, mają i dowcip i wiersz zręczny; znane też były, poszukiwane od znajomych i przyjaciół, i krążyły z rąk do rąk. Są i takie na których czuć zimny powiew XVIIIgo wieku. Chociaż autor datą swego urodzenia nie należał do czasów Stanisławowskich, sąd i wyobrażenia jego o sztuce usadowiły się wprzód, zanim nowa era poezyi dla nas nadeszła. Dlatego też nie może się widać pogodzić z nową szkołą i jéj utworami. Niesmak do niéj wyraził w wierszu

pisanym do referendarza R. S. Bórakowskiego, w wierszu zręcznym, przypominającym utwory G. Morawskiego, dla nowéj szkoły przecież niezbyt pochlebnym. Ale wielużto ludzi podobnie sądziło w owéj epoce, i podobném okiem patrzyło na utwory nowéj plejady młodych poetów. Widzieli tylko nadużycia i błędy, nie chcieli widzieć zalet. Można nawet powiedzieć, iż stara szkoła zamilkła przed wyrokiem większości, usunęła się z placu i poprzestała walki; ale żaden z jéj członków się nie nawrócił, żaden nie został pociągnięty do odstępstwa, żaden przekonany. Nam przynajmniéj nie jest znane żadne nawrócenie tego rodzaju zpośród ludzi piszących i cokolwiek znanych. O ile wiemy, wszyscy zostali w swéj wierze poetycznéj, z większym lub mniejszym niesmakiem, z mniejszą lub większą niewiarą w wartość i trwałość nowéj poezyi. Niejedna téż pewnie protestacya ukryta w papierach i zachowana dla potomności, pojawiać się będzie po schodzących z pola koryfeuszach klassycyzmu.

Probował także z powodzeniem S. Kaczkowski sił swoich w komedyi. Wydał w 1828 roku trzech-aktową komedyą oryginalnie wierszem napisaną pod tytułem *Dziwak*. Wiele wprzód, bo w roku 1814 napisał inną również wierszem i oryginalną pod tytułem *Urzędomania*. W rękopismie została wesoła krotochwila pod tytułem *Wielmożni Panowie*, któréj za przedmiot posłużył świat urzędowy małego miasteczka w stosunkach swoich z żydami. Przetłumaczył wierszem komedyą przez Collin d'Harlevill *Wszystko chce zrobić*, która równie jak wyżéj wspomniana Urzędomania, grane były w teatrze warszawskim.

Jednocześnie studyował prawo jako naukę, któréj głównie na uniwersytecie się poświęcał, którą miał sposobność praktycznie poznać w urzędowaniu sądowém, i która w tak blizkim stała związku z jego zajęciami publicznemi; na wszystkich bowiem sejmach bywał członkiem komissyi prawodawczéj. Kilka rozpraw umieścił w piśmie wówczas wychodzącém *Themis*, z których ważniejsza o *pojedynkach*.

W roku 1816 drukował w Kaliszu *Rzut oka na żydów*, pismo o którém autor Lejbe i Siory, w przypiskach pochlebnie bardzo się wynurzył. We dwa lata potém wyszły *Myśli o handlu naszym*.

Sama różnorodność tych pism wydanych lub utworzonych, obok zajęć życia publicznego i przy zarządzie obszernym ziemskim majątkiem, dowodzi giętkości, rzeźwości umysłu, wiadomości różnostronnych i zamiłowania pracy, jakiego nie zwykliśmy spotykać zbyt często.

Sam zarząd bowiem większego ziemskiego majątku niemało pochłania czasu, jak to wiedzą najlepiéj praktyczni rolnicy, i nie może się odbywać wyłącznie przez rządców i ekonomów, jak to myśli autor artykułu „Literaci i artyści zmarli w ubiegłym roku". Zwłaszcza jeżeli kierunek gospodarstwa ma być umiejętny i przezorny, wymaga on pewnéj specyalnéj instrukcyi i wejrzenia w szczegóły, które są rozgałęzione, a ściśle łączą się z sobą i jeden od drugiego zależy.

Nie myślimy wcale przekonywać, że rolnictwo u zamożnego właściciela ziemi nie zostawia wolnego czasu na prace naukowe, literackie lub artystyczne; ale nie możem się zgodzić na frazes dość lekko rzucony przez autora powyższego artykułu, że: „jedni ziemianie powinniby się wyłącznie zajmować piśmiennictwem, ale zasypiają sprawę." Naprzód zwracamy uwagę sz. autora, że do zajmowania się piśmiennictwem potrzeba wrodzonych zdolności, które Bóg sam rozdziela rozmaicie, nie na same dwory wiejskie. Te zdolności przyrodzone nieraz zbieg przypadkowych okoliczności wykrywa i roznieca: czasem biéda lub ambicya są głównemi bodźcami do ich rozwinięcia i użycia.

Miasta wielkie są właściwém siedliskiem, (lubo nie wyłącznem) dla sztuk, nauk i literatury, bo mieszczą w sobie zakłady, stowarzyszenia, zasoby materyałów pomocniczych; bo są ogniskiem różnorodnych zdolności, których samo ścieranie się, kojarzenie, udzielanie wzajemne obudza i pobudza umysł. Niezawsze można mieć na wsi wszystko co potrzeba, i niezawsze we właściwym czasie. Nawet ludzie bogaci brak ten uczuwają. Tworzenie wielkich bibliotek, zbiorów archeologicznych, numizmatycznych, zakładanie laboratoryów, przechodzi często siły pojedynczych ludzi i rozmiary zwyczajnych fortun. Nie mówię o archiwach, których mieć nie można za żadną cenę.

Niejednemu udało się zwalczyć te trudności przez zabiegi, podróże i nakłady znaczne. Ale trzeba mieszkać na wsi, łamać się z takiemi trudnościami, aby wielkość ich ocenić, policzyć mitręgę czasu drogiego, i przekonać się, jak nieraz wielkie,

piękne, pożyteczne zamiary na polu literackiém i artystyczném, do których może zdolności i energii woli nie byłoby zabrakło, sparaliżowane zostały temi trudnościami położenia.

Że nie wszyscy chcą walczyć z przeszkodami, nie wszyscy korzystać z tych dogodności, jakie im los niekiedy nastręcza, nie wszyscy obracać na korzyść ogółu te dary umysłu i wyobraźni, jakie im Bóg na posługę wszystkich, a ich własny pożytek i chlubę udzielił, to prawda: bolejem nad tém sami często. Nieraz nawet człowiek oddany pracom naukowym, czuje się osamotnionym, pozbawionym współczucia i omijanym.

Ależ to tak bywało, a zdarza się i teraz. Pomimo tego nie trzeba być głębokim znawcą dziejów naszéj literatury i dosyć obejrzeć się w niéj dzisiaj, aby spotkać pomiędzy ludźmi różnych stanów i powołań, dosyć ziemian zajmujących w niéj zaszczytne miejsce i ze swoich ustroń wiejskich przynoszących niejeden kamień najczystszéj wody, do skarbca piśmiennictwa ojczystego.

Ze wstrętem patrzyliśmy jak umysły nierozważne chciały poniżać jedne okolice i cząstki kraju, aby podnosić inne kosztem tamtych. Gorszém złem zdaje nam się skłonność zjawiająca się tu i owdzie w niektórych pisarzach, rzucania plamy lub wyrzutu na jedne warstwy społeczeństwa, zapewne, aby drugie tém więcéj zyskiwały. Jestto choroba czasu, któréj wyższe nawet umysły czasem ulegają.

Dosyć przecież o tém. Nie chcemy polemiki. Leżało nam tylko na sercu, i chcieliśmy wypowiedzieć, że zawód pisarski idzie z powołania, nie może więc być przywiązanym do pewnego miejsca zamieszkania, i do pewnych zatrudnień; że na wsi spotyka przeszkody i trudności o jakich zdaje się, że nie mają wyobrażenia gdzieindziéj. Tym więcéj na szacunek zasługują ci, co się nie ulękli strat pieniężnych, poświęcenia rozrywek i zwyczajnych przyjemności życia, trudów wielkich, obojętności nawet, poszli na przebój ze swojém położeniem i potrafili zdobyć sobie zaszczytne miejsce w gronie pracowników około literatury ojczystéj. Te zasługi właśnie ma ś. p. Stanisław Kaczkowski.

Po roku 1830 pisarz-ziemianin, o którego żywocie i pracach literackich mówimy, oddał się wyłącznie badaniu dziejów krajowych. Drobniejsze rozprawy w téj materyi, umieszczane były zwykle w Bibliotece Warszawskiéj i Tygodniku literackim.

Oddzielnie wyszły w 1841 r. *Tablice synchronistyczne do historyi polskiéj*, a w 1845 drugie poprawne ich wydanie.

W 1843 r. wyszły w Poznaniu *Wiadomości o konfederacyi Barskiéj*. Ważna połowa tego dzieła: zbiór dowodów, jakoto manifestów, wyciągów z różnych źródeł, listów prywatnych, między temi ostatniemi list własnoręczny K. Puławskiego, odnoszący się do dramatu uwiezienia króla Stanisława: cała ta mówię połowa dzieła mozolnie zebrana, nie wyszła i zaginęła.

W 1845 r. wyszło nakładem Żupańskiego w Poznaniu tegoż autora wspomnienie historyczne: *Krzyżacy i Polska*; w Bibliotece Warszawskiéj z r. 1845 T. IV, str. 136, zamieszczony jest rozbiór tego pisemka, który wypada przychylnie dla autora. „Samoistność przekonania i żywość wyrazu, nigdzie nie odstępuje autora (mówi między innemi krytyk); nie jest to naprowadzenie czynów dla pokazania erudycyi, ale jest to założenie naukowe, którego każdy ustęp pisma dowodzi.” „W ogólności pisarz (dodaje kończąc) pod względem zasad i zdolności pióra, należy do ozdób czasu naszego.”

Wiele rozrzuconych pojedyńczych rozpraw wydano w Poznaniu 1847 r. w zbiorze pod tytułem: *Rozprawy tyczące się pierwotnych dziejów Polski*. Oprócz już drukowanych w innych pismach poprzednio, wyszła tu jedna obszerniejsza praca: Uwagi nad panowaniem Władysława Hermana, ze względem na Słowiańszczyznę”, wprzód niedrukowana, i J. Moraczewskiemu przypisana.

Spotykamy w papierach notatkę, w któréj autor użala się, że rozprawa „O mniemanym trybucie i hołdownictwie Polski cesarstwu niemieckiemu”, uszczerbiona już przy wydrukowaniu jéj w Bibliotece Warszawskiéj, jeszcze więcéj skróconą została w wydaniu poznańskiém.

W przedmowie do tomu „Rozpraw” wydawca objaśniając pobudki, które go skłoniły do wydania tych rozpraw już poprzednio drukowanych, między innemi, mówi: „Szkodaby była wielka, gdyby te pojedyńcze rozprawy razem niezebrane, miały w całości, lub części być niepodobne do wynalezienia przyszłemu badaczowi dziejów początkowych Polski, i uszły całkiem jego baczności.”

W rękopismach znaleźliśmy z drobniejszych pisemek: 1sze Bitwa pod Kaliszem 1706 r.; 2gie Myśli o historyi polskiéj:

3cie O klimakterach Wesp. Kochowskiego. Nie pomnimy, iżbyśmy się gdzie w druku spotkali z temi ułamkami, ale może nas pamięć zawodzi.

Znaleźliśmy jeszcze w rękopismach: *Życie Michała Radziejowskiego*, tłumaczone z niemieckiego i przypisami pomnożone.

Daléj zbiór pod napisem: *Pomników historycznych polskich trzydzieści sześć dotąd drukiem nie ogłoszonych, zebrał S. K. z dawnych rękopismów.* Materyały do tego zbioru dostarczyła księga rękopismowa będąca własnością piszącego obecne sprawozdanie i rękopism po Macieju Pstrokońskim. Znajdujący się w nim: *Dyaryusz albo summa spraw i dzieł wojska kwarcianego w Prusach*, został ogłoszony drukiem w Pamiętnikach o Koniecpolskich, Przyłęckiego.

Oprócz powyższych pism pozostały w rękopiśmie zajmujące *Pamiętniki*, z niektórych ciekawszych epok życia zmarłego. Nie wiemy, czy będą drukowane, dlatego sądem o nich nie chcemy uprzedzać wyroku, jaki wypaść może w chwili, kiedy będą ogłoszone.

Otóż o ile wiemy wszystko. Zdanie o wartości prac historycznych Stanisława Kaczkowskiego wynurzyli dwaj znakomici nasi historycy w powołanych wyżéj ustępach. P. Maciejowski o zbiorze rozpraw tyczących się pierwotnych dziejów, w swojém piśmie: Roczniki i Kroniki (1850) wielokrotnie mówi, a o autorze ich z przekąsem i goryczą nadmienia: wątpimy jednak, iżby to był sąd zimny i bezstronny. Uczony badacz dotknięty cierpkością słowa autora Rozpraw i kilku jego dotkliwemi a podobno poniekąd niesłusznemi zarzutami, odpowiedział z równąż cierpkością i podobno większą jeszcze niesłusznością się odpłacił. Nie pierwszyto raz polemika naukowa wyrodziła się w namiętne starcie, ze szkodą prawdy i ujmą godności dzieł historycznych.

Kto bezstronnie i bez uprzedzenia rozpatrzy się w całości pism historycznych S. K. ten zapewne przyzna pisarzowi niepospolitą naukę, niepodległość zdania, sąd zdrowy i jasny, i zgodzi się na to, iż należy mu się zaszczytne miejsce w gronie gorliwych, sumiennych i uzdolnionych pracowników około dziejów krajowych.

Pod względem stylu i języka pisarz o którym rzecz prowadzimy, niepoślednie zajmuje miejsce. W pracach jego hi-

storycznych, równie jak pamiętnikach, mowa jest jędrna i czysta. Puryzm językowy posuwał daleko, może niekiedy zadaleko. „W spisie dorywczym męczeństw smaku, poezyi i języka polskiego" podobno w Tygodniku zamieszczonym, potępił słusznie wiele grzechów istotnych przeciwko smakowi i harmonii języka, równie jak niezbyt szczęśliwe nowości wprowadzone do niego przez kilku młodych pisarzy; ale dostało się przytém i znakomitościom niektórym i to czasem niewinnie. Nie można jednak zaprzeczyć, że sam pisał poprawnie: każdy przyznać musi stylowi jego siłę, żywość i czystość. Wśród poważnéj dykcyi historycznéj, błyska często iskra dowcipu. Suchym badaniom nad oddalonemi zamierzchłemi czasami umiał ten pisarz dać ciepło i życie, co nie wszystkim się powiodło. Tez same zalety rozwinął jako mówca i jako pisarz.

Styl, to człowiek, powiedziano wielokrotnie: na nikim o prawdzie tego axiomatu lepiéj nie przekonaliśmy się, jak na pisarzu o którym mówimy. Odbija styl jego w sobie wszystkie zalety, cechy, wydatności charakteru, które przez blizki a długi stosunek tak dokładnie mieliśmy sposobność poznać. Byłto umysł poważny, badawczy, zwrócony głównie do rzeczy krajowych, które nad wszystko umiłował. Gruntowny w zdaniu i pełen zamiłowania dla prawdy i prostoty, a ztąd wstrętu i pogardy dla fałszu i pozorów. Obdarzony pamięcią, bystrém pojęciem, żywym dowcipem, był niebezpiecznym zapaśnikiem w polemice. W rozmowie pełen życia, obfity i łatwy. Niezmordowanéj pracowitości, żałował zawsze, iż zapóźno się wziął do prac historycznych; niejednę téż pracę większą musiał zaniechać, jak wskazują liczne notatki i zebrane materyały, niezłożone w żadną całość. Znaną była i cenioną powszechnie prawość jego charakteru. Życie jego obywatelskie jest bez plamy, chociaż stronnictwa i namiętności, jak każdą wydatniejszą indywidualność, tak i jego szarpały.

Tyle o człowieku publicznym i pisarzu, bo to tylko publiczność naukową obchodzić może, to godne przechowania i pamięci. Życie domowe, prywatne, należy do blizkich, do rodziny, a ci nie potrzebują wiadomości o nim szukać po pismach publicznych.

Pisząc tę krótką relacyą o życiu i pismach S. K. staraliśmy się usunąć na bok wszystkie uczucia osobiste, jakie z bliz-

kiego stosunku, łączącego nas ze zmarłym, wypływały. Zdobyliśmy się na obojętność, bo nie chcieliśmy pisać pochwały, ale interes literatury mając na celu, pragnęliśmy jak najtreściwiéj podać wiadomość o tém co pozostało w druku i w rękopiśmie: wiedząc dobrze o tém, że najwyższą pochwałą i najgodniejszym pomnikiem dla człowieka mającego rzetelne zasługi, jest proste wyliczenie ich, kunsztowne zaś frazesa nie pokryją niedostatku rzeczywistych czynów, któreby na pamięć zasługiwały.

PRZEGLĄD
LITERATURY ZAGRANICZNÉJ.

(Dokończenie).

Przejrzyjmy teraz utwory Augustyna Briseux. Sława jego ugruntowana na dwudziesto-letnich przeszło zasługach, przyświeca Francyi niezaprzeczonym blaskiem. Briseux podwójne ma prawo do piérwszeństwa: raz, że przewodniczy wszystkim współpracownikom, wzniosłym dźwiękiem swéj natchnionéj pieśni; powtóre, że piérwszy podniósł z zapomnienia francuzką lirę, i nie porwany zgubnym popędem, wyśpiewał z niéj najczystsze tony, wtedy, gdy inni przedstawiciele francuzkiéj literatury, maczając pióro w ulicznem błocie, rzucali w oczy świata najochydniejsze obrazy, jakie tylko skażona myśl ludzka wymarzyć jest zdolną, podejmując je tak z przeszłości, jak i z obecnego czasu.

Briseux wystąpił jako poeta w 1831 roku. Inne imiona przyćmiły go zrazu, lecz gdy sława tamtych przebrzmiała, on jeden nie zstąpił z zajętego raz stanowiska, albowiem pozostał wiernym czci, jaką poprzysiągł pięknemu ideałowi prawdy. Niejeden może z poetów prześcignął go formą, mało kto jednak dorównał mu w czerstwości i żywotności myśli, w prawdzie uczucia, w potędze wiary. Każdy jego utwór jest wyrazem głębokiego przekonania. Poezya jego jest szczera, czerpnięta prosto z serca. Patrzy on w świat własnym okiem, myśli własną myślą, przemawia własnemi słowy;

nie oglądając się na drugich, nie chwytając pamięcią konwencyjnych form sztuki: słowem jest wiernym tłumaczem uczuć których sam doznał, szczerym miłośnikiem prawdy w jakiéjkolwiek formie, ów Boski ideał przedstawia się światu. Gdy inni nadużywając daru słowa, sieli niém na wyścigi zawiść i niezgodę, on pozostał tkliwym śpiewakiem domowego ogniska, apostołem życia rodzinnego, krzewicielem tradycyjnéj wiary. To też choć go świat niedostatecznie zrazu ocenił, żaden głos nie śmiał naruszyć jego zasłużonéj sławy.

Należy nam zatém zbadać dokładnie dwudziestoletnią drogę, na któréj rozwijał się ów znakomity poetyczny talent. Ciekawym jest rozwój téj natchnionéj myśli, która od kreślenia osobistych uczuć, przeszła do uczczenia rodzinnych stron, nakoniec zaś skrzepiona badaniem, zasilona w żywotnym zdroju rodowitości, nie tracąc nic na pierwotnéj sile, wybiegła śmiało w wyższą przestrzeń filozofii i religii.

Briseux nie ubiega się wcale za jaskrawemi barwy: prostota główną jest jego zaletą. Nie marnuje on słowa, nie zastępuje niém braku myśli. Umié odróżnić środki od celu do którego dąży. Jeśli wystawia obraz z przyrody, to jedynie tylko dla uwydatnienia postaci człowieka, działającego na jéj tle barwistém. Nie chce on wstrząsać zmysłów i zdumiewać wyobraźni czytelnika: pragnie raczéj poruszyć i rozrzewnić jego serce.

Gdy się pojawił piérwszy jego poemat *Marya*, przyjęto go z zapałem. Prawdziwi czciciele poezyi, obsypali oklaskami poetę. Marya czysta i niewinna istota, uczczona pieśnią poety, miłością jego podniesiona do ideału, nie poznała nawet cudnych dźwięków wyśpiewanych na jéj chwałę, bo Marya zrodziła się, wzrosła i żyje w ubóstwie i nieświadomości, i nie umié nawet wyczytać zgłosek uwielbienia, jakiém otoczył ją poeta. Świat uśmiechnie się może na widok takiéj miłości, ale ktokolwiek wniknął głębiéj w tajniki ludzkiego serca, ten wié, że bywa niekiedy miłość, która żywi się własnym płomieniem, i nie żąda nawet wzajemnéj miłości w nagrodę.

Prostota cechuje głównie ten poemat. Jestto tkliwa historya miłości, rozwiniętéj jak kwiat w wiejskiéj

zaciszy, któréj wspomnienie świeże i czyste, towarzyszy poecie w zgiełku wielkiego miasta. Opowieść płynie prosto, bez sztucznego wysilenia, jakby przezroczysta woda zdroju. Kochanek Maryi nie marzy nigdy o posiadaniu umiłowanéj istoty, patrzy bez goryczy, lubo może nie bez tajemnego żalu, na koleje cichego życia Maryi. Widzi on z głębokim smutkiem i tęsknotą, jak sny jego i marzenia rozwiały się w proch i popiół, jak wiatr rozniósł ich szczątki po szerokim świecie; ale otrzymał on od Boga wyższe posłannictwo. Ta myśl pociesza go i wzmacnia: boleść jego natchnie mu cudne dźwięki, któremi unieśmiertelni imię Maryi. Mieszkańcy miast odurzeni cywilizacyą, nie pojmą zapewne uczucia tak silnego, tak pełnego zapału, a tak łatwo poddającego się rezygnacyi. Aby zrozumieć tego rodzaju uniesienie, życie powszednie nie wystarcza. Chcąc pojąć i ocenić piękność poematu *Marya*, trzeba koniecznie wniknąć w warunki życia poety. Kto nie zna ubóstwa z całém pasmem smutnych następstw, ten nie zdoła rozwiązać owéj bolesnéj zagadki. Opuścić bez walki kobietę czystą i ufającą, godną miłości i poświęcenia, byłoby nikczemnie, a żaden poeta nie umiałby uniewinnić podobnego czynu; ale wyrzec się szczęścia wymarzonego obok ukochanéj istoty, poświęceniem tém dać nowy dowód miłości: to czyn szlachetny, który pojmą tylko dusze wyrobione w szkole pracy i ubóstwa. Kochanek młodéj wieśniaczki jest ubogi, może zaledwie przynieść ukochanéj nadzieję zbyt dalekiéj sławy. Dziewczyna zna tylko starożytny język Armoryki, i nie może pojąć szczęścia, bez szmeru drzew jéj ojczystych lasów, bez słońca, padającego pełnym blaskiem na szerokie pola, bez szumu piany morskiéj, bijącéj z pluskiem o samotne wybrzeża. Kochajac ją, czyż podobna wyrwać ów kwiat polny z wiejskiéj zaciszy, i przenieść go do wielkiego miasta, nie mogąc dać przynajmniéj dostatków w zamian za utraconą swobodę? Poeta widzi że to niepodobna, i każdy przyzna mu w tém słuszność. To jest treścią całego poematu. Jeśli kochanek młodéj wieśniaczki, widząc w niéj jedyny ideał szczęścia, pozostawia jednak skarb swój w ręku młodego a pracowitego wieśniaka,

czyni on jedynie tę ofiarę dla jéj przyszłéj spokojności. Nie jest on słabym ani bojaźliwym; przeciwnie daje dowód najwyższego uczucia, uświęconego zupełném wyrzeczeniem siebie. To téż Marya chowa na wieki w duszy drogą jego pamięć. On zaś szczęście swoje zamyka wyłącznie w wiernem a żywém wspomnieniu lat minionych.

Książka *o złotym kwiecie*, (de la fleur d'or) w nowém zupełnie świetle stawia nam talent poety. Z dziedziny czysto-uczuciowéj, wchodzi on na pole nauki, filozofii i rozbioru symbolów. Pożyteczna to gimnastyka ducha, ale nie zdoła ona nigdy przemówić do ogółu czytelników. Umysły zaś wybrane, wnikające w grunt rzeczy, dla których życie nieustanną jest nauką, wiecznie otwartą księgą, przekładają znów i słusznie czystą filozofią, nie przybraną w ułudną barwę poezyi. Poeta ma prawo nauczać, ale powinien przedewszystkiém pozostać śpiewakiem, i osłaniać o ile może uczoność swoję nadobną szatą piękna. Inaczéj prości filozofowie wezmą nad nim górę samą treściwością rozumowania. W księdze *o złotym kwiecie*, napotykamy jednak wiele przejmujących ustępów, a pomimo chęci filozofowania, autor pozostał przedewszystkiém poetą. Z tego zbioru celują przed innemi dwa ustępy: *Jakób malarz i stare kollegium*. Jakób malarz jest doskonałym ideałem poświęcenia i zaparcia siebie. W tém prostém opowiadaniu nie ma ani przesady, ani sztuczności: rzecz określona z największą prostotą, a jednak każde słowo pełne jest głębokiego znaczenia. Młody i silny wyrobnik, który widząc grożące mu niebezpieczeństwo, mógłby szukać ocalenia, a jednak poświęca się wiedziony szlachetnym popędem, aby nie zgubić biednéj wdowy i sierót, znalazł w Augustynie Briseux godnego siebie piewcę. Dusze najzimniejsze nawet muszą przyklasnąć bohaterowi nieznanemu (którego imienia nie przechowały dzieje), widząc jak rzuca się na śmierć niewątpliwą, dla zapewnienia chleba ubogiéj rodzinie. *Stare kollegium* jednoczy w sobie szczęśliwie filozofią i poezyą. W tym utworze poważnym a pełnym namaszczenia, czyny i myśli wiążą się tak prosto, że czytelnik nie ma czasu oddzielić nauki moralnéj od opowie-

ści, w któréj się zawiera, i z któréj wypływa sama przez się. Obraz *Starego kollegium* we Flandryi, gdzie poeta strawił piérwsze lata młodości na zabawach i nauce, zamienione w przytułek zgorączkowanych starców, którzy siadają na wielkich kamiennych ławach, i drżąc wygrzewają na słońcu stare kości, dosyć wyraźnie przemawia o sobie; poeta rzucając kilka dosadnych rysów, wtajemnicza w myśl swoję czytelnika. Naiwne młodości nadzieje, doświadczenia lat dojrzałych, cierpienia nieodłączne od schyłku żywota, przedstawiają się tu wyraźnie płochym nawet umysłom. A gdy poeta w końcu chcę zformułować naukę, zawartą w owém bolesném zbliżeniu: widzi sam, że rzuciwszy umiejętnie szkic obrazu, dokonał już połowy dzieła. Jest w tym utworze prześliczny ustęp, wyobrażający głęboką rezygnacyą w cierpieniu. Starzec niedołężny, paraliżem przykuty do łoża boleści, patrzy okiem rozpromienioném nadzieją na starą zakopconą rycinę. Przedstawia ona męczennika, na którego rany krew Chrystusa spływa strumieniem. I starzec pociesza się na widok téj cudotwórczéj rosy, i zapomina na chwilę, że członki jego skazane są na wieczną bezwładność. Każde słowo tego ustępu nacechowane jest piętnem przerażającéj rzeczywistości, a dla uwydatnienia nauki, izba, w któréj leży paralityk, jest właśnie tą samą, gdzie tenże starzec, niegdyś poeta w poranku dni, poznał nadzieję i radość, gdzie kosztował słodyczy nauk i błogiego spoczynku po codziennéj pracy.

Inne ustępy skreślone pod wpływem włoskiego nieba odznaczają się myślą wzniosłą a zarazem pełną prostoty. Ci je najlepiéj zdołają ocenić, którzy znają dokładnie Włochy, którzy deptali własną stopą tę klassyczną ziemię, pod cieniem kwitnących pomarańczowych gajów. Cała książka p. n. *Kwiat złoty*, stworzoną jest rzec można wyłącznie dla artystów i poetów: dlatego ogół nie mógł jéj dostatecznie ocenić. Trzeba było pobratać się ściśle z Dantem i Petrarką, aby uczuć całą piękność tych wspomnień. Augustyn Briseux przejęty silnie wpływem doznanych wrażeń, opiewał je sam dla siebie i dla przyjaciół, którzy wniknęli w głąb jego my-

śli. Nie dosyć tu zajmuje się ogółem czytelników. Nie wszyscy jednak widzieli cuda Rzymu, Neapolu, i Florencyi, a poeta jeśli chce spełnić dokładnie przeznaczenie swoje, nie powinien nigdy przepominąć tłumu prostaczków, ktorzy mają się poić dźwiękiem jego pieśni. Inaczéj postawi się zawsze na niebezpiecznéj drodze: ogół odsunie się od niego, nie pojmując słów niedostępnych jego pojęciu. W jakimkolwiek zawodzie sztuki pracuje artysta, powinien zawsze być jasnym i zrozumiałym od wszystkich. Niech mianowicie przemawia zgłoskami wyraźnemi do ubogich w duchu: dość mu na kilku umiejętnie rzuconych rysach, aby przekonał niemi wybranych o głębokości swéj erudycyi. *Kwiat złoty* obojętniéj przyjętym został od *Maryi*: nie dowód w tym upadku poetycznych zdolności autora; omylił się tylko, używając niewłaściwie danego mu od Boga talentu.

Są jednak i w tém dziele cudownie piękne stronnice, które mogą stanąć na równi obok *Maryi*. Gdy poeta przedarłszy się przez łono Pauzylipu, wita z radością kwiaty drogiéj mu Bretanii; wtedy najrzewniejsze dźwięki dobywa on z pod serca. I wszyscy miłośnicy domowego ogniska przyklasnęli owym wspomnieniom rodzinnéj ziemi, bo tylko pieśń wyrwana z serca poety, zdobyć może ogólne współczucie.

Uczoność i sztuka nie zastąpią nigdy uczucia w dziedzinie poezyi. Myśli nacechowane najżywotniejszą prawdą, najlepiéj określone symbole, nie zdołają nigdy wywrzeć takiego wpływu na ogół, jak pieśń wyśpiewana rzewnie, jak pełen prostoty obraz domowego szczęścia. Jeśli poeta zapragnie karmić ducha u zdroju nauki i filozofii, jeżeli chce przykładać do żywego świata zabójczy nóż analizy; niechaj spożywa w milczeniu zatruty owoc wiedzy, ale niech owego smutnego plonu własnych doświadczeń nie rzuca na pastwę łaknącéj rzeszy czytelników, bo ta z dziecięcą prostotą wtedy tylko rada przyjmuje uzdrawiający napój, gdy brzegi czary czuje osłodzone miodem.

Poemat *Bretony* ogłoszony przed dziesięcią laty, umieścił Augustyna Briseux pomiędzy najcelniejszych pisarzy obecnego czasu. Co do siły natchnienia, nie

jest on wyższym nad dwanaście pieśni składających poemat *Maryi*, ale utwór ten zadziwia dokładnością w wykonaniu, oraz wdziękiem połączonym z powagą. Snać poeta długo piastował myśl w swéj duszy, zanim ją odział słowem i z prawdziwém uczuciem literackiéj godności, oddał światu czystą i nieskażoną. Ci, którzy ódniechcenia, leniwie a z roztargnieniem rzucają czytelnikowi myśli niedokończone, i ledwie naszkicowane zarysy; którzy nie mając cierpliwości na dokładne wymodelowanie swych marzeń, kreślą je rzutem jednym, jakby dekoracye teatralne: ci, nie mają prawa utyskiwać, gdy ich dzieła, po kilkotygodniowym rozgłosie, tracą popularność i popadają w wieczne zapomnienie. Ponieważ przepomnieli uczucia godności własnéj, niech się nie dziwią, że i publiczność lekceważy ich prace. Sprawiedliwyto odwet. Kto czyni sobie igraszkę z dobrodusznéj wiary drugich, ten w końcu stanie się sam przedmiotem igraszki. Briseux nie należy bynajmniéj do tych tak pospolitych dzisiaj marnotrawców ducha, którzy trwonią niebacznie udzielone im od Boga zdolności. Każde jego słowo ma znaczenie: wyrzeczone z powagą i celem, jest wyrazem głębokiego przekonania; każdy wiersz zamyka w sobie myśl lub uczucie. Poemat *Bretony* składa się z pojedynczych obrazów, pełnych zalet, ale niepołączonych z sobą ścisłym węzłem. Nie jestto epopea, sąto raczéj poetyczne powiastki.

W dziele tém widzimy dwa obrazy, które same przez się jużby mogły zapewnić nieśmiertelną sławę poecie. Ustępy te pojedyncze p. n. *Zapaśnicy (les lutteurs) i Popisowi (les conscrits)*, skreślone są prawdziwie ręką mistrza. Jest w nich głęboki pogląd, prawda uczucia, podniesienie ducha, związek myśli, żywość akcyi, samodzielność w skreśleniu charakterów działających osób: słowem są tu wszelkie warunki możliwéj doskonałości. W ostatnim z tych poematów widzimy łzy matek, które krwawo opłakują poległych w boju synów. Wiara tradycyjna, ściśle jednocząca Bretonów pod chorągwią odwiecznego kościoła, nadaje poematowi temu urok niewysłowiony. Miłość rodzinnego ogniska, posłuszeństwo na głos kapłana Bożego, uwydatnione są tu

najwdzięczniejszemi zarysy. Drugi ustęp p. n. *Zapaśnicy*, pełen wzniosłéj prostoty, może śmiało być postawiony obok najcelniejszych ustępów starożytnéj poezyi. Siła fizyczna, uczczona słowem poważném, dźwięcznem, uwydatnia się tu, jakby pod dłutem greckiego snycerza. Briseux sławiąc zapaśników swéj ukochanéj Bretanii, miał zapewne na myśli poemata Homera, ale ich nie naśladował. Stawia on przed oczy prawdziwy obraz wzięty z wiejskiego życia, ale wzrosły do olbrzymich rozmiarów w bogatéj wyobraźni poety. Ta walka duchów krzepkich młodzieńców, splecionych dzielnie ramiony, równie zajmuje, jak obraz najsłynniejszego w dziejach boju. Wprawdzie nie rozstrzyga ona losu narodów, ale tylko los młodziana dumnego zwycięztwem, lub upokorzonego przegraną, i los dziewczyny, ufnéj w dzielność ramienia tego, którego wybrało jéj serce. Ależ dla ludzi, ważących wielkie sprawy świata, jak Juwenalis ważył popioły Anibala, oko dziewczyny jaśniejące szczęściem, i czoło zapaśnika upromienione chwałą, tyle znaczą zaprawdę, jak wrzawa zwycięzkiéj trąby, jak wieńce splecione na cześć wodzów, okrytych krwią i kurzawą. *Primel i Nola* sielski obrazek z tegoż zbioru, zbliża się do poematu *Marya*, wdziękiem uczucia i prostoty. Okraszony jest mnóstwem lirycznych ustępów, ztąd zyskał powszechne powodzenie.

Ostatniém dziełem Augustyna Briseux jest nowa Poetyka. Tu poeta kreśli nam historyą rozwoju własnego ducha, oraz wskazuje poetom drogi, jakiemi dojść mają do pojmowania prawdziwéj piękności i prawdy. Nie idzie on torem Horacego i Boileau, nie poprzestaje na określeniu zasad formy; on sięga wyżéj, w duchu bowiem tylko widzi prawdziwą doskonałość, w nim rozwiązuje całą zagadkę sztuki. Briseux używając od lat dwudziestu niezaprzeczonéj sławy, ma zaiste prawo odsłonić światu w harmonijnéj i czystéj formie, najdrobniejsze uczucia własnéj duszy, i tym sposobem wykryć tajemnice sztuki, któréj winien swą niepożytą sławę. Wypowiada on, jak duch poety zakochany naprzód w przyrodzie, tłumaczy doznane wrażenia prostemi słowy sielanki; potém na widok występków miasta, zapala się słu-

szném oburzeniem, i wylewa w zjadliwéj satyrze: nakoniec wybiega w nieskończoność, na widok cudów nieśmiertelnego Rzymu. Ostatnia ta pieśń Poetyki jest niewątpliwie najpiękniejszą ze wszystkich. Obrazy Watykanu i bazyliki św. Piotra, pełne są wielkości i prawdy. Poeta pomija dziejową epopeję, którą tak wymownie szepcą mu te olbrzymie zwaliska, zarosłe mchem starości; ależ zato jak czarownie marzy pod kopułą Sykstyjskiéj kaplicy i w salach Watykanu, unieśmiertelnionych pędzlem Rafaela! Wyzywa on naprzemiany ducha filozofii, poezyi i religii, a epopeja dziejowa blednieje i znika w obu tych czarodziejskich widzeniach poety.

Dla lepszego pojęcia stanowiska Augustyna Briseux, tak mało u nas znanego, dajemy w przekładzie jego nową Poetykę, która tak dokładnie określa nam indywidualności poety i rozwój stopniowy jego ducha.

PIEŚŃ I^sza.

PRZYRODA.

O poeci! młode orły, wy mistrze słowa i liry: do was przemawiam wyłącznie, wam pragnę wskazać nowe drogi. Już Horacy i Boileau wprzęgli was w złote jarzmo formy: ja powiodę loty waszych skrzydeł na owe bujne pola, kędy wzrasta ziarno poezyi.

Niechaj kapłan wskazuje ludziom nieśmiertelność, ty ją upiękniaj poeto. Zaledwie człowiek-dziecię zakwili w progu życia, Bóg daje mu pieśń na ukojenie bolu, na przypomnienie mu przedświatowéj ojczyzny, kędy nie zaznał łzy ani cierpienia. Pieśń, jak błyskawica spływa z nieba, niechaj więc powraca ku niebu! Biada sercom uzmysłowionym, co ugrzęzłe w ziemskich rachubach, nie zdołają uczuć jéj cudownéj harmonii. Ale w dobie smutnych przesileń społeczeństwa, duch panujący wszechwładnie namaszcza wiernych swoich na służebników Boga i sztuki; a ci karmieni modlitwą i pieśnią, wzrastają na ustroniu, zdala od wystygłego świata, pielęgnując w głębi duszy czyste i nieziemskie rozkosze.

Pójdźcie wy wszyscy, którzy zapalacie pochodnie wasze u nieśmiertelnego ogniska ideału; ja was powiodę troistą ścieszką piękna, kędy nakreślone są czarodziejskie słowa: „kocham, czuję, myślę!" Posłuchajcie, jak myśl moja przedarła zasłonę, kryjącą owe słowa:

Jakże mi błogo, gdy zwrócę oczy
W lat młodocianych obraz uroczy!
Raz w Wielki Czwartek, pomnę, jak wczora
Byłem w klasztorze w celi przeora,
Kiedy nieśmiało, z trwogą na czole
Łzami zalane wbiega pachole.
W licu mu żałość odbija szczera,
„Ratunku, woła, matka umiera".
Kapłan miłością bliźniego zdjęty
Wziął chleb żywota i olej święty,
Poszedł: ja za nim. O! jak radosny
Promień podwójnéj świecił mi wiosny!
Bo lat poranek złocił mi głowę
I zorza siała blaski różowe,
Kwiaty zasłały dolinę całą,
Ptastwo poranny hymn świergotało,
Rosa strącana letnim powiewem
Płynęła z wzgórków zarosłych drzewem,
Których się czepiał tuman mgły biały;
Pszczoły z kwietników miód wyssysały.
O! jakiż urok rannéj pogody
Rozwijał z pączka kwiat myśli młodéj!
Otóż i chata.. wchodzimy w progi,
Chora niewiasta w izbie ubogiéj
Nędzno zasłane zalega łoże.

Ksiądz u wezgłowia klęka w pokorze,
Słowem zasila znojnego ducha.

Chciwie słów Bożych niewiasta słucha,
Przyjmuje olej i chleb żywota;
Kapłan niebieskie rozwarł jéj wrota:
—„Szczęśliwaś—rzecze—w dzień on niedzieli
Grób twój odwalą boży anieli"
I samby oddał wszystko w téj dobie,
By mógł jak ona odpocząć w grobie.

W inne myśl moja biegła przestworza:
Na ziemi kwiaty, na niebie zorza
Karmiły ducha, poiły zmysły,
W jeden je węzeł splatając ścisły.
Uniosłem w górę bezsilne dłonie,
Gdzie w ideału cudnéj osłonie

Lśniąca piękności złudnym urokiem
Przyszłość przed mojém zabłysła okiem,
Gdy iskrę w piersi zatliły nową
Przyroda, wiara i święte słowo.

Miłośniku ideału, podaj mi rękę, a poprowadzę cię znajomą mi drogą. Szczęśliwy poeta, którego matka przyroda ukochała, którego wykołysała na swém łonie, wykarmiła mlekiem własnéj piersi. Kto nie pił z tego zdroju, nie ma warunków życia!

Ale wstąpmy na górę. Pod cieniem odwiecznych dębów, ujrzymy ślady Celtów, starych praojców naszych. Tu niegdyś bardowie stroili liry: przywołajmy ich pamięć. Patrz, owa góra, to wspaniały tron przyrody: wszystko tu kwitnie, świeci, tchnie uroczą wonią! Mięko tu stąpać po zielonym kobiercu murawy! Powój oplata szerokie konary dębu i pień jego chropowaty. Spocznijmy na mchu, u stóp powiewnéj brzozy, strumień w pobliżu płynie po kamykach: mamy czém ochłodzić pierś spragnioną. Kosy, kwiczoły, zięby, wszelkie ptastwo leśne, śpiewając swobodnie, podlatuje szaremi skrzydły; a w téj harmonii dźwięków, barwy i woni, objawia się Ten, który stworzył ptaki, drzewa i kwiaty: wszędzie Bóg obecny, Bóg żywy i niewidzialny, jawi się w dziełach rąk własnych. Złota zasłona symbolu uchyla się, i blask nieśmiertelny uderza oczy nasze. Natchniony poeta stąpając zlekka po murawie, duchem sięga w nieskończoność: widnokrąg jego szary przed dobą, cudnym jaśnieje urokiem. Bóg żyjący w wszechświecie, jakby w zaklętém zwierciadle odbija w duszy piewcy. I śpiewak wstępuje na wierzchołek góry, a pieśń sama płynie z przepełnionéj jego piersi:

Córo nieba! przyrodo! cześć tu, chwała tobie
W głębokości, w przestrzeni, w twéj cudnéj ozdobie.
Ziemia pod memi stopy, wzrok w niebiosa wzlata,
A przedemną ocean, zwierciadło wszechświata.
W obliczu twoich przemian, w proch marny się korze!
Ty cała żyjesz we mnie bezsilnym utworze,
Bo człek wszystkie żywioły w swém jestestwie sprzęga,
W nim się cudnie wszechświata jednoczy potęga.

W krwi jego krążą kruszce z roślinnemi soki,
Żywiący płomień z piersi wybucha szerokiéj,

Ztąd pycha, z jaką ludzkość śmie własne swobody
Gruntować na posadach stałych praw przyrody.

Kiedy światy posłuszne świecąc blaskiem czoła,
Obiegają od wieków wytknięte im koła:
Tu objęte w pierścienie, tam z rozwianym włosem
Milcząc idą tajemnym przyzwane głosem:
Człowiek tylko niewierny wiodącéj go dłoni,
Ku celom rozstrzelonym obłąkany goni.
Pana, który go stworzył przepomnieć on zdolny:
Lecz jak wolny odbiega, tak powraca wolny.

Przyrodo! bądź mu mądrą mistrzynią i wzorem:
Niech wraca w swe poddasze, za jaskółki torem;
Niech go maleńka pszczoła, pracowniczka cicha
Naucza miód dobywać z kwietnego kielicha.

Niech mu ciszę po burzy wskażą morskie wały;
Niech mu dzielność w głąb' serca wleje lew wspaniały;
Niechaj woły olbrzymie uprzężone w pługi
Uczą, jak się wytrwaniem dobijać zasługi.

Niech mu będą podnietą maluczkie istoty:
Niech jak orzeł ku niebu rozpościera loty;
Niech z pieśnią ulatując w kraj prawdy i słońca
Wytkniętemi mu szlaki, dobieży do końca.

Dzień ubiega: żegnam was dzikie wzgórza, żegnam was skaliste brzegi oceanu! Zjednoczone wasze głosy, dość mi już mówiły o obecności Boga. Czas już w milczeniu zestąpić na równinę. Oto kosarze pobrzękując w kosy, tną trawę na łące, zwilżonéj krętym strumieniem. Ponad blizkiém siołem dym snuje się białawemi kłęby. Głośne szczekanie wraz z dźwiękiem wiejskiéj pieśni, przypływa po rosie na łąkę. Dobrzy ludzie! niech Bóg szczęści poczciwéj waszéj pracy; niech mnoży wasze stogi; niech stodoły wasze złotym napełnia snopem!

Bydło powraca z paszy, słychać zdaleka piosenkę pastuszka:

Jam twéj nie znalazł wróżko zasłony,
Dla mnie Merlina pierścień stracony;

A myśl ma wszędzie te czary goni
W powietrzu, w śpiącéj jeziora toni!

Jam na pastwisku odbiegł dziś trzody,
By zdobyć gniazdko dla Anny młodéj.

Gniazdeczko zięby niosę jéj w darze:
Czyż taki domek zlepią mularze?

Z wierzchu zielony mech oko wabi,
W środku je ściele puszek jedwabi;

Na złotą nitkę jajka nawinę:
Jak to ozdobi cudnie dziewczynę!

Gdy je w niedzielę przypnie do czoła:
Istny z niéj będzie obraz anioła.

Otóż dzwon bije na Anioł Pański: młodzi i starzy żegnają się, i trzykrotnie odmawiają pozdrowienie. Ciągną wozy naładowane sianem, ptastwo pogwarza zdala, a księżyc jak sierp srebrny, wschodzi ponad lasem.

O! tylko w wiejskiém ustroniu, tylko w leśnéj zaciszy, w owéj czarownéj krainie dźwięku i woni, człowiek czuje życie drgające w piersi, czuje głęboki rozrost ducha w czasach powszechnego chłodu, lub gorączkowego zamętu. A jeśli Bóg stworzył go na to, aby w chórze śpiewaków leśnych wygłaszał Jego chwałę; niech tu opiewa wieśniacze prace, niech uczci pieśnią starodawny obyczaj, niech dobywa z pod serca własne wspomnienia przysypane prochem niepamięci. Gdy społeczność podcięta toporem samolubstwa, traci żywotne siły; niech poeta, jak kapłan starożytnych druidów, błądząc pod cieniem dębów stuletnich, karmi łono czarownem tchnieniem przyrody, aby u tego ogniska rozbudzić świat drzymiący, i popchnąć go na dalszy tor żywota.

PIEŚŃ IIga.

MIASTO.

Nawiążmy do liry nową strunę: jesteśmy w Paryżu, wielkiém mieście, owéj otchłani, gdzie wszystko się miesza, wszystko ściera i jednoczy; gdzie swawola dotyka pobożności, wstydliwe ubóstwo zuchwałego zbytku; gdzie Siostra Miłosierdzia pomija rozpustnicę, gdzie mierność przeważa nad zdolnością; gdzie geniusz blady, wyczerpany, umiera w cieniu, podczas gdy bursa sieje ulubieńcom swoim z rogu obfitości, nieprzeliczone dary. Satyro! tu dla ciebie bogate rosną plony. Zako-

łacz w pałacowe podwoje, w ubogie drzwi poddasza: głoś wszędzie wiekuistą prawdę, karz zbrodnią, pomścij łzy niewinnie wylane!

Ależ obok zbrojnéj satyry, niech się da słyszéć żałośna pieśń; niech pocieszy ludzkie niedole, niech balsam rzeźwiący wleje w zbolałe serca! Słuchajmy: oto ubogie pacholę zabłąkane w mieście, opiewa nam uroczą noc letnią. To poeta! życie całe było mu dotąd pieśnią. Krążąc wśród murów uśpionego Paryża, znalazł on wszakże jedynego przyjaciela i druha.

On śpiewa w ciasnéj klatce, w pomroku wieczoru,
Jak rad śpiewał w zaroślach cienistego boru:
Nim w danéj chwili twarde zapory przekroczy,
Śpiewa na całe gardło słowiczek ochoczy!
Kiedy milknie gwar dzienny a miasto olbrzymie
Po swawoli, lub pracy w upojeniu drzymie;
On pod wspaniałych domów sklepione arkady
Wysyła zdala piosnkę przeciągłą na zwiady
I ja śpiewak samotny, i ja boże dziecie,
Szedłem siejąc żal serca piosenką po świecie.
Wstrzymałem się pod oknem tajemnie, w milczeniu,
Patrzę w niebo i słucham, a w wieczornym cieniu
Wśród gwarnego Paryża jestem niby w lesie;
A gdy wiatr mi dźwięk czysty do ucha doniesie
„Daléj, wołam, śpiewaku! daléj druhu miły".
A on drobne gardziołko natęża co siły,
Jakby żywszą podnietą do pieśni natchniony,
Wylewa swą tęsknotę czarownemi tony.
Gdy więc miasto spoczywa mgłą owiane siną,
Poeta idzie gwarzyć z ubogą ptaszyną;
Duma, słuchając dźwięków żalu i tęsknoty,
I cieszą się nawzajem samotne sieroty!
O! kto piewcę na drodze bezludnéj zobaczy
Jak trąca struny liry w bolu i rozpaczy.
Niechaj słowem zachęty pokrzepi mu ducha,
Niech rzecze: ktoś na ziemi twojéj pieśni słucha.

Ale przejdźmy od pieśni na szerokie pole tragedyi. Tu wszakże w gorących krwi potokach znikła ze świata starożytna Francya: czcigodny król z rodziną, poeta o złotém sercu i złotéj lutni, dostojni urzędnicy i świętobliwi kapłani, niewiasty, starce, słowem krocie ofiar położyło tu głowę. Dymią jeszcze krwawe potoki, zbrodnia przemawia głośno! O! przerażający to dra-

mat: czémże przy nim dziwy bohaterskich baśni! Naród zwolniony z jarzma, poddaje kark pod stokroć cięższe jarzmo bezrządu! Świetna jego przeszłość pogrążona w krwawéj kałuży! Zaparł się świętokradzko własnych bohaterów, porzucił ojców obyczaje, wyrzekł się samego Boga! Ale oto przewódzcy jego, brnąc w rozpuście, pierwsi padają ofiarą swych zbrodni! Na tém okropném polu śmierci płynie krew Kapeta, potomka Ludwika świętego, a ciało Chrystusowe zamienia w ołtarz rusztowanie, i dusza męczennika ulata swobodnie ku niebu, niosąc oprawcom słowa przebaczenia.

A teraz powstańcie kwiaty nowéj ery, wiekopomne ustawy, warujące prawa człowieka! Niechaj zwycięztwo roztoczy palmowe wieńce nad głowy rycerskich ulubieńców swoich. Milczcie już pieśni śmierci! Wam zabrzmieć tkliwe pieśni pożegnania! Wystąpcie z cienia młode bohatery, godne starożytnych Spartanów: Hoche, Masseno, Dessaix, i ty młody Bonaparte. Niech imiona wasze zajaśnieją w promieniach chwały, które oświeciły na wieki pola Arcole, Marengo i dalekiego Abukiru. Gallowie obiegają na nowo krańce ziemi, i krwią własną zapładniają świat do czynu. Austerlitz, Jena! na waszych krwią przesiąkłych bruzdach wzeszło bohaterskie ziarno i wydało plon myśli! Poeto! wyśpiewaj hymn tryumfalny i połącz jego dźwięki z okrzykiem boleści bohaterów, tego strasznego dramatu! Niech duch twój czerpie siłę w żywym zdroju natchnienia! śpiewaj sam, nie bacząc na cudze wzory, jak czynił wiekopomny Szekspir. Nie każ zużytą formą wypadków, jakie raz tylko zjawiły się pod słońcem. Niech treść dramatu wyrabia sama właściwe sobie kształty. Jakiekolwiek będzie jéj tło, niech słuchacz przejęty zgrozą lub tkliwą wzruszony litością, ukocha cierpiącą cnotę, a hańbę i występek zbrzydzi sobie na wieki.

Ale poeto, podnieś z prochu ukorzone czoło: ów Paryż zrumieniony krwią, jest także czarodziejskiém miastem świetnych widowisk, złotych pałaców, przybytkiem sztuki i smaku, stolicą zabawy i wesołych żartów. W jego tylko murach mógł się zrodzić słynny twórca Mizantropa.

Otóż i jego posąg: poeto uchyl głowę. Pod tém pochyłém czołem jak głębokie i wymowne spojrzenie! Snać z gorącego serca wybiegł on uśmiech, co igra na wypukłych jego ustach. Odkryjmy głowy przed tym głębokim znawcą serc ludzkich. Jeden z zagorzałych jego zwolenników, wracając z uczty, widział jak drgnęła owa powieka z bronzu, a Molier przemówił w te słowa:

Muzo! co stóp mych wiernie strzeżesz dniem i nocą,
Tęskną duszę poety dźwignij twoją mocą!
Gdy równam wiek obecny z ubiegłemi laty,
Widzę stare występki strojne w nowe szaty.
Człowiek tenże sam w głębi, tylko barwy zmienia;
A jednak, pomnisz muzo, jak z mrocznego cienia
Na jaw wywłóczyliśmy chłoszcząc śmiechu plagą,
Z pod płaszczyka obłudy złość człowieka nagą.
Darmożeśmy razili dotkliwemi rany
Odludki i świętoszki, panów i mieszczany?
Wice-hrabie, markizy, słynne niegdyś wonią,
Dziś angielskich sportzmanów tylko sławę gonią;
Tylko w stajen wyziewach i w cygara dymie
Kopcą marnie krwią przodków okupione imie.
Dawni, przynajmniéj zdobni w wstęgi, w strusie pierze
Chwalili gładkie rymy szczerze, czy nie szczerze;
A w naszych pięknych księżeń i markizek gronie
Sevigné jak dyament blaskiem czystym płonie:
Jaśniały téż nie żartem złociste salony
Rozumem naszéj Maintenon, dowcipem Ninony!
. . . . . .
Nietylko na bogacze miotałem ja chłosty:
Nie uszedł ich mieszczanin, nie uszedł lud prosty;
Ścigałem ja narzędzia burzliwych zamieci
Odwiecznego Paryża, te niesforne dzieci!
Nieraz tajnie warsztatów, przenikając duchem,
Wytknąłem krzywe serce pod prostym fartuchem;
Umiałem ja trud życia dokładać na szale,
Lecz podłości z zawiścią nie schlebiałem wcale.
Każdy wiek niósł daninę kłamstwa i obłudy:
Miały króle pochlebców, dziś je mają ludy.
Przyjaciel ubogiego, z bogaczem dziś w sporze,
Lecz obowiązku biednym nikt wskazać nie może.
Jabym blaskiem podwójnéj zalśnił im pochodni,
A głosząc ludziom prawa, spytał czy ich godni?
Dziś schlebiają ludowi, schlebiają niewieście:
Izabelle, Agnieszki, kędyż wy jesteście?
Czyż zmieniłyście wasze postaci rzetelne
W amazonki, alboli w kwestarki kościelne?

Marynka na targ kładzie kapelusz do twarzy,
Gromadzi sold do solda i o zamku marzy.
O! droga muzo moja, takie dzisiaj rysy
Radbym przed teatralne zgromadził kulisy,
Przybrał je w szczere słowo, i w dowcip nie płaski,
Jakie w ucho mi szepczesz z pod wesołéj maski.

Tak przemawiał mędrzec-artysta, ze smutnym uśmiechem na ustach. O! szczęśliwy poeto, który odziedziczysz geniusz i sławę Moliera: naucz się jak on, żartobliwie a bez żółci, chłostać błędy współbraci. Badaj ich ducha, ich charakter i obyczaje, zawsze jedne w gruncie, lubo w tak różnolitéj jawiące się formie w owym burzliwym świecie, który zowiemy wielkiém miastem!

PIEŚŃ III^cia.

ŚWIĄTYNIA.

Jeden cel pociąga mędrca i poetę: każdy z nich drogą piękności, uganiając dobro, przebiega świat, wzlata niekiedy pod gwiazdy, uchyla każdéj zasłony, zstępuje w otchłań, pewien, że nigdzie nie napotka nicestwa. Wreszcie otrząsając stopy ubielone podbiegunowym śniegiem, zwiedzasz poeto odwieczne grody, kędy duch przeszłości głośniéj przemawia do ciebie; gdzie jakby w Edenie błąka się jeszcze cień bóstwa; gdzie święta miłość nawiedza niekiedy człowieka. Takim grodem był Syon przed laty, takim jest Rzym podziśdzień.

O wiekopomny grodzie! z jakąż pobożną trwogą stanąłem bezsilny u stóp twego majestatu. Stolico bohaterów, artystów i kapłanów, jakiém cię naprzód powitać mianem, gdyś piérwsza w każdym zawodzie?

Szedłem coraz daléj powtarzając wielkie imiona, lecz niebawem zabłąkałem się wpośród olbrzymich zwalisk; i poeta, wędrowiec, ze czcią stąpałem po siedmiu wzgórzach, podziwiając zarówno forum, świątynie, grobowce, nieśmiertelne posągi i obrazy. I wszyscy bohaterowie i święci, od Romulusa aż do Piotra stąpali przy mym boku, uwieńczeni promienistą koroną.

Z jakąż rozkoszą przechadzałem się z królewskiego Awentynu, do wspaniałych ogrodów Salustyusza. Na

onychto płytach z marmuru, które memi deptałem stopy, August przechodząc do senatu, grywał, jak mówi podanie, w orzechy, ze śniademi dziećmi Romy.

Wnijdźmy teraz na tor starożytnéj drogi, którą chadzał zamyślony Horacy, gdy układał odę. Oto przed nami święty przybytek prawa! Tu upadł Cezar, tu miecze błysły w ręku Gallów, piérwszych z naszego rodu.

Ztamtąd, drogą apijską, przybył Piotr apostoł, spełniając wolę konającego mistrza. Dobrze snać rybak zarzucił sieci: dowodem on wspaniały przybytek, tonący w blasku słonecznych promieni!

Chwała tobie kolosalna kopuło dźwigniona ręką toskańskiego olbrzyma. Chwała wielkiemu Aureliuszowi twórcy Kapitolu, chwała boskiemu Rafaelowi, twórcy Watykanu!

Patrząc w to niebo tchnące siłą twórczą, w tę ziemię, ojczyznę epopei, poeto, z duchem pełnym wzniosłych marzeń, zstąp ze mną na Eneaszowe wybrzeża, wydeptane stopami starożytnych bardów. Tu Wirgilli, poważny mistrz, oprowadzał wieszczego Danta. Tu Tasso rycerski bard chrześciańskich bohaterów, poddał blade czoło pod nieśmiertelny wawrzyn. Tu ponury Milton czerpał wieszczy płomień, który mimo ociemniałéj źrenicy, wpływał mu wprost do ducha. Wy bardowie przyszłości, nim opiewać poczniecie święte podania lub wojenne czyny, cuda przyrody, lub cuda woli człowieka, pójdźcie napoić pierś ożywczą wodą Tybru! przejdźcie most otoczony gronem aniołów, i wstąpcie na wspaniałe wschody Watykanu. Tam w progu trzy siostry odmiennie przybrane, oczekiwać was będą. Promień tryskający z ich oczu powié wam, że myśl ich wiecznie ubiega z ziemi ku niebu. One wprowadzą was do przybytku sztuki, uwiecznionego duchem Rafaela.

Otóż i one: piérwsza z nich muza poezyi, trzyma w ręku złotostrunną lirę, bluszcz owija jéj czoło; stąpa ku tobie tak lekko, jakby ulatała białemi skrzydły gołąbki. O! bo zawsze gotowa do lotu w nieśmiertelne krainy piękna. Niekiedy bóstwo samo przemawia jéj harmonijnym głosem do ucha śmiertelnika, a oko jéj zawsze zwrócone w niebo, ztamtąd tylko czerpie przeczysty zdrój natchnienia.

Patrz poeto! muza oddaje się w poważne ręce siostry swéj filozofii. Téj dusza ukochała prawdę: serce jéj nie pieści złudzenia, a umysł w wieczném pogrążony badaniu. Zważmy oto uczniów jéj odwiecznéj szkoły, owych przyjaciół mądrości albo li miłośników przyrody, jak odmiennemi drogami uganiają prawdę. Tu uzbrojony słynnym kompasem, Archimedes, ryje na marmurze nieśmiertelne zgłoski. Tam wielki Ptolomeusz z kulą ziemską w dłoni, piérwszy wskazuje gwiazd obiegi. Przy nim milczący Pytagoras, nadstawia ucha na powietrzne dźwięki. Na uboczu Sokrates rozumem bada serce człowieka. Mądry ów zwiastun i poprzednik idei, duch ujęty w sidła niebieskiego demona, pozostawia następcom, Arystotelesowi i Platonowi, dalszy rozwój i wprowadzenie w ład swych pomysłów. O! wy olbrzymi wiedzy, jakże dzielnie spełniacie wolę mistrza! Jeden wyciąga poważnie rękę ponad ziemią, on bowiem piérwszy podzielił ziemskie twory; drugi podnosi dłoń ku niebu, na znak, że wszystko ztamtąd spływa na ziemię i wszystko tam ostatecznie powraca.

Otóż i filozofia składa cię, poeto, w objęcia trzeciéj siostry, najdostojniejszéj ze wszystkich, w objęcia religii.

A ty, któréj wieszcz nadał Beatryczy miano,
Która przestrzeń okrążasz gwiazdami zasłaną,
Co przemawiasz o Bogu niebieskiemi słowy,
Wlej w usta ludzkie kroplę słodyczy miodowéj.
Już muza zlała na nas nieśmiertelne zdroje,
Już nam mądrość głosiła wieczne prawa swoje;
Ty rozświetl nam widnokrąg wieńcem twych promieni,
A padniem przed obliczem twojém ukorzeni.
Niech w serca twa nam spłynie łaska niepojęta,
Wyciągamy ramiona, do ciebie o święta!
—Śmiertelni! wszak ja cuda rozłaczam przed wami!
Anieli je na klęczkach podziwiają sami,
Śnieżnemi skrzydły słoniąc pochylone czoła,
Bo oko ich światłości bożéj znieść nie zdoła
Co iskier milionem bije od ołtarza,
Kiedy kapłan mistyczną ofiarę powtarza.
I ci czerpali siłę wprost z boskiéj źrenicy,
Apostoły, wyznawcy, krzyża zapaśnicy,
Których sprawą od wieku do wieku w myśl Pana,
Cud wieczerzy się spełnia przez słowo kapłana.
Patrz! stoi na ołtarzu on kielich ofiary,
Wkoło, z księgą w prawicy, lub zdobni w tyary

Ojcowie rozstrzygają tajniki dogmatu,
A światło bije z góry, nowe hasło światu.
Brzmią wiekuiste dźwięki Cherubinów pieni,
Serafy kąpią skrzydła wśród żaru płomieni,
A wyżej ponad chórów anielskich koroną,
Za utkaną z mgły śnieżnéj tajemnic zasłoną,
Pan jaśnieje w promieniach nieśmiertelnéj chwały,
Troisty, ale w bóstwie jedyny a cały!

Tak uroczystym hymnem przemawia czysta dziewica, i wskazuje podwoje świętego przybytku, bazyliki rzymskiéj, kościoła świata! O! bardowe, o wieszcze, wstąpmy kornie w tę przystań Piotrową! Patrzmy na te arkady, na potrójne nawy i olbrzymie sklepienia! Uklęknijmy na grobowcach apostołów i wyznaców. Tu z czterech kończyn świata ciągnie się sznur pokutniczych pielgrzymów, tu dusza pokalana występkiem, obmywa się w cudownym zdroju łaski, i wdziewa na nowo białą szatę niewinności. Tu u stóp odwiecznego ołtarza, uderzcie czołem, poeci, a łaska twa Panie, niechaj spłynie i na nich; niechaj umysł ich napełni świętą prostotą, w serca tchnie miłość, myśl ich uniesie ku niebieskiéj piękności i prawdzie; niech da im umiłować dobro, wzmocni barki ku zwalczaniu światowych zapór; niech ich namaszczy na apostołów sztuki, na krzewicieli Boskiego ideału.

A ty wybrany uczniu, dziécię mego ducha, którego wodziłem pod cieniem starych dębów, po ulicach miasta, wprowadzam cię teraz do Bożego przybytku, kędy niezmącony panuje spokój. Poznałeś przyrodę, poznałeś duszę człowieka, poznałeś wreszcie Boga. Teraz młodzianie, wspieraj się na własnéj sile, wyśpiewaj pieśń natchnioną: Bóg sam uświęca Cię na wieszcza!

Wiemy teraz czém jest słynny we Francyi autor *Maryi*, śledziliśmy bowiem wraz z nim stopniowy rozwój jego ducha, wszelkie przejawy jego myśli. Zawsze prawdziwy, zawsze szczery, ugruntował on swoję sławę na niezłomnéj posadzie, któréj nie zdruzgoczą najzawziętsze pociski krytyków, nie obali burzliwa powódź mody. Systemata mogą następować po systematach, imię jednak Augustyna Briseux nie poniesie uszczerbku, i pozostanie

zawsze na zajętém raz stanowisku w dziejach francuzkiéj literatury. Małe błędy wykonania znikną w obec podniosłości ducha, i znakomity poeta używać będzie zawsze podwójnéj sławy raz jako artysta, który umiał potęgą słowa poruszać serce zagrzęzłe w materyalizmie; powtóre jako śpiewak natchniony, który wierny ideałowi prawdy wypielęgnowanemu w duszy, dobywał przeczyste dźwięki z swéj liry, wśród głośnych okrzyków rozpusty, dolatujących zewsząd; który przeszedł przez powódź kłamstwa i uzmysłowienia, cechujących współczesną mu epokę, i nie splamił w niéj białych skrzydeł poety, unoszących go ponad poziom, i coraz dzielniéj porywających go w nieskończoność do źródła piękności i prawdy.

Godném jest uwagi, że w czasach, kiedy najdziwaczniejsze i najszaleńsze doktryny zdobywały sobie popularność, Augustyn Briseux wywalczył i zachował znakomite stanowisko, jedynie tylko potęgą prostoty. Opowiadając w Poetyce dzieje własnéj duszy, zjednał sobie powszechne współczucie. Aby pojąć i ocenić jego dzieła, niepotrzeba było zbutwieć nad badaniem geniuszów starożytnych i nowoczesnych. Jakkolwiek śpiewak *Maryi* zna dokładnie tajemnice sztuki, przyroda jednak była przedewszystkiém jego mistrzynią, a ducha krzepił wyłącznie w czystym zdroju uczuć rodzinnych, moralnych i religijnych. To téż sława jego nie może być zależną od chwilowych kaprysów mody, i późniejsze pokolenia tak samo go ocenią, jak go ocenili współcześni. Czyto duch poezyi z pola średnich wieków zwróci się na szerokie pola starożytności; czyli będzie szukał zarodu poezyi w drgającéj życiem piersi ludzkiéj: autor *Maryi* nie zstąpi z zajętego w literaturze stanowiska. Prędzéj świat zapomni doktryn, które od lat trzydziestu zajmują uczone salony i akademie, aniżeli dźwięki pieśni tkliwego śpiewaka, zmilkną w pamięci ludzkiéj. Pieśń wyśpiewana z gorącego i ufnego serca, pozostanie nieśmiertelną; słowo wypowiedziane rzewnie, prosto, a w dobréj wierze, musi prędzéj, czy późniéj wywalczyć sobie ogólne współczucie.

PAMIĘTNIKI

PRZEZ

Sabinę z G. G.

(Dokończenie).

Pojęli tę prawdę dzisiejsi mistrzowie sztuki: Bethoven, Liszt, Thalberg, a przed wszystkimi nieporównany nasz Chopin: i tu leży cała tajemnica ich wziętości i sławy. Wydobyli natchnieniem swojém całą prawdę ducha swojego i tę w skarbach harmonii na suchy nasz poziom wylali. Każdemu z nas ich kompozycye przypadły do smaku, bo każdy widział w nich odbicie własnego ducha. Aby się o tém przekonać, weźmy piérwszy lepszy mazurek słynnego ziomka naszego. Nie ma tam ani jednéj nuty obcéj uczuciu naszemu rodzimemu: każdy ton, każdy jego odcień witamy jako utwór albo raczéj własnéj myśli odbicie. Takąto ma potęgę prawda, która w sztuce jest natchnieniem! Takąto mają potęgę wszystkie nasze najdawniejsze śpiewy kościelne, jak np: *Święty Boże*, *Kto się w opiekę*, pieśni do Matki Boskiéj, znane motywa ludowe, które tak silnie w sercach naszych oddziaływają, że dziś najzręczniejsi kompozytorowie w nich karmy do swych kompozycyj szukają! (1). Tu też właśnie leży wyższość muzyki dzisiejszéj nad dawną, i dzisiejszych mistrzów nad dawnemi kompozytorami. Za zmianą ducha kompozycyi pojść musiała i zmiana mechanicznego obrobienia, zmiana instrumentów, i inna zupełnie metoda uczenia.

(1) Któż nie wie, jaką dziwną potęgę mają wszystkie narodowe hymny?.. Wiadomo, że w czasach, kiedy królowie europejscy zwykli byli swą gwardyą przyboczną w Szwajcaryi zaciągać, dla uniknienia szerzącego się zbiegostwa, musiano w pułkach szwajcarskich zakazać pieśni szwajcarskiéj *le ranz des Vache*. (Przyp. aut.).

Malując zmiany towarzystwa naszego, jakie od lat blizko czterdziestu przechodzi, należy wspomnieć o *Emilu, Russa*: raz że wiele wpłynął na zmianę nietylko głównego systematu wychowania, ale metody nauczającéj; następnie, że wpłynął także, lubo pośrednio na ducha obecnéj tyle rozumującéj generacyi naszéj. Nauka J. J. Roussau, odbywszy we Francyi, a potrochu i w Niemczech swój czas wziętości i szału, u nas dopiéro na początku bieżącego stulecia zaczęła się w skutkach pojawiać; ma się rozumiéć w swéj części nauczania elementarnego, hygienicznego prowadzenia dzieci, tudzież systemie rozmowy i łatwego wykładu: bo co do metody poznawania Boga, takowa nigdy nietylko przyjąć na grunt, ale nawet pojawić się nie mogła w ustach matki-córy, arcy-katolickiéj Polski. Idee Zachodu przeciwne chrześciańskiéj prawdzie, mogły przez czas jakiś obałamucić pewną część naukowéj naszéj powszechności, nie zyskały one wszakże nigdy przystępu do rodzinnego koła. Jest to fakt, który każdy z dobrze znających społeczeństwo nasze i śledzących jego różne koleje i przemiany z łatwością uzna, a który my tu, jako bardzo dla kobiét polskich zaszczytny, z narodową dumą podajemy. Mogę powiedzieć z całą prawdą będącą najświętszą powinnością dla piszących pamiętniki: nie widziałam w Polsce kobiety, matki bezbożnéj!... Rozumié się, że nie uznaję za prawdziwe matki kobiét, niewychowujących własnych dzieci, bo te zawsze i wszędzie ujemną płci swojéj stronę reprezentowały. Powtarzam, nie znam matki bezbożnéj! Co więcéj, może jeden na tysiąc znajdzie się ojciec przeciwny religijnemu syna wychowaniu.

Znałam ojców nie wierzących w nic zgoła, nie uczęszczających nigdy do Sakramentów ŚŚ., do kościoła, przeczących najprostszym dogmatom o Bogu, o nieśmiertelności duszy, a odmawiających codziennie pacierz z dziećmi, wstrzymujących się od mięsnych pokarmów w dniach przez kościół zakazanych, i tym podobne czyniących praktyki, *dla przykładu!!!* Niech kto chce fakt ten wytłumaczy, niech rozstrzygnie: dlaczego kiedy my wierzący prostaczkowie wiarę serca naszego staramy się w dzieci wpoić, owi dumni, tak zwanéj religii własnego przekonania koryfeusze, prawdę niby przez nich zdobytą tak szczelnie dzieciom swoim zakrywają?

W owym czasie istniała więcéj niż kiedykolwiek u nas mania cudzoziemczyzny, głównie w wychowaniu młodzieży. Nie było domu, rodziny, gdzieby się nie uwijała przynajmniéj jedna z tych istot obcych, zimnych, z serca i duszy krajem naszym i obyczajami gardzących, coto gryząc pełnemi usty chleb nasz pracą i potem kmiotków naszych zdobyty, skarżyły się na tęsknotę do własnego kraju, i złorzeczyły losowi, który ich w lodowate, według nich północne strony zagnał. O! ciężkie będzie zadanie tego, który kiedyś spisywać będzie musiał porządnie i systematycznie dzieje guwernerów i guwernantek, rezydentów i rezydentek cudzoziemców w kraju naszym, i zajmie się opowiadaniem intryg, kabał, swarów, kłótni, rozdwojeń, które cudzoziemska naniosła ręka pod dach polskiego obywatela. Francuzi szczególnie celowali nad innemi narodowościami w owładnieniu sercem i rozumem bądź swych uczniów, bądź ich rodziców. Tak wszystko, co u nich się znajduje, bez miary chwalili; a co nasze ganili i z pogardą odrzucali: tyle przytém mieli daru wymowy w języku mającym niepojęty urok dla polskiego ucha, że najprzód ciekawość a następnie i umysł i serce pryncypała, którego nigdy *monsieur le Comte*, a żony jego *madame le Comtesse* nazywać nieomieszkali, opanowali, i tego wpływu najgorzéj używali. Byli między niemi i tacy, którzy po kilkonasto a częstokroć i kilkudziesięcioletnim w jednéj rodzinie pobycie, szczerze się do niéj przywiązali: rzadkieto były przecież fenomena, a jeżeli się znalazły, to najczęściéj ze szkodą rodzinnych związków. Jeżeli np. cudzoziemka przywiązała się do matki, to niezawodnie trzymała ją w rozdwojeniu z dorosłemi dziećmi, albo z jéj rodzeństwem, albo z dawnemi przyjaciołmi; a raz ofiarę swą opanowawszy, niełatwo ją z swych wypuszczała szponów.

My jakoś obronną ręką wyszliśmy z szału otaczania się cudzoziemcami. Około roku 1816 przybył jako guwerner do mojego brata, Włoch, mieniący się być baronem państwa francuzkiego i pułkownikiem, nazwiskiem Szpet, co niebardzo świadczyło o jego włoskiém pochodzeniu. Zdaje się, że rodzina jego była z Włoskiéj Szwajcaryi; przybyła do Francyi w czasie kiedy jéj granice na nowo otwarte były dla wszystkich wyznań niekatolickich. Mówił doskonałém toskańskiém narzeczem, które tém jest we względzie czystości i elegancyi języka włoskiego, czém jest mowa Sasów w stosunku do innych giermań-

skich dyalektów. Po francuzku mówił nieźle, a nawet używał pewnych zwrotów i wyrażeń klassycznych mocno zatrącających drobiazgową ścisłością i pedantyzmem Boalowskiéj szkoły, co nie przeszkadzało, że nasz Włocho-Szwajcar lub Szwajcaro-Włoch mówił widocznie akcentem cudzoziemskim, a nawet zatrącał *ou* tam, gdzie zachodziło francuzkie *u*. Po polsku wcale nie mówił. Należał on do rozpierzchniętych po nieszczęsnych klęskach pod Waterloo zastępów Napoleona, i jako w własnym kraju skompromitowany, oczywiście bez chleba, do szukania sposobu do utrzymania życia był zmuszony. Baron Szpet był zatém z położenia Bonapartystą, piorunował przeciw Burbonom, o swojém szwajcarsko-włoskiem pochodzeniu wcale nie mówił. Lubił rozprawiać o polityce, miał niezmienne przekonanie, że jego ubóstwiany cesarz wróci, a z nim honory, stopnie, ordery i donacye. Był w obejściu i ubraniu wyszukany: staro-francuzką modą nosił żaboty z najcięższego batystu, trzewiki ze sprzączkami, czarne, długie, jedwabne pończochy, co było trochę na nasz północny klimat *hazardowne*, czarny frak, przy którym u dziurki od guzika błyszczała czerwona kokarda i złota gwiazda oficerska legii honorowéj. Głowa codzień upudrowana i wyfryzowana jak z pudełka. Mimo bardzo ujmującéj powierzchowności, wilcze pazurki pokazywały się czasami u naszego Włocha: był kapryśny, wyszukany i gniewliwy; nieraz grzeczności prawił przy stole, a wróciwszy do swojego pokoju biédnego mojego brata za uszy wytargał. Był z temperamentu żywy i gwałtowny, ze zwyczaju nieco leniwy, a z usposobienia podobno niewiele uczony; nadrabiał miną, klassykami francuzkiemi, których znał na palcach i włoskiemi *kanzonettami*. Zostawał w domu naszym przez 2 lata i byłby dłużéj pozostał, gdyby jedna z ziomek naszych nie była wpadła w oko panu baronowi. Ożenił się zatém, założył niby pensyą, niby lekcye prywatne dawał, wszystkiego się chwytał. Jak mu się powiodło, nie wiem, gdyż niebawem wyjechaliśmy do Niemiec, a następnie nazawsze Kraków opuścili.

Jednocześnie z pobytem Szpeta u nas zdarzył się wypadek, który jakkolwiek należy do faktów czysto-domowych, tak jest wszakże charakteryzujący pewną ówczesną kastę ludzi, że nie mogę oprzeć się pokusie zapisania go w téj księdze wspomnień moich. Rodzice moi uwiadomieni sztafetą o nagłéj słabości babki mojéj, pani generałowéj z Kromołowa, wyjechali

niebawem, zostawiwszy nas dwoje chorych na szkarlatynę i dopiéro co wyszłych z niebezpieczeństwa. Biédna moja matka w rozpaczy, że nas jeszcze mocno cierpiących odjechać przymuszoną była, powierzyła nas staraniom wiernéj Józefiny, bony francuzkiéj, i pana Szpet, mającego pewną pretensyą do medyko-znawstwa. Po kampaniach Napoleona, przetrząsaniu gabinetów europejskich i przepowiadaniu różnych z bieżących zdarzeń wynikłości politycznych, najulubieńszym przedmiotem rozmowy pana pułkownika była gawęda o różnych chorobach i defektach, udzielanie fizyologiczno-lekarskich rad na katar, kaszel, ból głowy, oczu, reumatyzmy i t. p. często gęsto kursujące choroby, mające przywiléj mieć tyle *niezawodnych* środków wyleczających, ile jest starych guwernerów, pań podżyłych, sąsiadek wiejskich i panien rezydentek. Moja matka nie poprzestała jednakże tylko na staraniach pana Szpeta: uprosiła stryja mojego, aby nas dwa razy na dzień przynajmniéj odwiedzał, łącznie z doktorem Szastrem, zwyczajnym lekarzem i przyjacielem domu, oraz całéj rodziny. Jak Kanka w Proszówkach, tak Szaster w Krakowie był codziennym babki mojéj, a bardzo często rodziców moich gościem, lubo Szaster pod względem nauki, wziętości i szczęścia w leczeniu daleko wyżéj stał od galicyjskiego swojego kolegi. Był on bratem słynnego professora anatomii przy uniwersytecie Jagiellońskim Wincentego Szastra, równie biegłego w czasie swoim lekarza. Oba ci panowie, od serca Jana i Andrzeja Śniadeckich przyjaciele, do śmierci z nimi listowne zachowali stosunki. Ważną tę korrespondencyą, jak mi przed kilką dniami mówiono, pani Szastrowa powierzyła panu Dutkiewiczowi znanemu w Krakowie pedagogowi, który zapewne nie omieszka publicznego z niéj zrobić użytku. Wincentego Szastra wcześniéj zmarłego niewiele pamiętam; brat jego, o którym tu mowa, był wysoki, siwy, nosił rajtfrak koloru oliwkowego, długą téjże barwy kamizelkę sukienną, a w niéj ogromny zegarek repetyer z łańcuchem, do którego była przyczepiona pieczątka z krwawnikiem, z różą wyrzniętą we środku, a do tego wszystkiego ogromną złotą tabakierkę i kamasze. Uchodził za nader w sztuce swojéj biegłego, więcéj nawet od brata, który w końcu życia swojego praktykę porzucił. Szaster był sławny jako *doktor dam*, znający się bardzo na niezawsze odgadnąć się mogących damskich chorobach, i mimo już podeszłego wieku bardzo

od pacyentek swoich lubiony: był wesoły, jowialny, mający na zawołaniu wesołą dykteryjkę, świeżą nowinkę, dowcipne słówko. Przytém był, jak to i dzisiejsi lekarze być umieją, trochę drobiazgowy, systematyczny i pedant w wykonaniu obowiązków swojego powołania, przywiązujący życie i śmierć do filiżanki kleiku przedwcześnie lub zapóźno wypitéj, stanowczo nie lubiący, aby jego polecenia i przepisy lekceważono; do tego miał niezachwianą wiarę w swoję sztukę, co nie było wcale złą jego stroną, bo wierzyć, to jest już na połowę umieć. Otóż zwierzchniemu dozorowi doktora Szastra oddała nas moja matka, równie jak opiece stryja mojego, Xawerego, który doszedł już blizko lat ośmdziesiąt w zdrowiu i sile, nie używając lekarza i apteki, nie doczekawszy się ani jednéj z zwyczajnych przypadłości podeszłego wieku, przy życiu zwyczajném najniesystematyczniejszém, w nieustannych podróżach i dobrowolnych niewygodach; krótko mówiąc, czyniąc wszystko, co każdego innego przywiodłoby o kalectwo, chorobę i śmierć przedwczesną. Przy takiém fizycznem usposobieniu łatwo się domyślić, że do wielu innych oryginalności mój stryj miał i tę, że nienawidził doktorów i lekarstw, nie wierzył w skuteczność nauki Hipokratesa, którą nazywał dość niegrzecznie kłamstwem i szarlataneryą. Z takiemi dwoma sprzecznego usposobienia charakterami, sprawa naszéj kuracyi musiała się stać dość zawiłą. Szaster odwiedzał nas regularnie dwa razy na dzień, i za każdą wizytą jakiś inny leczący i hygieniczny pozostawiał środek; trzymał nas w łóżku, karmił ziółkami, mordował nieustającą transpiracyą, podsycaną dekoktami i prawdziwie zwrotnikową w pokoju temperaturą. Za jedyny pokarm dwa razy na dzień po filiżance rosołu z kurczęcia, po staranném odcedzeniu mięsa, i owsiany kleik *à discrétion*, zastrzegając i w tém przyzwoitą przezorność, aby żołądka nie przeładować. Za napój woda letnia z grzanką chleba gotowaną. Kto z moich czytelników miał szczęście chorować około roku 1816, wié zapewne, że w powyższym opisie metody leczącéj, w owéj epoce praktykowanéj, słowa jednego przesady nie ma. Łatwo pojąć, że przy takiém utrzymaniu rekonwalescencya tępym szła krokiem. Siły i młodość, jak zwykle bywa, wszystkie poboczne względy przezwyciężyły: potrochu zaczynaliśmy przychodzić do zdrowia, a w miarę tego apetyt długo wstrzymywany, budząc się stopniowo, coraz gwałtowniéj praw swoich domagać się począł. Nazajutrz po wyjeździe mo-

ich rodziców, o godzinie dziewiątéj z rana, doktór Szaster odbył swą zwykłą wizytę: zapisał parę mixtur, jakieś okładanie, jakiś olejek podsycający apetyt (przy głodnéj kuracyi), dekokt na transpiracyą, krople na sen, poczém zbadawszy powtórnie pulsa, powiedziawszy kilka żarcików, surowo zaleciwszy najakuratniejsze wykonanie swoich przepisów, wyszedł. W parę godzin nadjeżdża mój stryj, a za nim strzelec jego wnosi ogromne pudło ciast, cukrów, pierników toruńskich i suchych konfitur. Znużonym długiém leżeniem, a do tego zgłodzonym, można sobie wystawić, że widok tylu razem łakoci nie mógł nam być obojętnym, i że mój brat radby się był bawić kordelasem strzelca, którym będąc zdrów nieraz się mustrował i wywijał. Moja guwernantka nieodstępna łóżek naszych, zapytała się, co znaczy to pudło?..—Są tam nic nieznaczące przekąski dla dzieci, aby ich rozerwać.

— Co za przekąski—zapyta struchlała i drżąca od strachu Szymańska?...— pan konsyliarz najmocniéj zakazał..— W trakcie tego prologu bona Józefina wnosi dwie filiżanki chudego kleiku.

— Odnieś to panna—rzecze mój stryj—to się na licho zdało: oto tu mam dla chorych coś lepszego.— Wtém mój stryj w obec zdumionych dwojga kobiét podaje chorym po jednym karmelku i jednym makaroniku.

— Przez Boga żywego co pan robisz—wyjąknęła panna Szymańska — pan konsyliarz?...

— Gadaj sobie tam pani, gadaj, a ja powiadam, że to są tylko doktorskie wymysły: powyrzucać mi te wszystkie flaszki.

— Ale ja jestem odpowiedzialna...

— Dajno pani pokój, ja najlepszy doktór; *mademoiselle Josephine*, proszę dzieci ubierać; bo przysięgam Bogu, na te męczarnie patrzéć nie mogę: to są rzeźniki ci doktorzy!

Mój stryj lubo bardzo grzeczny i uniżony dla wszystkich, był przecież bratem pana domu, nie śmiano mu się sprzeciwić, zwłaszcza, że nam pacyentom ten sposób kuracyi bardzo przypadł do smaku. Mój stryj pochwycił lekarstwa i jedno za drugiém oknem powylewał; ledwie panna Szymańska wymódz zdołała, że flaszki w całości lubo próżne pozostały, aby nie obrazić konsyliarza, który miał wrócić jak zwykle o ósméj w wieczór: mieliśmy zatém czas ubrać się, pobawić i znów położyć w łóżko dla niepoznaki. Na obiad był barszcz z uszkami i polędwica z kapustą, faworytalne mojego stryja potrawy.

— *Siadajcie dzieci do stołu!*—zawołał nowego rodzaju doktór. Po kilkotygodniowéj ścisłéj dyecie, oczywiście w głowie nam się kołowało, nogi się pod nami chwiały, ale z pomocą stryja i milczącéj już panny Szymańskiéj, zawlekliśmy się do jadalnego pokoju. „Jedzcie dzieci co chcecie, aby tylko oględnie, ostrożnie, to wszystko można"—i to mówiąc kładł nam na talerz ogromne zrazy polędwicy z kapustą.

— Co pan robisz—zawołał przerażony Włoch, guwerner —śmierć tym dzieciom gotujesz?...

— Nic to, *Signor*, można wszystko jeść byle tylko oględnie, ostrożnie; bo jak honor kocham, żal mi tych dzieci...—A my niby trochę nieśmiało wzięliśmy się do roboty i zmiatali z talerzów, jak się to robi po tygodniowym głodzie. Po obiedzie byliśmy już trochę raźniejsi, breloki od zegarka stryja Xawerego i kordelas jego strzelca poczęły być w robocie. O 8éj przyjeżdża Szaster, zastaje nas jakby nigdy nic w naszych łóżeczkach, za pulsa kilka razy bierze, przygląda się, examinuje; *puls* raźniéj bieży, jest jakaś irytacya.

— Coto jest?... co widzę, jest nawet nieco *gorączkowéj excytacyi*, jakby po dużéj kommocyi: podać mi papieru, muszę napisać coś kalmującego, jakąś prezerwatywę.

— Ach! aspan dobrodziéj—tu rzekł do mojego stryja, którego zrazu był nie dostrzegł—mam honor powitać go; jakże szanowne zdrowie?

— Zawsze zdrów, kochany konsyliarzu.

— Wiem, wiem, aspan dobrodziéj nas nigdy nie potrzebujesz: szczęśliwa natura!—To mówiąc konsyliarz pisał a pisał.

Skończywszy, obrócił się do panny Szymańskiéj: — Mixturę, rzecze, wyżyć do jutra rana jak poprzedzającą; jeżeli tylko będzie w pokoju 10 stopni ciepła, łóżka szkandelą nagrzać, ziółka przez noc dawać dla utrzymania transpiracyi, ciało oto tym olejkiem nacierać, dopóki nie będzie zupełnie wolne: a jeżeli dzisiejsza irrytacya jutro się nie wznowi, może za cztery dni pozwolę po pół cielęcego kotlecika.—To mówiąc uszczypnął nas po schudzonych policzkach dorzucając:—*apetyt byłby nieprawdaż: co to zaniepoczciwy ten Szaster, że tak głodem morzy: nie prawda!....*

Po tém monologu spiesznie odszedł do licznych swoich pacyentów, zostawiwszy mojego stryja, który się kładł trzymając za boki ze śmiechu. Tak tydzień minął szczęśliwie wszy-

stko tym nowym szło trybem, tojest recepty do apteki, mixtury za okno, a metoda wyleczająca mojego stryja, jak najpunktualniéj wykonywana. Szaster dziwił się nagłemu postępowi rekonwalescencyi, wcześniéj, bo trzeciego dnia pozwolił zjeść pół kotleta: po razu tylko bywał. Gdy moja babka wyszła z niebezpieczeństwa, a rodzice wrócili do Krakowa, zastali nas prawie zdrowych: ze łzami radości dziękowali mojemu stryjowi, domownikom i konsyliarzowi za dozór nad nami i pewne w skutkach recepty.

Wieść naszego prędkiego wyleczenia z szkarlatyny rozeszła się po mieście; rodzice, których dzieci na te epidemiczną w tym czasie chorobę leżały, porzucili swych lekarzy, a rady Szastra zasięgnąć zapragnęli. Wszyscy młodzi pacyenci wyszli ze szkarlatyny, bo w owym roku nie była zabójczą; ale się dziwiono, że rekonwalescencya nie tak szybkim jak u nas postąpiła krokiem. Co wiele także przyczyniło się do tryumfu mojego stryja, to nieobecność babki mojéj starościny olszańskiéj, mieszkającéj jeszcze w Proszówkach, gdyż jéj obecność byłaby mu trochę szyki sparaliżowała.

Starościna z natury delikatna i słabowita miała niezachwianą wiarę w doktorów i lubiła się niemi otaczać. Od téj szkarlatyny tak szczęśliwie wyleczonéj, bardzośmy pokochali naszego stryja; często do niego spacerem chodziliśmy na Piaski, do willi, którą posiadał za rogatką od strony obserwatoryum astronomicznego, gdzie zwykł był lato przepędzać.

Tam mieliśmy wolność nieograniczoną. „Dzieci! wołał stryj, bawcie się, biegajcie, koziołki przewracajcie; bo to, jak honor kocham, te biedaczki cały dzień męczone przy nauce; trzeba im dać trochę wolności.” I nuż nas paść wiejskiemi specyałami, śmietaną, chlebem razowym, owocami, które dziś należą do modnéj kuracyi, ale w owym czasie były uważane za truciznę w dziecinnym hygienicznym kodexie.

Wsród tych śmiechów, pląsów i swobody szczęśliwego dziecięcego wieku, jakto zwykle bywa, nieszczęście domowe wisiało nad naszemi głowami! Nieubłagana śmierć miała w swe kościste ramiona pochwycić jedno z nas, jak gdyby jéj nie dosyć było daniny przez wiek opłacanéj; jak gdyby jéj milsze były ofiary z przypadku, jak z natury i konieczności.

Mój młodszy brat, mały czteroletni Władzio, cherubinek biały jak śnieg, z złotemi kręcącemi się pierścieniami, różanemi usteczkami i dużemi niebieskiemi oczami, nagle zachorował. Byłoto jeszcze za życia wuja mojego Parysa, mieszkającego w domu Wizytek na przedmieściu. Z przepisu Szastra robiliśmy codzień po obiedzie długie spacery pieszo, i właśnie wyszliśmy tego dnia, który był świąteczny na cały dzień do państwa Parysów. Moja ciotka rada, żeśmy naszemi figlami rozrywali chorego sparaliżowanego jéj męża, nie szczędziła zabawek i pieszczot, aby nas jak najdłużéj przy nim zatrzymać. Ku wieczorowi odjechaliśmy jéj karetą do domu; dojeżdżając na zwrocie mikołajskiéj przecznicy, spostrzegliśmy część naszéj ulicy, gdzie stał dom Komorowskich, słomą zasłaną: ruch pojazdu zwolnił i ucichł. Wysiadłszy widzieliśmy na wschodach i przedpokoju jakieś niezwyczajne poruszenie, fizyonomie domowników powarzone. W salonie mój ojciec przechadzał się z panem Szastrem, oba byli milczący i zamyśleni. Przeczuwając jakieś złe, rzuciłam się ojcu na szyję.

— Gdzie mama?—zapytałam z płaczem?....

— Jest w swoim pokoju—odpowié ojciec.—Władzio jest mocno chory, spoczywa w téj chwili, nie trzeba mu snu przerywać.

Mój brat poszedł z panem Szpet do swojego pokoju, jam cichutko usiadła w kącie. Drzwi od pokoju mojéj matki były uchylone, lekki szelest nieśmiałych kroków stąpających po dywanie salonu i trudne chorego oddychanie, przerywało jedynie ponurą cichość. Po chwili mój ojciec niespokojny wszedł do pokoju, gdzie Władzio leżał; ja niepostrzeżona wsunęłam się za nim. Było prawie ciemno: lampa nocna ukryta w otworze pieca mdłe i jakby grobowe wydawała światło, drewka niedopalone tliły się na kominku; chory leży na małéj kanapce, jego głowa oparta na skórzanéj poduszce, czoło i skronie gorejące, usta spieczone, pogrążony w owém dobrze przez wszystkich dozorujących chorych znaném gorączkowém majaczeniu, coto nie jest ani snem, ani czuwaniem; oczy napół zamknięte, co chwila zrywający się i wydający jakieś niezrozumiałe tony, z których jedynie domyślić się można było słów: mamo pić. Biédna matka klęczała przy kanapie, trzymała w ręku filiżankę i machinalnie mieszała napój łyżeczką, i słuchała z głową zwieszoną na dół ciężkiego oddechu chorego, oczy mając weń wle-

pione i śledząc najmniejsze jego poruszenie. Co chwila doktór wchodził, coś zaordynował i znów wychodził; mój ojciec mu towarzyszył, oparty o poręcz kanapki stał prawie nieporuszony. Bona i panna Wetulani (panna służąca) ustawicznie się krzątały to z synapizmami, to z ziółkami po pokoju. Czasami chory wydawał krótki jęk, lub ruch ustami, lub oczy otwierał i znów zamykał. W takich razach matka nagle powstawała i pochwyciwszy doktora za rękę:

— Konsyliarzu! coto jest?....—wyjąknęła głosem i tonem nie do opisania.

— Nie widzisz pani: ma usta spieczone, chciałby je czémś zmoczyć: podaj mu aspani dobrodziejka napój.

Duch wstąpił w nieszczęśliwą matkę, poczęła dziecko poić. Ja w bojaźni, aby ktoś obecności mojéj nie spostrzegł, wsunęłam się za łóżko mojéj matki, modliłam się i płakałam. W końcu dziecięca natura wzięła górę nad uczuciem, sen mnie zmorzył, upadłam na łóżko, co spostrzegłszy ojciec wziął mnie na ręce i zaniósł do mojego pokoju. Położono mnie w łóżko: spać nie mogłam, zrywałam się, gorączkowałam, chciałam wrócić do pokoju chorego, ale mnie pilnie strzeżono. Tak noc przeszła, nazajutrz rano nie puszczono mnie już do mojéj matki. Ojciec mnie tylko odwiedzał, pocieszał; ale oczy jego czerwone zdradzały noc bezsenną i łzy źle ukryte. Szambelanowa Gostkowska zabrała mnie z moim bratem na spacer, zawiozła do ogrodu Krzyżanowskiego, po sklepach cacek obwoziła, chcąc nas gwałtem rozerwać: to wszystko nas nie bawiło, z płaczem prosiliśmy, aby nas do domu odwiozła. Moja matka, która zwykle nieustannie się nami zajmowała, ani się o nas spytała, a w krótkich widzenia chwilach patrzała się na nas nie widząc, i pieszczoty nasze najobojętniéj przyjmowała. Gdy mój ojciec jéj stanem przestraszony, chcąc myśl jéj zwrocić ku innéj stronie, począł się uskarżać, że nie śpiemy, nie jemy, że możemy zachorować; biédna matka rzuciła na nas nieprzytomny wzrok, wskazując na leżące martwe prawie dziecko. Bo jest w naturze żalu matki zobojętnieć na wszystko, nawet na własne dzieci; zda jéj się, że jedno tylko ma i to traci; jéj serce, jéj dusza są z umierającym aniołem, jego tylko kochać może. Biédna moja matka przez cały ciąg choroby dwa tygodnie trwającéj, w usta nic nie wzięła, nie spała, nie mówiła, siedziała nieruchoma jak statua, na małéj przy chorym będącéj ławeczce; poiła go, i usługiwała mu.

W końcu nas jéj już nie pokazywano; my téż jakto bywa w młodym wieku, popłakawszy trochę, prawie zapomnieliśmy o naszém zmartwieniu i wróciłyśmy zwolna do naszych zwykłych zajęć i rozrywek. Dwunastego dnia, gdy siedliśmy do stołu, nagle słyszymy krzyk, latanie po schodach, trzaskanie drzwiami; rozległ się głos mojego ojca wołający: „po Wierzyńskiego, po Jaworskiego". Wierzyński byłto stary doktór noszący się po polsku, co już i w owym czasie było między lekarzami osobliwością; Jaworski zaś był fizykiem miasta. Pan Szaster zażądał ich, aby wspólnie z nimi złożyć naradę i o dalszych kuracyi środkach pomyśleć. Owego wieczora, Władzio zdawał się być lepiéj; zaniesiono go do salonu, i na szezlągu położono. Zażądał jeść, i gdy mu ojciec podawał kleik, raptem konwulsye go porwały.... Wbiegliśmy do pokoju w chwili, gdy trzeźwiono moję zemdlałą matkę. Przeniesiono ją na drugą stronę do pokojów. Biédny Władzio nie mogąc znieść ostatniego przesilenia choroby, trzeciego dnia Bogu ducha oddał. Moję matkę położono w łóżko, a Szaster nie odstępował jéj; miała wszelką przytomność, łzy jednéj nie wylała, nie okazywała chęci wrócenia do dziecka, nie wypytywała się o niego, ani nawet o niém wspominała.... W niedzielę o 11 z rana przywołuje doktora:

— Konsyliarzu, dziecko moje już nie żyje.

— Co za imaginacya! zkądto aspani dobrodziejka wié?.....

— Oto w téj chwili, a nie zasypiałam, nie, to było na jawie, widziałam roztwierające się niebo jasne, i moje najdroższe dziecko w obłoki uwinięte, unosiło się wysoko, wysoko.... i znikło mi z oczu. On już nie żyje, nie macie czego taić, wiem o wszystkiém, on mnie tam oczekuje.

Szaster ze łzą w oku spojrzał na zegarek i wyszedł..... W kwadrans powrócił blady i widocznie zmieniony. Moja matka odgadła: w téj saméj chwili, kiedy miała widzenie, duch dziecka ziemską opuszczał krainę. Od téj chwili już była spokojniejszą, nic nikomu nie mówiąc, o żadne się nie pytając szczegóły; zawołała pannę Wetulani, zrobiła rozporządzenie całéj swéj garderoby, dla siebie zaś kazała uszyć żałobnę suknię. Panna w milczeniu odeszła.

Moja matka z takiém poddaniem się przyjmująca zrazu cios, którym się podobało Bogu nawiedzić ją, kilka tygodni przechorowała go. W końcu uradzono, że dla jéj fizycznego, jak moralnego zdrowia podróż za granicę jest nieodzowną. Po długich przygotowaniach, niemałych kłopotach i trudnościach, dzień

20 czerwca na wyjazd naznaczonym został. Moję siostrę piąty dopiéro liczącą kwartał z boną i piastunką oddano do babki, którą pożegnawszy i odebrawszy od niéj błogosławieństwo, pomodliwszy się na grobie biédnego Władzia, w imię Boże ruszyliśmy w podróż do Wiednia, od którego mieliśmy zacząć nasze peregrynacye, głównie dla wód w Baden, które obojgu rodzicom moim ordynowane były.

Niechaj ci, którzy dziś wyjechawszy o piątéj popołudniu z Warszawy, na drugi dzień są w teatrze w Wiedniu, niezbyt się dziwią, gdy im powiem, że w owym czasie droga z Krakowa do Wiednia odbywała się swojemi końmi, bez żadnego przestanku w dniach siedmiu! Ta podróż za granicę w kilka osób nie była rzeczą tak łatwą do wykonania, jak obecnie, kiedy usłużne koleje żelazne z kilkudziesięciu a nawet kilkuset mil zrobiły mily, wygodny i szybki spacer. Dziś na przestankach czyli tak zwanych banchofach na pięć minut, kwadrans a najwięcéj pół godziny wytchnienia, ma się miękkie i wygodne sofy, gorącą herbatę, dobrze sporządzone kotlety; w wagonie siedząc tonie się w puchu i axamicie; w zimie nogi spoczywają na wygodnéj ogrzanéj wewnątrz posadzce, w lecie wentylatory odświeżają co chwila powietrze.

Przed laty czterdziestu jeździło się z walizami, tłumokami, wlekło się cały boży dzień na słonecznym skwarze po piasku, kamieniach, lub się w błocie więzło, a na wytchnienie miało się karczmę, gdzie wszystkiego podróżnemu brakło, wyjąwszy przewiewów, szyb stłuczonych i połączonych zapachów piwa, wódki, trzechgroszowego tytoniu i stajni. Jeżeli się zaś pocztą jechało, miało się wprawdzie kawę napół z cykoryą, z pływającém masłem, szumnie kożuszkiem przezwaném, i tygodniowe bułeczki na jajkach i mleku od usłużnéj pani poczmajstrowéj kupione, ale na konie trzeba było na każdéj stacyi czekać godzin kilka, nim z pola przyszły i naprędce *popasły*. Te uwagi wszakże w żadnym razie nie stosują się do podróży za granicą, gdzie jakkolwiek nie było jeszcze dróg żelaznych, przecież można było jakąśkolwiek po zajazdach znaleźć wygodę. Wyjechawszy z Krakowa już w Szlązku austryackim wjechało się na murowany gościniec, wprawdzie kolejami na półćwierci łokcia w głąb' przerznięty, ale suchy i twardy, i co dwie i trzy mile natrafiało się na austerye zwykłe piętrowe, porządnie utrzymane. W téj podróży mieliśmy ogromną landarę i rzecz nie-

zbędną w r. 1817, brykę pod kucharza i pannę służącą; w miarę jednak jak się zbliżaliśmy do Wiednia kucharz własny był już zbyteczny, gdyż właściciele gospód mieli pretensyą karmić nas swojemi tłustemi rosołami, chudą sztuką mięsa i oblewaném pieczystem (1). Jedynie wolno było mieć swoję kawę (herbatę dopiéro co zaczynano używać po liczniejszych zebraniach, były już np. *herbaty tańcujące)* i to pod warunkiem, aby dobrze ochrzczoną kupować śmietankę. Kucharz Wałecki, który w dość kwaśnym humorze z Krakowa wyjeżdżał, bo przewidywał, że dla oszczędności w podróży będzie musiał czynić służbę lokaja, pomału wszakże nawykał i do swego położenia i do niemieckich zwyczajów, a nawet był bardzo zadowolony: bo nietylko

(1) Mieliśmy wtenczas kucharza bardzo w swojéj sztuce biegłego, który przecież nie miał pretensyi do artyzmu jak dzisiejsi jego koledzy: wprawdzieto czasy tworzą ludzi. Na początku bieżącego stulecia *konfort* w jedzeniu nie był tak ogólny jak dzisiaj, nie rujnowano się na jedzenie; była serdeczna gościnność i obfitość na stołach, ale nie było przymusu, ostentacyi, a zatém emulacyi i zbytkowych wydatków. Dawniej przyjmowano i karmiono bez przestanku; dziś się daje trufle i szampańskie fabrykowane wino, herbatę z cytryną i ciasteczkami, jakby dla dyety i strawności. Dawniéj nieznano prawie francuzkiéj kuchni: jedynie w zamożniejszych domach był kucharz Francuz i cukiernik Włoch, i to niezawsze. Do takich oddawano wiejskich naszych chłopaków na naukę, ztąd niektóre francuzkie potrawy, jak zupy rumiane *Julienne* z jajami, żółwiowe, pasztety w francuzkiém cieście, majonesy czyli hord'oevry, ryby na zimno (au bleu) drobie w cieście smażone i t. p. dawniéj nieznane potrawy dziś w polskich kuchniach stały się pospolitemi. Dawnemi czasy każda panna idąca za mąż miała przydane sobie do wyprawy dwie postaci nieodzowne do składu jéj nowego zarządu: pannę *służącą*, którą *wyprawną* nazywano i kuchcika, jako zawiązek oczekiwanéj w przyszłości gastronomicznéj posługi. Starościna olszańska idąc za tym wiekami uświęconem zwyczajem chowała takiego kuchcika dla każdéj z córek swoich. Takim wyprawnym kuchcikiem mojéj matki był Maciuś, który po 40 przeszło leciech wysługi, przeszedłszy trzy generacye w naszéj rodzinie, umarł na łaskawym chlebie u mojego brata. Pan Maciéj jakkolwiek doszedł do wieku podeszłego, nie mógł się nigdy doczekać godności professorskiéj w swoim fachu; był zawsze kuchcikiem, co widocznie dowodzi, że każda specyalność pewnych wyłącznych potrzebuje zdolności. Gdy kucharza naszego Wałeckiego zastępował, często dawał pulpety z zupą, zamiast zupy z pulpetami, a jego *artyzm* ograniczał się na huzarskiéj pieczeni, andrutach z maszynki, kruchém cieście ze śmietaną i białéj doskonałéj sztuce mięsa. Okropny był jego koniec, bo skończył na *waryacyi*, co zbija trochę zdanie, jakoby wielkie intelligencye jedynie téj chorobie ulegały. (*Przy. aut.*).

Biblioteka Sejmu Śląskiego

nie gotował, ale jemu samemu podawano jedzenie na stole nakrytym, i w dodatku do każdego obiadu pół butelki wina, wprawdzie austryackiego, które mówiąc nawiasem, półgębkiem i tylko przez *ambicyą* popijał, w przekonaniu, że polska wódka lepsza.

W Ołomuńcu gdyśmy stali przed hotelem w rynku, piękna Szlązaczka mająca na głowie axamitną czarną czapeczkę galonkiem obszytą, z tyłu spadającą, ubrana w kusą czerwoną spódnicę i niebieskie pończochy, prześliczna czarnobrewa, częstowała nas pomarańczami, które moja matka kupując, pochwaliła jéj nadzwyczajną urodę. Szlązka *Venus* słysząc te pochlebne wyrazy *naiwnie* się odezwała, że wié, że jest ładna, bo cesarz austryacki przejeżdżając przez Ołumuniec to samo jéj powiedział, a nadto kupił od niéj duży kosz pomarańcz i za każdą dał jéj po *pięć czerwieńców* (dukatów). Mówiąc to ani się uśmiechnęła, ani zaczerwiniła, jak gdyby była powiedziała rzecz najprostszą w świecie. Ta obojętność na tak powszechnie upragnioną zaletę jak uroda, wszystkim się obecnym podobała; Szlązaczka odeszła z próżnym koszykiem, kieszenie mając obładowane cukierkami i ciastkami, które, jak powiadała, bardzo jéj smakowały.

O TELEGRAFII ELEKTRYCZNÉJ.

PRZEZ

S. E.

I.

Nitki metaliczne, ciągnące się wzdłuż dróg żelaznych i podmorskich bezdnach, z prędkością wyobraźnią ludzką przechodzącą, bo większą od prędkości światła, przenoszą o sto mil rządowe rozkazy lub prywatną korrespondencyą. Drucik, którego średnica zaledwie parę linij wynosi, ciągnie się od stolicy do stolicy, od państwa do państwa, i czarodziejstwem spływającéj po nim elektryczności, zniewala maleńki drążek na jednym z jego końców umieszczony, do biernego w swych wahaniach posłuszeństwa względem woli ludzkiéj, wyrażonéj na drugim końcu kilkaset mil długości mogącego mieć przewodnika. Te szybkie, jednostajne i wyraźne wahania, ująć w pewne formy odpowiednie konwencyonalnym oznaczeniom, już jest łatwém dziełem prostéj mechaniki: bo skoro dokładnie poznane prawa i natura płynu elektrycznego, pozwoliły nam osiągnąć wahania regularne, a oznaczone co do ilości, rozciągłości i trwania, wykonywane przez drążek wspomniony, i przerywane stosownemi odpoczynkami, to nic łatwiejszego, jak wahania te za pomocą wychwytu do zegarkowych podobnego, i kilku kółek zazębiających zamienić: jużto w ciąg znaków używanych w dawnych telegrafach, do czytania których osobnego potrzeba dykcyonarza; jużto w poruszenia dziecinnéj abecadłowéj skazówki, zastanawiającéj się kolejno nad wszystkiemi literami, stanowiącemi całość wiadomości przesyłanéj.

Zakończmy drążek ten ołówkiem, i przybliżmy doń walec pokryty papierem, i obracany ze stosowną szybkością, za pomocą oddzielnego mechanicznego przyrządu; a ołówek drążka w czasie swych wahań kreślić będzie linią łamaną, złożoną z kresek wyraźnych, końcami połączonych, i naprzemian od lewéj ku prawéj ręce w dół idących, lub wznoszących się. Widoczna, że linia prosta, pozioma, powstanie w czasie spoczynku drążka, dając nam swą długością wyobrażenie długości spoczynku. Te kreski pochyłe podzielone na większe lub mniejsze gruppy, poprzedzielane liniami poziomemi, stanowią depesze; bo każda pojedyńcza gruppa ma ścisłe znaczenie, zależne od ilości składających ją kresek.

Inny rodzaj piszącego telegrafu otrzymamy, gdy ołówek tępym kawałkiem żelaza, a papier zwyczajny, papierem napojonym stosownym rozczynem chemicznym, zastąpimy. Tępy rylec żelazny, pod wpływem strumienia elektrycznego sprawia rozkład w rozczynie chemicznym, i na jednostajném tle papieru pojawiają się kombinacye punktów i kresek kolorowych, umówione znaczenie mających.

Po tak dowcipnych przyrządach telegrafu elektrycznego, telegraf drukujący już nas dziwić nie może; tém bardziéj, gdy się przekonamy o jego niedogodnościach w praktycznem użyciu. Dwa koła opatrzone na swych obwodach wypukłemi literami, umieszczone na dwóch końcach metalicznego łącznika, urzeczywistniają ten sposób przesyłania wiadomości. Jedno z nich bezpośrednio ulega woli przesyłającego depesze; litery jego ręką ludzką zatrzymywane w stosownem następstwie przyciągają przewodnik naprzeciw nich znajdujący się. Drugie zaś koło przy pomocy drążka, o którym już tyle razy wspomnieliśmy, niewolniczo ruchy piérwszego powtórzy: zatrzyma się na téj saméj co i tamte literze, przyciągnie doń blizki przewodnik, a pośredni papiér ciśniony tym sposobem oddrukuje ją na swéj powierzchni.

II.

Ten skrócony i pobieżny, a zatém niezupełny i nieścisły przegląd telegrafii elektrycznéj, daje nam jednak poznać, że skutki elektryczności objawiające się w telegrafach są w stanie cudownością swoją wywołać podziwienie nasze; zachęca nas przeto do umiejętnego rozpatrzenia się w przyczynach ogólnych te zja-

wiska sprowadzających, i w prawach, podług których one następują. Społeczna ważność telegrafii elektrycznéj, niemniéj myślącą publiczność do tego rodzaju badań i nauki usposabia. Administracya cywilna i wojenna, przemysł, niezaprzeczone z niéj ciągną korzyści; same stosunki familijne znajdują niaraz w szybkości jéj doniesień uspokojenie na dręczącą niepewność o drogich osobach; a ubezpieczone przez nią życie na drogach żelaznych, do uczucia podziwu, uczucie wdzięczności dołącza.

Ta podwójna, bo umiejętna i pożytkowa ważność telegrafii elektrycznéj, każe się i nam spodziewać, że przystępny wykład praw, na których spoczywa, i narzędzi, któremi się posługuje, pożądanym będzie dla czytelników Biblioteki Warszawskiéj.

Jeden z zaszczytów współczesnego świata na polu umiejętności i obywatelstwa, a mistrz prawdziwy co do wykładów popularnych, którym znaczną część swych prac i nauki poświęcił, nieodżałowanéj pamięci Franciszek Arago, w przedmowie do swéj Astronomii popularnéj (1), następnemi wyrazami skreśla cel, jaki sobie w tém dziele osięgnąć zamierza: „Dzieło moje obejmie umiejętność całą i najwyższe jéj prawdy; przedstawi przeto rezultaty zupełne, a elementarném będzie tylko sposobem wykładu.” Słowa te nacechowane są miłością umiejętności i téj części społeczeństwa, dla któréj ją Arago przystępną chciał uczynić. Wszelkie zaś wykłady popularne, łatwiejsze tylko wyimki z umiejętności za jéj całość przedstawiające, grzeszą przeciw umiejętności, zniżając ją do stopnia przyjemnéj zabawki, uwłaczają czytającéj publiczności i szkodzą jéj wykształceniu; bo z jednéj strony nie uznają jéj za godną nauki w całéj pełni, a z drugiéj fałszywe o umiejętności dają wyobrażenie.

Przejęty prawdami temi, w małéj méj pracy zastosuję się ściśle do przepisu, który wiekopomny Arago na czele wielkiego umieścił dzieła: opiszę więc wszystko, co opisania godne, starając się usilnie o przystępne przedstawienie rzeczy.

III.

Kilka zaledwie lat upłynęło od piérwszych prób telegrafii elektrycznéj, a już przyszła ona do wysokiéj doskonałości. I kiedy dawne wynalazki ludzkie wiekami trudów i doświadczeń

(1) Patrz kartę 2 i 3 tomu Igo. Paryż, r. 1854, wydanie pośmiertne, pod nadzorem p. Barral ogłaszane.

dorabiały się rzeczywistego uznania i użyteczności w społeczeństwie, ona już prawie dojrzałą na świat przyszła. A to dlatego, że nie zrodziła się z trafu, ani też ciągiem przypadkowych odkryć miała zmierzać do ulepszeń ślepo i powoli, jak w dawniejszych czasach wielkie nawet i użyteczne dla ludzkości wynalazki; ale że owszem, umiejętne poznanie siły, którą do telegrafii zastosowano, poprzedziło samoż zastosowanie, i uczyniło je tém, czém wszelkie przemysłowe wynalazki być powinny: to jest prostém a koniecznem następstwem ogólnych praw natury. Tu, a nie gdzieindziéj przyczyna jéj zdumiewająca szybkiego wzrostu. W tak krótkim przeciągu przebiegła długie koleje, wszędzie i zawsze rzeczywistą umiejętnością kierowana. Tu także szukać należy powodów, dla których rezultaty, do jakich doprowadziła, zamiast istnemi wydawać się dziwami, za wyniki i to bardzo proste znanych praw elektryczności, od samego ich pojawienia poczytane zostały.

Ta zależność telegrafii elektrycznéj od saméjże nauki o elektryczności, pojawia się w samych udoskonaleniach piérwszéj, jako w zastosowaniach wypływających niezbędnie z praw ogólnych. Każdy krok w nauce uczyniony odbił się natychmiast odpowiednim w zastosowaniu postępem. I ten wzgląd warunkuje dalsze opowiadanie: przebiegając bowiem historyą udoskonaleń telegrafii elektrycznéj, zmuszeni bylibyśmy odnosić się do coraz obszerniejszego zapasu wiadomości o elektryczności. Naturalniéj przeto, bo zgodniéj z rzeczywistością będzie, przebiedz historyą wyrabiania się pojęć o płynie elektrycznym, i na niéj oprzeć same udoskonalenia telegrafii. Tak przebieżymy warunki i sposoby tworzenia się płynu nam potrzebnego, przypatrzymy się miarom jego siły i prędkości; ujrzymy tém samém jego użyteczność w ułatwianiu stosunków między ludźmi, a zarazem i rozmaite sposoby, jakie w tym celu podda władzy społecznego przemysłu. Wtedy na zamknięcie wypadnie mówić o narzędziach w telegrafii elektrycznéj używanych; a rzecz to najłatwiejsza: bo skoro wynalezionym został sposób nadawania oznaczonych poruszeń drążkowi na odległych umieszczonemu stacyach, to już rzeczą dowcipnego często w swym składzie, ale zawsze łatwego do pojęcia mechanizmu, zamienić te ruchy w skazówkę, ołówek, tłocznię drukarską, lub wreszcie w dzwon powołujący do baczności urzędnika, mającego czytać i notować przesyłaną depeszę.

IV.

Elektro-magnetyzm jest dziełem fizyki, który w nowszych czasach najwięcéj wzbudził ciekawości; najwięcéj téż uczonych liczył współpracowników, i nieomal rzec można, najobfitszym wynagrodził plonem chodzących koło jego uprawy ochotników. Przyczyna tego leży jasno wskazana w samym rodzaju jego istotnych wpływów na naturę organiczną i nieorganiczną. Wiek przeszły, w swym tak ściśle umiejętnym pochodzie, abstrakcyą istniejącéj formy do najwyższego prawie posunął stopnia. Łatwe na to dowody, albo raczéj mówiąc ściśléj, łatwo przytoczeniem kilku imion przywieść na pamięć fakt ten niezaprzeczalny. Czysta matematyka, pracami tylu wielkich mężów stanęła w nim dojrzałą umiejętnością, tak, że rzeczywisty peryod jéj postępu kończy się na La-Grange; a bliższe nas lata, mimo tłumu biegłych rachmistrzów, rozświecają szczegóły, ale nic rzeczywiście wielkiego do jéj prawd nie wniosły. To samo się dzieje z rodzonemi jéj córami, mechaniką niebieską i racyonalną; La-Place zamyka szereg rzeczywistych postępów piérwszéj, Poisson zaś drugiéj.

Przeszedłszy do nauk naturalnych, postrzeżemy to zjawisko, że o ile zajmowały się opisem obecności, kształtem skończonym, o ile zatém stały równolegle od piérwszych; o tyle dokładnie poznane zostały. Jussieu w botanice, Cuvier w zoologii, w mineralogii zaś system Wernera oparty na poznakach zewnętrznych, a Haüyego na formie geometrycznéj i chemicznym składzie, świadczą to wymownie. Ale skoro przejdziemy do processu życia, do sposobów stawania się tego, co istnieje; to widzimy w niedostatku i olbrzymią uczoność wieku zeszłego.

Tak w martwym świecie geologia i astronomia fizyczna dalekiemi były od kresu swego. W roślinach proste są fenomena życia; a przecież prace Senediego i Saussura, zaledwie grubsze działania wykryły. Cóż dopiéro mówić o całym processie rozwijania się i żywienia zwierząt, który mimo tłumnie wpatrującego się weń współczesnego uczonego świata, wymyka się niedościgły w wielu względach jego mikroskopom i analizom.

Gdy zapytamy o powód tego nierównego pochodu i ostatecznego rozwoju nauk formalnych czyli ścisłych, od nauk przy-

rodzonych czyli życia; to zaraz postrzeżemy, że on leży w niedokładném poznaniu fizycznych i chemicznych działaczy, a zatém nowych oderwań i form nowych; ale oderwań takich, które się wcielić musiały w daną przed wieki materyą, działać na nią, przerabiać i sprowadzać świat współczesny, jak się i dzisiaj wcielają we wszystko, co żyje lub leży martwe i zamieniają na materyalny świat przyszłości; ale wformach będących przyczyną saméj istoty życia.

Fizyka i chemia stanęły w porządku dziennym, ale rozłączone przepaścią, któréj zrównanie nie łatwo było przewidzieć; każda nieomal z osobna rozszerzała swój widnokrąg. Dopiéro elektro-magnetyzm, i z niego wyrodzona elektro-chemia połączyła je ściśléj; bo nauczyła, że każde działanie chemiczne jest zródłem pojawów elektrycznych. W ten węzeł złączenia wytężono uwagę: skutek wynagrodził trafność sądu i usilność pracy. Oprócz telegrafii i zegarów elektrycznych na téj saméj co ona spoczywających zasadzie, policzyć trzeba galwano-plastykę, sztukę taniego pozłacania i posrebrzania, możność poruszania machin za pomocą siły elektrycznéj, jako i wiele innych drobniejszych wynalazków, za wypadki jednego rzędu.

Będzie mi wolno wspomnieć o każdym z nich w właściwém miejscu. Wolność ta służyć mi już nie może tam, gdzie elektryczność odznacza się swoim wpływem na fizyologią, bo ta już innego rzędu poszukiwania stanowi; poszukiwania o których wzmiankę czynię, aby nią zakończyć szybki pogląd na ważność wielostronną elektro-magnetyzmu, który stanowiąc jeden z najściślejszych związków chemii z fizyką, musiał niezmiernéj nabrać ważności w fizyologii, jako nauce wyłącznie opartéj na dwóch dopiéro wzmiankowanych, lubo głęboko zmodyfikowanych tajemniczym dotąd wypływem życia, który siłą żywotną nazywać zwykliśmy. Fizyologia oświecając się wysoko rozwiniętemi fizyką i chemią, z loicznego porządku, współcześnie absorbuje głównie uwagę i pracę postępowéj uczoności; a wielokrotnie napotykane w niéj pojawy elektro-magnetyzmu, które już nie jednemu systematowi i nie jednemu systemacikowi fizyologicznemu dały początek, sprawiają, że nauka tego ostatniego będzie na porządku dziennym, dopóki fizyologia, chemia i fizyka, nie staną na trwale ustalonych posadach.

V.

Dawna czyli optyczna telegrafia. Telegrafia elektryczna jak z jednéj strony umiejętne ma pochodzenie, tak z drugiéj jest następstwem zwykłéj telegrafii optycznéj, którą w wielu miejscach zastąpiła; w niektórych jednak jéj współzawodnictwo wytrzymuje, albo raczéj do czasu cierpi i pozwala na współczesne istnienie. Ale i tam, gdzie telegraf elektryczny zastąpił dawniejsze, często się znakami przez poprzednika używanemi posługuje. Te znaki koniecznieby̆śmy poznać musieli, mówiąc o telegrafach elektrycznych, takowych używających. Lepiéj je więc uprzednio rozważmy, i to w związku z telegrafią optyczną, w któréj opisie stanowią one główny przedmiot.

Trzej bracia Chappe, siostrzeńce sławnego podróżnika Chappe z Auteroche, oddani byli pod koniec panowania Ludwika XVI na nauki: jeden do seminaryum w Angers, dwóch zaś na pensyą o pół mili od tego miasta położoną. Przyzwyczajonym do przestawania razem w domu rodzicielskim, rozłączenie bolesném się zdało. Seminarzysta Klaudyusz w ciągu samotnych rozmyślań postrzegł, że umieszczając na każdym z końców linii dość długiéj, linią krótszą ruchomą około punktu swego przyczepienia, i nadając każdéj z trzech części składowych tego układu, pewną liczbę położeń łatwych do rozróżnienia, można otrzymać bez trudu 192 różnych figur. Klaudyusz zakomunikował braciom postrzeżenie swoje; każdéj z figur nadano znaczenie litery lub wyrazu jakiego. Wzajemna korrespondencya niebawem urządzoną została. Zwyczajna luneta służyła do obserwowania znaków.

W krótce nadeszły wypadki r. 1793, a z nimi wojna domowa i zewnętrzna. Bracia Chappe, którzy już w familijnych uczuciach znaleźli byli bodźca do zrobienia wynalazku, teraz widząc Francyą w niebezpieczeństwie, w przywiązaniu do ojczyzny napotkali podnietę do udoskonalenia tegoż, a wspólnie z krewnym swym Leonem Delauney, obmyśliwszy lepszy język telegraficzny, udali się do Konwencyi, która w nowém odkryciu widząc silny środek ułatwiający energiczne rządzenie, wzięła je pod ścisły rozbiór.

Urządzono linią z Paryża w stronę Condé, w czasie właśnie gdy ta warownia oblężoną przez Francuzów była: telegraf w sam dzień zdobycia fortecy, kilkakrotnie zamienił rozkazy

przez Konwencyą do wojska przesłane, na sprawozdania od tegoż. Konwencya dotykalnie przekonana o użyteczności telegrafu, który tak wiele oddał przysługi w piérwszym dniu swego użycia, z właściwą sobie energią poleciła jego zaprowadzenie w całéj Francyi, powierzając wykonanie tego postanowienia braciom Chappe, wspólnie ze sławnym zegarmistrzem Bréguet.

Opiszmy ówczesny telegraf braci Chappe. Prostokąt długi na 14 stóp, a szeroki na 13 cali, obracać się może na swéj płaszczyznie około swego środka, który jest punktem zawieszenia prostokątu. Prostokąt ten (czy deska), mógłby przybierać wszelkie możliwe położenia. Aby jednak położenia te wyraźnemi były, do czterech ich liczbę ograniczono: położenie poziome, pionowe i nachylone względem piérwszych o 45^0 na jednę, równie jak i na drugą stronę. Położenia te nazwiemy: ukośném lewém, i ukośném prawém położeniem. Do każdego z końców tego wielkiego prostokąta, regulatorem zwanego, przymocowanym jest mniejszy prostokąt (czyli mniejsza deska), bo tylko 6 stóp długi, nazwisko skazówki przybierający. Dwie te skazówki ruchome są około swych końców, któremi je do regulatora przytwierdzono; nie licząc przeto zwinięcia skazówek ku środkowi regulatora, jako niewyraźnego, każda z nich siedm odmiennych przybrać może położeń, między któremi 45^0 przedziału zachodzi. Przy tych zastrzeżeniach, nasz przyrząd telegraficzny da 196 różnych figur czyli znaków telegraficznych; przypuściwszy bowiem na chwilę, że regulator jest nieruchomym, to przy niezmiennem jego położeniu skazówka prawa np. 7 ma ruchów; a że każdemu temu ruchowi odpowiada 7 ruchów skazówki lewéj, więc obie razem wzięte skazówki 49 różnych figur przedstawią nam na każde z położeń regulatora. A że ostatnich liczba 4 wynosi, ilość przeto ogólna znaków telegraficznych będzie $49+4=196$. Bracia Chappe postanowili jednak, że na regulatorze poziomym i pionowym żaden znak danym być nie może; a zastrzegli natomiast, że odbierający depeszę dopóty jéj nie powtórzy do dalszego zakomunikowania, dopóki przesyłający nie zatwierdzi figur danych na prawym lub lewym ukośnym regulatorze, przenosząc je bez najmniejszego naruszenia całości figury do poziomego lub pionowego położenia regulatora: dodając, że każdy ze znaków czyli figur telegraficznych inne znaczenie mieć będzie, według tego, czy na regulatorze poziomym, czyli też na pionowym

ostatecznie zatwierdzoną zostanie. Piérwszém zastrzeżeniem liczba 196 znaków do 98 zniżona, na nowo do pierwotnéj 196 cyfry dodatkowym przepisem wzniesioną została. 98 znaków odpowiednich ukośnemu położeniu lewéj części regulatora, nazywanemu w języku urzędowym ukośném lewém położeniem, zachowane zostały na wyłączne oznaczenie różnorodnych potrzeb służby wewnętrznéj, jakoto zaszłéj w depeszy omyłki, przerwania lub zakończenia takowéj, i tysiącznych innych wypadków, o których stacyom pobocznym dać znać koniecznie potrzeba, nieużywając zwyczajnego języka telegraficznego. Ten bowiem znanym jest tylko naczelnikom linii u jéj kończyn znajdującym się, a to z powodu, że telegraf optyczny gdziekolwiek istnieje, zachowany jest do wyłącznego urzędowego użytku.

Ruchy telegrafu odnoszące się do prawego ukośnego położenia, (które jak wiemy jest zwyższoném położeniem prawéj części regulatora), tworzą 98 figur i stanowią dopiéro właściwy język telegraficzny. Co o nim powiemy, da nam wyobrażenie o ilości sygnałów piérwszego rodzaju, zrozumiałych dla wszystkich urzędników całéj linii.

Trzy są systematy w języku telegraficznym używane:

1) Hieroglificzny, który każdemu położeniu telegrafu dowolne nadaje znaczenie. System ten jest zawiły i objąć nie może wszystkich możliwych okoliczności, których zakommunikowanie może być telegrafowi powierzone.

2) Abecadłowy; w nim 98 znaków użyto do oznaczenia liter alfabetu, liczb, znaków pisarskich i syllab częściéj napotykanych. System ten wiele spotrzebowywa czasu na przesyłanie depeszy, (albowiem doświadczenie uczy, że telegraf najwyżéj 8 figur na minutę przybrać może), i z tego powodu jest wręcz przeciwnym naturze telegrafów.

3) Liczbowy; jest dziełem braci Chappe. Każda z 98 figur używanych do przesyłania zwyczajnych depeszy, oznaczona jest raz na zawsze liczbą porządkową, poczynając od 1^{ej} a na 98^{ej} kończąc. Dykcyonarz czyli księga przeznaczona do zamienienia przesłać się mającéj korrespondencyi na telegraficzne symbola, i do odczytania depeszy przesłanéj, zawiera na każdéj ze swych 98 kart, 98 wyrazów oznaczonych liczbami 1, 2, 3, do 98. Do oznaczenia jakiegokolwiek wyrazu, potrzeba dwóch

znaków telegrafu, z których I wskaże kartę, a II liczbę wyraz oznaczającą; i dlatego raz na zawsze przyjęto, że 1, 3, 5 i t. d. słowem wszystkie nieparzyste poruszenia telegrafu kartę dykcyonarza, wszystkie zaś parzyste jeden z numerów wskazanéj dopiéro karty oznaczać będą. Według tego, dykcyonarz w mowie będący zawiera 98×98, czyli 9604 wyrazów.

Bracia Chappe uznali niedostateczność podobnego słownika; dwa więc nowe dodali, zachowując też same prawidła w ich wewnętrznem ułożeniu. I^{y} zawierał 9604 wyrazów; II^{gi} obejmie 9604 zdań całych najczęściéj używanych w przesyłanych depeszach; III^{ci} nareszcie tyle nazwisk geograficznych. Trzy z 98 figur lewemu ukośnemu położeniu odpowiadających, zachowane są wyłącznie do wskazania, w którym z 3^{ch} słowników depesza ma być czytaną.

To, co dotąd powiedziano, daje dostateczne wyobrażenie o znakach telegrafu optycznego używanego we Francyi. Wprawdzie Abraham Chappe, za pomocą tychże samych znaków, ale dla otrzymania oszczędności w czasie, inaczéj skombinowanych, ułożył nowy słownik telegraficzny, zawierający 61,952 pozycyi, oznaczających litery, cyfry, wyrazy, znaki pisarskie, lub nawet zdania całe. Administracya telegrafów francuzkich kazała po r. 1830 ułożyć słownik na wzór dopiéro co przytoczonego; nareszcie i p. Guyet, inny, jeszcze daleko zupełniejszy proponował: gdy jednak zasada podobnych słowników jedną i niezmienną zawsze pozostaje, ograniczymy się więc na przedstawieniu najświeższego sposobu kombinowania, podanego również przez Abrahama Chappe, a dającego 93,528 pozycyj w słowniku.

W nowym systemacie regulator w czasie przesyłania depeszy saméj, statecznie poziomym zostaje; prawa skazówka przybiera 6 odmiennych położeń, a mianowicie: pionowe górne, pionowe dolne i 4 położenia kąty 45^{0} z dwoma piérwszemi czyniące; (położenia skazówek poziome jako mniéj wyraźne i jedynie przedłużeniem regulatora będące, nie są używane). Te 6 położeń oznaczają się cyframi 1, 2, 3, 4, 5, 6, a w ogóle noszą nazwanie pojedyńczego prawego rozwinięcia. Sześć lewych pojedyńczych rozwinięć znaczą się podobnież cyframi 1, 2, 3, 4, 5, 6. Rozwinięć przeto całkowitych będzie 36, oznaczonych przez: 11, 12, 13, 14, 15, 16; 21, 22, 23, 24, 25, 26; 31, 32, 33, 34, 35, 36; 41, 42, 43, 44, 45, 46; 51, 52, 53, 54,

55, 56; nareszcie 61, 62, 63, 64, 65, 66, w którychto liczbach jedności, rozwinięcie prawéj skazówki, dziesiątki zaś lewéj nam wskazują. Te 36 rozwinięć zupełnych poprzedzając jedném z sześciu pojedyńczych rozwinięć prawéj skazówki, otrzymamy 36×6 czyli 216 znaków, które powtarzając się na każdéj z 216 kart dykcyonarza, dadzą 216×216 46,656 różnych znaczeń, do których sygnałowania telegraf potrzebuje przybrać dwa pojedyńcze prawe i dwa zupełne rozwinięcia.

Jeżeli po prawém pojedyńczém, i zupełném rozwinięciu, nastąpi lewe pojedyńcze, a w końcu drugie zupełne rozwinięcie; to one nam dadzą nowe 46,656 pozycyj w dykcyonarzu. Nareszcie jedne pojedyncze rozwinięcie lewéj skazówki, z następującém całkowitém rozwinięciem daje 2 i 6 znaków, połowę tylko zużywających czasu, a oznaczających litery, cyfry, znaki pisarskie i syllaby częściéj w języku napotykane. Znaki wewnętrznéj służby dotyczące, dają się na pochylonym regulatorze.

Cały apparat telegraficzny służący do przesyłania wskazanych znaków, wywyższonym znacznie bywa nad powierzchnią ziemi, aby łatwo zdaleka był widzialnym, i dlatego bezpośrednio ręką ludzką kierowanym być nie może. Urzędnik do stacyi telegraficznéj przywiązany, siedząc na dole, w stancyi swojéj, ma przed oczami mały a wierny model telegrafu, z trzech ruchomych liniałów złożony, któremi kierując, kieruje zarazem regulatorem i skazówkami telegrafu. Regulator bowiem modelu, ruchomy koło swéj osi, kommunikuje poruszenia, jakie mu nadane zostały, bloczkowi na tejże osi osadzonemu; ten za pomocą sznura bez końca zniewala do ślepego naśladownictwa bloczek do osi regulatora telegrafu przymurowany, a zatém i samegoż regulatora. Podobnyż stosunek zachodzi między odpowiedniemi modelu i telegrafu skazówkami. Skazówka modelu porusza tuż za nią umieszczony bloczek, który swe ruchy kommunikuje za pomocą sznura bez końca, bloczkowi osadzonemu na osi współśrodkowéj względem osi regulatora modelu (1). Ten za pośrednictwem 2go sznura bez końca, obraca

(1) Mechanizm ten dosyć skomplikowany, wymagałby dla jasnego przedstawienia osobnéj figury. Natura niniejszego opisu szczędzić nam każe ilości rysunków; dlatego poprzestaniemy na zwróceniu baczności czytelników, że współśrodkowość osi jest taka sama, jak w każdym zegarze i zegarku, gdzie skazówki godzinna i minutowa, na takich osiach są osadzone.

bloczek osadzony na osi współśrodkowéj względem osi regulatora telegrafu, a zatém niezależnéj od niéj w swych obrotach; który przy pomocy 3go sznura bez końca kommunikuje ostatecznie ruch skazówki modelu, bloczkowi na osi skazówki telegrafu osadzonemu, a zatém i saméj już skazówce.

Wszelkie narzędzia optyczne dawnéj telegrafii, najmniejszego w telegrafii elektrycznéj znaleźć nie mogą zastosowania; pominiemy je przeto zupełnie. Tém bardziéj wdawać się nie możemy w opisy mniéj ważnych narzędzi lub prawideł służbowych. Wspomnimy tylko, że urzędnik spostrzegając kommunikowaną sobie depeszę, zapisuje ją w urzędowy regestr, zanim daléj prześle; że telegraf trzy zupełne znaki (każdy z 2ch pojedyńczych i 2ch podwójnych figur złożone) w przeciągu jednéj minuty dać może; nareszcie, że regulator i skazówki czarno pomalowane dla wyraźniejszego widzenia w porze dziennéj, oświecone są w czasie nocnéj służby 4ma lampami, z których dwie białém jaśniejące światłem, położenie regulatora, dwie zaś kolorowe położenie skazówek oznaczają.

W innych państwach telegrafia optyczna, innemi posługuje się znakami. I tak w Prusach, rząd w r. 1832 urządził linią telegraficzną między Berlinem a Trewirem, kosztującą 170,000 talarów. Każda stacya telegraficzna składa się z pionowego słupa, i sześciu skazówek przyczepionych do głównego słupa w trzech ponad sobą umieszczonych parach. Każda z tych skazówek ruchoma około punktu swego przyczepienia, przybierać może 4 odmienne położenia, czyniąc z dolną częścią słupa kąty 0^0, 45^0, 90^0, i 135^0. Ilość więc sygnałów równać się będzie czterem sześć razy przez siebie rozmnożonym, czyli $4^6=4096$. Biorąc znowu sygnały nieparzyste za numera kart, parzyste zaś są początkowe numera wiersze na kartach oznaczające, i przypomniawszy sobie, że każdy wiersz taki osobne ma znaczenie, poweźmiemy wyobrażenie o bogactwie pruskiego telegraficznego języka, który niemniéj od 4096×4096, a zatém więcéj aniżeli 6,000,000 oddzielnych wyrazów i zdań w przesyłanych depeszach oznaczać może.

Zakończymy ten pobieżny przegląd telegrafii optycznéj, krótką wzmianką o telegrafie angielskim. Składa się on z sześciu deszczek ruchomych około swych poziomych osi, a umieszczonych w ramie pionowéj, trzema ponad sobą położonemi parami. Każda deseczka dwa tylko przybiera położenia: pozio-

me i pionowe, sześć przeto deseczek nie daje więcéj nad 64 sygnały, które w wiadomy sposób kombinować między sobą należy, dla otrzymania dostatecznie bogatego słownika.

Skazówki telegrafu pruskiego i deseczki angielskiego, poruszane są za pomocą mechanizmu umieszczonego w izbie urzędnika stacyi. Mechanizm ten składa się z bloczków i sznurów bez końca, o których dostateczne ma wyobrażenie każdy, kto zatrzymał w pamięci podobny, lubo daleko bardziéj skomplikowany przyrząd, służący do nadawania poruszeń w telegrafie braci Chappe.

VI.

Pan Foy, obecny dyrektor telegrafów rządowych we Francyi, zaprowadzając wzdłuż kolei parysko-roueńskiéj telegraf elektryczny, chciał się w nim ile możności zastosować do dawnych sygnałów. Tém postanowieniem pana Foy kierował wzgląd na urzędników i dozorców stacyi pośrednich, którzy jako ludzie małego wykształcenia, i jedynie z mozołem nabytéj wprawie i biegłości zawdzięczający swe miejsca, z trudnością przywykają do zmian mieszających ich usposobienie mechaniczne, będące owocem ciągłego powtarzania jednéj i téj saméj rzeczy. Wzgląd ten przemógł, i sprawił, że rządowa telegrafia elektryczna we Francyi, posługuje się znakami telegrafów dawnych. W telegrafach jednak elektrycznych, regulator niezmienne poziome zachowuje położenie, co go znieść i zastąpić czarną poziomą kreską na cyferblacie telegrafu odrysowaną, pozwoliło. U dwóch końców tego imaginacyjnego regulatora, znajdują się dwie skazówki, którym jak zwykle po 7 odmiennych położeń nadać można. A tak w ogóle tylko 49 figur telegraf ten przedstawia. Te jednak figury kombinowane w wiadomy między sobą sposób, wystarczają na potrzeby korrespondencyi. Urzędnicy stacyi pośrednich mają litografowane regestra, zawierające ciąg poziomych kresek, położenie niezmienne regulatora wyobrażających; przy każdéj z tych kresek poziomych, urzędnik stacyjny, odbierając depeszę, kreśli piórem dwie inne odpowiadające położeniom skazówek, i dopiéro po uskutecznieniu téj formalności przesyła dalszéj stacyi znak zapisany.

System ten znaków widocznie jest niższym od udoskonalonych sygnałów używanych w dawnéj telegrafii, Powodem

tego nieruchomość regulatora, nieruchomość konieczna; bo jak się przekonamy, działacze elektryczne z trudnością i regulator i dwie skazówki współcześnie poruszaćby mogły: tę konieczność czuli dobrze p. Foy i jego współpracownik młody Bréguet, i do niéj się zastosowali. Ależ wedle proponowanego przez Abrahama Chappe, a powyżéj opisanego w niniejszym artykule nowego systematu sygnałowego, skazówki ruchome, przy ciągle poziomym regulatorze, 93,528 znaczeń przedstawiają. Telegraf optyczny niższym się okazał, pomimo ubóstwa języka telegrafu elektrycznego; ubóstwa, które zresztą prostém rozporządzeniem rządowém, zmieniającém jedynie słownik, a nie naruszającém ani apparatów, ani znaków sygnałowych, usuniętém być może. Przyczyny wzmiankowanéj niższości, leżą w niedogodnościach nierozdzielnych od samejże natury telegrafii optycznéj.

VII.

Szybkość w przesyłaniu depeszy główną zaletę wszelkiéj telegrafii stanowi. Bezpieczeństwo, a przynajmniéj chwilowa spokojność państw i rządów, zależy częstokroć w znacznéj części od sprawozdań na czas przychodzących, lub od rozkazów w stosowną odbieranych porę: spóźnienia zamęt sprowadzić są zdolne. Telegrafia optyczna wyłącznie do korrespondencyi rządowych używana, przedstawia częste a konieczne przerwy w przesyłaniu depeszy; mgły i szarugi dzienne i nocne są ich powodem. Ta niedogodność od stanu atmosfery zależna, powiększona jest powolnością, z jaką widzieliśmy, że sygnały po sobie następować muszą. I dlatego telegrafia optyczna, kosztowna i zaledwie rządowym wystarczająca potrzebom, nigdzie na użytek prywatny i przemysłowy, ani w całości ani nawet w części oddaną nie została. Same rządy zastępują ją telegrafami elektrycznemi, które ciągnąc się wzdłuż kolei żelaznych, i przez tych samych doglądane dozorców, daleko mniejszym zakładają się i utrzymują kosztem; a szybsze prędkością płynu i ruchami narzędzi, nadto niezależne od pogodnéj przejrzystości powietrza, i depeszy rządowych nie narażają na przypadkowe opóźnienia, i ciężar prywatnéj korrespondencyi podjąć są w stanie. Mamy już nawet przykład linii telegrafów elektrycznych, wykonanéj i utrzymywanéj bez pomocy i towarzystwa kolei żelaznéj: taką jest linia telegraficzna w Turcyi, Kon-

stantynopol z Bukarestem łącząca, z odnogą od Szumli do Warny odrywającą się, która rozpoczęta w r. 1854 pod jesień, 1855 r. całkowicie ukończoną i otwartą została.

Z przytoczonych powodów wnioskując, blizki koniec telegrafii optycznéj naznaczyć możemy.

VIII.

Etektryczność statyczna. Dlatego tak nazwana, że się nagromadza na powierzchni ciał, czekając, że tak rzekę spokojnie chwili sposobnéj do objawienia się w skutkach swoich. Elektryczność tego rodzaju najczęściéj przez tarcie, lub inne mechaniczne działanie wywołana, i nagromadzona na powierzchni ciał, wciąż opuścić takowe usiłuje, aby w myśl rządzących nią praw wywrzeć działanie na elektryczności otaczających ciał.

Natura i prawa elektryczności statycznéj, dopiéro w 2éj połowie zeszłego wieku bliżéj zbadane i lepiéj poznane zostały. Z błogiéj średniowiecznéj niewiadomości otrząsająca się ludzkość, coraz nowe umiejętności lub ich ważne działy wyprowadzała i wydatnemi czyniła na tle ogólnéj starożytnych wiedzy. Doświadczeniá z butelką lejdejską i machiną elektryczną, niedawno dostrzeżona różnica między złemi a dobremi przewodnikami, na którą Gray piérwszy zwrócił uwagę, i jeszcze świeższe rozróżnienie przez Dufay, wprowadzone do nauki, dzielące elektryczność na dodatnią i ujemną, stanowią cały zasiłek szczegółów i praw znanych o elektryczności, przed pracami Coulomba. On w ważce przez siebie wynalezionéj okazał, że elektryczność przyciąga i odpycha podług praw, siłą ciężkością rządzących, i dostrzegł, że bardzo nawet długie nitki metaliczne rozdzielające ciało naelektryzowane od ciała, na którém doświadczamy skutków elektryczności, nie zmniejszają ani opóźniają tych skutków.

To ostatnie odkrycie przez Coulomba uczynione, dołączone do prawa poprzednio znanego, że ciało naelektryzowane przyciąga odosobnione nieprzewodniki, stanowią podstawę telegrafu jeszcze w r. 1774 przez uczonego francuzkiego Le-Sage, w Genewie, proponowanego i podobno nawet przywiedzionego nieco późniéj w témże mieście na małą skalę do skutku, bo z nitkami paręset łokci długiemi Le-Sage używał 35 drucików metalicznych, czyli nitek przewodnich, z których każda jednę z liter lub cyfer liczbowych oznaczała. Odbierający depesze

miał przed sobą 35 kulek z duszy bzowéj wyrobionych; kulki te zawieszone na tyluż odosobniających je nitkach, odpowiadały 35 drucikom metalicznym, i przez takowe kolejno, a pojedyńczo przyciągane były, w miarę jak przesyłający depesze, dotykał się w stósownem następstwie, za pośrednictwem naelektryzowanego ciała, drugiego końca owych 35 drucików, kommunikacyą między stacyami stanowiących.

Prężność jednak z jaką elaktryczność statyczna wciąż usiłuje opuścić ciało, którego powierzchnią zalega, robi z niéj siłę nadzwyczaj kapryśną, i trudno powodować się dającą; im lepszy przewodnik, tém go łatwiéj opuszcza, im powietrze wilgotniejsze, tém łatwiéj elektryczność wśród niego się rozprasza. Dlatego wszelkie proby usiłujące zastosować elektryczność zwyczajną do telegrafii, bezowocnemi pozostać musiały. Wspomnimy więc tylko, że Lomond we Francyi r. 1787, Reiser w Niemczech r. 1794, Cavallo i Salva w Hiszpanii (1795 i 1796) odznaczyli się mniej więcéj dowcipnemi w tym względzie projektami. Anglik Romald w r. 1823 ponowił zaniechane proby, nie z lepszym jak poprzednicy skutkiem.

IX.

Elektryczność dynamiczna. Stosy. Wynaleziony w roku 1800 przez Woltę nowy rodzaj elektryczności, dynamiczną zwanéj, w działaniach chemicznych jedyne ma zródło i początek. Narzędzia stosami zwane, tworzą ją do umiejętnego lub przemysłowego użytku. W nich zrodzona bezprzestannie spływa po zamkniętym przewodniku łączącym bieguny stosu, a nigdzie nie usiłuje oderwać się od przewodnika tego dla rozlania się w powietrzu lub na powierzchni innych ciał, tak jakby krążenie czyli ruch po zamkniętym przewodniku, jeden z warunków istnienia prądów elektrycznych czyli elektryczności dynamicznéj stanowił. Brak ten prężności czyni ją niezdatną do przyciągania ciał nienaelektryzowanych, ale natomiast podaje nam w ręce działacza pewnego i stałym ulegającego prawidłom. Już Carlisle i Nickolson w r. 1800 odkryli za pomocą zwyczajnego stosu Wolty, że prąd elektryczny rozkłada wodę na wodoród i kwasoród: z których 1szy przy ostatnim miedzianym krążku, czyli u bieguna dodatniego się zbiera; 2gi zaś okazuje się statecznie u bieguna ujemnego, a zatém przy ostatnim cynkowym krążku.

Własność tę Sommering z Monachium, w r. 1811 chciał spożytkować na rzecz telegrafii: 35 okręgów zamkniętych, litery i cyfry oznaczać miały; przesyłający wiadomość wprowadzał kolejno stos Wolty w okręgi literom depeszy odpowiadające, o czém odbierającego depesze ostrzegały bańki gazów z rozkładu wody pochodzące, przy właściwych nitkach przewodnich, pod stosownie urządzonemi zbierające się kubkami. Nic dziwnego, że telegraf taki nie wszedł w użycie; ale dziwniejsza, że Schwejgger przodkujący umiejętności ważnemi odkryciami elektryczności dotyczącemi, pozostał za nią w tyle na drodze praktycznych zastosowań, usiłując w r. 1838 zbudować telegraf na tychże samych prawie, co i poprzedni oparty zasadach, kiedy odkryciem elektro-magnetyzmu i jego własności, dziecinna epoka telegrafii elektrycznéj już była powinna być zamkniętą.

Stos Wolty w pierwiastkowym swym składzie nie dość statecznie działający, aby niezmienne w ciągu całego działania wywierał skutki, wydoskonalenia potrzebował, zanimby go do telegrafii użyć zdołano. Wyraźna, lubo nieobliczona prędkość elektryczności zdawała się ją do tego przeznaczać, jak tego przytoczone proby dowodzą. Oprócz dobrego stosu, niedostawało jednak jeszcze w epoce, na któréj stanęliśmy, wiadomości o działaniu prądów na miękkie żelazo, które zasadę telegrafii elektrycznéj stanowi, i żadną inną własnością fizyczną, chemiczną, lub fizyologiczną stosu zastąpić się nie da. Niedostawało wreszcie do umiejętnego oparcia telegrafii na pewnych podstawach miary dla siły prądów: słowem, aż do r. 1820, nie posiadaliśmy żadnéj z danych zasadniczych, na których się telegrafia elektryczna gruntuje. Przypatrzmy się, jak szybko umiejętność zdobędzie te dane.

X.

Stosy stateczne w skutkach; stosy używane w telegrafii elektrycznéj; wzmianka o chemicznych własnościach stosów. Długo stosy, pomimo rozlicznych sposobów w ich urządzaniu przyjętych, nie dawały zadawalniających wypadków pod względem niezmienności siły, produkującéj się w nich elektryczności. Owszem, w miarę przedłużającego się działania, wszelkiego raz nastawionego stosu, malała siła jego strumienia. Dowód na

to mieli fizycy, przed wynalezieniem w galwanometrze Schwejggera scisłéj dla płynu elektrycznego miary, w większéj lub mniejszéj potędze fizycznych, chemicznych i fizyologicznych fenomenów, działaniem stosu wywoływanych. Do piérwszych należy wielkość iskry ukazującéj się w przerwie okręgu prądowego, lub rozżarzenie platynowego drucika uzupełniającego drut miedziany, bieguny łączący.

Ta zmienność potęgi stosu, łatwą jest do pojęcia; powinowactwo bowiem i z niego wypływające reakcye chemiczne między metalami a rozczynami stosu mające miejsce, jedyne źródło elektryczności stanowią. W stosach pierwotnych te chemiczne działacze wyczerpywały się, bez możności częstego a stosownego do ubytku ich odnawiania; nikł metal przez rozczyn attakowany, lub pokrywał się osadem, sam rozczyn się nasycał. Tak słabło powinowactwo i wzajemne chemiczne działanie, a więc i siła elektryczności, która malać musiała w stosunku wyczerpywania się źródła ją produkującego.

W nowszych czasach liczne wynaleziono stosy zadosyć. czyniące zasadniczemu wymaganiu, o którém mowa. Lecz stosy Daniela i Bunsena, najczęściéj są w pracowniach fizycznych, a prawie wyłącznie w telegrafii elektrycznéj używane.

Łącząc kilka lub kilkanaście ogniw w stos, biegunami przeciwnemi, produkujemy ilość elektryczności, proporcyonalną ilości ogniw. Powrócimy niebawem do mierzenia siły elektryczności w stosach powstającéj; przypomnijmy sobie teraz na zawsze, że elektryczność dynamiczna, czyto w jedném ogniwie, czy w stosie, objawia się dopiéro po połączeniu biegunów drutem przewodnim; że ten drut wraz z uzupełniającym go stosem, okręg zamknięty stanowi; że nareszcie spływający po tym okręgu strumień czyli prąd elektryczny, według przyjętéj umowy, spływa pomiędzy biegunowym drutem od dodatniego do ujemnego, w samym zaś stosie od ujemnego do dodatniego bieguna.

Wspomnieliśmy, że liczne są własności stosu pod względem fizycznym, chemicznym i fizyologicznym. Własności fizyczne zużytkowano, lub starano się zużytkować w przemyśle; komuż niewiadome doświadczenia czynione w celu zastąpienia sztucznych świateł jasnością elektryczną, stokroć więcéj blasku dającą. Ujrzymy w następującym numerze, że Ampère usiłował wpływ strumieni na igłę magnetyczną na korzyść telegrafii zużytkować; zobaczymy wreszcie ten zawód szybko wynadgrodzony

działaniem utworzonych pod wpływem strumieni elektro-magnesów. Nie dotykając wpływów fizyologicznych przez strumienie wywoływanych, pominąć niewolno chemicznych własności stosów, jako w wysokim stopniu przemysł i umiejętności obchodzących. Rozkład ciał podwójnych i soli, jużto na ich ostateczne pierwiastki, jużto na ciała podwójne, charakteryzuje pod względem chemicznym działanie stosów; sama mnogość ciał chemicznych wielostronną ważność téj własności wskazuje: jakoż nie wdając się nawet w znaczenie, jakie w umiejętności i w pośrednich zyskała sobie zastosowaniach, dostatecznie je wykażemy bezpośrednią w przemyśle użytecznością. Dosyć albowiem wspomnieć sztukę taniego pozłacania i posrebrzania, i galwanoplastykę czyli umiejętność pokrywania wszelkiego rodzaju przedmiotów cienką metalu warstwą, kształt przedmiotów naśladującą z podziwienia godną wiernością; dosyć sobie uprzytomnieć rolę galwanoplastyki w sztuce, numizmatyce, historyi naturalnéj, litografii i drukarstwie. Granice tego opisu nie pozwalają mi wchodzić w bliższe szczegóły dotkniętych materyj. W przezornéj tylko oględności na zasób w dalszym ciągu wiadomości, wspomnę: że w rozkładzie tym ciało zbierające się u bieguna dodatniego czyli cynkowego, ciała elektro-dodatniego nosi nazwisko; i że przeciwnie elektro-ujemném jest ciało ukazujące się przy miedzianym czyli dodatnim biegunie, a to z powodu znanego prawa, o przyciąganiu różnoimiennych elektryczności.

I tak w wodzie i wszelkich kwasorodkach, kwasoród jest ciałem elektro-ujemném; i słusznie: bo doświadczenie stwierdza, że pierwiastek ten wychodząc ze związków, posiada elektryczność żywiczną czyli odjemną. Sole działaniu stosu poddane, posyłają kwas do bieguna dodatniego, zasadę zaś do ujemnego; w solach przeto kwas jest ciałem elektro-ujemném. Ciała podwójne, kwasorodu nie zawierające, rozkłada stos na ich pierwiastki. Wiemy, że cyanki w charakterach swoich do ciał podwójnych są podobne: stos je rozłoży na metal i cyan, wywiązujący się zawsze u bieguna dodatniego, jeżeli tam nie napotka metalu, z którymby się mógł połączyć. W największéj jednak liczbie przypadków, cyanek pod doświadczenie wzięty, tworzy z metalem u bieguna dodatniego napotkanym, cyanek podwójny. I tak cyanek potassium ze srebrem przy biegunie dodatnim umieszczoném, otworzy cyanek podwójny potassium i srebra, który

przy nieustającém działaniu stosu, rozkłada się, pokrywając warstwą srebra, przewodniki bieguna ujemnego. Zasada ta, na któréj posrebrzanie wyłącznie polega, również i telegrafią obchodzi. Na arkuszu bowiem papieru, napojonym kwasem wodorodno-chlorowym, i rozczynem podwójnego cyanku potassium żelaza, a rozpostartego na blasze cynkowéj, z biegunem ujemnym stosu połączonéj, żelazo z dodatnim biegunem w związku będące kreślić będzie w punktach dotknięcia znaki niebieskie, które nie są czém inném, tylko Berlinerblau, pod wpływem stosu, z rozczynów papieru i dotykającego go żelaza, utworzonym.

XI.

Elektro-magnetyzm; galwanometr. *Oerstedt* w r. 1819 wykrył, że strumienie elektryczno działają na igłę magnesową, zmuszając ją do zboczenia z kierunku południka magnetycznego, i prawa tego zboczenia oznaczył. Prawa te Ampère, w sposób obrazowy do jednego sprowadził: przypuszcza on, że w między-biegunowym przewodniku, kształt wydrążonéj rury przybierającym, położony jest człowiek, nogami ku biegunowi dodatniemu; twarzą zaś i wzrokiem ku doświaczanéj igle magnesowéj obrócony. Igła ta pod wpływem prądu zwracać się będzie biegunem południowym ku lewéj stronie Amperowskiego człowieka.

Na téj własności stosów chciał Ampére oprzeć budowę telegrafów elektrycznych: już bowiem w r. 1820 proponuje on telegraf, naśladujący w sposobie udzielania depeszowych znaków, znany już nam telegraf Sommeringa; bo za pośrednictwem 35 nitek przewodnich, poruszający tyleż magnesów, z których każdy miał oznaczać osobną literę lub cyfrę. Telegraf taki zanadto jest kosztowny, aby mógł być w użycie wprowadzonym; a nadto igły magnesowe zbaczające z południkowego kierunku pod wpływem stosu, za ustaniem tego wpływu pewną ilością wahań spoczynek odzyskiwały; pewnego zatém lubo bardzo krótkiego potrzebowały czasu, zanim nowy przepływ strumienia mógł na nich widome wywrzeć skutki.

Wynalazek Oerstedta większą daleko wyświadczył przysługę nauce i telegrafii położeniem zasad, na których budowa galwanometru spoczywa, aniżeli bezpośrednim projektem Ampéra.

Schwejgger zastanawiajac się nad prawem Oerstedta, dostrzegł, że każda cząstka strumienia elektrycznego, którego przewodnik zwinięto spiralnie na walcowéj lub graniastosłupowéj ramie, będąc posłuszną prawu Ampéra, usiłować będzie wewnątrz ramy umieszczoną igłę magnesową, w jednę i tęż samę obrócić stronę; że przeto daleko silniéj nań działa, aniżeli prąd prosty. Obwinąwszy przeto jedwabiem drut metaliczny, dla odosobnienia od siebie jego zwojów, okręcił go kilkadziesiąt lub kilkaset razy około drewnianéj ramy, wpośrodku któréj igła magnesowa wolno zawieszoną była. Igła w ruchach swych wskazywała na podziałkach poziomego koła, przebieżone przez siebie stopnie. Opisany przyrząd, pod szklanym umieszczony kloszem, piérwotny galwanometr stanowił: jego igła magnesowa zboczy w stronę prawem Ampéra wskazaną, za każdą razą, gdy końce drutu galwanometru w strumień elektryczny wprowadzimy, i to tém mocniéj, im strumień jest silniejszy, a galwanametr czulszy. Domyślamy się już teraz bez trudności, że ta czułość, przy równych zkądinąd okolicznościach, rośnie wraz z liczbą zwojów.

Galwanometr Schwejggera udoskonalił Nobili, dodając do wewnętrznéj igły, igłę zewnętrzną ściśle z piérwszą połączoną, i równą jéj co do ciężaru i siły magnetycznéj, ale biegunami w strony zupełne przeciwne zwróconą. Siły magnetyczne dwóch igieł podobnych wzajemnie się znosząc sprawiają, że one razem wzięte nie ulegają wpływowi magnetyzmu ziemskiego, a przez to są czulsze na działanie prądów.

XII.

Miara siły strumieni elektrycznych. Galwanometr jest narzędziem, dającém nam porównawczą a dokładną miarę siły elektrycznéj strumieni, i praw, podług których taż siła modyfikuje się wedle natury i rozmiarów między-biegunowego przewodnika, i samegoż stosu, lub użytych w doświadczeniu pojedyńczych ogniw jego. Prawo to drogą czystego rachunku w latach 1825 i 1826 przez professora Ohm obliczone, i współcześnie a niezależnie od tych prac spekulacyjnych przez Pouilleta drogą doświadczenia wykryte, w najwyższym stopniu telegrafią elektryczną obchodzą. One bowiem stanowią rękojmią: że prace gabinetowe do odległości ziemskich zastosować się dadzą; że miniaturowe długości, rozprzestrzeniane chociażby do

całego obwodu naszéj planety, stanowią przeszkodę, którą siła elektryczności łatwo pokona i przemoże zwycięzko. Po wykryciu praw tych, można było z pewnością, skutku wskazanych teoryą lub drobnemi probami, własności płynu, w przestrzeniach doświadczać. I dlatego twierdzę śmiało, że prawa Pouilleta i Ohma, umiejętną podstawę telegrafii elektrycznéj stanowią.

Wprawdzie Pouillet, nie galwanometru, ale narzędzi na tychże samych fizycznych zbudowanych zasadach, bussolą wstaw, lub bussolą stycznych nazwanych, w poszukiwaniach swoich używał. Pomijam jednak opis narzędzi tych, wynalezionych przez tyle razy przytoczonego autora fizyki, obok do najwyższego stopnia posuniętéj jasności i elegancyi wykładu, posiadającéj zaletę ścisłości dowodzeń i zupełności zbioru; a pomijam tém chętniéj, że nie jest zamiarem moim trudzić czytelnika całym szeregiem zmudnych doświadczeń, ale że tylko wyobrażenie o nich dać pragnę, do czego galwanometr w zupełności starczy.

1) Galwanometr umieszczony w rozmaitych punktach jednego i tegoż samego strumienia elektrycznego, da nam wszędzie to samo zboczenie swéj igły magnesowéj, i to bez względu, czy go umieścimy w samymże stosie, czy też w międzybiegunowym przewodniku. Ta jednostajność siły elektrycznéj nietylko ma miejsce w przewodniku jednostajnym w poprzecznych rozmiarze i naturze, na całéj długości swojéj; ale także i wtedy, gdy ten przewodnik składa się z cząstek rozmaitéj grubości lub z rozmaitych metali pozostaje; wyraźna przy pojedyńczym między-biegunowym łączniku, który prądem głównym nazwiemy, i wrazie prądów podrzędnych, spływających po przewodnikach, do prądu głównego w pewnych jego punktach przyczepionych, niecierpi wyjątku.

Prawo to ma bezpośrednie w telegrafii elektrycznéj zastosowanie: pokazuje bowiem, że byle strumień poruszać zdołał jakikolwiek mechanizm, to ten mechanizm umieścić nam wolno w dowolnym na przebiegu strumienia obranym punkcie.

Widoczna, że w galwanometrze, nie kąt zboczenia igły magnesowéj, ale wstawa kąta tego, jest proporcyonalną do siły zboczenia. Z tém zastrzeżeniem galwanometr następne dać nam może prawa.

2) Siła strumienia jest w stosunku odwrotnym długości prądu. Rzecz widoczna, a przynajmniéj do pojęcia łatwa, że między-biegunowy przewodnik, pewien opór zależny od swéj natury i długości krążenia płynu elektrycznego stawia; i że do oporu tego dodać należy opór użytego w doświadczeniach ogniwa lub stosu, w długościach między-biegunowego przewodnika wyrażony. Kilka doświadczeń na jedném ogniwie uskutecznionych, dadzą nam i opór ogniwa, i prawo, o którém mowa.

3) Prawo, według którego siła strumienia rośnie w stosunku prostym do powierzchni poprzecznego przecięcia między-biegunowego przewodnika, o ile łatwém jest do stwierdzenia za pomocą galwano-metru, o tyle ważném się okazuje w zastosowaniach. Jeżeli bowiem siła stosu maleje i niedostateczną się staje w miarę wzrostu odległości telegraficznych, to jéj nowego życia i do zwalczenia odległości potrzebnéj dodamy energii, zgrubiając między-biegunowy przewodnik. A że przy milowych odległościach opór ogniwa lub stosu pominiętym być może, jako małoznaczący ułamek téj odległości; więc stos, który pewien skutek wywierał w każdym punkcie jednomilowego okręgu, taki sam i w 100 milowym obwodzie sprawiać będzie, jeżeli przewodniemu drutowi 10 razy większą damy średnicę.

Opis narzędzi telegraficzych kilkoma doświadczeniami odpowiedniemi wskazanych przy prawie 2giém, łatwo się dochodzi; o jego stosunku do długości przewodnich, to samo powtórzyć można, cośmy dopiéro o oporze stosu powiedzieli. Według 4 prawa, siła strumieni rośnie lub maleje w stosunku prostym przewodnictwa użytego łącznika. Przewodnictwo więc to, da się nawzajem galwano-metrem obliczyć. Przewodnictwo wody dystylowanéj oznaczywszy przez . . . . . 1, przewodnictwo wody nasyconéj siarczanem miedzi, odpowié liczbie . . . , ... 400, przewodnictwo zaś platyny liczbie . . . . . 1,000,000,000.

Aby nie męczyć uwagi niezrozumiałemi z powodu swéj wielkości cyframi, odnieśmy do merkuryuszu przewodnictwo niektórych metali.

Nazwisko metalu.	Jego przewodnictwo
Merkuryusz	1.
Żelazo	6 do 7.
Platyna	8,55.
Złoto	13,38.

Miedź	38,38.
Srebro	51,52.
Palladium	57,91.

Niektóre z danych téj tabliczki użytecznemi nam będą.

Z podanych praw, ten ogólny uczynimy wniosek, że wszelkie opory, jakie strumień napotyka, wyrazić się dadzą w długościach jednorodnego i jednostajnie grubego metalicznego druta.

5) Siła strumieni jest proporcyonalną do spływających niemi w czasach równych ilości płynu elektrycznego.

XIII.

Działanie strumieni na strumienie; ich wpływ na ciała magnetyczne. Odkrycia Ampéra objawione światu w roku 1826, w jego piśmie: *Theorie des phénomènes Electro-dynamiques*, ważny postęp w nauce o elektro-magnetyzmie stanowią. Według tych nowych prac, dwa strumienie proste lub krzywe, odepchną się, gdy w części, w któréj ich przewodniki zbliżają się nawzajem do siebie, one w przeciwnych płyną kierunkach; a przyciągną, gdy ten sam jest kierunek ich pochodu. Przyciąganie to, lub odpychanie, dziać się będzie z spotęgowaną siłą, między strumieniami spływającemi po przewodnikach na cewki nakształt nici nawiniętych, a które przeto strumieniami cewkowemi nazwiemy. Nić metaliczna spiralnie na cewkę nawinięta, dokładnie odosobioną być powinna od otaczających ją zwojów, aby płyn elektryczny nie mając poprzecznych wolnych przejść, zmuszonym był obiegać przewodnik cewki w całéj jego długości. W tym celu przewodnik ten przed jego nawinięciem dokładnie jedwabiem osnuć należy. W tak przyrządzonéj cewce każdy zwój spiralnéj, każda nawet jego cząstka dodaje swoje działanie, do siły innych cząstek tejże cewki; i przez to pomnaża wpływ ogólny.

Prawo przyciągania się lub odpychania strumieni, nie ma najmniejszéj w telegraficznéj praktyce wartości, gdzie magnes poruszany strumieniami, łatwiéj i lepiéj sygnałowe usługi oddać może. Ale natomiast waga jego w teoryi i jéj praktycznych następstwach niesłychanie wielka; tak, że można powiedzieć, że ono zaspokoiło najgłówniejszą z potrzeb telegrafii elektrycznéj.

Na tém bowiem prawie, już sam Ampère oparł teoryą znanego działania strumieni na magnesy; a to uważając magnes każdy za strumień cewkowy biegunem północnym wchodzący,

i zmierzający ku biegunowi południowemu po spiralnych zwojach, ze wschodu na zachód w dolnéj części poziomego magnesu idących. Przypuszczenie to zdaje nam sprawę ze wskazanych pod nr. 11 zboczeń igły magnesowéj, wpływowi strumienia elektrycznego uległéj. Rozciągnięte do ziemi, którą Ampère mniema być otoczoną strumieniem płynącym od bieguna północnego do południowego, po zwojach niezmiennie zachowujących kierunek od wschodu ku zachodowi, tłumaczy wszelkie zjawiska mające pochodzenie swe we wzajemnym na siebie wpływie strumieni, igieł magnesowych i magnetyzmu ziemskiego. Jakoż czytelnik łatwo sprawdzi prawo to, stosując je do wytłumaczenia kierunku, jaki igła magnesowa pod wpływem magnetyzmu ziemskiego przybiera, lub wzajemnego przyciągania się i odpychania samychże igieł magnesowych.

Arago, którego nazwisko nierozdzielnie zrosło się z nowszemi postępami fizyki i astronomii, potęgą swojego umysłu wnikającego w zawiłe kwestye najtrudniejszych zadań, naprowadzony został na uczynienie nader ważnego z praw Ampéra wniosku. A nasamprzód zrobił uwagę, że magnesy dopiéro wtedy za strumienie cewkowe brać będziemy mieli prawo, gdy okażemy, iż strumienie te nawzajem własności magnesów posiadają. I niebawem potém rozwiązał postawioną przez siebie kwestyą na korzyść Amperowskiego prawa; dostrzegł bowiem, że pręt lub igła stalowa w strumieniu cewkowym umieszczona, pod przedłużonym wpływem elektrycznego prądu, w magnes się zamienia; i że nawet w myśl tego prawa zajmą położenie rozwinione bieguny. Zrozumiemy to łatwo, gdy się zastanowimy nad tém, że strumienie cewkowe są zwojami spiralnemi, jużto od prawéj ku lewéj ręce, jużto przeciwnie od lewéj ku prawéj nawijanemi; że zatém w myśl prawa Ampèra, igła stalowa w środku piérwszych magnetyzowana, u wnijścia strumienia będzie miała biegun północny rozwiniętym; i że przeciwnie w spiralnych lewych, w témże miejscu biegun południowy powstanie.

Znaną jest powszechnie różnica zachodząca pod względem magnetyzmu między stalą, a miękkiém czyli węgla nie zawierającém żelazem. Stal trudno nabywa własności magnetycznych, ale raz nabytych niełatwo i nieprędko się pozbywa; przeciwnie, wszelkie działania magnetyzm wywołujące, w mgnieniu oka że-

lazo czyste na magnes przeistaczają. Kawałek żelaza takiego w pośrodku cewkowego zwoju umieszczony, w téjże saméj chwili, w któréj przez cewkę strumień elektryczny przepuszczamy, staje się magnesem, i przyciąga ciała mągnetyczne w czasie trwania działania prądu. W chwili przerwania strumienia, miękkie żelazo powraca do naturalnego stanu, i przestaje działać na magnetyczne ciała.

Miękkie żelazo, otoczone spiralnemi zwojami nitki metalicznéj, owiniętéj doskonale odosobniającym ją nieprzewodnikiem, i kolejno, pod wpływem stosu, nabywające lub pozbywające się własności magnetycznych, *elektro-magnesem* się nazywa. Zwykle w doświadczeniach nadaje mu się kształt podkowy; moc przyciągająca elektro-magnesów zależy od ilości zwojów otaczającego go przewodnika, i od siły użytego stosu. Pouillet w r. 1831 przygotował dla paryzkiego fakultetu umiejętności elektro-magnes, przeszło 2000 kilogramów dźwignąć zdolny. Ciężar ten aż do zetknięcia z elektromagnesem w czasie działania stosu przyciągnięty, zajmie po przerwaniu kommunikacyi między biegunami stosu miejsce, na jakie go siła ciężkości lub przymocowana odwiedzie sprężyna. Te pod wpływem elektro-magnesu w dwóch kierunkach odbywane wahania, posłużyć mogą do nadania ruchu obrotowego wałowi, poruszającemu rozmaite narzędzia i warsztaty mechaniczne; albo do mniejszych zredagowane rozmiarów w sygnały telegraficzne zamienić się dadzą. W obu razach niesłychanie wiele zależy na tém, aby tak elektro-magnes, jako i przyciągane przez niego ciało magnetyczne, z doskonale miękkiego, czyli (co na jedno wychodzi), z zupełnie czystego wyrobione były żelaza. Wzgląd ten w telegrafii nowéj jeszcze nabiera wartości; szybkość bowiem sygnałów zależy od szybkości, z jaką drążek metaliczny do elektro-magnesu przyciąganym, a po przerwaniu strumienia, sprężyną na pierwotne położenie cofniętym będzie. Tę szybkość ruchów tylko żelazo miękkie urzeczywistni. Elektro-magnes i drążek wahadłowy z nieczystego wyrobione żelaza, do stali podobnemi się staną; a zatém magnetyzm elektro-magnesu nie równocześnie z wpuszczeniem strumienia w cewkę, ale po pewnym czasie jego trwania rozwiniętym zostanie i drążek przyciągnie. Powody opóźnienia powrotowego ruchu drążka dwojakie mają źródło: bo i elektro-

magnes i drążek pewnego czasu potrzebować będą do stracenia swych magnetycznych własności.

XIV.

Własność elektro-magnesów przyciągania ciał magnetycznych, uzupełnia cały zasób wiadomości, jakie nauka o płynie elektrycznym podać nam mogła do stworzenia telegrafii, i tę ostatnią stawia w posiadaniu wszystkich prawd i praw zasadniczych, które jéj punkt wyjścia a nawet i istotę stanowią. Poznaliśmy bowiem stosy przez cały ciąg nastawienia jednostajnie działające, a zatém zdolne dostarczyć siły poruszającéj narzędzia telegraficzne. Dowiedzieliśmy się kolejno, że siła stosu równa w każdym punkcie strumieniowego okręgu (nr. 12 prawo 1); że zatém aparatowi telegraficznemu nadać można miejsce, jakie tylko ze względów korrespondencyjnych za najdogodniejsze uznamy; następnie, że opór jaki działanie elektryczności napotka w długości okręgu, zrównoważyć i skutecznie pokonać można ilością ogniw stosu, jak niemniéj przewodnictwem i grubością między-biegunowego przewodnika (nr. 12 prawo 3cie i 4te); że wreszcie kolejnemu zamykaniu strumieniowego w stosie okręgu, i jego przerywaniu, odpowié przybliżanie się do elektro-magnesu drążka w żelazo miękkie uzbrojonego, i oddalanie się takowego do położenia, na jakie przymocowana sprowadzi go sprężyna. A chociaż niezmierzono jeszcze w epoce, na któréj przegląd nasz postępów nauki o płynie elektrycznym zatrzymał się, prędkość tego płynu; to jednak nabraliśmy przekonania, że strumienie elektryczne i wielkie przebiegają przestrzenie, i swoje skutki wywierają z niezmierną szybkością; że zatém i pod tym względem zadosyć czynią potrzebom telegrafii.

Cały ten zasób prawd zasadniczych w przeciągu kilku zaledwie lat dała nam umiejętność, tak, że już po r. 1831 wynalezienie telegrafu elektrycznego, za proste zastosowanie prawd fizycznych uważać można: bo już bardzo prosta i elementarna mechanika dostarczyć mogła sposobów przerywania i zamykania strumieni, odpowiednio do potrzeb dawanych sygnałów, i nauczyć jak wahania drążka wpływowi elektro-magnesu podległego przemienić w ruchy, treść przesyłanéj oznaczające depeszy.

Na to umiejętne pochodzenie telegrafii elektrycznéj, i jéj dalszą od umiejętności zawisłość, jeszcze raz przycisk kładę,

aby zwrócić uwagę ludzi goniących za wynalazkami, że odkrycia ważne w swych następstwach i szybkie w udoskonaleniu tylko z gruntu dobrze zbadanego wyrość mogą; tylko w wszechstronnéj wiedzy podstawnych praw, na których się zasadzają, rzetelny mogą mieć początek. W wiekach upłynionych, kiedy samo doświadczenie, zwycięzko w swém odosobnieniu na ubogą w znajomość praw natury spoglądać mogło naukę, zdarzać się musiało, że doświadczenie i praktyka przypadkiem wsparte, do ważnych dla ludzkości prowadziły odkryć; ale w zamian, odkrycia te rzadkiemi były, i tylko wiekami trwania do wieku dojrzałego dochodziły. Dziś tak być nie może: bo do wiedzy praw natury cisnąca się ludzkość, nie zostawia przypadkowi wolnego miejsca, do sięgnięcia po owoce w świątyni przyrody złożone. Tylko nauka i praca, tylko wiedza w braterskim z doświadczeniem związku, tam prowadzi. Dziś samo doświadczenie, małoznaczące tylko ulepszenia poczynić może; ale niezdolne zasłużyć się ludzkości genialnemi nowościami. Wszak widzieliśmy, że telegrafia elektryczna, dopóki umiejętność nie stworzyła dla niéj praw istnienia, zużywała czas potężnych nawet umysłów na bezowocne proby: a zobaczymy niebawem, że raz wzniesiona na prawdziwą podstawę, szybko się udoskonaliła, i to tylko pracami ludzi z umiejętnością obeznanych. Nauka doświadczeniem wsparta jest źródłem wynalazków; a zarozumiałe nieuctwo nie zysk lub sławę, za któremi goni, ale szyderstwo ludzi rozsądnych odnosi w zapłacie, za gorączkową a nieumiejętną monomanią wynalazków. I wieluż to z pomiędzy nas zasłużyło na tę naukę moralną? A chociaż wątpię, aby choć jeden niefortunny wynalazca wziął ją do serca, niemniéj jednak poczytywałem sobie za obowiązek uczynić ją, skoro przedmiot opisu nastręczył dogodną do podobnéj wycieczki sposobność.

Kończę to zboczenie, aby przystąpić do opisu telegrafów elektrycznych, do których zrozumienia posiadamy już wszelkie przygotowawcze wiadomości.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUSKIE PIOSNKI LUDOWE.

„Tam najpiérwsze szczęście moje,
Tam najpiérwsze niepokoje".

I.

TRZY KUKUŁKI.

O! wyleciał sokół, wywinął się w górę,
Trzy razy nad sosnę, dwa razy nad chmurę;
Odpoczął na górze, na samym wierzchole,
I skręcił się w pole.
Bujny wicher wieje,
Aż się sosna chwieje:
Nie chylaj się sosno!
Mnie i tak żałosno!

Uderzyła strzała z wysokiego nieba.
Kogoż tam zabiła?—wdowinego syna;
Daćby znać potrzeba,
By przyszła rodzina
Pożałować,
Pogrzebać, pochować.

Oj! przyleciały trzy kukułki siwe,
Wszystkie żałośliwe:
Jedna upadła gdzie zimna głowa,
Druga upadła gdzie chłodne nogi,
Przy samém sercu trzecia upadła.
Przy głowach matka uboga wdowa,
Przy nogach miejsce siostry niebogi,
Przy sercu jego miła usiadła.

Gdzie matka płacze, tam krwawa rzeczka,
Gdzie siostra płacze, łzawa krynica,
Gdzie miła płacze, tam sucha steczka,
I taka ludzka powiadannica:
Że matka płacze z roku do roku,
Długo łzy świecą w siostrzynem oku,
A miła płacze, inną myśl łowi,
O innym mówi.

II.

DWIE ZORZE.

Hejl tam na górze stała cerkiewka,
Przy niéj dzwonnica nowa;
Wyjdziéj dziewczyno, wyjdź czarnobrewka,
Jak miesiąc w las się schowa.

Wyjdziéj dziewczyno przed słońca wschodem,
O najranniejszéj zorzy.
Porwie się dziéwczę zbudzone chłodem,
Na ścieżaj drzwi otworzy.

Zorza już wzeszła szeroko, długo,
Pooświecała góry;
Patrzę na jednę, patrzę na drugą,
Dziwić się nie wiem któréj.

Czy téj na niebie, całéj we złocie,
Co rzuca wciąż oświatę;
Czy téj na progu mojéj sierocie?
Patrzę na tę, to na tę.

Jasna zorońka, boża służeńka,
Niech sobie świeci Bogu;
A mnie niech kocha moja dzieweńka,
Tak ot, jak stoi w progu.

T. Lenartowicz.

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Chirognomonia. — Historya Atyli i jego następców, przez Amedeusza Thierry.—Krzysztof Kolumb, przez p. Roselly de Lorgues.—Les Pauvres de Paris, sześcio-aktowy dramat pana Brisebarre. — Wiadomości teatralne. — Nowe sztychy i litografie paryzkie. — Wiadomości literackie.

Odkładając na bok historyą, literaturę, filozofią i sztuki piękne, zaczynamy sprawozdanie od chirognomonii, nauki nowéj, a raczéj wznowionéj, bo któż dziś co nowego powiedzieć może: nauki, która zdaniem autora, łączy w sobie wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiéj.

Pod nową nazwą chirognomonii, pan d'Arpentigni wykłada starą sztukę odgadywania z kształtu ręki skłonności jéj właściciela. Twierdzi on wszakże, iż chirognomonia tak się ma do chiromancyi, jak alchemia do chemii; że wprawdzie Anaxagoras przed wiekami czytał już na dłoni ludzkiéj, jak również Platon, Arystoteles, Ptolomeusz, panna Lenormand i inni ale bylito tylko proste wróżbity bez żadnego systematu lub szarlatany, którym przypadkiem udawało się odgadywać prawdę. Ostatecznie dowiadujemy się, że dopiéro autor chirognomonii nadał téj ważnéj nauce pewną i nieomylną zasadę.

Mimo swéj śmiałości, chirognomonia jest jeszcze o wiele skromniejszą od fizyognomonii i frenologii. Pan d'Arpentigni nie wyczytuje z formy ręki

jak Gall z formy czaszki, a Lawater z rysów twarzy, wszystkich tajemnic ducha; nie odgaduje całéj natury człowieka: ogranicza się on na wskazaniu tylko przeważnych jego skłonności z pewnych ogólnych oznak, które nie będąc nieomylne, mogą przecież czasami być prawdziwe.

Dziwactwem byłoby zapewne wyrokować o charakterze człowieka z fizyonomii jego ręki, ale jednakowoż, niektóre ogólne wnioski z jéj kształtu wyprowadzić się godzi. Ręka tak dobrze jak słowo, jest narzędziem myśli: czemużby nie miała również jak słowo świadczyć o stanie umysłu? Ludzie obdarzeni od natury różnorodnemi instynktami, muszą mieć także różne narzędzia do ich urzeczywistnienia: ręka poety powinnaby być inna, niż ręka matematyka, a ręka rolnika inna, niż ręka kupca.

Pan D'Arpentigni dzieli ręce na siedm odrębnych rodzai:

Ręka elementarna czyli szeroko-dłonna.
Ręka potrzebna czyli dołkowata.
Ręka artystyczna czyli ostro-krężna.
Ręka pożyteczna czyli kwadratowa.
Ręka filozoficzna czyli żylasta.
Ręka duchowa czyli kończasta.
Ręka mieszana.

Ręka elementarna ma palce grube, sztywne, wielki palec krótki, mocno wyłamany, dłoń szeroką i twardą. Takie ręce mają chłopi, rzemieślnicy, wojskowi, oraz rycerze chciwi niebezpieczeństw i awantur (Don Quichott miał więc taką samą rękę jak drwal). We Francyi liczba rąk elementarnych coraz jest mniejsza; w Indyach, kolébce religii i poezyi są one prawie nieznane. Tylko proletaryat ma ręce elementarne, bez niego przeto wszystkie rzemiosła liczące się do niższych kategoryj jakoto: ciesiołka, mularka, bednarka, garbarka, tkactwo, szewstwo, kowalstwo i tym podobne, musiałyby zaginąć. Otóż potrzeba pro-

letaryatu wykazana jak na dłoni, tym, co się jeszcze przy zniesieniu jego upierają.

Ręka potrzebna, tojest taka, któréj każdy palec poczyna się dołkiem na piérwszym stawie, cechuje człowieka czynu; jestto ręka marynarza, podróżnika, kontrabandzisty, przedsiębiorcy: słowem ręka ludzi ruchliwych i pracowitych a nie estetycznych. Na północy, gdzie rzemieślnik zastępuje artystę, gdzie przekładają pożytek nad piękno, taka ręka jest powszechniejsza niż na południu, gdzie znów najpowszechniejsze są ręce ostro-krężne.

Ręka artystyczna czyli ostro-krężna, gruba w dłoni, zebrana spadzisto, kończy się na cieniuchnych palcach. Ktokolwiek ma taką rękę, przywiązuje się do powierzchowności, chwyta malowniczą stronę pojęć i wypadków, zawsze więcéj dba o kształt niż o grunt rzeczy: „Chcesz wiedzieć jakiéj kto jest religii, mówi pan d'Arpentigni, spojrzyj tylko na rękę: jeżeli kształt jéj podobny do spłaszczonéj głowy cukru, człowiekto pewno z bujną wyobraźnią, poeta zakochany w formie, przepychu, widowiskach; jeżeli przeciwnie, ręka jest krótka i dołkowata, to człowiek praktyczny, logiczny, człowiek czynu: każdy z nich po swojemu Boga pojmuje. Ręka ostro-krężna należy do katolika, dołkowata do protestanta".

Ręka pożyteczna czyli kwadratowa, u któréj wielki palec mało jest krótszy od czterech innych, ma missyą organizować, klassyfikować, szukać symetryi i równowagi. Właściciel takiéj ręki nie pojmuje ani dobra, ani piękna poza obrębem przyjętéj teoryi. Wszystko sprowadza do obowiązku, dąży do jedności; nagłe postanowienia, natchnienia i popędy serca pojmuje o tyle tylko, o ile one zgadzają się z rozsądkiem.

Takie ręce były najpowszechniejsze we Francyi w wieku XVII. Ręka pożyteczna nie cofnie się przed

niczém, skoro chodzi o utrwalenie poszanowania dla władzy monarszéj i tradycyj religijnych. Książę Alba, wielcy inkwizytorowie, kardynał Richelieu mieli takie ręce.

Ręce filozoficzne, żylaste, chude, z grubemi stawami, pierwszym palcem długim i prostym, rozpowszechniły się w XVIIIém stuleciu. Ręka Woltera była najczystszym ich typem. Wydatna i uderzająca ta forma zaciera się z dniem każdym; we Francyi przeważają teraz ręce mieszane.

Są to ręce, których kształty niepewne zdają się należeć do dwóch odrębnych rodzai. Takie ręce przygotowują zlanie się ras, zasad i pojęć, urabiają z nich moralną mieszaninę, rodzaj cymentu, który wzmocni budowę społeczną, porysowaną prądem sił sprzecznych. Ręce mieszane są biegłe w naukach pośrednich, administracyi, handlu, przemyśle, zdolne do wszystkiego, nie celujące w niczém. Człowiek z takiemi rękoma nie odznacza się surowością obyczajów i nie upiera się przy swoich pojęciach; wyłącznie zajęty pracą materyalną lub używaniem, nie przekonywa nikogo, dla téj prostéj przyczyny, że sam niczego pewny nie jest. Obojętny na wszystko co go bezpośrednio nie dotyka, żyje chwilą obecną, nie troszcząc się wcale ani o to, co było, ani o to, co będzie: wszystko mu jedno czy Numa poszła czy nie poszła za Pompiliusza. Słowem, ręce mieszane sąto ręce naszego wieku.

Ręka duchowa: szczupła, wązka, giętka, nieledwie przezroczysta, estetycznie wygięta w górę przy paznogciach jest najpiękniejsza i najrzadsza. Dotąd świat był oddany w ręce elementarne, artystyczne, pożyteczne, filozoficzne, mieszane; ręka duchowa dotąd nie panowała nigdy, i tylko ukradkiem pokazywała swój paluszek. Prawda, że taka ręka gardzi korzyścią materyalną, gardzi nawet władzą, czasem tylko podsunie jaką wielką myśl ludzkości; ale rządzić światem nie

chce. Sąto ręce ludzi, którzy umieją czuć i myśléć, którzy nigdy nie mówią czego nie myślą; ludzi zarówno czystych wyobraźnią jak czynem, ludzi prawie zawsze nieszczęśliwych, jakby przypadkiem zabłąkanych na ziemi.

Wyżéj podane typy rąk męzkich z małemi odmianami stosują się do rąk płci pięknéj. Na 100 Francuzek, powiada uczony chirognomonista, które nam służą i rządzą nami, pięćdziesiąt ma ręce ostro-krężne (artystyczne), trzydzieści mieszane, a zaledwie dwadzieścia kwadratowe (pożyteczne).

Typ kobiét artystycznych jest więc najpowszechniejszy we Francyi. Trudno nie wierzyć złotoustemu chirognomoniście: jednakowoż mieliśmy nieraz sposobność przekonania się, że Francuzki zapałem nie grzeszą: a poczucie sztuki i poezyi nie jest u nich ani głębokie, ani rozległe. Zapewne to skutkiem tego, że nie mają na rękach owych wymownych i znaczących żył, bez których (jak nas uczy chirognomonia) człowiek nie może być zdolny do wielkich pomysłów ani w literaturze, ani w sztukach pięknych.

„Chceszli się ożenić, mówi pan d'Arpentigni, wybierz sobie żonę z ręką kwadratową, bo tylko takie ręce pożyteczne. Poznasz ją łatwo. Zbliżając się do niéj odrzuć niedzielną mowę i niedzielne stroje, nie udawaj sentymentów: tém jéj nie ujmiesz. Staraj się być rozsądnym. Pamiętaj, że właścicielka kwadratowéj ręki ma więcéj rozumu niż imaginacyi; dowcip jéj nie sili się na dwuznaczniki, ale sądzi trafnie, i słyszy jak trawa rośnie. Pamiętaj także, iż twoja przyszła szanuje wszystko co przyjęte: wielbi władzę i do niéj dąży, a żartuje sobie z marzycieli i ich teoryi".

Nasz chirognomonista nader jest surowy dla rąk angielskich. Z charakterystyki jego wypływa, że każdy prawy syn Albionu, każdy lord wojażer musi miéć ręce drwala lub brukarza; wszystkie zaś bohaterki Wal-

terskota energiczne i do oręża skore, miały dłonie elementarne. Rycerska ręka Kloryndy i Grażyny nie różni się niczém od ręki warszawskiej przekupki. Niestety! smutne to rozczarowanie dla wielbicieli amazonek.

Chirognomonia obala także rozpowszechnione dotąd mniemanie, jakoby wysmukłe ostrokrężne ręce miały być dowodem szlachectwa. Sądząc wedle niéj, ręka szlachcica, tojest człowieka, który orężem wyrąbał sobie imię i zaszczyty, nie może być ani wysmukła, ani delikatna. Szlachcic francuzki, który oblegał Jerozolimę, albo szlachcic polski, który gromił bissurmanów pod Wiedniem, władał potężną dzidą i mieczem lepiéj niż prosty żołnierz: musiał przeto miéć dłoń szeroką i nieprzezroczyste paluszki. Toż samo co do kobiét. Niepodobna przypuścić, żeby ręka Fredegondy lub Brunehildy była taka, jak ręka bohaterki Balzaka. Żony ukoronowanych Merowingów, które wraz z mężami gromiły Rzymian, musiały miéć dłonie potężnie elementarne, a były to przecież prawdziwe szlachcianki. Przeto wysmukła i kształtna ręka nie dowodzi bynajmniéj szlachectwa: właściwiéj mogłaby być dowodem próżniactwa, jeżeli jéj właściciel zapomniawszy robić orężem, nie nauczył się robić głową.

Z tego, co się powiedziało, wynika, że chirognomonia może oddać wielkie przysługi tak dobrze w miłości jak w heroldyi; a cóż dopiéro, jeżeli się nań zapatrzymy ze stanowiska pedagogicznego! Tu dopiéro wpływ jéj będzie potężny! Zanim obierzesz synowi stan lub rzemiosło, zaprowadzisz go do chirognomonisty ażeby zbadał jego żyłki, stawy i dołki; wedle tego, co zawyrokuje postąpisz, i jeżeli syn ma rękę kwadratową, oddasz go do szkoły, gdzie skończy nauki jak należy i zostanie adwokatem, doktorem, kupcem, albo dziennikarzem; jeżeli natura obdarzyła ręce jego dołkami, ukształcisz go na inżyniera, i mieć będziesz w rodzie człowieka, któremu potomność zawdzięczy kilkanaście

dróg żelaznych. Niedość na tém: chirognomonia położy ostateczny koniec oszustwu i hipokryzyi. Mieliśmy wprawdzie już frenologią i fiziognomonią, ale te nauki niepraktyczne: skłonności wypisane na czaszce, kryją włosy, twarz można ułożyć wedle chęci. Jedna tylko ręka zostaje zawsze taż sama: kłamać ani oszukiwać nie umié—więc jéj ślepo zawierzyć można.

Słychać, że pan d'Arpentigni ma dopełnić swoję chirognomonią, podognomonią. Przedmiot to prawdziwie nowy i ponętny. Sztuka zbadania serca ludzkiego przez nogę, jeszcze nie istnieje, chociaż za czasów dyrektoryatu we Francyi, kiedy kobiety chodziły boso w rzymskich i greckich tunikach, moda sprzyjała niezmiernie téj nauce. Równie dogodna pora może się już nigdy nie zdarzy. Mimo to, autor Chirognomonii nieodstraszony trudnością przedmiotu, rozpoczął już badania na wielką skalę, i niedługo zapewne zbogaci ojczyznę nową nauką, która ze wszystkich, jakie wywozimy z Francyi, najlepiéj się zapewne u nas przyjmie, dlatego, że mamy najobszerniejsze pole do jéj praktykowania.

Amedeusz Thierry wydał w dwóch tomach: Historyą Atyli i jego następców. Jestto zbiór wszelkiego rodzaju dokumentów i szczegółów szacownych dla dziejopisa, któryby chciał skreślić historyą owéj epoki; ale uważana sama jako historya, we właściwém, wysokiém znaczeniu tego wyrazu, książka pana Thierrego tak pod względem myśli jak formy małą ma wartość. Autor gubi się w drobiazgach często ciekawych, ale nie malujących ani potężnego parcia barbarzyńców, które rozkruszyło państwo Rzymskie, ani wpływu, jaki wzajemnie oświata Rzymian wywarła na dzicz północną. Jakie były powody i następstwa najazdu; jaką rolę grali barbarzyńcy w odbudowaniu nowego świata, który stanął na ruinach starego: pan Thierry pomija

zupełnie te dwie kwestye bez rozwiązania, których historya owych czasów nie uczy nic i staje się niepotrzebną.

Kiedy dzicz północna zalała Zachód, zgrzybiałe cesarstwo Rzymskie bytwiało nieruchomie u szczytu swéj potęgi. Na taką słabość potrzeba było gwałtownego lekarstwa. Najazd barbarzyńców, jak pożar czyszczący niezdrowe strony miasta, zdusił zarodek choroby, na którą miał umrzeć naród, król, i odświeżył atmosferę, w któréj usychał duch ludzkości. Zamęt był straszny: barbarzyńcy zniszczyli wielkość i bogactwo Rzymian, ale w zamian przynieśli im dar wielki: wszczepili w nich pragnienie niezależności osobistéj, nieznane żadnemu narodowi starożytnemu, prócz Greków; pragnienie duchowe, które, jak słusznie zauważał p. Guizot, jest jednym z żywiołów zasadniczych nowoczesnéj cywilizacyi.

Napływ dziczy zmienia naturę podbojów. Już tu nie monarchia, ani jedno państwo przybywa ujarzmiać drugie; ale całe narody wylegają ze swoich lasów, i pędząc przed sobą znikczemniałe Rzymiany, przechodzą pod inne nieba, szukają sobie nowych siedzib. Silna spójnia szczepowa łącząca te dzikie ludy, jest zarodem przyszłych narodowości, mających stanąć na miejscu dawnych zatraconych. Potęga moralna podboju nie opiera się długo działaniu żywiołów, które przetrwały upadek cesarstwa. Różno-plemienne szczepy działają na siebie wzajemnie, mieszają i równoważą swe siły, wyrabiają się nowe prawa i zwyczaje; zdobywcy przyjmują język zwyciężonych, który przetrwał Rzymską oświatę, i stał się jakoby rzuconym na przepaściach wieków mostem, po którym przybyły do nas wszystkie skarby starożytności.

Po śmierci Atyli ogromne jego państwo oparte jedynie na sile oręża, rozkruszyły wojny domowe spadkobierców; ale imię jego zostało w historyi, a miano-

wicie w łacińskich, germańskich i węgierskich legiendach, które opiewają boje, zwycięztwa, sławią hojność i cnoty swego wodza: słowem wystawiają go jako Karola Wielkiego barbarzyńców.

W rozdziale pod napisem: Histoire legendaire et traditionnelle d'Attila, Thierry zebrał wszystkie te legiendy; połowa drugiego tomu wyłącznie temu przedmiotowi poświęcona, jest wyborna i nader zajmująca. Cześć ludu dla Atyli, która wytryska w każdéj z tych napół cudownych powieści, była czémś więcéj niż zwykłém ubóstwieniem dziczy dla siły brutalnéj; więcéj niż zabobonną aureolą, w którą lud ciemny zwykł stroić swoje okrutne bohatery: płynie ona ze szlachetniejszéj pobudki, podnoszącéj zarówno naród i wodza. Ludy, którym przywodził kochają go dlatego, że je miłował i był dla nich sprawiedliwy, że je chronił od rzymskiego zdzierstwa, od napadów hord ościennych, że czuwał nad ich dobrem i pomyślnością. Ilekroć Hunny powracali z wyprawy, Atyla rozdzielał pomiędzy wszystkie swe prowincye zdobyte łupy, uważając je jako majątek narodowy, do którego każdy z jego poddanych równe miał prawo. Straszny dla obcych, Atyla był opatrznością swoich; a dwadzieścia lat panowania jego stanowią dla Węgier, Transylwanii, Czech i części Germanii epokę najświetniejszego powodzenia.

Thierry opisuje także ową cudowną scenę, tylekroć przedstawianą piórem i pędzlem, kiedy Atyla puszcza się krwawym szlakiem ku Rzymowi, i splondrowawszy Italią, u bram wiecznego miasta staje... powstrzymany słowem świętego Leona. Fakt ten na pozór niepojęty dla tych, co nie wierzą w cuda, Thierry tłumaczy bardzo naturalnie.

Za czasów Atyli Rzym nie utracił jeszcze uroku, który od tak dawna na cały świat wywierał. Dzicz północna, co tyle cudów słyszała o mieście nad miastami,

szła na Rzym przejęta mimowolnym dreszczem, który czuje każdy człowiek mający popełnić świętokradztwo. Jakkolwiek wielkie było ich pragnienie rabunku, drżeli na myśl, że idą burzyć miasto wieczne, z istnieniem którego lud zabobonny związał istnienie świata. Uczucia te Atyla podzielał tak dobrze, jak każdy z jego żołnierzy. Do takiego usposobienia dodawszy cześć głęboką, jaką mieli barbarzyńcy dla kapłanów, pojąć łatwo wrażenie dzikiego wodza, kiedy przed nim stanął biskup rzymski wielbiony przez samych Cezarów, których imię było jeszcze tak imponujące. Zważywszy wszystkie te okoliczności, dziwićby się należało, gdyby Atyla nie był usłuchał prośby świętego Leona, tém bardziéj, że Alaryk we trzy miesiące po zrabowaniu Rzymu umarł, i że śmierć jego uważano powszechnie za karę nieba.

Krwawe najazdy Atyli zachwiały cesarstwo Wschodnie, przyspieszyły upadek cesarstwa Zachodniego, ale osłabiły także barbarzyńców: zużyły ich siłę zaborczą, postawiły w konieczności bronienia się, ustalenia życia i rządu, a nawet łączenia się z Rzymianami. Wojny Atyli w głębi Azyi, tę wielką oddały przysługę, iż wstrzymały napady tatarskie, które w owym czasie byłyby jeszcze straszliwszy zamęt wprowadziły do zakłóconéj Europy.

Szkoda, że pan Thierry mało, albo wcale nie dotknął w swém dziele tych ważnych kwestyj, nie podał ostatecznych rezultatów, których czytelnik ma prawo wymagać od dziejopisa; szkoda, że zamiast iść obok Atyli, z wyższego stanowiska nie przypatrzył się całéj jego wędrówce, a obejmując naraz główne jéj zarysy, zamiast miniatury nie nakreślił szkicu. Thierry malując wizerunek Atyli, jest jak portrecista, który nie pominął żadnego zmarszczku, żadnéj brodawki na twarzy, żadnego szwu w ubiorze, a nie oddał ogólnego wyrazu fizyonomii. Dlatego książka jego chociaż pełna cie-

kawych szczegółów i dokumentów, mniéj uczy i mniéj wyjaśnia charakter Atyli, niż jeden rozdział Gibbona.

Obszerne dzieło pana Roselly de Lorgues o Kolumbie, napisane wedle autentycznych włoskich i hiszpańskich dokumentów, mogłoby stanąć w rzędzie dzieł najpoważniejszych, jakie się tu pajawiły w ostatnich czasach, gdyby nie szczególniejsze zadanie autora, który, jak sam powiada, na to tylko napisał historyą Kolumba, żeby dowieść, iż tenże był świętym, i że mu się należy kanonizacya. Odkryciu nowego świata, powiada on, towarzyszyła nieskończona liczba cudów, które jeżeli dotąd nie dowiodły świętości Krzysztofa, to tylko dlatego, że były spisane przez ludzi nie katolickiéj religii. Najsławniejsi z historyków Kolumba, Humboldt i Washington Irving, choć uczeni i dobrze informowani, nie potrafili jednak dopatrzyć missyi tego wielkiego męża, dlatego, że protestanci.

Po wstępie napisanym w powyższym sensie, pan Roselly poczyna wywodzić cudowną predestynacyą Kolumba od jego nazwiska. Dlaczego zwie się Kolumb? Bo Colombo po włosku znaczy gołąb, a pod postacią gołębia Duch święty przybył na ziemię. Czemu na imię mu Krzysztof? Bo Krzysztof, Christophoros po grecku, znaczy nosiciel krzyża, a on miał zanieść krzyż w światy, gdzie jeszcze nie doszedł znak zbawienia. Czy podobna oprzéć się tak jasnym dowodom?

Idźmy daléj: Krzysztof Kolumb, mówi autor, uważał piątek za dzień szczęśliwy. W piątek wszystkie swoje ważniejsze rozpoczynał czynności, w piątek najważniejsze spotykały go wypadki. Oto co mu się wydarzyło w piątki: (tłumaczymy dosłownie)

„Piątek dzień odkupienia, dzień zdobycia Jerozolimy, dzień oddania Grenady, zdaje się być oznaczony na główne wypadki téj chrześciańskiéj wyprawy.

W piątek Kolumb puścił się w drogę.

W piątek dokonał ważnych obserwacyj odmian magnetycznych.

W piątek ukazała się piérwsza zapowiedź nowego świata: stado ptaków.

W piątek okręt Kolumba wpłynął na trawiaste morze.

W piątek, 12 października 1492 roku odkryto nowy ląd.

W piątek tegoż dnia, Kolumb postawił piérwszy krzyż na nowéj ziemi.

W piątek, 19 października pisał, że chce powrócić do Kastylii w kwietniu, i w naznaczonym miesiącu w piątek wjechał tryumfalnie do Barcelony.

W piątek, 16 listopada, znalazł krzyż na bezludnéj wyspie, leżącéj na morzu Najświętszéj Panny.

W piątek, 30 listopada, wzniósł olbrzymi krzyż w Świętym Porcie.

W piątek, 4 stycznia, o wschodzie słońca odpłynął do Hiszpanii.

W piątek, tegoż dnia wieczorem, Opatrzność zwróciła mu zbiega, kapitana Marcina Alonza Pinzon.

W piątek, 25 stycznia, morze dało mu świeżą żywność.

W piątek, 15 lutego, ocalawszy cudownie z rozbicia, spostrzegł wyspy Azorskie.

W piątek, 22 lutego, odzyskał swą załogę porwaną przez Portugalczyków.

W piątek, 8 marca, odebrał zaprosiny od swego nieprzyjaciela króla portugalskiego, które były piérwszém stwierdzeniem chwały Kolumba.

W piątek, 15 marca, odkrywca Ameryki wjechał tryumfalnie do Palaos."

Co najwięcéj zadziwia po przeczytaniu téj piątkowéj litanii, to to, iż autor nie przedsięwziął również ka-

nonizacyi Robinsona Krusoe, który także miewał swoje Piątki.

Daléj opowiada autor cuda, jakie dokonywał Kolumb pomiędzy dzikiemi hordami Indyan; jak krzyż postawiony przez niego poszczerbił wszystkie topory dzikich i ściąć się nie dał; jak Krzysztof leczył umierających, wskrzeszał umarłych i t. d.

Pominąwszy te szczegóły zakrawające na żarty w dziele pisaném w drugiéj połowie XIXgo wieku, biografia Kolumba przez pana Roselly de Lorgues jest niezawodnie najkompletniejsza ze wszystkich jakie wydano dotąd. Nie zważając na średniowiecznego ducha téj książki, czytelnik z wielkiém zajęciem szperać w niéj będzie; gdyż napotka tysiące nieznanych, a nader ciekawych faktów rozjaśniających zamglony obraz tego wielkiego męża, który jeżeli nie był świętym, to niezawodnie był męczennikiem.

Wystawiony na ciągłe bunty ciemnoty, na intrygi zazdrości, na najcięższe rany zadane przez niewdzięczników, Kolumb uczuł wszystkie ciosy, jakie mogą dosięgnąć i poszarpać silną, szlachetną duszę. Odkrywca i vice-król nowego świata, powrócił w kajdanach do Europy, i umarł biédny, jak Camoens w tejże Hiszpanii, któréj otworzył czarowne krainy pełne złota i drogich kamieni, przechodzące bogactwem wszystkie opisy arabskich bajek. W końcu, jakby na dopełnienie miary niesprawiedliwości, podróżny Americ Vespuce dał swoje imię światu odkrytemu przez Kolumba.

Życie Kolumba jest nadzwyczaj zajmujące, a pan Roselly z wielką opisuje je dokładnością: znać, że nie pominął ani jednego szczegółu, jaki znalazł w licznych hiszpańskich i włoskich dokumentach. Kolumb urodził się w Genui. Ojciec jego był gremplarzem, i syna Krzysztofa do tegoż rzemiosła sposobił. Jakoż w piérwszéj młodości trudnił on się rodzicielskiém rzemiosłem, ale mając morze przed domem, niedługo w domu pozostał,

Wrodzony pociąg do marynarki wmieszał go do wyprawy, która pod włosko-francuzką flagą płynęła zdobywać Neapol na korzyść króla Reneusza. Po bitwie morskiéj z Wenecyanami i spaleniu obu statków, Kolumb na półżywy wyrzucony został na brzegi Portugalii, zkąd o żebranym chlebie dostał się do Lizbony, gdzie spotkał swego brata Bartłomieja Kolumba, który późniéj towarzyszył mu w wyprawie do nowego świata. W Lizbonie ożenił się Krysztof z córką marynarza, i ztamtąd na statkach kupieckich odbywał częste podróże do wysp Azorskich i Kanaryjskich. W tychto wycieczkach powziął myśl puszczenia się morzem na Zachód.

Wiadomo, jakich doznał przeszkód w tém przedsięwzięciu, którego byłby zapewne nigdy nie urzeczywistnił, gdyby dziwném zrządzeniem losu nie był poznał uczonego zakonnika Jana Piotra z Marcheny, który plan jego zrozumiał, i dał mu list rekomendacyjny do spowiednika królowéj.

Spowiednik robił co mógł, ażeby dać poznać królowéj całą ważność téj wyprawy i ogromne korzyści, jakie za sobą pociągnąć może; ale przedstawienia jego i plany rozbijały się o ciemnotę i skąpstwo dworu hiszpańskiego, który na u r o j o n e zyski łożyć nie chciał. Rzecz więc szła jak z kamienia. Mijały lata, Kolumb znudzony siedmioletniém nadaremném pukaniem, już chciał rzucić wszystko i wynieść się do Francyi, kiedy niespodzianie królowa dała rozkaz, żeby przygotować expedycyą w porcie Palos.

Tu znowu nowe trudności stanęły na przeszkodzie wyprawie. Wszyscy marynarze się pochowali i uprowadzili swoje okręty; żaden nie chciał ani siebie, ani swego statku rezykować na z a m i e r z c h ł e m o r z a, na których ówcześni kosmografowie malowali dziwne straszydła i przedpotopowe potwory. Potrzeba było użyć przemocy, ale i ta na nicby się nie zdała bez poparcia

zakonnika Jana-Piotra, którego proroctwa wywarły wpływ na zabobonnych Hiszpanów. Przygotowano nakoniec trzy okręty, na których pewnego piątku odpłynął Kolumb, zostawiając na wybrzeżu całe miasto w rozpaczy, bo bez nadziei oglądaniu go z powrotem.

Daléj opisuje pan Rosselly trudy i przygody téj długiéj podróży, spisek uknuty przeciw Kolumbowi na okręcie, jego niezachwianą stałość, odwagę i pewność siebie, nareszcie wylądowanie na Antyllach i pobyt pomiędzy Indyanami, którzy, jak stada dzikich ptaków, zlatywali się i pierzchali, przyciągani podziwem, a odganiani trwogą.

Następnie opowiada powrót i przyjęcie Kolumba przez królową i króla, którzy zmusili go, żeby w ich obecności usiadł i nakrył głowę. Ale honory niedługo trwały. Król Ferdynand i doradca jego biskup Jan Fonseca, rozjątrzeni tak wielką sławą i pomyślnością Genueńczyka, starali się odjąć mu łaskę królowéj. Zawiązała się przeciw Kolumbowi konspiracya silniejsza od sprzysiężenia marynarzy. Mimo to, jako wice-król powrócił jeszcze do Ameryki, ale znalazł tam wielkie zamieszanie. Usilne starania brata jego Bartłomieja, który energicznie przestrzegał porządku, nie mogły jednak powściągnąć zepsucia; chciwość i rozpusta szerzyły się jak zaraza w nowym świecie. Intryganci dworscy dowiedziawszy się o nierządzie w państwie wice-króla, pochwycili skwapliwie ten powód: odebrali mu władzę, kazali pojmać i odstawić w kajdanach do Hiszpanii. Przybywszy, już Kolumb nie zastał przy życiu jedynéj swéj opiekunki królowéj Izabelli. Po wielo-letniém prześladowaniu, Ferdynand zaprzeczywszy mu zawarowanych ugodą praw do ósméj części przywiezionego z Antyllów złota, wyznaczył w zamian jakąś drobną pensyjkę, którą Kolumb z oburzeniem odrzucił. Niedługo potém, odkrywca Nowego Świata, zbolały w duchu, ślepy na oba oczy, zakończył życie w nędzy!

Oto w kilku słowach historya tego wielkiego męża, którą pan Roselly de Lorgues z miłością opowiedział w dwóch grubych tomach.

W Ambigu Comique, jednym z najlepszych teatrów bulwarowych, przedstawiają teraz Les Pauvres de Paris, sześcio-aktowy dramat z prologiem, który na scenie nie wydaje się wcale tak długi jak na afiszu, gdyż go wypełniają obrazy zajmujące i charakterystyczne. Autor, pan Brisebarre, mimo że wziął przedmiot nienowy i trudny, bo skreślony wielokrotnie mistrzowskiém piórem Balzaka i Suego, wywiązał się zeń wcale nieźle, i przedstawił świecącą nędzę jeżeli nie genialnie, to przynajmniéj bardzo wiernie.

Główną trudnością przedmiotu był trafny wybór osób w téj na nieszczęście tak licznéj rodzinie ludzi, których materyalne środki nie są równe ze szczeblem, jaki zajmują moralnie na długiéj drabinie hierarchii społecznéj; których wyższe zdolności i szersze pragnienia wyrwały z ciemnego gniazdka, a nie doprowadziły do bezpiecznego portu; którzy stają się ofiarami wymogów próżności świata dlatego, że mieli nieszczęście urodzić się z książąt bez księztwa, lub odebrać wychowanie wyższe niż stan ojcowski. Trudnością przedmiotu było właśnie jego bogactwo: to, żeby nie utonąć w szczegółach cisnących się zewsząd, nie wpaść w przesadę, tylko malować samą rzeczywistość, która i tak aż nadto jest dramatyczną.

Autor paryzkich nędzarzy umiał się zamknąć we właściwych ramach, a co większa, umiał się oprzéć pokusom fantazyi. Malując całą galeryą typów, z których złożone społeczeństwo w ogóle, a mianowicie téż francuzkie, nie wyprowadził na scenę ani jednego z owych poczciwych łotrów, coto najsurowszych godzą z rozpustą; nie odmalował ani jednego Don Bazana, uważając słusznie podobny typ jako przedziwny kapryś

dozwolony tylko genialnemu pędzlowi i niezrównanéj palecie Wiktora Hugo, ale nieprzystępny talentom miernym, mogącym z takiego wzoru przerobić szkodliwą karykaturę.

Prolog odbywa się w Bordeaux u bankiera Villebrun. Że to dzień świąteczny, żaden z urzędników nie przyszedł do biura, wyjąwszy jednego nazwiskiem Planterose, największego próżniaka i łotra. Zapytany przez bankiera, zkąd mu się wzięła taka gorliwość, odpowiada, że przyszedł, bo się chce z nim pożegnać.

— Jakto? Czy odjeżdżasz?

— Nie: ale pan wyjeżdża.

— Ja?—pyta bankier udając zadziwienie.

— O! nie udawaj pan próżno, bo nie wywiedziesz mnie w pole—odpowiada Planterose—jestem ja wprawdzie nic nie wart i nieuk, ale mam rozum. Od roku uważam, że pan przesadzasz swe straty, a pomniejszasz zyski; kassa pusta, ale pugilares pełny. Przygotowałeś pan bilans, i zamówiłeś konie pocztowe; plan twój odgadnąć łatwo: jutro będziesz w Belgii, a tu ogłoszą, żeś zbankrutował. Nie prawdaż?

— Panie Planterose jesteś rzeczywiście zdolniejszy niż sądziłem—odpowiada bankier—ale kiedy tak, to się porozumiemy łatwo.

Tu dwa łotry wchodzą z sobą w układy, które przerywa niespodziane przybycie kapitana okrętu, pana Bernier. Ogorzały marynarz opowiada bankierowi, że przybył właśnie z Valpareso i musi wracać natychmiast, nie mając nawet czasu obaczyć się z żoną mieszkającą w Paryżu; że nie wiedząc co go w podróży spotkać może, składa u niego w depozycie 200,000 franków, summę, która jest całym majątkiem jego dzieci.

Bankier przyjmuje chętnie, i podpisuje skwapliwie kwit podany przez komisanta. Marynarz odlicza pieniądze i wychodzi zadowolony.

Niemniej zadowoleni są dwaj finansiści, którym niespodzianie przybył ładny kąsek do podziału. Villebrun dwadzieścia biletów bankowych wyjętych z pugilaresu kapitana oddaje Planterosowi, i niecierpliwie oczekuje koni pocztowych.

Wtém kapitan okrętu powraca zadyszany. W kawiarni, do któréj wstąpił usłyszał mówiących dwuznacznie o uczciwości swego bankiera. Może to i oszczerstwo, ale tam, gdzie idzie o majątek dzieci, nie można być nadto ostrożnym: przychodzi więc odebrać swoje 200,000.

— Przyjdź pan jutro—odpowiada bankier,—dziś moje biura zamknięte.

Kiedy to mówi, lokaj oznajmia, że powóz pocztowy czeka.

— Chcesz uciekać!—woła oburzony kapitan—oddaj pieniądze, bo jeżeli krok postąpisz, w łeb ci wypalę!

— Po cóż tyle krzyku?—mówi bankier z flegmą—któż panu zabiera jego własność?

Marynarz hamuje zbytnią porywczość i wydobywa rewers bankiera, ale gniéw i trwoga tak mu krew wzburzyły, iż uderzony apopleksyą pada bez duszy.

— Apopleksya przyniosła panu 200,000, których już pewnie nie wpiszemy do hipoteki.—To mówiąc Planterose podnosi ukradkiem pokwitowanie bankiera, które wypadło z rąk kapitana, i chowa je do kieszeni.

Upływa lat piętnaście. Dramat przenosi się do stolicy. Dekoracya przedstawia jeden z paryzkich kościołów, na którego schodach siedzi żebrak w łachmanach. Jestto Planterose, dowcipny komissant z prologu, którego niczém nienasycone rządze doprowadziły do dziadowskiéj torby. Planterose uosabia bardzo powszechny w Paryżu typ rozumnego szachraja, który zyskuje massę pieniędzy, ale zawsze jest bez grosza; bo zbudziwszy w sobie i rozkiełznawszy wszystkie zwierzęce namiętności, staje się rzeczywistą beczką Danaidy,

któréj nie napełni wszystko złoto starego i nowego świata. Nadużywszy dobréj wiary znajomych i przyjaciół, oszukawszy jednych, okradłszy drugich, w końcu odepchnięty zewsząd, Planterose zasiadł w szeregu żebraków; ale i tu twarz jego, na któréj widna podła dusza, odstrasza współczucie bliźnich. Jedna tylko panienka wchodząc co niedziela z matką do kościoła, wsuwa mu w rękę franka. Stary grzesznik przejęty dobrocią téj jedynéj istoty, która się nad nim lituje, pyta kolegów, cobyto była za jedna, i dowiaduje się, że to jest panna Bernier, córka kapitana okrętu, który przed piętnastą laty umarł nagle na apopleksyą.

Następne akty przenoszą nas do salonu pani Bernier, wdowy, kobiety próżnéj, która ze śmiercią męża straciwszy majątek, żyje nad możność, i nie wybiera środków, byle utrzymać tak zwany honor swego domu i nie splamić pracą szlacheckiéj dłoni. W salonie pani Bernier, jak w czarnoksięzkiéj latarni, przesuwają się różne obrazy z ludzkiéj komedyi, z których przynajmniéj jeden każdy widział gdzieś w rzeczywistości, a często w niejednym sam grał rolę: obrazy zwyczajne, codzienne, malujące rzeczy, które nibyto potępia każdy, a każdy czyni. Widzimy tam górnolotne panie znające daleko lepiéj zodyak niebieski, niż własne kurniki; czytające biegle hieroglify, a nieznające abecadła życia; kwestarki, których litościwe serca pokrywają aksamity i brylanty; kawalerów, co w pismach i w rozmowie uwielbiają cnotę, sławią skromność w niewieście, a żenią się z piérwszą lepszą Prozerpiną, byleby ich z Plutusem spokrewniła; widzimy tam tak zwaną paryzką cyganią nowych sanculotów, którzy prawiąc o równości, obracają się jak heliotropy za słonecznym blaskiem herbów i łuną książęcych pokoi: ludzi, co noszą paliowe rękawiczki, a nie noszą koszuli; trefią głowy, a nie jadają obiadu; dają bale, a nazajutrz nocują w więzieniu za długi; rzucają dukata kwestującéj da-

mie, a pożyczają złotówkę od służącego, któremu zasług nie płacą: słowem, widzimy tam wszystkich niewinnych męczenników próżności, oraz całą zgrają moralizujących komedyantów, którzy jak starożytni Augurowie, nie mogą spojrzéć sobie w oczy bez śmiechu.

Pani Bernier przez źle pojętą miłość macierzyńską, chcąc dzieciom oszczędzić kłopotu, nie wtajemniczyła ani syna, ani córki do sztucznéj budowy ich bytu. Syn trzymany w téj szczęśliwéj, a raczy nieszczęśliwéj nieświadomości swego losu, zamiast wyrobić siły do życia, wyrabia sobie szczególniejsze pojęcie o świecie: uważa go za aksamitne wzgórze, po którém można się toczyć rozkosznie z zamkniętemi oczyma i założonemi rękami.

W tak rajskiém usposobieniu, młody Henryk spotyka kolegę, który właśnie tylko co utracił dawne bogactwa; ten opowiada mu z rozpaczą, że jeźli nie otrzyma żądanéj posady, będzie musiał żebrać lub umierać z głodu. Na to przypuszczenie oburza się romansowy Henryk, i twierdzi, że szlachcic, że człowiek ich pozycyi, nigdy w takiém położeniu znaleźć się nie może. Tu zawiązuje się pomiędzy przyjaciołmi bardzo zajmująca rozmowa, w któréj zrujnowany młodzieniec wymownie maluje świecącą nędzę, i mniéj więcéj temi słowy zakończa długi monolog:

— ....Znasz więc tylko nędzę, co chodzi w łachmanach? Gdzieżeś się urodził, mój kochany, że nie znasz drugiéj, stokroć gorszéj i dokuczliwszéj, prawdziwéj paryzkiéj nędzy; zkądże przybywasz, że nie wiész, iż najnędzniejsi są ci, których stan wskazuje na wieczną maskaradę: ci, co noszą cienkie sukna a nie jadają obiadu żeby módz kupić rękawiczki, bukiet kochance i dać kubanę odźwiernemu. Najnędzniejsi, mój kochany, są dziennikarze bez dzienników, autorowie nie przedstawianych sztuk, zrujnowane familianty, którzy zapinają frak pod szyję, żeby nie widziano, iż nie mają bielizny;

ci, co się przechadzają w świątecznych strojach, bo z całéj garderoby zostawili sobie tylko ubiór petycyonaryusza; ci, co patrzą na cię z góry, mają szkiełko w oku, piórko w zębach, a nie jedli od dwudziestu czterech godzin; ci, co dzień i noc szamocąc się daremnie, znajdują nareszcie spokój na dnie Sekwany!

— Dajże pokój—mówi Bernier—nigdy temu nie uwierzę.

Nie wiedział biédak, że uwierzy niebawem. Przybywszy do domu, zastaje wierzycieli zabierających meble. Tu dramat się zachmurza: jedna wysunięta cegiełka z téj sztucznéj budowy, która się zowie życiem nad możność, sprowadza upadek całego gmachu. Rodzina marynarza z pięknych salonów przenosi się na poddasze. Syn do niczego niezdatny, daremnie szuka zajęcia; matka i córka biorą się do pracy, ale haftując niewprawną ręką, mimo usiłowań, na chléb zarobić nie mogą. Niebawem, ostatnia nędza przybywa z nieubłaganym swym towarzyszem—głodem. Wtedy wszyscy troje chwytają się ostatecznych środków ratunku.

Syn wybiega na ulicę przysięgając sobie, że nie powróci bez chleba dla matki. Przechodząc koło dworca kolei żelaznéj, widzi przybywający pociąg: wołają kommissionerów do dźwigania pak i kufrów; młodzieniec staje w ich rzędzie. Ludzie ci z barkami rozrosłemi pod ciężarem pracy i biédy, śmieją się i wytykają palcami wiotkiego panicza, który jak cień Hamleta zjawił się między nimi. Ale nędza ma współczucie dla nędzy.

— Nietrzeba go zrażać!—woła jeden z tragarzy.

— Naści chłopcze, to dla ciebie—woła drugi i rzuca mu potężny kufer. Henryk chwyta go chciwie, ale ledwie naładował ciężar na plecy, chwieje się... i upada pod jego brzemieniem.

— To radeby pracować, a nie ma śpiku w kościach—odzywa się ktoś w tłumie, i zabrawszy kufer, odchodzi.

— Cóż więc mam począć? Wielki Boże, zmiłuj się nademną!—woła załamując ręce młodzieniec.

Równocześnie matka niesie do lombardu swoję ślubną obrączkę, ale że się nie ma czém wylegitymować, bo świeżo zmieniła mieszkanie, nie chcą jéj nic pożyczyć. Córka chcąc dopomódz matce i bratu, idzie żebrać. Obrazto smutny i przejmujący jak noc grudniowa. Na ulicach ciemno: tu i owdzie błyszczy kołysana wiatrem latarnia, rzadki przechodzień przyspiesza kroku, bo zimno, wietrzno i wilgotno; biédna dziewczyna stoi pod murem i długo nie może wymówić fatalnego słowa: *daj*. Nareszcie zaczepia jakiegoś starego jegomości, i szepce mu pocichu ową nieszczęsną zwrotkę, nieustannie dzwoniącą pomiędzy pałacami stolicy: "La charité s'il Vous plaît!" Jegomość nie słyszy i pyta czego chce: dziewczyna zamiast powtórzyć prośby, mówi, żeby jéj powiedział nazwisko ulicy. Po chwili wyrzuca sobie swą dumę, i zebrawszy siły wyciąga rękę do innego przechodnia, którego równocześnie jéj matka prosi o wsparcie. Z dwóch stron zaczepiony mężczyzna z konwulsyjnym śmiechem mówi—odemnie chcecie jałmużny...

Kobiéty poznają po głosie Henryka i rzucają mu się na szyję.

— Matko moja! Ty żebrzesz!—woła młodzieniec—masz słuszność: rzućmy wstyd fałszywy.—To mówiąc stawia kapelusz na ziemi, i obyczajem paryzkich żebraków zaczyna śpiewać; ale nikt z przechodzących go nie słucha, każdy mija myśląc o czém inném. Wreszcie ktoś rozśmiał się ze śpiewu biédaka... nieszczęśliwy traci sił ostatek i mdleje.

Obrazów takich, co chłoszczą najgrubsze nerwy, pełno. Dramat ma sześć aktów. W ostatnim Planterose wynajduje bankiera Villebruna i na mocy jego pokwitowania, które oględnie był schował w prologu, odbiéra i oddaje rodzinie kapitana skradzione 200,000.

Trzeba wybaczyć autorowi, że na końcu rozstał się z prawdą, przez wzgląd na to, że gdyby był zakończył prawdziwie, większa połowa słuchaczy udałaby się po reprezentacyi prosto do Sekwany, nie widząc potrzeby odkładania rzeczy na później.

— Teatr Vaudeville przedstawi niezadługo nową sztukę Dumasa syna, pod napisem: Le Père prodigue. Znany z przebiegłości dyrektor tego teatru, pan Beaufort, dość oryginalnym sposobem wymusił na autorze ten nowy utwór sceniczny.

Pod miłém wrażeniem ogromnych zysków, jakie przyniosła mu Kameliowa Dama; pan Beaufort oddawna prosił o jaką nową sztukę Dumasa; ale ten zawsze wymawiał się, bo zobowiązań nie lubi. Uparty dyrektor chcąc koniecznie dopiąć swego, wybrał się do Bougival pod Paryżem, gdzie tego lata przebywał autor Demimondu.

Dumas ledwie spostrzegł gościa zdaleka, domyślił się celu wizyty; bierze więc za kapelusz i przeprasza, że mu służyć nie może, gdyż jedzie się kąpać z panem H.

— Jeźli pozwolisz, pojadę z wami — odpowiada dyrektor.

Niepodobna było odmówić. Jadą tedy i kąpią się razem na głębokiéj wodzie. Wtém, dyrektor pływając obok Dumasa, który nieosobliwie pływa, kładzie mu ręce na ramionach i pyta:

— Lubisz się nurkować?

— Nienawidzę!

— Kiedy tak, to cię znurkuję trzy razy, jeżeli mi nie dasz sztuki.

— Żartujesz?

— Obaczymy.

— Dajże pokój!

— Więc przyrzekasz?

— Zwaryowałeś!

— Nie dasz sztuki, to dasz nurka!

— Puść mnie! Już zrobię co zechcesz: dam sztukę, tylko mnie puść!

— A długą?

— Długą.

— Pod jakim tytułem?

— Ojciec rozrzutny.

— Dziękuję ci. Wyborny z ciebie chłopiec. Do zobaczenia! — rzekł ściskając autora dyrektor.

— Jakto? już nas porzucasz?

— Już. Wszakże już mam twoję obietnicę: ponią tylko przybyłem.

Dowiedzieliśmy się teraz, czemu pan Viennet, szanowny członek Akademii, tak gorąco wystąpił w obronie tragedyi na ostatniém posiedzeniu w pałacu Mazarin. Słuchając go, publiczność mniemała, że to niezagojone rany po nagłéj śmierci ś. p. Arbogasta, który umarł po piérwszém przedstawieniu, natchnęły autorowi treny nad upadkiem najwyższéj formy scenicznéj. Powód był inny: szanowny członek przed czterdziestą pięciu laty napisał był dla teatru Francuzkiego tragedyą pod tytułem Alexander, którato tragedya w 1810 roku była przyjęta przez komitet teatralny, ale z powodów politycznych nie mogła być przedstawioną. Teraz pan Viennet upomniał się u teatru o przedstawienie Alexandra. Teatr Francuzki powiada, że zaszło przedawnienie, i że sztuka na nowo czytaną być musi. Autor wzywa wszystkie bogi Olimpu, i na to upokorzenie zezwolić nie chce. Naczém się skończy spór—jeszcze nie wiadomo. Melpomena czeka z bijącém sercem.

— Teatr Włoski pod dyrekcyą pana Calzado, w tych dniach otwiera swoje bramy. W skład nowéj trupy wchodzą znakomici artyści. Na czele spisu widzieliśmy panią Alboni, Frezzolini, Piccolominii i pana Maryo, w téj chwili jedynego sławnego tenora. Przedstawienia

rozpocznie Traviata, czyli la Dame aux camelias z muzyką Verdego.

— Pani Ristori dała świetną reprezentacyą w operze komicznéj na korzyść ubogich artystów. Wystąpiła w roli Medei, i prócz świeżych wawrzynów, zebrała 9475 fr. dla biédnych.

Tenże sam teatr wznowił teraz Zampę Herolda. Po piérwszéj reprezentacyi, popiersie autora uwieńczono na scenie kwiatami.

Za kryształową ścianą jednego z najwspanialszych paryzkich składów rzeźby, obrazów i rycin, pojawił się w tych czasach nowy zbiór sztychów i litografii, zdjętych z celniejszych utworów artystów francuzkich. Wyborne te kopie tém więcéj zasługują na wzmiankę, iż są sprzedawane po cenie stosunkowo nie wysokiéj, a mogą ozdobić najpiękniejszy salon.

W téj wystawie sztychów, najmocniéj uderzył staloryt z podpisem znakomitego paryzkiego sztycharza pana Henriquel-Dupont, przedstawiający rzecz nader ciekawą, bo zdjętą nie ze słynnego obrazu, ale z rysunku znajdującego się w muzeum cesarskiém w Paryżu. Jestto Madona Rafaela z Dzieciątkiem na ręku przybrana w nowe wdzięki przez niewyczerpanego w ich wynajdywaniu mistrza z Urbinu: jestto jakby sama dusza artysty przytwierdzona na kawałku papieru, który przechował nam ją lepiéj niż płótno i mury.

Pośród krajobrazu rzuconego niedbale, Marya siedzi na omszałym kamieniu. Przezroczysta gaza fałduje się po jéj włosach związanych przepaską, a nad schyloném czołem błyszczy aureola. Oczy jéj spuszczone, obejmują miłosnym promieniem boską dziecinę; nos szczupły i prosty jak u statuy greckiéj, przypomina nieco typ izraelski; usta podnosi, u brzegów boski uśmiech, którego nie znała sztuka starożytna: uśmiech przeczystéj dziewicy patrzącéj na swego syna. Piękne

ciało Maryi kryje zazdrośnie, jakby go pieszcząc, długa tunika, która zostawia tylko nagie dwie ręce i czubek nogi narysowanéj czysto, jak stopy Ateńskiéj Pallady.

Jezus już prawie dwuletni, leży na kolanach Maryi, i szuka rączką piérsi matczynéj, jakto zwykły czynić świeżo odsadzone dzieci; Marya z uśmiechem zatrzymuje igrające z fałdami jéj stanika paluszki, a dziécię patrzy jéj figlarnie w oczy. Główkę jego spoczywającą na matczyném ręku, oświeca nieporównany wyraz boskości, rozlany na tle niemowlęcém; wyraz, który mógł oddać tylko pędzel Rafaela, sam jeden posiadający tajemnicę malowania owych kędzierzawych włosków, wielkich zadziwionych oczu i ustek drobniuchnych, na które patrząc matki szaleją z radości.

Lekki, delikatny i przezroczysty sztych, który pan Henriquel-Dupont zdjął z powyższego oryginału, jest prawdziwém arcydziełem.

Obok zawieszony staloryt Lecomt'a, przedstawia obraz Ary Scheffera: Dante i Beatricze. Scheffer, jak wiadomo, zwykł z poematów czerpać swoje wzory; Dante, Goethe, Byron i Burger niemało mu ich nastręczyli; Scheffer nie lubi zaglądać w oczy saméj naturze, woli ją odbitą w zwierciedle poety. Ztąd dzieła jego mają jakąś cechę literacką, zdradzającą wysoko ukształcony umysł malarza.

Beatricze jest jedną z ostatnich kompozycyj Scheffera. Na sztychowanéj kopii, o któréj mowa, podpisano następny czterowiersz z Boskiéj Komedyi:

„Beatrice tutta nell' eterne vuote
Fissa con gli occhi stava; ed io, in lei
Le luci fisse di lassù rimote,
Nel suo aspetto tal dentro mi fei".

Beatricze w laurowym wieńcu na głowie, patrzy w niebo z zachwytem. Czysty owal jéj twarzy, rysy nie materyalnie piękne, wpół otwarte usta, z których zdaje się płynąć modlitwa; wysmukłe ręce, pierś wątła, ciało prawie powietrzne, urzeczywistnia dobrze pojęcie, jakie

czytelnik wyrabia sobie o téj, którą poeta zwie „piękną istotą w białéj szacie“. Możnaby jéj zarzucić, że jest nadto sztywna i surowa, ale Beatrycze wyobraża nietylko kochankę Danta: jest ona zarazem amblematem teologii, a jako taka, nie mogła być przedstawiona inaczéj.

Alighiery w zwyczajnym swym stroju, stoi niżéj, i wpatruje się w swą niebiańską wizyą.

Jestto sztych duży, którego wykonanie przynosi zaszczyt panu Lecomte. Drugi zdjęty także z obrazu Scheffera przez Keller'a, przedstawia Święte kobiety w grobie Chrystusa.

Przedmiot ten nadaje się szczególniéj do duchowotkliwego talentu Ary Scheffera, dla którego ciało jest tylko przezroczystym welonem duszy. Chrystus umarły leży obwinięty draperyą osłaniającą całą figurę prócz twarzy. Ostatnie męki skonu zastygły na jego czole, a z pół-otwartych ust zdaje się jeszcze wydzierać ów krzyk boleści: „Eli, Eli, lamma Sabacthani!“— Marya oparłszy głowę na piersiach syna—płacze. W głębi płaczą także święte niewiasty. Długo-włosa Magdalena uchyla całunu i podnosi ku niebu oczy, z których łzy płyną, jak z przepełnionego kielicha.

Piękna także jest kopia nieznanego obrazu Delarocha, pod napisem: Les joies d'une Mère. Forma jego owalna przypomina kształt Rafaelowskiego obrazu Madona de la segia: młoda kobiéta w bogatym negliżu, bawi się ze swemi dziećmi; najmłodsze siedzi na kolanach matki; starsze uwiesiło się u jéj szyi, a najstarsze chce rozweselić posępną powagę bambina, który widać z niechęcią opuścił kolébkę.

Obok był śliczny sztych znanego obrazu Jalaberta, przedstawiającego młodą Rzymiankę, schodzącą z góry z wrzecionem w ręku, zadumaną o jakimś lubym śnie miłosnym.

Washington przeprawiający się przez Delawarę, wielki staloryt zdjęty z obrazu historycznego Leutza, sztychowany przez Pawła Girardet'a, zdaleka uderza oczy. Sztycharz stanął tu u szczytu swéj sztuki, ale malarz, zdaniem naszém, nie zrozumiał swego przedmiotu. Washington stojący na łodzi potrącanéj silną krą świeżo rozmarzłéj rzeki, nadto przypomina Cezara wiozącego swe losy. Ta wyniosła i dumna, nieomal teatralna postawa, właściwa dla rzymskiego Imperatora, razi w najprostszym i najskromniejszym z bohaterów. Podczas téj niebezpiecznéj przeprawy, Washington pewnie siedział spokojnie w łodzi, obwinięty płaszczem, i poglądał obojętnie z zimną amerykańską odwagą na piętrzące się fale, ufając, że ani te lodowe smoki, ani żadna siła ziemska nie zdolna skruszyć pełniącego swą missyą człowieka.

Józef sprzedany przez braci: obraz Verneta, umiejętnie wyrył na stali sztycharz Manceau. Kompozycya ta, powszechnie znana, uwalnia nas od opisu, z czego korzystamy tém skwapliwiéj, iż nie czujemy wielkiéj sympatyi dla obrazów biblijnych Verneta.

Litografia ogromne uczyniła tu postępy w ciągu ostatnich lat kilku. Nowe wielkie litografie Mouilleron'a, Leroux i Fanolego, dziwnie, pięknie i czysto odbite, mają się do dawnych, jak dzisiejsza heliografia do piérwotnego dagierotypu, rzuconego na świecącą blaszkę, na któréj patrzący zazwyczaj nic prócz własnéj fizyonomii dojrzéć nie mógł. Rekruty Arabskie, obraz pana Bida, litografowany przez Leroux, jest arcydziełem tego kunsztu. Światło i cienie zastępują tu kolor z dziwną plastycznością: grunt wypieczony skwarem słońca, nawet gorącą cerę nieba afrykańskiego, Leroux tak potrafił oddać tłustym ołówkiem, iż obrazowi jego zbliżka przypatrzyć się potrzeba, ażeby poznać, że to nie dzieło energicznego pędzla, ale tylko litografia.

Dowodem, że litografia może wyrażać najrozmaitsze rodzaje, jest przeniesiony na kamień Orfeusz, Ja-

laberta: utwor eteryczny, zamglony, pełen nikłych postaci ugrupowanych rozkosznie, a odstających na tle obrazu jak lilie na zielonym kobiercu łąki. Otóż taki nawet obraz delikatny jak pajęczyna, umieli przekopiować paryzcy litografowie, i dowiedli, że ta sponiewierana nieartystyczną ręką sztuka, kierowana umiejętnie, tak dobrze twarde kontury marmurów greckich, jak księżycowe noce ballad germańskich przedstawić jest zdolna.

Rittier, autor Historyi Restauracyi, wydał piérwszy tom Historyi panowania Ludwika Filipa, w którym skreślił trafnie charakter tego króla i wszystkich członów jego rodziny.

— Wyszły w dwóch tomach Listy niewydane Voltaira, z przedmową pana Saint-Marc-Girardin członka Akademii. Zebrał je pan Cayrol, a komentował i wydał Alfons François. Wydawca uciekł się pod opiekę Akademii francuzkiéj, która na ogólném zebraniu dała przez usta pana Villemain officyalne potwierdzenie Listom Voltaira. Prócz tego, Saint-Marc-Girardin z wielką jest czołobitnością w swéj przedmowie dla geniuszu sławnego filozofa.

— Jules Simon, znany autor Obowiązku i Religii Naturalnéj, wydał Historyą szkoły Alexandryjskiéj.

— Wyszły także bardzo nieciekawe pamiętniki pana Dupin. Mówiąc o téj książce jeden z tutejszych krytyków, powiada, iż czytając ją przyszła mu na myśl baranina, którą pewien Anglik spożywał w podróży, a o któréj w pamiętnikach swoich wspomina, że była tak zła, jak tylko rzecz złą być może: źle karmiona, źle zabita, źle ugotowana, źle zastawiona. Porównanie jest arcyprawdziwe: owa pieczeń zupełnie tak musiała smakować, jak książka pana Dupin.

ROMEO I JULIA.

PRZEKŁAD Z SZEKSPIRA

J. Paszkowskiego.

OSOBY.

Eskalus, książę panujący w Weronie.
Parys, młody Werończyk, szlachetnego rodu, krewny księcia.
Montekio, } naczelnicy dwóch domów nieprzyjaznych sobie.
Kapulet, }
Stryjeczny brat Kapuleta, starzec.
Romeo, syn Montekiego.
Merkucio, krewny księcia, } przyjaciele Romea.
Benwolio, synowiec Montekiego, }
Tybalt, krewny pani Kapulet.
Laurenty, ojciec Franciszkanin.
Jan, brat z tegoż zgromadzenia.
Baltazar, służący Romea.
Samson, } słudzy Kapuleta.
Grzegorz, }
Abraham, służący Montekiego.
Aptekarz.
Trzech muzykantów.
Paź Parysa.
Piotr.
Dowódzca warty.
Pani Montekio, małżonka Montekiego.
Pani Kapulet, małżonka Kapuleta.
Julia, córka Kapuletów.
Marta, mamka Julii.

Obywatele werońscy, różne osoby płci obojéj, liczące się do przyjacioł obu domów, maski, straż wojskowa i inne osoby.

Rzecz odbywa się przez większą część sztuki w Weronie, przez część piątego aktu w Mantui.

AKT I.

SCENA PIERWSZA.

(Plac publiczny).

SAMSON I GRZEGORZ *wchodzą uzbrojeni w tarcze i miecze.*

SAMSON.

Dalipan, Grzegorzu, nie będziem darli pierza.

GRZEGORZ.

Ma się rozumiéć, bobyśmy byli zdziercami.

SAMSON.

Ale będziemy darli koty, jak z nami zadrą.

GRZEGORZ.

Kto zechce zadrzeć z nami, będzie musiał zadrżéć.

SAMSON.

Mam zwyczaj drapać zaraz, jak mię kto rozrucha.

GRZEGORZ.

Tak, ale nie zaraz zwykłeś się dać rozruchać.

SAMSON.

Te psy z domu Montekich rozruchać mię mogą bardzo łatwo.

GRZEGORZ.

Rozruchać się tyle znaczy, co ruszyć się z miejsca; być walecznym, jestto stać nieporuszenie: pojmuję więc, że skutkiem rozruchania się twego będzie — drapnięcie.

SAMSON.

Te psy z domu Montekich rozruchać mię mogą tylko do stania na miejscu. Będę jak mur dla każdego mężczyzny i dla każdéj kobiéty z tego domu.

GRZEGORZ.

To właśnie pokazuje twoję słabą stronę: mur dla nikogo nie straszny, i tylko słabi go się trzymają.

SAMSON.

Prawda: dlatego kobiéty, jako najsłabsze, tulą się zawsze do muru. Ja téż odtrącę od muru ludzi Montekich, a kobiéty Montekich przyprę do muru.

GRZEGORZ.

Spór jest tylko między naszemi panami i między nami, ich ludźmi.

SAMSON.

Mniejsza mi o to: będę nieubłaganym. Pobiwszy ludzi, wywrę wściekłość na kobiéty: rzeź między niemi sprawię.

GRZEGORZ.

Rzeź kobiét chcesz przedsiębrać?

SAMSON.

Nieinaczéj: wtłoczę miecz w każdą po kolei. Wiadomo, że się do lwów liczę.

GRZEGORZ.

Tém lepiéj, że się liczysz do zwierząt; bo gdybyś się liczył do ryb, to byłbyś pewnie sztokfiszem. Weźno się za instrument, bo oto nadchodzi dwóch domowników Montekiego.

(*Abraham i Baltazar wchodzą*).

SAMSON.

Mój giwer już dobyty; zaczep ich, ja stanę z tyłu.

GRZEGORZ.

Gwoli drapania?

SAMSON.

Nie bój się.

GRZEGORZ.

Jabym się miał bać z twojéj przyczyny?

SAMSON.

Miejmy prawo za sobą, niech oni zaczną.

GRZEGORZ.

Marsa im nastawię przechodząc: niech go sobie jak chcą tłumaczą.

SAMSON.

Nie jak chcą, ale jak śmią. Ja im gębę wykrzywię: hańba im, jeśli to ścierpią.

ABRAHAM.

Skrzywiłeś się na nas, mości panie?

SAMSON.

Nieinaczéj, skrzywiłem się.

ABRAHAM.

Czy *na nas* się skrzywiłeś, mości panie?

SAMSON *(do Grzegorza)*.

Będziemyż mieli prawo za sobą, jak powiem: tak jest?

GRZEGORZ.

Nie.

SAMSON *(do Abrahama)*.

Nie, mości panie; nie skrzywiłem się na was, tylko skrzywiłem się, tak sobie.

GRZEGORZ *(do Abrahama)*.

Zaczepki waść szukasz?

ABRAHAM.

Zaczepki? nie.

SAMSON.

Jeżeli jéj szukasz, to jestem na waścine usługi. Mój pan tak dobry jak i wasz.

ABRAHAM.

Nie lepszy.

SAMSON.

Niech i tak będzie.

(Benwolio ukazuje się w głębi).

GRZEGORZ.

Powiedz, lepszy. Oto nadchodzi jeden z krewnych mego pana.

SAMSON.

Nieinaczéj; powiédz, lepszy.

ABRAHAM.

Kłamiesz.

SAMSON.

Dobądźcie mieczów, jeśli macie serca! Grzegorzu, pamiętaj o swojém pchnięciu.

(Biją się).

BENWOLIO.

Odstąpcie, głupcy; schowajcie miecze do pochew! Sami nie wiecie, co robicie.

(Rozdziela ich swoim mieczem).

(Tybalt wchodzi)

TYBALT.

Cóż to? krzyżujesz oręż z parobkami?
Do mnie, Benwolio! pilnuj swego życia.

BENWOLIO.

Przywracam tylko pokój. Włóż miecz nazad,
Albo wraz ze mną rozdziel nim tych ludzi.

TYBALT.

Z gołym orężem pokój? Nienawidzę
Tego wyrazu, tak jak nienawidzę
Szatana, wszystkich Montekich i ciebie.
Broń się, nikczemny tchórzu!

(Walczą).

(Nadchodzi kilku przyjaciół obu partyi i mieszają się do zwady; wkrótce potém wchodzą mieszczanie z pałkami).

PIERWSZY OBYWATEL.

Hola! berdyszów! pałek! Daléj po nich!
Precz z Montekiemi, precz z Kapuletami!

(Kapulet i pani Kapulet wchodzą).

KAPULET.

Coto za hałas? Podajcie mi długi
Mój miecz! hej!

PANI KAPULET.

Raczéj kulę: co ci z miecza?

KAPULET.

Miecz mówię! Stary Monteki nadchodzi,
I szydnie swoją klingą mi urąga.

(Monteki i pani Monteki wchodzą)

MONTEKI.

Ha! nędzny Kapulecie! *(Do żony)* puść mię, pani!

PANI MONTEKI.

Nie puszczę cię na krok, gdy wróg przed tobą.

(Książę z orszakiem wchodzi).

KSIĄŻĘ

Zapamiętali, niesforni poddani,
Bezcześciciele bratniéj stali! Cóżto,
Czy nie słyszycie? Ludzie czy zwierzęta,
Co wściekłych swoich gniewów żar gasicie
W własnych żył swoich źródle purpurowém:
Pod karą tortur, wypuśćcie natychmiast
Z zawziętych dłoni tę broń buntowniczą,
I posłuchajcie tego, co niniejszém

Wasz rozjątrzony książę postanawia.
Domowe starcia, z marnych słów zrodzone
Przez was Monteki oraz Kapulecie,
Trzykroć już spokój miasta zakłóciły,
Tak, że poważni wiekiem i zasługą
Obywatele weroński, musieli
Porzucić swoje wygodne przybory,
I w stare dłonie stare ująć miecze,
By zardzewiałém ostrzem, zardzewiałe
Niechęci wasze przecinać. Jeżeli
Wzniecicie jeszcze kiedy waśń podobną,
Zamęt pokoju opłacicie życiem.
A teraz wszyscy ustąpcie niezwłocznie.
Ty, Kapulecie pójdziesz ze mną razem;
Ty zaś, Monteki, przyjdziesz po południu
Na ratusz, gdzie ci dokładnie w tym względzie
Dalsza ma wola oznajmioną będzie.
Jeszcze raz, wzywam wszystkich tu obecnych
Pod karą śmierci, aby się rozeszli.

(Książę z orszakiem wychodzi; podobnież Kapulet, pani Kapulet, Tybalt, obywatele i słudzy).

MONTEKI.

Kto wszczął tę nowę zwadę? Mów, synowcze.
Byłżeś tu wtedy, gdy się to zaczęło?

BENWOLIO.

Nieprzyjaciela naszego pachołcy
I wasi już się bili, kiedym nadszedł;
Dobyłem broni, aby ich rozdzielić:
Wtém wpadł szalony Tybalt z gołym mieczem,
I harde zionąc mi w uszy wyzwanie,
Jął się wywijać nim i siec powietrze,
Które świszczało tylko, szydząc z marnych
Jego zamachów. Gdyśmy tak ze sobą
Cięcia i pchnięcia zamieniali, zbiegł się
Większy tłum ludzi, z obu stron walczono:
Aż książę nadszedł i rozdzielił wszystkich.

PANI MONTEKI.

Lecz gdzież Romeo? Widziałżeś go dzisiaj?
Jakże się cieszę, że nie był w tém starciu.

BENWOLIO.

Godziną pierwéj, nim wspaniałe słońce
W złotych się oknach wschodu ukazało,
Troski wygnały mię zdala od domu
W sykomorowy ów gaj, co się ciągnie

Ku południowi od naszego miasta:
Tam, już tak rano, syn wasz się przechadzał.
Ledwiem go ujrzał, pobiegłem ku niemu;
Lecz on, spostrzegłszy mię, skręcił natychmiast,
I w najciemniejszéj ukrył się gęstwinie.
Pociąg ten jego do odosobnienia
Mierząc mym własnym, (serce nasze bowiem
Jest najczynniejsze, kiedyśmy samotni),
Nie przeszkadzałem mu w jego dumaniach,
I w inną stronę się udałem, chętnie
Stroniąc od tego, co rad mnie unikał.

MONTEKI.

Nieraz o świcie już go tam widziano
Łzami poranną mnożącego rosę,
A chmury swego oblicza, chmurami.
Aliści, ledwo na najdalszym wschodzie
Wesołe słońce z przed łoża Aurory
Zaczęło ściągać cienistą kotarę;
On, uciekając od widoku światła,
Co tchu zamykał się w swoim pokoju:
Zasłaniał okna przed jasnym dnia blaskiem,
I sztuczną sobie ciemnicę utwarzał.
W czarne bezdroże dusza jego zajdzie,
Jeśli się na to lekarstwo nie znajdzie.

BENWOLIO.

Szanowny stryju, znaszże powód tego?

MONTEKI.

Nie znam, i z niego wydobyć nie mogę.

BENWOLIO.

Wybadywałżeś go jakim sposobem?

MONTEKI.

Wybadywałem i sam, i przez drugich:
Lecz on, jedyny powiernik swych smutków,
Tak im jest wierny, tak zamknięty w sobie,
Od otwartości wszelkiej tak daleki,
Jak pączek kwiatu, co go robak gryzie,
Nim światu wonny swój kielich roztoczył,
I pełność swoję rozwinął przed słońcem.
Gdybyśmy mogli dojść tych trosk zarodka,
Nie zbrakłoby nam zaradczego środka.

(*Romeo ukazuje się w głębi*).

BENWOLIO.

Oto nadchodzi. Odstąpcie na stronę:
Wyrwę mu z piersi cierpienia tajone.

MONTEKI.

Obyś w téj sprawie, co nam serce rani
Mógł być szczęśliwszym od nas! Pójdźmy, pani.
(Monteki i pani Monteki wychodzą).

BENWOLIO.

Dzień dobry, bracie.

ROMEO.

Jeszczeż nie południe?

BENWOLIO.

Dziewiąta biła dopiéro.

ROMEO.

Jak nudnie
Wloką się chwile! Moiżto rodzice
Tak spiesznie w tamtę zboczyli ulicę?

BENWOLIO.

Tak jest. Lecz cóż tak ci chwile dłuży?

ROMEO.

Nieposiadanie tego, co je skraca.

BENWOLIO.

Miłość więc?

ROMEO.

Brak jéj.

BENWOLIO.

Jakto? brak miłości?

ROMEO.

Brak jej tam, zkądbym pragnął wzajemności.

BENWOLIO.

Niestety! Czemuż, zdając się niebianką,
Miłość jest w gruncie tak srogą tyranką?

ROMEO.

Niestety! czemuż z zasłoną na skroni,
Miłość na oślep zawsze cel swój goni!
Gdzież dziś jeść będziem? Ach! Był tu podobno
Jakiś spór? Nie mów mi o nim, wiem wszystko.
W grze tu nienawiść wielka, lecz i miłość.
O! wy sprzeczności niepojęte dziwa:
Szorstka miłości! nienawiści tkliwa!
Coś narodzone z niczego! Pieszczoto

Odpychająca! Poważna pustoto!
Szpetny chaosie wdzięków! Ciężki puchu!
Jasna mgło! Zimny żarze! Martwy ruchu!
Śnie bez snu! Takąto w sobie zawiłość,
Taką niełączność łączy moja miłość.
Czy się nie śmiejesz?

BENWOLIO.

Nie, płakałbym raczéj.

ROMEO.

Nad czém, poczciwa duszo?

BENWOLIO.

Nad uciskiem
Poczciwéj duszy twojéj.

ROMEO.

A więc strzała
Miłości nawet przez odbitkę działa?
Dość mi już ciężył mój smutek, ty iego
Brzemię powiększasz przewyżką twojego;
Współczucie twoje nad mojém cierpieniem,
Nie ulgą, ale nowym jest kamieniem
Dla mego serca. Miłość, przyjacielu,
To dym, co z parą westchnień się unosi;
To żar, co w oku szczęśliwego płonie;
Morze łez, w którém nieszczęśliwy tonie.
Czémże jest więcéj? Istnym amalgamem:
Żółcią trawiącą i zbawczym balsamem.
Bądź zdrów.

(Chce odejść)

BENWOLIO.

Zaczekaj? krzywdębyś mi sprawił,
Gdybyś mą przyjaźń z kwitkiem tak zostawił.

ROMEO.

Ach! ja nie jestem tu, nie jestem sobą:
To nie Romeo, co rozmawia z tobą.

BENWOLIO.

Kogóżto kochasz? mów.

ROMEO.

Przestań mię dręczyć.
Mamże wraz jęczyć i mówić?

BENWOLIO.

Nie jęczyć,
Tylko mi klucz dać do tego poblemu:
Kogożto kochasz? powiedz?

ROMEO.

Każ choremu
Pisać testament: będzieżto wezwanie
Dobre dla tego, co jest w tak złym stanie?
A więc, kobietę kocham.

BENWOLIO.

Celniem mierzył,
Gdym to pomyślał, nimeś mi powierzył.

ROMEO.

Biegle celujesz. I ta, którą kocham,
Jest piękną.

BENWOLIO.

W piękny cel trafić najłatwiéj.

ROMEO.

A właśnieś chybił. Niczém tu kołczany
Kupida; ona ma naturę Dyany:
Pod twardą zbroją wstydliwości swojéj
Grotów miłości wcale się nie boi;
Szydzi z nawału zaklęć oblężniczych;
Odpiera szturmy spojrzeń napastniczych;
Nawet jéj złota wszechwładztwo nie zjedna.
Bogata w wdzięki, w tém jedynie biedna,
Że kiedy umrze, do grobu z nią zstąpi
Całe bogactwo, którego tak skąpi.

BENWOLIO.

Wiecznież chce sama zostać z swém bogactwem?

ROMEO.

Tak jest: i skąpstwo to jest marnotrawstwem,
Bo piękność, którą własna srogość strawia,
Całą potomność piękności pozbawia.
Zbyt ona piękna, zbyt mądra zarazem;
Zbyt mądrze piękna: ztąd istnym jest głazem.
Przysięgła nigdy nie kochać, i dzięki
Temu, skazany-m wiecznie cierpieć męki.

BENWOLIO.

Jest na to rada: przestań myśleć o niéj.

ROMEO.

Doradźże także, jakimbym sposobem
Mógł przestać myśleć.

BENWOLIO.

Dając oczom wolność
Rozpatrywania się w innych pięknościach.

ROMEO.

To byłby tylko sposób przywołania
Jéj cudnych wdzięków tém żywiéj na pamięć.
Maska kryjąca lica pięknéj damy,
Choć czarna, nęci nas, bo przeczuwamy
Pod nią zbiór ponęt; ten, co wzrok postradał,
Zapomniż kiedy, jaki skarb posiadał?
Pokaż mi jaki ideał dziewczęcy,
Będzież on dla mnie w istocie czém więcéj,
Jak przypomnieniem, że jest piękność inna,
Przed którą taby uklęknąć powinna.
Bądź zdrów: niewczesną podajesz mi radę.

BENWOLIO.

Najpraktyczniejszą: życie w zakład kładę.

(Wychodzą).

SCENA DRUGA.

(Ulica).

KAPULET i PARYS *wchodzą; za nimi służący.*

KAPULET.

Podobną jak mnie karą zagrożono
I Montekiemu: ależ w wieku naszym
Spokojnie siedzieć rzecz nie trudna.

PARYS.

Oba
Szanownych szczepów jesteście odrośle;
Témci żałosniéj, że od tyla czasu,
Żyjecie w takiém rozdwojeniu z sobą.
Cóż mówisz, panie, na moje zabiegi?

KAPULET.

To samo, co już dawniéj powiedziałem:
Mojemu dziecku świat jest jeszcze obcy,
Ledwie czternastu lat wysnuła przędzę;

Parę jéj wiosen jeszcze przeżyć trzeba,
Nim małżeńskiego zakosztuje chleba.

PARYS.

Z młodszych bywały nieraz szczęsne matki.

KAPULET.

Lecz prędko więdną przedwczesne mężatki.
Ziemia schłonęła wszystkie me nadzieje:
Oprócz téj jednéj, ona jest, Parysie,
Przyszłą, jedyną moich ziem dziedziczką.
Staraj się jednak, skarb sobie jéj serce,
Chęć ma z jéj chęcią nie będzie w rozterce;
Jeśli cię przyjmie, głos ojca w tym względzie
Jéj przyzwolenia echem tylko będzie.
Daję dziś wieczór, na który niemało
Gości sprosiłem; gdyby ci się dało
Być jednym więcéj, w nader miły sposób
Zwiększyłbyś przez to zbiór miłych mi osób.
W biednym mym domu, jednocześnie z nocą,
Takie dziś gwiazdy ziemskie zamigocą,
Że od ich blasku, blask niebieskich zblednie.
Uciechy, młodym ludziom odpowiednie
Podobne do tych, jakie kwiecień sprawia,
Gdy w starym progu zimy się pojawia;
Takie uciechy, w całéj swojéj mocy,
Wśród hożych dziewic staną się téj nocy
Udziałem twoim w domu Kapuletów.
Przyjdź, przejrz i wybierz sobie z tych bukietów
Kwiat najpiękniejszy. I mój tam kwiat luby
Wejdzie do liczby, choć nie do rachuby.
Idźmy. (*do sługi*) A wasze obejdź wkrąg Weronę,
Wynajdź osoby tu wyszczególnione:
(*Oddaje mu papier*).
I powiedz każdéj: że mój dom otworem
Na ich usługi stanie dziś wieczorem.
(*Kapulet i Parys wychodzą*).

SŁUŻĄCY.

Mam wynaleźć osoby tu wyszczególnione: to się znaczy, według tego co tu napisano... A cóż tu napisano? Oto: że szewc ma pilnować łokcia, a krawiec kopyta; rybak pędzla, a malarz więcierza. Jakże wynajdę osoby tu wyszczególnione, kiedy nie mogę wynaleźć środka na wyczytanie tego, co osoba pisząca tu wyszczególniła? Kazano mi jednak: muszę się udać do uczonych. Oto jacyś ichmość; może mi poradzą.

(*Wchodzi Romeo i Benwolio*).

BENWOLIO.

Tak, bracie: płomień spędza się płomieniem;
Ból dawny nowém leczy się cierpieniem;
Kręć się na odwrót, gdy masz zawrót głowy;
Klin wyrugujesz, klin wbijając nowy;
Zaczerpnij nowéj zarazy do łona,
A jad dawniejszéj niewątpliwie skona.

ROMEO.

Liść pokrzywiany wyborny jest na to.

BENWOLIO.

Na cóż to, proszę?

ROMEO.

Na oparzelizną;
Sprobujno tylko.

BENWOLIO.

Powiédz mi, Romeo,
Czyś ty oszalał?

ROMEO.

Nie, nie oszalałem:
Lecz wpadłem w gorszy stan niż szalonego.
W loch się dostałem, jestem pastwą głodu,
Chłost i mąk.—Dobry wieczór, przyjacielu.

SŁUŻĄCY.

Nawzajem, panie. Czy umiész pan czytać?

ROMEO.

Niestety! umiem w mojém przeznaczeniu
Czytać niedolę.

SŁUŻĄCY.

Tego się bez książki
Można nauczyć; ale ja się pytam,
Czy pan pisane rzeczy umié czytać?

ROMEO.

Małéj mi rzeczy do tego potrzeba,
Tojest, znać tylko język i litery.

SŁUŻĄCY.

Słusznie pan mówisz: bądźże zdrow i wesół.
(Chce odejść).

ROMEO.

Czekajno wasze, umiem czytać.
(Czyta).

„Signor Martino, jego małżonka i córki. Hrabia Anzelm z swemi pięknemi siostrami. Signora wdowa po Witruwiuszu. Signor Placentio i jego miłe siostrzenice. Merkucyusz i jego brat Walenty. Mój brat Kapulet z małżonką i córkami. Moja śliczna siostrzenica Rozalina. Liwia. Signor Valentio i nasz kuzyn Tybalt. Lucyusz i nadobna Helena.

Wspaniałe grono! (*oddaje kartę*) Gdzież oni przyjść mają?

SŁUŻĄCY.

Owdzie.

ROMEO.

Gdzie?

SŁUŻĄCY.

Do naszego pałacu, na wieczerzę.

ROMEO.

Do czyjego pałacu?

SŁUŻĄCY.

Mojego pana.

ROMEO.

W istocie, powinienem się był przedewszystkiém spytać, kto nim jest.

SŁUŻĄCY.

Oznajmię to panu bez pytania: moim panem jest możny, bogaty Kapulet; jeżeli panowie nie jesteście z domu Montekich, to was zapraszam do niego na kubek wina. Bądźcie weseli.

(*Wychodzi*).

BENWOLIO.

Na tym wieczorze Kapuleta będzie
Bożyszcze twoje, piękna Rozalina,
Obok najpiérwszych piękności werońskich.
Pójdź tam i okiem bezstronném porównaj
Jéj twarz z obliczem tych, które ci wskażę:
Wnet nowe bóstwo ślad dawnego zmaże.

ROMEO.

Gdyby rzetelny mój wzrok tak fałszywe
Miał dać świadectwo, łzy stańcie się żarem!
Wy, zalewane wciąż, a jeszcze żywe,
Przeźrocza spłońcie pod kłamstwa nadmiarem!
Zatrzeć jéj wdzięki! Nigdy wszechwidzące
Równéj piękności nie widziało słońce.

BENWOLIO.

Wielbisz ją, boś ją jedną na oboich
Ważył dotychczas szalach oczu swoich;
Lecz umieść na téj wadze kryształowéj
Obok niéj inną, którą ci gotowy
Będę dziś wskazać: a ręczę, że owa
Nieporównana w kąt się przed tą schowa.

ROMEO.

Pójdę tam, ale z obojętném okiem,
Jednéj wyłącznie poić się widokiem.
(Wychodzą).

SCENA TRZECIA.

(Pokój w domu Kapuletów).

PANI KAPULET I MARTA.

PANI KAPULET.

Gdzie moja córka? Idź ją tu przywołać.

MARTA.

Na moją cnotę! jużem ją wołała.
Julciu! pieszczotko moja! moje złotko!
Boże, zmiłuj się! Gdzież ona jest? Julciu!
(Julia wchodzi).

JULIA.

Czy mnie kto wołał?

MARTA.

Mama.

JULIA.

Jestem, pani:
Co mi rozkażesz?

PANI KAPULET.

Słuchaj. Odejdź, Marto;
Mam z nią sam na sam coś do pomówienia.
Marto, pozostań: przychodzi mi na myśl,
Że twa obecność może być potrzebną.
Julka ma piękny już wiek, wszakże prawda?

MARTA.

Ba, mogę wiek jéj policzyć na palcach.

PANI KAPULET.

Czternaście ma już lat, jak mi się zdaje.

MARTA.

Czternaście moich zębów w zakład stawię,
(Chociaż właściwie mam ich tylko cztery),
Że jeszcze nie ma. Rychłoż będzie święto
Piotra i Pawła?

PANI KAPULET.

Za parę tygodni,
Mniéj więcéj.

MARTA.

Mniéj, czy więcéj, czy okrągło,
Ale dopiéro w wieczór na świętego
Piotra i Pawła skończy lat czternaście.
Ona z Zuzanką. Boże, zbaw nas grzesznych!
Były rówieśne. Zuzanka u Boga:
Byłżeto anioł! ale, jak mówiłam,
Julcia dopiéro na świętego Piotra
I Pawła skończy spełna lat czternaście.
Tak, tak: pamiętam dobrze. Mija teraz
Rok jedénasty od trzęsienia ziemi;
Właśnie od piersi była odsadzoną.
Z pomiędzy wszystkich dni bożego roku
Tego jednego nigdy nie zapomnę.
Piołunem sobie wtedy pierś potarłam,
Siedząc na słońcu tuż pod gołębnikiem.
Państwo byliście tego dnia w Mantui.
A co? mam pamięć? Ale, jak mówiłam,
Skoro pieszczoszka moja na brodawce
Poczuła gorycz, trzeba było widzieć,
Jak się skrzywiła, szarpnęła od piersi;
Gołębnik za mną: skrzyp! a ja co żywo
Na równe nogi: hyc! nie myśląc czekać,
Aż mi kto każe. Upłynęło odtąd
Lat jedénaście. Umiała już wtedy
O własnéj sile stać, co mówię, biegać,
Dyrdać. Dniem pierwéj zbiła sobie czoło:
Mój mąż, świeć panie jego duszy! podniósł
Z ziemi niebogę; byłto wielki figlarz.
„*Plackiem*" rzekł „*padasz teraz, a jak przyjdzie
Większy rozumek, to na wznak upadniesz:
Nieprawdaż, Julciu?*" A ten mały łotrzyk,
Jak mi Bóg miły! przestał zaraz krzyczéć
I odpowiedział: „*tak*". Chociażbym żyła
Tysiąc lat, nigdy tego nie zapomnę.

„*Nieprawdaż, Julciu,*" rzekł, „*że padniesz w znak?*"
A mały urwis odpowiedział: „*tak*".

PANI KAPULET.

Dość tego, Marto: skończ już tę historyą,
Proszę cię.

MARTA.

Dobrze, miłościwa pani:
Ale nie mogę wstrzymać się od śmiechu,
Kiedy przypomnę sobie, jak to ona
Przestała krzyczeć i odpowiedziała:
„*Tak*". Miała jednak guz, jak kurze jaje,
Siniec porządny i płakała gorzko;
Ale gdy mąż mój rzekł: „*płackiem dziś padâsz,*
A jak dorośniesz, to na wznak upadniesz,
Nieprawdaż, Julciu?" taki niebożątko
Zaraz ucichło i odrzekło: „*tak*".

JULIA.

Uciehniéj téż i ty, proszę cię, niania.

MARTA.

Jużem ucichła przecie. Pan Bóg z tobą!
Ty jesteś perłą, ze wszystkich niemowląt
Jakie karmiłam. Gdybym jeszcze mogła
Patrzéć na twoje zamęźcie!...

PANI KAPULET.

Zamęźcie:
Tojest punkt właśnie, o którym chcę mówić.
Powiédz mi, Julio, co myślisz i jakie
Są chęci twoje we względzie małżeństwa?

JULIA.

O tym zaszczycie jeszcze nie myślałam.

MARTA.

O tym zaszczycie! Gdybym nie ja była
Twą karmicielką, rzekłabym, żeś mądrość
Wyssała z mlekiem.

PANI KAPULET.

Myślże o tém teraz.
Młodsze od ciebie dziewczęta z szlachetnych
Domów w Weronie wcześnie stan zmieniają:
Ja sama byłam już matką w tym wieku,
W którym tyś jeszcze panną. Krótko mówiąc,
Waleczny Parys stara się o ciebie.

MARTA.

To mi kawaler! panniuniu, to brylant,
Taki kawaler: chłopiec gdyby z wosku!

PANI KAPULET.

Nie ma w Weronie równego mu kwiatu.

MARTA.

Co to, to prawda: kwiat to, kwiat prawdziwy.

PANI KAPULET.

Cóż, Julio? Będzieszże mogła go kochać?
Dziś w wieczór ujrzysz go wśród naszych gości.
Wczytaj się w księgę jego lic, na których
Pióro piękności wypisało miłość;
Przypatrz się jego rysom, jak uroczo,
Zgodnie się schodzą z sobą i jednoczą;
A co w téj księdze wyda ci się mrocznem,
To w jego oczach stanieć się widocznem.
Do upięknienia téj, zaprawdę rzadkiéj
Edycyi męża, brak tylko okładki.
Roślina w ziemi, ryba w wodzie żyje;
Miło, gdy piękną treść piękny wierzch kryje;
I tém wspanialsza, tém więcéj jest warta
Złota myśl w złotéj oprawie zawarta.
Tak więc z nim wszystką jego właść posiędziesz,
I w niczém sama ujmy mieć nie będziesz.

MARTA.

Ujmy? Ba, owszem przyrost: boć to przecie
Zawżdy z mężczyzną przybywa kobiecie.

PANI KAPULET.

Chceszże go, powiédz, krótko, węzłowato.

JULIA.

Zobaczę, jeśli patrzenia dość na to;
Nie głębiéj jednak myślę w tę rzecz wglądać,
Jak tobie, pani, podoba się żądać.

(*Służący wchodzi*).

SŁUŻĄCY.

Pani, goście już przybyli; wieczerza zastawiona, czekają na panią, pytają o pannę Julią, przeklinają w kuchni panią Martę: słowem niecierpliwość powszechna. Niech panie raczą pospieszyć.

(*Wychodzi*).

PANI KAPULET.

Pójdź, Julio; w hrabi serce tam dygoce.

MARTA.

Idź, i po błogich dniach błogie znajdź noce.
(Wychodzą.

SCENA CZWARTA.

(Ulica).

ROMEO, MERKUCIO i BENWOLIO *wchodzą w towarzystwie pięciu czy sześciu masek. Ludzie z pochodniami i inne osoby.*

ROMEO.

Mamyż przy wejściu z przemową wystąpić,
Czy też poprostu wejść?

BENWOLIO.

Wyszły już z mody
Te ceremonie: nie będziemy z sobą
Wiedli Kupida z bindą wkoło skroni,
Łuk malowany z gontu niosącego,
I straszącego dziewczęta jak ptaki;
Ani też owych prawili oracyi,
Mdło za suflerem cedzonych na wstępie.
Niech sobie o was pomyślą co zechcą:
Wejdziem, pokręcim się i znikniem potém.

ROMEO.

Kręćcie się kiedy chcecie, jam do tego
Dziś niesposobny.

MERKUCIO.

Kochany Romeo,
Musisz potańczyć także.

ROMEO.

Nie, doprawdy.
Wy macie lekkie trzewiki, to tańczcie;
Mnie ołów serce tłoczy, ledwie mogę
Ruszyć się z miejsca.

MERKUCIO.

Zakochany jesteś;
Pożycz strzelistych od Kupida skrzydeł
I wznieś się niemi nad poziomą sferę.

ROMEO.

Nie mnie tkniętemu srodze jego strzałą,
Strzeliście wzbijać się na jego skrzydłach;
Nie mnie się wznosić nad poziom, co nosząc
Brzemię miłości na poziom upadam.

MERKUCIO.

A gdybyś upadł z nią, jąbyś obrzemił.
Tak delikatną rzecz przygniótłbyś srodze.

ROMEO.

Nazywasz miłość rzeczą delikatną?
Zbyt owszem twarda, szorstka i kołąca.

MERKUCIO.

Twarda-li dla cię, bądź i dla niéj twardy;
Kol ją, gdy kole, a zwalisz ją łatwo.
Hola, podajcie mi na twarz pokrowiec!
Maskę na maskę!

(*Wkłada maskę*).

Niechaj sobie teraz
Ciekawe oko nicuje mą szpetność!
Ta larwa za mnie będzie się rumienić.

BENWOLIO.

Idźmy, panowie; zadzwońmy, a potém
Ostro już tylko polećmy się nogom.

ROMEO.

Niech trzpioty łechcą nieczułą posadzkę!
Pochodni dla mnie! bom ja dziś skazany,
Jak ów pachołek, co świeci swej pani,
Stać nieruchomie i martwym być widzem.

MERKUCIO.

Stój jak chcesz, byleś tylko niestał o to,
Co cię tak martwi, a w czém, (z całém winném
Uszanowaniem dla twojéj miłości),
Jak w błocie, widzę, po uszy zagrzązłeś.
Nuże, nie palmy świec w dzień.

ROMEO.

Palmyż teraz,
Bo noc jest.

MERKUCIO.

Mniemam, panie, że czas tracąc,
Zarówno psujem świece bez potrzeby,
Jak w dzień je paląc. Przyjmij tę uwagę:

Bo w niej pięć razy więcéj jest logiki,
Niż w naszych pięciu zmysłach.

ROMEO.

Uważam;
Za rzecz stosowną pójść tam na ten festyn,
Chociaż logiki w tém nie ma.

MERKUCIO.

Dlaczego?

ROMEO.

Miałem téj nocy marzenie.

MERKUCIO.

Ja także.

ROMEO.

Cóż ci się śniło?

MERKUCIO.

To, że marzyciele
Najczęściéj zwykli kłamać.

ROMEO.

Przez sen, w łóżku,
Gdy w gruncie marzą o rzeczach prawdziwych.

MERKUCIO.

Snadź się królowa Mab widziała z tobą:
Ta, co to babi wieszczkom i w postaci
Kobietki, mało co większéj jak agat
Na wskazującym palcu aldermana,
Ciągniona cugiem drobniuchnych atomów,
Tuż, tuż śpiącemu przeciąga pod nosem.
Szprychy jej wozu z długich nóg pajęczych;
Osłona z lśniących skrzydełek szarańczy;
Sprzężaj z splecionych nitek pajęczyny;
Lejce z wilgotnych księżyca promyków;
Bicz z cienkiéj żyłki na szkielecie świerszcza;
A jej forszpanem mała, szara muszka,
Przez pół tak wielka, jak ów krągły owad,
Co siedzi w palcu leniwéj dziewczyny;
Wozem zaś próżny laskowy orzeszek;
Dzieło wiewiórki lub majstra robaka,
Tych z dawien dawna akredytowanych
Stelmachów wieszczek. W takich to przyborach
Co noc harcuje po głowach kochanków,
Którzy natenczas marzą o miłości;

Albo po giętkich kolanach dworaków,
Którzy natenczas o ukłonach marzą;
Albo po chudych palcach adwokatów,
Którym się wtedy roją honorarya;
Albo po ustach romansowych damul,
Którym się wtedy marzą pocałunki:
Często atoli Mab na te ostatnie
Zsyła przedwczesne zmarszczki, gdy ich oddech
Zabardzo znajdzie cukrem przesycony.
Czasem też wjeżdża na nos dworakowi:
Wtedy śnią mu się nowe łaski pańskie;
Czasem i księdza plebana odwiedzi,
Gdy ten spokojnie drzémie i ogonem
Dziesięcinnego wieprza w nos go łechce:
Wtedy mu nowe śnią się beneficya.
Czasem wkłusuje na kark żołnierzowi:
Ten wtedy marzy o cięciach i pchnięciach,
O szturmach, breszach, o hiszpańskich klingach,
O czynach wielkich na paręset sążni;
Wtém mu zatrąbi w ucho: nasz bohatér
Truchleje, zrywa się, klnąc zmawia pacierz
I znów zasypia. Taką jest Mab: ona,
Onato w nocy zlepia grzywy koniom,
I włos ich gładki w szpetne kudły zbija,
Które rozczesać niebezpiecznie; ona
Jest ową zmorą, co na wznak leżące
Dziewczęta dusi i wcześnie je uczy
Dźwigać ciężary, by się z czasem mogły
Zawołanemi stać gospodyniami.
Onato, ona....

ROMEO.

Skończ już, skończ Merkucio:
Prawisz o niczém.

MERKUCIO.

Prawię o marzeniach,
Które w istocie niczém inném nie są,
Jak wylęgłemi w chorobliwym mózgu
Dziećmi fantazyi: ta zaś jest pierwiastku
Tak subtelnego właśnie jak powietrze;
Bardziéj niestałą, jak wiatr, który jużto
Mroźną całuje północ, jużto z wstrętem
Rzuca ją, dążąc w objęcia południa.

BENWOLIO.

Coś ten wiatr zawiał zdaje się i na nas:
Wieczerza stoi, spóźnimy się na nią.

ROMEO.

Boję się, czyli nie przyjdziem zawcześnie:
Bo moja dusza przeczuwa, że jakieś
Nieszczęście, jeszcze wpośród gwiazd wiszące,
Złowrogi bieg swój rozpocznie od daty
Uciech téj nocy, i kres zamkniętego
W méj piersi, zbyt już nieznośnego życia
Przyspieszy jakimś strasznym śmierci ciosem.
Lecz niech ten, który ma ster mój w swém ręku,
Kieruje moim żaglem! Daléj! idźmy!

(*Wychodzą*).

SCENA PIĄTA.

(*Sala w domu Kapuletów*).

MUZYKANCI i SŁUDZY.

PIERWSZY SŁUGA.

Gdzie Potpan? Czemu nie pomaga sprzątać? Gęsi mu paść, nie służyć.

DRUGI SŁUGA.

Takto, kiedy ważne obowiązki lokaja powierzają ludziom złéj maniery: na djabła się to zdało.

PIERWSZY SŁUGA.

Powynoście stołki! usuńcie na bok bufet! Pozbierajcie srebra! Schowajno tam dla mnie, braciszku, kawałek marcepana i szepnij na ucho odźwiernemu, żeby wpuścił Zuzannę Grindston i Nelly: jak mię kochasz. — Antoni! Potpan!

(*Wchodzą dwaj inni słudzy*).

TRZECI SŁUGA.

Czegóż tam? Co za gwałt?

PIERWSZY SŁUGA.

Wołają was, pytają o was, czekają na was, niecierpliwią się na was w wielkiéj sali.

CZWARTY SŁUGA.

Nie możemy być tu i tam razem. Daléj, chłopcy! pohulamyż dzisiaj! Kto umié czekać, wszystkiego się doczeka.

(*Oddalają się*).

(*Kapulet i inni wchodzą z gośćmi i maskami*).

KAPULET.

Witaj cna młodzi! Wolne od nagniotków
Damy rachują na waszę ruchawość.
Śliczne panienki, któraż z was odmówi
Stanąć do tańca? O takiéj wręcz powiem
Że ma nagniotki. A co? tom was zażył!
Daléj, panowie! I ja kiedyś także
Maskę nosiłem i umiałem szeptać
W ucho pięknościom jedwabne powieści,
Co szły do serca: przeszło to już, przeszło.
Nuże, panowie! Grajki zaczynajcie!
Miejsca! rozstąpmy się! daléj, dziewczęta!

(*Muzyka gra. Młodzież tańczy*).

Hej! więcéj światła! wynieście te stoły!
I zgaście ogień, bo zbyt już gorąco.
Siadajże, siadaj bracie Kapulecie!
Dla nas dwóch czasy pląsów już minęły.
Jakżeto dawno byliśmy obadwaj
Po raz ostatni w maskach?

DRUGI KAPULET.

Będzie temu
Lat ze trzydzieści.

KAPULET.

Co? co! nie tak dawno.
Byłoto, pomnę, na godach Lucencia;
Na te Zielone Świątki, da Bóg dożyć,
Będzie dwadzieścia pięć lat.

DRUGI KAPULET.

Dawniéj, dawniéj:
Wszak już syn jego jest trzydziestoletni.

KAPULET.

Co mi waść prawisz? Przededwoma laty
Syn jego nie był jeszcze pełnoletnim.

ROMEO (*do jednego z sług*).

Co to za dama, co w téj chwili tańczy
Z tym kawalerem?

SŁUGA.

Nie wiem, jaśnie panie.

ROMEO.

Ona zawstydza świec jarzących blaski:
Piękność jéj wisi u nocnéj opaski

Jak drogi klejnot u uszu Etiopa.
Nie tknęła ziemi wytworniejsza stopa.
Jak śnieżny gołąb wśród kawek, tak ona
Świeci wśród swoich towarzyszek grona.
Zaraz po tańcu przybliżę się do niéj,
I dłoń mą uczczę dotknięciem jéj dłoni.
Kochałżem dotąd? O! zaprzecz, mój wzroku!
Boś jeszcze nie znał równego uroku.

TYBALT.

Sądząc po głosie, z Montekich to któryś:
Dajno mi rapir, chłopcze. Jak się waży
Ten łotr tu wchodzić i kłamaną larwą
Szyderczo naszéj urągać zabawie?
Na krew szlachetną, co mi wzdyma serce,
Nie będzie grzechu, jeśli go uśmiercę.

KAPULET.

Tybalcie, co ci to? Czego się zżymasz?

TYBALT.

Ujmy téj, stryju, pewno nie wytrzymasz:
Jeden z Montekich, twych śmiertelnych wrogów,
Śmié tu znieważać gościnność twych progów.

KAPULET.

Czyto Romeo?

TYBALT.

Tak, tento nikczemnik.

KAPULET.

Daj mu waść pokój: nie wychodzi przecie
Z granic wytkniętych dobrém wychowaniem;
I prawdę mówiąc, cała go Werona
Ma za młodzieńca pełnego przymiotów:
Nie chciałbym za nic w świecie w moim domu
Czynić mu krzywdy. Uspokój się zatém,
Miły synowcze, nie zważaj na niego;
Taka ma wola: jeśli ją szanujesz,
Okaż uprzejmość i spędź precz z oblicza
Ten mars niezgodny z weselem téj doby.

TYBALT.

Taki gość w domu nabawia choroby:
Nieścierpię go tu.

KAPULET.

Chcę go miéć cierpianym.
Cóżto, zuchwalcze? Mówię, że chcę! Cóżto?

Czy ja tu jestem, czy waść jesteś panem?
Waść go tu nie chcesz ścierpieć? Boże odpuść!
Waść mi chcesz gości porozpędzać? kołki
Na łbie mi strugać? przewodzić w mym domu?

TYBALT.

Stryju, to zakał.

KAPULET.

Cicho! burdą jesteś.
Z tą porywczością doigrasz się waszmość.
Zawsze mi musisz się sprzeciwiać!— Brawo,
Kochana młodzi!—Urwipołeć z waści!
Siedź cicho, albo.....— Hola! więcéj światła!—
Ja cię uciszę. Patrz go!— Żwawo, chłopcy!

TYBALT.

Gniew dobrowolny z flegmą przymuszoną
Nakrzyż się schodząc wstrząsają mi łono.
Muszę ustąpić: wkrótce się atoli
W gorzką żółć zmieni ta słodycz wbrew woli.
(*Oddala się*).

ROMEO (*do Julii*).

Jeśli dłoń moja, co tę świętość trzyma,
Bluźni dotknięciem: zuchwalstwo takowe
Odpokutować usta me gotowe
Pocałowaniem pobożném pielgrzyma.

JULIA (*do Romea*).

Mości pielgrzymie, bluźnisz swojéj dłoni,
Która nie grzeszy zdrożném dotykaniem;
Jest-li ujęcie rąk pocałowaniem,
Nikt go ze świętych pielgrzymom nie broni.

ROMEO (*jak pierwéj*).

Nie mają święci ust, tak jak pielgrzymi?

JULIA (*jak pierwéj*).

Mają ku modłom lub kornéj podzięce.

ROMEO.

Niechże ich usta czynią to, co ręce:
Moje się modlą, przyjm modły ich, przyjmij.

JULIA.

Niewzruszonemi pozostają święci,
Choć gwoli modłów niewzbronne ich chęci.

ROMEO.

Ziść więc cel moich, stojąc niewzruszenie,
I z ust swych moim daj wziąć rozgrzeszenie.
(*Całuje ją*).

JULIA.

Moje więc teraz obciąża grzech zdjęty.

ROMEO.

Z mych ust? O! grzechu, zbyt pełen ponęty!
Niechże go nazad rozgrzeszony zdéjmie!
Pozwól!
(*Całuje ją znowu*).

JULIA.

Jak z książki całujesz, pielgrzymie.

MARTA.

Panienko, jéjmość pani matka prosi.

ROMEO.

Któż jest jéj matką?

MARTA.

Jéj matką? Bajbardzo!
Nikt inny, jedno pani tego domu;
I dobra pani, mądra a cnotliwa.
Ja byłam mamką téj, coś z nią pan mówił.
Smacznyby kąsek miał, ktoby ją złowił.

ROMEO.

Julia Kapulet! O dolo zbyt sroga!
Życie me jest więc w ręku mego wroga.

BENWOLIO.

Wychodźmy: wieczór dobiega już końca.

ROMEO.

Niestety! z wschodem dla mnie zachód słońca.

KAPULET (*do rozchodzących się gości*).

Ejże, panowie, pozostańcie jeszcze:
Mają nam wkrótce dać małą przekąskę.
Chcecie koniecznie? Muszę więc ustąpić.
Dzięki wam, mili panowie i panie.
Dobranoc. Światła! Idźmyż spać. (*Do 2 Kap.*) Braciszku,
Zapóźniliśmy się; idę wypocząć.
(*Wychodzą wszyscy prócz Julii i Marty*).

JULIA.

Czy nie wiész, nianiu, kto jest ten pan?

MARTA.

Ten, tu?
To syn starego Tyberya.

JULIA.

A tamten?
Co właśnie ku drzwiom zmierza.

MARTA.

To podobno
Młody Petrycy.

JULIA.

A ów, tam na prawo,
Co nie chciał tańczyć.

MARTA.

Nie wiem.

JULIA.

Spytaj, proszę,
Jak się nazywa. Jeżeli żonaty,
Całun mię czeka zamiast ślubnéj szaty.

MARTA.

Zwie się Romeo: jest z rodu Montekich,
Synem waszego największego wroga.

JULIA.

Jako obcego zawcześnie ujrzałam!
Jako lubego zapóźno poznałam!
Dziwny miłości traf się na mnie iści,
Że muszę kochać przedmiot nienawiści.

MARTA.

Coto jest? coto takiego?

JULIA.

To wiersze,
Których mię jeden tancerz dziś nauczył.

MARTA.

Pójdź spać waćpanna.

(*Głos za sceną*).

Julio!

MARTA.

Daléj! daléj!
Wołają panny i pusto już w sali.

(*Wychodzą*).

AKT II.

SCENA PIERWSZA.

(*Pusty plac przytykający do ogrodu Kapuletów*).

ROMEO (*wchodzi*).

ROMEO.

Mamże iść daléj, gdy tu moje serce?
Cofnij się, ziemio, wynajdź sobie centrum!
(*Wchodzi na mur i spuszcza się do ogrodu*).
(*Wchodzi Merkucio i Benwolio*).

BENWOLIO.

Romeo! bracie! Romeo!

MERKUCIO.

Ma rozum:
Powietrze chłodne, więc dyrnął do łóżka.

BENWOLIO.

Pobiegł tą drogą i przelazł przez parkan.
Wołaj, Merkucio!

MERKUCIO.

Użyję nań zaklęć:
Romeo! gachu! cietrzewiu! waryacie!
Ukaż się w lotnéj postaci westchnienia,
Powiédz choć jeden wiersz, a dość mi będzie;
Jęknij: ach! połącz w rym: kochać i szlochać;
Szepnij Wenerze jakie piękne słówko;
Daj jaki nowy epitet ślepemu
Jéj synalkowi, co tak celnie strzelał
Za owych czasów, gdy król Kofetua
W zaloty chodził do córki żebraczéj.
Nie słucha; ani piśnie, ani trunie;
Zdechł robak; muszę zakląć go inaczéj.
Klnę cię na żywe oczy Rozaliny,
Na jéj wysokie czoło, krasne usta,
Wysmukłe nóżki i toczone biodra
Z przyległościami: abyś się przed nami
W właściwéj sobie postaci ukazał.

BENWOLIO.

Gniewać się będzie, jeśli cię usłyszy.

MERKUCIO.

Co się ma gniewać? Mógłby się rozgniewać,
Gdyby za sprawą mojego zaklęcia
W zaczarowane koło jego pani
Inny duch wkroczył, i stał tam dopóty,
Dopókiby go nie zmogła: to byłby
Powód do uraz: moja inwokacya
Jest przyjacielską i godziwą razem,
Bo wywołuje w imię jego pani
Jego jedynie naturalną postać.

BENWOLIO.

Pójdź: skrył się owdzie pomiędzy drzewami,
By się tam zbratał z tajemniczą nocą.—
Ślepym w miłości ciemność jest najmilsza.

MERKUCIO.

Możeż w cel trafić miłość będąc ślepą?
Niechże tam sobie po ciemności maca,
Jak długo zechce. Dobranoc, Romeo!
Idę ledz w mojém łóżku za kotarą,
Bo to polowe tu dla mnie za chłodne.
Czy idziesz także?

BENWOLIO.

Idę; próżno szukać
Takiego, co być nie chce znalezionym.
(Wychodzą).

SCENA DRUGA.

(Ogród Kapuletów).

ROMEO *wchodzi.*

ROMEO.

Drwi z blizn, kto nigdy nie doświadczył rany.
(Julia ukazuje się w oknie).
Lecz cicho! Co za blask strzelił tam z okna!
Ono jest wschodem, a Julia jest słońcem!
Wznijdź cudne słońce, zgładź zazdrosną lunę,
Która aż zbladła z gniewu, że ty jesteś
Od niéj piękniejszą; ukarz ją zaćmieniem
Za tę jéj zazdrość; zetrzéj ją do reszty!
To moja pani, to moja kochanka!

O! gdyby mogła wiedzieć, czém jest dla mnie!
Przemawia, chociaż nic nie mówi: cóż ztąd?
Jéj oczy mówią, oczom więc odpowiem.
Zaśmiały jestem; mówią, lecz nie do mnie.
Dwie najjaśniejsze, najpiękniejsze gwiazdy
Z całego nieba, gdzieindziéj zajęte,
Prosiły oczu jéj, aby zastępczo
Stały w ich sferach, dopóki nie wrócą.
Lecz choćby oczy jéj były na niebie,
A owe gwiazdy w oprawie jéj oczu:
Blask jéj oblicza zawstydziłby gwiazdy,
Jak zorza lampę; gdyby zaś jéj oczy
Wśród eterycznéj zabłysły przezroczy,
Ptaki ocknęłyby się i śpiewały,
Myśląc, że to już nie noc, lecz dzień biały.
Patrz, jak na dłoni smutnie wsparła liczko!
O! gdybym mógł być tylko rękawiczką,
Co tę dłoń kryje!

JULIA.

Ach!

ROMEO.

Cicho! coś mówi.
O! mów, mów daléj uroczy aniele:
Bo ty mi w noc tę tak wspaniale świecisz,
Jak lotny goniec niebios rozwartemu
Od podziwienia oku śmiertelników,
Które się wlepia w niego, aby patrzeć,
Jak on po ciężkich chmurach się przesuwa,
I po powietrznéj żegluje przestrzeni.

JULIA.

Romeo! czemuż ty jesteś Romeo!
Wyrzecz się swego rodu, rzuć tę nazwę!
Lub jeśli tego nie możesz uczynić,
To przysiąż wiernym być mojéj miłości,
A ja przestanę być z krwi Kapuletów.

ROMEO.

Mamże przemówić, czy téż słuchać daléj?

JULIA.

Nazwa twa tylko jest mi nieprzyjazną,
Boś ty w istocie nie Montekim dla mnie:
Jestże Montekio choćby tylko ręką,
Ramieniem, twarzą, zgoła jakąkolwiek
Częścią człowieka? O! weź inną nazwę!
Czémże jest nazwa? To, co zowiem różą,

Pod inną nazwą równieby pachniało:
Tak i Romeo, bez nazwy Romeo
Przecieżby całą swą wartość zatrzymał.
Romeo! porzuć tę nazwę, a w zamian
Za to, co nawet cząstką ciebie nie jest,
Weź mię, ach! całą!

ROMEO.

Biorę cię za słowo:
Zwiéj mię kochankiem, a krzyżmo chrztu tego
Sprawi, iż odtąd nie będę Romeem.

JULIA.

Kto-ś ty jest, co się nocą osłaniając,
Podchodzisz moję samotność?

ROMEO.

Z nazwiska
Nie mógłbym tobie powiedzieć, kto jestem:
Nazwisko moje jest mi nienawistném,
Bo jest, o! święta, nieprzyjazném tobie:
Zdarłbym je, gdybym miał je napisane.

JULIA.

Jeszcze me ucho stu słów nie wypiło
Z tych ust, a przecież dźwięk ich już mi znany:
Jestżeś Romeo, mów? jestżeś Montekio?

ROMEO.

Nie jestem ani jednym, ani drugim,
Jedno-li z dwojga jest niemiłem tobie.

JULIA.

Jakżeś tu przyszedł, powiédz, i dlaczego?
Mur jest wysoki i trudny do przejścia,
A miejsce zgubne: gdyby cię kto z moich
Krewnych tu zastał...

ROMEO.

Na skrzydłach miłości
Lekko, bezpiecznie mur ten przesadziłem,
Bo miłość nie zna żadnych tam i granic;
A co potrafi, na to się i waży:
Krewni więc twoi nie trwożą mię wcale.

JULIA.

Zabiliby cię, gdyby cię ujrzeli.

ROMEO.

Ach! więcéj groźby leży w oczach twoich,
Niż w ich dwudziestu mieczach: patrz łaskawie,
A będę silny przeciw ich gniewowi.

JULIA.

Na Boga, niech cię oni tu nie ujrzą!

ROMEO.

Ciemny płaszcz nocy skryje mię przed niemi.
Lecz niech mię znajdą; jeśli ty mię kochasz:
Lepszy kres życia skutkiem ich niechęci,
Niż przedłużony zgon w braku twych uczuć.

JULIA.

Kto ci dopomógł znaleźć to ustronie?

ROMEO.

Miłość, co mi go doradziła szukać:
Ona mi instynkt, ja jéj oczy dałem.
Nie jestem sternik, gdybyś jednak była
Równie daleko, jak ów brzeg, którego
Morze najdalsze podmywa krawędzie,
Śmiało po taki klejnotbym popłynął.

JULIA.

Gdyby nie ciemność, co mi twarz maskuje,
Widziałbyś na niéj rozlany rumieniec
Po tém, co z ust mych słyszałeś téj nocy.
Radabym form się trzymać, rada cofnąć
To, co wyrzekłam: ale precz udanie!
Czy mię ty kochasz? Wiem, że powiesz:—tak jest;
I ja-ć uwierzę: mimo przysiąg jednak
Możesz mię zawieść. Z wiarolomstwa mężczyzn
Śmieje się, mówią, Jowisz. O, Romeo!
Jeśli mię kochasz, wyrzecz to rzetelnie:
Lecz jeśli masz mię za podbój zbyt łatwy,
To zmarszczę czoło i przewrotną będę,
I na miłosne twoje oświadczenia
Powiem:—nie, w innym razie, za nic w świecie.
Za czułą może jestem, o Monteki;
Ztąd możesz sądzić me obejście płochém:
Ufaj mi jednak, będę ja wierniejszą
Od tych, co biegléj umieją się drożyć.
Byłabym ja się była, prawdę mówiąc,
Także drożyła, gdybyś był tajnego
Głosu miłości mojéj nie podchwycił:

Nie wiń mię przeto, ani też przypisuj
Płochości tego wylania mych uczuć,
Które zdradziła noc ciemna.

ROMEO.

O Julio,
Przysięgam na ten księżyc, co wspaniale
Powleka srebrem wierzchołki tych drzew...

JULIA.

O! nie przysięgaj na księżyc, bo księżyc
Co tydzień zmienia kształt swéj pięknéj tarczy;
I miłość moja po takiéj przysiędze
Mogłaby również zmienną się okazać.

ROMEO.

Na cóż mam przysiądz?

JULIA.

Nie przysięgaj wcale;
Lub wreszcie przysiąż na samego siebie:
Na ten uroczy przedmiot mych uwielbień,
To ci uwierzę.

ROMEO.

Jeśli szczera miłość
Mojego serca...

JULIA.

Daj pokój przysięgom.
Lubo się cieszę z twojéj obecności,
Te nocne śluby nie cieszą mię jakoś:
Zanagłe one są, za nierozważne,
Podobne niby do blasku, co znika,
Nim człowiek zdąży powiedzieć:—błysnęło.
Dobranoc, luby! Oby nam ten wonny
Miłości pączek przyniósł kwiat niepłonny!
Bądź zdrów! i zaśnij z tak błogim spokojem,
Jaki, z twéj łaski, czuję w sercu mojem.

ROMEO.

Tak-że mam odejść niezaspokojony?

JULIA.

Jakiegoż więcéj chcesz zaspokojenia?

ROMEO.

Zamiany twoich zapewnień za moje.

JULIA.

Jużem ci dała je, nimeś zażądał;
Radabym jednak one mieć napowrót.

ROMEO.

Chciałażbyś cofnąć je? Dlaczego? luba!

JULIA.

Ażebym mogła oddać ci je znowu.
A przecież, jestto żądanie zbyteczne:
Bo moja miłość równie jest głęboką
Jak morze, równie jak ona bez końca;
Im więcéj ci jéj udzielam, tém więcéj
Czuję jéj w sercu.
(*Słychać w pokojach głos Marty*).
Wołają mię.—Zaraz.
Bądź zdrów, kochanku drogi!—Zaraz, zaraz.
—Najmilszy, pomnij być stałym!—Zaczekaj,
Zaczekaj trochę, powrócę za chwilę.
(*Wychodzi*).

ROMEO.

Błogosławiona, o! błogosławiona
Po dwakroć nocy! Czy aby to wszystko
Dziejąc się w nocy, nie jest marą tylko?
Coś tak lubego możeż być istotném?

JULIA (*ukazując się znowu*).

Jeszcze słów parę, a potém dobranoc.
Drogi Romeo! jeśli twoja skłonność
Jest prawą, twoim zamiarem małżeństwo:
To mię uwiadom jutro przez osobę,
Którą do ciebie przyślę, gdzie i kiedy
Zechcesz dopełnić obrzędu; a wtedy
Całą mą przyszłość u nóg twoich złożę,
I w świat za tobą pójdę w imię Boże.

MARTA (*za sceną*).

Panienko!

JULIA.

Idę.—Lecz jeśli mię zwodzisz,
To cię zaklinam...

MARTA (*za sceną*).

Julciu!

JULIA.

Zaraz idę.
—Jeśli mię zwodzisz, o! to cię zaklinam,
Skończ te zabiegi i zostaw mię żalom.
—Jutro więc przyślę.

ROMEO.

Jak pragnę zbawienia ...

JULIA.

Po tysiąc razy dobranoc.
(Odchodzi).

ROMEO.

Po tysiąc
Razy nie dobra tam, gdzie téj nie świecisz.
Jak żak, gdy rzuca książkę, tak kochanek
Do celu swego pośpiesza wesoły;
A gdy nadejdzie z kochanką rozstanek,
Wlecze się smutnie, jak ów żak do szkoły.
(Oddala się wolnym krokiem)

JULIA (*ukazując się znowu*).

Pst! pst! Romeo! O! gdybym miéć mogła
Głos sokolnika, by tego maiża
Nazad przywołać! Przymus jest ochrzypły,
Nie może głośno mówić: gdyby nie to,
Wstrząsłabym góry, gdzie się echo kryje,
I głosbym jego zrobiła chrapliwszym
Niż mój, od rozbrzmień imienia Romeo!

ROMEO.

Mojato dusza dzwoni imię moje,
Jak srebrny dźwięk ma nocą głos kochanki!
I jestże słodsza muzyka na świecie?

JULIA.

Romeo!

ROMEO.

Luba!

JULIA.

O któréj godzinie
Jutro mam przysłać?

ROMEO.

O dziewiątéj.

JULIA.

Dobrze.
Dwudziestoletnito termin. Nie pomnę,
Pocom tu ciebie znowu przywołała.

ROMEO.

Pozwól mi czekać, aż sobie przypomnisz.

JULIA.

Zapomnę znowu poco czekasz, pomnąc
O twojéj tylko lubéj obecności.

ROMEO.

A ja wciąż czekać będę, abyś ciągle
Zapominała, sam zapominając,
Że mam gdzie inny dom jak tutaj.

JULIA.

Wkrótce
Dnieć będzie: radabym żebyś już odszedł;
Nie daléj jednak, jak ów biédny ptaszek,
Co go swawolne dziecko z rąk wypuszcza,
I wnet zazdroszcząc mu krótkiéj wolności,
Jak niewolnika trzymanego w więzach,
Jedwabnym sznurkiem przyciąga napowrót.

ROMEO.

Chciałbym być biédnym ptaszkiem w twojém ręku.

JULIA.

O! jabym zbytkiem pieszczot cię zabiła.
Dobranoc, luby! jeszcze raz dobranoc!
Takem w życzeniach niepohamowana,
Żebym dobranoc wołała do rana.
(Odchodzi).

ROMEO.

Sen na twe oczy, pokój w pierś niech spłynie!
Obym był niemi w téj błogiéj godzinie!
Spieszę do ojca Laurentego celi,
On mi pomocy i rady udzieli.
(Wychodzi).

SCENA TRZECIA.

(Cela ojca Laurentego).

Ojciec LAURENTY *wchodzi z koszykiem w ręku.*

OJCIEC LAURENTY.

Szary poranek spędza mrok ponury
Pasami światła znacząc wschodnie chmury,
I noc się na bok chyli jak pijana
Z dróg dnia, ubitych stopami Tytana.
Nim oko słońca pełnym blaskiem strzeli,
Rosę wypije i świat rozweseli,
Muszę uzbierać w ten koszyk z sitowia
Roślin, tak zbawczych jak zgubnych dla zdrowia.
Ziemia jest matką natury i grobem,
Grzebie, i życia obdziela zasobem,
I mnóstwo dzieci jéj łona widzimy
Ciągnących pokarm z jéj piersi rodzimej;
Nie jedno w skutkach swoich wyśmienite,
Każde do czegoś, wszystkie rozmaite.
O! mocto pełna cudów, co się mieści
W sokach ziół, krzewów, w martwéj kruszców treści!
Bo nie ma rzeczy tak podłych na ziemi,
Aby nie mogły stać się przydatnemi;
Ni tak przydatnych, aby, miasto służyć,
Nie zaszkodziły pod wpływem nadużyć.
Wszakże i cnota może zajść w bezdroże,
A błąd się czynem uszlachetnić może.
W mdłym kwiatku, w ziółku jedném i tém samem
Ma nieraz miejsce jad wespół z balsamem:
Co zmysły razi, i to, co im sprzyja,
Bo jego zapach rzeźwi, smak zabija.
Podobnie sprzeczna i w człowieku gości
Dwójca pierwiastków: dobroci i złości;
A kędy górę gorsza weźmie strona,
Tam śmierć przychodzi i roślina kona.

(Romeo wchodzi).

ROMEO.

Dzień dobry, ojcze.

OJCIEC LAURENTY.

Benedicite!
Cóżto za ranny głos pozdrawia mię?
Młody mój synu, zlyto znak, kto łoże

Próżném zostawia o tak wczesnéj porze.
Troska odbywa straż w oczach starego:
A sen tych mija, których troski strzegą;
Ale gdzie czerstwa, wolna od kłopotów
Młódź głowę złoży, sen zawżdy przyjść gotów.
To więc tak ranne twe przybycie zdradza
Jakiś niepokój, któremu snu władza
Uledz musiała. Czy tylko się kładłeś?
Możeś do łóżka i nie zajrzał?

ROMEO.

Zgadłeś:
Błożéj niż w łóżku przeszły mi godziny.

OJCIEC LAURENTY.

Grzeszniku, pewnieś był u Rozaliny.

ROMEO.

U Rozaliny? Nie, ojcze: to imie
W pamięci mojéj wiecznym snem już drzymie.

OJCIEC LAURENTY.

Brawo mój synu! Lecz gdzieżeśto bywał?

ROMEO.

Zaraz ci powiem: próżnobyś zgadywał.
Byłem na balu w domu mego wroga.
Gdziem został ranny: lecz zbójczyni sroga
Czuje cios wzajem przezemnie zadany;
Tak, że na nasze zobopólne rany
Święty wpływ tylko twéj, ojcze, opieki,
Poradzić zdoła i dać zbawcze leki.
Po chrześciańsku, jak widzisz, przemawiam,
Skoro się nawet za mym wrogiem wstawiam.

OJCIEC LAURENTY.

Mów jaśniéj, synu: zagadkowa spowiédź
Dwójznaczną także znajduje odpowiedź.

ROMEO.

Dowiedz się zatém, że anioł-kobiéta,
Którąm ukochał, jest z krwi Kapuleta.
Jegoto dziecko i nadzieja cała;
Jak ja ją, tak mnie ona ukochała.
I do jedności, która nas już splata,
Brakuje tylko, byś nas ty dla świata
Stułą zjednoczył. Gdzie, o jakiéj dobie
Zejdziem się skrycie i przysięgniem sobie,

Powiem ci idąc, czcigodny kapłanie:
Błagam cię tylko, niech się to dziś stanie.

OJCIEC LAURENTY.

Święty Franciszku! Cóżto za przemiana?
Toż Rozalina, owa ukochana,
Niczém już dla cię? Miłość więc młodzieży
W oczach jedynie a nie w sercu leży?
Jezus Marya! Ileżto solanki
Ściekło z twych oczu dla owéj kochanki!
I nadaremnie, bowiem twe zapały
Wciąż zalewane, wciąż się powiększały.
Jeszcze twych westchnień nie rozwiał rawoni;
Jeszcze twój dawny jęk w uszach mi dzwoni,
I na twych licach bladością pokrytych
Widoczny jeszcze ślad łez nieobmytych.
Wszystko, coś cierpiał z miłosnéj przyczyny,
Cierpiałeś tylko gwoli Rozaliny.
A teraz! nie dziw gdy mdła płeć upadnie,
Kiedy mężczyzni szwankują tak snadnie.

ROMEO.

G łym kochał tamtą, takżeś nie pochwalał.

OJCIEC LAURENTY.

Nie, żeś ją kochał, lecz żeś za nią szalał.

ROMEO.

Pogrześć tę miłość kazałeś.

OJCIEC LAURENTY.

Nie w grobie:
By tę pochować, a inną wziąć sobie.

ROMEO.

Nie łaj mię, proszę; ta, co mi dziś luba,
Miłość mą płaci miłością Cheruba:
Z tamtą inaczéj było.

OJCIEC LAURENTY.

Bo odgadła,
Że w rzeczach serca nie znasz abecadła,
Tylko z rutyny czytasz. Pójdź, wietrzniku:
Do sankcyi tego nowego wybryku
Jeden i jeden tylko wzgląd mię skłania:
Tojest, że może z tego zawiązania
Wyniknie węzeł, który wasze rody
Zawistne złączy w piękny łańcuch zgody.

ROMEO.

O! prędzéj! pilno mi!

OJCIEC LAURENTY.

Festina lente:
Zdradne są kroki zaspiesznie podjęte.
(*Wychodzą*).

SCENA CZWARTA.

(Ulica).

MERKUCIO i BENWOLIO *(wchodzą).*

MERKUCIO.

Gdzież u djabła ugrzązł Romeo? Czy był téj nocy w domu?

BENWOLIO.

Nie w domu swego ojca przynajmniéj: mówiłem z jego służącym.

MERKUCIO.

Ta blada sekutnica Rozalina
Na waryata go wnet wykieruje.

BENWOLIO.

Tybalt, starego Kapuleta krewny,
Pisał do niego list.

MERKUCIO.

Z wyzwaniem, ręczę.

BENWOLIO.

Romeo mu odpowié.

MERKUCIO.

Każdy człowiek
Piśmienny może na list odpowiedzieć.

BENWOLIO.

On mu odpowié odpowiednio.

MERKUCIO.

Biédny Romeo! już trup z niego! Zakłóty czarnemi oczyma białogłowy; przestrzelony na wskroś uszu romansową piosnką; ugodzony w sam rdzeń serca postrzałem ślepego malca łucznika: potrafiż on Tybaltowi stawić czoło?

BENWOLIO.

A cóżto takiego Tybalt?

MERKUCIO.

Coś więcéj niż książę kotów: możesz mi wierzyć! Nieustraszony rębacz, bije się jak z nut; zna czas, odległość i miarę; pauzuje w sam raz jak potrzeba: raz, dwa, a trzy, to już w pierś. Żaden jedwabny guzik nie wykręci mu się od śmierci. Duellista to, duellista piérwszéj klassy. Owe nieśmiertelne *passado!* owe *punto reverso!* owe *ha!*

BENWOLIO.

Co takiego?

MERKUCIO.

Niech kaci porwą to plemię starożytnych, szepleniących, przesadnych fantastyków, z ich nowo-kutemi terminami! Nie jestżeto rzecz opłakana, że nas obsiadły te zagraniczne muchy, te modne sroki, *te pardonnez moi*, którym tak bardzo idzie o nową formę, że nawet na staréj ławce wygodnie siedzieć nie mogą; te bąki, co bąkają: *bon! bon!*

(*Romeo wchodzi*).

BENWOLIO.

Oto Romeo, nasz Romeo idzie.

MERKUCIO.

Bez mlecza, jak śledź suszony. O! człowieku! jakżeś się w rybę przedzierzgnął! Teraz go rymy Petrarki rozczulają. Laura naprzeciw jego bóstwa jest prostą pomywaczką, lubo tamta miała przynajmniéj kochanka, co ją opiewał; Dydona flądrą; Kleopatra cyganką; Helena i Hero szurgotami i otłukami; Thisbe kopciuchem, lub czémś podobném, ale zawsze nie dystyngwowaném. *Bon jour, signor* Romeo! Oto masz francuzkie pozdrowienie na cześć twoich francuzkich pantalonów. Pięknie nas zażyłeś téj nocy.

ROMEO.

Dzień dobry wam, moi drodzy. Jakżeto was zażyłem?

MERKUCIO.

Pokazałeś nam odwrotną stronę medalu, odwrotną stronę swego medalu.

ROMEO.

To się znaczy, żem wam zdezerterował. Wybacz, kochany Merkucio; miałem pilny interes, a w takim przypadku człowiek może zgrzeszyć na polu uprzejmości.

MERKUCIO.

To się znaczy, że w takim przypadku człowiek może być zniewolony zgiąć kolana.

ROMEO.

Ma się rozumieć—z uprzejmości.

MERKUCIO.

Bardzoś zgrabnie trafił w sedno.

ROMEO.

A ty bardzoś zgrabnie to wyłożył.

MERKUCIO.

Ja bo jestem kwiatem uprzejmości.

ROMEO.

Jeżeliś ty kwiatem, to moje trzewiki są w kwitnącym stanie.

MERKUCIO.

Brawo! Pielęgnuj mi ten dowcip; ażeby, skoro ci się do reszty zedrze podeszwa u trzewików, twój dowcip mógł tam poprostu figurować.

ROMEO.

O! godny zdartéj podeszwy dowcipie! O! figuro pełna prostoty, z powodu swego prostactwa!

MERKUCIO.

Na pomoc, Benwolio! moje koncepta dech tracą.

ROMEO.

Pejczą je i ostrogą! pejczą je i ostrogą! inaczéj nazwę je chetkami.

MERKUCIO.

Jeżeli twój dowcip poluje na dzikie gęsi, to kapituluję; bo on ma więcej kwalifikacyi ku temu, niż wszystkie moje umysłowe władze. Czy ja ci się zdaje na to, żebym miał z gęsiami do czynienia?

ROMEO.

Tyś mi się nigdy na nic nie zdał, wyjąwszy kiedy miałem do czynienia z gęsiami.

MERKUCIO.

Za ten koncept ugryzę cię w ucho.

ROMEO.

Chyba udziobiesz?

MERKUCIO.

Twój dowcip jest gorzką konfiturą, djabelnie ostrym sosem.

ROMEO.

Stosownym do gęsi.

MERKUCIO.

To koncept z koźléj skórki, któréj cal da się rozciągnąć tak, że nim opaszesz całą głowę.

ROMEO.

Rozciągnę go do wyrazu, *głowę*, który połączywszy *z gęsią*, będziesz miał gęsią głowę.

MERKUCIO.

Nie jestżeto lepiéj, jak jęczyć z miłości? Teraz to co innego; teraz mi jesteś towarzyskim, jesteś Romeem, jesteś tém, czém jesteś; miłość zaś jest podobną do owego gapia, co się szwęda wywiesiwszy język, szukając dziury, gdzieby mógł palec wścibić?

ROMEO.

Stój! stój!

MERKUCIO.

Chcesz, aby się mój dowcip zastanowił w samym środku weny?

ROMEO.

Z obawy, abyś téj weny zbyt nie rozszerzył.

MERKUCIO.

Mylisz się właśnie, byłem blizki ją ścieśnić, bo jużem był doszedł do jéj dna i nie miałem zamiaru dłużéj wyczerpywać materyi.

ROMEO.

Patrzcie, co za dziwadła!

(*Wchodzi Marta z Piotrem*).

MERKUCIO.

Żagiel! żagiel! żagiel!

BENWOLIO.

Dwa, dwa: spodnie i spodnica.

MARTA.

Piotrze.

PIOTR.

Słucham.

MARTA.

Piotrze, gdzie mój wachlarz?

MERKUCIO.

Proszę cię, mój Piotrze, zakryj wachlarzem twarz jéjmości: bo z dwojga tego jéj wachlarz jest piękniejszy.

MARTA.

Życzę panom dnia dobrego.

MERKUCIO.

Życzymy ci dobrego południa, piękna signoro.

MARTA.

Czyto już południe?

MERKUCIO.

Nieinaczéj: bo nieczysta ręka skazówki na kompasie trzyma już południe za ogon.

MARTA.

Chryste Panie! Cóżto za człowiek z Waćpana?

ROMEO.

Człowiek, którego Pan Bóg skazał na zepsucie.

MARTA.

Dobrześ pan powiedział, na poczciwość! Nie wié téż czasem który z panów, gdziebym mogła znaleźć młodego Romea?

ROMEO.

Ja wiem czasem: ale młodego Romea znajdziesz Waćpani starszym, niż był, kiedyś go szukać zaczęła. Jestem najmłodszy z tych, co noszą to imię w braku gorszego.

MARTA.

Ach, to dobrze!

MERKUCIO.

Możeż być dobrém to, co jest gorszém?

MARTA.

Jeżeli Waćpan nim jesteś, to radabym z nim pomówić sam na sam.

BENWOLIO.

Zaprosi go na jakiś wieczorynek.

MERKUCIO.

Pośredniczka to Wenery. Huź, ha!

ROMEO,

Cóżto, czyś kota upatrzył?

MERKUCIO.

Kotlinę, panie, nie kota: i to w starym piecu nie w polu.

Bodaj-to kotlina,
Gdzie siedzi kocina:
Ta nie osmali;
Lecz zmykaj chudzino
Przed taką kotliną
Gdzie diabeł pali!

Romeo, czy będziesz u ojca na obiedzie? My tam idziemy.

ROMEO.

Pospieszę za wami.

MERKUCIO.

Do widzenia starożytna damo; damo, damo, damo!
(Merkucio i Benwolio wychodzą).

MARTA

Tak, tak, do widzenia! Coto za infamis, proszę pana, co się tak poważył rozpuścić cugle swemu grubiaństwu?

ROMEO.

Jestto panicz zakochany w swym języku; zdolny wypowiedzieć więcéj w ciągu jednéj minuty, niż milczéć przez cały miesiąc.

MARTA.

Jeżeli on na mnie co powiedział, dam ja mu, chociażby był zuchwalszy niż jest, i miał ze sobą dwudziestu sobie podobnych drabów; a jeżeli mi ujdzie, to znajdę takich, co to potrafią. A, hultaj! czyto ja jestem jego kochanicą, jego poniewieradłem?—*(Do Piotra)* I ty tu stałeś także i mogłeś ścierpieć, żeby mnie lada gbur używał wedle upodobania za przedmiot swych bezwstydnych żartów?

PIOTR.

Nie widziałem jeszcze, żeby kto używał jejmości wedle upodobania; gdybym był to widział, byłbym był pe-

wnie zaraz giwer wydobył, ręczę za to. Umiem się najeżyć tak dobrze jak kto inny, kiedy mam sposobność potemu i prawo za sobą.

MARTA.

Dlaboga! tak jestem rozdrażnioną, że się wszystko we mnie trzęsie. A, hultaj! Otóż, proszę pana, tak jak powiedziałam, młoda moja pani kazała mi się wywiedzieć o panu; co mi kazała powiedzieć, to sobie zachowuję; ale przedewszystkiém oświadczam panu, że jeżelibyś ją osadził na koszu, jak to mówią, byłoby to grubym rodzajem niecnoty, jak to mówią; bo panienka, o któréj mówię, jest młodą; i dlatego, gdybyś ją pan wywiódł w pole, byłoby to tak ciężkim psikusem, jaki tylko młodéj panience można wyrządzić.

ROMEO.

Pozdrów ją waćpani odemnie, i powiédz, że jéj daję *rendez-vous*.....

MARTA.

Poczciwości! oświadczę jéj to, oświadczę. Niebożę nie posiędzie się z radości.

ROMEO.

Co jéj waćpani chcesz oświadczyć? Nie wiész, co mówić miałem.

MARTA.

Oświadczę jéj, że pan dajesz randewu; co jest, jeżeli się nie mylę, ofiarą godną prawdziwego szlachcica.

ROMEO.

Powiédz jéj, aby pod pozorem spowiedzi, przyszła za parę godzin do celi ojca Laurentego: tam ślub weźmiemy. Oto masz waćpani za swoje trudy.

MARTA.

Nie, panie; ani fenika.

ROMEO.

No, no: bez ceremonii.

MARTA.

Za parę godzin więc; dobrze, nie zaniedba się stawić.

ROMEO.

Waćpani staniesz za murem klasztornym:
Tam ci mój człowiek przyniesie drabinkę
Z sznurków skręconą, która mi w noc późną
Do szczytu mego szczęścia wstęp ułatwi.

Bądź zdrowa! Wierność twa znajdzie nagrodę.
Poleć mię swojéj młodéj pani.

MARTA.

Niech wam Bóg błogosławi! Ale, ale....

ROMEO.

Cóż mi waćpani jeszcze powiész?

MARTA.

Czy człowiek pański dobry do sekretu?
Bo gdzie się skrycie prowadzą układy,
Tam dwóch już, mówią, zawiele do rady.

ROMEO.

Ręczę za niego: jestto wierność sama.

MARTA.

A więc wszystko dobrze. Co téżto za miłe stworzenie ta moja panienka! Coto nie wyprawiało, jak było małém! Chryste Panie! Ale, ale: jest tu na mieście jeden pan, niejaki Parys: ten ma na nią djabli apetyt; ale ona, poczciwina, wolałaby patrzeć na bazyliszka, jak na niego. Przekomarzam się z nią nieraz i mówię, że ten Parys, to wcale przystojny mężczyzna; wtedy ona, powiadam panu, za każdym razem aż blednie, zupełnie tak, jak ponsowa chustka na słońcu. Proszę téż pana, czy rozmaryn i Romeo nie zaczyna się od takiéj saméj litery?

ROMEO.

Nieinaczéj: jedno i drugie od R.

MARTA.

Tak i mnie się zdawało, tylko Romeo insze ma zakończenie. Co téż ona o tém nie prawi, tojest o rozmarynie i o panu; radabym żebyś pan to słyszał.

ROMEO.

Poleć jéj służby moje.

(*Wychodzi*).

MARTA.

Uczynię to, uczynię po tysiąc razy.—Pietrze!

PIOTR.

Jestém.

MARTA.

Pietrze, naści mój wachlarz i idź przodem.

(*Wychodzą*).

SCENA PIĄTA.

(*Ogród Kapuletów*).

JULIA *(wchodzi)*.

JULIA.

Dziewiąta biła, kiedym ją posłała:
Przyrzekła wrócić się za półgodziny.
Może go nie znalazła? nie, to nie to:
Słabe ma nogi. Heroldem miłości
Powinnaby być myśl, która o dziesięć
Razy mknie prędzéj, niż promienie słońca,
Kiedy z pochyłych wzgórków cień spędzają.
Niedarmo lotne gołębie są w cugach
Bóstwa miłości, i niedarmo Kupid
Ma skrzydła z wiatrem idące w zawody.
Już teraz słońce jest w saméj połowie
Dzisiejszéj drogi swojéj; od dziewiątéj
Aż do dwunastéj trzy już upłynęły
Długie godziny, a jeszcze jéj niéma.
Gdyby krew miała młodą i uczucia,
Jak piłka byłaby chyżą i lekką,
I słowa moje, do mego kochanka,
A jego do mnie, w lotby ją popchnęły:
Lecz starzy wcześnie są jakby nieżywi;
Jak ołów ciężcy, zimni, więc leniwi.
(*Marta i Piotr wchodzą*).
Ha! otóż idzie. I cóż złota nianiu?
Czyś się widziała z nim? Każ odejść słudze.

MARTA.

Idź, stań za progiem, Pietrze.
(*Piotr wychodzi*).

JULIA.

Mów, droga, luba nianiu! Ależ przebóg!
Czemu tak smutno wyglądasz? Chociażbyś
Złe wieści miała, powiédz je wesoło:
Jeśli zaś dobre przynosisz, ta mina
Fałszywy miesza ton do ich muzyki.

MARTA.

Tchu nie mam, pozwól mi trochę odpocząć:
Ach! moje kości! To był harc nielada!

JULIA.

Weź moje kości, a daj mi wieść swoją.
Mówże, mów prędzéj, mów, nianiuniu droga.

MARTA.

Coza gwałt! Folguj, dlaboga, choć chwilkę!
Czyliż nie widzisz, że ledwie oddycham?

JULIA.

Ledwie oddychasz: kiedy masz dość tchnienia,
Do powiedzenia, że ledwie oddychasz?
To tłumaczenie się twoje jest dłuższe
Od wieści, któréj zwłokę niém tłumaczysz;
Maszli wieść dobrą czy złą? niech przynajmniéj
Tego się dowiem, poczekam na resztę:
Tylko mi powiédz: czy jest złą, czy dobrą?

MARTA.

Tak, tak, pięknyś panna wybór zrobiła! pannie właśnie męża wybierać! Romeo! żal się Boże! Co mi za gagatek! Ma wprawdzie twarz gładszą niż niejeden, ale oczy, niech się wszystkie inne schowają; co się zaś tyczy rąk i nóg i całéj budowy, chociaż o tém nie ma co wspominać, przyznać trzeba że nieporównane. Nie jestto wprawdzie galant całą gębą, ale słodziuchny jak baranek. No, no, dziewczyno! Bóg pomagaj! A czy jedliście już obiad?

JULIA.

Nie. Ale o tém wszystkiém już wiedziałam:
Cóż o małżeństwie naszém mówił? powiedz.

MARTA.

Ach! jak mię głowa boli! tak w niéj łupie,
Jakby się miała w kawałki rozlecieć.
A krzyż! krzyż! biédny krzyż! niechaj waćpannie
Bóg nie pamięta, żeś mię posyłała,
Aby mi przez ten kurs śmierci przyspieszyć.

JULIA.

Doprawdy, przykro mi, że jesteś słabą.
Nianiu, nianiuniu, nianiunieczko droga,
Powiedz mi, co ci mówił mój kochanek?

MARTA.

Mówił, jak dobrze wychowany młodzian,
Grzeczny, stateczny, a przytém upewniam,
Pełen zacności. Gdzie waćpanny matka?

JULIA.

Gdzie moja matka? Gdzież ma być? jest w domu.
Co też nie pleciesz, nianiu: mój kochanek

Mówił jak dobrze wychowany młodzian,
Gdzie moja matka?

MARTA.

O mój miły Jezu!
Takżeś mi aśćka w ukropie kąpana!
I takąż to jest maść na moje kości?
Bądźże na przyszłość sama sobie posłem.

JULIA.

O męki! Co ci powiedział Romeo?

MARTA.

Masz pozwoleństwo iść dziś do spowiedzi?

JULIA.

Mam je.

MARTA.

Spiesz więc do celi ojca Laurentego:
Tam znajdziesz kogoś, co-ć pojmie za żonę.
Jak ci jagódki pokraśniały! Czekaj!
Zaraz je w szkarłat zmienię inną wieścią:
Idź do kościoła, ja tymczasem pójdę
Przynieść drabinkę, po której twój ptaszek
Ma się do gniazdka wśliznąć jak się zciemni.
Jak tragarz muszę być ci ku pomocy;
Ty za to ciężar dźwigać będziesz w nocy:
Idź: trza mi zjeść co po takiém zmachaniu.

JULIA.

Idę raj posiąść.—Adieu, złota nianiu.

(Wychodzą).

SCENA SZÓSTA.

(Cela ojca Laurentego).

OJCIEC LAURENTY i ROMEO.

OJCIEC LAURENTY.

Oby ten święty akt był miły niebu,
I przyszłość smutkiem nas nie ukarała!

ROMEO.

Amen! lecz choćby przyszedł nawał smutku,
Nie sprzeciwważyłby on téj radości,
Jaką mię darzy jedna przy niej chwila.
Złącz tylko nasze dłonie świętym węzłem;

Niech go śmierć potém przetnie kiedy zechce:
Dość, że wprzód będę mógł ją nazwać moją.

OJCIEC LAURENTY.

Gwałtownych uciech, i koniec gwałtowny:
Są one nakształt prochu zatlonego,
Co wystrzeliwszy, gaśnie. Miód jest słodki,
Lecz słodkość jego graniczy z ckliwością,
I zbytkiem smaku zabija apetyt.
Miarkuj więc miłość twoję: zbyt skwapliwy
Tak samo spóźnia się jak zbyt leniwy.
(*Julia wchodzi*).
Otóż i panna-młoda. Mech najcieńszy
Nie ugiąłby się pod tak lekką stopą:
Kochankom mogłyby do jazdy służyć
Owe słoneczne pyłki, co igrają
Latem w powietrzu: tak lekką jest marność.

JULIA.

Czcigodny spowiedniku, bądź pozdrowion.

OJCIEC LAURENTY.

Romeo, córko, podziękuje tobie
Za nas obudwu.

JULIA.

Pozdrawiam go również,
By dzięki jego zbytniemi nie były.

ROMEO.

O! Julio, jeśli miara twéj radości
Równa się mojéj, a dar jéj skreślenia
Większy od mego: to osłódź twém tchnieniem
Powietrze, i niech muzyka ust twoich
Objawi obraz szczęścia, jakie spływa
Na nas oboje w tém błogiém spotkaniu.

JULIA.

Czucie bogatsze w osnowę, niż w słowa,
Pyszni się z swojéj wartości, nie z ozdób:
Żebracy tylko rachują swe mienie.
Mojéj miłości skarb tak jest niezmierny,
Że i pół summy téj nie zdołam zliczyć.

OJCIEC LAURENTY.

Pójdźcie, załatwim rzecz w krótkich wyrazach.
Nie wprzód będziecie sobie zostawieni,
Aż was sakrament z dwojga w jedno zmieni.
(*Wychodzą*).

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA LITERACKA.

DZIEJOPISOWIE KRAJOWI.

III.

Jana Dymitra Solikowskiego arcybiskupa lwowskiego Krótki pamiętnik rzeczy polskich, od Zygmunta Augusta zmarłego 1572, *w miesiącu lipcu, do roku* 1590. *Przełożył z łacińskiego i życiorysem autora poprzedził Władysław Syrokomla. Petersburg i Mohylew. Nakładem Bolesława Maurycego Wolffa.* 1855. *W* 8*ce. Str. XIX i* 97 *prócz regestru.*

Pamiętnik Solikowskiego szczupły jest liczbą stronnic, lubo przeciąg lat 18 nazbyt duży i epoki bardzo świetnéj, bardzo znakomitéj, opisuje. Człowiek tak blizko zażyły ze Stefanem Batorem, mąż stanu, który tajemnice polityki wielkiego króla należycie mógł pojmować, a spraw jego znał niezmiernie wiele, piszący do tego dzieje spółczesnéj sobie chwili, nie z czyjego rozkazu, ale jako *Pamiętnik*, do potomności odległéj chciał przekazać zdarzenia, na które patrzał. Solikowski powinien był ogromne tomy zwierzań zapisać, a zdobył się tylko na małą książeczkę o swoich czasach. Dowodziło to chyba tego pewnika, że Solikowski na więcéj się porwał jak siły jego znieść mogły. Brak talentu dzejo-pisarskiego i w tém widoczny, że Solikowski nie umié związać w organiczną całość opowiadań swoich, i przechodząc ciągle od przedmiotu do przedmiotu, daje same urywki, oderwane wypadki, lub proste kronikarskie opisy zdarzeń: pamiętnikowego tutaj nic niema. Są tylko opisane w dziełku jego wypadki, głośne w kraju, znajome wszystkim, przy nich troszkę charakterów stycznych zkądinąd nieznanych szczegółów, w które jednakże Solikowski jest tak skąpy, że nawet o swoich sprawach w Inflantach, gdzie przy urządzeniu na nowo kościoła katolickiego za Stefana króla, był prawie piérwszą figurą, nawet o tych

sprawach niewiele ciekawych rzeczy rozpowiedział, z czego już lepiéj się wywiązał Commentarius Possevini.

Że sam nie wiedząc o tém, po całym Pamiętniku Solikowski rozlał się, bo w stu faktach i rozumowaniach rozrzucił po dziele swoję charakterystykę, będzie to może najważniéjsza zdobycz, jaką nauka wyciągnie z jego Pamiętnika: osobistość jednego z reprezentantów epoki, jednego z najpoważniejszych senatorów, nie jest, nie może być dla dziejów obojętną.

Charakter Solikowskiego piękny, szczery, otwarty, prześwieca jasno z Pamiętnika. Był to kapłan światły, odważny, i obywatel sprawie ogólnéj poświęcony (stron. 94—95). Mówił śmiało prawdę w oczy nawet królowi Batoremu: nie był w rzeczypospolitéj stronnikiem groźby i siły, i w jego pojęciu, sam król o tyle dobrze pełnił swoję powinność, o ile był ojcem narodu. Z tego stanowiska wychodząc, z goryczą przymawiał Solikowski Stefanowi, acz swojemu dobroczyńcy, i to publicznie w senacie (stron. 67.) Bezstronność w nim wielka, tak s mo w piórze jak i w obywatelstwie. Dowodów na to możem przytoczyć wiele: Solikowski nie podpisał konfederacyi warującéj wolność wyznania różnowierców, a jednak miał odwagę bronić publicznie biskupa kamienieckiego, że ją podpisał (stron. 80). Zamojskiego nie wielki przyjaciel, bo wszędzie z goryczą o nim wspomina, a jednak łagodził rozdąsane przeciwko kanclerzowi umysły (stron, 75). Zborowskich bronił wprzódy i wierny swoim zasadom, nie chciał, żeby im grożono (stron. 68); ale że właściwie do żadnego nie należał stronnictwa, hamował jednych i drugich, i silnie bronił króla przeciw Zborowskim (stron. 76. 77). Solikowski idzie zawsze za przekonaniem swojém śmiało, niewoli żadnéj nie znosił. Jedném słowém, byłto szlachcic polski w biskupiém odzieniu, szlachcic nieskalanéj jeszcze cnoty, prawy i szlachetny. Na każdém stanowisku, na jakiém go los postawił, sumiennie pełnił swoje obowiązki, i pracy nigdy dla dobra ogólnego nie żałował. Wielka moc duszy, rozum polityczny i takt niezmierny był w tym człowieku. Jako senator doskonale rozumiał swoję rolę pośrednika: bo całém życiem jego ta kierowała zasada, że nie jest panem siebie i swojéj wolności,kiedy ojczyzna chce od niego posługi i kiedy mu urząd dała. Jak więc gdzieindziéj zawsze o zgodę zabiegał, jak umiał wszystkie ostateczności pojednać, tak gorliwością dawał przykład innym. Raz na sejmie, gdy prymas niedomagał, gdy biskup płocki i przemyślski także chorowali, a krjawski niemogąc znosić pomówisk ludzkich doma pozostał .,arcybiskup lwowski (Solikowski) z biskupem kamienieckim byli pilni posiedzeń"....

Biskup był w nim wzorowy i apostolski, pilnował święcie czystości wiary i wszędzie za nią się ujmował.

Szczególność ta w nim jeszcze, że chociaż Wielkopolanin, ale zostawszy biskupem na Rusi, przejął się miłością dla téj ziemi i ciągle jéj spraw z gorliwością doglądał. Gniewał się że elekcya źle poszła dla Rusi (stron. 86), z Rusią działał razem. W razie po-

trzeby dowodził nawet jéj wojskiem przeciw Tatarom. Zamojskiego upominał (stron 93). Chce krew lać za Ruś i ztąd czasem wygląda jako rycerz burzliwy: „byle stało ochoty a wojsko być może, powiadał, niech wezwą jeno do broni szlachtę ruską.” I stało się; przytomnością swoją biskup zawstydz. rycerze i hetmany i zbawia Ruś (stron. 94. 95). Ale kiedy zadaleko Ruś szła w jakich robotach swoich i niechęciach jakby wypadało, Solikowski ją cofał i uśmierzał (stron. 89), a senatorów z ziemi ruskiéj, duchowieństwo, stan rycerski, lud i lwowskie miasto królowi polecał (stron. 90). O Rusi mówiąc, powiadał zawsze „moja Ruś”. To cecha ogólna wszystkich ludzi, którzy nie z samego urodzenia, ale i z ducha byli reprezentantami cywilizacyi narodowéj. W ogromnéj Polsce było wiele odrębności bardzo rozmaitych; części jednego ciała niedobrze się spajały, lubo miłowały się nawzajem mocno. Konstytucye rzeczypospolitéj wiele rozwojowi prowincyonalnemu pozwalały swobody. Ztąd pochodziła miłość uporczywa najzacniejszych obywateli dla przywilejów, dla odrębności prowincyonalnéj, dla narodowości, którą przedstawiają. Nie mówim tutaj o ambicyach takich jaka np. była Mikołaja Radziwiłła Czarnego, ale mówim o takiéj cnocie obywatelskiéj, jaka była Solikowskiego, Hozyusza i. t. d.

Karnkowskiego prymasa bardzo Solikowski poważał i może go szczególnie chciał uczcić w swoim Pamiętniku, bo wszędzie na pierwszym planie go stawi. Rzeczywiście prymas, któremu Solikowski wszystko był winien, był znakomitością swojego czasu, i żałujem, że niedo itniéj tutaj odmalowany jak jest; bo niktby lepiéj i wierniéj portretu historycznego prymasa, od Solikowskiego zdiąćby nie mógł. Solikowski wierzy w Karnkowskiego jak w Boga, i zawsze mu wtórzy, czy na sejmach, czy na prywatnych szlachty zebraniach. Karnkowski biskupem jeszcze kujawskim będąc, głównie przyczynił się do elekcyi Walezego, i kiedy nędzny prymas Uchański wstręt budził, z natury rzeczy i z charakteru Karnkowski rej wodził w Rplitéj. Wziętość jego bardzo wiele upadła po ucieczce Henryka, bo téż nie mieszając się już do spraw publicznych, zrażony siedział Karnkowski prywatnie u siebie w Wolborzu, i skutkiem może téj jego dobrowolnéj nieczynności, dwie elekcye razem wypadły (str. 23). Przy nim w Wolborzu był Solikowski. Odzyskał wtedy Karnkowski wpływ, stanowczo oświadczył się za Batorym, stanowczo wpłynął na króla nawrócenie się do wiary, i naturalnie za jego rządów już nie de facto, ale i de jure musiał przewodniczyć kościołowi polskiemu. Ładnie Karnkowski w obrazie Sulikowskiego wygląda. Niepodległy, bronił téż Zborowskich, obstawał téż za wolnością; ale mimo to wszystko jest troszkę sprzeczności w charakterze Karnkowskiego: za krótkich rządów Henryka występował on inaczéj i naraził się wolności. Króla wtedy przyjeżdżającego do Polski powitał mową taką w Poznaniu, że wstręt obudziła, a potém pisał bezimiennie przeciwko prawom narodowym broszury, do czego mu

wprawdzie Solikowski dopomagał. Do pięknych cech jego charakteru i to należy, że obstawał za biednym ludem wiejskim (stron: 41).

Treść Pamiętnika Solikowskiego krąży głównie około panowania Stefana. To, co przed tém panowaniem autor rozpowiedział, jest wstępem: to, co po śmierci Batorego dodał, jest tylko uzupełnieniem, zaokrągleniem historyi dziesięcioletnich rządów Stefana. Chociaż Solikowski szczupły, jednak zawsze w dziele jego znaleźć można ważne skazówki dla saméj historyi i dla pochodu cywilizacyi narodowéj. Pierwsze wrażenie Rplitéj po śmierci Zygmunta Augusta osieroconéj, a niewiedzącéj co z sobą robić, kiedy króla niestało, gdy się w nowém zupełnie położeniu i stosunkach ujrzała, dobrze schwycone. Od tego właśnie zajmującego ustępu, zaczyna Solikowski swój Pamiętnik. Dalej rysy charakteru Stefana, mocno przez powłokę jego opowiadania przebijają. Znaczenie panowania tego dla Polski, od piérwszéj zaraz stronnicy dziejów Batorego, od piérwszego prawie kroku, który w Rplitéj postawił, jasne i widoczne. Była chwila, że Batory ukazał się Europie w całym uroku, w całym blasku, że tak się wyrazim, najwspanialszego bohaterskiego ognia, że wszystko ściemniało w obliczu jego świetności. Było to wtenczas, kiedy Possewin jechał w poselstwie do Moskwy. Zdawało się, że to poselstwo początkiem jest cudnego poezyą połyskującego zawodu Stefana, a było końcem jego. Jednak Solikowski czuje wielkość króla i majestat Rzplitéj chociaż chwilowo trwały, bo król niedługo umarł. „Poselstwo Moskwy do papieża, robi tę uwagę, pomnożyło u wszystkich narodów i chwałę bojów i zwycięztw Stefanowych; ile bowiem przez naszą gnuśność świetniéj słynął nieprzyjaciel Rplitej, tém bardziéj Stefan, który go złamał, budził dla siebie cześć i podziwienie. Król hiszpański w wielkiéj go miał powadze i stawił wyżéj nad wszystkie króle w chrześciaństwie" (stron. 58). Nie zaślepia to jednak biskupa, i ztąd Batory dosyć ciemno wygląda w jego obrazie. Widocznie dwa te charaktery nie rozumiały się, ztąd odpychały się nawzajem; każdy był innéj natury, innemi ongi sokami z młodości żywił się i po śmierci dopiéro Batorego uczuł Solikowski, co Polska w nim straciła.

Kilka tych zbliżeń dziejowych wskazuje nam wyraźnie na konieczność historyczną. Batoremu wszystko co zamyślał udawało się: gdyby dożył, przyprowadziłby niezawodnie i reformę rządu; wszystko przed władzą jego uklękło i pany i butna szlachta. Chciał katolicyzm podnieść i krzewić się zaczął: nawróceń dobrowolnych było tysiące. Nastąpiła nagła zmiana usposobień szlachty, która zdawało się, że przywyka do ładu i rządu. Chwila jedna, Polska możeby została rządną monarchią, piérwszém na długie wieki mocarstwem na północy; ale w wyrokach Opatrzności widać nie było, żeby nasza ojczyzna doszła za Batorego do stałego rządu (stron. 74): koléj przeznaczeń poszła daléj.....

Przekład Solikowskiego zawsze zły, gorszy nawet od poprzednich. Nie pojmujemy tego: tłumacz bawi się w erudycyą, robi nawet potrzebne objaśnienia textu, a pozwala na wielkie grzechy, na które lekarstwo w Niesieckim, w tak pospolitym Niesieckim, że go wszędzie dostanie w starém czy w nowém wydaniu. Po łacinie było zapewne Crotossius, ztąd tłumacz zwe tego pana kilkanaście razy Krotoszem, a to ma być Krotowski: łatwo to można sprawdzić było po wojewodzie inowrocławskim, który znowu był ojcem tego pana Krotosza. O Borukowskim w oryginale stać musiało: praepositus lanciciensis; tłumacz nazwę praepositus wziął za tytuł starosty i wyłożył text Solikowskiego tak: że starosta łęczycki został podkanclerzym (str. 45). Borukowski ten był biskupem przemyślskim; wyszło więc na to, że w Polsce ze starostów szło się na biskupów; tymczasem *praepositus* nie znaczy u nas zawsze starosty, ale proboszcza katedralnego lub kolegialnego, czasem parafialnego: lepsze albowiem parafie miały prepozytów (praepositos), inne zaś curatores. plebanos, rectores. Z Borukowskim był właśnie taki wypadek: nie ze starosty łęczyckiego ale z proboszcza kollegiaty łęczyckiéj (proboszczem w parafii mógł być ktoś inny spółcześnie) poszedł na podkanclerzego i biskupa. Już nie mówim o mniejszych a rażących rzeczach: niech kto np. zgadnie, coto znaczy zjazd introszyński (stron 86); niech kto zgadnie że Bodzentyn znaczy Będzin (stron. 91). Góreckiego wojewodę sieradzkiego i Piotra Potylicę kasztelana przemyślskiego, prędzej sobie każdy znający przeszłość, poprawi (stron. 39 44); ale pytamy się, jak można brać się do przekładów, do objaśnień historycznych, do not, kiedy się np. o Potulickich nie słyszało? Trzeba naprzód poznać szlachtę, a potém być jéj historykiem. Mnóstwo podobnych błędów pomijamy.

I dziwim się znowu poraz już trzeci, dlaczego tłumacz koniecznie uwziął się pisać życiorysy osób historycznych, których dzieła w niedokładnym daje nam przekładzie? Życiorys ten pospolicie pod piórem jego jest zbiorem wypisów z tłumaczonego dzieła, zbiorem dopełnionym czasem kilką wiadomostkami, a przepełnionym uwagami, które będąc czysto indywidualne, zamiast wyjaśniać, zaciemniają oblicze prawdy, bo nie są owocem studyów, ale dorywczych osobistych wniosków, poglądów i postrzeżeń. W życiorysie Solikowskiego np. są frazy dla okrągłości peryodów, ale nie ma historyi. Cóż znaczy np. takie naoślep rzucone twierdzenie, że „wygórowana prawowierność i wyłącznie religijny pogląd na rzeczy polityki krajowéj, niedobrze wpłynęły na rozwinięcie niezaprzeczenie wielkiej zdolności, skrzywiły kierunek jego patryotycznych wyobrażeń tak dalece, że wszystkie niemal czyny, pisma i widoki Solikowskiego są mylne i niebaczne na potrzeby kraju i na duch wieku?" Jakto doskonale tłumacz pojął ducha wieku i potrzeby kraju, przeczytawszy tylko Solikowskiego! I jak śmiały wyrok o człowieku, którego się nie zna zupełnie, że jego widoki, i pisma, i czyny były mylne! Intuicya poetycka dobra do gawęd,

nie dla historyi Intuicya odgadnie zapewne ducha wieku, ale musi wprzódy pojedyńczych osob zgłębić i wystudyować charakter. Jakież prawo miał tłumacz rzucać w świat zdanie swoje nie przyjrzawszy się ni ludziom, ni czasom? Batory u niego wynagradza duchowieństwo, że go na tron podniosło: ztąd Karnkowski prymasem, Solikowski posłem do Maxymiliana. Nędzneto pojmowanie ówczesnych stosunków i wielkiego króla. Solikowski źle wygląda u Syrokomli, jestto nietolerant i fanatyk, i na złéj drodze Polak: ale za elekcyi Zygmunta III jednak zostaje prawym synem ojczyzny, bo się nie złączył ze stronnictwem protestantów i burzycieli. Jawna sprzeczność: ale czyż więcéj takich sprzeczności mamy wyliczać? Sądzim przecie, że chociaż raz przekona się tłumacz i że nauki nie pójdzie w las: historya, tu nie dla niego robota.

Wspomnieć że tutaj po raz dziesiąty może znowu, że te biedne życiorysy tłumacza Kromera, Sobieskiego i Solikowskiego, zawsze są biédne treścią i że w nich massy faktów niedostaje?

D. 3 lipca 1856 r.

Julian Bartoszewicz.

Przegląd muzykalny.

I. Donizetti.— Faworyta.—Niema z Portici.—II. Koncerta.— Popis szkół śpiewu w Warszawie i Krakowie. — Wieczór muzykalny na dochód ubogich artystów. — Kilka słów o Towarzystwie wsparcia artystów muzyki, tudzież pozostałych po nich wdów i sierot.

DONIZETTI.

Przypominają sobie zapewne czytelnicy dowcipną karykaturę, przedstawiającą w różnych pocieszných poezyeyach wielu francuzkich i włoskich kompozytorów; otóż pomiędzy innemi wyobrażony był także Donizetti, jak stojąc na parochodzie, pisze na jednej nodze jakąś nową partyturę, a z dymiącego komina widać mnóstwo wylatujących gotowych już oper.

Doprawdy, nie można było lepiéj scharakteryzować tego najpłodniejszego z dzisiejszych włoskich kompozytorów: sześćdziesiąt przeszło oper napisanych z dziwną i niepojętą łatwością, są dowodem niepospolicie twórczego talentu i wielkiéj wprawy w władaniu technicznemi materyałami sztuki. Jedną z piękniejszych oper komicznych *Don Pasquale*, napisał Donizetti w ciągu dni ośmiu. Gdy mu powiadano, iż Rossyni potrzebował dwóch tygodni czasu dla skomponowania *Cyrulika Sewilskiego*: „To mnie wcale nie dziwi, odpowiedział Donizetti, Rossyni jest tak leniwym!" Lecz właśnie owém szybkiém, a więc

bez należytego opracowania i rozwagi tworzeniem, kompozytor ten marnował niekiedy swój talent. W przelotnych i niedojrzałych chwilach natchnienia, porywał wszystko, co mu tylko na myśl przyszło, nie mając często cierpliwości do należytego i stosownego wykończenia dzieła, nie troszcząc się o właściwość charakteru muzyki do treści, grzesząc nieraz zbytnią trywialnością pomysłów muzycznych i sposobem ich instrumentowania. Dlatego pomimo takiéj ilości oper przez siebie napisanych, zaledwie kilka przeżyło swego twórcę, a z tych *Don Pasquale* i *Napój Miłosny*, jako opery komiczne, zaś *Lukrecya*, *Łucya* i *Faworyta* jako opery seryo, za najlepsze uważać należy.

Kajetan Donizetti urodził się w roku 1798 w mieście Bergamo, należącém niegdyś do dawnego terytoryum rzeczypospolitéj weneckiéj. Będąc synem ubogiego urzędnika, utrzymującego liczną swą familią jedynie z szczupłéj pensyjki, Donizetti jednakże otrzymał dosyć staranne wychowanie. Od dzieciństwa zaraz okazywał wiele skłonności do sztuk pięknych. Nie myśląc wcale o muzyce, upodobał sobie architekturę i jéj wyłącznie chciał się oddać; ojciec zaś przeciwnie żądał, by się poświęcił prawnictwu: na téj bowiem drodze najprędzéj mógł dojść do bytu niezależnego tak pod względem majątkowym, jako i towarzyskim. Wówczasto, jak strumień, który dopóty ziemię nurtuję aż w ukrytéj walce przerwawszy twardą jéj zaporę swobodnie na wierzch wypłynie, skrapiając w wartkim i dobroczynnym biegu niwy, po których wody swe toczy; tak i w duszy przyszłego twórcy *Faworyty* rozpoczęła się walka wewnętrzna, uparta: a tą była niepohamowana i raptownie w nim obudzona skłonność do muzyki. Natura dając pewnym wybranym przez siebie ludziom szczególne zdolności do nauk lub sztuk pięknych, niezawodnie prędzéj czy późniéj sama ich popchnie na właściwą i odpowiednią ich geniuszowi drogę; historya życia wszystkich znakomitych ludzi daje nam tego oczywiste dowody, a Donizetti jednym więcéj jest jeszcze przykładem.

Pomimo silnego oporu ojca niedowierzającego w trwałość tego popędu do muzyki, tak niespodzianie objawionego, młody Donizetti tyle nareszcie dokazał, że oddanym został do szkoły muzycznéj, założonéj w jego mieście rodzinném w 1805 r. Jan Szymon Majer, znakomity wówczas kompozytor, zreorganizował ją w 1811, i pod jegoto kierunkiem, Donizetti poznał piérwsze zasady muzyki. Gdy zbadał dostatecznie tajemnicę harmonii, ucząc się zarazem sztuki akkompaniowania i przeglądając z uwagą dzieła dawnych mistrzów, tudzież otrzymawszy wiele zbawiennych rad od swego zacnego nauczyciela: następnie dla dokończenia edukacyi, w r. 1815 wysłanym został do Bolonii, ażeby od Stanisława Mattei mógł brać lekcye kontrapunktu.

Ksiądz Mattei był wtedy najlepszym nauczycielem téj trudnéj nauki: jemuto wielu kompozytorów włoskich zawdzięcza

swoje wykształcenie, a pomiędzy innemi i Rossyni. Gdy Donizetti przybył do Bolonii, już imię Rossyniego głośne było w całych Włoszech, a jego *Tankred*, na wszystkich teatrach wzbudzał ogromny zapał. Po trzech latach pracowitych studyów, mając zaledwie lat dwadzieścia, napisał Donizetti operę pod tytułem *Enrico di Borgogna*, i w Wenecyi w r. 1818 pierwszy raz wystawioną, dosyć dobrze była przyjętą. W 1822 r. w Rzymie wystawił *Zoraidę di Grenata*, a świetne powodzenie tego dzieła, było przyczyną zupełnego uwolnienia autora od konskrypcyi, do której, jako poddany austryacki z prawa należał. Od tego czasu przebiegał Donizetti bezustannie cały półwysep włoski, improwizując opery z nadzwyczajną szybkością; aż w r. 1831 będąc w Medyolanie, podczas pobytu w tém mieście Pasty, Rubiniego i Gallego, napisał dla tych sławnych śpiewaków *Annę Bolenę*, która stanowi epokę w jego twórczym talencie. Pomimo obecności Belliniego i uniesień wywołanych jego arcydziełem, *Lunatyczką*, dla Pasty i Rubiniego napisaném, jednakże *Anna Bolena* miała wielkie powodzenie. Odtąd pomiędzy Bellinim i Donizettim zaczęło się współzawodnictwo, niezawsze jednakże korzystne dla ostatniego; bo Rossyni po napisaniu 1829 r. największego i najszczytniejszego dzieła, jakiém jest bez zaprzeczenia *Wilhelm Tell*, rzucił z obojętnością pióro, którém dotychczas tak świetnie władał, zostawiwszy wolne pole dla nowo-wstępujących w szranki kompozytorskie zapaśników. Donizetti będąc 1833 roku we Florencyi, napisał dla panny Ungher, Duprego i Cosellego *Parisinę*; następnego zaś roku w Medyolanie, jednę z najpiękniejszych swych oper, *Lucrecyą Borgią*. W początku 1835 r. przybył Donizetti po raz pierwszy do Paryża. Bellini od lat dwóch zachwycał wszystkich w tém mieście swoją piękną i tkliwą muzyką; więc trudno było Donizettemu zwrócić na siebie uwagę i uznanie świata muzykalnego. To też pomimo niezaprzeczonych zalet, w jakie obfituje *Marino Faliero*, pierwsze przedstawienie téj opery nieźle było od publiczności przyjęte; lecz później nie mogąc się utrzymać obok *Purytanów*, które kilkoma miesiącami wprzód były wystawione i pozawracały głowy wszystkim amatorom włoskiej muzyki: Donizetti był świadkiem upadku swéj opery i wyjechał napowrót do kraju rodzinnego, zostawiwszy rywala panem pola bitwy, niedługo cieszącego się, niestety! swemi świetnemi tryumfami. Nareszcie w drugiéj połowie tego samego roku, szczęśliwa gwiazda Donizettego zaprowadziła go do Neapolu, gdzie bawili natenczas pani Persiani, Duprez i Coselli. Otrzymawszy libretto dobrze obmyślane i ułożone, utworzył dla nich w ciągu sześciu tygodni *Łucyą Lamermooru*, najlepsze swoje dzieło. Któż dziś nie zna téj pięknéj partycyi? Kto nie podziwiał i nie rozkoszował się ślicznemi jéj melodyami, tak zpopularyzowanemi w całym świecie przez śpiewaków i nieprzeliczone tłumy wirtuozów instrumentalnych? W niejto Donizetti najwyraźniéj wyci-

snął piętno indywidualności stylu, i słusznie ta opera za jego arcydzieło uważaną być może. Wkrótce na wszystkich teatrach europejskich rozlegały się melodye *Łucyi Lamermooru*, zawsze z zapałem przyjmowane, a nawet w Paryżu, aż dotąd tak nieprzyjaznym temu kompozytorowi, w ogólném uwielbieniu oddano cześć należną twórcy takiego dzieła. Przybył więc powtórnie Donizetti do Paryża w r. 1840, ośmielony dobrém względem siebie usposobieniem kapryśnéj publiczności. Bellini już nie żył: w sześć miesięcy bowiem po wystawieniu *Purytanów*, zmarł w pełnym rozwoju swego talentu, wykształciwszy znacznie formę, przez którą bogate w pierwiastek elegijny pomysły wyrażał. Tym razem przywiózł z sobą twórca *Łucyi* trzy partytury, tojest: *la Fille du Régiment*, *les Martyrs* i *la Favorite*. *Les Martyrs* napisane były dla nieszczęśliwego Nuritt'a, który w przystępie czarnéj melancholii, spowodowanéj ogromném powodzeniem współzawodnika swego Duprego, życie sobie odebrał; on sam nawet treść do téj opery układał z tragedyi Kornela. *Faworyta* zaś, pierwiastkowo pod tytułem *l'Ange de Nisida*, miała tylko trzy akta, a czwarty Donizetti dorobił w Paryżu, chcąc dać nieco większy zakres dziełu, na scenę wielkiéj opery przeznaczonemu. Żadna z tych trzech oper przedstawionych w ciągu jednego roku, nie mogła się poszczycić zbyt wielkiém powodzeniem. *Faworyta* nawet, ze wszystkich znanych oper tego kompozytora najstaranniéj napisana, stopniowo tylko przyszła do wziętości, jaką dziś posiada, a słusznie scena francuzka szczycić się nią może. W 1842 roku, wezwany błaganiem chylącego się do upadku i bankructwa dyrektora teatru włoskiego w Wiedniu, opuścił Donizetti Paryż, gdzie używał przyjemności coraz więcéj wzrastającego i utrwalającego się powodzenia *Faworyty*, i pospieszył od pewnéj zguby wybawić ginącego, który tylko w jego talencie ocalenie swe widział. Jakoż w przeciągu dosyć krótkiego czasu skomponował Donizetti *Linde z Chamounix*, operę z zapałem przez Wiedeńczyków przyjętą, i interesa teatru i dyrektora na pomyślnéj i kwitnącéj stopie postawił. Otrzymawszy za napisanie tego dzieła tytuł kapelmistrza cesarsko-nadwornéj muzyki, powrócił do Paryża, i tam dla teatru włoskiéj opery napisał, jakem to już wyżéj powiedział, w ciągu ośmiu dni operę komiczną *Don Pasquale*, któréj muzyka lekka, żywa i dowcipna, nadzwyczaj dobrze od publiczności przyjętą została. Administrator Wielkiéj opery przekonawszy się, jak mało kosztowało twórcę *Lindy z Chamounix* wyrwać z grożącego niebezpieczeństwa dyrektora teatru wiedeńskiego, widząc się z dniem każdym w coraz przykrzejszém położeniu, a niemając nic nowego na zbliżającą się porę zimową: zaproponował Donizettemu napisanie nowéj jakiéj opery. Donizetti chętnie na to się zgodził, i w dwa miesiące skomponował ogromną partyturę, któréj dał tytuł *Dom Sébastien*. Dzieło to, zawierające kilka pięknych ustępów, upadło: jedni przypisywali

to treści niemającéj dosyć interesu, drudzy niedokładności i rażącym wadom w wystawie scenicznéj. Jednakże zbyt pospieszne i niedbałe pisanie téj muzyki, było niezawodnie najgłówniejszą do tego przyczyną. Donizetti aż nadto dobrze sam o tém wiedział i przewidywał, iż to zatruje jego życie: gdy bowiem wychodził z ostatniéj proby, rzekł do towarzyszącego mu przyjaciela: „Czuję się bardzo słabym: *Dom Sébastien* mnie zabija!"

Donizetti, jak wielu jego rodaków, nie miał nigdy dosyć cierpliwości i sumienności, by przedsięwzięte dzieło z rozwagą opracować. Spuszczał on się z pewną niedbałością na swą szczęśliwą gwiazdę, i dopóki czerpał natchnienie w niespracowanym i niezmęczonym umyśle, wszystko było bardzo dobrze: miejscowe niedokładności lub uchybienia nadgradzane były ustępami świetnemi, bogatemi, które wadliwość tamtych pokrywały. Lecz przyzwyczaiwszy się do nierozważnego szafowania talentem, gdy mu sił i natchnienia zabrakło, w końcu właśnie swego zawodu, w chwili gdy powodzenie i wzrastająca sława większą odpowiedzialność na kompozytora wkładają: nie umiał już Donizetti znaleźć w sobie pomysłów, któreby były godne takiego jak on kompozytora. O! rok w życiu artysty, to wieczność nieraz; każda chwila nawet ma swoje wielkie znaczenie. Potęga siły męzkiéj, która tylko jedna arcydzieła tworzyć może, niebacznie w burzliwéj młodości roztrwoniona, niczém się już zastąpić nie da; a dzieło, które ma żyć długo, żyć wiecznie, w żywotnéj tylko potędze ducha męzkiego poczętém być musi. Z wiekiem można nabyć większéj swobody, umiejętności lub doświadczenia w władaniu piórem, pędzlem, dłutem albo smyczkiem; ale młodości potrzeba, by dać życie: *Madonnie Syxtyńskiéj*, posągowi *Mojżesza*, napisać *Maryą*, *Grażynę*, *Don Juana*, *Roberta Diabła*, albo nawet *Łucyą Lamermooru*. Pomiędzy *Robertem Diablem* a *Prorokiem* już wielka zachodzi różnica; większa jeszcze pomiędzy *Niemą z Portici* a w dwadzieścia kilka lat późniéj napisaną przez Aubera operę *Marco Spada*: tam siła, życie, natchnienie, tutaj zręczność, swoboda, doświadczenie. Młodość tylko Tyr zdobywa, Indye podbija, lub przechodzi górę świętego Bernarda i pod Marengo bitwę wygrywa. Zapewne iż są szczęśliwe organizacye, które mają wyłączny przywiléj przechowania na długo ducha młodości, chociaż ich ciało zmarszczkami czasu się pokryje; tak jak i przeciwnie, nie jeden w trzydziestu leciech jest już starym (1). Donizetti liczył zaledwie czterdziesty piąty rok życia, gdy napisał *Dom Sébestyana*; lecz organizm jego podkopany zbytkiem wycieńczenia sił fizycznych, pracą, a może i nadużyciem rozkoszy tego życia, nie był

(1) Michał Anioł miał lat 89 gdy umarł; przed 40 rokiem Mojżesza utworzył, a w 45 roku życia, najpotężniejsze swoje dzieło: *Sąd ostateczny* malował.

już w stanie wyświadczyć mu żądanéj przysługi. Po nieszczęśliwém wystawieniu téj opery, udał się jeszcze Donizetti do Wiednia, gdzie go obowiązek kapelmistrza dworu powoływał, unosząc z sobą zaród choroby, która go wkrótce życia pozbawić miała. W Wiedniu, pomimo uprzejmego przyjęcia ze strony jego wielbicieli, przyjaciół i familii cesarskiéj, zaczęły się pokazywać symptomata pomieszania zmysłów. Wrócił on jeszcze po raz ostatni do Paryża w 1845 roku, i widywano go przechadzającego się w towarzystwie służącego, z okiem przygasłem, twarzą ponurą, napiętnowaną wyrazem blizki, a nieszczęśliwy koniec przepowiadającym. W styczniu następnego roku umieszczono Donizettego w domu zdrowia Jory, w 1847 przeniesiono go do innego szpitala, i we wrześniu tegoż samego roku wyszedł ztamtąd, by wrócić do kraju rodzinnego. W przejeździe przez Bruxellę uderzony został silnym attakiem paraliżu, który ponowiwszy się w Bergamo, dnia 1 kwietnia 1848 r. wtrącił go do grobu w pięćdziesiątym roku życia. Całe miasto dumne ze sławy tego kompozytora, przyjęło udział w oddaniu ostatniéj posługi, i pogrzeb dokonany został z największą wspaniałością.

Słodki, uprzejmy, z umysłem bardzo wykształconym, powiada Scudo, Donizetti lubiony był powszechnie przez wszystkich, którzy go bliżéj znali. Dwór austryacki obchodził się z nim jak z dzieckiem domowém, a arcy-książę Karol zaszczycał go poufałą przyjaźnią. Miał on kilka sióstr i trzech braci, z których najstarszy był naczelnikiem wszystkich muzyk w Turcyi, z rangą generała brygady. Utraciwszy dosyć wcześnie ojca, którego nadzwyczajnie kochał, przechowywał ze czcią religijną prawie dowody jego wzajemnej dla siebie rodzicielskiéj miłości. Ożenił się Donizetti w Rzymie z córką tamtejszego adwokata; miał z nią dwoje dzieci, które w młodym bardzo wieku zgasły: ona téż sama po kilku latach pożycia małżeńskiego, w czasie panującéj tamże cholery, zmarła w r. 1835. Wszystkie swoje ojcowskie uczucia zlał na brata swéj żony, którego za własnego syna uważał. Donizetti jak wszyscy prawie włoscy kompozytorowie, śpiewał z wielkim gustem, zajmował się szczegółowo badaniem mechanizmu głosu ludzkiego, a nawet zostawił w tym względzie wypracowanie, które przypisał Akademii francuzkiéj. Czytał nuty doskonale i posiadał dar wybornego akkompaniowania. Czuły na wszelkie powodzenia, miewał chwile, w których jednakże wątpił o sobie i przewidywał złe powodzenie swych utworów. W Paryżu istniał oddawna zwyczaj, że na trzech piérwszych reprezentacyach opery włoskiéj, kompozytor powinien koniecznie znajdować się w orkiestrze. Donizetti dopiéro przełamał to prawo, a niechcąc być świadkiem piérwszego przedstawienia *Faworyty*, włóczył się po polach Elizejskich aż do piérwszéj po północy, niespokojny, pełen trwogi i niepewności o los dzieła, które miało

stanowić o jego sławie i wziętości w tém aż dotąd nieprzyjaznem mu mieście.

Przystępując teraz do ocenienia charakteru utworów Donizettego, przedewszystkiém należy zwrócić uwagę na okoliczność, która wywarła stanowczy wpływ na styl tego kompozytora.

W r. 1818, gdy Donizetti pierwszy swój utwór publicznie przedstawił, imię Rossyniego z uwielbieniem już było powtarzane w całych Włoszech: zapał z jakim przyjmowano *Tankreda*, *Cyrulika Sewilskiego*, a mianowicie *Srokę złodziéj* i *Otella* był niesłychany (1). Zachwyciwszy do swéj muzyki od Mayera i Paera, wziętych naówczas kompozytorów we Włoszech pochodzenia niemieckiego, nieco żywiołu germańskiego, Rossyni znacznie ubarwił i wzbogacił koloryt instrumentacyi orkiestrowéj; ustępom zbiorowym i finałom zakreślił rozmiar obszerniejszy, a staranném rozwinięciem chorów, dał im znaczenie, którego aż dotąd w operach wcale nie posiadały. Cóż dziwnego, że potęgą swego talentu zawładnąwszy przeważnie całą massą wielbicieli muzyki, stał się niejako dla artystów i młodszych od siebie kompozytorów wzorem, typem doskonałości, do jakiéj każdy rad jak najwięcéj zbliżyć się pragnął. Więc i Donizetti, na którym szczytne natchnienia tego mistrza niemały wpływ wywarły, uległ téj silnéj attrakcyi, jaką zawsze geniusz na wszystko co go otacza wywiera, i w pomysłach swoich starał się o ile być może wyrównać Rossyniemu. Ztądto w pierwszych swoich utworach pisanych przed 1830 rokiem, tak wiele jest naśladownictwa stylu Rossyniego, a nawet przez całe swoje życie nie mógł on się zupełnie od tego uwolnić. Następnie około r. 1827, pojawienie się Belliniego nie mogło także pozostać bez skutku na wrażliwym umyśle Donizettego. W *Annie Bolenie* łatwo można dopatrzeć przewagę stylu słodkiego śpiewaka *Piraty* i *Lunatyczki*. Więc mylą się ci, co Donizettemu naznaczają pierwsze miejsce po Rossynim w rzędzie tegoczesnych włoskich kompozytorów (2): bez zaprzeczenia należy się ono Belliniemu, gdyż pod względem oryginalności w melodyi, wyższym on jest znacznie od autora *Anny Boleny* (3). W sześćdziesięciu kilku operach Donizettego, daje się spostrzegać widoczna chęć naśladowania stylu tych dwóch wymienionych mistrzów.

(1) Sam Rossyni opowiadał, iż nigdy w życiu nie doznał takiego utrudzenia, jak podczas pierwszéj reprezentacyi *Sroki złodziéj*, a to z przyczyny licznych ukłonów, jakie zmuszony był czynić publiczności, na bezustannie ponawiające się okrzyki: *bravo maestro! e viva Rossini!* (Stendhal:—Vie de Rossini).

(2) Scudo: Critique et Litterature Musicales.

(3) Dopóki nie będzie zmienioną zastarzała forma pisania ważniejszych ustępów w operze włoskiéj, niepodobna wymagać od kompozytorów nowych pomysłów. Donizetti poszedł za przykładem, zwyczajem i przez swych poprzedników wskazanym; nie śmiał lub nie mógł inaczéj uczynić. Naprzykład weźmy aryą: *recitativo* zawsze służy za wstęp do

Jestto także prawdą, iż żaden z kompozytorów w początkach przynajmniéj swego zawodu oryginalnym być nie może; każdy w swéj duszy pieści się ideałem, do którego jak najwięcéj zbliżyć się pragnie: tak Mozart naśladował E. Bacha, Glucka i Hajdena; Beethowen Mozarta, Mendelsohn Beethowena, Bellini Paisiella i t. d., aż nareszcie kompozytor obdarzony prawdziwie wyższym talentem, stąpając zrazu po drodze przez poprzedników utorowanéj, siłą swego natchnienia bywa popchnięty w sfery odpowiednie potędze ducha twórczego, i odtąd zaczyna się epoka, w któréj umysł wyzwolony z więzów formy naśladowniczéj, staje się samodzielnym i tworzy nową, stosowniejszą dla swéj natury. Dziwna rzecz, iż Donizetti przebywszy kryzys szczęśliwie i dawszy niewątpliwe dowody samodzielności stylu, w większéj części ustępów *Lukrecyi*, *Łucyi*, *Lamermoru*, popadł znów w naśladownictwo Rossyniego i Belliniego, jak to każdy może się przekonać, przysłuchując się bacznie *Faworycie*, operze w dziesięć lat jednakże późniéj po tamtych napisanéj.

Ażeby umieć ocenić charakter słyszanéj muzyki, lub być w stanie twórcę jéj rozpoznać, na to nietrzeba być koniecznie muzykiem; należy tylko posiadać dar bystrego pojęcia, tudzież spamiętania głównieiszéj cechy kompozycyi i trafnego wyciągnienia z niéj wniosku o indywidualności jéj kompozytora. Ktoś powiedział: „styl, to człowiek"; otóż w muzyce zupełnie to samo. Napoleon I. który jak wiadomo nie grywał na żadnym instrumencie, dał dowód uczucia muzykalnego, o jakie niktby go nie śmiał posądzać.

Pewnego wieczoru miał być dany koncert w *Tuileries*; program składał się z sześciu numerów, a trzeci z porządku był kompozycyi Paisiella. Na probie, śpiewak, który miał ten numer wykonać, zachorował. Potrzeba było w to miejsce dać inny koniecznie tego samego autora, gdyż cesarz szczególne miał upodobanie w muzyce Paisiella. Ale pomimo największéj chęci, nie można było tego tak prędko uskutecznić, a zatém Gregoire, ówczesny sekretarz muzyki cesarskiéj, do którego należało programy układać, postanowił w miejsce numeru trzeciego, dać aryą kompozycyi Generali, jako niby utwor Paisiella. Zaledwie numer trzeci zaczęto, aż tu ku wielkiemu zdziwieniu grających, cesarz daje ręką znak, ażeby grać przestano; odwraca się do dyrektora muzyki nadwornéj i mówi:

— Panie Lesueur, ta muzyka nie jest Paisiella.

— Najjaśniejszy Panie, to ma być jego muzyka, wszak prawda Gregoire?

andante, po niém najczęściej ktoś wchodzi donosząc złą albo dobrą nowinę, następnie konieczną jest *cabaletta* w tempie żywém dwa razy się powtarzająca, że już nic nie powiem o *fermatach*, zwykle w wiadomych naprzód miejscach przypadających. Jeżeli zaś Donizetti tego nie uczynił sądzę, że i Verdi nie ma na to powołania.

— Tak jest Najjaśniejszy Panie! z pewnością.

— Panowie, musi tu zachodzić jakaś pomyłka; raczcie na nowo rozpocząć...

Po dwudziestu taktach, cesarz znów każe się wszystkim zatrzymać:

— Nie, nie—zawołał—to niepodobna: Paisiello ma daleko więcéj rozumu, onby tak nie komponował.

Grégoire odpowiada tonem najuniżeńszym:

— Może to jest dzieło w młodości pisane, może próbka tylko...

— Wiedzcie o tém panowie! — rzeknie z żywością Napoleon — że próbka nawet wielkiego mistrza, jakim był Paisiello będzie zawsze nacechowaną geniuszem, i nigdy nie może być tak płaską, jak oto ten ustęp, którego mi słuchać każecie!...

Tak trafny sąd muzyczny, godny był tego nadzwyczajnego człowieka: to też umiał on cenić piękność w sztuce, i posiadał wiele taktu w postępowaniu z niektóremi jéj apostołami. Podczas jednego z pierwszych przedstawień opery *Bardes*, cesarz zachwycony, kazał przywołać po trzecim akcie do swéj loży kompozytora i rzekł do niego w te słowa:

— Panie Lesueur, twoja muzyka jest bardzo piękną i zupełnie dla mnie nową: szczególniéj akt drugi jest wyższy nad wszelkie spodziewanie.

Wzruszony taką pochwałą, tudzież okrzykami i oklaskami ze wszystkich stron sali się ponawiającemi, Lesueur chciał się oddalić; Napoleon wziąwszy go za rękę pociągnął na sam przód loży i obok siebie postawił, mówiąc:

— Nie, nie, zostań; używaj twego tryumfu, bo podobny nieczęsto się powtarza.

W kilka dni późniéj, Lesueur otrzymał od Napoleona szkatułkę złotą z napisem:

Cesarz Francuzów autorowi Bardów.

Lecz wróćmy do Donizettego.

Wymieniłem powody, dla których ten kompozytor w początkach swego zawodu oryginalnym być nie mógł; teraz gdy się weźmie na uwagę zwykłą niedbałość i lekceważenie charakteryzujące głównie płodnych kompozytorów włoskich, tudzież przyzwyczajenie się do zbyt szybkiego na zamówienie pisania oper, bez dostatecznéj rozwagi i wykończenia w nich drobniejszych szczegółów, dziwić się nie można, że nawet późniéj, gdy talent jego przyszedł do kompletnéj dojrzałości, z tych wad zupełnie oswobodzić się już nie był wstanie.

Oprócz mnóstwa drobnych śpiewów, kantat, mszy i sześćdziesięciu pięciu oper z różném szczęściem na wielu teatrach przedstawianych, Donizetti zostawił jeszcze jednę niedokończoną, pod tytułem: *Duc d'Albe*. Sposób instrumentowania tego

kompozytora świetny, niekiedy potężny, rzadko jednakże oryginalny. Niezawsze w nim szczęśliwie koloryt dźwięku obmyślany, niewiele także modulacyi w harmonii: widać zbyt pospieszne i lekkie traktowanie orkiestry. Największą zaletę stanowi w nim wyborne akkompaniowanie głosom śpiewaków, dozwalające bez ogłuszania i zmęczenia wykonywać z łatwością najdelikatniejsze odcienia swych ustępów. Zarzucają także Donizettemu nadużycie pewnych formuł muzycznych, jakoto: crescenda i rytmowania krzyczącemi a pospolitemi instrumentami; lecz wady te wydadzą się jeszcze zaletami, jeżeli je kto zechce porównać z manierą najgłośniejszego dzisiaj kompozytora we Włoszech—Verdego. Ze wszystkich oper serio Donizettego, bez wątpienia najważniejsze są: *Łucya* i *Faworyta* W *Łucyi* jest więcéj natchnienia, w *Faworycie* rozwagi; w *Łucyi* więcéj pięknych melodyi, w *Faworycie* staranniejszego opracowania. W pierwszéj sekstet i scena grobowa uważane są za arcydzieło stylu Donizettego; w drugiéj finały drugiego i trzeciego aktu i cały czwarty, stawiają ich twórcę w rzędzie najznakomitszych tegoczesnych kompozytorów. *Łucya* od dawnego czasu używa na naszéj scenie zasłużonego powodzenia; *Faworyta* zaś, wystawiona kilka razy przez truppę artystów włoskich bawiącą u nas lat temu kilkanaście, dnia 31 lipca bieżącego roku wznowioną została, więc jako o mniéj znanéj operze, słów kilka powiedzieć tu wypada.

Najdrażliwszą rzeczą dla zdającego sprawę z opery włoskiéj, jest opisanie jéj treści; ani tam względu na charaktery osób działających, ani na prawdopodobieństwo sytuacyi dramatycznéj, ani na czas, w którym się ona odbywa uwagi nie ma. Kompozytor żąda tylko scen efektownych, nie troszcząc się wcale o to, czy w dramacie jest prawda i natura. Treść *Faworyty* należy także do rzędu tego rodzaju utworów, a u nas przez przeniesienie tańców z aktu drugiego do trzeciego, rzecz sama z siebie bardzo zawikłana, jeszcze więcéj skomplikowaną została. Więc nie mam potrzeby silić się na jéj wytłumaczenie, tém więcéj, że inne jeszcze powody są niemałą do tego przeszkodą.

Uwertura, czyli jak ją we Włoszech nazywają *symfonia*, odznaczająca się piękném motywem nie znajdującém się późniéj w operze, z ogniem i siłą instrumentowana, lecz niedosyć rozwinięta, niższą jest wiele od świetnéj, koncertowéj prawie uwertury przez autora w Wiedniu do *Maryi di Rohan* napisanéj. Po niéj idzie piękny romans na tenor i duet z sopranem; szkoda tylko, że po duecie, potrzeba słuchać *cabaletty* niekoniecznie w dobrym smaku skomponowanéj. W akcie drugim i trzecim, na większą uwagę zasługuje *cavatina* na baryton, arya Leonory i tercet, w ktorym ładny bardzo jest motyw barytonowy w guście Belliniego napisany. Finały obu tych aktów pełne dramatycznego efektu, potężnie instrumentowane, zbyt może przesiąkłe kolorytem, jakiego użył Rossyni w *Wilhelmie Tellu*, szcze-

gólniéj w recitatywach i gruppowaniu mass towarzyszącéj im dętéj harmonii; lecz mianowicie w trzecim akcie, wielkość pomysłów i obrobienie jest bez wątpienia po mistrzowsku dokonane. Akt czwarty umyślnie dla sceny paryzkiéj dorobiony, jest arcydziełem w swoim rodzaju. Twórca jego dowiódł, że był zdolnym wznieść się natchnieniem w sfery sztuki, przystępne tylko dla niewielu wybranych, a począwszy od chóru pokutników na cmentarzu, z którego wieje duch prawdziwie katolickiej pobożności, skruszonéj u stóp krzyża głębokiém, religijném rozpamiętywaniem, aż do recitatiwa Leonory łączącéj swe pienia z organami i głosami modlących się w świątyni: wszystko tam wzniosle pomyślane i z wielką umiejętnością i prostotą obrobione. Piękny romans tenorowy z niedokończonéj partycyi *le duc d'Albe* wyjęty i duet, godnie ten akt uzupełniają. Początek tylko tego duettu przypomina *Normę* i *Purytanów*, ale ostatni śliczny motyw zbyt hojnie słuchacza wynagradza, ażeby nie miał przebaczyć kompozytorowi téj mimowolnéj może zresztą pożyczki.

Potrzeba oddać sprawiedliwość artystom występującym w téj operze, iż starali się sumiennie wywiązać ze swego zadania. Panna Berini mając właściwszą dla swego głosu partyą jak w *Violecie* i *Trubadurze*, z większą dokładnością ją oddała. Młoda ta artystka po pierwszém zaraz wystąpieniu na naszéj scenie, umiała sobie zyskać sympatyą publiczności, która do dnia dzisiejszego nietylko że się nie zmniejszyła, lecz owszem zwiększać się zdaje: jestto rzeczą wielkiéj wagi w zawodzie artystycznym. Bez wątpienia, potrzeba niemało talentu i szczęścia ażeby na nią zasłużyć; lecz z drugiéj strony w obliczu opinii krytycznéj i odpowiedzialność jest większa. Czy panna Berini i nadal będzie umiała ją sobie godnie zachować, to późniéj zobaczymy.

Pan Ciaffei wykonaniem dwóch romansów, grą pełną ognia w finale trzeciego i duecie czwartego aktu, zyskał wiele oklasków; jestto najlepsza rola tego artysty.

P. Butti z roli Alfonsa wywiązał się z należytą dokładnością, szczególniéj ustęp w tercecie z wielkim smakiem odśpiewał.

Partia Baltazara mniejsza znacznie od poprzednich, wymaga tylko potężnego głosu bassowego i deklamacyi, mianowicie w finale drugiego aktu; zaprawdę nie jestto tak mało, jak się zdaje, lecz p. Miller posiada właśnie te dwa konieczne warunki. Natura dała mu piękny i silny organ, a praca znacznie go ukształciła, dlatego żadnéj roli ten młody artysta nie zepsuje.

Publiczność nasza przesyciwszy się już muzyką Verdego, z przyjemnością *Faworytę* powitała, a powodzenie téj pięknéj opery zdaje się być na długo utrwalone.

W miesiąc późniéj wznowiono na scenie Wielkiego teatru znaną powszechnie operę *Niema z Portici*, do któréj, jak wiadomo, Auber muzykę napisał i piérwszy raz dnia 29 lutego 1828 r. z niesłychaném powodzeniem w Paryżu wystawił. Artyści na-

si rzadziéj teraz występując przed publicznością, zrobili jéj prawdziwą niespodziankę, bo nikt nawet nie przypuszczał, ażeby bez Dobrskiego i panny Rywoli można było cokolwiekbądź porządnego wykonać. Istotnie, potrzeba oddać najszczersze pochwały p. Matuszyńskiemu, którego głównem staraniem tę wielką operę wystawiono, że przedsięwzięcie tak trudne, z zupełném powodzeniem do skutku doprowadzono. On sam największy w niéj udział przyjął odegraniem roli Mazaniella, a sumienne wywiązanie się ze swego zadania, tojest: dobry śpiew, gra pełna życia i ognia, były największą przyczyną jéj teraźniejszego powodzenia P. Miller godnie dopomagał p. Matuszyńskiemu, i jeżeli były jakie maleńkie niedokładności, które z pierwszego wrażenia krytyka odsłoniła, to artyści nie powinni się tém zrażać, bo najprzychylniejsza dla nich samych ręka je kreśliła, mając jedynie na celu dobro ogólne sztuki naszéj i przyszłość jéj, niestety! pochmurnie się ukazującą.

II.

Lato jest jedną z pór roku najnieprzyjaźniejszą teatrom i koncertom. Każdy kto może z miasta się wymyka czy na wieś, czy za granicę; a więc i artyści podróżują, bo wiedzą o tém bardzo dobrze, iż nikt nie zechce cisnąć się do sali dla słuchania przez dwie lub trzy godziny podczas nieznośnego gorąca muzyki chociażby najpiękniejszéj, artysty nawet najznakomitszego. Antoni Kątski, tak głośnego imienia wirtuoz, ogłosił koncert dnia 20 czerwca w sali resursowéj, a niewiele osób się zebrało, bo dzień i godzina do tego stosownemi nie były. Jedni brak słuchaczy na koncercie przypisywali bytności Renza i jego towarzystwu sztucznych jezdców w Warszawie, drudzy biorąc niby rzecz pod rozbiór poważniejszy, przesytowi, jaki publiczność uczuwa ze słuchania koncertów. Jednakże niech Kątski przyjedzie w jesieni lub zimie, niech ogłosi koncert, a pewny jestem, iż niezbraknie mu chętnych zawsze do podziwiania jego znakomitego talentu słuchaczy.

Na poranku muzycznym, danym przez Pistora i jego ośmioletnią córeczkę, dnia 13 lipca, było stosunkowo więcéj bez porównania osób; lecz artysta ten zasiedziały u nas od lat kilku i członek orkiestry Wielkiego teatru, przymiotami osobistemi i pięknym talentem na harfie, umiał sobie zjednać znaczną liczbę wielbicieli, którzy z gotowością przynoszącą chlubę naszemu miastu, pospieszyli nagrodzić oklaskami cenionego powszechnie artystę i zachęcić do dalszéj pracy młodą jego córkę, okazującą tyle zdolności do tego ubogiego wprawdzie pod względem mechanicznym, lecz bogatego i poważnego w tradycyą instrumentu.

Dnia 28 lipca, na scenie teatru Rozmaitości odbył się popis szkoły dramatycznéj, tudzież wyższéj i niższéj szkoły śpiewu.

Dlaczego fakt ten dosyć ważny w kronice sztuk naszego miasta nie miał stosowniejszéj i jawniejszéj uroczystości? tego pojąć nie można. Wszak pomyślność i rozwój sceny naszéj nie może i nie powinny być obojętnemi naszéj publiczności, wszak teatr zajmuje niepoślednie miejsce w obyczajach życia naszego; więc jeżeli żywo nas obchodzi dzisiejszy stan jego, tém więcéj interesu budzić w nas powinien wszelki pojaw mogący być rękojmią przyszłéj jego pomyślności: a zaledwie mała tylko liczba osób mająca bliższą styczność z teatrem i opiekunowie lub krewni popisującéj się młodzieży wiedzieli o tém i uzyskali pozwolenie znajdowania się na popisie. Wielka szkoda, iż publiczność nie wzięła sama udziału w ocenieniu zdolności młodych ludzi, którzy może z chlubą będą kiedyś podporą i ozdobą sztuki krajowéj. Czyliż obawiano się, ażeby pisma peryodyczne zbytniemi i przesadzonemi pochwałami nie sparaliżowały młodych talentów, będących na drodze kształcenia i postępu? O! dzisiaj chwała Bogu, pozbywamy się pomału owéj wzajemnéj admiracyi, która przez długi czas tamowała wszelki rozwój na drodze sztuki, szerząc pychę, rozniecając zarozumiałość i tolerując błędy, co były trucizną, co były mieczem katowskim niszczącym w samym nieraz zarodzie wszelki postęp. Gorzka, cierpka prawda, wypowiedziana od serca, ale w celu dobra i pomyślności sztuki, więcéj przyniesie korzyści, jak nierozsądne i przesadzone pochwały; boć przecie wszystkim wiadomo, iż schlebianie nie jest dowodem miłości i uznania. Wracając zaś do popisu, wyznać potrzeba, że ci, co mieli sposobność na nim się znajdować, z przyjemnością zauważali kilka młodych talentów, a mianowicie w osobie panny Gąsowicz do ról pierwszego rzędu, i pp. Piaseckiego (syna znakomitego niegdyś artysty dramatycznego), Trapszo i Ostrowskiego, kształconych pod światłym kierunkiem dyrektora teatrów Jasińskiego, a zarazem nauczyciela szkoły dramatycznéj. W kilku przez siebie wykonanych scenach *z Matki rodu Dobratyńskich*, *Odludków*, *Szkoły starców* i t. d. uczniowie dali dowody znacznie już rozwiniętych zdolności.

W wyższéj szkole śpiewu, któréj nauczycielem jest p. Matuszyński reżyser opery, najwięcéj się podobał ładny i sympatyczny głos contr-altowy panny Niemczykiewicz, która wykonała ze smakiem i czystą bardzo intonacyą *barkarollę* włoską i duet *z Proroka* wraz z panną Rybicką. Pan Meller nauczyciel niższéj szkoły śpiewu, przedstawił chór złożony z samych chłopców, a w wykonanych dwóch ustępach *z Dziewicy Orleańskiéj* i *Śpiewie wieczornym* na same głosy, niewiele do życzenia pozostawało.

W tym samym rodzaju, tylko z większą okazałością, zasłużony artysta p. Mirecki w Krakowie, dnia 29 lipca b. r. w obec licznego zgromadzenia słuchaczy, odbył popis szkoły śpiewu, zostającéj od czasów założenia pod jego kierunkiem. Niezmordowany ten artysta i kompozytor, mimo podeszłego wieku, nie

przestaje pracować na pożytek sztuki i współziomków, zaszczepiając dobry smak i budząc zamiłowanie do muzyki. Onto był założycielem szkoły muzycznéj w Krakowie, która mu też swój wzrost zawdzięcza. „Ostatni jéj popis, powiada korrespondent Gazety Warszawskiéj (obacz nr. 228), jest niezbitym dowodem, że ani wiek, ani stargane siły nie potrafiły w p. Mireckim ostudzić gorącego zamiłowania, z jakiém się zawsze pracom około niéj oddawał. Precyzya, z jaką się popis ten odbył w całym ciągu swoim, nadawała mu raczéj charakter koncertu, aniżeli proby młodocianych artystów. Z pomiędzy dawniejszych zwłaszcza uczniów p. Mireckiego, parę głosów obiecuje wiele. Oby się nadzieje te spełniły, na pociechę naszę i zacnego nauczyciela, który w powodzeniu swych elewów najwyższą swych usiłowań znajduje nagrodę."

Pozostaje mi jeszcze jeden ważny fakt do wymienienia, a tym jest wieczór muzykalny, dany dnia 24 lipca b. r. w domu państwa K., znanym z zamiłowania do muzyki wokalnéj.

Od dawnego już czasu zbierali się w nim amatorowie i artyści, przepędzając wieczory nad wykonaniem różnych utworów muzycznych; podano myśl, by złączywszy wspólne usiłowania, wykonać jakie wyższe treścią i znaczeniem dzieło. Gdy się na to chętnie wszyscy zgodzili, wybrano czwarty akt *Proroka*. Sama gospodyni domu posiadająca piękny głos contr-altowy, podjęła się najważniejszéj partyi, tojest: roli Fidés; a zachęcając przykładem i namową, zebrała chóry, urządziła proby, na których z wytrwałością pracowano nad tak śmiałém i nadzwyczajnie trudném przedsięwzięciem. Nareszcie gdy po wielu koniecznych studyach osądzono, że można już przystąpić do wykonania, zaproszono przyjaciół domu, znajomych, i z powszechném wszystkich zadowolnieniem to wielkie dzieło wykonano. Państwo K. widząc jak wszystko nadspodziewanie dobrze poszło że wiele osób zaczęło objawiać prośbę, by można jeszcze raz powtórzyć, i że nareszcie wielu nie wiedząc o tém lub nie śmiejąc przybyć do obcego domu, żałować będzie, iż nie mogli słyszeć utworu tak znakomitego i t. d.: postanowili raz jeszcze wykonać, lecz już publicznie niejako, a nałożywszy pewną opłatę na słuchaczy, fundusz, jaki się z tego miał zebrać, przeznaczyli na cel dobroczynny. Skoro myśl ta z ochotą przez wszystkich przyjętą została, przystąpiono z większą jeszcze energią do pracy, dodano kilka numerów do programu, i wkrótce w domu powyżéj wymienionym w następującym porządku wykonano:

Część piérwsza.

1. Uwertura z opery *Otton łucznik*: (Adama Müncheimera).
2. 4-ty akt *Proroka:* (Mejerbera).
   a) Chór mieszczan.
   b) Romans *Fidés*: pani K.

c) Marsz koronacyjny, wykonany na fisharmonii przez p. Müncheimera, a na cztery ręce na fortepianie przez pp. Dulckena i Einerta.

d) Modlitwa i przekleństwo: pani K. i chór.

e) Chór dzieci i chór ogólny.

f) Finał: Fidés, pani K.—Jan: p. Matuszyński i chór.

Część druga.

1. Uwertura z *Yelva* (Reissygiera) na cztery ręce pp. Dulcken i Einert.

2. Błogosławieństwo Matki z *Proroka*: pani K.

3. Chór Anabaptystów, z 1go aktu téjże opery.

Wykonanie było dobre i staranne; może pod względem ogólnéj precyzyi zostawało cokolwiek do życzenia: potrzeba było więcéj jeszcze studyów, by śmieléj niektóre okresy tych ogromnie trudnych ustępów wypowiedzieć. Oczywiście, że to wymagało czasu i oderwania się od rozlicznych zajęć koniecznych w codziennem życiu tak artystów jak i amatorów; lecz co się tyczy cieniowania, najwięcéj wymagający w tym względzie zadowolnionym być musiał.

Głos pani K. jest silny, równy i rozległy; bez tych zalet niepodobna odważyć się na odśpiewanie roli Fidés: oprócz tego dobra i właściwa deklamacya jest tu jeszcze warunkiem niezbędnym. Pani K. przyzwyczajona do wykonania powiększéj części włoskiéj muzyki, któréj ekspressya zupełnie jest odrębną i niestosowną w takiéj partyi, dzięki sumiennéj pracy umiała z tego wyjść zwycięzko, a oklaski jéj śpiew okrywające, jak z jednéj strony były objawem zadowolnienia słuchaczy, tak z drugiéj, nagrodą za trudy podjęte w chęci przyniesienia ulgi cierpiącéj ludzkości.

Wspaniały finał 4go aktu *Proroka*, wymagający trzech oddzielnych chórów i organów, przedstawiał najwięcéj trudności w egzekucyi. Fisharmonia zastąpiła organ, a chóry z wielką i zaszczyt przynoszącą towarzystwu śpiewających dokładnością, były wykonane. P. Matuszyński jako artysta posiadający wieloletnią wprawę i doświadczenie, recitativa roli Jana wybornie wypowiedział; żałowano tylko, iż dla nagłéj słabości panny Rywoli, nie mógł mieć miejsca duet, należący do czwartego aktu pomiędzy Bertą i Fides; ale pani K. wynagrodziła to w części dodawszy jeden jeszcze numer do programu.

Uwertura Müncheimera w poważnym charakterze skreślona, a wykonana na cztery ręce, była dosyć stosowną na rozpoczęcie tego wieczoru; mniéj dobrze wydała się Reissigiera: bo ani charakterem, ani fakturą nie odpowiedziała wielkości muzycznéj ustępów, pośród których wmieszaną została.

Fakt powyższy służy za jeden więcéj jeszcze dowód wykształcenia i zamiłowania do poważnéj muzyki naszych amato-

rów i artystów. Świadczy on także korzystnie o publiczności, która nie pominie żadnéj sposobności, by nie przyczyniła się chętnie do dobrego i szlachetnego celu. Zaraz po skończonym wieczorze, uproszone przez gospodarzy osoby, zajęły się rachowaniem summy ze sprzedaży biletów zebranéj; rozdzielono ją na dwie części: jedną rozdano pomiędzy ubogich artystów, a drugą przeznaczono dla *Towarzystwa wsparcia artystów muzyki, tudzież pozostałych po nich wdów i sierot.* Wielu z czytelników nie wié zapewne, coto jest *Towarzystwo wsparcia artystów muzyki* i t. d., jakie są jego warunki istnienia, jakie cele; mnie samego już wielokrotnie o to wypytywano. Postanowiłem więc chociaż w krótkości powiedzieć słów kilka o téj chwalebnéj i dobroczynnéj instytucyi.

Towarzystwo wsparcia artystów muzyki, tudzież pozostałych po nich wdów i sierot, założone zostało w 1837 roku, a to w celu „przyjścia w pomoc artystom muzyki, których większa część, jak doświadczenie naucza, wiekiem lub chorobą przyciśniona, pozbawioną zostaje sposobu do życia. Szlachetnie myślący i czuli na niedostatek i ubóstwo muzyków, przyjaciele, tak nazwani amatorowie téj sztuki, łącznie z wielu artystami, zawiązali pomiędzy sobą towarzystwo wzajemnego wsparcia, podług warunków następujących" (obacz zasady tegoż towarzystwa z 1846 r.).

Każdy artysta lub amator muzyki bez różnicy stanu, płci, wieku lub wyznania, może zostać członkiem towarzystwa.

Podający się na członka, winien złożyć świadectwo urzędowe lekarza miasta Warszawy lub właściwego powiatu, iż znajduje się w stanie zupełnego zdrowia i nie podlega żadnemu organicznemu defektowi, skutkiem którego ciężka choroba, lub zupełna utrata zdrowia nastąpićby mogła.

Kandydat podany na członka towarzystwa nie może być przyjęty, jak za przedstawieniem czterech członków, którzy zaręczą za dotychczasowe jego przyzwoite prowadzenie się. Przy przedstawieniu go na sessyi, złoży natychmiast na raz jeden tytułem wpisowego złp. 6 czyli kop. 90, złp. 12 czyli rs. 1 kop. 80, lub złp. 18 czyli rs. 2 kop. 70, stosownie do klassy opłaty miesięcznéj, jaką wnosić się obowiązuje.

Każdy członek towarzystwa opłaca miesięcznie z góry składkę dzielącą się na trzy klassy:

W I. płaci się miesięcznie złp. 1 (kop. sr. 15).
W II. „ „ złp. 2 (kop. sr. 30).
W III. „ „ złp. 3 (kop. sr. 45).

Wybór klassy zależy od woli członka. Dwadzieścia lat pobytu w towarzystwie i 50 lat wieku mężczyzny, a 40 kobiety, nadają prawo do stałéj płacy, czyli emerytury. Opłacający składkę miesięcznie po złp. 1, pobiéra rocznie złp. 180, czyli rs. 27. Opłacający po złp. 2 pobiéra rocznie złp. 300 czyli rs. 45, a zaś opłacający po złp. 3, pobiéra rocznie złp. 420, czyli rs. 63.

Każdy członek towarzystwa po upływie lat 6-iu pobytu w towarzystwie i opłacający regularnie składkę, w razie ciężkiéj choroby lub kalectwa pozbawiających go zupełnie możności zarobkowania, ma prawo bez względu na wiek, do czasowego wsparcia, które pobierać będzie stosownie do opłacanéj przez siebie miesięcznéj składki, aż do zupełnego wyzdrowienia. Wdowy po członkach, którzy zawarłszy związki małżeńskie przed 50 rokiem życia, opłacali składkę przez lat 20, mają prawo do połowy tego wsparcia, jakie służyło ich mężom. Zaś wdowy pozostające z dziećmi, jakakolwiek ich będzie liczba, mają prawo do całkowitego wsparcia, tojest: wdowa do jednéj, a dzieci do drugiéj połowy. Sieroty bez matki pozostałe po członku towarzystwa, który składkę przez lat 20 opłacał, do skończonych lat 14 wieku mają również prawo do całkowitego wsparcia.

Zarząd towarzystwa powierza się komitetowi składającemu się z prezesa, vice-prezesa i sześciu członków, z których trzech zawsze do amatorów, trzech do rzędu artystów muzycznych należy; nadto z poborcy składek i wszelkich wpływów, jeśli ten już do komitetu nie należy.

Komitet zarządza interesami towarzystwa, utrzymuje kassę, prowadzi protokuł posiedzeń, pobiéra składki i inne dochody, lokuje je stosownie, wszakże przedstawiając poprzednio zgromadzonym członkom na sessyi ogólnéj cały interes pod ostateczne rozstrzygnienie większością głosów zgromadzenia; utrzymuje listę członków, wydziela wsparcie, wybiéra delegacye z pomiędzy członków towarzystwa, przestrzega ścisłego stosowania się w działaniach i dążności towarzystwa do ustawy ogólnéj, składa rapporta właściwéj władzy o stanie towarzystwa i o obrocie funduszów, jak równie o wszelkich ważniejszych czynnościach. Słowem, komitet zatrudnia się wszystkiém, co należy do utrzymania i polepszenia bytu towarzystwa.

Prezes i wice-prezes co lat cztery większością głosów są obierani na ogólném towarzystwa zebraniu. Członkowie komitetu odnawiają się podobnemiż wyborami i co lat cztéry w jednéj trzeciéj części, podług starszeństwa zasiadania w komitecie.

Obecnie prezesem jest JW. generał lejtnant Abramowicz prezes Dyrekcyi Teatrów i widowisk w Królestwie, a wice-prezesem, znany zaszczytnie w świecie muzykalnym książę Kazimierz Lubomirski.

Komitet w obradach swoich większością głosów rozstrzyga: w razie równości głosów za i przeciw, prezydujący zyskuje głos dodatkowy.

Fundusze towarzystwa składają się z kapitałów hypotekowanych, które posiada towarzystwo, z wpisowego, z składek miesięcznych i wszelkich ofiar i zapisów pochodzących od amatorów muzyki i artystów tak krajowych, jako téż zagranicznych.

Towarzystwo może lokować kapitały swoje nietylko w Banku Polskim, lecz i na hypotece nieruchomości w mieście Warszawie położonych; a to tylko do piérwszéj połowy szacunku przez Dyrekcyą ubezpieczeń wykazanego.

Komissya rządowa spraw wewnętrznych i duchownych, potwierdziwszy ustawy tegoż towarzystwa, uczyniła następujące zastrzeżenie: Że gdyby fundusze towarzystwa okazały się niewystarczającemi na udzielenie wsparć wszelkiego rodzaju, mocą ustawy zapewnionemi; w takim razie, piérwszeństwo do otrzymania takowego mieć będą artyści ubożsi, przyciśnieni wiekiem lub kalectwem, a przez to niebędący w stanie dalszego zarobkowania, tudzież wdowy i dzieci po nich pozostałe, a to w miarę uznania towarzystwa.

Obecnie, gdy pomyślność bytu tego towarzystwa nie ulega żadnéj wątpliwości, gdy coraz więcéj się wzmaga zamożność jego, licząc dzisiaj w gronie swojém kilkuset członków, posiada kapitał przenoszący summę 100,000 złp. na hypotekach ulokowany. Rok przyszły jest ważnym dla towarzystwa, albowiem przypada w nim dwudziesto-letni termin jego istnienia, a więc pewna liczba członków przystąpi do praw emerytury, stosownie do wysokości przez ten czas opłacanéj składki. Przyszłość towarzystwa nie wzbudza żadnéj obawy: bo jeżeli z każdym rokiem emerytów przybywać będzie, to i fundusze jego znacznie się powiększają; sam procent od kapitałów z łatwością opędzi potrzeby wydatków, a gdyby i to nie wystarczało (czego wcale nie przypuszczam), wówczas towarzystwo, o którém mowa, mogłoby urządzić na swój dochód peryodyczne koncerta, a nasza publiczność tak zawsze skora do dobrych uczynków, pewnieby pszyszła w pomoc sprawie w tak szlachetnym i chwalebnym celu urządzonéj. Zresztą, piękny przykład pani K. nie pozostanie zapewne bez echa w sercach naszych współziomków, znajdzie naśladowników, a Bóg dobréj myśli błogosławić będzie i uczynki nagrodzi.

M. K.

Przechadzki po Wilnie i jego okolicach przez Jana ze Śliwina (Adama Kirkora). Wilno. 1856.

Zajmującego tego dzieła i sumiennie opracowanego wyszło dwa zeszyty: całość składać się będzie z XVII przechadzek, a 4ch zeszytów. Do piérwszego zeszytu dołączony jest widok Wilna z góry Boufalowéj, do ostatniego plan tegoż miasta.

Ażeby oznajomić czytelników naszych z tą ważną dla nas publikacyą, przywiedziem tu wstęp na czele umieszczony przez autora:

„Chcecie wskrzesić w pamięci dzieje lat ubiegłych? Chcecie poznać starożytności starego grodu Swentoroga? W Wilnie na każdym kroku znajdziecie coś ciekawego, budującego, co wam przypomni bohaterskie czyny Litwinów, otworzywszy księgę ich życia pełnego cnót i zasług, przywar i nałogów. Wilno, to żywa kronika staréj Litwy, świadek jéj sławy przeszłéj i upadku. Wilno bogatsze i szczęśliwsze od innych miast naszych, bo miało kilku znakomitych i zasłużonych dziejopisów i badaczów, z któremi bynajmniéj nie ważymy się iść na wyścigi: lecz właśnie dlatego, że tak wiele pisano o Wilnie, że zdania o jednym i tym samym przedmiocie krzyżują się, chcącemu poznać starożytności naszego grodu, trzebaby było szukać w mnóstwie dzieł, czytać wiele tomów. Naszym więc zamiarem jest pobieżnie przynajmniéj rzucić okiem na starożytności Wilna, oprowadzić czytelnika po jego wązkich i krzywych ulicach, wskazać nasze kościoły, nasze cmentarze, gdzie tyle mężów czynu i sławy spoczywa, gdzie tyle nadziei runęło: nasze stare gmachy, z któremi tyle wspomnień związano. Ażeby dziełko niniejsze zrobić przystępném dla każdego, i żeby ono mogło służyć za skazówkę, lub przewodnika, zdawało się nam najwłaściwszem, podzielić miasto na kilka przechadzek, w których towarzysząc czytelnikowi, będziemy wskazywali przedmioty godne uwagi. Przygotowani jesteśmy do bardzo słusznego zarzutu, że nie wszędzie tłumaczymy się ze źródeł, szczególniéj w opowiadaniach różniących się z tém lub owém dziełem o Wilnie napisaném. Lecz w książce niemającéj nawet ścisłéj formy historycznéj, niepodobna było wchodzić w szczegółowe rozprawy. Podajemy czytelnikom nie historyą, nie kronikę, ale przechadzki."

Z tego stanowiska wychodząc autor, w dwóch zeszytach ogłosił XI przechadzek. Obszerniejsze sprawozdanie podamy po wyjściu całego dzieła, teraz poprzestajem na tém krótkiém zawiadomieniu, pewni, że praca ta znanego chlubnie w piśmiennictwie naszém autora, znajdzie u miłujących pamiątki ojczyste i współczucie serdeczne i poparcie.

ROZMAITOŚCI.

Najdawniejszy cmentarz pod Warszawą.

W olbrzymich usiłowaniach, jakie ku pociesze ducha postępowego względem dziejów Warszawy są teraz przedsiębrane, z serdeczną radość ą dla społeczeństwa spostrzegamy, iż piérwsze owoce tych prac, starań i zabiegów są poświęcone cieniom praojców naszych, drogim popiołom rodzinnym, spoczywającym w obrębie stolicy. Z jednéj strony zasłużony autor Cmentarza Powązkowskiego wzorowo nam skreśla, gdzie te szacowne szczątki za miastem spoczywają; z drugiéj strony biegłe pióro p. Juliana Bartoszewicza, już nam w Opisie Kościołów Warszawskich ogłasza pochowanych i uczczonych pomnikami w świątyniach tego grodu. Zespoliwszy oba te wydawnictwa zdawało się, iż wszystkie pamiątki w tym przedmiocie, na téj ziemi miejskiéj znajdujące się, będą wydarte pożerczéj przyszłości. Przypadek zrządził wykrycie, iż w tym właśnie czasie, kiedy prace powyższe są już na ukończeniu, wynalazłem ku pociesze człowieczeństwa stałą trzecią siedzibę popiołów mieszkańców Warszawy, gdzie krocie ich jeszcze spoczywają, do naszych czasów w łonie ziemi ukryte. Uzupełniające więc te wiadomości pospieszam dziś ogłosić.

Wyszukując niedawno wszelkich szczegółów o mało nader znanym kościołku Ś. Krzyskim w Polu, inaczéj Gwardyackim zwanego, natrafiłem na kilka dowodów urzędowych, iż Warszawa miała swój odrębny stały cmentarz za miastem, już od początku XVII wieku. Że zaś do téj chwili nietylko autor szacownego dzieła o Cmentarzach Warszawskich, ale i wszyscy piszący dzieje tego grodu, nie wyłączając i siebie samego, byli tego zdania, iż miejsca wiecznego spoczynku dla Warszawian bywały do roku 1781 tylko przy kościołach w stolicy znajdujących się; zanim przeto dowody spomnione, dosłownie zamieszczone w drukującym się

tomie V Starożytności Warszawy, będą wiadome ogółowi, gończym biegiem podaję te kilka słów, w przedmiocie zupełnie dotąd nieznanym.

Gromadząc już materyały do opisu morowego powietrza w Warszawie z r. $162^4/_5$, jaki ogłosiłem w tomie III méj pracy; natrafiłem na kilkorakie poślaki, że w owym czasie zmarłe osoby wyznania Rzymsko-Katolickiego na tę klęskę, chowano w okolicach późniejszego Żoliborza (1). Nie mając jednak stanowczych dowodów, gdzie grzebano w następnych latach zmarłych na powietrze, tak często się powtarzające w Warszawie, nie mogłem z śladu powyższego żadnych następnych wniosków w tym przedmiocie wysnuć. Wprawdzie niektóre szczegóły trwającego moru w r. 1605, jakie zamieściłem w *Opisie Trzech Kęp na Wiśle pod Warszawą* (2), wskazywały mi pewny wątek, iż i w wspomnianym roku już musiano w tejże okolicy chować zapowietrzonych; nie posiadając jednak stanowczéj pewności miejsca, musiałem jeszcze milczeniem to pominąć. Z takiemi poślakami łączyły się ciągle następne badania nad tą plagą, tylokrotnie Warszawę nawiedzającą. Te zaś poszukiwania, gdy mię dziś utwierdziły w przekonaniu o nieomylném istnieniu stałego cmentarza za Warszawą już od XVII wieku: owoc więc ten dziś składam i dorzucam, jako uzupełnienie innych prac tegoczesnych.

Dzieje téj stolicy z wieku XVII. na mocy poszukiwań już stwierdzonych, przekonywają, iż najliczniejsze napady powietrza objawiały się w tém mieście w rzeczoném stuleciu. Oto ich dotąd znany szereg: 1602, 1605, 1613, 1622 (3). 1624, 1625, 1628, 1629, 1630, 1631, 1645, 1652, 1656, 1659, 1660, 1661, 1662, 1673, 1675, 1677, 1678 i 1679: razem 22 pojawy nie licząc innych, jakie się mogą nam jeszcze wykryć przy dalszych badaniach. Biorąc więc przecięciowo, wypada, iż zaraza dotykała mieszkańców tego miasta wśród jednego stulecia w niespełna co 5 lat. Liczne te napady moru, krociowe chłonąc ofiary mieszkańców tego grodu, zniewalały władzę miasta dla ocalenia następnych pokoleń do wydalania nietylko zapadłych na mór za obręb ówczesnéj Warszawy, ale i ciała zmarłych praojców naszych. Ażeby zaś tém sprężystszą ostrożność zachować, w przecięciu wszelkiego zespolenia żyjących z zmarłemi, lub zapadłych na mór, z trupami zapowietrzonych; bogobojna troskliwość przodków niedaleką stanowiąc odległość cmentarza zapowietrzonych od miejsca, gdzie ich za miastem leczono, ścisłą strażą dla czujności sanitarnéj otaczała i szpitale polowe zapadłych, i cmentarz zmarłych na tę klęskę. Wiemy już, że śmiercią karano zuchwalców przekraczających te granice; lecz przy takim ruchu i napływie ludności

(1) Strona 7 w przypisie pierwszym.
(2) T. III strona 4 i następne.
(3) Tylko na Pradze; patrz tom III w artykule *Wiadomość Historyczno-Statystyczna o morowém powietrzu w r.* $162^4/_5$ str. 4.

w jaką się wzmagała Warszawa od czasu, kiedy rezydencyą królów polskich się stała w r. 1596. następnie wśród krociowego napływu cząstek narodu w czasach elekcyi pod Wolą, gdzie mnóstwo osób nieznających miejscowości i okolic Warszawy wpływało do niéj, ostrożność i przezorność w chowaniu i strzeżeniu ciał zmarłych na powietrze, nakazywała wydalać za miasto w jedno dobrze oznaczone miejsce i otoczenie go z obwarowaniem, dla zabronienia wszelkiego dostępu. Bez tego bowiem środka, krocie osób przesuwających się po okolicach Warszawy, a nieznających jéj miejscowości, byłoby narażanych najniewinniéj, zwłaszcza w porze nocnéj, albo na śmierć gotową od straży pilnującéj grobów, albo od przejęcia jadu z okolicy, gdzie ciała zapowietrzonych spoczywały. Sama więc gwałtowna potrzeba zaradzania najsmutniejszym następstwom, nietylko dla saméj Warszawy ale nawet dla całego kraju, wywoływała konieczność ustanowienia oddzielnego cmentarza za miastem, okolonego bądź wałami, lub płotami.

Jeden środek ochrony wywołał następną potrzebę. Bogobojna żarliwość praojców w spełnianiu świętych obowiązków religii, walcząc między widoczną śmiercią z zarazy, a gotowością niesienia ulgi w opatrywaniu śś. Sakramentami konających, oraz grzebania religijnego już zmarłych, przekładając stanowczo życie duchowe nad doczesne, nie zapomniała o przybytku Pańskim, gdzieby tego rodzaju posługi religijne były natychmiast udzielane. Władza miasta kierowana mocą ducha Chrystyanizmu, wcześnie już, bo w piérwszéj połowie XVI wieku, zbudowała własnym kosztém skromną kaplicę w polu za Nową Warszawą, wśród cmentarza zapowietrzonych, gdzie wierni w Chrystusie zasilani śś. Sakramentami, krociowych pociech religijnych doznawali. Ubogi naprzód i skromny dom modlitwy, wspierany licznemi ofiarami bogobojnych Warszawian, coraz poważniejszą postać przybiérał. Znakomite fundusze dozwoliły zwiększyć go i wymurować. Nareszcie przy napływie i wzroście szczególnym téj okolicy miasta, kiedy gwardye koronne uzyskały tam około r. 1725 stałą swą siedzibę, książę August Czartoryski wybudował około r. 1753 téj wielkości kościół, w jakiéj przetrwał do roku 1832. Był to więc jedyny przybytek Pański w obrębie późniejszym Warszawy, który został założony przez władzę miasta. Dlatego też tak zwane *jus patronatus* czyli *collationis*, ciągle magistratowi Staréj Warszawy służyło aż do r. 1816.

Najdawniejszy dotąd dowód cmentarza zapowietrzonych pod stolicą, znajdujemy pod r. 1675 w aktach wójtowsko-ławniczych miasta Staréj Warszawy (1). W tychto ważnych księgach wyczytujemy pod d. 21 listopada, iż ks. Szymon Piędzik kapłan kościołka pod godłem *Zdjęcia z Krzyża ś. za Nową Warszawą w polu* położonego, kwituje wykonawców testamentu Stefana Winkle-

(1) Księga 561, str. 257.

ra pisarza skarbu kor. z odbioru 300 ówczesnych złotych, zapisanych przez tego urzędnika na rzecz wspomnionego przybytku. Oto wyjątki dosłowne z tego pisma, stanowiące dowody do naszego przedmiotu:

1od W samym tytule: Quletatur de legato executores testamenti olim Nobilis Winkler *per capellanum pestilentiorum*. Z tego wnioskujemy, iż dla utrzymywania ciągłéj służby na tym cmentarzu, był już w r. 1675 stały pasterz, mający czuwać nietylko nad udzielaniem śś. Sakramentów zapadłym na tę klęskę, lecz i to, że do jego także władzy należało odbieranie funduszów, zapisanych testamentami przez zmarłych od morowego powietrza. Domniemywać się powiem można z dalszéj osnowy tego aktu, iż Stefan Winkler niedawno (jak piszący przywodzi) zmarł w Warszawie *non ita pridem pie defunctus*; a wiemy, iż w tymże roku 1675, silne powietrze grassowało w téj stolicy. Kapłan tego cmentarza nazywany jest także w rzeczonym akcie prowizorem. Byłto tytuł nadawany w owych czasach zarządcom szpitali. Z tego wnioskować możemy, iż szpital połowy zapowietrzonych, jako blizki miejsca ich wiecznego spoczynku, mógł także należeć do zarządu tego duchownego.

2re W osnowie tego aktu znajdujemy następujący początek „Coram eodem officio actisque praesentibus advocatiaibus et scabinalibus civitatis Antiquae Varsaviae comparens personaliter Reverendus pater Simon Piędzik capellae Depositionis Christi Domini extra Novam Civitatem *ubi peste sublati supeliuntur* consistentis provisor et capellanus etc. etc "

„Przed tymże urzędem i aktami niniejszemi wójtowsko-ławniczemi miasta Staréj Warszawy, stawił się osobiście wielebny ksiądz Szymon Piędzik kapłan i prowizor kaplicy Zdjęcia z Krzyża Sgo za Nową Warszawą położonéj, *gdzie chowani są zmarli z morowego powietrza i t. d.*"

W uchwale magistratu miasta Staréj Warszawy z d. 22 czerwca r. 1682 wyczytujemy postanowienie „Imci księdzu (opuszczone w oryginale nazwisko) przy kaplicy w polu za ulicą Zakroczymską nazwaną leżącéj zostającemu, względem summy złotych sta polskich przez nieboszczyka (znów opuszczono) piekarza i mieszczanina warszawskiego powietrzem zmarłego, testamentem jego legowanéj, teraz *medietatem* (połowę) złp. 50 z sprzedanych rzeczy ludzi zapowietrzonych, które na ratuszu zostawały, zapłacić."

Najgłówniejszy i stanowczy dowód co do istnienia tego cmentarza, obejmuje uchwała tegoż magistratu z d. 5 lutego roku 1753 w osnowie następującej: „Tenże szlachetny JPan prezydent (Paweł Andrychowicz) doniósł szlachetnemu magistratowi, iż jaśnie oświecone książę imci wojewoda ruski generał gwardyi J. K. M. i Rzpltéj, pieszéj, chce kościołek pod tytułem św. Krzyża w polu stojący, jako zrujnowany reparować i on *dotare* (uposażyć) z tą kondycyą, aby miasto Stara Warszawa jako *collatores* et jure

patronatus gaudentes rekomendacyą plebana tegoż kościołka, do prezenty którego tenże J. O. książę Imci promowować będzie, pro semper (na zawsze) akceptowało. Zaczém zważając potrzebę tegoż kościołka znacznie zrujnowanego et jus patronatus z dawności czasów miastu serviens (służące), in futurum suo in robore (na przyszłość w swej mocy) utrzymując, *gdzie ciał z Radnych i innych mieszczan pod czas powietrza zmarłych wiele pochowanych było conclusum i t. d.*

Z akt wójtowsko-ławniczych miasta Staréj Warszawy, posiadamy pewną wiadomość, że Marcin Łukaszewicz rajca i pisarz tego koła w temże mieście, człowiek godny, cnotliwy, dobry, miastu temu bardzo potrzebny, radą zdrowy (1), dotknięty morową zarazą zmarł d. 6 września r. 1656, a mimo tego został pochowany w kościele św. Jana. Żeby to zdarzenie nikomu nie posłużyło za zarzut przeciw mojéj dziś podawanéj wiadomości, winienem spółczesnemi dowodami objaśnić, dlaczego ten wyjątek nastąpił i w jaki sposób. Wiemy już z podań dziejowych, że mimo odebrania szturmem Warszawy z rąk szwedzkich dnia 1 lipca r. 1656, stolica ta po przegranéj trzydniowéj bitwie pod Pragą w dniach 28, 29 i 30 lipca t. r. znów dostała się w moc Szwedom, a wojska polskie w różne strony kraju cofnęły się. Wtedyto najezdzcy wywiérając zemstę na bezbronnych mieszkańcach, tysiącznemi ich zdzierstwami i dolegliwościami trapili. Karol zaś Gustaw już doświadczywszy oręża polskiego przy dobyciu przez naszych Warszawy, nie mając zamiaru probowania drugi raz tego szczęścia, postanowił mury stolicy rozwalić, a nawet, jak spółczesny w aktach ławniczych mówi pamiętnik *„grozili się ostatek w popiół obrócić i lud wyścinać.“* Karol zmiękczony łzami i prośbami mieszkańców, rozkazał wstrzymać rozwalenia resztki murów miejskich, a tymczasem pędził za wojskami polskimi aż do Rawy, zkąd dalsze działania prowadził, zostawiwszy w Warszawie na załodze tylko jednego kapitana z 24 muszkieterami. Lecz i ci wkrótce wydalili się około dnia 5 września r. 1656. Wśród tego właśnie zmarł d. 6 września rzeczony rajca Łukaszewicz. Miasto nie wiedziało gdzie są Szwedzi, było bez żadnéj załogi i obrony. Ówczesny zaś obręb jego już kończył się na murach prawie zniszczonych, bo zresztą wszystko popalono. Oddanie należne czci zasłużonemu i znakomitemu urzędnikowi w obrzędzie pogrzebowym, na cmentarz tak odległy od Staréj Warszawy, pociągnęłoby znaczny napływ osób, a bójki nieprzyjacielskie, często jeszcze w okolicach Warszawy dały się słyszéć. Walcząc więc między bojaźnią śmierci od nieprzyjaciół, a zgonem od przejęcia zarazy, ufni w Opatrzność Boską przy należytém pochowaniu ciała zasłużonego urzędnika, wybrano w takiém terroryzmie spokojniejsze i tajemne pochowanie w saméj ziemi lochów kościoła ś. Jana. Tajemnica ta jeszcze do dziś dnia pozostała w jego nagrobku, jaki mu Szymon

(1) Wyrażenie spółczesne z ksiąg wójtowsko-ławniczych.

Narożnicki spółczesny sekretarz królewski, w téj świątyni wystawił. Nie wymieniono tu ani rodzaju śmierci, ani dnia kiedy umarł; dodano wprawdzie rok 1656, ale w piérwszéj połowie tego roku, jeszcze nie grassowało powietrze w Warszawie. Z wyrazów zaś *immatura fata*, nikt nieznający szczegółów zkądinąd, ani domyślać się nie może, że zmarł Łukaszewicz dotknięty morem. Pochowano go więc nie w katakumbach tego kościoła, jak to zwykle miało miejsce, ale dla ostrożności w saméj ziemi należącéj do lochów piwnicznych tejże kollegiaty. Szczegóły napisu jego pomnika, ogłoszone nam w kronice téj świątyni przez księdza Kurowskiego, bliżéj to poświadczają.

Piérwotnie cmentarz ten mieścił w sobie tylko same ciała zmarłych od morowego powietrza. W połowie XVIII wieku osoby zwykłą śmiercią kończące swe życie, zaczęto tam grzebać. Kiedy bowiem pożercza klęska moru, przez sprężyste uporządkowanie miasta coraz rzadziéj w XVIII wieku zaczęła dla szczęścia ludzkości grassować, a wzrastająca ludność stolicy i za nią ilość ubogich i chorych znacznie zwiększała się: magistrat Staréj Warszawy, czuwający głównie nad szpitalami ś. Ducha i ś. Łazarza, rozkazał, aby ciała zmarłych w tychże zakładach, grzebać także na cmentarzu ś. Krzyskim w Polu. Uchwała téj władzy z d. 5 lutego r. 1753 stanowi: „aby jednak tém prędzéj materyały (do budowy kościoła gwardyackiego) przez ten czas sporządzone być mogły, *determinatum* (zgodzono się), żeby szpitale dwa, ś. Łazarza i ś. Ducha, *które tegoż miejsca dla pochowania ubogich zmarłych potrzebować będą*, każdy z nich po Złp. 1000 w jednym tygodniu kontrybuowały, co lchmość prowizorom tychże szpitalów *in calculo acceptabitur* (w rachunku będzie przyjęte)."

Mimo tak pomnożonych ciał w obrębie tym chowanych, przybyła w tym także czasie inna jeszcze ludność, tamże mająca się grzebać, a to z następującego zdarzenia. Książę August Czartoryski generał gwardyi pieszej koronnéj, pozyskawszy już zezwolenie od magistratu Staréj Warszawy, na wystawienie nowego kościoła Św-Krzyskiego w Polu, musiał na to otrzymać jeszcze approbacyą właściwéj władzy duchownéj. Że zaś zamierzał niektóre zmiany poczynić dla ulgi swego rycerstwa, a te zmniejszały dochody proboszcza tamtejszego, należało w drodze sądu duchownego sprzeczności te załatwić. Antoni Kazimierz Ostrowski biskup nominat inflancki i piltyński, jako kustosz tutejszéj kollegiaty i officyał warszawski, zawezwał w tym celu przed sąd swój wszystkie strony interesowane. Z wyroku jego pod d. 16 marca r. 1753 wydanego, dowiadujemy się, iż ze strony księcia Czartoryskiego plenipotent jego Maciéj Łachowski żądał dozwolenia 1): na budowę nowego kościoła; 2): na otoczenie cmentarza murem; 3): w nagrodę kosztów na to, przez księcia wojewodę mających się ponieść, domagał się między innemi, aby proboszcz kościoła Sto Krzyskiego w Polu, nie wymagał żadnéj zapłaty za pochowanie officerów z gwardyi pieszej kor., bądź w kościele, bądź na

cmentarzu w ziemi pochowanych, wyjąwszy, gdyby sami dobrowolnie co ofiarowali. „*a sepultura tam in ipsa ecclesia quam in coemeterio militum regiminis guardiae Regni (nisi aliquid sponte offeratur) nihil quidquam praetendere debere.*" Piskup Ostrowski po wysłuchaniu żądań i obron od stron stawających, wyrokiem wyżej wspomnionym, między innemi urządzeniami. postanowił co do chowania ciał na tym cmentarzu w tych słowach: „*quotiescunque aliquem de militibus catholicis e vivis decedere occurrerit, corpus ejus in coemeterio sive in sepulchro ecclesiae memoratae, proul ratio, status et officii demortui exegerit, gratis omnino (nisi ipsi pro funeralibus a defuncto aut superioribus aliquid sponte oblatum fuerit) sepeliri.*

„Ile razy zdarzy się pochowanie zmarłego wojskowego katolika, ciało jego ma chować ksiądz proboszcz na cmentarzu lub w grobie kościoła rzeczonego, a to odpowiednio do okoliczności stanu i rangi nieboszczyka, zawsze jednak zupełnie bezpłatnie (wyjąwszy gdyby jemu (proboszczowi) coś na pogrzeb od zmarłego albo zwierzchników dobrowolnie ofiarowano."

Oprócz tych osób kilka już natrafiłem śladów, że w miejscu tém chowano także skazanych przez wyroki sądowe na śmierć, poczynając nawet od samego dowódzcy Nalewajki (r. 1596). Ale nie posiadając jeszcze stanowczych dowodów, przedmiot ten jako wątpliwy, muszę pozostawić do dalszych badań. Tymczasem dodam kilka słów o zewnętrznéj postaci tego cmentarza. Podług wizyt kościoła Sto-Krzyskiego w Polu z roku 1714 i 1721, cmentarz ten rozciągał się między dwiema drogami publicznemi: jednéj prowadzącéj do folwarku szpitala miejskiego Śgo. Ducha *Fawory-ta* zwanego, i tam od zachodu żadnego nie miał ogrodzenia; drugiej ku północy rozciągającéj się do Polkowa, i z téj strony w czasie wizyty r. 1714, było już wystawione ogrodzenie murowane, przez ówczesnego proboszcza tego kościołka Jana Langhansa psałterzysty kościoła św. Jana. Czyli ono było następnie dokończone, nie ma na to dowodów. Prawdopodobnie, że to nie przyszło do skutku, kiedy książę Czartoryski generał gwardyi pieszej kor. chciał w r. 1753, jakeśmy wspomnieli, nietylko nowy kościół wymurować, ale i cmentarz ogrodzić murem.

Podług spomnionéj wizyty z r. 1714, cmentarz ten mieścił także w sobie kostnicę (ossarium). Ta, jak spisujący przytacza, leżała w stronie północnéj kościoła: była małego obwodu, lecz murowana i dachówkami kryta. Budynek ten jak z jednéj strony usprawiedliwia stałość cmentarza i liczne tamże groby, tak z drugiego stanowiska, staranne jego i trwałe utrzymywanie dowodzi wielkiego uszanowania praojców, jakie słusznie przywiązywali do przechowywania tych drogich pamiątek rodzinnych. W roku 1770, kiedy pierwsze stałe okopy wystawiono za staraniem Stanisława Lubomirskiego marszałka W. Kor., cmentarz ten wszedł dopiéro w obwód stolicy.

Przy urzędowym wymiarze całéj Warszawy w r. 1784, kiedy piérwsze numerowanie domów zostało uskutecznione, cmentarz ten rozciągał się w następującym kierunku: od ulicy Fawory bok jeden miał długości łokci kor. 94, zaś od ulicy Gwardyi takichże łokci 107, licząc na śmigę i tworząc ku północy kąt roztwarty. Położony był zaraz za plebanią.

Zamykamy dzisiejsze nasze podania jeszcze jednym ustępem, który dotyczy w ogóle wszystkich chrześciańskich cmentarzy pod Warszawą, a szczególnie tak zwanych dawniéj dyssydentów. Kiedy w r. 1790 w skutek uchwały sejmowéj, właściciele domów mieli składać kommissyi brukowéj, wymiary szczegółowe swych posiadłości, podług wzoru przez władzę miasta przepisanego; znalazłem w takim egzemplarzu possessyi nr. 2002 w rubryce *tylne stykanie się*, iż rzeczona nieruchomość graniczyła „Z Kirchofem dyssydenckim gwardyi pieszej koronnej.” Z tego się wyjaśnia, iż rycerstwo z tego pułku wyznania rzymsko-katolickiego, byli chowani na cmentarzu kościołka gwardyjskiego, zaś wyznania luterskiego lub kalwińskiego, w oddzielnym cmentarzu rzeczonéj possessyi dotykającym. Innych wiadomości o tych mogiłach dotąd nie wynalazłem. To tylko dodam, że podług planów szczegółowych Warszawy z r. 1829, cmentarz ten graniczył od zachodu z tyłami possessyi nr. 2002 i 2003, a od wschodu dotykał Wisły i był położony przy ulicy Półkowskiéj. W r. 1829 miejsca te już są oznaczone jako place puste. Dziś jak wiadomo, obadwa te cmentarze zespoił obręb Cytadeli Alexandrowskiéj.

Pisałem d. 24 września 1856 r.

Alexander Wejnert.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

W dniu 2gim października b. r. odbył się w naszych stronach jeden z tych rzadkich obrzędów, które wyrywają ducha z więzów materyalizmu, unoszą go w sferę wyższych jego przeznaczeń, okazując tém całą szlachetność natury ludzkiéj. Byłoto publiczne i uroczyste oddanie hołdu pamięci czcigodnego męża, nie podczas pogrzebu, co weszło już w zwyczaj i tak jest dziś pospolitém, a mając miejsce pod wpływem wrażenia wywołanego wypadkiem, zwykle nie daje miary zasług zmarłego; lecz mam tu mówić o hołdzie oddanym w lat kilka po zgonie, kiedy po przejściu zbytniéj żałości mogliśmy już sprawiedliwie i bez przesady ocenić wielkość poniesionéj straty. Hołd ten nie zależał jedynie na świe-

tném żałobném nabożeństwie, lecz połączonym był z ustanowieniem trwałej pamiątki dla przyszłych pokoleń, o ile tylko człowiek coś trwałego utworzyć może. Mówię tu o wzniesieniu i poświęceniu grobowego pomnika na cześć ś. p. ks. Pawła Szymańskiego prałata i dziekana kapituły chełmskiej, b. professora i dziekana wydziału teologicznego w b. Uniwersytecie Warszawskim, zmarłego po przeszło dziesięcioletnim między nami pobycie d. 3 grudnia 1852 r. we wsi Dobratyczach.

Licznie zebrane w d. 2gim października b. r. w tém miejscu duchowieństwo grecko-unickie, nietylko z okolicy, lecz z dalszych stron przybyłe, dowiodło tém jak umié cenić znakomite zasługi, które mąż ten dla kościoła, kraju i nauk położył, nietylko w zawodzie nauczycielskim, kształcąc młodzież uniwersytecką, a późniéj w Akademii duchownéj w Warszawie na światłych kapłanów, ale w całém swém życiu nacechowaném taką miłością Boga i bliźnich, silną i niezachwianą wiarą, zamiłowaniem nauk i poświęceniem się pracowitym badaniom dziejów kościoła i starożytności krajowych.

Po odbytém solenném nabożeństwie, w którém przyjęło udział całe zebrane duchowieństwo, wprzytomności okolicznych obywateli i włościan miejscowych; wszyscy obecni udali się na cmentarz przed nowowzniesiony pomnik na mogile ś. p. prałata. Tam celebrujący dnia tego W. ks. kanonik Jankowski proboszcz włodawski w assystencyi duchowieństwa dopełnił obrządku poświęcenia, a ks. Kalinowski proboszcz parafii Horoszczynka w pięknéj mowie przypomniał obecnym cały żywot zmarłego, wybitnie i z uczuciem odmalował jego cnoty i zasługi. Chciałbym przytoczyć z niéj niejeden piękny ustęp, lecz przechodzi to zakres krótkiego sprawozdania ciekawych więc szczegółów życia ś. p. ks. Pawła Szymańskiego, odsyłam do jego biografii (lubo zbyt treściwéj), którą umieściłem w Bibliotece Warszawskiéj w r. 1853.

Pomnik ś. p. prałata wykonanym jest z ciosowego kamienia w stylu starożytnym: łączy on powagę z prostotą właściwą grobowcowi kapłana i uczonego; jest w kształcie kapliczki, umieszczony na wysokim piedestale otoczonym piękną i trwałą balustradą żelazną. Na samym jego szczycie wznosi się krzyż, niżéj pod arkadą wspartą na dwóch pilastrach umieszczony medalion przedstawia w płaskorzeźbie pełne szlachetności oblicze zmarłego. Medalion ten otaczają gałązki palmowe i oliwne, godła religijne, księgi i zwoje papieru (1). Pod spodem czytamy ten prosty napis:

(1) Płaskorzeźbę tę wykonał p. Józef Mantzel, którego prace rzeźbiarskie zyskały pochwały znawców na zeszłorocznéj wystawie szkoły sztuk pięknych w Warszawie, a cały pomnik wykonany był w zakładzie jego ojca p. Jana Mantzla znanego w kraju z tak licznych dzieł rzeźbiarza.

Ks. Pawłowi Szymańskiemu
Doktorowi S. Teologii
Prałatowi i Dziekanowi Kapituły Katedralnéj Chełmskiéj
Dziekanowi wydziału Teologicznego
w b. Uniwersytecie Warszawskim
Mężowi pełnemu Cnót Chrześciańskich
zasług w Kościele i głębokiéj nauki,
Brat jego i Obywatele Podlascy
wznieśli ten pomnik r. 1856.

(na podstawie)

urodził się w r. 1782 we wsi Orchówku w powiecie Radzyńskim, umarł r. 1852 w Dobratyczach.

Dla objaśnienia tego napisu dodać muszę, że gdy mimo znacznéj ofiary przez ks. kanonika Jana Szymańskiego brata zmarłego, a miejscowego proboszcza, brakło funduszu na dokończenie tego pomnika: wielu obywateli z podlaskiego oraz przyjaciele ś. p. prałata, pragnąc przyczynić się do uczczenia jego pamięci, złożyli dobrowolne hojne ofiary, tak, iż z zebranéj ogólnéj summy około 400 rubli, wzniesiony został dość okazały pomnik. Czyn ten wyższy nad zwykłe pochwały wydobywam z ukrycia, nie żeby przez to uczcić ludzi, którzy w tak szlachetném dziele wzięli udział, gdyż wiem, iż zrobiwszy to nie dla próżnego rozgłosu, w swém sercu piękniejszą odnieśli nagrodę; lecz w tym celu, aby czyn ich mógł znaleźć naśladowców: wieluż to bowiem zasłużonych krajowi mężów spoczywa w téj ziemi bez należnego im poszanowania. nie mając na swym grobie nawet prostego kamienia z napisem, świadczącym o ich życiu chwalebnie i pożytecznie dla ziomków spędzoném.

Dodaję tu małe sprostowanie: wieś Dobratycze, w któréj zmarł i pochowanym jest ś p. ks. Paweł Szymański, nie leży na starém Podlasiu, jak niedawno w pewnéj gazecie wyrażono w doniesieniu o stawiać się mającym tamże pomniku, lecz w dawném za czasów Rplitéj województwie Brzesko-Litewskiém, a dzisiaj w gubernii lubelskiéj, powiecie bialskim, między miastem Terespolem a Kodniem, czyli blizko granicy Królestwa. Pomnik, o którym tu mowa, wznosi się pod tą wsią na wiejskim cmentarzu; widok jego z traktu pocztowego wśród smutnéj, jednostajnéj okolicy mile uderza oko podróżnego i mimowolnie nasuwa mu myśl o zasługach czcigodnego kapłana, który przebywszy długi zawód trudów i poświęceń, resztę dni swoich spędził w ustroniu pod ubogą strzechą wiejskiego plebana, i tu zajaśniał cnotami, a w końcu dał całéj okolicy budujący przykład śmierci sprawiedliwego.

Nad Bugiem, d. 8 października 1856 r.

J.... Ł....

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

W piérwszych dniach listopada wyszedł z druku Kalendarz wydawany przez Obserwatoryum Astronomiczne Warszawskie, na pięknym welinowym papierze, w 8ce, str. 268, ozdobiony wizerunkiem Najjaśniejszego Pana. Kalendarz ten oprócz zwykłych wiadomości kościelnych (święta są czerwono odbite) astronomicznych i meteorologicznych, ułożonych w porządku ułatwiającym ich potrzebę i pożytek; zawiera nadto pomiędzy innemi następne artykuły. *W oddziale kościelnym:* Wykład uroczystości boskich i ich obrzędów przez ks. Pawła Rzewuskiego. *W oddziale statystycznym:* Główniejsze wiadomości statystyczne o Królestwie Polskiém z r. 1856; Wykaz miast Królestwa, czyją są własnością. W któréj leżą gubernii i powiecie, nad jaką rzeką i ich ludność; Statystykę przemysłu fabrycznego, rzemiosł i handlu Królestwa. *W oddziale historycznym:* Dom Cesarsko-Rossyjski. Wykaz genealogiczno-statystyczny wszystkich państw Europy; Kronika współczesna piérwszych 9ciu miesięcy 1856 roku. *W oddziale lekarskim:* O środkach zaradczych przeciw księgosuszowi. *W oddziale informacyjnym:* Wiadomość o zakładach naukowych Okręgu Naukowego warszawskiego, wewnętrznem ich urządzeniu i formalnościach wymaganych przy zamieszczaniu w nich młodzieży; O instytucyach ubezpieczeń w Królestwie; O towarzystwie kredytowém ziemskiém: informacye potrzebne dla właścicieli dóbr i posiadaczy listów zastawnych. Wymienienie miejsc urzędowania ważniejszych władz wojskowych i cywilnych w Warszawie. Nareszcie tabelle poczt, drogi żelaznéj i t. p. Sądzimy, iż wyliczenie powyższych artykułów jest dostateczne dla wskazania treści nowego Kalendarza: nie wątpimy więc, iż publiczność nasza przekonawszy się o jego użyteczności, chętnie go przyjmie. Z naszéj strony witamy z radością to przedsięwzięcie tak właściwe dla pism tego rodzaju, które przedewszystkiém mają służyć do ciągłego użytku i informacyi.

— Zakład litograficzny M. Fajansa wydał ozdobny chromolitografowany kalendarz ścienny na r. 1857. W mniejszym jest formacie, bo małego pół arkusza, na dwie strony, na każdéj po sześć miesięcy kalendarza wyłącznie polskiego. Z piérwszéj strony pod drzewem, w całéj postaci siedzi Mikołaj Rej z Nagłowic, bawiący się z młodą sarną, w środku Jan Kochanowski ze stojącą przy nim Urszulą, obok Sebastyan Klonowicz z psem przy nogach. Z boku na Wiśle widać flisów z komiegami. Wokoło i pod nogami ich godła rycerskie i rolnicze gustownie ułożone. Z drugiéj strony w starożytnych niszach, z lewéj Wojciech z Brudzewa, z prawéj Mikołaj Kopernik w młodym wieku. We środku napisy: „Wojciech z Brudzewa astronom, nauczyciel Kopernika, ur. 1445 † 1497. Mikołaj Kopernik Astronom ur. 1473 † 1543. Mikołaj Rej z Nagłowic prozaik i poeta ur. 1507 † 1569. Jan Kochanowski najcelniejszy poeta polski ur. 1530 † 1584. Sebastyan Klonowicz twórca Flisa i Worka Judaszowego, ur. 1551 † 1608.”

— Nowy zakład litograficzny p. Pecq przygotowywa również na r. 1857 kalendarz chromolitografowany w pół-arkuszowym formacie. Ten będzie miał razem daty starego i nowego kalendarza, święta wyłącznie nowego. Rysunek przedstawia zdjęcie z krzyża Chrystusa: gruppa z kilkunastu osób złożona. Kalendarz ten będzie mógł służyć na długą ozdobę mieszkań, jako przedstawiający obraz śmierci Zbawiciela, a tym samym w większém poszanowaniu przechowywany.

— Równocześnie z wymienionemi kalendarzami ściennemi, wyjdzie zapowiedziany oddawna: „Kalendarz naukowo-symboliczny, układu Ludwika Godlewskiego" chromolitografowany w Paryżu u Lemerciera. Format wspaniały, wielkiego arkusza. Ośm postaci wieśniaków i wieśniaczek naszych, widoki Wilna, Ojcowa, Sejnów, Łazienek, Czerniakowa, Mokotowa i Saskiéj-kępy, obok symbolów zdobi ten kalendarz; jak również popiersia Juliusza Cezara, Grzegorza XIII papieża, i posąg Kopernika. Nie wątpimy, że ten kalendarz, owoc wieloletniéj pracy sumiennéj, znajdzie pokup i upowszechnienie.

— Karol Drzewiecki znany autor dramatów: „Kontrakty, i Wiśniowieckiego", napisał komedyą p. n. „Skąpiec", która wkrótce ma być graną na naszym teatrze. Schwytał w niéj szczęśliwie typ oryginalny skąpca naszych czasów, domorosłego na polskiéj ziemi, niemającego żadnego związku ze Skąpcem Moliera. Cieszymy się, że zdolne pióro swoje Drzewiecki zwrócił na pole dramatyczne, na którém oprócz kilku imion jak Fredry, Korzeniowskiego, Magnuszewskiego, Gorczyńskiego, Szajnochy, Bogusławskiego i Syrokomli, wielkie ubóstwo panuje.

— W dalszym ciągu wydawnictwa pism J. I. Kraszewskiego w nowéj edycyi, nakładem H. Natansona, wyszła powieść: „Ostrożnie z ogniem", z jednym drzeworytem Henryka Pilatego, przedstawiającym ostatnią scenę powieści. Następnie wyjdą w tém wydaniu „Dziwadła".—Jermoła, powieść którąśmy w naszém piśmie ogłosili, wyszła oddzielnie w staranném wydaniu z drukarni Gazety Codziennéj.

— Nakładem S. H. Merzbacha wychodzi zeszytami: „Tomasza Święckiego Historyczne pamiątki znamienitych rodzin i osób dawnéj Polski: w rękopiśmie przejrzał, przypisami uzupełnił i wydał Fr. Henryk Lewestam." Autor Starożytnéj Polski, po przygotowaniu do druku trzeciego wydania tego dzieła, zajął się na lat kilka przed zgonem „Historycznemi pamiątkami". Uważał on tę pracę swoję jako dopełnienie „Starożytnéj Polski", i resztę dni starganych mozolném życiem jéj poświęcił. Czerpał głównie z Niesieckiego, Siarczyńskiego i t. p. dzieł, ale wiele wyciągów z rzadkich druków i z rękopisów, które miał pod ręką, dodawał. Wydanie obecne staranne, w sześciu zeszytach a w 2-ch tomach zamknie całość. Wydawca przyrzeka przypiski swoje na końcu każdego tomu, a oprócz tego dołączy dwie przedmowy: autora i swoję. Sądzimy, że należałoby dołączyć i dokładny życiorys zmarłego Święckiego; ważne szczegóły potemu, czerpane z pewnych źródeł, znajdzie wydawca w „Historyi literatury polskiéj w zarysach" K. Wł. Wójcickiego, i w Opisie Cmentarza Powązkowskiego tegoż autora w tomie 1-ym.

— Nakładem tegoż księgarza wyszło ważne i ułatwiające wielce naukę astronomii dzieło p. n „Budowa nieba, czyli astronomia popularna

figurami objaśniona". Oryginał znakomitego amerykańskiego astronoma professora i dyrektora szkół w Nowym-Yorku A. Smitha, spolszczył zasłużony piśmiennictwu krajowemu T. Dziekoński b. dyrektor gimnazyum. Tłumacz w przedmowie mówi: „Nie dla saméj tylko młodzieży ważném jest to dziełko: i ogół czytającéj publiczności korzystać z niego może, mając zwłaszcza w trafnych i wybornie wykonanych wizerunkach uzmysłowione, niejako niezbędne do ukształcenia ogółowego, wiadomości. Jeżeli bowiem illustracye stanowią powab każdéj nauki, w dziełku obecném są one niezbędnemi, ułatwiając niesłychanie poznanie ogromu Bożego świata". Wykład téj pięknéj nauki ułożony na pytania i odpowiedzi, ułatwia wielce przedmiot przy dokładnych wizerunkach. Polecamy to użyteczne dzieło, gdyż z niego w domowém naszém wychowaniu, niemałe ucząca się młodzież odniesie korzyści.

— Donieśliśmy już naszym czytelnikom o owym *białym kruku*, t. j. opisie Warszawy przez Jarzemskiego muzyka nadwornego króla Władysława IV. Pisma nasze wspominały o przedruku téj osobliwości. Wiadomo, że Niemcewicz, dziełko to wierszem napisane przerobił na prozę, i w Pamiętnikach o dawnéj Polsce podał; ale wiele błędów popełnił, i co najważniejsza, odjął właściwą cechę pracy Jarzemskiego. Nasz badacz F. M. Sobieszczański, który od lat wielu pracuje nad opisem Warszawy, mając w ręku exemplarz zupełny, zamierza wydać przedruk wierny Jarzemskiego, z przypisami, które wyjaśnią wiele szczegółów co do miejscowości naszego miasta, a będące niezrozumiałemi dla dzisiejszych czytelników. Wartoby, aby przy tém krytyczném wydaniu dołączone zostały widoki Warszawy i gmachów znakomitszych współczesnych opisowi Jarzemskiego.

— Pod pseudonimem Józefa Kwiatkowskiego, w pismie „Przyroda i przemysł" wychodzącém w Poznaniu, dał się poznać młody Ludwik Biernacki, który po siedmiu latach pobytu za granicą, wykształcony naukowo powrócił do kraju: obecnie pracuje nad ułożeniem nowego aparatu elektromagnetycznego, o czém późniéj szczegółową podamy naszym czytelnikom wiadomość.

— Dowiadujemy się, że znaczny a ważny zbiór listów Jana Sobieskiego, nieznanych zupełnie, znajduje się w ręku uczonego Zygmunta Helcla. Rękopism ten był niegdyś własnością Samuela Bandtkiego, który do niektórych oryginałów dołączył kopią ze zbiorów innych własnoręcznie przepisanych. Po śmierci S. Bandtkiego pomnik ten dziejowy przeszedł w ręce rodziny żony naszego badacza, a teraz nabył go Z. Helcel. Spodziewamy się, że bliższe szczegóły i objaśnienia udzielić raczy teraźniejszy właściciel, a umiejąc cenić drogocenne pomniki przeszłości, może się i sam zajmie ogłoszeniem ich drukiem.

— Nakładem Karola Bernstejna wyszedł znany poemat Antoniego Malczeskiego „Marya", a cena jego jest najniższa, bo tylko 20 groszy. Wydawca dodał fantazyjną postać nibyto Maryi. Nie pojmujemy tego dodatku. Prawdziwe wizerunki Gertrudy Komorowskiéj istnieją i widzieliśmy jéj miniaturę w 2ch exemplarzach: ubiór jéj i przystrój głowy odpowiadał owoczesnéj modzie. Taki wizerunek miałby jeszcze wartość, ale dodawać urojoną postać, i fałszywie ją przedstawiać za główną bohaterkę poematu, to się nie godzi, i żadnego nie dopatrujem w tym celu, jak

tylko wabika na pokup. Wydanie staranne.—Tenże księgarz zachęcony pokupem w wielkiéj liczbie taniego wydania Maryi, zamierzył w równie nizkiéj cenie ogłosić seryami, wybór najnowszych poezyi p. n. „Klejnoty poezyi polskiéj".

— Władysław Wieczorkowski, młody nasz badacz dziejowy, współpracownik naszego pisma i Kroniki krajowéj i zagranicznéj, w miesiącu wrześniu r. b. wyjechał do Włoch, i w najłagodniejszym klimacie Syrakuzy szuka pomocy na słabość piersiową. W pracy sumienny, obejściem i charakterem szlachetnym potrafił obudzić dla siebie szacunek tych wszystkich, którzy go bliżéj poznali. W Album które wziął z sobą na pamiątkę, wyczytaliśmy wiersz znanéj z talentu pani S. z Ż. P. który tu w całości podajemy:

Jak lotna jaskółka, z pod strzechy rodzonéj
Jesienną wygnana szarugą:
Podążasz za słońcem w nieznane ci strony,
Opuszczasz nas braci na długo.
Jaśniejszym promieniem napieścisz tam oczy,
Pierś wonią napoisz kwiecistą;
Tam złotym cię sztuka urokiem otoczy,
Lecz nie masz nad strzechę ojczystą!
Tu dłuta, ni pędzla cudowna potęga
Nie skradła niebiosom promieni;
Ztąd w czarów dziedzinę myśl łacno nie sięga,
Do zdroju zaklętych strumieni.
Nie skryły téj ziemi spleśniałe mchem gruzy,
Nie brzmiało Wirgilich tu słowo,
Nie płakał tu Petrark u źródeł Wokluzy,
Nie wniknął Dant w otchłań grobową.
Tu zacni oracze od miecza i pługa,
Pracują po Bogu na roli;
A miłość i wiara ich cała zasługa,
I ufność stateczna w złéj doli.
Tyś także do pługa przyłożył już dłonie
I *Boga-Rodzica* twe hasło;
Strzeż bracie ogniska w młodzieńczém twém łonie
Ażeby w obczyznie nie zgasło!
Niech Bóg cię prowadzi przez cudze obszary,
Niech Marya cię słoni w potrzebie:
A bracia i siostry, jak zwyczaj chce stary,
Pomodlą się społem za ciebie.

— Księgarz warszawski Alexander Nowolecki, po wydaniu w staranném edycyi powieści Waleryi Morzkowskiéj p. n. „Nowy Gladyator," ogłosił wydanie dwóch dzieł p. Ścisłowskiéj, autorki znanéj już chlubnie w piśmiennictwie naszém: Wspomnienia z przejażdżki po kraju; dzieło dla młodych czytelników, 2 tomy; i „Nad-Bużne powiastki i obrazki" Leona Kunickiego we 3 tomach. Kunickiego drukowało pismo nasze tak Obrazki jak i mniejsze powieści. Wdzięczne pióro tego młodego pisarza, dążność szlachetna, postacie pełne prawdy, rzewność uczucia z talentem

oddane, zjednały mu współczucie czytelników polskich. Utwory jego pióra ogłaszały od czasu do czasu nasze pisma codzienne, tak Dziennik Warszawski, jak i Gazeta Codzienna.

— Wzorów sztuki średniowiecznéj Alexandra Przezdzieckiego i Ed. Rastawieckiego, seryi drugiéj, wyszły dwa zeszyty 8 i 10. Obejmują: 1) Relikwiarz łęczycki z XI wieku; 2) Laskę sądową miasta Kurzelowa z XIV wieku; 3) Chrzcielnicę w kościele Ś. Krzyża w Bodzentynie z wieku XV; 4) Chrzcielnicę w kościele S. Jana w Toruniu z XIII wieku. Text tak polski jak francuzki Alexandra Przezdzieckiego.

— Opisu Cmentarza Powązkowskiego pod Warszawą K. Wł. Wojcickiego zeszyt 9 wyszedł z druku i obejmuje życiorysy: Szymona Bielskiego pijara (dokończenie), ks. Pomorżkanta pijara, Ignacego Zaborowskiego i Teodora Wagi pijarów, Stefana i Kacpra Bemów, Karola Korwella, A. J. Zubelewicza prof., Stanisława Lisowskiego, J. Grendyszyńskiego, F. Bentkowskiego, Adryana Krzyżanowskiego, F. Pancera, A. Gołońskiego, Ludwiki z Szopenów Jędrzejewiczowéj, L. A. Dmuszewskiego. W zeszycie tym rozpoczynają się życiorysy spoczywających w katakumbach powązkowskich: X. Kajetana Kamińskiego pijara, z obszernem w przypisach wspomnieniem Kazimierza Brodzińskiego. Dołączonych jest 6 rycin: 1) Karta tytułowa do 2 tomu; 2) Pomnik grobowy X. Dembka; 3) Ambona na cmentarzu; 4) Grobowiec Adryana Krzyżanowskiego; 5) Grobowiec Zygmunta Korzeniowskiego; 6) Pomnik dla Antoniego Malczeskiego, autora Maryi.

— Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych, w nr. 177 z 6 października r. b. doniosła, że K. Wł. Wójcicki ma zamiar ogłosić drukiem kilkotomowy zbiór listów najznakomitszych współczesnych pisarzy polskich. Wiadomość tę winniśmy sprostować: zbiór ten obejmuje około 2,000 listów, autografów, zebranych starannie; ale o wydaniu takowych wcale właściciel ich nie zamyśla. Zachowane są one jako ważna pamiątka naszych czasów, obejmująca wiele ciekawych zarysów charakterystycznych domowych, i dla tych powodów ogłoszenie tego zbioru drukiem byłoby przedwczesném i niestosownem. Listy ś. p. Augusta Wilkońskiego znanego humorysty, w części tylko będą ogłoszone w życiorysie tego pisarza, który właśnie K. Wł. Wójcicki wykończył.

— Nakładem B. Lessmana księgarza wyszło wielce użyteczne dziełko p. n. „F. Ahn'a nowa metoda praktyczna i łatwa nauczenia się w krótkim czasie języka niemieckiego, z zastosowaniem do użytku młodzieży polskiéj przez B. L.". Kurs drugi zawierający grammatykę i ćwiczenia.

— Zabaw przyjemnych i pożytecznych dla młodego wieku, wychodzących pod redakcyą p. Józefy Smigielskiéj, wyszedł tomu 2 zeszyt piérwszy. Oprócz utworów pióra saméj redaktorki, czytamy tu wiersz Deotymy p. n. „Dziatki polskie", Kalwaryą Zebrzydowską p. Kuszel, prace p. J. Janiszewskiéj i. w. i.

— Pod pseudonymem K. S. Bodzantowicza, zjawia się teraz nowy pisarz, który z rzadkim talentem odtwarza nam czasy ubiegłe z okresu Stanisława Augusta. Znamy kilka jego ustępów z obszernéj powieści, oraz obrazek, w którym odmalował postać pana Starosty Wareckiego. Bezstronnie sądząc, możemy powiedzieć, że utworami temi stanął wyżéj

nad Zygmunta Kaczkowskiego, który w krótkim czasie zyskał sobie zbyt pochlebny rozgłos, może wyższy nad zasługi, a nie umiał się utrzymać na stanowisku swojém. W Bodzantowiczu oprócz strony artystycznéj i talentu, znać prawe i szlachetne uczucie, owę rzadką niestety w naszych powieściopisarzach historycznych miłość, z jaką kreśli postacie zamierzchłéj przeszłości. Po przeczytaniu obrazku Starosty wareckiego, ze czcią głęboką czytelnik spojrzałby na wizerunek zacnego męża. Koloryt czasu wierny, prawda w każdéj postaci, wskazują, że szanowny autor, ukrywający imię swoje pod pseudonymem Bodzantowicza, nietylko z książek czerpał swoje studya badając przeszłość krajową, ale że wiele mu podpowiedziała w żywém słowie tradycya narodowa. Spodziewamy się, że wkrótce ujrzymy wedle zapowiedzi, drugi obrazek, z tychże czasów.

— Pamiętnik religijno-moralny coraz więcéj zwraca uwagę na siebie wyborem artykułów i ich ważnością. Objął redakcyą pisma tego po ks. J. K. Szelewskim, który niemałe w tém wydawnictwie położył zasługi, ks. Mętlewicz, znany tak chlubnie w literaturze naszéj. W zeszycie na miesiąc październik czytamy między innemi opis kościoła i klasztoru PP. Wizytek w Warszawie F. M. Sobieszczańskiego. Jestto wyjątek z obszernego dzieła przez tego badacza przygotowanego do druku „Opisu Warszawy"; ks. J. K. Mętlewicza: Synod łęczycki z 1441 r. a 25 z porządku wszystkich synodów; X. J. Gackiego, Nowy Radom i jego fara do 1500 roku, i t. d.

— P. Aloizy Misierowicz wydał zeszyt 2gi Albumu malowniczego gubernii augustowskiéj p. n. „Przeglądu augustowskiego". Wydawca co rok wydaje zeszyt jeden: w 2im wydanym obecnie mamy sześć widoków: 1) kościoła po-kamedulskiego w Wigrach, 2) Alexoty, 3) Studzienicznéj, 4) byłego kollegium XX. Pijarów w Szczuczynie, 5) śluzy pod Augustowem, 6) pomnika Stefana Czarnieckiego w Tykocinie. Studzieniczna, miejsce słynące cudami Najświętszéj Bogarodzicy, jest w większéj liczbie odbita, i oddzielnie jest do nabycia w zakładzie litograficznym M. Fajansa, w którym ze zwykłą starannością cały ten zeszyt odbitym został.

— Teofil Glücksberg w Wilnie, którego wydania teraz pojawiają się na lepszym papierze, nowym drukiem, w staranniejszych edycyach, wkrótce ogłosi dwa nowe dzieła Marcinkowskiego, znanego pod pseudonymem A. Nowosielskiego. Piérwsze p. n. „Lud ukraiński", drugie: „Pisma krytyczno-filozoficzne we 2 tomach. Lud ukraiński składać się będzie z 2 tomów, i obejmie: tom I, 1) Mysteryozofią słowiańską, 2) Bajki ukraińskie, 3) Bajki słowiańskie u Herodota i Lucyana. Tom 2gi zawiera: zagadki, zamawiania, przysłowia, zabobony, sekreta lekarskie i t. d.— Rozmyślania Ewangielii, których wyszło już tomów 8, dziewiąty jest pod prasą i wkrótce ukończonym zostanie.

— Dnia 11 września r. b. odbyło się IX zwyczajne posiedzenie wileńskiéj archeologicznéj kommissyi. Na niém Adam Kirkor odczytał sprawozdanie o pracach swoich koło uporządkowania i opisania kollekcyi czysto archeologicznéj, znajdującéj się w tém muzeum, i złożył ukończone już przez siebie treściwe katalogi. Część 1sza pamiętnika kommissyi archeologicznéj wkrótce wyjdzie z pod prasy: część 2a już się układa. O wzroście tego muzeum, jak równie o bogatych jego zbiorach, czytelnicy z pomienionego Pamiętnika powezmą dokładne wiadomości.

— Księgarz warszawski Michał Frühling, który zyskał rozgłos wydaniem w cenie bezprzykładnie nizkiéj Maryi Malczeskiego, ogłosił teraz krotochwilę w jednym akcie ze śpiewkami Antoniego Wieniarskiego „Nad Wisłą," z dwiema rycinami i nutami. Sztuka ta sprowadzała zawsze licznych widzów na Teatr Rozmaitości.—Tenże księgarz zachęcony pokupem Maryi, któréj 2000 exemplarzy w ciągu kilku miesięcy w zupełności rozprzedał, wydał wdzięczny poemacik Teofila Lenartowicza p. n. „Najświętsza Panna Studzienniecka" po cenie groszy 15. Zamyśla obecnie w jednéj książce wydać w jak najtańszéj edycyi tegoż autora „Lirenkę, Błogosławioną i Zachwyconą". Ostatnie cudne te poemaciki, wyszły w przekładzie włoskim, w piśmie „Civitta Catolica" wychodzącém w Rzymie. Wyjątki z poematu „Zachwycona," podaliśmy już dawniéj w naszém piśmie.

— Dodatek miesięczny do Czasu za miesiąc sierpień r. b. zeszyt 8, wyszedł z pod prasy i zawiéra przedmioty: 1) O seminaryach w stosunku do szkół publicznych i do uniwersytetów przez X. Ludwika Sataleckiego. 2) O wykopaliskach Leżajskich, rzecz archeologiczna (Część II) z jedną tablicą, przez Karola Rogawskiego. W téj części uczonéj rozprawy, mamy szczegółowy opis wykopalisk Leżajskich objaśniony rycinami. 3). Trzy melodye greckie Wacława Rzewuskiego. 4). Reformy i polityka europejska, przez Maurycego Manna. 5). Ustęp z wycieczki po okolicy Podgórskiéj przez Lucyana Siemieńskiego i 6.) tegoż przegląd pismiennictwa. Znany talent i wdzięk pióra L. Siemieńskiego, stawia zawsze na czele jego prace w tém piśmie. W przeglądzie pismiennictwa rozbiéra szczegółowo dzieło, wydane nakładem G. Sennewalda: „Obraz literatury średniowiekowych ludów, a mianowicie Słowian i Niemców: przekład z Ejchhoffa Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj: z dodatkami i poprawkami co do literatury Słowian przez W A. Maciejowskiego." Ocenia wartość téj pracy, „która w niedostatku książek o literaturze średnio-wiecznéj, bardzo dobrze może przygotować chcącego się rzetelniéj kształcić czytelnika". Co do samego przekładu uważając przywiedzione ustępy dawnych zabytków literatury średniowiecznéj, mówi: „Żałować należy, że tłumaczka podejmująca tę pracę, robiła przekłady swoje podług przekładu Ejchoffa: jéj poetyczny talent mógłby się był zbliżyć do textów, gdyby się do nich był udał." W końcu prostuje zdanie W. A. Maciejowskiego, który utrzymuje „że nigdzie prócz u nas nie mogło być ludowych pieśni." „Takie zaprzeczenie (słowa L. Siemieńskiego) przymiotów tworzenia pieśni gminnéj ludom zachodnim, a przypisanie ich wyłącznie tylko Słowianom, pokazuje, że szanowny historyk dotyka rzeczy, któréj dość może nie badał. Weźmy tylko jednę Francyą z rozlicznemi jéj prowincyonalizmami, a przekonać się łatwo, że tam pieśń krąży dwojakiéj natury: jedna w języku cywilizowanym, robiona przez takich rymopisów lub wieszczów, która zpopularyzowawszy się, obiega z ust do ust: druga w narzeczu prowincyonalném (patois) stworzona przez piérwszego lepszego parobka przy winobraniu lub na kiermaszu, słowo w słowo jak u Słowian. Dlatego niepomalu zdziwiło mię to zaprzeczenie, kiedy mi znane są bardzo dobrze piosnki w narzeczu limuzyńskiém, gaskońskiém, pikardzkiém, burgundzkiém, baskijskiém. Przymioty ich w pewnym względzie są te same, co naszych piosnek: są i rzewne, i rubaszne, i tłuste, i hulackie, i szydebne i obrzędowe,

a nawet w w balladycznym tonie. Te ostatnie mogą być spuścizną po Truwerach, podobnie jak w Bretanii prześliczne pieśni opiewające jakąś dłuższą przygodę rycerską, niezawodnie dostały się do gminu za pośrednictwem ich bardów i kłoarków, jak to sami często przypominać lubią: chociaż ci włóczący się śpiewacy, niczém się prawie nie różnili od gminu, podobni w tém do naszych ukraińskich lirników lub serbskich gęślarzy. Z tego względu ośmieliłbym się utrzymywać, że nasze stare pieśni i te, o których p. Maciejowski powiada, że mogły być kirylicą pisane i dlatego zginęły; jeżeli tylko składane były przez gęślarzy uprzywilejowanych, niezawodnie przechowały się w uściech gminu, i kto wié, czy nie dałyby się wydzielić od innych, zwykłych płodów muzy sielskiéj: ton ich powieściowy, epiczny, tak zwany balladyczny, stanowi tu wyraźną cechę." Przywiedliśmy te trafne spostrzeżenia tłumacza „Rękopismu Królodworskiego," jako zgodne z najsumienniejszemi badaniami co do pieśni ludu naszego. Rzeczywiście, iż prawdziwy znawca tego rodzaju zabytków literatury niepiśmiennéj, znajdzie już całkowite z licznemi waryantami, już ułamki takich pieśni, które niewątpliwie przechowały się od przedchrześciańskich wieków, i są utworami starowiekowych gęślarzy. Tę uwagę L. Siemieńskiego wszyscy zbieracze ludowych pieśni powinni mieć na pilném baczeniu, i z troskliwością ogłaszać nawet ułamki pieśni, jakie posłyszą u ludu. Z takich kawałków, jakby z rozbitéj pięknéj mozajki, z czasem da się całość ułożyć. 7). Kapitan professor, obrazek ze wspomnień szkolnych przez Wilczyńskiego, należy do tych udatnych utworów, pełnych prostoty, rzewności, a zarazem komiki, których bardzo mało liczymy w naszéj literaturze. Znaliśmy w rękopiśmie, „Kapitana professora": miał on tytuł ramotki, i rzeczywiście obrazek ten śmało postawić można obok lepszych ramotek zgasłego zawcześnie humorysty naszego Augusta Wilkońskiego. Zamyka ten zeszyt kronika obejmująca korrespondencye z Krakowa, Wiednia, Berlina, Paryża, Londynu i Warszawy. W najnowszym dodatku Czasu (zeszyt 9) na m. wrzesień czytamy między innemi powieść: „Zdaleka i zbliska" przez F. Medarda. Treść jéj o ile sądzić możemy, wzięta z prawdziwego zdarzenia z niemalemi zmianami i dodatkami. Opowiemy więc fakt prawdziwy, który bawiąc w Kaliszu r. 1852 otrzymaliśmy z ust obywatela i właściciela téj wsi, w któréj cały się dramat odegrał. Rzecz się dzieje w okolicach Kalisza, na samym niemal pasie granicznym z Wielkiém Ks. Poznańskiém. Młody wieśniak ożeniony przed rokiem, wzięty został do wojska: po latach kilkunastu przychodzi urzędowa wiadomość że umarł. Wdowa, kobieta pracowita i uczciwego życia, a przytém urodna, znalazła wkrótce licznych zalotników. Piérwszeństwo w raz z ręką oddała zamożnemu czynszownikowi z W. Ks. Poznańskiego i przeniosła się na nowe mieszkanie. Tegoż samego roku przybywa mąż piérwszy, dowiaduje się, co zaszło, idzie do Kalisza i otrzymawszy paszport 8-mio dniowy, staje w domu czynszownika, żądając oddania swéj żony. Biédna kobieta, która po raz piérwszy miała zostać matką, po długiéj walce i łzach bolesnych, postanawia pójść za piérwszym mężem: ale wyprasza sobie czasu kilka tygodni. Dymissyonowany żołnierz zostawia ją w spokoju przez czas oznaczony, w którym powiła dziecię, i sama karmiła, gdy przybył napowrót, aby ją zabrać z so-

bą. Czynszownik, kochający wielce tę zacną kobietę, oddawał całe swoje gospodarstwo żołnierzowi, ofiarował wreszcie 1000 talarów, bo chciał przedać wszystko co miał, co pracą i oszczędnością zebrał: żołnierz był niewzruszony, bo i on ją kochał równie silnie, a oddalenie, przywiązanie to wzmocniło. Nieszczęśliwa przeniosła pożegnanie i rozdział z drugim mężem, do którego się szczerze przywiązała: ale gdy dziecię miała swe opuścić, wyczerpała siły swoje. Całując i ściskając niemowlę, z żalu i rozpaczy pękło jéj serce i trupem przy kołysce upadła. Fakt ten rzeczywisty, może posłużyć za odpowiedź tym, co utrzymują, że lud nasz prosty szlachetnych uczuć pozbawiony. Z poezyi czytamy w tym zeszycie Juliusza Słowackiego śliczny wiersz „Śmierć żołnierza w szpitalu" i bajkę arabską przez Lucyana Siemieńskiego „Beduin i Wąż", którą tu w całości podajemy:

Beduin zbrojny kopią jechał sobie piaskiem,
Noc była; wtém na stepie mignęło coś blaskiem.
Więc pocisnąwszy konia dotarł w okamgnieniu,
I ujrzał, jak wąż srogi zwijał się w płomieniu:
Chciałby wyleźć, nie może, bo zewsząd go piecze.
—Ratuj mię Beduinie! dam co chcesz!—wąż rzecze.
Na to Arab:—złośnika ratować się boję:
Nuż ukąsisz?—„przenigdy: na sumienie moje"!
Wzruszon Arab, uzdeczkę zawiesił na dzidzie,
I podał mu przez płomień. Wąż do góry idzie,
A sunąc się po drzewcu, przypełzał nieznacznie
I skoczywszy na szyję, jeźdźca dusić zacznie.
— Co robisz?—krzyknął Arab.—Duszę.—Oh! i za co?
— Taki zwyczaj: tu zawsze za dobre złem płacą.
— Pofolguj!—rzeknie Arab—zwłoka nie zaszkodzi,
Póki się na to zdanie trzech sędziów nie zgodzi.
— Mniejsza o to—gad rzecze—sfolguję na razie.
I jechali pustynią, póki na oazie
Nie ujrzeli wiatrami palmy kołysanéj.
— Słuchaj palmo!—rzekł Arab—ten gad uwiązany
U méj szyi, winien mi swoje ocalenie,
A teraz chce mię dusić! i gdzieżtu sumienie
Utrzymywać, że dobre zawsze złem się płaci?!
Palma na to: „ma słuszność, a ty nie masz racyi.
Mój los niech ci dowiedzie: wszak codzień przez wieki,
Pielgrzyma liściem moim zasłaniam od spieki,
Grzeję w zimna, owocem karmię go obficie:
A jednak on toporem odbiera mi życie."

Na te słowa wąż silniéj pocisnął za szyję...

Jadą dalej, gdzie źródło z pod opoki bije:
Arab rzecz opowiedział, a źródło po chwili
Odmruknęło: „mój człecze! ten wąż się nie myli.
Patrz na mnie: odkąd z głębi wylewam zdrój szklany
Pragnienie tu przychodzą gasić karawany:

A kiedy się napiją i ludzie i stada,
Wiész co robią? Ot każdy brud swój we mnie składa!"

Dwóch sędziów się zgodziło: wąż z radości bryknął,
I tak ścisnął pierścienie, że Arab aż krzyknął.
Lecz jeszcze sędzia trzeci nie wydał wyroku...
Wtém spostrzegają lisa: myszkował na boku
I już, już się wynosił, gdy oni:—Stój bracie:
Na pół słówka prosimy!—Zdaleka, co macie
Mówcie do mnie, nie głuchym!—rzekł i stanął w dali;
A oni mu o sprawie swéj opowiadali.
Gdy skończyli, frant główką pokiwał wątpliwie
I rzekł: „Oczom nie wierzę, dlatego się dziwie;
Więc ażebym zrozumiał, pokażcie mi przecie
Jak to było?—A oni:—rzecz najprostsza w świecie.
I Arab znów przywiązał uzdę u kopii,
A gad po drzewcu na dół spuścił się ze szyi...
— Łap zdrajcę!—krzyknął lisek. I wąż siedział w matni,
Gdzie niewdzięcznik był zduszon. —Szkoda!—nie ostatni!

W przeglądzie piśmiennictwa, rozbiera tenże L. Siemieński dwa ostatnie utwory Syrokomli „Wielki Czwartek" obraz wioskowy, i „Janka Cmentarnika" gawędę ludową: w obu główni bohaterowie zapijają się na śmierć. O Wielkim Czwartku pisze: „Prócz kilku drobnych widoczków, zbliżonych do rzeczywistości, nic a nic nie maluje w nim nietylko litewskiego, ale żadnego ludu: jest to poprostu świat sentymentalny wymyślony przez poetę na tle życia wiejskiego, tak samo jak go sobie wymyślał Gesner, Floryan i inni z téj szkoły, marzący o pastuszkach Arkadyi. Z Wiesławem Brodzińskiego nie może również wytrzymać porównania, bo w tych czasach, kiedy Brodziński swoję sielankę pisał, a więc łamał się z reminiscencyami klassycznemi, już czuł potrzebę zachowania rysów studyowanych z ludu: każdy też pozna tam krakowskich chłopków upięknionych wprawdzie, lecz zatrzymujących właściwą sobie fizyonomią i charakter. Szkoda, że Syrokomla niepospolity talent i uczucie poetyczne marnuje na podobnych utworach, które mogą mieć chwilową wziętość, ale literatury nie bogacą. W końcu co do języka mówi: „Sam język włożony w usta tych chłopków jakże jest pocieszny, kiedy się zaklinają w imię koleżeństwa i w imię ludzkości, a wykrzykują:

„Niech żyje ludzkość! Niech żyje kobieta."

O gawędzie ludowéj „Janko cmentarnik" tak się wyraża: „Tęsknota za rodzinną strzechą gra tu główną rolę, i jest też oddana z wzruszającą prawdą, bo Syrokomla umié ślicznie malować delikatne i piękne wzruszenia serca. Tęsknota Janka téj jest natury, iż każdy, co tęskni za rodzinną stroną, choćby z najwykwintniejszego towarzystwa, jeżeli tylko serce ma na swojém miejscu, przyznałby się do takiéj tęsknoty." Kończy swój pogląd ogólną oceną sielskich utworów Syrokomli. „W poematach jego, pomimo wysokiego talentu poetycznego, w oddaniu uczuć i wrażeń sielskich, pomimo całéj rzewności lirycznéj, zawsze prawie pomysł główny, a mianowicie wprowadzone postacie, grzeszą nieprawdą. Po-

dobnie sentymentalnych chłopów nikt jeszcze nie spotkał, chyba w balladach i sielankach zbyt romantycznych, albo zbyt klassycznych, ale nigdy w ścisłem znaczeniu ludowych, czyli takich, jak lud jest w rzeczywistości." Zamyka rzecz całą uwagą, że dziś zboczenie takie od prawdy nie uchodzi, bo lud z całą prawdą jest badany. „Co dla Flamandów zrobił Conscience, dla Niemców Czarnego lasu Auerbach, dla Szwajcarów Gotthelf, a u nas szuka w tym kierunku Gregorowicz: to jest właściwą cechą studyów ludowych, a byłoby i poezyi ludowéj, gdyby Syrokomla rozbratał się z tym wioskowym konwencyonalizmem a przeszedł na rzetelną drogę."

Lwów. (Z listu). „Ksiądz Sadok Barącz dominikan wydał świeżo: Żywoty sławnych Ormian w Polsce. Dzieło wielkiéj pracy o 485 stronnicach. We wstępie mówi, jak wychodźcy ormiańscy, po całéj niemal Europie rozproszeni, gdzie doznali gościnności, wszędzie się wywiązali z obowiązku wdzięczności, szczerém przywiązaniem do ziemi, i usługami w każdym zawodzie, czyto w stanie duchownym, czy na katedrze naukowéj, czy w trybunałach sprawiedliwości, czy na polu bitwy i w usługach obywatelskich. Czerpał autor z akt ziemskich i grodzkich złożonych u OO. Bernardynów we Lwowie, przejrzał archiwum stanów galicyjskich, wypisy zrobił obszerne z księgozbioru kapituły lwowskiéj ormiańskiéj, oraz z tabuli magistratu lwowskiego. Wiedział o bogatych jeszcze zasobach do swéj pracy, w księgach miejskich Kamieńca Podolskiego, archiwum kijowskiego i metryk koronnych w Warszawie: ale z tych nie mógł korzystać, bo wymagały niemałych kosztów, a na ich pokrycie, ubogi zakonnik funduszów nie miał. Co jednakże przejrzał, sumiennie podał, i dzieło swoje porządkiem alfabetycznym ułożył, zamykając dziejami zakonnic ormiańskich. Przedmiot téj pracy, jak widzimy, jest zupełnie nowy i nietknięty niczyjém piórem: pojawiają się tu postaci dotąd wcale nieznane, a które należały czynnie i nieraz odznaczająco się w wielkim dramacie przeszłości krajowéj. Znajdziecie tu obszerny życiorys Antoniewicza de Bołoz Karola, sławnego mówcę i kaznodzieję, któremu w r. 1853 obywatele postawili w Obrze pomnik, zrobiony w Berlinie z popiersiem jego, z tym, jednego z naszych poetów, wierszem:

„Z krzyżem w ręku, nad polskim górujący ludem,
Starłeś go i podniosłeś słowa twego cudem,
Krzepiłeś go w niedoli nadzieją i wiarą,
Dla niegoś żył jedynie, i dlań padł ofiarą".

Text: „Wojny moskiewskiéj!" przez hetmana Żołkiewskiego, już jest skończony i wydrukowany pięknie i starannie, z najściślejszém porównaniem kilku rękopismów z sobą. Dlatego wydawca z ogłoszeniem się wstrzymuje, aby dołączyć wszystkie listy hetmana jakie dadzą się wyszukać. W téj mierze stara się o te pamiątki u was, i w Zasławiu w archiwum Romana księcia Sanguszki. Jak to się wszystko zbierze i uzupełni, będzie to książka godna naszego wieku.—Druk tomu 2go Słownika Lindego już ukończony. Kilkanaście arkuszy trzeciego odbito.—Szajnochy tom trzeci i ostatni Jagiełły i Jadwigi już wyszedł: znakomite to dzieło, równie u was jak i u nas chlubnego doznało przyjęcia. Ciekawi jesteśmy, co

o nim wasi krytycy powiedzą: ale na krytyka potrzeba człowieka, któryby stał na równi z Szajnochą, a tacy niebardzo się kwapią do recenzyi: chwytają się tego rzemiosła partacze literaccy, którzy zuchwałą odwagą swoją, pragną zyskać rozgłos. Po wiadomości o tak ważnych dziełach, muszę wam donieść o pojawieniu się w zapowiedzi dopiéro, bo w prospekcie, straszydła *vel* monstrum literackiego p. n. „Swit," a które obiera sobie za stolicę nasz Lwów stary. Redaktorem jest p. Teofil Wisłocki doktor medycyny, współpracownik dawniéj wiedeńskiego Wanderera, a nakładcą Winiarz księgarz tutejszy. Niewątpliwie otrzymacie w hojnéj liczbie exemplarzy prospekt szumny, bo dla propagandy owego Switu nie żałowano papieru: zanim dojdzie jednak do was ten znakomity utwór, choć króciuchne zdam sprawozdanie. W treści ścisłéj poprę się p. Wisłockiego dosadnemi wyrażeniami. Pisze tedy „że duch ludzki nabujawszy dowoli po sferach nadziemskich, i głębiach marzeń metafizycznych"; ujrzawszy, że mu z tego nic nie przyszło, tymbardziéj, że namnożył sobie potrzeb wiele wymaganiami postępu, zmienia swoję dążność na drogę praktyczną, na realizm: duch spekulacyi i przemysłowości odnosi wszędzie tryumf w długoletniéj walce z dążnością przeciwną. „Zaprawdę wszystko zmierza do życia materyalnego: cnota nawet (własne Dr. Wisłockiego słowa) ustąpić musi steru zręcznéj przebiegłości". Wiele tu pięknych rzeczy wyczytacie: np. zwyczaj i obyczaj narodowy, wedle rozumowania pana doktora ustąpić musi cywilizacyi, która dąży do kosmopolityzmu: bo świat porzuca sfery idealizmu, marzeń, utopii urzeczywistnić się nie dających, i staje się materyalnym, praktycznym, realnym. Przekonajmyż się z tego, jakieto cudne nauki zdobywają Polacy u Niemców; jaki dla ziomków swoich pragną raj Mahometa otworzyć; jakie szczęście dla nas wszystkich, żeśmy się doczekali przecie, że Swit p. Dr. Wisłockiego, rozświeci nam głowy, w których dotąd nigdy nie świtało, wyobrażeniem takiego szczęścia, jakiego używać będziemy, wyrzekłszy się cnoty, zwyczaju i obyczaju, a w miejsce tego postawimy sobie za nasze domowe bogi materyalizm, praktyczność i realizm. Uwielbiać należy redaktora Switu za odwagę cywilną, z jaką pragnie ciemnych swoich ziomków z obłędu wyprowadzić na piękne Eldorado, wsparty nauką i wiedzą zdobytą w Wiedniu. —Stanisław Przyłęcki pracujący od lat wielu nad dokładną bibliografią polską, pomnaża ciągle gotowe już prawie dzieło swoje, i doprodził je do takich rozmiarów, że nakład tegoż, bardzo zamożnego wymaga wydawcy. —Alexander Batowski zebrał i uporządkował oprócz Kodexu tynieckiego ważne bardzo materyały do rokoszu Mikołaja Zebrzydowskiego. Ciekawy ten ustęp dziejów naszych, wystawiany dotąd w myśl stronnictwa zwycięzkiego w świetle fałszywém, oczekiwał napróżno sumiennego dziejopisa. Zebrane przez Batowskiego materyały ze źródeł po największéj części rękopismiennych, pochodzących od świadków naocznych, rzucają wiele światła nietylko na sam rokosz, ale i na całe panowanie Zygmunta III. W końcu donoszę wam, że w drukarni Zakładu Ossolińskich wyszedł przedruk dawnéj książki nieznanéj w naszéj bibliografii, p. n.: „Man-Chester, rozmyślanie o śmierci i nieśmiertelności, z angielskiego języka na polski przetłumaczone przez B. Wiktoryna Eustachiusza S. S. T. 1648 r". Wydawcą tego zabytku

mającego wartość wewnętrzną oprócz swéj rzadkości, jest tłumacz Oberona, Wiktor hr. Baworowski. Przedmowę objaśniającą to wydanie napisał Alexander Batowski, z któréj dowiadujemy się, iż mimo poszukiwań o autorze i pierwotworze angielskim, nie można się było więcéj dowiedzieć, jak to, że piérwsze wydania téj książki po angielsku pojawiły się były około 1638 r., a zatém na lat dziesięć przed tłumaczeniem polskiém. Co do polskiego przekładu, tłumacz podpisany imieniem Wiktoryna Eustachiusza, równie nie jest wiadomy z nazwiska. Sam tylko w przypisaniu swego przekładu Adamowi z Brusiłowa Kisielowi, wojewodzie Braclawskiemu, powiada, że jest cudzoziemcem i przybyszem".—Mappa królestwa Galicyi z Wielkiém księztwém Krakowskiém i Bukowiną, wydawana przez C. K. kapitana Karola Kummersberga, zamieszkałego w Wiedniu, w postępie swym nie ustaje. Mappa ta obejmować będzie kart 60: dotąd wyszło 22 kart: możecie z tego miarkować, jak jest szczegółową i dokładną. Jestto jedna z największych mapp Galicyi."

Sanok. „Biblioteka polska, wydawana przez K. J. Turowskiego, a nakładem i drukiem Karola Polaka, wychodzi ciągle i bez przerwy. Teraz w oddziale, jak nazywa wydawca, kościelnym, ciągnie się przedruk wielkiego dzieła Piotra Skargi: „Żywoty świętych Pańskich narodu polskiego". Daléj ma być ogłoszone w tym zbiorze St. Orzechowskiego: „Żywot Jana Tarnowskiego, z życiorysem Orzechowskiego". Zbiór cały obejmować ma 1,000 zeszytów, przedpłata otwarta do 994 zeszytu.

Poznań. Ludwik Merzbach księgarz poznański ogłosił pismo zeszytowe „Światowid," którego hasłem, jak wyraża, upowszechnienie postępu naukowego. „Najświeższe wynalazki i odkrycia w dziedzinie wszechumiejętności, dadzą materyał do tego dzieła, a celem jego będzie, nawet niepoświęconym, odsłonić widok nieprzejrzanych jéj skarbów." Tom piérwszy wyszedł, i zawiera rzecz: „O wynalazku balonów" z 23 drzeworytami; kosztuje złp. 1 gr. 15.—J. K. Żupański nakładem swoim wydał broszurę o 58 stronnicach p. n. „Wyciąg z Geografii Polskiéj przez Teodora Wagę, w roku 1767 skreślonéj i ogłoszonéj. We wstępie mówi: „Słusznie się suchą nomenklaturą wyda wyciąg ten z krótkiéj T. Wagi Geografii, gdy autorowi nie tyle szło o opisanie krainy, co o rozpatrzenie jego, ze względu rzeczypospolitéj urządzenia wewnętrznego. Francya przed wszystkiemi krajami, z końcem już XIV wieku miała dla siebie karty geograficzne osobne na jéj dyecezalne działy, gubernii czyli prowincyi, parlamentu i rożnej jurysdykcyi, administracyi. Dzieje polskie dotąd tego nie mają, a potrzebowałyby geograficznych wyobrażeń osobnych na dyecezalne podziały, dla opactw i zakonów, dla starościńskich i grodowych, elekcyjnych, ziemstwa i trubunałów, administracyi i tym podobnych w wewnętrznym stanie rzeczypospolitéj krzyżujących się i plączących widoków. Żeby takowe dziś dla przeszłości wypracować, wypada się powoływać na dawne wiadomości w czasie swoim skreślone: a z tych T. Wagi krótka nomenklatura dobrym może być przewodnikiem, bacząc tylko na to, że pismo 1767 r. wydane, wymienia świeżo podówczas zaszłe rozporządzenia i do nich się zastosowywa. Mogą w tém być uchybienia, więcéj niedostateczności, do których głównie liczy się niedostateczne ziem-

stwa wyłuszczenie." W przypisach są sprostowania i dopełnienia téj pracy T. Wagi.

— *W Peszcie* wyszedł z druku przekład Historyi prawodastw słowiańskich W. A. Maciejowskiego, przez Dr. Krsticza. Tłumacz do textu Maciejowskiego dodał do 80 przypisków swoich, dotyczących prawodastwa i stosunków południowo-słowiańskich. Przekład ten Dr. Krsticza jest z piérwszego wydania tego dzieła. Obecnie drukuje się nowe i przerobione wydanie Historyi prawodastw, przerobione zupełnie i powiększone: a nad tém wydaniem Maciejowski kilkadziesiąt lat pracy poświęcił. Tłumacz serbski w osobnéj książce chce dopełnienia, jakie będą potrzebne do wydanego 1 tomu, wydać. Wątpimy, czy to się mu uda zręcznie, bo druk 2iéj edycyi piérwszego tomu, który w większéj połowie oglądaliśmy już wydrukowany, wielce się tak układem jak i textem od piérwszego wyróżnia.

Poznań (z listu). „Najczynniejszym wydawcą u nas jest Żupański: wydania jego odznaczają się nietylko piękności i starannością edycyi, ale ważnością dzieł samych. Rok przeszły i bieżący dal nam pod tą firmą wiele prac, które do prawdziwie zbogacających literaturę ojczystą należą. Oprócz dzieł Lelewela, Miaskowskiego i wiele innych z mniejszych utworów i lżejszych, wydał Żupański: „Dwaj bracia artyści" zarys z życia towarzyskiego XIX stulecia przez L. P. (Leona Potockiego); „Pani podkomorzyna" powieść L. Wilkońskiéj; „List żelazny" tragedya Małeckiego, drugie wydanie całkiem przerobione; „Obrazy świata starożytnego" przez L. Niemojowskiego. Sąto wiersze, których przedmiotem jest Pismo Święte. „Przegląd poznański" gotuje rozbiór z pochwałą, bo przedmiot sam harmonizuje z duchem tego pisma. Z historycznego działu wydał Żupański:, Historyą królów i książąt polskich, na nowo przerobioną i powiększoną przez Lelewela. — Gazeta Niemiecka Poznańska, doniosła o nowém wykopalisku pod Swiecem w m. sierpniu r. b. Kopiąc w ogrodzie domu obłąkanych, w głębi 20 do 30 stóp, znaleziono rozmaite popielnice, miecz, parę ostróg i co najciekawsza, posążek zbrojnego jeźdźca z niebieskiéj palonéj glinki, na 20—22 cali wysoki. Koń od głowy do kolan okryty zbroją, ma osobliwe siodło: tak u łęku jak i w tyle osadzone są na niém tarcze w ten sposób, że jeździec wyjąwszy głowy, cały osłonięty jest niemi. Zamiast strzemion z obu stron wiszą wiaderka, zapewne do ochrony nóg. Miecz żelazny z podwójną rękojeścią do rąbania oburącz. Zabytki te razem znalezione, zapewne równocześnie zachowane zostały w domu obłąkanych w Swiecu."

— Otrzymaliśmy drukowaną listę członków Muzeum starożytności i wileńskiéj archeologicznéj kommissyi od 1 stycznia 1856 r., i podajemy ją w całości naszym czytelnikom. Prezydent: Eustachy hr. Tyszkiewicz. Vice-prezydent: Baliński Michał. Uczony sekretarz: Krupowicz Maurycy. Członkowie rzeczywiści: Teodor Narbutt, J. I. Kraszewski, archimandryta Alexander, prałat Mamert Herburt, Mikołaj Malinowski, Ignacy Chodźko, Baron Rossylion, Paweł Kukolnik, Adam Kirkor, Maciéj Gusiew, Alexander Zdanowicz, Józef Jaroszewicz, Michał Homolicki. Członkowie rzeczywiści i dobroczyńcy Muzeum: Rajnold hr. Tyzenhauz, Eustachy Rdułtowski, Michał hr. Tyszkiewicz, Maryan hr. Czapski, Konstanty hr. Tyszkiewicz, Alfred hr. Ślizień, Otton Horwatt, Xawery Wojniłłowicz, Włady-

sław Brochocki, Adam hr. Czapski, Alexander Skirmunt, Konstanty Niezabitowski, Jan syn Michała hr. Tyszkiewicz, Alexander Horwatt, Józef hr. Tyszkiewicz, Jan syn Józefa hr. Tyszkiewicz, Włodzimierz hr. Plater, Seweryn syn Michała Römer. Członkowie honorowi: Mikołaj książę Radziwiłł, Benedykt hr. Tyszkiewicz, Łucyan hr. Morykoni, Oskar Milewski, Dominik Łappa, Cyprian Cywiński, Konstanty Śmitko, Rudolf Pisanko. Członkowie współ-pracownicy: Abraham Firkowicz, Ignacy Kułakowski, Jan Kazimierz Wilczyński, ks. Józef Małyszewicz, Stefan Kowerski, Adam Zawadzki, Julian Moszyński, Adam Adamowicz, ks. Stefan Lipiński. Razem członków 51.

Korrespondencye Biblioteki Warszawskiéj.

— Autorowi artykułu, w którym broni przekładu Elektry przez Dra Małeckiego i dotyka kwestyi rytmiki polskiéj, redakcya ma zaszczyt odpowiedzieć, że pomienionego artykułu ogłosić w swém piśmie nie może.

— Redakcya otrzymała resztę pieśni „Dumy z dum ukraińskich, i takową w zeszytach następnych ogłosi.

---

† W miesiącu sierpniu r. b. zmarł E. Estkowski znany wydawca pism dla młodzieży i zasłużony w zawodzie pedagogicznym. Był on nauczycielem zakładu naukowego w Ostrowie pod Wieluniem. Umarł u wód w Soden, gdzie bawił dla poratowania zdrowia.

† We wrześniu r. b. umarł ksiądz Antoni Korniłowicz proboszcz Ilimiecki, znany z wielu prac literackich. Rażony apoplexyą w kąpieli, skonał. W r. 1827 ogłosił drukiem: „O życiu ś. p. Franciszka Karpińskiego" (w 8ce str. 106). Korniłowicz poznał osobiście Karpińskiego na cztery lata przed jego zgonem i wiele szczegółów nieznanych podał. Pracował nad historyą kościoła w Polsce, i zostawił w rękopiśmie wiele naukowych rozpraw.

OD REDAKCYI.

Otrzymując liczne żądania co do prenumeraty zeszytów Biblioteki Warszawskiéj na r. b., Redakcya ma zaszczyt uwiadomić, iż z powodu małéj liczby drukujących się exemplarzy, cała edycya tego pisma tak z roku 1855, jak i z r. bieżącego wyczerpaną już została. Z tego powodu Redakcya uprasza o wczesne zapisywanie się na rok 1857, aby dostateczna ilość exemplarzy tego pisma mogła być przygotowaną.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Wolno drukować.—Warszawa, d. 12 (24) Październ. 1856 r.— Cenzor, Radca Dworu *Stanisławski*.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

***Wrzesień*, 1856.**

Wrzesień 1856. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obse watoryum Astronomicznem Warszawskiem.**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad po ziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1g. 14m.45s.,7 czyli w łuku 18°41'25,"5 n wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0° 6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	TERMOMETR stustopniowy 6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA 6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz.wiecz.	10 godz. wiecz.	KIERUNEK WIATRU 6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	Wysokość wody spadłej w milim. z deszczu	z śmegu
1		752.04	751.50	749.95	749.10	+ 7°.2	+16°.2	+22°.8	+16°.3	71.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	PdZ.	PdZ.	—		
2		746.38	745.79	746.07	746.86	12.2	20.5	24.8	17.7	65.0	pogodny	pogodny	pogodny	pochmurny	PdW.	Pd.	Z.	Z.		
3		749.27	750.22	750.56	752.33	12.1	14.0	14.9	10.0	85.0	deszcz	pochmurny	pochmurny	deszcz	PdZ.	Z.	Z.	PnW.	4.0	
4		755.26	751.58	751.28	751.72	9.1	9.9	14.2	13.4	93.5	deszcz	mży	pochmurny	pr. pogod.	Pn.	Pn.	PnW.	PnW.	6.0	
5		751.75	751.56	749.24	749.17	12.4	16.7	21.0	16.8	81.0	poch. l. mg.	pogodny	pr. pochm.	pr. pogod.	PnW.	PnW.	PnW.	pnW.		
6		748.86	748.79	747.58	748.22	13.1	17.9	24.5	17.9	71.8	pogodny	pogodny	napół pog.	pr. pogod.	Pn.	PnW.	PnW.	Pn.		
7	●	748.33	748.99	748.17	748.57	14.0	15.4	19.7	15.5	77.0	pr. pochm.	pochmurny	pogodny	pogodny	W.	W.	—	Z.		
8		748.44	749.10	748.62	749.96	12.1	18.3	22.6	14.8	68.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny.	Pn.	PnW.	W.	Pn.		
9		750.19	750.57	749.98	751.01	11.1	16.9	20.7	15.5	74.0	pogodny	lek. pochm.	pr. pog. dés.	pr. pogod.	—	Pn.	Z.	PnZ.	1.5	
10		750.57	751.42	751.59	753.44	9.6	14.0	16.8	9.3	72.2	pogodny	pogodny	pogodny	pr. pogod.	Pn.	PnW.	PnW.	PnW.		
11		754.06	754.39	753.50	754.25	4.6	9.6	12.9	7.9	71.8	pogodny	pogodny	napół pog.	lek. pochm.	—	PnW.	PnW.	PnW.		
12		755.19	756.00	755.03	755.56	3.3	9.8	13.2	8.5	64.0	pogodny	pogodny	pogodny	lek. pochm.	—	—	PnW.	PnZ.		
13		754.94	755.07	753.96	754.30	2.6	11.5	14.6	10.8	53.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	—	—		
14	◑	754.41	754.69	754.01	754.99	3.4	12.3	16.3	12.0	58.5	pogodny	pogodny	lek. pochm.	lek. pochm.	Pd.	PdW.	Pn.	Pn.		
15		755.54	756.24	754.92	755.05	10.0	12.1	16.0	8.7	75 2	pochmurny	napół pog.	napół. pog.	pogodny	Pn.	Pn.	PnZ.	—		
16		752.14	750.30	745.45	743.63	4.2	14.2	11.7	9.4	84,5	pogodny	pochmurny	deszcz	deszcz	Pd.	PdZ.	PdZ.	Z.	3.6	
17		745.04	746.21	747.39	748.07	8.7	11.2	13.4	9.8	84.0	poch. dész.	poch. dész.	pr. pochm.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PdZ.	3.6	
18		747.10	746.22	745.02	744.88	10.5	12.7	15.9	13.9	84.3	deszcz	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.	4.4	
19		744.40	744.01	743.75	744.07	10.0	12.8	12.0	10.0	92.2	pochmurny	pochmurny	poch. dész.	poch. dész.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	3.2	
20		743.30	745.46	745.33	746.38	9.1	12.1	13.5	6.7	79.8	lek. pochm.	pochmurny	pogodny	pochmurny	Z.	PdZ.	Z.	PdZ.	1.6	
21	◐	746.05	746.55	746.68	748.35	6.7	12.5	12.8	6.7	83.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.		
22		749.42	750.02	749.22	749.61	3.4	8.6	13.4	7.1	84.0	pogodny	pogodny	lek. pochm.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Pd.		
23		748.17	748.95	747.11	747.20	2.7	9.6	15.1	11.6	72.0	pog. mgła	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.		
24		746.10	746.22	743.62	744.53	5.5	13.9	19.0	11.0	74.3	smugi	lek pochm.	lek. pochm.	pogodny	PdW.	Pd.	PdW.	—		
25		744.17	743.42	741.26	741.55	6.8	14.4	20.8	14.0	89.7	pogodny	lek. zamgl.	napół pog.	pr. pogod.	PdW.	—	Pd.	—		
26		744.91	745.93	746.52	749.62	11.4	15.0	16.9	9.6	77.5	poch. dész.	smugi	pochmurny	pogodny	Z.	Z.	Z.	PdZ.		
27		750.68	750.85	748.86	747.61	5.3	12.7	17.2	10.6	80.5	pogodny	lek. pochm.	pogodny	pogodny	Pd.	Pd.	PdW.	—		
28		744.59	743.87	741.12	740.59	10.7	16.1	19.2	15.4	84.3	lek. pochm.	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.		
29	○	740.57	743.60	746.82	748.23	13.4	15.8	19.1	13.9	79.0	pr. pogodny	pochmurny	pogodny	poch. dész.	Pd.	Z.	Z.	PdW.	4.0	
30		747.90	748 52	749.92	750.17	12.9	16.6	20.1	15.2	85.5	l. zamg. dés.	smugi	pogodny	pochmurny	PnW.	Pd.	—	W.		
śre.		748.892	749.201	748.418	748.967	+ 8°.60	+13°.74	+17°.16	+12°.00	76.9									31.9	

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.870	27	7.971
Najwyżej barometr dochodził d. 15. o g. 10 r.	756.24	27	11.239
Najniżej — — d. 29 o g. 6 r.	740.57	27	4.292
Średnia zmiana dzienna barometru	2.593		1.149
Największa zmiana dzienna barometru d. 15—16 o g. 10 w.	11.42		5.062
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	751.035	27	8.930
Średnia temperatura września wynosi:	+ 12°.88 C.		+ 10°.30 R.
i ta jest niższa o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	0.70 „		0.56 „
	+ 13.58 „		+ 10.86 „
Największe ciepło było d. 2 o g. 4 w.	+ 24.8 „		+ 19.84 „
Najmniejsze — — d. 13 o g. 6 r.	+ 2.6 „		+ 2.08 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.446 „		1.957 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 2—3 o g. 4 w.	9.9 „		7.92 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 20°.9 R. d. 2 po połud.
Minimum: + 1°.6 „ d. 13 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 76.9, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 8.82 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.02 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 31.9 mil. czyli 14.14 lin. par.; ilość ta wody jest o 6.74 lin. par. mniejsza od tej, jaka średnio we wrześniu u nas spada.

Dni pogodnych było 9, napół pogodnych 12, pochmurnych 9.
— deszczu 1 (d. 3, 4, 9, 16, 17, 18, 19, 20, 26, 28, 30).
— mgły 2 (d. 5, 23).
— grzmotów 1 (d. 9).
Wiatrów mocnych 2 (1 PdZ., 1 Pn.).
Wiatr panujący: zachodni.

Wrzesień r. b. był w ogóle pogodny, suchy lecz przeszło o pół stopnia R. chłodniejszy niż zwykle. Środkowe dni miesiąca były niepogodne wilgotne i słotne. Średnia temperatura cało miesięczna jest 10.3 stop. R. o 0 6 stop. R. niższa od normalnej. Najcieplejsze dni były d. 1, 2, 5, 6, 7, 8, 9; najchłodniejsze d. 11, 12, 13, 16, 21, 22, 23. Osobliwie ranki były chłodne. Pod względem stanu nieba miesiąc ten należy do pogodnych albowiem w r. b. stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 9:12:9, gdy w stanie normalnym stosunek tychże dni jest jak 7.1:10.6:12.3. Początek jesieni był pogodny, suchy i ciepły; w ogóle pora ta bywa u nas zwykle stała, przyjemna i dla zdrowia przyjazną. W skutek suchego roku zbiory były piękne i obfite wyjąwszy iż owoców było bardzo mało. Dla suszy panującej w tym roku stan wód na rzekach a osobliwie na Wiśle był bardzo nizki. Największa wysokość wody na Wiśle pod Warszawą dochodziła sotp. 4 cali 4 d. 12; najmniejsza stop. 1 cali 4 d. 1, 2, 3. Liście drzew blizko o miesiąc wcześniej opadać zaczęły niż zwykle.

O SPRAWIANIU ŁAŹNI

PRZEZ

BOLESŁAWA CHROBREGO.

Napisał

Karol Szajnocha.

Zdawien dawna lubiono przeplatać historyą dykteryjkami: im starszą która kronika, tém częstsze w niéj przypowiastki ucieszne. Najstarsza z kronik polskich, tak zwana Marcina Galla, umié przy każdym wypadku przytoczyć jakąś facecyą. Oto np. obadwaj piérwsi Bolesławowie wjeżdżając wesoło do stolicy zdobytéj, uderzają mieczem w złotą bramę kijowską (1); oto Bolesław Śmiały przyrzekając swoję opiekę W. księciu kijowskiemu Izasławowi, miał targnąć go w żarcie za brodę (2); oto wreszcie Bolesław Chrobry, chcąc się okazać łaskawym „sprawia łaźnię" możnym młodzianom.

Każda z tych przypowiastek zawiéra pewien szczegół prawdziwy; lecz prawda ta miała wcale inne znaczenie w rzeczywistości, niż w ustach kronikarza. I tak np. owo uderzanie orężem w złotą bramę kijowską, które kronikarz, osobliwie przy wjeździe Bolesława *Chrobrego* przedstawia jako koncept rubaszny, nawet swawolny, trudny tutaj do powtórzenia, było właściwie znakiem

(1) Martini Galli *Chronicon* ed. Bantk. 1824 p. 46. 100.
(2) Tamże, pag. 101.

uroczystego wzięcia w posiadłość. Nie wiedziała o tém i większa część towarzyszących Bolesławowi rycerzów, nie wiedział opowiadający to kronikarz; lecz każdy znawca ówczesnéj symboliki prawa mógłby nam był wytłumaczyć, że biorąc w posiadanie jakiś kraj, albo gród nowy, należało dotknąć się orężem, albo kopią granicznych słupów kraju, lub bramy miasta.

Takim np. sposobem Autharis, król Longobardów, opanowawszy całą południową Italią, wjechał na końcu w morze Śródziemne, i ugodził kopią w wmurowany tam słup, jako w najdalszą granicę swojego państwa. Takim sposobem niektórzy z udzielnych panów niemieckich, posiadający ziemie nad Renem, wjeżdżali konno w rzekę i uderzali w nią kopią (1).

Późniéj stał się ten symbol tak powszechnym, iż zaczęto używać go nietylko na znak rzeczywistego wejścia w posiadłość, lecz nawet dla samego popisania się jakąś mniemaną własnością, albo zdobyczą. Wtedy każdy pragnął dotknąć się czegoś: ślepy król czeski, Jan Luxemburczyk, wojując z Kazimierzem Wielkim, chciał koniecznie dotknąć się kopią murów Krakowa; W. X. Litewski Olgierd skruszył rzeczywiście kopiją o mury Moskwy; lada rycerz angielski rozpędzał się ku stolicy francuzkiéj, i szturknąwszy dzidą o jednę z bram Paryża, miał się czém chwalić na całe życie (2).

W podobnież symboliczném znaczeniu targano czasem za brodę. Znaczyło to przyjmować kogoś w swoję obronę, i bywało niejednokrotnie w użyciu. Widzimy to w przykładzie króla Wizygotów Alaryka, o którym spółczesne kroniki prawią, że dotknięciem się brody króla Klodoweusza, adoptował tegoż potężnego monarchę Franków (3). Jeszcze częściéj kazali tacy opiekunowie *postrzygać* swoich pupilów, o czém bardzo gęste wzmianki w kronikach. Mniejsza atoli łatwość dotykania się czyjéj brody, i usilnie przez duchowieństwo za-

(1) J. Grimm *Rechtsalterthuemer* 1854. p. 68.

(2) Jadwiga i Jagiełło, tom I dopis. V str. 377.

(3) Grimm *Rechtsalterthuemer 146: „ut Alaricus barbam tangeret Clodovei."*

lecany zwyczaj krótko strzyżonych włosów (1), ochroniły ten symbol od podobnych nadużyć, jakim uległo uderzanie orężem w bramę.

Nietrudno tedy zmiarkować, że i owa łaźnia Bolesława Chrobrego miała raczéj symboliczne niż rzeczywiste znaczenie. Uchodzi ona powszechnie za akt kary cielesnéj, a któż zechce wierzyć naprawdę, iż potężny i wielce przykładny król jak Bolesław, własnoręcznie chłostał poddanych. Ale wpatrzmy się sami w opis téj ceremonii, jak on piérwotnie opiewa u kronikarza (2).

Czytamy najprzód o wspaniałéj uczcie u dworu: siedzą za stołem król, królowa i dwunastu najznamienitszych magnatów kraju, „przyjaciół i doradzców" Bolesławowych, wraz z małżonkami swojemi. Wielka radość w kole godowém! Toczą się różne rozmowy o wypadkach publicznych, zdarza się wzmianka o winowajcach zacnego rodu, którzy dopuścili się czynów niegodnych, i zostali za to skazani na śmierć. Przez wzgląd na zasłużonych krajowi przodków, żałuje Bolesław wydanego wyroku, który wspomnieniem swojém zasępił radość biesiady. Wtedy odzywa się z przymileniem królowa: czy chętnie przystałby król, iżby jakiś święty wskrzesił straconych? Bolesław odpowiada łaskawie, a królowa powstaje z miejsca, i wraz z dwunastą „przyjaciołmi i doradzcami"korony, pada do nóg królowi. „Powstrzymałam — mówi — wykonanie wyroku, i proszę teraz o życie winowajców, którzy pod ścisłą zostają strażą". Bolesław ściska królowę, i podniósłszy ją z ziemi, pochwala miłosierny uczynek.

„Zaczém téj saméj chwili—ciągnie kronikarz dosłownie daléj (3)—spieszą wysłańcy po winowajców, z roz-

(1) *Collectio conciliorum* XII r. 930 b. r. 1099, nr. 23. *Concil. Rotomag.* c. b. *Ut nullus homo comam nutriat, sed sit tonsus, sicut decet Christianum, alio quin a limitibus S. matris ecclesiae sequestrabitur, nec sacerdos aliquis divinum ei officium faciet vel ejus sepulturae interierit.*

(2) Galli *Chron.* p. 67.

(3) *Tamże p. 68. Eadem ergo hora pro captivis illis, per mulieris prudentiam vitae reservatis, cum equis plurimis mittebatur et euntibus redeundi terminus ponebatur. Tunc vero laetitia multiplex illis residentibus accrescebat, cum regina regis honorem ac regni utilitatem sic sapienter obser-*

kazem co rychlejszego powrotu. Królewscy tymczasem biesiadnicy oddają się tém żywszemu weselu, ile że się okazało dowodnie, jak mądrze królowa umié przestrzegać sławy króla i pożytku królestwa, i jak łaskawie król przychyla się do życzeń małżonki i przyjaciół. Ci zaś, po których gońców wysłano, muszą za przybyciem stawić się najpierwéj nie przed królem, lecz przed królową, od któréj surowemi i łagodnemi skarceni słowy, bywają prowadzeni do łaźni króla. Tam Bolesław kąpiąc się z nimi, upominał ich jak ojciec własnych synów, a wychwalając pamięć ich przodków, przemawiał do nich: „Wy tak zacnego rodu potomki, nie powinniście byli dopuszczać się takich sprawek!" Przyczém starszych tylko słowami, bądźto sam, bądź przez innych strofował, u młodszych zaś razy do słów przydawał. A upomniawszy ich po ojcowsku, i królewskiemi przyozdobiwszy ich szaty, i darami ich zaszczyciwszy, owszem do wyższego stopnia godności podniósłszy obdarzonych, pozwalał im z radością powrócić do dom".

Oto pierwotne brzmienie powiastki, która późniéj w tak powszechne weszła przysłowie. Odtrąćmy niektóre przydatki poetyczne, a dostrzeżemy następujących głównych rysów zdarzenia:

Odbywa się wielka uczta u dworu.

Przeznaczeni do łaziennéj ceremonii młodzieńcy znajdują się pod strażą.

Król ma do nich przemowę w łaźni.

Po kąpieli i przemowie następuje własnoręczne uderzenie przez króla.

Za tém idzie przyodzianie w szaty królewskie i obdarzenie upominkami.

vabat, et rex eam, cum amicorum consilio, de suis petitionibus audiebat. Illi autem, pro quibus missum fuerat, venientes non statim regi, sed reginae praesentabantur, qui ab ea verbis asperis et levibus castigati, ad regis balneum ducebantur, quos rex Boleslaus sicut pater filios, secum balneantes, corrigebat, eorumque progeniem memorando collaudabat: Vos, inquit, tanta, vos, tali prosapia exortos, talia committere non decebat. Aetate quidem provecciores verbis tantum, tam per se quam per alios castigabat in minoribus vero verbera cum verbis adhibebat, sicque paterne commonitos ac indumentis regalibus adornatos, doctis, muneribus, collatisque muneribus, honoribus, ire domum cum gaudio permittebat.

Kończy się obrzęd podniesieniem młodzieńców do wyższego stopnia godności i wesołym powrotem do domu.

Za darowaną im karę śmierci, za łaskawe przebaczenie sprawy gardłowéj, sąto aż nazbyt hojne, zaprawdę, przeprosiny. Z całéj owszem powiastki widać, iż mniemana chłosta łazienna przynosiła więcéj chluby niż szkody, była raczéj wyszczególnieniem niż karą. Któż nawet wié, czy nie miała ona przypadkowo symbolicznego znaczenia jakiéjś czci wyrządzonéj, również opacznie zrozumianéj przez kronikarza, jak on opacznie wytłumaczył sobie owo uderzenie orężem w bramę, owo dotknięcie brody? Należałoby tylko przekonać się, czy w historyi innych narodów nie słychać o podobnym szczególe obyczajowym? czy téż gdzieindziéj nie sprawiano także łaźni podobnéj?

I rzeczywiście przypomina się nam taka zaszczytna łaźnia wielekroć za granicą. Jestto uroczysta kąpiel, brana niegdyś przez szlachetnych młodzieńców przed pasowaniem rycerskiém. Nie towarzyszyła ona wprawdzie każdemu obrzędowi tego rodzaju, lecz w bardzo wielu wypadkach, osobliwie zaś w piérwszych czasach rycerstwa, poczytywano ją za najpamiętniejszy symbol święcenia rycerskiego. „Każ Alberyku„—mówi w dawnym poemacie rycerskim król francuzki do marszałka swojego:

Każ Alberyku, w usług twych nagrodę,
Przyrządzić łaźnię i skąp w niéj synowca;
Chcę go rycerskim przyozdobić pasem.—
Kazał więc kąpiel przyrządzić marszałek,
I wsadził w wannę zacnego młodzieńca
Na czas niedługi..... (1).

Nie innymto sposobem dostąpili np. zaszczytu rycerskiego książę normandzki Goffred, sycylijski król Ludwik II (2), i mnodzy niższego rzędu młodzieńcy. Osobliwie w Anglii były takie łaźnie rycerskie od najdawniejszych czasów w zwyczaju. Poprzedzał je i koń-

(1) Ducange *Glossarium mediae et infimae latinitatis.* Parisiis 1733. I. 735. (2) Tamże I. 735.

czył szereg rozmaitych obrzędów i ceremonij, przestrzeganych z największą akuratnością, według osobnych przepisów, które podziśdzień istnieją w archiwach starodawnych (1). U dworu królów angielskich doszło pasowanie po kąpieli solennéj do tak wysokiego znaczenia, iż powstał tam osobny zakon rycerzy tego rodzaju, tak zwany zakon i order „Łazienny“, istniejący po dzień dzisiejszy. Król Henryk IV umocował go w XIV wieku nowemi statutami, a początkiem swoim ma on sięgać czasów króla Alfredra W., t. j. o wiele dawniejszych od Bolesława.

Tyle co do kąpieli: pozostaje wytłumaczyć podobnież znaczenie chłosty. W tym względzie natrąca się samo przez się uderzanie przy pasowaniu rycerskiém. Trzykrotny raz orężem po ramieniu lub plecach, i używany przy takiéj okoliczności policzek, tak zwany „policzek rycerski“, „ostatni w życiu rycerza“ (2), mogły nieobeznanym z ceremonią prostaczkom wydać się naprawdę karą cielesną. Powtórzyła się owa fałszywa wersya kopii i brody: obraz wzięto za rzeczywistość. Przypuszczając zaś tak symboliczne znaczenie łaźni i chłosty, tych dwóch głównych rysów zagadkowéj ceremonii Bolesławowskiéj, postrzegamy całą ceremonią w istocie niczém inném, jak tylko udzieleniem znamienitego zaszczytu, starożytną formą święcenia rycerskiego.

W uderzający też sposób zgadzają się z takiém pojęciem rzeczy wszystkie inne okoliczności aktu naszego, wyszczególnione powyżéj. Rozczytajmy się tylko w dawnych opisach uroczystości przyozdobienia pasem rycerskim (3), zbyt szerokich do powtórzenia tu szczegółowo, i znanych zresztą w znacznéj części zkądinąd, a przekonamy się sami o następujących znamionach dalszéj tożsamości obrzędów.

Jak przy każdém pasowaniu rycerskiém, tak i w opisie łaźni Bolesławowskiéj czytamy najprzód o wielkiéj

(1) Ducange *Glossarium mediae et infimae latinitatis.* Parissis 1733. I. 736. (2) Tamże I. 266. 267.

(3) N. p. w Ducange'a Glossarium pod wyrazem: „*miles*“ i w Sainte-Palaye *Mémoires sur l'ancienne chevalerie.* Paris. 1781. Tom I 65—146.

uczcie dworskiéj, towarzyszącéj zwyczajnie obrzędom tego rodzaju, osobliwie w główne święta doroczne, a najosobliwiéj w Zielone Świątki.

Jak młodzieńcy Bolesławowscy, tak i wszyscy aspiranci do stopnia rycerskiego, przebywali poprzednio pewien rodzaj więzienia (1), t. j. musieli bądźto w kościele, bądź gdzieindziéj, czuwać noc całą, przygotowując się postem i modlitwą do aktu uroczystego.

Jak młodzieńców Bolesławowskich prowadzono najpierwéj przed królowę, tak i wszyscy przeznaczeni do pasowania giermkowie, stawali zwyczajnie najprzód przed obliczem królowéj i panien dworskich, albo jakichkolwiek dam innych, które z wielką uroczystością stroiły ich do obrzędu.

Jak skąpani już młodzieńcy polscy otrzymywali w upominku „szaty królewskie i różne inne dary"; tak jednym z głównych warunków przyozdobienia pasem rycerskim było zaszczycenie nowego rycerza „darami królewskiemi", stanowiącemi główne znamię rycerstwa, t. j. pasem, żupanem karmazynowym, łańcuchem, ostrogami złotemi, tarczą herbową.

Jak wreszcie młodzieńcy Bolesławowscy wracali do dom „z podniesioną do wyższego stopnia godnością"; tak też każdy z nowych rycerzów dostępował swojém pasowaniem najwyższéj wówczas godności świeckiéj, dającéj mu nawet pierwszeństwo przed królem niepasowanym, a zbliżającéj go poniekąd do godności kapłaństwa (2).

Wszystkie tedy okoliczności utwierdzają w domyśle, iż sławna łaźnia Chrobrego była symbolem zaszczytu udzielonego. Nie brak owszem innych jeszcze skazówek, przyświadczających podobnemu pojęciu rzeczy. Jedynie takiém wytłumaczeniem aktu zagadkowego, tłumaczymy sobie oraz niektóre inne wzmianki kronikarskie o czasach Bolesława Chrobrego, albo niedostatecznie zrozumiałe inaczéj, albo niedość wiarogodne bez związku z innemi wzmiankami pokrewnéj treści.

(1) Galli *Chron.* 67. *sub custodia.*
(2) Sainte Palaye *Mémoires* I. 68. 115.

I tak np. mówi ten sam Marcin Gallus w innem miejscu swojéj Kroniki, iż który z rycerzów nabył sławy i zaszczytów u dworu, ten bywał nazywany „synem królewskim“, *non miles ille sed regis filius vocabatur* (1). Jestto właśnie znany tytuł rycerski *filius armorum* (2), którym świeżo pasowanych, czyli, jak inaczéj jeszcze mówiono, *adoptowanych* (3) rycerzów, zaszczycali książęta pasujący czyli adoptujący.

Z innéj kroniki, z Długoszowéj, dochodzi nas wiadomość, iż w kilkanaście lat po przyjęciu chrześciaństwa przez Mieczysława, t. j. właśnie za czasów Bolesława Chrobrego, zaprowadziła szlachta polska pobożny zwyczaj wydobywania orężów przy ewangelii podczas mszy świętéj, co miało świadczyć o gotowości do obrony wiary Chrystusa (4). Owoż byłto właśnie powszechny zwyczaj starożytnéj szwaleryi, o którym jedno z najgruntowniejszych w téj mierze dzieł opowiada: „Dawni rycerze wstawali przy ewangelii, i trzymając wydobyte oręże w ręku, okazywali się gotowemi do ciągłéj walki za wiarę (5). Upowszechnienie się tego zwyczaju w Polsce Bolesława Chrobrego jest przeto dalszym dowodem istnienia uorganizowanéj za jego czasów szwaleryi.

Tenże sam Długosz donosi nieco późniéj, iż w kilkanaście lat po śmierci Bolesława Chrobrego, przyjęła szlachta polska zwyczaj ostrzygania włosów okrągło powyżéj uszu, jakoby w pamiątkę mnichostwa Kazimierza Odnowiciela (6). Wpatrzmy się jednakże w szczegółowe opisy rycerstwa starożytnego, a postrzeżemy z niemałém zadziwieniem, że i to podstrzyganie czupryny należało do głównych obowiązków przykładnego rycerstwa.

(1) Galli *Chron.* 75.

(2) Ducange *Glossarium:* IV 734, Sainte-Palaye I 345—346.

(3) Ducange *Glossar:* IV 734. I. 150.

(4) Długosz Histor. II. 105. Podobnież jeszcze wcześniéj Komentarz przy Kronice Kadłubka, w załączeniu do II tomu Długosza, str. 643. *Lechitae olim ob Zelum in Deum et verbum Christi extrahebant gladios, dum evangelium legebatur.*

(5) Sainte Palaye *Mémoires* I. 74. 128.

(6) Długosz *Historia* III 211. *caefariem capitis et comam barbaro more non nutrire.*

Chciało ono okazać tém posłuszeństwo dla przepisów kościelnych, zalecających skromność w odzieży i sposobie noszenia włosów, cenionych jeszcze z czasów pogaństwa jako zaszczytna niegdyś odznaka stanu, i z nad zwyczajną przeto wykwintnością pielęgnowanych. Ztąd jak duchowni tak i rycerze wzorowi nosili krótko obcięte włosy, a wyrażenie się „ostrzyżony obyczajem szwaleryi“ (1), użyte np. o jednym z rycerzów króla francuzkiego Ludwika św., miało powszechnie zrozumiałe znaczenie.

Zbierzmyż te pojedyncze wzmianki obyczajowe z czasów Bolesława Chrobrego, i przenieśmy je na jednego z owych skąpanych przezeń młodzieńców, a cóżto za obraz urośnie wtedy z tych rysów? Oto stanie przed nami możny, rodowity młodzieniec, który przebył ceremonią łaźni u dworu, którego król uderzał podówczas własną ręką, który otrzymał wtedy honorowe szaty królewskie, który podczas mszy świętéj wyciąga oręż przy ewangelii, który nosi krągło obcięte włosy, który wreszcie nazywa się „synem królewskim“. I spytajmyż któregokolwiek ze znawców starożytnego rycerstwa w Europie, kto jest ten młody wojownik? a usłyszymy: rycerz według wszelkich przepisów.

Przypuściwszy zaś rzeczywiste istnienie takiéj wówczas postaci, odsłaniamy sobie wcale nowy pogląd na epokę Bolesława Chrobrego. Była ona o wiele mniéj barbarzyńską i rubaszną niż powszechnie mniemamy. Waleczny i pobożny Bolesław, zaprzyjaźniony z mężami rzadkiéj świątobliwości, jakoto z św. Wojciechem, św Brunonem, św. braćmi pustelnikami, okazuje się zarazem otoczony dworem przykładnego rycerstwa, któremu on przy pasowaniu wykłada obowiązki rycerskie, t. j. obowiązki najwyższych cnót chrześciańskich, i które téż następnie zastosowuje się do nich w miarę możności. A bijące ztąd światło tém chlubniéj opromienia całą epokę, im rzadszém i mniéj spodziewaném było podówczas widowisko podobne. Obyczaje rycerskie zakwitły w całéj pełni dopiéro nieco późniéj, w ciągu wypraw krzy-

(1) Sainte-Palaye I. 290. 345. *roigné a guise de chevalerie.*

żowych. Tak wczesne onych pojawienie się w Polsce jest o ile ciekawém, o tyle oraz dalekiém od zarzutu anachronizmu. Już bowiem w znacznie dawniejszych czasach, mianowicie od wznowienia godności cesarskiéj przez Karola W. dają się postrzegać ślady obyczajów i obrzędów rycerskich. Osobliwie w anglo-saskiéj i duńskiéj Anglii, nie obcéj Bolesławowi Chrobremu, gdyż rządzonéj długo przez jego szwagra Swena i siostrzeńca Kanuta, miało święcenie rycerskie wielu oddawna zwolenników (1). Sam Bolesław Chrobry otrzymał ten „długo upragniony zaszczyt" od cesarza Henryka II podczas Zielonych Świąt w Merseburgu, nie wahając się służyć poprzednio Henrykowi w zwyczajnéj roli giermka, niosącego przed nim miecz do kościoła (2).

Posiadłszy tém władzę udzielania rycerstwa własnym giermkom, używał jéj nieskąpo Wielki Bolesław, i otoczył się świetnym dworem pasowanego rycerstwa, swoich „synów łaziennych". Wiadoma jest sława Chrobrego z niezmiernéj liczby gości rycerskich, krajowych i zagranicznych, podejmowanych hojnie u jego dworu, zasiadających codziennie przy czterdziestu stołach królewskich (3).

Pod tym względem celowało panowanie Bolesława Chrobrego jedyną w swoim rodzaju chwałą, niezrównaną w żadnéj z epok następnych. Nasz o niespełna sto lat późniejszy Marcin Gallus, piszący swoję Kronikę na cześć Bolesława Krzywoustego, a tém samém nieskłonny wcale do ubliżania jego dworowi, przedstawia swoje czasy jako epokę upadku w porównaniu z wiekiem Chrobrego (4).

Bo téż niezmierne zmiany zaszły między Chrobrym a Krzywoustym, zmiany w Polsce i w całéj reszcie świata. Kilkuletni bezrząd pogański po śmierci syna Chro-

(1) Cała historya Anglii za czasów Saskich, przed i po Alfredzie W. w IX i X wieku, pełna jest przykładów uroczystego święcenia i przypasywania oręży.

(2) Thietmari *Chron.* w Pertza *Monumenta. Germ. hist.* III. 833.

(3) *Chron. Galli* p. 71.

(4) Tamże p. 53 Porównanie czasów Chrobrego i Krzywoustego pod względem liczby rycerstwa. p. 64 pod względem bogactw.

brego, zaburzenia domowe pod Bolesławem Śmiałym, wygnanie Bolesława, wojny domowe między Władysławem Hermanem a jego synem Zygmuntem, upadek cesarza Henryka IV i wzniesienie się powszechnéj przewagi dworu rzymskiego: to wszystko przekształciło dawną postać kraju i dworu, przyniosło z sobą nowe obrzędy i obyczaje, podało w niepamięć dawne, nigdy już w podobnéj barwie nie odnowione.

Pod wpływem tego przeobrażenia zapomniano także znaczenia łaźni Bolesławowskiéj, uderzenia w złotą bramę kijowską, dotknięcia się brody Izasławowéj. Zapomnieli je osobliwie ludzie duchowni, uczeni, powtarzający opowiadania równie niedokładnie obeznanych z rzeczą opowiadaczy; a gdy z czasem i w innych krajach zaprzestano używać łaźni przy pasowaniu rycerskiém, stała się ona zgoła niezrozumiałą, przeszła u nas w żartobliwe przysłowie.

Dziś probując wykazać właściwe jéj znaczenie, przypominają się nam mimowolnie słowa poety:

Coto! Coto!
Inne czasy, inni ludzie!
Mów im prawdę szczerozłotą
A słuchają jak o cudzie!...

ROMEO I JULIA.

PRZEKŁAD Z SZEKSPIRA

J. Paszkowskiego.

(Dokończenie).

AKT III.

SCENA PIĘRWSZA.

(Plac publiczny).

Wchodzą: BENWOLIO, MERKUCIO, PAŹ i SŁUDZY.

BENWOLIO.

Oddalmy się ztąd, proszę cię, Merkucio.
Dzień dziś gorący, Kapuleci krążą;
Jak ich zdybiemy, nie unikniem zajścia,
Bo w tak gorące dni krew nie jest lodem.

MERKUCIO.

Podobnyś do owego burdy, co wchodząc do winiarni rzuca szpadę i mówi: *daj Boże, abym cię nie potrzebował!* a po wypróżnieniu drugiego kubka, dobywa jéj na dobywacza korków bez najmniejszéj w świecie potrzeby.

BENWOLIO.

Masz mię za takiego burdę?

MERKUCIO.

Mam cię za tak wielkiego zawadyaka, jakiemu chyba równy jest we Włoszech; bardziéj zaiste skłonnego do breweryi niż do brewiarza.

BENWOLIO.

Cóż daléj?

MERKUCIO.

Gdybyśmy mieli dwóch takich, tobyśmy wkrótce nie mieli żadnego, bo jedenby drugiego zagryzł. Tyś gotów człowieka napastować za to, że ma w brodzie jeden włos mniéj lub więcéj od ciebie. Tyś gotów napastować człowieka za to, że piwo pije, bo w tém upatrzysz przytyk do swoich piwnych oczu: chociaż żadne inne oko, jak piwne, nie upatrzyłoby w tém przytyku. W twojéj głowie tak się lęgną swary jak bekasy w ługu: toś téż nieraz za to beknął i głowę ci zmyto bez ługu. Pobiłeś raz człowieka za to, że kaszlnął na ulicy i przebudził przez to twego psa, który się wysypiał przed domem. Nie napastowałżeś raz krawca za to, że wdział na siebie nowy kaftan w dzień powszedni? kogoś innego za to, że miał stare wstążki u nowych trzewików? I ty mię chcesz moralizować za kłótliwość?

BENWOLIO.

Gdybym był tak skory do kłótni, jak ty jesteś, niktby mi życia na pięć kwandransy nie zaręczył.

MERKUCIO.

Życie twoje przeszłoby zatém bez zaręczyn.
(*Tybalt wchodzi z popleczníkami swemi*).

BENWOLIO.

Patrz, oto idą Kapuleci.

MERKUCIO.

Zamknij oczy! Co mi do tego!

TYBALT *(do swoich)*.

Pójdźcie tu, bo chcę z nimi się rozmówić. (*Do tamtych*). Mości panowie, słowo.

MERKUCIO.

Słowo tylko?
I samo słowo? Połącz je z czémś drugiém:
Z pchnięciem naprzykład.

TYBALT.

Znajdziesz mię ku temu
Gotowym, panie, jeśli dasz okazyą.

MERKUCIO.

Sam ją wziąć możesz bez mego dawania.

TYBALT.

Pan jesteś w dobréj harmonii z Romeem?

MERKUCIO.

W harmonii? Masz-li nas za muzykusów?
Jeśli tak, to się nie spodziewaj słyszeć
Czego innego jedno dyssonanse.
Oto mój smyczek: zaraz ci on gotów
Zagrać do tańca. Patrzaj go! w harmonii!

BENWOLIO.

Jesteśmy w miejscu publicznem, panowie;
Albo usuńcie się gdzie na ustronie,
Albo też zimną krwią położcie tamę
Téj kłótni. Wszystkich oczy w nas wlepione.

MERKUCIO.

Oczy są na to, ażeby patrzały:
Niech robią swoje, a my róbmy swoje.
(Romeo wchodzi).

TYBALT.

Z panem nic nie mam do mówienia. Oto
Nadchodzi właśnie ten, którego szukam.

MERKUCIO.

Jeżeli szukasz guza, mogę ręczyć,
Że się z nim spotkasz.

TYBALT.

Romeo, nienawiść
Moja do ciebie nie może się zdobyć
Na lepszy wyraz jak ten:—jesteś podły.

ROMEO.

Tybalcie, powód do kochania ciebie,
Jaki mam, tłumi gniew słusznie wzbudzony
Taką przemową. Nie jestem ja podły;
Bądź więc zdrów, widzę, że mię nie znasz.

TYBALT.

Smyku,
Nie zatrzesz takiém tłumaczeniem obelg
Mi uczynionych: stań więc i wyjm szpadę.

ROMEO.

Klnę się, żem nigdy obelg ci nie czynił;
Sprzyjam ci owszem bardziéj, niżeś zdolny
Pomyśleć o tém, nie znając powodu.

Uspokój się więc, zacny Kapulecie,
Którego imię milsze mi niż moje.

MERKUCIO.

Spokojna, nędzna, niegodna submissyo!
A la stoccata wnet jéj kres położy.
(Dobywa szpady).
Pójdź tu, Tybalcie, pójdź tu, dusiszczurze!

TYBALT.

Czego ten człowiek chce odemnie?

MERKUCIO.

Niczego, mój ty kocikrólu, chcę ci wziąć tylko jedno życie z pomiędzy dziewięciu, jakie masz, abym się niém trochę popieścił; a za nowém spotkaniem uskubnąć ci i tamte ośm jedno po drugiém. Daléj! wyciągnij za uszy szpadę z powijaka, inaczéj moja gwiźnie ci koło uszu, nim wyciągniesz swoję.

TYBALT.

Służę waćpanu.
(Dobywa szpady).

ROMEO.

Merkucio, schowaj szpadę, jak mię kochasz.

MERKUCIO.

Pokaż-no swoje *passado.*
(Biją się).

ROMEO.

Benwolio,
Rozdziel ich! Wstydźcie się, mości panowie:
Wybaczcie sobie. Tybalcie! Merkucio!
Książę wyraźnie zabronił podobnych
Starć na ulicach. Merkucio! Tybalcie!
(Tybalt odchodzi ze swoimi).

MERKUCIO.

Zranił mię. Kaduk zabierz wasze domy!
Nie wybrnę z tego. Czy odszedł ten hultaj
I nie oberwał nic?

BENWOLIO.

Jestżeś raniony?

MERKUCIO.

Tak, tak, draśniętym trochę, ale rdzennie.
Gdzie mój paź? Chłopcze, biegnij po chirurga.
(Paź wychodzi).

ROMEO.

Zbierz męztwo, rana nie musi być wielką.

MERKUCIO.

Zapewne, nie tak głęboka jak studnia,
Ani szeroka tak jak drzwi kościelne,
Ale wystarcza w sam raz, ręczę za to.
Znajdziesz mię jutro spokojnym jak trusia.
Już się dla tego świata na nic nie zdam.
Bierz licho wasze domy! Żeby taki
Pies, szczur, kot, na śmierć zadrapał człowieka!
Taki cap, taki warchoł, taki ciura,
Co się bić umie jak z arytmetyki!
Po'kiego czorta ci się było mieszać
Między nas? Zranił mię pod bokiem twoim.

ROMEO.

Chciałem, Bóg widzi jak najlepiéj.

MERKUCIO.

Benwolio, pomóż mi wejść gdzie do domu.
Słabnę. Bierz licho oba wasze domy!
One mię dały na strawę robakom:
Będę nią i to wnet. Kaduk was zabierz!
(Merkucio i Benwolio wychodzą).

ROMEO.

Ten dzielny człowiek, blizki krewny księcia,
I mój najlepszy przyjaciel, śmiertelny
Poniósł cios za mnie; moję dobrą sławę
Tybalt znieważył; Tybalt, który niéma
Godziny jeszcze jak został mym krewnym.
O Julio! wdzięki twe mię zniewieściły
I z hartu zwykłéj wyzuły mię siły.
(Benwolio powraca).

BENWOLIO.

Romeo, Romeo, Merkucio skonał:
Mężny duch jego uleciał wysoko
Gardząc przedwcześnie swą ziemską powłoką.

ROMEO.

Dzień ten fatalny więcéj takich wróży:
Gdy się raz zacznie złe, zwykle trwa dłużéj.
(Tybalt powraca).

BENWOLIO.

Oto szalony Tybalt wraca znowu.

ROMEO.

On żyw! zwycięzca! a Merkucio trupem!
Precz teraz pobłażliwa łagodności!
Płomiennooka furyo, ty mną kieruj!
Tybalcie, odbierz nazad swoje *podły*;
Zwracam ci, co mi dałeś! Duch Merkucia
Wznosi się ponad naszemi głowami,
Dopominając się za swoją twojéj.
Ty lub ja, albo oba musim legnąć.

TYBALT.

Nikczemny chłystku, tyś mu tu był druchem,
Bądźże i owdzie.

ROMEO.

To się tém rozstrzygnie.
(Walczą. Tybalt pada).

BENWOLIO.

Romeo, odda! się, uciekaj!
Rozruch się wszczyna i Tybalt nie żyje.
Nie stój jak wryty; jeśli cię schwytają
Książę cię na śmierć skaże; chroń się zatém!

ROMEO.

Jestem igraszką losu!

BENWOLIO.

Prędzéj! prędzéj!
(Romeo wychodzi).
(Wchodzą obywatele i t. d.).

PIĘRWSZY OBYWATEL.

Gdzie on? gdzie uszedł zabójca Merkucia?
Zabójca Tybalt w którą uszedł stronę?

BENWOLIO.

Tybalt tu leży.

PIĘRWSZY OBYWATEL.

Za mną, mości panie:
W imieniu księcia każę-ć być posłusznym.
(Wchodzą: książę z orszakiem, Montekio i Kapulet z małżonkami swemi i inne osoby).

KSIĄŻĘ.

Gdzie są nikczemni sprawcy téj rozterki?

BENWOLIO.

Dostojny książę, ja mogę objaśnić
Cały bieg tego nieszczęsnego starcia:

Oto tu leży, przez Romea zgładzon,
Zabójca twego krewnego Merkucia.

PANI KAPULET.

Tybalt! mój krewny! syn mojego brata!
Boże! tak marnie zgładzony ze świata!
O mości książę, błagam twéj opieki,
Niech za krew naszę odda krew Monteki.

KSIĄŻĘ.

Benwolio, powiedz, kto ten spór zapalił?

BENWOLIO.

Tybalt, którego Romeo powalił.
Romeo mu przekładał, jak jałową
Była ta kłótnia, przypominał zakaz
Waszéj Książęcéj Mości, ale wszystkie
Te przedstawienia, uczynione grzecznie,
Spokojnym głosem, nawet w korny sposób,
Nie mogły wpłynąć na zawzięty umysł
Tybalta. Zamiast skłonić się do zgody,
Zwraca morderczą stal w Merkucia piersi,
Który, podobnież uniesiony, ostrze
Odpiera ostrzem, i uszedłszy śmierci,
Śle ją nawzajem Tybaltowi: ale
Bez skutku, dzięki zręczności tamtego.
Romeo woła: „*Hola! przyjaciele!*
Stójcie! odstąpcie!" i ramieniem szybszém
Od słów rozdziela skrzyżowane klingi,
Wpadając między nich; lecz w tejże chwili
Cios wymierzony z boku przez Tybalta
Przeciął Merkucia życie. Tybalt zniknął:
Wkrótce atoli ukazał się znowu,
Kiedy Romeo już był zemstą zawrzał.
Starli się w okamgnieniu, i nim szpadę
Wyjąć zdołałem, by wstrzymać tę zwadę,
Już mężny Tybalt wskroś przeszyty legł
Z ręki Romea, a Romeo zbiegł.
Tak się rzecz miała: jeżelim się minął
Z prawdą, bodajem ciężką śmiercią zginął.

PANI KAPULET.

On jest Montekich krewnym: przywiązanie
Czyni go kłamcą: nie wierz mu, o panie!
Ich tu przynajmniéj ze dwudziestu było;
Dwudziestu przeciw jednemu walczyło.
Sprawiedliwości, panie! kto śmierć zadał,
Słuszna, by śmiercią za to odpowiadał.

KSIĄŻĘ.

Tybalt ją zadał wprzód Merkuciuszowi,
Romeo jemu: któż słusznie odpowié?

MONTEKIO.

Nie mój syn, panie: o, nie wyrzecz tego!
On był Merkucia najlepszym kolegą
I przyjacielem; w tém jedynie zgrzeszył,
Że Tybaltowi nieprawnie przyspieszył
Rygoru prawa.

KSIĄŻĘ.

I za tento błąd
Banitujemy go na zawsze ztąd.
Zblizka mię wasze dotknęły niesnaski,
Skoro mój własny dom cierpi z ich łaski:
Ale ja takie znajdę środki na nie,
Że wam spór każdy obmierzłym się stanie,
Wszelkie wykręty na nic się nie zdadzą:
Ni łzy, ni prośby winnym nie poradzą,
Uprzedzam! Niechaj Romeo ucieka,
Bo gdy schwytany będzie, śmierć go czeka.
Każcie ztąd zebrać te zwłoki. Łaskawość
Zbrodnią jest, kiedy oszczędza nieprawość.
(Wychodzą).

SCENA DRUGA.

(Pokój w domu Kapuleta).

JULIA *(sama).*

JULIA.

Pędźcie, ognisto-kopyte rumaki
Ku państwom Feba: oby nowy jaki
Faeton dodał wam bodźca i rączéj
Pognał was owdzie, gdzie się szlak dnia kończy!
Wierna kochankom nocy, spuść zasłonę,
By się wznieść mogły oczy w dzień spuszczone;
I w te objęcia niedostrzeżonego
Sprowadź, ach! sprowadź mi Romea mego!
Miłości świeci pod twą czarną krepą
Jéj własna piękność, a jeśli jest ślepą,
Tém stosowniejszy mrok dla niéj. O nocy!
Cicha matrono, w ciemnéj twéj karocy

Przybądź, i naucz mię niemym wyrazem,
Jak się to traci i wygrywa razem
Wśród gry niewinnéj dwojga serc dziewiczych;
Skryj w płaszcza twego zwojach tajemniczych
Krew, co mi do lic bije z głębi łona;
Aż nieświadoma miłość ośmielona,
Za skromność weźmie czyn swéj świadomości.
Przyjdź, ciemna nocy! Przyjdź, mój dniu w ciemności!
Bo twój blask, o mój luby, jaśnieć będzie
Na skrzydłach nocy, jak pióro łabędzie
Na grzbiecie kruka. Wstąp, o, wstąp w te progi
Przyjazna nocy! daj mi mój skarb drogi!
Daj mi Romea, a po jego zgonie
Rozsyp go w gwiazdki! A niebo zapłonie
Tak, że się cały świat w tobie zakocha,
I czci odmówi słońcu. Ach, jam sobie
Kupiła piękny przybytek miłości,
A w posiadanie jego wejść nie mogę;
Nabytą jestem także, a nabywca
Jeszcze mię nie ma! Dzień ten mi nieznośny,
Jak noc, poprzedzająca jakie święto,
Niecierpliwemu dziecku, które nowe
Dostało szaty, a nie może zaraz
W nie się przystroić. A! niania kochana
(*Marta wchodzi z drabinką sznurową w ręku*).
Niesie mi wieści o nim; kto tylko
Wymawia imię Romea, ten boski
Ma dar wymowy. Cóż tam, moja nianiu?
Co to masz? Czy to ta drabinka, którą
Romeo przynieść kazał?

MARTA.

Tak, drabinka!
(*Rzuca ją*).

JULIA.

Dlaboga! czego załamujesz ręce?

MARTA.

Ach! on nie żyje, nie żyje! nie żyje!
Biada nam! biada nam! wszystko stracone!
On zginął! on nie żyje! on zabity!

JULIA.

Możeż być niebo tak okrutném?

MARTA.

Niebo
Nie jest okrutném, lecz Romeo: onto,

On jest okrutnym. O Romeo! któżby
Się był spodziewał! Romeo! Romeo!

JULIA.

Cóżeś za szatan, że tak mię udręczasz?
Taki głos w piekleby tylko brzmieć winien.
Czyliż Romeo odjął sobie życie?
Powiédz: *tak!* a te trzy litery gorszy
Jad będą miały, niż wzrok bazyliszka.
Jeżeli takie *tak* istnieje, Julia
Istnieć nie będzie: zawrą się na zawsze
Te usta, które to *tak* wywołały.
Zginąlli, powiédz: *tak*, jeśli nie—*nie*;
W krótkich wyrazach zbaw lub zabij mnie.

MARTA.

Widziałam ranę na me własne oczy.
Boże, zmiłuj się nad nim, tu, ot tu,
Tu w samym środku mężnéj jego piersi.
Straszny trup! straszny trup! blady, jak popiół;
Cały zbroczony, cały krwią zbryzgany,
Zgęsłą krwią: ażem wzdrygnęła się patrząc.

JULIA.

O pęknij serce! pęknij w tym przeskoku
Z bogactw do nędzy! Do więzienia wzroku!
Już ty nie zaznasz swobody uroku.
Jak nas na ziemi złączył jeden ślub,
Tak niech nas w ziemi złączy jeden grób!

MARTA.

Tybalcie, mój najlepszy przyjacielu!
Luby Tybalcie! Dziarski, walny chłopcze!
Czemuż mi, czemuż przyszło przeżyć ciebie!

JULIA.

Cóżto za wicher dmie z dwóch stron przeciwnych?
Romeo zginął? i Tybalt zabity?
Ogłoś więc, straszna trąbo, koniec świata!
Bo gdzież są żywi, gdy ci dwaj nie żyją?

MARTA.

Tybalt nie żyje, Romeo wygnany:
Romeo, zabił go, jest więc wygnany.

JULIA.

Boże! Romeo przelał krew Tybalta?

MARTA.

Onto, niestety, on, onto uczynił.

JULIA.

O serce żmii pod kwiecistą maską!
Kryłże się kiedy smok w tak pięknym lochu?
Luby tyranie, anielski szatanie!
Kruku w gołębich pierzach! wilku w runie!
Nikczemny wątku w niebiańskiéj postaci!
We wszystkiém sprzeczny z tém, czém się wydajesz;
Szlachetny zbrodniu! potępieńcze święty!
O, cóżeś miała do czynienia w piekle
Naturo, kiedyś taki duch szatański
W raj tak pięknego ciała wprowadziła?
Byłaż gdzie książka tak ohydnéj treści
W oprawie tak ozdobnéj? Trzebaż, aby
Fałsz zamieszkiwał tak przepyszny pałac!

MARTA.

Nie ma czci, nie ma wiary, nie ma prawdy,
Nie ma sumienia w ludziach; sama zmienność,
Sama przewrotność, chytrość i obłuda.
Pietrze! dajno mi trochę akwawity.
Te smutki, te zgryzoty, te cierpienia
Robią mię starą. Przeklęty Romeo!
Hańba mu!

JULIA.

Bodaj ci język oniemiał
Za to przekleństwo! Romeo nie zrodzon
Do hańby: hańbaby wstydem spłonęła
Na jego czole; bo ono jest tronem,
Na którym honor śmiałoby mógł zostać
Koronowanym na monarchę świata.
O, jakże mogłam mu złorzeczyć!

MARTA.

Chceszże
Zbójcę krewnego twego uniewinniać?

JULIA.

Mamże potępiać mojego małżonka?
O biédny! któżby popieścił twe imię,
Gdybym ja, od trzech godzin twoja żona,
Miała je szarpać? Ależ, niegodziwy,
Za co ty mego zabiłeś krewnego?
Za to, że krewny niegodziwy zabić
Chciał mego męża. Precz, precz, łzy niewczesne!
Spłyńcie do źródła, które was wydało;
Dań waszych kropel przypada żalowi,

A nie radości, któréj ją płacicie.
Mój mąż, co Tybalt go chciał zabić, żyje,
A Tybalt, co chciał zabić mego męża,
Śmierć poniósł: w tém pociecha. Czegóż płaczę?
Ha! doszło do mych uszu coś gorszego,
Niż śmierć Tybalta; co mię wskroś przeszyło.
Chętniebym o tém zapomniała, ale
To coś wcisnęło się tak w moję pamięć,
Jak karygodny czyn w umysł grzesznika.
Tybalt nie żyje—Romeo wygnany!
To jedno słowo: wygnany, zabiło
Tysiąc Tybaltów. Śmierć Tybalta była
Sama już przez się dostatecznym ciosem;
Jeśli zaś ciosy lubią towarzystwo,
I gwałtem muszą mieć za sobą świtę,
Dlaczegóż w ślad tych słów: *Tybalt nie żyje,*
Nie nastąpiło: twój ojciec nie żyje,
Lub matka, albo i ojciec i matka?
Żal byłby wtenczas nie tyle ogólny;
Lecz gdy Tybalta śmierć ma za następstwo
To przeraźliwe: *Romeo wygnany!*
O, jednocześnie z tym wykrzykiem Tybalt,
Matka i ojciec, Romeo i Julia,
Wszyscy nie żyją. Romeo wygnany!
Z zbójczego tego wyrazu płynąca
Śmierć nie ma granic, ni miary, ni końca,
I żaden język nie odda boleści
Jaką to straszne słowo w sobie mieści.
Gdzie moja matka i ojciec?

MARTA.

Przy zwłokach
Tybalta jęczą i łzy wylewają.
Chcesz tam panienka iść, to zaprowadzę.

JULIA.

Nie mnie oblewać łzami jego rany:
Moich przedmiotem Romeo wygnany.
Weź tę drabinkę. Biédna ty plecionko!
Ty zawód dzielisz z Romea małżonką:
Obie nas chybił los oczekiwany,
Bo on wygnany, Romeo wygnany!
Ty pozostajesz spuścizną jałową,
A ja w panieńskim stanie jestem wdową.
Pójdź, nianiu, prowadź mię w małżeńskie łoże,
Nie mąż: już tylko śmierć w nie wstąpić może.

MARTA.

Czekaj-no, pójdę sprowadzić Romea,
By cię pocieszył. Wiem, gdzie on jest teraz.
Nie płacz: użyjem jeszcze tych pleciuszek,
I twój Romeo wnet przed tobą stanie.

JULIA.

O, znajdź go! daj mu w zakład ten pierścionek,
I na ostatnie proś go pożegnanie.

(*Wychodzą*).

SCENA TRZECIA.

(*Cela ojca Laurentego*).

OJCIEC LAURENTY i ROMEO.

OJCIEC LAURENTY (*wchodząc*).

Romeo! Pójdź tu pognębiony człeku!
Smutek zakochał się w umyśle twoim,
I poślubiony jesteś niefortunie.

ROMEO.

Cóż tam, ony ojcze? Jakiż wyrok księcia?
J jakaż dola nieznana ma zostać
Mą towarzyszką?

OJCIEC LAURENTY.

Zbyt już oswojony
Jest mój syn drogi z takiém towarzystwem.
Przynoszę-ć wieści o wyroku księcia.

ROMEO.

Jakiżby mógł być łaskawszy prócz śmierci?

OJCIEC LAURENTY.

Z ust jego padło łagodniejsze słowo:
Wygnanie ciała, nie śmierć ciała, wyrzekł.

ROMEO.

Wygnanie? Zmiłuj się i powiedz: śmierć!
Wygnanie bowiem wygląda okropniéj
Niż śmierć. Zaklinam cię, nie mów: wygnanie.

OJCIEC LAURENTY.

Wygnany jesteś z obrębu Werony.
Zbierz męztwo, świat jest długi i szeroki.

ROMEO.

Zewnątrz Werony niéma, niéma świata,
Tylko tortury, czyściec, piekło samo!
Ztąd być wygnanym, jestto być wygnanym
Ze świata; być zaś wygnanym ze świata,
Jestto śmierć ponieść: wygnanie jest zatém
Śmiercią barwioną. Mieniąc śmierć wygnaniem,
Złotym toporem ucinasz mi głowę,
Z uśmiechem patrząc na ten cios śmiertelny.

OJCIEC LAURENTY.

O ciężki grzechu! O niewdzięczne serce!
Błąd twój pociąga z prawa śmierć za sobą:
Książę, ujmując się jednak za tobą,
Prawo życzliwie usuwa na stronę,
I groźny wyraz: śmierć, w wygnanie zmienia.
Łaskato, i ty tego nie uznajesz?

ROMEO.

Katusza-to nie łaska. Niebo tu jest,
Gdzie Julia żyje: lada pies, kot, lada
Mysz marna, lada nikczemne stworzenie
Żyje tu w niebie, może na nią patrzeć,
Tylko Romeo nie może. Mdła mucha
Więcéj ma mocy, więcéj czci i szczęścia
Niżli Romeo: jéj wolno dotykać
Białego cudu, drogiéj ręki Julii,
I nieśmiertelne z ust jéj kraść zbawienie;
Z tych ust, co pełne westalczéj skromności
Bez przerwy płoną i pocałowanie
Grzechem być sądzą: mucha ma tę wolność,
Ale Romeo nie ma; on wygnany.
I mówisz, że wygnanie nie jest śmiercią?
Nie masz-li żadnéj trucizny, żadnego
Ostrza, żadnego środka nagłéj śmierci,
Aby mię zabić, tylko ten fatalny
Wyraz—wygnanie? O księże, złe duchy
Wyją, gdy w piekle usłyszą ten wyraz:
I tyż masz serce, ty, święty spowiednik,
Rozgrześca grzechów i szczery przyjaciel,
Pasy drzéć ze mnie tém słowem: wygnanie?

OJCIEC LAURENTY.

Sentymentalny szaleńcze, posłuchaj!

ROMEO.

Znowu mi będziesz prawił o wygnaniu.

OJCIEC LAURENTY.

Dam ci broń przeciw temu wyrazowi;
Balsamem w przeciwnościach—filozofia:
W téj więc otuchę czerp, będąc wygnanym.

ROMEO.

Wygnanym jednak!—O! precz z filozofią!
Czyż filozofia zdoła stworzyć Julią?
Przestawić miasto? Zmienić wyrok księcia?
Nic z niéj: bezsilna ona, nie mów o niéj.

OJCIEC LAURENTY.

Szaleni są więc głuchymi, jak widzę.

ROMEO.

Jak mają nie być, gdy mądrzy nie widzą.

OJCIEC LAURENTY.

Dajże mi mówić; przyjm słowa rozsądku.

ROMEO.

Nie możesz mówić tam, gdzie nic nie czujesz.
Bądź jak ja młodym, posiądź miłość Julii,
Zaślub ją tylko-co, zabij Tybalta,
Bądź jak ja zakochanym i wygnanym,
A wtedy będziesz mógł mówić; o, wtedy
Będziesz mógł sobie z rozpaczy rwać włosy
I rzucać się na ziemię, jak ja teraz,
Na grób zawczasu biorąc sobie miarę.
(Rzuca się na ziemię. Słychać kołatanie).

OJCIEC LAURENTY.

Cicho, ktoś puka: ukryj się, Romeo.

ROMEO.

Nie; chyba para powstała z mych jęków,
Jak mgła, ukryje mię przed ludzkim wzrokiem.
(Kołatanie).

OJCIEC LAURENTY.

Słyszysz? pukają znowu. Kto tam? Powstań,
Powstań, Romeo! Chcesz być wziętym? Powstań;
(Kołatanie).
Wnijdź do pracowni mojéj. Zaraz, zaraz.
Cóż-to za upor!
(Kołatanie).
Idę, idę, któż-to
Tak na gwałt puka? Zkąd wy? Czego chcecie?

MARTA (*zewnątrz*).

Wpuśćcie mię, a dowiécie się o wszystkiém.
Julia przysyła mię.

OJCIEC LAURENTY.

Witajże, witaj.
(*Marta wchodzi*).

MARTA.

O świętobliwy ojcze, powiedz proszę,
Gdzie jest mąż mojéj pani, gdzie Romeo?

OJCIEC LAURENTY.

Tu na podłodze, łzami upojony.

MARTA.

Ach, on jest właśnie w stanie mojéj pani,
Właśnie w jéj stanie.

OJCIEC LAURENTY.

Nieszczęsna sympatio!
Smutne zbliżenie!

MARTA.

I ona tak leży,
Płacząc i łkając, szlochając i płacząc.
Powstań pan, powstań, jeśli jesteś mężem!
O powstań, podnieś się, przez wzgląd na Julią!
Dlaczego dać się przygnębiać tak srodze?

ROMEO.

Marto!

MARTA.

Ach, panie! Wszystko na tym świecie
Kończy się śmiercią.

ROMEO.

Mówiłaś o Julii?
Cóż się z nią dzieje? O, pewnie mię ona
Ma za mordercę zakamieniałego,
Kiedym mógł naszych rozkoszy dzieciństwo
Splamić krwią, jeszcze tak blizką jej własnéj.
Gdzie ona? Jak się miewa? i co mówi
Na zawód, w świeżo błysłym nam zawodzie?

MARTA.

Nic, tylko szlocha i szlocha i szlocha;
To się na łóżko rzuca, to powstaje,

To woła, Tybalt! to krzyczy, Romeo!
I znowu pada.

ROMEO.

Jak gdyby to imie
Z śmiertelnéj paszczy działa wystrzelone
Miało ją zabić, tak jak jéj krewnego
Zabiła ręka tego, co je nosi.
O powiédz, powiédz mi ojcze, przez litość,
W którym zakątku téj nędznéj budowy
Mieszka me imię; powiédz, abym zburzył
To nienawistne siedlisko.

(*Dobywa miecza*),

OJCIEC LAURENTY.

Stój! Wstrzymaj
Dłoń rozpaczliwą! Czy jesteś ty mężem?
Postać twa pokazuje, że nim jesteś;
Łzy twe niewieście; dzikie twoje czyny
Cechują bezrozumną wściekłość zwierza.
W pozornym mężu ukryta niewiasto!
Zwierzu, przybrany w pozór tego dwojga!
Ty mię w zdumienie wprawiasz. Jakem kapłan!
Myślałem, że masz więcéj hartu w sobie.
Tybaltaś zabił; chcesz zabić sam siebie:
I przez haniebny ten na siebie zamach
Zabić chcesz także tę, co żyje tobą?
Przecz tak uwłaczasz swemu urodzeniu,
Niebu i ziemi, skoro urodzenie,
Niebo i ziemia ci się śmieją? Wstydź się!
Krzywdzisz swą postać, swą miłość, swój rozum,
Boś ty jak lichwiarz bogaty w to wszystko,
Ale niczego tego nie używasz
W sposób mogący te dary ozdobić.
Kształtna twa postać jest figurą z wosku,
Skoro nie idzie z męzką cnotą w parze;
Miłość twa w gruncie czczém krzywoprzysięztwem,
Skoro chcesz zabić tę, któréjś ją ślubił.
Twój rozum, chluba kształtów i miłości,
Niezręczny w korzystaniu z tego dwojga,
Jest jak proch w flaszce płochego żołnierza,
Co się zapala z własnéj jego winy,
I razi tego, którego miał bronić.
Otrząś się człeku! Julia twoja żyje:
Julia, dla któréj umrzeć byłeś gotów;
W temeś szczęśliwy. Tybalt chciał cię zabić:
Tyś jego zabił; w tém szczęśliwyś także.
Prawo, grożące ci śmiercią, zamienia

Śmierć na wygnanie: i w temeś szczęśliwy.
Stosy na głowie błogosławieństw dźwigasz,
Szczęście najwabniéj wdzięczy się do ciebie,
A ty, jak dziewka zepsuta, kapryśna,
Fochasz się na tę szczodrotę fortuny.
Strzeż się, bo tacy marnie umierają.
Terazże idź do żony, jak to było
Wprzód umówione, i pociesz niebogę.
Pomnij wyjść jednak przed wart rozstawieniem:
Bo późniéj przejśćbyś nie mógł do Mantui,
Gdzie masz przebywać tak długo, aż znajdziem
Czas do odkrycia waszego małżeństwa,
Do pojednania waszych nieprzyjacioł,
Do przebłagania księcia, naostatek
Do sprowadzenia cię nazad, z radością
Dziesięćkroć sto tysięcy razy większą,
Niż teraźniejszy twój smutek. Wacpani
Idź naprzód: pozdrów odemnie swą panią;
I każ jéj naglić wszystkich do spoczynku:
Ku czemu żal ich ułatwi namowę.
Romeo przyjdzie niebawem.

MARTA.

O panie!
Mogłabym całą noc stać tu i słuchać.
Co téżto może nauczoność! Biegnę
Uprzedzić moję panią, że pan przyjdziesz.

ROMEO.

Idź, proś ją niech się gotuje mię zgromić.

MARTA.

Oto pierścionek, który mi kazała
Doręczyć panu. Spiesz się pan, już późno.
(Marta wychodzi).

ROMEO.

O jakże mi ten dar dodał otuchy!

OJCIEC LAURENTY.

Idź już: dobranoc! a pamiętaj albo
Wyjść jeszcze dzisiaj nim zaciągną warty,
Albo w przebraniu ujść jutro o świcie.
Osiądź w Mantui. Jeden z naszych braci
Nosić ci będzie od czasu do czasu
Zawiadomienie o każdym wypadku,
Jaki na twoję korzyść tu się zdarzy.
Daj rękę; późno już: bądź zdrów, dobranoc.

ROMEO.

Gdy nie radość co mię czeka, wczesny
Ten rozdział z tobą byłby zbyt bolesny.
Żegnam cię, ojcze.

(*Wychodzą*).

SCENA CZWARTA.

(*Pokój w domu Kapuleta*).

KAPULET, PANI KAPULET i PARYS.

KAPULET.

Tak smutny dotknął nas, panie, wypadek,
Żeśmy nie mieli czasu mówić z Julią.
Krewny nasz, Tybalt, był jéj nader drogim,
Nam także; ależ rodzim się, by umrzeć.
Dziś ona już nie zejdzie, bo już późno.
Gdyby nie twoje, hrabio, odwiedziny,
Ja sambym w łóżku był już od godziny.

PARYS.

Pora żałoby nie sprzyja załotom;
Dobranoc, pani: poleć mię swéj córce.

PANI KAPULET.

Najchętniéj: zaraz jutro ją wybadam;
Na dziś zamknęła się, by żal swój spłakać.

KAPULET.

Hrabio, za miłość naszego dziecięcia
Mogę ci ręczyć: mniemam, że się skłoni
Do mych przełożeń; co więcéj, nie wątpię.
Pójdź do niéj, żono, nim się spać położysz;
Oznajm jéj cnego Parysa zamiary,
I powiedz jéj, uważasz, że w tę środę....
Zaczekaj, cóżto dzisiaj?

PARYS.

Poniedziałek.

KAPULET.

A! poniedziałek! Zawcześnie we środę;
Odłóżmy to na czwartek: w ten więc czwartek
Zostanie żoną szlachetnego hrabi.
Będzieszli gotów? Czy ci to dogadza?

Cicho się sprawim; jeden, dwóch przyjacioł..
Gdybyśmy bowiem po tak świeżéj stracie
Bardzo hulali, ludzie, widzisz, hrabio,
Mogliby myśleć, że za lekko bierzem
Zgon tak blizkiego krewnego: dlatego
Wezwiem przyjacioł z jakie pół tuzina,
I na tém koniec. Cóż mówisz na czwartek?

PARYS.

Radbym, o panie, żeby już był jutro.

KAPULET.

To dobrze. Bądź nam zdrów. A więc we czwartek.
Wstąpże do Julii, żono, nim spać pójdziesz;
Przygotuj ją do ślubu. Bądź zdrów, hrabio.
Światła! héj! światła do mego pokoju!
Tak już jest późno, żebyśmy nieledwie
Mogli powiedzieć: tak rano. Dobranoc.
(Wychodzą).

SCENA PIĄTA.

(Pokój Julii).

ROMEO i JULIA.

JULIA.

Chcesz już iść? Jeszcze ranek nie tak blizki.
Słowik-to, nie skowronek się odezwał,
I śpiewem przeszył trwożne ucho twoje.
Co noc on śpiewa owdzie na gałązce
Granatu: wierzaj mi, że to był słowik.

ROMEO.

Skowronek-to, ów czujny herold ranku,
Nie słowik: widzisz te zazdrosne smugi
Co tam na wschodzie złocą chmur krawędzie?
Pochodnie nocy już się wypaliły
I dzień się wspina raźnie na szczyt gór.
Chcąc żyć, iść muszę, lub zostając— umrzeć.

JULIA.

Owo światełko nie jest świtem: jestto
Jakiś meteor od słońca wysłany,
Aby ci służył w noc za przewodnika,
I do Mantui rozjaśniał ci drogę;
Zostań więc, nie masz potrzeby się spieszyć.

ROMEO.

Niech mię schwytają, na śmierć zaprowadzą,
Rad temu będę, bo Julia chce tego.
Nie, ten brzask nie jest zapowiednią ranku,
To tylko blady odblask lica Luny;
To nie skowronek, co owdzie piosenką
Bijąc w niebiosa wznosi się nad nami.
Więcéj mię względów skłania tu pozostać,
Niż nagli odejść. O śmierci, przybywaj!
Chętnie cię przyjmę, bo Julia chce tego.
Cóż, luba? prawda, że jeszcze nie dnieje?

JULIA.

O dnieje, dnieje! Idź, spiesz się, uciekaj!
Głosto skowronka brzmi tak przeraźliwie,
I niestrojnemi, ostremi dźwiękami
Razi me ucho. Mówią, że skowronek
Miło wywodzi: z tym się ma przeciwnie,
Bo on wywodzi nas z objęć wzajemnych.
Skowronek, mówią, z obrzydłą ropuchą
Zamienił oczy: o, radabym teraz
Żeby był także i głos z nią zamienił,
Bo ten głos, w smutnéj rozstania potrzebie,
Dzień przywołując, wywołuje ciebie.
Idź już, idź: ciemność coraz-to się zmniejsza.

ROMEO.

A dola nasza coraz-to ciemniejsza!
(Marta wchodzi).

MARTA.

Pst! pst!

JULIA.

Co?

MARTA.

Starsza pani tu nadchodzi;
Dzień świta: baczność, bo się narazicie.
(Wychodzi).

JULIA.

O okno, wpuśćże dzień a wypuść życie!

ROMEO *(wychodząc przez okno).*

Bądź zdrowa! Jeszcze jeden uścisk krótki.

JULIA.

Już idziesz: o mój drogi! mój milutki!
Muszę mieć codzień wiadomość o tobie;

A każda chwila równą będzie dobie.
Zgrzybieję licząc podług téj rachuby,
Nim cię zobaczę znowu, o mój luby.

ROMEO.

Ilekroć będę mógł, tylekroć twoję
Drogą troskliwość pewnie zaspokoję.
(*Znika za oknem*).

JULIA.

Jak myślisz, czy się znów ujrzymy kiedy?

ROMEO.

Nie wątpię o tém, najmilsza, a wtedy
Wszystkie cierpienia nasze kwiatem tkaną
Kanwą do słodkich rozmów nam się staną.

JULIA.

Boże! przeczuwam jakąś ciężką dolę:
Wydajesz mi się teraz tam na dole,
Jak trup, z którego znikły życia ślady.
Czy mię wzrok myli? Jakiżeś ty blady!

ROMEO.

I twoja także twarz jak pogrobowa.
Smutek nas trawi. Bądź zdrowa! bądź zdrowa!

JULIA (*odstępując od okna*).

O losie! ludzie mienią cię niestałym:
Toż więc przez zawiść tylko prześladujesz
Tych, co kochają stale? Bądź niestały,
Bo wtedy będę mogła mieć nadzieję,
Że go niedługo będziesz zatrzymywał,
I wrócisz nazad.

PANI KAPULET (*za sceną*).

Julio! czyś już wstała?

JULIA.

Któżto mię woła? Głoszeto méj matki?
Nie spałaż ona, czy wstała tak rano?
Jakiż niezwykły powód ją sprowadza?
(*Pani Kapulet wchodzi*).

PANI KAPULET.

Jak się masz, Julciu?

JULIA.

Niedobrze mi matko.

PANI KAPULET.

Wciąż jeszcze płaczesz nad stratą Tybalta?
Chceszże go łzami dobyć z grobu? Choćbyś
Dopięła tego, wskrzesić go nie zdołasz.
Przestań więc: pewien żal może dowodzić
Wielkiéj miłości, ale wielkość żalu
Dowodzi pewnéj płytkości pojęcia.

JULIA.

Trudno na taką stratę nie być czułą.

PANI KAPULET.

Tak, ale płacząc czujesz tylko stratę,
Nie tego, po kim płaczesz, moje dziecko.

JULIA.

Tak czując stratę mogę tylko płakać.

PANI KAPULET.

Przyznaj się jednak, że nietyle płaczesz
Nad jego śmiercią, jako raczéj nad tém,
Że jeszcze żyje ten łotr, co go zabił.

JULIA.

Jaki łotr, pani?

PANI KAPULET.

Tenci łotr, Romeo.

JULIA.

On i łotr żyją daleko od siebie.
Przebacz mu Boże, tak jak ja przebaczam.
A przecież nie ma na świecie człowieka,
Któryby bardziéj ciężył mi na sercu.

PANI KAPULET.

Że mimo swoich niecnót jeszcze żyje.

JULIA.

Że go nie mogę dosiądz tém ramieniem,
Radabym sama módz się na nim zemścić.

PANI KAPULET.

Dozna on zemsty; nie troszcz się i nie płacz.
Zlecę ja pewnéj osobie w Mantui,
Gdzie ten wygnany renegat się schronił,
Dać mu traktament tak zniewalający,
Że wnet pospieszy za Tybaltem. Wtedy
Będziesz, spodziewam się, zaspokojoną.

JULIA.

Nie zaspokoi mię Romeo nigdy
Dopóki tylko żyć będzie; tak silnie
Boleść po krewnym zajątrza mi serce.
O pani, jeźli tylko znajdziesz kogo,
Co się podejmie podać mu truciznę,
Ja ją przyrządzę, by po jéj wypiciu
Romeo zasnąć mógł jak najspokojniéj.
Jakże mię korci słyszéć jego imię,
I nie módz zaraz dostać się do niego,
By przywiązaniu memu do Tybalta
Dać odwet na tym, co go zamordował.

PANI KAPULET.

Znajdź ty sposoby, ja znajdę człowieka.
Terazże mam ci udzielić, dziewczyno,
Wesołych nowin.

JULIA.

Wesołe nowiny
Pożądanemi są w tak smutnych czasach.
Jakaż tych nowin treść, kochana matko?

PANI KAPULET.

Masz troskliwego ojca, moje dziécie:
Onto, ażeby smutek twój rozproszyć,
Umyślił i wyznaczył dzień na radość,
Tak dla cię jak i dla mnie niespodzianą.

JULIA.

Cóżto za radość, matko? mogęż wiedzieć?

PANI KAPULET.

Ta a nie inna, że w ten czwartek z rana,
Piękny, szlachetny, młody hrabia Parys,
Ma cię uczynić szczęśliwą małżonką
W świętego Piotra kościele.

JULIA.

Na kościół
Świętego Piotra i Piotra samego!
Nigdy on tego nie uczyni!
Zdumiewa mię ten pospiech. Mam iść za mąż,
Nim ten, co moim ma być mężem, zaczął
Starać się o mnie, nim mi się dał poznać?
Proszę cię, matko, powiédz memu ojcu,
Że jeszcze nie chcę iść za mąż, a gdybym
Koniecznie miała iść, tobym wolała
Pójść za Romea, który, jak wiész dobrze,

Jest mi z całego serca nienawistny,
Niż za Parysa. Ha! to mi nowina!
(*Wchodzi Kapulet i Marta*).

PANI KAPULET.

Oto twój ojciec: powiédz mu to sama;
Zobaczym, jak on przyjmie twą odpowiedź.

KAPULET.

Kiedy dzień kona, niebo spuszcza rosę;
Ale po skonie naszego krewnego
Pada ulewny deszcz. Cóżto, dziewczyno?
Czy jesteś cebrem? Ciągle jeszcze we łzach?
Ciągłe wezbranie? W małéj swéj istotce
Przedstawiasz obraz łodzi, morza, wiatru:
Bo twoje oczy, jakby morze, ciągle
Falują łzami; biédne twoje ciało
Jak łódź żegluje po tych słonych falach.
Wiatrem nakoniec są westchnienia twoje,
Które, ze łzami walcząc, a łzy z niemi,
Jeżeli nagła nie nastąpi cisza,
Strzaskają twoją łódkę. I cóż, żono?
Czyś jéj zamiary nasze objawiła?

PANI KAPULET.

Tak; ale nie chce i dziękuje za nie.
Bodajby była z grobem zaślubioną!

KAPULET.

Co? Jakto? Nie chce? Nie chce? Nie chce, mówisz?
Nie jest nam wdzięczną? Nie pyszni się z tego?
Nie poczytuje sobie za szczyt szczęścia,
Niegodna, żeśmy jéj najgodniejszego
Z werońskich chłopców wybrali za męża?

JULIA.

Nie pysznam z tego, alem wdzięczna za to.
Pyszną, zaiste, nie mogę być z tego,
Co nienawidzę; lecz wdzięczną być winnam
I za nienawiść w postaci miłości.

KAPULET.

Cóżto znów? cóżto? Logika w spódnicy!
Pysznam, i wdzięcznam, i zasię niewdzięcznam,
Jednak nie pysznam! Słuchaj, świdrzygłówko!
Nie dziękuj wdzięcznie, ni się pyszń z niepyszna,
Lecz zbierz swe sprytne klepki na ten czwartek,
By pójść z Parysem do świętego Piotra;
Albo cię każę zawlec tam na smyczy.

Rozumiész? ty białaczko! ty szuswale!
Lalko łojowa!

PANI KAPULET.

Wstydź się! czyś oszalał?

JULIA.

Błagam cię, ojcze, na klęczkach cię błagam,
Pozwól powiedzieć sobie tylko słowo.

KAPULET.

Precz wszetecznico! dziewko nieposłuszna!
Ja ci powiadam: gotuj się w ten czwartek
Iść do kościoła, lub nigdy, przenigdy
Na oczy mi się więcéj nie pokazuj.
Nic nie mów, ani pisnij, ani trunij:
Palce mię świerzbią. Myśleliśmy, żono,
Że nas zaskąpo Bóg pobłogosławił,
Dając nam jedno dziecko; teraz widzę,
Że i to jedno jest jednem zawiele,
I że w niém mamy bicz boży. Precz plucho!
Cyganko jakaś!

MARTA.

Błogosław jéj Boże!
Jegomość grzeszy, tak fukając na nią.

KAPULET.

Doprawdy? Czy tak sądzi wasza mądrość?
Idź Waść pytlować gębą z kumoszkami.

MARTA.

Nie mówięć bluźnierstw.

KAPULET.

Terefere kuku!

MARTA.

Czyż mówić zbrodnia?

KAPULET.

Milcz, stara trajkotko!
Schowaj swój rozum na babskie sejmiki:
Tu niepotrzebny.

PANI KAPULET.

Za gorący jesteś.

KAPULET.

Na miłość boską, to trzeba oszaleć!
W dzień, w noc, wieczorem, rano, w domu, w mieście,

Sam w towarzystwie, we śnie i na jawie
Ciągle i ciągle rozmyślałem tylko
O jéj zamęźciu: i teraz, gdym znalazł
Dlań oblubieńca książęcego rodu,
Pana rozległych majątków, młodego,
Ukształconego, uposażonego
Dokolusieńka, jak mówią, w przymioty,
Jakich się może od mężczyzny żądać:
Trzeba, ażeby mi jedna smarkata,
Mazgajowata gęś odpowiadała:
Nie chcę iść za mąż, nie mogę pokochać,
Jestem zamłodą, wybaczcie mi proszę.
Nie chcesz iść za mąż? a to nie idź, zgoda;
Ale mi nie właź w oczy: żeruj sobie
Gdzie tylko zechcesz, byle nie w mym domu.
Zważ to, pamiętaj: nie zwykłem żartować.
Czwartek za pasem; przyłóż dłoń do serca;
Namyśl się dobrze: będzieszli powolną,
Znajdziesz dobrego we mnie przyjaciela;
A nie, to marniej, żebrz, jęcz, mrzej pod płotem:
Bo jak Bóg w niebie nigdy cię nie uznam
Za moje dziecko, i z mojego mienia
Nawet źdźbło nigdy ci się nie oberwie.
Możesz się na to spuścić: jestem słowny.
(*Wychodzi*).

JULIA.

Nie maż litości w niebie, które widzi
Całą głębokość mojego cierpienia?
Ty mię przynajmniéj nie odpychaj, matko!
Zwlecz to małżeństwo na miesiąc, na tydzień,
Albo mi pościel oblubieńcze łoże
W tymże grobowcu, w którym Tybalt leży.

PANI KAPULET.

Nie mów nic do mnie; nic ci nie odpowiem:
Rób co chcesz, wszystko mi to obojętne.
(*Wychodzi*).

JULIA.

O Boże! O ty, moja karmicielko!
Poradź mi, powiedz, jak temu zaradzić?
Mój mąż na ziemi, moja wiara w niebie;
Jakżeż ta wiara ma na ziemię wrócić,
Nim mój mąż sam mi ją powróci z nieba
Po opuszczeniu ziemi? Daj mi radę.
Niestety! Że też nieba mogą nękać
Tak mdłą jak ja istotę! Nic nie mówisz?

Nie maszże żadnéj pociechy, żadnego
Na to lekarstwa?

MARTA.

Mamci, a to takie:
Romeo na wygnaniu, i o wszystko
Można iść w zakład, że cię już nie przyjdzie
Nagabać więcéj, chybaby ukradkiem.
Ponieważ tedy rzecz tak stoi, sądzę,
Że nic lepszego nie masz do zrobienia,
Jak pójść za hrabię. Dalipan, to wcale,
Co się nazywa przystojny mężczyzna.
Romeo kołek przy nim; orzeł, pani,
Nie ma tak pięknych, żywych, bystrych oczu,
Jak Parys. Nazwij mię chetką-pętelką,
Jeśli nie będziesz z kretesem szczęśliwa
W tém nowém stadle; bo ono jest stokroć
Lepszém niż piérwsze; a choćby nie było,
To i tak tamten piérwszy już nie żyje;
Tak jakby nie żył; przynajmniéj dla ciebie,
Skoro, choć żyje, nie masz zeń pożytku.

JULIA.

Czy z serca mówisz?

MARTA.

Ba, i z duszy całéj!
Jeśli nie z serca i nie z duszy, to je
Przeklnij oboje.

JULIA.

Amen!

MARTA.

Na co amen?

JULIA.

Bardzoś mi przez to dodała otuchy.
Idźże i powiédz teraz mojéj matce,
Że naraziwszy się na gniéw rodzica,
Poszłam do celi ojca Laurentego,
Odprawić spowiedź i wziąć rozgrzeszenie.

MARTA.

O, idę; to mi pięknie i roztropnie.

(*Wychodzi*).

JULIA.

Stara niecnoto! Zdradziecki szatanie!
Cóż jest niegodniéj, cóż jest większym grzechem:

Czy tak mię kusić do krzywoprzysięztwa?
Czy łżyć małżonka mego temiż usty,
Któremi tyle razy go pod niebo
Wznosiłam chwaląc? Precz uwodzicielko!
Serce me odtąd zamknięte dla ciebie.
Pójdę poprosić ojca Laurentego,
By mi dał radę, a jeśli żadnego
Na tę przeciwność nie będzie sposobu,
Znajdę moc w sobie wstąpienia do grobu.

AKT IV.

SCENA PIERWSZA.

(Cela Ojca Laurentego).

OJCIEC LAURENTY i PARYS.

OJCIEC LAURENTY.

W ten czwartek zatém? to bardzo pospiesznie.

PARYS.

Mój teść, Kapulet, życzy sobie tego;
A ja powodu nie mam rzecz odwlekać.

OJCIEC LAURENTY.

Nie znasz pan, mówisz, uczuć swojéj przyszłéj:
Krzywato droga, ja takich nie lubię.

PARYS.

Bez miary płacze nad śmiercią Tybalta,
Małom jej przeto mówił o miłości;
Bo Wenus w domu łez się nie uśmiecha.
Ojciec jéj, mając to za niebezpieczne,
Że się tak bardzo poddaje żalowi,
W mądrości swojéj przyspiesza nasz związek,
By zatamować źródło tych łez, które
W odosobnieniu cieką zaobficie,
A w towarzystwie prędzéj mogą ustać.
Znasz teraz, ojcze, powód téj nagłości.

OJCIEC LAURENTY (*na stronie*).

Obym mógł nie znać powodów do zwłoki!
(*głośno*).
Patrz, hrabio, oto twa przyszła nadchodzi.
(*Julia wchodzi*).

PARYS.

Szczęsny traf dla mnie, piękna przyszła żono!

JULIA.

Być może, przyszłość jest nieodgadnioną.

PARYS.

To *może ma* być już w ten czwartek z rana.

JULIA.

Co *ma* być, będzie.

OJCIEC LAURENTY.

Prawdato zbyt znana.

PARYS.

Przyszłaś się, pani, spowiadać przed ojcem?

JULIA.

Mówiąc to, panubym się spowiadała.

PARYS.

Nie zaprzecz przed nim, pani, że mię kochasz.

JULIA.

Że *jego* kocham, to wyznam i panu.

PARYS.

Wyznasz mi także, tuszę, że *mnie* kochasz.

JULIA.

Gdyby tak było, większąbyto miało
Wartość wyznane zdaleka, niż w oczy.

PARYS.

Biédna! łzy bardzo twarz twą oszpeciły.

JULIA.

Niewielkie przez to odniosły zwycięztwo;
Dosyć już była ubogą przed niemi.
Nie jestto krzywda, panie, ale prawda,
I w oczy sobie ją mówię.

PARYS.

Twarz twoja
Do mnie należy, a ty jéj uwłaczasz.

JULIA.

Nie przeczę: moja bowiem była inna.
Maszli czas teraz, mój ojcze duchowny,
Czyli téż mam przyjść w wieczór po nieszporach?

OJCIEC LAURENTY.

Nie brak mi teraz czasu, smętne dziécię.
Racz, panie hrabio, zostawić nas samych.

PARYS.

Niech mię Bóg broni świętym obowiązkom
Stać na przeszkodzie! Julio, w czwartek z rana
Przyjdę cię zbudzić. Bądź zdrowa tymczasem,
I przyjm pobożne to pocałowanie.

(*Wychodzi*).

JULIA.

O zamknij, ojcze, drzwi; a jak je zamkniesz
Przyjdź płakać ze mną. Nie ma już nadziei!
Nie ma ratunku! Nie ma ocalenia!

OJCIEC LAURENTY.

Ach Julio! Znam twą boleść; mnie samego
Nabawia ona prawie odurzenia.
Słyszałem, i nic tego nie odwlecze,
Że w przyszły czwartek wziąć masz ślub z tym hrabią.

JULIA.

Nie mów mi, ojcze, że o tém słyszałeś;
Chyba że powiesz, jak tego uniknąć.
Jeżeli w swojéj mądrości nie znajdziesz
Żadnego na to środka, to przynajmniéj
Postanowienie moje nazwij mądrem:
A w tym sztylecie zaraz znajdę środek.
Bóg złączył moje i Romea serce,
Ty nasze dłonie; i nim ta dłoń świętą
Pieczęcią twoją z Romeem spojona
Inny akt stwierdzi, nim to wierne serce
W zdradzieckim buncie odda się innemu:
To ostrze zada śmierć sercu i dłoni.
Daj mi więc jaką radę zaczerpniętą
Z długoletniego doświadczenia twego,
Albo bą ź świadkiem, jak ten nóż rozstrzygnie
Sprawę pomiędzy mną a moim losem,
Wnet zaradzając temu, czego ani
Wiek, ani rozum nie mógł doprowadzić
Do rozwiązania zgodnego z honorem.
Mów prędko; pilno mi wstąpić do grobu,
Jeśli mi powiesz, że niéma sposobu.

OJCIEC LAURENTY.

Stój, córko! Mam ja w myśli pewien środek,
Wymagający równie rozpaczliwéj

Determinacyi, jak jest rozpaczliwem
To, czemu chcemy zapobiedz. Jeżeli,
Dla uniknienia małżeństwa z Parysem,
Masz siłę woli odjąć sobie życie:
To się odważysz snadź na coś takiego,
Co będąc tylko podobnem do śmierci,
Uwolni cię od hańby, jakiéj chciałaś
Ujść przez zadanie jéj sobie naprawdę.
Maszli odwagę, to-ć wskażę ten środek.

JULIA.

O! każ mi, zamiast być żoną Parysa,
Skoczyć ze szczytu wieży; w rozbójniczych
Gościć jaskiniach, w legowiskach wężów;
Zamknij mię w jedną klatkę z niedźwiedziami,
Albo mię wepchnij nocą do kośnicy,
Zewsząd pokrytéj szczątkami szkieletów,
Poczerniałemi kośćmi i czaszkami;
Każ mi wejść żywcem w grób świeżo kopany,
I w jeden całun z trupem się obwinąć:
Wszystko to dawniéj dreszcz budziło we mnie,
Ale bez trwogi uczynię to teraz,
Bylebym tylko pozostała czystą
Małżonką mego lubego kochanka.

OJCIEC LAURENTY.

Słuchaj więc: idź do domu, bądź wesołą,
Przystań na związek z hrabią. Jutro środa;
Staraj się jutro na noc zostać samą;
Niech Marta nie śpi ten raz w twym pokoju.
Masz tu flaszeczkę: weźmiesz ją do łóżka,
I filtrowany likwor ten wypijesz:
A wnet po wszystkich żyłach cię przebiegnie
Usypiający dreszcz, który owładnie
Wszelką żywotną funkcyą; wszystkie pulsa
Wstrzymają w tobie swe zwyczajne bicie;
Ni dech, ni ciepło nie wskaże, że żyjesz.
Róże ust twoich i policzków zbledną
Jak popiół; story oczu twych zapadną,
Jak gdy dłoń śmierci zasłoni dzień życia;
Każdy twój członek, pozbawiony władzy,
Zdrętwieje, zstęgnie, zziębnie jak u trupa.
I w tym pozornym stanie nagłéj śmierci
Zostawać będziesz czterdzieści dwie godzin;
Wtedy się ockniesz jak ze snu błogiego.
Gdy więc nazajutrz zrana narzeczony
Przyjdzie cię zbudzić, znajdzie cię umarłą;

Poczém, jak każe zwyczaj, przystrojona
W godowe szaty, w odsłoniętéj trumnie
Złożoną będziesz pod owém sklepieniem,
Gdzie leżą wszyscy ze krwi Kapuletów.
Uwiadomiony tymczasem przezemnie
O naszym planie Romeo przybędzie;
Wraz ze mną czekać będzie w owym lochu
Na twe ocknienie. i téj saméj nocy
Uprowadzi cię skrycie do Mantui.
To cię uchroni od hańby grożącéj:
Jeśli brak woli lub niewieścia bojaźń
Od wykonania tego cię nie wstrzyma.

JULIA.

O daj mi, daj mi! nie mów o bojaźni!

OJCIEC LAURENTY.

Masz, idź, bądź niewzruszoną i szczęśliwą
W tém przedsięwzięciu! Wyprawię natychmiast
Jednego z naszych braci do Mantui,
Z listem do twego męża.

JULIA.

O nadziejo!
Ty mi bądź bodźcem, a hasłem Romeo!
Bądź zdrów, mój ojcze!
(*Odchodzi*).

SCENA DRUGA.

(*Pokój w domu Kapuletów*).

KAPULET, PANI KAPULET, MARTA i SŁUDZY.

KAPULET (*do służącego*).

Spros te osoby, co tu są spisane.
(*Służący wychodzi*).
A waść dwudziestu biegłych zbierz kucharzy.

DRUGI SŁUŻĄCY.

Nie będzie zły ani jeden, Jaśnie panie, bo się przekonam wprzód o każdym, czy umié sobie oblizywać palce.

KAPULET.

A to na co?

DRUGI SŁUŻĄCY.

Złyto kucharz, Jaśnie panie, co nie oblizuje sobie palców; o którym się więc przekonam, że tego nie umié, tego nie sprowadzę.

KAPULET.

Ruszaj!

(*Służący wychodzi*).

Wątpię, czy wszystko na czas wygotujem.
Bodaj cię! Prawdażto, że Julia poszła
Do ojca Laurentego?

MARTA.

Poszła, panie.

KAPULET.

To dobrze; może on co na niéj wskóra.
Cięta, opartato skórka-na-buty.

(*Julia wchodzi*).

MARTA.

Patrz pan, jak raźnie wraca od spowiedzi.

KAPULET.

No, sekutnico, gdzieżeśto bywała?

JULIA.

Gdzie mię żałować nauczono, panie,
Za grzech oporu i nieposłuszeństwa
Naprzeciw woli twojéj. Świętobliwy
Kapłan Laurenty kazał mi się rzucić
Do twych nóg i o przebaczenie prosić.
Przebacz mi, ojcze! będę już uległą.

KAPULET.

Niech tam kto pójdzie prosić pana hrabi:
Jutro mieć muszę spleciony ten węzeł.

JULIA.

Spotkałam hrabię w celi Laurentego,
I okazałam mu miłość, jak mogłam,
Nie przekraczając granicy skromności.

KAPULET.

To co innego; tak, to dobrze, powstań:
Tak być powino; tak córce przystoi.
Prosić tu hrabi, żeby przyszedł zaraz.
Dalipan, święty to człek z tego mnicha:
Słusznie mu całe miasto cześć oddaje.

JULIA.

Marto, pójdź ze mną do mego pokoju.
Wszak mi pomożesz przymierzyć przyborów,
Jakie na jutro uznasz za stosowne?

PANI KAPULET.

Poco dziś? jutro będzie dosyć czasu.

KAPULET.

Idź z nią waść: jutro pójdziem do kościoła.
(*Julia z Martą wychodzi*).

PANI KAPULET.

Nie wiem, czy zdążym z przygotowaniami:
Już wieczór.

KAPULET.

Nie troszcz się; dojrzę wszystkiego,
I wszystko będzie dobrze, za to ręczę.
Idź do Julieczki, pomóż jéj się przybrać.
Ja się téj nocy nie położę: będę
Na ten raz pełnił urząd gospodyni.
Hej, służba! Cóżto? wszyscy się rozeszli?
Mniejsza z tém, pójdę sam hrabię uprzedzić
O zaszłéj zmianie. Lekko mi na sercu,
Że się ten kozioł przecie opamiętał.
(*Wychodzą*).

SCENA TRZECIA.

(*Pokój Julii*).

JULIA i MARTA.

JULIA.

Tak, ten strój wezmę. Ale, złota nianiu,
Proszę cię, zostaw mię na tę noc samą;
Bo dużo muszę pacierzy odmówić
Dla uproszenia sobie względów niebios
Nad moim stanem, jak wiesz, pełnym grzechu.
(*Pani Kapulet wchodzi*).

PANI KAPULET.

Takeś zajęta? Mamże ci dopomódz?

JULIA.

Nie, pani; jużeśmy we dwie wybrały
Co mi na jutro może być potrzebnem.

Pozwól, bym teraz samą pozostała,
I niechaj Marta spędzi tę noc z tobą.
Pewnam, że wszyscy macie dość roboty,
Przy tym tak nagłym obchodzie.

PANI KAPULET.

Dobranoc!
Połóż się, spocznij; potrzebujesz tego.
(*Pani Kapulet i Marta wychodzą*).

JULIA.

Dobranoc! Bóg wié, kiedy się zobaczym.
Zimny dreszcz trwogi nawskroś mię przejmuje,
I jakby mrozi we mnie ciepło życia.
Zawołam na nie, by ochłonąć nieco:
Nianiu! I po cóż tu ona? Straszliwy
Ten czyn wymaga właśnie samotności.
Ha! pójdź flakonie!
Gdyby jednakże ten płyn nie skutkował?
Miałażbym gwałtem z hrabią być złączona?
Nie, nie; ucieczka w tém: leż tu w odwodzie.
(*Kładzie na stole sztylet*).
A gdyby też to miała być trucizna,
Którą mi ksiądz ten zręcznie śmierć chce zadać,
By ujść zarzutu, że dał ślub kobiecie,
Którą już pierwéj zaślubił z kim innym?
Toby być mogło; ale nie, tak nie jest,
Bo jego świętość jest wyprobowana,
I nawet myśli téj nie chcę przypuszczać.
Lecz gdybym w grobie się ocknęła pierwéj,
Nim mię Romeo przyjdzie oswobodzić?
To byłoby okropnie!
Nie udusiłażbym się wśród tych sklepień,
Gdzie nigdy zdrowe nie wnika powietrze,
I nie umarłażbym wprzód nim Romeo
Przyjdzie na pomoc? A choćbym i żyła,
Czyliżby straszny wpływ nocy i śmierci,
Którą dokoła będę otoczona,
Obok wrażenia, jakie sprawić musi
Samaż miejscowość tego sklepionego
Starożytnego lochu, w którym kości
Zmarłych mych przodków od lat niepamiętnych
Nagromadzone leżą; kędy świeżo
Złożony Tybalt gnije pod całunem;
I kędy nocą, o pewnych godzinach,
Duchy, jak mówią, odbywają schadzki:
Niestety! czyliżby prawdopodobnie
To wszystko, gdybym wcześniéj się ocknęła—
A potém zapach trupi, krzyk podobny

Do tego, jaki wydaje ów korzeń
Ziela pokrzyku, gdy się go wyrywa:
Krzyk wprawiający ludzi w obłąkanie,—
Czyliżby wszystko to, w razie ocknienia,
Nie pomieszało mi zmysłów? Czyliżbym
Po szalonemu nie igrała wtedy
Z kośćmi mych przodków? nie poszła się pieścić
Z trupem Tybalta? i w tém rozstrojeniu
Nie rozbiłażbym sobie rozpaczliwie
Głowy piszczelą którego z pradziadów,
Jak pałką? Patrzcie! patrzcie! zdaje mi się,
Że widzę duch Tybalta ścigający
Romea za to, że go wygnał z ciała.
Stój! stój Tybalcie!
(Przytyka flakon do ust).
Do ciebie, mój luby,
Spełniam ten toast zbawienia lub zguby.
(Wypija napój i rzuca się na łóżko).

SCENA CZWARTA.

(Sala w domu Kapuleta).

PANI KAPULET i MARTA.

PANI KAPULET.

Weź te półmiski i wydaj korzeni.

MARTA.

Piekarz o pigwy woła i daktyle.
(Kapulet wchodzi).

KAPULET.

Spieszcie się, spieszcie! Już drugi kur zapiał;
Poranny dzwonek ozwał się: to trzecia.
Dojrzyj ciast, moja Marto; nie szczędź przypraw.

MARTA.

Coto za wścibstwo! Idźże się pan przespać.
Dalipan, rozchorujesz się nam jutro
Z tego niewczasu.

KAPULET.

Ani krzty. Do licha!
Nie wysypiałem się dla spraw mniéj ważnych,
A przecież nigdy nie zachorowałem.

MARTA.

Wiemci ja dobrze, wiem: umiał jegomość
Swojego czasu myszkować; lecz teraz
Ja czuwam nad tém, abyś pan nie czuwał.
(Pani Kapulet i Marta wychodzą).

KAPULET.

Zazdrosna sztuka!
(Wchodzą słudzy z rożnami, koszami i drzewem).
Hej! co tam niesiecie?

PIERWSZY SŁUGA.

Rzeczy do kuchni, ale nie wiem jakie.

KAPULET.

Spiesz się.
(Służący wychodzi).
Idź wasze suchszych szczap narąbać;
Piotr ci kloc wskaże potemu.

DRUGI SŁUGA.

Jeżeli
O kloca idzie, to dość mnie samego;
Nie potrzebuję się zwracać do Piotra.
(Wychodzi).

KAPULET.

Masz słuszność: żywo! Dalipan, już dzień!
I hrabia będzie tu zaraz z muzyką.
Tak przyrzekł.
(Słychać muzykę).
Otóż idzie: już go słychać.
Hej! żono! Marto! Chodźcie tu! Hej, Marto!
(Marta wchodzi).
Idź, obudź Julkę, ubierz ją co żywo,
Ja pogawędzę tymczasem z Parysem.
Spiesz się, nie marudź: pan-młody już przyszedł.
Co tchu się zwijaj.
(Wychodzi).

SCENA PIĄTA.

(Pokój Julii. Julia w łóżku).

MARTA *(wchodzi).*

MARTA.

Panienko! Julciu!—Jak się to zaspało!—
Wstawaj, gołąbku! Wstawaj! Wstydź się, śpiochu!

Panienko! duszko! rybko!—Ani mrumru!—
Chcesz widzę wyspać się za cały tydzień,
Jakbyś wiedziała, że ci hrabia Parys
Następnéj nocy nie da oka zmrużyć.
Odpuść mi, Panie, amen! Jak śpi smacznie!
Muszę ją jednak zbudzić.—Julciu! Julciu!
Niech-no cię hrabia Parys tak zastanie,
To się dopiéro zerwiesz.—Cóż-to? w sukni?
Jużeś ubrana i znów się pokładłaś?
Dosyć już tego! Julciu! Panno Julio!—
Ha! przez Bóg żywy! Na pomoc! na pomoc!
Ona nie żyje! O ja nieszczęśliwa!
Po co mi było się rodzić?—Na pomoc!
Choć trochę akwawity!—Panie! Pani!
(Pani Kapulet wchodzi).

PANI KAPULET.

Co to za hałas?

MARTA.

O dniu niefortunny!

PANI KAPULET.

Mów, co się stało?

MARTA.

Patrz pani.

PANI KAPULET.

O nieba!
O moje dziécię! o moja pociecho!
Wstań, odżyj, albo umrę razem z tobą!
Na pomoc! wołaj pomocy!
(Kapulet wchodzi).

KAPULET.

Co za guzdralstwo! Pan-młody już czeka.

MARTA.

Ona nie żyje: rozstała się z życiem!
O dniu żałosny!

PANI KAPULET.

O dniu opłakany!
Ona nie żyje, nie żyje, nie żyje!

PAPULET.

Puśćcie mię, niech zobaczę... Jak lód zimna;
Krew w niéj zastygła; członki jéj zdrętwiały...
Dawno już życie z tych ust uleciało.

Śmierć ją zwarzyła, jak mróz najpiękniejszy
Pierwiosnek w maju. Nieszczęsny ja starzec!

MARTA.

O niefortunny dniu!

PANI KAPULET.

O dniu boleści!

KAPULET.

Smierć ta, niszcząca wszystkie me nadzieje,
Głos mi tamuje i zamyka usta.
(Wchodzi: Ojciec Laurenty i Parys z muzykantami).

OJCIEC LAURENTY.

Czy panna-młoda już jest w pogotowiu
Iść do kościoła?

KAPULET.

Iść, ale nie wrócić.
O synu, w wilią dnia twojego ślubu
Śmierć zaślubiła twą oblubienicę.
Patrz, oto leży ten kwiat w jéj uścisku.
Śmierć jest mym zięciem, śmierć jest mym dziedzicem;
Umrę i wszystko jéj oddam, bo wszystko
Oddaje śmierci, kto oddaje ducha.

PARYS.

Tak dawnom wzdychał do tego poranku,
I takiż widok czekał mię u mety!

PANI KAPULET.

Dniu nienawistny, przeklęty, ohydny,
Stokroć obmierzły, jakiemu równego
W obiegu swoim czas jeszcze nie widział!
Jedno mieć tylko, jedno biédne dziecko,
Jednę uciechę i jedną pociechę,
I tę nielitościwa śmierć zabiera!

MARTA.

O smutny, smutny dniu! o dniu żałosny!
Najopłakańszy, najniefortunniejszy,
Jaki widziałam w życiu kiedykolwiek!
O dniu! o smutny dniu! O dniu żałosny!
Nie było nigdy jeszcze dnia takiego.
O stokroć smutny dniu! stokroć żałosny!

PARYS.

Okrutna, sroga, świętokradzka śmierci!
Tyś mię podeszła, obdarła, zgnębiła,

Przez ciebiem niebo stracił, okrutnico!
O Julio! luba! życie! już nie życie,
Niemniéj jednakże luba i po śmierci!

KAPULET.

Zawistny, twardy, niecny, zbójczy losie!
Po cóż ci, po co było tak tyrańsko
W niwecz obracać naszę uroczystość!
O moje dziecko! raczéj duszo moja,
Nie moje dziecko: bo dziecko jest trupem;
I wraz z niém cała pociech mych ostoja,
Cały wdzięk życia stał się śmierci łupem.

OJCIEC LAURENTY.

Przestańcie! Rozpacz nie leczy rozpaczy.
Nadobne dziécię to było własnością
Zarówno nieba jak i waszą: niebo
Zabrało swoję część; tém lepiéj dla niéj.
Wyście nie mogli waszéj części ziemskiéj
Ustrzedz od śmierci, ale część jéj lepszą
Niebo zachowa w wiekuistém życiu.
Jéj wywyższenie było szczytem waszych
Życzeń i dążeń; w niém zakładaliście
Swój raj na ziemi, i płaczecież teraz
I rozpaczacież widząc ją wzniesioną
Ponad obłoki do istnego raju?
O, zła to miłość jęczeć z żalu wtedy,
Kiedy tym, których kochamy, jest dobrze.
Nie ta dziewica dobrze poszła za mąż,
Co długie lata przeżyła w zamęźciu,
Lecz ta, co młodo zamężną umiera.
Połóżcie tamę łzom i umaiwszy
To piękne ciało liśćmi rozmarynu,
Każcie je wedle zwyczaju, niebawem
W świątecznych szatach zanieść do kościoła.
Świętemi wprawdzie są boleści prawa,
Przecież rozsądek z łez się naigrawa.

KAPULET.

Cośmy na gody poprzysposabiali,
To musi teraz posłużyć na pogrzeb:
Weselna uczta zamieni się w stypę,
Dźwięk strun w jęk dzwonów, pieśni w smętne treny,
Myrtowy wieniec martwą skroń otoczy,
Słowem, wszystko się opak przeistoczy.

OJCIEC LAURENTY.

Wyjdźcie ztąd państwo, i ty, hrabio, także.
Niech się gotuje każdy odprowadzić

Te piękne zwłoki na wieczny spoczynek.
Snadź niebo na was o coś zagniewane;
Nie jątrzcież jego gniewu jeszcze gorzéj
Oporem przeciw świętéj woli Bożéj.

(*Kapulet, Pani Kapulet, Parys i Ojciec Laurenty wychodzą*).

PIÉRWSZY MUZYKANT.

Trzeba nam podobno schować dudy w miech i wynieść się za drzwi.

MARTA.

Tak, tak, schowajcie swoje instrumenta,
Poczciwi ludzie: nie ma tu co robić.

DRUGI MUZYKANT.

Może-ć się jeszcze co znajdzie.

(*Piotr wchodzi*).

PIOTR.

Zagrajcie mi na basetli, panowie muzykanci: zagrajcie mi na basetli, jeżeli mi dobrze życzycie.

PIÉRWSZY MUZYKANT.

Dlaczego na basetli?

PIOTR.

Bo moja dusza gra teraz na drumli. Zagrajcie mi co smętnie skocznego dla rozweselenia.

PIÉRWSZY MUZYKANT.

Daj nam waść pokój; nie pora teraz do gędźby.

PIOTR.

Nie chcecie zatém?

MUZYKANCI.

Nie.

PIOTR.

Czekajcie, zapłacę wam za to.

PIÉRWSZY MUZYKANT.

Czém takiém?

PIOTR.

Nie brzęczącą monetą, jak mi Bóg miły! ale bitą monetą; monetą godną rzępołów.

PIÉRWSZY MUZYKANT.

To my się wacpanu równą monetą odpłacimy; monetą godną lokajów.

PIOTR.

Wprzód ja wam lokajską klingą zagram po brzuchu.

DRUGI MUZYKANT.

Schowaj wacpan swój rożen, a wydobądź lepiéj swój dowcip.

PIOTR.

Strzeżcie się ostrza mego dowcipu, bo was przeszyje na wylot. Baczność!

(*Śpiewa*).

Gdy z piersi płynie jęk,
A serce żal zakrwawia,
Muzyki srebrny dźwięk.....

Dlaczego *srebrny dźwięk?* dlaczego *muzyki srebrny dźwięk?* Cóż waść na to mości prymusie gajdo?

PIERWSZY MUZYKANT.

Jużci dlatego, że srebro ma dźwięk miły.

PIOTR.

Brawo! a waść co na to mości klawicymbale?

DRUGI MUZYKANT.

Dlatego, sądzę, że muzykanci grają za srebro.

PIOTR.

Brawo także! A waść co o tém sądzisz, mości kaleczy-uchu?

TRZECI MUZYKANT.

Nie wiem doprawdy, co o tém sądzić.

PIOTR.

No, to ja ci powiem: *Muzyki srebrny dźwięk* mówi się dlatego, że takie jak wy niedołęgi rzadko kiedy złota za muzykę dostają.

(*Wychodzi, śpiewając*).

Muzyki srebrny dźwięk,
Natychmiast ulgę sprawia.

PIERWSZY MUZYKANT.

Cóżto za bezczelny łotr z tego hultaja!

DRUGI MUZYKANT.

Pal go kaci! Zejdźmy tam na dół wmieszać się między orszak żałobny i czekać rychło co spadnie z półmiska.

(*Wychodzą*).

AKT V.

SCENA PIERWSZA.

(Mantua. Ulica).

ROMEO *(wchodzi).*

Jeżeli można ufać sennym wróżbom,
Wkrótce mię czeka jakaś wieść radosna.
Król mego łona oddycha swobodnie,
I duch mój przez dzień cały niezwyczajnie
Lekkim nad ziemię wznosi się polotem.
Śniłem, że moja ukochana przyszła,
I że znalazła mię nieżywym. (Dziwny
Sen, co pozwala myśléć umarłemu!)
Lecz ona swemi pocałowaniami
Tyle tchu wlała w martwe moje usta,
Żem nagle odżył i został cesarzem.
Ach, jakże słodką jest miłość naprawdę,
Kiedy jéj mara taką rozkosz sprawia!
(Baltazar wchodzi).
Wieści z Werony!—Cóż tam, Baltazarze?
Czy mi przynosisz list od Laurentego?
Co robi Julia? Czy zdrów jest mój ojciec?
Jak się ma Julia? Po raz drugi pytam,
Bo nie ma złego, jeśli jéj jest dobrze.

BALTAZAR.

Wszystko więc dobrze, bo jéj już źle nie jest.
Ciało jéj leży w lochach Kapuletów,
A duch jéj gości między aniołami.
Widziałem, jak ją złożono do sklepień,
I wziąłem pocztę, aby o tém panu
Donieść czém prędzéj. Przebacz pan, że taką
Złą wieść przynoszę; wszakże uwiadamiać
Pana o wszystkiém byłem w obowiązku.

ROMEO.

Maż to być prawdą?! Zgaśnijcie więc, gwiazdy!—
Wszak wiész gdzie mieszkam? Przynieś mi papieru
I atramentu: idź potém na pocztę
Zamówić konie. Wyjeżdżam téj nocy.

BALTAZAR.

Wybácz pan, ale tak go nie zostawię;
Wyglądasz blado, ponuro i wzrok twój
Coś niedobrego zapowiada.

ROMEO.

Cicho.
Mylisz się; zostaw mię i zrób com kazał.
Czy nie masz listu od księdza?

BALTAZAR.

Nie, panie.

ROMEO.

Mniejsza mi o to. Idź zamówić konie:
Wkrótce pospieszę za tobą.

(*Baltazar wychodzi*).

Tak, Julio!
Téj jeszcze nocy spocznę przy twym boku;
O środek tylko idzie.—O, jak prędko
Zły zamiar wnika w myśl zrozpaczonego!
Gdzieś niedaleko ztąd mieszka aptekarz:
Przed parą dniami widziałem go, pomnę,
Jak zasępiony, w podartém odzieniu,
Przebierał zioła; zapadłe miał oczy,
Ciało od wielkiéj nędzy jak wiór wyschłe.
W nikczemnym jego sklepiku żółw wisiał,
Wypchany alligator obok szczątków
Dziwnego kształtu ryb; na jego pułkach
Leżała tu i owdzie zbieranina
Próżnych flasz, słojów, zielonych czerepów,
Pęcherzów, stęchłych nasion: resztki sznurków,
I zapleśniałe kawałki lukrecyi.
Na widok tego, pomyślałem sobie:
Komuby była potrzebną trucizna,
Któréj w Mantui sprzedaż gardłem karzą,
Niechajby przyszedł do tego hołysza,
Onby jéj mu dostarczył. Myśl ta była,
Niestety! wróżbą mej potrzeby własnéj;
Sam w niej dziś jestem i tenże sam człowiek,
Z potrzeby będzie musiał jej zaradzić.
Jeżeli się nie mylę, tu on mieszka:
Z powodu święta kram jego zamknięty.—
Hej! aptekarzu!

(*Aptekarz wchodzi*).

APTEKARZ.

Któż-to woła takim
Donośnym głosem?

ROMEO.

Zbliż się tu, człowieku,
Widzę, że jesteś w niezamożnym stanie:
Weź te czterdzieści dukatów, a daj mi

Drachmę trucizny takiéj, coby mogła
Po wszystkich żyłach rozejść się odrazu,
I nienawistne życie odjąć temu
Co jej zażyje; coby tak gwałtownie
Wygnała oddech z piersi, jak gwałtownie
Lontem dotknięty proch wypędza pocisk
Z czeluści działa.

APTEKARZ.

Mam ja taki środek:
Ale w Mantui prawo śmiercią karze
Każdego, co się waży go udzielić.

ROMEO.

Tak bardzo jesteś biedny, tak cię srodze
Los upośledza i boisz się umrzeć?
Głód z twych lic, z oczu patrzy niedostatek;
Łatana nędza wisi na twym grzbiecie;
Świat ci nie sprzyja, ani prawo świata,
Bo świat nie daje-ć prawa być bogatym:
Drwij więc z praw, przyjm to i przestań być biednym.

APTEKARZ.

Ubóstwo, a nie chęć skłania mię uledz.

ROMEO.

Ubóstwo twoje téż, nie chęć opłacam.

APTEKARZ.

Weź pan to, rozczyń w jakimkolwiek płynie,
I płyn ten wypij, a choćbyś miał siłę
Trzydziestu ludzi, wnet wyzionieszducha!

ROMEO.

Oto masz złoto, tę truciznę zgubną
Dla duszy ludzkiéj, która więcéj zabójstw
Na tym obmierzłym świecie dokonywa,
Niż owe marne preparata, których
Pod karą śmierci sprzedać ci nie wolno.
Nie ty mnie, ja ci sprzedałem truciznę.
Bądź zdrów: kup strawy i odziej się w mięso.—
Kordyale nie trucizno, pójdź mi służyć
U grobu Julii, bo tam cię mam użyć.

(*Rozchodzą się*).

SCENA DRUGA.

(Cela ojca Laurentego).

OJCIEC LAURENTY *(sam).*

BRAT JAN *(za sceną).*

Otwórz, wielebny ojcze Franciszkanie.

OJCIEC LAURENTY.

Toć nie czyj inny głos, jak brata Jana. *(Otwiera drzwi).*
Witaj z Mantui! Cóż Romeo? Maszli
Ustną odpowiedź jego, czy na piśmie?
(Brat Jan wchodzi).

BRAT JAN.

Kiedy za jednym bosym zakonnikiem
Naszej reguły, który miał iść ze mną,
I był przy chorym, poszedłem na miasto,
I jużem znalazł go; miejscy pachołcy
Podejrzywając, żeśmy byli w domu
Tkniętym zarazą, opieczętowali
Drzwi i nie chcieli nas puścić na zewnątrz.
Nie mogłem się więc udać do Mantui.

OJCIEC LAURENTY.

Któż tedy zaniósł mój list do Romea?

BRAT JAN.

Nikt go nie zaniósł:—oto jest; nie mogłem
Ani go posłać do Mantui, ani
Wam go odesłać, tak nas pilnowano.

OJCIEC LAURENTY.

Nieszczęsny trafie! ten list był tak ważny!
Niedoręczenie go może fatalne
Skutki sprowadzić. Biegnij, bracie Janie:
Postaraj-no się gdzie o drąg żelazny,
I tu go przynieś.

BRAT JAN.

Natychmiast przyniosę.

OJCIEC LAURENTY.

Muszę czémprędzéj spieszyć do grobowca;
W ciągu trzech godzin Julia się przebudzi.
Gniewać się na mnie będzie, żem Romea
Nie uwiadomił o tém, co się stało:

Ale napiszę do niego raz jeszcze,
I tu ją skryję do jego przybycia.
Biédny ty prochu:—w grobie już za życia!
(*Wychodzi*).

SCENA TRZECIA.

(*Cmentarz; na nim grobowiec rodziny Kapuletów*).

(*Wchodzi*: PARYS z PAZIEM, *niosącym kwiaty i pochodnią*).

PARYS.

Daj mi pochodnią, chłopcze, i idź z Bogiem.
Lub zgaś ją, nie chcę, żeby mię widziano.
Idź się położyć owdzie pod cisami,
I ucho przyłóż do ziemi, a skoro
Usłyszysz czyje kroki na cmentarzu,
Którego ryty grunt łatwo je zdradzi,
Wtedy zagwiźnij na znak, ze ktoś idzie.
Daj mi te kwiaty. Idź, zrób jakem kazał.

PAŻ.

Strasznie mi będzie pozostać samemu
Pośród cmentarza; jednakże sprobuję.
(*Oddala się*).

PARYS.

Drogi mój kwiecie, kwieciem posypuję
Twe oblubieńcze łoże: drogi grobie,
Który w obrębie swoim przechowujesz
Najdoskonalszy wzór utworu Boga!
Urocza Julio, towarzyszko niebian!
Przyjm tę ostatnią ofiarę odemnie,
Com cię za życia wielbił i po śmierci
Czcią niewygasłą święcę twój grobowiec.
(*Paź gwiżdże*).
Chłopiec mój daje hasło: ktoś się zbliża.
Czyjaż to stopa śmie nocą tu zmierzać,
I ten żałobny mój przerywać obrzęd?
Z pochodnią nawet! Odstąpmy na chwilę.
(*Oddala się*).
(*Wchodzi: Romeo i Baltazar z pochodnią, oskardem i t. p.*).

ROMEO.

Podaj mi oskard i drąg. Weź to pismo:
Oddasz je memu ojcu jak najraniéj.

Dajno pochodnią. Cobądź tu usłyszysz,
Albo zobaczysz, pamiętaj, jeżeli
Miłe ci życie, pozostać zdaleka,
I nie przerywać biegu mój czynności.
W to łoże śmierci wejść chcę częścią po to,
Aby zobaczyć tę, co w niém spoczywa,
Lecz głównie po to, aby zdjąć z jéj palca
Szacowny pierścień, który mi do czegoś
Ważnego nieodbicie jest potrzebny.
Idź więc, zastosuj się do moich życzeń:
Gdybyś zaś płochą zdjęty ciekawością
Wrócił podglądać dalsze moje kroki,
Na Boga, wszystkie kościbym ci roztrząsł,
I posiał niemi ten niesyty cmentarz.
Umysł mój dziko jest usposobiony,
Niepowstrzymaniéj i nieubłaganiéj
Jak głodny tygrys lub wzburzone morze.

BALTAZAR.

Odejdę, panie, i będę-ć posłuszny.

ROMEO.

Okażesz mi tém przyjaźń. Weź ten worek,
Poczciwy chłopcze, bądź zdrów i szczęśliwy.

BALTAZAR.

Bądź jak bądź, stanę tu gdzie na uboczu,
Bo mu zły jakiś zamiar patrzy z oczu.
(*Oddala się*).

ROMEO.

Czarna pieczaro, o ty wnętrze śmierci,
Tuczne najdroższym na téj ziemi szczątkiem,
Otwórz mi swoją zardzewiałą paszczę,
A ja ci nową żertwę rzucę za to.
(*Odbija drzwi grobowca*).

PARYS.

To ten wygnany, zuchwały Monteki,
Co zamordował Tybalta, po którym
Żal, jak mniemają, sprowadził śmierć Julii;
I on tu przyszedł knuć jeszcze zamachy
Przeciw umarłym; muszę go przytrzymać.
(*Postępuje naprzód*).
Spuść świętokradzką dłoń, niecny Monteki!
Możeż się zemsta aż za grób rozciągać?
Skazany zbrodniu, aresztuję ciebie;
Bądź mi posłuszny i pójdź: musisz umrzeć.

ROMEO.

Muszę, zaprawdę, i po tom tu przyszedł.
Młodzieńcze, nie drażń człowieka w rozpaczy;
Zostaw mię, odejdź: pomyśl o tych zmarłych
I zadrżyj. Błagam cię na wszystkie względy,
Nie wal nowego grzechu na mą głowę,
Przyprowadzając mię do passyi: odejdź!
Na Boga, życzę ci lepiéj niż sobie:
Bom ja tu przyszedł przeciw sobie zbrojny.
O! odejdź, odejdź! żyj i powiedz potém:
„Z łaski szaleńca cieszę się żywotem".

PARYS.

Za nic mam wszelkie twoje przełożenia,
I aresztuję cię jako złoczyńcę.

ROMEO.

Wyzywasz moję wściekłość, broń się zatém.
(*Walczą*).

PAŻ.

O niebal biją się, biegnę po wartę.
(*Wychodzi*).

PARYS (*padając*).

Zabity jestem. O jeśli masz litość,
Otwórz grobowiec i złóż mię przy Julii!
(*Umiera*).

ROMEO.

Stanie-ć się zadość. Lecz któżto jest taki?
To hrabia Parys, Merkucya plemiennik!
Cóżto mi w drodze prawił mój służący?
Lecz wtedy moja nieprzytomna dusza
Uwagi na to nie zwróciła; Parys,
Mówił podobno, miał zaślubić Julią.
Czy on to mówił? czy mi się to śniło?
Czyliż też byłem w obłąkaniu myśląc,
Że jego wzmianka o Julii tak brzmiała?
Daj mi uścisnąć twą dłoń, o ty w jedną
Księgę niedoli ze mną zapisany!
Złożę twe zwłoki w tryumfalnym grobie.
W grobie?—nie, młoda ofiaro, nie w grobie,
W latarni raczéj, bo tu Julia leży;
A blask jéj wdzięków zmienia to sklepienie
W przybytek światła. Spoczywaj w pokoju,
Trupie, rękami trupa pogrzebiony!
(*Składa ciało Parysa w grobowcu*).

Mówią, że nieraz ludzie blizcy śmierci
Miewali chwile wesołe: ich stróże
Zwą to ostatnim przedśmiertnym wybłyskiem:
Coś podobnego i u mnież się zdarza?
Julio, kochanko moja! moja żono!
Śmierć, co wyssała miód twojego tchnienia,
Wdzięków twych zatrzéć nie zdołała jeszcze.
Nie jesteś jeszcze zwyciężoną: karmin,
Ten sztandar wdzięków, nie przestał powiewać
Na twoich licach i bladéj swéj flagi
Zniszczenie na nich jeszcze nie zatknęło.
Tybalcie, tyżto śpisz pod tym całunem?
Mogęż czém lepszém zadość ci uczynić,
Jak że tą ręką, co zabiła ciebie,
Przetnę dni tego, co był twoim wrogiem?
Przebacz mi, przebacz Tybalcie! Ach, Julio!
Jakżeś ty jeszcze piękna! Mamże myśleć,
Że bezcielesna nawet śmierć ulega
Wpływom miłości? że chudy ten potwór
W ciemnicy téj cię trzyma jak kochankę?
Bojąc się tego, zostanę przy tobie,
I nigdy, nigdy już nie wyjdę z tego
Pałacu nocy; tu, tu mieszkać będę
Pośród twojego orszaku—robactwa.
Tu sobie stałą założę siedzibę,
Gdy z tego ciała znużonego światem
Otrząsnę jarzmo gwiazd zawistnych. Oczy,
Spojrzyjcie po raz ostatni! ramiona
Po raz ostatni zegnijcie się w uścisk!
A wy, podwoje tchu, zapieczętujcie
Pocałowaniem akt sojuszu z śmiercią,
Na wieczne czasy mający się zawrzeć!
Pójdź, ty niesmaczny, cierpki przewodniku!
Blady sterniku, pójdź rzucić o skały
Falami życia skołataną łódkę!
Do ciebie, Julio!

(Pije).

Walny aptekarzu!
Płyn twój skutkuje: całując—umieram.

(Umiera).

(Ojciec Laurenty wchodzi z przeciwnéj strony cmentarza, z latarnią, drągiem żelaznym i rydlem).

OJCIEC LAURENTY.

Święty Franciszku, wspieraj mię! Jak często
O takiéj porze stare moje stopy
O głazy grobów potrącały! Kto tu?
Któżto tak późno obcuje z zmarłymi?

BALTAZAR.

Przyjaciel, który was dobrze zna, ojcze.

OJCIEC LAURENTY.

Bóg z tobą! Powiédz mi, mój przyjacielu,
Co znaczy owa pochodnia świecąca
Chyba robakom i bezocznym czaszkom?
Nie tleje ż ona w grobach Kapuletów?

BALTAZAR.

Tam właśnie; jest tam i mój pan, któremu
Sprzyjacie, ojcze.

OJCIEC LAURENTY.

Kto taki?

BALTAZAR.

Romeo.

OJCIEC LAURENTY.

Jak dawno on tam jest?

BALTAZAR.

Od półgodziny.

OJCIEC LAURENTY.

Pójdź ze mną, bracie, do tych sklepień.

BALTAZAR.

Nie śmiem;
Bo mi pan kazał odejść i straszliwie
Zagroził śmiercią, jeśli tu zostanę,
I kroki jego ważę się podglądać.

OJCIEC LAURENTY.

Zostań więc, ja sam pójdę. Drżę z obawy,
Czy się nie stało co nieszczęśliwego.

BALTAZAR.

Gdym drzymał leżąc owdzie pod cisami,
Marzyło mi się, że mój pan z kimś walczył,
I że pokonał tamtego.

OJCIEC LAURENTY *(postępując naprzód).*

Romeo!
Na miłość boską, czyjażto krew broczy
Kamienne wnijście do tego grobowca?
Czyjeżto miecze samopas rzucone
Leżą u tego siedliska pokoju?
(Wchodzi do grobowca).

Romeo! blady!—Parys! i on także!
I krwią zalany? Ach! cóż za fatalność
Ten opłakany zrządziła wypadek!—
Julia się budzi.

JULIA (*budząc się i podnosząc*).

O pocieszycielu!
Gdzie mój kochanek? Wiem, gdzie być powinnam,
I tam też jestem: lecz gdzie mój Romeo?
(*Hałas za sceną*).

OJCIEC LAURENTY.

Cóżto za hałas? Julio, wyjdźmy z tego
Mieszkania śmierci, zgrozy i zniszczenia.
Potęga, któréj nikt z nas się nie oprze,
W niwecz zamiary nasze obróciła.
Pójdź: twój mąż leży martwy obok ciebie,
I Parys także. Pójdź; pójdź: zaprowadzę-ć
Do monasteru świętych siostr zakonnych.
Nie zwłócz, nie pytaj, bo warta nadchodzi.
Pójdź, biédna Julio!
(*Znowu hałas*).
Nie mogę już czekać.
(*Wychodzi*).

JULIA.

Idź z Bogiem, starcze; idź. ja tu zostanę.
Cóż to jest? Czara w zaciśniętéj dłoni
Mego kochanka? Truciznę więc zażył!
O skąpiec! Wypił wszystko: ani kropli
Nie pozostawił dla mnie! Przytknę usta
Do twych kochanych ust, może tam jeszcze
Znajdzie się jaka odrobina jadu,
Co mię zabije w upojeniu błogiem.
(*Całuje go*).
Twe usta ciepłe.

DOWÓDZCA WARTY (*za sceną*).

Gdzie to? pokaż chłopcze.

JULIA.

Idą: czas kończyć.
(*Chwytając sztylet Romea*).
Zbawczy puginale!
Tu twoja pochwa.
(*Przebija się*).
Tkwij w tym futerale.
(*Pada na ciało Romea i umiera*).
(*Warta wchodzi z paziem Parysa*).

PAŻ.

Tu, tu, w tém miejscu, gdzie płonie pochodnia.

DOWÓDZCA WARTY.

Ziemia zbroczona: obejdźcie wkrąg cmentarz
I przytrzymajcie, kogo napotkacie.
(Wychodzi kilku ludzi z warty).
Smutny widoku! tu hrabia zabity,
Tu Julia we krwi pływa, jeszcze ciepła,
Tylkoco zmarła: ona, co przed dwoma
Dniami w tym grobie była pochowaną.
Idźcie powiedzieć o tém księciu; spieszcie:
Wy do Montekich, wy do Kapuletów,
A wy odbądźcie przegląd w innéj stronie.
(Kilku innych wartowników wychodzi).
Widzimy miejsce gdzie zaszła ta zgroza;
Lecz w jaki ona sposób miała miejsce,
Tego nie możem pojąć bez objaśnień.
(Wchodzi kilku wartowników z Baltazarem).

PIERWSZY WARTOWNIK.

Oto Romea sługa: znaleźliśmy
Go na cmentarzu.

DOWÓDZCA.

Niech będzie pod strażą,
Dopóki książę nie nadejdzie.
(Wchodzi kilku innych wartowników prowadząc ojca Laurentego).

DRUGI WARTOWNIK.

Oto mnich jakiś drżący i płaczący:
Odebraliśmy mu ten drąg i rydel,
Kiedy się bokiem cmentarza wykradał.

DOWÓDZCA.

To jakiś ptaszek: trzymajcie go także.
(Wchodzi książę z swym orszakiem).

KSIĄŻĘ.

Co za nieszczęście o tak rannéj porze,
Sen nasz przerwało i aż tu nas wzywa?
(Wchodzi Kapulet, pani Kapulet i inne osoby).

KAPULET.

Jakiż być może powód tego zgiełku?

PANI KAPULET.

Lud po ulicach wykrzykuje: Julia!
Parys! Romeo! i jedni przez drugich
Tłumnie tu dążą do naszego grobu.

KSIĄŻĘ.

Cóż-to za postrach rozruch ten sprowadza?
Odpowiadajcie!

DOWÓDZCA.

Miłościwy panie!
Oto zabity leży hrabia Parys;
Romeo martwy i Julia wprzód zmarła,
A teraz ciepła, z puginałem w piersi.

KSIĄŻĘ.

Szukajcie, śledźcie sprawców tego mordu.

DOWÓDZCA.

Oto mnich jakiś i Romea sługa,
Których tu moi ludzie przytrzymali,
I którzy mieli przy sobie narzędzia
Do odbijania grobów.

KAPULET.

O nieba! żono, patrz, jak ją krew broczy!
Puginał zbłądził z drogi;—oto bowiem
Pochwa od niego wisi przy Montekim;
Zamiast w nią trafić trafił w pierś méj córki.

PANI KAPULET.

Niestety! widok ten, jak odgłos dzwonu,
Ostrzega starość mą o chwili zgonu.
(*Wchodzi Montekio i inne osoby*).

KSIĄŻĘ.

Montekio, wcześnie wstałeś, aby ujrzeć
Nadziei swoich wcześniejszy upadek!

MONTEKIO.

Ach! miłościwy książę, żona moja
Zmarła téj nocy z tęsknoty za synem:
Jakiż cios jeszcze niebo mi przeznacza?

KSIĄŻĘ.

Patrz: a zobaczysz!

MONTEKIO.

O, niedobry synu!
Jak się ważyłeś w grób uprzedzić ojca?

KSIĄŻĘ.

Zamknijcie usta żalowi na chwilę,
Póki zagadki téj nie rozwiążemy,
I nie zbadamy jej źródła i wątku:
Wtedy sam stanę na skarg waszych czele,
I będę waszéj boleści heroldem.
Stawcie tych, co nań pada podejrzenie.

OJCIEC LAURENTY.

Ja-to, o panie! lubo najmniéj zdolny
Do popełnienia czegoś podobnego,
Jestem, ze względu na okoliczności,
Poszlakowany najprawdopodobniéj
O dzieło tego okropnego mordu:
Staję więc jako własny oskarżyciel,
I jako własny obrońca w téj sprawie,
By się potępić i usprawiedliwić.

KSIĄŻĘ.

Mów, czegoś świadom.

OJCIEC LAURENTY.

Zwięźle rzecz opowiem,
Bo tchnień mych pasmo krótszém jest zaiste
Niż długa powieść. Romeo, którego
Zwłoki tu leżą, był małżonkiem Julii,
A Julia była prawą jego żoną:
Jam ich zaślubił, a dniem tajemnego
Ich połączenia był ów dzień nieszczęsnéj
Tybalta śmierci, która nowożeńca
Wygnała z miasta: i tento był powód
Cierpienia Julii, nie żal po Tybalcie.
(*Do Kapuletów*).
Wy, chcąc oddalić od niéj chmury smutku,
Zaręczyliście ją i do małżeństwa
Z hrabią Parysem chcieliście ją zmusić.
W téj alternacie przyszła ona do mnie
I nalegała usilnemi prośby
O doradzenie jéj jakiego środka,
Coby od tego powtórnego związku
Mógł ją uwolnić; w przeciwnym zaś razie
Chciała w méj celi życie sobie odjąć.
Dałem jéj tedy, ufny w mojéj sztuce,

Usypiające krople, których skutek
Bynajmniéj mię nie zawiódł, bo jéj nadał
Pozór umarłéj. Napisałem przytém
List do Romea, wzywając go, aby,
Dzisiejszéj nocy, o tę porę, w któréj
Działanie owych kropel miało ustać,
Zszedł się tu ze mną, dla wyswobodzenia
Tej, co mu dała taki dowód wiary,
Z tymczasowego jéj grobu. Traf zrządził,
Że brat Jan, który z listem był wysłany
Nie mógł się z miasta wydostać, i wczoraj
List ten mi zwrócił. O godzinie zatém
Na jéj ocknięcie ściśle naznaczonéj
Sam pośpieszyłem wyrwać ją z tych sklepień;
Chcąc ją następnie umieścić w méj celi,
Póki Romeo nie przybędzie: ale
Kiedym tu przyszedł (na niewiele minut
Przed jéj zbudzeniem), już szlachetny Parys
Leżał bez duszy, i Romeo także.
Ona się budzi, jam się jął przekładać,
By poszła ze mną, i to dopuszczenie
Nieba przyjęła z korną uległością:
Gdy wtém zgiełk nagły spłoszył mię od grobu,
A ona, głucha na moje namowy,
Rozpaczą zdjęta, pozostała w miejscu,
I jak się zdaje, cios zadała sobie.
Oto jest wszystko, co wiem: o małżeństwie
Marta zaświadczy. Jeśli to nieszczęście
Choć najmniéj z mojéj nastąpiło winy,
Niech mój sędziwy wiek odpowié za to,
Na kilka godzin przed blizkim już kresem,
Wedle rygoru praw jak najsurowszych.

KSIĄŻĘ.

Jako mąż święty zawsześ nam był znany.
Gdzie jest Romea sługa? Cóż on powié?

BALTAZAR.

Zaniosłem panu wieść o śmierci Julii:
Wraz on wziął pocztę i z Mantui przybył
Prosto w to miejsce, do tego grobowca.
Ten list mi kazał rano oddać ojcu:
I w grób wstępując zagroził mi śmiercią
Jeśli nie pójdę precz lub nazad wrócę.

KSIĄŻĘ.

Daj mi to pismo: przejrzę je.—A teraz:
Gdzie paź hrabiego, co wartę sprowadził?
Co twój pan, chłopcze, porabiał w tém miejscu?

PAŻ.

Przyszedł kwiatami ubrać grób swéj przyszłéj;
Kazał mi stanąć zdala, com też zrobił:
Wtém ktoś ze światłem przyszedł grób otwierać,
I mój pan dobył szpady przeciw niemu;
Co zobaczywszy pobiegłem po wartę.

KSIĄŻĘ.

List ten potwierdza słowa zakonnika,
Bieg ich miłości i Romea rozpacz.
Biedny młodzieniec pisze oprócz tego,
Że sobie kupił gdzieś u aptekarza
Truciznу, którą postanowił zażyć
W tym tu grobowcu, by umrzeć przy Julii.
Rzecz jasna! Gdzie są ci nieprzyjaciele?
Montekio! Kapulecie! patrzcie, jaka
Chłosta spotyka wasze nienawiści.
Niebo obrało miłość za narzędzie
Zabicia pociech waszego żywota;
I ja, za moje zbytnie pobłażanie
Waszym niesnaskom, straciłem dwóch krewnych.
Wszyscy jesteśmy ukarani.

KAPULET.

Montekio, bracie mój, podaj mi rękę:
Niech to oprawą będzie dla méj córki;
Więcéj nie mogę żądać.

MONTEKIO.

Lecz ja mogę
Wiecéj dać tobie nad to; każę bowiem
Posąg jej ulać ze szczerego złota,
By się nie znalazł szacowniejszy pomnik
Po wszystkie czasy istnienia Werony,
Jak ten, pamięci Julii poświęcony.

KAPULET.

Tak i Romeo stanie przy swéj żonie;
Dzieląc za życia, złączmy ich po zgonie.

KSIĄŻĘ.

Ponurą zgodę ranek ten skojarzył;
Słońce się z żalu w chmur zasłonę tuli:
Smutniejszéj bowiem los jeszcze nie zdarzył,
Jak ta historya Romea i Julii.

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Otwarcie opery włoskiéj. — Biografia powszechna muzyków przez pana Fetis. — Adwokat biednych, dramat Paul Meurica. — *Une femme qui n'aime pas son mari,* nowa sztuka pani Girardin.— Teodor Chassériau.— Wystawa artystyczna w Manchester. — Projekt palenia ciał. — Wiadomości literackie.

Teatr włoski na powitanie Alboni, która przeszłego roku znęcona złotem Proroka przeniewierzyła się ojczystéj scenie, a teraz znów doń powraca i dla przebłagania swych bogów domowych, chce nucić najpieściwsze piosenki: rozpoczął szereg zimowych reprezentacyj Kopciuszkiem. Sławna artystka odśpiewała swą ulubioną rolę z niezrównaną doskonałością, mianowicie téż aryą finalną tak zachwyciła słuchaczy, że cały teatr jednogłośnie zażądał powtórzenia pieśni. Żądać od śpiewaczki powtórzenia wielkiego Ronda Cenerentoli jest toż samo, co wymagać od aktora powtórnego odegrania całego aktu w dramacie; niesłychana trudność tego ustępu czyni go nader męczącym, nawet dla słowiczego garełka Alboni, z którego najtrudniejsze rulady płyną jak zwyczajna rozmowa. Mimo to, hrabina Pepoli nie kazała się prosić: ze zwykłą uprzejmością i uśmieszkiem, który nigdy nie opuszcza jéj ust różowych kiedy śpiewa, powtórzyła cały finał.

Z ostatnią nutą, wszystkie bukiety zdobiące piérwsze loże, padły do nóg Alboni. Włoszki nie mające bukietów, rzuciły ulubionéj śpiewaczce kwiaty oderwane od swych warkoczy. Któraż kobieta nie przyzna, że to ofiara niezwykła, poświęcenie niesłychane, na jakie zdobyć się może tylko Włoszka w zapale muzycznym, nigdy Francuzka: te entuzyazmem nie grzeszą, i można przysiądz, że nietylko dla uczczenia artystki, ale nawet gdyby chodziło o zbawienie jéj duszy, nie odpięłyby jednego kwiatka, który fryzyer z dokładną znajomością gruntu posadził na jakimś właściwym punkcie ich głowy. Alboni i tak dokazała cudu; każdy jéj dał na co się mógł zdobyć, każdy był zachwycony wedle możności: Francuzi klaskali czubkami palców, Włosi omdlewali z rozkoszy.

Nigdzie łatwiéj nie rozpoznasz narodowości i klas społecznych, jak w Sale Ventadour. Publiczność dzieli się tu na cztéry odrębne gruppy. Piérwsza najliczniejsza składa się z tak zwanych les gens du monde, ulubieńców fortuny, którzy zakończywszy swój dzień bezczynny, zjadłszy wykwintny obiad, przebrawszy się po raz czwarty, siadają do karety i naciągając rękawiczki, wołają na woźnicę: „Aux Bouffes!" Ci przybywają do sali Ventadour jak na bal: mężczyzni występują w ściśle konwencyonalnym stroju, kobiéty na nagich ramionach rozwieszają cały kram prawdziwych i fałszywych dyamentów, na sztucznie utrefione włosy kładą ozdoby uchwalone na kilkogodzinnéj naradzie ze zwierciadłem, ciało napojone wonią drażniących zapachów pokrywają warstwą białéj, czarnéj i czerwonéj farby, i tak zabalsamowane, siadają, a raczéj kładą się na karmazynowych aksamitnych fotelach.

To towarzystwo, tak dobrze zewnętrznie jak wewnętrznie nie różni się od mumii. Przybywa ono nie dla muzyki, ale dlatego, żeby się sobie przypatrzeć i pokazać się w całéj okazałości. Jestto najpiękniéj-

sza dekoracya teatru włoskiego, która brak ruchu, zapału i życia, wynagradza kolorytem, blaskiem swych brylantów i wiosenną wonią swych bukietów.

Wyższe loże zasiadają po większéj części włoskie dilettanti z iskrzącemi oczyma, którzy nie widzą nic prócz aktorów, nie słyszą nic prócz muzyki. Tych, każdy ton głębszy, każdy wyrazistszy akord, każda wymowniejsza rulada porywa, a każda celniejsza arya pogrąża w zachwyt, który szumiąc rozpostartemi skrzydły, jak duch harmonii unosi się ponad przepaściami francuzkiego indyferentyzmu. Włosi tyle żaru wkładają w swe pochwały, ile go jest w ich krwi i w ich słońcu. Słysząc te głośne objawy ich zadowolenia, te okrzyki zapału wyrwane z głębi duszy, pojąć łatwo, że tylko ten naród miał i miéć będzie prawdziwych artystów, bo artysta to syn i kochanek entuzyazmu: poklask jest warunkiem jego bytu, bez współczucia jak kwiat bez słońca nie pocznie on, ani nie zakwitnie, a jeżeli zakwitnie, to będzie bez barwy i woni, jak kwiatek z płótna.

Trzecią gruppę publiczności włoskiego teatru składają znawcy, muzycy z professyi, sławni kompozytorowie i sławni wykonawcy. Téj gruppie zwykle prezyduje Rossini, Verdi, Halevy, Meyerbeer jeźli go własne utwory nie zatrzymają w wielkiéj operze, i massa rozmaitych mniej-więcéj sławnych grajków, z których złożony muzyczny świat paryzki.

Czwartą gruppę tworzy niemniéj liczna plejada sprawozdawców miejscowych i zagranicznych. Ci nie spuszczając się na własne uszy w ocenianiu melodyi, zwracają je w inną stronę, tojest podsłuchują co mówią muzycy, którzy nie opuszczając żadnéj nuty, w miarę rozwijania się sztuki rozbierają uczenie styl kompozytora, metodę śpiewaków, całość wykonania: słowem, słuchają, obserwują, rozumują i sądzą. Armia sprawozdawców oblega zblizka armią kompozytorów, nie po-

rzuca jéj ani na chwilę: w krzesłach obstępuje ją jak kawiarniane próżniaki poważnych szachistów, we foyer chodzi maestrom po piętach, w bufecie patrzy im w oczy, i podobnie jak pies na okruch jadła czycha na okruchy ich myśli. Biédnato, i godna pożałowania gruppa, któréj obowiązkiem znać się na wszystkiém, wyrokować o wszystkiém, gotować na wiecznie rozpalonym ogniu swéj wyobraźni strawę dla wiecznie głodnéj nowin publiczności, i jeszcze częstokroć ginąć w niełasce, jeżeli jéj słuch jakiego niemiłego wypłata figla, jeżeli zamiast tak, czasami nie dosłyszy.

Mówiąc o krytykach słuchających nie muzyki, ale muzyków, przychodzi nam na myśl zdarzenie prawdziwe, które na tém właśnie przedstawieniu Cenerentoli opowiadał Rossyni, a które jeden z dobrze słyszących sprawozdawców podsłuchał.

Rozmawiano o oziębłości muzycznéj Francuzów. Zapéżony Verdi utrzymywał, że niewarto w Paryżu wykonywać żadnéj poważnéj muzyki, bo nietylko nikt się na niéj nie pozna, ale jeszcze za nic sobie mają autora i w dziełach jego plondrują dowolnie; że właśnie o to procesuje się z dyrektorem Włochów, który mu bez jego pozwolenia chciał przedstawiać Trovatore i Rigoletto, że Paryżanie znają się na muzyce jak Kafry, że to barbarzyńcy, profany i t. d.

Rossyni ze zwykłą sobie obojętnością słuchał rozmaitych niepochlebnych Francuzom przydomków, które jak kaskada płynęły z ust oburzonego Włocha; wreszcie gdy ten już się wygadał: „Prawda, rzekł, że u nas inaczéj jakoś rozumieją te rzeczy, inaczéj kochają sztukę. Nie tak cicho było w Rzymie, kiedy po raz piérwszy przedstawiano moję Cenerentolę. Pamiętam ukończyłem ją właśnie na sam karnawał w 1817 roku. Piérwsza reprezentacya ściągnęła trzy razy tyle słuchaczy, ile ich mógł pomieścić teatr Valle. Nieszczęściem trafiło się, że dobór śpiewaków był nieszczególn-

ny, mianowicie też rola Ramira źle oddana, nie wydała się tak, jak należało. Między piérwszym a drugim aktem publiczność tłumnie wyległa do foyer, i nuż radzić, nuż sprzeczać się z sobą. Słuchałem oparty o komin. Jedni dowodzili zapalczywie, że Cenerentola więcéj warta niż Otello, Cyrulik i Włoszka w Algierze; drudzy niemniéj liczni utrzymywali, że w Cenerentoli znika Rossini, że w téj muzyce nie ma ani sensu, ani harmonii.

„Tak podzieleni na dwa obozy słuchacze powrócili do sali, i zagrzani dysputą, już bez ogródki głośno objawiali swoje zdania: jedni klaskali, drudzy gwizdali na zabój. Skoro w drugim między-akcie wyszliśmy i jeszcze żywsze rozpoczęto spory, zdarzyło się, iż widząc twarz moję obojętną i wcale nie wiedząc com za jeden, owe zajadłe stronniki do mnie zwrócili mowę, i wezwali mnie na sędziego.

— Powiédz, signore, wszakże mamy słuszność?— wołali admiratorowie.

— Signore, nieprawdaż, że słuszność przy nas?— krzyczeli przeciwnicy.

— Jedni i drudzy macie słuszność—rzekłem skorom mógł przyjść do głosu. W każdém dziele ludzkiém jest zła i dobra strona, przeto bardzo łatwo można się do jednéj lub do drugiéj zapalić, wedle swych wrodzonych skłonności, lub skrytych pobudek. Wy— rzekłem do klaskaczy—lubicie podnosić dobrą stronę; wy znów słuchacie z uprzedzeniem i wysilacie mózgi na wyszukanie złego. Jedni i drudzy szczerze popieracie moje przekonanie: szkoda, że wszyscy razem grzeszycie przesadą.

„Jakto zwykle bywa, nie przekonałem nikogo. Połowa publiczności przyjęła sztukę z zapałem, druga połowa ją wygwizdała.

„Po ukończonéj reprezentacyi, skorośmy wyszli na plac przed teatr, nowe powstały krzyki; przeciwnicy

nie poprzestając już na słowach, chcieli pięściami zdania swoje popierać i rzucili się na siebie. Wtém, chłopak jakiś z obozu klaskaczy, przypada do mnie i woła: „Mistrzu, nowe twe dzieło napotyka opozycyą dlatego, że mu zbywa na dobrym tenorze. Ja będę śpiewał rolę Ramira, wystąpię od dziś za trzy miesiące. Hej! wy co się tam czubicie! odłóżcie bitkę! Za trzy miesiące rozmówimy się!"

„Młody ten człowiek zwał się Benvenuti, był synem rzymskiego makaroniarza. Otóż Benvenuti zaraz nazajutrz wziął się do pracy. Sprzedał cały swój majątek, żeby miéć czém płacić lekcye śpiewu. W ciągu sześciu tygodni głos jego nabrał nadzwyczajnéj giętkości i słodyczy. Poduczywszy się jeszcze lepiéj, zgłosił się do dyrektora teatru Valle, i po piérwszém przesłuchaniu został przyjęty. W zapowiedzianym dniu wystąpił w Cenerentoli.

„Grzmot oklasków towarzyszył bez przerwy śpiewowi nowego tenora; partya przeciwna milczała. Benvenuti pewien wygranéj, wpadł w zachwyt i śpiewał jak nikt przed nim i nikt po nim! Ale zaledwie przebrzmiały srebrne tony jego głosu, przeciwnicy odezwali się przeraźliwym chórem tysiąca piszczałek.

„Kurtyna zapadła. Benvenuti jak chusta blady, z obłąkanym wzrokiem i pianą na ustach, stał przykuty w miejscu, gdzie go gwizd doleciał. Potém nagle, jak szalony z roztarganym włosem skoczył, puścił się przez kurytarze, dobiegł cwałem do rzeki i rzucił się w Tyber... W téj saméj chwili przeciwna partya po żartobliwém gwiźnięciu, z zapałem, ale zapóźno niestety, wywoływała biédnego, natchnionego artystę".....

W tém miejscu głos sędziwego maestra zadrżał... Niewiadomo czy łza doszła do oka, bo sprawozdawca twarzy jego nie widział, ale to pewna, że najobojętniejszy i najprozaiczniejszy z Włochów łzy miał w sercu, kiedy kończył smutną historyą swojego tenora.

Ważném jest dla świata muzykalnego dziewięciotomowe dzieło pana Fétis: Biographie universelle des musiciens, którego drugie wydanie wyszło temi dniami w Paryżu. Autor, człowiek już niemłody, obdarzony od natury głębokim zmysłem muzykalnym, całe życie swoje poświęcił muzyce. Zakochany w utworach kompozytorów niemieckich i namiętnéj harmonii Włochów, nie widząc w swoim kraju nietylko nikogo ktoby im dorównywał, ale prawie nikogo ktoby ich rozumiał, postanowił wszelkiemi siłami rozbudzać w ziomkach gust do muzyki poważnéj.

W tym celu urządził najprzód rodzaj katedry muzycznéj, tak zwane koncerta historyczne, gdzie pod jego dyrekcyą wykonywano te tylko utwory mistrzów, które są niezbitym dowodem, że prawdziwe uczucie w jakąbądź formę obleczone i jakkolwiek wyrażone, zachowuje wiecznie swą świeżość i wartość. Kilkunastoletnie usiłowania pana Fétis nie zostały bez skutku; głos powszechny przyznaje mu że otworzył uszy Paryżanów na piękności obcych melodyj, i że im dowiódł, iż arcydzieła pisane nutami, nie głoskami, mniéj jeszcze niż te ostatnie podlegają starości, bo są nietylko wyrazem ciągle doskonalącéj się myśli człowieka, ale językiem nieśmiertelnéj jego duszy.

Tak wyłożywszy praktycznie swój kurs muzyczny, pan Fétis wziął się do pisania historyi sztuki muzycznéj, oraz historyi tych, którzy ją objawiali i objawiają światu. Ogromny ten przedmiot zamknął w dziewięciu tomach, usiłując wyłożyć go w sposób zajmujący i każdemu przystępny. Nie jestto atoli dzieło nieomylne. Tu i owdzie napotyka się tam źle podane fakta i niedokładności, ale czyż podobna wymagać, żeby żaden błąd nie wcisnął się w te pięć tysięcy stronnic, których proste spisanie i wydanie już nieledwie zdają się przechodzić możność jednego człowieka. Zresztą nie jestto wina autora, ale raczéj wina rękopisów, z których dzieło swo-

je układał, a które częstokroć o jednéj i téj saméj rzeczy wprost przeciwne podają wersye. Któryż dziejopis badający minione wieki z danych dokumentów, nie znajduje się co chwila na rozstajnych drogach, i nie jest przymuszony kierować się wedle prawdopodobieństwa lub własnego natchnienia? Ale czyż można się temu dziwić? Nawet chcąc opisywać wypadki bieżące, fakta spełnione w oczach naszych, prawie niepodobna dojść prawdy, a cóż dopiéro jeżeli się zapuścimy w ciemny labirynt przeszłości i zechcemy ją rozświecać nie mając w ręku innéj pochodni, prócz kroniki.

W ocenianiu kompozytorów tegoczesnych nie jeden także zarzuci panu Fétis niesprawiedliwość, bo o każdym z nich jest tyle zdań odrębnych, ilu sędziów: bo każdy zapatruje się na rzecz ze swego stanowiska, sądzi wedle dążności swego charakteru lub chwilowego usposobienia umysłu. Wszystko to zważywszy, czytelnik przebaczy łatwo autorowi, jeżeli przeprowadzając przez kilkanaście wieków rozwój sztuki, nie pozostał zawsze w zgodzie z prawdą, nawet przypuściwszy, że jéj się dołowić gdziekolwiek można. Mówiąc przeto o biografii muzyków nie będziemy się zajmowali wytykaniem pomyłek liczebnych, uważając za rzecz zupełnie obojętną czy Mozart napisał swoję operę 30 sierpnia, czy 15 września tegoż roku.

Autor także zdaje się do dat małą przywiązywać wagę. Piérwszém zadaniem jego jest rozwinięcie przed oczyma czytelnika rozmaitych szkół i systematów rozmaitych kompozytorów, oraz porównywanie ich, i naszkicowanie ich prywatnych stosunków: zkąd każdy wyrobić sobie może sąd pewny, i niejako poznać osobiście tych wielkich artystów, którym zawdzięczamy nasze najczystsze rozkosze.

Czytając dzieło pana Fétis porządkiem chronologicznym, można sobie łatwo wyobrazić, czém była muzyka u starożytnych, i jakie fazy przechodziła, zanim do-

szła do tego, czém jest dzisiaj. Biografia Powszechna Muzyków jest czémś więcéj niż ich życiorysem: nazwaćby ją niemal można filozofią sztuki, do któréj komentarzem jest opis prywatnego życia artystów.

Rodzaj życia, sfera w któréj los postawił, wpływa na każdego człowieka, a niezawodnie najsilniéj na mieniący się i wrażliwy charakter artysty. Dowiedziawszy się historyi prywatnéj jakiego kompozytora, mamy klucz do dzieł jego, pojmujemy lepiéj jego zdolności, wiemy co było podnietą, a co przeszkodą ku ich rozwinięciu. Ten, obarczony rodziną, tylko kilka godzin ukradzionych spoczynkowi mógł poświęcić objawianiu swych harmonijnych natchnień, które były duchem jego istoty; ten, szczęśliwszy, mógł im się oddawać zupełnie; ów, w wiecznéj walce z jakiémś nienawistném fatum, potrąca się ciągle o jakieś nieprzewidziane przeszkody, ztąd głęboka boleść cechująca jego utwory. Ten znów, szczęśliwy we wszystkiém czego się dotknie, równie bogato uposażony od natury jak od świata, kochany, pieszczony, sławiony, za pomocą muzyki wlewa do serca słuchaczy nadmiar radości, która własne jego serce przepełnia. Melodya jego jest wynikiem jego moralnéj sytuacyi, naturalném następstwem organizacyi fizycznéj: pieśni ulubieńca fortuny śmieją się jak jego usta.

Przystępując do każdéj biografii, autor zadaje sobie cztery pytania: do jakiéj epoki należy kompozytor? jaka jest wybitna cecha jego talentu? jaki jest przedmiot jego dzieł? jaki był kierunek sztuki przed nim? Odpowiedź na te cztery pytania stanowi treść każdego życiorysu.

W tém nauczającém i użytecznem dziele jest wszakże jedna fałszywa dążność, którą autor przeprowadza od początku do końca: tą wydaje nam się być dowodzenie niepostępowości sztuki. W przedmowie do drugiego wydania pan Fétis powiada wyraźnie: „Doktry-

na postępu dobra i słuszna w naukach i przemyśle, nie stosuje się bynajmniéj do dzieł sztuki."

Z powyższéj zasady wynika tedy: 1, że muzycy za czasów Adama i Ewy układali równie piękne melodye jak kompozytorowie nowocześni; 2, że pieśń ojców ludzkości skromniejsza formą, była niemniéj bogata myślą; 3, że całą różnicę dawnéj i nowéj muzyki stanowi tylko sposób jéj wyrażenia; 4, że muzyka przeobraziła się tylko w swoich żywiołach materyalnych.

Nie sądzimy, ażeby to było prawdą.

Czy nazwiemy udoskonalenie postępem, czy przeobrażeniem, niemniéj jest rzeczą dowiedzioną, że muzyka jak wszystkie inne sztuki miała swoje chwile upadku i wielkości. Pan Fétis sam zowie muzykę sztuką poruszania przez kombinacyą tonów. Otóż kombinacya tonów stała się nauką, więcéj rozwiniętą wczoraj niż przed stoma laty; a jutro jeszcze obszerniejszą niż dzisiaj. Więc to jest postęp.

Wyjąwszy tę ogólną zasadę, podzielamy zupełnie pojęcia pana Fétis; mianowicie téż zdanie jego o muzyce tegoczesnéj wydaje nam się bardzo trafne. Powiada on, że kompozytorowie w początku bieżącego stulecia, prócz że mieli wyraźną swą indywidualność, stosowali zawsze styl do myśli jaką wyrazić chcieli: inaczéj pisali dla kościoła, a inaczéj dla teatru; umieli zmieniać formę, nie zmieniając właściwéj sobie cechy. Za naszych czasów talent ten zupełnie zaginął: jednostajność muzyki stała się rażąca.

A jednak genialnych muzyków nie brak. W czém więc to leży? Oto że każdy z nich goni za poklaskiem, a massy żądają silnych i denerwujących wzruszeń. Kompozytorowie przyprawiają im więc muzykę wedle ich smaku: czyto w kościele, czy w operze, czy w symfonii, czy w piosneczce, wszędzie napotkasz dramat, wszędzie ubieganie się za efektem, nawałnica tonów, grzmot bębnów, chór najprzenikliwszych instrumentów.

Wszystkie tegoczesne utwory noszą tak jednakie piętno, iż się wydaje, że wszyscy kompozytorowie zawiązali się w jedno stowarzyszenie kommandyty.

Nikt nie chce pozostać w sferze uczuć własnych, każdy chce iść w ślad sławnego kolegi, używać tych samych środków, dla otrzymania tych samych rezultatów. Ten naśladuje Aubera, ten Halevego, ten chce być następcą Rossiniego, tamten Meyerbeerowi formy wykrada: być samym sobą nikt nie chce.

Na Boga! Panowie!—woła w końcu przedmowy autor—nie zbaczajcie z drogi własnéj, szukajcie idei we własném natchnieniu, pracujcie nad rozwinięciem własnych zdolności. Jeżeli się zdarzy, że was odrazu nie zrozumieją, nie zrażajcie się tém: każda zasługa wyjdzie z czasem na wierzch i będzie uznaną. Co się odwlecze, to nie uciecze. Powodzenie oparte tylko na schlebianiu modzie, nie jest powodzeniem. Przynosi ono zapewne więcéj pieniędzy, ale niezawodnie nie prowadzi do niczego wielkiego.

Sebastyan Bach utrzymywał i wychowywał liczną rodzinę z dochodu, któryby nie wystarczył na domino ostatniemu z naszych klakierów: ale w tworzeniu melodyj doznawał nadziemskich rozkoszy. Mozart był także biédny, ale skoro usłyszał dobrze wykonane swoje dzieło, czuł się najszczęśliwszy z ludzi. Toż samo Weber i Gretry. Głuchy Bethowen cały świat harmonii nosił w duszy, duszą go słuchał i był szczęśliwy, nie wiedząc wcale jak wygląda myśl jego wyrażona za pomocą ludzkiego głosu lub instrumentu. Większa część wielkich kompozytorów tworzyła w nędzy swe arcydzieła. Nie idzie zatém, ażeby każdy z nich wyrzekał się dóbr ziemskich, żeby się stawał anachoretą skoro poczuje natchnienie w swéj piersi; bynajmniéj: zbytkowna wyobraźnia artysty potrzebuje zbytkownego okolenia, tém lepiéj więc jeżeli je miéć może; ale niech zbytek nie będzie warun-

kiem jego życia, niech nie poświęca sztuki swoim potrzebom.

Oto mniéj więcéj treść przedmowy poprzedzającéj drugie wydanie Biografii Muzyków. Są to wszystko uwagi trafne i rady zdrowe, ale czy kogo poprawią? Wątpić się godzi. To tylko pewna, że niejednego obrażą, bo prawda w oczy kole.

— W teatrach bulwarowych pojawiły się dwie nowe sztuki zasługujące na wzmiankę: Adwokat biednych, pięcio-aktowy dramat Paul Meurica, i jeden akt pani Girardin, pod napisem: Une Femme qui n'aime pas son mari.

Paul Meurice stoi nadto wysoko w tutejszéj hierarchii literackiéj, ażeby sprawozdawca mógł dzieło jego pominąć; z tego powodu, chociaż Adwokat wydaje nam się niższy od poprzednich dramatów tegoż autora, jak Paryż, i Benvenuto Cellini, opowiemy pokrótce treść téj sztuki.

Rzecz dzieje się w Anglii. Georges Trevor jest adwokatem biédnych w Londynie, za czasów protektoratu Kromwella. Zacny i do poświęceń skory Trevor uważa stan swój jako kapłaństwo: broni pokrzywdzonych gorąco, wymownie i zręcznie, przekonywa wszystkich, najzimniejszym sędziom łzy wyciska, przywraca szacunek posądzonym niesłusznie, a pokrzywdzonym wydarte prawa: słowem, jest prawdziwym dobroczyńcą ludzkości.

Przez dwa piérwsze akty autor wzniosłą tę rolę przeprowadza z głębokiém czuciem; ale późniéj ciągnąc bohatera swego na coraz wyższe szczyty, traci równowagę, i wpada w psującą wszystko przesadę.

Człowiek jakiś imieniem Gilbert jawi się w mieszkaniu zacnego adwokata, i powiada mu, że nędza rodziny zmusiła go do zastawienia brylantów poruczo-

nych jego pieczy, że ma nadzieję oddać je późniéj właścicielowi, ale że teraz uczynić tego nie może. Oddaje więc adwokatowi w depozyt resztę owych klejnotów, i prosi, żeby bronił jego sprawy.

Nieograniczony w poświęceniu adwokat, przyjmuje depozyt i podejmuje się obrony łotra, który pod pozorem gwałtownéj potrzeby pieniędzy, tak dobrze jak ukradł powierzone sobie klejnoty. Postępek ten, który już sam przez się jest jeżeli nie zbrodnią, to przynajmniéj zadaleko posuniętą miłością rzemiosła, komplikuje jeszcze inna okoliczność. Gilbert jest rywalem adwokata. Piękna Lilia, którą ten ubóstwia, kocha szalenie Gilberta. Adwokat będąc panem tajemnicy szczęśliwego rywala, mógłby jedném słowem zniszczyć tę miłość, jednak nietylko tego nie czyni, ale broni i wygrywa sprawę.

Uniewinniony Gilbert czémprędzéj wynosi się za granicę. Nagły odjazd jego ściąga podejrzenie na adwokata. Lord, właściciel klejnotów obwinia go o wspólnictwo, rewiduje dom Trevora, i znajduje owe resztki brylantów, oddane mu do depozytu. Trevor chociaż przekonany o podłości Gilberta, powierzonéj sobie tajemnicy zdradzić nie chce, trzymając się ściśle téj zasady: że adwokat powinien się poświęcić dla klijenta.

Zdawałoby się, sądząc poprostu, że Trevor mógł był uniewinnić się nie gubiąc nikogo, kiedy Gilbert usunął się z pod wszelkiéj odpowiedzialności; ale adwokat biédnych inaczéj tę rzecz pojmuje: bierze na siebie hańbę, więzienie, śmierć nawet.

Sprawa wytacza się przed Kromwella. Ten orlim wzrokiem przebija czarną chmurę, w którą niewinny, dobrowolnie zamknął swe czyste sumienie. Kromwell pod suknią winowajcy poznaje sprawiedliwego, ale nie chce mu przeszkodzić w poświęceniu się dla obowiąz-

ku, i tylko zdaleka uchyla czoła przed idącym na rusztowanie męczennikiem swéj zasady.

Obronę niewinnego, którego żaden człowiek zbawić nie chce, bierze na siebie Bóg. Przyjaciel skazanego na śmierć adwokata, spotyka przypadkiem i sprowadza na plac kaźni prawdziwego winowajcę, który obaczywszy Trevora mającego umierać za jego winy, zdradza się mimowolnie i oddaje w ręce sprawiedliwości. Wszystko się wyjaśnia i prostuje. Nawet piękna Lilia przestaje kochać niegodnego ulubieńca i serce wraz z ręką oddaje adwokatowi biednych.

Taki jest skielet tego dramatu, który grzeszy jedynie zbytkiem heroizmu. Chociaż poświęcenie nie jest zdrowo pojęte w téj sztuce, bo dobroczyńca cierpiących chce ginąć w obronie jednego oszusta: odbija ona jednak bardzo przy rozpustno-czczych utworach innych francuzkich dramaturgów. Jestto przynajmniéj jakieś dążenie, jakieś dotawianie się wyższych myśli, którego na tutejszéj scenie nie można dośledzić. Trevor ma być uosobieniem miłości bliźniego, męczennikiem obowiązku, który woli umrzéć niż potępić drugiego. Cała ta rola napisana jest bardzo wymownie; same nawet jéj paradoxa rażą dopiéro po zapuszczeniu kurtyny, kiedy na zimno rozbieramy sztukę. Zwyczajni autorowie starają się obudzić interes sztucznem ukartowaniem zbrodni: tutaj zajęcie słuchaczy budzi aspiracya do piękności moralnéj, którą Paul Meurice wypowiedział stylem poprawnym i poetycznym. Myśl ogólna, która się unosi ponad wypadkami, jest bardzo wysoka. Jeżeliśmy dobrze zrozumieli zamiary autora, chciał on wpoić w słuchaczy tę słodką nadzieję, że tego, kto szczérze spełni w duchu ofiarę, Bóg uwalnia od rzeczywistego jéj spełnienia i wynagradza jeszcze w tém życiu.

— Une Femme qui n'aime pas son mari, eleganckim układem i siłą uczucia dorównywa rzewnéj komedyi la Joie fait peur, która zjednała pani Gi-

rardin pokłaski całego świata. Jak w jednéj tak w drugiéj sztuce autorka stawia tylko jednę sytuacyą, i tę przeprowadza przez wszystkie tony, aż do ostatnich krańców prawdopodobieństwa, bez wrzasku, bez zgrai niepotrzebnych figur, bez komplikacyj wypadków.

Krótki ten, ale straszny komedyo-dramat, jest opisem jednéj chwili wyjętéj z najkrwawszego roku wielkiéj rewolucyi francuzkiéj, kiedy „gilotyna ręką machała stalową, a ilekroć skinęła, lud umniejszał głową", kiedy w domach panował blady strach i przerażenie, a na ulicy szalał mord i tańcowała we krwi zaszargana Carmagnola.

Hrabina de Langeais, teraz obywatelka Langeais, przeszła do nieprzyjacielskiego obozu. Wyparła się nietylko swéj szlachetnéj rodziny, ale nawet męża podejrzywanego o umiarkowanie, nawet swéj córki, któréj ojcem był ów podejrzany.

Jednakowoż na piérwszy rzut oka bystry badacz dostrzega, że te spartańskie cnoty nie zgadzają się jakoś ze słodkiém i pełném czucia wejrzeniem pięknéj Julii, że jéj wiotka i skromna kibić niechętnie nosi rozpasaną tunikę rewolucyonistek, że śnieżne ramiona wstydzą się swojéj nagości, a uprzejmość z jaką przyjmuje obywatela Rosasa, rodzaj wypudrowanego Brutusa w Robespierowskiéj kamizelce, jest dziwnie wymuszona i nie ochocza.

Ale obywatel Rosas zakrótki ma wzrok, żeby dopatrzył tych subtelności kobiecego serca. Obywatelka Julia wspaniałomyślnie wyparła się swego męża, więc zasługuje na miłość szczerego patryoty. Prokonsul gotów jéj nawet ofiarować swą ręką, rozwiązanie niecnych ślubów otrzyma łatwo; dość będzie jeżeli żona obwini męża o umiarkowanie, to powód dostateczny do rozwodu. Pobiorą się tedy, wszystko ułożone, rzecz tak dobrze jak skończona.

Podczas tych scen słuchacz z przykrością spogląda na tę piękną kobietę, któréj mowa ciągłe kłamstwo zadaje twarzy..... i mimowoli pyta siebie, czy podobna, żeby ta czysta forma była szyderstwem natury? czy podobna, żeby ta biała lilia mogła mieć czarną duszę zakochaną w tygrysie? Ale im daléj rozwija się sztuka, tém jaśniéj widać, że tak nie jest, tém wyraźniéj się pokazuje, że to oko kłamie, te usta oszukują, że tę niewiastę ożywia sztuczna siła wielkich postanowień. Nareszcie dowiadujesz się, że mąż, którego szukają chcąc go prowadzić na śmierć, siedzi ukryty w szafie owéj żony nienawidzącéj męża.

Prokonsul Rosas, który ma węch wyżła ilekroć chodzi o wytropienie ludzkiéj zwierzyny, nieprzypuszczając zdrady ze strony swéj obywatelki, prosi jéj jednak, żeby dla powszechnego dobra pozwoliła zrewidować swoje mieszkanie. Naleganie jego wzrasta w miarę wzrastania podejrzeń. Słudzy Julii, czyli les familiers, jak ich wtedy zwano, zauważali, że obywatelka ma zawielki apetyt na jednę osobę.

Julia długo się broni odpychając ze wzgardą krzywdzące podejrzenia, ale w końcu musi uledz strasznéj rewizyi. Obywatele w trójkolorowych szarfach, przetrząsnąwszy wszystkie kąty, zbliżają się do szafy. Tu zajęcie rośnie do najwyższego stopnia. Julia blada z piekłem w duszy, z zimnym potem na skroniach, oparta o krawędź krzesła, śmieje się konwulsyjnie... Podobna do żeńskiego Wallenroda sama przywodzi zgrai, która z zakrwawionym nożem w dłoni dobiera się do najdroższych sercu kryjówek. Przetrząsnęli wszystko, zdaje się, że już niebezpieczeństwo minęło, a wtém jeden z rewizorów woła, że szafa musi mieć dwa dna. Julia jakby piorunem rażona chwieje się... cała rozpacz wewnętrzna miga w przelotnéj błyskawicy jéj oka... Myślisz, że padnie... że się zdradzi... że już, już po wszystkiém... ale nie. Pismo mówi: miłość

silna jest jak śmierć. Nieszczęsna żona zbiéra resztę odwagi, wszystką hipokryzyą kobiecą miesza z kokieteryą, i przemawia tak szczerze, tak patryotycznie, tak wesoło, że obywatele wnet wstydząc się, iż mogli podejrzywać najbielszą perłę, a raczéj najczerwieńszy rubin republikańskiego dyademu, odchodzą uchylając przed nią czoła.

Po téj scenie, która jakby dzwon pneumatyczny odejmuje oddech widzom, następuje miłe wytchnienie. Mąż wychodzi z kryjówki, przyciska do piersi złamaną wysileniem żonę, i wnet oboje oddają się téj szalonéj radości, która zwykle ogarnia ludzi po wielkiém, minioném niebezpieczeństwie. Rozmowa przeplatana pocałunkami i śmiechem, brzmi jak świergotanie wypuszczonego z klatki ptaszka: jasne szczęście, co z poza ich łez wyziera, błyszczy jak promień słońca z poza kroplistego deszczu. Ale krótko trwa ta błoga chwila.

Słychać stukanie..... Julia chowa męża za firankę, a sama otwiera drzwi. Rewizya powraca, tą razą ze ślusarzem i stolarzem, gdyż są świadkowie, którzy widzieli hrabiego wchodzącego do mieszkania żony. Na szczęście szafa próżna. Z téj strony nie ma więc niebezpieczeństwa, ale przychodzą inne proby. Sędziwa matka męża przybywa, i rzucając się do nóg synowéj błaga ją, żeby swym wpływem wybawiła od śmierci kogoś z familii. Republikanie badawczy wzrok wlepiają w twarz ex-szlachcianki, chcąc się przekonać, czy rzeczywiście duszą do nich należy; jeżeli zblednie, jeżeli zadrży, jeżeli prosić będzie za arystokratą, pójdzie wraz z nim na rusztowanie. Nie zbladła, odrzuciła prośbę, ale niedość na tém; patryoci chcą jeszcze większych dowodów: porywają jéj dziécię i ciągną pod gilotynę; jeżeli się zaprze własnego dziecka, będzie godną córą ojczyzny.

Tu już nie wiedzieć coby się było stało, sytuacya wyciągnięta do ostatka, byłaby zapewne pękła jak nadto wyprężona struna, ale upadek Robespiera kładzie koniec męczarniom. Hrabia de Langeais wychodzi z szafy, i przez grzeczność ustępuje w niéj mieszkania na czas jakiś obywatelowi Rosas.

Francya utraciła w tym miesiącu jednego z najznakomitszych swych malarzy. Teodor Chasseriau, którego obrazy olejne i freski wykonane po tutejszych kościołach z prawdziwą miłością opisywaliśmy czytelnikom naszym, umarł mając niespełna lat 37.

Życie paryzkie, to życie w jakie wprzęgła ludzkość tegoczesna cywilizacya, jest tak zażartą walką, że człowiek ledwie ma czas obejrzéć się na tego, co obok niego pada, a ten co kona tak się czuje zmęczony, iż błogosławi prawie kulę co go bierze. Raz-wraz ktoś z walczących opuszcza szeregi i przyciskając dłonią ranę, mówi kolegom: to nic, pracujcie daléj; albo téż w milczeniu opuszcza plac bitwy i szuka kawałka muru, za którymby mógł skonać spokojnie. Nikt się nie skarży, bo pocóżby się skarżył, kiedy go nikt nie słucha. Ledwie wieko trumny zapadnie nad drogą ci głową, już musisz myśleć o czém inném, musisz iść na bal, gdzie cię powołuje konieczny interes, na teatr, żeby zobaczyć skoczków o których musisz pisać jutro, na nudny obiad od którego wymówić się nie mogłeś; musisz jeść nie mając apetytu, śmiać się kiedy ci się chce płakać: świat nieubłagany w swych wymogach nie zostawia ani chwili dla serca. Wiész, że masz chorego przyjaciela, że on tam cierpi... może cię widzieć pragnie: serce twoje wyrywa się do niego, ale sroga konieczność pcha cię w inną stronę: masz wysłuchać nowego dramatu, przeczytać książkę, dokończyć zaczęty artykuł, gipsową twarz posągu, obraz co ma rozstrzy-

gnąć twą przyszłość na wystawie. Jakże się dziwić artyście, malarzowi, że drogo ceni chwile, które mają mu się przemienić na wieki sławy, jak się dziwić biednemu fejletoniście, że nie przerwie fejletonu, który jest jego chlebem powszednim, ciepłem jego kominka, światłem jego lampy, częstokroć utrzymaniem całéj rodziny; jak się dziwić, że w takim zgiełku nie słychać westchnień cierpiącego, ani stękania chorych; jak się dziwić, że przy takim nawale robotników zdatnych, przy tak ogromnéj rywalizacyi każdy pracuje zajadle, wściekle, że nie ma czasu obejrzeć się na prawo ani na lewo, bo ta praca, to dla niego kwestya życia lub śmierci, bo jest jak pływak na wirze: jeżeli opuści ręce—utonie.

Mimo tak wielki i dający się usprawiedliwić indyferentyzm, śmierć Teodora Chassériau sprawiła tu pewne wrażenie. Należał on do tych, co się nie skarżą nawet najbliższym przyjaciołom: umarł więc prawie nagle dla ludzi, co go przed kilką dniami jeszcze widzieli z paletą w ręku przy rozpoczętym obrazie, przedstawiającym bitwę Gallów z Rzymianami, którą na wystawę przyszłą wykończał. Nagłe zniknienie wysoko cenionego artysty, obudziło żal powszechny. Wszystkie pisma stolicy zabrzmiały chórem pochwał jego i umieściły szczegółowe biografie zmarłego.

Teodor Chassériau urodził się w Samana, w Ameryce hiszpańskiéj, z ojca Francuza, i został przywieziony dzieckiem do Francyi. Rzecz godna uwagi, że chociaż tu się wychował i ukształcił, pędzel Teodora zdradzał zawsze tropikalne jego pochodzenie: każdy jego obraz, ciepłem i kolorytem przypomina naturę, na któréj po raz piérwszy spoczęły wejrzenia artysty.

Brat starszy i zarazem opiekun przyszłego malarza, chociaż widział żywy jego pociąg do rysunku, oddał go w Paryżu do Collège Bourbon, chcąc tym sposobem dowiedzieć się, czy owe artystyczne upodobanie jest tylko dziecinną zabawką, czy rzeczywistém powo-

łaniem. Ale wnet przekonawszy się, że brat usycha w zimnych objęciach nauki, umieścił go w pracowni Ingra, którego Teodor sam sobie obrał za mistrza.

W téj szkole młody uczeń szybkie czynił postępy. W krótkim czasie dorównał najbieglejszym kolegom, a mając lat 15 mógł już należeć do konkursu o piérwszą nagrodę rzymską. Ale zbytnia młodość nie dozwoliła mu tego zaszczytu. Ingres wyjeżdżając właśnie wtedy do Rzymu, zabrał z sobą ulubionego ucznia, i tam, w kolebce sztuki, daléj wrodzony talent młodzieńca rozwijał.

Wróciwszy z Rzymu Chassériau dał na wystawę 1836 roku najpiérwszy swój obraz, przedstawiający Przeklętego Kaima, i dwa wyborne portrety pp. Arago i Lacordair'a. Za te dzieła noszące jeszcze wyraźną cechę szkoły Ingra, siedmnastoletni artysta otrzymał medal złoty.

Niedługo jednak Chassériau w klassycznéj szkole swego mistrza pozostał. Poczuwszy, że ciasna ortodoxya w któréj Ingres uczniów swoich zamyka, prowadzi tylko do biegłego naśladowania Rafaela i szkoły greckiéj, zwrócił się w inną stronę. Uderzony oryginalnym, namiętnym i silnym pędzlem Eugeniusza Delacroix, puścił się jego romantyczną drogą, i odtąd już, jeżeli nie obok niego, to tuż za nim ku tymże samym dążył ideałom. Od téj epoki utwory jego zwróciły na siebie uwagę powszechną; potępiane przez jednych, wychwalane przez drugich, wywoływały żywe polemiki: co dowodzi, że musiały mieć wartość. Zuzanna w kąpieli, Andromeda na skale, Trojanki nad morzem, Chrystus w ogrodzie oliwnym, Kleopatra, Kobiety Konstantyńskie, Kaid, Safo rzucająca się w morze, Kobieta w kąpieli, Tepidarium, Obrona Gallów, były w miarę swego ukazywania się na świat, celem rozpraw najznakomitszych paryzkich krytyków.

W ostatnich kilku latach, Chassériau wezwany przez rząd, poświęcił się z zapałem upiększaniu kościołów paryzkich; wymalował najprzód al fresco kopułę kaplicy St-Merry, i kopułę kościoła świętego Rocha, gdzie na ogromnéj przestrzeni mógł rozwinąć całą płodność swéj bogatéj wyobraźni.

Następnie w kościele Saint-Philippe-du Roule wymalował w półkolistym kształcie ogromny fresk, przedstawiający Ukrzyżowanie Chrystusa na Golgocie. Przepyszna ta kompozycya o któréj w swoim czasie mówiliśmy obszernie, jest ostatnim obrazem muralnym Teodora Chasseriau. Ten fresk i wielkie płótno olejne, które malował jednocześnie chcąc go wykończyć na przyszłoroczną wystawę, są powodem śmierci artysty. W obec tak ogromnéj pracy, trawiony nieustannie twórczą gorączką, niemogąc już dać jednéj chwili wytchnienia ciału dręczonemu bez przerwy zbytniém natężeniem wyobraźni, stracił równowagę: materya wymówiła posłuszeństwo duchowi, a duch potrzaskał formę. Przedsięwzięcie było nad siły jednego człowieka.

Oto odpowiedź na pytanie, czemu śmierć pomija tysiące idiotów i kaleków, a uderza ludzi zapału, ludzi silnych, wyższych dążeniem i umysłem; czemu dozwala stękać bez końca słabym i niedołężnym, a zabiera najgorliwszych wykonawców wielkiéj myśli, która miała być ozdobą lub pożytkiem świata.

Pod opieką królowéj Wiktoryi i księcia Alberta, przygotowuje się w Anglii nowego rodzaju wystawa, która zostanie otwartą w Manchester z początkiem przyszłego roku. Jeżeli skutek odpowié obietnicom programu, będzie to rzecz nadzwyczaj ciekawa i zajmująca. Zamiarem królowéj jest wystawić na widok publiczny wszystkie dzieła sztuki jakie posiada Anglia, która od trzech wieków szperając nieustannie w pom-

nikach całéj kuli ziemskiéj, zwiozła do swych pałaców najdroższe i najrzadsze arcydzieła mistrzów. Bogactwa zamknięte w muzeach Wielkiéj Brytanii nie są niczém w porównaniu ze skarbami, jakie się kryją w lordowskich pałacach i prywatnych galeryach, których pełno w Londynie i jego okolicy. Otóż wystawa w Manchester składać się ma z samych tych wybornych utworów, które Anglicy w długich połach swych surdutów wynieśli z Grecyi, Włoch, Hiszpanii, jak niemniéj z innych części globu, i zagrzebali w ojczystych zamtuzach. W Manchester świat będzie mógł podziwiać wszystkie te rzadkie malowidła, subtelne wyroby sztukmistrzów średniowiecznych, które podróżny wtedy tylko mógł widzieć, jeżeli przybył do Anglii opatrzony w wysokie rekomendacye. Gotująca się wystawa nie będzie więc czém inném tylko najpyszniejszém i najdroższém muzeum, na które składał się od wieków geniusz artystyczny.

Królowa Wiktorya chcąc dać dobry przykład, przyrzekła posłać na wystawę najprzedniejsze obrazy z galeryi Windsorskiéj. Lod Ellesmere prezes komitetu organizującego, wystawi również sławną galeryą Bridgewater; margrabia Salisbury, hrabia d'Essex, i stu innych magnatów obiecało także wystawić swoje skarby. Dział malarski będzie podobno najciekawszy z powodu wielkiéj liczby portretów historycznych, malowanych przez sławnych mistrzów.

Prócz galeryi obrazów i rzeźby, wystawa o któréj mowa, mieścić będzie dzieła snycerskie z drzewa i kości słoniowéj, klejnoty, emalie, mozajki, makaty i porcelanę. Na wystawię powszechnéj w Londynie i Paryżu można się było zapewne wiele nauczyć, powziąć wyobrażenie dokładne o twórczości naszéj epoki, ale ani jedna, ani druga nie może się równać z wystawą, którą oglądać będziemy w Manchester. Dwie wystawy powszechne zgromadziły wszystko co świat produkuje

w chwili obecnéj, pokazały nam płody znane mniéj więcéj każdemu, bo w powszechném użyciu będące: nowa wystawa angielska pokaże nam arcydzieła przeszłości, nauczy, na jakim stopniu stały w wiekach średnich i późniejszych rozmaite wyższe gałęzie przemysłu, jak naprzykład szklarstwo, złotnictwo, kolorowanie rękopisów, piérwsze proby sztychu na drzewie, słowem cały kunszt zbytkowny. Sam katalog wystawy 1857 roku już będzie bardzo ciekawym dokumentem.

Anglia, która się przed żadném wielkiém przedsięwzięciem nie cofa, zajęła się tą wystawą po swojemu, tojest gorliwie i szczodrze. W końcu zeszłego miesiąca zebrane podpisy przechodziły cztery miliony złp. teraz już zapewne ta summa musiała się podwoić.

Zważywszy, że naród ten dopiéro co ukończył kosztowną wojnę, nie można nie być zdumionym kolosalną jego potęgą. Nie dalej jak w sąsiedniéj Francyi, która ma tak wielką pretensyą do artystyczności, niktby nie zebrał stu tysięcy franków na urządzenie wystawy historycznych osobliwości i dzieł sztuki; na jakąś choćby fikcyjną antrepryzę, co ma dać środki używania, to co innego: kapitałyby się znalazły. Anglia przeciwnie: całą swą miłość niesie w ofierze krajowi i składa ją na ołtarzu narodowych pamiątek, cały zapał zwraca ku zabytkom przeszłości i dziełom sztuki, dniowi dzisiejszemu daje tylko rozumną i wytrwałą pracę. Tym sposobem wszystko się układa do równowagi, a moralna i materyalna potęga Wielkiéj Brytanii na granitowego olbrzyma urasta. Obok materyalnego kierunku Anglii, obok ciągłego rozwijania się jéj przemysłu, którym przodkuje światu, muzea angielskie bogacą się codziennie tak rządowemi nabytki, jako też niespodzianemi ofiarami obywateli. Zmarły niedawno bogacz William Temple, całą swoję drogocenną kollekcyą starożytności zbieraną przez długie lata w Neapolu, przekazał dla

Bristish Museum, które ją dopełni świeżemi wykopami zakupionemi przez rząd w Pompei i Herkulanum.

Z powodu artykułu pana Bonneau, w którym tenże dowodzi wymownie szkodliwości chowania w ziemi ciał ludzkich i radzi przywrócenie ciało-palenia, mówiono tu i pisano wiele w ostatnich czasach o téj kwestyi. Nietylko podjęto skwapliwie wszystkie argumenta jakimi autor artykułu myśl swoję popierał, ale wyszukiwano i podawano mnóstwo nowych faktów przemawiających za poetycznym obyczajem starożytnych pogrzebów, a potępiających nowoczesne cmentarze. Jedna mianowicie okoliczność wykryta przy téj okazyi, dała wiele do myślenia, nawet najprozaiczniejszym. Dowiedzieliśmy się, że wszystkie kanały podziemne z paryzkich cmentarzów ściekają do Sekwany, któréj woda, jak wiadomo, służy za napój mieszkańcom stolicy. Koniec końców, z téj i rozmaitych innych pobudek opinia powszechna zgodziła się na to, że zwyczaj grzebania ciał jest barbarzyński, szkaradny, szkodliwy, i że ludzkość powinna zaprotestować przeciw niemu koniecznie.

Jeden z pisarzy przemawiających za ciało-paleniem, podaje ciekawy opis starożytnego cmentarza, tak zwanego Columbarium, który niedawno odkrył pod swoją winnicą pewien szynkarz rzymski imieniem Pietro. Są to rozległe podziemia oświecone z góry, i podzielone na pokoje, mające w ścianach nisze na dwie stopy wysokie. W tych niszach stoją dodziśdnia urny napełnione białawym popiołem i ułamkami niedopalonych kości. Komnaty te podziemne oświecone u sufitu zawieszonemi lampami, zdobne w piękne urny, wyrobione z gliny, marmuru, lub drogich metalów wykwintnie żłobionych, napełnione statuami, popiersiami, łzawicami, i t. d. stanowią prześliczną, pełną uroku i ta-

jemnicy galeryą. Napisy doskonale zachowane, wskazują imiona nieboszczyków; przy bogatych urnach bywają rzadkiéj piękności płaskorzeźby, przedstawiające jakąś scenę z życia zmarłego. Znajdujące się tam popiersie dziewczyny naturalnéj wielkości ma być arcydziełem sztuki rzeźbiarskiéj.

Między innemi jest tam także jeden dziwny pomnik z białego marmuru wyrobiony w formie ula, i podzielony na maleńkie komórki; każda z tych komórek przykryta szczelnie, mieści popioły innego człowieka. Jestto mauzoleum jednéj szkoły śpiewu, która związana w tém życiu harmonijnym węzłem, i po śmierci rozłączyć się z sobą nie chciała.

Każdy grób patrycyusza mieści także popioły niewolników, które w czarnych urnach stoją obok złocistéj urny pana. Na sklepieniach framug malowane są al fresco kwiaty, ptaki i motyle; sufity osłaniają niemniéj przyjemne oku malowidła lub płaskorzeźby, które odpychają wszelkie uczucie wstrętu i zgrozy, ogarniające człowieka mimowolnie pośród trumien, objętością i kształtem przywodzących nieustannie na myśl fatalny obraz materyalnéj destrukcyi.

Jakże różne od powyższego opisu starożytnego cmentarza, który nienaruszony w swéj estetycznéj piękności przetrwał wieki, są dzieje naszych cmentarzy, mianowicie cmentarzy po wielkich miastach, gdzie trzy czwarte nieboszczyków bywa wyrzucanych po kilku latach bez względu czy czas już dokonał, czy jeszcze nie dokonał na nich dzieła zniszczenia; gdzie bogate szaty zmarłego są pokusą dla złodziei i powodem profanacyi szanownych zwłok; gdzie zbiegają się jakby na bankiet najobrzydliwsze gady i żarłoczne zwierzęta i wyrywają sobie ledwie ostygłe szczątki człowieka.

Zaprawdę, każdy kto utracił kogoś drogiego, czuje jakiś wstręt nieprzełamany do tych grobowców, które materyalizują pojęcie śmierci, które poniżają i ka-

lają obraz wyryty w pamięci. Człowiek musi zniknąć, ale nie powinien zgnić; nie powinien stać się ani śmiesznie ustrojoną mumią, ani warstwą grzybów, które na kryjącéj go ziemi wyrosną: najwłaściwiéj będzie jeżeli się w popiół obróci. Gdyby po spaloném ciele nawet garsteczki popiołu nie zostało, jeszcze byłoby lepiéj, bo rola ciała skończona w chwili, kiedy swą rolę rozpoczyna dusza. Ażeby dobrze się przejąć myślą nieśmiertelności, człowiek nie powinien nawet wiedzieć, jakie skutki wywiera zgnilizna na piękną formę; a jeżeli wié, powinien zniszczyć ją czémprędzéj jak szatę, w któréj widywał przyjaciela, a którą wolimy spalić jak widzieć walającą się w błocie.

Rozważywszy to wszystko rozsądnie, trudno nie podzielać ogólnego pragnienia powrotu do starożytnego obrzędu palenia ciał, które nie wiedzieć zkąd jest teraz na porządku dziennym w Paryżu; trudno nie życzyć sobie zastąpienia szkaradnéj trumny, czystą i piękną urną, a Père-la-Chaise podziemném Columbarium. W Columbarium nie ma zepsucia, więc i śmierć niestraszna. Zmarli, których całunem był czysty płomień, stoją przed oczyma duszy naszéj, nie utraciwszy nic z pięknéj swéj formy. Z trumnami i katafalkami znikną straszne wizye pośmiertne, wszystkie te średniowieczne wymysły, które w zabobonnéj wyobraźni ludu przechowały się tak czarne i okropne. Zamiast potwornego tańca skieletów, processyi upiorów bez głowy i strzygów fatalnych, które zawsze z jakimś ziemskim interesem przychodziły do wystraszonych ludzi, przybędą drogie cienie w formie, w jakiéj były kochane, lub poważne mary, które jawią się nie na to, żeby pomieszać zmysły przyjacielowi, ale na to, żeby go ukoić w obecném strapieniu, albo zbawienną przestrogą uchronić od przyszłych nieszczęść.

— Ma wyjść temi dniami nowa praca Michelet pod tytułem: La Ligue et Henri IV; książka ta mieści wiele nader ważnych, a nieogłoszonych dotąd drukiem dokumentów historycznych.

— Ludwik Veuillot redaktor l'Universa wydał: Mélanges litteraires, politiques et religieux. Nowe to dzieło autor dedykował swemu bratu Eugieniuszowi Veuillot, należącemu także do redakcyi dziennika katolickiego. Dedykacya, którą znajdujemy na piérwszéj karcie, brzmi jak następuje:

„Mój bracie! ofiaruję ci tę książkę w dowód szacunku i wdzięczności. Przez miłość braterską chciałeś towarzyszyć mi w karyerze, w któréj wyczerpie się pociemku płodność twego umysłu i energia twéj woli. Będziesz pracował bez sławy, będziesz zawsze ubogi, a mimo to nie unikniesz gorzkich sądów, które świat wydaje przeciwko każdemu, kto go nie chce psuć i exploatować: ale będziesz służył kościołowi, a nawet moje serce nie może ci życzyć większego szczęścia i większéj chwały."

— O Historyi dwóch Restauracyj pana Vaulabelle, któréj trzecia edycya wyszła w tych dniach, uczynimy obszerniejszą wzmiankę w przyszłém sprawozdaniu.

POWITANIE (*).

PRZEZ

Włodzimierza Wolskiego.

Witam cię stara, garbata (1) ziemio
Słowem, co cieszy i co się żali!
Jak w twojém łonie samotnie drzémią
Nieme pokłady lśniących metali,
Póki dłoń ludzka ich nie wygrzebie;
Jak zdala tęsknią na twojém niebie
Śnieżystych Tatrów odwieczne szczyty:
Tak drzémie myśli zwój różnolity
Choć przędzie w duszy siatkę pajęczą;
Tak obwiązane ułud nałęczą
Tęsknią marzenia—i nikną w chwili
Błędnym ognikiem, rojem motyli,
Liściem jesiennym, co z lip oblata.

Witam cię, witam—ziemio garbata!
Jak ląd zbłąkani na morskiéj toni.
Śród twych skał szarych, przy świerków szmerze,
Pod krzyżem, co się z starości kłoni
W samotni jodeł—serce zagrało:
Myśli wdziewają zbrojne puklerze,
Marzenia wieją chorągwią białą.
I w myśli wierzę, w marzenia wierzę,
Jak w tchnienie ranku, co mnie tak szczerze
Dziką i czystą wonią obwiało.

Nademną tęsknią gruzy zamczyska,
Posępne zdala, wymowne zbliska.
Stojąc od wieków na skał załamie,
Przywdziały szare, skalne odzieże.
Ale jak żołnierz z pobojowiska
Jeszcze podnosi skrwawione ramie:
Wzniosły ku górze samotną wieżę,
Gdzie stara cegła, krwawym kolorem
Ponad bukowym czerwieni borem.

(*) Wstęp do poematu, pod napisem: *Połośka.*

(1) Lud w Krakowskiém nazywa w wielu miejscach górzyste strony swoje garbatą ziemią.

Biblioteka Sejmu Śląskiego

Nad bramą tarcze pod mchu obsłoną,
Herby pod startą widać koroną,
Nad niemi kolce jedliny krzaku.
Wszakto na rdzawym nieraz czyszaku,
Choć trzechwiekowa trumna odbita,
Jeszcze się chwieje rycerska kita.

Bluszcz, chwast i paproć w rozliczne wianki
Pełza po murach, wieńczy krużganki;
A choć tam pustka milczy żałobą,
Zda się szablice brzęczą za tobą
I most zwodzony opada z trzaskiem.
Stu podków brzękiem tętni podworzec,
Szeleszczą skrzydła, wieje proporzec.
Tak było ongi z butą i wrzaskiem,
I słońce drgało tym samym blaskiem,
Co teraz jakby ciekawie ciska
Na dumną ciszę tego zwaliska.
O! nie chorągiew białą, lecz chmurną
Utkwić mi tutaj pośród kamieni!

Lecz tam na dole, tak się zieleni
Wkoło rzeczułki. Nad chatą kurną
Dymek ku górze raźno pomyka,
Jak na czapeczce pawie pióreczko,
Jak ćwieczki, kółka lśnią u pasika,
W szybkach okienek błyska słoneczko.
Strzecha słomiana jak kierezyja,
Niby krzemiężne bary obwija;
Tam zda się kosy utkwione w ziemie
Brzoza gałęźmi kiwa białemi.
Dziewuszka z dzbankiem z chaty wypada,
Biała chusteczka spływa jéj z głowy:
Czyto rzeczułka z kamieńmi gada,
Czy sobie szemrzą liście dąbrowy,
Czy płoną czyste do mnie ku górze
Krakowskiéj piosnki dźwięki wieśniacze?

O! jakże z całéj piersi im wtórzę,
Jak czuję radość, która w nich płacze;
Jak rzewność czerpię w błogiém weselu!
Wtém—gdzie w oddali mgły błękit cienią,
Zwolna spostrzegam wieże Wawelu:
I jak ta piosnka witam cię, ziemio!
Radością w smutku, łzami w weselu.

D. 15 września 1856 r.

EWANGELINA.

POWIEŚĆ

H. LONGFELLOWA Z DZIEJÓW ANGLO-AMERYKAŃSKICH.

PRZEŁOŻYŁ

Felix Jezierski.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Patrz! oto bór wiekuisty: sosny i świerki szumiące,
Mchem brodate, w zielonych oponach, mgłą przypruszone
Stoją nakształt druidów przeszłości z posępném proroctwem;
Stoją nakształt zastępów gęślarzy z brodami na piersiach.
Głośno z dna jaskiń skalistych przywarł do brzegu ocean,
Grzmi i ponurym odzewem wtoruje szemraniu gęstwiny.
Patrz, oto bór wiekuisty; lecz gdzież owe serca, co niegdyś
Drgały w téj głębi, jak łań, gdy usłyszy trąbę myśliwską?
Gdzież owe sioła pod strzechą słomianą, Akadyan osady?
Męże, których życie płynęło, jak leśne strumienie
Cieniem ziemi zakryte, na dnie piastując twarz nieba?
Puste dziś leżą osady, bez mężów na zawsze, na zawsze!
Oto rozwiani jak prochy i liście, gdy wicher jesienny
W wir je pochwyci i skręci, na dno oceanu zagrzebie.
Tylko nad Grandpre ruchliwém w dni owe, wzlatuje podanie.
Wy! co wierzycie w miłość cierpiącą z nadzieją i wiarą,
Wy! co wierzycie w piękność i moc poświęcenia kobiéty,
Dla was to smutne podanie: dziś jeszcze powtarza je echo
Buków i sosen miłosnéj Akadyi, téj szczęścia krainy.

I.

W pięknéj krainie Akadyi, na brzegach kotliny Minasu,
W ciszy odległéj, samotnéj, Grandpre osada nieznana

Żyzną zaległa dolinę. Tam smugi obszerne od wschodu
Miano nadały osadzie, a trzodom bez liczby pastwisko.
Ręką mozolną wieśniaków sypane brzegowe okopy,
Morze trzymały na wodzy; lecz latem zerwane drzwi morza,
Z hukiem wzywały bałwany do wędrówki po łąkach.
Na południe i zachód powiewne konopie i łany
Szły w bezmiarach bez straży i zagród, a daléj z północy
Blombidon stał i odwieczne bory, a w górze na górach
Mgły rozstawiały namioty i z Atlantyku możnego
W błogą patrzały nizinę, lecz nigdy z swych posad nie schodząc.
Tu wśród rozległych swych siół akadyjska ciągnęła się wioska;
Silne tu stały jéj domy oparte na zrębach z kasztanu i dębu
Jak muskularne Normandów zagrody za króla Henryka.
Kryła je strzecha słomiana z dymnikiem, a dachy obwisłe
Nizko na poziom broniły i cieniem przysionek słoniły;
Tu przed spokojnym letnim wieczorem, gdy słońce zachodnie
Blakło po drogach i chorągiewkę na dachu złociło,
Matki z córkami siedziały w śnieżném nagłowiu i sukni
Białych, szkarłatnych i sinych, z kądzielą, i przędły len złoty
Na kołowrotki gwarliwe; wrzeciona swój taniec szalony
Z kół łoskotem mieszały i śpiewem serdecznym dziewcząteк.
Jest tam i kapłan wiejski, na ludnéj ulicy, a dzieci
Gry odbiegają, by rękę czcigodną plebana uścisnąć.
Szedł pośród nich uroczyście: powstają matki, dziewice,
Słowa serdeczne sługi ołtarza przybycie zwiastują.
Z pola wrócili mężowie, pogodnie usuwa się słońce,
By téż spocząć, i mrok już napływał; z dzwonnicy na wieczór
Anioł Pański uderzył powolnie, wnet z dachów nad siołem
Dymu powstały kolumny, jak w niebo wiejące kadzidło;
Dymu bladego z tych ognisk, gdzie szczęście kojarzy się z ciszą.
Tak mieszkali pospołu spokojni rolnicy Akadyi
W bożéj i ludzkiéj miłości mieszkali: ich tchu nie cisnęło
Ciężkie ramię potęgi, namiętna prawica bezrządu;
Rygiel nie skrzypiał w podwojach, i straży nie było na łąkach;
Domy stały otwarte jak dzień i serce mieszkańców.
Bogacz był tu ubogim, ubogi zażywał dostatku.
Nie opodal od wioski nad spadkiem kotliny Minasu
Najbogatszy w osadzie Grandprejskiéj Benedykt Belfonten
Żył wśród staj chlebodajnych; przy starcu, nad domem sterując
Ewangelina szlachetna, Ewangelina wzrastała.
Męzką, poważną postawę miał starzec i nie zmogły go lata:
Dzielny, dzielnyto dąb był pokryty szronem śniegowym,
Włos téż miał szronem spruszony, twarz ciemną jak listki na dębie.
Piękną była dziewica, jéj życie już w kwiat się wiązało:
Oko jéj ciemne jak ziarnko na tarni rosnące przy drodze,
Ciemne, lecz jasno świeciło pod cieniem brunatnych jéj splotów;
Tchnienie wiało słodyczą, jak tchnienie konwalii na łące,

Jeśli wśród skwaru letniego dźwigała żniwiarzom w południe
Napój trzeźwiący na pole. O! piękną była w południe,
Lecz piękniejszą, gdy w ranek niedzielny przy dzwonów odgłosie
Świętym dźwiękiem, dzwoniących, gdy kapłan lud skropił hizopem,
Błogosławieństwo udzielił ludowi; gdy Ewangelina
Biegła po długiéj ulicy z różańcem, szkaplerzem i księgą
W szacie błękitnéj, normandzkiém nagłowiu i kolczykach ze złotą,
Przywiezionych z Normandyi, a potém jak spadek rodowy
Z matki na córkę idących rozległym szeregiem pokoleń.
Lecz już nie naszato piękność, bo piękność eteru i nieba
Opromieniała jéj skronie, gdy wstawszy od stołu Pańskiego
W progi domowe wracała, unosząc zadatek zbawienia.
Po jéj odejściu, rzekłbyś, że wdzięczna ustała muzyka.
Silnie utkwiony w posadach dębowych, dom osadnika
Stał na urwisku wzgórza, co w morze patrzyło, nad drzwi
Rosł cieniodajny jawór, wplątany w girlandy powoju,
W ganku pod grubém rzeźbieniem z dwóch boków przysepki, a ścieżka
Z ganku wbiegając pod las winorośli, gubiła się w łące.
W cieniu sykamór ule stały nakryte daszkami,
Jakie podróżny w odległych tam ziemiach spotyka przy drodze,
Gdzie pod obrazem Maryi, żebrak znachodzi jałmużnę;
Niżéj na wzgórzu pochyłku studnia i pleśnią zarosłe
Wiadro z żelaznem okuciem, tuż niżéj koryto dla koni.
W dali na czatach od burzy spichrze się ciągną, przed niemi
Wozy z dużemi kołami i pług starożytny i brony,
Obok słychać gwarliwą gromadę owiec; na lewo
Indyk kroczy wielmożnie i kogut piejący tym samym
Głosem, co w wiekach odległych rozrzewnił tak Piotra świętego;
Siana pełne stodoły, stały jak wioska. Nad każdą
Strzecha słomiana szeroko leżała na krokwiach, i schody
Lekkim dachem nakryte, na wonny spichrz prowadziły.
Był i poczciwy gołębnik z potulnym nieswarnym mieszkańcem,
Co o miłości mruczy bez końca; a w górze nie jeden
Kogut blaszany za wiatrem, to skrzypi, to śpiéwa o zmianie.
Tak w pokoju z Bogiem i światem grandprejski osadnik
Żył w zaciszu; Ewangelina podporą mu była.
Ileżto razy młodzieniec w klęczącą w kościele z różańcem
Ewangelinę wzrok utkwił, jak w obraz świętego patrona:
Już był szczęśliwy, gdy dotknął jéj ręki lub krajów jéj szaty.
Jeśli go serce ku drzwiom jéj przywiodło pod mroku osłoną,
Jeśli zapukał, czekając by słyszeć jéj ciche stąpanie:
Nie wiedział, nie wiedział, czy ryglato łoskot, czy sercato bicie.
Albo na święcie wesołém patrona téj wioski, jak dumny
Jeśli uścisnął jéj rękę wśród tańca i szczęściem zmieszany
Słowa miłości wymówił, co zdały się zlewać z muzyką.
Lecz zpośród gości bez liku Gabryel tylko był miłym,

Gabryel syn nieodrodny kowala zacnego Bazyla:
Ten był zamożny na całą osadę, od wszystkich wielbiony,
Gdyż od początku wieków, przez wszystkie narody i czasy
Młot i kowadło na zawsze będą w czci między ludem.
Bazyl kochał sąsiada: ich dzieci od chwil niemowlęctwa
Razem wzrastały jak siostra z swym bratem, i ojciec Felicyan
Kapłan osady i dziatek przewodnik, nauczał ich głosek
Z jednéj książeczki, gdzie były hymny i pieśni ludowe.
Gdy już hymn odśpiewano i dzienna ustała nauka,
Biegli oboje rączo do kuźni dobrego Bazyla.
W progu stawali, patrząc z podziwem, gdy ojciec młodzieńca
W połę skórzaną brał końskie kopyto jak dziecię zabawkę,
Gwoździem przybijał podkowę; tuż przy nim koło wozowe
Nakształt węża leżało skręcone, na węglach zgaszonych
Nieraz jesiennym wieczorem, gdy z drogi wśród gęstéj pomroki
Kuźnia w płomieniu stojącą się zdała, przez ściany szczelinę
Żarem owiani, śledzili za miechem ziejącym na głownie.
W końcu, gdy wianie ustało, gdy iskry gasnęły w popiele
Śmieli się rzeźwo, mówiąc, że mnichy to idą do chóru.
Nieraz na saniach wśród zimy, rączy jak skrzydła sokoła,
Nizem zbiegłszy za domy, po białéj ślizgali się łące.
Nieraz po węgłach śpichlerza do gniazda ptasząt zajrzeli
Jeśli tam nie ma owego dziwo-głazu z nad morza,
Który przynosi jaskółka dla piskląt, by wzroku dostały.
O! jak szczęśliwym był ten, co wsławiony dziwogłaz nadybał!
Tak prześliznęły się lata i dzieci nie były już dziećmi:
On był dzielnym młodzieńcem, twarz jego, jak twarz porankowa
Ziemię swym blaskiem cieszyła, a myśl już dojrzała do czynu.
Ona już była dziewicą, z sercem i wiarą dziewicy.
Zwano ją światłem świętéj Eulali, bo dzień tego święta
Miał, podług wiary mieszkańców, ich niwy napełnić owocem.
Ona też miała dostatkiem i szczęściem dom męża napełnić,
Miłość sprowadzić do chaty i uśmiech na usta swych dziatek.

II.

Otóż i pora ta wraca, gdy nocy zimniejsze i długie:
Słońce, zwalniając już kroku, pod znamię Raka przechodzi.
Ptaki odlotne żeglują po szklaném powietrzu z północy,
Zimną rzucają zatokę i płyną ku wyspom zwrotnika.
Plony zebrano już z pola i dziko z wiatrami jesieni
Las się mocuje, jak niegdyś syn Izaaka z anioły.
Wszystko już blizką zwiastuje zimę surową, bez końca:
Pszczoły na głos proroczego przeczucia, gromadzą zapasy,
Ule do pełna sklepiają; indyjski myśliwy okropną
Zimę wywróżył z gęstego pokrycia na biodrach niedźwiedzia.
Tak żółta jesień witała, za nią ta pora prześliczna,
Którą czcigodny Akadyan latem Wszech Świętych nazywa.

Senne, magiczne światło pływało w powietrzu; krajobraz
Leżał jakby nowo-stworzony we wszej świéżości dzieciństwa;
Pokój panował na ziemi i morza serce burzliwe
Było spokojne na chwilę; żywioły drzémały w harmonii.
Krzyki swawolnych dzieci, pianie koguta po siołach,
Wianie skrzydłami w marzącém powietrzu, gołąbka gruchanie,
Wszystko ucichło, jak miłość: a wielkie słońce nad światem
Okiem opatrznem wzierało dokoła przez mgły szaro-złote;
W tém przyodziane szkarłatem, to w bieli lub żółtéj oponie
Rosy, blaskiem spruszone drzewo wśród lasów dziewiczych
Lśniło perskim platanom podobne w rubinach i perłach.
Oto powraca już pora spoczynku, miłości i ciszy:
Dzień się usunął z upałem i trudem, pomroka za słońcem
Gwiazdę wieczorną prowadzi na niebo, a trzody pod strzechę
Idą tratując murawę i z szyją opartą na szyi
Idą i w nozdrza otwarte świeżość wieczorną wciągają.
W przedzie z dwonkiem drgającym krówka Ewangeliny
Dumna ze sierci śniegowéj, wstęgi wiejącéj na szyi,
Kroczy niedbale i wolno, ufna przyjaźni człowieka.
Wraca pastuszek za stadem ryczącém z nadbrzegu morskiego,
Paszę tam suto rozdano; w końcu cierpliwy, poważny
Pies, stróż gromady, zmęczony, a silny potęgą instynktu
Z lewa na prawo wielmożnie przechodzi, chłód paszczą połyka,
Gęstym ogonem wywija, ospałych popędza za tłumem:
Rej on prowadził nad trzodą, gdy pasterz się zdrzémał, a nocą
Bronił, gdy wilki zawyły po lesie wśród strasznéj zaciszy.
Wozy wróciły niedawno o wschodzie księżyca z nad bagien,
Słoném sianem ładowne, i woń rozlewają w powietrzu.
Konie wesołe rżały, zroszone na grzywie i szyi
Ciężkie drewniane siodło sterczało na grzbiecie rumaków
W świetną barwę ozdobne, z wiszącą malowną żołędzią;
Krowy potulnie stoją przy żłobach, czekając na rękę
Dobréj mléczarki; tymczasem głośno i spadkiem nierównym
W wiadra dźwięczące u studni strumienie staczają się z pianą.
Bydła ryczenie i śmiechu odgłosy słychać w osadzie,
Echo o śpichrz je rozbija. Naraz zapadło milczenie:
Ciężko zawarły się z piskiem chrapliwym rygle w stodołach.
Kraty drewniane skrzypnęły i wszystko ucichło do czasu.

W krześle przy białéj czeluści komina bezczynny osadnik
Siedział i śledził oczyma, jak z dymu kłębami płomienie
Bój staczały, jak wrogi w spalonem mieście; tuż za nim
Snując się, wijąc po ścianach z ruchami fantastycznemi
Pląsał cień jego olbrzymi i niknął w gęstwinie pomroku.
Twarze niezgrabno rzeźbione na dębie w ramieniu poręczy
Śmiechem igrały pod blaskiem, gdy misy cynowe na stole
Płomień odbity chwytały, jak tarcza promienie słoneczne.

Piosnek ułamki śpiéwał staruszek i dawne kolendy,
Które w ojczyznie niegdyś ojcowie przed nim śpiéwali,
W dobréj Normandyi ogrodach i świetnych winnicach Burgundyi;
Tuż przy ojcu szlachetna Ewangelina siedziała.
Len na krosienka przędła, co w rogu stały poza nią.
Czasem podnóżek ucichł, spoczęło jéj pilne czółenko,
Gdy jednostajny brzęk koła, podobny do brzęku na gęśli,
Pieśniom starca wtorował, przerwane ułamki jednocząc.
Jak na kościele, gdy śpiéwy chóru na chwile ustaną
Słychać ruch stóp na posadzce i słowa kapłana w ołtarzu:
Tak w każdym pieśni przestanku, tętno zegara tu słychać.
Siedzą oboje, wtém słychać stąpanie, i nagle wzniesiona
Klamka drewniana zadrżała, i drzwi na zawiasach skrzypnęły.
Z gwoździ łoskotu pod stopą poznał Benedykt Bazyla,
Z bicia w swém sercu poznała córka, kto idzie z Bazylim.
— Witaj!—wykrzyknął osadnik, gdy stopy ich w progu stanęły;
— Witaj, nasz luby Bazyli, wejdź i tu zasiądź na krześle
Blizko komina w téj stronie, co zawsze pusta bez ciebie;
Weźmij tę fajkę za stołem, z pełnego pudełka tytoniu.
Nigdy nie jesteś tak sobą, jak kiedy wśród dymu obłoków
Z fajki lub kuźni, wesoła, uczciwa, twarz twoja przeświéca
Okrągło rumiano jak księżyc sierpniowy przez mgłę nad bagnami.—
Na to z uśmiechem radości, odrzeknął mu kowal Bazyli,
Podług zwyczaju rozkosznie zasiadłszy przy wrzącym kominie:
— O! Benedykcie Belfonten, ty zawsze masz żart i balladę.
Zawsze ty jesteś wesół i hoży, gdy innych duszę skłóconą
Czucia nękają złowieszcze i przepaść przed okiem ich stoi.
Zawsześ szczęśliwy, jak gdybyś codziennie znajdował podkowę.—
Chwilę spocząwszy, gdy fajkę podała mu Ewangelina
Z węglem, udartym od głowni, tak daléj mówił przychodzień:
— Cztéry już dni upływają, jak statki angielskie z kotwicą
Stoją w zatoce Gaspero, z działami na brzeg zwróconemi.
Jaki ich cel, niewiadomo; lecz wszystkim dano zlecenie
Jutro w kościele się zebrać, gdzie rozkaz króla naszego
Ma być wszem w obec czytany: tymczasem niestety!
Mnogie przeczucia, mnogie nękają serce mieszkańców—
Na to mu odrzekł Benedykt:— Może życzliwe zamiary
Statki ich ku nam prowadzą; może zasiewy w Brytanii
Dészczem niewczesnym lub żarem słonecznym dotknięte upadły.
Może do naszych brogów przychodzą po ziarno pożywne.—
— Nie tak lud myśli w osadzie, rzekł żywo stroskany Bazyli,
Głową potrząsnął, na znak, że nie wierzy, i mówił wzdychając:
— Louisbourg jeszcze pamiętny i Beau Sejour i Port Royal.
Wielu już zbiegło do lasu i tam czatują w granicy,
Z sercem ściśnionem od trwogi czekają, co jutro przyniesie.
Bronie odjęto i wszelki oręż wydarty z prawicy,
Nic nie zostało prócz młotów kowalskich i kosy żniwiarza.
Pewniéj nam żyć tu bez bronnic wśród naszych stad i zasiewów;

Pewniéj wśród wałów spokojnych, oblężonych od morza,
Pewniéj niż w twierdzach pradziadom oblężonym działami.
Bracie! bądź wolen od trwogi, niech żaden cień smutku téj nocy
Mego nie dotknie ogniska: to bowiem jest noc narzeczenia.
Stoją domy i brogi. Dzielni mieszkańcy osady
Silną stawiali je ręką, i prując skiby dokoła
W brogi skupili siano i chléb na dwanaście miesięcy.
René le Blanc tu przybędzie z papierem i piórem gotowém.
Czemuż się dzieci naszych radością radować nie mamy?"
Stojąc w uboczu przy oknie, z dłonią w dłoni młodzieńca,
Słucha słów ojca, oblana rumieńcem Ewangelina.
Ledwie rzeczono te słowa, czcigodny notaryusz w dzrzwiach stanął.

III.

Zgięta, jak wiosło strudzone, co z morza falami się targa,
Zgięta, lecz nie złamana latami postawa staruszka,
Złoty włos, jak jedwabny włos kukurudzy w ramiona
Spadał; pod czołem wysokiém, szkła z łukiem rogowym na nosie
Wiszą z powagą, nadając obliczom blask górnéj mądrości.
Ojcem dwudziestu był dziatek, a więcéj niż sto jego małych
Wnuków igrało przy starcu, słuchając jak tętni ekscytarz.
Długie lat cztery za czasów wojennych w niewoli on spędził
W starym francuzkim porcie za swoję życzliwość Anglikom.
Dziś choć już wątły na siłach, lecz zdrad i podejścia daleki
Był w mądrości dojrzały, cierpliwy a prosty jak dziecko:
Wszyscy kochali go mocno, najmocniéj kochały go dzieci.
Nieraz im bowiem baśni powiadał o leśnym wilkołku,
Lub o upiorze, co nocą przychodzi i konie zatapia;
Baśni o białym Letyszu, bez chrztu zmarłego dziécięcia,
Duchu, jak musi po dzieci izdebkach biedz zatajony,
Wreszcie, jak w noc Narodzenia woły gadały w oborze,
Pająk zamknięty w łupinę orzecha jak niemoc uleczył,
Jaki talizman ukryty w czworakim trójliściu, podkowie.
Wstał tedy z krzesła swojego przy ogniu kowal Bazyli,
Popiół z fajki otrząsnął i zwolna dłoń wyciągając:
„Bracie Leblancu, zawołał, wszak słuchy z osady cię doszły?
Ty tam co może opowiész o celu przybyłych okrętów!"
Na to ze skromną postawą odrzeknął notaryusz publiczny:
„Wieści ja dosyć słyszałem zaprawdę, lecz mędrszym nie jestem.
Celu stojących okrętów nie wiem téż lepiéj od drugich;
Przecież nie jestem tych zdania, co tworzą złowieszcze przeczenia.
Cóż nam tu może zagrażać, zaiste żyjemy w pokoju."
„Ależ na Boga, zawołał z pośpiechem pół-gniewny Bazyli,
Nigdyż to końca nie będzie pytaniom: zkąd, jak i dlaczego!
W wiekach niecnoty żyjemy i mocne jest prawo mocnego."

Zimny na taką przestrogę, odrzekł notaryusz publiczny:
„Człowiek nieprawym, przyznaję, lecz prawym jest Bóg i w ostatku
Cnota zwycięży. O! dobrze pamiętam podanie z przeszłości,
Co mi dawało pociechę, więźniowi w francuzkim Port-Royal."
Była to ulubiona gawęda staruszka, on często
Swym ją sąsiadom powtarzał, gdy się skarżyli na krzywdę.
„Raz w starożytném mieście, którego imienia nie pomnę,
Stał na szczytnéj kolumnie posąg sprawiedliwości
Z miedzi, na rynku publicznym, szale trzymając w lewicy;
W prawéj zaś ręce, miecz, jako godło, że władza sumienia
Wolą narodu kieruje i wolą mieszkańców w ogniskach.
Nawet i ptaki gniazda dla piskląt niosły na szalach:
Miecz ich nie straszył, lśniący nad gniazdem przy blasku słonecznym.
Przecież za czasów koleją prawa zwichnięto w narodzie:
Siła zajęła moc prawa, słaby ulegnął, a silny
Trzymał żelazną rózgę; aż w domu bogacza wypadkiem
Sznurek pereł zaginął, i dawno cień podejrzenia
Padł na dziewczynę sierotę, co służbę pełniła w pałacu.
Ta potępiona niedługo pod mieczem katowskim paść miała:
Idzie spokojnie na losu spełnienie pod owym posągiem;
Lecz gdy jéj dusza niewinna spieszyła do Ojca w niebie,
Oto się zrywa burza nad miastem i pocisk piorunu
Posąg miedziany rozwala, i z jego lewicy wytrąca
Wagę strzaskaną z szalami, i zrzuca na ziemię z łoskotem.
W szali okręgu gniazdo sroki mieszkańcy znajdują,
W ścianach gniazda głęboko pod gliną sznur pereł był skryty."
Uciszony, lecz nie odparty historyą Bazyli
Stanął, jak człowiek, co mówićby pragnął, lecz nie ma wyrazów.
Wszystkie mu myśli zamarzły na rysach oblicza, jak zimą
Marzną mgły nocą w fantastyczne postaci na szybach.
Wtedy Ewangelina bronzową lampę zapala,
W kubek cynowy po brzegi nalewa ciemno-czerwony
Al domorodny, co słynął po Grandpré całém tęgością.
Leblanc tymczasem z za sukni dobywa papiér i pióro,
Dłonią nie drżącą zapisał dzień i wiek narzeczonych,
Wiano dziewicy określił w stadach owiec i bydła.
Gdy już stanęła umowa, jak prawny obrządek spełnioną
Wielką pieczęć królewską jak słońce, notaryusz wycisnął:
Wtedy Benedykt sięgnąwszy w sakiewkę wyłożył na stole
Trzy sztuki srebrnych pieniędzy, by starca za trud wynagrodzić.
Powstał notaryusz i błogosławiąc obojga kochanków,
W górę wzniósł kubek z napojem i wypił za przyszłe ich szczęście
Pianę otarłszy z ust, uroczyście się skłonił i odszedł:
Inni tymczasem w cichości usiedli pogwarzyć przy ogniu.
Ewangelina wybiegła przynieść warcaby z alkierza:

Wkrótce się gra rozpoczęła. W przyjaznéj utarczce dwaj starzy
Śmieli się z każdą porażką, lub zawiedzionym wybiegiem,
Z każdą damą zabitą, lub pieskiem zamkniętym wokoło.
Zdala na stronie przy świetle wieczorném oparci na ramach
Dwoje kochanków siedziało: z westchnieniem patrzyli jak księżyc
Wzbijał się ponad blady ocean i tuman nad łąką.
Jedna przy drugiéj milczące na łąkach nieba bez granic
Gwiazdy wschodziły, niezapominajki aniołów.
Wieczór upłynął wesoło. Wkrótce z dzwonnicy kościoła
Dzwon dziewiątą uderzył, na hasło spoczynku; niebawem
Goście powstawszy, odeszli, i cisza znów była we dworku.
„Bywaj zdrowa" nie jedno, nie jedno „dobranoc" u proga
Długo w marzącém sercu dziewicy, długo zostało.
Resztę tlejących głowni zakryła popiołem na trzonie.
Jeszcze słyszano stąpanie jéj ojca po schodach dębowych,
Za nim nieśmiało się ozwał szmer kroków Ewangeliny.
Jeszcze przelotny pas światła na górze zabłysnął w pomroku
Lampą nie tyle olśnionym, jak twarzą promienną dziewicy:
Cicho przebiegła po sieni do swojéj izdebki na nocleg.
Prosta izdebka to była: tam białe firanki i szafy
Wielkie, rozległe; na półkach szerokich, starannie rozsłane
Płótna ze lnu i wełny, własną jéj ręką utkane.
Byłto ów posag kosztowny, który w dom męża wnieść miała,
Droższy nad stada i trzody, bo trudów jéj dawał świadectwo.
Lampę zgasiła niebawem, bo księżyc prześlicznie rozkwitły
Oknem napłynął, izdebkę oświecił, aż serce dziewicy
Sile księżyca uległo, jak drżąca pierś oceanu.
Ach! była piękną, piękną nad wyraz, gdy w blasku miesiąca
Białą oparła stopę na gładkim pokładzie komnaty.
O! nie marzyła, że nizko, pomiędzy drzewami w ogrodzie
Czeka jéj luby i śledzi za lampą, i szuka jéj cienia.
Jeszcze marzyła o lubym i czasem uczucie tęsknoty
Duszę przebiegło; aż wtém żeglowny cień chmury wśród światła
Spłynął po ścianach izdebki i mroku zasłonę nasunął.
Kiedy wyjrzała oknem, pogodny księżyc wychodził
Z pod draperyj obłoków i jednę wiódł gwiazdę za sobą,
Jak z Abrahama namiotu Izmael zbiegłą Hagarę.

IV.

Słońce porankowe weszło rozkosznie nad wioskę grandprejską:
W cichém powietrzu świeciła rozkosznie kotlina Minasu,
Kędy okręty i drżące ich cienie grzbiet wody głaskały;
Życie już dawno zbudziło się w wiosce i trud hałaśliwy
Pukał tysiącem rąk do złotych bram wschodu słońca.
Teraz z sąsiednich stron i dokoła osad i wiosek
Zeszli się w sukniach świątecznych życzliwi mieszkańcy Akadyi.

Setne witania i śmiechy radosne poczciwéj młodzieży
Światła blask powiększyły, gdy w łąkach zarosłych potrawem
Ścieżki już widać nie było z pod kół po murawie ciągnących.
Grono po gronie jechało, mijając, to górą, to nizem:
Nie czekając południa ucichła już praca w osadzie.
Lud pozalegał ulice i grona gwarliwe przed drzwiami
Stały, siedziały pod okiem słońca myślami się dzieląc.
Plemię to bowiem w prostocie żyło jak jedna rodzina;
Wszystko tam było pospołu: co jeden miał, było drugiego.
Lecz w Benedykta domu coś dzisiaj gościnność hojniejsza.
Ewangelina stoi w pośrodku gości weselnych,
Uśmiech na twarzy jéj świeci i słowa nieśmiałéj rozkoszy
Płyną z prześlicznych jéj ust, błogosławiąc dar gościnności.
W wonnym ogrodzie, pod niebem otwartém, gdzie drzewa od złotych
Gięły się plonów, stanęła uczta na cześć narzeczonych.
W cieniu przysionka siedział notaryusz publiczny i kapłan;
Siedział Benedykt gościnny i olbrzym kowal Bazyli;
Nie opodal na wzgórku przy prasie cydru i ulach
Michał skrzypiciel z serduszkiem i kamizelką przedziwną.
Światło i cień naprzemiany igrały na rzadkim śniegowym
Włosie, co kręcił się z wiatrem; rysy wesołe, muzyka
Tlały, jak żywy węgiel, gdy z głowni popioły zdmuchnięte.
Śpiewał kochany staruszek, przy skrzypców drgającym odgłosie
„*Tous les Bourgeois de Chartres* i *Le Carillon de Dunkerque*"
Wraz i podkówką drewnianą tętno do skrzypców wybijał.
Hucznie, ogniście kręciły się koła młodzieńców tancerzy
W cieniu konarów ogrodu; nizem ku ścieżce i łąkom
Starzy i młodzi z dziatkami mieszali się razem w biesiadzie:
Lecz najpiękniejszą wśród dziewic była Ewangelina,
Lecz najpiękniejszym w gronie młodzieńców był syn Bazylego.
Ranek upłynął w biesiadzie! Alić jak głośno, jak silnie
Dzwon uderzył na wieży, huk bębna po łące się rozległ:
Dawno już lud do świątyni napłynął, a wkoło cmentarza
Tłumy niewiast czekają przy grobach, wieszając nad niemi
Wianki z jesiennych liści i wiecznie zielony barwinek.
Oto nachodzą żołnierze z okrętów i dumnie przez ciżbę
Kroczą pod święty przysionek. Głuchym i twardym odgłosem
Miedzi grzmot bębna rozlega się od poziomu do sklepień.
Chwilę rozlegał się tylko: wnet ciężkie podwoje przysionka
Z trzaskiem zamknięto i milcząc tłum czekał na wolą żołnierzy.
Wtedy wystąpił dowódzca i rzekł im ze stopni ołtarza:
„Dziś was w imieniu króla zwołuję, by wolą objawić:
Był on łaskawym i dobrym; czyście tych łask byli godni?
Serca niech wasze powiedzą! Gwałt uczyniłem mym czuciom,
Niosąc tu rozkaz, co dla was strasznym się wyda, nie wątpię:
Korzyć się jednak muszę i wolą wysoką objawić,
Mocą któréj te ziemie, domy i pola z dobytkiem

Idą na rzecz korony. Wy sami macie z tych krain
Być przewiezieni do innych. Obyście żyli tam błogo,
Jako poddani wierni i naród spokojny, szczęśliwy!
Teraz ogłaszam was więźniami: ta władcy jest wola.
Jeśli w pogodném lecie, gdy dzień przesila się z nocą,
Nagle zgromadzi się burza i straszne pociski gradowe
Kłos roztrącają na polu wieśniaka i szyby druzgocą,
Ćmią twarz słoneczną, poszycia słomiane po ziemi rozprószą,
Z rykiem pierzchają bydlęta i siłą się wyrwać z zapory;
Tak głos dowódcy groźnie padł na serca narodu.
Chwilę stali milcząco w niemym podziwie: wnet razem
Głośniéj i głośniéj rozległy się krzyki rozpaczy, przestrachu.
Jednym popędem pchnięty tłum w podwoje się garnie:
Próżna nadzieja ucieczki. I krzyki, i dzikie przekleństwa
Cichy dom modłów zaległy; górą nad wszystkich głowami
Stał załamawszy ręce wśród ludu kowal Bazyli:
Stał, jak maszt w nawałnicy morskiéj wstrząsany falami;
Gniew wykrzywił mu rysy, i drżąc z wściekłości zawołał:
„Z oczów, z oczów, zbrodniarze, co biorą nam pola zuchwale,
Domy, zasiewy i trzody"... .
Dłużéj chciał mówić Bazyli, lecz ręce bezbożne przychodnia
Usta starcowi ścisnęły i legł na posadzce świątyni.
Wśród mocowania i gwałtu i zgiełku daremnych wysileń
Patrz! oto chóru otwiera się furta i ojciec Felicyan
Wchodzi z powagą kapłańską, na stopnie ołtarza wstępuje.
Wzniósł swą wielebną prawicę, postawą nakazał milczenie
Zburzonemu pospólstwu i tak przemówił do ludu.
Głos ten był uroczysty, głęboki, wymowny, posępny;
Dzwon już nie bił na trwogę, zegar spokojnie bił tętna.
„Cóżto czynicie, o dziatki! zkąd to bezbożne szaleństwo?
Oto czterdzieści lat wpośród was pracuję i nauczam,
Słowem nauczam, przykładem i czynem, jak kochać bliźniego!
Toż są plony mych prac, czuwania, modlitwy i postów?
Poszły w niepamięć przestrogi miłości i win odpuszczenia?
Wszak to przybytek książęcia pokoju, wy splamić go chcecie
Gwałtu czynami i sercem żółcią zemsty oblaném.
Oto Pan umęczony widzi was z krzyża swojego!
Patrzcie! w tych smutnych oczach jak wiele słodyczy i łaski;
Ciche te usta nie mówiąż modlitwy: O! przebacz im Ojcze!
My tęż powtórzmy modlitwę w godzinie, gdy zły nas uciska;
Teraz powtórzmy modlitwę, wołając: o! przebacz im Ojcze!"
Więcéj nie rzeknął Felicyan, lecz słowa te w sercu narodu
Padły głęboko: płacz skruchy zagłuszył wybuchy wściekłości,
Więc powtórzyli modlitwę, wołając: o! przebacz im Ojcze!
Nieszpor wieczorny nastąpił: pochodnie płonęły w ołtarzu.
Silny, głęboki był głos kapłana, a lud odśpiewywał
Nie ustami tylko, lecz sercem. I *Ave Maria*
Zgiąwszy kolana śpiewali; ich dusze natchnione boskością

W górę leciały na modłach, jak Eliasz, gdy w niebo wstępował.
Wioskę tymczasem wieść o nieszczęściu obiegła, i wszędy
Z domu do domu dzieci i matki błądziły, płakały.
Dawno już w progu Ewangelina stała, i dłonią
Kryła źrenicę przed światłem słonecznem, które zachodząc
Blask tajemniczy ziewało w ulice, i dachy rolników
Drugim nakryło dachem promieni i okna złociło:
Dawno już śnieżnobiałe nakrycie leżało na stole:
Chleb pszeniczny i miód pachnący dzikiemi kwiatami,
Stały gąsiory alu i ser naniesiony z mleczarni.
A na czele sprzętów poważne krzesło teściowe.
Tak narzeczona czekała na progu ojcowskim, aż słońce
Długie cienie pokładło na drzewa i wonne ogrody.
Ach! jak głębsze, jak głębsze cienie zapadły w jéj duchu!
Ach! jak niebieskie wonności z jéj duszy biły pod niebo!
Wiarato była, miłość, nadzieja i win odpuszczenie.
Szczęścia własnego się zrzekłszy, błądziła po wiosce dokoła,
Mową, spojrzeniem cieszyła upadłe na sercu niewiasty,
Kiedy po błoniach zmroczonych stopą niepewną kroczyły.
Krwawo opadło wielkie słońce, we mgły złotolite
Skryło strudzone oblicza, jak prorok idący z Synai.
Ponad osadą z dzwonnicy Anioł Pański uderzył;
Tuż przy kościele w pomroku stała Ewangelina.
Cisza zeległa w świątyni, daremnie przy oknach i progu
Stała biédna słuchając i patrząc; aż trwogą zwalczona,
„O! Gabryelu", drżąc zawołała; lecz nie odrzekły
Groby umarłych, ani ciemniejsze groby żyjących.
Wreszcie wróciła zwolna do ojca siedziby, bezludnéj.
Ogień wznieciła na trzonie, wieczerza tam stała nietknięta,
Dom był pusty i straszny, w nim się już widma gnieździły:
Smutno się rozległ szmer jéj kroków po kątach komnaty.
Tylko w milczeniu nocy słyszała, jak dészcz jesienny
Trącał z szelestem w uwiędły liść sykamory przy oknie;
Błyskawica przebiegła i grzmotu huk oddalony
Mówił, że Bóg jest w niebie i rządzi świat, który stworzył.
Wtedy na pamięć jéj przyszła moc Bożéj sprawiedliwości,
Duch jéj ochłonął i snem spokojnym zasnęła do rana.

V.

Czterykroć słońce wschodziło i gasło, i dziś dnia piątego
Kur na parkanie pieje, by zbudzić śpiącą dziewicę.
Wnet po żółtym ugorze, milczącym, posępnym orszakiem
Idą z sąsiednich osad i wsi akadyjskie niewiasty;
Wiozą w ciężarnych wozach majątek na brzeg oceanu,
Idą i patrzą za siebie, by domy swe ujrzyć raz jeszcze
Piérw, nim zginą im z oczu na drodze kręconéj wśród lasu.
Tuż przy niewiastach i dzieci szły, popędzały ich woły,

W drobnych rączętach garnęły szczątki popsutych igraszek.
Tak aż ku ujściu Gaspereau biegli. Tu u brzegu zatoki
Porzucone w nieładzie leżały Akadyan majątki.
Dzień za dniem wśród okrętów i brzegu łodzie pływały,
Dzień za dniem najeżdżały wozy nad morze z osady.
Naraz pod wieczór, gdy słońce już się chyliło na zachód,
Twardy bębna huk po błoniach z cmentarza się rozległ.
Biegną niewiasty i dzieci. Aż nagle stanęły otworem
Drzwi świątyni i czarnym szeregiem nachodzą żołnierze;
Idą w ślady okutych w więzy, cierpliwych Akadyan.
Właśnie, jako pielgrzymi, co dniują daleko od domów
Idą ze śpiewem, i śpiewem głuszą niedolę pielgrzymstwa.
Tak z pieniami na ustach szli osadnicy Akadyi;
Od świątyni nad morze pospołu szły córki i żony.
Idą młodzieńcy na czele i razem głosy kojarzą,
Usty drżącemi hymn katolickiéj missyi śpiewają:
„Serce najświętsze Chrystusa, źródło bezdenne miłości,
Serca mocą napełnij wiary i win odpuszczenia.“
Starcy za niemi szli i niewiasty z pod murów kościoła
Piersią pół-martwą śpiewając; a w górze ptacy z zachodu
Smutne łączyły głosy z psalmami, jak głosy dusz zmarłych.
O pół drogi do morza, Ewangelina czekała;
Nie upadła pod smutkiem, dość siły zostało na probę:
Smutna, milcząca czekała, aż tłum przybliżył się do niéj.
Bladą od wzruszeń twarz Gabryela ujrzała w orszaku,
Pierwsza w jéj oku łza błysła: z zapałem wybiega ku niemu,
Dłoń mu ściskając, na pierś jego głowę oparła i mówi:
„Dobréj bądź myśli, mój luby: jeśli twa miłość prawdziwa,
Świat nie ma dla nas trwogi cokolwiekby losy knowały.“
To z uśmiechem mówiła i znowu umilkła: jéj ojciec
Zwolna się zbliżał. Niestety! jakażto zmiana w wejrzeniu!
Blask zagasnął na twarzy i płomień w oku, a stopy
Cięższe się zdały pod ciężarem serca; a przecię
Ona z uśmiechem, z westchnieniem ramię ojcowskie całuje
Tylko z pieszczotą, bo słowa pociechy już były daremne.
Tak do ujścia Gaspereau szedł ten orszak pogrzebu:
Tu wrśód odmętu krzyków i zgiełku przy morskiém wybrzeżu
Wiją się łodzie złowieszcze. Jak w straszny dzień sądu, wydarto
Żonę mężowi, a matka ujrzała, zapóźno, rzucone
Dziecię na lądzie, co dziko ręce łamało: napróżno
Tak na dwa różne okręty się dostał Bazyli i Gabryel.
Ewangelina w rozpaczy stała przy ojcu na lądzie,
Jeszcze pół-ludu nie wsiadło, gdy słońce już nikło; widnokrąg
Mroczał głęboko dokoła, i wkrótce ocean z powrotem
Rusza od brzegów i krawędź piaszczystą za sobą zostawia,
Pianę osiadłą zostawia i muszle i ślizką morszczyznę.
Jak w legowisku cyganów, albo w obozie po bitwie,
Z drogą zapartą od morza i czat rozstawionych dokoła,

Legli pod nocy namiotem rolnicy Akadyi—wygnańcy.
Wstecz do bezdennych czeluści rykliwe cofnęło się morze,
Wlokło przed sobą kamyki i zioła w zatokę, za sobą
Ląd zostawiło daleko i łodzie osiadłe na piasku.
Ałić i noc już zstąpiła, stada wróciły z pastwiska,
Świeżość wieczoru wciągały piersiami, idą i błądzą,
Ryczą stanąwszy przy bramie zagrody i kogoś czekają:
Ale czekają daremnie na głos i rękę mleczarki.
Cisza w ulicach: z kościoła na Anioł Pański nie dzwonią,
Dymy nie wieją z kominów, okna nie błyszczą światłami.
Ponad brzegiem tymczasem ognie wieczorne goreją,
Z drzazg rozniecone na piasku dawnych rozbitków szczątkami.
Wkoło snują się cienie: to twarze posępne Akadyan!
Słychać głosy niewiast i mężów, i dziatek kwilenie,
W przedzie od ognia do ognia, jak niegdyś od domu do domu
Kapłan pobożny wędruje, pociesza i błogosławi,
Jak po rozbiciu ów Paweł rzucony na brzegi Melity.
Przyszedł na miejsce, gdzie z ojcem siedziała Ewangelina,
Przy połysku drżącego płomienia ujrzał twarz starca:
Dzikato była twarz, zapadła, bez myśli, bez ruchu,
Właśnie jak krąg zegaru, gdy z niego zdjęto skazówki.
Próżno go córka słowami pieszczoty chce wzbudzić, poruszyć,
Próżno podaje mu pokarm: nie patrzy, nie mówi, nie wzdycha,
Tylko w bezczynnym odręcie wzrok utkwił w trzeszczące płomienie.
„Zmiłuj się Synu Dawidów!“ cicho rzekł kapłan Felicyan.
O! rzekłby więcéj, lecz serce przebrane już było i słowa
Chwiały się, mdlały na ustach, jak stopy dziécięcia na progu.
Mowę mu zawarł ten widok i święta obecność nieszczęścia.
Przeto z rzewnością wkładając dłoń na głowie dziewicy
Wznosi wzrok łzawy do owych gwiazd, co nad niemi
Wiecznie wędrują, niepomne na łzy i niedolą śmiertelnych:
Tedy siadł przy jéj boku i gorzko płakali oboje.
Wtém od południa wstał blask, jak jesienny krwawo-czerwony
Księżyc pnie się na mury nieba z kryształu i z owąd
Równy Tytanom, rąk tysiąc rozścieła na góry i łąki,
Skały i rzeki ogarnia i cienie na cieniach układa.
Świéci blask, coraz wyżéj się wtacza nad strzechy osady,
Ztamtąd niebem nad morze, nad statki przybite kotwicą.
Dymu kolumny ruszyły w górę i błyski płomieni
W fałdach dymu krążyły i drgały, jak dłoń męczennika;
Wicher pochwycił głownie i strzechy płonące i górą
Wirem je pędził w powietrzu; naraz z stu dachów słomianych
Buchnął dym, wnet stopiony w błyskawicach pożaru.
To widowisko miał lud zgromadzony na brzegu i statkach,
Z razu, jak gromem rażony, wnet lud rozpaczliwie zawołał:
„Już więc nie mamy domów w kochanéj osadzie pradziadów.“
W ślad za ich głosem zbudzone koguty zapiały na płotach,

Dniem się im zdała noc; niebawem bydła ryczenie
Z wiatrem wieczornym się miesza, wyciem psów przerywane.
Powstał jakoby krzyk śmierci, co zbudziłby śpiące nomady
Gdzieś na zachodniéj sawannie lub borach zroszonych Nebraską,
Kiedy tłum dzikich koni spłoszony w pęd wiatru ucieka
Albo rycząca gromada bawołów pędzi ku rzece.
Taki się zgiełk owéj nocy wszczął: trzody bydła i konie
Rwały wędzidła, zapory, i biegły szalone po łąkach.
Osłupiały i niemy kapłan z dziewicą patrzają
W obraz trwogi, co zdała rósł i czerwieniał przed niemi:
Znów się ich oczy zwracają na starca, znów chcieli przemówić,
Oto! upadł bezwładny: nad brzegiem wód rozciągnięta
Leży postać bez ruchu ... O tak! już z niéj dusza wybiegła.
Zwolna bezduszną głowę podniósł kapłan a córka
Klękła przy zimnych zwłokach ojca i gorzko płakała.
Ale płakała krótko.... skroń bladą na pierś jego spiéra.
Długą noc leżała w głębokim śnie zapomnienia;
A gdy wzbudziła się drżąca, wokoło otacza ją ciżba.
Były to lica przyjaciół, bladością oblane te lica,
Smutne, milczące w łzach patrzyły na Ewangelinę.
Jeszcze łuna pożaru jaskrawo wisiała nad wioską,
Roztoczona po niebach purpura, pryskała na twarze
Więźniów, na których zaprawdę przyszedł ostatni dzień sądu.
„Tutaj bracia“ zawołał głos znany, gdy lud się rozstąpił,
Tu go nad morzem pogrzebiem. Jeśli się spełnią godziny,
Gdy wrócimy do domów, z nieznanéj ziemi wygnania,
Prochy te święte ze czcią złożymy w grobie cmentarza“.
Były to słowa kapłana. Niebawem na brzegu odnogi
Mając płomienie pożaru za pogrzebowe pochodnie,
Ale bez dzwonu, bez księgi, ojca sieroty grzebały.
Głos kapłana posępnie głosił ostatnią posługę,
Ahć ponurym odzewem, jak bractwa licznego śpiéwanie,
Uroczysty ocean odśpiewuje na hymny.
Wtedy wracały się wody z dalekich odmętów ku brzegom:
Ledwie zabłysnął dzień, straszliwe nadchodzą już straże,
Znów rozpoczyna się zgiełk i tłumne wsiadanie w okręty.
Razem z odpływem wód okręty ruszyły z kotwicy,
Odpłynęli... zostaje umarły i zgliszcza osady.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Ciężkich zeszło lat wiele, jak Grandpre osada zgorzała,
Jak ładowne okręty po falach wody płynęły,
Niosąc plemie z dobytkiem na dalekie wygnanie,
Na wygnanie bez końca, bez przykładu w przeszłości.

W brzegi dalekie, nieznane Akadyanie wysiedli;
Rozproszeni, jak gwiazdki śniegu, gdy wicher z północy
W ukos zacina mgły nad ławami Newfoundland wiszące.
Bez nadziei, bez domu, przyjaciół wędrują od zimnych
Jezior północy w duszące sawanny południa: od czarnych
Brzegów morza do kraju, gdzie Ojciec wszech wód wielowładnie
Chwyta góry w swe dłonie i wciąga na dno oceanu.
Kędy w cmentarzach piasku na wieki śpią kości mamutów.
Domów przyjaciół szukali, a wielu zwalczonych rozpaczą
Grobu tylko chcieli od ziemi, nie chat, nie przyjaciół.
Dzieje ich ryte drzémią na deskach kamiennych cmentarza.
Długo wśród nich widziano dziewicę, co tęskna błądziła,
Duch jéj pokojem tchnął i krzyż dźwigała z pokorą:
Piękna była i młoda—niestety! dziś przed nią rozsnuty
Suchy, rozległy i niemy ostęp życia; tam droga
Mogiłami znaczona tych co tęsknili, cierpieli
Męki uczuć zagasłych i pogrzebanych nadziei;
Tak w pustyni zachodu znaczą drogę wędrówek
Ognie zgaszone obozów i kości świécące pod słońcem.
Czegoś brakło w jéj bycie: całości, granicy, widoku.
Jakby poranek czerwcowy, z całą muzyką i blaskiem
Nagle zatrzymał się w pośród nieba i gasnąc powoli
Wstecz się wracał na wschód, zkąd błysnął niedawno tak świetnie.
Czasem po miastach błądziła, parta płomieniem tajemnym,
Jakąś żądzą bez końca, bo duch jéj pragnął i łaknął:
Znowu pragnęła przygody rozpocząć i śledzić i szukać;
Czasem na cmentarz zbłądziła, krzyże, grobowce ogląda,
Siada na grób bezimienny, mniemając, że może w tym grobie
On już znalazł spoczynek i z nią go podzieli na wieki.
Czasem ją wieść niewyraźna, głuche, dalekie szemranie
Tknęło w przelocie, dając skinienie, by daléj błądziła.
Czasem mówiła z przychodniem, co widział jéj oblubieńca,
Ale widz ał go dawno, w zapomnianéj oddali.
„Gabryel Leżenes, mówiono, tak! on, jam go widział,
Był z nim i kowal Bazyli, obadwa do łąk wyjechali:
Dziś przebiegają lasy i słyną rozległém łowiectwem."
„Gabryel Leżenes, rzekł inny, tak! ja go widziałem,
On jest wojażerem w rozłogach Luizyany."
Inni zaś mówią: „o dziécię ty marzysz, ty czekasz go jeszcze?
Jużto nie ma młodzianów tak pięknych, jak Gabryel! Nie ma
Innych, co w sercach piastują równą cześć, wiarę i czułość.
Jest tu Babtysta Leblanc, notaryusza syn, on cię kochał,
Kochał i cierpiał lat tyle—oddaj mu rękę i losy!
Szkoda, by tyle wdzięków pokryła zasłona klasztorna..
Ewangelina spokojnie, lecz smutno odrzekła: „Nie mogę.
Dokąd poszło me serce, tak pójdzie i ręka, nie indziéj.
Serce gdy idzie poprzódy, jak lampa i drogę oświéca,
Oko dosięga wszech rzeczy, co piérwéj leżały w ciemnościach.

Na to czcigodny kapłan, przyjaciel i ojciec duchowny
Rzekł z uśmiechem: „O! córko, Bóg to w twéj piersi przemawia.
Nie wierz, by miłość umarła, bo miłość jest nieśmiertelną.
Jeśli nie dojdzie do serca drugiego, jéj wody wracając
W swoję krynicę, jak łeszcz ją napełnią obfitą świeżością;
Płyn, który źródło wysłało, płynie napowrót do źródła.
Trwaj i dokonaj trudu, dokonaj dzieła miłości:
Żal i milczenie są silne, wytrwałość jest Boga obrazem.
Pełnij ofiarę serca, aż znamię Bozkości w niém błyśnie,
Czystość, moc, doskonałość i nieba godném się stanie".
Mową tą wsparta Ewangelina pracuje i czeka.
Jeszcze w jéj sercu grzmot pogrzebowy, szum oceanu,
Ale z tym szumem mieszał i cichy głos: „nie rozpaczaj."
Tak koczował ten duch stroskany bez światła i rosy,
Krwią oblany i bosy po głogu i cierniach istnienia.
Ty mię, o lutnio, prowadź, bo idę za śladem wygnanki.
Idę nie w każdę ścieżkę i kręte manowce jéj losów,
Lecz jak wędrowiec, idący za śladem strumyka w dolinie:
Czasem daleki od brzegów, kryształy wód jego dostrzega,
Jak się ukażą i zginą w zaroślach na chwilę, po chwili
Znów jego brzegów bliższy choć oddzielony krzewami,
Wody płynącéj nie widzi lecz słyszy jéj gwar nieustanny;
W końcu szczęśliwy, gdy dojrzy, jak strumień doczekał się ujścia.

II.

Piękny już maj się zbliżał: daleko po rzece Nadobnéj,
Poza brzegami Ohio, poza ujściem Wabaszu,
W złote strumienie szerokiéj i rączéj Missisipi
Łódź wpływała posępnie, Akadyan pędziły ją wiosła.
Była to rzesza wygnańców, szczątki z burz ocalałe
Po rozbitém plemieniu rozwianém; dziś płyną pospołu,
Zwarte w łódź jednę wspólnością wiary, wspólnością niedoli.
Matki, mężowie i dzieci, co wieścią, nadzieją wiedzeni
Braci szukali i krewnych pomiędzy osadnikami
Na Akadyi brzegu i błoniach Opeluzyjskich:
Z niemi Ewangelina płynie i ojciec Felicyan.
Ponad zaspami piasków, lasów cieniami nakrytych
Dzień za dniem po burzliwym płynie ich łódź się przemyka.
Noc za nocą, przy ogniu, na brzegach obozowali,
To na głębi marszczonéj, wśród wysep zielonych, gdzie drzewa
Liściem pierzastym strzelają, spieszyli po fali, za falą.
To w szerokie laguny wciągają, gdzie srebrne zasypy
Prąd zagradzają, a wzdłuż pomiętych bałwanów
W śnieżno białych oponach tłum pelikanów koczuje.
Równo spada krajobraz, brzegami, jak oko dosięgnie;
Cieniem chin osłonione i lasem rozkosznych ogrodów,
Stoją domy planterów, i chaty i gołębniki.

Już się zbliżali do kraju, zkąd lato nie schodzi na wieki,
Gdzie na wybrzeżu złotém, w lasach pomarańcz i cytryn,
Rzeka w pędzie wspaniałym, zagina prąd ku wschodowi;
Oni też, bieg zaginając, wpłynęli do Baju.
Wnet tu zginęli w wód labiryncie, co sieci podobne
Płyną poważnie w różne załomy i na bezdroża skręcają.
Nad ich głowami, w wieże piętrzone konary cyprysów
Łuki tworzą cieniste, a mchy rozwieszone w powietrzu
Wieją jak niegdyś wiały chorągwie na starych katedrach.
Cisza się zdała grobową bez echa, tylko gdzieś czapla
Krzyczy lecąc na nocleg do gniazda pod cedru zasłoną;
Sowa zahuczy, noc witając, śmiéchem szatana.
Luby, luby to księżyc, gdy nad wodami zaświecił,
Nad kolumnami cyprysu i cedru, co łuki podpiéra,
W ich złamane sklepienia wglądał jak w zwalisk szczeliny.
Śpiące, ciemne, dziwaczne były postaci wszech rzeczy,
Tęskne wrażenie podziwu, bolesci na dusze ich parło,—
Jakieś złowieszcze przeczucie klęsk niewidomych, niehybnych.
Jak przed tętnem końskiego kopyta po darniach murawy
Zdala czujny zamyka się listek lękliwéj mimozy,
Tak przed tętnem przeznaczeń, z ciężkim oddechem i trwogą
Ścieśnia się serce i zamyka nim ciosy upadną.
Ewangelina wytrwała bo jakieś mgławe widzenie,
Błysło przed okiem, dając skinienie, przy blasku księżyca.
Myśl to własnego jéj ducha przybrała widma postawę,
W tle tych złudzeń oblubieniec ukazał się wdali,
Z każdém wiosła trąceniem bliżéj i bliżéj nadpływał.
Wtém na przodzie okrętu stanął jeden z wioślarzy
I na hasło, czy jaka łódź pobratymcza po czarnym
Prądzie [illegible] nie żegluje, zadyma w piszczałkę wioślarską:
Dziko dźwięk pędzi po ciemnych kolumnach i liści krużgankach,
Zrywa pieczęć milczenia i lasom mowę nadaje.
Nieme nad głową chorągwie mchu na dźwięk się ruszają.
Wstały echa tysiączne i skonały w przestworzu,
Gdzieś na szkle wód rozbite i w mroku gałęzi zgubione,
Lecz się głos nie odezwał, nie wraca odpowiedź z ciemności.
Więc po echa ustaniu, padło bolesne milczenie:
Ewangelina zasnęła, wioślarze żeglują po nocy.
To umilkną, to nucą po chwili pieśń kanadyjską,
Jaką w dni owe nucili na brzegach Akadyi.
Dźwięki te jakieś tajemne koczują nocą w pustyni,
Ale odległe, stłumione, jak wianie wiatrów po lesie,
Z głosem żurawia i mrukiem kaimakana groźnego.
Tak przed wtórém południem wybrnęli z tych cieniów, aż w blasku
Słońca błysnęły w ich oczach jeziora Aczafalaja;
Wodnych lilii miryady lekko kołyszą się w fałdach
Uciekających za wiosłem, i lotus kwitnący wdziękami

Złotą koronę potrząsa nad głowami wioślarzy.
Mglało niemal powietrze od woni kwiatów magnolii,
Razem od skwaru południa; tu wysep leśnych tysiące,
Gęstym, pachnącym z róż parkanem grodzone dokoła,
Łódź wędrowną wita i, prosząc pod chłód na spoczynek:
I nie darmo, bo wnet tu wiosła znękane zawisły.
W cieniu Wachickich wierzb, co na brzegu rosły spokojnie.

Łódź stanęła bezpiecznie: rozproszeni po darni
Cicho zasnęli wygnańcy, po trudach północnéj żeglugi.
Sen ich okryły wysoko sklepione cedru konary;
W cedru ramionach ukołysany bluszcz i winorośl
Pięły się w górę drabiną, podobną drabinie Jakóba,
Któréj szczeblami aniołowie wchodzili i schodzili,
Niby kolibry, bystro lecące od kwiatu do kwiatu.

Takie widzenia krążyły przed duszą Ewangeliny.
Miłość olśniła jéj myśli i w duszy jéj świecił
Blask półotwartych niebios, w glorył życia wiecznego.
Bliżéj i coraz bliżéj, pomiędzy wyspami bez liku,
Lekka, rącza łódź spieszyła po rzeki zwierciadle,
Podniecana do biegu silnemi ramiony myśliwych;
Dziób jéj zmierzał na północ, do krajów żubra i łani.
W sterze siedział młodzieniec z postawą zadumy i troski;
Czarny, niedbały włos mu ocieniał skroń i tęsknica
Starsza coś nad lata na smutném obliczu osiadła.
Byłto Gabryel! Znękany, nieszczęśliwy, strwożony,
Szukał niepamięci wśród dzikich lasów Zachodu.

Szybko płynęła łódź na zawietrzu, pod wyspy brzegami,
Ale po drugiéj stronie zakryta palm szeregami.
Nie dojrzeli wędrowcy łodzi wierzbami zakrytéj,
Nie słyszeli uśpieni wioseł prujących głębinę,
Anioł Boży nie zleciał wzbudzić marzące dziecię.
Bystro po falach przemknęli, jak chmura po falach błękitu.
Wkrótce zginął i szelest łodzi w oddali, bez echa,
Gdy się ze snu magicznego wzbudzili uśpieni. Dziewica
Rzekła z westchnieniem do kapłana: „O święty mój ojcze!
Jakiś głos mi powiada, że Gabryel blizko tu płynął:
Czy to marzenie szalone, igraszka bezczynnéj fantazyi?
Czy też anioł w przelocie prawdę méj duszy objawił?"
Potém rumieniąc się mówi: „Przebóg! te mgły wyobraźni
Godnéż są odpowiedzi z ust mądrego kapłana?"
Jednak czcigodny kapłan z uśmiechem dobroci odrzeknie:
„Córko, te słowa nie są igraszką zbłąkanéj fantazyi;
Czucie, to cicha głębina, słowo płynące po wierzchu,
To ów znak co wskazuje, gdzie na dnie kotwica się kryje.
Ufaj więc sercu i słowom, które świat zowie złudzeniem.
Gabryel blizko być musi, bo blizko w stronie południa
Leżą na ławach techejskich miasta Saint Maur i Saint Martin.
Tam oblubieniec zbłąkany oblubienicę zobaczy,
Tam i pasterz zbłąkany owce spłoszone zobaczy.

Pięknyło kraj, chleborodny, w owoce i bory posażny;
Tam kwieciste ogrody u stóp a niebo najczystsze
Wisi sklepione z łukami na murach lasów wspartemi:
Ztąd mieszkańcy ten kraj zwą edenem Luizyany."
Z temi słowy weselsi powstali i daléj żeglują.
Już był wieczór, aż słońce z horyzontu zachodu
Złotą roszczkę, jak czarnoksiężnik, rozciąga nad ziemią;
Mgły świecące powstały, lasy, obłoki i wody
Za dotknięciem zdawały się gorzeć powszechném płomieniem.
Między dwoma niebami zawisła, jak mgła złotobrzeżna,
Łódź w nieruchomych wodach płynęła i wiosła za łodzią.
Któż tu opisze radość serca Ewangeliny?
Siłą magiczną roztwarte święte źródło uczucia
Zorzą miłości świeciło, jak nieba i wody dokoła.
Wtedy z ościennéj gęstwiny ptak śmieszek, najdzikszy z śpiewaków
Wzbija się na gałązkę wierzby, zwieszonéj nad wodę,
Wionął w przestworze tak długim strumieniem namiętnéj melodyi,
Że powietrze i drzewa umilknąć musiały.... Słuchają:
Smutno zaczyna się piosnka, a potém podnosi, zapala,
Drży, zacieka, wre szalenstwem pijanych bachantek.
Jeden znów słychać dźwięk żałobny, płaczliwy i naraz
Wszystkie się zbiegły, zatrzęsły i rozprysły w śmiech pusty.
Jak po burzy gdy szelest wiatru po liściach przebiegnie,
Z kropli osiadłych, deszcz kryształowy w gałązki rozsypie:
Tak żeglarze pod wróżbą radosną i z sercem wzruszoném,
Wolno wpłynęli na Techę, co płynie wśród pól Opeluzy.
Tam w rozpuszczonych ambrach powietrza, nad lasu grzebieniem
Widzą kręconą kolumnę dymu i dwór osadnika:
Słyszą i trąbę myśliwską w oddali i trzody wołanie.

III.

Blizko nadbrzeża, pod cieniem dębów, na których gałęzi
Wianki mchu hiszpańskiego z mistyczną jemioła się wiążą,
Niby ciosany złotą siekierą Druidów w Yulu,
Stał samotny, milczący dom pasterza. Dokoła,
Pasmem przepysznych kwiatów opasywał go ogród,
Wonność biła w powietrze. Dom na posadach z cyprysu,
Żebra też miał cyprysowe silnie spojone bokami.
Nizki, szeroki był dach, na wysmukłych oparta kolumnach
W róże i winogrona ubrana, rozległa weranda,
Pszczół i kolibrów stołeczna siedziba nad dom się wspinała.
Z każdéj strony przy węgłach, z kwiatami u nóg rozsłanemi
Gołębniki stały, te wieczne symbola miłości,
Wiecznych wzdychań tajniki i walk o palmy zawodu:
A ponad wszystkiém cisza. Dwa pasy: światła i cieniu
Biegną z wierzchołka drzew; lecz dom rozłożył się w cieniu,

Z głębi komina puszczone na wolę w przestwory powietrza
Mo re kolumny dymu, płynu pod światło wieczoru.
Poza domem przez furtę ogrodu, ścieżka wybiega,
Biegnie przez dębów gęstwinę na miedzę do łąk nieskończonych,
Dokąd w ocean kwiatów słońce poważnie się chyli.
Górą utkwiona w blask jego, jak statki z sinemi żaglami
Wolne od masztów w nieruchomej ciszy zwrotnika,
Stoi gromada drzew na linach z bluszczu kręconych.
Tam, gdzie kwiecista fala łąk przypiera do lasów,
Jechał na rączym koniu z hiszpańskiém strzemieniem i siodłem
Pasterz podeszły, w żółtym z łosiéj skóry kaftanie.
Ciemna szeroka twarz jeźdźca, z pod hiszpańskiego sombrero
Cichy kraj obzierała z wyrazem godności dziedzica;
Przy nim naokół pasły się bydła stada bez liku,
Gryzły trawę spokojnie i piersią świeżość wciągały,
Co się od wód odrywając, opływała krajobraz.
Zwolna podnosi trąbkę wiszącą przy boku, otwiera
Pełną oddechu głęboką pierś i zadyma: za tchnieniem
Wielki dźwięk daleko się rozbiegł po ciszy wieczoru.
Tuż się na hasło białorogie podnoszą w pastwisku,
Niby płaty piany ruszonéj sprzecznemi wiatrami.
Chwilę patrzyły w milczeniu, wnet rycząc idą po łące;
Idą, drobnieją w oddali na chmurę, na cień i zniknęły.
Skoro pasterz wrócił do domu, przez bramę ogrodu
Widział jak kapłan i dziewica ku niemu zmierzali:
Nagle z konia zeskakuje zdumiony i ku nim
Wyciągając objęcia biegnie i oczy nie wierzą....
Ewangelina i ojciec Felicyan spotkali Bazyla.
Słodkoż on gości, słodko powitał; prowadzi na ogród:
Tu w altanie różanéj stem pytań i odpowiedzi
Sercu dają wytchnienie: i uściśnienia wznowili,
Śmieją się, płaczą, znów siedzą w milczeniu zadumani.
Zadumani, bo kogoś tu brakuje, i czarne zwątpienie
Padło na serce dziewicy. Bazyli to widział i zrozumiał.
Pierwszy przemawia: „Czyście, żeglując przy Aczafalaja
Nigdzie w przystani nie dostrzegli łodzi Gabryela?"
Na te słowa Bazyla, cień przebiegł po czole dziewicy,
Łzy po licach spłynęły: drżąc rzekła Ewangelina:
„Nie ma, nie ma Gabryela" i twarz zakrywa rękami.
Serce ściśnione upadło: płakała, gorzko płakała.
Dobry Bazyli rzekł: „W jego głosie czuć było wesołość:
Dobréj bądź myśli, me dziecię, dziś on dopiéro odjechał.
Luby szaleniec mnie ojca samego zostawił, a czemu?
Chory duch jego: dziwaczny, znękany probami i walką
Dłużéj znieść nie mógł ciszy bezczynnego żywota.
Zawsze z myślą o tobie, zawsze posępny, samotny.
Zawsze niemy, lub tylko mówiący o tobie, o mękach;
Wreszcie został tak zimnym dla ludzi, dla świata i lasów,

Nawet dla ojca swojego, żem wreszcie zamierzył go posłać
Do Adayes, by tam z Hiszpanami wiódł handel na muły.
Ztamtąd zamyśla pójść z Indyanami w góry Ozarku,
W lasach polować na zwierza i bobry usidlać przy rzekach.
Bądź więc wesoła, puścimy się w pogoń za zbiegłym kochankiem:
On niedaleko, a wody i lasy tamują mu drogę.
Jutro ruszymy w drogę zwilżeni rosą poranku
W pędy, by więźnia z ucieczki powrotnie do więzów sprowadzić."
Wtém się z nad brzegów rzeki wesołe głosy rozległy,
Michael muzyk przybywa, na rękach przyjaciół niesiony.
Długo on żył pod strzechą Bazyla, jak bożek w Olimpie,
Próżeń trosk i tylko rozdając muzykę śmiertelnym.
W sławie dalekiéj był włos jego siwy i skrzypki rozmowne.
„Sto lat niech żyje! wołali, niech żyje nasz minstrel kochany!"
W górę podnoszą staruszka na rękach i niosą z tryumfem.
Zbliża się kapłan Felicyan z dziewicą i starca witają
Długo, serdecznie witają i przeszłość wspomnieli; szczęśliwy
Bazyli przyjaciół starych ugaszcza biesiadą i sercem.
Śmiejąc się głośno i długo, ich matki i dzieci uścisnął.
Oczy ich bawi widok bogactw byłego kowala,
Łąki i trzody i starca postać patryarchalna.
On im mówi o trudach i nowéj matce— naturze.
O tych trzodach, co biorą z pana pierwszego przychodnia;
Każdy z nich myślał: „i ja tak pójdę, za ziemią, za szczęściem."
Bazyl prowadzi gości po krętych schodach werandy,
Wchodzą do wielkiéj komnaty, gdzie już wieczerza posilna
Dawno czekała i razem usiedli do uczty wygnańcy.
Już na wesołą ucztę zstępuje pomrok wieczoru:
Wszystko za domem ucichło i srebrem malując krajobraz,
Wzniósł się prześliczny księżyc z gwiazd myryadą, a w domu
Jaśniéj od gwiazd świeciły oblicza przyjaciół przy lampach.
Wtedy z miejsca swojego, z czołem wzniesionem Bazyli,
Gdy już dostatkiem wina i uczuć dostało się gościom
Wstał i przemówił: umilkli słuchali z uśmiechem na ustach:
„Witam raz jeszcze przyjaciół, co długo przyjaciół nie mieli!
Witam w téj ziemi, co może lepszą nam będzie niż dawna:
Już nam tu głodna zima nie zmrozi krwi z rzek wodami,
Ani kamienny grunt nie wyciśnie łzy rolnikowi;
Lekko tu pług pod skibę się wciska, jak wiosło pod falę,
Lasy złotych pomarańcz tu kwitną rok cały; i więcéj
Trawy noc jedna przyniesie, niż całe lato Kanady.
Dzikie trzody w bezładzie po łąkach koczują bez władcy;
Całe te kraje czekają mieszkańca: pod kilku ciosami
Siekiery olbrzymie spadają tu drzewa i w domy się wiążą.
A gdy domy już staną, i pola kłosami zaświecą:
Żadna tu ręka z łoskotem nie spadnie na wasze siedziby
Niosąc pożogę na śpichrze lub grabież na brogi i stada."
Rzekłszy te słowa z piersi gwałtownie wydał westchnienie.

Wielką, żylastą ręką uderzył w stół, aż stół zadrżał,
Aż osłupieli goście, i ojciec Felicyan, zdumiony
Cofnął rękę ze szczyptą tabaki wpół drogi do mety.
Lecz się Bazyli powstrzymał i głosem weselszym tak mówił:
„Tylko choroby się strzeżcie, przyjaciele, choroby.
Jużto nie owe zimne i czerstwe powietrze Akadyi,
Gdzie pajęczyna związana w orzechu na szyi leczyła".
Wtém słychać głosy przed drzwiami i szmer zbliżających się kroków

Schody domu napełnił i sień i ościenną werandę:
Byli to sąsiedni Kreole, plantery z Akadyi,
Wszyscy wezwani na gody w dom zacnego Bazyla.
Któż opisze spotkanie starych przyjaciół, sąsiadów!
Gość czułe gościa uścisnął, tych co tam byli obcemi
Dziś wspólnictwo nieszczęścia łączy węzłami przyjaźni,
Łączy świętém ogniwem poczucia wspólnéj rodziny;
Lecz w przyległéj komnacie dźwięki melodyi, wzbudzone
Pod naciśnieniem twórczéj dłoni starego minstrela,
Gwar przerwały, i troski i rzewne wspomnienia przeszłości.
Kiedy bez świadka w uboczu komnaty kapłan z Bazylim
Jęli rozmawiać o tém co minęło i przyjść jeszcze miało;
Ewangelina stała jakoby bez duszy, bo w duszy
Bezmiar wrażeń wrzał niepojęty. Wśród dźwięków muzyki
Szum oceanu słyszała i jakiś ból nieodparty
Cisnął na serce: niespostrzeżona w ogród wybiega.
Noc była piękna. Za czarnemi lasu murami
Srebrem obrębiając ich szczyty, wstał księżyc. Na rzekę
Tam i owdzie przez liście pryskały promienie miesiąca,
Jak uczucia miłości na ducha w mgle zbłąkanego.
W bliżu i wkoło niéj wielorodne kwiaty ogrodu
Duch wyziewały w zapachy: to były ich modły, wyznanie
W obec kapłana nocy, kroczącéj, jak Kartuz w milczeniu.
Od nich wonniejsze i jakby cieniem i rosą ciśnione
Biło jéj serce. Cisza i blask czarnoksięzki miesiąca
Zdały się duszę jéj ciągnąć w głąb nieskończonéj tęsknoty.
Gdy przez furtkę ogrodu, pod cieni dębowych całunem
Ścieżką wzdłuż przebiegała do granic łąk falujących;
Łąki leżały w milczeniu, mgła i świecące owady
Błyszczą i przelatują powietrze w bezliku kolorów.
Ponad głową jéj gwiazdy, te myśli Boga na niebie,
Świecą przed okiem człowieka, co czci i podziwu się zaparł.
Chyba kometa zabłyśnie na murach téj wszechświątyni,
I jakaś ręka zabłyśnie co na nich wypisze: „Upharsin."
Tak więc między kwiatami a gwiazdami jéj dusza
Błądzi samotna! „O! Gabryelu, zawoła, mój luby!
Takżeśto blizko mnie, a ja ciebie oglądać nie mogę?
Takżeśto blizko mnie, a twój głos mię dosięgnąć nie może?

Ach! jak tu często twe stopy ścieżką błądziły po łące,
Ach! jak twe oczy często patrzyły na lasy wokoło,
Ach! jak często poza tym dębem, wracając od pracy
W cieniu usiadłes odpocząć i drzémiąc....tak! o mnie marzyłeś.
Kiedyż te oczy oglądać, te ręce otulać cię będą".
Głośno, nagle i blizko puhacza ozwało się brzmienie,
Jakby flet w pośród boru, i zaraz w sąsiedniém zaroślu
Daléj daléj płynęło, odpływało w milczeniu.
„Wytrwaj" szepnął jéj dąb z głębokiéj wyroczni pomroku.
W łąk oceanie jakieś westchnienie odrzekło „do jutra".

Jasnym był wschód nazajutrz i wszystkie kwiaty ogrodu
Stopy jego kąpały w swych łzach, i włosy maściły
Wonnym balsamem, który płynął w ich czarach z kryształu.
„Płyń szczęśliwie—rzecze jéj kapłan stojący na progu,
Pomnij, by z tobą powrócił syn marnotrawny, zgłodzony,
Z nim i córka niebaczna, co spała gdy płynął jéj miły."
„Zostań szczęśliwie", odrzekła dziewica z uśmiechem i zeszła
Na brzeg rzeki z Bazylim, gdzie już wioślarze czekali.
Tak, zacząwszy swą podróż z porankiem, ze słońcem, radością,
Szybko pędzili za śladem tego, co spieszył przed niemi,
Parci powiewem przeznaczeń jak martwy listek po puszczy.
Lecz ni w ten dzień, ni w drugi, ni w ten co nastąpił po trzecim
W ślady jego nie wpadli, na morzu, na rzece, wśród lasu
Ani też po dniach wielu nie wpadli, lecz błędne, niepewne
Wieści ich wiodły za sobą przez dzikie i puste bezdroża;
Aż nareszcie do małéj gospody w mieście Adayes
W pocie i trudach przybyli, gdzie mowy krążyły wątpliwe,
Że dniem wprzódy z gromadą koni w licznym orszaku,
Gabryel oddalił się z miasta i puścił daleko w sawanny.

IV.

Na dalekim zachodzie leży ziemia, gdzie góry
Wznoszą, wśród wiecznych śniegów olbrzymie skronie ku światłu.
Z ich połamanych parowów głęboko, gdzie wąwóz jak brama
Stromy otwiera gościniec kołom wiozących wychodniów.
Ku zachodowi płynie Oregan, Walleway i Owyho.
Z wschodu, zagiętém korytem, pomiędzy górami Wietrznemi
Rzuca się w słodkich-wód dolinie gwałtowna Nebraska;
Na południe z Fontaine-qui-bout i hiszpańskich Sierras
Pełne piasków i skał, pędzone wiatrami pustyni,
Wiecznie gwarliwe potoki gromadnie do morza ruszają:
Właśnie jak struny na arfie co drgają i dźwięczą poważnie.
W ramie potoków ściśnione bogate, przedziwne pastwiska,
Traw zatoki, co wiecznie falują w ciemności i świetle

Świecą zbytkownie tysiącem róż i amorfów z purpury,
Na nich koczują stada bawołów, jeleni i łosiów;
Na nich koczują stada wilków i koni bez kielzna,
Ognie co zieją i błyszczą i wiatry strudzone krążeniem;
Na nich koczuje w rozwianych plemionach szczep Izmaela
Brocząc pustynie krwią: a nad niemi w trop, śmiercią znaczony
Sęp na wspaniałych skrzydłach górą żegluje i krąży:
Rzekłbyś, iż nieubłagany duch poległego dowódzcy
Po niewidzialnych stopniach w obłoku szczebluje do nieba.
Owdzie dymy się wznoszą z obozu krwi chciwych łupieżców,
Owdzie zarośle się wznoszą z pobrzeża spieszących strumieni;
Tam mrukliwy niedźwiedź, samotny mieszkaniec pustyni,
Wpuszcza się w ciemny parów, by wygrześć korzonek przy źródle,
A ponad wszystkiém niebiosa, jasne zeszklone niebiosa,
Ta dłoń Boga na świat odwrócona, by nakryć jestestwa.
W ówto cudowny kraj, u podnóża góry Ozarku,
Gabryel wszedł, prowadząc za sobą sidlarzy i łowców.
Dzień po dniu, z przewodnikiem indyjskim Bazyli z dziewicą,
W jego ślady dążyli, z wiarą blizkiego spotkania:
Czasem, jakoby widzieli daleki dym z jego namiotu,
A gdy zbliżyli się, głownie tylko znajdują i popiół.
Ale choć było serce ich smutne i ciało zmęczone,
Mieli nadzieję, gdy zdala wskazała im fata morgana
Świateł jeziora, co biegły wstecz i nikły przed niemi.
Raz, gdy siedzieli przy ogniu wieczornym, weszła w ich namiot
Pokryjomu niewiasta indyjska, której oblicze
Smutku głęboki ślad nosiło i ślad wytrwałości.
Byłato Szawnee, niewiasta, co w kraj ojczysty wracała
Z oddalonéj krainy, gdzie srogi Kamansza koczuje:
Tam zabito jéj męża, łowca kanadyjskiego.
Duszę wzruszyła powieścią, serdeczną gościnność jéj dali,
Ulgę nieśli słowami i ucztą dzielili się małą:
Kęsem bawoła i dziczyzną pieczoną na węglach.
Kiedy ucztę skończono, Bazyli z towarzyszami
Długim pochodem znękani i długą obławą na żubra,
Na rozesłanych matach usnęli, gdy drżący blask ognia
Padał na śniade ich twarze i burki, kryjące postawę:
Wtedy niewiasta usiadłszy w namiocie Ewangeliny,
Cicho, nieśmiało, lecz słodkim indyjskim przygłosem zaczęła
Dzieje miłości swojéj, jéj klęski, słodycze i walki.
Wiele ta powieść łez wycisnęła dziewicy, gdy drugie
Serce ujrzała, co także nieszczęśliwie kochało.
Litość przenikła do głębi jéj duszę współczuciem kobiety,
Lecz ją cieszyło, że tę co cierpiała ma blizko przy sobie.
Przeto skreśliła jéj wzajem swych uczuć rozkosze i męki.
Niema z podziwu Szawnee siedziała i z końcem powieści
Długo milczała; nakoniec, jak gdyby dreszcz tajemniczy
Przebiegł jéj mózg, odrzekła: i prawi jéj baśni jak Mowis

Mowis, oblubieniec śniegowy, gdy zyskał już żonę,
Za nadejściem poranku wstał i wyszedł z wigwamu;
Jak przy świetle słonecznem wędrując omdlewał i topniał,
Aż nie ujrzała go więcéj, choć w lesie ścigała daleko.
Znów mdłym, a słodkim głosem co zdał się zaklęciem na czary,
Mówi jéj powieść o pięknéj Lilinau, co rękę oddała
Widmu; to widmo nad domem jéj ojca wśród sosen na zmierzchu
Jęcząc wieczorem pod wiatr o miłości szeptało dziewicy.
Wreszcie za jego zielonem piórem pobiegła w głąb lasów,
A czy wróciła, nie! nigdy już ludzie jéj nie widzieli."
Słucha powieści milcząca, zdumiona Ewangelina
Jak te słowa magiczne płynęły z jéj ust, aż dokoła
Miejsce się zdało zaklętém z czarodziejką pośrodku.
Zwolna tymczasem na szczyty gór Ozarku zszedł księżyc,
Z gór do małego namiotu i blask tajemnicą oblany
Ciemnych liści dotykał, i las ogarniał głęboko.
Szmerem rozkosznym odzywał się strumień w pobliżu, gałęzie
Niby na palcach spinają się, szepczą, lecz szeptu nie słychać.
Duszę dziewicy przepełnia już miłość, lecz jakieś tajemne,
Nieodgadnione wcisnęło się wrażenie—czy trwogi?
Tak się do gniazda jaskółki wciska wąż jadowity.
Była to trwoga nieziemska, tchnienia ze świata duchów
Zdały się wiać w powietrzu téj nocy, i ona przez chwilę
Mniema, że razem z dziewicą indyjską już goni za widmem.
Z tém marzeniem zasnęła i widmo zniknęło z przed oczów.
Wcześnie nazajutrz nowa zaczęła się podróż, a Szawnee
Już po długiéj wędrówce rzekła „na zachód w téj górze
Mieszka w osadzie naczelnik missyi czarno odziany;
Często on lud naucza i mówi o Maryi, Jezusie.
Lud, gdy go słyszy, z radości się śmieje, płacze od żalu."
Z nagłém tajemném wzruszeniem zawoła Ewangelina:
„A więc pójdźmy do missyi, tam dobre nas wieści czekają."
Idą, jak rzekły obie na zachód téj góry w osadzie.
Ledwie słońce zapadło, już echo głosów słyszeli:
W łące zielonéj rozległéj, co rzeki pobrzeże maluje,
Stoją namioty chrześcian, braci missyjnych namioty.
Osłoniony konarem dębu, w pośrodku osady
Klęczy czarno odziany apostoł z uczniami. Na drzewie
Bóg i człowiek przybity do krzyża z cieniów winnicy
Konającą twarzą spoziera na nowe swe dzieci.
Taka ich była kaplica. Z góry w arkadach gałęzi
Z powietrznego jéj dachu, śpiewy nieszporne powstają:
Dźwięk ich miesza się z wiatrem i cichym szelestem gałązek.
Z głową odkrytą nieśmieli podróżni przychodzą do tłumu,
Na trawniku klękają i łączą modły z modłami.
Gdy już skończone nieszpory i błogosławieństwo kapłana
Spadło na lud, jak ziarno z siejącéj ręki na pole:
Zwolna czcigodny mąż do przychodniów się zbliża i wita.

Któż uwierzy, jak czułym uśmiechem twarz jego jaśniała,
Kiedy wśród borów dźwięki ojczystéj mowy usłyszał;
Wita raz jeszcze przychodniów i wiedzie do swego wigwamu.
Tu na matach i skórach spoczęli i chleb z kukuruzy
Podzielili z kapłanem i wodą zgasili pragnienie.
Zaraz zaczęła się powieść, a kapłan rzekł uroczyście:
„Sześć już słońc powstało i zaszło, jak Gabryel siedział
Obok mnie na téj macie, gdzie teraz usiadła dziewica,
Smutne te same dzieje mi skreślił i puścił się w drogę!“
Miłym głosem słowa te rzekł nauczyciel narodu,
Jednak te padły na serce dziewicy, jak w zimie kry lodu
W puste padają gniazdo, z którego ptaszkowie uciekli.
„Powędrował na północ, rzekł kapłan, lecz pierwszéj jesieni
Gdy się łowy ukończą, napowrót przyjedzie do missyi.“
Na to odrzekła dziewica spokojniéj i głosem pokory:
„Daj więc zostać mi z tobą, bo smutna ma dusza do śmierci.“
Wszystkim to zdało się dobrem; nazajutrz równo ze świtem
Na meksykańskim koniu, z orszakiem indyjskich wędrowców
Wraca do domu Bazyli: dziewica została przy missyi.

Zwolna, zwolna tymczasem dnie po dniach następują,
Dnie, tygodnie, miesięce i kukuruza co niegdyś
Ledwie odrosłszy od ziemi, witała dziewicę, dziś nad nią
Żółte promienie roztacza i liściem powiewa i tworzy
Twierdzę dla wron żebrzących, spichrze otwarte wiewiórkom.
Już i w dojrzałéj porze kukuruzę łuskano:
Kłos czerwony rumieni dziewczęta — to znak oblubieńca;
Kłos zmarszczony je śmieszy, on w zbożu ma nazwę złodzieja.
Ewangelinie i kłos czerwony nie wrócił kochanka.
„Miéj wytrwałość i wiarę, rzekł kapłan, Bóg modłów wysłucha.
Spojrz na tę wątłą roślinę, co głowę wychyla z pod trawy;
Każdy jej liść ku północy zmierza, jak magnes niemylny:
To kwiat kompasu, który boża dłoń zawiesiła
Tu na wątłéj łodydze, by stopą pielgrzyma kierował
Po bezdrożnych, jak morze bez kresu, obszarach pustyni:
Taką jest wiara w duszy człowieka. Kwiat żądzy i błędu
Świetniéj zakwita nad resztę i bujniéj wonności ulewa,
Lecz nas uwodzi i z drogi sprowadza, zabija zapachem.
Tylko ta cicha roślina prowadzić nas może, a potém
Skroń uwieńczyć w lilie, skropione rosami nepenty.“

Tak nadeszła i przeszła jesień: Gabryel nie wraca;
W kwiatach roztwiera się wiosna: dźwięki słowika i szczygła
Grzmią rozgłośnie w nizinach i lasach—On przecież nie wraca.
Aż na skrzydłach wiatru letniego wieść nadpłynęła
Słodsza od śpiewu ptaków, od kwiatu barw i wonności:
Mówią, że w borach Miczyganu na wschodo-północy
Gabryel wzniósł osadę nad brzegiem rzeki Saginaw.
Wraz przewodników bierze, co jezior Laurenckich śledzili,
Żegna ze łzami kapłana, i missyą opuszcza na zawsze.

Kiedy po długiéj wędrówce, po trudach i trwogach błąkania
Wreszcie dostała się w głębie lasów Miczygańskich:
Dom myśliwski znajduje pustkowiem, upadły w zwaliskach.
Długie tak lata błądziła i w porze niejednéj i w miejscu,
Nieraz widziano, jak tuła się błędna Ewangelina:
To w gościnnym namiocie braci z missyi morawskiéj,
To w gwarliwym obozie, lub polu świeżo krwią zlanem,
Znów w samotnéj wiosce, to w miastach i grodach bogatych.
Istne widmo się tuła przed ludźmi i znika bez śladu.
Piękną była i młodą, gdy z wiarą swą podróż zaczęła;
Zwiędłą była i wątłą, gdy ją skończyła w rozpaczy.
Każde lato w przechodzie uszczknęło listek z jéj wdzięków,
Promyk zgasiło, zostawiając cień głębszy, czarniejszy.
Wreszcie na skroni i zmarszczki się rodzą i piérwsza siwizna,
Przedświt drugiego życia, co gdzieś tam za ziemią już wschodzi
Jak na obłoku wschodnim pół-jasny zadatek poranku.

V.

W ziemi rozkosznéj, którą obmywa prąd Delawary,
Z apostolskiém imieniem Penna, chronionem wśród lasów,
Leży u brzegów rzeki wspaniały gród jego zakładu.
Balsam tu płynie w powietrzu, brzoskwinia jest godłem piękności,
Jaszcze w ulicach miasto powtarza drzew leśnych imiona,
Jakby ubłagać chciało Dryady za ciszę przerwaną.
Tu z fal gniewnych wysiadła Ewangelina, wygnanka,
Gdzie wśród dzieci Penna znalazła dom i ojczyznę.
Gdzie zmarł Rene le Blanc, a w chwili gdy oczy zamykał,
Ze stu wnuków jeden mu tylko przy boku pozostał;
Tu jakiś głos, jakieś czucie magiczne krążyło po grodzie
Co jéj mówiło do serca: „już obcą w téj ziemi nie jestem".
Święte wyrazy: Ty i Twój przenikały ją szczęściem,
Bo rodziły wspomnienia z przeszłości i staréj Akadyi,
Kędy wszyscy na zawsze byli siostrami i braćmi.
Tu po daremnych walkach, po zawiedzionych marzeniach,
Co się skończyły, nie kończąc i nigdy już wrócić nie miały,
Tu się, jak liście do kwiatka, zwróciły jéj myśli i kroki
Jak z wierzchołka gór, gdy deszczowy tuman poranku
Zwolna osiada, zdala pod sobą widzimy krajobraz
Cały w słonecznym blasku i rzeki, i sioła i miasta:
Tak i przed nią mgły zeszły i widzi jak pod nią świat w głębi
Już nie mroczeje, lecz świeci miłością, a ścieżka do któréj
Tak się mozolnie wdzierała, leży prześliczna w oddali.
Gabryel został w pamięci. W pośrodku serca twarz jego
Tkwiła osnuta w zasłonę młodości, jak w chwili odjazdu,
Tylko piękniejsza przez oddal, przez śmiertelne milczenie.
Czas się nie mieszał w jéj myśli o lubym, tam czasu nie było,
Lata nie miały tu władzy, on się przetworzył, nie zmienił:

Był on jéj sercu jak ten, który umarł; nie jak nieobecny.
Poświęcenia dla wszystkich, stałości i siebie zaparcia,
Tego jéj żywot nauczył, żywot łez pełen i proby.
Miłość jéj była rozlana, lecz jako silny aromat,
Ujmy ni wzrostu nie czuje, choć wonność rozsiewa w powietrzu.
Jedno jéj tylko, jedno marzenie, nic więcéj, chce wiernie
Kroczyć stopą pobożną w ślad przenajświętszy Chrystusa.
Tak przeżyła lat kilka w orszaku Siostr Miłosierdzia,
Strzechy zwiedzając ubogie w nieznanych zakątkach stolicy,
Kędy się nędza i boleść kryły przed światłem słonecznem,
Kędy choroba i smutek na łożu bez wsparcia ginęły.
Noc po nocy, gdy miasto już spało, stróż nocny kroczący
Z hasłem po pustych ulicach, by zbrodnię czujnością odstraszyć,
Kędyś tam w oknie wysoko dojrzał światełko jéj lampy.
Dzień po dniu na świtaniu, gdy zwolna przedmieściem
Kroczył germański osadnik z owocem i kwiatem na rynek,
Spotkał tę słodką, wybladłą twarz, wracającą do domu.
Raz przypadło, iż ciężka zaraza na gród uderzyła,
Dziwne ją znaki wróżyły i stada dzikich gołębi
Słońce zaćmiła ich rzesza: niosły w swych dziobach żołędzie.
Jak gdy w miesiącu dziewiątym powstaną morskie bałwany,
Natrą na jaki strumień, aż ten się rozleje w jeziora:
Tak śmierć na życie natarła, i z brzegów zwykłych wyparty
Rozlał się w dzikie jezioro srebrny strumień istnienia.
Piękność nie zdoła przekupić ciemięzcy, ni wdzięki, ni skarby;
Wszyscy zarówno padli pod biczem wściekłego jéj gniewu.
Tylko, niestety! biédny, co nie ma sług ni przyjaciół,
Garnie się na śmierć w Dom Miłosierdzia, w dom ludzi bez domu.
Stał on niegdyś w przedmieściu, pomiędzy łąkami i lasem;
Teraz go otacza miasto, lecz cicho z bramą i furtką
W pośród przepychu, mur jego potulny powtarzać się zdaje
Słowa Chrystusa: „wszak zawsze biednych znaj, dziécię, u siebie".
Tu w dzień i w nocy przychodzi siostra. Umierający
Patrzy na twarz jéj i myślą zaprawdę, że oglądają
Przedblask téj zorzy z za świata, co wkrótce ich skronie ma olśnić,
Jaką malarze wkładają na skroń apostołów i świętych,
Jaka wśród nocy nad miastem zawisłą się zdaje z oddali.
Przed ich oczyma to lampą się zdało od miasta bożego,
W które, wrotami jasności ich duchy już wkrótce wejść mają.
Tak w poranek Sabbatu ulicą milczącą i pustą,
Ciche zwracając kroki, weszła na progi szpitala.
Słodki w powietrzu letnim był zapach kwiatów ogrodu,
Kiedy wstrzymała się chwilę, by najpiękniejsze z nich zerwać,
Oczy chorego ich wdziękiem napoić raz jeszcze przed zgonem.
Oto przy wejściu na schody od wiatru wschodniego schłodzone,
Słodki, daleki w jéj uszy wpadał dźwięk dzwonów kościoła;
Z dźwiękiem dzwonu zmieszane zawiewały w tę stronę

Pieśni psalmów, śpiewane przez Szwedów w świątyni Wikoko:
Jak spadające skrzydło, tak słodko spadł pokój w jéj serce:
Coś w jéj duszy szepnęło: „już wreszcie i koniec twym próbom".
Z okiem tą myślą promiennem wchodzi do domu zarazy.
Za jéj nadejściem powstał bez szmeru jéj orszak strudzony,
Ona to usta odwilża gorące, to czoła spalone;
Oczy zagasłe zamyka pocichu i twarze nakrywa:
Oni na łożach tam leżą, jak płaty śniegu po drodze.
Ewangelina gdy weszła, nie jedna podnosi się głowa,
Znów na wezgłowie upada, chce widzieć ją jeszcze; jéj przyjście
Pada na serca, jak promień słoneczny na mury więzienia.
Kiedy spojrzała wokoło, widzi, jak zgon, pocieszyciel
Kładąc swą rękę na serce niejedno, uzdrawia na zawsze.
Niestety! ileżto twarzy znajomych ubyło téj nocy!
Wolne ich miejsca czekają, lub już doczekały się innych.
Nagle, czy jakąś trwogą wstrzymana, czy cudu uczuciem,
Niema stanęła i usta bezbarwne roztwarła, i przebiegł
Dreszcz po obliczu i kwiatek w obłędzie wypada jéj z ręki,
Z oczu zaś jéj i twarzy blask światła i świeżość poranku.
Wreszcie z tych ust wydziera się krzyk boleści tak straszny,
Że konający go słyszą i z swoich wezgłowi powstają.
Przed nią na łożu leżała postać starego człowieka,
Długi gęsty i siwy włos skroń jego ocieniał;
Lecz gdy leżał przy świetle poranku, twarz jego na chwilę
Zdała się jeszcze przybierać rysy pierwotnéj dzielności;
Tak się zwykła na krótko zmieniać twarz konających.
Jeszcze się pali na ustach czerwonych płomień gorączki,
Jakby tu życie, zwyczajem Hebreów, krwią drzwi swe zmazało,
Aby mógł anioł śmierci zobaczyć znak i ominąć.
Oto bez ruchu, bez czucia leży konając; duch jego
Jakby wyschły zapada w głębinę ciemności bez końca,
W ciemność marzeń i śmierci, a zawsze zapada, zapada.
Wtedy z owego królestwa cieniów w tysiącznych odbiciach
Słyszy krzyki męczeństwa, a w ciszy, co po nich nastała,
Jakiś tam głos wymówił dźwiękiem pół-ziemskim pół-świętym:
„O! Gabryelu, mój luby" i głos ten zamarł w milczeniu.
Owoż we śnie widzi raz jeszcze dom swego dzieciństwa,
Łąki zielone Akadyi, wędrowne rzeki w pośrodku,
Wieś i górę i lasy, i pod ich cieniem krocząca,
Jak w dniach młodości Ewangelina mu stała w marzeniach.
Łzy mu już biegły do oczu, gdy wolno źrenicę podnosi.
Widma znikły; na łożu Ewangelina klęczała.
Próżno sili się wyrzec jéj imię: głos niewynurzony
Zamarł na ustach, lecz ruch ich objawia, co język chciał mówić.
Próżno sili się powstać... Ewangelina klęczała,
Usta stygnące całuje i głowę do łona przytula.
Słodkim był blask jego oczu; lecz wkrótce zagasły i one,
Właśnie jak lampa, gdy wiatr przez szybę dosięgnie ją tchnieniem.

Teraz już wszystko skończone: trwoga, nadzieja i smutek,
Ciężar i boleść głęboka, i sama wytrwałość skończona.
Ach! gdy raz jeszcze ścisnęła głowę jego bez ruchu,
Oto i swoję pochyla i mówi: „Dzięki Ci! Ojcze!"

Bór wiekuisty trwa jeszcze, lecz zdala od jego cieniów,
Obok złożeni, w grób bezimienny, śpią oblubieńcy.
Kryje ich zwłoki ściana uboga małego cmentarza:
Drzémią w pośrodku miasta na wieki, bez sławy, bez wieści.
Co dzień koło nich fala życia napływa, odpływa,
Tysiąc serc tu bije—ich serca ucichły nazawsze;
Tysiąc dusz tu pala—ich dusze już wolne od męki;
Tysiąc tu rąk spracowanych — ich dłonie już pracę skończyły;
Tysiąc tu stóp znurzonych — ich stopy już drogę skończyły.
Bór, wiekuisty trwa jeszcze, lecz w cieniu jego konarów
Inne mieszka już plemię, z innym zwyczajem i mową.
Tylko wzdłuż brzegów posępnych Atlantyku mglistego
Siedzi garstka Akadyan, których ojcowie z wygnania
Powrócili do ziemi rodzinnéj, by umrzéć w jéj łonie.
W chacie rybaka jeszcze pracują wrzeciona i koła,
Jeszcze niewiasty noszą normandzkie nagłowie i suknie:
W wieczór przy ogniu wznawiają podanie o Ewangelinie.

O TELEGRAFII ELEKTRYCZNÉJ.

PRZEZ

S. E.

(Z RYCINAMI).

(Dokończenie).

XV.

Stosownie do wyobrażeń, jakie dotąd powzięliśmy, wiemy, że telegraf elektryczny, między dwiema stacyami *A* i *B* korrespondencyą uskuteczniać mający, składa się: 1) z okręgu metalicznego zamkniętego, czyli z drutu od *A* do *B* idącego i wracającego napowrót; 2) ze stosu w tymże okręgu umieszczonego; 3) z pewnego przyrządu telegraficznego, znajdującego się na stacyi przesyłającéj depeszę, a który z tego powodu *przesyłaczem* nazwiemy; 4) z elektro-magnesu poruszającego na stacyi przeciwnéj, przyrządem odbierającym depeszę, dla téj przyczyny *odbieraczem* zwanym.

Bez tych zasadniczych części żaden telegraf elektryczny istniéćby nie mógł, dlatego je statecznie napotkamy w każdym telegrafie, mimo zmian jakim ulegać będą jego przyrządy, przesyłacz i odbieracz stanowiące. Zobaczymy kolejno, że te ostatnie zrazu różne, zamieniono na dwa zupełnie sobie podobne apparaty; daléj, że stos zastąpiono machinami elektro-magnetycznemi, taniéj dostarczającemi płynu poruszającego; ujrzymy nawet, że czynności połowy drutu przewodniego, ziemi pełnić

kazano, ale przekonamy się, że nigdy nie wyrzucono żadnéj z części, które w poczet zasadniczych wliczyliśmy.

W następujących opisach używanych telegrafów, przypuścimy okrąg metaliczny zupełny, stos w swym przebiegu mieszczący, samą więc tylko zmianę przyrządów weźmiemy pod rozwagę.

Telegrafy elektryczne wedle natury odbieracza są skazówkowe, lub piszące; piérwsze znowu są: abecadłowemi jeżeli wskazują litery depeszę przesyłaną składające; albo sygnałowemi, jeżeli ich skazówki w swym kołowym biegu przedstawiają naszemu oku pewne znaki (niejako sygnały), składające w swém ugodném znaczeniu tęż depeszę. Drugie przeciwnie drukują litery wiadomości odbieranéj, lub piszą zastępujące je znaki.

XVI.

Pierwotny abecadłowy telegraf p. Froment, (fig. 6 i 7) dla użytku paryzkiego fakultetu umiejętności w r. 1845 przez p. Froment wykonany, nie jest ani używanym w rzeczywistych telegraficznych korrespondencyach, ani się odznacza dokładnością urządzeń: zaleca go jedynie ich prostota. I z tego to powodu od jego opisu poczynam, przyzwyczajając niejako czytelnika do zrozumienia bardziéj skomplikowanych przyrządów.

Cyferblat tak przesyłacza jak odbieracza, podzielony na 26 równych części, mających wyryte lub wypisane 25 liter alfabetu, i znak +, na którym po zakończeniu każdéj depeszy obiedwie skazówki znajdować się powinny. Skazówka odbieracza niewolniczo powtarza ruchy przesyłacza. Zrozumiejmy naprzód poruszenia odbieracza (fig. 7). Elektro-magnes w okręgu telegraficznym umieszczony, przyciągnie z wiadomych nam powodów drążek *h*., uzbrojony naprzeciw elektro-magnesu w miękkie żelazo, skoro tylko strumień elektryczny pojawi się w okręgu. Pamiętajmy, że stos się w nim znajduje, że zatém jego zamknięcie jakimkolwiek otrzymane sposobem, zbliży do elektromagnesu drążek *h* około *d* ruchomy. Dodatkowa część drewniana broni bezpośredniego ich zetknięcia. Przerwijmy znowu okrąg, a elektro-magnes przestanie na drążek *h* działać, ten więc sprężyną do niego przymocowaną od elektro-magnesu oddalonym i cofniętym zostanie, aż do spotkania z drewnianą przeszkodą, ograniczającą ten zwrotny ruch jego.

Wahanie drążka *h* od kolejnych przerywań i zamykań okręgu zależne, kierują skazówką odbieracza; drążek bowiem zatamuje się w *g* pod kątem prostym, i za pośrednictwem dodatkowéj części *e*, wycieczki swoje w prawą i w lewą stronę czynione, kommunikuje wychwytowi *b c d*, zakończonemu kołeczkami *b i d*. Te kołeczki prą kolejno na 13 zębów ukośnych koła *a*, które właśnie dla nachylenia zębów swoich tylko od prawéj ku lewéj stronie obracać się może. Rozmiary wahnień wychwytu *b c d*, tak są utrafione, że każda jego w lewą stronę wycieczka wywołana parciem *d* na jeden z zębów koła *a*, posuwa go wraz ze skazówką w jego środku przymocowaną, o $^1/_2$ zęba, czyli o $^1/_{26}$ obwodu; kołeczek *b* toż samo powtórzy za każdą lewą wycieczką. Jeżeli przeto poza skazówką umieścimy, jak to zresztą wskazuje figura, cyferblat z 26 literami, to każde poruszenie, jako i zamknięcie okręgu o jedną literę skazówkę posunie. Przypuśćmy, że skazówka na + się znajduje, to w ciągu 13 zamknięć okręgu, 13ma jego przerwami przeplecionych, obieży cały alfabet i do + powróci. Przebiegając jednak wszystkie litery jednostajną szybkością, rzeczywiście żadnéjby nie oznaczała; dlatego jednostajne, a szybkie przerywanie i zamykanie okręgu zmienia się, gdy skazówka dojdzie żądanéj litery, i wtedy okrąg przez dłuższy nieco czas pozostawia się przerwanym, lub zamkniętym.

Opis przesyłacza (fig. 6) pokaże, jak można z odległéj stacyi ruchami odbieracza kierować. Wiemy, że kolejne przerywanie okręgu na stacyi depeszę przesyłającéj rządzi ruchami elektro-magnesowego drążka stacyi przeciwnéj, a zatem i jéj odbieracza; dlatego wraz z igłą przesyłacza, któréj się ręką ruch nadaje, obraca się koło żelazne 13 prostych zębów na obwodzie swoim mające. Do tego koła dochodzą dwie sprężyny *y* i *x*, z których piérwsza kształtem wyskakującego z niéj kołeczka nie pozwala kołu na lewo się obracać; a druga dotyka się koła swą częścią wyskakującą, gdy jeden z 13 zębów naprzeciw niéj się znajduje: przeciwnie nie ma żadnéj z niem styczności, gdy między zębami odstęp na to miejsce nadejdzie. Drut przytwierdzony do *x*, a mieszczący w przebiegu swoim stos, idzie do elektro-magnesu stacyi przeciwnéj, zkąd wracając u sprężyny *y* się kończy. Obracając przeto skazówką przesyłacza kolejno się przerywa i zamyka okręg: przerywa, gdy między zębami ustęp koła *m* przyjdzie naprzeciw części wyskakującéj

sprężyny y; zamyka zaś, gdy koło m powolne ruchom skazówki swój ząb przywiedzie do zetknięcia z tąż częścią.

Widzimy przeto, że posunięcie o 1, 2, 3... 7, 8.... i t. d. liter skazówki przesyłaczem, okrąg zamknie i przerwie pewną liczbę razy; że summa tych zamknięć i przerw równa summie przez skazówkę przesyłacza przebieżonych liter; że zatém korrespondencya między dwiema stacyami jest i łatwą i możliwą. Obie stacye mają swoje skazówki na +: dajmy, że stacya A chce przesłać stacyi B wiadomość od wyrazu DOM poczynającą się; urzędnik stacyi A szybko skazówkę swego przesyłacza z + na d posunie, w tém położeniu zatrzymawszy chwilkę na o, a potém na m przeprowadzi. Skazówka odbieracza stacyi B ruchy te wiernie powtórzy.

Telegraf ten, w składzie dotąd opisanym wystarcza do potrzeb wykładu. W użytku praktycznym potrzebuje on uzupełnienia, które w częściach dodatkowych znajduje. Opiszę te części w innych telegrafach używane, dla dania zupełnego wyobrażenia o znoszeniu się między sobą dwóch lub kilku stacyi.

1) Gdyby po zakończeniu korrespondencyi zamkniętym pozostał okrąg mieszczący stos w swym przebiegu, działanie jego napróżnoby się wyczerpywało. Należy przeto stos z okręgu wyprowadzić, i okrąg nie mieszczący już stosa uzupełnić a to w celu, który ad 3 poznamy. Ten podwójny rezultat, osiągniemy łatwo za pomocą drewnianego krążka M (patrz fig. 8), do którego przymocowano dwie miedziane szyny ab i cd; krążek ten w płaszczyznie figury, ćwierć obrotu około punktu b odbyć może. Niech druty od dwóch biegunów stosu znajdują się w D i U, druty zaś międzystacyjne L i L' w położeniu figurą wskazaném: nasz krążek zamyka okrąg, w którym się stos znajduje. Obróćmy go o QO^0 około b tak, aby a dotknęło się L', a okrąg międzystacyjny pozostanie zamkniętym, z tą jednak różnicą, żeśmy stos z niego wyprowadzili. Druty biegunowe tego stosu pozbawione zostaną tym ruchem krążka M kommunikacyi między sobą, i stos działać przestanie.

Urzędnik naprzeciw przesyłacza siedzący, ma w pobliżu rękojeść, której łatwo dosięgnąć może. Rękojeścią tą nadaje w miarę potrzeby krążkowi M jedno ze wskazanych położeń.

2) Każda ze stacyj A i B, odbieracz i przesyłacz swój posiada; każdy z tych przyrządów, na każdéj ze stacyi tak urządzonym być powinien, aby kolejno do okręgu wprowadzonym, lub

z niego usuniętym być mógł. Jest to konieczném, jeśli jeden okrąg metaliczny ma wystarczać do wzajemnéj między stacyami korrespondencyi. Cel ten osiągnąć można za pośrednictwem rozlicznych narzędzi. I tak, krąg drewniany ruchomy około środka, mający 2 pręty metaliczne odosobnione od siebie, a przymocowane w kierunku dwóch średnic do tego użytku wystarcza. Do końca dwóch średnic dochodzą druty prosto od stacyi przeciwnéj idące, naprzeciw zaś przeciwnego półobwodu naszego kręgu znajdują się druty do przesyłacza, odbieracza i ostrzegającego dzwona stacyi miejscowéj wiodące, tak, że przez prosty obrot naszego kręgu, te 3 przyrządy kolejno w okrąg międzystacyjny wprowadzone być mogą. A zatém krąg w mowie będący, jednym okręgiem potrójny zastępuje.

Gdy połowa międzystacyjnego przewodnika ziemią jest zastąpiona, krążek nasz zamienia się na prostą szynę, stale z drutem linii jednym końcem połączoną, a drugim dotykającą kolejno drutu już to przesyłacza, już odbieracza, już wreszcie dzwona ostrzegającego.

W obu razach urzędnik naprzeciw przesyłacza siedzący, stosowną rękojeścią nadaje potrzebne ruchy krążkowi, lub szynie.

3) *Dzwony ostrzegające* są niezbędnie potrzebne, bez nich bowiem urzędnicy korrespondujących stacyj z okiem statecznie na skazówki obróconém, musieliby ich poruszeń bacznie pilnować: uwaga podobna przechodzi siły ludzkie. Zdrzemnięcie się, samo nawet zwrócenie myśli na inny przedmiot, jużby nienaprawione omyłki, lub opuszczenia do odbiéranéj wprowadziły wiadomości. Z dzwonami ostrzegającemi zupełnie jest inaczéj: stacye *A* i *B* po ustaniu czynności telegraficznéj, wypuszczają stosy, przesyłacze i odbiéracze z okręgu, a dzwony, czyli przyrządy ostrzegające w takowy wprowadzają. Stacya chcąca przesłać wiadomość np. stacya *B*, wypuszcza swój dzwon, a wprowadza stos do okręgu, a że ten, jakeśmy *ad* 1um wzmiankowali nie jest przerwanym na stacyi *A*, dzwon przeto téj stacyi peryodycznie uderzany, głos wydawać będzie, aż do wyprowadzenia go z okręgu.

Jeden z powszechnie używanych ostrzegających przyrządów, składa się z elektro-magnesu przyciągającego drążek żelazem miękkiém uzbrojony. Drążek ten ruchomy około swego środka, opatrzony jest na końcu w młotek. Gdy elektro-ma-

gnes przyciąga drążek, młotek uderza o stale osadzony i nieruchomy dzwon; oddali się zaś od niego, gdy drążek elektro-magnes opuści, aby za każdém zamknięciem okręgu uderzenie powtórzyć.

Zobaczmy teraz, jak kilka stacyj *A*, *B*, *C*, *D*, połączonych okręgiem telegraficznym, korrespondować z sobą może. Korzystając z chwili spoczynku, wszystkie stacye wyprowadzają stosy i telegraficzne przyrządy z okręgów, same dzwony w takowych zostawując. Dajmy, że w takim stanie rzeczy stacya *B*, chce przesłać pewną wiadomość stacyi *D*; urzędnik stacyi *B* w okręgu dzwon stosem zastąpi, w skutek czego dzwony *A*, *E*, *D*, jednocześnie zabrzmią. Na ten znak ostrzegający, stacye ostrzeżone, odbieracze w miejsce dzwonów w okrąg wprowadzą, współcześnie stacya ostrzegająca *B*, swój przesyłacz w okręgu umieściła: nim dopiéro wszystkie stacyj linie, niepewne dotąd od kogo pochodziło i do kogo stosowało się ostrzeżenie z niepewności wyprowadza. *A*, *C* i *D* dowiadują się zarazem, że *B* chce korrespondować z *D*; więc *A* i *C* odbieracze z okręgu wyprowadzają; sama tylko stacya *D* słucha wiadomości od *B* pochodzącéj.

Londyńskie biuro kompanii telegrafów angielskich, i rozległością czynności i porządkiem urządzenia na wzmiankę zasługuje. Mieści ono kilkanaście przesyłaczów, z tyłąż odbiéraczami i z więcéj jak sto rozmaitych stacyj korrespondować może.

XVII.

Telegraf abecadłowy panów Foy i Bréguet (fig. 8) używany we Francyi do prywatnych korrespondencyj. Tak przesyłacz, jak i odbiéracz jego, podwójne rzędy napisów noszą blizko obwodów swoich: jeden mieści litery, drugi liczby i używańsze zdania. Pewne telegraficzne umówione sygnały oznajmują urzędnikowi stacyi odbiérającéj depeszę, do którego z dwóch rzędów odnoszą się położenia skazówki odbiéracza.

Przesyłacz telegrafu tego niewiele się różni od znanego już nam przesyłacza p. Froment, koło jego jednak nie jest zębatém; natomiast jego obwód jest linią wężową z 13 części wyskakujących i tyluż wrębów złożoną. Jeden drut okręgu do osi koła dochodzi, a drugi połączony jest ze sprężyną do sprężyny *x* telegrafu p. Froment podobną. Pojedyńcza sprężyna

ta zamyka lub przerywa okrąg, w miarę tego, jak koło w obrocie swoim, swą wypukłością lub wrębem naprzeciw niéj się znajduje. Nadto skazówka przesyłacza jest silniejsza, i opatrzoną kołeczkiem, który w wyżłobienia cyferblatu środkom liter odpowiednie, w czasie ruchu obrotowego skazówki, z lekkiém wpada tarciem, a przez to proste ulepszenie, najmniejszéj nie zostawia wątpliwości co do miejsca, na którém skazówkę zatrzymać należy.

Odbieracz, którego ważniejsze części wystawione na fig. 9, bardziéj znaczącym uległ zmianom; a przedewszystkiém koło zębate poruszające skazówkę nie jest wprawiane w swój jednokierunkowy obrot wychwytem, od elektro-magnesu zależnym. Czynność tę pełni stosowny zegarkowy przyrząd. Wychwyt zaś, drążkowi elektro-magnesu posłuszny, za każdém swém wahnieniem w jednę, lub w drugę stronę, pozwala kołu i zależnéj od niego skazówce wejść w ruch pod wpływem apparatu zegarkowego, któryto ruch zatrzyma, gdy koło wychwytem o $^1/_2$ zęba, czyli skazówka o jednę posunie się literę. Równie więc w tym, jak i w poprzedzającym odbieraczu każde zamknięcie i każde przerwanie okręgu, skazówkę od poprzedzającéj do następującéj przeniesie litery.

Wychwyt pp. Foy i Bréguet stawia spokojną zaporę ruchom swego koła; nie trąca go ani uderza jak w odbiéraczu p. Froment. Z powodu doskonałości swojéj zasługuje on na opis szczegółowy. Jestto oś pozioma *cd* (fig. 9), wahania poprzeczne, czyli w płaszczyznie poziomej z tyłu naprzód, i z przodu w tył odbywająca; opatrzona jest ona krążkami *x* i *y* wysokością swoją poza niższy brzeg przechodzącego naprzeciw zęba koła wychwytowego sięgającemi, a o połowę długości jednego zęba od siebie oddalonemi. Jeden z nich na tyle osi, drugi zaś przed nią się znajduje, i to tak, że koło wychwytu w swym obrotowym biegu znowu przez jeden z krążków przepuszczone, a przez drugi zatrzymane bywa. A mianowicie, gdy oś swe wahnienie ku przodowi figury uskuteczni, krążek *y* zejdzie z drogi koła; to więc pod wpływem zegarkowego apparatu ku prawéj posunie się stronie, ale tylko o pół zęba, gdyż w téj odległości znajdzie zaporę w krążku *x*. Dopiéro gdy oś wychwytowa w swém powrotném wahnieniu w tył się cofnie, krążek *x* opuści ząb, który zatrzymywał i pozwoli kołu nowy zacząć obrót; ale i ten tylko pół zęba wyniesie, bo całéj odle-

głości krążek *y* ząb następny zachaczy. Tak więc cała tajemnica telegrafu tego w wahaniach osi wychwytowéj spoczywa; łatwo domyślamy się, że te wahania zależą od kolejnego zamykania i przerywania okręgu, które igła przesyłacza w swych obrotowych poruszeniach dokonywa.

Jakoż powróćmy do fig. 9. Widzimy na niéj poziomy elektro-magnes; ten przyciąga w czasie zamknięcia okręgu blachę *g*, ruchomą osi poziomej *h*. Drążek *g i*, swym końcem *g* stale do téj blachy przymocowany, a ruchomy około swego środka, kieruje osią wychwytu za pośrednictwem drugiego swego końca *i*; posunie ją więc na przód za każdém zawarciem, a wstecz cofnie za każdém przerwaniem okręgu.

XVIII.

Telegraf klawiszowy p. Froment (fig. 10 i 11). Jestto telegraf abecadłowy, odbiéracz jego jeszcze nie zidentyfikowany z przesyłaczem. już jednak jest z nim stale połączony, jak to wykazuje fig. 10, któréj cyferblat górny jest odbiéraczem, rzęd zaś spodnich klawiszy przesyłacz stanowi. Odbiéracz podzielony jest na 28 podziałów, w podwójnym okręgu, podwójny rząd napisów noszących: w jednym rzędzie postrzegamy litery, w drugim liczby i używańsze znaki. Pewne umówione telegraficzne sygnały zawiadamiają odbiérającego depeszę, w którym z dwóch rzędów takową ma czytać. Zresztą odbiéracz tylko wykończeniem i udoskonaleniem małoznacznych szczegółów różni się od odbiéracza p. Froment pod N-em 16 opisanego. Przesyłacz zupełnie przeistoczony, na szczególną zasługuje uwagę.

Pod 28 klawiszami figury 10, znajduje się oś pozioma *aà*; na téj metalicznéj walcowéj osi widzimy koło *r* z ukośnemi zębami, które jest ostatniém kołem zegarowém mechanizmu, a przez tenże mechanizm poruszane w bieg obrotowy wprawia oś *ad*, na któréj jest osadzone. Wspomnianemu obrotowi sprzeciwia się palcat *ć* (w przecięciu na fig. 11 widziany); dopiéro za naciśnięciem jego przedłużenia *c*, palcat wychodzi z pomiędzy zębów koła *r*, i przestaje tamować jego ruch wirowy.

Naciskanie na przedłużenie *c*, palcatu *ć*, uskutecznia się za pośrednictwem linii poziomej *zź*, która za uderzeniem

w którykolwiek z klawiszów, ulega ich parciu, zniża się w całéj swéj długości, dotyka *c* przenosząc nań parcie klawiszem wywarte, i ostatecznie kołu *r* dozwala uskutecznić ruch przez zegarkowy apparat nakazany.

Na osi *aa'* znajduje się 28, w kształcie podłużnéj, spiralnéj przymocowanych do niéj promieni, dzielących długość i obwód osi na 28 części równych. Każdy promień odpowiada jednemu klawiszowi, klawisze zaś na dolnéj swéj części opatrzone są pojedyńczemi kołeczkami, o które promień odpowiedni zahacza się w czasie parcia na klawisz, czyli zniżenia kołeczka. Naciskając jeden z klawiszy np. *m*, zniżamy linią *zź*, ta działając na *ć*, dozwoli kołu *r*, i osi *aa'* wejść w ruch obrotowy, który dopóty trwać będzie, dopóki promień osi *aa'* klawiszowi *m* odpowiadający nie zostanie zatrzymany kołeczkiem klawisza *m*.

Aby w czasie przenoszenia ręki z jednego klawisza na drugi, okrąg przerwanym i zamkniętym został potrzebną ilość razy, oś *aa'* na końcu przeciwległym kołu *r*, niesie koło metaliczne *r'*, o 14 zębach; koło to obraca się wraz z osią *aa'* i zamyka okrąg ile razy jednym z zębów swoich dotknie się sprężyny kołeczkiem zakończonéj; przerywa go zaś, gdy przerwą międzyzębową naprzeciw kołeczka się znajdzie.

Telegraf ten, najdoskonalszy ze znanych abecadłowych, w r. 1851 wykonanym został przez p. Froment.

XIX.

Telegraf abecadłowy pana Siemens. Wynalazek p. Siemens sięga r. 1850; telegraf jego bardzo ceniony w całych Niemczech, został w państwie pruskiém wyłącznie przyjęty do telegraficznéj korrespondencyi. I rzeczywiście telegraf ten ma w wielu względach niezaprzeczoną wyższość nad wieloma późniejszemi nawet przyrządami. Do zalet jego należy szybkość, z jaką przesyłacz litery depesze składające, może uwadze odbiéracza kolejno przedstawiać. P. Siemens i jego współpracownik p. Halske poruszają igłę przesyłacza z prędkością pół obrotu na sekundę: zdwojenie jednak téj prędkości jest możliwém. Najważniejszém jednak udoskonaleniem przez p. Siemens do telegrafii wniesioném jest zupełna tożsamość, jaką między odbiéraczem, a przesyłaczem zaprowadził; na każdéj stacyi jeden tylko potrzebny przyrząd, a ten wykona czynności dwóch do-

piéro wspomnianych. Ta odmiana, to niesłychanie ważne ulepszenie za sobą pociąga, że odbiérający depeszę może każdéj chwili, bez zamieszania w służbie poczynić swoje uwagi przesyłającemu; ostrzedz go o niezrozumieniu, lub pomyłce, żądać sprostowań, lub wyjaśnień: wszystko to niemożliwém jest w razie, gdy przesyłacz i odbiéracz są odrębnemi mechanizmami. Przesyłający bowiem depeszę, nie może oderwać uwagi od przesyłacza, gdy tymczasem ostrzeżenia stacyi przeciwnéj tylko na skazówkę jego odbiéracza działają.

W telegrafie p. Siemens drążek przyciągany przez elektro-magnes każdéj stacyi i w tył jak zwykle sprężyną cofany, podwójne ma przeznaczenie:

1) Każde jego pojedyńcze wahnienie posuwa o pół zęba koło zębate skazówką kierujące, a samę skazówkę o jednę literę.

2) Drążek ten za dotknięciem się elektro-magnesu, przerywa okrąg; w skutek tego oddala się od niego, któreto oddalenie nowe zamknięcie okręgu sprowadza.

Dwa przyrządy podobne na stacyach A i B w okrąg wprowadzone pod samym wpływem stosu, wiecznieby swe obie skazówki biegiem jednostajnym poruszały. Cały dalszy mechanizm ma na celu zatrzymanie w stosownem miejscu skazówki przesyłającéj depeszę, co za sobą pociągnie zatrzymanie w podobném położeniu skazówki odbiérającéj. Aby to osiągnąć, umieścił p. Siemens wokoło cyferblata tyle klawiszy, ile jest liter; cisnąc na jeden z nich zniża się kołeczek do dolnéj jego części przymocowany. A że każdy z tych kołeczków w czasie zniżenia swego skazówkę w jéj obrocie zatrzymuje, więc ta doń doszedłszy zatrzyma się, wraz ze skazówką stacyi przeciwnéj. Trzeba dodać, że to zatrzymanie odpowiada przerwaniu okręgu.

Po tym opisie łatwo pojąć, jak urzędnik odbiérający depeszę na stacyi B, wpływa na przyrządy urzędnika stacyi A. Gdy A przesyła wiadomość, a B jéj nie rozumie, natychmiast ciśnie palcem jeden z klawiszy. Przerwie się więc okrąg, a w skutek tego chociaż A w dalszym ciągu depeszy naciśnie klawisz stosowny, to skazówki obu stacyj pozostaną nieruchome. Ta anormalna nieruchomość ostrzeże urzędnika stacyi A, że stacya B objaśnień żąda: zaniecha więc telegrafowania swéj depeszy, aby zapytań B posłuchać.

Telegraf abecadłowy p. Siemens jest zarazem telegrafem drukującym; w tym celu stacye *A* i *B* mają oprócz kół skazówkami władających, inne koła na jednéj z piérwszemi osadzone osi i obracające się razem z niemi. Koła te umieszczone są w osobnym okręgu, własnym elektro-magnesem zaopatrzonym. Składają się one z tylu promieni, ile jest klawiszy. Każdy promień, których dajmy że jest 30, oznaczony jest na swym końcu obwodowi koła odpowiednim wyskakującą metaliczną literą, i jest od środka ku obwodowi ruchomy. Do ruchów tych nagli je drążek elektro-magnesu dodatkowego, kształt młotka przybierający dla odpowiedzenia przeznaczeniu swemu. Dopóki przesyłacz i odbiéracz odbywają swe ruchy pod samym wpływem stosu, bez żadnego wdawania się urzędnika stacyi przesyłającéj depeszę, dopóty koło do odtłaczania liter depeszy przeznaczone, towarzyszy tylko ruchowi skazówek, żadnego widomego nie zostawiając śladu. Przeciwnie za przyciśnięciem jednego z klawiszy i przerwaniem okręgu głównego zamyka się dodatkowy, czyli mieszczący apparat drukujący. Drążek elektro-magnesu dodatkowego, przyciągnięty przez ten elektro-magnes, uderzy w promień odpowiedni ciśniętemu klawiszowi; promień zaś ten wyskakując i znajdując naprzeciwko siebie papiér, odtłoczy na nim literę depeszy na swym zewnętrznym końcu wyrytą.

Aby to odtloczenie było wyraźnem, potrzeba:

1) Warstwą tuszu pokryć litery promieni: sprawia to nieruchoma puszka tuszem napojona; wyskakujące litery promieni, obracających się, przechodząc kolejno około puszki i trąc o nią, pokrywają się warstwą tuszu.

2) Papiér na sprężystéj warstwie kauczuku rozpięty, powinien po odbiciu jednéj litery posunąć się o jéj szerokość, a to dlatego, żeby następne uderzenie młotka w inném miejscu papiéru odbiło następną literę. Papiér rozpięty jest na walcu, a drążek dodatkowego elektro-magnesu, który widzieliśmy, że za zamknięciem swego okręgu uderza jeden z promieni, kommunikuje swe ruchy drugiemu drążkowi, tak urządzonemu, iż z każdém przerwaniem okręgu dodatkowego posuwa o jeden ząb koło na jednéj osi z walcem owiniętym papiérem, osadzone. Czysty więc papiér znajdzie się w miejscu przeznaczoném na następne uderzenie promienia. Papiér cienką listewką na walcu zwinięty, sam się z niego, w miarę jak

zadrukowanym został, wywija. Oddruk telegraficznych depeszy jest ważny, bo zapobiega i prostuje omyłki, jakie urzędnicy odbiérających stacyj popełnić mogą.

XX.

Telegraf rządowéj administracyi telegrafów francuzkich (fig. 12 i 13), pierwiastkowo w r. 1846 przez panów Foy i Bréguet między Paryżem a Rouen zaprowadzony, należy wraz z telegrafem kompanii telegrafów angielskich, do telegrafów sygnałowych. Telegraf panów Foy i Bréguet, przez nich wydoskonalony, wyłącznie do rządowych korrespondencyj służy we Francyi. Każda linia telegraficzna posiada stosownie do przepisów dekretu cesarskiego w r. 1855 wydanego, przyrządy pp. Foy i Bréguet dla korrespondencyj rządowych, obok dowolnych telegraficznych przyrządów, do prywatnego użytku pozostawionych.

Powzięliśmy z nr. 6 wyobrażenie o tajemniczym języku. Wiemy, że to jest język telegrafii optycznéj, który się składa z poruszeń regulatora i dwóch na jego końcach umieszczonych skazówek. W zastosowaniu do elektrycznéj telegrafii potrzeba do wykonywania tych troistych ruchów, troistego okręgu i troistych telegraficznych przyrządów. A nadto skazówki na końcach regulatora, powinny odbywać ruchy, chcąc aby znaczenie w dawnéj telegrafii nadane zatrzymały. Jestto rzeczą niemożliwą w telegrafii elektrycznéj, albowiem potrzeba, iżby regulator w swych ruchach unosił ze sobą skazówki i całe do nich odnoszące się przyrządy. Pozostawiono przeto regulator w niezmiennem położeniu poziomém, albo raczéj zastąpiono go poziomą kreską. Na końcach téj kreski znajdują się dwie skazówki, z których każda 8 tylko odmiennych przybiera położeń; jedno z nich jest spoczynkowe, 7 pozostałych stanowi znany nam język telegraficzny.

Każda ze skazówek ma swój oddzielny okrąg, stos i narzędzia telegraficzne, umieszczone na dwóch korrespondujących ze sobą stacyach. Mechanizmy przez pp. Foy i Bréguet używane poznaliśmy, mówiąc o ich abecadłowym telegrafie; teraz w kilku wyrazach poznamy zmiany, jakim uległy w nowém zastosowaniu.

Odbieracz podwójny, czyli dwa odbieracze do dwóch skazówek należące, wystawia fig. 12. Skazówki *ac* i *bd* przy-

bierać mogą po 8 położeń, oznaczonych na cyferblatach, środki swoje w *a* i *b* mających. Wnieść łatwo z tylolicznych opisów, że dla nadania każdéj ze skazówek tych ośmiu położeń, kierujące nią koło 4 zęby i tyleż wrębów mieć musi. Widzimy je zastąpionem na figurze kołem o cztérech promieniach *m n o* i *p*. Koło to poruszane przyrządem zegarkowym, a znanym nam wychwytem zatrzymywane, za każdém zamknięciem lub przerwaniem okręgu posunie się o $^1/_8$ obwodu, a zatém zależną od siebie skazówkę przeniesie ze znaku cyferblatu, na którym się zatrzymywała, do znaku następnego, A że każda ze skazówek 7 odmiennych przybiera położeń, więc obie razem wzięte w swych niezależnych ruchach, dać nam mogą wszystkie sygnały.

Przesyłacz kierujący temi ruchami odbieracza składa się (fig. 13) z dwóch kół *d* i *d*, dotykających się w *z* i *z*, dwóch przewodników linij. Te metaliczne koła mają obwody na 8 równych podzielone części, z których cztéry nieprzyległe, jakimkolwiek nieprzewodnikiem np. kością słoniową pokryte, obracając je za pośrednictwem korb *m* i *m'*, przerywamy okrąg 4 razy w ciągu jednego obrotu i tyleż razy zamykamy go. Jeżeli przeto przed rozpoczęciem korrespondencyi korby przesyłacza i skazówki odbieracza znajdowały się na znaku spoczynkowym, to się i w ciągu depeszy w ruchach swoich zgadzać będą. Urzędnik stacyi przesyłającéj, dla lepszéj kontrolli ruchów swych korb, ma przed sobą narys regulatora, dwiema rzeczywistemi skazówkami zakończony. Skazówki te powtarzają ruchy korb i skazówek odbieracza; poruszane zaś są przyrządem mechanicznym zazębiającym się z kołami z *d* i *d* współśrodkowemi, a bynajmniéj nie zależącym od okręgu i apparatów telegraficznych.

Telegraf ten 100 sygnałów na minutę przesłać może.

XXI.

Telegraf kompanii angielskich telegrafów (fig. 14, 15 i 16). 1) Telegraf o jednéj skazówce przez pp. Wheatstone i Cooke zbudowany, do 60 telegraficznych znaczeń litery i cyfry wyrażających, na minutę dać może.

Składa się głównie z igły *g* (14), między dwoma kołeczkami *a* i *a'* wahania swe odbywającéj. Wahania te rachując od piérwszego położenia igły *g*, dzielą się na prawe i lewe. Kombinacye najwyżéj z 4 wahnień złożone, cały dają alfabet,

wypisany na cyferblacie telegrafu. Kreski od lewéj ku prawéj stronie idące, oznaczają wahania lewe, i nawzajem; w literach dwustocznemi wycieczkami igły wyrażonych, wahania krótszym kierunkom odpowiednie, naprzód się wykonywają. I tak 4 lewe wahnienia *C*, 3 prawe *O*, 2 prawe z następującemi dwoma lewemi literę *L* oznaczą. Przesyłacz i odbieracz telegrafu tego w niczém się nie różnią. Przesyłający depeszę, wahnienia wskazane uskutecznia kluczem *f*, nadając mu położenie poziome raz w prawą, drugi raz w lewą obrócone stronę, a igła *g* tak przesyłacza, jak i odbieracza, odpowiednie, lubo daleko mniejsze, bo kołeczkami *a* i *a'* ograniczone, odbywać będzie wycieczki. Przy odbieraczu dwóch potrzeba urzędników: jeden rachuje ruchy igły i głośno wymawia odpowiednie litery, drugi zapisuje wymówione litery.

Poruszania igły *g* zależą od ruchów magnesu *ab* osadzonego na jednéj z nią osi *a* (fig. 15); magnes ten wraz z okrążającą go cewką stanowi galwanometr. Klucz *f* na prawo obrócony zamyka okrąg mieszczący w sobie galwanometr przesyłacza i odbieracza; zmusi więc magnes *ab* do zboczenia w stronę płynieniem strumienia oznaczoną, a którą według praw Ampera wskazać potrafimy. Otóż taki jest kierunek strumienia, że igła galwanometru na prawo zboczy: to zboczenie byłoby daleko większe, gdyby igła czyli skazówka *g*, stale z magnesem *ab* złączona i razem z nim zbaczająca, nie została zatrzymaną kołeczkiem *a'*; w skutek tego zboczenie jéj ogranicza się do kilku stopni.

Klucz *f* wracając do pionowego położenia przerywa okrąg, a na lewo zwrócony zamyka go znowu, wzbudzając w galwanometrze strumień przeciwnego kierunku względem strumienia, w czasie prawéj wycieczki klucza powstałego; ztąd magnes *ab* i skazówka *g* zbaczają w lewą stronę: wielkość tego zboczenia umiarkuje kołeczek *a*.

Znamy już zasadę telegrafu pp. Cooke i Wheatstone, wytłumaczyć tylko potrzeba, jak zwrot klucza ku prawéj, lub lewéj stronie nadaje przeciwne kierunki strumieniowi płynącemu po metalicznym okręgu, zamykanym przez ten ruch klucza. Fig. 16 jest przecięciem, czyli widokiem z boku całego przyrządu. Klucz *f* osadzony jest na osi z kości słoniowéj, opatrzonéj dwoma metalicznemi pierścieniami *n* i *p*, nieprzewodnictwem osi od siebie odosobnionemi. Pierścienie te za pośrednictwem sprę-

żyn *ry* i *r'x* są w związku, 1szy z biegunem dodatnim, 2gi z biegunem ujemnym stosu. Jeden koniec nici galwanometru do *N* dochodzi, drugi zaś przez *m* do drugiéj ciągnie się stacyi, a oddaległszy jéj przyrządy, do punktu *b* powraca. Sprężyny *gg'* i *dd'* w naturalném położeniu swojém nie dotykające pierścieni *n* i *p* i kołeczki *v v'* stale z temiż pierścieniami połączone, uzupełniają przyrząd; *gg'* połączona jest z galwanometrem, *dd'* zaś z *b*, a zatém i z jedną zmiędzystacyjnych nici. Kołeczki *v* i *v'* o 180° stopni odległe, obracają się wraz z kluczem *f*; gdy ten w prawo poruszymy, *v'* prze na *d* od prawéj strony, *v* zaś od lewéj na *g*: przeciwnie za lewém poruszeniem klucza, *v'* z prawéj strony prze na *g*, a *v* z lewéj na *d'*. Nareszcie w czasie spoczynku, czyli piérwszego położenia klucza *f'* kołeczki *v* i *v'* nie dotykają się sprężyn *dd* i *gg'*, ale natomiast sprężyny te opierają się o część metaliczną *c*, wznoszącą się nad pierścień *p*, ale od niego odosobnioną.

Stacye korrespondujące przed zaczęciem telegrafowania, pionowe położenie swym kluczom nadały. Na stacyi odbierającéj depeszę strumień od *b* lub *a* płynąć może; w 1szym razie przez *b*, *c*, *d*, *g* i galwanometr w kierunku od *N* do *m* przechodzić będzie; w 2gim zaś galwanometr od *m* do *N* przebieży, a daléj przez *g*, *c*, *d*, *b* popłynie. W każdym z tych razów inne będzie zboczenie igły galwanometru.

Kierunek ten strumienia zależy widocznie do kierunku, w jakim przesyłający depeszę klucz swój poruszy. Za prawém zboczeniem kołek *v'* odrywa sprężynę *d*, *c*, *d*, *c*, a przez to przerywa kommunikacyą między *d*, *a*, *g*, ale natomiast łączy *d* z pierścieniem *p*, tojest z biegunem dodatnim stosu; podobnież kołek *v* prąc na *g'* zkommunikuje sprężynę *gg'* z biegunem ujemnym. Prąd więc z *d* przez *b* pójdzie do stacyi przeciwnéj i przebieży w kierunku 1szym razem objętym. Łatwo się przekonać, że lewe poruszenie klucza sprawi przeciwne skutki, a mianowicie, że na stacyi odbierającéj depeszę strumień od *a* płynąć będzie. 2re Walker użył telegrafu pp. Cooke i Wheatstone w dwóch kluczach, dwóch igłach i dwóch do nich należących na każdéj stacyi przyrządach, a zatém i o dwóch międzystacyjnych okręgach, a przez to zdwoił prawie, bo do stu posunął ilość liter w ciągu jednéj minuty telegrafowanych. Jakoż rzeczywiście, jeżeli potrzeba było 4 ruchów jednéj skazówki do utworzenia w swych kombinacyach liter alfabetu, to dwa ruchy dwóch igieł

współcześnie poruszanych, a zatém połowę czasu oszczędzających, wystarczą do otrzymania tego rezultatu.

Dzwon ostrzegający (fig. 17) zasługuje na uwagę. Jestto młot podwójny *MM*, apparatem zegarkowym kolejno w dwie przeciwne strony poruszany, i w tych wycieczkach swoich uderzający jużto w dwa nieruchome dzwony, które kolejno na swéj napotyka drodze, jużto w wewnętrzne ściany jednego dzwonu *SS*, w którego środku sam jest umieszczony. Dzwon ten znajduje się w bliskości elektro-magnesu dodatkowego okręgu; gdy okrąg ten przerwany, przedłużenie *L* drążka *A* przez elektro-magnes przyciąganego, chwyta swym haczykiem za zęby koła *r'*, i nie pozwala robić stosownych poruszń mechanizmowi młotem kierującemu: przeciwnie, gdy okrąg zamkniętym zostanie, elektro-magnes przyciągnie drążek *A*, którego przedłużenie *L* wyplącze swoje haczykowate zakończenie z pomiędzy zębów koła *r'* i dozwoli zegarowemu uledz sile ciężkości, lub sprężyny i poruszać młot ostrzegający. Za przerwaniem znowu okręgu *A*, oddali się do elektro-magnesu, przeto *L* chwyci za koło zębate *r'*, i młot zatrzyma.

Stacye *A* i *B* po ukończeniu korrespondencyi wyprowadzają z okręgu linij stosy i wszelkie inne przyrządy, same dzwony zostawiając. Dopiéro stacya chcąca przesłać wiadomość jaką, stosem dzwon swój w okręgu zastąpi, a natychmiast elektro-magnes stacyi przeciwnéj przyciągnie drążek *A* i rozpocznie się dzwonienie ostrzegające.

XXII.

Telegraf piszący p. Froment (fig. 18, 19 i 20). *Odbieracz.* Drążek *ab* wahania pod wływem elektro-magnesu odbywający (18), zakończony jest osadą uzbrojoną w ołówek prostopadły do kierunku drążka. Ołówek ten za każdém wahnieniem drążka pewien ruch odbywa; wycieczki te w jednym kierunku i powrotne drogi drążka *ab* kreśliłyby za pośrednictwem ołówka zbiór kresek wzajemnie się pokrywających, gdyby walec *e* pokryty papiérem, pozostał nieruchomym w czasie ruchów ołówka. Ale walec ten na warstwie kauczuku arkuszem papieru owinięty, odbywa pod wpływem stosownego zegarowego mechanizmu bieg obrotowy około swéj osi, i to w ten sposób, że każdemu posunięciu papieru w kierunku kołowego obrotu

walca, towarzyszy pewne, lubo bez porównania mniejsze posunięcie się samegoż walca, w kierunku długości jego osi. Łatwo czytelnik zda sobie sprawę z ruchów walca, niezależnych od poruszeń ołówka. Dla lepszego zrozumienia śladów, jakie ostatni na ruchomym zostawi papiérze, przypuśćmy na chwilę, że ołówek jest nieruchomy, walec w swym obrocie dotykać się go jednak będzie i zatrzyma ślad tego dotknięcia w narysie linii idącéj w kierunku szerokości rozwiniętego papieru; gdy walec cały obrót wykona, skutkiem posuwania się osi walca, już nie to samo, co w poprzedzającym obrocie, miejsce papieru znajdzie się naprzeciw ołówka, ale miejsce niższe, wiersz inny na rozwiniętym papiérze stanowiące. W przeciągu całego obrotu ołówek nieruchomy nakreśli na walcu jeden zwój linii spiralnéj, stanowiący na rozwinięciu wiersz, czyli linią z góry do dołu nieco idącą. W rzeczy saméj ołówek nie odbywa ruchów tylko wtedy, kiedy drążek elektro-magnesu, po odbyciu w skutek zamknięcia lub przerwania okręgu stosownego wahnienia, w przybranéj pozycyi pewien czas zatrzymany będzie, czyli kiedy okrąg przez pewien czas zamkniętym, lub otwartym zatrzymamy. Przez całe trwanie tego zamknięcia, lub otwarcia, ołówek kreśli na walcu urywki spiralnéj (zamieniające się w rozwinięciu na linie proste), których długość jest w stosunku prostym czasu trwania zamknięcia, lub przerwania okręgu. Mniejsze linie, czyli kreski, oddzielają litery jednego wyrazu, większe zaś wyrazy między sobą, (patrz fig. 20).

Obejrzawszy działanie ołówka w czasie spoczynku drążka od elektro-magnesu zależnego, zobaczmy je w czasie ruchów tego drążka, kolejném przerywaniem i zamykaniem okręgu sprawionych. Widoczna, że powstaną na papierze kreski ukośne, naprzemian z góry na dół i z dołu do góry idące. Jedna kreska oznacza *a*, dwie *b*, trzy *c* i t. d. Litera 9cią kresek oznaczona, potrzebuje pewnéj liczby przerwań i zamknięć okręgu, których summa równa 9. Dwa tu mogą zachodzić przypadki: albo bezpośrednio poprzedzająca litera kończyła się przerwaniem okręgu, albo też zamknięciem; w 1ym razie litera obecna zacznie się zamknięciem, a skończy przeciągłém przerwaniem okręgu; w 2gim razie rozpoczęta jego przerwaniem, zakończy się na zamknięciu, które przez chwilę utrzymamy, zanim do następnéj przejdziemy zgłoski.

Temi poruszeniami ołówka odbieracza kieruje jak zwykle przesyłacz stacyi przeciwnéj, zamykając i przerywając okrąg stosowną ilość razy.

Przesyłacz. W tyle koła na figurze 19 widzianego, znajduje się na jednéj z nim osadzone osi koło pełne metalowe, którego obwód na 8 równych części, oznaczonych liczbami od 1 aż do 8 podzielono; przedziały parzyste pokryte są blaszkami nieprzewodniemi. Jedna nić okręgu międzystacyjnego do osi koła dochodzi, drugą zaś przyciska sprężyna do jego obwodu; ile razy więc w mowie będące koło przedziałami 1 3 5 7 dotknie się sprężyny, tyle razy okrąg zamkniętym będzie; przeciwnie zetknięcie ze sprężyną przedziałów 2 4 6 i 8 okrąg przerwie. Koło opisane, do okręgu należące, obraca się wraz z kołem pozaokręgowém *A* figury 19, mającém 8 kołeczków, oznaczonych liczbami odpowiedniemi liczbom tamtego; w ruchu obrotowym koła *A*, kołeczek, na którym obrót zakończyć się ma, przywodzi się do zetknięcia ze stałém kołeczkiem *B*.

Telegraf ten p. Froment, w r. 1845 zbudowany, do najdokładniejszych się liczy; nie wszedł jednak w użycie, mimo, że między innemi i tę posiada zaletę, że do tajemnéj rządowéj korrespondencyi jego język da się zastosować. I tak 49 figur telegrafu rządu francuzkiego da się zastąpić podobną liczbą kresek tego telegrafu.

P. Froment używa dzwonu ostrzegającego pod nr. 16 opisanego. Do najdowcipniejszych jednak pomysłów p. Froment należy urządzenie ołówka w odbieraczu. Ołówek ten, aby się nie łamał jest nachylony do papieru, na którym pisze. Gdyby przeto sam odbywał wahnienia od elektro-magnesu zależne, jednąby stroną pisał na papiérze, a przez to nader szybko zużywał, zamieszanie rodząc w korrespondencyi. Aby zapobiedz tej niedogodności, p. Froment wierzch jego osady w koło zębate opatrzył; u kresu jednéj z wycieczek ołówka znajduje się zastawka nieruchoma, o którą gdy trąci koło ukośnym swym zębem, zostanie zmuszone do obrotu odpowiedniego przestrzeni przez ząb trącony zajętéj. W skutek tego mechanizmu ołówek za każém podwójném wahnieniem, o pewien kąt się obróci, a tak coraz nową stroną na papiérze pisać będzie.

XXIII.

Telegraf piszący P. Morse, telegrafem Amerykańskim zwany (fig. 21 i 22). Telegraf p. Morse do najpiérw wynalc-

zionych należy. Doskonalony wciąż przez swego wynalazcę stał się jedném z najdoskonalszych narzędzi swego rodzaju: odznacza go przedewszystkiém do najwyższego stopnia posunięte uproszczenie mechanizmu.

Odbieracz (fig. 21). Wązka listewka papieru owinięta na kauczukowéj powłoce walca, odbiera ślady ołówka, pióra, lub rylca stalowego *H*, którym się kończy drążek *DH*, stale zespojony z drążkiem zostającym pod wpływem elektro-magnesu. Ołówek zwykle znajduje się poniżéj walca papierowego i tylko w chwili najwyższego wzniesienia swego papieru dotyka, i ślady na nim zostawia. Slady te są kropkami, lub kreskami, jednostajnéj długości; walec bowiem papieru, w ruch obrotowy wprawiony mechanizmem niezależnym od elektro-magnesu, dotknięty tylko będzie ołówkiem, gdy ten po wzniesieniu natychmiast do wahnienia powrotnego zmusimy; albo przez chwilkę z nim w styczności zostanie, gdy wzniesiony ołówek utrzymamy przez jakiś czas w tém położeniu. Widoczna, że w 1ym razie kropka, w 2gim zaś kreska pozostanie na listewce papieru.

Kropki te i kreski stosownie ugruppowane dadzą nam znaki wyrażające litery i liczby: przedziały białe pewnéj długości oddzielają między sobą kropki i kreski jednéj litery; przedziały między literami większe się dają; wreszcie przedziały wyrazów jeszcze od tych są znaczniejsze. Te kreski i kropki z ich przedziałami rozmaitéj długości otrzymujem, zamykaniem i przerywaniem okręgu, zmuszając elektro-magnes odbieracza do czynności przerywanéj, chwilami spoczynku. I tak za każdém zamknięciem stosu, elektro-magnes *AA* przyciągnie blachę *CBE*, zakończoną drążkiem *HFD* w ołówek zaopatrzonym, a przeto ołówek wzniesie, ten zaś na ruchomym papierze kropkę lub kreskę narysuje, w miarę jak okrąg krótszą lub dłuższą chwilę zamkniętym pozostawimy. Albowiem za przerwaniem okręgu, sprężyna *FF* oddali blachę *CBH* od elektro-magnesu, a tém samém zniży ołówek; i powstanie na papiérze przerwa, któréj długość jest proporcyonalną do czasu, przez który okrąg zostawiliśmy przerwanym.

Telegraf p. Morse jednowierszową pisze depeszę na listewce papieru. Należy on do najbardziéj używanych; dlatego podaję w następującéj tabliczce znaki przyjęte na wyrażenie liter i liczb:

c .	h	p . — — .
t —	etc . . . —	x — . . —
i . .	ü . . — —	
a . —	j . — — —	1, . — — — —
m — —	ch — — — —	2 . . — — —
n — .	o — — — .	3 . . . — —
s . . .	z — — . .	4 . . . . —
u . . —	b, — . . .	5 . . . . .
w . — —	f, . . — .	6 — . . . .
v — — —	l . — — .	7 — — . . .
g — — .	q — — . —	8 — — — . .
d — . .	y — . — —	9 — — — — .
r . — .	ou — . — .	0 — — — — —
k — . —	e . — . —	

Urządzenie przesyłacza jest bardzo prostém: składają go (fig. 22) kowadło *D* i młotek *e*; jedna nić okręgu u kowadła, druga u młotka się kończy. Młotek palcem przyciśnięty dotyka kowadła i okrąg zamyka, odbieracz więc narysuje kropkę lub kreskę w miarę czasu przez jaki młotek naciskać będziemy; po odjęciu bowiem palca sprężyna *F* młotek podniesie i okrąg przerwie: wiemy zaś, jak się na papiérze odbieracza objawią skutki tego przerwania.

XXIV.

Telegraf piszący p. Dujardin (fig. 23 i 24). Elektromagnes odbieracza opatrzony jest drążkiem, czyli uzbrojeniem kreślącém pewne znaki (kreski i kropki bez różnicy) na papiérze, na walec *EFG* (fig. 23) nawiniętym. Walcowi temu apparat zegarkowy nadaje ruch obrotowy i postępowy, który poznaliśmy w telegrafie p. Froment. Pióro w telegrafie tym kreślić będzie wzdłuż linii spiralnéj szeregi krések rozmaitemi pooddzielanych przedziałami; a igle magnesowéj ruchy swoje zawdzięcza. Magnes *IK* ruchomy około *K*, i przedłużający się w zakrzywiony srebrny drut *ŻH*, znajduje się naprzeciw elektro-magnesu *ABCD*, w którym zamknięcie okręgu robi strumień tak płynący, że magnes zetknie z elektro-magnesem. Za przerwaniem przeciwnie okręgu magnes odskoczy od *ABCD*. Zobaczmy, co drut *HZ* podczas tych ruchów wykona: koniec *H* tego drutu owinięty przymocowaną i atramentem napojoną bawełną w 1-ym razie zbliży się do papiéru *EFG*,

i kréślić na nim będzie kreskę przez czas zbliżenia swego; w 2-gim zaś razie odskoczy od papiéru i zanurzy się w naczyniu *MNOP*, stósowny atrament zawierającém. Zobaczymy pod N-rem 29, że korzystniéj jest, aby elektro-magnes kierujący nie wchodził do międzystacyjnego okręgu; tutaj dodam tylko, że w każdym razie przesyłacz p. Dujardin z pojedyńczego składa się klawisza; klawisz ten samemu sobie zostawiony, przerywa, przyciśniony zaś zamyka okrąg.

Język telegraficzny p. Dujardin wymaga objaśnień: litery i liczby wyrażone są podwójnym zbiorem krések; maleńkie przedziały krések jednego zbioru, wzrastają między zbiorami do jednéj litery należącemi. Przedziały samych liter jeszcze są znaczniejsze. Wiemy, że długość tych przedziałów zależy od czasu, przez jaki okrąg przerwanym został; wytłumaczyć tylko pozostaje system podwójnych zbiorów krések, litery i liczby oznaczających; ułatwi to następująca tabliczka:

	1	2	3	4	5	6
1	E	A	J	M	B	1
2	O	U	N	C	F	2
3	D	R	L	Q	G	3
4	T	P	V	H	K	4
5	S	W	I	Y	Z	5
6	L	O	9	8	7	6

Każda litera lub liczba oznaczy się dwoma zbiorami krések: 1-szy zbiór złożony będzie z tylu krések, ile ich wyraża boczny odpowiedni napis; gdy tymczasem napis górny oznacza liczbę krések 2-go zbioru. I tak *Q* oznaczy się grupą z trzech krések, po któréj 4-ro kréskowa nastąpi, liczba zaś 4, w piérwszéj grupie 4 kréski, w drugiéj zaś 6 mieć będzie.

Pan Dujardin robiąc między Paryżem a Lille proby telegrafu swego, dołączył do przyrządu piszącego, przyrząd akustyczny. Uderzenia w dzwon odpowiadają kropkom na papiérze pozostawionym; więc głosy zbiérają się w grupy pewnemi przestankami przedzielone, których dwie jednę literę, lub liczbę stanowi. Rachując liczbę uderzeń w każdéj z tych grup, i znając przyjęty w telegrafie język, za pomocą samego słuchu dowiadujemy się treści depeszy. Dla dopięcia tego podrzędnego zadania elektro-magnes odbiéracza, oprócz magnesu piórem kierującego, przyciąga w czasie zawarcia okręgu 2-gi magnes

IK (fig. 24) ruchomy około swego środka i uderzający jednym z końców swoich o dzwon stale osadzony *N*. Dajmy, że magnes ten ma biegun północny w *I*, południowy w *K*; to gdy w elektro-magnesie taki jest kierunek strumienia, że w *G* biegun południowy, a w *H* północny powstanie, widoczna, że biegun *I* magnesu *IK*, przyciągany od *G*, odpychany od *H* z pewną siłą do *G* się zbliży; współcześnie biegun *K* uderzy o szklany dzwon *N*. Za przerwaniem okręgu słaba sprężyna cofnąć może *K* do zetknięcia z drewnianym krążkiem *P*. Najlepiéj jednak użyć do tego (patrz Nro 29) strumieni pochodnich.

Tak magnes piszący, jak i magnes głos wydający fig. 23 i 24, przybliżone do elektro-magnesu, gdy w jego cewce płynie strumień w pewnym kierunku, można od niego z pewną odepchnąć siłą bez używania sprężyn przez odmianę kierunku samego strumienia; po téj bowiem zmianie jednoimienne magnesów i elektro-magnesu bieguny znajdą się w blizkości siebie; magnesy przeto odskoczą od elektro-magnesów. Tę przemianę kierunku strumieni uskutecznia łatwo przesyłający depeszę za pomocą klucza zastępującego wspomniany klawisz przesyłacza. Bez trudu pojmiemy tę małą odmianę mechanizmu: dajmy, że dwie nici międzystacyjne *L* i *L'* stykają się w pewném położeniu klucza, 1-sza z biegunem dodatnim, a 2-ga z ujemnym stosu; zamykając okrąg rodzą w nim strumień przyciągający magnesy odbiéracza. Przekręćmy klucz tak, aby *L* z ujemnym, *L'* zaś z dotatnim biegunem był w związku, okrąg pozostanie zamkniętym ale będzie przebiegany przez strumień przeciwny czyli odpychający magnesy odbiéracza. Klucz, krążek, wszelkie zgoła narzędzia podobną zmianę w kierunku strumienia sprowadzające, dostają w fizyce nazwisko przemieniacza.

XXV.

Telegraf p. Bain. Szybkość telegraficznych znaków p. Bain do najwyższego stopnia posunął, użyte bowiem przez niego przyrządy przeszło 1000 liter, a zatém dziesięć razy tyle jak najlepsze tego rodzaju narzędzia, w przeciągu minuty przesyłają i zapisują. I jeżeli telegraf p. Bain nie wszedł w powszechne użycie, to jedynie dla wielkiéj komplikacyi mechanizmu, który częstym uszkodzeniom podlegając, niedogodnym być musi w zastosowaniu do użytku niecierpiącego przerwy lub zwłoki.

Znaki, litery i liczby wyrażające, z kresek i kropek kolorowych, oraz z przerw rozmaitéj długości złożone, nie różnią się w zasadzie od znaków przez p. Morse przyjętych; znaki te jednak powstają na papierze odbiéracza nie pod wpływem elektro-magnesu i przyciąganych przez niego drążków, lub piór, ale pod bezpośrednim wpływem stosu, który, jak wiemy z N-ru 10, rozkłada pewne ciała chemiczne w okrąg wprowadzone. I tak widzieliśmy rozkład cyanków, między któremi odróżniliśmy niektóre z powodu zachowywania się odmiennego w okręgu stosu. Cyanki bowiem alkaliczne tworzą z metalem dodatniego bieguna stosu cyanki podwójne, np. cyanek potassium bezkolorowy, z żelazem bieguna dodatkowego zetknięty, połączy się dając ciało niebieskie, będące cyankiem potassium i żelaza. Dlatego to, świéżo zmoczony cyankiem potassium papiér wprowadziwszy w okrąg stosu i wodząc po nim tępym rylcem żelaznym, połączonym z biegunem dodatnim, ujrzymy niebieskie ślady, przejście rylca na papiérze znamionujące. Tę to chemiczną własność stosu użył p. Bain do pisania depeszy w odbiéraczu telegrafu swego; nie nasyca on jednak papiéru samym cyankiem potassium. Owszem nasyciwszy nim wodę dystylowaną, doléwa kwasu saletrzanego dopóty, dopóki rozczyn zielonym się nie stanie; poczém dodaje kwasu wodorodnochlorowego w ilości potrzebnéj do nadania rozciekowi mléczнéj białości. W tak przyrządzonym rozcieku zmoczony papiér, wilgotny jeszcze, używa się do telegraficznéj depeszy.

Papiér ten rozpościéra się na miedzianéj płycie odbiéracza; do papiéru zaś dochodzi rylec tępy, żelazny i nieruchomy, kommunikujący z dotatnim biegunem stosu na stacyi przeciwnéj umieszczonego, gdy przeciwnie blacha, czyli płyta miedziana zostaje w związku z biegunem ujemnym tegoż stosu. Papiér naszym rozczynem napojony, w miarę ruchu płyty coraz nowym punktem swojéj powierzchni dotyka się nieruchomego żelaznego rylca. Miejsca dotknięcia niebieskie w czasie zamknięcia okręgu pozostawią ślady, gdy tymczasem białe przerwy odpowiedzą jego przerwaniom.

Te przerywania i zamykania okręgu zastosowane do potrzeb przyjętego języka, w nader dobrze pomyślany sposób uskutecznia przesyłacz. Na długiéj a wąziutkiéj listewce papiéru, wybija p. Bain całą depeszę w formie, w jakiéj ją ma odbiéracz napisać; tylko że papiér téj listewki niczém nie napo-

jony, pozostaje złym przewodnikiem elektryczności; tylko że kropkom i kréskom odpowiadają w naszéj listewce kwadratowe i równo wysokie, a trzy razy dłuższe wycięcia papiéru.

Wycięcia te wraz z różnéj długości przedziałami papiéru, jeden tylko wiérsz na listewce formują. Tę listewkę powycinanego papiéru umieściwszy na metalicznéj odbiéracza blasze, do któréj jeden drut międzystacyjnego okręgu dochodzi, i wodząc po niéj drutem kulką zakończonym, a uzupełniającym rzeczony okrąg, zamkniemy tenże, ile razy kulka po wycięciu papiéru przechodzić będzie, a przerwiemy, ile razy kulka na nienaruszony między wycięciami papiér natrafi. Nie potrzebujem powracać do odbiéracza, bo jasno widzimy, jak na jego papiérze powstanie depesza w niebieskiém piśmie, powtarzająca wycięcia listewki w przesyłaczu umieszczonéj.

Pomijając szczegółowe opisy mechanizmu przesyłacza i odbiéracza, któreby wymagały dokładnych a trudnych rysunków, wspomnę tylko, że kulka przesyłacza nie jest jak dotychczas przypuszczałem ręką ludzką po papiérze wodzona. Owszem pozostaje ona nieruchomą i tylko ciągle przyciska powycinaną listewkę do blachy, na któréj jest rozłożoną. Sama listewka posuwa się w kierunku swéj długości. Nawinięta jest bowiem na walec obracany stosownym mechanizmem; ruch tego piérwszego walca odwija listewkę, która przeszedłszy między blachą a kulką, nawija się na drugi walec z tąż samą co piérwszy obracany szybkością. Drugi ten przeto walec zmusza listewkę do posuwania się w kierunku swéj długości po blasze przesyłacza.

XXVI.

Historyczna wzmianka o doskonaleniu się przyrządów telegrafii elektrycznéj. Przedstawiwszy w dość rozciągłym opisie częściéj używane, lub bardziéj udoskonalone telegraficzne przyrządy, powrócić muszę do czasów piérwotnego ich wynalezienia, aby rzucić okiem na kolejno wprowadzane do nich ulepszenia i przypomnieć nazwiska uczonych, którzy w téj pracy udział wzięli. W przeglądzie tym cofnąć mi się wypada do roku 1830, czyli do daty zdobycia umiejętnych podstaw obchodzącego nas wynalazku. Dodać w tém miejscu winienem, że oprócz stosów Wolty, już w r. 1831 Faraday śledząc działa-

nie elektryczności w strumieniach pochodnich (courants d'induction) wprowadził do nauki nowe przyrządy daleko mniejszym kosztem elektryczność produkujące, tak, że od chwili pojawienia swego telegrafy elektryczne jużto płynem stosów, już płynem w strumieniach pochodnich, obrotem magnesu zrodzonym, bez różnicy poruszane były.

Panowie Morse ze Stanów Zjednoczonych, Steinheil z Munich i Wheatstone z Anglii, prawie jednocześnie wystąpili na widownią publiczną z wynalezionemi przez nich telegrafami.

Piérwszy wprawdzie do r. 1833 swój wynalazek odnosi, świadectwa jednak, na które się powołuje nie są w stanie zniweczyć przeciwnych twierdzeń, tak, że dopiéro r. 1837 jest datą przez nikogo niezaprzeczoną, do któréj budowę telegrafu P. Morse odnieść wypada. Nie ma jednak wątpliwości, że prace jego poza ten czas sięgają, i dlatego słuszna nazwisko P. Morse umieścić na czele szeregu ludzi, zasłużonych tego rodzaju pracami. Piérwotne jego przyrządy mało się różniły od opisanych pod nr. 23.

Drugi doświadczał w Munich pod koniec r. 1837 telegrafu wymagającego 5ciu okręgów przewodnich dla nadawania stosownych położeń 5ciu igłom magnesowym, ruchami swemi język telegraficzny stanowiącym. Igły magnesowe P. Steinheil leniwe i niepewne dawały znaki, a 5 międzystacyjnych drutów nad miarę podnosiło koszta zakładania linij telegraficznych. Lecz jeżeli pod temi względami P. Morse w 1szym pomyśle swego telegrafu wyżéj daleko stanął od P. Steinheil, to zkądinąd odkrycia tego niemniéj są świetne, prace niemniéj ważne. W wspomnianych bowiem z r. 1837 doświadczeniach P. Steinheil zastąpił stos Wolty prądem pochodnim, produkowanym przez machinę elektro-magnetyczną P. Clarke, i zamiast międzystacyjnego okręgu, pojedyńczéj użył nici. Zobaczymy pod nr. 28 jak ziemia pełni czynność 2ej nici, a przez to okrąg uzupełnia; tutaj ograniczę się na wzmiance teoretycznéj. Ten pogląd P. Steinheil, poparty doświadczeniem w małych rozmiarach wykonaném, zdawał się uprawniać nadzieję, że na wielkich liniach koszta zaprowadzania okręgu o połowę zniżyć się dadzą. Jakoż doświadczenia przez P. Bréguet w r. 1846 na linii między Paryżem a Rouen wykonane stwierdziły to naukowe przewidzenie. Trzeci nareszcie z pierwotnych wynalazców telegrafów elektry-

cznych p. Wheatstone, w telegrafie w r. 1838 wykonanym, 5ciu okręgów i 5ciu igieł używa. Wahnienia jednak tych igieł ograniczone, jak to widzieliśmy pod nr. 21, igłą dodatkową, zatrzymywaną przez dwa kołeczki miarkujące jéj dwustronne wycieczki, dostarczyły znaków ściśle oznaczonych. To ulepszenie obok wprowadzenia dzwonu ostrzegającego, odznaczało piérwotny telegraf p. Wheatstone.

Nie mamy najmniejszéj potrzeby drobiazgowego rozpatrywania się w przeistoczeniach, jakim rozmaite przyrządy uległy, bo są one raczéj kolejnemi modyfikacyami, aniżeli rzeczywistemi udoskonaleniami. Kilka uwag wystarczy do uzupełnienia naszego historycznego przeglądu.

P. Siemens po raz piérwszy, a potém p. Wheatstone w telegrafie w Anglii przyjętym, przesyłacz i odbiéracz każdéj stacyi pojedyńczym zastąpili przyrządem. W swojém miejscu wykazałem ważność téj zmiany.

P. Bain użył w miejsce mechanicznych, chemiczne własności stosu do pisania telegraficznéj depeszy; poznaliśmy pisarską szybkość jego telegrafu, w r. 1843 wykończonego.

Wreszcie rok ledwie temu p. Gintl z Wiednia i Siemens z Berlina, wychodząc z naukowych prac i sporów pp. Zantedeschi i Ganguin, potrafili urządzić między dwiema stacyami telegrafy jednocześnie, jedną nicią przewodnią, w dwóch przeciwnych kierunkach przesyłające depeszę. Ważny i ciekawy wynalazek ten osobnego rozwinięcia potrzebuje; powrócimy doń w N-rze 30.

XXVII.

Nici, czyli druty telegraficzne. Nitka łącząca dwie stacye albo stanowi sama okrąg przewodni zupełny, albo w połowie zastąpiona jest przez ziemię. Zobaczymy powody i korzyści tego zastąpienia: w razie gdy ono ma miejsce, drut pojedyńczym przebiegiem łączy przyrządy dwóch stacyj, opuszczając też przyrządy zanurza się w ziemi, która okrąg uzupełnia. Styczność drutu z ziemią doskonałą być powinna, i dlatego ten się kończy blachą metalową kilka metrów powierzchni mającą, zanurzoną w wodzie, lub zakopaną w miejscu wilgotném.

Nitka czyto podwójna, czy pojedyńcza, nad ziemią, albo pod ziemią łączy dwie stacye. W 1-szym razie rozpina się na

słupach drewnianych w wysokości od 2 do 10 metrów ponad powierzchnią ziemi. Od słupów, a przeto i od ziemi odosabniają ją walce porcelanowe do słupów przymocowane; nić wskróś tych walców przechodzi. Słupy odległe od 20 do 30 metrów, po kilka lub kilkanaście odosobniających porcelanowych walców mieścić, a zatém liczne druty jednéj, lub różnych linij, między sobą i od ziemi odosobniać mogą. Co 500 metrów znajduje się słup mocniejszy *ściągaczem* zwany; każda z nitek obwija się tu około swego bloczka, służącego swym obrotowym ruchem do mocniejszego lub słabszego napięcia nici. Nici bowiem słabo rozpięte między słupami ku ziemi się wyginają i poruszane wiatrem dotykają się temi wygięciami innych drutów na tych samych słupach rozpiętych; to zetknięcie przewodnich okręgów zamieszanie sprowadzać musi w korrespondencyi telegraficznéj. Często słupy pokryte są daszkami chroniącemi je od dészczu, któryby po słupach ściekając, niedokładnem czynił odosobnienie nici. W 2-gim razie oblewa się nitka guttaperchą, która stanowi odosobniający walec, na 3 milimetry gruby i na stopę w ziemi zakopuje.

Druty nadpowietrzne powszechnie są używane; okręgi podziemne zaprowadzają się czasem tylko w przechodzie przez miasta linij telegraficznych. W niektórych jednak częściach Niemiec ostatnim dano piérwszeństwo. Do podziemnych okręgów wliczyć należy podwodne kommunikacye między stacyami.

Druty napowietrzne miedziane lub żelazne być mogą. Drut żelazny galwanizuje się poprzednio, czyli macza w roztopionym cynku; powstaje na drucie cienka warstwa cynku, która się szybko zamienia na niedokwas zabezpieczający wewnętrzny metal od atmosferycznych wpływów. N-r 8 drutu handlowego służy do telegraficznych użytków. Miedź jest lepszym od żelaza przewodnikiem elektryczności, a więc według praw Nru 12 drut miedziany cieńszy od żelaznego być może i powinien, jakoż wystarcza drut $^2/_3$ milimetra średnicy mający. Ztémwszystkiém drogość i kruchość miedzi sprawiła, że prawie wszędzie druty żelazne przyjęto. Słupy i nici na nich rozpięte wystawione są na wpływy wszelkich atmosferycznych działaczy, a zatém i na wpływ elektryczności powietrza, która częste zamieszania w korrespondencyi sprawia i po przewodnikach spływając do stacyi, przyrządy nadweręża, lub nawet urzędników o niebezpieczeństwo przyprawia. W rozmaity sposób

zapobiegano złemu, które ztąd powstaje. Często każdy słup opatrzony jest kilka cali wysokim konduktorem, który przyciąga elektryczność atmosferyczną i nie pozwala jéj wpływać na telegraficzne przewodniki; elektryczność z konduktorów po słupach do ziemi spływa, a walce porcelanowe chronią od niéj międzystacyjne druty. P. Bréguet dla zabezpieczenia życia urzędników i całości przyrządów, wprowadza w telegraficzny okrąg pod okiem dozorcy stacyi cienki drut stalowy, długi na 1 do 2 decimetry. Drut ten (patrz prawa N-r. 12) złem przewodnictwem swojém i małością poprzecznych rozmiarów zwiększa opór okręgu, ale w zamian za tę niedogodność rozżarza się i ulatnia pod wpływem wielkich ilości płynu elektrycznego, które atmosfera w pewnych razach dostarczyć może. Rozżarzenie ostrzega i nakazuje chwycić się środka zaradczego, którym jest zerwanie kommunikacyi między stacyą, a drutami linii; ulotnienie zaś samo przez się zabezpiecza stacyą, znosząc też kommunikacyą. Wszystkie stacye państwa francuzkiego zaopatrzone są drutem zabezpieczającym p. Bréguet.

Żelazny lub miedziany drut w podziemnym lub podwodnym przebiegu stacye łącząc, zatapia się w guttaperchę wulkanizowaną czyli przetopioną z siarką. Dodatek siarki zwiększa twardość, nie wpływając na nieprzewodnictwo guttaperchy, przeznaczonéj do odosobniania zawartego drutu od ziemi lub wody wskroś których przechodzi.

Podziemny przewodnik daleko od napowietrznego droższy, od czasu do czasu wynurza się na chwilę z łona ziemi i rozpina na stosownych słupach. Ostrożność ta pozwala odszukać, w razie uszkodzenia przewodnika, miejsce potrzebujące naprawy.

Podmorskie przewodniki 3 dotąd główniejsze zaprowadzono: 1-od między Douvre i Calais; 2-re między Anglią i Irlandyą; 3-cie między Warną a brzegami Krymu. Z morskiéj przestrzeni rozdzielającéj te przeciwległe stacye naigrawa się i tryumfuje drut przewodni. Odosobnione te druty żelazne, lub miedziane, ciągną się między stacyami w ilości do potrzeb korrespondencyi zastosowane. Każdy drut zosobna pokrywa się warstwą guttaperchy wulkanizowanéj, a zbiór tak odosobnionych przewodników zatapia się w grubszy walec tejże materyi, i dla nadania potrzebnéj mocy owija się szczelnie kilkunastą drutami żelaza galwanizowanego, które w kolejnych spiral-

nych zwojach przybierają kształt metalicznéj liny. Lina ta przygotowana w długości odpowiedniéj przebiegowi, nigdzie nieprzerwana, ani uszkodzona, do dna morskiego na kotwicach się przyczepia. O trudnościach operacyi takiéj powziemiemy wyobrażenie, gdy zważymy, że kilometr liny łączącéj Calais z Douvre 6,000 kilogramów, liny zaś między Anglią i Irlandyą ciągnącéj się przeszło 600 kilogramów ważył. Doświadczenie tylko stanowczo zawyrokuje o trwałości podmorskich przewodników; lecz już teraz przewidzieć można, że dna równe i płaskie lepszą trwałości dają gwarancyą, lina bowiem gruntu dotykająca łatwo uniknie trąceń ze strony okrętów lub morskich zwierząt, a wkrótce pokryje się warstwą mułu, lub innéj formacyi, broniącéj ją od szkodliwych wpływów. Przeciwnie, gdy dno jest nierówne i górzyste, trudno w nieznanych głębiach nadać linie załamki gruntu; niezawsze ona dna się czepiać będzie; często zawiśnie w otaczającym ją żywiole pomiędzy dwiema podwodnemi górami, wypręży się ku dołowi niszcząc się własnym ciężarem. A nadto w tym podwodnym, ale ponadziemnym przebiegu wystawioną będzie ciągle na uderzenia i uszkodzenia ze strony mieszkańców morza.

Kilka nowych podmorskich linij zaprojektowano w nowszych czasach: prace około niektórych już rozpoczęte. Linia Anglią z Ameryką przez Islandyą i Grenlandyą połączyć mająca, warta wspomnienia: zawiązana z kilku milionowym kapitałem kompania, linią tę uskutecznić mająca, już zakończyła badania przedwstępne. Wypadek pomyślny przewidzieć można, bo dno równe położenie liny ułatwia. Może więc za lat kilka dowiadywać się będziem na stałym lądzie o rzeczach, które nam przed niespełna sekundą z nowego doniesiono świata.

XXVIII.

Ziemia zastępuje w okręgu jeden z między-stacyjnych drutów. W ciągu opisu telegrafów i uproszczeń, jakim uległy, wspomniałem, że połowa drutu przewodniego może być oszczędzoną i da się przez ziemię zastąpić bez sprawienia żadnego zamieszania w telegraficznéj korrespondencyi. Widzieliśmy w poprzedzającym numerze, jak się urządza zetknięcie drutu linii z ziemią, która go uzupełnia; pozostaje mi tylko do wytłumaczenia czynność, jaką spełnia ziemia w telegraficznem znoszeniu się, albo mówiąc ściśléj, dłużny jestem czytelnikowi

przedstawienie tłumaczeń, jakie uczeni po dzień dzisiejszy w tym przedmiocie podali.

Tłumaczenia te niezgodne z sobą, lubo na doświadczeniach oparte i powagami znakomitych imion stwierdzone, każą jużto uważać ziemię za przedłużenie metalicznego drutu stacye łączącego, a przez to przewodnik uzupełniający okrąg telegraficzny; jużto jéj w telegraficznych odległościach odmawiają władzy przewodniéj i widzą w niéj tylko niezmierny odbieralnik, do którego spływają różno-imienne elektryczności przeciwnych biegunów stosu, aby zniknąć w jego nieskończoności.

Już Steinheil w telegrafie swoim z r. 1837 zastąpił ziemią połowę drutu przewodniego. We względzie przeto na małą skalę czynionych zastosowań, piérwszeństwo wynalazku przy fizyku z Munich zostaje.

Wheatstone i Cooke stwierdzili nowemi doświadczeniami w r. 1841 między Manchester i Leeds i na linii Blackwal dokonanemi, prawdziwość pomysłu Steinheila. Wheatstone w r. 1843 twierdzi: „że ziemia działa, jako niezmierny skład elektryczności, a nawet pod pewnym względem jako doskonały przewodnik, zmniejszający w znacznym stosunku opór przez okrąg strumieniowi stawiany i dozwalający stosowi do większych odległości i za pomocą cieńszego drutu, rozszerzyć swoje działanie.“

P. Bain r. 1842 wykonał w Hyde-Park nowy szereg doświadczeń i do prawd w tym przedmiocie znanych nowy dodał fakt, a mianowicie: że jakikolwiek przewodnik zetknięty z ziemią, w skutek jéj działania, bez żadnego wpływu stosu dawać będzie wyraźne znaki elektryczności. Zresztą na tę prawdę w tym samym czasie Gauss z Getyngi zwrócił baczność.

Mateucci w Pizie, Magrini w Medyolanie, Bréguet we Francyi, liczne doświadczalne w tym przedmiocie robili poszukiwania. Otrzymanych przez nich ciekawych wypadków niepodobna mi w całości przytaczać; wyjmę z nich to tylko, co stanowić może podstawę sprzecznego sądu.

P. Mateucci w 1szym szeregu doświadczeń użył pojedyńczego ogniwa Bunsena, z przewodnikiem kilkaset metrów długim; płyty ten przewodnik kończące zanurzał kolejno w studniach od 14 do 300 metrów odległych: igła galwanometru zawsze o ten sam kąt zbaczała. W 2gim szeregu doświadczeń igła galwanometru mniéj zbaczała, czyli słabszy wskazywała

strumień, w okręgu zamkniętym, z 2,932 metrów drutu złożonym, aniżeli w okręgu z tegoż drutu i podobnéj długości ziemi sformowanym.

P. Magrini użył drutu miedzianego 4 kilometry długiego, a uzupełnionego kolejno przez 1, 2, 3 i 4 kilometry ziemi. Odpowiednie zboczenia igły galwanometru wyrażone w stopniach, wynosiły $22\,^{10}/_{16}$, $21\,^{11}/_{16}$, 21 i 20. Odnosząc do tych wypadków prawa Ohma i Pouilleta (patrz nr. 12) wniósł, że przewodnictwo ziemi ma się do przewodnictwa użytego przezeń drutu jak 1,000 do 275, czyli że kilometr ziemi taki sam stawia opór płynowi elektrycznemu, jak 275 metrów drutu miedzianego, $^5/_8$ milimetrów średnicy mającego.

Aby zdać sprawę ze sprzeczności zachodzących między wypadkami doświadczeń pp. Mateucci i Magrini, p. Bain rozliczne prace wykonał: nadał on nazwisko tellurycznéj, elektryczności zrodzonéj w przewodnikach przez wpływ ziemi; prace te nie rozjaśniły jednak kwestyi téj trudnéj i zagmatwanéj. Ziemskie czyli telluryczne pochodzenie elektryczności, przez Magryniego w drugim szeregu doświadczeń Mateuciego przypuszczane, nie pozwala w badaniach téj elektryczności dotyczących postawić się w warunkach wyosobienia i oderwania, koniecznych przy śledzeniu praw natury. Sami nawet przeciwnicy elektryczności tellurycznéj trudności znaleźć musieli w podaniu źródła płynu w przewodnikach bez wpływu machin objawiającego się; bo i poza ogólnym wpływem ziemi, tyloliczne chemiczne ziemi i powietrza na przewodnik istnieją wpływy, że nader trudno jasno widzieć w ich natłoku. W skutek jednak tych wszystkich prac, przeciwnicy i zwolennicy elektryczności tellurycznéj uznali jednomyślnie, że jéj pojawy zbyt słabe, aby na kilko-milowe przewodniki, w zetknięciu z silnemi stosami zostające (a zatém na telegrafy), wpływać mogła.

Pomijając anormalne wypadki 2go szeregu doświadczeń Mateucci wniósł z 1szego, że ziemia nieskończenie mniejszy jak metalowe druty elektryczności stawia opór; że zatém (przy jéj w równych zkądinąd okolicznościach gorszém przewodnictwie), uważać ją należy za przewodnika o nieskończoném przecięciu. W 3cim zaś szeregu otrzymał, że małe ziemskie odległości, nie wynoszące np. więcéj nad 60 do 100 metrów, opór pewien strumieniowi przedstawiają, opór wpływający na zmniejszenie zboczenia igły galwanometru; że zaś większe

odległości nie przyczyniają się do powiększenia oporu i zmniejszenia zboczenia igły. 1szy fakt tłumaczy tém, że płyn elektryczny w przejściu z cienkiego druta na przewodnik o nieskończonych poprzecznych rozmiarach, musi doznawać pewnego oporu, bo tylko stopniowo i kolejno przenosi się w coraz większe przecięcia, coraz mniejszy stawiające opór; do tego oporu dodaje się opór rosnący, na jaki elektryczność napotka wynurzając się z bezmiarów ziemi na drut przeciwnego bieguna. Wreszcie wyjątkowe zboczenia igły 2go szeregu doświadczeń, które i w 3cim się pojawiały, przypisuje elektryczności w płytach w ziemi zanurzonych wzbudzonéj, nic stanowczego o jéj pochodzeniu nie wyrzekając.

P. Bréguet (a mówię zawsze o p. Bréguet synu), zaprowadzając między Paryżem a Rouen telegraficzną kommunikacyą, używał zrazu zupełnego metalicznego okręgu. Na jednéj ze stacyi (w Paryżu lub w Rouen), umieścił stos, a na boku bussole wstaw czyli zastępujące je galwanometry; bussola stacyi w stos zaopatrzonéj o 29, a bussola stacyi przeciwnéj o 17, 8 stopni zbaczała. Wprawdzie według prawa 1go nr. 12 zboczenia te równe być powinny; jakoż prawo to w przewodnikach doskonale odosobnionych, i nie rozpraszających spływającego po nich płynu, z całą ścisłością stwierdzoném być może; jeżeli inaczéj się działo między Paryżem a Rouen, to dlatego, że drut okręgu w ciągłém zetknięciu, to z wilgocią atmosfery, to z ziemią, od któréj go słupy niedokładnie odosobniają, traci część swego płynu. W dalszym ciągu doświadczeń, użył p. Bréguet ziemi, w miejsce połowy drutu przewodniego, a bussola blizka stosu o 56^0, 8, bussola zaś stacyi przeciwnéj o 35^0, 5, czyli dwa razy więcéj jak w piérwszéj zbaczała probie. Wypadek ten miałby miejsce, gdyby długość okręgu o połowę zmniejszono; więc ziemia drugą jego połowę zastępująca, żadnego strumieniowi nie przedstawia oporu. Ziemska część okręgu jest złożoną z ciał bardzo rozliczném, często niesłychanie małém przewodnictwem obdarzonych, a więc podług praw Ohma i Pouilleta tylko nieskończoność jéj poprzecznego przecięcia może ten wypadek sprowadzić.

Ziemia stanowiąca z drutem okrąg złożony i uzupełniająca nić międzystacyjną, niby nić niesłychanie i nieskończenie grubą, oto teorya Mateuccego, Pouilleta i paryzkiéj Akademii

umiejętności w ogóle. Zobaczmy, jak według powszechnie przyjętéj teoryi stosu Ampera, jéj czynność w okręgu da się pojąć. Biegun dodatni D, z ujemnym U stosu, połączmy metalicznym odosobnionym przewodnikiem pp' P (fig. 25). Według Ampera elektryczność dodatnia bieguna D, rozkłada naturalny płyn blizkiéj cząstki przewodnika, przyciągając ujemną, a odpychając dodatnią; ta ostatnia na blizki niéj płyn naturalny w tenże sam działa sposób, tak, że te rozkłady z towarzyszącemi im a równoważącemi się przyciąganiami i odpychaniami, przenoszą się z cząstki do cząstki, w całéj długości przewodnika, aż nakoniec dosięgną bieguna ujemnego, z którego elektrycznością ujemną, połączy się płyn dodatni ostatniéj części przewodnika. Uwolniona elektryczność ujemna tejże cząstki złoży płyn naturalny z dodatnią sąsiadką, i ten szereg składów postępując z cząstki do cząstki, w przeciwnym rozkładom kierunku, dosięgnie wreszcie bieguna dodatniego: przywróciłby więc stan naturalny pod względem elektryczności, gdyby z chemicznego działania stosu nie powstawał ciągły strumień z nieprzerwaném następstwem towarzyszących mu składów i rozkładów podobnych.

Mateucci i Akademia paryzka przypuszczają, że ziemia zastępująca część pp', przewodnika pp' P, pełni zupełnie jego czynność, powtarzając wiernie zachodzące w niéj składy i rozkłady; że zatém w p', czyli w miejscu, w którém się drut dodatniego bieguna w ziemi zanurza, ostatnia (dodatnia czy ujemna), cząsteczka elektryczności przewodnika, rozkłada elektryczność naturalną 1széj cząstki ziemi, przyciąga przeciwną, a jednoimienną odpycha; że we wnętrzu ziemi też same dzieją się rozkłady, aż dosięgną zetknięcia ziemi z drutem bieguna ujemnego, z którym wynurzając się dojdą wreszcie do tegoż bieguna, aby w odwrotnym kierunku dokonać szereg składów.

Tłumaczenie to w piękny sposób ze zjawisk elektryczności zdaje sprawę; prawdy stwierdzone na ciałach małych rozmiarów, do ogromu kuli ziemskiéj przenosi; a w ogóle oparte na jednostajności i harmonii zjawisk i praw natury, objawom jednego rzędu, jednakowe naznacza przyczyny, bez względu na rozmiary ciał, w których mają miejsce. Dla przeciwników téj teoryi Gaussa z Getyngi na swém czele mających, przewodnictwo ziemi jest pięknem fantazyi marzeniem, i kiedy Pouillet w 1szym tomie swojéj fizyki, dla dania wyobrażenia o przewodnictwie

ziemi, przypuszcza, że w telegrafie Paryż z Berlinem łączącym, składy i rozkłady te mają miejsce w napowietrznym drucie, a potém ciągną się przez wody i grunt podparyzki, Sekwannę, morza, Elbę, Spreę i grunt podberliński, to mu Moigno odpowiada: „W powieściach tysiąca i jednéj nocy nie znajdziem nic tak fantastycznego, jak droga, po któréj P. Pouillet elektryczność prowadzi. Jéj dodatnia cząsteczka w Paryżu zrodzona, wié, że ma swój byt udzielny zakończyć w Berlinie u bieguna ujemnego stosu, ze świadomością więc przeznaczenia wybiera sobie drogę i strzeże się pilnie, aby nie skonać u biegunów ujemnych stosów równocześnie i w pobliżu działających i t. d. i t. d." Rzeczywiście, stosując do telegraficznych okręgów tłumaczenie na przewodnictwie ziemi oparte, trudno pojąć ich nieomylność, gdy przeciwnie krzyżujące się po wnętrzu ziemi elektryczne składy i rozkłady rozmaitych linij, jednocześnie działających, nieład i zamieszanie sprowadziéby powinny.

Dlatego Gauss i jego zwolennicy przeczą, aby ziemia jako przewodnik w kilkomilowych lub większych działała odległościach. Uważają ją przeciwnie za niezmierny zbieralnik i skład elektryczności, i przyjmując teoryą Ampera w stosach zaopatrzonych metalicznemi, zamkniętemi przewodnikami, modyfikują ją w odniesieniu do ziemi. Twierdzą, że produkowana przez bieguny D i U (fig. 25) elektryczność dodatnia i ujemna, współcześnie rodzi na obudwu drutach znane nam rozkłady, przyciągania i odpychania; że to jednak działanie nie przenosi się poza p i p', czyli nie ciągnie się w ziemi. Elektryczności, czyto dodatnie, czy ujemne końców przewodnika p i p', nikną w nieskończonym zbiorniku ziemi, i tém zniknięciem dozwalają szeregowi składów nastąpić po opisanych rozkładach i dosięgnąć biegunów stosu.

Łatwo, wedle tego sposobu widzenia rzeczy, zdać sobie sprawę z doświadczeń Mateuccego i Brégueta. W wielkich odległościach między Paryżem a Rouen np: pojedyncza nitka przewodnia, końcami w ziemi zanurzona, nadaje dwa razy większe zboczenie igle galwanometru, lub bussoli, aniżeli okrąg zupełny, bo jako dwa razy krótsza, dwa razy mniejszy stawia opór. Małe ziemskie odległości (według Mateuccego niższe od 60 lub 100 metrów) stawiają opór widomy w galwanometrach, bo przy tak małych rozmiarach ziemskiéj przestrzeni, dzielącéj dwa druty dwóch biegunów stosu, ziemia działa jeszcze jako

rzeczywisty przewodnik okrąg uzupełniający. Elektryczności bowiem z dwóch biegunów stosu płynące napotykają się w ziemi zanim zdołały rozlać się i zniknąć w jéj bezmiarach.

Skłonniejszy do przyjęcia teoryi przeciwników Gaussa, czułem się w obowiązku wiernego opisania nierozstrzygniętego sporu. Zresztą wiedział dobrze Gauss, że niedostaje jego teoryi podstawy i sankcyi doświadczenia; brał przeto słabe ogniwo, którego biegunowe druty raz okrąg zupełny tworzyły, to znowu o połowę krótsze kończyły się w odosobnionych, wodą napełnionych naczyniach. Gdyby w 2gim razie elektryczność drutów spływała wodą, a galwanometr zdwoił zboczenie, tłumaczenie Gaussa wzniosłoby się ponad wszelkie wątpliwości; stos jednak za przerwaniem w ten sposób okręgu przestał działać. Szczupłość wodnych rezerwoarów nie pozwala żadnych z chybionego doświadczenia, na korzyść teoryi przeciwnéj, wyciągnąć wniosków.

XXIX.

Strumienie pochodnie. Elektryczność pochodnia, bez żadnych prawie kosztów, bo wzajemném działaniem magnesów na cewkowe okręgi wydobywana, daje strumienie o sile niezmiennéj, a tak korzystnie w telegrafii zastępuje stosy, które zużywają znaczną ilość z jednéj strony metalów, a z drugiéj kwasów w skład rozczynów wchodzących. Musimy przeto poznać prawa fizyczne, na których jéj powstawanie się opiera i przyrządy ku temu służące celowi.

Zjawiska elektryczności pochodniéj przez Arago dostrzegane, w r. 1831 przez Faraday ściśle oznaczone i podciągnięte zostały pod powszechne i niecierpiące wyjątku prawo. W zamkniętym metalicznym okręgu, jakim jest np. okrąg cewkowy, powstanie strumień elektryczny, chwilowy, jednorazowy, ile razy doń zbliżymy lub dotkniemy w jakimkolwiek punkcie obwodu, rzeczywistym strumienieniem elektrycznym. I dlatego ostatni strumień nazywać będziemy głównym, 1szy zaś pochodnim, a jego elektryczność, elektrycznością pochodnią. Przytaczam całe prawo Faraday'a; „Wszelki strumień elektryczny, zaczynając działać na jakikolwiek punkt okręgu zamkniętego, rodzi w tym okręgu strumień przeciwny kierunkiem strumieniowi głównemu; ten strumień pochodni jest jednorazowym i niknie przy dalszém działaniu strumienia głównego na okrąg, w któ-

rym się przez chwilkę pojawił, aby się znowu na moment w nim okazać w chwili, gdy tenże okrąg przestanie odbierać działanie strumienia głównego. Dodać należy, że ostatni strumień pochodni w tym samym co i główny płynie kierunku." Prawo to jest nadzwyczaj częstego zastosowania; bo w rzeczy saméj magnesy za strumienie cewkowe uważać należy: sama nawet ziemia w swych magnetycznych pojawach nie jest niczém inném, jak tylko niezmiernym magnesem, a zatém strumieniem cewkowym, którego kierunek w nr. 13 poznaliśmy; a tak wszelkie zetknięcie okręgu zamkniętego ze strumieniem stosu, z magnesem lub z ziemią, wszelkie jego poruszanie w obec tych wiecznie elektrycznością przebieganych okręgów, zrodzi w tamtych strumień pochodni. Nie w téj jednak ogólności tworzenie się elektryczności pochodniéj śledzić będziemy; pominiemy działanie ziemi na okręgi zamknięte, będące zródłem ciekawych, ale telegrafii nie obchodzących zjawisk; nie będziemy się zastanawiali nad wpływem elektryczności stosów, na też okręgi, bo elektryczność pochodnia o tyle nas tylko w telegraficznych interesuje zastosowaniach, o ile bez kosztownych stosów obejść się pozwoli. Pozostają więc nam do rozważania same tylko strumienie zrodzone przez magnesy w okręgach zamkniętych, a nadewszystko w cewkach, których stosunek do pojedyńczych okręgów poznaliśmy dawniéj.

Wszelki magnes jednym ze swoich biegunów w okrąg cewkowy wprowadzony, rodzi w nim strumień elektryczny, przeciwny strumieniowi magnesu: zaświadczy o tém igła galwanometru, umieszczonego w okręgu, swém zboczeniem, mającém właśnie miejsce w chwili zbliżenia się magnesu do cewki. To zboczenie igły ustanie z przedłużającym się pobytem magnesu w cewce, aby w chwili wyprowadzenia i oddalenia tegoż być zastąpioném przez zboczenie przeciwne. Niedogodne wprowadzanie i wyciąganie, możem zastąpić obrotem w podkowę zgiętego magnesu, naprzeciw podobnegoż kształtu żelaza miękkiego, owiniętego w cewkowy okrąg. Obracajmy naprzeciw tego elektro-magnesu ABC (fig. 26) magnes $A'B'C'$, biegun północny w N, a południowy w S mający. Gdy w tym obrocie N naprzeciw A, S naprzeciw B się znajdzie, to w nitce metalicznéj, spiralnéj, jedwabiem owiniętéj, czyli w cewce elektromagnesu powstanie strumień płynący w kierunku strzałami na figurze oznaczonym. Strumień ten niesłychanie małą cząstkę czasu

trwający zamieni się na strumień przeciwnego kierunku, gdy magnes w obrocie swoim tak się od elektro-magnesu oddali, że nań działać przestanie. Gdy $A'B'C'$ o 180^0 oddali się od położenia figurą wskazanego, czyli gdy N naprzeciw B, S naprzeciw A się znajdzie, w cewce powstanie strumień w kierunku 2gim idący; wreszcie gdy $A'B'C'$ opuściwszy to nowe położenie przestanie na ABC działać, powstanie znowu w cewce strumień, którego kierunek strzałami figury wskazany.

Widoczna, że ten sam otrzymalibyśmy skutek nadając bieg obrotowy elektro-magnesowi, naprzeciw nieruchomego magnesu. W obu razach należy szukać sposobów zbierania i zużytkowania tylko jednokierunkowych strumieni i przez szybki obrót sprawić, aby te strumienie chwilowe w tak małych po sobie następowały przestankach, iżby strumień ciągły zastąpić mogły. W tymto podwójnym celu obmyślano rozmaite przyrządy, machinami elektro-megnetycznemi zwane. Przyrząd Hipolita Pissi do najdawniejszych należy; poprawny przez p. Stoehrer biegłego mechanika z Lipska, jest jednym z najdoskonalszych i najczęściéj w telegrafii używanych.

Składa się on (fig. 27) z nieruchomego magnesu SDN, bieguny w S i N mającego, i z elektro-magnesu $CA\,A'C'$ owiniętego cewką $B\,B'$, a ruchomego około nieprzewodniéj osi EE'. Wraz z tą osią obraca się walec T, w perspektywie na fig. 28 oddany, składający się z dwóch współśrodkowych walców mosiężnych, pośrednim walcem szklanym odosobnionych. Walec wewnętrzny opatrzony na swych końcach naprzemianległemi półkołowemi, wyskakującemi, stalowemi listewkami 1 i 4; podobneż listewki 2 i 3 walca wewnętrznego leżą naprzeciw listewek 1 i 4. Nici f, i f_2 cewki, statecznie stykają się, 1^a z wewnętrznym, 2^a z zewnętrznym walcem. Widełkowata sprężyna R końcami swemi listewek 1 i 2, gdy tymczasem R' tylko listewek 3 i 4 dotykać się może; a że te listewki naprzeciw siebie leżą, więc gdy R z walcem wewnętrznym się styka, to R' z zewnętrznym kommunikuje i nawzajem. Połączmy końce D i U sprężyn R i R' drutem miedzianym i rozpocznijmy obrót elektro-magnesu $CAA'C'$. A najprzód w położeniu jego figurą wskazaném koniec a' sprężyny R, dotyka listewki 2, a koniec b' sprężyny R listewki 4. Elektryczność z przyczyny niezmiennego położenia rodzącego ją magnesu w niezmiennym kierunku płynąć musi. W położeniu walca P przebiegać ona

będzie okrąg zamknięty $D f_2 A A' f_1 U$ od f_2 przez a' D, U, b' i nić f_1. 2re gdy po półobrocie elektro-magnes znowu naprzeciw magnesu stanie, końce jego C i C' znajdą się naprzeciw biegunów N i S, i lubo w cewce przeciwny 1mu strumień się zrodzi, urządzenie walca P sprawi, że między D i U jednak jego kierunek nie ulegnie zmianie. Jakoż już nie końce a' i b' sprężyn R i R' przeć będą na listewki 2 i 4, lecz przeciwnie końce a i b zejdą się z 1 i 3. Elektryczność więc dodatnia zawsze od bieguna S płynąca, tą razą z f wychodzić i przez a, do D, daléj do U, a' i f_2 płynąć będzie. W obu razach między D i U nie zmieniła kierunku.

Temi i tém podobnemi sposobami otrzymano strumienie ciągłe, posiadające wszystkie własności strumieni stosowych. Elektro-magnetyczne machiny znajdują liczne zastosowanie w sztuce lekarskiéj i telegrafii. Potrafiono je nawet użyć do poruszania machin i do zapalania min odległych. Elektryczność stosów wiemy jak małą posiada prężność, z trudnością przeto w kilkuset metrowym, lub dłuższym przewodniku między biegunowym umieszczony drucik platynowy rozpala, lub uczynioną umyślnie przerwę iskrą oświeca. Zawodne więc są stosy w zapaleniu min od zapalającego odległych; ich niedostateczność wzmaga się, gdy dla osięgnienia olbrzymiego zniszczenia kilka min jednocześnie wysadzić potrzeba. Miny kolejno zapalają się; wybuch piérwszéj z nich przerywa okręgi podrzędne stos z minami innemi łączące, i ich założenie bezużytecznem czyni. Machiny elektro-magnetyczne uzupełniają pod tym względem stosy; prężność ich strumieni daje iskry niezawodne, kilka nawet min jednym apparatem podrzędnemi okręgami połączonych, z matematyczną jednoczesnością zapalające. Ważność tego zastosowania w sztuce oblężniczéj i inżynieryi cywilnéj jest wielką; piérwszy pomysł należy się kapitanowi hiszpańskiemu, którego nazwiska nie pomnę. Zapalał on w dzień otwarcia podmorskiéj linii między Calais a Douvre armaty, szerokością kanału oddzielone od przyrządu dostarczającego iskier.

Łatwo zdamy sobie sprawę z użycia w telegrafie machin elektro-magnetycznych. Ich obrót rodzi w okręgu linii do D i U figury 27 dochodzącego, jedno-kierunkowy strumień; ten jest ciągłym, a zatém przebiega linią ile razy jéj okrąg jest zamkniętym, a niknie w czasie przerwania tegoż okręgu. Widzimy przeto, że elektryczność pochodnia żadnych nie wymaga zmian

w przyrządach telegraficznych. I na tém bym zakończył rzecz o niéj, gdyby jéj zastosowanie do piszącego i akustycznego przyrządu odbiéracza p. Dujardin, (patrz N-ro 24, figury 23 i 24), nie potrzebowało objaśnienia, lub nie zasługiwało na nie. Jeżeli bowiem elektro-magnesy-*ABCD*(fig. 23), i *ABCD* (fig. 24), nie należą do stacyjnego okręgu i każdy z nich umieszczony naprzeciw silnego elektro-magnesu linii, tworzy sam z siebie dodatkowy zamknięty okrąg: to zamknięcie okręgu głównego zrodzi w dodatkowych pewny strumień, jego zaś zerwanie strumień przeciwny. Jeżeli piérwszy zniżył magnes *IK*, (fig. 23) i zbliżył pióro *H* do papiéru *EFG* to drugi magnes podniesie, a pióro w kałamarzu zanurzy. Podobnież jeżeli 1-szy akustyczny magnes figury 24, z pewną siłą pchnął na dzwon N, to 2-gi z równą siłą uderzy nim o drewniany krąg *P*. Elektryczność pochodnia, cofająca sprężyny w odbiéraczu p. Dujardin korzystnie zastępuje: i to niezależnie od tego czy w okręgu głównym stos, lub machina elektro-magnetyczna dostarczała płynu.

XXX.

Jeden telegraficzny przewodnik może współcześnie prowadzić dwie depesze w przeciwnych kierunkach idące. Telegraf p. Siemens. Rozważane przez nas dotychczas telegrafy potrafiły wprawdzie za pomocą jednéj i téj saméj nici przewodniéj, w przeciwnych kierunkach prowadzić wiadomości, ale to prowadzenie żadną miarą jednoczesném nie było. Depesza jedno-kierunkowa zakończoną być musiała: zanim po stosowném przygotowawczém oznajmieniu, wiadomość w przeciwnym kierunku po przewodniku się posuwać zaczęła.

Pod koniec r. 1854 p. Zantedeschi donosi p. Quételet w liście przez tegoż zakommunikowanym królewsko-belgijskiéj akademii umiejętności, o poczynionych przez siebie doświadczeniach, stwierdzających, że jeden i tenże sam przewodnik, jednocześnie w przeciwnych kierunkach płynące elektryczności prowadzić potrafi; że dwa te strumienie nie zrównoważą się, że każdy z nich oddzielnie i bez żadnego zamieszania objawi się wszystkiemi fizycznemi, chemicznemi i fizyologicznemi fenomenami, że nawet fenomena te nic na mocy nie ucierpią. Prawo podobne wywróciłoby całą teoryą płynu elektrycznego; niemniéj jednak professor paduański poparł je doświadczeniami drukiem

TELEGRAF ABECADŁOWY P. FROMENT.

Fig 7.

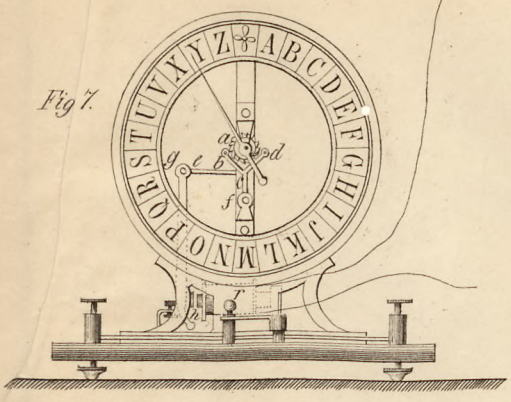
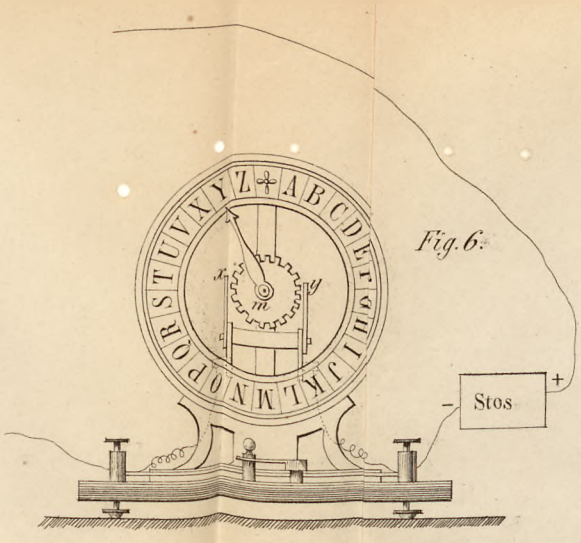


Fig. 6.



TELEGRAF KLAWISZOWY P. FROMENT.

Fig. 8.

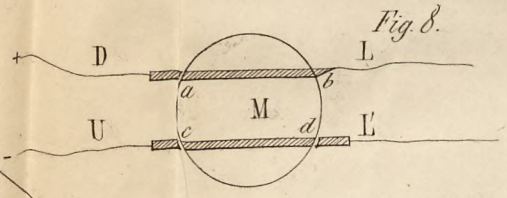
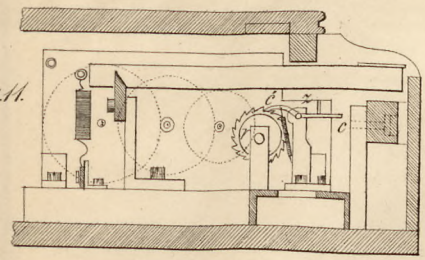


Fig. 11.



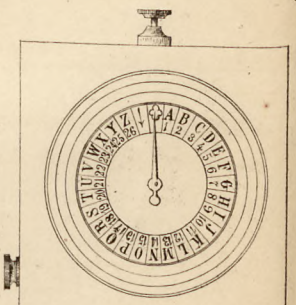
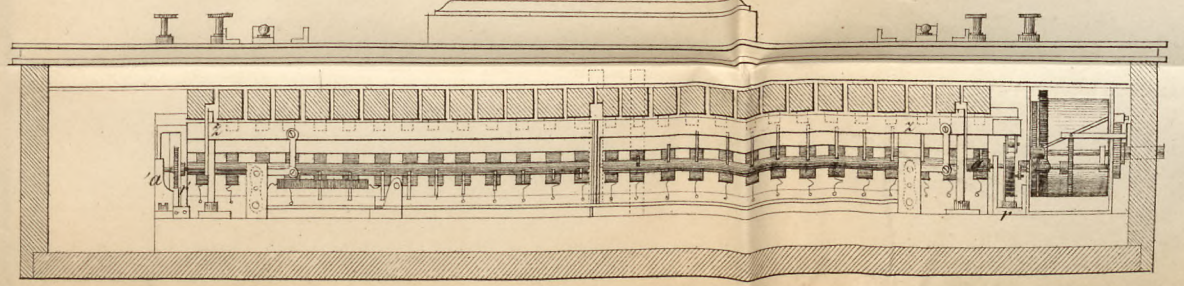


Fig. 10.



w Lit. A. Pesq. & C. w War...

TELEGRAF P. P. FOY i BRÉGUET.

Fig 13.

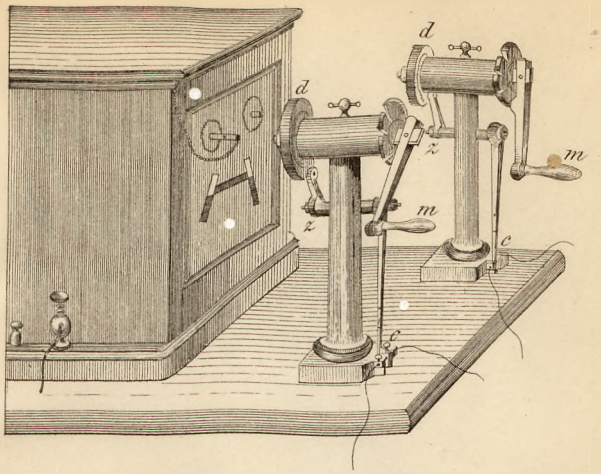


Fig 9.

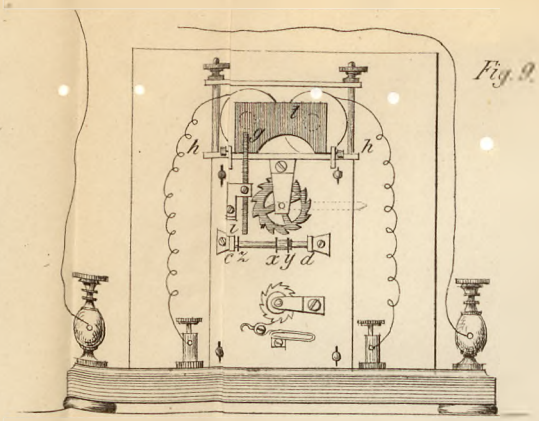


Fig 12

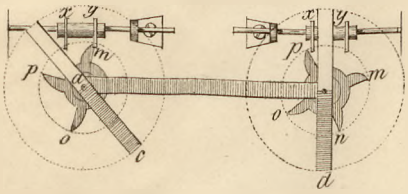


Fig. 16.

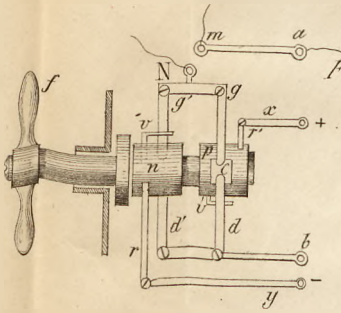


Fig 15.

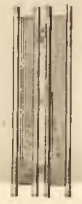
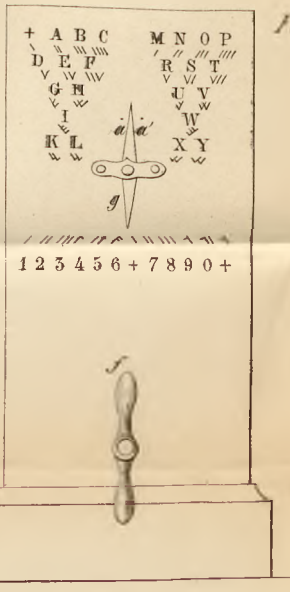


Fig 14.



TELEGRAF P. P. WHEATSTONE i COOKE.

w Lit. A Pecq & Cie w Warszawie

TELEGRAF P. MORSE

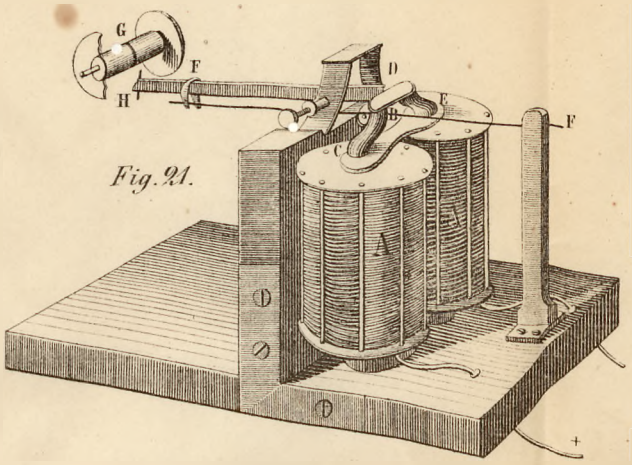
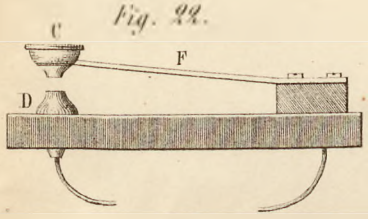


Fig. 21.

Fig. 22.



DZWON OSTRZEGAJĄCY TELEGRAFU P. P. WHEATSTONE I COOKE

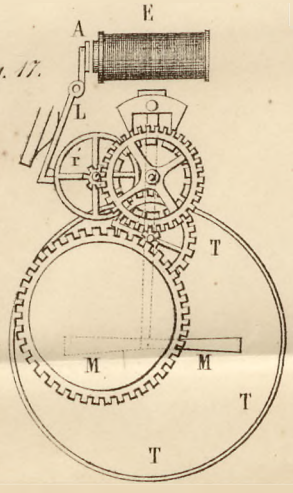


Fig. 17.

TELEGRAF PISZĄCY P. FROMENT

Fig. 18.

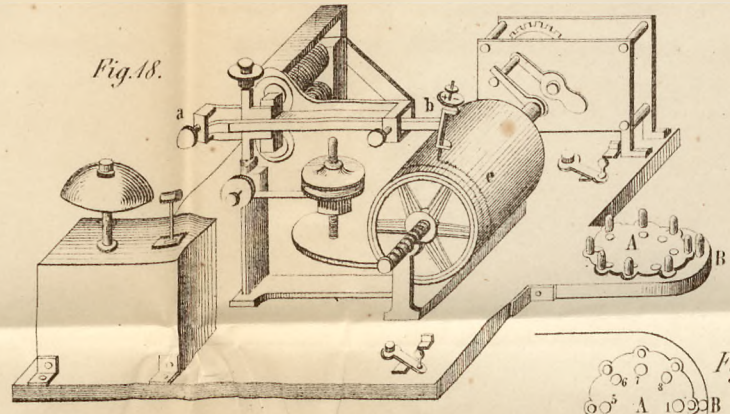


Fig. 20.

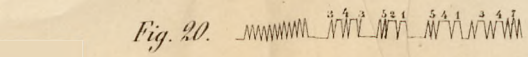


Fig. 19.

w Lit. Alex. S.C. w Warsz. N° 482

TELEGRAF P. DUJARDIN

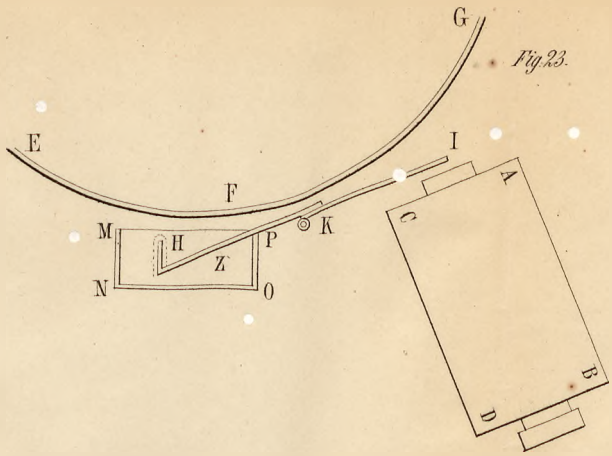


Fig. 23.

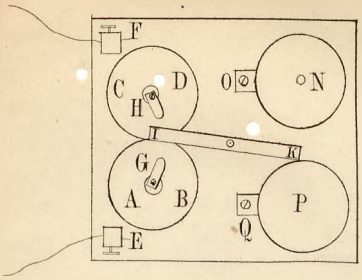


Fig. 24.

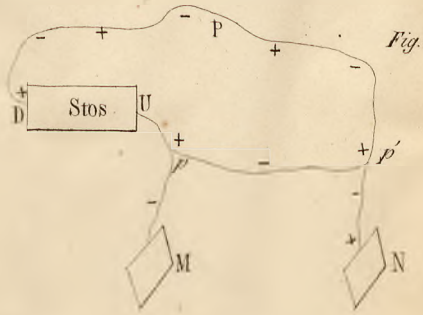


Fig. 25.

MACHINA ELEKTRO-MAGNETYCZNA

HIPOLITA PIXII.

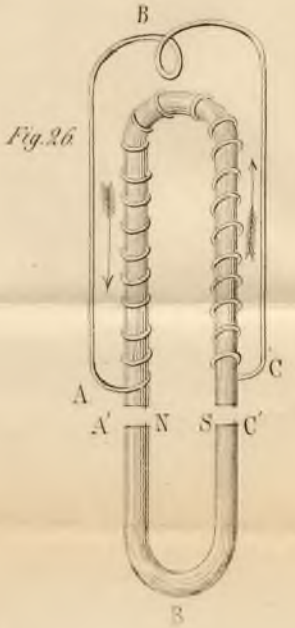


Fig. 26.

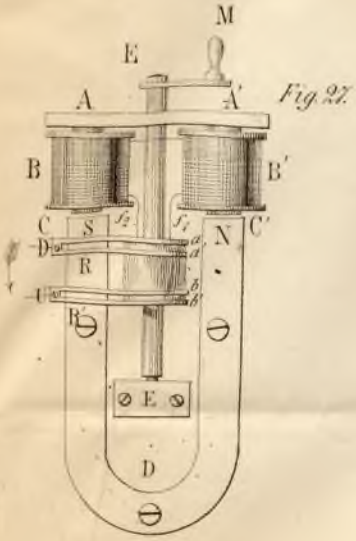


Fig. 27.



Fig. 28.

TELEGRAF P. SIMENS

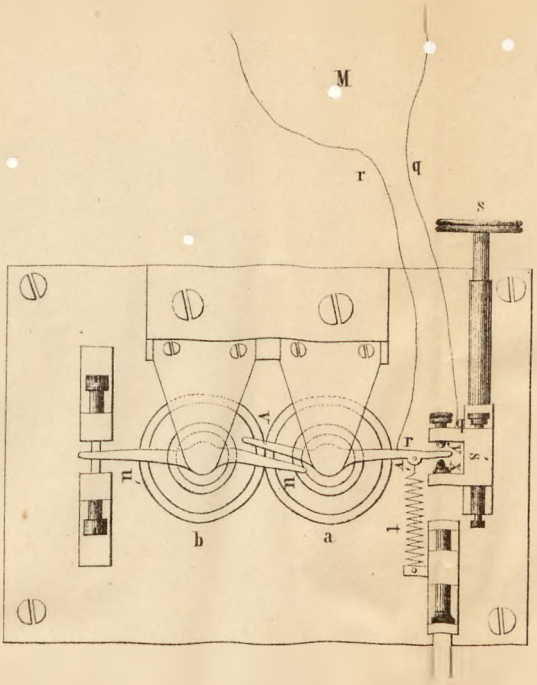


Fig. 29.

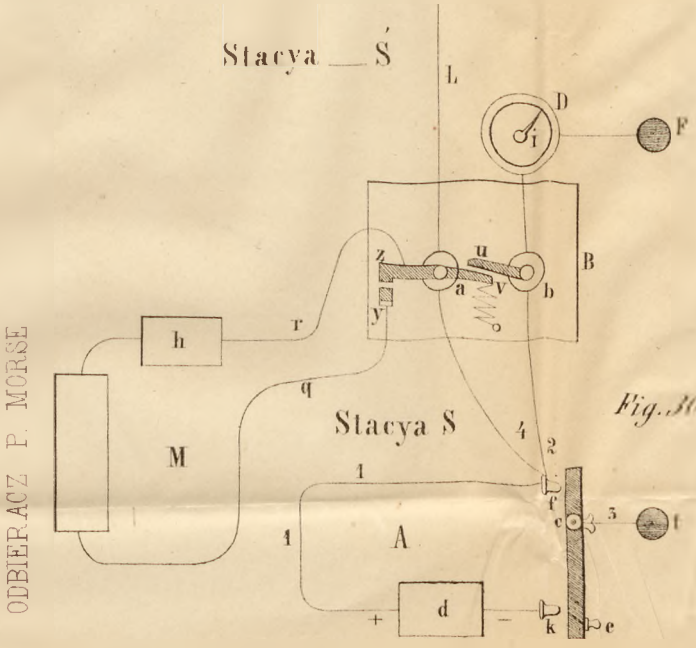


Fig. 30.

ODBIERACZ P. MORSE

ZEGARY ELEKTRYCZNE P. BAIN.

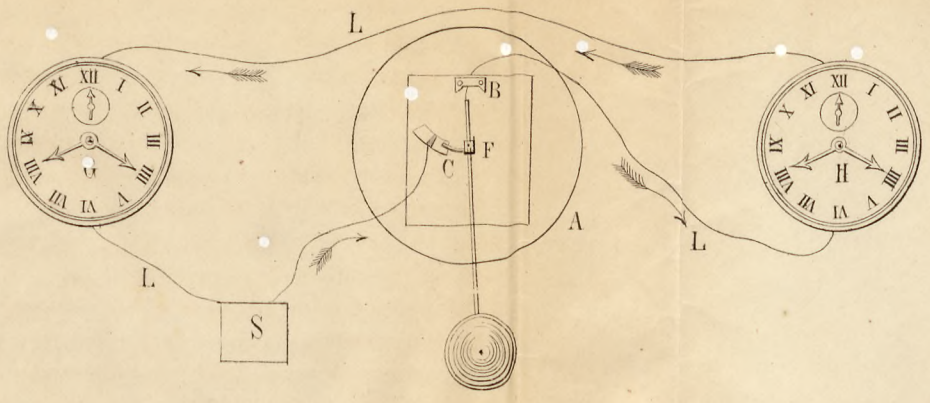


Fig. 31.

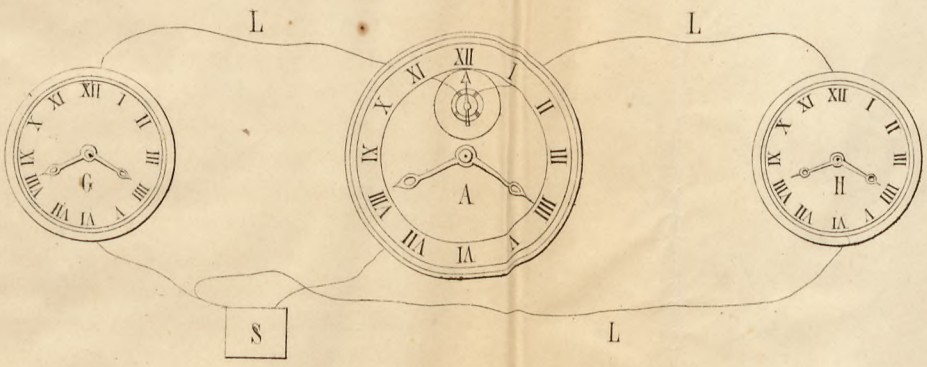


Fig. 32.

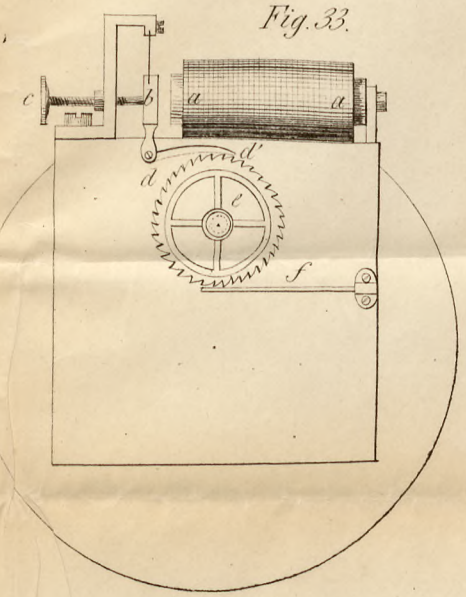


Fig. 33.

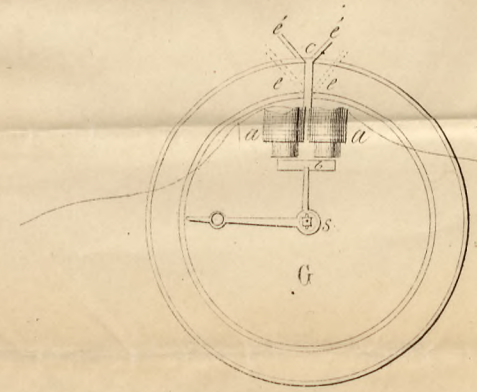


Fig. 34.

w Lit. A. Pecq & C.ie w Warszawie.

w Padwie d. 29 października i 4 listopada 1854 r. ogłoszonemi, lub zawartemi w dwóch Pamiętnikach umieszczonych w ciągu roku 1855 w aktach akademii wiedeńskiéj. Co więcéj, wychodząc z prac p. Zantedeschi, p. Gintl urządził telegraf między Wiedniem a Linz na dniu 15 października 1854 r. w obec urzędowych i uczonych delegacyj probowany, który urzeczywistnił możność jednoczesnego korrespondowania w dwóch kierunkach za pośrednictwem jednego drutu, i wagą ważnego faktu poparł teoretyczne widoki p Zantedeschi.

Udoskonalenia praktyczne i teoretyczne spory jednocześnie miały miejsce. 1-sze p. Siemens z Berlina wysoko posunął, gdy tymczasem p. Gaugain, jak to świadczą jego korrespondencye z paryzką akademią umiejętności, doświadczeniami i wyciąganemi z nich wnioskami zbijał teoretyczne widzenia.

Nie mam ani pretensyi rozstrzygania uczonego sporu, ani zamiaru wtajemniczania weń czytelnika. Rozum sprzeciwia się wnioskom p. Zantedeschi, a baczna uwaga niemal zawsze przekona, że płynięcie elektryczności, jednocześnie w dwóch kierunkach jest tylko pozorném. Twierdzenie to poprę opisem telegrafu p. Siemens.

Telegraf p. Siemens (fig. 29 i 30). Dwie stacye S i S' połączone są okręgiem, który przez L oznaczymy, mieszczącym stos i przesyłacze. W okręgach zaś miejscowych M i M' stacyj S i S' znajdują się ich odbiéracze i miejscowe stosy.

Jedną z główniejszych składowych części telegrafu tego jest zastawa (relai), okrąg miejscowy z linijnym łączącą, i zamykająca lub przerywająca piérwszy. Każda stacya ma swoję zastawę. Składa się ona (fig. 29) z dwóch oddzielnych na proste walce nawiniętych cewek a i b; zawarte w nich elektro-magnesy ruchome około swych osi jeometrycznych zakończone są uzbrojeniami uu' i vv', z których piérwsze ściśnięte śrubami m i n unieruchomia swój elektro-magnes, gdy tymczasem ramie v' uzbrojenia vv' waha się między śrubami x i y, a zatém odpowiedni elektro-magnes drobne wahania około swéj osi uskuteczniać będzie w stanie. Gdy v zostanie przez u przyciągnięte, v' dotknie się y i zamknie okrąg miejscowy, którego jeden drut q do y, drugi zaś r do uzbrojenia vv' elektro-magnesu a dochodzi. Gdy zaś przyciąganie między v i u ustanie, to v' siłą sprężyny l do x cofnięte, przerwie okrąg M. To przyciąganie

pomiędzy *u* i *v* łatwo otrzymać jużto przez jedne z cewek strumień puszczając, już to w cewki w jednym kierunku nawinięte przeciwnemi końcami elektryczność wpuszczając. W 1m razie strumień cewki przyciągać będzie *u*; w 2-gim uzbrojenia *u* i *v* elektro-magnesów umieszczonych w cewkach przeciwnemi strumieniami przebieganych, będąc przeciwnemi biegunami magnetycznemi, tém mocniéj wzajemnie się przyciągną. W obu zaś razach *v* zbliży się do nieruchomego *U*.

To założywszy, przypatrzmy się na fig. 30 urządzeniu jednéj ze stacyj np, stacyi *S'* zawiera ona:

1) Przesyłacz *A*, mieszczący stos *d* okręgu głównego *L*. Dodatni biegun stosu jest w *f*, ujemny w *k*. Ważną częścią przesyłacza jest *ce'* ruchoma około *c*, i przez drut 3 z ziemią w *t* połączona. Blacha *ce*. parta kluczem *e*, oddala się od *f*, a zbliża się do *k*; sama zaś sobie zostawiona, mocą sprężyny *g*, oddali się od *k*, a do *f* zbliży.

2) Z opisanéj zastawy *B*, któréj elektro-magnes *a* drut 4 łączy z *f*, czyli z dodatnim biegunem stosu do głównego okręgu należącego, a drut *L* ze stacyą *S'*, elektro-magnes zaś *b* drut 2 z biegunem dodatnim *f*, drut nareszcie 5 z cewką *D* i z ziemią. Cewka *D*, któréj użytek zobaczymy, nawinięta jest cienkim drutem w długości potrzebnéj do wywarcia oporu równego oporowi między-stacyjnego przewodnika *L*.

3) Z odbiéracza *M* stacyi miejscowéj *S*. Odbiéracz ten mógłby należéć do wszelkiego systematu telegraficznego; p. Siemens użył odbiéracza p. Morse. Okrąg odbiéracza, czyli okrąg miejscowy, swój własny posiada stos. Zbliżanie się i oddalanie *u* do *v* zamykając lub przerywając okrąg miejscowy, kieruje w sposób nam znany ruchami odbiéracza p. Morse.

Stacya *S* z takichże samych i symetrycznie ustawionych składa się przyrządów; wystawmy je sobie podobnemiż, ale akcentowanemi, oznaczone literami i dajmy, że *S* do *S'* chce pewną przesłać wiadomość, czyli, że klucz 1széj jest poruszany, gdy tymczasem klucz drugiéj stale do *f'* zbliżony, a od *k'* oddalony.

Ale klucz *e* dwa tylko położenia blaszce nadać może.

1) sam sobie zostawiony, otwiera (jak to figura pokazuje) okrąg, w którym się stos *d* znajduje; a zatém, iż takiém jego położeniem okrąg główny, międzystacyjny, przez żaden strumień przebiegany nie będzie: nie może przeto żadnego wpływu wy-

wrzeć na cewki a i b stacyi S, ani na cewki a' i b' stacyi S'. Więc okręgi miejscowe M i M' obu stacyi otwarte, a ich odbieracze nieruchome zostaną.

2) Za naciśnięciem zaś klucza e stacyi S, okrąg główny, czyli międzystacyjny L zamknie się; gdyż z jednéj strony biegun ujemny stosu d, przez zbliżony do k klucz e, a daléj przez drut 3 połączony będzie z ziemią, z drugiéj zaś strony f czyli biegun dodatni, bez styczności z blachą ce, dwiema drogami z ziemią się styka. Iszą z tych dróg stanowi drut 2, cewka b, drut 5 i cewka D wiążąca się z ziemią; 2gą zaś drut 4, cewka a, drut międzystacyjny L, cewka a' stacyi S' drut 4', f' i blacha $c'e'$ do f przyparta, z powodu, że klucz e' nie jest naciskanym.

Zastanówmy się nad wpływem tego podwójnego strumienia na zastawy $B'B'$ stacyi S i S'.

W zastawie B cewki a i b przebiegane są jednokierunkowemi strumieniami, Gdyby te strumienie były różnéj siły, to z powodu że cewka a rodzi strumień pochodni przeciwny w b, b zaś w a; strumień piérwotny mniejszy i część większego zrównoważone i zniszczoneby zostały. Zostałaby tylko druga część jednego ze strumieni czynną; ta elektro-magnes swéj cewki przeistaczając w chwilowy magnes, przyciągnęłaby w naturalnym stanie zostający elektro-magnes sąsiedniéj cewki; u zetknęłoby się z v, i okrąg miejscowy M zostałby zamkniętym. Drut dodatkowy D sprawia, że zdwojony strumień stosu d, w obu rozgałęzieniach swoich jednaki ma do pokonania opór, że zatém w cewkach a i b jednéj siły pojawiają się strumienie; a że są i jednokierunkowemi, więc w elektro-magnesach tych cewek u odpowiednich końców jednoimienne powstaną bieguny; u i v odpychać się będą, a okrąg M przerwanym pozostanie.

Przeciwnie na stacyi S; tylko w cewce a' płynie elektryczność, (od cewki a drutem L przesłana). Elektro-magnesy cewek a' i b', zbliżą się dodatkowemi częściami u' i v' i zamkną okrąg M'. To zamknięcie stanowczo dowodzi, że między stacyami S i S' korrespondencya jest możliwą.

Przekonajmy się, że nic się nie sprzeciwia, aby jednocześnie wzajemną była. Gdy ruchy kluczy e i e' stacyi S i S' pewnemi, chociażby najmniejszemi, nieocenionemi prawie, przestankami czasu są oddzielone, odbieracze obu stacyj należące do nich czynności z największą ścisłością wypełniają. Niezmierna szybkość płynu elektrycznego zapowiadała ten wypadek.

Ale zdarzyć się może, że klucz *e* i *é* z matematyczną jednoczesnością zamkną okrąg międzystacyjny; powstaną dwa strumienie międzystacyjne, jak wiemy przez *a*, *L*, *a'*, płynące, które jako przeciwne zniosą się nie wywierając żadnego wpływu na odbieracze obu stacyj. Natomiast strumień miejscowy stacyi *S*, płynąc przez cewkę *b*, podczas gdy *a* jest w stanie naturalnym, zbliży *u* do *v*, zamknie okrąg *M*, poruszy odbieracz i miejscowym wpływem zastąpi wpływ międzystacyjnego strumienia. A gdy to samo u *S'* i *M'* się powtórzyć musi, mamy przez to prawo powiedzieć, że w telegrafie Siemensa współczesny ruch płynu elektrycznego, w dwóch kierunkach, po jednym przewodniku, jest tylko pozornym.

XXXI.

Zastosowania telegrafii elektrycznéj. Zbyteczna wspominać usługi, jakie telegrafia oddaje społeczeństwu, ułatwiając familijne i przemysłowe stosunki, lub zwracać baczność jak jest dla rządów ważną i użyteczną. Szybkość w przesyłaniu korrespondencyj, pewność w ich dojściu na czas spodziewany, stanowią zalety nazbyt bijące w oczy, aby się potrzeba było nad niemi rozwodzić. Dosyć gdy wspomnę, że mowa, którą królowa angielska tegoroczny parlament zagaiła, w niespełna godzinę po jéj odczytaniu przez lorda-kanclerza już do Edymburga w całości doszła; że doroczne sprawozdanie przez prezydenta Stanów Zjednoczonych kongresowi składane, w 4 godziny po zakomunikowaniu go sejmowi, w najodleglejszych zakątkach związku drukiem jest ogłoszone. Fakta te wymowniejsze od wszelkich pochwał, dowodzą nietylko prędkości płynu elektrycznego, ale i doskonałości przyrządów telegraficznych połączonéj ze stosownym doborem używanych znaków.

Telegraf p. Bonelli. Poza tą jednak powszechną, a niezmierną użytecznością telegrafii elektrycznéj, już ją do licznych zastosowano potrzeb. Szybko i wiernie roznosząc służbowe ostrzeżenia po stacyach kolei żelaznych, już ona setnym zapobiegła wypadkom, tysiące ludzi wybawiła od kalectwa i śmierci. Zwyczajne do tego służyły telegrafy. Mimo jednak ścisły a sumienny dozór, pociągi często uderzają na siebie. Bo wypadek, bo zatrzymanie się w pośrodku dwóch stacyj pociągu, nie mającego telegrafu na swe zawołanie, nie zawsze za pośrednictwem sygnałów przez strażników kolei dawanych, dochodzi w czasie

stosownym do wiadomości urzędników stacyj. Ci bardzo często dopiéro wtedy odbierają ostrzeżenia, gdy innych pociągów na pewną biegnących zgubę, ani zawrócić, ani powstrzymać nie są w stanie. Bonelli sardyński inżynier, znany ze swych prac naukowych, a mianowicie z wynalezienia warsztatu tkackiego, elektrycznością poruszanego, zaradził owemu zabójczemu niedostatkowi. Zaopatruje on każdy pociąg przyrządem, który go stawia w bezpośrednim telegraficznym związku ze stacyami w pośród których bieży, i ze wszystkiemi pociągami też przestrzeń po jednéj z nim przebiegającemi kolei. To wystarcza do bezpieczeństwa pociągów; korrespondencya bowiem z pociągami inną téj saméj drogi pospieszającemi koleją, tak wielkiéj nie wymaga nagłości; da się przeto niemniéj jak znoszenie się z pociągami lub stacyami odleglejszemi uskutecznić za pośrednictwem bliskich stacyj.

Lubo wielkim w następstwach, prostym jednak w wykonaniu jest wynalazek p. Bonelli. Między dwiema sąsiedniemi stacyami, ciągnie się w pośrodku szyn kolei wzniesiona, na odosobniających ją podstawkach o 2 lub 3 decimetry nad powierzchnią drogi listwa żelazna, na parę milimetrów gruba, a na 2 lub 3 centimetry wysoka. Towarzyszy ona kolei i dopiéro na wzmiankowanych stacyach opuszcza ją, aby dobiédz do telegraficznych przyrządów, a potém zanurzyć się w ziemi. Listwa ta stanowi łącznik telegraficzny o wielkiém poprzeczném przecięciu, a przeto mało oporu strumieniowi stawiający. Z nią zostają w styczności telegrafy pociągów za pośrednictwem silnych sprężyn, mocno do listwy przypierających. Dwie są średnie stacye i wszystkie między niemi znajdujące się pociągi, za pomocą nader ograniczonéj liczby do potrzeb zastosowanych sygnałów, zawiadamiać się potrafią o wszystkiém, co służby kolejowéj dotyczy. Wynalazek P. Bonelli r. 1854 sięga; w r. 1855 w Sardynii w obec ministrów państwa doświadczany, nowym w miesiącu sierpniu tegoż roku uległ we Francyi probom. Sprawozdania z tych prób, na kolei parysko-wersalskiéj, w czasie wystawy powszechnéj czynionych, za wynalazkiem p. Bonelli przemawiają.

Zegary elektryczne. W zegarach każdego wielkiego miasta, każdéj kolei żelaznéj, postrzegać się zawsze daje większa lub mniejsza niejednostajność, szkodliwa w sprawach punktualności wymagających. Przyrządy telegrafii elektrycznéj stoso-

wnie zmienione zdołają zaradzić téj niedogodności. 1szy pomysł użycia płynu elektrycznego do regulowania zegarów należy się P. Steincheil z Munich, 1sze zaś wykonie P. Bain, który w r. 1841 pozyskał w Anglii patent zaręczający mu własność wynalazku.

Pan Bain potrzebuje zawsze zwyczajnego dokładnego zegaru, który na fig. 31 i 32, w *A* już cyferblatem, już odwrotną jego stroną obrócony do nas widzim. Wahadło jego (fig. 31) w *B* zawieszone, jest w statecznym związku z drutem mieszczącym w swym przebiegu zegary od głównego zależne i dochodzącym do bieguna ujemnego stosu *S*. Jest ono nadto opatrzone łukiem metalicznym *F*, dotykającym w chwili najwyższego lewego wzniesienia wyskakującéj metalicznéj cząstki *e*, w związku z biegunem dodatnim stosu będącéj. Gdy więc wahadło dosięgnie maximum lewego zboczenia, okrąg zamkniętym i stos w czynność wprowadzonym zostanie; w ciągu zaś całego w prawą stronę odbywanego wahania, okrąg zostaje przerwanym, aby się zawrzeć wtedy dopiéro, gdy *F* do *e* się zbliży.

Widzimy, że zegar *A* odpowiada telegraficznym przesyłaczom. Okrąg zamykany i przerywany przez jego wahadło, porusza skazówkami zegarów podrzędnych *G* i *H*. Każdy z nich (fig. 33), składa się z elektromagnesu *a*, przyciągającego za każdém zamknięciem okręgu drążek z żelaza miękkiego *b*, około *d* ruchomy; a przeto posuwającego za pomocą dodatkowéj części *d'* tegoż drążka, koło *e* o jeden ząb. Po przerwaniu okręgu, sprężyna *c* oddali *b* od elektro-magnesu, w skutek czego *d'* wzniesie się ponad zęby koła *e*, sprężyną *f* zatrzymanego w położeniu, jakie przybrało w skutek poprzedniego zamknięcia okręgu. Za każdém więc podwójném wahnieniem wahadła zegaru *A*, koła *e* zegarów *G* i *H* o jeden się ząb posuną, a tak zegary te zgodnie iść muszą.

P. Bain użył także elektryczności do zgodzenia w pewien przeciąg czasu, co godzina np. zwyczajnych zegarów, z jednym dokładnie idącym, czyli głównym. Okrąg zamyka raz na godzinę minutowa skazówka tego zegaru, w chwili dojścia do godziny 12 z drutem okręgu zetknięta. Skazówki minutne *sc* zegarów podrzędnych (fig. 34) dłuższe nieco od cyferblatów *G*, zakończone są w tył idącemi kołeczkami *c*. Tylko obwód cyferblatu zegaru podrzędnego na fig. 34 narysowany widzim; to pozwala dostrzedz elektro-magnes *a* w okręgu między zegaro-

wym umieszczony. Gdy się okrąg ten zamknie, czyli gdy zegar główny do pewnéj dojdzie godziny, elektro-magnes *a* zegara podrzędnego przyciągnie miękkie żelazo *b*, a przeto stale doń przymocowane widełki z *ee* wzniesie do *éé*. Widełki te wznosząc się napotkają kołeczek *c* skazówki minutnéj, albo na godzinie 12téj, albo w jéj pobliżu. W 1szym razie żadnego nań nie wywrą wpływu, w 2gim prąc nań skazówkę na 12téj godzinie postawią, a zatém zegar podrzędny zgodzą z głównym. Skoro tylko skazówka minutna zegara głównego przejdzie godzinę dwunastą, okrąg się przerwie, a na fig. 34 żelazo *b* pod wpływem własnego opadnie ciężaru i żniży widełki do położenia *ee*: nie zatrzymywana już skazówka minutna własnym przyrządem zegarowym przez całą godzinę poruszaną będzie.

Panowie Froment, Bréguet i Garnier liczne ulepszenia wprowadzili do urządzeń regulujących za pomocą elektryczności zegary podrzędne. P. Garnier piérwszy, w jednym z dworców kolei żelaznych w Paryżu, wprowadził w użycie projektowane urządzenia.

P. Froment rozszerzył zakres zastosowań strumieni w zegarmistrzostwie, używając ich w zegarach siłą ciężkości, lub sprężynami poruszanych do zwrócenia wahadłom siły popędowéj, którą w swych ruchach tracą. I tak do prawéj strony, części górnéj wahadła, zegaru ciężarowego, przymocowywa p. Froment drążek poziomy igłą pionową zakończony; ponad tą igłą znajduje się mały ciężarek, którym się kończy pozioma sprężyna, do 2go przymocowana drążka, utrzymywanego w równowadze kawałkiem miękkiego żelaza cisnącego na jego koniec, sprężynie przeciwległy. W czasie najwyższego prawego wzniesienia wahadła, igła pionowa dotyka się umieszczonego nad nią ciężarku. To dotknięcie zamyka okrąg i sprawia, że żelazo miękkie równoważące drugi drążek przyciągnięte przez blizki elektro-magnes przeć na drążek przestanie; przez co uwolniona od jego wpływu sprężyna pozwoli kończącemu ją ciężarkowi cisnąć na igłę zniżającego się wahadła. Ciśnięcie to trwać będzie aż do chwili, w któréj zanadto napięta sprężyna zmusi swój ciężarek do opuszczenia wahadła, przez co przerwanie okręgu spowoduje.

Długość geograficzna. Znalezienie względnéj długości geograficznéj dwóch miejsc, owa trudna operacya geodozyi, prostą się staje dla miejsc telegrafami połączonych. Za znakiem

przez telegraf danym obserwatorowie dwóch stacyj zapiszą miejscowe godziny; różnica czasu w łuku wyrażona jest długością szukaną. *Dzwony* podobne do opisanych pod N-em 16, wprowadzone w okrąg mający stos, za każdém zamknięciem przerwanego okręgu pojedyncze wydają brzmienie. Dodajmy klawisz kolejném zniżaniem się pod naciskiem palca i następném wznoszeniem się uskuteczniający potrzebne zamykania i przerywania, a będziemy mieli obraz dzwona, którym prezydujący izby do porządku wzywa, lub przełożony zakładu czas odpoczynku i pracy oznacza.

P. Pouillet posługuje się strumieniami elektrycznemi, do mierzenia prędkości pocisków bronią palną rzucanych, a p. Wheatstone używa ich w przyrządach zapisujących obserwacye meteorologiczne. Wreszcie p. Franchet działaniem elektryczności przedłuża przeciąg czasu, przez który wahadło p. Foucault, ruchy swe odbywać może. Żadne wahadło bez zewnętrznéj przyczyny płaszczyzny swych ruchów zmieniać nie może: zmianą tą p. Foucault dowiódł obrotu ziemi około swéj osi. Siła na kilka metrów długiego wahadła prędko się wyczerpywała. Spiralna, na któréj wahadło podobne zawieszoném być musi, podrywała wprawdzie za każdém jego prawém, lub lewém wzniesieniem, ku górze dolny ciężar wznosiła; który przeto z większéj spadał wysokości, aniżeli ta, do któréjby się siłą własnego rozpędu wznieść potrafił. Ale siła sprężyny oddaje wahadłu część straconéj tylko siły; p. Franchet urządza wahadło p. Faucault na wzór zegarów p. Froment; wahadło za skończeniem każdéj prawéj czy lewéj wycieczki, zamyka okrąg elektryczny, którego elektro - magnes wznosi ciężarek cisnący na wahadło w czasie jego zniżania się, a przezto przywracający mu siłę, którą tracić musi w pokonywaniu mechanicznych oporów.

XXXII.

Telegrafia elektryczna na wystawie paryzkiéj z r. 1855. Na powszechnéj wystawie sztuk i rzemiosł, widzieć można było rozmaite rodzaje telegrafów; niejako modele przyrządów tego rodzaju używanych w korrespondencyi, lub nadziejami i widokami wynalazców do tego celu przeznaczonych. Wśród zbioru astronomicznych i fizycznych narzędzi, niesłychanie bardziéj skomplikowanych, daleko większéj sztuki i precyzyi

w wyrobieniu, jak przyrządy telegraficzne wymagających; wśród powszechnego zbiegu najdoskonalszych całego świata wyrobów, telegrafy elektryczne nie mogły odznaczać się zewnętrznemi piękności i wykończenia zaletami; i owszem przymioty te podrzędnéj są wartości w obchodzących nas mechanizmach w porównaniu do dziwów, jakie swemi prostemi narzędziami osiągają. Nadto telegrafy wystawy nieruchome i milczące, nie bawiły, ani wabiły uwagi widzów, którzy się tylko domyślać musieli ich przeznaczeń i czynności. Dla tych powodów ich opis ograniczę do prostego wyliczenia warsztatów, z których pochodziły i oznaczenia systematu, na którym ich budowę oparto. I tak widzieliśmy używane we Francyi i Ameryce telegrafy wykończone w paryzkich fabrykach panów Froment, Bréguet i Garnier, lub w Szwecyi u p. Berg. Przyrządy w Anglii przyjęte pochodziły z angielskich fabryk pp. Dering i Hesley. Nareszcie widzieć można było telegrafy jednocześnie jedną nicią, dwie przeciwne prowadzące depesze. Przyrządy tego rodzaju nadesłali p. Gintl z Wiednia, p. Wartman z Genewy i p. Halske z Berlina, który ich budowę wykonał według znanego nam, a ze wszystkich najdoskonalszego systematu p. Siemens.

Zegary elektryczne dość liczne na wystawie, prawie wyłącznie z francuzkich pochodziły fabryk. Panowie Froment i Garnier wystawili na widok publiczny swoje w tym przedmiocie wynalazki. P. Vérité z Beauvais do wahadła zegarowego, u pewnéj jego wysokości, przyczepił poziomą, krzyżującą się z niém linijkę. Linijkę tę zaopatrzył po obu końcach w pionowe sztyfty, nad każdym z nich wisi w stosownéj wysokości wydrążeniem do dołu obrócone metaliczne naczynie. Sztyft każdy wznosi się wraz z wahadłem i z niém spada; u kresu każdego wzniesienia jeden ze sztyftów dotyka wewnętrznéj powierzchni zawieszonego nad nim naczynia, a przez to zamyka okrąg elektryczny, pod którego wpływem zostający elektromagnes przyciąga i zniża metaliczne zawieszenie w mowie będącego naczynia. Naczynie więc to opadając pod własnym ciężarem cisnąć będzie na linijkę wahadła i bieg jego przyspieszać. Wahadło za każdém, czy to lewém, czy prawém wzniesieniem, podobną pomoc w płynie elektrycznym znajdzie. P. Houdin w zegarze swego pomysłu przez p. Detouche wykonanym, naczynia ciężarem swym na linijkę wahadła działające, za-

stępuje dwiema sprężynami, które kolejno wpływem strumienia elektrycznego napinane, kolejno też swą sprężystością wahadła popęd nadają. P. Granier tegoż samego dopina celu podnosząc działaniem strumienia ciężarek wahadłu popęd nadający.

Widzieliśmy, że na téj saméj zasadzie polega udoskonalenie przez p. Franchet, do wahadła p. Foucault wniesione. Wahadło takie na 10 metrów długie, na wystawie ruchami swemi dowodziło obrotu ziemi koło swéj osi.

Zakończę tę krótką wzmiankę o telegrafii elektrycznéj na wystawie, wspomnieniem, że można było widzieć i słyszeć dzwony z fabryki p. Mirand w Paryżu.

Niedostawało tylko wynalazku p. Bonelli, tyle ludzkość obchodzącego. Wynurzając żal z tego braku pochodzący, oddaję cześć pracom zasłużonego inżyniera.

XXXIII.

Niektóre statystyczne o telegrafach elektrycznych wiadomości. Telegrafy elektryczne towarzyszą zawsze kolejom żelaznym, często nawet bez nich się ciągnąc. Zachód Europy i Ameryka północna pokrywają się drucianą z nici telegraficznych złożoną siatką. Nie jest zamiarem moim rozciągłe dane statystyczne, telegrafii dotyczące, obecnie spisywać: wyciągam tylko niektóre szczegóły z dziełka p. Figuier: *Histoire des principales découvertes scientifiques modernes*, (3 tomy, Paryż, 1856 r.).

Stany Zjednoczone założyły w r. 1844 piérwszą linią telegraficzną między Washington a Baltimore. Państwo to wolnością handlu do bogactw i potęgi dochodzące, nie wahało się od samego początku zaprowadzenia tegrafów elektrycznych, używać ich do prywatnéj korrespondencyi. W skutek tego mnóstwo powstało linij telegraficznych, a ich dochody mimo nizkiéj za przesyłane depesze opłaty, są niezmierne. Stany Zjednoczone posiadają przeszło 30,000 kilometrów linij telegraficznych; opłata od każdych 10 wyrazów na przestrzeni 343 kilometrów (przeszło 35 mil geograficznych), Washington od New-York dzielącéj, nie przenosi 25 groszy polskich. Używane przyrządy p. Morse do 400 złp. kosztują; a kilometr linij od 1,200 do 1,500 złp. dochodzi.

Anglia używa znanych nam przyrządów pp. Wheatstone, Cooke i Walker. Rozciągłością swych linij, które w r. 1853

nie przenosiły 4,000 kilometrów, zdaleka ciągnie się za Ameryką. Wszystkie jéj telegrafy służą zarazem do rządowego i prywatnego użytku. Opłata za piérwsze dwadzieścia wyrazów każdéj depeszy wynosi między blizkiemi stacyami przeszło 5, a między odległemi przeszło 10 złotych polskich. Depesze dłuższe za każde następne 20 wyrazów połowę téj ceny dopłacają.

Jeszcze droższe są telegrafy francuzkiego państwa. Przyrząd sygnałowy pp: Foy i Bréguet wyłącznie do rządowéj służy korrespondencyi, i dopiéro od r. 1851 dozwolono osobom prywatnym telegraficznego znoszenia się; a daleko późniéj, bo w 1855 postanowiono, że każda linia rządowa oddzielne przyrządy do prywatnéj posługi posiadać będzie. Te utrudzenia są przyczyną, dla któréj we Francyi nieliczne linie telegraficzne tylko wzdłuż żelaznych ciągną się kolei.

Belgia, Niemcy i Włochy dobiegają za postępami w innych krajach poczynionemi.

Wielką niedogodność dzisiejszych telegraficznych korrespondencyj stanowi różność używanego języka. Zaradzić jéj może tylko powszechne przyjęcie jednego systematu telegraficznego. Amerykański telegraf p. Morse, tani, prostego składu, nieuległy częstym zepsuciom, a szybkością znaków wszelkim innym, (z wyłączeniem jednak przyrządów p. Bain), wyrównywający, najrozleglejszą ma przed sobą przyszłość. Jakoż jego użycie upowszechnia się w Niemczech, Anglii i Francyi, a nawet w Turcyi do zaprowadzonych tamże linij wyłącznie zadecydowane.

XXXIV.

Prędkość elektrycznego płynu. Wspomniałem pod nr. 12 o doświadczeniach p. Pouillet, dowodzących, że płyn elektryczny w przeciągu jednéj sekundy potrafi nietylko kilometrowy okrąg 2,400 razy obiedz, ale nadto jeszcze w tym samym czasie 2,400 razy zboczyć igłę galwanometru. Te pierwiastkowe doświadczenia poparł p. Pouillet nowemi w r. 1837 dokonanemi, i otrzymał, że elektryczność w jednéj sekundzie potrafi obiedz 5,000, a nawet 7,000 razy kilkunasto kilometrowy metaliczny przewodnik, i tyleż razy igłę galwanometru poruszyć. Trudno, a nawet niepodobna w doświadczeniach tych odróżnić czas potrzebny na mechaniczny wpływ na igłę od czasu, przez jaki

strumień po przewodniku spływa dającego naraz szybkość elektryczności. Otrzymujemy tylko jéj przybliżone minimum czyli niższą granicę.

Już poprzednio Arago dochodził długości trwania błyskawic i mniejszych iskier elektrycznych, i otrzymał, że tak błyskawica pół widnokręgu obejmująca, jak i najmniejsza iskierka trwa mniéj, aniżeli jedno milionową cząstkę sekundy. Wypadek ten przekonywa o niezmiernéj prędkości elektryczności błyskawic. Aby go otrzymać wyszedł Arago z dziecinnéj zabawki węgla świecącego na sznurku z pewną obracanego szybkością; gdy szybkość ta pewnych granic dojdzie, świecący punkt węgla w świecące przemienia się koło. Zamiast światła węgla, weźmy światło przez odbicie otrzymane, a wypadek się nie zmieni, i przekona nas, że wrażenia optyczne trwają w ludzkiém oku $^1/_{10}$ sekundy po usunięciu rodzącéj je przyczyny. I dlatego koło ciemne o 1 promieniu ciągle oświeconém, poruszane z prędkością 10 obrotów na sekundę wynoszącą, wyda nam się światłem wypełnione, również jak koło o 100 świecących lub oświeconych promieniach, raz tylko na 10 obrócone sekund. To trwanie w oku optycznych wrażeń sprawi, że 100 promieni koła jednorazowym błyskiem światła oświecone, przez $^1/_{10}$ sekundy jasnemi nam się wydadzą i to niezależnie od ilości obrotów. Ale dajmy, że 100 promieni 10 obrotów na sekundę czyniącego koła oświeca to światło przez jednę tysięcznę sekundy, a cała przestrzeń koła jasną będzie; bo czas ten wystarcza, aby każdy z promieni wstąpił na miejsce sąsiada swego. Mnożąc ilość promieni i prędkość obrotów rzeczonego koła, umieszczonego naprzeciw pojawiających się błyskawic lub iskier elektrycznych, z matematyczną ścisłością wykazał Arago, że trwanie ich krótsze jest od jednéj milionowéj sekundy.

P. Wheatstone wziął za podstawę czynionych przez siebie w r. 1834 doświadczeń, odbicie iskry w zwierciadle poruszaném biegiem wirowym. Wiadomo, że obraz odbity z dwa razy większą od zwierciadła obrotową prędkością kreślić będzie promieniem równym najbliższéj odległości przedmiotu od zwierciadła, koło środek na osi obrotu zwierciadła mające. W miarę więc trwania iskry świecącéj, odbite światło, całe koło lub część jego obieży, lub wreszcie tylko jako punkt się przedstawi. W galeryi Adelajdy rozwiesił Wheatstone pół

mili angielskiéj długi, odosobniony przewodnik. Przewodnik ten w początku, końcu i w środku swoim miał krótkie przerwy, w których błyskała iskra, skoro tylko jego końce związał stos, lub inne źródło elektryczności. Dla lepszego obserwowania iskier, trzy przerwy w odległości 2 cale wynoszącéj nad sobą umieszczone stały. Otóż trzy iskry bezpośrednio uważane ściśle jednoczesnemi się wydawały. W zwierciadle zaś kilkaset obrotów na sekundę czyniącém, ich obraz odbity, z wybitnością proporcyonalną do szybkości obrotu niejednoczesności dawał dowody. Tłumacząc wypadki swych doświadczeń p. Wheatstone następujące podał prawa:

1) prędkość elektryczności w miedzianym drucie wyższą jest od prędkości światła w planetarnych przestworach.

2) W okręgu łączącym dwa bieguny stosu, lub dwie powierzchnie butelki lejdejskiéj, elektryczność od dwóch końców ku środkowi z równą postępuje szybkością.

3) Iskra elektryczna trwa mniéj niż jedną milionową sekundy.

Wypadki te dowodzą stanowczo, że elektryczność w miedzi jest szybszą, a niżeli światło w próżni. P. Pouillet twierdzenie to wspiera rozumowaniem przekonywającém, bo na umiejętnych przypuszczeniach opartém: „Nie można (mówi on na karcie 862 tomu I, 6go wydania swéj fizyki) być a priori przeświadczonym, że prędkość elektryczności jest proporcyonalną do przewodnictwa okręgu; wychodząc jednak z tego niezmiernie prawdopodobnego przypuszczenia i dając, że elektryczność w $^1/_{5000}$ sekundy przebiega 1 tylko metr wody, formę walca pewnéj średnicy mającéj, to w miedzi o równém poprzecznem przecięciu, w tymże samym czasie ubiegłaby kilka tysięcy milionów metrów".

Wprawdzie prace pp. Fizean i Gonelle na przewodnikach telegraficznych linij francuzkich uskuteczniane, dały, że prędkość elektryczności w używanych:

drutach miedzianych wynosi . . . . . 0,569.

w drutach zaś żelaznych . . . . . 0,326.

gdy prędkość światła w próżni za jedność przyjmiemy.

Wzmiankując te wypadki dodać muszę, że przeciwko zasadzie doświadczeń, z których wynikły, mocna i uzasadniona powstała krytyka. Zresztą spór o prędkość płynu elektryczne-

go w granicach. w jakich się toczy, samą umiejętność obchodzi, a bez wagi dla telegraficznych zostaje zastosowań. Bo, czy on tysiące miliardów, czy tylko tysiące milionów metrów w sekundzie przebieży; czy sto, czy tylko dziesięć razy w mgnieniu oka ziemię okoli: to w każdym razie pozostanie najszybszą siłą, skutki mechaniczne wywierać zdolną. A telegrafia niezależnie od téj naukowéj wątpliwości, jak jest najbardziéj zdumiewającym wynalazkiem czasów dzisiejszych, tak i w społeczeństwie ludzkiém lata i wieki odznaczać się będzie użytecznością swoją.

Książka do nabożeństwa Zygmunta Starego, i inna królowéj Bony, zachowujące się w Anglii.

Jeden z naszych rodaków, który tego roku Anglią odwiedzał, doniósł nam ze swéj podróży co następuje:

„Książki do nabożeństwa Zygmunta Starego i królowéj Bony obecnie znajdują się, piérwszego w Londynie, w *British Museum*, drugiéj w Oxfordzie w Bodlejańskiéj książnicy. Książka Zygmunta I była własnością Zygmunta III (co poświadcza własnoręczny podpis), przeszła potém na własność do rodziny Sobieskich i Stuartów, a ze spadku po kardynale York nabytą została przez księcia Sussex, i ostatecznie przez zarząd Brytańskiego Muzeum. O książce królowéj Bony tyle tylko wiadomo, iż była testamentem p. Douce zapisana bodlejańskiéj książnicy. Obiedwie te książki szacownemi są nietylko dla nas, jako pamiątki po dawnych królach naszych, lecz i dla każdego, jako zawierające malowidła niepospolitéj sztuki. Książka królowéj ozdobniejsza jest co do malowideł, króla mało ustępując jéj w tym względzie, przewyższa osobistemi królewskiéj tamtych czasów rodziny pamiątkami. Książka królowéj Bony stanowi jeden z piérwszych klejnotów zkądinąd bogatéj bodlejańskiéj biblioteki w Oxfordzie. Gdy piszący tę wiadomość oświadczył się ze swą narodowością bibliotekarzowi, „Wiem po co tu przybyłeś" rzekł uprzejmie p. Koxe, i wydobył ze schowania w biurku, na którem pisał, w błękitny aksamit i jedwab' oprawioną książkę, życzeń podróżującego przedmiot. Jest ona formatu małéj

ćwiartki, a zawiera na pargaminie pisane *Cztery Ewangelie*, *Officium do Najświętszéj M. P.* według rzymskiego rytuału, i *Litanie*. Zawiera oprócz tego cztérnaście malowideł, poczynając od *Zwiastowania N. M. P.* do *Zdjęcia Chrystusa z krzyża:* wszędzie herb Sforza, a na jedném malowidle połączony z herbami Polski i Litwy. Przez ośm lub dziewięć lat pracowano około téj książki: początek odnosi się do lat poprzedzających zamążpójście Bony (w jednéj modlitwie prosi o zachowanie od powietrza i wojny „ojczyzny mojéj Lombardyi", nie wspominając o Polsce); skończona została w r. 1526. Ta data wyrażona jest złotą cyfrą. Malowidła są nadzwyczajnéj piękności, szczególnie jedno przedstawiające Najświętszą Pannę z dziecięciem, w czerwonéj szacie, z białą święte czoło okrywającą chustką. Nie znaleźliśmy nic podobnego ani w cesarskiéj bibliotece w Paryżu, ani w Rouen, gdzie jest tak bogata w średniowieczne malowidła biblioteka. Kończy się książka modlitwą (powiada w niéj o sobie: „me Bone") pełną wdzięku i gorących supplikacyj do Boga. Książka króla jest także formatu małéj ćwiartki, ale nieco uszkodzona w brzegach przez obcięcie w oprawie. Zawiera wyjątki z Psałterza, na piérwszéj karcie tak zaczęte: *Incipit Psalterium s. Ieronimi*" ciągnące się do karty 35^{b}; *Litania post Psalterium* (37—52^{b}); *Orationes de Passione Dei* (53—64^{b}); *Orationes ante et post Communionem multum devotissime* (65^{b}—79) zamykają część piérwszą. Wszystko co za tém idzie dopisano z innéj, królowi służącéj książki i to już po śmierci, zapewne z polecenia królowéj, która chciała mieć wszystkie nabożne skarby zgasłego króla w jednym podręcznym zbiorze. Druga ta część, obok modlitw różnéj treści (79—85^{b}), zawiera *Clipeus spiritualis* (86—197^{b}), gdzie w przemowie piszący zwraca rzecz do króla w tych słowach: *Najjaśniejszemu Panu Zygmuntowi piérwszemu królowi Polskiemu* (tłumaczę z łacińskiego). *Najjaśniejszy królu! poco Ci wiedzieć kto ci przesyła tę książeczkę. Posyła się ona od nieznanego Tobie, dla téj tylko przyczyny, iż zawarte w niéj modlitwy o zwycięztwo, napisane przez pewnego pustelnika w duchu rozmyślania życia i męki Chrystusa, ze wszystkich monarchów chrześciańskich naj-*

właściwiéj należą Tobie, który używasz miecza nie dla chrześciańskiéj krwi rozlewu, ale ku jéj obronie" i t. d. „Wiele z modlitw (powiada sir F. Madden w udzielonéj mi zapisce) tchną najgłębszą pokorą i pobożnością, a że nad niemi ciągle rozmyślały królewskie osoby dla których one przeznaczonemi były, mamy dowód w zużytych brzegach kart, na których pismo od codziennego użycia wytarte, ledwie już częstokroć przeczytać się daje". Reszta rękopisu, charakterem XVII wieku zapełniona, obejmuje modlitwy i litanie, pomiędzy któremi jedna: *Ad recte obeundum munus regium*. Pomiędzy kartami dwóch piérwszych części środkują cztéry malowidła. Piérwsze przedstawia św. Hieronima w czerwonym kardynalskim płaszczu, piszącego Psałterz, ze lwem u nóg. Na drugiém malowidle Chrystus, ranami i strumieniami krwi pokryty; z kielichem Ś^tej^ Kommunii w ręku, zbliża się do klęczącego tuż Zygmunta. Król wystawiony jest z twarzą z boku widzianą, w czerwonéj na futrze odzieży, a po sobolim kołnierzu spada mu złoty łańcuch. Inna podobizna króla jest na trzeciém malowidle: tu przedstawiony także w klęczącéj postawie, ale z twarzą do patrzącego obróconą, z oczami wzniesionemi do N. M. P. z dziecięciem, na półksiężycu stojącéj. Czwartém i ostatniém malowidłem jest tarcza przez aniołów utrzymywana z napisem: *Clipeus spiritualis*. Wszystkie te malowidła, nieporównanéj historycznéj i artystycznéj wartości, noszą u spodu herb Korony i Litwy.

W uniesieniu nad słodyczami poufałego życia domowego, autor jeden zawołał: „wolałbym pamiętniki Aspazyi, niż historyą Tucydydesa". Co do mnie, nie zamieniłbym Długosza i Kromera na zwierzania się nie powiem Aspazyi (podobnego charakteru w chrześciańskiéj Polsce być nie mogło), lecz ani na spowiedź najwznioślejszego charakteru w przeszłości. Wypowiedziałby ten boleści, miłości, nadzieje pojedynczego żywota, jakby nie świetnego, ale ogółowi mniéj więcéj wspólnego. Wszakże innéj są wartości dzieła ludzi, którzy na kilkuset deskach druku skupili kilka wieków życia całego szczepu w rodzie ludzkim. Kochajmy się zatém w ulo-

tnych zwierzaniach, ale nad wszystko szacujmy poważną historyą. Sam wyznaję, iż rozrzucone po książkach familijne notatki mają dla mnie powagę. U skromnego nawet chałupnika na Polesiu, z tajemném uczuciem przezierałem zczerniałe karty, na których znajdowały się daty urodzin, ślubu i śmierci członków rodziny. Ileto z przeciągiem wieków, w te pospolite jak życie domowe ramy pomieściło się nieznanych światu a wzniosłych poematów i trajedyj! Książka do nabożeństwa króla Zygmunta, służyła do podobnych dla rodziny królewskiéj wpisów, a te uskuteczniane były saméj królowéj ręką. Najwcześniejsza data tu przechowana jest dzień i rok narodzenia się Izabelli z Arragonu, matki królowéj Bony, co nastąpiło r. 1470, 4 października (1). Bona przyszła na świat w Wegenolis (*Vegenolis* zapewne Vignola, niedaleko Modeny) r. 1494 d. 2 lutego (2). D. 18 stycznia 1519 narodziła się w Krakowie Izabella, starsza córka Zygmunta i Bony „pod najszczęśliwszemi znakami i najmocniéj pożądaną" (3). D. 1 sierpnia 1520 przyszedł na świat w Krakowie „Zygmunt młodszy, przyszły król i następca, któremu gwiazdy zapowiadają długie lata, szczęśliwe i pożądane panowanie" (4). D. 13 lipca 1522, 18 października 1523, 1 listopada 1526, narodziły się królewny Zofia, Anna i Katarzyna (5). Między tem, d. 11 lutego r. 1524 w Neapolu umarła matka królowéj

(1) Isabella Aragonie Dux Mediolani, nata est Neapoli die jjjj Octobris, que est dies Frācisci, hora X^{a} anno M^{o} CCCC^{o} lxx^{o}.

(2) Die jj mēsis Februarii 1494, hora 13^{a} m'. 30 Vegenolis nata est Ser^{ma} Dna Bona Sfortia, Regina Polonie etc. Quam fel^{me} servēt, dum fluvii in freta current, convexa polus dum sidera pascet.

(3) Die martis, hora quarta noctis statim pulsata, 18 Januarii, 1519, Cracovie nata est Ill^{ma} D'na Ysabella Casimiriensis, ut felicissimis auspiciis et vehementissime desideratis.

(4) Die primo Aug^{ti} 1520, Cracovie, prope diem albescentē, pulsata statim septima hora noctis precedentis, natus est Ill^{us} Princeps D'n's Sigismundus modernus, futurus Rex et heres, cui sidera faveant nestoreā etatem, imperiū felicissimū et optabile.

(5) Die 13^{o} Julii, 1522 hora 4^{a} noctis subsequentis pulsata, Cracov' nata est Illa D'na Sophia, sub felici et auspicatissimo sidere quā rerum oium conditor diu servet et felicitet ad nestoreos et optatos annos.

Alli 18 de Octobro 1523 nasci Anna, sonāte 13 hora.

Allo primo de Novembro, 1526, nasci Catarina, sonāte 4 hora.

Bony (1); d. 3 maja 1543 ślub Zygmunta Augusta z Elżbietą Austryaczką, a w r. 1553 w lipcu ślub tegoż z Katarzyną, siostrą poprzedniéj (2). D. 1 lutego r. 15.. (1556) w sobotę królowa wyjechała z Warszawy do Włoch, i w tymże roku, d. 13 tegoż miesiąca, we środę, odprawiła wjazd do Baru (3). Obca ręka dodała wzmiankę o zgonie królowéj, tu nastąpionym, w dniu 19 miesiąca listopada r. 1557, o godzinie 5 w nocy, i o pochowaniu tamże w katedrze arcybiskupiéj ciała dopiéro d. 4 października r. 1558 (4). Następnie, po oznaczeniu rocznego, w Polsce królowéj należącego się dochodu, idą różne maxymy, ręką Bony pisane: *Responsio mollis frangit iram; Quid est facilius dicere Dimittuntur tibi peccata, an dicere Surge et ambula* i t. p. Ostatnie jest: *Debitum parent. erga liberos: Eruditio, Educatio, Castigatio.*

Kto był twórcą malowideł? — Tak w jednéj jako i w drugiéj książce, u spodu niektórych, położył malarz głoski S. C. a na jednéj dodał F. tojest *fecit*; niewątpliwie zatém jeden i tenże malarz dla obudwu książek pracował. Dr. Wagner, w dziele *Treasures of Art in great Britania* III. 1854 (żałujemy że dotąd żaden jeszcze z naszych ojczystych znawców nie zwrócił uwagi na te rękopisy) wyznaje, iż nie wiadomo mu kto był ten S. C. ale mniema, iż malowidła są różnych rąk robotą i w różnych wykonane miejscach. Ozdoby brzegów tchną podług niego włoską szkołą, w charakterze figur widzi ścisłe naśladowanie Alberta Dürera, tak, iż niektóre, a mia-

(1) Alli 11 de Febraro, nel anno 1524, e morta la Ill^{ma} S^{ra} duchessa de Milano, in Napoli.

(2) Adi jjj di Maggio nell' anno 1543, la Reina Elisabeth figlia di Rè di Romani maritata al Ser^{mo} Sigismondo Augusto, Rè di Polonia.

Adi... di Luglio, del anno 1553, la Reina Caterina, pur figlia del sodetto Rè di Romani, fù maritata al sodetto Rè di Polonia.

(3) La Ser^{ma} Reina Bona si parte... de Varsovia il pr^{mo} giorno di Febru... che fu di Sabbato dell anno 15.. et arrivo in Bari, nel porto, alli... di Maggio del medesimo anno. Qu... la sua felicissima intrata dentr... citta di Bari, alli xjjj di det.. mese che, fù di Mercordi.

(4) Die 19 mēsis Novēbris, 1557 hora quinta noctis Ser^{ma} dna Bona Sfortia Regina Poloniae e vita disces. in castro Bari, ubi stetit usque diem quartū mēsis Octobris anni sequentis 1558, et ipso die sepulta fuit... archiepiscopali, in civitate Bari, et illic jacet...

nowicie Matkę Boską przedstawiające, są kopiami obrazów tego mistrza, gdy tymczasem inne zdradzają wpływ szkoły flamandzkiéj. Wnosićby zatém wypadło, iż część wykonana była w Medyolanie, reszta zaś do Norymbergi na dokończenie posłana. Porównanie z innemi spółczesnemi rękopisami i ten zlewek wpływów niemieckiéj i flamandzkiéj szkoły, naprowadzają na myśl, iż malowidła robione w Norymberdze, są dziełem naówczas słynnéj tam rodziny Glockendon. Pomijając mniéj znaczące a dowolne przypuszczenia, zostaną dwa wnioski: że *malarz był Niemcem*, i że *pracował w Niemczech* (1). Ostrożniejszy krytyk angielski w *Gentleman's Magazine for July* 1845, nie wyrzekając zdania względem narodowości malarza i miejsca w którém pracował, ogranicza się *wykazaniem powinowactwa* między temi malowidłami, a szkołą niemiecką Alberta Dürera. My powiedzmy raczéj, iż kiedy nie ma żadnego dowodu zaprzeczającego polskość artysty, to znajdzie się niejeden potwierdzający to: a najprzód malowidła (jeżeli nie wszystkie to część ich przynajmniéj) musiały być robione w Krakowie, wizerunek bowiem króla przeznaczony dla króla, nie mógł go wystawiać jak wiernie, a to da się tylko z osoby wykonać. Zresztą herby korony i Litwy, narodowy ubiór żołnierzy (w owoczesnéj zbroi polskiéj wystawionych), wszystko niezbitym jest dowodem przynajmniéj tego, że malarzowi dobrze była znana Polska i jéj zwyczaje, i co więcéj, iż żył życiem Polski. Jakżebym pragnął powitać w nim mistrza, jeżeli nie założyciela szkoły polskiéj tego rodzaju malowideł! Ale w książkach, które przez lat 25 i więcéj do codziennego użytku służyły Zygmuntowi i Bonie, a służyły w najważniejszych chwilach życia, bo chwilach modlitwy, nie ma kropki jednéj, któraby w rodaku wspomnień nie obudzała: tu naciśnienie ręką w jedném znaczniejsze niż drugiém miejscu, gdzieniegdzie ślad łzy upadłéj: to pismo krótkie co do zakresu, lecz jakże długie co do znaczenia! Charakter tych maxym

(1) Że nie jedni Niemcy malowali podobizny Zygmunta I, dowód mam w rejestrze prywatnych wydatków tego króla, gdzie, księga XLV, czytam pod r. 1518: „Jacobo pictori *Bohemo* qui depinxit R. M. imaginem fl. 10".

przez Bonę wybranych i tu ręką jéj zapisanych, *pro memoria* o jéj dochodzie, o wychowaniu syna, o oględném postępowaniu z członkami narodu mało jeszcze umiejącego hamować się w swoich popędach, staranne wykrobanie na jednéj z kart kilkunastu wierszy, samo nawet zamilczenie o niektórych zajściach na łonie królewskiéj rodziny (narodzenie się syna Zygmuntowi w ostatnich latach życia, ślub Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwiłłowną i t. p.), zwrot dręczonego sumienia w głąb' miłosierdzia boskiego: wszystko tu godne uwagi i zastanowienia. Dopieroż wspomnienie, że tejże książki dotykał Zygmunt III, a Jan III najstarszemu przekazał ją synowi od którego Stuartom się dostała! Z Warszawy do Rzymu, z Rzymu zapielgrzymowała do dalekiéj Anglii! Nieraz tylko szum listka jednego, jesienną porą z drzewa spadającego, wywiódł z serca poety potok ujętych w poemat wierszów: szacowny ten zabytek sztuki i pobożności czyż nie mógłby służyć za tło do potężnego dramatu?"

J. T. L.

KRONIKA LITERACKA.

Studya historyczne Michała Balińskiego. Wilno. 1856. 8ka. *Stron. VI i* 366.

Uczony autor Historyi i Statystyki Wilna, biograf królowéj Barbary i Sniadeckich, pątnik XIX wieku do Częstochowy, poprzednio już w swoich „Pismach historycznych" zebrał wszystkie liczne, rozrzucone po różnych dziełach rozprawy, większe wypracowania swoje i wydrukował je razem u Sennewalda w czterech tomach w Warszawie (1843). Studya historyczne, które obecnie wydał Zawadzki w Wilnie w jednym tomie, są niejako dopełnieniem owych Pism historycznych, bo zawierają artykuły p. Balińskiego późniejsze, przedrukowane z Biblioteki Warszawskiéj i kilka mniejszéj wagi nowych urywków; nareszcie dopełnienie Pamiętników królowéj Barbary, które w drugiém wydaniu powtórzone były również w Pismach historycznych, a takim sposobem zawierają jakby następny tom poprzedniego dzieła. Historya literatury spółczesnéj miałaby słuszną do pana Balińskiego pretensyą, że przez cały ciąg swojego naukowego zawodu, żadnego dzieła nie wypracował, żadnéj monografii nie napisał. Prace jego są zresztą wielkiéj wartości dla dziejów, ale te wszystkie prace, że tak się wyrazim, przygodne. Wpadły autorowi w ręce listy do Barbary i o Barbarze, więc skreślał Pamiętniki; przyszło wydać dzieła Sniadeckich, więc napisał biografią Jędrzeja i Jana braci (Jana żywot dotąd nieskończony: zawód to i dla dzieła i dla prenumeratorów, którzy zapłacili); prosił ktoś o monografią Wolana, i naglił o to, więc pan Baliński napisał biografią; Orgelbrand chciał Starożytnéj Polski, wziął się do pracy nasz autor. Ludzie tak znakomitego imienia w literaturze jak pan Baliński, zadają sobie zwykle cel jakiś w życiu, pracują nad tém lub owém wyłącznie: Czacki nad prawodawstwem, Bandtkie nad drukarniami, Narbutt nad dziejami Litwy, Łukaszewicz nad kolejami reformy, Maciejowski nad historyą prawodawstw, Malinowski nad dziejami Jagiel-

lonów węgierskich, Muczkowski nad akademią Jagiellońską, Lelewel nad rozjaśnieniem źródeł i objaśnieniem wszystkich pomników, wszystkich tajemnic historycznych: jeden tylko pan Baliński, jedna ze znakomitości naszéj nauki, pracuje przygodnie nad czém pan Bóg zdarzył, i dlatego po pismach, które były zbiorową książką, daje nam studya, drugą książkę zbiorową.

Otoż w tém dopełnieniu pism historycznych, przedewszystkiém zwracają na siebie uwagę urywki nowych Pamiętników o królowéj Barbarze. Swoim zwyczajem, pan Baliński streścił naprzód w artykule wstępnym dwadzieścia sześć nowych listów króla Zygmunta pisanych do Mikołaja Rudego Radziwiłła, brata Barbary, a potém dał text owych listów, które dla niego z rękopismów biblioteki Cesarskiéj w Petersburgu, wypisał uczony Mikołaj Malinowski. Wszystkie te nowe świadectwa obejmując kilkomiesięczną przestrzeń czasu, wyjaśniają coraz bardziéj dzieje roku 1548, pamiętnego sejmem piotrkowskim i zabiegami Bony. Król te wszystkie listy pisze z Polski, dokąd już wyjechał po śmierci ojca. Pisze je z różnych miejsc, wreszcie z owego sejmu w Piotrkowie pisze do Rudego, kiedy z Barbarą jeszcze bawił w Litwie i późniéj, kiedy już z królową przyjechał do Polski i siedział w Nowem-Mieście Korczynie. Listy więc te idą od kwietnia do grudnia, a są niezmiernie ciekawe. Rudy był w Litwie przełożonym nad strażą otaczającą królowę: jemu wyłącznie Zygmunt August zlecił czuwanie nad ukochaną. Z każdego kroku, z każdego niemal słowa królewskiego widać, że do Barbary przywiązał się całém sercem; ciągle nią zajęty, nawet w czasach, kiedy troski każdą myśl inną wypędzały mu z głowy. Zajmuje się Zygmunt największemi drobiazgami, mającemi związek z ukochaną. Ciągle daje instrukcye jak ma jechać, jak ma mieszkać, jak pić, z kim rozmawiać. Królowa też chciałaby się we wszystkiém do woli męża zastosować: raz pyta się go, czyli i jak Zygmunt pisze do Rudego; chce mieć naukę w jakiejby szacie jechać i jego potém witać miała. Król w istocie odpowiada, że ma jechać „w szacie czarnéj z sukna włoskiego, i także też w płachtach nieco miąższych, jakoby w rańtuchach." (stron 148). Bał się też Zygmunt otrucia Barbary; tę jego obawę widać na każdym kroku, raz wraz albowiem szczegółowe idą przestrogi jak królowa ma pić i kto powinien jéj przyrządzać napój; lęka się Zygmunt żeby pani jego nie chciała pić w nocy, a woli żeby jéj szklankę podawali mężczyzni, nie kobiety.

Toż z Radziwiłłami. Dla Barbary miękczeje serce królewskie i żadna zapewne rodzina w Polsce nie miała tak do siebie przywiązanego teścia, szwagra, brata, męża, jakiego mieli Radziwiłłowie w osobie króla Zygmunta Augusta. Te listy do Rudego już wystarczyłyby za dowody, gdyby dowodów jeszcze było potrzeba, gdyby już ich poprzednio dosyć nie dostarczyli sam pan Baliński i Lachowicz. Król bierze udział serdeczny we wszystkich

sprawach osobistych Radziwiłłów. Chciał się Piotr Kiszka bogaty pan żenić z Anną siostrą Barbary i Rudego; pięknyto związek i dla Radziwiłłów nawet, którzy niedawno co, wiek dopiero temu, jak z nicości wyleźli i mieli obok siebie daleko znakomitsze domy na Litwie; król sam jest swatem Kiszki, układa się z nim osobiście, czas wesela stanowi. Matka księcia Rudego ma jakąś sprawę o dobra z wojewodą podolskim i dotąd niemało o to kłopotu; król prosi ją, by na niego dała zlewek pretensyi, a on sprawę lepiéj i prędzéj ukończy. Już nie mówić o tém, że król raz wraz i żonie i bratu żony dawał na ich różne potrzeby, a kiedy odwozić miał Barbarę Rudy do Polski, spytał się Zygmunta, jakoby długo tam mieszkał, bo nie wiedziałby ile ma wziąć z sobą. Król odparł: „zmieszkacie do śniegu, wszak co się dotycze mieszka, gdzie waszego niedostanie, tedy nasz będzie, o którym wam nic nie trzeba wątpić" (stronnica 147).

Inne nawet strony szlachetnego charakteru królewskiego i rozumu Zygmunta Augusta, przeglądają z tych niewielu listów. Im więcéj się bada, im się więcéj zastanawia nad tą piękną postacią historyczną, tém się ją więcéj szanuje. Mążto ze wszech miar znakomity i na króla wolnego narodu stworzony: mądry, sprawiedliwy, wyrozumiały, śmiały, pełen miłości, rządzi narodem nie jako król, który ma pod sobą poddanych, ale jako ojciec wielkiéj rodziny, któréj boleści boleściami są jego, radości radościami są jego. Jedno tylko mu zawsze zarzucić możem: brak żelaznéj woli, brak mocnego postanowienia, lubo i to nie wszędzie. Sprawa Barbary i tyle spraw innych zaświadczy, że król umiał się postawić dzielnie, kiedy chciał, i tak, że pioruny gniewu, zawiści i złéj woli nawet dosięgnąć majestatu jego nie mogły. Tąli jedynie przytomnością umysłu i pewnością siebie, odniósł znakomite nad Boną, nad Kmitą i burzliwym sejmem zwycięztwo. Naprożno oppozycya każdy mu krok utrudniała: nie dozwalała mu np. sądzić; król utrzymał świetnie prawo majestatu i zamknął usta politycznéj swawoli. Umiał się tak zgrabnie wziąć do rzeczy, że nawet przeciwnicy Barbary wpraszali się potém do jego rady, którą nibyto porzucili; król tedy ze swojemi przyjaciołmi radził i poszedł górą (stron. 174). Panowie mu przeciwnie zagadywali rzecz główną innemi sprawy, chcąc oppozycyą zmęczyć króla. Podnieśli rzecz o unii. Całe to świetne panowanie kręci się około unii, któréj wreszcie dokonało w Lublinie. Unia bowiem w r. 1386 zawarta nie była ani trwałą, ani pewną; raz wraz, czas od czasu, jak to na to już w innem miejscu zwracaliśmy uwagę (przy przeglądzie pierwszych tomów Dyplomataryusza Rzyszczewskiego, w „Nowej epoce literatury historycznéj"), raz się odnawiała, drugi raz się rwała. Tutaj nowe znajdujem fakta do dziejów téj przerywanéj i odnawianéj unii (stronnica 173). Dziwna rzecz, panowie chcieli kłopotów przymnożyć królowi, podnosząc marę, która, jak im się zdawało, skutku mieć nigdy nie będzie, a król jakże zemścił się

na nich! Bo odtąd, jak piérwszy raz to słowo unii posłyszał, nie spoczął już król ani na chwilę, aż póki tego, co się marzeniem długo zdawało, nie przywiódł do życia: takim sposobem Zyg. August najszlachetniéj się pomścił własnéj obelgi.

Zresztą listy króla w czasie sejmu piotrkowskiego pisane do Radziwiłła, doskonaléj jak wszystkie inne dotychczas znane nam źródła nakreślają obraz stronnictw sejmowych w walce o Barbarę i najdokładniéj rozwijają dzieje tego sejmu, o których dotąd mieliśmy dużo wiadomości bez żadnego jednak porządku. Teraz w liście królewskim oprócz nowych szczegółów, znajdujemy i daty, podług których kierować się będzie można w opowiadaniu czynności tego sejmu jak bussolą na morzu. Nie ma król na celu charakteryzować panów, którzy go otaczali, a oppozycyą dokuczali mu najwięcéj; ale przecież i te półsłówka, te półobrazy, które się mu z pod pióra niechcący wymykają, wybornie usłużą dla charakterystyki ludzi i czasu. Kasztelan wileński Grzegorz Wirszył Ościkowicz, widać pan możny, nie sprzyjał małżeństwu królewskiemu, które go gniewało. Ztąd lubo pan litewski, raz wraz wybierał się na sejm do Korony, rad żeby królowi i tam dokuczać. Donosił o tém książę Rudy królowi, a król raz na to zniecierpliwiony: „na to my nic nie dbamy, i owszem lepiéj, że się też swym rozumem postawi, z którego zawsze będzie mogło być komedyj dosyć«. (stron: 137 i 145). Do liczby przeciwników Barbary należał i pan poznański Jędrzéj z Górki, który na równi dokazywał na sejmie z Kmitą, a jeżeli wojewoda krakowski wiódł za sobą szlachtę i burzliwych posłów, Jędrzéj z Górki przeciągał na swoję stronę senatorów: otóż kiedy król powié, że pomagają w tém kasztelanowi najwięcéj dwaj jego chlebo-jady wojewodowie brzeski (Rafał Leszczyński) i łęczycki (Mikołaj Jarand z Brudzewa), temi kilką słowami charakteryzuje dobrze owych dwóch panów i samego Górkę. Nadto w historyi rodziny Leszczyńskich wiadomość taka stanowi epokę. Widzim ich jeszcze w połowie XVI wieku. Rodzina ta, późniéj jedna z najznakomitszych, najhistoryczniejszych rodzin polskich, na dworach większych od siebie panów porastała w pierze. Inną razą widzim trzy wpływy działające na króla, żeby dogodzić małym ambicyom, gdy o krzesło sandomierskie aż trzech naraz starało się kasztelanów (stron: 134). Trudno wypisywać tych wszystkich drobiazgów rozproszonych w listach, które razem w sobie i razem wzięte, wiele światła rzucają na czasy Zygmuntowskie. W listach królewskich jest np. wzmianka, że Kmita pisywał do Rudego Radziwiłła, i wnosić możem, że listy te były dosyć częste, poufnie przyjacielskie, a potém zadużo już rozpisywały się o samém małżeństwie królewskiém. Radziwiłł te listy popalił (stron: 144).

Zanotujem mimochodem jeszcze jednę piękną cechę charakteru Zygmunta Augusta, a to tém skrzętniéj, że odnosi się do jego marzeń religijnych, o których tak dziwne latają wieści,

Powtarzamy cośmy przy rozbiorze Comendoniego powiedzieli. Król miał nadzwyczajny takt w postępowaniu swojém. zawsze i wszędzie był katolikiem w duszy, choć postępu nowym wyobrażeniom religijnym nie tamował, boby inaczéj kraj cały narażał na wójnę domową, a wojna domowa wpośród ówczesnych stosunków, przy tylu narodowościach w rzeczypospolitéj, przy niepodległéj jeszcze Litwie, przy groźnych nieprzyjaciołach zewnętrznych, przy nieurządzonych stanowczo prawach i rządzie, przy szlachcie burzliwéj: wojna ta byłaby się skończyła katastrofą, t. j. rozerwaniem jedności. Zygmunt August był tutaj tak mądry jak Batory, ale Batory już jako następca po Auguście mógł przeprowadzać systematycznie odrodzenie się narodu w duchu katolickim, kiedy Jagiellończyk musiał czekać aż się zewrą i zniszczą w zapamiętałéj walce sprzeczne z sobą żywioły. Zdarzyło się wówczas, tojest w czasach sporów sejmowych o Barbarę, że dwaj kaznodzieje reformy zaczęli przepowiadać swoję naukę na Litwie; chrzcili, absolucye dawali, sakramenta administrowali. Król gniewał się na to, że takiemi rzeczami szafują, że się płocho wdają w biskupią juryzdykcyą. Kazał tedy, żeby „się powściągali a niepotrzebnych dysputacyi zaniechali, iżby tak już sobie na stronie żyli, toż nie dokazywali aż z nimi zjadą, a wszakoż cudnemi a łagodnemi słowy", kazał je król upominać. To była jedyna droga postępowania wtedy z reformą:—inszéj nie pojmujemy.

Do rozświecenia szczegółów prawodawczych w Litwie i rozdwojenia się tam porządku towarzyskiego, jakich tutaj w listach ślady znajdujem, przybywa nam jako rzecz ciekawa a charakterystyczna, fakt o wstręcie królewskim do rozdawania dóbr książęcych na wieczność (stron. 128). W Litwie nie było tak jak w Koronie drobnéj szlachty, a jednak wyrabiała się tam powoli na sposób polski. Król wolał w lenność rozdawać ziemię na małe cząstki wprzódy podzieloną, bo takim sposobem szło dziedzictwo li tylko po mieczu, i służba ziemska nie ginęła. Po niejakim czasie, kiedy rodzina, któréj lenność dano, wygasła w męzkich potomkach, ziemia wracała się do skarbu książęcego, który przez to nic w prawach swojéj własności nie stracił. Rodzina zaś lennością nadana to zyskiwała, chociażby przyszło z czasem i oddać ziemię, że tworząc nowy stan na Litwie, jakiego tam nie było, wpisywała się w szeregi szlachty i unarodowiała się indygenatem faktu. Tutaj właśnie zachodziła jedna okoliczność, która nam te stosunki rozjaśnia. Mikołaj Radziwiłł prosił za jakimś władyką, żeby mu król dał na wieczność siedm służb, tojest siedmiu kmieci: ale król nie rad był »imienia rozrywać, bo tego nie zwykł czynić dla własnych przyczyn". Nie mówim już o tém, że władyka lub bojar dostawszy taki kęs ziemi, mógł się doczekać szczęśliwszéj chwili za drugiego króla, który łaskawszy był na «daniny« i mógł wyrobić sobie przywilej zmieniający lenność na własność. Tak powsta-

wała w Litwie drobniejsza szlachta, lennościami i wrastała w dobrach książęcych.

Listy Zygmunta Augusta potrzeba odróżnić i pod względem języka. Jeżeli sam król je układał, przyznać potrzeba że pisał pięknie i czysto po polsku; jeżeli miał do tych listów sekretarza, sekretarzowi ta pochwała należy: w każdym razie listy Zygmunta Augusta i dla śledzenia bogactw językowych się zdadzą. Wyrażenia wszędzie staropolskie, śliczne, dobitne, a znajdują się i wyrazy już nieznane: np. *dura*, oznacza córkę (stron. 128); *tadyńki* znaczą zwłokę „czemuśmy za długiemi tadynki zwolili" pisze król. Mniéj tylko może poprawne jest onych listów wydanie, o czém sądzić możem po nazwisku koniuszego koronnego Koryckiego. Sam pan Baliński w Pamiętnikach o królowéj Barbarze zowie go nieraz Koryckim, tutaj zaś w tych listach zwie go Kozickim (stron: 138 i t. d.); musiało w rękopismie być *r.* francuzkie i ztąd pomyłka.

Na tém skończymy o Barbarze i listach Zygmunta Augusta, chociażby niejednę jeszcze uwagę zrobić o ich treści i wadze należało. Pan Baliński w osobnym artykule toczy walkę z Szajnochą, który z jego Pamiętników napisał swój wizerunek Barbary i drukował go w Szkicach. Polemika pana Balińskiego dotyczy pojedyńczych wyrażeń, a czasem charakterystyki wieku, jakiém mniéj zgrabném półsłówkiem lub rysem zepsutéj. Tutaj przyjęlibyśmy wszystkie prawie poprawki autora, chociaż to czasem drobiazgi, i radzilibyśmy Szajnosze, żeby się w nich przejrzawszy, pojedyńcze swoje wyrażenia naprawił. Dwie tylko rzeczy wymówilibyśmy panu Balińskiemu: naprzód dlaczego to wynoszenie konieczne Barbary nad wszelki poziom prawdy historycznéj? Zgadzamy się chętnie z autorem, że męża kochała; zgadzamy się na to, że niewyłącznie zajmowała ją myśl o koronie, jak tę rzecz przedstawiał Szajnocha; zgodzilibyśmy się i na to tłumaczenie *czołobitni* litewskiéj, którą w nazbyt niewolniczy sposób wykłada Szajnocha: ale nie widzim powodu do utrzymywania że Barbara była ideałem. Szanowny autor salonowe ma grzeczności dla kobiét, nietylko w ustach, ale i w historyi, a wszystko co się ich dotyczy, téj pięknéj połowy ludzkiego rodu, uważa za wyłącznie z poetycznéj, uczuciowéj li tylko strony. Téj słabości nietrzeba w nim szukać, każdego uderza. Wszystko to robi, że w panu Balińskim kobieta każda, którą pochwali jest już nadziemską bez skazy istotą. Z Szajnochą szczerze, pomimo spółczucia dla niego, spiera się pan Baliński jedynie za to, że historyk lwowski nazwał Barbarę kobiétą pospolitą. Otóż niepospolitą była dlatego, że obudziła taką miłość Zygmunta Augusta: dobre to tłumaczenie dla kochanków, bo oboje sobie łatwo uwierzą, ale nie dla historyi.

Drugi zarzut dotyczy zapewne nas osobiście, jako recenzenta, któremu pan Baliński niesprawiedliwie przymawia za artykuł o Szkicach Szajnochy (Biblioteka Warsz: 1854. IV.

stron: 588). Powiedzieliśmy niegdyś, że więcéj sztuki w obrazku historyka lwowskiego, jak w dwóch tomach Pamiętnika Barbary. Nie cofamy tego słowa, bo w Szajnosze opowiadanie, a więc sztuka: w Pamiętnikach tylko materyał. Dlaczego tedy p. Baliński utyskując przeciw recenzentowi wmawia w niego to, co mu się nigdy nie marzyło powiedzieć, t. j. że artykuł Szajnochy więcéj wart, niż jego dwu tomowe Pamiętniki? Jako żywo! tak nie jest: nie dwa tomy, ale nawet jeden dodatek do Pamiętnika Barbary w Studyach więcéj wart jak artykuł Szajnochy, który chwaliliśmy, ale prosto jako drobną i bez wyższego w nauce znaczenia kompilacyą.

W Studyach wydrukował jeszcze pan Baliński dawne swoje artykuły o Spytku Mielsztyńskim, o wyprawie Cecorskiéj Żołkiewskiego i o książce bardzo rzadkiéj, tojest o Panoszy Paprockiego.

Żałuje pan Baliński, że nie znał drugiego tomu Jadwigi i Jagiełły Szajnochy, i że nie mógł poprawić w artykule o Spytku błędnych niektórych podań. Kiedy skończy się drukować tom trzeci Dyplomataryusza, żałować mocniéj będzie, że nie znał tego znowu textu ważnych i ciekawych przywilejów. Nie rozumiemy dobrze, jak można brać się do obrazowania figur naszéj Piastowskiéj przeszłości, bez dyplomataryuszów? Trudu niewarto. Kompilować można księgi z czasów późniejszych, a kiedy się do tego jeszcze znajdzie kilka pism nieznanych w epoce, gdzie pisem dużo, może być i zasługa w takiéj monografii. Dlatego zbijają się tutaj w życiorysie Spytka rzeczy, które zbiły się same; poprawiają się błędy, poprawione już dawno. W swoim czasie, tojest przed 10 laty, biografia Spytka miała za sobą przynajmniéj jakiś urok świeżości: dzisiaj uroku tego jéj niedostaje po nowych pracach historycznych. Stworzył tę monografią jeden odszukany, a ważny dla dziejów naszego prawodawstwa dyplomat, bo systemat feudalny ukazuje w Polsce, ale dzisiaj tych rysów mamy dosyć. Oprócz tego dyplomatu nie ma treści w artykule o Spytku, bo gdyby autor opuścił postronne rzeczy, które dla biografii mało mają znaczenia, pokazałoby się, że nie ma i artykułu.

Okolicznościowym również jest artykuł o śmierci Żółkiewskiego. Ważny jest on jedynie dowodami, które ciągnie za sobą, ale sam rzeczy wcale nie rozświeca, jako zupełnie okolicznościowy. Mamy niezmiernie wiele podań o téj nieszczęśliwéj wyprawie hetmańskiéj Żółkiewskiego. Pan Baliński podaniom Szemberga winien cokolwiek interesu. Przy téj okoliczności zrobimy zarzut wszystkim w ogóle badaczom naszym dziejów Wołoszczyzny. Niejednego zajmowały stosunki Rplitéj z Księztwami naddunajskiemi; te historye nasza i rumuńska raz wraz stykają się z sobą i hospodarowie przez dwa przeszło wieki hołdowali Polsce. Dlaczego zamiast kompilować historyą wojen, nie zastanawiać się dobrze nad naturą

naszych wojennych stosunków? Dużo swobód i wolności swych, winni są Rumuni dobroczynnéj nad niemi opiece Rplitéj; wprawdzie położenie ich było cokolwiek fatalne, ale zawsze opatrznościowe i mogli się ciągle stosunkami ratować. Nieraz stanowili o losie dawnego cesarstwa greckiego: położeni albowiem w środku pomiędzy Polską, Węgrami a Portą, tak ważne zajmowali stanowisko, że tam, gdzie się Rumuni przeważali, zwykle przeważało się i zwycięztwo Ależ księztwa darły się pomiędzy sobą i do jedności przyjść nie mogły, więc słabe były i musiały ulegać czyjejś opiece i zwierzchności; Węgry oddawna przeszły w ręce Rakuskiego domu, straciły swoje dla Rumunów znaczenie, więc zostawała tylko Porta i Rplita. Póki Polska była cała, wybór nie był dla księztw trudny; w królestwie Jagiellońskiém więcéj się rękojmi mieściło dla każdéj narodowości: i dlatego panowali królowie nasi nad księztwami, aż póki stanowczo nie zrzekł się opieki nad niemi Żolkiewski pod Buszą na rzecz Turka. Rplita nie wdawała się w rządy lennych księztw swoich, dlatego Rumuni zachowali instytucye swoje, prawa i religią, tojest rękojmie lepszéj przyszłości. Dzisiaj Europa ani wie nawet, że księztwa Polsce może najwięcéj są winne.

Czasów nowszych dotykają i ważne tajemnice historyi prawie nam spółczesnéj rozjaśniają dwa artykuły o Janie Śniadeckim. W jednym z nich pan Baliński opowiada o stosunkach uczonego rektora uniwersytetu z Napoleonem w czasie chwilowego pobytu bohatera w Wilnie; w drugim zaś rozwija przyczyny zajść, jakie miał rektor uniwersytetu z Czackim. Nie wiemy czy potrzebnie sili się dowodzić tego pan Baliński, że obadwaj, Śniadecki i Czacki, szanowali się wzajemnie w epoce, kiedy ich jeszcze bliżéj z sobą nie związały urzędowe stosunki. Szacunek ten pozostał i w późniejszych latach, wtenczas nawet, kiedy były już powody do rozdwojeń; bo naturalnie Czacki wierzył Śniadeckiemu, a Śniadecki Czackiemu, że nie dla żadnéj prywaty rozdzielali się z sobą. To objaśnienie jednak wzajemnych tych zajść było dla nas potrzebne. Widzim, że rektor upierał się przy jedności systematu edukacyjnego i przy całości funduszów; Czacki zaś gotów był szczepić rozdwojenie, i dwa wydziały naukowe z jednego utworzyć z dwoma uniwersytetami, nawet z dwoma kuratorami, jeżeliby tego była potrzeba. Czacki w gorliwości swojéj, fundusze na zaprowadzenie innych szkół, innych systematów, rad był obracać, a przezto fundusz w przyszłości narażał na stratę. I o ten właśnie systemat obadwaj uczeni poróżnili się bardzo; Śniadecki bezwarunkowo pochwalał rozporządzenia dawnéj kommissyi edukacyjnéj jeszcze z czasów polskich i ślepo się ich trzymał; Czacki wyglądał więcéj na reformatora. Śniadecki może wytrawniejszy pedagog, brał rzeczy zimno i rozważnie; Czacki jako gorączka, zapalał się i unosił. Dziwna rzecz: Czacki przez całą pewną epokę życia swojego,

myśli tylko o tém, żeby Śniadeckiego sprowadzić do Wilna, tęskni za nim, namawia go, listami obsyła w Paryżu, aż do natręctwa przypomina mu jedno i jedno, wszystkie trudności z drogi przed nim usuwa i ułatwia, a kiedy Śniadecki przyjechał do Wilna, w kilka już miesięcy kłóci się z nim Czacki, jako ze swoim zwierzchnikiem, i spór nieraz dochodzi aż do zaciętości. Sądziliśmy dotąd, że Śniadecki zawiele może imponował władzą swoją: teraz się przekonywamy z łaski pana Balińskiego, że Czacki miał mniej po sobie słuszności. Materyałów do tego objaśnienia wzajemnych stosunków tych dwojga znakomitych ludzi, dostarczyły panu Balińskiemu listy Śniadeckiego i Czackiego. Dziękujem mu, że je wydrukował w całości. Ważny to dokument historyczny, szczególniéj listy Czackiego pod niejednym względem budzą zastanowienie; entuzyazm znakomitego obywatela dla Śniadeckiego, spowodowany jego rozprawą o Koperniku, entuzyazm publiczności dla tego samego dziełka, który opisuje, dziś są już dla nas niezrozumiałe. Członkowie Towarzystwa Przyjaciół nauk wydzierali sobie rozprawę: Czacki nie mógł się oprzeć ich natręctwu. Wciągu kilkunastu godzin kilkanaście razy pewnego dnia przeczytano rzecz o Koperniku w Warszawie; chciano zaraz tłumaczyć ją na wszystkie języki świata, a przedewszystkiém na niemiecki, francuzki, angielski, włoski: kiedy zaś rozprawę czytano na posiedzeniu publicznem—płakano. Co większa, w zapale retorycznym zapewne wyraża się Czacki: „Prusacy, którzy już rozumieją nasz język, unosili się równie." I w istocie niewybrydne to były czasy, kiedy rozprawa Śniadeckiego o Koperniku budzić mogła entuzyazm.

Bardzo wiele wałęsa się jeszcze pomiędzy nami listów Czackiego: wartoby je razem zebrać i wydać. Tomy będą. Pan Baliński miał ich pod ręką wiele, więcéj jeszcze niż wydrukował, ale drukować je wszystkie przechodziło, jak mówi, zakres jego pisma. Tego nie rozumiemy. Dlaczego zakres pisma jakiego mają przechodzić wiadomości interesująco żywo kraj cały? dlaczego wreszcie nie rozszerzyć tego zakresu pisma, jeżeli już tak koniecznie wypadło? Dlaczego w zakresie studyów historycznych np. leżała polemika mniéj ważna z Szajnochą, a nie leżały korrespondencye Śniadeckiego z Czackim? Dlaczego pan Baliński rozjaśniać chciał jednę tylko stronę żywota tych dwóch mężów, nieporozumienie się w pracy, a nie wszystkie ile to było w jego możności? Mógłby się tém jedynie pan Baliński tłumaczyć, że chciał osobno zebrać i objaśnić te listy wszystkie, jakie ma pod ręką, w jednem obszernem dziele. Gdyby myśl tę szczęśliwą powziął, pospieszyliby mu chętnie inni z pomocą. Wydał pan Baliński Pamiętniki Barbary z listów; mógłby również z listów wydać Pamiętniki edukacyjne, lub coś podobnego. Zdaje się, że do takiéj pracy najwięcéj ma pan Baliński namaszczenia, boć i w studyach, które rozbieramy, zawsze jest

więcéj surowego materyału jak obrobionego, tak dalece, że nie rozumiemy nawet po co tam wyraz *studyów?*

Jakkolwiekbądź, gdyby się więcéj takich książek w naszéj literaturze mnożyło, jak obecna książka pana Balińskiego, naukaby potężnie wzrosła i to w krótkim czasie.

D. 9 września. *Julian Bartoszewicz.*

Życie na Żart, powieść Alexandra Niewiarowskiego. *Dworek i Pałac, powieść* K. Wł. Wojcickiego.

Największą bez zaprzeczenia plagą ludzkości jest to, że z żyjących mało kto zastanawia się nad życiem. Do wybaczenia tym, ktorzy czy to ze stanowiska socyalnego, czy z braku zasobów wewnętrznych, pozbawieni samodzielności, wyrabiają się na istoty bierne lub czysto wegetacyjne; ale ciężka odpowiedzialność cięży na tych, którym Bóg dał dzielne środki do rozwijania zagadki życia; a oni przez lekceważenie ich nietylko że nie przyczyniają nic do dobra powszechnego, ale owszem, marnując się jako jednostki, czynią ujmę ogółowi, i co gorsza, częstokroć władz ku dobremu danych, choćby i niechcący, pełnięci tylko fatalnością pierwszego złego kierunku, używają do rozszerzania gangreny moralnéj.

Ten ostatni fakt tak jest niezaprzeczony i widoczny w każdém społeczeństwie, że słusznie nie przestaje zwracać uwagi moralistów, filozofów, a nawet poetów; tém więcéj, że jest złe, przeciw któremu prawo nic, albo nie wiele może: bo prawo uderza na czyny nie na chęci i usposobienia, śledzi życie rozwinięte, nie zaś jego zarody, które rozrastają się pod innemi zupełnie wpływami. Złe, przeciw któremu prawo jest bezsilne, ma przeto swoję kontrollę w religii i sądzie powszechności, która wszystkiemi głosami jakie tylko w organizmie swoim posiada, odzywa się z potępieniem przeciw niemu, i tym jedynie sposobem nieco tamuje przyspieszone rozwijanie się jego. Do takich głosów liczymy i utwory sztuki, które jakkolwiek z natury swéj nie są satellitami moralności, ale jako objaw piękna są tém samém zaprzeczeniem złego.

Nie dziwna też, (i inaczéj być nie może), iż w powieściach obyczajowych przedstawia się życie z obu stron swoich, iż pisarz wydobywa nieraz na jaw w głębi ogromnego ciała społecznego ukryte wrzody, choć niezawsze gotów na nie balsam nałożyć: bo powieściopisarz nie jest lekarzem.

Do takiego też źródła zszedł p. Alexander Niewiarowski dla poczerpnienia treści do powieści swéj p. t. *Życie na żart*, którą

niedawno w odcinku Gazety Codziennéj ogłaszał. Z prologu, wyznajemy otwarcie, obiecywaliśmy sobie zupełnie co innego, niż się w rozwinięciu okazało: coś bardziéj oryginalnego i zgodniejszego z rzeczywistością naszych społeczeńskich objawów. Istotnie prolog pomimo swego cynizmu z całą barwnością poetycką oddany, przedstawia nam kilku młodych ludzi obdarzonych wyższemi zdolnościami: jeden jest filozofem, drugi artystą, trzeci poetą, a wszyscy przez lekceważenie życia nurzają te tak rzadkie, a tak świetne dary w kałuży uciech materyalnych najniższego rzędu. Dotąd można ich tylko żałować, boleć nad zbłąkanemi, potępiać ich nawet, i sądziliśmy, że na tém się skończy: że w dalszym ciągu okaże nam autor rezultaty tego kontrastu tak na nieszczęście u nas powszechnego; że w obrazie sztuki przedstawi nam historyą zmarnowania się osobistego, poniewierki życia i talentu, tych wszystkich pełnych nadziei ludzi, bo o założeniu autora sądziliśmy po tytule nadanym powieści. Zaprawdę byłoby to i ciekawe i nader ważne, bo trafiałoby w żywotną kwestyą, w otwartą dotąd ranę społeczeńską: ten właśnie, powtarzamy, kontrast namaszczenia wyższego w połączeniu z poziomym kierunkiem życia, w odpowiednich kolorach przedstawiony, byłby mógł autorowi zapewnić zasługę trafności pomysłu i właściwego ocenienia potrzeby społczesnéj. Tymczasem inaczéj się stało: autor w dalszym ciągu rozstaje się na dobre z postaciami tak dosadnie w prologu napoczętemi, pomija ich wyższe usposobienia, i wystawia ich jako prostych nikczemników, którym już nie litość, ale pogarda od nas się należy, i to prawie bez żadnego przejścia, bez stopniowania na drodze zepsucia: od zbłąkania się, aż do upodlenia i zbrodni. Nie jest to więc bynajmniéj życie na żart, ale podłość na seryo, w któréj biorą téż udział osoby już po prologu do akcyi przystępujące. Ztąd utworzył się bardzo powszedni i z niedawnéj, a nawet bieżącéj literatury francuzkiéj aż nadto znajomy obraz brudów towarzyskich, które na każdém zarówno społeczeństwie nalepione być mogą, a od których właśnie nasze wolniejszém jeszcze jest niż inne, bo na szczęście jeszcześmy dotąd do téj subtelności w niecnocie nie doszli.

Niknie więc zasługa pomysłu, pozostaje wszelako drugi wzgląd: artystyczne rozwinięcie zadania, jakkolwiek ono byłoby szczupłe i zużyte. Tu pomimo chęci musimy powołać się na treść; powiadamy pomimo chęci, raz dlatego, że przytaczaniem jéj rzecz się rozwlekać musi; a przytém już i tak żałować przychodzi, że taka wieść sromoty rozniosła się przez pośrednictwo odcinków Gazety Codziennéj po domach naszych, a my z konieczności sprawozdawczéj jeszcześmy ją powtórzyć winni.

Owoż młody artysta muzyk i zarazem człowiek wyższego wykształcenia, syn ubogich rodziców, *Konrad*, w dwudziestu leciech życia już ulega szkodliwym wpływom zmysłowości, do

czego dopomaga mu towarzystwo kilku rówieników biédnych, i jak on na drodze zepsucia stojących. Tymczasem kiedy on w rynku Starego Miasta w Warszawie dzieli młodość swą między sztukę, wdzięki bufeciarek i piołunówkę: zwiastun fortuny, w osobie wiejskiego szlachcica p. *Drużbickiego* przybywa doń z zawiadomieniem, iż ciotka jego umierając, pozostawiła go spadkobiercą i panem niepospolitego majątku. Konrad, oblawszy udanemi łzami testament ukochanéj ciotki, pospiesza na wieś, gdzie w sąsiedztwie swych dóbr poznaje skromną i piękną córkę regenta, Józię, która pokochała go całą czystością i zapałem dziewiczego uczucia. Konrad nie był obojętnym na jéj miłość, ale ta w tém cichém, wiejskiém otoczeniu wydała mu się, jako już poczęści zużytemu, zbyt tkliwą. Pożegnał więc pocałunkiem swoję kochankę, polecił się pamięci swych wiejskich przyjaciół i wyjechał aż do Włoch. Nieobecność jego trwała lat dwa, w ciągu których regent umarł, dziedziczka majątku Józia wyczekiwała powrotu kochanka. Drużbicki i siostra jego panna *Weronika* utrzymywali ją ciagle w nadziei, że kochanek wróci i natychmiast z nią się ożeni, a rządca majątku Konrada, Niemiec *Saltzbrod*, tymczasem kradł go niemiłościwie. Nareszcie przybywa oczekiwany. Józia z bijącém sercem wybiega na jego spotkanie, ale wraca znękana i zbolała: jedna chwila przekonała ją, że Konrad zapomniał o niéj, że Konrad pamięci jéj niegodzien. Rzeczywiście autor w krótkiéj scenie powrotu młodego rozpustnika wybornie kreśli nam przedsmak tego nieuleczonego zepsucia, jakie w ciągu tych dwóch lat owładnęło duszę Konrada. Ten w czasie pobytu swego za granicą poznał panią *Klarę*, Litwinkę z rodu i brata jéj *Adolfa*, dwie istoty tak doskonale bezecne, że podobnych im nie było i nie ma pewnie na całéj Litwie i Koronie. Klara jeszcze za życia męża oszukiwała go i miała występne stosunki z Konradem, za co mąż w testamencie zamieszcza jakąś klauzulę bardzo niekorzystnie wpływającą na stan majątkowy swéj małżonki. Ztémwszystkiém Klara po śmierci męża wraca do Polski jednocześnie z Konradem, i osiada w swym majątku sąsiadującym także z jego dobrami; i w cichości przy pomocy czcigodnego braciszka układa plany dla złowienia ręki Konrada, który w mniemaniu ich jest jeszcze panem, co się zowie. Takiż sam zupełnie projekt powziął i Konrad względem młodéj i powabnéj wdowy z odpowiednim celem i nadziejami, nic bowiem nie wiedząc o fatalnéj klauzuli testamentowéj, miał szczerą chęć klęski zadane majątkowi swemu marnotrawstwem własném i drapieżną dłonią Saltzbroda, uleczyć kapitałem Klary. Tak tedy grając z sobą w ciuciubabkę oboje stanęli przed ołtarzem bez miłości, bez wzajemnego szacunku, używając przysięgi tylko jako środka do urzeczywistnienia spekulacyi finansowych. Po ślubie dopiéro w czas jakiś wzajem odkrywają przed sobą myśli przewodniczące zawarciu związków małżeńskich: ztąd, łatwo się

domyśléć, wzajemna pogarda, niechęć, przymus, a poza tém wszystkiém naturalnie chęć i konieczność zerwania niekorzystnego związku. Resztkami goniąc osiedli w Warszawie, gdzie zawierają uczciwą umowę z przyrzeczeniem wzajemnéj pomocy dla wyszukania sobie odpowiednich *partyi* i dokonania formalnego rozwodu. Losy przychodzą im w pomoc, bo w Warszawie mieszka także od niejakiego czasu Józia, która nie przestała kochać Konrada, a to dziedziczka rzeczywiście bogata; w Klarze znowu rozkochał się szalenie warszawski bankier: słowem nic do życzenia, idzie tylko o to, kto piérwszy krok i umiejętnie uczyni. Tu już w całéj okazałości występuje sztuka dyplomatyczna Klary: ośmielony przez nią bankier z niecierpliwością finansisty udaje się do Konrada, i w pełnéj ohydy scenie proponuje mu bez ogródki kontrakt kupna i sprzedaży. Na jednéj szali stawia Klarę, na drugiéj summę wystarczającą na oczyszczenie z długów majątku Konrada. Ten zrazu oburza się, wzdraga, ale przed nieustającą natarczywością bankiera ustępuje nareszcie, i zamierza gruntowną reformę w życiu swém zaprowadzić. Winniśmy dodać, że przed przybyciem bankiera Konrad uczuł jakieś świątobliwe natchnienie, serce jego doznało jakiegoś rozrzewnienia, sumienie zbawiennego wyrzutu. Konrad teraz wyzwolony przez bankiera z niemiłych mu więzów i zasilony ważnym wexlem, postanawia wyjść za granicę i oddać się pracy; tylko, o! dziwy, nieodpowiedniéj swemu powołaniu: nie w zawodzie sztuki, ale w domu handlowym w Gdańsku, do którego ma list polecający i wexel od bankiera. Tymczasem Klara, któréj już od poczęcia targu Konrad nie widzi, rozchorowała się na piękne; w czasie trawiącéj gorączki tyfoidalnéj dopiéro ozwała się w niéj skrucha i żal za grzechy, a obok tego miłość prawdziwa dla męża; ale to wszystko było zapóźno: bankier dobił targu, Konrad wyjechał, i już jest w Gdańsku. Ale p. *Geldmacher* mu się nie podobał, porzuca pracę kantorową i woli chodzić po mieście, romansować z excentryczną niemką Augustą, obchodząc się dotąd bez zrealizowania wexla bankiera: Klara umarła, ale jako Magdalena pokutująca.

Bankier nie kontent z takiego obrotu spekulacyi, chce przynajmniéj uratować co można i czémprędzéj pisze do swego kolegi w Gdańsku, aby wstrzymał się z wypłatą jego wexlu na imię Konrada. Ale kolega nie terminator w sztuce finansowéj, widzi się przypadkiem z Konradem i proponuje mu pewien układ, mocą którego data wypłaty wexlu mogłaby być wcześniejszą jednym dniem od daty odebrania zastrzeżenia. Konrad znowu z wexlem robi też same ceregiele, co niedawno z żoną: wzdraga się, następnie przyjmuje połowę zysku i niesławy. Wyrzuty sumienia głuszy rozmową z Augustą, zarobek trwoni powoli i już ma udać się z nową kochanką do Ameryki, kiedy przychodzi mu myśl wstąpić do domu gry, gdzie ryzykując ca-

łe mienie, wygrywa ogromne summy. I znowu zabiera się do reformy, bilecikiem zawiadamia Augustę, że podróż z nią do Ameryki odkłada na czas nieograniczony, p. Geldmacherowi wypłaca walutę wexlu bankiera i zwraca mu go w całości, wreszcie przynaglony jeszcze listem Drużbickiego jedzie do kraju widzieć się z Józią i jéj się tylko miłości poświęcić. Tu horyzont wyjaśnia się nieco, ale nie nadługo: Konrad, już małżonek Józi, anielskiéj dziewicy, zaczyna czuć niesmak, zniechęcenie, słowem, paraliż moralny odrętwił w nim wszystkie pulsa życiowe. W epilogu widzimy go w gronie dawnych znajomych, równie znikczemniałych jak on, powtórnym już wdowcem, pijakiem i napół waryatem.

Otóż jest treść i zarazem sens moralny powieści p. Niewiarowskiego: ciąg jéj przeplatany intermezzami, w których występują koledzy Konrada z prologu w chwilowych ustępach, bynajmniéj z biegiem rzeczy nie związani, ale tylko dla okazania coraz widoczniejszego moralnego upadku wprowadzeni. Szczególne też założenie autora, żeby całe trzy tomy zapełnić wszystkiém, co tylko zwie się brzydotą i hańbą. Tyleż osób wchodzi, a każda bezecniejsza jedna od drugiéj; umysł ani chwili wytchnąć nie może przed tym wyziewem sromoty, jaki unosi się nad całą powieścią, bo prócz Józi, która rzadko wreszcie samodzielnie występuje, i kilku innych osób niby poczciwych, jako: Drużbicki, siostra jego i ksiądz proboszcz, ale wystawionych w karykaturze, wszystkie napojone jakimś szatańskim oddechem, odgrywają dramat potępieńców.

Najnieszczęśliwszą ofiarą autora jest właśnie bohater powieści Konrad: ten nie przedstawia się nam zepsutym w naturalnéj postaci tego stanu duszy, ale wiedziony wyraźnie ręką autora, pokazuje jakieś sztuki akrobatyczne zepsucia; jest on przytém zbiorem psychicznych niekonsekwentności od początku do końca powieści, jużto jako człowiek, już jako artysta.

Przypuszczamy, że się mógł zepsuć, ale jeżeli miał wyższe zdolności do sztuki, jak to ze słów autora wnosić należy, to nigdy przypuścić nie można tego, aby się jéj zupełnie na całe życie wyrzekł, aby ona nie była dlań jakąkolwiek podporą w upadku moralnym, aby on nawet w chwili mocnego postanowienia reformy w życiu nie wspomniał na nią, jako na źródło pociechy i środek przyzwoitego zarobkowania: ale obrał ku temu celowi księgi buchhalteryjne, których prozaiczne rubryki bynajmniéj nie odpowiadały jego poetycznemu usposobieniu. W naszém przekonaniu namaszczenie na artystę jest tak silne, że jak sakrament w piekle nawet, tak ono na ziemi zatrzéć się nie da: nie masz tak grubéj warstwy błota, przez którąby nie przedarł się jasny promień wrodzonego geniuszu i nie odznaczył człowieka śród innych. W Konradzie my nic tego nie widzimy: żadnéj tęsknoty, żadnego żalu za sztuką, żadnego do niéj zwrotu; aż dopiéro tam gdzieś na końcu półsłówkiem autora

to wszystko ma się wyrażać. Po cóż go więc autor artystą w założeniu czynił, kiedy w ciągu rzeczy przedstawia go tylko jako zużytego milionera, kiedy występki jego są występkami zwyczajnego człowieka: czyż to artysta, choćby i podupadły moralnie zaraz tak zniża się do spekulacyi małżeńskich i wexlarskiego oszustwa? Ale odpowié autor: Konrad przez lat dwa nawykł do dobrego bytu: widząc więc, że własne jego mienie już mu go zapewnić nie może starał się dokonać tego jakąkolwiek inną drogą, np. bogatém ożenieniem. Zgoda, lecz i w tém jakże Konrad jest nieloicznym! Skoro już raz został matrymonialnym spekulantem, to dalipan nie rozumiemy, dlaczego za powrotem do kraju nie uderzył raczéj do Józi, któréj majątek był czysty i nietykalny i o czém on doskonale wiedział; ale wysilał się na udawanie miłości przed Klarą, nie przekonawszy się nawet, czy to się opłaci; a o tém był aż nadto przekonany, że Klara, jako światowa kobieta i przywykła do marnotrawstwa łatwiéj mogła lub może majątek, choćby i był, zniszczyć, niż skromna wieśniaczka; że nareszcie po ożenieniu się z Klarą, będzie musiał dogadzać tysiącznym jéj zachceniom, a co najgorsza mieć na karku braciszka jéj Adolfa, żarłoka, utracyusza i zrujnowanego próżniaka. I o tém mógł wiedzieć Konrad, kiedyć już chodziło o spekulacyą, że późniejsze pożycie, nie powiemy szczęśliwsze, ale mniéj ambarasowne dla niego być może z Józią, która jest uosobistnioną miłością i cnotą, niż z Klarą, o któréj wiedział, że jest fałszywą i podlą bez granic, że jak oszukiwała piérwszego męża, tak i jego oszukiwać może; co jeżeliby nie było dla niego boleścią, to przynajmniéj niesławą, a i ta sprawia pewien ambaras. Tymczasem w domu Józi byłby sobie jakto mówią, jak u Pana Boga za piecem, robiłby co chciał, i jeżeliby kto był nieszczęśliwym, to chyba żona. Wobec tak widocznych korzyści i strat Konrad wybiera co może najgorszego bez żadnego zdania racyi przez autora, bo wszak Konrad ani uczuciem, ani niczém innem z Klarą związany nie był, a wszystkie korzyści połączenia się z Józią aż nadto dobrze pojmował. Jak widzimy przeto, nawet złe nie rozwija się tu według praw naturalnych, loicznych. Bo przypuścić w Konradzie myśl, że nie chciał swą splugawioną dłonią dotknąć czystéj ręki dziewicy, jest niepodobieństwem; gdyż wtedy Konrad jużby nie mógł być tym Konradem w ciągu powieści przez autora wystawionym: wtedy zasługiwałby na uwielbienie, nie zaś na pogardę, jaka idzie w ślad za wszystkiemi jego czynami: słowem, byłby to znowu krzyż loiczny.

Nie dość na tém: Konradem widocznie Bóg się opiekuje, a on wciąż odrzuca wszystkie środki pojednania, i to w sposób, na jaki z wielu względów zgodzić się nie możem. Za powrotem z balu gdzie Konrad widział się z Józią, ku któréj uczuł coś nakształt rozbudzającéj się miłości, gdzie poznał, że i jéj nie jest jeszcze obojętnym; doznał on w duszy jakiegoś rozrzewnie-

nia, pierwszy raz od tak dawna myśl swą zwrócił do Boga ze szczerą skruchą w sercu i gorącą w uściech modlitwą. Chwila to ważna, stanowcza: od takiéj chwili niejednokrotnie zależy przyszłość człowieka; i myśmy właśnie wówczas spodziewali się po Konradzie upamiętania i radykalnéj reformy, a tymczasem Konrad w tejże saméj chwili sprzedaje swą żonę bankierowi, bez żadnego przejścia od podniesienia ducha do jego upadku, bez wyraźnéj okoliczności, któraby dość była silną dla potłumienia zbawiennych natchnień. Z takiemi chwilami, w których sam Bóg zdaje się w sercu człowieka przemawiać, nie można znowu tak lekko igrać: rzadkie one są w ludziach upadłych moralnie, ale wpływowe: my przynajmniéj tak je przywykliśmy cenić. Trzeba więc albo je w całéj ich godności odznaczyć, albo brak ich skuteczności należycie udowodnić, albo nie wprowadzać ich wcale: bo lekko przesuwając po nich, lekkie tém samém nadajemy im znaczenie, co jest wyraźną profanacyą. Konrad w końcu ma jeszcze potężną dźwignię do wydobycia się z upadku: miłość Józi, któréj zostaje małżonkiem. Ale i to nic nie pomaga, i tu właśnie obraz niedokończony: widzimy Konrada nieszczęśliwym, rozumu nawet pozbawionym; ale nie jesteśmy pewni, czy to tylko z niego samego wynikło, czy z przyczynienia się losu, który mu żonę i dziecię odebrał. Zapewne, że w końcu ten stan człowieka wielostronnie skołatanego nie jest dziwnym i niepodobnym; ale kiedy on w początkach pożycia z Józią zaczyna już zniechęcać się i rozpaczać, mając w ręku swym dwa tak dzielne środki ratunku jak miłość i sztuka; kiedy on ani myśli nawet korzystać z nich, ale owszem upatruje w nich nowe powody swego utrapienia: to już przyznajmy, że skazany jest na wyraźną przez autora ofiarę. W tém obezwładnieniu dwóch tak niepospolitych potęg, widzimy zbyteczną, przesadzoną rozpaczliwość i zwątpienie o ludziach, którzy zeszli z właściwéj drogi; zwątpienie, którego raczéj, w duchu ewangielicznym, nie należy wydawać, bo byłoby to samo, co odebrać nadzieję zbłąkanemu. A wszak sam Bóg powiedział: „*Człowieku, kiedykolwiek westchniesz za grzechy swoje, nie chcę onych więcéj pamiętać.* Gdyby Konrad nie miał istotnie żadnych dobrych popędów, gdyby natura jego zrosła się nierozdzielnie ze złem i była tylko jego przedstawieniem, to ten jego niedźwigniony upadek byłby wytłumaczonym; ale wtedy zachodzi pytanie, coby znaczyło wprowadzenie takiéj postaci na bohatera powieści? Zapełnienie trzech tomów charakteryzowaniem jakiegoś wierutnego łotra, byłoby regułą najfałszywszego założenia estetycznego, któréj autorowi nie przypisujemy; owszem radzibyśmy za myśl przewodniczącą mu do napisania téj powieści poczytać walkę pomiędzy dobrym z natury gruntem i wyższemi zdolnościami z jednéj, a chorobą moralną wynikającą z lekkiego traktowania życia i jego obowiązków, z drugiéj strony. Protestujemy jednak przeciw formie téj

walki i jego rezultatowi: mniéj hańby, więcéj boleści i żalu byłoby więcéj odpowiedziało i prawdziwości obrazu i potrzebie społeczeńskiéj i warunkom sztuki. W utworach jak: *Świat i Poeta*, *Powieść bez tytułu*, widzimy błędy i upadki entuzyastów nie tak rażąco, nieodpowiednie ich wysokości umysłowéj; w *Konradzie* p. Niewiarowskiego widzimy poprostu obraz zwyczajnego zużytego młokosa, z którym artysta nie ma żadnego związku.

Jeżeli charakter Konrada jest nienaturalny, ale przymusowy, za to inne postacie rozwijają się nader trafnie, a zdanie to stosujemy mianowicie do Klary i jéj brata Adolfa, Nie trudnobo też malować tam, gdzie dość jest użyć jednego koloru; a trudno coś bardziéj ciemnego, prócz zbrodni kryminalnych, wymyśléć, jak te dwie figury, w których p. Niewiarowski maluje plugawą stronę społeczeństwa, i z tego wywiązał się prawdziwie po mistrzowsku, szczególniéj pod względem Adolfa. Jakież to wyborne przedstawienie wytwornego, salonowego nikczemnika; jak każde słowo jego jest brudne a jednakże jak wyszlifowane i błyszczące. Dla tych, co nie czytali powieści, przywiedźmy jego własne słowa, w których on maluje sam siebie. Towarzysze żądają od Adolfa, aby im powiedział szczerze, co robił w życiu; on odpowiada: „To będzie krótko: łgałem i jadłem; tych co się dają okłamywać już mi braknąć zaczyna, to jeszcze zniosę; lecz gdy zabraknie takich, którzy smacznie i darmo jeść dają: strzelę sobie w łeb. *Fin!*" A co, czy nie piękna treść życia? Adolf w biegu powieści ani na krok nie odchodzi od téj zasady, owszem stwierdza ją każdym czynem i słowem bez najdrobniejszego zaprzeczenia.

Rodzona siostra jego Klara godny stanowi *pendandt*: umiejętnie zła, wyćwiczona we wszystkich sztukach zalotności, gotowa na wszystko, byle dogodzić próżności zachceniom; w końcu przed śmiercią upamiętywa się, porzuca myśli ziemskie i szczerze zwraca się do pokuty. Tu oddajmy sprawiedliwość, autor trafnie dowiódł przysłowia: *Kiedy trwoga, to do Boga.* Charaktery występne są zarazem nikczemne i trwożliwe; w danym razie, w chwili rozpaczliwéj nie umieją w zasadach swych wytrwać, bo złe ma to do siebie, że choć przybierze na się najwdzięczniejszy ustrój, to jednak go nigdy szczerze pokochać, nigdy w nie uwierzyć, nigdy doń jak do orzeźwiającego źródła nadziei i ratunku uciekać się nie można. Ludzie więc złych zasad naturalnie nigdy im nie dowierzają, działając według nich tylko w czasie zupełnego bezpieczeństwa i braku powodów do większéj oględności. Klara przypomina nam epigrammat Krasickiego o filozofii.

August i inni towarzysze Konrada z szarego końca, są także przedstawicielami ujemnéj strony społeczeństwa; ale zajmują w powieści podrzędne stanowiska i ukazują się w rzadkich odstępach: widocznie, żeby tylko utrzymali potrzebę prologu,

który bez nich byłby przypięty do powieści, jak róża do kożucha.

Śród téj powszechnéj nocy, jaka osiadła w powieści p. Niewiarowskiego, jedyną jasną gwiazdką jest Józia. Ale cóż ztąd: autor tyle zużył siły na opisanie złego, że dobre stosunkowo słabo przed niém przyświéca; Józia to figura więcéj książkowa niż żywotna. Musimy téż tu zrobić uwagę, że autorowie powieści częstokroć bardzo są niełaskawi na kobiéty zakochane, i w wielu razach czynią je niedorzecznemi, jak gdyby to już było regułą, że miłość musi odbierać rozsądek kobiécie. W powieściach (wyjmując Powieść bez tytułu i małą liczbę innych), jeżeli się kocha mężczyzna, to ten przedmiot jego musi być z konieczności czysty, skromny, uczciwy; jeżeli kocha się kobiéta, to ten kochanek nieraz bywa człowiekiem téj łatwéj moralności, która nie hańbi, ale brudzi i poniża; kobiéta wié o tém, a jednak kocha się bez ustanku tam, gdzie mężczyzna bardzoby się wahał, a nawet pogardził. Ta nadzwyczajna przewaga uczucia nad rozumem, co mówię: to uczucie jakieś nieczłowiecze, ślepe i w ślepocie swéj wchodzące w sferę bezrozumu, przypisywane kobiétom, uważamy za wielkie dla nich upokorzenie. Temuto upokorzeniu ulega skromna i poczciwa Józia: Konrad o niéj zapomniał, zużył się, znikczemniał moralnie, pogardził nią do tego stopnia, że ożenił się z inną i to najbezecniejszą kobiétą; Józia wszelako kocha się w nim szalenie. Konrad przedał swą żonę, Józia idzie za niego za mąż. I cóż o tém myśléć? chyba że kobiéta bardzo zakochana, musi być i bardzo niewybredna i bardzo, jakbyto grzecznie powiedzieć:—niemądra. Może to jest miłość ultra-chrześciańska zniżająca się do jawno-grzeszników, możeto właściwość kobiecego serca, ale skoro do tego kończy się małżeństwem, to już jest wyraźném zaparciem rozumu i godności. Cóżbyśmy powiedzieli o mężczyznie, coby pojął za żonę kobiétę dziesięćkroć mniéj wyszarzaną, jak Konrad? Cóż powiemy o kobiécie, która idzie za mąż za takiego całkowitego Konrada?

W ogóle powieść cała pod względem oddania czyli formy zewnętrznéj ma niepospolitą wartość, i to samo świadczy już o rzeczywistym talencie autora. Język wszędzie wyborny, życie i barwność w każdém wyrażeniu, ustępy nieraz pełne poezyi, a wiersze nadzwyczaj udatne; budowa jakkolwiek na słabych stawiana fundamentach, jednak z wierzchu strojnie i artystycznie wygląda: różna tém od wielu tegoczesnych obrazów, obrazków, szkiców i t. p., w których poczciwa dążność tak się wydaje ckliwą i niesmaczną. To tylko za wadę pod względem wykonania poczytać można, że utwór cały jest zanadto przesadzony złem. Autor oprowadzając nas ciągle, jakby po lazarecie moralnym, nie dozwala ani chwili spocząć myśli na czémś orzeźwiającém. To téż duszno nam w téj atmo-

sferze i pod koniec pragnęlibyśmy czémprędzéj świeżego powietrza i odetchnienia.

Inne zupełnie wrażenie sprawia na nas powieść p. K. Wł. Wójcickiego p. t. Dworek i Pałac: nie mówimy tego bynajmniéj w zamiarze porównywania tych dwóch utworów, zanadto bowiem wielki dzieli ich rozstęp jak w myśli tak i w sposobie wykonania; ale zbliżamy je tylko dla wykazania, iż jeden jest niejako antytezą drugiego. Rzeczywiście jak w poprzedniéj powieści wszystko niemal było złe, tak tu znowu wszystko aż się świéci od czystości i cnoty. Kilkanaście osób w ustawicznym ruchu przesuwają się przed okiem czytelnika, a każda tak niepokalanie prawa, uczciwa, święta, że choć ją zaraz kanonizować. I otóż odwrotny błąd w znaczeniu artystyczném, znowu nie jedność, ale jednostajność kolorytu, na któréj obraz cierpi, a zarazem niedostateczność w znaczeniu moralném, bo rzeczy i okoliczności wykazują się tylko z jednéj strony. Jużto nikt Wójcickiemu złéj dążności pewno nie zarzuci, ale jakkolwiek kto ukochał pewne objawy życia historycznego w narodzie, jakkolwiek rad najdrobniejsze ich zalety wyświecać, to nie idzie za tém, aby być sprawiedliwym, żeby miał ukrywać co w nich było ujemném: bo w każdym czasie i miejscu na ziemi żyli ludzie, nie zaś aniołowie. Wójcicki, o ile z prac jego wnosić możemy, z największém zamiłowaniem otwiéra księgę przeszłości narodu: epoka niezbyt dawno ubiegła, sięgająca blizkich nawet czasów ze strony obyczajów i życia domowego, najwięcéj i niemal jedynie go zajmuje. To też on we wszystkich powieściach sam się powtarza, choć to powtarzanie zawsze objawia się w sposób rzewny, zajmujący i udziela czytelnikowi tejże saméj miłości ku temu, co tam było dobrém i piękném, z jaką było pisane. Ostatni jego utwór jest nowym tego dowodem. Widzimy tam też same postaci dzielnych, gościnnych a szczerze dobrem publiczném zajętych ojców naszych; też same świątobliwe i skromne niewiasty; to życie wiejskie ze wszystkiemi przywiązanemi do niego szczegółami żywo na tle rodzinnego krajobrazu odmalowane. Musimy oddać sprawiedliwość panu Wójcickiemu, że zdejmując widoki do swego obrazu stał bardzo blizko natury, umiejętnie i serdecznie w nią się wpatrywał. Ale iżby sądu o téj pracy nie pozbywać ogólnikiem, wypowiemy zarazem z całą szczerością, czegobyśmy sobie poza tém jeszcze życzyli.

Owoż ta powieść p. Wójcickiego nie jest powieścią w znaczeniu do téj nazwy przywiązaném. Jest to poprostu opowiadanie i stosowne połączenie niektórych szczegółów dziejowych, opartych więcéj na tradycyi z epoki Stanisławowskiéj, przeplatane żywém przedstawieniem interesujących rysów obyczajowych, oraz scen i wypadków familijnych osób wprowadzonych do opowiadania. To wszystko zebrane razem stanowi raczéj rodzaj pamiętnika, ale nigdy powieści; ta bowiem przed-

stawia życie w całéj grze pierwiastków, z jakich ono się składa: w niéj czyny człowieka, stosunki jego z drugiemi są rezultatem osobistych jego uczuć, rozumu i namiętności; ztąd też ta rozmaitość myśli i kolorytu w powieści, ztąd dramatyczność całego biegu rzeczy. A cóżto są bohaterowie powieści p. Wójcickiego? Członkowie prawda wyborowi szlacheckiego narodu, każdy z nich rębacz zawołany, czynem stwierdzający braterstwo polityczne, odważny jak lew, czysty jak miecz, który nosi u boku: ale wszyscy jak jeden. Sąto więc typy, nie indywidualności: wszyscy myślą, czują i działają, jakby nakręceni do ducha czasu z jego najlepszéj, rozumię się, strony, bo ze strony poświęcenia wzajemnego i cnót narodowych. Wszystkich zasadą jest zasada wspólna; ale trudno i niepodobna nawet dopatrzyć szczególu uchylającego ich jakąkolwiek osobistość, któraby wszelako nie odstępowała od charakteru ogółu, a raczéj była jego dopełnieniem i rozwinięciem. W obec takiego nastrojenia osób działających, oczywiście, że nie może być życia dramatycznego, które najgłówniéj polega na silném zcharakteryzowaniu osobistych uczuć i podniesieniu ich nawet do stopnia namiętności. Rozmaitość dopiéro takich żywiołów kojarząca się naturalnemi ogniwami, nadaje tę promienną barwę utworowi, którą nazywamy życiem, zajęciem: tak jak rozmaitość tonów połączonych pewnemi prawami nazywamy harmonią, jednością.

Z powodu mnóstwa szczegółów niepodobna jest nam przytaczać treści obecnego utworu, który też zkądinąd nie jest bynajmniéj rozwiązaniem jakiejś pojedyńczéj myśli, jakiegoś zadania psychologicznego; ale to pewna, że o ile z natury swéj nie jest on powieścią, lecz raczéj obrazem, o tyle zaszkodził mu zakrój powieściowy. Autor raz postanowiwszy sobie z pewnych danych szczegółów ułożyć powieść, musiał tém samém wynajdować środki powiązania budowy. Że zaś te, w braku żywiołów prawdziwie powieściowych, tojest namiętności, dążeń osobistych, połączonych z odpowiedniemi przeciwnościami, nie nastręczały się w sposób naturalny; trzeba było przeto udawać się do sztuki i naciągania, które struktury powieściowéj wcale nie wzmocniło, ale owszem ujęło ogółowi swobody, jaka cechuje tego rodzaju obrazy, które nie oglądając się na zachowanie ciągu, stoją niby każdy z osobna, a jednakże wszystkie razem tworzą jednolitą całość, jak np. nieocenione *Pamiętniki Kwestarza*. Szkoda że autor nie ścieśnił się również zwyczajnemi granicami pamiętnika i nie poprzestał na samych scenach przedstawiających czas i ogół; byłby przez to uniknął niektórych rozdziałów, zgoła pozbawionych znaczenia i barwy w obec tak pięknych i charakterystycznych ustępów, jakiemi są: opisy życia w puszczy, najazdu i odporu, oświadczyny Macieja Zaręby, polonez świeczkowy, scena przekleństwa rzuconego przez Kacpra Płazę na przywłaszczyciela majątku jego dobroczyńców i t. p. Śród takich ustępów, co nas mogą obchodzić ja-

kieś miłostki, którym dosyć miejsca dano w obecnym utworze? Gdzie głównem założeniem i punktem wyjścia jest uczucie erotyczne, to dobrze, idźmy za niem we wszystkich jego fazach i kierunkach: będzie to historya serca; ale gdzie ono stoi na uboczu i niczém szczególném się nie odznacza, to dłuższe zajmowanie się niem jest tylko zawadą.

Teraz, kiedy staraliśmy się okazać, że utworu p. Wójcickiego nie można oceniać jako powieści, spojrzyjmy nań jako na pamiętnik. Autor nić swego opowiadania przeciąga przez trzy pokolenia i trzy epoki: koniec staréj rzeczypospolitéj, księztwa Warszawskiego i czasy bezpośrednio po niém następujące. Ale jakże nierówno obdzielił te epoki żywiołami mającemi je przedstawić. Ostatnie dwa tomy żadnego porównania z pierwszym wytrzymać nie mogą; owszem co w nich jest najlepszego, to wszystko do piérwszego się odnosi. Jak pod względem scen tak i osób schyłek rzeczypospolitéj jest wybornie przedstawiony: też same osoby skrystalizowane w owoczesnéj wierze, zasadach i obyczajach, ukazują się i w następnych epokach; patrzymy na nie jako na pomniki z zajęciem i rozrzewnieniem; ale to zajęcie byłoby nierównie wyższém, gdybyśmy je mieli z czémś spółczesném odpowiedniéj im wartości porównać: a tego właśnie brak. Czasy księztwa Warszawskiego ograniczają się na przybyciu do stolicy p. Kacpra Płazy za wojewodziną i jéj synem, na bardzo pobieżnym opisie miasta i kilku nader drobnych szczegółach; nie wprowadził autor ani jednéj postaci, którąby mogła zrównoważyć Zarębów i Płazów, i jak oni była wyrazem swéj epoki; najwyższy nawet jéj reprezentant ks. Józef pozbyty jest zaledwie kilku wzmiankami, tak dobrze jak nic nie znaczącemi. A jednak tyle tam jest pożądanych, tyle interesujących szczegółów, które same dopraszają się o miejsce w artystycznym obrazie, że doprawdy dziwić się należy, jak można, będąc już raz na tém polu i potrącając o podobne przedmioty, omijać je zdaleka. To samo powiemy i o ostatniéj epoce, z któréj tego tylko dowiedzieliśmy się, że kochanek panny Zarębianki był uczniem uniwersytetu i nic więcéj: gdyby nam autor odsłonił choćby trochę tego życia uniwersyteckiego, którego niewątpliwie i sam zakosztował, zapoznał choć z kilku ówczesnemi wydatniejszemi postaciami, zamiast zajmować nas szczegółami jednéj rodziny i miłością dwojga dzieciuchów: już tém samém wprowadzając nas w świat ciekawy, a dla wielu dotąd nieznajomy, nabyłby prawa do naszéj wdzięczności i obraz jego byłby nierównie pełniejszym, a przynajmniéj utrzymaną byłaby równowaga pomiędzy piérwszą jego częścią a następnemi.

Gdyby słowa nasze na cośkolwiek przydać się mogły, to radzilibyśmy p. Wójcickiemu, jeśli przedsiębrać będzie podobnego rodzaju pracę, aby się nigdy nie wikłał w niebezpieczném rusztowaniu powieściowém; ale raczéj poprzestawał na pro-

stym obrazie lub pamiętniku w formie tym rodzajom właściwéj. Obfitość zasobów, jakie p. Wójcicki w zbiorach swych i w sobie samym posiada, prawda i uczciwa dążność, jaką zwykł się kierować, oddana w téj formie jego serdecznem a obrazowém piórem, nierównie więcéj i jego samego i nas zadowolnić może.

Kazimiérz Kaszewski.

Przegląd muzykalny.

Swift i panna Berini.—Koncert Mejera.—Kilka uwag o koncertach.—Nowości muzykalne.

Szczupłą liczbę faktów mam do zanotowania z dziedziny muzykalnéj naszego miasta po dzień 10 października b. r. Opera polska dawszy znak życia w jedném przedstawieniu *Niemy z Portici*, pogrążyła się znów w milczeniu, zostawiwszy wolne szranki szczęśliwszéj współzawodniczce swojéj, operze włoskiéj. Powiadam szczęśliwszéj, gdyż powodzenie jéj, jakiego doznaje od pewnego kółka publiczności, stale do teatru uczęszczającéj, w żaden sposób nie może być policzone na karb zasługi. Dowodem tego *Lucrezia Borgia*: pan Swift w roli Gennara i panna Berini w Lukrecyi, zupełnie nie odpowiedzieli warunkom, przyjętego na siebie obowiązku. P. Swift, osobliwość w swoim rodzaju, Anglik z urodzenia, obdarzony dosyć przyjemnym głosem tenorowym, kształcony we Włoszech, wystąpił po raz pierwszy na naszéj scenie 18 września b. r. Głos jego nieco gardłowy i niezbyt mocny, przez zbytnie forsowanie wysokich tonów ostry i krzykliwy, razi słuchającego, a męczy śpiewaka; intonacya niepewna i nieczysta, brak należytego wykończenia i smaku, najwięcéj się przebija w recitatiwach aktu drugiego téj pięknéj opery. Czucia i zapału nawet mu nie zbywa, lecz z tych zalet nie umié należytych odnieść korzyści, bo w akcyi jego brak swobody i doświadczenia scenicznego. Panna Berini objąwszy rolę, w któréj panna Riwoli z takiem powodzeniem występowała, okazała się niższą pod wielu względami od naszéj artystki. Istotnie panna Riwoli zwykle dosyć chłodna na scenie, ma jednakże swe role, w których niesłychanie wiele czucia i ognia pokazuje; taką jest w *Mackbecie*, taką w *Lukrecyi*. Każda scena, każdy wyraz, poruszenie nawet, z niepospolitą dokładnością artystyczną są oddane, a śpiéw jéj bywa zawsze tak czysty, wszelkie najtrudniejsze jego ozdoby tak wykończone, że najwięcéj wymagający nawet, zadowolnionym być musi. Rola ta dla panny Berini jest zatrudną; w śpiewie jéj pomimo czucia, brak jest widoczny wyrobienia, niedostatek

wyższych tonów nie pozwala jéj z właściwą deklamacyą i efektem wykonać pewnych dramatycznych ustępów roli, kadencye niepewne i nieśmiałe, tryllu żadnego, akcya słaba i nie dosyć wystudyowana, wiele wyrazów akcyą dramatu rządzących, przez nieumiejętne ich wyrzeczenie nikną, nie robiąc żadnego efektu: jednem słowem rola ta jest nad siły tak młodéj i niedoświadczonéj artystki, jaką jest panna Berini; więc gdy idzie o porównanie co jest nieuniknioném, bo wszyscy mają w świeżéj pamięci wystąpienia naszéj artystki, wyższość téj ostatniéj nie może ulegać żadnéj wątpliwości. Panna Berini jedynie świeżością swego głosu ma niejakie nad nią korzyści.

Pan Miller w roli Alfonsa jest doskonałym: piękny organ, wyborna deklamacya, wiele życia i swobody w akcyi, wszystko to zasługuje na najszczerszą i najsprawiedliwszą pochwałę.

Nie można także pominąć panny Fruzińskiéj, która jako artystka dramatyczna nie mając dostatecznéj wprawy do śpiewania takiéj partyi jaką jest Orsina (contr-alto), wywiązała się z niéj jednakże dosyć dobrze i czyniła co mogła, by wyjść korzystnie z trudnego dla siebie zadania.

Ze sfery koncertowéj jedno tylko wystąpienie pana Mejera wiollonczelisty w sali Towarzystwa Dobroczynności dnia 14 września jest do wymienienia. Pochlebne przedtém wzmianki w niektórych codziennych pismach naszych o tym pełnym talentu artyście, wzbudziły niemało ciekawości pomiędzy publicznością: więc téż licznie na koncert się zgromadziła, by sama osądzić mogła, jak dalece artysta ten, co sobie jedynie wszystko winien, na takowe zasłużył. Już w nr. 156 *Kroniki* szeroko o grze pana Mejera pisałem, powtarzać tego nie widzę potrzeby; dodać tylko winienem, iż słuchacze najzupełniéj byli z koncertu zadowoleni, bo tak wysoko rozwinięty mechanizm w passażach gryfowych, stakattach, oktawach i tryllach, tudzież śpiew pełen czucia, chociaż pod względem smaku zostawiający wiele do życzenia, nie mógł pozostać bez korzystnego wpływu na słuchaczach: więc téż oklaskami sowicie artysta był obdarzony i każdy wyniósł to przekonanie, iż ten, co siłą własnego talentu, bez niczyjéj pomocy tak wysoko w dziedzinie sztuki wznieść się umiał, gdy pragnie jeszcze pracą u obcych nabyć większéj doskonałości, zapewne z czasem stanie w rzędzie najpierwszych dzisiejszych wirtuozów. Jakkolwiekbądź talent Mejera jest uderzający, wyznać potrzeba, iż szczególniéj prawa ręka wymaga wielkiéj baczności, by należycie wykształconą być mogła, ani téż lewa nie jest tak „po mistrzowsku ułożona" jak to jeden ze sprawozdawców powiedział. Prawda, że mechanizm jego jest nadzwyczajny; lecz śpiew ma pewne wady, z których koniecznie poprawić się powinien; dotychczas wzorów mu brakowało—za granicą je znajdzie. Mejer ma wielką zdolność do kompozycyi,

chociaż w dwóch ustępach własnego układu odegranych w czasie koncertu pomiędzy utworami Servai'go niewiele jéj pokazał; ale znane mi są inne jego dzieła, które prywatnie wykonywał: a mianowicie w tak nazwanym przez autora koncercie ułożonym na trzy wiolonczelle, pomimo pewnéj jeszcze niedokładności w formie, jest kilka myśli pięknych i wcale dobrze obrobionych.

Milą bardzo niespodzianką było wystąpienie pani S. amatorki znanéj już dawniéj w Warszawie. Pięknym swym głosem *mezzo-sopranowym* niepospolicie wyrobionym, dopomogła ona wielce do ozdobienia koncertu Mejera, wykonawszy aryą Handla i Mejerbeera z *Hugonotów*. Bez wątpienia panią S. policzyć można do najlepiéj wykształconych u nas amatorek, bo nietylko że pięknie, lecz i dobre rzeczy śpiewać umié. Niech nasze panie amatorki biorą z niéj przykład, i jeżeli w publicznych koncertach występować będą, niech się starają o lepszy wybór dzieł do wykonania. Publiczność tutejsza lubo nie tak ochoczo jak dawniéj, jednakże bywa jeszcze chętnie na koncertach; więc bezustannem powtarzaniem nudnych, i już swą jednostajnością oklepanych aryi i cavatin włoskich, zrażać jéj nie należy. Nieraz na to powstawałem i powstawać będę, dopóki ciasne granice programów używanych przez nasz świat śpiewający, rozprzestrzenionemi nie będą. Jeżeli kto sam wyboru uczynić nie może, niech się poradzi innych, coby umieli w tém zdarzeniu dopomódz, a na takich nam przecie nie zbywa.

Już w wielu prywatnych domach od pewnego czasu troskliwie zajmują się wyborem rzeczy mających służyć za przedmiot do muzyki; a zatém jest nadzieja, że z czasem stanie się to powszechniejszem. Koncerta jak wszędzie tak i u nas znacznie spowszedniały. Za granicą, artysta chcąc dać koncert publiczny, dobrze musi rozmyślać nad ułożeniem programu: zwykle wzywa on do pomocy wielką orkiestrę, śpiewaków, a wspólnemi siłami wykonywając najczęściéj dzieła mistrzów klassycznych, dopiéro liczyć może na zebranie się jakiejkolwiek liczby słuchaczy. U nas, artysta jeżeli uprosi kogo do odegrania albo odśpiewania jednego lub dwóch numerów, to już cały program ma ułożony, sam resztę dopełniając. Jedynie tylko koncerta dawane przez Dyrekcyą Teatrów i Wielką Resursę są więcéj urozmaicone: wszystkie zaś inne z małemi bardzo wyjątkami, grzeszą jednostajnością i ubóztwem dzieł na nich się wykonywających. Oczywiście, że to nie może zbawiennie wpływać na publiczność uczęszczającą na koncerta: doprowadzi ją to wkrótce do zupełnego zobojętnienia ze szkodą samychże artystów, chcących się dać poznać światu, lub zebrać jakie materyalne korzyści z talentu i pracy swojéj; a co więcéj, że taki sposób postępowania, najgorszy wpływ wywiera na postęp muzyki. Pomimo pewnych miejscowych trudności, dających się jednakże pokonać, jest jeszcze wiele współczucia w naszéj publiczności dla wirtuozów, a bez wielkiego nawet około niéj zachodu, można mieć niezły

dochód z koncertu; znajdą się zawsze chętni w dopomożeniu artyście, chociażby był nieznanym i nie posiadał rozgłosu w świecie, co jest największą rękojmią powodzenia. A chcecie wiedzieć szanowni czytelnicy jak to się dzieje u obcych, w Paryżu naprzykład? to wam opowiem rozmowę jednego wirtuoza z bardzo doświadczonym w tym względzie kompozytorem Paryżaninem.

WIRTUOZ.

„Od lat wielu pracując nadzwyczajnie, przyszedłem do znacznej doskonałości na instrumencie: mogę już śmiało odważyć się na dawanie koncertów; a ponieważ walczę ciągle z materyalnym niedostatkiem, więc chciałbym raz temu koniec położyć. W tym celu mam zamiar udać się do Paryża, wystąpić tam z koncertem, a dawszy się poznać światu, objechać następnie znaczniejsze miasta Francyi.

PARYŻANIN.

Co w Paryżu? we Francyi chcesz dawać koncerta? Ha! ha! ha! zabawny człowiek ha! ha! Pozwól niech się naśmieję ha! ha! ha!

WIRTUOZ.

Przepraszam pana, ale cóż w tém jest tak śmiesznego?

PARYŻANIN.

Powiadasz ha! ha! ha! że masz zamiar przyjść do pieniędzy we Francyi dając koncerta: o! to pomysł dziwaczny. Lecz posłuchaj, zaraz wszystko objaśnię. Najprzód we Francyi... pozwól niech wypocznę; najprzód we Francyi ktokolwiek chce dać koncert, stosownie do prawa musi opłacić podatek. Czy wiedziałeś o tém?

WIRTUOZ.

Tam do kata!

PARYŻANIN.

Są w Paryżu pewni ludzie, których obowiązkiem jest pobierać (to się ma znaczyć zabierać) *ósmą część* z całego dochodu brutto wszystkich koncertów, a nawet wolno im wziąć *czwartą*, jeżeli to uznają za potrzebne... A zatém, przybywasz do Paryża, urządzasz na twoje ryzyko wieczór lub poranek muzyczny; płacisz najprzód za najęcie sali, oświetlenie, ogrzanie, za afisze, za kopiowanie nut, a nareszcie i artystom, których wezwiesz do pomocy. Ponieważ nie jesteś znanym, powinieneś się uważać za szczęśliwego jeżeli będziesz miał 800 franków dochodu; wydatki wynoszą najmniéj 600 franków, więc powinno ci zostać czystego 200 fr.: a jednakże nic ci nie zostanie. Bo poborca zabierze sobie owe 200 fr. będąc do tego prawem upoważniony, schowa je bez tłumaczenia do kieszeni i ukłoni ci się pięknie, gdyż jest niezmiernie grzecznym. Jeżeli, co jest bardzo praw-

dopodobne, będziesz miał tylko najwięcéj 600 franków ogólnego dochodu, tyle właśnie ile koniecznie potrzeba na opłacenie wyłożonych kosztów, poborca żądać będzie zarówno *ósméj części* od owego przypuszczalnego czystego dochodu, a tym sposobem zostaniesz skazany na zapłacenie 75 fr. kary za to, iż byłeś tyle zuchwałym i chciałeś się dać poznać w Paryżu, i miałeś pretensyą żyć uczciwie z twego talentu.

WIRTUOZ.

To niepodobna!

PARYŻANIN.

Zapewne że niepodobna, lecz tak jest niestety! Proszę mię uważać za bardzo grzecznego jeszcze, jeżeli przypuszczam, iż możesz mieć 600 lub 800 fr. dochodu. Ubogi i nieznany, nie będziesz miał nawet dwudziestu słuchaczy. Oto jest rzetelna prawda. Najwięksi i najsławniejsi wirtuozi, oni sami nieraz doświadczyli smutnych skutków kapryśnéj i obojętnéj we Francyi na muzykę publiczności. Przed niedawnym czasem pokazywano w foye teatru w Marsylii zwierciadło, które Paganini rozbił z wściekłości, znalazłszy salę próżną na jednym ze swoich koncertów.

WIRTUOZ (*z przerażeniem*).

Paganini!

PARYŻANIN.

Tak jest, Paganini. Bardzo być może, iż dnia tego było zbytnie gorąco. Bo potrzeba ci wiedzieć, że w naszym kraju są czasem takie okoliczności, których nawet największy geniusz muzyczny tak piorunujący i tak niezaprzeczony jakim był Paganini, zwalczyć nie jest w stanie. Ani w Paryżu, ani na prowincyi, publiczność nie lubi dosyć muzyki, by miała się narażać jedynie dla jej słuchania na deszcz, śnieg lub gorąco, by przyspieszyć lub opóźnić chociażby o kilka minut godzinę w któréj zwykle obiad albo kolacyą ma zwyczaj spożywać. Jeżeli idzie na operę lub koncert, to chyba wtenczas, gdy może to uczynić bez kłopotu, nie przeszkadzając sobie w niczém, a rozumie się bez zbytniego wydatku i jeżeli nie ma co innego do czynienia. Na tysiąc osób trudno znaleźć jednę, jestem tego pewnym, co chciałaby pójść usłyszeć najdzielniejszego wirtuoza albo najrzadsze arcydzieło, gdy ma być zmuszoną słuchać *sama*, w sali należycie nieoświetlonéj. Muzyce nie poświęca się ani obiadu, ani balu, ani nawet prostego spaceru, a cóż dopiero mówić o wyścigach konnych i t. p. Publiczność wtedy idzie na operę, jeżeli jest nową, albo jeżeli w niéj występuje ulubiona primadonna lub tenor; na koncert zaś, jeżeli jest coś niezwykle ciekawego, naprzykład walka pomiędzy dwoma sławnemi wirtuozami: nie dlatego, by talent ich admirować, lecz widzieć który bę-

dzie zwyciężonym. Idzie się zwykle nudzić przez trzy albo cztery godziny w teatrze, lub do sali na koncert klassyczny odegrać najwięcéj męczącą komedyą entuzyazmu, bo to jest w dobrym tonie mieć swą lożę, tém bardziéj, jeżeli miejsca są rozkupywane. Idzie się szczególniéj na pewne pierwsze reprezentacye, płacąc bez wahania cenę potrójną nawet, jeżeli dyrektor albo autorowie mogą być narazeni tego wieczoru na stratę fortuny albo całéj przyszłości. O! wtenczas ciekawość jest wielką, mało kto zajmuje się studyowaniem nowego dzieła, napawaniem się jego pięknością, przedewszystkiem chcą wiedzieć czy upadnie lub nie, i albo szlachetnie biorą stronę mocniejszego dobijając zwyciężonego jeżeli dzieło jest potępione, albo podnoszą autora w tryumfie, jeżeli mu się powiedzie. Wtedy niech będzie gorąco, zimno, wietrzno, niech grad albo deszcz pada, gdyby to miało kosztować 100 franków lub 100 sous, potrzeba koniecznie widzieć:—to batalia, to nawet często egzekucya. We Francyi, mój kochany, należy umieć *pociągnąć* publiczność: jestto sztuka specyalna. Są pewni wielcy nawet artyści, którzy nigdy jéj się nauczyć nie mogą, są znowuż płaskich, miernych zdolności, a mają dar nadzwyczajny *przyciągania*. Szczęśliwi ci, którzy oba te rzadkie przymioty zarówno posiadają. Jednakże i najznakomitsi pod tym względem natrafiają czasami na swych mistrzów w flegmatycznych mieszkańcach pewnych miast z przedpotopowemi obyczajami, miast zaspałych, co nie były nigdy przebudzonemi, albo przez nadzwyczajną obojętność dla sztuki, zupełnie oddanych fanatyzmowi ekonomicznemu.

To mi przypomina jednę anegdotę, nieznaną ci zapewne, a w któréj przed laty kilkunastu Liszt i Rubini figurowali.

Połączyli się oni w celu zrobienia expedycyi muzykalnéj przeciw miastom północnym. Zaprawdę, byli to dwaj nieporównani wirtuozi pod każdym względem, jacy kiedykolwiek ręce sobie podali. Więc Rubini i Liszt (rozważ tylko Liszt i Rubini) przybywają do jednych nowożytnych Atenów i ogłaszają pierwszy swój koncert. Nic nie było zapomnianem: mnóstwo reklam ogłoszono, kolosalne afisze poprzylepiano, ciekawe i pełne rozmaitości programy porozdawano, i wszystko to na nic się nie przydało. Gdy godzina koncertu nadeszła, nasze dwa lwy wchodzą do sali... Nie było nawet pięćdziesięciu osób! Rubini oburzony nie chce śpiewać, gniew ściska mu gardło. „Przeciwnie—powiada do niego Liszt—powinieneś jak tylko możesz najlepiéj śpiewać: ta garstka publiczności oczywiście musi być samym kwiatem amatorstwa tutejszego miasta: potrzeba mieć dla niéj *należyte względy*.“ Dając mu przykład, odegrał cudownie pierwszy numer. Gdy po nim Rubini śpiewać przestał, Liszt znowu wchodzi, wykonywa trzeci numer, a gdy skończył, zbliża się nad brzeg estrady i kłaniając wdzięcznie zgromadzeniu: „Panowie—rzekł—i panie (była tylko jedna), sądzę, że już macie dosyć muzyki: czy mogę więc was prosić, byście byli łaskawi zjeść

z nami kolacyą?" Nastała chwila wahania pomiędzy pięćdziesięciu zaproszonemi, lecz ponieważ w każdym razie propozycya w ten sposób uczyniona była bardzo ujmującą, przyjęto ją jednomyślnie. Kolacya kosztowała Liszta 1,200 franków... Nie ponowili doświadczenia raz drugi, a źle zrobili. Bo nie ma wątpliwości, że na drugi koncert massa publiczności byłaby się zeszła—w nadziei zjedzenia kolacyi....

Widzisz więc mój kochany, że *pociąganie* nie jest rzeczą tak łatwą, szczególniej w drugiego rzędu miastach."

U nas chwała Bogu nie tak źle rzeczy stoją; każdy też mniéj lub więcéj dobrze wychodzi na koncertach i jeżeli tylko sam sobie nie jest przyczyną niepowodzenia, pewno uznanym i nagrodzonym będzie. Wprawdzie i tu czekają go niemałe przeszkody; lecz jeżeli zwalczy miejscowe trudności, jeden lub dwa koncerta odegra, już sława jego na prowincyi jest ustaloną: śmiało może tam jechać, nie zbraknie mu oklasków, wieńców, a co najważniejsza—*pieniędzy*. Zapewne, że umiejętne postępowanie z publicznością, ów takt, który Francuz nazywa *przyciąganiem*, jest drugą połową talentu; ale (nie mówiąc o Warszawie), na prowincyi, gdzie życie jednostajniejsze, ogołocone z wszelkich nowości i rozrywek tak licznych w wielkiém mieście, jest zawsze wiele osób co chętnie korzystają z każdéj okoliczności, mogącéj przerwać monotonność życia wiejskiego. Zresztą, każdy z wirtuozów, mianowicie nieposiadający wielkiego rozgłosu, nim wyjedzie na podróż koncertową, stara się najusilniéj zaopatrzyć w *listy polecające*, które nieraz więcéj znaczą jak sam talent, a które bywają często prawdziwą plagą tamtejszego społeczeństwa. Oprócz tego, znajdą się wszędzie fanatyczni, niczém nieustraszeni protektorowie artystów, zwykle dyletanci muzyki grający na flecie, klarynecie, gitarze, skrzypcach albo fortepianie, którzy namiętnie lubią protegować wirtuozów, urządzać im koncerta i pisać pełne uwielbień i zapału artykuły do Kuryera Warszawskiego.

Gdy wirtuoz przybędzie do prowincyonalnego miasta, spieszy zaraz pooddawać listy polecające stosownie do adresu; na drugi dzień strategia jest zdecydowaną, i zwykłe w tym razie manewra w ruch wprawione. Puste i osamotnione zazwyczaj ulice ożywiać się zaczynają; posłańcy we wszystkich kierunkach przebiegają miasto. W biurach aplikanci temperują tylko pióra, bacznie z okien wyglądając. Wielu ciekawszych opuszcza swe mieszkania, spieszy do cukierni jako do głównego w podobném zdarzeniu punktu zbiorowego, ażali tam nie dowiedzą się o przyczynie niezwykłego ruchu w mieście.

— Czy nie wiesz panie Adamie—pyta jakiś otyły jegomość wbiegłego jak kula działowa najciekawszego zwykle ze wszystkich mieszkańców powiatowego miasta pisarza pocztowego—co się stało?

— Nie wiem, panie deputacie, właśnie przyszedłem się tu dowiedzieć.

— E... to zapewne pani sędzina zachorowała—odpowiada palący cygaro w oknie prowizor apteczny.

— Ale gdzie tam, to pewnie kontrabandę schwytano—rzeknie kontrolet tabaczny.

— A ja wam powiadam, że się mylicie—powié wchodzący na to rejent—albo ktoś nagle umarł, albo Pfeiffer przyjechał ze swoją truppą aktorów.

— Ależ przecie bitoby we dzwony, albo pan Vincentini, nasz gospodarz, wiedziałby coś przecie o tém—odrzeknie pan deputat.

— Wiecie panowie co—mówi pisarz pocztowy—chodźmy do Jankla co trzyma dom zajezdny: jeżeli kto przyjechał on musi wiedzieć o tém, bo ja panom zaręczam, że pocztą nikt przyjechać nie mógł.

— Zgoda—odpowiedziało wielu—idźmy do Jankla.

Przed samym właśnie domem zajezdnym spotykają idącego z rozpromienioném obliczem pana Atanazego podsędka i zapalonego miłośnika muzyki, uwiadomionego już dawno o przyjeździe wirtuoza, na skutek listu polecającego od pani D.

— A to gdzie tak zebrani dążycie, czy do *niego*?—zapyta uśmiechający się meloman.

— Do kogo?—powtarzają zdziwieni—co, czy kto przyjechał?

— Więc nie wiecie o tém! przyjechał pan Placyd, znakomity skrzypek z Warszawy. Powiadam wam tęgi chłopiec, grał mi ze dwie godziny: jutro właśnie daje koncert, lecę wystarać się o niektóre rzeczy. Musicie być wszyscy na koncercie, powiadam wam pysznie gra: wszak wiecie, że gram na gitarze i znam się na muzyce. Dzisiaj wieczór u naczelnikowstwa, Placyd na nim wykona wiele swoich kompozycyj; lecz darujcie, nie mam czasu, do widzenia!

W chwilę później, całe miasto wié o szczęściu jakie go spotkało i o wieczorze u państwa naczelnikowstwa, w czasie którego attaki ciężkiéj artyleryi rublowych lub więcéj biletów, silnie bywają ponawiane przez różne do tego nastawione osoby, do sakiewek spokojnych mieszkańców miasta i okolicznych wiosek.

Wówczasto litość bierze patrzeć na zacnych gospodarzy domu, którzy zmuszeni stosunkami lub zależnością, starają się ile możności najlepiéj wywiązać z obowiązku przez listy im narzuconego. Komu mogą to wciskają bilety, upraszają pewne osoby o rozesłanie znajomym, stawiając w najkorzystniejszém świetle przybyłego wirtuoza.

W czasie kontraktów, wyborów, jarmarku i t. d. zawsze się znajdzie jaka piękna dama, która bez litości ściga znajomych:

tego pochlebstwem, tego prośbą, innego wejrzeniem lub uśmiechem, zniewalając do wzięcia kilku lub kilkunastu biletów.

— *Monsieur le Maréchale, vous êtes un grand musicien, on le sait*; mam tu dla niego kilka biletów na jutrzejszy koncert..... *Monsieur K. vous qui êtes si véritablement artiste, il faut encourager le talent; je suis sûre*, że pan przyjdziesz posłuchać tego niepospolitego artysty....

Od najmodniejszych sklepów aż do targu końskiego, wszędzie ta sama piosnka na różne waryacye brzmi przerabiana:

— Dobrze żem cię spotkał, mój Stanisławie, oto prezesowa wpakowała mi 30 biletów na koncert: wszak masz córkę muzykalną...

— Przebacz mi mój kochany przyjacielu, ale ja dzisiaj wyjeżdżam, już mnie ten jarmark diabelnie kosztuje: muszę wracać do domu.

— Ale powinieneś być koniecznie na koncercie; wiesz że ten młody fortepianista jest pełen nadziei i niezawodnie wkrótce będzie bardzo znakomitym.

— No, to już wolę zaczekać aż będzie znakomitym.

— Czy ty myślisz, że on zechce wtedy przyjechać do takiego partykularza? Zresztą przypomnij sobie, że ja od ciebie w przeszłym roku wziąłem kilka biletów na koncert tego ślepego fletrowersisty, coś go tak protegował, a zatem wypada, byś to samo dla mnie uczynił. Twoja żona i córka bardzoby się zmartwiły, gdyby nie słyszały takiego artysty. Zkądże młode panny mogą nabrać wykształcenia i smaku w muzyce, jeżeli nikogo nie słyszą?—Przekonany tylu argumentami i widząc, że się od przyjaciela nie odczepi, wziął pan Stanisław kilka biletów.

Roznoszący bilety spotyka innych znajomych, pyta ich czy nie pójdą na koncert i że może im dostarczyć biletów; ten bierze, inny się wymawia; ten powiada, iż się nie zna na muzyce; tamten że nie lubi fortepianu, i gdyby to był koncert na klarynecie, z pewnością poszedłby na niego; innemu znów pani marszałkowa już sprzedała... Ale czy sposób opisać wszystkie te manewra, owe bogactwo dyalektyki, owe subtelności strategiczno-dyplomatyczne, przedsięwzięte w celu rozdania tych nieszczęśliwych biletów, kończące się dopiero z rozpoczęciem koncertu, który dzięki niezmordowanym usiłowaniom protektorów, zazwyczaj dobrze się udaje.

Widok napełnionéj sali rozrzewnia czułego wirtuoza; wzruszony do głębi takiemi dowodami sympatyi, wirtuoz objawia radosną nowinę zgromadzonym słuchaczom, że da drugi jeszcze koncert, chociaż kończy się to tylko na obietnicy, w razie jeżeli artyście brak istotnego wyższego talentu, albo jeżeli protektorom zbywa na środkach i dostatecznéj energii.

Gdy wirtuoz posiada imię rozgłośne, potęgą sztuki posiadanéj usprawiedliwione, wówczas daleko łatwiej i godniéj przychodzi mu dać koncert. Publiczność w mgnieniu oka rozchwy-

tuje bilety, ochoczo zjeżdża się dla posłyszenia znakomitego artysty, bo go umié cenić, bo muzykę kocha, bo materyalizm nie zagłuszył jeszcze pragnienia i zdolności do poczucia i ocenienia wszystkiego co piękne, co wzniosłe.

Jedynym najpopularniejszym wirtuozem posiadającym szczególne szczęście do *pociągania* publiczności, jest niezawodnie Apolinary Kątski. Trudno byłoby zliczyć liczbę koncertów dawanych przez niego w ciągu zeszłorocznego objazdu po kraju. Bez wątpienia talent jego jest niepospolitym, wiele przyjemności słuchaczom zrobić może, i chociaż im głęboko do serca nie przemówi, oko i ucho zabawi; nadawanie zaś szumnych tytułów kompozycyom swoim jak naprzykład *Sen dziewicy* z osobno drukowaną legendą, mającą służyć za objaśnienie całego niby dramatu na skrzypcach odegranego, ów *Odjazd rycerza* (utwor miernéj bardzo wartości), owe mazury: *Stefan Batory*, *Jan Sobieski* i t. d. chociaż w oczach niektórych ludzi zasługują na potępienie, jednakże świetnością tytułu zalecając się, drażnią ciekawość ogółu. Umiał on jeszcze inny wynaleźć środek dopomagający znacznie do rozgłosu, tojest, grywanie gdzie tylko można było na prowincyi po kościołach w czasie nabożeństwa. Co dzień prawie można było wyczytać w *Kuryerze Warszawskim* o tym: „*sławą narodową okrytym współziomku, który wygrywając na skrzypcach lub pentakordzie przeróżne utwory muzyczne, tysiącami niebiańskich rozkoszy napawał spragnione i rozrzewnione serca słuchaczy*". Zdawało się że kraj cały zostaje w pewnym rodzaju zachwycającej extazy; a szczęśliwy tryumfator, zwiędłe bukiety i wieńce, któremi wdzięczni ziomkowie bohaterskie skronie jego wieńczyli, składał jako ofiarę w poważnych i świętych przybytkach modlitwy!!! Czytając natenczas uważnie *Kuryera*, myśl mimowolnie w ubiegłe wieki sięgała i zdawało się, że to zwycięzca z pod Grünwalda albo z pod Chocima odbywa tryumfalny pochód w celu dopełnienia ślubu na polu bitwy postanowionego... O szczęśliwy artysto! który masz tak czułych i tkliwych na swój talent korrespondentów! O szczęśliwi korrespondenci! którzy tak wielkich—artystów posiadacie.

Czas już obaczyć co nowego a godnego wspomnienia przybyło nam od kilku miesięcy z nowości muzykalnych; kłopotu w wyborze niewiele, bo wpośród znacznéj liczby nędznych polek, mazurków i innego rodzaju pseudo-muzykalnych ramotek, kilka dzieł wprawdzie niewielkich rozmiarem, ale porządnych treścią i obrobieniem rozróżnić z łatwością można.

Ignacy Dobrzyński wydał u Friedleina: *Souvenir d'Oukraine* (op. 64) *i Danse Napolitaine* (op. 65), dwa ustępy charakterystyczne, zalecające się układem pełnym smaku, harmonią umiejętną, jasną i fakturą przystępną nawet dla osób nieposiadających znacznego mechanizmu na fortepianie. Tego rodzaju utwo-

ry bardzo są od publiczności poszukiwane, gdyż większość grających nie mając wielkiéj wprawy, a niekiedy i czasu do egzercytowania dzieł trudniejszych, zraża się zwykle trywialnością i ubóstwem łatwiejszych kompozycyi z za granicy od obcych nam kompozytorów przybywających. Są tam wprawdzie i pomiędzy niemi dobre rzeczy, godne pokupu i studyowania, lecz potrzeba je starannie przebierać, a niekażdy ma tyle czasu, ażeby tak ogromną massę nut wchodzących rok rocznie do naszego kraju przejrzyć, ocenić i co godnego dla uczniów lub dla siebie wybrać. Dobrzyński jako doświadczony kompozytor i nauczyciel, wiedział co potrzeba naszéj grającéj powszechności; więc by ją zabawić, albo w pracy zachęcić, wydał dwa wymienione dziełka, z których szczególniéj piérwsze, tojest: *Souvenir d'Oukraine*, na wszelką sympatyą zasługuje. Szkoda tylko, że autor ograniczył się na jednym znanym motywie:

Ta bidum sobi kupyła,
Ta za swoi hroszy i. t. d.

Tém bardziéj, że forma jaką mu nadał do fantazyi raczéj zbliżona, niby na tém nie straciła, gdyby więcéj tych ślicznych pieśni ukraińskich w sobie zawierała. Cudne to są te pieśni; godziłoby się, ażeby kompozytorowie nasi szerszą i serdeczniejszą dłonią zaczerpnęli z tego jędrnego źródła muzyki ludowéj.

Barcarolla (op. 42) Józefa Nowakowskiego wydana u Sennewalda, pierwotnie skomponowaną była na śpiew z towarzyszeniem wiolonczelli. Jestto ładny i zgrabny utwor, mający wiele właściwego charakteru; a że przez autora ofiarowany został Henseltowi, więc nic dziwnego, że układ jego na fortepianie szczególniéj w akompaniamencie lewéj ręki, bardzo starannie jest opracowany.

Deux Nocturnes op. 16 Ig. Krzyżanowskiego, jak wszystkie utwory tego utalentowanego kompozytora, odznaczają się dobrym pomysłem i staranném obrobieniem. Piérwszy jednakże *nocturn* wydaje mi się piękniejszym; więcéj w nim zaokrąglenia i całości. Drugi pomimo pewnych zalet, ma słabe miejsca, grzeszące brakiem melodyi, w przechodach modulacyjnych niekoniecznie szczęśliwe dokonanych z tonu *e dur* do *b mol*, czyli do głównéj myśli dzieła (obacz str. 5).

P. Henryk Koman przysłużył się dwoma *mazurkami* (op. 9, u Sennewalda), które bardzo korzystnie świadczą o talencie kompozytorskim tego artysty. Piérwszy w tempie wolném zaleca się smutną a piękną melodyą, oba zaś opracowane są starannie i gustownie. P. Teichman wydał nakładem Friedleina: *Album liryczne napisane dla swoich uczennic*, składające się z cztérech numerów. Pan T. od dawnego czasu używa u nas reputacyi wybornego nauczyciela śpiewu, a posada jaką zajmuje w Instytucie Alexandryjskim wychowania panien, podaje mu sposobność kształcenia znaczną liczbę pięknych głosów, z czego ar-

tysta ten najsumienniéj od lat kilkunastu wywiązuje się z powszechném wszystkich zadowolnieniem. Warszawa posiada kilka jego uczennic, które ze względu na dobroć metody, prawdziwy zaszczyt mu przynoszą, świadcząc chlubnie o troskliwości w formowaniu głosów i umiejętném zastosowaniu nauki. *Album* niniejsze zaleca się przymiotami cechującemi wszystkie poprzednie wokalne kompozycye tego autora; pieśni *Boże kocham Cię*, *Poranek i serce* (duettino), odznaczają się melodyą łatwo w ucho wpadającą, wolną od wszelkiego naciągania i stosownie do natury głosu ułożoną. Niewiele w nich oryginalności, lecz gustu dosyć. Najpiękniejszą bez zaprzeczenia jest pieśń czwarta, pod tytułem *Sicilienne*, do textu francuzkiego napisana; istotnie pod względem zgrabności i potoczystości formy, ustęp ten nic do życzenia nie pozostawia. Nie pojmuję, dlaczego wydawca tak znany z staranności o dobroć i poprawność dzieł przez siebie publikowanych, tak mało jéj miał dla tych pieśni Teichmana? Pomijam szary papier, brzydką, niezgrabną i nikłą litografią, ależ w dwóch miejscach stronnice zupełnie do góry nogami odbito, co szczególniéj dla niemożności rozróżnienia numerów, porządek ich oznaczających, wielce niedogodnem i nieprzyjemnem być musi dla osób, którym to dzieło przeznaczoném zostało.

M. K.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1856.

51. Dwaj bracia artyści. Zarys życia towarzyskiego XIX wieku przez L. P. 12ka. Poznań. 1856. Nakładem J. K. Żupańskiego (druk W. Deckera i Spółki). Kart 2 i str. 242. Rsr. 1 k. 60.

52. Dwie gawędy Władysława Syrokomli. Spowiedź Pana Korsaka. Pan Marek w piekle. Edycya druga. 16ka. Wilno. 1856. Nakładem A. Assa (druk A. Marcinowskiego). Str. 71. Kop. 50.

53. Dwie powieści. 8ka. Poznań. 1856. W komisie księgarni J. K. Żupańskiego (druk W. Deckera i Spółki). Str. 146. Kop. 80.

54. Janko Cmentarnik. Gawęda ludowa, przez Władysława Syrokomlę. 16ka. Wilno. 1856. Nakład M. Orgelbranda (druk A. Marcinowskiego). Str. 94. Rsr. 1.

55. Kłopoty starego komendanta. Obrazki naszych czasów. Opowiadanie. 3 tomy. 12ka. Wilno. 1856. Druk T. Glücksberga (nakład J. W. Zagajewskiego). Tom I str. VIII i 225, T. II. str. 276. T. III. str. 204. i omyłek k. 1. Rsr. 3.

56. O guanie peruwiańskiém przez J. C. Nesbit, T. G. S. F. C. S... 8ka. Warszawa. 1856. W drukarni przy ulicy Rymarskiéj N. 743. Str. 47. Kop. 15.

57. Stepy, przez G.(ustawa) Z.(ielińskiego), autora Kirgiza. 12ka. Poznań. 1856. Nakładem J. K. Żupańskiego (druk M. Zoernera). Str. XXII i 80. Kop. 80.

58. Zwiady świata i ludzi. Oddział I. od r. 1800 do r. 1816. Dom mojéj babki przez Walerego Wielogłowskiego. Cena egzemplarza dla osób z rodziny złp. 50. dla publiczności złp. 12. 8ka. Kraków 1856. W księgarni i wydawnictwie dzieł katolickich naukowych i rolniczych. (Czcionkami drukarni Czasu). Str. 423. Rsr. 2 k. 25.

59. Żywoty sławnych Ormian w Polsce. Napisał xiądz Sadok Barącz Dominikan. 8ka. Lwów. 1856. Druk Zakładu Narod. Im. Ossolińskich. Nakładem Wojciecha Manieckiego (z ryciną). Str. VIII i 485. Rsr. 3 k. 60.

1857.

1. Historya naturalna rodu ludzkiego przez J. J. Virey Doktora medycyny Paryzkiego Fakultetu i t. d. przełożył P. E. Leśniewski, b. P. N. P. z 10 tablicami kolorowanych rycin. Wydanie drugie. 2 tomy. 8ka. Warszawa. 1857. Nakładem i drukiem S. Orgelbranda. Tom I, str. XVI i 436. Tom II, str. 479, i w każdym kart napis. 2. Rsr. 5 k. 40.

2. Jana Jaworskiego Kalendarz Astronomiczno-gospodarski na rok zwyczajny 1857. Opisów roślin rok dwudziesty. 8ka. Warszawa. Nakła-

dem i drukiem wydawcy. Napisów, wstępu i Kalendarza świąt str. XVI, i 198. Jarmarków i ogłoszeń str. liczb. XLVIII. (Przed tytułem wizerunek Kopernika i karta nieliczb. objaśnień). Kop. 45.

3. Józefa Unger Kalendarz Warszawski Popularno-naukowy na rok zwyczajny 1857, który ma dni 365. Rok dwunasty. 8ka. Warszawa. Nakładem i drukiem wydawcy. Napisów i kalendarza świąt kart nieliczb. 8 i str. 128. Jarmarków i ogłoszeń str. LX. Taryffy domów str. 24. Kop. 45.

4. Kalendarz wydawany przez Obserwatoryum Astronomiczne Warszawskie na rok zwyczajny 1857. (Z wizerunkiem Najjaśniejszego Pana). 8ka. Warszawa. 1857. (W drukarni Gazety Codziennéj). Str. 268 (do stron. XXIX znaczono rzymskiemi liczbami). (Z tabellą). Kop. 45.

5. Stare wrota. Poemat, przez Władysława Syrokomlę. (Z drzeworytem). 12ka. Wilno. 1857. Nakład M. Orgelbranda (druk A. Marcinowskiego). Str. 132, (do str. VII znaczono rzymskiemi liczb.). Rsr. 1 k. 50.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Przybycie pani Ristori, głośnéj sławy artystki, wprawiło w niezwykły ruch u nas handel księgarski. Józef Unger ogłosił siedm książeczek, w których podał przekłady tragedyj: Maryi Sztuart, Szyllera; Medei, Ernesta Legouvé; w treści zaś: Rosmundę, Alfierego; Pia z Tolomei, K. Marengo, i Mirrę, Alfierego; oraz komedyą (w treści) Goldoniego p. n.: „Oberżystka" (La Locandiera) znaną już u nas dawniéj i grywaną p. t.: „Mirandolina czyli piękna oberżystka" i przekład „Franczeski z Rimini." Juliana Bartoszewica. Księgarze nasi pocztą posprowadzali oryginały tych sztuk wraz z przekładem francuzkim. J. Korzeniowski oburzony lichém librettem, które podano słuchaczom na pierwszém przedstawieniu Maryi Sztuart w wzmiankowanéj książeczce, wydobył z teki tłumaczenie znacznéj części téj sztuki, kiedyś w młodszych latach rozpoczęte, i ogłosił w Gazecie Warszawskiéj ową scenę spotkania się Maryi z dumną Elżbietą w zamku Forteringhaj, które przyspieszyło zgon pięknéj królowéj szkockiéj.

— Donieśliśmy już o nowém wydaniu Maryi Malczeskiego przez S. Orgelbranda. Otrzymujem wiadomość, że pan Zakrzewski nauczyciel w Kielcach, posiada Malczeskiego w odpisie dwie tragedye: „Helenę i Zborowskiego." Należałoby, aby S. Orgelbrand postarał się o te utwory wielkiego poety i przy nowéj edycyi „Maryi" dołączył, wraz ze wszystkiemi drobniejszemi pismami. Byłobyto najzupełniejsze wydanie.

— W chwili, kiedy tom III-ci przedruku Lindego Słownika już się znacznie posunął w druku, gdy Maurycy Orgelbrand w Wilnie wydał I-szy zeszyt Słownika języka polskiego, a my podaliśmy wiadomość dawniéj o będącym w rękopismach słowniku polskim Tomickiego i polsko-górniczym Hieronima Łabęckiego, obejmującym 8,000 wyrazów: dowiadujemy się, że uczony Antoni Muchliński zajmuje się układem słownika etymologiczne-

go, „w którym (jak pisze J. Bartoszewicz) zebrał wyrazy polskie i rossyjskie, wszystkie pochodzące z języka tureckiego: wyrazów tych zebrał i objaśnił już 6,000. Będzieto nowy słownik polski do tylu innych, które posiadamy, lub do których gromadzim materyały."

— Henryk Lewestam, rozrzucone po pismach czasowych rozbiory pism polskich zebrał razem, i obecnie zamierza ogłosić drukiem. Będzieto ważny przyczynek dla badacza dziejów literatury ojczystéj.

— Zygmunt Komarnicki pracuje nad „Dziejami katedry kujawskiéj," z rozwinięciem przemian rozmaitych w jéj losach: od domniemanych jéj początków nad Gopłem i przeniesienia do Włocławka nad Wisłą, bądź w czasie walki narodu z zakonem teutońskim, bądź pod naciskiem luteranizmu wynurzającego się na Pomorzu i w dalszym postępie czasu bezprzerwnym, aż do podziału kraju, i po podziale do organizacyi nowéj. Pogląd ogólny krytyczny, od epoki do epoki przeplatany jest żywotami takich znamienitości, jak Golanczewskiego, Karnkowskiego, Rozrażewskiego, Łubieńskiego i t. d. Nie tworząc zresztą katalogu biskupów, nie pomija żadnéj ważniejszéj okoliczności z ich życia, a zbliżyć wszędzie się stara swój wykład do dowodów czerpanych z archiwum katedralnego i źródeł wziętość zasłużoną mających. Ustępy z téj pracy wkrótce w zeszytach pisma naszego ogłosimy.

— B. M. Wolff znany księgarz i nakładca w Petersburgu, zamierza wydawać „Bibliotekę zaściankową." Ma w niéj być wybór powieści najznakomitszych pisarzy naszych. Zgłosił się w téj mierze do autora „Pana Starosty," który mu udzielił pozwolenie pomieszczenia w tym zbiorze trzech powieści swoich, tojest: Pamiętniki Seglasa, Dodosińskiego i Pana Starostę. Wydawnictwo biblioteki takiéj rzeczywiste może przynieść dla oświaty krajowéj korzyści, jeżeli wybór starannie będzie zrobiony i cena dostępna dla ogółu. Nie braknie w naszéj literaturze zasobów pięknych do téj publikacyi, a rozszerzenie ich i ułatwienie w nabyciu, właśnie w warstwach takich społeczności naszéj, dla których były niedostępnemi dotąd, niemałą byłoby zasługą. Z większych powieści, ustępy stanowiące całość w sobie, mogłyby tu i powinny znaléźć miejsce. W tym zbiorze nadto mieścić się będą drobniejsze komedye Fryd. hr. Skarbka nieogłoszone dotąd drukiem. W r. 1847 wydrukowano tego pisarza „Teatr" we dwóch tomach; pozostało sztuk mniejszych jeszcze jedénaście, wszystkie grane na teatrze warszawskim. Przywiedziem tu ich tytuły, chronologicznie jak były przedstawiane: 1) „Intryga w straganie, czyli mniemane terna"; krotochwila w 1-ym akcie (wystawiona d. 16 października 1829 r.). 2) „Biuraliści", komedyo-opera w 1-ym akcie (dnia 18 grudnia 1829 r.). 3) „Figle panien", komedyo-opera w 1-ym akcie (d. 1 sierpnia 1832 r.). 4) „Piętnaście lat, czyli życie lokaja"; komedyo-opera w 3-ch oddziałach (29 marca 1830 r.). 5) „Przez sen", krotochwila ze śpiewkami w 1-ym akcie (d. 31 lipca 1833 r.). W roku 1835 przedstawiono od stycznia do czerwca: 6) „Po pijanemu", w 1-ym akcie i 7) „Po trzeźwemu", w 1-ym akcie, krotochwile; oraz 8) Widowisko w 4-ch obrazach wierszem, p. n.: „Rok 1935, czyli kobiéty w XX-tym wieku." 9) „Na jawie", krotoch. w 1-ym akcie (d. 8 marca 1837 r.). 10) „Na Saskiéj kępie", krot. w 1-ym akcie (d. 17 grudnia t. r.).

11) „Po maskaradzie", krotoch. ze śpiewkami w 1-ym akcie (d. 20 września 1844 r.). W komedyi „Zofia Przybylanka" autor ten bardzo szczęśliwie pochwycił stronę obyczajową czasów Stanisława Augusta; w swoich krotochwilach z wielkim talentem postacie ludu warszawskiego wyprowadził na scenę. W dziejach tak literatury dramatycznéj naszéj jako i teatru polskiego, imię twórcy „Przybylanki" pomiędzy piérwszemi, którzy wsparli przeważnie scenę narodową, pomieszczoném być musi.

— Nasz historyk Joachim Lelewel w liście swoim pisze: „Lubujemy się tu trudami waszemi jakie do nas dochodzą. Chciejcie pani Pruszakowéj szczerą chęć moję złożyć, bo mię urok jéj wiersza o „Drużbackiéj" przejął, słodyczą napoił, a w strapieniach żywota pociechą się stał."

— Tom trzeci ważnego dzieła „Słownik malarzów polskich" Edwarda Rastawieckiego coraz w druku postępuje, i wkrótce opuści prasę drukarską.

— Nakładem Zygmunta Szteblera wyjść mają: „Bajki, powiastki i wierszyki moralne dla dziatek różnego wieku", napisane przez Tomasza Minasowicza. Jestto brat rodzony I. D. Minasowicza, tłumacza Szyllera i Precyozy, a najmłodszy z téj rodziny.

— Dowiadujemy się dopiéro teraz, że prawdziwym autorem sławnego wiersza: „Do Maryańskiego kowala," który dotąd uchodził za utwór Stanisława Trembeckiego, i w zbiorze jego poezyi umieszczonym został: jest ś. p. Michał Mackiewicz chorąży Nowogródzkiego powiatu, zmarły w majętności swojéj Negrymowie, w 1824 r.

— Otrzymaliśmy wizerunek ulubionego piewcy naszego Teofila Lenartowicza. Rysy oblicza wielce się zmieniły od r. 1848: wąsy i broda wiele na tę zmianę wpłynęły. Spojrzenie smętne i rzewność rozlana cechuje wybitnie prostotę i szlachetność uczuć tego prawdziwie ludowego wieszcza. Z Władysławem Kulczyckim ukończyli przekład całego Danta wierszem nierymowym. Obaj tłumacze starali się oddać ściśle i wiernie text wielkiego poety Włoch. Zapewne wkrótce ujrzymy tę ich pracę upowszechnioną drukiem. Julian Korsak, który wierszem rymowym zostawił przekład całego Danta, w téj pracy pragnął uwiecznić swe imię. Rękopism ten, ze szkodą literatury dotąd nie został ogłoszony drukiem, bo jak dowiadujemy się z listu pisanego z Wilna, księgarze tameczni: „wolą drukować najlichsze powiastki, broszurki wierszem pisane, niż się zająć wydaniem tak znakomitéj pracy, którąby znalazła silne poparcie i współczucie od coraz liczniejszych czytelników naszych książek."

— Z otrzymanego listu od Karola Szajnochy dowiadujemy się, że po ukończeniu druku Jadwigi i Jagiełły, pracuje obecnie o ile osłabiony wzrok pozwala nad wykończeniem trzeciéj seryi „Szkiców historycznych". Serya druga bowiem opracowana dawniéj w pojedyńczych rozprawach, zapewne wkrótce opuści prasę drukarską.

— Znany autor dziełka p. n.· „Piw kopy kazok", Spirydion Ostaszewski, o którymto utworze obszerne sprawozdanie podała nasza Biblioteka, napisał teraz polską powiastkę p. n.: „Garbata Ternia", pełną życia i prawdy.

— Alexander Wejnert wydał tom V-ty „Starożytności Warszawy" z rycinami. Tom ten zawiera: 1) Kronikę dawnego Domu poprawy (Cucht-

hauzu) i szpitala sierot moralnie zaniedbanych od r. 1629, z dwoma odbiciami kamiennemi, przedstawiającemi: Cuchthaus, następne koszary saperskie, i podobiznę najdawniejszéj akcyi polskiéj z r. 1778. 2) Zbiorki o kościele Ś-to Krzyzkim czyli Gwardyackim. 3) Szwedzi w Warszawie, z ryciną pomnika kamiennego z r. 1661 na pamiątkę odbudowani murów miasta zniszczonych przez Szwedów. 4) Wiadomość o karze aresztu, przez odsiedzenie w klatce. 5) Bractwo muzyczne Uzualistów w Warszawie przy kościele XX. Karmelitów bosych od r. 1717. Z tego spisu widzimy, jak ciekawe i ważne szczegóły dobywa Wejnert z zapomnienia, i przysposabia drogocenne materyały dla przyszłego historyka Warszawy.

— Równocześnie kiedy S. Orgelbrand rozpoczął druk nowéj edycyi Maryi Malczeskiego, księgarz Michał Frühling drukuje także pisma tego pisarza we 2-ch tomach w jak najtańszém wydaniu. Tom I-szy przyozdobiony przerysem grobowca na Powązkach (wziętym z dzieła „Cmentarza Powązkowskiego pod Warszawą"), obejmie poemat „Maryą" i dokumenta objaśniające wziętą do niéj treść historyczną; tom II-gi Życiorys Malczeskiego przez K. Wł. Wójcickiego i drobne pisma wierszem i prozą. Nakładem tegoż księgarza wyjdą „Łobzowianie", Władysława Anczyca. Zapowiedziany kalendarz naukowo-symboliczny, układu Ludwika Godlewskiego, odbity u Lemerciera w Paryżu, wyszedł nakładem pomienionego księgarza. Obszerniéj o nim powiemy przy sprawozdaniu o kalendarzach wydanych na rok 1857.

— „Księga świata" wydawana nakładem S. H. Merzbacha, coraz większe znajduje upowszechnienie, jak zasługuje na to starannością redakcyi i doborem artykułów. W sześciu zeszytach pomiędzy zajmującemi przedmiotami tak z działu nauk przyrodzonych, jak podróży i t. p., wspomnimy tu o rzeczach krajowych lub przez naszych pisarzy opracowanych, jak np. Poselstwo ks. Jędrzeja Załuskiego do Portugalii i Hiszpanii: wyjątek z rękopismu J. Bartoszewicza. „Pamiętniki biskupa Załuskiego." „Notaty z wycieczek po kraju Władysława Wieczorkowskiego". „Tatarski szlak." „Muzeum Peszteńskie"; opis przez pannę Leśniewską, córkę zasłużonego w kraju naszym professora. T. Tripplina: „Wyjątki z podróży." Tomasza Dz.....skiego: „Wspomnienia starego szlachcica Mnożysława Przekory." „O wodach siarczano-gorzkich, słonych i żelaznych w królestwie Polskiém." „Łazienki królewskie, z widokiem pałacu tego od strony stawu" J. Bartoszewicza. „Kościół pamiątkowy w Wiedniu." przez Lucyana Falkiewicza. „Wędrówka geologiczna po królestwie Polskiém" (z mappą geologiczną) przez A. Wiślickiego i S. Löwenharda.—Z tego krótkiego przeglądu zawartych w pierwszéj części przedmiotów, z których zaledwie wspomnieliśmy cząstkę tylko, czytelnicy mogą sądzić nietylko o wartości, ale i o ważności téj publikacyi.

— J. I. Kraszewski napisał nową powieść p. n.: „Czeladka Boża", która ma być drukowaną w Gazecie Warszawskiéj.

— „Bibliografii krajowéj", wydawanéj staraniem Ignacego Klukowskiego księgarza, wyszedł zeszyt IV-ty i obejmuje oprócz spisu bibliograficznego dzieł wyszłych w r. b. w odcinku: „bibliografią starożytną" przez K. Wł. Wójcickiego, w któréj znajdujemy szczegółowy opis ważnéj broszury Józefa Wereszczyńskiego biskupa kijowskiego, p. n.: „Publica

etc." wydanéj w r. 1594 w Krakowie. W niéj żarliwy ten kapłan i miłownik Rzplitéj, projektuje fundacye szkoły rycerskiéj synom koronnym na Ukrainie, jako też Krzyżaków wedle reguły maltańskiéj, któreby się wzajem wspomagały przy pomocy rycerstwa tak koronnego jak i litewskiego. Obszerne ustępy z téj broszury przytoczone, dają dokładne wyobrażenie o tym wielkim pomyśle czcigodnego kapłana.

— Otrzymaliśmy w przepysznem wydaniu illustrowaném „Wiesława" Brodzińskiego, ogłoszonego przez B. M. Wolffa w Petersburgu, z datą 1857 roku. Jestto rzeczywiście dzieło illustrowane, bo przyozdobione jest 33 drzeworytami, a pod względem ich odbicia, jako też druku i papieru, może śmiało stanąć do porównania z najlepszemi tego rodzaju dziełami, odbijanemi w Paryżu i Londynie. Rysunki do tych drzeworytów dali: M. hrabia Fredro, J. Kossak i L. Straszyński, rytowane przez Laviell'a, Sotain'a, Butwiłowskiego i Hohenfeldena.—Najwięcéj prawdy w obliczach i postaci dojrzeliśmy w drzeworycie do textu:

Płakali wszyscy, Jan milczący siedział;
Gdy się namyślił, tak mądrze powiedział.

Dziarski jest Krakowiak, czterema końmi z siodła jedném lejcem powożący; wdzięczny obrazek chaty z krzyżem, oraz drzeworyt ostatni, powitania rodziny. W innych nie umiano wiernie oddać ani postaci, ani wyrazu oblicza dzielnych Krakowiaków, a rysunki mające w tańcu przedstawiać Halinę i Wiesławę, są raczéj wyobrażeniem baletników przesadzonych jeszcze. Widać, że dający rysunki do téj illustracyi, (wyjąwszy powyżéj wzmiankowych drzeworytów) znali Krakowiaków ze sceny, ale nigdy w karczmie na ochocie, ani w polu. Ta nieprawda zbyt razi pragnącego ujrzéć te postaci pełne prostoty, jakie nasz ukochany śpiewak do swojéj sielanki krakowskiéj wprowadził. Pomimo tych uchybień, wdzięczni jesteśmy szczerze p. Wolffowi za tę śliczną książkę, która przez tak ozdobne wydanie może się przeciśnie do buduaru naszych pań wykwintnych, oddanych wyłącznie z zapałem romansom francuzkim, które po raz pierwszy poznają, że postaci naszych chłopków i wieśniaczek, w utworach sztuki wdzięcznie wyglądać mogą. Przypominamy teraz p. Wolffowi zapowiedziany od lat kilku „Parnas polski"; widzieliśmy już wiele gotowych drzeworytów do téj publikacyi, która niezawodnie z wielkiém współczuciem przyjętą zostanie, tym bardziéj, że w owym „Parnasie" znajdziemy najpiękniejsze kwiaty poezyi naszéj, która, jak dobrze powiedział jeden z młodych pisarzy: „dziś jest może jedynym hymnem narodowego ducha."

— Wspomnimy tu o ciekawym autografie. Jestto list Ignacego Krasickiego w jednym ze zbiorów prywatnych, na ćwiartce, gdyż drugą oddarto, nosi ślady lekceważenia na sobie tak szacownéj pamiątki: pisany jest do siostrzenicy, i brzmi dosłownie:

W Berlinie, 5 lutego 1777 r.

„List WaćPanny był mi szacowny i miły, dał mi albowiem poznać jéj przywiązanie. Wznowił czułość straty siostry ukochanéj; ulżyć ją możesz dobrém użyciem przymiotów, których kiedy przyrodzenie szczodrze użycza, nie godzi się zaniedbywać. Przykre są żywéj młodości,

starszych przestrogi, ale pierwszy wstęp na świat wkłada na nas ten obowiązek: jeżeli go pierwsza porywczość źle osądzi, czas i uwaga usprawiedliwi. Uprzedzać potrzeba dobremi postępki smutne a niewczesne doświadczenie... Szczęśliwy kto się poprawił, szczęśliwszy który w starości na młodość nie narzekał. Powiadają o starych że są wielomowni: żebym w ten błąd nie wpadł, wolę się umartwić, niż być naprzykrzonym: pochlebiam sobie że i ztąd wnieść sobie WaćPanna możesz jako pragnę jéj serce zyskać i z jakiém zostaję przywiązaniem

Sercem kochający Wuj
Ig. Krasicki
Xże Biskup Warsz.

— Prostujemy wiadomość ogłoszoną w zeszycie listopadowym co do redakcyi Pamiętnika religijno-moralnego. Jak dawniéj tak i teraz redaktorem tego pisma jest ks. J. K. Szelewski. Zeszyt 11-ty na r. b. Pamiętnika właśnie ogłoszony został i obejmuje pomiędzy innemi: „Nowy Radom i jego fara do 1,500 roku, ks. J. Gackiego (dokończenie). Życiorys ks. Onichimowskiego Bogusława kapłana z zakonu Kaznodziejskiego, zmarłego d. 19 (31) maja r. b. w Petersburgu. Kronika roczna kościoła parafialnego św. Stanisława w Petersburgu. Nowy kościół i dwie 50-letnice w Brzozy i w. i.

Kraków. Znany tylko w rękopiśmie i powszechnie chwalony poemat Wincentego Pola: „Wit Sztos", swoim nakładem nasz poeta zaczął drukować. Przygotowywa trzecie wydanie Mohorta i nowe wydanie Benedykta Winnickiego, powiększone poematem zupełnie nieznanym p. n. „Stryjenka". Latem robił wycieczki w Galicyą: z nad Dniestru i Pokucia pisze obecnie obrazki z Pokucia, w sposobie notatek z popasu.—Zapowiadają wyjście wkrótce dwóch tragedyj wierszem białym: „Samuel Zborowski, i Jadwiga". Ma to być owoc wieloletniéj pracy męża znanego z pism swoich na polu historycznem.—Wydawnictwo katolickie ogłasza zajmujące „Obrazki z obyczajów ludu wiejskiego" Wielogłowskiego. Jest ich już trzy: teraz czwarty i piąty wychodzi z druku p. n. „Wsiowi złodzieje i Szkodnicy," oraz: „Niedbali rodzice i występne dzieci". Toż wydawnictwo ogłosi drukiem: Fabiola, powieść kardynała Wisemana; Pisma pośmiertne ks. metropolity Hołowińskiego: zbiór ten zaczyna przekład hymnów kościelnych, wierszem rymowym; Kalendarz dla rodzin katolickich na r. 1857 przez W. Wielogłowskiego. Dwaj księgarze tutejsi wydali: J. Wildt „Kalendarz powszechny;" Czech: „Kalendarz krakowski".— C. K. Towarzystwo naukowe krakowskie na nowo zorganizowane i oddzielone od uniwersytetu Jagiellońskiego, na zebraniu swojem d. 25 października r. b. zajęło się wyborem prezesa, sekretarzy i prezydujących we wszystkich trzech wydziałach: nauk moralnych, przyrodzonych i archeologii. Prezesem wybrany został kasztelan Franciszek Wężyk, mąż dobrze zasłużony literaturze ojczystéj.—Teofil Żebrawski kończy druk IX tomu Historyi literatury polskiéj Wiszniewskiego. Mając on (jak wyraża dodatek do Czasu na m. październik r. b.) dane sobie tylko urywki wypisów i notat, podjął się uporządkować i uzupełnić krytycznie ten tom ostatni, a oraz przydać index, któryby uła-

twiał znalezienie w téj massie nazw i szczegołów". Zygmunt Helcel doprowadził już do sześćdziesięciu kilku arkuszy druk swego dzieła p. n. „Pomniki ustaw," praktyki sądowéj i dawnego prawa polskiego. Karol Langie ogłosił sprawozdanie z wycieczki do Szląska górno-pruskiego, i do Łużyc saskich w r. 1856 odbytéj. Ciekawe znajdujemy tu spostrzeżenie co do powtarzania się tych samych nazwisk sioł u Łużyczan, jakie znajdują się w Krakowskiém: i tak około Budyszyna są wsie: Smierdząca, Nowa-wieś, Kosów, Chrost, Cholesów, Kwaszyca, a nieopodal od Krakowa także jest: Smierdząca, Nowa-wieś, Kosów, Chrośna, Cholerzyu, Kwaczata. Podobnych przykładów podaje wiele, coby mogło naprowadzać na myśl, że Wendowie dali początek wielu osadom krakowskim. Czas, dodatek miesięczny, zeszyt 10 na m. październik wyszedł z druku i obejmuje: 1) O zbrodniarczych dzieciach w Anglii przez K. Lacha Szyrmę. 2) O najznakomitszych tegoczesnych mówcach religijnych (część III) p. ks. Zygmunta Goliana. 3) Spalenie zamku Tęczyńskiego, obrazek historyczny p. Józefa Mączyńskiego. 4) Reorganizacya małżeńska, obrazek galicyjski p. Bartłomieja Arbuzowskiego. 5) Przegląd piśmiennictwa p. L. Siemieńskiego. 6) Interesa europejskie i prawo mocniejszego p. Maurycego Manna. 7) Kronika.—Dotąd nie ma u nas w handlu księgarskim powieści ludowych Wielogłowskiego i wszystkich dzieł świeżo wydanych: toż mówić o dawniejszych. Książki wychodzące z drukarń krakowskich, nie mówimy tu o nakładach autorów, bo tym księgarze wszystkich miast naszych całemi siłami przeszkadzają w handlu swoim, ale wydane nakładem samych księgarzy należą w Warszawie do osobliwości bibliograficznych. Czyż w Krakowie nie znajdzie się żaden z księgarzy przedsiębierczych, żaden z wydawców, aby ułatwieniem tém się zajął, iżby książki krakowskie zaraz po ich wyjściu z pod prasy, mogły być w księgarniach warszawskich? Po tym ustępie, który uważaliśmy jako konieczne objaśnienie, przystępujem do dalszego ciągu przeglądu p. Siemieńskiego: rozbiera nową pracę Zenona Fisza, znanego pod pseudonymem Padalicy: „Opowiadania i krajobrazy, szkice z wędrówek po Ukrainie". „Z sumienną tą pracą (pisze Siemieński) przybywa nam jeden ciekawy rys do dziejów naszéj ziemi: zaznajamiamy się bliżéj z tym ludem, który poduszczony i prowadzony przez śmiałych swoich pół-hetmanów, pół-herszłów, zadał był ciężkie rany rzeczypospolitéj, jakby za karę, że nie miała dość siły i energii zastawiać mieszkańców tych ziem odległych, przeciw nadużyciom i krzywdom możnych panów, a raczéj ich podwładnych, którzy administrowali dobrami bez żadnéj kontroli, najczęściéj z całą dzikością drapieżnego służalca, wyniesionego z łaski pańskiéj nad równych sobie. Historyczne pola bitew stoczonych w tych okolicach (część Ukrainy leżąca nad Dnieprem, cały kąt od Zabotyna do Kremenczuga), częstokroć mylnie podawane przez naszych kronikarzy, znajdujemy w tym opisie skreślone z taką dokładnością, że czytelnik czuje się przeniesionym na miejsce akcyi. Od szerokiego obrazu bitwy ważącéj na ostrzu losy téj prowincyi, do domowych scen po drewnianych zameczkach gubernatorów, i po futorach, gdzie się przechowywał jaki watażka, wszystko tu się przewija w ożywionem opowiadaniu, pełném miejscowego kolorytu, aż do języka pochwyconego z całą znajomością gminu. Wszystko tu nowe, uro-

cze, poetyczne i ciekawe: czy posłuchamy co nam z przeszłości opowiada, czy damy ucho uwagom nad obecnym stanem téj części Ukrainy, która, cóż piewcy dumek i szumek na to powiedzą! przeobraziła się w ruchliwy cukierniany warsztat z smukłemi kominami i szumem machin parowych, powstających w miejscu dawnych zameczków i ostrogów, okurzanych nieraz dymem samopałów i szmigownic, a najczęściéj powiewających sztandarem ogniowéj pożogi."

Przeszłość historyczna Ukrainy nie zostawiła prawie znaku po sobie, to też słusznie uważa za wielką zasługę Padalicy, Siemieński, że na téj białéj karcie narysował, ubarwił i ożywił tę rycerską przeszłość: „a nadewszystko gdy umiał się wtajemniczyć w dziwy tych romantycznych łąk, borów i sioł, monasterów porozrzucanych w jarach nad brzegami Dniepru, Rosi, Taśminy, i nieodłączając ludu od peizażu, malować go takim jakim jest, choć może studyował go tylko w chwilach jego poetycznéj zadumy, lub rozpasanéj hulanki, z nożem i głownią".

Siemieński trafnie prostuje zdanie Padalicy, który patrząc na zniszczoną siedzibę Chmielnickiego, zapomnianą przez lud, przypisuje mu wyłączny przywiléj, że nie umié szanować historycznych pamiątek, i wyraża, że na Zachodzie zachowanoby z takich pomników każdą cegiełkę, przypomnieniem szału rewolucyjnego, w którym tyle zabytków w zaciekłości poniszczono. Zakończa to sprostowanie uwagą, że gdyby Chmielnicki był bohaterem narodu, zachowałby się dom jego, czy posąg poświęcony jego pamięci: „lecz rzeczpospolita nie miała interesu stawiać posągu buntownikowi, kiedy go stawiała swemu obrońcy w Tykocinie, gdzie po dziś dzień stoi". Dodać tu winniśmy, że i szlachta niewiele troszczyła się na równi z panami o zachowanie pamiątek historycznych. W naszych oczach ileż doniszczono wspaniałych ruin, dla wydobycia tylko z nich cegły i gruzów, na budowę gorzelni i zabudowań gospodarskich! W Galicyi, a znany to fakt wszystkim, piękny i zamieszkiwany w całości wspaniały zamek swych przodków, przedał wyrodny potomek za cenę cegły, marmurów i ołowiu żydom, a ten potomek miał tytuł hrabiego i liczył się do magnatów; przecież byli to wszystko ludzie, co mniej-więcéj znali przynajmniéj z podania świętość tych pamiątek, a dla marnego zysku, dla pieniędzy, które potém zmarnowali za granicą, gniazdo własne i ojców swoich sprzedali na zniszczenie, że ślad nawet zaginął. Nie dziwmyż się ludowi, który nie uszanował pamiątek historycznych, kiedy o nich zapomniał, i bez złéj woli zostawił na pastwę czasowi.

Siemieński chwali powiastkę Padalicy wplecioną w te opowiadania p. n. „Zofia Żytkiewiczówna". „Jestto jeden z najudatniejszych obrazków, pełen porywającego interesu i téj świeżości, która zawsze towarzyszy studyom z natury, jeśli im przyświeca lampa poezyi". Powiastkę tę podaliśmy w całości w naszém piśmie już dawniéj.

Przywodzimy obszerniéj te przeglądy piśmiennictwa Siemieńskiego, dlatego, że widzimy w nich całą sumienność i bezstronność, z wytrawnym smakiem w ocenie każdego utworu. Te zalety krytyki są tém szacowniejsze, że widzimy, jak stronność i zła wiara każe wielu pióra tych, co przedsiębiorą rozbiory wychodzących pism polskich.

Obrazek galicyjski „Reorganizacya małżeńska" zaleca się zręcznem odwzorowaniem postaci z natury wziętych, poczciwych mieszczan naszych i urzędników galicyjskich. „Spalenie zamku Tęczyńskiego" obrazek historyczny Józefa Mączyńskiego należy do bardzo udatnych tego rodzaju utworów. W tym zeszycie ujrzeliśmy nowość po raz pierwszy dodaną: jestto na końcu zeszytu: „Gazetka literacka," obejmująca w sobie doniesienia literackie i artystyczne, wyłącznie krajowe.

— Zapowiedzianego dzieła „Historya wymowy w Polsce" Karola Mecherzyńskiego wyszedł tom I-szy nakładem autora, z drukarni „Czasu" w ozdobnéj i starannéj edycyi. W przedmowie wyraża się: „Rzecz historyczna o wymowie w Polsce ma na celu uzupełnienie dziejów piśmiennictwa szczegółowym poglądem na tę ważną, najżywotniejszą i najpiękniéj rozwiniętą część literatury naszéj, która stanowi prawdziwą jéj chlubę i bogactwo, a która nie miała dotąd swego dziejopisa. Ktokolwiek świadomy rzeczy krajowych badał z uwagą charakter i obyczaje narodu, żywot jego społeczny i polityczny, zasady i formy rządu, przyzna bez wątpienia, że wymowa była najpierwszą jego potrzebą, działaczem niezbędnym wszystkich spraw i poruszeń, najrzetelniejszym wyrazem umysłowości, a ztąd jedyną i najważniejszą literaturą. W czynném życiu Polacy kierowali się zawdy samą ideą praktyczną; ztąd wszystka ich wiedza umiejętna, wszystek kunszt i poezya, zawarły się dramatycznie w samych czynach i dziejach; ztąd wymowa przywiązana do spraw życia społecznego, przebiegła z nimi całą przestrzeń dziejową i nader świetny spełniła zawód. Historya jéj opowiedzieć powinna, jakie w kolei wieków działały nań wewnętrzne i zewnętrzne wpływy i w jaki sposób warunkom tym podległa, stawała się wzajem potęgą wpływającą na sprawy i losy narodu." Co do mówców naszych łacińskich mówi autor. „Z uwagi na całość dziejowego obrazu, zamieściłem w nim pospołu mówców polskich i łacińskich, nie kładąc między nimi żadnego stanowczego przedziału, jak go nie było w rzeczywistości. Język bowiem łaciński, od przyjęcia religii chrześciańskiéj według obrządku rzymskiego, wprowadzony u nas w użycie, z mową ojczystą szedł w zapasy i podzielał jéj panowanie. Nawet od czasów Zygmunta Augusta, kiedy język krajowy odzyskał swe przyrodzone prawa i domierzył pory swéj dojrzałości, łacina nie zabyła całkiem domowych przywilejów, i nałogowym zwyczajem utrzymywała się w radzie publicznéj, zebraniach duchownych, sądach, a poniekąd w kościele. Mówcy wszakże łacińscy i spólnego z nimi zawodu pisarze, jakkolwiek obcym wyrażający się językiem, miewali za przedmiot wyłącznie sprawy krajowe: z ich dzieł rzymską powleczonych szatą, przegląda wszędzie myśl swojska, narodowa. Kto więc z ogółu krajowego piśmiennictwa wyłącza bez różnicy dzieła w łacińskiéj układane mowie, ten z jego wnętrza wydziera część ważną i żywotną, nie dozwalając dopatrzeć w niém téj całości, która polega na związku wzajemnym wszystkich prac umysłowych."

W tym tomie autor rozwija nam trzy okresy. Okres pierwszy: Wieki Piastów; okres drugi: Czasy Jagiellońskie; okres trzeci: Wiek Zygmuntowski, który nie cały podaje. Od mów w kronikarzach dawnych zawartych, przechodzi do historyi wymowy politycznéj, religijnéj, sądowéj, przygodnéj, a każdy okres zamyka „Szkołą" wymowy, retoryką.

W przywodzeniu przykładów przyznaje autor, że dla nie rozszerzania zbytnio ram dzieła, musiał być oszczędniejszym, chociaż, jak sam wyraża: „nigdy większa jak obecnie nie objawiła się potrzeba zwracania czytelników do wzorów piśmiernictwa dawnego wieku i zasilania ich tym zdrowym, ożywczym, równie zbawiennym dla języka, jak podnoszącym ducha pokarmem, ku czemu książka niniejsza niechaj służy przynajmniéj za wskazówkę i zalecenie."

Sanok.—W Brzozowie, mieście powiatowém obwodu sanockiego w Galicyi wschodniéj, zawiązało się stowarzyszenie kilku kapłanów w celu wydawnictwa pisemek religijno-moralnych p. n.: „Biblioteka parafialna dla ludu katolickiego." Kierunek wydawnictwa objął ks. Antoni Załuski.—Dalszy ciąg „Biblioteki polskiéj" trwa nieprzerwanie. Idzie w niéj przedruk „Żywotów świętych Pańskich" narodu polskiego; przedrukowano wielce ciekawą a rzadką broszurę Bartosza Paprockiego „Hetman." Wydawca zapowiedział także tragedyą Jana Zawickiego „Jephtes." Nie widzimy potrzeby, ażeby w Bibliotece polskiéj ogłaszać rzeczy już dobrze znane; dokładny bowiem przedruk według pierwotnego wydania w Krakowie w drukarni Łazarzowéj z r. 1587, dał nam K. Wł. Wójcicki w drugiém wydaniu Biblioteki starożytnéj pisarzy polskich w tomie I-ym 1854 r. Biblioteka polska powinna mieć za cel główny ogłaszanie ważnych pomników literatury naszéj a mniéj znanych, a te mieć łatwo może z zakładu Ossolińskiego. Rzeczy już po kilkakroć przedrukowywane, widzimy na nowo ogłaszane. Czyżbyśmy nie woleli, czy wreszcie nie lepiejby nakładca i wydawca wyszli, gdyby zamiast pism dziś mniéj wartości mających, zajęli się nieznanemi dla nas skarbami literatury starożytnéj polskiéj? Widać, że wydawca żadnego planu porządnego nie ułożył, ale ogłasza jak Bóg dał, co mu wpadnie pod rękę. Gdyby znał potrzeby czytelników polskich, oględniejby prowadził całe przedsięwzięcie. Co mają za znaczenie w Bibliotece bajki Krasickiego, w tylu przedrukach znane? Bielskiego kronika z przedruku Gałęzowskiego? Bogate a szacowne zabytki tak dla historyi narodu jak i literatury nieraz w unikatach oczekują upowszechnienia, a p. Turowski przedrukowywa pisma albo dobrze znane i niepotrzebujące przedrukowania, albo też małéj wagi dla naszéj społeczności. Cena zeszytów Biblioteki Polskiéj nie jest tanią; w Warszawie wynosi złp. 2. Zbiór, jak zapowiedziano, ma wynosić tysiąc poszytów; trzeba przyznać, że za 2,000 złp. można mieć daleko piękniejszy dobór dzieł, niż zapowiedziana całość téj biblioteki. Powtarzamy, że żadnego planu loicznego w tém wydaniu nie widzimy; czas jeszcze, żeby p. Turowski na dalsze zeszyty rozmyślił się lepiéj co ma drukować, ażeby to przedsięwzięcie spopularyzować, i rzeczywistą literacką wartość, zastosowaną do dzisiejszych potrzeb, mu nadać.

Wilno.—Muzeum archeologiczne wileńskie otrzymało dary od Ignacego Kułakowskiego: pierwszy obejmuje listy oryginalne od r. 1624 do 1673 kardynałów i protektorów Baudini'ego, Vidoni'ego, Kosmusa, Barberi'ego i innych, do metropolitów grecko-unickich pisane w różnych przedmiotach, a szczególniéj w sprawie beatyfikacyi św. Józefata. Drugi zaś kopie listów, traktatów Rzplitéj z W. X. Moskiewskiém (od r. 1656) i instrukcyj poselskich zawierających ważne materyały do panowania Jana

Kazimierza.— Pierwszy zeszyt „Słownika języka polskiego" już wyszedł nakładem Maurycego Orgelbranda; obejmuje na 40 stronnicach całą literę *A* i początek litery *B*. Papier piękny, odbicie czyste i wyraźne.—Władysław Syrokomla wziął za treść nowego utworu, obraz znanego w kraju malarza Gersona. Gerson w rachunkach królewskich Zygmunta Augusta znalazłszy zapisaną kwotę pieniężną, wypłaconą przez króla litewskiemu grajkowi, powziął myśl przedstawienia w obrazku kontrastu uczonéj włoskiéj muzyki, z prostą, rzewną muzyką siół rodzinnych. Nasz poeta będąc w Warszawie, z wielkiém zajęciem oglądał w pracowni artysty ten obrazek, i na jego kanwie osnuł poetyczny obraz z przeszłości p. n.: Królewscy lutniści. Gerson uprzejmie podarował Syrokomli pomieniony obrazek. Przy oddzielném wydaniu „Królewskich lutnistów" (których ogłosiła w swym odcinku Gazeta Codzienna), wierny przerys obrazku Gersona będzie dołączony.

Szląsk.—Drukarnia Teodora Haneczka zaopatruje cały górny Szląsk dobremi pismami polskiemi. Młynarz Piekoszewski w Brzozowicach, przez lat kilka zbierał pieśni wszystkie pobożne, jakie śpiewały się dawniéj i śpiewają dotychczas po różnych parafiach kościoła katolickiego w Szląsku, i wydał już dwa razy własnym nakładem dzieło p. n.: „Dostateczny śpiewnik kościelny" z nutami, obejmujący 60 do 70 arkuszy.—Nadstygar Liss w Bytomiu, wydał trzy dzieła polskie: 1) Zbiór modlitw i pieśni nabożnych na potrzebę górników. 2) Kruszce srébrne w Bytomiu. 3) Ćwiczenia pobożne w czasie wielkiego postu.—W języku niemieckim wyszło tu dzieło (nakład A. Bändera) napisane przez professora Schonvälldera p. n.: „Die Piasten zum Briege, oder Geschichte der Stadt und des Fürstenthums Brieg (Piastowie na Brzegu, czyli historya miast i księztwa Brzegskiego); trzy tomy, każdy przeszło 300 stronnic obejmujący. Dzieło starannie opracowane, zasługuje na szczególną uwagę badaczy naszych.

Lipsk. W księgarni zagranicznéj Bobrowicza wyszedł poemat dramatyczny w pięciu oddziałach Mikołaja Bołoz Antoniewicza p. n. „Anna Oświecimówna" w ozdobném wydaniu. Nakładem tejże księgarni wyszedł obrazek historyczny p. n. „Król na wygnaniu" w 2 tomach. Jestto ustęp z pięcioletniego pobytu króla Stanisława Leszczyńskiego w Palatynacie i Francyi, starannie wypracowany według ówczesnych pamiętników i relacyi.—Konotatki wypadków familijnych i krajowych zaszłych od r. 1634—1689, skreślone przez Stanisława Wierzbowskiego starostę łęczyckiego i bawalszkiego, chorążego łęczyckiego. Do druku podał i objaśnienia dołożył Jan Konrad hr. Załuski.—Wypadki z dziejów Polski styczność z dziejami Turcyi mające, od początku zjawienia się Muzułmanów, aż do traktatu zawartego z Rossyą w Kajnardzi 1774 r., wypisane z chronografów tureckich i wiernie przetłumaczone przez J. Pietraszewskiego. 3 tomy. Wkrótce wyjdzie z pod prasy drukarskiéj: „Filozofia nie filozofia w bajkach," 2 tomy przez Władysława Miniewskiego. Amalia, powieść moralna z życia, napisana dla życia, przez Felixa Kozłowskiego. 2 tomy. Dr. ksiądz Wilhelm Altmann pastor w Odolanowie wydał: „Zbiór drugi melodyj choralnych dla zborów ewangelickich polskich".

Poznań. Paulina Wilkońska zajęła się przekładem znakomitego angielskiego utworu Julii Kavanagh p. n. „Rachel Graj".—Nakładem J. K. Żupańskiego wyszły: „Wzory prozy polskiéj" na wszystkie jéj rodzaje, stopnie i kształty, zebrane przez Jana Rymarkiewicza doktora filozofii i nauczyciela wyższego przy gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu". Dzieło to w pięknem i staranném wydaniu obejmuje 3 duże tomy, każdy około 500 stronnic ścisłego druku. Tom pierwszy obejmuje Wzorów tych stopień 1 na klassy niższe gimnazyów, tudzież dla realnych i wyższych szkół miejskich; tom 2, stopień 2 na klassy wyższe gimnazyów; tom 3 stopień 3 na klassy wyższe gimnazyów, tudzież dla realnych i wyższych szkół miejskich. Dzieło to zacząwszy od opisów i powiastek, klechd i baśni, przechodząc do pamiętników, biografij, charakterów historycznych, kończy głosami sejmowemi i poselskiemi, przemowami wojennemi, kazaniami i odezwami kościelnemi. Wzory te prozy są zbiorem najpiękniejszych wyjątków i jednym z najbogatszych w literaturze naszéj.

— Karol Królikowski, który wydał był dawniéj wyborny Słownik angielsko-polski i polsko-angielski, ukończył druk Słownika włosko-polskiego; druk zaś Słownika polsko-włoskiego jest już na dokończeniu.— Stanisław Bratkowski autor drukowanéj w Warszawie 1829 r. Teoryi pisania listów, i sztuk *Le premier retour* i Olek, ogłosił drukiem w Nantes dramat w 5 aktach p. n. „La famille". Wygotował do druku dzieło p. n. „Ameliorations sociales": jestto opis wszystkich zakładów dobroczynnych, organizacyi robotników po hutach i t. p. w departamencie Loary niższéj.—Niewęgłowski wydał w języku polskim geometryą, o któréj p. Torguem naczelny redaktor Biuletynu bibliografij, historyi i biografii matematycznych, czyniąc rozbiór, oddaje wielkie a zasłużone pochwały autorowi.—Borucki, pod przybranem nazwiskiem Delaire, ogłosił po francuzku broszurę: „Hidraulique et hidronamique experimentales, analitiques et théorique: jest ona wstępem do wielkiego dzieła, w którém opierając się na formule podanéj jeszcze w r. 1685 przez rodaka naszego Rolę, wskazuje łatwe sposoby wyrachowania dokładnego napływu wody pod parciem powietrza.

Berlin. W roku zeszłym wyszedł z drukarni Fandla tom pierwszy dzieła: „*Bluethen slavischer poesie*" (kwiaty słowiańskiéj poezyi) wydawanego przez A. Bahna. Zawiéra poemata: Konrad Wallenrod, Mickiewicza, tłumaczony przez O. Konieckiego, i Kirgiz, Gustawa Zielińskiego, przekład Bahna.

Korrespondencya.

Kijów.—W zeszycie Biblioteki Warszawskiéj za miesiąc październik r. b., pomiędzy doniesieniami literackiemi, z powodu artykułu o kronice Jarosława, wyczytałem następujący ustęp: „W Dzienniku Warszawskim czytaliśmy domniemywania jednego z korrespondentów o Radziejowskim, z widocznym celem wydobycia z dziejów jakich dowodów na stronę Radziejowskiego—że prostym zdrajcą kraju nie był. Bartoszewicz domysły te popierał. Wszakże dorywcze te uwagi nie mają dowodów poważnych, któreby mogły zachwiać sąd już wydany przez historyą i t. d." Słowa te potrzebują objaśnienia. Tak nazwane „domniemywania jednego z korrespondentów Dziennika Warszawskiego" stosują się do listów

o sprawie Radziejowskiego. Autor ich różniąc się zupełnie w rozumieniu swojém o tym wypadku z dotychczasowém jego znaczeniem w historyi, studyum swoje nazwał „Paradoxem", i zaraz na początku wypowiedział założenie: że w pierwotnéj przyczynie zajścia Jana Kazimierza z Radziejowskim, jeżeli były w grze pokątne miłostki, to nie króla z podkanclerzyną, ale owszem królowéj z podkanclerzym. Czyż w tém można upatrzyć ów cel widoczny wydobycia dowodów na stronę Radziejowskiego? Nie wiem, czyby przeto Radziejowski jeżeli krzyw: „prostym zdrajcą" być przestał; a wiem tylko, żeby się podobném tłumaczeniem proste moralne pojęcie; skrzywiło. Nie wchodzę, czy „dorywcze uwagi" autora Paradoxu „mają dowody poważne", ale śmiem twierdzić z pewnością, że ich wykład w tém „zmyśle" nie ma podstawy i usprawiedliwienia. Zdrada Radziejowskiego i jego praktyki z nieprzyjacielem Rzplitéj sąto wypadki daleko późniejsze, niejako następstwa niełaski, w którą popadł u króla; wychodzą one za granicę tego, o czém autor „Paradoxu" mówić zamierzył, i ani słowa o nich nie powiedział."

OD REDAKCYI.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie w r. 1857 w tym samym porządku jak dotąd. Ulepszenia jakie zaprowadzone zostały, czytająca publiczność sama oceni.

Cena pozostaje taż sama, tojest: w Królestwie rub. sr. **9** rocznie, lub rub. sr. **4** kop. **50** półrocznie, którą przyjmują wszystkie urzędy i stacye pocztowe. W Cesarstwie przedpłata roczna z przesyłką pocztową w kopertach wynosi rub. sr. **10**; z tém jednak zastrzeżeniem, aby kwota ta była wprost nadesłaną *franco* albo do Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 617, lub też: do Expedycyi Gazet w Warszawie.

Z powodu małéj liczby drukujących się egzemplarzy, całe wydanie tego pisma tak z r. 1855, jak i z roku bieżącego wyczerpane już zostało; dlatego Redakcya uprasza o wczesne zapisywanie się na rok 1857, aby dostateczna ilość egzemplarzy tego pisma mogła być przygotowaną.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Biblioteka Śląska

Wolno drukować.—Warszawa, d. 12 (24) Listopada 1856 r.— Cenzor, Radca Dworu *Stanisławski*.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

***Październik*, 1856.**

Październik 1856. Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1g. 14m.45s.,7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz.wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	deszczu	śniegu
1		749.93	751.28	752.59	753.54	+ 12°.9	+ 16°.3	+ 19°.6	+ 14°.2	85.7	smugi dész.	smugi	poch. dész.	napół pog.	Pd.	PdZ.	PnZ.	PnZ.	2.4	
2		749.94	748.63	745.92	745.98	+ 14.1	+ 19.4	+ 26.4	+ 17.6	76.3	pochmurny	lek. zamgl.	lek. zamgl.	pogodny	W.	PdW.	Pd.	Pd.		
3		747.44	749.11	749.72	750.20	+ 13.6	+ 16.4	+ 15.9	+ 11.9	82.2	pochmurny	pr. pogod.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PdZ.		
4		751.08	753.10	754.55	755.59	+ 11.1	+ 12.1	+ 14.0	+ 7.9	84.0	deszcz	pochmurny	pr. pochm.	pr. pogod.	Z.	PnZ.	PnZ.	Z.	1.6	
5		755.42	755.55	752.78	752.36	+ 4.4	+ 11.3	+ 16.6	+ 9.6	78.0	pogodny	smugi	pogodny	lek. zamgl.	Pd.	Pd.	PdZ.	—		
6		751.34	751.38	750.59	752.19	+ 7.1	+ 14.8	+ 19.4	+ 13.1	80.0	pogodny	smugi	smugi	pr. pochm.	Pd.	PdZ.	Z.	—		
7	☽.	755.01	757.52	759.13	761.59	+ 9.3	+ 10.4	+ 12.2	+ 6.2	68.3	pochmurny	pogodny	lek. pochm.	pogodny	PnZ.	Pn.	PnW.	PnW.		
8		761.96	761.93	759.33	757.07	+ 2.2	+ 6.4	+ 8.7	+ 7.0	75.2	pochmurny	pr. pochm.	napół. pog.	pochmurny	W.	PdW.	PdW.	PdW.		
9		753.18	752.85	752.99	755.34	+ 7.4	+ 12.5	+ 18.8	+ 11.6	83.5	pochmurny	pochmurny	pr. poch.	napół pog.	Pd.	PdZ.	Z.	PnZ.		
10		759.36	762.63	763.57	765.11	+ 8.3	+ 7.7	+ 9.9	+ 3.5	82.0	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	PnW.	Pn.	Pn.	—		
11		765.02	765.42	763.55	762.09	+ 0.3	+ 5.2	+ 9.8	+ 4.6	75.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
12		760.20	759.18	757.00	756.65	+ 1.3	+ 9.0	+ 14.6	+ 8.1	74.0	pogodny	pogodny	pogodny	lek. pochm.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
13		756.20	756.54	755.85	755.72	+ 4.5	+ 11.4	+ 15.7	+ 11.7	89.8	pogodny	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	PdW.	Pd.	PdZ.	Pd.		
14	☺.	755.32	755.30	754.40	754.23	+ 11.1	+ 15.2	+ 14.9	+ 11.8	90.0	pochmurny	poch. dész.	poch. dész.	pochmurny	Pd.	PdW.	PdW.	PdW.	1.6	
15		753.90	754.30	753.62	754.13	+ 8.3	+ 11.6	+ 14.6	+ 9.3	84.5	l. poc. dész	pochmurny	napół pog.	lek. pochm.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	2.2	
16		754.54	755.48	756.82	759.03	+ 8.0	+ 10.3	+ 12.6	+ 8.7	89,5	pogodny	pogodny	pochmurny	napół pog.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
17		762.06	763.23	764.05	765.02	+ 6.1	+ 9.0	+ 11.3	+ 5.0	81.0	lek. pochm.	smugi	pogodny	pogodny	Pd.	PdW.	PdW.	W.		
18		764.07	764.24	762.59	762.67	+ 0.8	+ 5.0	+ 10.7	+ 5.0	79.7	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	—	—		
19		762.21	762.88	762.64	763.41	+ 0.0	+ 4.2	+ 11.6	+ 7.7	85.3	mgła gruba	pr.pog. l. m.	smugi	pochmurny	—	PnW.	Pn.	PnW.		
20	☾.	765.82	766.83	767.03	767.67	+ 6.9	+ 8.9	+ 8.8	+ 2.4	81.2	pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	—	W.	PnW.	—		
21		767.33	767.46	765.86	765.22	— 1.1	+ 3.0	+ 7.7	+ 1.4	83.3	lek. pochm.	lek. zamgl.	pr. pogod.	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
22		762.86	762.43	759.63	758.27	— 2.1	+ 4.3	+ 13.4	+ 5.6	76.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdZ.	Z.	Z.		
23		757.94	757.98	756.06	755.20	+ 5.8	+ 8.0	+ 9.6	+ 8.9	86.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
24		753.58	754.30	755.81	759.00	+ 8.9	+ 10.4	+ 7.2	+ 3.5	80.2	poch. dész.	poch. dész.	pr. pogod.	pogodny	PnZ.	Pn.	Pn.	PnZ.	4.8	
25		760.16	760.31	758.67	759.95	+ 2.3	+ 4.4	+ 7.7	+ 2.4	77.3	pochmurny	pogodny	pochmurny	pogodny	PnZ.	Z.	Z.	Z		
26		762.17	762.39	762.67	762.84	+ 2.6	+ 4.7	+ 4.8	+ 2.3	75.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PdW.	PdW.	Pd.		
27		760.37	760.67	758.97	759.38	+ 3.6	+ 5.6	+ 8.5	+ 7.5	87.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
28	☽.	758.31	759.19	759.26	759.48	+ 6.7	+ 8.0	+ 8.1	+ 6.7	83.5	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	poch. mży	Z.	Z.	Z.	Z.		
29		757.50	757.44	757.55	758.51	+ 6.6	+ 8.4	+ 9.1	+ 8.1	91.0	poch. mży	pochmurny	poch. mży	mży	Z.	Z.	Z.	Z.		
30		758.85	759.58	759.44	760.40	+ 7.9	+ 8.5	+ 9.2	+ 7.7	96.8	poch. mgł.	mgła	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	4.0	
31		760.99	762.79	764.07	765.77	+ 7.5	+ 7.1	+ 5.8	— 0.3	88.7	mgła gr. d.	poch. dész.	pochmurny	pogodny	Z.	PdW.	W.	PdW.	2.6	
Śre.		757.873	758.481	757.939	758.504	+ 6°.02	+ 9°.34	+ 12°.17	+ 7°.44	82.3									19.2	

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	758.199	28	0.106
Dotąd ani razu październik nie miał tak wysokiej średniej wysokości.			
Najwyżej barometr dochodził d. 20 o g. 10 w.	767.67	28	4.305
Najniżej — — d. 2 o g. 4 w.	745.92	27	6.664
Średnia zmiana dzienna barometru	3.504		1.553
Największa zmiana dzienna barometru d. 9—10 o g. 4 w.	10.58		4.690
Średnia wysokość barometru jest wyższą o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	7.672		3.400
	750.527	27	8.706
Średnia temperatura października wynosi:	+ 8°.74 C.		+ 6°.99 R.
i ta jest wyższa o	0.48 „		0.38 „
od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	+ 8.26 „		+ 6.61 „
Największe ciepło było d. 2 o g. 4 w.	+ 26.4 „		+ 21.12 „
Największe zimno — d. 22 o g. 6 r.	— 2.1 „		— 1.68 „
Dotąd ani razu w październiku nie było tak ciepło jak w d. 2			
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.088 „		2.470 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 2—3 o g. 4 w.	10.5 „		8.40 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 22°.4 R. d. 2 po połud.
Minimum: — 1°.8 „ d. 22 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 82.3, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 7.46 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.03 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 19.2 mil. czyli 8.51 lin. par.; ilość ta jest o 16.67 lin. par. mniejsza od tej, jaka zwykle w październiku u nas spada.

Dni pogodnych było 7, napół pogodnych 9, pochmurnych 15.
— deszczu 10 (d. 1, 4, 9, 14, 15, 24, 28, 29, 30, 31).
— mgły 3 (d. 19, 30, 31).
— błyskawic bez grzmotów 2 (d. 3, 9).
Wiatrów mocnych 7 (6 Z., 1 PnZ.).

Wiatr panujący: Południowo-wschodni, częste były także zachodnie. Październik r. b. przy niezwykle wysokim stanie barometru był szczególnie ciepły, pogodny i suchy; niektóre dni osobliwie sześć dni początkowych były tak ciepłe jak wśród lata, a w nocy nawet dawały się widzieć błyskawice; w ogóle miesiąc ten był blizko o pół stopnia R. cieplejszy niż zwykle. Dnia 2 po południu termometr wskazywał 22.4 stop. R. ciepła, to jest o 2.44 stop. więcej od największego ciepła jakie było d. 3 tegoż miesiąca 1841 r. Najcieplejsze dni były d. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 9, 14, 15; najchłodniejsze d. 11, 18, 19, 21. 22, 25, 26, 27, 31. Barometr w tym miesiącu utrzymywał się bardzo wysoko. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był pogodniejszy niż zwykle, w stanie bowiem normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 5,1:8,9:17; w r. b. stosunek tychże dni w r. b. jest jak 7:9:15. Trzy ostatnie dni t. j. 29, 30, 31 odznaczały się wilgotnym stanem powietrza, w tych bowiem dniach deszcz prawie ciągle w postaci mgły rosił. Wody z deszczu spadło trzy razy mniej niż zwykle. Pierwszy mroz tej jesieni dochodzący — 0.1 stop. R. był d. 19 z rana. Stan wody na Wiśle w ogóle w tym roku był bardzo nizki. Największa wysokość wody w październiku dochodziła 2 stopy 8 cali d. 1; najmniejsza stóp 1 cali 8 d. 20, 21, 27, 28, 29.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1856.

—

Materyały historyczne.

Stron.

Zwycięztwo Jana Sobieskiego nad Turkami i Tatarami w r. 1675, pod Lwowem, przez *Karola Szajnochę*..... 1

Spominki historyczno-artystyczne, przez *Edwarda Rastawieckiego*. 123

O Bolesławie Chrobrym nowe świadectwo współczesne, przez *J. Papłońskiego*..... 213

Najdawniejszy cmentarz pod Warszawą. Przez *Alexandra Wejnerta*..... 412

O sprawianiu łaźni przez Bolesława Chrobrego. Napisał *Karol Szajnocha*..... 441

Książka do nabożeństwa Zygmunta Starego, i inna królowéj Bony, zachowujące się w Anglii, przez *J. T. L.*..... 623

Biografia.

Wiadomość o pismach Stanisława Kaczkowskiego, przez *E. S.*..... 231

Nauki społeczne.

Stron.

O społecznościach gromadzkich i gminnych w dobrach rządowych w Cesarstwie (dokończenie) 185

Literatura.

Pamiętniki, przez *Sabinę z G. G.* (dokończenie)..... 12, 262

Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Posiedzenie pięciu Akademij. — Tom XIV Historyi konsulatu i cesarstwa p. Thiersa. — Elfy, wielki balet powietrzny we trzech aktach, ułożony przez pp. Sainte-Georges i Mazilier. — List Proudhona do baletniczki paryzkiéj. — Proces Lecomta. — Rybołostwo przy świetle elektrycznem. — Wiadomości literackie..... 98

Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Chirognomonia. — Historya Atyli i jego następców, przez Amedeusza Thierry. — Krzysztof Kolumb, przez p. Rosselly de Lorgues. — *Les Pauvres de Paris*, sześcio-aktowy dramat pana Brisebarre. — Wiadomości teatralne. — Nowe sztychy i litografie paryzkie. — Wiadomości literackie..... 307

Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Otwarcie opery włoskiéj. — Biografia powszechna muzyków przez pana Fetis. — Adwokat biednych, dramat Paul Meurica. — *Une femme qui n'aime pas son mari*, nowa sztuka pani Girardin. — Teodor Chassériau. — Wystawa artystyczna w Manchester. — Projekt palenia ciał. — Wiadomości literackie..... 510

Przegląd literatury zagranicznéj. Nowy zwrot poezyi francuzkiéj. 136, 241

Poezye.

Branki, przez *W. Korotyńskiego*..... 38

Spowiedź zakonnika, przez *Henryka Cieszkowskiego*..... 93

Ruskie piosnki ludowe: I. Trzy kukułki..... 305

II. Dwie zorze, przez *T. Lenartowicza*..... 306

Powitanie. Przez *Włodzimierza Wolskiego*..... 537

Ewangelina. Powieść II. Longfellowa z dziejów Anglo-Amerykańskich. Przełożył *Felix Jezierski*..... 539

Dramat.

Romeo i Julia. Przekład z Szekspira *J. Paszkowskiego*..... 336, 452

Sztuki piękne.

Przegląd muzykalny. Onslow. I. Muzyka kwartetowa. — Jéj amatorowie. — II. Życiorys Onslowa. — III. Uwagi nad formą muzyczną. — Dobrzyński i jego kwintety, przez *M. K.*..... 155

Stron.

Przegląd muzykalny. Przez *M. K.*..... 393
Przegląd muzykalny. Swift i panna Berini.—Koncert Mejera.—Kilka uwag o koncertach.—Nowości muzykalne, przez *M. K.*..... 651

Rozbiory.

Mohort. Rapsod rycerski, przez Wincentego Pola. Kraków. 1855. Przez *Leopolda Jakubowskiego*..... 174
Dziejopisowie krajowi. III. Jana Dymitra Solikowskiego arcybiskupa lwowskiego Krótki pamiętnik rzeczy polskich, od Zygmunta Augusta zmarłego 1572, w miesiącu lipcu, do roku 1590. Przełożył z łacińskiego i życiorysem autora poprzedził Władysław Syrokomla. Petersburg i Mohylew. 1855. Przez *Juliana Bartoszewicza*..... 388
Przechadzki po Wilnie i jego okolicach, przez Jana ze Śliwina (Adama Kirkora). Wilno. 1856..... 410
Studya historyczne Michała Balińskiego. Wilno. 1856. Przez *Juliana Bartoszewicza*..... 630
Życie na żart, powieść Alexandra Niewiarowskiego. Dworek i Pałac, powieść K. Wł. Wojcickiego. Przez *Kazimierza Kaszewskiego*..... 639

Nauki przyrodzone.

Instrukcya o konduktorach, wydana przez Akademią nauk we Francyi; przełożył z francuzkiego *Teofil Cichocki*. (Z rycinami)... 44
O telegrafii elektrycznéj, przez *S. E.* (Z rycinami)..... 277, 570

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, od *J.... Ł.*..... 419

Kronika bibliograficzna..... 663

Doniesienia literackie..... 201, 422, 664
Od redakcyi..... 436, 676
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomicznem warszawskiém:
za miesiąc sierpień r. b. 209
— — wrzesień r. b. 437
— — październik r. b. 677

